ALEKSANDER DUMAS

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Powieść Historyczna z XVII Wieku

* * *

TŁUMACZYŁ
STANISŁAW SIEROSŁAWSKI

PARYSKI PUBLISHING CO., TOLEDO, OHIO
PRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

4408/86

ALEKSANDER DUMAS

TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Powieść Historyczna z XVII Wieku

TŁUMACZYŁ
STANISŁAW SIEROSŁAWSKI

TOM I.

PRINTED IN THE UNITED STATES OF AMERICA

LPT 4d 2

460262 I

K-86/4408 T. 1-3
3,7 / 3000 r

Biblioteka Śląska

TREŚĆ

List Aleksandra Dumasa młodszego

Przedmowa Autora.

Rozdział:

I. — Trzy dary pana d'Artagnana ojca.
II. — Przedpokój pana de Treville.
III. — Posłuchanie.
IV. — Ramię Atosa, szarfa Portosa i chusteczka Aramisa.
V. — Muszkieterowie króla i gwardziści pana kardynała.
VI. — Jego Królewska Mość Ludwik Trzynasty.
VII. — Muszkieterowie u siebie.
VIII. — Intryga dworska.
IX. — D'Artagnan działa.
X. — Pułapka siedemnastego wieku.
XI. — Intryga się wiąże.
XII. — Jerzy Villiers, książę Buckingham
XIII. — Pan Bonacieux.
XIV. — Nieznajomy z Meung.
XV. — Toga i miecz.
XVI. — Pan kanclerz Seguier szuka kilkakrotnie dzwonka, aby zadzwonić, jak to czynił niegdyś.
XVII. — Dom państwa Bonacieux.
XVIII. — Kochanek i mąż.
XIX. — Plan wyprawy.
XX. — Podróż.

LIST ALEKSANDRA DUMASA MŁODSZEGO.

Kochany ojcze!

Czy w świecie, w którym przebywasz, pamiętają jeszcze o sprawach naszego świata, czy też to drugie, wieczyste życie istnieje tylko w naszej wyobraźni, jako wytwór trwogi przed niebytem, której się opędzić nie zdołamy mimo wszelkich skarg na dolę doczesną? Czy śmierć niszczy całkowicie tych, których spotyka, a tylko pozostali na ziemi posiadają przywilej pamięci? Albo czy związek duchowy pomiędzy tymi, którzy byli sobie bliżsi, nie rozpada się nigdy, nawet wówczas, gdy jedno znika z powierzchni?

Pytania te nasuwają się nieustannie wobec grobu istot, które pozostały nam drogiemi, a religja i filozofja będą tysiące lat i wieków przedkładały nam swoje wywiązania, odpowiedzi jednakże nie uzyskamy. Może Twój Jakób ma słuszność, zadowalając się tem,

Aby żywiołom poświęcić to ciało,
Prapierwiastkowi, któremu zwracamy
To, co, nas tworząc, wzięła mu Przyroda.
Jeśli człek powstał z ognia i powietrza,
Z wody i ziemi, tak, jak chciał przypadek
Czy Bóg, azali wiatr, który rozwieje
Proch mój, dawnemu wróci wszystko źródłu?

Tyżeś to przemawiał przez usta Sarasena, i czy filizofja Twoja nie wyszła poza tę konkluzję materjalistyczną? Żyjąc razem nigdyśmy tego nie rozstrząsali, a zdaje mi się, że spekulacje metafizyczne nie mąciły nigdy Twego spokoju. Przyroda, której, według orzeczenia Micheleta, byłeś jedną z sił, oraz rzeczywista strona życia — oto wszystko, czego potrzebowały olbrzymie Twe zdolności. Duch Twój, będący w nieustannej służbie Twej pomysłowej o swobodnej wyobraźni, którą wyczerpały zjawiska faktyczne i czyny raczej naszych przodków, aniżeli życie współczesne, nie miał czasu troszczyć się o zaświaty. Zmuszony obcować z ludźmi wieków minionych, życie swoje rozciągałeś, że tak

powiem, w kierunku leżącym poza Tobą; zadowalając się tą nieśmiertelnością pozytywną, roztrząsanie spornych, nie bardzo zresztą owocnych kwestji co do początku i końca zjawisk pozostawiałeś uczonym, filozofom i teologom. Raz, w wierszach, służących za przedmowę "Antony'emu", wyraziłeś wątpliwość co do istoty duszy; był to przecież nie tyle hołd, złożony rozsądkowi, ile raczej ofiara dla rymu i sceptycyzmu, który, mając wówczas charakter czysto literacki, usiłuje dzisiaj przybrać cechy naukowe.

Jeżeli nieśmiertelność duszy jest wątpliwą, to nie jest niem trwanie ludzkości, a czas spędzić trzeba. Stąd te spory i walki. Atoli życie indywidualne jest tak krótkie, a to, co następuje po po niem, tak długie, że nikt się dziwić nie może, iż człowiek chce wiedzieć, czem długi ten czas ma się zapełnić, a ponieważ oddawna żyje w nim żądza, aby być szczęśliwszym w chwili idącej, aniżeli był nim w ubiegłej, przeto, wobec śmierci, pozbawiającej go drobnych rozkoszy i nikłych nadziei, wyobraża sobie z wolą przeznaczenia, tego rodzaju stosunki, w którychby nareszcie wieczystą i zupełną odczuwał szczęśliwość. W ten sposób wraca ciągle do tej wiary, nie dającej mu żadnych gwarancji, głuchy na wszelkie propozycje filozoficzne, któreby mogły go pozbawić tej wiary, nie dając mu wzamian nic pewniejszego.

Twoja nie znająca wytchnienia miłość pracy trzymała Cię zawsze zdala od tych pustych, bezowocnych rozstrząsań. Jeżeli kiedykolwiek myśl Twą zaniepokoiła przypadkiem nieskończoność, to źródło udręczeń Mussetowskich, zwracałeś się bez odwłoki ku owej wielkiej harmonji, kierującej ruchami wszechświata, a która w postaci dotykalnej wita nas w każdem zjawisku. Któż stworzył ten wszechświat? Skąd przyszedł? Dokąd podąża? Nigdyś się o to nie troszczył. Po co się pytać, kiedy odpowiedzi dostać nie można? Wszechświat jest i my jesteśmy, — to nam wystarcza; nas on zawiera i w nas się rozpływa; nierozerwalny łączy nas związek; nasza przyczyna i nasza dola są jednakowe. Potęga, która, pod jakiemkolwiekbądź nazwiskiem, stworzyła prawa tego wszechświata, nie popełniwszy żadnego błędu w obrachunku i kierownictwie, tak samo nie pomyliła się co do człowieka, jak co do wszystkiego innego; a jeśli stworzyła śmierć, to tylko z powodu, że śmierć ta jest nieodłączną od jej zamiarów ostatecznych i od jej planu stworzenia. Niepo-

dobieństwo, aby ta śmierć, wspólne wszystkim i jedynie pewne zjawisko życia, nie miała już z góry zakreślonego celu stania się czemś lepszem w ogólnym rozwoju. Kontentujmy się więc życiem doczesnem, starając się o ile możności uczynić je przyjemnem i pożytecznem dla tych wszystkich, którzy je razem z nami ponoszą, a potem niech sobie śmierć z nami robi, co, według swego przeznaczenia, robić musi.

Poco te wszystkie refleksje filozoficzne z powodu "Trzech muszkieterów", którzy tego rodzaju myślom mniej jeszcze dawali przystępu, niż Ty i ja, a którzy w sprawach tych trzymali się formuły, znoszącej wszelką kontrowersję: "religji króla"? Boć przecież niemożliwem jest przywołać sobie na pamięć istoty, niegdyś kochane, aby równocześnie, podobnie, jak to się dzieje przy wejściu między ruiny, nie spłoszyć, niby stada ptaków nocnych, wszystkich tych pytań, gnieżdżących się że tak powiem, w wyrazie "śmierć". Do tego nie potrzeba nawet, ażeby nieboszczyk, tak jak Ty, sławnym był człowiekiem: wystarczy, że był dobrym, a nikt nie był nim w wyższym stopniu od Ciebie. Ale czemuż zwracam się z tym listem do Ciebie, jakkolwiek nawet nie wiem, gdzie w tej chwili przebywasz? Dlatego, że, jeśli naszych ukochanych, których straciliśmy, niema już tam, gdzie byli, to są oni wszędzie, gdzie my jesteśmy. Niniejsze słowa wspomnienia i hołdu poświęcam cząstce mego ojca, żyjącej we mnie; dosięgną go one wszędzie, gdzie tylko przebywa, z chwilą, kiedy, stawszy się uczestnikiem życia materjalnego, obecnie, pod inną formą, w życiu uczestniczy wieczystem. To przynajmniej jest pewnem, że od lat dwudziestu i trzech, kiedyśmy się rozłączyli, nie minął dzień, abym o tym wielkim nie myślał przyjacielu, którego, gdyby nawet stała się rzecz niemożliwa i on uszedłby mi z pamięci, tyle przypominałoby mi głosów. Pragnę więc skorzystać ze sposobności nadarzającej mi się z pojawieniem wytwornego wydania jednego z jego arcydzieł, i uczynić zadość obowiązkowi, który w pewnej uroczystej chwili wziąłem na siebie.

Było to w grudniu 1870 r. Byliśmy w domu moim w Puits pod Dieppe. Ojciec mój bawił tam od sierpnia, utrudzony pracą, podobnie, jak wielki jego poprzednik, Walter Scott, którego tak podziwiał, a który wskazał mu drogę, po jakiej miał kroczyć i dosięgnąć go. Dni spędzał na milczącem wsłuchiwaniu się w ocean, dzięki blademu połyskowi zimowego słońca zlewający się

z szaremi, mgłą powleczonemi niebiosami; jednostajny poszum jego fal przygłuszał ojcu mojemu odpływ i przypływ życia ludzkiego, docierający ku nam od wschodu.

Jakież to falowały myśli pomiędzy nim a tym bezbarwnym widnokręgiem? Dla wszystkich, którzy mu towarzyszyli, uśmiechniętą posiadał minę, a gdym go się zapytał, jak się czuje, odpowiadał mi zawsze: "Bardzo dobrze". Czyż, nie chcąc nam tego powiedzieć lub nas niepokoić, miał przeczucie bliskiego końca, czy też zasobowi pracy odpowiadała żądza spokoju i czyż spowodowane spokojem tym zadowolenie wystarczyło jego potężnemu, wyprzęgniętemu teraz organizmowi? Nie cierpiał, nie miał żadnej troski; czuł, że go kochają, i niczego więcej nie pragnął. Po długim dniu siejby zasiadł przy ognisku domowem i powoli zasypiał snem zasłużonych.

Pewnego dnia nagliłem go do wstania; musiałem to czynić każdego poranku; jedyna rzecz, której nie lubił, ale niezbędna dla przeciwdziałania osłabieniu. Pewnego dnia, 4 grudnia, zwrócił ku mnie wielkie a tak łagodne oczy i rzekł mi tonem, z jakim dziecko zwraca się z prośbą ku matce:

"Proszę cię, nie zmuszaj mniej do wstawania; czuję się tutaj tak dobrze."

Nie nalegając dłużej, usiadłem przy nim na łóżku. Naraz się zamyślił, i oblicze jego przybrało wyraz głębokiej zadumy i głębokiej melancholji. W oczach jego, które tak umiały schlebiać, spostrzegłem nagle dwie łzy. Zapytałem, co go tak zasmuca. Wtem, pochwyciwszy mą rękę, spojrzał mi bystro w oczy i stanowczym powiedział głosem:

"Powiem ci, jeśli mi przyrzekniesz odpowiedzieć na pytanie moje nie uprzedzeniem syna lub uległą powolnością przyjaciela, lecz z swobodą dobrego towarzysza i powagą sprawiedliwego sędziego."

"Przyrzekam Ci."

"Przysięgnij!"

"Przysięgam."

"A zatem....." Zawahał się na chwilę; potem, skupiwszy się mówił: "A zatem! Masz ty wiarę, że zostanie coś ze mnie?"

Oczy jego zawisły na moich.

"Jeśli Cię nic więcej nie niepokoi, prócz tego", — odrzekłem mu wesoło i patrząc tak na niego, jak on patrzał na mnie, — "to możesz być spokojny: zostanie z ciebie wiele."

"Naprawdę?"
"Naprawdę."
"Ręczysz słowem?"
"Ręczę słowem".

Ponieważ stawałem się coraz weselszy w miarę, jakim usiłował ukryć wzruszenie więć nabrał zaufania. Ręką, trzymającą moją, pociągnął mnie ku sobie; trzymaliśmy się długo w objęciach. Nie rzekł już ani słowa, jakby go to już nie interesowało. Od czasu do czasu wdzięcznem spoglądał na mnie okiem, ściskając mnie silniej za rękę. Sen ogarniał go coraz to bardziej. Następnego dnia, 5 grudnia, chwyciła go febra, a wieczorem, o godzinie dziesiątej, umarł bez drgnięcia, bez walki, nie wiedząc o tem.

Dwadzieścia i trzy lata minęło od dnia, kiedyś się pytał mnie o zdanie, a każdy dzień potęgował jeszcze zapewnienie, które Ci z głębi przekonania w uroczystej dałem chwili. Światem myśli bowiem, tak samo, jak światem poezji, kierują prawa, tak samo absolutne i tak samo nieomylne, jak prawa wszechświata, których równomierność i harmonję wielbiłem przed chwilą. Człowiek oddaje się całkowicie i bez zastrzeżeń tylko temu, co podnieca jego namiętność, co go pochłania, co nim wstrząsa, co daje mu natchnienie, co go podnosi co budzi w nim świadomość dostojności i wartości i owo wyższe uczucie, które wywoływać i dalej rozwijać jest obowiązkiem pisarza. W słuchaniu o swej hańbie i niższości swojej nigdy trwałego zadowolenia mieć nie będzie. W dniach pierwszej młodości, na ławie szkolnej, w czasie niepohamowanego wyrastania żądzy wiedzy, znajduje, być może, on w pewnych niższego gatunku wzruszeniach duszy jakąś niezdrową, na bezdroża sprowadzającą go rozkosz, — niebawem jednak obrazy te mu się sprzykrzą, — napełnią go niesmakiem, — odwróci się też od nich i kierować się będzie ku temu, co zdrowe i naturalne. W zwierciadle, pokazywanem mu przez poetów, dramaturgów i romansopisarzy, nie chce on się zresztą widzieć takim, jakim jest w rzeczywistości; w gruncie rzeczy zna on się bardzo dobrze, szuka więc innego "ja", takiego, jakiem być pragnął, albo jakiem w cichości serca zostać się spodziewa. Wie bardzo dobrze o tem, iż dobro i piękno tak samo jest prawdziwe, choć rzadziej, jak zło i brzydota, i że występek nie posiada monopolu prawdy; wszędzie, gdziekolwiek doznaje wrzuszeń serce i dusza — a gdzież, poza religją i miłością,

istnieje to w wyższym stopniu, aniżeli podczas lektury? — wszędzie potrzeba mu nadziei, pociechy, podpory, ideału.

Patrzcie, jak ten mężczyzna czy ta kobieta nieruchomemi zatapiają się oczami w stronicach, gorączkowo przerzucanych ręką! Z jakiemże natężeniem wsłuchują się w słowa tego, co tak po cichutku do nich przemawia! To mi jest suggestja, to mi jest przenoszenie myśli, to jest zastępowanie woli jednego wolą drugiego! Sądzicie, że to, co się objawia w tem oddaniu, w tem zapomnieniu o sobie, w tem rozpłynięciu się w bohaterach czy bohaterkach dziejowych, jest wynikiem tylko ciekawości? Poza tem wszystkiem drzemie czynność świadoma, nie zawsze wiedząca o tem, że bierze udział w tem wszystkiem, ale zawsze żywa, a której życzenia i dążenia nie ustają tak samo, jak nie ustaje bicie naszego serca, wówczas, kiedy tego nie spostrzegamy — czynność, roszcząca sobie prawo do uczestniczenia w każdem przebytem wzruszeniu. Biada nam, jeśli jej tego odmówimy, wszyscy bowiem posiadamy potrzebę duszy.

Widzisz więc, kochany, dobry ojcze, dlaczego mogłem Ci powiedzieć, że zostanie dużo z Twej twórczości, i jak bardzo słowa te moje potwierdził czas, który od owej ulpynął chwili. Ten-ci jest powód, dlaczego od lat przeszło pięćdziesięciu coraz to bardziej entuzjazmują tłumy Twoi zdrowi, pogodni, mądrzy, wierni, wspaniałomyślni bohaterowie, do ostatniej kropli krwi za dobrą walczący sprawę lub podniosłej broniący idei, — dlaczego stałeś się, dlaczego jesteś i pozostaniesz najbardziej porywającym, najpopularniejszym w najlepszem tego słowa znaczeniu romansopisarzem nie tylko Francji, lecz całego świata, mimo wszelkich szkół, wszelkich teorji estetycznych, wszelkich szczerych i nieszczerych roztrząsań, wszelkich stronniczych i pomniejszających wyroków, w których wyczerpuje się literatura współczesna. Tworzysz obecnie cząstkę tego, z czego nędza ludzka czerpie ulgę i pociechę. Pewien wielki operator powiedział mi niedawno: "Wszyscy chorzy w naszym szpitalu albo przychodzą do zdrowia, albo umierają z książką ojca pańskiego pod poduszką; jeśli chcemy, aby nie przerażali się czekającą ich operacją, aby nie męczył ich długi czas rekonwalescencji, lub aby zapomnieli o przeczuciu nieuniknionego końca, przepisujemy im lekturę romansów czy opisów podróży pańskiego ojca, i zapominają." Jesteś nie tylko podziwiany, lecz, co ważniejsza, kochany; pod pewnym względem błogosławią Ciebie wprost ci

wszyscy, którzy cierpieć musieli, a którzy dzięki Tobie cierpienia swe albo łatwiej znosili, albo je przygłuszali. Ponieważ umiałeś zająć wielkie te dzieci, zwane ludźmi, ponieważ umiałeś je przychwycić na ich namiętności, zapalić, pobudzić do śmiechu, czy płaczu, przeto zaczęli Cię wkońcu uważać za członka rodziny i nazywają Cię "ojcem Dumasem". Widzę Cię już razem z dobrym Lafontainem. Starym jesteś dziadkiem, opowiadającym bajki w długie, zimowe wieczory — piękne baśnie z czasów minionych.

Od chwili, kiedym Ci prorokował o Twej sławie, wydano i sprzedano we Francji dwa miljony osiemkroć i czterdzieści tysięcy Twych tomów oraz osiemdziesiąt miljonów zeszytów ilustrowanych; sześćkroć sto tysięcy Twych dzieł przedrukowano w pismach paryskich i prowincjonalnych, nie mówiąc już o krajach, z którymi nie mamy układów, a które, plądrując Cię, miljony egzemplarzy w swym ojczystym rozszerzają języku. Dotyczące też układy, zawarte przezemnie z wydawcami, dały mi prawo dokonania wytwornej edycji dzieł Twoich wybranych. Miała ona zawierać dwadzieścia pięć grubych tomów. Nie ogłosiłem jej dotąd; pragnąłem inicjatywę pozostawić publiczności i spowodować ją do uczynienia wyboru. Dlatego też, bez najmniejszego z mej strony przyczynku, wydawcy Twoi sami na dobry wpadli pomysł, aby wytworną edycją, ozdobioną obrazami uroczego ilustratora "Manony", "Podróży sentymentalnej" i "Wyznań Jana Jakóba Rousseau", Maurycego Leloira, uwiecznić rosnącą wciąż powagę "Muszkieterów". Niebawem przyjdzie kolej na "Chevalier du Maison Rouge", z ilustracjami mistrzowskiego malarza Wandejczyków. Maurice Leloir, który, uwiadamiając mnie, że skończył dwusetny pięćdziesiąty rysunek, pisał do mnie w te słowa: " Mijają właśnie dwa lata, jak obcuję z d'Artagnanem, Athosem, Porthosem i Aramisem i wszystkiemi osobistościami tej wielkiej epopei. Nie uwierzysz pan, jak przykro mi żegnać się z nimi. Obym ich w tych "dwadzieścia lat później "mógł ujrzeć jak najprędzej!"

List ten przypomniał mi dzień, w którym Cię odwiedziłem, gdyś właśnie kończył "Wicehrabiego de Bragelonne"; siedziałeś smutny i z zaczerwienionemi oczami w Twym wielkim fotelu, chcąc nieco wypocząć.

"Płakałeś. Co ci jest?"

Słyczę dotąd Twą odpowiedź:

"Wielka gnębi mnie troska. Porthos nie żyje! Właśnie go uśmierciłem. Mimowoli musiałem zapłakać nad nim. Biedny Porthos!"

Z takiem właśnie przekonaniem, z takiem poczuciem solidarności pisze się arcydzieła!

A jeśli od tego dnia uprzytomnię sobie przebieg czasu wstecz aż do chwili, kiedyś zaczął pisać tę książkę piękną, cóż to była za rozkosz przy tej pracy, co za radość, co za zdrowie! Widzę Cię jeszcze w tem małem mieszkanku, wynajętem w domu oficjalnego Twego pobytu, wychodzącem na dziedziniec, nie zawierającem nic więcej, prócz wielkiego, grubociosanego stołu, sofy, dwóch krzeseł, kilku książek, rozrzuconych na gzemsie kominka, i żelaznego łóżka, na którem kilka spoczywałeś godzin, gdy praca przeciągnęła się do zbyt późnej nocy. Uciekałeś tam, nie chcąc, aby Ci przeszkadzali rozliczni natręci i pasożyci, nieustannie oblegający Twe drwi, których nie umiałeść dość szczelnie zamykać przed nimi. Długie, obszerne szarawary, w koszuli z rękawami, zakasanymi po łokcie, z szyją wolną — oto, jak o siódmej z rana stawałeś do pracy, ażeby nie przerywać jej do godziny siódmej wieczorem, do chwili, kiedym przychodził do Ciebie na obiad. Śniadanie zastawałem częstokroć nietknięte na małym stoliku, który służący Twój miał obowiązek podsuwać Ci pod Twój "warsztat", a potem opowiadałeś nam podczas jedzenia, które było dobre i nieraz w poszczególnych daniach sporządzane przez Ciebie — opowiadałeś nam dla wytchnienia, co przez cały dzień robiły Twoje postacie, i naprzód już cieszyłeś się z tego, co robić będą w dniu następnym. Trwało to miesiącami. Co za piękna praca, a zawsze wesoła!

"Cóż to za sztuka" — mawiał Corot, coś zawsze gwiżdżący pod nosem i grzebieniem przeczesujący sobie włosy, — "cóż to za sztuka, która nie rozwesela?" Myślałeś tak, jak on, a im więcej utworom swoim własnego dawałeś życia, tem żywiej tryskało ono w Tobie, podobnie, jak to się z wielkiemi dzieje rzekami, które, z tajemniczych karmiąc się źródeł, stają się coraz to potężniejsze w miarę, jak się rozszerzają i zwiększają. Ach! te dobre czasy! Byliśmy jednolatkami: Tyś miał lat czterdzieści i dwa, ja dwadzieścia. Te rozmowy wesołe! Te delikatne zwierzenia serdeczne! Fatamorgana serca i pamięci!

A Ty śpisz, prawie od ćwierć wieku, śpisz pod wielkiemi drzewami cmentarza w Villers-Cotterets, pomiędzy matką, która Ci

była wzorem dla wszystkich Twoich szlachetnych postaci kobiecych, i pomiędzy ojcem, tym kamieniem probierczym dla wszystkich mężnych, dzielnych, szlachetnych i jasnych bohaterów, stworzonych przez Ciebie. A mnie, któregoś zwykł był uważać za dziecko, jakiem i ja sam czułem się zawsze przy Tobie, mnie pobielały dzisiaj włosy bardziej, niż to kiedykolwiek stało się z Twoimi, — liczę też lat daleko więcej, niż liczyłeś Ty, kiedyś nas opuszczał. Ziemia szybko się obraca.

Do rychłego zobaczenia!

Aleksander Dumas młodszy.

PRZEDMOWA

w której
się uzasadnia, iż, pomimo nazwisk na os oraz is,
bohaterowie historji niniejszej,
jaką właśnie mamy zaszczyt opowiedzieć naszym czytelnikom,
nie mają nic wspólnego z mitologją.

Upływa rok niespełna, gdy, czyniąc poszukiwania w bibljotece królewskiej do mej historji Ludwika XIII, wpadłem przypadkowo na wspomnienia pana d'Artagnana, drukowane — jak zresztą przeważna część utworów z tej epoki, kiedy autorowie, pragnący powiedzieć prawdę, woleli nie narażać się na odbycie dłuższej czy krótszej drogi do Bastylji — w Amsterdamie, u Piotra Rouge. Tytuł pociągnął mię; zabrałem książkę do siebie oczywiście za zezwoleniem pana kustosza, i zacząłem ją pochłaniać.

Nie jest zamiarem moim badanie na tem miejscu tej ciekawej pracy. Zadowolniłbym się skierowaniem do niej tych z moich czytelników, którzy oceniają ważność obrazu danej epoki; ci odnajdą tam wizerunki, kreślone ręką mistrza. A jakkolwiek wizerunki te, co jest charakterystyczne dla owych czasów, naszkicowane są na tle bram koszarowych oraz ścian kabaretów, czytelnicy pamiętników ujrzą tam równie dobrze i z równem podobieństwem uchwycone, jak w historji pana Anquetila, portrety Ludwika XIII, Anny Austrjaczki, kardynałów Richelieugo i Mazariniego, oraz większości kurtyzan owego czasu.

Wszelako, jak wiadomo, to, co zajmuje wrażliwy umysł poety, nie koniecznie znajduje oddźwięk w szerszych kołach czytelników. Otóż pomimo, iż na równi z innymi bardzo wysoko cenimy szczegóły, o których podaliśmy wiadomość, sprawa jednak, która nas przedewszystkiem zajęła, jest sprawą, na którą z pewnością nikt dotychczas nie zwrócił uwagi.

D'Artagnan opowiada, iż podczas swych pierwszych odwiedzin u pana de Treville, kapitana muszkieterów królewskich, spotkał w jego przedsionku trzech młodych ludzi, pełniących

służbę w słynnym oddziale, w którym i on sam pragnął służyć wojskowo. Ludzie ci nazywali się Atos, Portos i Aramis.

Musimy przyznać, iż zastanowiły nas te cudzoziemskie nazwiska. Przyszło nam od razu na myśl, iż są to jedynie przezwiska, któremi d'Artagnan pokrył nazwiska właściwe, być może, znamienite. Zresztą posiadacze tych nazwisk przybranych nie mieli może innego wyboru w owych czasach, kiedyto, wskutek jakiegoś wybryku, znudzenia życiem bezbarwnem, lub też niezamożności, niejeden znakomity szlachcic zmuszony był przywdziać pospolity płaszcz muszkieterski.

Od chwili naszego przypadkowego odkrycia nie przerywaliśmy dalszych skrzętnych poszukiwań, aż udało się nam odnaleźć w pracach współczesnych pewne wskazówki, odnoszące się do tych dziwacznych nazwisk, które tak bardzo zaostrzyły naszą ciekawość.

Sam tylko wykaz książek, jakie przeczytaliśmy w tym celu, wypełniłby cały rozdział. Byłoby to może nader pouczające, lecz z pewnością nazbyt mało ciekawe dla naszych czytelników, więc poprzestajemy na udzieleniu im wyjaśnienia, iż wynikiem bezowocnych naszych przez długi czas poszukiwań, których już mieliśmy, zniechęceni, zaniechać, było odnalezienie, dzięki wskazówkom naszego znakomitego i uczonego przyjaciela, Paulina Parisa, rękopisu in-folio, oznaczonego liczbą 4772 czy też 4773 (nie przypominamy już sobie tego dokładnie), a noszącego tytuł:

"Pamiętnik pana hrabiego de La Fere, zawierający niektóre zdarzenia, jakie zaszły we Francji pod koniec panowania króla Ludwika XIII i w początkach panowania króla Ludwika XIV".

Łatwo sobie wyobrazić, jak wielka była nasza radość, gdy w rękopisie owym, będącym naszą ostatnią nadzieją, natrafiliśmy na stronie dwudziestej na nazwisko Atosa, na dwudziestej siódmej Portosa, zaś na trzydziestej pierwszej Aramisa.

Odkrycia zgoła nieznanego rękopisu w czasach, kiedy wiedza historyczna stanęła na tak wysokim poziomie, wydało się nam czemś niemal cudownem. Toteż postaraliśmy się spiesznie o pozwolenie ogłoszenia go drukiem, by stanąć przed Akademją Francuską choćby z cudzym dorobkiem, gdybyśmy nie mieli szczęścia, co zresztą bardzo jest prawdopodobne, wejść do tego przybytku nauki dzięki dorobkowi własnemu. Pozwolenie na

druk, winniśmy tu dodać, zostało nam łaskawie udzielone; stwierdzamy to, aby publicznie zadać kłam tym nieżyczliwym osobistościom, któreby rade były widzieć nas pod kuratelą rządu, dość nieprzychylnie usposobionego dla ludzi pióra.

Tak tedy odajemy w ręce naszych czytelników pierwszą część tego cennego rękopisu, opatrując ją najbardziej odpowiednim tytułem i zobowiązując się natychmiast do wydania części drugiej, o ile, w co nie wątpimy, pierwsza osiągnie powodzenie, na jakie zasługuje.

W tej też nadziei, a w myśl utartego zdania, że ojciec chrzestny jest drugim rodzicem, prosimy czytelnika o wyrażenie nam, nie zaś hrabiemu de La Fere, swego zadowolenia lub nagany.

I.

TRZY DARY PANA D'ARTAGNANA OJCA.

W pierwszy poniedziałek miesiąca kwietnia 1625 roku, w miasteczku Meung, gdzie przyszedł na świat autor "Romansu Róży" — panował ruch tak niezwykły, że mogło się naprzykład wydawać, iż wtargnęli tu hugenoci, aby powtórzyć wypadki z Rochelle. Wielu obywateli, widząc kobiety, uciekające z przerażeniem w stronę ulicy Wielkiej, słysząc płacz dzieci na progach domów, z pośpiechem przywdziewało pancerze i, skrzepiwszy swą niezbyt pewną odwagę wzięciem w rękę muszkietu lub halebardy, dążyło ku oberży "Wolnego Młynarza", przed którą, rosnąc z minuty na minutę, skupiały się coraz większe tłumy, hałaśliwe i rozciekawione.

W owych czasach często wybuchała panika i nie było niemal dnia jednego, aby to lub owo miasteczko nie zapisywało w swoich kronikach jakichś wypadków tego rodzaju. To panowie toczyli spory pomiędzy sobą, to król wojował z kardynałem, to wreszcie Hiszpan prowadził wojnę z królem. A poza temi walkami, głuchemi lub głośnemi, tajemnemi lub jawnemi, nie brakowało także jeszcze złodziei, potwarców, hugenotów i wilków, wiodących wojnę z całym światem. Mieszczanie zbroili się ustawicznie przeciwko złodziejom i przeciwko wilkom, — niejednokrotnie przeciwko panom i hugenotom, — czasami nawet przeciwko kardynałowi i Hiszpanowi. Tak się działo zwyczajnie i dlatego to w ten wspomniany poniedziałek miesiąca kwietnia 1625 roku mieszczanie, słysząc krzyki, a nie widząc ani sztandarów żółtych i czerwonych, ani barw księcia Richelieu, pospiesznie podążali ku oberży "Wolnego Młynarza".

Tam, na miejscu, każdy mógł naocznie zobaczyć i poznać przyczynę zamieszania.

Był to młody człowiek. Nakreślmy jego wizerunek jednem pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kiszota w ośmnastym roku życia, Don Kiszota rozebranego, bez pancerza i na-

biodrników, Don Kiszota, odzianego w wełniany kaftan, którego niebieska barwa przyjęła nie dający się określić odcień koloru wina i lazuru nieba. Oblicze ściągłe i śniade; wystające kości policzkowe, świadczące o chytrości; szczęki nadmiernie rozwinięte, co ponad wszelką wątpliwość dowodziło pochodzenia z Gaskonji, nawet gdyby nie miał tamtejszej czapki, — a nasz młody człowiek posiadał czapkę, ozdobioną rodzajem piórka; oko jasne i rozumnie patrzące; nos zagięty, lecz o szlachetnym rysunku, nieco za duży dla młodzika, a za mały dla człowieka dojrzałego. Człowiekowi mniej biegłemu w obserwacji wydawałby się podróżującym synem zagrodnika, gdyby nie długa szpada, zawieszona na pasie i uderzająca właściciela po nogach, gdy stał na ziemi, oraz gdyby nie koń o najeżonej sierści, którego dosiadał.

Albowiem młodzieniec nasz posiadał rumaka, i to tak niezwykłego, że zwracano na niego powszechną uwagę: by to konik bearneński, mający już lat dwanaście do czternastu, żółtej maści, bez jednego włoska na ogonie, noszący podczas jazdy głowę znacznie niżej od kolan, wobec czego boczne popręgi wydawały się całkiem niepotrzebne, lecz mogący bądź co bądź przebywać około dziesięciu mil dziennie. Na nieszczęście wszystkie zalety tego rumaka były tak dobrze ukryte pod niezwykłą sierścią, a jego zachowanie się tak niesamowite, że w owym czasie, kiedy świat cały znał się na koniach, pojawienie się tego wspomnianego wyżej rumaka w Meung, dokąd wjechał mniej-więcej na kwadrans przedtem bramą od strony Beaugency, wywołało sensację, której skutki źle usposobiły obecnych i dla samego młodzieńca.

A sensacja ta była tem przykrzejsza jeszcze dla młodego d'Artagnana (tak nazywał się nasz Don Kiszot, dosiadający tego nowego Rozynanta), ponieważ sam rozumiał dobrze, że podobna szkapa musi okrywać śmiesznością nawet najdzielniejszego kawalera. To też z głębokiem westchnieniem przyjmował dar, otrzymany od pana d'Artagnana ojca; wiedział, że takie bydlę nie jest warte więcej ponad dwadzieścia liwrów. Natomiast słowa, towarzyszące darowi, były wprost bezcenne.

— Synu mój — mówił szlachcic gaskoński tą czysto bearneńską gwarą, której nigdy nie zdołał się wyzbyć nawet Henryk IV, — synu mój, rumak ten urodził się w domu twego ojca, będzie temu lat około trzynastu, i przez cały przeciąg czasu pozo-

stawał na służbie tego domu, wobec czego powinieneś go kochać. Nie sprzedawaj go nigdy, niechaj spokojnie i zaszczytnie umrze ze starości, a jeżeli towarzyszyć ci będzie na wojennych wyprawach, oszczędzaj go tak, jakbyś oszczędzał starego sługę. Na dworze królewskim — prawił dalej stary pan d'Artagnan, — jeżeli będziesz miał zaszczyt tam się dostać, a do zaszczytu tego daje ci zresztą prawo nasze starodawne szlachectwo, podtrzymuj godnie honor swego szlacheckiego nazwiska, które zacnie nosili twoi przodkowie od pół wieku z górą; czuwaj nad honorem swoim i twoich. Mówiąc o twoich, mam na myśli twych rodziców i twych przyjaciół. Jedynie własną odwagą, pamiętaj o tem dobrze, jedynie własną odwagą szlachcic toruje sobie dzisiaj drogę. Nikomu nie puszczaj nic płazem, oprócz pana kardynała i króla! Ktokolwiek się zawaha na chwilę, wypuszcza może przynętę, którą właśnie w tej chwili los mu nastręcza. Jesteś młody i dla dwóch przyczyn powinieneś być dzielnym człowiekiem: raz dlatego, że jesteś Gaskończykiem, powtóre dlatego, że jesteś moim synem. Nie omijaj sposobności i szukaj przygód. Nauczyłem cię władać szpadą; masz przeguby z żelaza i pięści stalowe; stawaj do walki z byle powodu; stawaj do walki tem bardziej, że pojedynki są zabronione, z czego wynika, że, aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Nie mogę ci nic więcej dać na drogę, prócz piętnastu talarów, mojego konia i tych rad, których wysłuchałeś. Twoja matka doda ci jeszcze przepis na pewien balsam, który otrzymała od jednej cyganki; balsam ten posiada cudowną zdolność leczenia wszelakich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj ze wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Dodam chyba jedno słowo jeszcze; przytoczę ci mianowicie pewien przykład, nie swój, co prawda, bo ja nigdy nie byłem na królewskim dworze, ani nie uczestniczyłem jako ochotnik w walkach religijnych. Chcę mówić o panu de Treville, który był niegdyś moim sąsiadem, a który, jako dziecko, miał zaszczyt dzielić zabawy naszego monarchy, Ludwika XIII, oby go nam Bóg jaknajdłużej zachował. Niejednokrotnie zabawy ich przemieniały się w walki, a w walkach tych król nie zawsze bywał silniejszy. Uderzenia jednak, jakie otrzymywał, zwiększały tylko jego szacunek i przyjaźń dla pana de Treville. Później, podczas swej pierwszej podróży do Paryża, pan de Treville pojedynkował się z pięć razy; od czasu śmierci starego króla aż do pełnoletności młode-

go bił się siedem razy, nie licząc wojen i oblężeń; a od czasu tej pełnoletności aż do dnia dzisiejszego może ze sto razy! I dlatego, mimo wszelkich edyktów, rozporządzeń i kar na pojedynkujących się, jest on dzisiaj kapitanem muszkieterów, jest, można powiedzieć, wodzem legjonu cezarów, którego król ma w wielkiej estymie i którego lęka się sam pan kardynał, nie będący, jak powszechnie wiadomo, lękliwego usposobienia. Poza tem pan de Treville ma dziesięć tysięcy talarów rocznego dochodu, jest więc panem w całem tego słowa znaczeniu. Zaczynał tak samo, jak ty dzisiaj. A więc udaj się do niego z tym oto listem i wzoruj się na nim, abyś tak, jak on, zdobył powodzenie.

Poczem pan d'Artagnan przypasał synowi własną szpadę, ucałował go tkliwie w oba policzki i dał mu swe błogosławieństwo.

Opuszczając komnatę ojcowską, młodzieniec spotkał matkę, oczekującą go z ową bajeczną receptą, której przepisy — jak się w dalszym ciągu dowiemy — często z konieczności miał stosować. Pożegnanie było tym raem dłuższe i czulsze, aniżeli poprzednio z ojcem, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jedynym jego potomkiem, ale ponieważ uważał za niegodne mężczyzny poddawać się zbytnio wzruszeniu. Natomiast pani d'Artagnan była kobietą i, co więcej, matką. Wylewała więc łzy obficie. Na pochwałę zaś pana d'Artagnana syna powiedzmy, że, chociaż usiłował pozostać niewzruszonym, jak na przyszłego muszkietera przystało, przecież natura wzięła górę i wypłakał również wiele łez, z których tylko połowę udało mu się ukryć.

Jeszcze tego samego dnia młodzieniec wyruszył w drogę, wyposażony trzema ojcowskimi darami, na które składały się: piętnaście talarów, koń i list do pana de Treville; rady ojcowskie, jak się łatwo domyślić można, nie były uwzględnione w rachunku darów.

Zaopatrzony w tego rodzaju "vade mecum", d'Artagnan stał się zarówno duchowo, jak fizycznie, dokładną podobizną bohatera Cervantesa, z którym też tak trafnie go porównaliśmy, gdy obowiązek historyka nakazywał nam naszkicować jego portret. Don Kiszot uważał wiatraki za olbrzymów, a stado owiec za armję; d'Artagnan poczytywał każdy uśmiech za obelgę, a każde spojrzenie za zaczepkę. Wynikło stąd, że w ciągu całej podróży z Tarbes do Meung ustawicznie zaciskał pięści i dzie-

sięć razy przez dzień chwytał za rękojeść swej szpady; mimoto pięść nie spadła na niczyją szczękę, a szpada nie opuściła pochwy. Nie znaczy to bynajmniej, aby widok nieszczęsnego żółtego konika nie wzbudzał śmiechu na twarzach przechodniów; ale, ponieważ koło nóg konia pobrzękiwała szpada o nakazujących szacunek rozmiarach i ponieważ powyżej tej szpady błyszczało oko raczej dzikie, niż dumne, przechodnie starali się poskramiać swoją wesołość, albo też, gdy śmiech brał już górę nad roztropnością, uśmiechali się tylko półgębkiem, na podobieństwo masek starożytnych. D'Artagnan, mimo swej drażliwości, dotarł majestatycznie bez żadnej przygody aż do tego nieszczęsnego miasteczka Meung.

Gdy jednak tutaj zsiadł z konia przed bramą "Wolnego Młynarza", nie podszedł nikt, ani gospodarz, ani chłopiec, ani masztalerz, aby przytrzymać mu strzemię. Natomiast w otwartem parterowem oknie ujrzał d'Artagnan jakiegoś szlachcica o pięknej postawie i z wyniosłą miną, aczkolwiek o twarzy nieco pomarszczonej, który rozmawiał z dwoma osobami, słuchającemi, jak się mogło wydawać, słów jego z szacunkiem. Tak, jak zwyczajnie, d'Artagnan przypuścił oczywiście przedewszystkiem, że on właśnie jest tematem rozmowy, i zaczął nadsłuchiwać. Tym razem jednak mylił się częściowo; rozmawiano nie o nim, lecz o jego koniu. Szlachcic wyłuszczał swoim słuchaczom zalety konia, oni zaś, mimo widocznie okazywanego mu szacunku, co chwila wybuchali śmiechem. A że nawet najlżejszy uśmieszek wystarczał, aby obudzić gniew młodego człowieka, łatwo pojąć, jakie wrażenie wywarła na nim ta głośna rozmowa.

D'Artagnan pragnął jednak przedewszystkiem zdać sobie sprawę z fizjognomji impertynenta, stroiącego sobie z niego drwinki. Hardem spojrzeniem zmierzył nieznajomego i skonstatował, że był to człowiek w wieku lat czterdziestu do czterdziestu pięciu, z czarnemi, przenikliwemi oczyma, bladej cery, z wydatnym nosem i czarnymi wąsami. Wytwornie ubrany, miał fioletowy kaftan i spodnie z naszyciami tejże samej barwy, bez żadnych ozdób, z wyjątkiem wycięć przez które przeglądała koszula. Kaftan ten i spodnie, acz zupełnie nowe, wydawały się zmięte, jak suknie podróżne, spoczywające przez czas dłuższy w walizie. D'Artagnan zaobserwował te wszystkie szczegóły z niezwykłą szybkością, kierowany niewątpliwie jakimś instynk-

tem, który powiadał mu, że ten nieznajomy będzie miał w przyszłości duży wpływ na jego życie.

W chwili, kiedy d'Artagnan utkwił swój wzrok w szlachcicu w fioletowym kaftanie, tenże wypowiadał właśnie niezmiernie mądre i głębokie uwagi o bearneńskim wierzchowcu; obaj jego słuchacze zanosili się od śmiechu, a i na jego ustach, wbrew zwyczajowi, można było zauważyć — jeżeli wolno tak powiedzieć — ledwie dostrzegalny uśmieszek. Tym razem nie było już wątpliwości, że d'Artagnan został istotnie zelżony. Przeświadczony o tem w zupełności, nacisnął czapkę na oczy i, starając się naśladować dworskie ruchy, jakie widywał w Gaskonji u przejeżdżających panów, postąpił naprzód, opierając jedną rękę na rękojeści szpady, a drugą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę, jak się zbliżał, wściekłość zaślepiała go coraz to bardziej, skutkiem czego, zamiast pełnej godności przemowy, jaką zamierzał wyrazić swoje wyzwanie, nie znalazł w danej chwili nic innego na końcu języka, prócz osobistej obelgi, popartej wściekłym gestem.

— Hej! panie! — wołał, — nie kryjno się pan za okiennicą, lecz powiedz i mnie także, z czego się śmiejesz, abyśmy się pośmiali razem!

Szlachcic przeniósł powoli spojrzenie z konia na jeźdźca, jak gdyby potrzebował pewnego czasu, aby pojąć, że to do niego były zwrócone te dziwne brzmiące słowa; potem zaś, gdy już nie mógł mieć żadnej wątpliwości, brwi jego zmarszczyły się lekko i po dość długiej chwili odpowiedział d'Artagnanowi z akcentem ironji i lekceważenia, trudnym do opisania:

— Nie mówię do ciebie, mój panie.

— Ale ja mówię do pana! — zakrzyknął młody człowiek wyprowadzony z równowagi tem połączeniem zuchwałości i dobrych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznajomy przez chwilę jeszcze spoglądał na niego z ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem, a potem cofając się od okna, wyszedł powolnym krokiem z oberży i stanął o dwa kroki od d'Artagnana, naprzeciwko jego konia. Jego spokój, panowanie nad sobą i szyderczy wyraz twarzy spotęgowały jeszcze wesołość tych, z którymi rozmawiał, a którzy pozostali przy oknie.

D'Artagnan, widząc zbliżającego się, wydobył częściowo szpadę z pochwy.

— Koń ten jest zdecydowanie, a raczej był w czasach swojej

młodości barwy złotego pąka — mówił nieznajomy, ciągnąc dalej swe wywody i zwracając się do swych słuchaczy przy oknie, a nie bacząc wcale na podniecenie d'Artagnana, który tymczasem skierował się ku niemu. — Jest to barwa, znana dobrze w botanice, ale, jak dotąd, dziwnie rzadka u koni.

— Ten śmieje się z konia, kto nie śmie kpić z jeźdźca — zakrzyknął z wściekłością współzawodnik Treville'a.

— Nie mam zwyczaju śmiać się często, mój panie — odpowiedział nieznajomy, — o czem łatwo przekonać się pan możesz z wyglądu mojej twarzy; ale natomiast sądzę, że mam prawo śmieć się wtedy, kiedy mi się podoba.

— A ja znowu bardzo nie lubię, kiedy ktoś śmieje się wtedy, dy mnie się to niepodoba — odkrzyknął d'Artagnan.

— Doprawdy, mój panie? — ciągnął dalej nieznajomy z większym jeszcze, niż poprzednio, spokojem. — Doskonale! To najzupełniej słuszne! — I, obróciwszy się na pięcie, chciał wejść o oberży przez główną bramę, przed którą d'Artagnan pozostawił swego konia w pełnym rynsztunku.

Ale d'Artagnan, bardzo zadzierzysty młodzieniec, nie mógł pozwolić, aby w ten sposób oddalił się człowiek, który miał czelność kpić z niego. Wydobył tedy szpadę z pochwy i podążył za odchodzącym, krzycząc:

— Odwróćno się pan, odwróć się pan, panie kpiarzu, abym nie był zmuszony wypłazować pana z tyłu!

— Wypłazować? mnie? — odezwał się tamtem, odwracając się i spoglądając na młodego człowieka z równem zdziwieniem, jak pogardą. — Proszę, proszę mój drogi; zwarjowałeś widocznie.

Poczem dodał półgłosem, jakgdyby mówił sam do siebie:

— Przykra sprawa.... Jakiż nabytek byłby to dla Jego Królewskiej Mości, który poszukuje na wszystkie strony takich zuchów, aby ich zaciągnąć w szeregi swoich muszkieterów!

Zaledwie skończył mówić, gdy d'Aatagnan natarł na niego z taką wściekłością, że, gdyby nie był uskoczył w tył, byłby prawdopodobnie żartował ostatni raz w życiu. Nieznajomy zrozumiał, że sprawa przeszła poza granice żartów, dobył oręża, skłonił się przeciwnikowi i stanął w pogotowiu do walki. Ale w tej samej chwili obaj słuchacze z pomocą gospodarza wpadli na d'Artagnana, zadając mu gwałtowne ciosy kijami, łopatami i kuchennemi szczypcami. Stało się to tak nagłą i zupełną przesz-

Biblioteka Śląska

kodą w ataku, że, podczas gdy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi ciosów, przeciwnik jego z tą samą precyzją schował szpadę do pochwy i z aktora, którym omal nie został, zmienił się w obserwatora walki. W roli tej zachował zwyczajną swoją obojętność, aczkolwiek pomrukiwał:

— Niech zaraza pochłonie tych Gaszkończyków! Wsadźcie go na konia i niech zmyka z Bogiem.

— Nie pierwej, aż cię zabiję, tchórzu! — woła d'Artagnan, przyjmując możliwie najkorzystniejszą postawę i nie ustępując ani na krok przed trzema przeciwnikami, którzy nie szczędzili ciosów.

— Jeszcze dalej ta gaskonada — mruknął szlachcic. — Na honor, ci Gaskończycy są niepoprawni! Więc potańczcie jeszcze, skoro kawaler chce tego tak koniecznie. Gdy się zmęczy, powie sam, że ma dosyć.

Ale nie wiedział jeszcze, z jakim zapaleńcem ma do czynienia; d'Artagnan nie należał do ludzi, którzy proszą o pardon. Walka trwała zatem jeszcze kilka minut, aż wreszcie wyczerpany zupełnie z sił d'Artagnan wypuścił szpadę, która pękła na dwoje wskutek uderzenia kijem. Prawie równocześnie inny cios ugodził go w czoło tak, że padł na ziemię, zakrwawiony i prawie nieprzytomny.

W tej samej niemal chwili ze wszystkich stron zaczęto się zbiegać na miejsce zajścia. Oberżysta, obawiając się skandalu, przeniósł ranionego z pomocą swych służących do kuchni, gdzie zajęto się opatrzeniem ran jego.

Tymczasem szlachcic powrócił na swoje dawne miejsce przy oknie i z pewnem zniecierpliwieniem spoglądał na pospólstwo, które nie rozpraszało się, lecz widocznie okazywało mu swe niezadowolenie.

— I cóż, jakże się miewa ten szaleniec? — zapytał odwracając się na szmer otwierających się drzwi i spostrzegając oberżystę, który przychodził zapytać się o jego zdrowie.

— Wasza Ekscelencja nie poniosła żadnego szwanku? — wypytywał oberżysta.

— Jestem zupełnie zdrowy i nietknięty, mój drogi gospodarzu; natomiast pragnąłbym się dowiedzieć, co się dzieje z naszym młodym człowiekiem.

— Ma się już lepiej — odparł oberżysta, — chociaż zemdlał.

— Doprawdy? — wtrącił szlachcic.

— Lecz, zanim zemdlał, zebrał wszystkie siły i wołał pana, wygrażając mu się przytem.

— Ależ to djabeł wcielony ten śmiałek — zawołał nieznajomy.

— Och, nie, Wasza Ekscelencjo, wcale nie djabeł — odparł oberżysta z pogardliwem skrzywieniem ust. — Podczas zemdlenia zrewidowaliśmy jego tobołek i znaleźliśmy w nim tylko jedną koszulę, w sakiewce zaś zaledwie dwanaście talarów. Nie przeszkodziło mu to oświadczyć jeszcze przed zemdleniem, że gdyby podobny wypadek wydarzył się w Paryżu, pożałowałbyś pan tego natychmiast, podczas gdy obecnie będziesz żałował dopiero później.

— A zatem jest to zapewne jakiś przebrany książę — rzekł chłodno nieznajomy.

— I ja tak sądzę, proszę pana — odparł oberżysta. — Bądź co bądź powinieneś pan mieć się na baczności.

— A czy w uniesieniu wymienił może jakie nazwisko?

— Tak jest; uderzając ręką w kieszeń oświadczył: "Zobaczymy, co powie pan de Treville o tej zniewadze, wyrządzonej jego protegowanemu!"

— Pan de Treville? — powtórzył nieznajomy z nagłem zainteresowaniem. — Więc wymieniał nazwisko pana de Treville, uderzając ręką po kieszeni?.... Słuchaj-no pan, panie gospodarzu; jestem przekonany, że podczas gdy ów młody człowiek był zemdlony, nie omieszkałeś pan przetrząsnąć również tej kieszeni. Cóż się w niej znajdowało?

— List, zaadresowany do pana de Treville, kapitana muszkieterów.

— Doprawdy?

— Tak, jak miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Ekscelencji.

Oberżysta, który nie odznaczał się zbytnią bystrością, nie zauważył wcale, jak wielkie wrażenie wywołały te słowa, wrażenie, które bardzo widocznie odmalowało się na twarzy nieznajomego. Odszedł od okna, o którego framugę ciągle się dotąd opierał końcem ręki, i zmarszczył brwi z zaniepokojeniem.

— Tam do djabła! — mruknął przez zęby, — więc to Treville nasłał na mnie tego Gaskończyka? Straszny jeszcze młokos! Ale pchnięcie szpadą nie przestaje być pchnięciem szpadą, bez względu na wiek człowieka, który je zadaje. A na dzieciaka zwraca się nawet mniej uwagi, aniżeli na kogo innego; czasami

zaś wystarcza drobna przeszkoda, aby pokrzyżować wielkie plany.

Nieznajomy zamyślił się przez kilka minut.

— Słuchajno pan, panie gospodarzu — rzekł, — czy nie mógłbyś pan uwolnić mnie od tego szaleńca? Zdaję sobie z tego sprawę, że teraz nie mogę go zabić, a jednak — dodał te słowa z godnym spokojem, — a jednakże zawadza mi on. Gdzież jest umieszczony?

— W pokoju mojej żony, na pierwszem piętrze, gdzie go opatrzono.

— Czy manatki jego i zawiniątko znajdują się tam także? Czy zdjął kaftan?

— Przeciwnie, wszystko to zostało w kuchni na dole. A jeżeli ten młody człowiek zawadza Waszej Ekscelencji....

— Oczywiście. Wywołuje w pańskiej oberży awantury, wobec których przyzwoici ludzie nie mają obrony. Proszę pójść do siebie na górę, przygotować dla mnie rachunek i uprzedzić mojego służącego.

— Jakto? Pan nas już opuszcza?

— Wiesz pan chyba o tem, skoro poleciłem osiodłać konia. Czy rozkaz mój jeszcze nie wykonany?

— I owszem; jak to Wasza Ekscelencja może sprawdzić, koń stoi obok głównej bramy, gotowy do odjazdu.

— Więc idź pan teraz zrobić, co mówiłem.

— Cóż to? — rzekł oberżysta sam do siebie, — miałżeby on istotnie obawiać się tego chłopaka?

Lecz rozkazujące spojrzenie nieznajomego nie pozwoliło mu się ociągać. Skłonił się pokornie i wyszedł.

— Nie trzeba, aby ten młokos zobaczył milady — mówił dalej już do siebie nieznajomy. — Nie powinna zwlekać z przybyciem, tem więcej, że i tak już się spóźnia. Niewątpliwie będzie lepiej, jeżeli dosiędę konia i pospieszę na jej spotkanie.... I gdybym tylko mógł się dowiedzieć, jaka jest treść tego listu, zaadresowanego do Treville'a!

I mówiąc te słowa, nieznajomy skierował kroki ku kuchni.

Tymczasem oberżysta, który nie wątpił wcale, że to tylko olewność młodego chłopaka wypędza nieznajomego z jego oberży, poszedł na piętro do mieszkania swej żony i przekonał się tamże, że d'Artagnan odzyskał już przytomność. Więc tłumacząc mu, że mógłby mieć nieprzyjemności z policją za to, że szukał

zaczepki z wielkim panem — a zdaniem oberżysty nieznajomy musiał być magnatem, — nakłonił go, pomimo osłabienia, do powstania z łóżka i puszczenia się w dalszą drogę. D'Artagnan na pół ogłuszony, bez kaftana, z głową owiniętą szmatami, zdecydował się wstać, i popychany przez oberżystę, zaczął schodzić ze schodów. Gdy jednak stanął w kuchni, pierwszą osobą, jaką zobaczył, był wróg jego, który w tej chwili stał spokojnie obok drzwiczek wielkiej karocy podróżnej, zaprzężonej w dwa duże konie normandzkie, rozmawiając z kimś znajdującym się w karecie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a która wychyliła głowę przez drzwiczki, mogła mieć dwadzieścia lub dwadzieścia dwa lat. Mówiliśmy już, z jak szybką spostrzegawczością d'Artagnan umiał zaobserwować każdą fizjognomję; na pierwszy rzut oka zauważył, że kobieta była młoda i piękna. Tem więcej zaś piękność ta zwróciła jego uwagę, że różniła się od twarzy, widywanych w południowych prowincjach, gdzie dotąd d'Artagnan przemieszkiwał. Było to osoba o twarzy bladej, o jasnych włosach, które w lokach spadały na ramiona, o śmętnych, błękitnych oczach, z rękami alabastrowej białości, z różanemi ustami. Rozmawiała z nieznajomym z wielkiem ożywieniem.

— A zatem Jego Eminencja rozkazuje.... — mówiła dama.

— Powrócić niezwłocznie do Anglji i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

— A jakie inne zlecenia jeszcze? — pytała piękna podróżniczka.

— Są one zawarte w tej szkatułce, którą jednak otworzy pani dopiero na tamtym brzegu kanału La Manche.

— Dobrze; a pan co zamierza czynić?

— Ja powracam do Paryża.

— Nie ukarawszy tego zuchwałego młokosa?

Nieznajomy zamierzał właśnie odpowiedzieć na to pytanie. Ale w chwili, gdy otwierał usta, d'Artagnan, który wysłuchał całej rozmowy, zbliżył się ku progowi drzwi.

— Oto jest ten zuchwały młokos, który sam karze innych — zawołał. — I spodziewam się, że tym razem ten, który powinien być ukarany, nie wymknie mu się, jak poprzednio.

— Nie wymknie mu się — odparł nieznajomy, marszcząc brwi.

— Tak; nie przypuszczam, abyś się pan odważył uciekać w obliczu kobiety.

— Zastanów się pan — zawołała milady, widząc, że szlachcic chwyta za szpadę. — Zastanów się pan, że najmniejsze opóźnienie może wszystko narazić na zgubę.

— Masz pani słyszność; jedźmy zatem każde w swoją stronę — zawołał.

I, pozdrowiwszy damę skinieniem głowy, wskoczył na konia, podczas gdy równocześnie powożący karocą zaciął potężnym ruchem bicza swój zaprzęg. Oboje rozmawiający ruszyli galopem, oddalając się w dwie przeciwne strony drogi.

— Hej, panie! a pańska należność — krzyczał oberżysta, którego względy dla podróżnika przemieniły się teraz w głęboką wzgardę, gdy ujrzał, że odjeżdża, nie uregulowawszy rachunku.

— Zapłać, gamoniu! — zawołał podróżny, nie wstrzymując konia, na swego służącego, który, rzuciwszy oberżyście pod nogi dwa czy trzy srebrniki, popędził galopem za swoim panem.

— Ach, tchórzu; ach, nikczemniku! ach, fałszywy panku! — wołał d'Artagnan, usiłując gonić za uciekającym i sługą.

Ale z powodu ran był jeszcze nazbyt słaby, aby znieść podobne wstrząśnienie. Zaledwo przebiegł z dziesięć kroków, zaczęło mu szumieć w uszach, uczuł, że słabnie, krwawa chmura zasłoniła mu oczy i runął na środku ulicy, wołając jeszcze ciągle:

— Podły! podły! podły!

— Istotnie, podły człowiek — przytakiwał oberżysta, zbliżając się ku d'Artagnanowi i usiłując tem pochlebstwem zjednać sobie biednego chłopca, podobnie, jak owa czapla z bajki ślimaka.

— Tak, podły — mruczał d'Artagnan. — Ale ona... jakże była piękna!

— Jaka ona? — pytał oberżysta.

— Milady — wybełkotał d'Artagnan.

I zemdlał po raz wtóry.

— Wszystko jedno! — mówił oberżysta sam do siebie; — tamtych dwoje utraciłem bezpowrotnie. Na szczęście zostaje mi ten jeszcze, a on będzie musiał zatrzymać się tutaj kilka dni co najmniej. W każdym razie można będzie zarobić jedenaście talarów.

Jak wiadomo, właśnie jedenaście talarów znajdowało się w kiesce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, po talarze za dzień. Ale nie wziął wcale w rachubę tężyzny gościa. Nazajutrz o godzinie piątej rano d'Artagnan zwlókł się z łóżka, zeszedł sam do kuchni, zażądał, oprócz kilku rozmaitych ingredjencji których spis nie przeszedł do naszej wiadomości, wina, oliwy, rozmarynu — i wziąwszy do ręki receptę, otrzymaną od matki, sporządził sobie balsam, namaścił nim rany i sam własnoręcznie odświeżał okłady, nie chcąc korzystać z jakiejkolwiek pomocy lekarskiej. I zapewne dzięki skuteczności balsamu cyganki, a może także dzięki nieobecności jakiegokolwiek medyka, d'Artagnan tego samego jeszcze wieczora stanął już na nogach, a następnego dnia rany jego były prawie zupełnie wygojone.

W chwili jednak uiszczania zapłaty za ten rozmaryn, oliwę i wino (co było jedynym jego osobistym wydatkiem, ponieważ zachowywał najściślejszą djetę, podczas gdy przeciwnie, żółty rumak, jak przynajmniej twierdził oberżysta, zjadał trzy razy tyle, aniżeli ktoś, patrząc na jego tuszę, mógłby logicznie przypuścić) d'Artagnan znalazł w kieszeni tylko swoją małą podartą sakiewkę aksamitną i znajdujące się w niej jedenaście talarów; natomiast list, zaadresowany do pana de Treville, znikł bez śladu.

Młody człowiek począł szukać listu z niezwykłą cierpliwością; po dwadzieścia razy przewracał kieszenie i kieszonki swego ubrania na wszystkie strony, grzebał nieznużenie w swym tobołku podróżnym, otwierał i zamykał sakiewkę. Ale, kiedy wreszcie musiał nabrać przekonania, że nie zdoła odnaleźć listu, po raz trzeci wpadł w szał, co omal nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy z aromatami. Albowiem, gdy młody zapaleniec uniósł się gniewem i począł grozić, że, jeżeli list się nie odnajdzie, potłucze w drobne kawałki wszystko w oberży — oberżysta uzbroił się oszczepem, żona jego chwyciła obsadę miotły, a parobcy te same kije, które poprzedniego dnia były w użyciu.

— Mój list polecający! — krzyczał d'Artagnan, — oddajcie mi mój list polecający, bo inaczej, przysięgam na wszystko, ponadziewam was na szpadę, jak jarząbki.

Na nieszczęście jednak pewna okoliczność uniemożliwiała młodemu człowiekowi wypełnienie tej groźby. Mianowicie, jak

wiemy, podczas poprzedniej walki szpada jego pękła na dwie części, o czem najzupełniej zapomniał. Stąd wynikło, że gdy d'Artagnan zamierzył istotnie dobyć szpady, przekonał się, że jest uzbrojony jedynie odłamkiem klingi, długości ośmiu czy dziesięciu cali, który odłamek oberżysta schował poprzednio skrupulatnie do pochwy, a resztę złamanej klingi zabrał, aby z niej zrobić dla siebie szpikulec.

Jednakże ten zawód nie byłby prawdopodobnie powstrzymał naszego młodego zapaleńca, gdyby oberżysta nie zauważył sam, że pretensja, jaką podniósł jego gość, jest najzupełniej uzasadniona.

— To prawda — rzekł, opuszczając oszczep, — gdzie mógł się podziać ten list?

— Ta, panie! gdzie się podział ten list? — krzyczał d'Artagnan. — Przedewszystkiem uprzedzam pana, że list jest przeznaczony dla pana de Treville i musi się znaleźć; jeżeliby się bowiem nie odnalazł, to sam pan de Treville potrafi już na to zaradzić.

Groźba ta ostatecznie zaniepokoiła oberżystę. Po królu i panu kardynale pan de Treville był człowiekiem, którego nazwisko może najczęściej wspominali zarówno żołnierze, jak mieszczanie. Wprawdzie ojciec Józef żył jeszcze, ale imię jego wymawiano tylko przyciszonym głosem tak wielkim bowiem postrachem przejmowała wszystkich "szara Eminencja", jak poufale nazywano kardynała.

Toteż, odrzuciwszy oszczep daleko od siebie i nakazawszy żonie odrzucić kij od miotły, a parobkom drągi, oberżysta dał sam przykład innym, zabierając się gorliwie do szukania zaginionego listu.

— Czyżby list ten zawierał istotnie coś bardzo ważnego? — zapytał oberżysta po chwili nadaremnych poszukiwań.

— Oczywiście, spodziewam się — krzyczał Gaskończyk, mający nadzieję, że list ten utoruje mu drogę na dwór królewski. — Znajdowała się w nim cała moja fortuna.

— Czy były w nim może obligi hiszpańskie? — pytał oberżysta z zaniepokojeniem.

— Zlecenia do prywatnej szkatuły Jego Królewskiej Mości — odpowiedział d'Artagnan, który, licząc na to, że dzięki tej rekomendacji dostanie się do służby królewskiej, sądził, że, nie

popełniając kłamstwa, może dać tę odpowiedź, nieco ryzykowną.

— Tam do djabła! — jęknął gospodarz, zupełnie zrozpaczony.

— Ale nie o to chodzi — mówił dalej d'Artagnan z pewnością siebie, cechującą południowców, — nie chodzi mi o pieniądze; stokroć ważniejszy był sam list. Wolałbym doprawdy stracić tysiąc pistolów, aniżeli ten list.

Tak samo dobrze mógł był powiedzieć o dwudziestu tysiącach, ale wstrzymała go od tego pewna młodzieńcza skromność.

Nagła myśl zaświtała w mózgu oberżysty, który w duchu klął od wszystkich djabłów, nie mogąc nic znaleźć.

— Ten list nie zginął! — zawołał nagle.

— Aaa! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Nie; list został panu zabrany.

— Zabrany!? Ale przez kogo?

— Przez tego szlachcica, który tu był wczoraj. Schodził do kuchni, gdzie znajdował się pański kaftan; był tam sam jeden. Założyłbym się, że to on go ukradł.

— Tak pan sądzisz? — spytał d'Artagnan, niezupełnie przekonany, gdyż wiedział sam lepiej, niż ktokolwiek inny, że list miał wartość wyłącznie dla niego samego i że nie mógł wskutek tego obudzić niczyjej pożądliwości. W rzeczywistości nikt z pachołków, ani nikt z przejezdnych nie mógł osiągnąć z posiadania listu żadnej zgoła korzyści.

— Twierdzisz pan zatem — ciągnął dalej d'Artagnan, — że posądzasz o kradzież tego bezczelnego szlachcica?

— Mówię to, ponieważ jestem tego najzupełniej pewny — dowodził w dalszym ciągu oberżysta. — Skoro tylko powiedziałem mu, że wasza dostojność jest protegowanym pana de Treville i że posiada list do tego znakomitego męża, zaniepokoił się widocznie, zaczął wypytywać, gdzie się ten list znajduje, i niezwłocznie zeszedł sam do kuchni, wiedząc, że tam leży pański kaftan.

— A zatem on jest tym złodziejem — odparł d'Artagnan. — Poskarżę się panu de Treville, a on zaniesie skargę do króla.

Potem wyjął majestatycznie z kieszeni dwa talary i wręczył je oberżyście, który, trzymając czapkę w ręku, towarzyszył mu aż do drzwi.

Wsiadłszy na swego żółtego konika, młody Gaskończyk dojechał na nim już bez żadnej przygody do bramy Ś-go Antoniego w Paryżu. Tutaj sprzedał konia za trzy talary, co było ceną wcale wysoką, zważywszy, że d'Artagnan pędził go niemiłosiernie podczas ostatniego etapu drogi. Toteż handlarz koni, któremu d'Artagnan odstąpił konia za wspomniane dziewięć liwrów, nie ukrywał wcale, że daje taką cenę tylko z powodu niezwykłej maści rumaka.

D'Artagnan wszedł więc pieszo do Paryża, niosąc pod pachą swój tobołek, i póty chodził po ulicach, aż znalazł do wynajęcia pokoik, odpowiadający szczupłości posiadanych przez niego środków. Pokoik sprawiał wrażenie poddasza, a znajdował się przy ulicy Grabarzy, niedaleko Luksemburga.

Zaraz po uiszczeniu zadatku d'Artagnan objął izbę w posiadanie; resztę dnia poświęcił łataniu kaftana i przyszyciu do spodni galonów, które matka odpruła od prawie nowego kaftana pana d'Artagnana-ojca i które wręczyła mu pokryjomu. Następnie udał się na ulicę Żelazną, aby kupić nową klingę do szpady poczem wrócił do Luwru, by od pierwszego-lepszego muszkietera, spotkanego po drodze, zasięgnąć języka, gdzie znajduje się pałac pana de Treville. Pałac ten stał przy ulicy Starego Gołębnika, a zatem w bezpośredniem sąsiedztwie kwatery, wynajętej przez d'Artagnana; okoliczność tę uważał za dobrą wróżbę dla wyniku swej podróży.

Załatwiwszy to wszystko, zadowolony ze sposobu, w jaki zachował się w Meung, nie doznając wyrzutów sumienia z powodu przeszłości, ufny w chwilę bieżącą i pełen nadziei na przyszłość, położył się do łóżka i zasnął snem sprawiedliwego.

Sen ten, jeszcze o charakterze całkiem parafjańskim, trwał aż do godziny dziewiątej rano, kiedy wreszcie d'Artagnan wstał, aby podążyć do tego sławnego pana de Treville, który, wedle ojcowskiej oceny, był trzecią z rzędu osobistością w państwie.

II.

PRZEDPOKÓJ PANA DE TREVILLE.

Pan de Troisville, jak nazywała się jego rodzina w Gaskonji albo pan de Treville, jak wreszcie sam zaczął się nazywać w Paryżu, rozpoczynał istotnie karjerę tak samo, jak d'Artagnan, to znaczy bez grosza w kieszeni, lecz z tym zapasem odwagi, pomysłowości i rozumu, które sprawiają, że najuboższy szlachetka gaskoński otrzymuje często przez te szanse więcej w spuściźnie po przodkach, aniżeli najbogatszy szlachcic perigordzki lub berriszoński, biorący spadek w rzeczywistości. Jego zuchwałe męstwo, jego szczęście, jeszcze zuchwalsze na owe czasy, kiedy ciosy sypały się jak grad na człowieka, wyniosły go na szczyt tej stromej drabiny, która nazywa się łaską u dworu, a po szczeblach której wstępował odrazu po cztery stopnie.

Był przyjacielem króla, który czcił bardzo, jak powszechnie wiadomo, pamięć swego ojca, Henryka IV. Ojciec pana de Treville służył mu tak wiernie podczas wojen przeciwko Lidze, że król, w braku gotówki — wiadomo, że tej brakowało zawsze Bearneńczykowi, który zwykł był wypłacać wszystkie długi jedyną monetą, jakiej nie potrzebował pożyczać, mianowicie dowcipem — że zatem król, w braku gotówki, upoważnił go, po odzyskaniu Paryża, do wzięcia sobie za herb złotego lwa, kroczącego z dewizą: fidelis et fortis! Był to wielki zaszczyt, lecz średnia dosyć korzyść materjalna. Toteż, gdy znakomity towarzysz wielkiego Henryka IV wyzionął ducha, pozostawił swemu synowi, jako jedyną spuściznę, swoją szpadę i swoją dewizę. Dzięki tej podwójnej spuściźnie i dzięki nazwisku bez skazy, które jej towarzyszyło, pan de Trevile dostał się na dwór młodego księcia, gdzie służył tak dzielnie swą szpadą i gdzie był tak wierny swej dewizie, że Ludwik XIII, jeden z doskonałych szermierzy w państwie, zwykł był mawiać, iż gdyby ktoś z jego przyjaciół miał mieć rozprawę z bronią w ręku, to doradziłby

mu wzięcie na świadka przedewszystkiem siebie samego, a potem Treville'a, a może nawet Treville'a w pierwszym rzędzie.

Tak więc Ludwik XIII żywił rzeczywiste przywiązanie do Treville'a, przywiązanie królewskie, przywiązanie samolubne, to prawda, lecz mimoto było ono przywiązaniem istotnem. W owe nieszczęśliwe czasy starano się otaczać ludźmi o charakterze Treville'a. Niejeden człowiek mógł otrzymać przydomek: dzielny, co było drugą częścią dewizy panów de Treville; ale niewiele tylko szlachty mogło sobie było rościć prawo do przydomku: wierny, który w tej dewizie stał na pierwszem miejscu. Treville należał do tych ostatnich; była to wyjątkowa organizacja, z inteligencją posłuszną, jak u wiernego psa, z odwagą ślepą, okiem bystrem, ręką skorą do czynu; mogło się wydawać, że posiada wzrok tylko poto, aby baczyć, czy król nie jest niezadowolony z kogośkolwiek, a rękę na to, aby ugodzić tego sprawiającego niezadowolenie, choćby nim był Besme, czy Maurevers, czy Poltrot de Mere, czy Vitry. Zresztą nigdy aż do tej chwili nie brakowało Treville'owi sposobności; czyhał na nią i zawsze obiecywał sobie pochwycić ją, choćby za trzy włoski, gdyby tylko nawinęła się pod rękę. Więc Ludwik XIII zamianował z tego powodu pana de Treville kapitanem muszkieterów, którzy dzięki swemu oddaniu, a raczej nawet fanatyzmowi, stali się dla Ludwika XIII tem samem, czem przyboczna straż dla Henryka III, a gwardja szkocka dla Ludwika XI.

Ze swej strony i kardynał nie chciał pod tym względem ustępować królowi. Gdy ujrzał groźny, doborowy orszak, jakim król się otoczył, zapragnął również i on także, drugi, a może nawet i pierwszy władca Francji, mieć swoją gwardję. Utworzył więc swój własny zastęp muszkieterów, podobnie jak Ludwik XIII, i odtąd dwie te potęgi rywalizowały z sobą, aby zaciągnąć do swojej służby wszystkich ludzi, sławnych dzielnością szabli, zarówno z prowincyj francuskich, jak z państw zagranicznych. Kardynał Richelieu i Ludwik XIII rozprawiali też często wieczorami, grając partję szachów, o zaletach swoich żołnierzyków. Każdy z nich wychwalał postawę i dzielność swoich podwładnych, a chociaż obaj potępiali głośno pojedynki i burdy, po cichu sami podniecali do starć i odczuwali prawdziwy żal lub nieposkromioną radość wobec porażki lub zwycięstwa swoich żołnierzy. Tak przynajmniej głoszą nam pa-

miętniki człowieka, który sam uczestniczył w kilku z tych porażek i w wielu bardzo z tych zwycięstw.

Treville poznał słabostkę swego władcy i temu to właśnie zawdzięczał, że cieszył się tak długo niezmienną łaską króla, który nie zapisał się w pamięci ludzkiej, jako zbyt wierny w swych przyjaźniach. Z chytrą miną przeprowadzał w paradzie swoich muszkieterów przed oczyma kardynała Armanda Duplessisa, co powodowało zawsze gniewne nastroszenie się szarych wąsów Jego Eminencji. Treville pojmował doskonale ducha tej epoki, kiedy, o ile nie żyło się kosztem wroga, to żyło się kosztem własnych rodaków; żołnierze jego tworzyli legjon djabłów, niekarnych i nieposłusznych nikomu, prócz niego samego.

Potargani, podpici, pokiereszowani muszkieterowie królewscy, a raczej muszkieterowie pana de Treville, włóczyli się po szynkowniach, po miejscach przechadzki, po zabawach publicznych, hałasując głośno, podkręcając z fantazją wąsa, pobrzękując szpadą, potrącając z przyjemnością żołnierzy z gwardji pana kardynała, skoro tylko napotkali gdzie któregoś z nich. Niejednokrotnie dobywali szpady na środku ulicy, nie szczędząc przytem tysiącznych żarcików; niekiedy padali trupem w walkach, mając jednakże pewność, że w takim wypadku będą opłakiwani i pomszczeni; często sami kładli trupem przeciwników, mając i w takim razie pewność, że nie zgniją w więziennym lochu, bo istniał przecież jeszcze pan de Treville, który zawsze upominał się o swoich zuchów. Toteż na wszystkie tony wychwalali pana de Treville jego podwładni, uwielbiali go i, chociaż w istocie byli skończonymi hultajami, drżeli przed nim, jak żak przed nauczycielem byli posłuszni każdemu jego słowu i każdy z nich był gotów na śmierć, byleby się oczyścić w jego oczach z najmniejszego choćby zarzutu.

Pan de Treville posługiwał się tą potężną dźwignią przedewszystkiem w interesie króla i jego stronników, — następnie w interesie swoim własnym i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z pamiętników, pochodzących z owej epoki, z której pozostało tyle wspomnień, nie znajdujemy ani jednej skargi przeciwko temu zacnemu szlachcicowi, ani jednego zarzutu, nawet ze strony jego wrogów; miał ich zaś pan de Treville niemało, zarówno wśród ludzi pióra, jak szpady. Nikt z tych pamiętnikarzy — powtarzamy — nie podniósł nigdy zarzutu, aby ten zacny szlachcic nadużył kiedyś ślepego przywiązania swoich pod-

władnych muszkieterów. Mimo, że posiadał genjalną zdolność do intrygowania, nie ustępując pod tym względem największym owoczesnym intrygantom, pozostał uczciwym człowiekiem. Co więcej, mimo odniesionych ran, które oszpecają, mimo nużących ćwiczeń fizycznych, był jednym z największych donżuanów, jednym z najwytworniejszych strojnisiów, jednym z najbardziej odznaczających się wyszukaną rozmową bawidamków owej epoki; mówiono o triumfach miłosnych pana de Treville w ten sam sposób, jak na dwadzieścia lat przedtem o powodzeniach Bassompierre'a, co chyba niemałem było uznaniem. Podziwiano więc dowódcę muszkieterów, lękano się go i kochano; słowem — posiadł wszystko, co jest szczytem powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV gasił wszystkie drobne gwiazdy swego dworu promieniami własnej jasności; natomiast ojciec jego, słońce pluribus impar, pozostawiał blask osobisty każdemu z swych ulubieńców, nie krępował osobistego znaczenia nikogo ze swoich dworaków. Oprócz przyjęć u króla i kardynała, istniało na owe czasy w Paryżu około dwustu małych kółek, bardzo przez szlachtę poszukiwanych. Z pośród nich najbardziej ubiegano się o zaproszenie na przyjęcie u pana de Treville.

Dziedziniec jego pałacu, znajdującego się przy ulicy Starego Gołębnika, sprawiał wrażenie obozu, i to latem już od godziny szóstej rano, a zimą od godziny ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkieterów, luzujących się ciągle, jakby dlatego, by zawsze prezentować się w imponującej liczbie, kręciło się bez przerwy po dziedzińcu w pełnem uzbrojeniu, gotowych na wszystko. Po wielkich schodach, na miejscu których nasza cywilizacja zbudowałaby dom cały, wchodzili i schodzili petenci z Paryża, przybywający z prośbą o jakąś łaskę, szła szlachta z prowincji, pragnąca zaciągnąć się do szeregów, kręcili się lokaje w najrozmaitszych liberjach, przynoszący panu de Treville listy od swoich panów. W przedpokoju na ławach, umieszczonych wzdłuż ścian, zasiadali wybrani, to znaczy ci, którzy zostali wezwani. Od rana do wieczora panował tam gwar, podczas gdy równocześnie pan de Treville w swym gabinecie, przylegającym do przedpokoju, przyjmował przybywających w odwiedziny, wysłuchiwał skarg, wydawał rozkazy; i wystarczało mu podejść do okna, by stamtąd, podobnie jak król z balkonu w Luwrze, odbyć przegląd ludzi i broni.

W dniu, kiedy przybył tam d'Artagnan, liczba zebranych by-

ła imponująca, zwłaszcza dla człowieka przyjeżdżającego z prowincji .Chociaż, co prawda, nie można zapominać, że ten mieszkaniec prowincji był Gaskończykiem i że w owe czasy zwłaszcza rodacy d'Artagnana cieszyli się opinją, iż niełatwo przy byle czem tracą fantazję, — lecz tutaj istotnie, zaraz po przejściu przez ciężką bramę, całą nabijaną wielkimi gwoździami o kwadratowych głowach, wpadało się w sam środek zastępu zbrojnych, którzy uwijali się po dziedzińcu, rozmawiając z sobą, sprzeczając się i zabawiając wzajemnie. Aby utorować sobie przejście przez środek tych wirujących, ruchliwych fal, trzeba było być bądź oficerem, bądź wielkim panem, bądź wreszcie piękną kobietą.

Otóż przez środek tej ciżby i chaosu przedzierał się nasz młody człowiek, z drżeniem serca przyciskając swą długą szpadę do chudych nóg, podniósłszy rękę do czapki, uśmiechając się uśmiechem człowieka z prowincji, który jest zakłopotany, lecz pragnie okazać pewność siebie. Skoro przecisnął się przez jakąś gromadkę, oddychał swobodniej; lecz czuł, że odwracano się, aby go obejrzeć. I poraz pierwszy w życiu d'Artagnan, który aż dotąd dobre miał o sobie mniemanie, począł sam sobie wydawać się śmiesznym.

Jeszcze gorzej było, gdy doszedł do schodów. Na pierwszych stopniach stało czterech muszkieterów, zabawiając się ćwiczeniem niżej opisanem; dziesięciu czy dwunastu ich towarzyszy oczekiwało na terasie między schodami na chwilę, kiedy na nich przyjdzie kolej wziąć udział w spotkaniu.

Jeden z nich, stojący na wyższym stopniu z obnażoną szpadą w ręku, przeszkadzał, a raczej usiłował przeszkodzić trzem innym wejść na schody.

Tamci trzej nacierali na niego bardzo energicznie. D'Artagnan sądził zrazu, że walka odbywa się na florety, zaopatrzone gałkami; niebawem jednak spostrzegłszy kilka zadanych ran, przekonał się, że jest to broń śpiczasta i doskonale wyostrzona; na widok każdej rany nie tylko przyglądający się, ale i sami biorący udział w starciu, wybuchali szalonym śmiechem.

Muszkieter, stojący na wyższym stopniu, z zadziwiającą zręcznością trzymał w szachu swych przeciwników. Otoczono ich kołem; warunkiem gry było, że po każdym zadany ciosie zraniony ustępował z gry, tracąc swoje prawo udziału na korzyść tego, kto go zadrasnął. W ciągu pięciu minut obrońca schodów

drasnął trzech towarzyszy: jednego w palec, drugiego w podbródek, ostatniego w ucho, sam natomiast nie odniósł wcale szwanku; dzięki temu, zgodnie z przyjętymi warunkami, zyskał prawo do nowych trzech starć.

Jakkolwiek nie chciał się dziwić byle czemu, młody nasz podróżnik nie mógł powstrzymać zdumienia na widok tych zapasów; widywał wprawdzie na prowincji, w tym kraju, gdzie głowy zapalają się tak łatwo, niejedne ćwiczenia szermiercze, ale gaskonada tych czterech zapaśników wydała mu się najdoskonalszem ze wszystkiego, o czem dotychczas słyszał, nawet w Gaskonji. Zdawało mu się, że znalazł się w owym bajecznym kraju olbrzymów, gdzie dostał się Guliwer w swych wędrówkach i który przejmował go tak wielkim strachem. A jednak nie stanął jeszcze u kresu, — musiał przejść jeszcze przez terasę schodową i przez przedpokój.

Na terasie nie walczono wcale, natomiast opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś historyjki dworskie. Gdy d'Artagnan stanął na terasie, twarz jego pokryła się rumieńcem; w przedpokoju dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Wyobraźnia jego, podbudzona i nieokiełznana, dzięki której bywał w Gaskonji postrachem dla młodych pokojowych, a niekiedy i dla młodych ich pań, nawet w tych chwilach szału nie śniła ani o połowie podobnych nadzwyczajnych miłostek i ani o czwartej części tego rodzaju przygód miłosnych, których efekt potęgowało tu jeszcze wymienianie najbardziej znanych nazwisk i nie osłanianie szczegółów żadną tajemnicą. Lecz, o ile na terasie została zadraśnięta jego miłość obyczajności, o tyle w przedpokoju szacunek jego dla kardynała został wprost wstrząśnięty w posadach. Tam bowiem, ku niesłychanemu zdumieniu, d'Artagnan usłyszał całkiem głośną krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, — usłyszał, jak krytykowano prywatne życie kardynała, za rozstrząsanie którego tylu wielkich i możnych panów poniosło kary; sławny ten człowiek, czczony, tak przez pana d'Artagnana-ojca, był przedmiotem pośmiewiska dla muszkieterów pana de Treville, który wyszydzali jego płaskowate nogi i przygarbione plecy, z których jedni śpiewali piosenki o pani d'Aiguillon, jego kochance, i o pani de Combalet, jego siostrzenicy, podczas gdy inni zmawiali się przeciwko paziom i gwardzistom księcia-kardynała. Wszystko to razem

wydawało się d'Artagnanowi wprost niemożliwą potwornością.

Jednakże, gdy niekiedy imię króla padło niespodzianie wśród gadań o kardynale, jakby knebel jakiś krępował na chwilę wszystkie te drwiące usta: rozmawiający z wahaniem rozglądali się dokoła; można było sądzić, że obawiają się niedyskrecji ściany, dzielącej ich od gabinetu pana de Treville; ale niebawem jakaś aluzja znowu kierowała rozmowę na Jego Eminencję, i znowu rozbrzmiewały śmiechy, jak poprzednio; nie szczędzono oświetlenia żadnemu z jego uczynków.

— Niezawodnie wszyscy ci ludzie dostaną się do więzienia i będą powieszeni — myślał d'Artagnan z przerażeniem, — a niema wątpliwości, że i ja podzielę ich los, będę bowiem uważany za ich wspólnika od chwili, kiedy zacząłem się przysłuchiwać ich rozmowie. Cóżby powiedział ojciec jegomość, który zalecał mi tak wielki szacunek dla kardynała, gdyby usłyszał, że znajduję się w takiej pogańskiej kompanji.

Nie trzeba oczywiście mówić, że d'Artagnan nie ośmielał się mieszać do rozmowy; natomiast otwierał jaknajszerzej oczy, nastawiał uszy, jak mógł najlepiej, wytężał chciwie wszystkie pięć zmysłów, aby nic nie utracić. I pomimo ufności w porady ojcowskie, czuł, że zamiłowania i instynkty pociągają go raczej, by pochwalał, niż ganił, te niesłychane rzeczy, które się działy koło niego.

Tymczasem, ponieważ osoba jego była zupełnie obca tłumowi dworzan pana de Treville i ponieważ dopiero pierwszy raz widziano go w tem miejscu, ktoś podszedł ku niemu, zapytując, czego sobie życzy. Usłyszawszy to zapytanie d'Artagnan wymienił pokornie swoje nazwisko, powołał się na tytuł współrodaka i poprosił pokojowca, który właśnie go zagadnął, aby wystarał się dla niego o krótkie posłuchanie u pana de Treville, co pokojowiec przyrzekł uczynić w stosownym czasie, odpowiadając d'Artagnanowi protektorskim tonem.

D'Artagnan, ochłonąwszy nieco z pierwszego oszołomienia skorzystał teraz z wolnego czasu, aby obserwować potrosze ubiory i otaczające go twarze.

Punktem środkowym gromadki najbardziej ożywionej był tęgi muszkieter, o wyniosłej postawie i w stroju tak dziwacznym, że zwracał nim na siebie powszechną uwagę. Nie miał na sobie w tej chwili mundurowego płaszcza, którego używanie nie było

zresztą bezwarunkowo obowiązujące w tej epoce, nacechowanej nietyle wolnością, ile bardzo wielką niezależnością. Był ubrany w kaftanik błękitny, nieco wyblakły i wytarty; na szacie tej wisiała wspaniała szarfa, haftowana złotem, które rozbłyskiwało, jak łuski, kładące się na falach wody w promieniach słonecznych. Długi płaszcz z purpurowego aksamitu spadał mu z wdziękiem z ramion, odsłaniając z przodu błyszczącą szarfę, przy której zwisał rapier olbrzymich rozmiarów.

Muszkieter ten powracał właśnie z warty; skarżył się, że jest zaziębiony, i od czasu do czasu pokaszliwał z przesadą; dlatego też okrył się płaszczem, jak rozgłaszał dokoła. Kiedy zaś opowiadał to z wyniosłą miną, dumnie podkręcając wąsa, otaczający go podziwiali z zachwytem haftowawą szarfę. D'Artagnan podziwiał ją bardziej, aniżeli inni.

— Cóż chcecie — mówił muszkieter; — taka moda nastaje. Wiem dobrze, że to głupstwo, ale moda tak nakazuje. Zresztą trzeba przecież wydać na coś pieniądze, otrzymane z rodzinnej schedy.

— Ach, Portosie! — zawołał jeden z towarzyszy. — Nie będziesz chyba usiłował wmówić w nas, że zawdzięczasz tę szarfę wspaniałomyślności rodzicielskiej. Otrzymałeś ją od tej zawoalowanej damy, z którą widziałem cię ubiegłej niedzieli w pobliżu bramy Świętego Honorjusza.

— Nie, na honor! daję słowo szlacheckie, że kupiłem ją sam, za moje własne pieniądze — odpowiedział tamten, którego określono imieniem Portosa.

— Tak samo, jak ja kupiłem tę nową kieskę — odezwał się inny z muszkieterów — za pieniądze, jakie kochanka włożyła mi do starej sakiewki.

— Mówię prawdę — odparł Portos, — a dowodem tego niech będzie, że zapłaciłem za nią dwanaście pistolów.

Podziw podwoił się, jakkolwiek wątpliwości nie zostały bynajmniej usunięte.

— Czyż nie prawda, Aramisie? — pytał Portos, zwracając się do innego z muszkieterów.

Muszkieter ten był zupełnem przeciwieństwem tego, który go zagadnął i który ozwał się do niego imieniem Aramisa. Był to młody człowiek, mogący liczyć zaledwie dwadzieścia dwa lub dwadzieścia trzy lat życia, postawy naiwnej i łagodnej, o oczach czarnych, słodko spoglądających, o twarzy różowej, pokrytej pu-

szkiem, jak brzoskwinia w jesieni. Drobny wąsik, pokrywający górną wargę, tworzył linję najzupełniej regularną; wydawało się, że obawia się opuszczać ręce, aby żyły na nich nie nabrzmiały; kiedy-niekiedy szczypał się w koniuszki uszu, aby utrzymać ich przejrzystą i łagodną karnację. Z przyzwyczajenia mówił mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się cicho, pokazując przytem zęby, które były bardzo ładne, a o które dbał, jak się zdawało, tak samo troskliwie, jak i o całą swoją osobę.

Na zapytanie przyjaciela odpowiedział potakującem skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak — możnaby sądzić — jeszcze bardziej umocniło wszystkie powątpiewania co do szarfy; nie zaprzestano jej podziwiać, natomiast nie mówiono o niej więcej. A jednym z tych nagłych zwrotów myślowych rozmowa przeszła niebawem na inny temat.

— Cóż sądzicie o opowiadaniu koniuszego pana de Chalais? — zapytał inny z muszkieterów, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo, lecz zadając pytanie wszystkim obecnym.

— A o czemże to on opowiada? — pytał Portos zarozumiałym tonem.

— Mówi, że spotkał w Brukseli Rocheforta, to indywiduum zaprzedane duszą kardynałowi, i że spotkał go w przebraniu kapucyna. Dzięki temu przebraniu niegodziwy Rochefort miał wyprowadzić w pole pana de Laigues, jak głupca, którym też jest w istocie.

— Jak prawdziwego głupca — wtrącił Portos. — Ale czy to pewna wiadomość?

— Dowiedziałem się o tem od Aramisa — odparł muszkieter.

— Doprawdy?

— Ech wiesz o tem bardzo dobrze — rzekł Aramis. — Wszakże sam opowiadałem ci to wczoraj, Portosie. Niema o czem mówić.

— Niema o czem mówić, oto twoje przekonanie — odezwał się Portos. — Niema o czem mówić! Tam do djabła, jak ty się szybko załatwiasz ze wszystkiem. Jakto!? Więc kardynał każe szpiegować jakiegoś szlachcica, każe temu zdrajcy, brygantowi, wisielcowi ukraść jego korespondencję, z pomocą tego zdrajcy i dzięki tej przejętej korespondenci każe ściąć głowę panu de Chalais pod głupim pretekstem, że zamierzał zamordować króla i ożenić królową z bratem królewskim! Nikt nie rozumiał ani

trochę tej zagadki; ty odkrywasz nam wczoraj tajemnicę, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich, a gdy nie możemy jeszcze ochłonąć ze zdumienia z powodu tej nowiny, powiadasz nam dzisiaj: niema o czem mówić.

— Mówmy zatem, dopóki będziesz sobie życzył — odpowiedział Aramis z cierpliwością.

— O, gdybym był koniuszym tego biednego pana de Chalais — krzyczał Portos, — ten Rochefort miałby ze mną ciężką chwilę do przebycia.

— I naraziłbyś się na przebycie smutnej chwili z Czerwonym księciem — odparł Aramis.

— Ach! Czerwony książę! świetnie, świetnie, Czerwony książę! — zawołał Portos, klaszcząc w ręce i przytwierdzając ruchem głowy. — Pyszny jest ten Czerwony książę. Puszczę w obieg to wyrażenie, mój drogi; bądź o to spokojny. Ten Aramis miewa doskonałe koncepty. Prawdziwe nieszczęście, że nie usłuchałeś głosu powołania, mój drogi! jakim rozkosznym byłbyś klechą!

— Och! jest to tylko chwilowe odwleczenie urzeczywistnienia moich projektów — odparł Aramis. — Pewnego dnia zostanę wyświęcony na księdza; wiesz o tem dobrze, Portosie, że nie przerywam studjów teologicznych.

— Zostanie księdzem, jak twierdzi — przerwał Portos. — Zostanie wcześniej, czy później.

— Wcześniej, niż sądzisz — rzekł Aramis.

— Czeka tylko na jedno, aby ostatecznie zdecydować się na obleczenie sutanny, która wisi pod jego płaszczem żołnierskim — odezwał się jeden z muszkieterów.

— Na cóż więc czeka? — pytał inny.

— Na to, by królowa obdarzyła spadkobiercą koronę francuską.

— Nie żartujmy na ten temat, moi panowie — oświadczył Portos. — Dzięki Bogu, królowa jest jeszcze w tym wieku, że może dać Francji potomka.

— Mówią, że książę Buckingham bawi we Francji — odezwał się Aramis z chytrym uśmiechem, który nadał tym słowom, tak prostym na pozór, znaczenie niewątpliwie skandaliczne.

— Aramisie, mój przyjacielu, tym razem się mylisz — przerwał mu Portos; — żyłka dowcipkowania unosi cię zawsze poza dozwolone granice. I gdyby pan de Treville usłyszał twoje sło-

wa, pożałowałbyś bardzo tego, co mówisz.

— Cóż to, Portosie! chcesz mi dawać nauki? — zakrzyknął Aramis, w którego łagodnem spojrzeniu przemknęła jakby błyskawica.

— Mój drogi, bądź muszkieterem albo księdzem. Bądź jednym albo drugim, ale nigdy jednym i drugim — odpowiedział Portos. — Powtórzę ci to, co ci jeszcze kiedyś powiedział Atos: chcesz jeść z wszystkich żłobków! Ach! nie gniewaj się, proszę cię bardzo; byłoby to bezcelowe, bo wiesz przecie dobrze, jaka jest umowa między tobą, Atosem i mną. Chodzisz zatem do pani d'Aiguillon i umizgasz się do niej; chodzisz do pani de Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse, i starasz się podobno bardzo pozyskać względy tej pani. Och! na Boga, nie przyznawaj się do swego szczęścia; nie pragniemy poznać twoich tajemnic; znamy dobrze twoją dyskrecję. Ale skoro posiadasz tę zaletę, tam do djabła! to powinieneś także robić z niej użytek i w stosunku do Jej Królewskiej Mości. Królem i kardynałem zajmuje się, kto chce, i gada o nich, jak mu się podoba; ale królowa jest święta i jeżeli się mówi o niej, to wolno mówić tylko dobrze.

— Portosie, jesteś zarozumiały, jak Narcyz; ostrzegam cię — odpowiedział Aramis. — Wiesz, że nienawidzę morałów, chyba, że mówi mi je Atos. Co zaś ciebie się tyczy, masz zbyt wspaniałą szarfę, abyś mógł być dość tęgi w moralizatorstwie. Będę księdzem, jeżeli mi się tak spodoba; w oczekiwaniu na to jestem muszkieterem i w tej roli mówię wszystko, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się oświadczyć ci, że mnie niecierpliwisz.

— Aramisie!

— Portosie!

— Panowie! panowie! — zaczęto wołać z wszystkich stron.

— Pan de Treville oczekuje pana d'Artagnan — przerwał pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na dźwięk tego wezwania wszyscy zamilkli i wśród ogólnego milczenia młody Gaskończyk przeszedł przez przedpokój w całej jego długości i wkroczył do gabinetu kapitana muszkieterów, radując się z całego serca, że w samą porę uniknął końca tej tak osobliwej sprzeczki.

III.

POSŁUCHANIE.

Pan de Treville był w tej chwili w bardzo złym humorze, mimoto jednak pozdrowił uprzejmie młodego człowieka, który ukłonił mu się aż do ziemi, i z uśmiechem słuchał jego powitalnych słów, których akcent bearneński przypomniał mu własną młodość i kraj rodzinny — dwa wspomnienia, miłe dla człowieka w każdym okresie życia. Ale, zbliżając się prawie jednocześnie do przedpokoju i dając d'Artagnanowi znak ruchem ręki, jakgdyby prosząc go o pozwolenie załatwienia się najpierw z innymi, zanim z nim wda się w rozmowę, zakrzyknął trzykrotnie, za każdym razem wzmagając siłę głosu i przechodząc kolejno całą skalę od tonu rozkazującego aż do tonu rozgniewanego:

— Atos! Aramis! Portos!

Dwaj muszkieterowie, z którymi zawarliśmy już znajomość, a którzy nosili dwa ostatnie z wymienionych trzech nazwisk, wysunęli się natychmiast z gromadki, gdzie się zabawiali, i posunęli się ku gabinetowi, którego drzwi zamknęły się zaraz za nimi, skoro tylko przestąpili próg. Ich przytomność umysłu, chociaż nie wydawali się zbyt pewni siebie, ich postawa, pełna godności i uszanowania, zachwyciły d'Artagnana, który spoglądał na nich, jak na półbogów, a na ich dowódzcę, jak na Jowisza olimpijskiego, uzbrojonego wszystkimi piorunami.

Kiedy obaj muszkieterowie weszli już do pokoju i drzwi zamknęły się za nimi, kiedy hałaśliwy szmer w przedpokoju, który podsyciło nowym tematem dokonane wezwanie, wszczął się na nowo, kiedy wreszcie pan de Treville w milczeniu i ze zmarszczonemi brwiami przemierzył krokami dwa lub trzykrotnie całą długość swego gabinetu, przystając za każdym razem przed Portosem i Aramisem, którzy stali wyprężeni i niemi, jak na paradzie wojskowej, — nagle zatrzymał się wprost naprzeciw nich

i mierząc ich od stóp do głowy rozgniewanem spojrzeniem, zawołał:

— Czy wiecie, co mi powiedział król jegomość, i to nie dawniej, jak wczoraj wieczorem? Czy wiecie, moi panowie?

— Nie —odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkieterowie. — Nie, panie, nie wiemy.

— Lecz mamy nadzieję, że uczynisz nam pan ten zaszczyt i zawiadomisz nas o tem — odpowiedział Aramis swym najuprzejmniejszym tonem i z najwdzięczniejszym ukłonem.

— Król oświadczył mi, że na przyszłość będzie rekrutował swoich muszkieterów z pośród gwardji pana kardynała!

— Z pośród gwardji pana kardynała? A dlaczegoż to? — zapytał z ożywieniem Portos.

— Ponieważ się przekonał, że jego kiepska lura musi być poprawiona domieszką dobrego wina.

Obaj muszkieterowie zaczerwienili się ze wstydu, aż po białka oczu. D'Artagnan nie wiedział nic zgoła, co to ma znaczyć, lecz mimoto pragnął znajdować się w tej chwili na sto stóp pod ziemią.

— Tak, tak — ciągnął dalej pan de Treville z coraz większem uniesieniem, — i Jego Królewska Mość ma najzupełniejszą rację, gdyż, na honor, prawdą jest, że muszkieterowie przedstawiają się na dworze bardzo smutno. Pan kardynał wczoraj podczas gry z królem opowiadał z miną pełną współczucia, która mi się bardzo nie podobała, że onegdaj ci przeklęci muszkieterowie, te djabły — słowa te podkreślił z ironicznym akcentem, co mi sprawiło jeszcze większą przykrość — te zabijaki — dodał, spoglądając na mnie kocio-tygrysiem okiem — zasiedzieli się w szynkowni przy ulicy Ferou i że patrol jego gwardzistów — myślałem, że, mówiąc to, roześmieje mi się w sam nos — że więc patrol jego gwardzistów zaaresztował zakłócających spokój. Do djabła! musicie coś wiedzieć o tem. Zaaresztować muszkieterów! Byliście tam i wy także; nie próbujcie się bronić..... poznano was; kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tem wina, niewątpliwie moja wina, ponieważ wybór moich ludzi odemnie zależy. I otóż, Aramisie, dlaczegóż prosiłeś mnie o mundur żołnierski, skoro tak dobrze byłoby ci w sutannie? I otóż, Portosie, czy nie poto masz tę piękną szarfę, aby przywiesić na niej pałasik słomiany? A Atos!? nie widzę Atosa. Cóż się z nim dzieje?

— Panie — odparł smutnie Aramis, — Atos jest chory, bardzo chory.

— Chory, bardzo chory, powiadacie? A jakaż to jest choroba?

— Obawiają się, czy to nie ospa, kapitanie — odpowiedział Portos, który pragnął również wtrącić się jakiemś słówkiem do rozmowy, będąc markotnym, co niewątpliwie szpeciło rysy jego twarzy.

— Ospa?! Oto jeszcze jedna miła historja, jaką mi opowiadasz, Portosie! Zachorował na ospę w tym wieku?.... Nie, nie!... jest pewnie raniony, a może zabity... Ach, gdybym to wiedział!... Na rany boskie, panowie muszkieterowie, ciągle dowiaduję się tylko o tem, że uczęszczacie do miejsc, mających podejrzaną reputację, że wszczynacie burdy na ulicach, że pojedynkujecie się po zaułkach. Nie chcę, abyście nareszcie stali się pośmiewiskiem dla gwardzistów pana kardynała, którzy są porządnymi ludźmi, spokojnymi i odważnymi, którzy nie narażają się na to, aby ich musiano aresztować, i którzy zresztą nie pozwoliliby się zaaresztować, jestem tego pewny... Woleliby raczej umrzeć na miejscu, aniżeli ustąpić choćby krok jeden... Ratować życie, podawać tył nieprzyjacielowi, uciekać.... to godne tylko muszkieterów królewskich. Ot, co jest!

Portos i Aramis trzęśli się z wściekłości. Byliby chętnie zadusili pana de Treville, gdyby nie czuli w głębi duszy, że właśnie wielka miłość, jaką dla nich żywił, kazała mu tak mówić. Gnietli nogami leżący na ziemi kobierzec, zagryzali wargi aż do krwi i z całej siły cisnęli w dłoniach rękojeści szpad.

Znajdujący się w przedpokoju słyszeli, jak pan de Treville wołał Atosa, Portosa i Aramisa, odgadli łatwo z akcentu jego głosu, że jest strasznie rozgniewany. Dziesięć ciekawych głów przycisnęło się do obicia ściany i bladło z wściekłości; uszy ich, przylepione do drzwi, nie straciły ani jednej zgłoski z tego, co mówił pan de Treville, podczas gdy usta powtarzały, jedno po drugiem, wszystkie obelżywe słowa kapitana innym zgromadzonym w przedpokoju. I w jednej chwili cały pałac zawrzał, zacząwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, wiodącej na ulicę.

— Ach! muszkieterowie królewscy pozwalają się aresztować gwardzistom pana kardynała! — mówił dalej pan de Treville, szalejąc wewnątrz pokoju taksamo, jak jego żołnierze na zewnątrz, lecz szarpiąc swemi słowy i zatapiając je, możnaby powiedzieć, jedno po drugiem w piersiach swych słuchaczy. —

Ach! sześciu gwardzistów Jego Eminancji aresztuje sześciu muszkieterów Jego Królewskiej Mości! Tam do djabła! już się namyśliłem. Idę natychmiast do Luwru, podaję się do dymisji, jako kapitan muszkieterów, i proszę, aby mnie zamianowano oficerem gwardji kardynała. A jeżeli nie przyjmą mej prośby, do licha, zostanę księdzem.

Słowa te przemieniły szmer, rozlegający się zewnątrz, w zupełny wybuch; zewsząd słychać było tylko przekleństwa i złorzeczenia. Okrzyki: Niech djabli porwą! — Na rany boskie! — Do wszystkich djabłów! — krzyżowały się w powietrzu. D'Artagnan szukał oczyma jakiegoś obicia, poza którem mógłby się ukryć, i miał nieprzepartą ochotę wleźć pod stół.

— Więc tak, kapitanie — zawołał Portos, nie panując już nad sobą, — prawdą jest, że było nas sześciu przeciwko sześciu; ale zostaliśmy napadnięci zdradziecko i, zanim zdążyliśmy wydobyć szpady z pochew, już dwóch naszych ludzi padło zabitych, Atos zaś odniósł tak ciężkię ranę, że nie więcej był wart od nich. Przecież znasz pan dobrze Atosa, kapitanie; tak jest: dwa razy usiłował się podnieść i dwa razy padał bez sił na ziemię. I bynajmniej nie poddaliśmy się, lecz ujęto nas siłą. Po drodze udało się nam ocalić z rąk wroga. O Atosie myślano, że zginął, i pozostawiono go w spokoju na polu walki, nie bacząc na to ,że zasługiwałby na trud zabrania go. Oto tak się przedstawia cała sprawa. Ale, do djabła, kapitanie, nie wygrywa się wszystkich bitew. Wielki Pompejusz przegrał bitwę pod Farsalą, a król Franciszek I, który, jak mi opowiadano, nie był wcale gorszy od niego, przegrał mimoto bitwę pod Pawią.

— A ja mam zaszczyt zapewnić pana kapitana, że jednego z wrogów zabiłem jego własną szpadą — rzekł Aramis, — ponieważ moja pękła zaraz w pierwszem natarciu. Zabiłem czy zasztyletowałem, jak się panu podoba.

—Nie wiedziałem tego — odparł pan de Treville tonem nieco łagodniejszym. — Jak z tego widzę pan kardynał przesadzał,

— Ale zmiłuj się pan, kapitanie— ciągnął dalej Aramis, który, widząc, że kapitan się uspokoił, odważył się wystąpić z prośbą, — zmiłuj się pan i nie mów, że wiesz o zranieniu Atosa; byłby bowiem zrozpaczony, gdyby ta wiadomość doszła do królewskich uszu; a ponieważ rana jest jedną z najcięższych, albowiem, przebiwszy ramię, dosięgła aż do piersi, możnaby się zatem obawiać.....

W tej samej chwili podniosła się zasłona przy drzwiach, a z pod frendzli ukazała się głowa szlachetna i piękna, lecz przeraźliwie blada.

— Atos! — wykrzyknęli obaj muszkieterzy.

— Atos! — powtórzył sam pan de Treville.

— Wzywałeś mnie pan — rzekł Atos do pana de Trevjlle głosem osłabłym, lecz najzupełniej spokojnym, — wzywałeś mnie pan, jak mi donieśli towarzysze, więc spieszę się stawić na rozkazy. Oto jestem; czego żądasz, kapitanie?

Mówiąc te słowa, muszkieter w nienagannej podstawie, ubrany wedle przepisu wszedł pewnym krokiem do gabinetu. Pan de Treville wzruszony do głębi tym dowodem dzielności, pospieszył naprzeciw niego.

— Zacząłem właśnie dowodzić tym panom — odezwał się, — że zabraniam moim muszkieterom narażać życie bez potrzeby, ponieważ dzielni ci wojacy są drogimi dla króla; król wie bowiem, że jego muszkieterowie są najdzielniejszymi ludźmi na świecie. Podaj mi rękę, Atosie.

I nie czekając, aż nowoprzybyły odpowie sam na ten dowód uczucia, pan de Treville uchwycił jego prawą rękę i uścisnął ją z całej siły, nie spostrzegłszy, że Atos, mimo całego panowania nad sobą drgnął z bólu i pobladł jeszcze bardziej, jakkolwiek wydawaćby się to mogło niemal niemożliwością.

Drzwi pozostały napół otwarte, — taki podziw wywołało przybycie Atosa, o którego ranie wiedzieli wszyscy, mimo, że utrzymywano ją w tajemnicy. Szmer zadowolenia powitał ostatnie słowa kapitana; dwie czy trzy głowy, porwane entuzjazmem, ukazały się przez uchyloną zasłonę. Pan de Treville byłby niewątpliwie skarcił energicznemi słowy to wykroczenie przeciwko prawom etykiety, gdyby nie to, że w tej samej chwili uczuł, iż ręka Atosa zaciska się kurczowo w jego dłoni, i spostrzegł, spojrzawszy na niego, że Atos jest bliski zemdlenia. Równocześnie niemal Atos, który wszelkiemi siłami usiłował zapanować nad bólem, uległ mu wreszcie i runął na ziemię, jak nieżywy.

— Wołajcie chirurga! — krzyknął pan de Treville, — mojego, królewskiego, najlepszego! Chirurga, albo, na rany Boskie, mój dzielny Atos wyzionie ducha!

Na krzyk pana de Treville wszyscy wpadli do jego gabinetu, tem więcej, że nie myślał zamykać drzwi przed nikim, i wszys-

cy otoczyli kołem rannego. Ciżba ta niewieleby mu pomogła, gdyby na szczęście nie znalazł się właśnie potrzebny lekarz w pałacu. Przecisnął się on przez tłum, i podszedł do Atosa, ciągle jeszcze nieprzytomnego, a ponieważ cały ten hałas i zamieszanie mu przeszkadzały, postawił jeko pierwszy i najważniejszy warunek, aby muszkieterowie wyszli do sąsiedniego pokoju. Równocześnie pan de Treville otworzył drugie drzwi i wskazywał drogę Portosowi i Aramisowi, którzy nieśli swego towarzysza w własnych ramionach. Poza tą gromadką postępował chirurg, i po jego przejściu drzwi się zamknęły.

W ten sposób gabinet pana de Treville, to miejsce, zazwyczaj otoczone tak wielkim szacunkiem, stał się chwilowo poboczną salą przedpokoju. Zebrani rozprawiali, gadali podniesionym głosem, przeklinali, pomstowali, wysyłali kardynała i jego gwardzistów do wszystkich djabłów.

W chwilę później powrócili Portos i Aramis; chirurg i pan de Treville pozostali sami przy rannym.

Wreszcie powrócił także pan de Treville. Ranny odzyskał przytomność; chirurg zaś oświadczył, że przyjaciele muszkietera nie potrzebują się niepokoić stanem jego zdrowia, albowiem zemdlenie zostało wywołane tylko i wyłącznie nadmiernym upływem krwi.

Potem pan de Treville dał znak ręką, i wszyscy opuścili pokój, z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał, że przybył na posłuchanie, i który z zaciętością prawdziwego Gaskończyka pozostał na swojem miejscu.

Skoro więc wszyscy wyszli i drzwi się zamknęły, pan de Treville, odwróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodym człowiekiem. Wypadek, jaki się wydarzył, przerwał mu po części wątek myśli. Zaczął się więc wypytywać, czego sobie życzy uparty petent. D'Artagnan wymienił swoje nazwisko, a pan de Treville w jednej chwili przypomniał sobie wszystkie szczegóły z przeszłości i teraźniejszości i odrazu ogarnął całą sytuację.

— Przepraszam cię — odezwał się z uśmiechem, — przepraszam cię, mój drogi ziomku, że najzupełniej zapomniałem o tobie. Ale cóż chcesz! kapitan jest jakby ojcem rodziny, i to obarczonym nieporównanie większą odpowiedzialnością, aniżeli ojciec zwykłej rodziny. Żołnierze są wielkiemi dziećmi; ponieważ zaś chcę, aby rozkazy króla, a zwłaszcza pana kardynała, były ściśle wypełniane.....

D'Artagnan nie mógł ukryć uśmiechu. Uśmiech ten przekonał pana de Treville, że nie ma przed sobą głupca; toteż, przechodząc odrazu do istoty sprawy, zmienił temat rozmowy.

— Kochałem bardzo pańskiego ojca — rzekł. — Cóż mogę uczynić dla jego syna? Spiesz się pan, czas mój nie należy do mnie.

— Panie — odpowiedział d'Artagnan, — opuszczając Tarbes i dążąc tutaj, zamierzałem prosić pana, licząc na tę przyjaźń, którą zachowałeś w pamięci, o mundur muszkietera. Ale wobec tego wszystkiego, co widziałem tutaj od dwóch godzin, pojmuję, że byłaby to nadmierna łaska, i lękam się, że nie zasługuję na nią.

— Jest to istotnie łaska — odpowiedział pan de Treville — ale może nie jest ponad twoją wartość osibistą, jak to sądzisz, lub przynajmniej zdajesz się sądzić. Bądź co bądź jednak postanowienia Jego Królewskiej Mości przewidziały podobne wypadki i dlatego muszę ci oznajmić z żalem, że nikt nie zostaje przyjęty do szeregów muszkieterskich, kto nie odbędzie poprzednio próby zwycięskiej w kilku wojnach, nie dokona jakich rozgłośnych czynów, lub nie przesłuży pierwej dwóch czy trzech lat w jakimś innym pułku mniej uprzywilejowanym aniżeli nasz.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu. Jeszcze goręcej pragnął teraz przywdziać mundur muszkietera, odkąd przekonał się, z jak wielkiemi trudnościami otrzymanie go jest połączone.

— Ale — mówił dalej pan de Treville, spoglądając na swego rodaka tak przenikliwem spojrzeniem, jakgdyby chciał, możnaby powiedzieć, przeniknąć go aż do głębi serca, — ale ze względu na pańskiego ojca, mego dawnego towarzysza, jak już wspomniałem, pragnę uczynić coś dla pana, młodzieńcze. Nasi młodzi Bearneńczycy nie są zazwyczaj bogaci, a wątpię, aby te stosunki uległy znacznej zmianie od czasu, odkąd wyjechałem z prowincji. Zapewne więc i ty także nie przywiozłeś tu z sobą zbyt wielkich funduszów na życie.

D'Artagnan wyprostował się z dumną miną, chcąc przez to niejako powiedzieć, że nie prosi nikogo o jałmużnę.

— To pięknie, młodzieńcze, to pięknie — mówił dalej pan de Treville, — i ja także przybyłem do Paryża tylko z czterema talarami w kieszeni, a przecież byłbym się bił z każdym człowiekiem, któryby powiedział, że nie jestem w stanie kupić Luwru.

D' Artagnan prostował się coraz dumniej. Dzięki sprzedaży konia, rozpoczynał karjerę mając w kieszeni o cztery talary więcej, aniżeli pan de Treville, kiedy rozpoczynał swoją.

— Powinieneś zatem, jak powiadam, starać się zachować to, co posiadasz, bez względu na to, jak wielka byłaby ta suma, a jednocześnie starać się także, by wydoskonalić się w ćwiczeniach, których znajomość przystoi szlachcicowi. Zaraz dzisiaj napiszę list do dyrektora Akademji królewskiej, dzięki czemu przyjmie cię jutro bez żadnej opłaty. Nie odmawiaj przyjęcia tej drobnej przysługi, młody panie. Nasza szlachta, najlepiej urodzona i najbardziej opływająca w dostatku, ubiega się niejednokrotnie nadaremno o to przyjęcie. Nauczysz się tam jazdy konnej, szermierki i tańca, pozawierasz dobre znajomości, a od czasu do czasu przyjdziesz do mnie, aby mi donieść, jak ci się powodzi i czy nie potrzebujesz jeszcze czegoś odemnie.

D'Artagnan, aczkolwiek nie znał jeszcze obyczajów, panujących na dworze, mimo to odczuł chłód tego przyjęcia.

— Niestety, panie — rzekł, — widzę, teraz jak bardzo brakuje mi listu polecającego, który ojciec mi wręczył dla pana.

— Istotnie — odpowiedział pan de Treville — dziwię się bardzo, że przedsięwziąłeś tę tak daleką podróż bez niezbędnego wiatyku, jedynej pomocy naszej w stosunku z innymi Bearneńczykami.

— Miałem go, proszę pana — wykrzyknął d'Artagnan, — i to dzięki Bogu, w jaknajlepszej formie. Ale wydarto mi go podstępnie.

I opowiedział całe zajście, jakie się rozegrało w Meung, opisał nieznajomego szlachcica z najdrobniejszymi szczegółami, a wszystko to mówił z zapałem i prawdą, które oczarowały pana de Treville.

— To szczególne — rzekł ten ostatni, zamyślając się. — Więc mówiłeś pan o mnie całkiem głośno?

— Tak jest, panie, postąpiłem bezwątpienia nierozważnie; ale cóż pan chcesz, nazwisko takie, jak pańskie, mogło mi służyć w podróży za tarczę, a sam pan niech osądzi, czy ukrywałem się za nią nazbyt często.

Pochlebstwo było dobrze zastosowane, bo pan de Treville lubił, aby mu kadzono, podobnie jak król i jak kardynał. Nie zdołał też ukryć uśmiechu widocznego zadowolenia. Lecz uśmiech

niebawem zniknął z twarzy, a pan de Treville począł się dalej wypytywać o zajście w Meung.

— Powiedz mi — pytał, — czy ten szlachcic nie miał przypadkiem nieznacznej blizny na policzku?

— Tak jest, jakgdyby od zadraśnięcia kulą.

— Czy nie był to człowiek pięknej postawy?

— Tak jest.

— Wysokiego wzrostu?

— Tak jest.

— O bladej cerze i czarnych włosach?

— Tak tak, wszystko się zgadza. Ale jakimże sposobem znasz pan tego człowieka? Ach! jeżeli go kiedyś odnajdę, a przysięgam panu, że odnajdę go choćby w piekle...

— Oczekiwał na kobietę? — pytał dalej pan de Treville.

— W każdym razie odjechał dopiero po krótkiej rozmowie z tą, na którą czekał.

— Czy nie wiesz pan, jaki był temat ich rozmowy?

— Wręczył jej jakąś szkatułkę, oświadczył, że w szkatułce tej są zawarte potrzebne instrukcje, i polecił, aby nie otwierała jej wcześniej, aż dopiero w Londynie.

— Czy kobieta ta była Angielką?

— Nazywał ją "milady".

— To on! — szepnął pan de Treville, — to on! A sądziłem, że znajduje się jeszcze w Brukseli!

— Och! panie, jeżeli znasz tego człowieka — wykrzyknął d'Artagnan, — powiedz mi, kim jest i gdzie go mogę znaleźć, a w zamian za to zrzeknę się chętnie wszystkiego, nie będą nawet korzystał z twej obietnicy przyjęcia mnie w szeregi muszkieterów; albowiem przedewszystkiem chcę się pomścić.

— Miej się na baczności, młody człowieku — zawołał pan de Treville. — Przeciwnie, jeżeli go spotkasz idącego ulicą, przejdź na drugą stronę! Nie uderzaj o taką skałę, albowiem zdruzgotałby cię, jak szkło.

— To mi nie przeszkodzi — rzekł d'Artagnan, — że, jeżeli go odnajdę kiedykolwiek....

— Lecz oczekując na to — przerwał pan de Treville, — nie szukaj go, jeżeli chcesz posłuchać dobrej rady.

Naraz pan de Treville przerwał, tknięty nagłem podejrzeniem. Czy ta wielka nienawiść, jaką młody wędrowiec objawił tak gwałtownie względem tego człowieka, który — co nie wydawa-

ło się nazbyt prawdopodobnem — miał mu zrabować list ojca, czy ta nienawiść nie ukrywała jakiegoś podstępu? Czy ten młody człowiek nie został nasłany przez Jego Eminencję? Czy nie przychodził poto, aby zastawić jakieś sidła? Może ten rzekomy d'Artagnan był tylko emisarjuszem kardynała, którego chciano wprowadzić do jego domu, aby najpierw pozyskał jego zaufanie, a potem go zgubił, jak się tysiąckrotnie działo w owe czasy! Spojrzał na d'Artagnana jeszcze przenikliwszym wzrokiem, aniżeli za pierwszym razem. Ale uspokoił się zaraz nieco, widząc to oblicze, tryskające przebiegłą roztropnością i afektowaną uniżonością.

— Nie ulega wątpliwości, że to Gaskończyk — pomyślał, — ale może być nim zarówno dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczmy, trzeba go wziąć na próbę.

— Mój przyjacielu — rzekł powoli, — pragnę, jako synowi mojego starego przyjaciela, ponieważ opowieść twoją o utraconym liście uważam za prawdziwą, pragnę więc, jak powiadam, wynagrodzić ci chłód, który poprzednio odczułeś w mojem powitaniu, i wyjawić ci tajniki naszej polityki. Otóż król jegomość i kardynał są najlepszymi przyjaciółmi; wszystkie ich pozorne waśnie mają jedynie na celu wprowadzić w błąd głupców. Nie chciałbym zaś, aby mój ziomek, piękny i dzielny kawaler, posiadający wszelkie warunki, by się wybić, dał się zmanić tymi obłudnymi pozorami i, jak dudek, pozwolił się złapać w matnię, z powodu której już tylu innych się zgubiło. Wiedz zatem, że jestem najzupełniej oddany tym dwom potężnym panom i że wszystkie moje postępki mają tylko to na celu, aby służyć królowi i panu kardynałowi który jest jednym z najświetniejszych genjuszów, jakich wydała Francja. A teraz, młodzieńcze, zastosuj się do tego, i jeżelibyś, czyto z powodów rodzinnych, czyto z powodu twoich stosunków, czy wreszcie wskutek osobistego popędu, żywił niechęć ku kardynałowi, nieprzyjaźń, jaką widzimy objawiającą się u szlachty, w takim razie pożegnaj mnie i rozstańmy się. Będę ci pomagał w tysiącznych wypadkach życia, ale nie chcę, abyś był związany moją osobą. Mam nadzieję, że tą szczerością pozyskam w tobie w każdym razie przyjaciela, ponieważ jesteś aż do tej chwili pierwszym młodzieńcem, z którym rozmawiam tak otwarcie.

Treville myślał jednocześnie w duchu:

— Jeżeli to kardynał nasłał na mnie tego młodego lisa, to z

pewnością, wiedząc, do jakiego stopnia go nie cierpię, nie omieszkał także powiedzieć swemu szpiegowi, że najlepszym sposobem pozyskania moich względów jest mówienie o nim samym jak najgorzej; tak więc, pomimo protestów z mojej strony, chytry kmotr odpowie mi niewątpliwie, że jest przejęty wstrętem ku Jego Eminencji.

Tymczasem stało się inaczej zupełnie, niż przewidywał pan de Treville; d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą.

— Panie, przybywam do Paryża, ożywiony całkiem podobnemi intencjami. Ojciec mój polecił mi nie ustępować w niczem nikomu, z wyjątkiem króla, księcia kardynała i pana, tych trzech ludzi bowiem uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Jak można zauważyć, d'Artagnan dodał nazwisko pana de Treville do tamtych dwóch; ale sądził, że ten dodatek nic zaszkodzić nie może.

— Mam zatem największe uwielbienie dla pana kardynała — mówił dalej — i najgłębsze poszanowanie dla wszystkich jego czynów. Tem lepiej dla mnie, panie, że raczysz mówić ze mną otwarcie, jak to wspomniałeś; dzięki temu bowiem czynisz mi zaszczyt, że mogę być dumnym z tej zgodności przekonań. Jeżeli żywisz względem mnie jakąś nieufność, najzupełniej zresztą zrozumiałą, to zdaję sobie sprawę z tego, że, mówiąc prawdę, gubię się w twoich oczach. Ale, mimo, że to bardzo źle dla mnie mam tę pociechę, że nie możesz pan nie mieć dla mnie szacunku, a o to chodzi mi najbardziej na świecie.

Pan de Trevile był zdumiony do najwyższego stopnia. Ta przenikliwość, ta otwartość wreszcie wywołały zachwyt, ale nie rozproszyły całkowicie jego wątpliwości. Im bardziej ten młodzieniec przewyższał innych młodych ludzi, tem bardziej należało się go obawiać, jeżeli grał komedję. Tem niemniej pan de Treville uścisnął dłoń d'Artagnana, mówiąc:

— Jesteś zacnym chłopcem, ale w obecnej chwili nie mogę dla ciebie uczynić nic więcej ponad to, z czem ci się dopiero co ofiarowałem. Pałac mój stoi zawsze przed tobą otworem. Nieco później, mając możność zwrócenia się do mnie w każdym czasie, a więc w następstwie także możność wykorzystania każdej nastręczającej się sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, co pragniesz otrzymać.

— Innemi słowy — odpowiedział d'Artagnan — oczekujesz pan, abym się okazał godnym tego. Doskonale! bądź pan spo-

kojny, nie będziesz zbyt długo na to czekał — dodał z poufałością gaskońską.

I skłonił się, chcąc odejść, jakgdyby odtąd wszystko już tylko od niego wyłącznie zależało.

— Ależ zaczekaj — rzekł pan de Treville, zatrzymując go. — Przyrzekłem ci przecież list do dyrektora Akademji. Czyż byłbyś za dumny, aby go przyjąć, mój młody szlachcicu?

— Nie, panie — odrzekł d'Artagnan, — i zaręczam że nie stanie się z nim tak, jak z tamtym listem. Będę go strzegł dobrze, tak, że, przysięgam, dojdzie podług swego adresu, a biada temu, ktoby usiłował mnie go pozbawić.

Pan de Treville uśmiechnął się, słysząc te przechwałki. Pozostawiając swego ziomka we framudze okna, gdzie stali, rozmawiając z sobą, podszedł do stołu i, usiadłszy przy nim, zaczął pisać list z przyrzeczonem poleceniem. Tymczasem d'Artagnan, nie mając nic lepszego do roboty, bębnił marsza po szybach, przyglądając się muszkieterom, którzy wychodzili ordynkiem, jeden za drugim, i śledząc ich wzrokiem, póki nie znikli na zakręcie ulicy.

Pan de Treville napisał list, zapieczętował go i, powstawszy z krzesła, podszedł do młodzieńca, aby mu go wręczyć. Ale w tej samej właśnie chwili, gdy d'Artagnan wyciągnął rękę, aby go odebrać, pan de Treville zdziwił się niepomiernie, widząc, że jego protegowany czyni gwałtowny skok, czerwienieje z gniewu i wypada z gabinetu, krzycząc:

— Na rany boskie! tym razem mi nie ujdzie!...

— Kto taki? — spytał pan de Treville.

— On, ten złodziej! — odpowiedział d'Artagnan. — Ach, nikczemnik!

I zniknął.

— Wcielony djabeł — mruknął pan de Treville. — A może — dodał — był to tylko podstępny manewr z jego strony, by umknąć, skoro się przekonał, że zamiar jego chybił celu.

IV.

RAMIĘ ATOSA, SZARFA PORTOSA I CHUSTECZKA ARAMISA.

D'Artagnan, rozszalały, przebiegł przez przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, po których zamierzał zbiedz odrazu po cztery stopnie, gdy nagle, rozpędzony gwałtownie, wpadł z pochyloną głową na muszkietera, wychodzącego od pana de Treville bocznemi drzwiami, i uderzył go czołem tak silnie w ramię, że muszkieter krzyknął ,a raczej zawył z bólu.

— Wybacz pan — rzekł d'Artagnan, zamierzając biedz dalej. — Wybacz pan, ale ogromnie mi się spieszy.

Zaledwie jednak postąpił o jeden schód naprzód, żelazna dłoń chwyciła go za szarfę i przytrzymała w miejscu.

— Spieszy się pan? — zakrzyknął muszkieter, blady jak chusta śmiertelna, — spieszy się panu i pod tym pozorem potrącasz mnie... Powiadasz: "Wybacz pan" i sądzisz, że to już wystarczy? To jeszcze nie wszystko, mój młokosie. Czyżbyś może sądził, że ponieważ słyszałeś, jak pan de Treville przemawiał do nas trochę nazbyt swobodnie w dniu dzisiejszym, to już i tobie wolno nas traktować tak samo, jak on się do nas odzywa? Mylisz się pan, młodzieńcze; nie jesteś panem de Treville, nie, panie.

— Na honor — odpowiedział d'Artagnan, poznając Atosa, który po opatrunku, dokonanym przez lekarza, powracał do domu, — na honor, nie uczyniłem tego umyślnie, a nie uczyniwszy umyślnie, powiedziałem: "Wybacz pan". I wydaje mi się, że to chyba dosyć. Tymczasem jednak powtarzam, które to powtórzenie jest już może zbyteczne, powtarzam, że, na honor, spieszy mi się, bardzo spieszy. Proszę zatem, niech mnie pan przepuści i pozwoli mi iść tam, gdzie mnie powołują moje sprawy.

— Panie — odezwał się Atos, przepuszczając go, — jesteś pan nieokrzesany. Zaraz widać, że przybywasz z daleka.

D'Artagnan przeszedł już dwa czy trzy schody, ale usłyszawszy uwagę Atosa, zatrzymał się szybko.

— Do kaduka, mój panie — rzekł, — bez względu na to, z jak daleka przybywam, nie pan będziesz mi dawał nauki dobrego wychowania, uprzedzam pana.

— Kto wie — odparł Atos.

— Ach! gdyby nie to, że się spieszę — zakrzyknął d'Artagnan, — i gdybym nie był zmuszony pogonić za kimś....

— Mój spieszący się panie, możesz mnie pan znaleźć zupełnie nie goniąc za mną... Czy pan słyszysz?

— A gdzież to, jeśli łaska?

— Niedaleko Karmelitów Bosych.

— O której godzinie?

— Około południa.

— Dobrze, będę tam około południa.

— Postaraj się pan jednak, abym nie czekał, bo kwadrans po dwunastej obetnę ci uszy na drodze.

— Dobrze — krzyknął d'Artagnan, — stawię się na dziesięć minut przed dwunastą.

I popędził naprzód, jakby go gnali wszyscy djabli, w nadziei, że zdoła odszukać swego nieznajomego, który idąc powoli, nie powinien był jeszcze zajść zbyt daleko.

Ale w bramie, wiodącej na ulicę, rozmawiał Portos z jednym z żołnierzy z gwardji. Dzieląca ich przestrzeń mogła swobodnie pomieścić człowieka. D'Artagnan sądził, że ta przestrzeń najzupełniej mu wystarczy, i przyspieszył kroku, aby przemknąć między obydwoma, jak strzała. Ale d'Artagnan nie brał wiatru w rachubę. W chwili, gdy chiał przebiedz, wiatr rozdął długi płaszcz Portosa, a d'Artagnan dostał się niespodzianie pod połę. Bezwątpienia Portos miał słuszne przyczyny nie wyzbywać się tej istotnej części swego stroju i dlatego, zamiast puścić połę, którą trzymał, pociągnął ją ku sobie w ten sposób, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity wskutek okrężnego ruchu, spowodowanego stałością oporu Portosa.

D'Artagnan, słysząc przekleństwa muszkietera, chciał wydobyć się z pod płaszcza, zasłaniającego mu oczy, i szukał drogi pośród fałdów. Obawiał się uszkodzić świeżość wspaniałej szarfy, którą już poznaliśmy; lecz, otwierając trwożnie oczy, uderzył nosem między barki Portosa, to znaczy w samą właśnie szarfę.

Niestety, jak większość rzeczy na tym świecie, które nie wyróżniają się niczem innem prócz pozorów, szarfa z przodu jedynie lśniła się złotem, a tył był zrobiony ze zwykłej skóry. Pełen próżności Portos, nie mogąc mieć całej złotej szarfy, miał ją taką przynajmniej w połowie: tem tłumaczy się teraz udanie kataru i konieczność okrywania się płaszczem.

— Do krocset djabłów! — krzyknął Portos, czyniąc wszelkie wysiłki, aby się pozbyć d'Artagnana, tłukącego mu się po plecach, — wściekłeś się pan chyba, żeby się tak rzucać na ludzi!

— Wybacz pan — rzekł d'Artagnan, wysuwając się z pod ramienia olbrzyma, — ale spieszy mi się bardzo... gonię za kimś i.....

— Czy zapominasz pan może wypadkiem oczu, kiedy pan biegniesz? — pytał Portos.

— Nie — odpowiedział podrażniony d'Artagnan, — bynajmniej; natomiast dzięki moim oczom widzę niekiedy to, czego nie widzą inni.

Nie wiadomo, czy Portos zrozumiał, czy nie zrozumiał, w każdym jednak razie wpadł w gniew.

— Mój panie — rzekł, — poharatasz sobie skórę, jak zgrzebłem, jeżeli w ten sposób będziesz się ocierał o muszkieterów.

— Poharatać skórę to twarde słowo, panie! — rzekł d'Artagnan.

— Jest ono właśnie takiem, jakie przystoi człowiekowi, przyzwyczajonemu patrzeć w twarz swoim wrogom.

— Tam do licha! jestem pewny, że i do własnych oczu nie odwracasz się pan plecami!

I młody człowiek, uradowany tym dowcipem, zaczął się oddalać, śmiejąc się na całe gardło.

Portos pienił się z wściekłości i uczynił ruch, jakgdyby chciał się rzucić na d'Artagnana.

— Później, później — zawołał tenże, — kiedy nie będziesz pan miał płaszcza.

— A zatem o godzinie pierwszej w pobliżu Luksemburga.

— Dobrze, o godzinie pierwszej — odpowiedział d'Artagnan, skręcając na rogu ulicy.

Ale ani na ulicy, którą przebiegał, ani na tej, którą obecnie objął spojrzeniem, nie dojrzał nikogo. Chociażby nawet nieznajomy szedł powoli, miał czas go wyprzedzić; może też wszedł do któregoś z domów. D'Artagnan wypytywał się o niego

wszystkich ludzi, których napotkał, zaszedł aż do promu na rzece, powrócił przez ulicę Sekwany i Czerwonego Krzyża, ale nie znalazł nikogo, absolutnie nikogo. Jednakże z pościgu tego odniósł korzyść w tem znaczeniu, że w miarę, jak pot skrapiał jego czoło, serce przejmowały zimne dreszcze.

Zaczął się zastanawiać nad wypadkami, jakie przeżył. Były liczne i przykre. Bo przecież była zaledwie godzina jedenasta rano, a już poranek przyniósł mu niełaskę pana de Treville, który nie mógł nie doszukać się pewnych braków etykiety w sposobie, w jaki d'Artagnan go pożegnał.

Pozatem naraził się na dwa pojedynki z ludźmi, mogącymi zabić trzech takich d'Artagnanów, z dwoma muszkieterami wreszcie, to znaczy z dwoma istotami, które tak wysoko cenił, że w myśli i w uczuciu stawiał je ponad wszystkimi innymi ludźmi.

Sytuacja była smutna. Przekonany, że zostanie zabity przez Atosa, młody człowiek, jak łatwo zrozumieć można, nie bardzo już obawiał się Portosa. Ponieważ jednak nadzieja na samym ostatku dopiero gaśnie w sercu człowieka, zaczął się krzepić otuchą, że może wyjdzie żywym z tych dwóch pojedynków, aczkolwiek, rozumie się, ze straszliwemi ranami. I w tej nadziei pozostania przy życiu dawał sobie na przyszłość następujące przestrogi:

— Jakimże jestem wartogłowem, jakimż głupcem! Ten dzielny i nieszczęśliwy Atos był raniony właśnie w to samo ramię, w które ja go wyrżnąłem łbem, jak taranem. Jedynem, co mnie dziwi, jest to, że nie zabił mnie na miejscu, do czego miał najzupełniejsze prawo, ponieważ ból, jaki mu zadałem, musiał być okropny. Co się tyczy Portosa, tak, co się tyczy Portosa, na honor, sprawa jest trochę zabawniejsza.

I młody człowiek pomimo woli zaczął się śmiać, bacząc jednak tem niemniej, czy ten śmiech szczególny, niezrozumiały dla nikogo z tych którzy widzieli go rozśmieszonego, nie obrazi kogoś z przechodniów.

— Co się tyczy Portosa, sprawa przedstawia się zabawniej; postąpiłem względem niego, jak marny lekkoduch. Czyż można w ten sposób rzucać się na ludzi, nie powiedziawszy: "proszę ustąpić!" Co to, to nie! Czyż można im podglądać pod płaszcze, aby zobaczyć tam to, czego wcale niema! Jestem przekonany, że Portos byłby mi przebaczył; napewno byłby mi przebaczył, gdybym nie był mówił o tej przeklętej szarfie, i to sło-

wami tak zagadkowemi.... doprawdy, zupełnie zagadkowemi! Ach! jestem kiepskim Gaskończykiem; mózg mój nadaje się chyba do usmażenia na patelni. A więc, d'Artagnanie, mój przyjacielu — zaczął mówić sam do siebie z całą słodyczą, jakiej sądził się godnym, — o ile uda ci się wybrnąć z tej trudnej sytuacji, co zresztą jest bardzo wątpliwe, powinieneś na przyszłość odznaczać się wyszukaną uprzejmością. Trzeba, aby odtąd podziwiano cię, aby stawiano cię za wzór. Być grecznym i uprzejmym wcale nie dowodzi tchórzostwa. Spojrzyj tylko na Aramisa: Aramis to uosobiona słodycz, uosobiony wdzięk. A przecież nikt nie ośmieliłby si powiedzieć, że Aramis jest tchórzem. Nie, bezwarunkowo, i odtąd będę się starał wzorować się na nim we wszystkiem. Ale otóż i on sam.

Idąc ciągle naprzód i rozmawiając sam z sobą, d'Artagnan zbliżył się do pałacu d'Aiguillon i przed tym pałacem ujrzał Aramisa, rozmawiającego wesoło z trzema szlachcicami, należącymi do gwardji królewskiej. Aramis spostrzegł również d'Artagnana; ale ponieważ nie zapomniał jeszcze, że właśnie wobec tego młodego człowieka pan de Treville tak się uniósł tegoż samego rana, i ponieważ świadek wyrzutów, jakich musieli wysłuchać muszkieterzy, nie był mu żadnym razie miły, więc udawał, że go wcale nie widzi. Przeciwnie, d'Artagnan, chcąc tu właśnie zastosować powziętą zasadę uprzejmości, zbliżył się do czterech młodych ludzi z najwdzięczniejszym uśmiechem i złożył im głęboki ukłon. Aramis skinął lekko głową, lecz nie odpowiedzia uśmiechem.

Wszyscy czterej zresztą przerwali natychmiast rozmowę.

D'Artagnan nie był głupcem do tego stopnia, aby nie poznać odrazu, że jest tutaj zbyteczny. Ale nie był jeszcze dostatecznie obyty z obyczajami wielkiego świata, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, jakiem jest wogóle położenie człowieka, który chce wejść w towarzystwo za mało mu znane i wziąć udział w rozmowie, nie obchodzącej go zupełnie. Szukał więc w myśli jakiegoś sposobu, któryby mu najlepiej umożliwił odwrót, a kiedy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i — zapewne przez nieuwagę — przydeptał ją nogą, uznał, że nadeszła chwila naprawienia poprzedniej niewłaściwości. Schylił się tedy i najwdzięczniejszym ruchem, jaki mógł uczynić, wyciągnął chusteczkę z pod nogi muszkietera, mimo wysiłków, jakie tenże czynił, aby ją przytrzymać a następnie podał mu ją mówiąc:

— Zdaje mi się, panie, że nie chciałbyś pan utracić tej chusteczki.

Chusteczka była istotnie bogato haftowana; na jednym z rogów ozdabiała ją korona i herb. Aramis zarumienił się po same uszy i wyrwał raczej, niż wziął, chusteczkę z rąk Gaskończyka.

— Aha! — zawołał jeden z gwardzistów, — czy i teraz jeszcze będziesz twierdził, dyskretny Aramisie, że pozostajesz w złych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro widzimy, że ta piękna dama zaszczyca cię pożyczaniem swoich chusteczek?

Aramis przeszył d'Artagnana jednem z tych spojrzeń które dają człowiekowi do poznania, że pozyskał sobie śmiertelnego wroga, — poczem odpowiedział słodziutkim tonem:

— Mylicie się, panowie; chusteczka ta nie należy do mnie i nie pojmuję wcale, dlaczego temu panu przyszła fantazja oddać ją raczej mnie, niż komuś z was. Dowodem tego, co mówię, jest, że mam w kieszeni własną chusteczkę.

I mówiąc to, wyjął swoją, równie wytworną i z najlepszego batystu, aczkolwiek batyst był drogi na owe czasy, lecz nie haftowaną, bez herbów, a ozdobioną jedynie inicjałem jej właściciela.

Tym razem d'Artagnan nie pisnął ani słowa, zrozumiał bowiem, że popełnił głupstwo. Lecz przyjaciele Aramisa nie dali się zbić z tropu jego zaprzeczeniami, a jeden z nich, zwracając się do młodego muszkietera, oświadczył z udaną powagą.

—Jeżeli sprawa istotnie tak się przedstawia, jak twierdzisz, będę zmuszony, mój drogi Aramisie, poprosić cię o zwrot chusteczki. Wiesz bowiem, że jestem przyjacielem pana de Bois-Tracy i z tego powodu nie życzę sobie, aby przedmioty, będące własnością jego żony, służyły komuś za trofea.

— Żądanie twoje nie jest właściwe — odparł Aramis. — Uznając bowiem w zasadzie najzupełniej twą słuszność, muszę odmówić ci jego wypełnienia ze względu na formę.

— Aby powiedzieć prawdę — wtrącił nieśmiało d'Artagnan — muszę zaznaczyć, że nie widziałem wcale, by chusteczka wypadła z kieszeni pana Aramisa. Opierał na niej nogę, oto wszystko; wobec tego zaś, że trzymał ją pod nogą, sądziłem, że jest jego własnością.

— I pomyliłeś się pan, drogi panie — odrzekł chłodno Aramis, niewzruszony bynajmniej tem wyjaśnieniem.

A potem, zwracając się znowu do gwardzistów, oświadczył przyjacielowi pana de Bois-Tracy:

— Zresztą dochodzę do wniosku, mój przyjacielu pana de Bois-Tracy, że jestem również jego przyjacielem, wcale nie gorszym od ciebie; chusteczka zaś mogła wypaść tak dobrze z twojej kieszeni, jak i z mojej.

— Nie, na honor! — zakrzyknął gwardzista Jego Królewskiej Mości.

— Przysięgasz na honor, a i ja daję również słowo honoru, z czego wynika, że jeden z nas kłamie. Otóż, Montaranie, najlepiej zrobimy, jeżeli się podzielimy.

— Chusteczką?

— [illegible]k jest.

— Doskonale — zawołali dwaj inni gwardziści, — oto sąd króla Salomona! Doprawdy, Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzi ludzie wybuchnęli śmiechem i, jak łatwo się domyślić, sprawa zakończyła się na tem. Po upływie chwili rozmowa się urwała, i trzej gwardziści i muszkieter, uścisnąwszy sobie serdecznie ręce, rozeszli się — gwardziści w jedną, a Aramis w drugą stronę.

— Oto najwłaściwsza chwila, aby pogodzić się z tym miłym człowiekiem — rzekł do siebie d'Artagnan, który podczas ostatnich słów tej rozmowy trzymał się nieco na uboczu. I porwany tem uczuciem, zbliżył się do Aramisa, który oddalał się, nie zwracając na niego wcale uwagi.

— Mój panie — rzekł, — mam nadzieję że mi pan wybaczy.

— O panie — przerwał Aramis, — pozwól sobie zwrócić uwagę, że postąpiłeś w tym wypadku bynajmniej nie tak, jakby przystało przyzwoitemu człowiekowi.

— Jakto, mój panie! — krzyknął d'Artagnan, — pan przypuszcza....

— Przypuszczam, że nie jesteś pan głupcem, więc nawet przybywając z Gaskonji, musisz chyba wiedzieć, że bez przyczyny nie depce się po chuteczkach od nosa. Tam do djabła! Paryż nie jest jeszcze wybrukowany batystem.

— Mój panie, niesłusznie starasz się pan mnie upokorzyć — rzekł d'Artagnan, w którym wrodzony pociąg do kłótliwości począł już brać górę nad pokojowemi postanowieniami. — Jestem Gaskończykiem, to prawda, a skoro już wiesz pan o tem, nie potrzebuję chyba mówić, że Gaskończycy nie są nazbyt

cierpliwi i że, jeżeli raz kogoś przeproszą, chociażby chodziło o głupstwo, to są przekonani, że zrobili nawet więcej, aniżeli należało.

— Nie powiedziałem tego bynajmniej w zamiarze szukania sprzeczki, mój panie — odpowiedział Aramis, — Boże uchowaj! Nie jestem zabijaką, a pełniąc tylko czasowo służbę muszkieterską, zwykłem się bić jedynie wtedy, gdy zostanę do tego zmuszony, i to zawsze z wielką niechęcią. Ale tym razem sprawa jest nader poważna, albowiem kobieta została skompromitowana przez ciebie.

— Przez nas, chciałeś pan zapewne powiedzieć — zakrzyknął d'Artagnan.

— Popełniłeś pan gruby nietakt, oddając mi tę chusteczkę...

— Dlaczegoż ją pan upuściłeś?

— Powiedziałem już i powtarzam, mój panie, że ta chusteczka nie wypadła z mojej kieszeni.

— A zatem skłamałeś pan dwukrotnie, albowiem widziałem, jak wypadała, na własne oczy.

— Ach! zaczynasz pan przemawiać do mnie takim tonem panie Gaskończyku? Dobrze! nauczę ja cię żyć.

— A ja zapędzę cię do mszy, panie klecho! Dobywaj szpady, jeśli łaska, i to bez zwłoki!

— Nie tutaj, mój piękny przyjacielu, nie tutaj, jeśli łaska! Czyż nie widzisz, że stoimy nawprost pałacu d'Aiguillon, przepełnionego zausznikami kardynała? A któż mi zaręczy, że to nie Jego Eminencja właśnie wydelegował pana, abyś mu dostarczył mojej głowy? Ja zaś dbam o nią aż do śmieszności, wydaje mi się bowiem, że doskonale siedzi mi na karku. Bądź pan spokojny, z całą przyjemnością zabiję pana, ale zabiję łagodniusieńko, w miejscu ustronnem i zamkniętem, gdzie przed nikim nie będziesz się mógł chełpić swoją śmiercią.

— Nie mam nic przeciwko temu, chociaż nie powinneś pan nazbyt liczyć na taki wynik; w każdym jednak razie zabierz pan tę chusteczkę, czy należy do ciebie, czy nie, bo może znajdzie się sposobność, że ci się przyda.

— Pan pochodzisz z Gaskonji? — spytał Aramis.

— Tak jest. Lecz chyba nie odkładasz pan spotkania, kierując się rozwagą?

— Rozwaga, mój panie, jest cnotą dość nieużyteczną dla muszkietera, wiem o tem, ale zato niezbędną dla sług kościoła.

Ponieważ zaś tylko czasowo jestem muszkieterem, pragnę kierować się rozwagą. O godzinie drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać na pana w pałacu pana de Treville. Tam wskażę już panu miejsce, odpowiednie do spotkania.

Obaj młodzie ludzie pożegnali się ukłonem, poczem Aramis oddalił się, kierując kroki w ulicę, wiodącą do Luksemburga, d'Artagnan zaś, zauważywszy, że nadchodzi już naznaczona mu pora, zwrócił się w stronę Karmelitów Bosych, mówiąc jednocześnie sam do siebie.

— Ani chybi, nie wyjdę cało z tej sprawy. Lecz przynajmniej, jeżeli legnę na placu, zginę z ręki muszkietera.

V.

MUSZKIETEROWIE KRÓLA I GWARDZIŚCI PANA KARDYNAŁA.

D'Artagnan nie znał nikogo w Paryżu. Dlatego też udał się na spotkanie z Atosem bez świadków, postanawiając zadowolnić się tymi, których wybierze jego przeciwnik. Miał zresztą szczery zamiar wytłumaczyc się przed dzielnym muszkieterem w sposób przyzwoity, choć bez okazania lękliwości, obawiał się bowiem wyniku pojedynku, który zazwyczaj bywa przykry w wypadku tego rodzaju, gdy człowiek młody i silny walczy z przeciwnikiem rannym i osłabionym: jeżeli zostanie pokonany, powiększa triumf swego rywala, — jeżeli odniesie zwycięstwo, oskarżają go o przystępstwo i nazbyt tanią odwagę.

Zresztą albo przedstawiliśmy źle charakter naszego poszukiwacza przygód, albo też czytelnik zauważył już, że d'Artagnan nie był bynajmniej pospolitym charakterem. Tak więc, powtarzając sobie w duchu, że nie zdoła uniknąć śmierci, nie myślał wcale zejść z tego świata, jak baranek, jakby to może uczynił ktoś inny, mniej odważny i mniej ambitny, gdyby się znalazł na jego miejscu. Zastanawiał się nad rozmaitością usposobień tych, z którymi miał stanąć do walki, i zaczynał coraz jaśniej oceniać położenie. Miał nadzieję, że dzięki lojalnemu wytłumaczeniu się, na jakie był przygotowany, pozyska sabie w Atosie przyjaciela, którego wielkopański wygląd i poważny wyraz twarzy bardzo mu się podobały. Cieszył się na myśl, że nastraszy Portosa przygodą z szarfą, o której mógłby opowiadać całemu światu, gdyby nie został odrazu zabity, a opowiadanie takie, w zręcznej przedstawione formie, musiałoby okryć Portosa śmiesznością. Wreszcie nie uczuwał zbyt wielkiej obawy przed skrytym Aramisem i, przypuszczając, że zetrze się z nim w pojedynku, obiecywał sobie załatwić sprawę z dobrym dla siebie wynikiem, a przynajmniej płatnąć go szpadą przez policzek tak,

jak Cezar zalecał żołnierzom uczynić z Pompejuszem, chcąc, aby na zawsze zniszczyli tę piękność którą się tak chełpił.

W duszy d'Artagnana tkwił niezłomnie zasób postanowień, wszczepionych mu wskazówkami ojca, wskazówkami, których istotą było: "Nie ustępować nikomu, oprócz króla, kardynała i pana de Treville". Biegł więc raczej, niż szedł, ku klasztorowi Karmelitów Bosych, jak ich nazywano w owej epoce. Był to budynek bez okien, otoczony wyschłemi łąkami, które zazwyczaj służyły za miejsce spotkania ludziom, nie mającym czasu do stracenia.

Kiedy d'Artagnan objął spojrzeniem mały opustoszały teren, ciągnący się aż do podnóża murów klasztornych, Atos czekał tam zaledwie od pięciu minut, a zegary właśnie wydzwaniały południe. Był więc słowny, jak Samarytanka, i nawet największy rygorzysta w sprawach pojedynkowych nie mógłby mu nic zarzucić.

Atos, któremu rana dokuczała straszliwie, aczkolwiek chirurg pana de Treville opatrzył ją na nowo, siedział na kamieniu przydrożnym i oczekiwał na swego przeciwnika z tym spokojem umysłu i godnością, jakie go zawsze cechowały. Ujrzawszy d'Artagnana, powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków naprzeciw niego. D'Artagnan zaś zbliżał się ku niemu z kapeluszem w ręku, powłócząc piórem aż po ziemi.

— Panie — rzekł Atos, — uprzedziłem dwóch moich przyjaciół, którzy mają mi służyć za świadków, ale aż do tej chwili nie przybyli jeszcze. Dziwię się, że się spóźniają, albowiem nie jest to ich zwyczajem.

— Ja nie mam świadków, mój panie — odezwał się d'Artagnan, — albowiem, przybywszy dopiero wczoraj do Paryża, nie znam tu jeszcze nikogo, oprócz pana de Treville, któremu polecił mnie mój ojciec, mający zaszczyt zaliczać się poniekąd do jego przyjaciół.

Atos zastanowił się przez chwilę.

— Nie znasz pan nikogo, oprócz pana de Treville? — zapytał.

— Tak, panie, nie znam nikogo.

— W takim razie — kończył Atos, mówiąc napół do siebie samego, na pół do d'Artagnana, — w takim razie, jeżeli zabiję pana, mogę zyskać opinję pożeracza dzieci.

— Niezupełnie, panie — odparł d'Artagnan z ukłonem, nie

pozbawionym godności, — niezupełnie, skoro czynisz mi zaszczyt dobycia szpady przeciwko mnie, choć jesteś ranny i rana musi ci przeszkadzać.

— Bardzo przeszkadza, na honor, i przyznać muszę, że sprawiłeś mi pan piekielny ból; ale wezmę szpadę do lewej ręki, jak to zazwyczaj czynię w podobnych wypadkach. Nie sądź pan bynajmniej, abym robił przez to jakieś ustępstwo, albowiem władam bronią równie dobrze obiema rękami. Będzie to nawet niekorzystne dla pana: walka z mańkutem jest trudna dla ludzi, nie przyzwyczajonych do tego. I żałuję, że wcześniej nie uprzedziłem pana o tem.

— Jesteś pan rzeczywiście tak rycerski — odrzekł d'Artagnan z nowym ukłonem, — że nie wiem doprawdy, jak okazać moją wdzięczność za to.

— Zawstydzasz mnie pan — odezwał się Atos z wielkopańską miną; — proszę bardzo, mówmy o czemś innem, jeżeli to panu dogadza. A! na Boga, sprawiłeś mi pan straszny ból! ramię mnie pali.

— Gdybyś pan pozwolił..... — zaczął nieśmiele d'Artagnan.

— Co takiego?

— Posiadam cudowny balsam na rany, balsam, który otrzymałem od matki, a którego skutki wypróbowałem już sam na sobie.

— A więc?

— A więc jestem pewny, że balsam ten wygoiłby pańskie rany najpóźniej za trzy dni, po upływie zaś tego czasu, kiedy byłbyś pan wyleczony, wtedy poczytałbym sobie za honor służyć mu w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział te słowa z prostotą, przynoszącą zaszczyt jego rycerskości, a nie uchybiającą w niczem jego odwadze.

— Dalibóg — odparł Atos, — podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, bym chciał z niej skorzystać, lecz, że o milę już wyczuwa się z niej szlachcica. W ten to sposób przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego, na których wzorować się powinni kawalerowie nowocześni. Na nieszczęście minęły już czasy tego wielkiego monarchy. Żyjemy w czasach pana kardynała, i od dzisiaj za trzy dni będzie wiadomo, jakkolwiekbyśmy starali się ukryć tajemnicę, będzie wiadomo, powtarzam, że mamy się bić z sobą, i znajdą się środ-

ki, aby przeszkodzić naszemu pojedynkowi. Ach, czy te włóczęgi nie przyjdą dzisiaj wcale?

— Jeżeli się panu spieszy — rzekł d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką poprzednio proponował odroczenie pojedynku na trzy dni, — jeżeli się panu spieszy i chcesz zaraz spotkać się ze mną, proszę bardzo, nie krępuj się pan.

— Oto jeszcze jedno powiedzenie, które mi się podoba — odpowiedział Atos, skłaniając uprzejmie głowę w stronę d'Artagnana — i które dowodzi, że stoję nie wobec człowieka bez mózgu, lecz, że natrafiłem przedewszystkiem na człowieka o dzielnem sercu. Panie, lubię ludzi o takiem usposobieniu i jestem przekonany, że, jeżeli nie zabijemy jeden drugiego, mieć będę później prawdziwą przyjemność w obcowaniu z panem. Proszę jednak, zaczekajmy na tamtych panów, mam dosyć czasu, a w ten sposób pojedynek odbędzie się bardziej prawidłowo. Ale otóż i jeden z nich, jak mi si zdaje.

Istotnie na rogu ulicy Vaugirard ukazała się olbrzymia postać Portosa.

— Jakto? — zawołał d'Artagnan, — jednym z pańskich świadków jest pan Portos?

— Tak jest; czy to może nie dogadza panu?

— Bynajmniej.

— A oto nadchodzi i drugi.

D'Artagnan odwrócił się w stronę, wskazaną przez Atosa, i ujrzał Aramisa.

— Co? — zakrzyknął tonem jeszcze bardziej zdziwionym, niż poprzednio, — pańskim drugim świadkiem jest pan Aramis?

— Oczywiście. Czyż nie wiadomo panu, że nigdy nie czynimy nic jeden bez drugiego i że zarówno wśród muszkieterów, jak wśród gwardji, zarówno na dworze, jak i w mieście, nosimy miano: Atos, Portos i Aramis, trzej nierozłączni. Ale wobec tego, że przybywasz pan z Dax czy z Pau....

— Z Tarbes — poprawił d'Artagnan.

— Wolno panu zatem nie znać tego szczegółu — kończył Atos.

— Na honor — zauważył D'Artagnan, — miło mi o tem widzieć, moi panowie. A jeżeli moja przygoda nabierze rozgłosu, dowodzić będzie przynajmniej, że wasz związek nie opiera się na kontrastach.

Tymczasem Portos przybliił się, pozdrowił Atosa skinieniem

ręki, a potem, odwróciwszy się ku d'Artagnanowi, przystanął niezmiernie zdziwiony.

Wspomnijmy mimochodem, że zmienił szarfę i zrzucił płaszcz.

— A to co znowu? — zapytał.

— Oto ten pan, z którym mam się pojedynkować — oświadczył Atos, wskazując ręką na d'Artagnana i pozdrawiając przybysza tym samym ruchem.

— I ja także mam się z nim bić — rzekł Portos.

— Ale dopiero za godzinę — odparł d'Artagnan.

— Ja również biję się z tym panem — odezwał się Aramis, podchodząc ku nim.

— Ale dopiero o godzinie drugiej — odpowiedział d'Artagnan z tym samym spokojem.

— Z jakiej przyczyny masz się pojedynkować z panem? — zapytał Aramis.

— Na honor, nie wiem bardzo dokładnie; uraził mnie w ramię. A ty, Portosie?

— Ja?.... hm!.... biję się bo mi się tak podoba — odpowiedział Portos, rumieniąc się.

Atos, obserwujący bacznie wszystko, dojrzał nieznaczny uśmieszek na ustach Gaskończyka.

— Posprzeczaliśmy się o ubranie — rzekł młody człowiek.

— A ty, Aramisie? — pytał Atos.

— Ja biję się z powodu zatargu o teologję — odpowiedział Aramis, dając znak d'Artagnanowi i prosząc go w ten sposób, aby zachował w tajemnicy istotną przyczynę pojedynku.

Atos dojrzał znowu nieznaczny uśmieszek na ustach d'Artagana.

— Doprawdy? — zapytał Atos.

— Nie mogliśmy się pogodzić co do jednego ustępu z dzieł świętego Augustyna — oświadczył Gaskończyk.

— Jest to niewątpliwie sprytny młodzieniec — mruknął Atos.

— A teraz, skoro zebraliście się panowie — odezwał się d'Artagnan, — pozwólcie, że wytłumaczę się przed wami.

Na dźwięk tego słowa "wytłumaczę" po czole Atosa przemknęła chmura, pogardliwy uśmiech pojawił się na ustach Portosa, a przeczące skinienie było odpowiedzią Aramisa.

— Nie zrozumieliście mnie, panowie — oświadczył d'Artagnan, podnosząc głowę, na którą padł w tej chwili promień słońca, złocąc jej rysy szlachetne i dumne; — pragnę wytłumaczyć

się przed wami na wypadek, gdybym nie mógł spłacić mojego długu wobec wszystkich trzech. Albowiem pan Atos ma pierwszeństwo w zabiciu mnie, co już odbiera dużo wartości pańskiemu zamiarowi, panie Portosie, a niweczy prawie postanowienie pańskie, panie Aramisie. A teraz, panowie, powtarzam, wybaczcie mi, ale wybaczcie to jedynie, i... do broni!

Powiedziawszy to, d'Artagnan dobył szpady najbardziej rycerskim ruchem.

Krew uderzyła mu do głowy i w tej chwili byłby gotów dobyć oręża przeciwko wszystkim choćby muszkieterom całego królestwa z tą samą odwagą, jak przeciwko Atosowi, Portosowi i Aramisowi.

Było właśnie kwadrans po dwunastej. Słońce stało w zenicie, a żar jego prażył zewsząd miejsce, wybrane na widownię pojedynku.

— Zaczyna być gorąco — rzekł Atos, dobywając również szpady. — Tymczasem nie chciałbym zdejmować kaftana, czuję bowiem w tej chwili, że moja rana krwawi na nowo; a byłoby mi przykro pokazywać panu krew, nie przez niego wylaną.

— Zapewniam pana — odezwał się d'Artagnan, — że doprawdy, bez względu na to, czy kto inny, czy ja ją wyleję, patrzeć będę zawsze z prawdziwym żalem na krew tak dzielnego szlachcica. Wobec tego zaś i ja także staje do walki w kaftanie.

— Dalej, dalej, moi panowie — wtrącił Portos, — dosyć już tych grzeczności — Nie zapominajcie, że i my czekamy na swoją kolej.

— Mów we własnem imieniu, Portosie — przerwał Aramis, — skoro wyrażasz się tak grubijańsko. Ja bowiem sądzę, że panowie ci przemawiają do siebie w słowach najzupełniej dobranych i najzupełniej godnych dwóch szlachciców.

— Służę panu — rzekł Atos, stając w pozycji.

— Jestem na rozkazy — odparł d'Artagnan, krzyżując żelazo.

Ale zaledwie oba rapiery zadźwięczały w zetknięciu, w tej samej chwili z poza węgła klasztoru wysunął się oddział gwardji Jego Eminencji pod dowództwem pana de Jussac.

— Gwardja kardynała! — zakrzyknęli nagle Portos i Aramis. — Szpady do pochew, panowie! szpady do pochew!

Ale już było zapóźno. Obu przeciwników zauważono w pozycji, która nie mogła nastręczać żadnych wątpliwości co do ich zamiarów.

— Hola! — krzyczał Jussac, zbliżając się i dając znak swym żołnierzom, aby podążyli za nim, — hola! panowie muszkieterowie. Cóż to? pojedynek? Więc wydane edykty już nic nie znaczą?

— Jesteście panowie bardzo wspaniałomyślni — rzekł Atos głosem, brzmiącym nienawiścią, albowiem Jussac był jednym z tych, którzy atakowali go onegdaj. — Gdyby nam zdarzyło się spotkać was walczących, zaręczam, że nie usiłowalibyśmy wam przeszkodzić. Pozwólcie zatem dokończyć nam sprawę, a będziecie mieli przyjemność, nie narażając się na żadne trudy.

— Moi panowie, z żalem oświadczyć muszę, że jest to zgoła niemożliwe. Przedewszystkiem musimy wypełnić obowiązek. A zatem, jeśli łaska, szpady do pochew i proszę za nami.

— Panie — mówił Aramis, przedrzeźniając Jussaca, — posłuchalibyśmy z największą chęcią waszego miłego zaproszenia, gdyby to tylko od nas zależało; ale pan de Treville stanowczo zabronił nam tego. Idźcie zatem swoją drogą; oto, co możecie najlepszego uczynić.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do wściekłości.

— Zabierzemy was siłą, jeżeli nie będziecie posłuszni — oświadczył.

— Jest ich pięciu — rzekł półgłosem Atos, — a nas trzech tylko. Zostaniemy więc jeszcze raz pokonani, czyli, innemi słowy, trzeba będzie oddać tu życie, albowiem oświadczam stanowczo, że nie stanę przed kapitanem jeszcze raz zwyciężony.

Atos, Portos i Aramis zbliżyli się ku sobie w chwili, gdy Jussac szeregował swych żołnierzy.

Krótka ta chwila wystarczyła d'Artagnanowi, by powziął postanowienie. Bo oto nadeszła jedna z tych okoliczności, które decydują o życiu człowieka. Należało wybrać między królem a kardynałem i, dokonawszy wyboru, postępować konsekwentnie. Pojedykować się — znaczyło być nieposłusznym prawu, znaczyło narażać głowę, znaczyło ściągać na siebie nieprzyjaźń ministra, potężniejszego od samego króla. Oto, nad czem zastanawiał się młody człowiek i, powiedzmy na jego pochwałę, nie zawahał się w wyborze ani na chwilę. Zwracają się do Atosa i jego przyjaciół, rzekł:

— Moi panowie, pozwólcie mi, jeśli łaska, sprostować poniekąd wasze słowa. Mówiliście, że jest was tylko trzech, tymczasem, jak mi się zdaje, jest nas tutaj czterech.

— Pan nie należysz do nas — zauważył Portos.

— Istotnie — odpowiedział d'Artagnan, — nie mam waszego munduru, ale należę do was duszą. Czuję doskonale, że mam duszę muszkietera, panowie, i to mnie ku wam pociąga.

— Na bok, młodzieńcze! — krzyczał Jussac, który niewątpliwie z ruchów i wyrazu twarzy odgadł zamiary d'Artagnana. — Możesz odejść, pozwalamy ci na to. Ratuj więc swoją skórę i zmykaj szybko.

Ale d'Artagnan nie ruszył się z miejsca.

— Jesteś naprawdę dzielnym chłopcem — rzekł Atos, ściskając rękę młodzieńca.

— No, naprzód! niema na co czekać! — powtórzył Jussac.

— Zaraz — odpowiedzieli Portos i Aramis, — zobaczymy jeszcze, jak to będzie.

— Jesteś pan wzorem wspaniałomyślności — oświadczy Atos.

Ale wszyscy trzej myśleli o młodości d'Artagnana i liczyli się z jego brakiem doświadczenia.

— Jest nas tylko trzech, z których jeden ranny, i prócz nas dzieciak — powtórzył Atos, — a tem nie mniej będą się chełpili, że było nas czterech.

— Zapewne, ale znowu cofnąć się... — odparł Portos.

— To trudno — wyrzekł Atos.

D'Artagnan zrozumiał ich wahanie.

— Więc w każdym razie wypróbujcie mnie, panowie — rzekł, —a przysięgam na honor, że nie ustąpię z placu, jeżeli zostaniemy pokonani.

— Jak się zowiesz, mój zuchu? — spytał Atos.

— D'Artagnan, panie.

— Dobrze więc! Atos, Portos, Aramis i d'Artagnan naprzód! — krzyknął Atos.

Zatem, panowie cóż postanawiacie ostatecznie? — zapytał po raz trzeci Jussac.

— Już postanowiliśmy — odpowiedział Atos.

— Chcemy mieć zaszczyt zmierzyć się z wami — odpowiedział Aramis, uchylając kalepusza jedną ręką, a drugą dobywając szpady.

— Zatem stawiacie opór? — krzyknął Jussac.

— Tam do licha! czy to paną dziwi?

I równocześnie dziewięciu przeciwników uderzyło na siebie

z zaciekłości, co jednak nie wykluczało stosowanie pewnej metody.

Atos natarł na niejakiego Cahusaca, faworyta kardynała, Portos zaatakował Bicarata, a Aramis stanął wobec dwóch przeciwników.

Co do d'Artagnana, ten znalazł się naprzeciwko samego Jussaca.

Serce młodego Gaskończyka biło tak mocno, że omal nie rozsadziło mu piersi — nie ze strachu, broń Boże, tego nie było tam ani śladu, lecz ze wzruszenia i chęci współzawodnictwa. Bił się, jak rozjuszony tygrys, okrążając swego przeciwnika z dziesięciu stron i zmieniając po dwadzieścia razy pozycję i miejsce. Jussac był, jak wspomniano, wypróbowanym mistrzem w walce na szpady; mimoto jednak miał niezmierne trudne zadanie bronić się przed przeciwnikiem, który, ruchliwy i rzutki, zmieniał co chwila metodę walki, atakował równocześnie z wszystkich stron, a obok tego sam zasłaniał się, jak człowiek, niesłychanie dbający o własną skórę.

Pod koniec walki Jussac stracił cierpliwość. Rozwścieczony, że ten, którego uważał za dzieciucha, trzyma go w szachu, zaperzył się i zaczął popełniać błędy. D'Artagnan, który, mimo braku doświadczenia, posiadał teoretyczną umiejętność, podwoił swą ruchliwość. Jussac, chcąc zakończyć walkę, wymierzył swemu przeciwnikowi straszliwy cios, pochyliwszy się aż ku ziemi; ale d'Artagnan odparował uderzenie, i podczas gdy Jussac prostował się przesunął się ruchem węża pod jego szpadę i przeszył go nawylot. Jussac runął, jak kłoda.

D'Artagnan ogarnął wtedy niespokojnem i szybkiem spojrzeniem pole walki.

Aramis zabił już jednego ze swych przeciwników; ale drugi nacierał nań bardzo żywo. Mimoto położenie jego nie było niebezpieczne i mógł się jeszcze bronić.

Bicarat i Portos zadawali sobie nawzajem cięcia. Portos otrzymał już cięcie przez ramię a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była ciężka, walczyli dalej z tem większą zajadłością.

Atos, zraniony ponownie przez Cahusaca, bladł w oczach, lecz mimoto ani na krok nie ustępował; przerzucił tylko oręż do drugiej ręki i walczył teraz lewą ręką.

D'Artagnan, wedle obowiązujących w owej epoce prawideł

pojedynkowych, mógł jednemu z nich pospieszyć z pomocą. Podczas gdy szukał wzrokiem, który z jego towarzyszów potrzebowałby tej pomocy, pochwycił spojrzenie Atosa. Spojrzenie to było niezwykle wymowne: Atos wolałby raczej zginąć niż zawołać o pomoc; ale mógł patrzeć i wzrokiem prosił o poparcie. D'Artagnan odgadł to, skoczył naprzód ogromnym susem i dopadł z boku gwardzistę wołając:

— Ze mną teraz sprawa! zabiję cię, panie gwardzisto!

Cahusac odwrócił się, a była to już ostatnia chwila. Atos, którego podtrzymywał jedynie ostatni wysiłek męstwa, osunął się na jedno kolano.

— Na Boga — zakrzyknął na d'Artagnana, — błagam cię, nie zabijaj go, młodzieńcze; mam z nim do załatwienia dawne porachunki, skoro tylko wygoją się moje rany i powrócę do zdrowia. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O tak! dobrze! doskonale!

Atos wydał ten okrzyk, ponieważ szpada Cahusaca wyleciała z jego ręki o jakie dwadzieścia kroków. D'Artagnan i Cahusac razem poskoczyli za nią — jeden, aby ją podnieść, drugi, aby temu przeszkodzić; lecz zwinniejszy d'Artagnan dobiegł pierwszy i postawił na niej nogę.

Cahusac poskoczył wówczas do gwardzisty, zabitego przez Aramisa, chwycił jego broń i chciał powtórnie natrzeć na d'Artagnana. Ale na drodze spotkał Atosa, który wytchnął już podczas przerwy, nastręczonej mu przez d'Artagnana, i sam stanął do walki, obawiając się by d'Artagnan nie sprzątnął mu wroga.

D'Artagnan zrozumiał, iż Atos byłby niezadowolony, gdyby mu chciał przeszkodzić. Istotnie w kilka chwil później Cahusac runął na ziemię z gardłem, przeszytem ostrzem szpady.

W tej samej prawie chwili Aramis przyłożył ostrzem szpady do piersi powalonego na ziemię przeciwnika i zmusił go do błagania o pardon.

Tylko Portos i Bicarat walczyli jeszcze. Portos drwił tysiącem przechwałek: zapytywał przeciwnika, która może być godzina, składał mu życzenia z powodu, że brat jego miał otrzymać dowództwo oddziału w pułku nawarskim. Ale, dowcipkując, nie zyskiwał przewagi nad swym przeciwnikiem. Bicarat był bowiem jednym z tych ludzi żelaznej wytrzymałości, którzy padają dopiero po otrzymaniu śmiertelnej rany.

Tymczasem należało walce kres położyć. Mógł nadejść patrol i zaaresztować walczących, zarówno rannych, jak całych, zarówno królewskich żołnierzy, jak kardynalskich. Atos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywają go do poddania się, Jakkolwiek jednak sam jeden tylko przeciwko wszystkim, i do tego ranny w nogę, Bicarat nie chciał ustąpić. Wtedy Jussac, który podniósł się, podparłszy się na ramieniu, począł także wołać na niego, aby się poddał. Bicarat był Gaskończykiem, podobnie, jak d'Artagnan, — udawał głuchego i śmiechem odpowiadał na wezwania, a między jedną a drugą zasłoną przed cięciem znalazł nawet stosowną chwilę, by końcem szpady naznaczyć jakiś punkt na ziemi.

— Tu oto — mówił, parodjując ustęp z biblji, — tu oto umrze Bicarat, jedyny z tych, którzy są z nim.

— Ale ich jest czterech przeciwko tobie; dosyć już, rozkazuję ci.

— Ach! skoro rozkazujesz, to zupełnie co innego — oświadczył Bicarat; — ponieważ jesteś moim dowódzcą więc muszę ci być posłusznym.

I odskoczywszy w tył, złamał szpadę na kolanie, aby nie być zmuszonym do oddania jej, kawałki zaś przerzucił poprzez mur klasztorny, a potem skrzyżował ręce na piersiach i zagwizdał pieśń gwardzistów kardynała.

Dzielność budzi zawsze szacunek, nawet u nieprzyjaciela. Muszkieterowie oddali szpadami pokłon Bicaratowi i schowali je do pochew.

D'Artagnan uczynił to samo, potem zaś z pomocą Bicarata, który jedyny z gwardzistów kardynała trzymał się na nogach, przyniósł pod bramę klasztoru Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramisa, który był tylko raniony. Czwarty, jak wspomnieliśmy, zginął. Pociągnęli za dzwonek, a następnie, unosząc cztery szpady, upojeni radością, podążyli ku pałacowi pana de Treville.

Widziano ich, splecionych uściskiem, zajmujących całą szerokość ulicy i zatrzymujących każdego spotkanego muszkietera, tak, że wreszcie orszak zamienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana pławiło się w upojeniu; szedł między Atosem a Portosem, ściskając ich czule.

— Nie jestem jeszcze muszkieterem — mówił do swoich nowych przyjaciół, przestępując próg pałacu pana de Treville, — ale zostałem przynajmniej przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

VI.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ LUDWIK TRZYNASTY.

Zajście wywołało wielką wrzawę. Pan de Treville głośno gniewał się [illegible]o na swoich muszkieterów, — cichaczem winszował im. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, aby uprzedzić króla, pan de Treville udał się śpiesznie do Luwru. Było już jednak zapóźno; król zamknął się z kardynałem, a panu de Treville oświadczono, że król pracuje i nie może go przyjąć w tej chwili. Wieczorem pan de Treville przybył w porze, gdy król zasiadł do zwykłej gry. Monarcha wygrywał, a ponieważ odznaczał się wielkiem skąpstwem więc był w doskonałym humorze. Toteż, zauważywszy już z daleka pana de Treville, zawołał:

— Pójdźno pan tutaj, panie kapitanie, pójdźno pan tutaj, abym cię mógł wyłajać. Czy wiesz pan, że Jego Eminencja przybył dzisiaj ze skargą na pańskich muszkieterów, i to w takiem wzburzeniu, że Jego Eminencja jest chory z tego powodu. Ach! ależ to djabły wcielone, to ludzie, zasługujący na szubienicę, ci pańscy muszkieterowie!

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odparł pan de Treville, zrozumiawszy odrazu, jak się sprawa układa; — nie, to poczciwe stworzenia, łagodne, jak baranki, a przytem, za co ręczę, ożywione tylko jednem jedynem pragnieniem: aby dobywać szpady z pochwy tylko na usługi Waszej Królewskiej Mości. Ale cóż zrobić, skoro gwardziści pana kardynała ustawicznie wszczynają z nimi waśnie, i młodzi ludzie muszą się bronić, choćby dla honoru swego korpusu.

— Słuchajno pan, panie de Treville — odrzekł król. — Słuchajno pan, czy nie wyrażasz się pan o nich w taki sposób, jak o zgromadzeniu religijnem!? Doprawdy, mój drogi kapitanie,

mam ochotę odebrać ci dowództwo i oddać je w ręce panny de Chemerault, której przyrzekłem opactwo. Ale nie sądź, że uwierzę ci na słowo. Nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, panie de Treville, a więc zaraz przekonamy się o słuszności tego.

— Ach, Najjaśniejszy Panie, ponieważ najzupełniej ufam w tę sprawiedliwość, więc dlatego oczekuję z cierpliwością i spokojem wyroku Waszej Królewskiej Mości.

— Zaczekaj pan, zaczekaj — odrzekł król; — nie potrwa długo czekanie.

Istotnie szczęście odwróciło się, a skoro król zaczął tracić to, co wygrał, nie zawahał się wyszukać pozoru, aby — że użyjemy tego wyrażenia graczy, którego zresztą, jak wyznajemy szczerze, nie znamy genezy, — aby zatem zwinąć chorągiewkę. Po upływie chwili król powstał więc z miejsca i, chowając do kieszeni pieniądze których znaczną część stanowiła wygrana, rzekł:

— La Vieuville, zajmij moje miejsce, muszę bowiem pomówić w ważnej sprawie z panem de Treville. Aha!.... miałem na stole osiemdziesiąt ludwików; połóż tę samą sumę, aby ci którzy przegrali, nie potrzebowali się skarżyć. Sprawiedliwość przedewszystkiem.

Potem król odwrócił się do pana de Treville i, idąc z nim ku framudze okna, ciągnął dalej:

— A zatem twierdzisz pan, że to gwardziści Jego Eminencji szukają zaczepki z pańskimi muszkieterami?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, jak zazwyczaj.

— A jakże się to stało, zobaczmy? Wiesz bowiem, kapitanie, że należy, aby sędzia wysłuchał obie strony.

— Ach, mój Boże! wszystko wydarzyło się w najprostszy i najnaturalniejszy sposób. Trzej moi najlepsi żołnierze, znani Waszej Królewskiej Mości z nazwiska, którzy wierność swoją niejednokrotnie wykazali i dla których, jak mogę zapewnić, służba w usługach królewskich jest jedynem pragnieniem serca, otóż trzej najlepsi moi żołnierze, jak powtarzam, panowie Atos, Portos i Aramis, wybrali się na wycieczkę dla przyjemności z młodym kadetem gaskońskim, którego poleciłem ich opiece tegoż samego ranka. Celem wycieczki miało być, o ile mi wiadomo, Saint-Germain, spotkanie zaś naznaczyli sobie w pobliżu Karmelitów Bosych. I tam to właśnie zakłócili im przyjemność spaceru panowie de Jussac, Cahusac, Bicarat i dwaj

inni jeszcze gwardziści, którzy z pewnością nie przyszliby tam w tak znacznej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów wykroczenia przeciw obowiązującym edyktom.

— Ach, tak! to daje do myślenia — odrzekł król; — niewątpliwie przyszli tam, aby się pojedynkować.

— Nie oskarżam nikogo, Najjaśniejszy Panie, ale pozostawiam Waszej Królewskiej Mości do rozstrzygnięcia, w jakim celu pięciu uzbrojonych ludzi udaje się w miejsce tak ustronne, jak okolice klasztoru Karmelitów.

— Tak, masz słuszność, Treville, masz słuszność.

— Skoro jednak ujrzeli moich muszkieterów, zmienili widocznie pierwotny zamiar; poszczególne ich własne nienawiści ustąpiły miejsca zbiorowej nienawiści do naszego korpusu; wiadomo bowiem Waszej Królewskiej Mości, że muszkieterowie, służący królowi i nikomu innemu, oprócz króla, są temsamem przyrodzonymi nieprzyjaciółmi gwardzistów, którzy pozostają na usługach pana kardynała.

— Tak jest, Treville, niestety — odpowiedział król melancholijnym tonem. — I tu właśnie, chciej mi wierzyć, jest niezmiernie smutno patrzeć, jak Francja dzieli się na takie dwie partje.... widzieć, że istnieją dwie głowy w królestwie. Ale to musi się zakończyć, Treville, musi się zakończyć. Powiadasz zatem, że gwardziści szukali zaczepki z muszkieterami?

— Mojem zdaniem jest bardzo prawdopodobne, że cała sprawa miała taki obrót, aczkolwiek nie mógłbym za to ręczyć głową, Najjaśniejszy Panie. Wiadomo, jak trudno jest rozeznać prawdę; trzeba mieć potemu conajmniej tak zadziwiający instynkt, jak człowiek, który nosi miano Ludwika XIII Sprawiedliwego....

— I masz słuszność, Treville. Ale twoi muszkieterowie nie byli sami; towarzyszył im także jakiś chłopiec?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, i jeden człowiek ranny, wobec czego trzej muszkieterowie królewscy, licząc wśród siebie jednego rannego i jedno chłopię, stawili czoło pięciu gwardzistom pana kardynała, szerzącym największy postrach, i co więcej czterech z nich powalili na ziemię.

— Ależ to zwycięstwo — zakrzyknął król rozpromieniony, — najzupełniejsze zwycięstwo!

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, niemal takie, jak przy moście nad rzeką Ce.

— Powiadasz zatem, że było ich czterech razem z jednym rannym i jednym dzieciakiem?

— Wyrostek to zaledwie, ale sprawił się tak dzielnie w tej potrzebie, że ośmielę się polecić go względom Waszej Królewskiej Mości.

— Jakże się nazywa?

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie. Jest to syn jednego z moich najdawniejszych przyjaciół, syn człowieka, który pod wodzą twego wielkiej pamięci ojca, Najjaśniejszy Panie, brał udział w wojnie patryzanckiej.

— I twierdzisz, że się dobrze sprawił ten młody człowiek? Opowiedz mi szczegółowo, Treville; wiesz przecie, jak lubię opisy wojen i potyczek.

I król Ludwik XIII podkręcił z dumą wąsa i wsparł się rękami o biodra.

— Najjaśniejszy Panie — mówił Treville, — jak już wspomniałem, d'Artagnan jest prawie dzieckiem, a ponieważ nie ma zaszczytu należeć do korpusu muszkieterów, miał na sobie zwyczajne ubranie. Gwardziści pana kardynała, spostrzegłszy jego wiek młodociany, a co więcej, przekonawszy się, że nie należy do korpusu, wezwali go, aby się usunął, zanim dojdzie do starcia.

— A zatem widzisz, Treville, że to oni pierwsi rozpoczęli atak — przerwał mu król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, nie można w to wątpić. Wezwali go zatem, aby się usunął; on zaś odpowiedział im, że sercem czuje się muszkieterem i jest najzupełniej oddany Jego Królewskiej Mości, że więc pozostanie z panami muszkieterami.

— Dzielny młodzieniec — szepnął król.

— Istotnie, pozostał z nimi, a Wasza Królewska Mość zyskuje w nim pierwszorzędnego zapaśnika; on to bowiem zadał Jussacowi ten straszny cios szpadą, z powodu którego pan kardynał rozgorzał tak wielkim gniewem.

— On miałby zranić Jussaca? — zawołał król, — to dziecko? Nie, nie, Treville, to chyba przywidzenie...

— A jednak stało się tak, jak miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Zranił Jussaca, który jest najpierwszym szermierzem w państwie!?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! Jussac znalazł swego mistrza.

— Pragnę zobaczyć tego młodego człowieka, mój Treville'u, pragnę go zobaczyć, a jeżeli będzie można coś dla niego uczynić, chętnie zajmiemy się jego losem.

— Kiedy Wasza Królewska Mość raczy go przyjąć?

— Jutro w południe, panie de Treville.

— Czy mam go samego przyprowadzić?

— Nie, przyprowadź mi wszystkich czterech. Pragnę podziękować wszystkim razem; wierne serca są dzisiaj rzadkie, panie de Treville, i należy wierność nagradzać.

— Stawimy się w południe w Luwrze, Najjaśniejszy Panie.

— Ale przyjdźcie przez boczne schody, Treville, przez boczne schody. Nie trzeba, aby kardynał wiedział o tem.

— Dobrze, Najjaśniejszy Panie.

— Rozumiesz, Treville: zakaz jest zakazem; koniec końcem zbrojne starcia są zabronione.

— Ale to spotkanie, Najjaśniejszy Panie, wykraczało przeciwko wszelkim zwyczajnym warunkom pojedynkowym; była to napaść poprostu, a dowodem tego, że do walki stanęło pięciu gwardzistów kardynała przeciwko trzem moim muszkieterom i panu d'Artagnan.

— To prawda — odpowiedział król, — ale mimoto nie wpływa to na sam fakt. Więc bądź co bądź, Treville, przyjdźcie bocznymi schodami.

Treville uśmiechnął się. Ale, ponieważ to, co otrzymał od tego dziecka, które buntowało się przeciwko swemu nadzorcy, było już bardzo wiele, oddał królowi ukłon, pełen szacunku, i oddalił się za jego zezwoleniem.

Tego samego jeszcze wieczoru trzej muszkieterowie dowiedzieli się o zaszczycie, jaki przypadł im w udziale. Ponieważ jednak znali króla od dawna, nie byli tem nazbyt przejęci; natomiast d'Artagnan dzięki swej gaskońskiej wyobraźni, dopatrywał się w tem uśmiechu fortuny i spędził noc całą, snując słodkie marzenia. Nazajutrz tej już o godzinie ósmej z rana znalazł się u Atosa.

D'Artagnan zastał muszkietera zupełnie ubranego i gotowego do wyjścia. Ponieważ dopiero w południe mieli się udać do króla, Atos podał projekt, aby wraz z Portosem i Aramisem zagrać w piłkę na boisku, znajdującem się w pobliżu stajen Luk-

semburga. Atos zaprosił d'Artagnana, aby im towarzyszył, a ten aczkolwiek nie znał wcale gry, albowiem nie grał w nią nigdy, zgodził się, nie wiedząc, co zrobić z czasem od godziny dziewiątej, którą właśnie wskazywał zegar, aż do południa.

Obaj muszkieterowie byli już na placu gry i zabawiali się, rzucając piłką do siebie. Atos, który był niezwykle biegły we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po przeciwnej stronie i rozpoczęli zapasy. Ale zaraz po pierwszym zrobionym ruchu, aczkolwiek grał lewą ręką, Atos doszedł do przekonania, że rana jego jest jeszcze nazbyt świeża, by mógł się oddawać tego rodzaju zabawie. D'Artagnan pozostał zatem sam, a ponieważ oświadczył, że posiada zamało wprawy, by prowadzić prawidłową grę, zadowolono się tylko rzucaniem sobie nawzajem piłek bez liczenia punktów. Ale jedna z piłek, ciśnięta herkulesową dłonią Portosa, przemknęła tak blisko jego twarzy, że — jak pomyślał — gdyby zamiast zboczyć, ugodziła w niego, posłuchanie u króla byłoby bezpowrotnie stracone, nie mógłby bowiem zaprezentować się w takim stanie. A ponieważ, wedle jego gaskońskiej wyobraźni, od posłuchania tego zależała cała jego przyszłość, skłonił się uprzejmie Portosowi i Aramisowi i, oświadczywszy, że nie pierwej podejmie walkę, aż będzie mógł śmiało stawić im czoło, odszedł i zajął miejsce wśród widzów poza ogrodzeniem.

Nieszczęściem dla d'Artagnana, wśród przyglądających się znalazł się gwardzista Jego Eminencji, który, rozdrażniony niedawną klęską swych towarzyszy, od wczoraj już cieszył się nadzieją, że uda mu się znaleźć sposobność do zemsty. I przekonany, że sposobność ta się właśnie nadarza, rzekł, zwracając się do jednego z sąsiadów:

— Niema się co dziwić, że ten młodzieniec tak się boi piłki; jest to niewątpliwie praktykant na muszkietera.

D'Artagnan odwrócił się, jakby ukąszony przez węża, i utkwił spojrzenie w gwardziście, który wypowiedział te ubliżające słowa.

— Ho, ho! — odezwał się tamten z jeszcze większą bezczelnością, podkręcając wąsa, — przypatruj się, ile ci się podoba, mój mały panie, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

— A ponieważ to, coś pan powiedział, jest aż nazbyt jasne, by słowa pańskie potrzebowały jakiegoś wyjaśnienia — odparł

d'Artagnan przytłumionym głosem, — przeto poproszę pana, byś się za mną udał.

— I kiedyż to? — zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

— Natychmiast, jeśli łaska.

— Wiadomo panu zapewne, kto jestem?

— Nie, nie wiem wcale i bynajmniej mnie to nie obchodzi.

— Bardzo niesłusznie; gdybyś pan bowiem znał moje nazwisko, może mniejby cię się spieszyło.

— Więc jak się pan zowiesz?

— Bernajoux, do usług.

— Dobrze więc, panie Bernajoux — odpowiedział spokojnie d'Artagnan, — oczekuję na pana przy bramie.

— Idź pan, spieszę za panem.

— Nie spiesz się pan zbytnio, aby nie zauważono, że wychodzimy razem; rozumie pan, że do tego, co chcemy uczynić, nie potrzebujemy zadużo widzów.

— To prawda — odpowiedział gwardzista zdziwiony, że jego nazwisko nie wywarło na młodzieńcu większego wrażenia.

Istotnie nazwisko Bernajoux było dobrze znane całemu światu, z wyjątkiem jednego d'Artagnana może; był on bowiem jednym z tych, którzy najczęściej brali udział w codziennych bójkach, mimo wszelkich edyktów króla i kardynała.

Portos i Aramis byli tak zajęci grą, a Atos śledził ich ruchy z takiem zainteresowaniem, że nie zauważyli wcale odejścia swego młodego towarzysza, który, zgodnie z tem, co oświadczył gwardziście Jego Eminencji, zatrzymał się przy bramie, gdzie niebawem i jego przeciwnik się zjawił. Ponieważ d'Artagnan nie miał czasu do stracenia wobec tego, że posłuchanie u króla było naznaczone na południe, rozejrzał się dokoła, a zauważywszy, że ulica jest zupełnie opustoszała, rzekł do swego przeciwnika:

— Na honor, jest to szczęściem dla pana, jakkolwiek nazywasz się Bernajoux, że masz się bić tylko z praktykantem na muszkietera; tem nie mniej postaram się jak najlepiej wywiązać z zadania. Baczność!

— Zdaje mi się jednak — oświadczył ten, którego d'Artagnan tak prowokował, — zdaje mi się, że miejsce jest źle wybrane i że lepiej byłoby nam walczyć poza opactwem Saint-Germain.

— To, co pan mówisz, jest niewątpliwie bardzo mądre —

odparł d'Artagnan, — na nieszczęście jednak nie rozporządzam czasem, mając w samo południe inne spotkanie. Do broni zatem, mój panie, do broni!

Bernajoux nie był człowiekiem, któremu trzebaby powtarzać dwukrotnie podobne wezwanie. W tej samej chwili szpada błysnęła mu w dłoni, rzucił się na przeciwnika, spodziewając się, że go onieśmieli wobec jego wielkiej młodości.

Lecz d'Artagnan już poprzedniego dnia przeszedł dobrą szkołę a podniecony jeszcze świeżo zwycięstwem, dumny przyszłem powodzeniem, postanowił nie ustąpić ani kroku. Toteż obie szpady związały się z sobą, aż po rękojeść, a ponieważ d'Artagnan stał twardo na miejscu, przeciwnik jego musiał się nieco cofnąć. D'Artagnan wykorzystał tę chwilę, a raczej, korzystając z tego ruchu, kiedy żelazo Bernajoux'a zboczyło z linji prostej, zamachnął się, zaatakował i ugodził w ramię swego przeciwnika. Wtedy dopiero d'Artagnan cofnął się o krok i opuścił szpadę. Ale Bernajoux zakrzyknął, że rana jest bez znaczenia, i w zaślepieniu rzuciwszy się naprzód, sam natknął się na szpadę. Ponieważ jednak nie upadł i nie uznał się za pokonanego, a tylko cofał się ku pałacowi pana de Tremouille, u którego w służbie pozostawał jeden z jego krewnych, d'Artagnan, nie wiedząc, jak ciężka jest rana, którą otrzymał jego przeciwnik, nacierał dalej ostro i byłby niewątpliwie zadał mu trzeci cios. Tymczasem jednak posłyszano na placu gry w piłkę hałas, wszczęty na ulicy, a dwaj przyjaciele gwardzisty, którzy poprzednio zasłyszeli kilka słów jego rozmowy z d'Artagnanem i zauważyli, że po tych słowach wyszedł, wybiegli teraz ze szpadami w dłoniach i natarli na zwycięzcę. Ale Atos, Portos i Aramis pojawili się również na widowni i w chwili, gdy obydwaj gwardziści uderzyli na ich młodego towarzysza, zmusili ich do cofnięcia się. W tej samej chwili Bernajoux runął na ziemię, a gwardziści, widząc, że we dwóch stoją przeciw czterem, poczęli wołać:

— Do nas tu z pałacu pana de Tremouille!

Na krzyk ten wyległo wszystko, co żyło w pałacu, i uderzyło na czterech towarzyszów, którzy teraz także nie szczędzili nawoływań:

— Do nas tutaj, muszkieterowie!

Krzyk ten głośnem rozległ się echem. Wiadomo było, że muszkieterowie są wrogo usposobieni dla Jego Eminencji, i lubio-

no ich za tę nienawiść, jaką żywili dla kardynała. To też gwardziści z innych pułków, poza tymi, które służyły Czerwonemu Księciu, jak go nazywał Aramis, stawali zwykle w bójkach tego rodzaju po stronie muszkieterów królewskich. Z pośród trzech gwardzistów z pułku pana des Essarts, którzy właśnie przechodzili, dwaj pospieszyli z pomocą naszym czterem towarzyszom, trzeci zaś pobiegł do pałacu pana de Treville, wołając:

— Na pomoc, muszkieterowie, na pomoc!

Jak zazwyczaj, pałac pana de Treville był przepełniony żołnierzami, którzy natychmiast pospieszyli z sukursem swoim towarzyszom; bójka stała się powszechną, ale przewaga była po stronie muszkieterów. Gwardziści kardynała i dworacy pana de la Tremouille cofnęli się zatem do pałacu, zamykając za sobą jego bramy dość jeszcze szybko, aby przeszkodzić nieprzyjaciołom wedrzeć się tam razem z nimi. Ranionego jeszcze przedtem przeniesiono do pałacu, i to, jak wspomnieliśmy, w bardzo złym stanie.

Wzburzenie wśród muszkieterów i ich sprzymierzeńców doszło do szczytu; zaczęto się już zastanawiać nad tem czyby nie podłożyć ogień pod pałac w celu ukarania tej bezczelności, jaką okazali domownicy pana de la Tremouille, uderzając na muszkieterów królewskich. Myśl przyjęto z entuzjazmem, kiedy na szczęście wybiła godzina jedenasta. D'Artagnan i jego towarzysze przypomnieli sobie o posłuchaniu, a ponieważ żal im było, aby tak piękna zabawa bez nich się odbyła, poczęli uspokajać rozpalone głowy. Zadowolniono się zatem rzuceniem kilku kamieni w bramy pałacu, które jednak oparły się atakowi, poczem zaniechano i tego także, tem więcej, że ci których należało uważać za przywódców wyprawy, od pewnej chwili usunęli się z tłumu i pospieszyli do pałacu pana de Treville. Ten oczekiwał już na nich, uwiadomiony o zaszłem starciu.

— Szybko do Luwru! — wołał, — szybko do Luwru! Starajmy się zobaczyć z królem, zanim kardynał zdoła go uprzedzić. Przedstawimy mu to zajście, jako dalszy ciąg wczorajszej sprawy, i załatwimy obie równocześnie.

Pan de Treville pospieszał więc do Luwru w towarzystwie czterech młodych ludzi. Ale, ku niezmiernemu jego zdziwieniu, oświadczono kapitanowi muszkieterów, że król udał się na polowanie na jelenie do lasu Saint-Germain. Pan de Treville kazał sobie dwukrotnie powtórzyć tę nowinę, a towarzysze jego mogli

zauważyć, jak z każdą chwilą twarz zachmurzała mu się coraz bardziej.

— Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar udać się na to polowanie? — zapytał.

— Nie, Wasza Ekscelencjo — odpowiedział pokojowiec; — dopiero dzisiaj rano przybył wielki łowczy z wiadomością, że w nocy wytropiono jelenia dla króla. Monarcha oświadczył zrazu, że nie pojedzie na polowanie, później jednak nie mógł sobie odmówić przyjemności, jaką nastręczało to polowanie i po śniadaniu wyruszył w drogę.

— Czy król widział się z kardynałem?

— To bardzo prawdopodobne — odparł pokojowiec, — ponieważ widziałem dzisiaj zaprzężoną karocę Jego Eminencji, a na zapytanie, dokąd się udaje otrzymałem odpowiedź: Do Saint-Germain.

— Wyprzedzono nas — rzekł pan de Treville. — Wieczorem, moi panowie, zobaczę się z królem; wam jednak nie radzę tego próbować.

Rada była zbyt rozumna, a prócz tego dawał ją człowiek nazbyt dobrze znający króla, aby młodzi ludzie mogli się jej w czemś opierać. Pan de Treville wezwał ich, aby każdy powrócił do swego domu i tam oczekiwał wiadomości od niego.

Wracając do pałacu, pan de Treville zastanowił się, czyby nie było najlepiej, gdyby sam jako pierwszy wystąpił ze skargą. Wysłał zatem jednego ze swoich domowników do pana de la Tremouille, prosząc go listownie, aby wydalił ze swego domu gwardzistów pana kardynała i aby skarcił swych własnych żołnierzy za zuchwałą napaść na muszkieterów. Ale pan de la Tremouille, już uprzedzony przez swego koniuszego, którego krewnym — jak wspomniano — był Bernajoux — odpowiedział, że ani pan de Treville, ani jego muszkieterowie nie mają powodów do skargi; przeciwnie, skarżyć się może on sam jeden tylko, ponieważ muszkieterowie napadli na jego ludzi i chcieli mu podpalić pałac. Gdy rokowania między obu panami groziły przewleczeniem się, ponieważ każdy upierał się przy swojem zdaniu, pan de Treville obmyślił inny sposób, mogący wszystko załatwić: postanowił udać się osobiście do pana de la Tremouille.

Pojechał tam natychmiast i kazał oznajmić swe przybycie.

Obaj panowie powitali się uprzejmie, bo jakkolwiek nie łączyła ich przyjaźń, to jednak mieli przynajmniej dla siebie wza-

jemny szacunek. Obaj byli ludźmi uczucia i honoru, a ponieważ pan de la Tremouille, jako protestant, rzadko widywał króla i nie należał do żadnego stronnictwa, więc w zasadzie nie kierował się też w stosunkach społecznych żadnemi zgoła uprzedzeniami. Tem nie mniej tym razem powitanie jego, aczkolwiek uprzejme, było bardziej zimne, aniżeli zazwyczaj.

— Panie — rzekł pan de Treville, — wydaje się nam obu, że mamy sobie nawzajem coś do wyrzucenia; przybywam zatem osobiście, aby wspólnie wyświetlić tę sprawę.

— Jak najchętniej — odpowiedział pan de la Tremouille; — ale muszę uprzedzić pana, że jestem o niej dobrze powiadomiony i że cała odpowiedzialność spaść musi na pańskich muszkieterów.

— Jesteś pan człowiekiem zbyt sprawiedliwym i zbyt mądrym — mówił pan de Treville, — abyś nie miał przyjąć propozycji, z jaką przychodzę.

— Proszę, słucham pana.

— Jak się miewa pan Bernajoux, krewny pańskiego koniuszego?

— Bardzo źle, panie. Prócz cięcia szpadą, które otrzymał w ramię, a które nie jest bynajmniej niebezpieczne, został ugodzony drugim ciosem, który przebił płuco, tak, że lekarz bardzo niekorzystnie wyraża się o stanie jego zdrowia.

— Ale ranny zachował przytomność umysłu?

— Najzupełniej.

— A czy może mówić?

— Z trudnością, ale mówi.

— A zatem proszę pana, pójdźmy do niego. Zaklnijmy go na miłość Boga, przed sądem którego będzie może musiał stanąć niedługo, aby powiedział prawdę. Biorę go na świadka w jego własnej sprawie i uwierzę bezwzględnie temu, co powie.

Pan de la Tremouille zastanowił się chwilę, potem zaś zgodził się, trudno było bowiem znaleźć rozsądniejszą propozycję.

Obaj udali się do pokoju, gdzie leżał ranny. Ujrzawszy dwóch szlachetnych panów, przychodzących go odwiedzić, usiłował podnieść się i oprzeć na łóżku był jednak nazbyt osłabiony i wyczerpany wysiłkiem, jakiego dokonał, opadł więc z powrotem, prawie bezprzytomny.

Pan de la Tremouille podszedł ku niemu i dał mu powąchać soli, które go orzeźwiły, poczem pan de Treville, pragnąc unik-

nąć zarzutu, że wpływa na chorego zwrócił się z prośbą do pana de la Tremouille, aby sam go wypytał.

Stało się tak, jak przewidywał pan de Treville. Bernajoux, znajdujący się między życiem a śmiercią, nie miał ani przez chwilę zamiaru ukrywania prawdy i opowiedział obu panom najdokładniej przebieg całej sprawy.

Niczego więcej nie żądał pan de Treville. Złożył choremu życzenie rychłego powrotu do zdrowia, pożegnał się z panem de la Tremouille, wrócił do swego pałacu i zawiadomił czterech przyjaciół, że oczekuje ich na obiedzie.

Pan de Treville przyjmował u siebie wyborowe towarzystwo, zresztą usposobione wrogo dla kardynała. Łatwo się też domyślić, że podczas całego obiadu rozmowa toczyła się wyłącznie o porażkach, jakie odnieśli gwardziści Jego Eminencji. A ponieważ d'Artagnan był bohaterem obu tych dni, jemu więc wszyscy składali życzenia. Atos, Portos i Aramis pozwalali mu cieszyć się niemi w całej pełni, nietylko jako dobrzy towarzysze, ale jako ludzie, którzy dość często odbierali sami pochwały i nie potrzebowali zazdrościć ich drugiemu.

Około godziny szóstej pan de Treville oznajmił, że nadszedł czas udać się do Luwru. Ale ponieważ godzina posłuchania, naznaczona przez Jego Królewską Mość, już minęła zamiast więc wchodzić bocznymi schodami, stanął z czterema młodymi ludźmi w przedpokoju. Król nie powrócił jeszcze z polowania. Nasi młodzi ludzie musieli czekać około pół godziny, zmieszani z tłumem dworzan, zanim wreszcie rozwarły się wszystkie drzwi i oznajmiono przybycie Jego Królewskiej Mości.

Usłyszawszy to oznajmienie, d'Artagnan zadrżał aż do szpiku kości. Nadchodząca chwila miała, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, rozstrzygnąć o całem jego dalszem życiu. Z trwogą wlepił oczy w drzwi, przez które miał wejść król.

Ludwik XIII ukazał się, idąc na samym przodzie w stroju pokrytym pyłem, w wysokich butach, z harapem w ręku. Na pierwszy rzut oka d'Artagnan osądził, że w umyśle królewskim wre burza.

Jakkolwiek wszyscy spostrzegli to usposobienie, nie przeszkodziło to dworzanom ustawić się wzdłuż całej drogi króla. Bo w przedpokojach królewskich lepiej zostać zmierzonym choćby rozgniewanem spojrzeniem, niż nie zostać zauważonym wcale. Trzej muszkieterowie nie zawahali się także, lecz postąpili krok

naprzód, — natomiast d'Artagnan pozostał ukryty poza nimi. Ale chociaż król znał osobiście Atosa, Portosa i Aramisa, przeszedł obok nich, nie zwracając na nich uwagi, nie przemówiwszy ani słowa, jak gdyby nie widział ich nigdy w życiu. Pan de Treville, gdy spojrzenie królewskie na nim spoczęło, wytrzymał je tak śmiało, że raczej król musiał opuścić oczy. Poczem, mrucząc gniewnie, Jego Królewska Mość wszedł do swoich apartamentów.

— Sytuacja źle się przedstawia — zauważył Atos z uśmiechem; — tym razem nie zostaniemy jeszcze kawalerami orderu.

— Zaczekajcie tu dziesięć minut — rzekł pan de Treville; — jeżeli zaś nie wyjdę za dziesięć minut, wróćcie do mnie do pałacu; w takim bowiem wypadku dalsze czekanie tutaj będzie bezcelowe.

Czterej młodzi ludzi czekali dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a gdy pan de Treville nie ukazywał się jeszcze ciągle, wyszli wreszcie, zaniepokojeni bardzo tem, co nastąpi.

Pan de Treville wszedł śmiało do gabinetu króla i zastał Jego Królewską Mość w jaknajgorszym humorze. Monarcha siedział na fotelu i rękojęcią harapa uderzał po butach. Nie przeszkodziło to panu de Treville zapytać o zdrowie króla z największym spokojem.

— Niedobrze, panie, niedobrze — odpowiedział król; — nudzę się.

Była to w istocie najgorsza choroba Ludwika XIII, który niejednokrotnie zwykł był brać za ramię jednego z dworzan, prowadził go ku oknu i mawiał: Panie taki a taki, nudźmy się razem.

— Jakto! Wasza Królewska Mość się nudzi? — rzekł pan de Treville. — Czyż polowanie dzisiejsze nie było przyjemne?

— Ładna przyjemność, mój panie. Na honor, wszystko się wyradza, i nie wiem, czy to zwierzyna nie zostawia teraz śladów, czy też psy potraciły nosy. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, ścigamy go przez dziesięć godzin, a kiedy trzymamy go już niemal, kiedy Saint-Simon przykłada już róg do ust, aby zatrąbić hallali, nagle cała sfora zmienia kierunek pościgu i puszcza się za dwulatkiem. Przekonacie się, że będę zmuszony zaprzestać polowań z nagonką, tak, jak zaniechałem polowań z sokołami. Ach! panie de Treville, jestem nieszczęśliwym królem; miałem jednego tylko białozora, i ten zdechł onegdaj.

— Istotnie, Wasza Królewska Mość, rozumiem tę rozpacz; nieszczęście jest wielkie. Ale, jak mi się zdaje, pozostało jeszcze Waszej Królewskiej Mości sporo sokołów, krogulców i drapieżników.

— I niema nikogo, ktoby je tresował; niema już sokolników; ja jeden tylko znam jeszcze tę sztukę. A gdy mnie nie stanie, wówczas polować się będzie z pomocą sideł, siatek i dołów. Gdybym miał choć czas wykształcić uczniów! Ależ cóż! pan kardynał nie pozostawia mi wolnej chwili, prawi mi ustawicznie o Hiszpanji, prawi o Austrji, prawi mi o Anglji! Ale, a propos pana kardynała, panie de Treville: jestem niezadowolony z pana.

Pan de Treville oczekiwał tego zwrotu. Znał króla na wskróś i wiedział dobrze, że wszystkie jego skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca, którym król chciał sobie sam dodać odwagi, i wiedział, że zajdzie wreszcie tam, dokąd zmierza.

— A czemże to miałem nieszczęście wywołać niezadowolenie Waszej Królewskiej Mości? — pytał pan de Treville, udając niezmiernie głębokie zdumienie.

— Więc to w ten sposób wypełniasz pan swoje obowiązki? — mówił król, nie odpowiadając wprost na zapytanie pana de Treville, — więc to dlatego mianowałem pana kapitanem moich muszkieterów, aby ci mordowali mi człowieka, buntowali całą dzielnicę i chcieli podpalić Paryż, nie słysząc za to wszystko z ust pańskich ani jednego słowa nagany? Ale zresztą jestem przekonany — mówił król dalej, — że oskarżam cię nazbyt pospiesznie i że niewątpliwie ci, którzy zakłócili spokój, są już w więzieniu i że przybywasz mi donieść, iż sprawiedliwości stało się zadość.

— Najjaśniejszy Panie — odparł spokojnie pan de Treville, — przychodzę prosić cię o coś zupełnie przeciwnego i domagać się sprawiedliwości.

— Przeciwko komu? — zawołał król.

— Przeciwko oszczercom — odpowiedział pan de Treville.

— Ach! otóż to coś zupełnie nowego — przerwał król. — Może mi pan powiesz, że ci trzej twoi przeklęci muszkieterzy, Atos, Portos i Aramis, i ten twój kadet bearneński nie napadli, jak wściekli, na tego biednego Bernajoux i nie zmaltretowali go w ten sposób, że jest bardzo wątpliwe, czy jeszcze dycha w tej chwili? Może mi pan powiesz, że nie oblegli następnie pałacu

księcia de la Tremouille i nie chcieli go podpalić? W czasach wojennych nie byłoby to wielkiem nieszczęściem, zważywszy, że jest to gniazdo hugenockie; ale w czasach pokoju przykład ohydny. Może mi pan powiesz, że to wszystko nieprawda?

— A któż to opowiedział ci tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? — zapytał z całym spokojem pan de Treville.

— Któż inny miał mi tę piękną historję opowiedzieć, mój panie, jeżeli nie ten, który czuwa, kiedy ja śpię, który pracuje, kiedy ja się bawię, który kieruje wszystkiem wewnątrz i zewnątrz królestwa, we Francji i w Europie?

— Najjaśniejszy Pan chce mówić zapewne o Bogu — rzekł pan de Treville, — bo nie wiem doprawdy, kto oprócz Boga byłby potężniejszy od Waszej Królewskiej Mości.

— Nie, panie, chcę mówić o podporze państwa, o moim jedynym przyjacielu, o panu kardynale.

— Jego Eminencja nie jest Jego Świątobliwością, Najjaśniejszy Panie.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Że tylko jeden papież jest nieomylny i że nieomylność ta nie rozciąga się na kardynałów.

— Chcesz pan powiedzieć, że mnie oszukuje; chcesz pan powiedzieć, że mnie zdradza. Oskarżasz go pan zatem. Dobrze, zobaczymy; proszę więc, wyznaj pan szczerze, o co go pan obwiniasz.

— Nie obwiniam, Najjaśniejszy Panie, ale twierdzę, że sam się myli; twierdzę, że był źle powiadomiony; twierdzę, że zbyt pospiesznie oskarżył muszkieterów Waszej Królewskiej Mości, wobec których popełnił niesprawiedliwość, i że nie czerpał swych wiadomości z dobrych źródeł.

— Oskarżycielem jest pan de la Tremouille, jest sam książę. Cóż pan odpowiesz na to?

— Mogę odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że książę jest nazbyt zainteresowany w tej sprawie, aby mógł być zupełnie bezstronnym świadkiem. Lecz nie chcę tego twierdzić i, znając księcia, jako prawego szlachcica, gotów jestem zgodzić się na to, co powie, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

— A mianowicie?

— Że Najjaśniejszy Pan wezwie go do siebie, wypyta, ale sam, w cztery oczy, bez świadków, i że będę miał zaszczyt być przyjętym na posłuchaniu niezwłocznie po przyjęciu księcia.

— Niech i tak będzie — burknął król; — ale zgodzisz się pan na to, co oświadczy pan de la Tremouille?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Zdajesz się na jego sąd?

— Niewątpliwie.

— I dasz zadośćuczynienie, jakiegoby zażądał?

— W całej pełni.

— La Chesnaye! — wołał król — La Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, który zawsze wyczekiwał przy drzwiach, wszedł do pokoju.

— La Chesnaye — oświadczył król, — trzeba natychmiast posłać po pana de la Tremouille. Chcę mówić z nim dziś wieczorem.

— Wasza Królewska Mość zaręcza mi, że nie zobaczy się z nikim w przerwie między bytnością pana de la Tremouille a moją?

— Z nikim, ręczę słowem.

— Do jutra zatem, Najjaśniejszy Panie.

— Do jutra, panie de Treville.

— O której godzinie rozkazuje mi przybyć Wasza Królewska Mość.

— O której pan chcesz.

— Przybywając zbyt wcześnie rano, obawiałbym się zbudzić Waszą Królewską Mość.

— Mnie zbudzić? Alboż ja śpię kiedy? Nie sypiam, panie; zdrzemnę się niekiedy, i to wszystko. Przyjdź więc tak rano, jak chcesz.... o godzinie siódmej. Ale biada, jeżeli twoi muszkieterowie są winni.

— Jeżeli moi muszkieterowie są winni, Najjaśniejszy Panie, w takim razie winni zostaną oddani w ręce Waszej Królewskiej Mości, która zarządzi karę wedle swego własnego uznania. Czy Wasza Królewska Mość domaga się jeszcze czegoś więcej? jestem zawsze posłuszny rozkazom Waszej Królewskiej Mości.

— Nie, panie, nie; nie bez słuszności nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, do jutra.

— Niech Bóg ma w opiece Waszą Królewską Mość!

Jeżeli król sypiał nie tęgo, pan de Treville spał tej nocy jeszcze gorzej. Jeszcze tego samego wiczora zawiadomił swych trzech muszkieterów i ich towarzysza, aby nazajutrz stawili się u niego o godzinie szóstej i pół rano. Zabrał ich z sobą, nic nie

potwierdzając, nic nie przyrzekając i nie ukrywając bynajmniej, że zarówno o łaskę dla nich, jak i dla niego samego nawet, zostały rzucone kości.

Przybywszy do bocznych schodów, kazał im tam zaczekać. Gdyby król był w dalszym ciągu na nich rozgniewany, mieli się oddalić, nie będąc widziani; gdyby natomiast król zgodził się ich przyjąć wystarczało ich tylko przywołać.

Wszedłszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Treville zastał tam La Chesnay'a który oznajmił mu, że poprzedniego wieczoru nie odnaleziono księcia de la Tremouille w pałacu, że powrócił zapóźno, aby się jeszcze stawić w Luwrze, i że w tej właśnie chwili jest u króla na posłuchaniu.

Okoliczność ta była panu de Treville bardzo na rękę, albowiem dzięki temu mógł mieć pewność, że między zeznania pana de la Tremouille a jego obecność nie zdoła się wkraść żaden wpływ obcy.

Istotnie upłynęło zaledwie dziesięć minut, gdy drzwi gabinetu królewskiego zostały otwarte, a pan de Treville ujrzał księcia de la Tremouille, wychodzącego od króla. Książę podszedł ku niemu i rzekł:

— Panie de Treville. Jego Królewska Mość polecił mnie wezwać, aby się wywiedzieć, jaki był przebieg wypadków, które rozegrały się wczoraj w moim pałacu. Powiedziałem prawdę, to znaczy, że winę ponoszą moi ludzie i że gotów jestem usprawiedliwić się przed panem. A skoro pana spotykam, zechciej pan przyjąć moje przeproszenie i uważać mnie odtąd za jednego ze swoich przyjaciół.

— Mości książę — odpowiedział pan de Treville, — ufałem tak pańskiej prawości, że nie pragnąłem mieć wobec Jego Królewskiej Mości innego obrońcy, jak pana. Przekonywam się, że się nie pomyliłem, i dziękuję panu, że jest jeszcze w Francji człowiek, o którym można bez obawy pomylenia się powiedzieć to, co powiedziałem o panu.

— Dobrze, dobrze — odezwał się król który słyszał tę wymianę grzeczności, stojąc we drzwiach; — ale powiedz mu także, Treville, skoro się mieni jednym z twych przyjaciół, że i ja pragnąłbym go zaliczać do swoich; tymczasem zaniedbuje mnie: nie widziałem go od trzech lat, a wogóle widuję go tylko wtedy, gdy sam poślę po niego. Powiedz mu to odemnie, ponieważ o kwestjach podobnych nie wypada mówić samemu monarsze.

— Dziękuję, Najjaśniejszy Panie, dziękuję — odpowiedział książę; — ale niech Wasza Królewska Mość będzie przekonany, że nie ci właśnie, nie mówię tu o panu de Treville, że nie ci właśnie są mu najwięcej oddani, których o każdej porze widzi obok siebie.

— Ach! usłyszałeś, co powiedziałem; tem lepiej, książe, tem lepiej — przemówił król, wychodząc z poza drzwi. — Ach! to pan, panie de Treville? A gdzież są pańscy muszkieterowie? przecież poleciłem panu przedwczoraj przyprowadzić ich; dlaczegoż nie uczyniłeś tego?

— Oczekują na dole, a za zezwoleniem Waszej Królewskiej Mości La Chesnaye pójdzie ich przywołać.

— Dobrze, dobrze, niech przyjdą; dochodzi już ósma godzina, a o dziewiątej oczekuję odwiedzin. Możesz pan odejść mości książę, lecz przedewszystkiem wracaj. Pójdź pan, panie de Treville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili, gdy drzwi się otwierały, na schodach ukazali się trzej muszkieterowie z d'Artagnanem, prowadzeni przez La Chesnaye'a.

— Pójdźcież, zuchy, pójdźcie — odezwał się król; — muszę was wyłajać.

Muszkieterowie zbliżyli się z ukłonem; d'Artagnan postępował na samym końcu.

— Tam do djabła! — ciągnął dalej król, — czterech was jest, a w ciągu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzistów Jego Eminencji niezdolnymi do walki! To za wiele, moi panowie, to za wiele. Gdyby tak trwało dalej, Jego Eminencja byłby zmuszony w ciągu trzech tygodni odnowić swoje zastępy, a ja obostrzyć edykty do granic ostatecznej surowości. Nie mówię nic, gdyby tak jeden gwardzista, przypadkiem; ale siedmiu w ciągu dwóch dni to za wiele, powtarzam, to zbyt wiele.

— Przychodzą też pełni smutku i żalu, aby przeprosić Waszą Królewską Mość.

— Pełni smutku i żalu! Hm! hm! — mruknął król, — nie dowierzam ja już ich obłudnym twarzom. Jest tu zresztą wśród nich jedna figura gąskońska. Zbliżno się pan tutaj.

D'Artagnan, który pojął, że komplement ten był do niego skierowany, podszedł bliżej, z twarzą możliwie najbardziej zrozpaczoną.

— Więc tak! Czemużeś to mówił, że to jest młodzieniec?

Przecież to dziecko, panie de Treville, istne dziecko! I to on miał zadać ten okrutny cios szpadą Jussacowi?

— I te dwa piękne ciosy, jakie otrzymał Bernajoux.

— Nie do wiary!

— Nie licząc już tego, że, gdyby nie był mnie wyrwał z rąk Cahusaca, nie miałbym w tej chwili z całą pewnością tego zaszczytu, by złożyć Waszej Królewskiej Mości cześć najpokorniejszą — rzekł Atos, składając głęboki ukłon królowi.

— Ależ to wcielony szatan ten Bearneńczyk! Daj go katu, panie de Treville! jak zwykł był mawiać mój nieboszczyk ojciec. Przy takiem rzemiośle musi niszczyć sporo kaftanów i łamać sporo rapierów. A wiadomo, że Gaskończycy są zawsze biedni, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, mogę zapewnić, że w górach ich nie znaleziono jeszcze kopalni złota, aczkolwiek należałby się im niewątpliwie od Stwórcy ten cud w nagrodę za męstwo, z jakiem walczyli w obronie praw ojca Waszej Królewskiej Mości.

— Co znaczy innemi słowy, że to sami Gaskończycy zrobili mnie królem... nieprawdaż, panie de Treville, skoro jestem synem swojego ojca? Dobrze, niech i tak będzie, nie przeczę! La Chesnaye, pójdźno zobaczyć, czy, przetrząsnąwszy moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistolów; a jeżeli je znajdziesz, podaj mi je. A teraz słuchaj młodzieńcze, połóż rękę na sercu i powiedz, jak to było naprawdę?

D'Artagnan opowiedział wypadki dnia wczorajszego z wszystkimi szczegółami; opowiadał, jak, nie mogąc zasnąć z radości, że będzie oglądał Jego Krolewską Mość, poszedł na trzy godziny przed posłuchaniem do swoich przyjaciół, jak udali się razem na zabawę w piłkę i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, został wyśmiany przez pana Bernajoux, i wreszcie, jak tenże omal życiem nie zapłacił za szyderstwo, a pan de la Tremouille, który nie zawinił w niczem, omal nie postradał pałacu.

— Zgadza się — mruknął król; — to samo opowiadał o zajściu także książę. Biedny kardynał! stracił siedmiu ludzi w ciągu tych dwu dni, i to najbardziej ulubionych. Ale dosyć już tego, moi panowie! słyszycie? dosyć! Pomściliście się za ulicę Ferou, i to nad miarę; powinniście się tem zadowolnić.

— Jeżeli Wasza Królewska Mość jest zadowolona — oświadczył pan de Treville, — to i my także.

— Tak, jestem zadowolony — dodał król, biorąc garść złota z ręki La Chesnaye'a i kładąc je w dłoń d'Artagnana. — A oto dowód mego zadowolenia.

W owej epoce pojęcia godności, dzisiaj kurs mające, nie były jeszcze w modzie. Szlachcic przyjmował od króla pieniądze z ręki do ręki, nie czując się przez to bynajmniej upokorzonym. Toteż d'Artagnan schował do kieszeni czterdzieści pistolów i nie tylko nie robił żadnych ceremonji, ale przeciwnie, podziękował za nie jaknajgoręcej Jego Królewskiej Mości.

— A teraz — rzekł król, spoglądając na zegarek, — a teraz skoro jest już pół do dziewiątej, możecie się panowie oddalić, ponieważ, jak wspomniałem, oczekuję na kogoś o godzinie dziewiątej. Dziękuję wam za waszą wierność, panowie. Wszak mogę na nią liczyć? nieprawdaż?

— Och, Najjaśniejszy Panie — zakrzyknęli, jak jeden mąż, wszyscy czterej towarzysze, — damy się porąbać w kawały dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział król. — Ale szanujcie wasze zdrowie; tak będzie lepiej, a i dla mnie staniecie się w ten sposób bardziej użyteczni. Panie de Treville — dodał król półgłosem, podczas gdy tamci już wychodzili, — ponieważ niema wolnego miejsca w szeregach muszkieterskich i ponieważ prócz tego postanowiliśmy, że, aby się dostać do nich, trzeba odbyć nowicjat, przeto umieść pan tego młodego człowieka w kompanji gwardzistów pana des Essarts, swojego szwagra. Ach, dalibóg! panie de Treville, jakże ja się cieszę na myśl o tem, jak się skrzywi pan kardynał, dowiedziawszy się o wszystkiem. Będzie z pewnością wściekły. Ale nic mnie to nie obchodzi, bo jestem przecież w swojem prawie.

I król pożegnał skinieniem ręki pana de Treville, który po wyjściu dogonił swoich muszkieterów i zastał ich przy podziale czterdziestu pistolów, które otrzymał d'Artagnan.

A kardynał był rzeczywiście, wściekły, jak to Najjaśniejszy Pan przewidział, tak wściekły, że przez ośm dni nie przychodził wcale grać z królem w szachy, co bynajmniej nie przeszkadzało monarsze, że uśmiechał się do niego najuprzemniej w świecie i za każdym razem, kiedy go spotkał, wypytywał możliwie najczulszym głosem:

— I cóż, panie kardynale? jakże się miewa ten twój biedak Bernajoux i ten twój nieszczęśliwy Jussac?

VII.

MUSZKIETEROWIE U SIEBIE.

Gdy d'Artagnan po wyjściu z Luwru zasięgnął rady swych przyjaciół, jaki użytek należałoby zrobić z przypadającej mu części czterdziestu pistolów, Atos doradził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie Pomme-de-Pin, — Portos, aby przyjął lokaja — a Aramis, aby postarał się o przyjemną kochankę.

Uczta odbyła się jeszcze tego samego dnia, a lokaj posługiwał już przy niej. Atos objął kierownictwo nad przebiegiem uczty. Portos nastręczył lokaja; był to Pikardyjczyk, którego pyszny muszkieter zwerbował tego samego dnia i z tej właśnie okazji w pobliżu mostu de la Tournele, gdy zabawiał się tworzeniem kółek, plując w wodę.

Portos utrzymywał, że zajęcie służącego jest dowodem organizacji duchowej, odznaczającej się rozmysłem i rozwagą, i zawarł z nim ugodę bez żadnego innego polecenia. Wielkopański gest szlachcica, do którego miał wejść w służbę, jak sądził, zachęcił Plancheta — tak się nazywał Pikardyjczyk. Doznał jednakże małego rozczarowania, skoro się przekonał, że miejsce u tego pana było już zajęte przez jego ziomka, nazwiskiem Mousqueton, i skoro Portos oświadczył mu, że aczkolwiek prowadził dom na wielką stopę, nie potrzebuje dwóch służących i że jego zadaniem jest służyć d'Artagnanowi. Wszelako, kiedy był obecny przy uczcie, wydanej przez swego nowego pana, i kiedy ujrzał, jak płaci, dobywając z kieszeni kiesę, pełną złota, uwierzył, że los mu sprzyja, i dziękował niebu, że dostał się do takiego Krezusa. W przekonaniu tem trwał aż do końca uczty, której resztkami wynagrodził sobie długą wstrzemięźliwość. Wieczorem jednak, gdy zabrał się do posłania łóżka swemu panu, pierzchły złudzenia. Łóżko było bowiem jedynym sprzętem w całym apartamencie, złożonym z przedpokoju i sypialni. Plan-

chet ułożył się w przedpokoju na kołdrze, wziętej z łóżka d'Artagnana, bez której d'Artagnan musiał się odtąd obywać.

Atos miał do posługi pachołka, którego sam wykształcił w szczególny sposób, a który nazywał się Grimaud. Dostojny ten pan — mówimy oczywiście o Atosie — był z natury milczący. Od pięciu, czy sześciu lat, odkąd pozostawał w związkach najściślejszej przyjaźni ze swymi towarzyszami, Portosem i Aramisem, widywali go niekiedy uśmiechniętego, lecz nigdy nie słyszeli jego śmiechu. Słowa jego były krótkie i zwięzłe, a zawsze wyrażały to tylko, co chciał powiedzieć, nic więcej; nie było w nich żadnych upiększeń, żadnych omówień, żadnych przenośni. Rozmowa jego była istotną, bez jakiegokolwiek epizodu.

Aczkolwiek Atos miał zaledwie trzydzieści lat i odznaczał się pięknością ciała i zaletami umysłu, nikt nie słyszał nigdy, aby miał kochankę. Sam nie mówił nigdy o kobietach. Pozwalał jedynie innym rozmawiać na ten temat w swojej obecności, chociaż łatwo można było dostrzedz, że ten rodzaj rozmowy, w którą tylko niekiedy wtrącał zgryźliwe słowo lub spostrzeżenie mizantropa, jest mu bardzo niemiły. Wskutek swej skrytości, dzikości i uporczywego milczenia sprawiał wrażenie starca nieledwie. Aby nie krępować się w swych przyzwyczajeniach, przyuczył Grimauda do tego, że wyczytywał jego rozkazy z prostego gestu lub poruszenia ust nawet. Przemawiał do niego tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Niekiedy Grimaud, który bał się swego pana, jak ognia, a równocześnie żywił głębokie przywiązanie do jego osoby i wielką cześć dla jego rozumu, w mniemaniu, że doskonale zrozumiał, czego od niego żądają, pędził aby wypełnić otrzymany rozkaz i spełniał go wręcz przeciwnie, niż należało. W takich wypadkach Atos wzruszał tylko ramionami i, nie wpadając zresztą wcale w gniew, trzepał mu skórę. W takich też dniach stawał się wymowniejszym.

Portos, jak można było zauważyć, miał usposobienie wręcz odmienne, aniżeli Atos. Nietylko mówił dużo, ale mówił też głośno. Mało mu zresztą zależało na tem — oddajmy mu tę sprawiedliwość, — czy go ktoś słucha, czy nie; mówił dla samej przyjemności mówienia i dla przyjemności słuchania swego głosu; mówił o wszystkiem, z wyjątkiem nauk, objawiając ku nim wrodzoną niechęć, zaszczepioną mu już od dzieciństwa ku mędrcom. Nie dorównywał Atosowi wielkopańskością powierz-

chowności, a poczucie tej niższości sprawiało nieraz, w początkach ich związku, że bywał niesprawiedliwym wobec tego szlachcica, następnie zaś usiłował przewyższyć go świetnością stroju. Lecz Atos, mimo prostego muszkieterskiego płaszcza, jedynie dumnem odrzuceniem w tył głowy i pewnością kroku niebawem zajmował należne mu miejsce i wypierał Portosa na drugi plan. Portos więc pocieszał się, napełniając przedpokój pana de Treville i koszary gwardzistów w Luwrze rozgłosem swych przygód miłosnych, o jakich Atos nie mówił nigdy. W tej właśnie chwili Portos przerzucił się od kochanek mieszczańskich do szlachetnie urodzonych i chełpił się głośno, że pewna zagraniczna księżna okazuje mu niezwykłe względy.

Powiada stare przysłowie: "Jaki pan, taki sługa." — Przejdźmy więc od służącego Atosa do służącego Portosa, od Grimauda do Mousquetona.

Mousqueton był z pochodzenia Normandczykiem, którego pan przechrzcił ze spokojnego Bonifacego na Mousquetona, jako że imię to dźwięczniej brzmiało. U Portosa przyjął służbę z tym warunkiem, że otrzyma mieszkanie i będzie wspaniale ubierany; prócz tego zażądał tylko dwóch godzin wolnych codziennie, które zamierzał poświęcić pewnemu przemysłowi, mającemu zapewnić mu środki na pokrycie innych potrzeb. Portos zgodził się na ten układ, który był zresztą nader korzystny dla niego. Kazał mu sporządzić ubranie ze swoich starych kaftanów i znoszonych płaszczów; dzięki zaś sprytowi krawca, który zajmował się przenicowywaniem tych sukien, a z powodu żony którego Portos sprzeniewierzał się, jak podejrzewano, swym arystokratycznym upodobaniom, Mousqueton przedstawiał się wcale okazale przy boku swego pana.

Co do Aramisa, którego charakter, jak się zdaje, przedstawiliśmy już dostatecznie, a którego, podobnie, jak i jego towarzyszów, poznamy jeszcze lepiej z biegiem wypadków — lokaj jego nazywał się Bazin. Wobec nadziei, jaką żywił pan jego, że pewnego dnia zostanie księdzem, Bazin zawsze ubierał się czarno, jak przystało domownikowi osoby duchownej. Był Berrychończykiem, w wieku lat trzydziestu pięciu do czterdziestu, człowiekiem cichym, łagodnym, nieco otyłym; wolne chwile poświęcał rozczytywaniu się w pobożnych księgach, których mu pan dostarczał; gotował sumiennie obiady, składające się z niewielu

potraw, lecz doskonałych. Zresztą był milczący, ślepy i głuchy na wszystko i odznaczał się wypróbowaną wiernością.

Teraz zaś, kiedy znamy już, przynajmniej powierzchownie, panów i ich służących, zajmijmy się mieszkaniami w których rezydowali.

Atos mieszkał przy ulicy Ferou, o dwa kroki od Luksemburga; apartament jego składał się z dwu pokoików, schludnie urządzonych, w domu, w którym mieściły się pokoje umeblowane, a którego właścicielka, młoda jeszcze i piękna, nadaremnie wabiła go słodkiemi oczyma. Kilka fragmentów minionej przeszłości błyszczało tu i ówdzie ze ścian skromnego mieszkania: był tu naprzykład bogaty przypominający kształtem czasy Franciszka I, miecz z damasceńskiej stali, którego sama tylko rękojeść, wysadzana drogimi kamieniami, mogła mieć wartość około stu pistolów. Ale nawet w chwilach największej nędzy Atos nie pomyślał nigdy o tem, aby go zastawić czy sprzedać. Szabla ta była przez długi czas szczytem marzeń Portosa, który oddałby chętnie dziesięć lat życia, byleby ją posiadać.

Pewnego dnia, kiedy Portos miał się spotkać ze swoją księżną starał się pożyczyć szabli od Atosa. Atos nie mówiąc nic, wypróżnił kieszenie, wydobył wszystkie swoje kosztowności, kieski, zapinki i łańcuszki złote i ofiarował je Portosowi; równocześnie oświadczył jednak, że szabla jest przymocowana do miejsca i może być zdjęta z niego dopiero wówczas, gdy i posiadacz jej będzie opuszczał mieszkanie. Prócz szabli był tam również portret, przedstawiający wielkiego pana z czasów Henryka III, w stroju niezmiernie wytwornym, z orderem Świętego Ducha na piersiach. W rysach osoby sportretowanej i Atosa można było łatwo dostrzedz rodzinne podobieństwo, co dowodziło, że ten wielki pan, kawaler orderów królewskich, musiał być jego przodkiem.

Wreszcie szkatułka, przepięknie rzeźbiona, z tymi samymi herbami, co szabla i portret, zdobiła środek kominka, tworząc jaskrawy kontrast z innemi ozdobami. Atos nosił zawsze przy sobie kluczyk od owej szkatułki. Ale pewnego dnia otworzył ją w obecności Portosa, przyczem tenże mógł się przekonać, że szkatułka zawierała jedynie listy i papiery, niewątpliwie listy miłosne i dokumenty rodzinne.

Portos zajmował obszerny i bardzo wspaniale się przedstawiający apartament przy ulicy Starego Gołębnika. Ilekroć przechodził z kimś z przyjaciół przed oknami, w jednem z których stał zawsze Mousqueton we wspaniałej liberji, Portos wskazywał ruchem głowy i ręki: "Oto moje mieszkanie." Ale nigdy nie można go było zastać w domu, nigdy nie zapraszał nikogo, aby zaszedł do niego, więc też nikt nie mógł mieć wyobrażenia, ile istotnych skarbów zawierała ta zewnętrzna wspaniałość.

Aramis zajmował malutkie mieszkanko, złożone z gabinetu, jadalni i sypialni, położone na parterze; okna sypialni wychodziły na mały ogródek, pełen świeżej zieleni, cienisty i zasłaniający wszystko przed oczyma sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już jak mieszkał; poznaliśmy też już jego lokaja, mości Plancheta.

D'Artagnan był z natury bardzo ciekawy, jak zresztą wszyscy ludzie, posiadający zdolności do intrygowania, więc dokładał starań, aby się dowiedzieć, kim byli w rzeczywistości Atos, Portos i Aramis; albowiem pod tymi pseudonimami każdy z młodych ludzi ukrywał swoje rzeczywiste szlacheckie nazwisko, przedewszystkiem zaś Atos, w którym o milę można było wyczuć wielkiego pana. Zwrócił się zatem do Portosa, aby od niego zasięgnąć języka o Atosie i Aramisie, a do Aramisa, by się dowiedzieć czegoś o Portosie.

Nieszczęściem i sam Portos nie wiedział nic prawie o swym milczącym towarzyszu ponad to, co było ogólnie wiadomo. Opowiadano, że był bardzo nieszczęśliwy w miłości i że okrutna zdrada zatruła na zawsze życie tego człowieka, stworzonego do przygód miłosnych. Ale jaka to była zdrada? — nikt nie wiedział.

Życie Portosa łatwo było szczegółowo poznać, z wyjątkiem jego prawdziwego nazwiska, które znał tylko sam pan de Treville, podobnie, jak i nazwiska jego obu towarzyszów. Można było przejrzeć go na wskróś, jak kryształ, dzięki jego próżności i gadatliwości. I jedno tylko mogłoby w błąd wprowadzić badającego, mianowicie, gdyby uwierzył w to wszystko, co Portos o sobie opowiadał.

Aramis, jakkolwiek sprawiał wrażenie człowieka, który nic nie ukrywa, miał jednak mnóstwo tajemnic. Na zapytanie, odnoszące się do innych, odpowiadał półsłówkami, wymijał zaś całkiem odpowiedź na pytanie, odnoszące się do niego samego.

Pewnego dnia d'Artagnan, wypytawszy go szczegółowo o Portosa i dowiedziawszy się o pogłoskach, jakie obiegały co do miłosnych przygód muszkietera z pewną księżną, zapragnął też dowiedzieć się czegoś o stosunkach miłosnych Aramisa.

— A ty, drogi towarzyszu? — zapytał — ty, opowiadający o baronowych, hrabinach i księżnych, które kochają innych?

— Przepraszam — przerwał Aramis, — mówiłem o tem, ponieważ sam Portos rozgłasza wobec wszystkich te wiadomości i ponieważ na całe gardło wykrzykiwał o tem wobec mnie. Ale chciej wierzyć, kochany panie d'Artagnan, że, gdybym posiadł te wiadomości z innego źródła, lub też gdyby on mi je zwierzył, nie znalazłbyś bardziej dyskretniejszego powiernika odemnie.

— Nie wątpię bynajmniej — odparł d'Artagnan, — tem niemniej wydaje mi się, że i pan jesteś dosyć oswojony z herbami, czego dowodem może być pewna haftowana chusteczka której zawdzięczam zaszczyt poznania pana.

Aramis nie obraził się tym razem, lecz, przybierając jaknajskromniejszą minę, odpowiedział głosem, pełnym uczucia:

— Nie zapominaj, mój drogi panie, że mam zostać sługą kościoła i że z tego powodu staram się unikać wszelkich spraw światowych. Chusteczka, jaką pan widziałeś, nie została mi powierzona, lecz jedynie zapomniana w moim domu przez jednego z moich przyjaciół. Byłem zmuszony ją zabrać, aby nie skompromitować ani jego, ani damy, którą kocha. Ja sam zaś nie mam, ani nie chcę mieć wcale kochanki, kierując się w tem przykładem najsprawiedliwszego z ludzi, Atosa, który nie ma jej, tak samo, jak ja.

— Tam do licha! Nie jesteś pan przecież księdzem, skoro należysz do szeregów muszkieterskich.

— Należę do nich tymczasowo, mój drogi, wbrew własnej woli, jak powiada kardynał, ale całem sercem jestem sługą kościoła... chciej mi pan wierzyć. Atos i Portos umieścili mnie tutaj, aby mi dać jakieś zajęcie; w chwili bowiem, gdy miałem już być wyświęcony, doszedłem do małego nieporozumienia z..... Ale to pana wcale nie zajmie i niepotrzebnie zabieram pański cenny czas.

— Bynajmniej, przeciwnie, zajmuje mnie to bardzo — zawołał d'Artagnan, — a w obecnej chwili nie mam i tak nic innego do roboty.

— No, tak, ale ja muszę odmówić modlitwy z brewiarza — odpowiedział Aramis; — potem napisać kilka wierszy, których zażądała odemnie pani d'Aiguillon; następnie powinienem iść na ulicę Świętego Honorjusza, a wreszcie kupić różu dla pani de Chevreuse; jak więc pan widzisz, drogi przyjacielu, chociaż tobie nie pilno, mnie spieszy się bardzo.

I Aramis uścisnął serdecznie dłoń swego młodego towarzysza, poczem oddalił się.

Mimo zatem wszelkiego trudu, jakiego d'Artagnan nie szczędził, nie mógł się dowiedzieć nic więcej o swoich nowych przyjaciołach. Zadowolnił się tem, że na razie wierzył we wszystko, co mówiono o ich przeszłości, w nadziei, że przyszłość da mu pewniejsze i szczegółowsze wiadomości. A tymczasem, oczekując na to, uważał Atosa za Achillesa, Portosa za Ajaksa, a Aramisa za Józefa.

Zresztą życie czterech młodych ludzi upływało wesoło: Atos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie. Nigdy jednak nie pożyczał ani grosza od swoich przyjaciół, aczkolwiek jego własna kieska była zawsze na ich usługi. Gdy zaś zdarzyło mu się przegrać na słowo, budził zawsze swego wierzyciela już o godzinie szóstej rano, aby mu się uiścić z długu, zaciągniętego dnia poprzedniego.

Portos miał chwile porywów; jeżeli wygrał, stawał się zuchwałym i rozrzutnym; jeżeli przegrał, znikał zupełnie na kilka dni, poczem powracał z twarzą wybladłą i z miną wydłużoną, ale z pieniędzmi w kieszeni.

Aramis nie grywał nigdy. Był najlepszym muszkieterem i najgorszym towarzyszem zabawy, jakiego można było znaleźć pod słońcem. Zawsze miał jakieś zajęcie; niekiedy, w połowie uczty, gdy każdy, podochocony winem i podniecony rozmową, sądził, że nie wcześniej, jak za dwie lub trzy godziny, wstanie od stołu, Aramis spoglądał na zegarek, powstawał z wdzięcznym uśmiechem i żegnał towarzystwo, aby — jak twierdził — udać się na naradę z jakimś teologiem, z którym się umówił. Kiedyindziej znowu powracał do domu, aby pisać rozprawę naukową, i prosił przyjaciół, aby mu nie przeszkadzali.

Na ustach Atosa pojawiał się wówczas wdzięczny, melancholijny uśmieszek, który doskonale odpowiadał jego szlachetnej postawie; Portos zaś pociągał z kielicha i przysięgał, że Aramis nie będzie nigdy niczem więcej, jak wiejskim plebanem.

Planchet, służący d'Artagnana, znosił swój los z poddaniem; codziennie otrzymywał trydzieści susów i przez cały miesiąc wracał do domu wesoły, jak czyżyk, i oddany zupełnie swemu panu. Kiedy jednak wiatr przeciwności powiał na ognisko domowe przy ulicy Grabarzy, czyli innemi słowy, kiedy suma czterdziestu pistolów, otrzymanych od króla Ludwika XIII, została prawie całkiem przejedzona, Planchet rozpoczął się głośno uskarżać, co Atos uznał za nudne, Portos za nieprzystojne, a Aramis za śmieszne. Atos doradzał, aby odprawić gbura, Portos żądał, aby go poprzednio oćwiczyć, — Aramis zaś dowodził, że pan nie powinien od sługi słyszeć nic innego, prócz komplementów.

— Łatwo wam to mówić — odparł d'Artagnan, — tobie, Atosie, który porozumiewasz się na migi z Grimaudem, który zabraniasz mu wogóle mówić i dlatego żadnego złego słowa z ust jego usłyszeć nie możesz, — i tobie, Portosie, który prowadzisz wspaniały żywot i jesteś przez swego sługę, Mousquetona, uważany za bóstwo, — a wreszcie tobie, Aramisie, który, zatopiony w studjach teologicznych, wpoiłeś w Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego, głęboki szacunek dla siebie. Ale ja, który nie posiadam ani stanowiska, ani majątku, ja, który nie jestem ani muszkieterem, ani nawet gwardzistą, cóż ja mam uczynić, aby wpoić w Plancheta bądź przywiązanie, bądź obawę, bądź szacunek?

— Sprawa jest poważna — odpowiedzieli trzej przyjaciele; — jest to kwestja wewnętrzna. Z lokajami trzeba postępować tak samo, jak z kobietami; trzeba odrazu postawić stosunek z nimi na tej stopie, na jakiej się chce, aby pozostał. Zastanów się zatem.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wytrzepać Planchetowi skórę na zapas, co też wykonał z sumiennością, cechującą go we wszystkiem. Następnie, oćwiczywszy go już należycie, zabronił mu opuścić służbę bez swego zezwolenia.

— Ponieważ — rzekł — przyszłość nie może mnie zawieść, i oczekuję lepszych czasów, więc los twój zależy od tego, abyś pozostał u mnie, a jestem zanadto dobrym panem, abym cię go chciał pozbawiać, dając ci zwolnienie od służby, o jakie prosisz.

Ten sposób postępowania obudził w muszkieterach dużo szacunku dla dyplomacji d'Artagnana. Plancheta przejął on również podziwem, tak, że odtąd nie wspominał już o odejściu.

Pożycie czterech młodych ludzi stało się wspólnem; d'Artagnan, który nie miał żadnych przyzwyczajeń, ponieważ przybył z prowincji i dostał się odrazu w środowisko całkiem nowe dla siebie, przyswoił sobie prędko nawyknienia swych przyjaciół.

Wstawano zimą około godziny ósmej, latem około szóstej i udawano się najpierw do pana de Treville, aby wysłuchać tam rozkazów i dowiedzieć się nowinek. D'Artagnan, aczkolwiek nie był muszkieterem, pełnił służbę z wzruszającą gorliwością; był zawsze na posterunku i zawsze towarzyszył temu ze swych przyjaciół, na którego wypadła kolej. Znano go w pałacu muszkieterskim i ogólnie uważano za dobrego kolegę, — a pan de Treville, który ocenił go od pierwszego wejrzenia i okazywał mu prawdziwą serdeczność, nie przestawał polecać go królowi.

Trzej muszkieterowie kochali bardzo swego młodego towarzysza. Przyjaźń, która zjednoczyła tych trzech ludzi, i potrzeba spotykania się wzajemnego trzy lub cztery razy dziennie, czyto w jakiejś sprawie pojedynkowej, czy w interesie, czy dla wspólnej rozrywki, sprawiały, że chodzili jeden za drugim, jak cienie, i że spotykano ich zawsze nierozłączonych, zdążających z Luksemburga na ulicę Świętego Sulpicjusza, lub z ulicy Starego Gołębnika do Luksemburga.

Tymczasem pan de Treville nie zaniedbywał swych przyrzeczeń. I pewnego pięknego dnia król wydał polecenie panu kawalerowi des Essarts, aby przyjął d'Artagnana, jako kadeta, do swojej kompanji gwardzistów. D'Artagnan z głębokiem westchnieniem przywdziewał mundur tej kompanji, który pragnął, choćby za cenę dziesięciu lat życia, zamienić na kaftan muszkieterski. Ale pan de Treville przyobiecał mu tę łaskę dopiero wtedy, gdy odbędzie dwuletni nowicjat, który to przeciąg czasu mógł zresztą jeszcze uledz skróceniu, gdyby d'Artagnanowi nadarzyła się sposobność oddania jakiejś usługi królowi, lub odznaczenia się jakimś świetnym czynem. D'Artagna wyszedł pod wrażeniem tej obietnicy i od dnia następnego rozpoczął służbę.

Odtąd przyszła kolej na Atosa, Portosa i Aramisa towarzyszenia d'Artagnanowi na posterunku, kiedy zostało mu zlecone strażowanie. A w ten sposób kompanja pana kawalera des Essarts zyskała czterech ludzi, zamiast jednego, od dnia, kiedy d'Artagnan wstąpił w jej szeregi.

VIII.

INTRYGA DWORSKA.

Tymczasem czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII — zwykły los wszystkiego na świecie — tak, jak miały swój początek, tak samo doczekały się końca, a kiedy nadszedł ów koniec, nasi czterej towarzysze popadli w kłopoty. Zrazu Atos przez czas pewien utrzymywał stowarzyszenie ze swych własnych funduszów. Portos poszedł jego śladem i, dzięki jednemu z tych tajemniczych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, mógł jeszcze przez mniej-więcej piętnaście dni łożyć na wspólne potrzeby. Wreszcie przyszła kolej na Aramisa, który z całą gotowością wypełnił swój obowiązek i zdołał zdobyć nieco pistolów, sprzedając — jak twierdził — swe książki filozoficzne.

Potem udano się wedle zwyczaju o pomoc do pana de Treville który udzielił pewnych zaliczek na rachunek żołdu. Ale zaliczki te nie mogły zbyt daleko zaprowadzić trzech muszkieterów, mających już dużo zaległych rachunków, i gwardzisty, który nie miał ich wcale.

Nareszcie, kiedy się okazało, że już wszystkie środki są wyczerpane, zebrano ostatnim wysiłkiem ośm czy dziesięć pistolów, przeznaczając je na grę dla Portosa. Nieszczęściem Portos miał złą godzinę; przegrał wszystko, — co gorzej nawet, przegrał dwadzieścia pięć pistolów na słowo.

Wówczas kłopoty zamieniły się w rozpacz; widywano ich wygłodzonych, obiegających w towarzystwie służących bulwary, czyhających na obiady u dalekich nawet przyjaciół, gdzie tylko można je było znaleźć; albowiem, w myśl teorji Aramisa, należało w dniach szczęścia siać ucztami na prawo i na lewo, aby choć część ich można było zebrać w dniach niedoli.

Atos został zaproszony cztery razy i za każdym razem poprowadził z sobą przyjaciół wraz z ich służącymi; Portos zna-

lazł sześciokrotnie sposobność i umożliwił skorzystanie z niej także towarzyszom; Aramis ośm razy. Jak można się już było przekonać, był on człowiekiem, który bez hałasu dokonywał bardzo wiele.

D'Artagnan, który nie znał jeszcze nikogo w stolicy, zdołał znaleźć tylko śniadanie, złożone z czekolady, u pewnego księdza, pochodzącego z jego okolic, i obiad u korneta gwardji. Zabrał swoją armję do księdza, któremu spustoszono zapasy z dwóch miesięcy, i do korneta, który wystąpił wspaniale. Ale, jak oświadczył Planchet, nie jada się więcej, niż jeden obiad na dzień, choćby się jadło najobficiej....

D'Artagnan czuł się dosyć upokorzonym tem, że mógł ofiarować towarzyszom zaledwie półtorej uczty, — bo śniadanie u księdza można było liczyć tylko za połowę w porównaniu z bankietami, o jakie wystarali się Atos, Portos i Aramis. Sądził też, że zaczyna się stawać ciężarem dla stowarzyszenia, zapominając w swej młodzieńczej dobrej wierze że to on żywił całe stowarzyszenie przez miesiąc. Skłopotany jego umysł począł energicznie pracować. Zastanowił się że ten związek czterech ludzi, młodych, dzielnych, przedsiębiorczych i czynnych, powinienby mieć cel inny, aniżeli męczące przechadzki, naukę szermierki i drwinki mniej lub więcej udatne.

Istotnie czterej ludzie, tacy jak oni, czterej ludzie, oddani sobie najzupełniej od ofiary kieski aż do ofiary życia, — czterej ludzie, wspomagający się zawsze nawzajem, nie cofający się nigdy, wykonywający osobno lub razem wszystkie powzięte wspólnie postanowienia, — cztery ramiona, grożące czterema kardynalnymi sztychami, lub zwracające się przeciwko jednemu napastnikowi, — wszystko to powinnoby było bezwarunkowo sprawić, że, czyto skrycie czy jawnie, czyto postawą czy zadanym ciosem, czyto chytrością czy siłą, zdołają sobie otworzyć drogę do celu, jakiby chcieli osięgnąć, bez względu na to, jak dobrze byłby broniony i jak odległy. Jedynie dziwił się d'Artagnan, dlaczego towarzysze jego nie pomyśleli o tem dotychczas.

On wszakże rozmyślał nad tem, i to bardzo poważnie, łamiąc sobie głowę, aby znaleźć właściwy kierunek dla tej siły jednej-jedynej, w czwórnasób spotęgowanej, w której rezultat nie wątpił, tak, jak Archimedes w poruszenie świata w posadach przy pomocy swej dźwigni. Wtem zastukano lekko do drzwi. D'Artagnan obudził Plancheta i kazał mu otworzyć.

Z wyrażenia tego, że d'Artagnan obudził Plancheta, czytelnik nie powinien sądzić, że działo się to w nocy i że dzień jeszcze nie zeszedł. Nie! biła właśnie godzina czwarta po południu. Planchet dwie godziny przedtem przyszedł zapytać swego pana o obiad, na co tenże odpowiedział mu przysłowiem: "Kto śpi, głodu nie czuje". I Planchet obiadował, śpiąc.

Do pokoju wszedł człowiek z twarzą dość pospolitą, wyglądający na mieszczanina.

Planchet na deser radby był usłyszeć chociaż rozmowę, ale mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu powiedzieć coś bardzo ważnego i poufnego, i zapragnął rozmówić się z nim w cztery oczy.

D'Artagnan wyprawił zatem Plancheta i poprosił swego gościa, aby usiadł.

Nastała chwilowa cisza, podczas której obaj przyglądali się sobie, jakgdyby chcąc się poznać na wstępie, — wreszcie d'Artagnan skinął głową na znak, że gotów jest słuchać.

— Słyszałem o panu d'Artagnan, jako o bardzo dzielnym młodzieńcu — przemówił mieszczanin, — i ta dobra opinja, jaką się słusznie cieszy, skłoniła mnie do powierzenia mu pewnej tajemnicy.

— Proszę, niech pan mówi — rzekł d'Artagnan, instynktownie przeczuwając coś korzystnego.

Mieszczanin znowu milczał przez chwilę, poczem zaczął mówić dalej:

— Mam żonę, która jest nadzorczynią bielizny królowej i której, mówiąc nawiasem, nie brak ani rozumu, ani urody. Poślubiłem ją, będzie temu niebawem trzy lata, chociaż nie miała wielkiego posagu; poślubiłem dlatego, że pan de La Porte, szatny królowej, jest jej ojcem chrzestnym i protektorem...

— A zatem? — pytał d'Artagnan.

— A zatem — powtórzył mieszczanin, — a zatem proszę pana, moja żona została porwana wczoraj rano, w chwili, gdy wychodziła ze swej pracowni.

— Któż ją porwał?

— Nie wiem tego na pewno, panie, i jedynie podejrzywam kogoś.

— Któż jest tą osobą, którą pan podejrzywasz?

— Pewien człowiek, który od dawna już chodził za nią krok w krok.

— Do djabła!

— Pozwól pan powiedzieć sobie jeszcze jedno — mówił dalej mieszczanin. — Jestem przekonany, że w całej tej sprawie mniej jest miłości, niż polityki.

— Mniej miłości, niż polityki? — powtórzył d'Artagnan, zamyślając się głęboko. — Więc kogóż pan podejrzywasz?

— Nie wiem, czy mogę wyjawić panu nazwisko tego podejrzanego przezemnie człowieka.....

— Mój panie, zwracam panu uwagę, że nie żądam od pana nic zgoła. Sam pan tu przyszedłeś i sam mi oświadczyłeś, że chcesz mi zwierzyć tajemnicę. Uczyń pan zatem jak ci się podoba; jeszcze jest czas się cofnąć.

— Nie, nie, proszę pana; sprawiłeś pan na mnie wrażenie uczciwego młodzieńca i mam ufność ku panu. Sądzę zatem, że moja żona została uprowadzona nie z powodu miłostek swoich, lecz innej osoby, znacznie większej damy, aniżeli ona.

— Ho, ho! czy nie chodzi tu przypadkim o miłostki pani de Bois-Tracy? — przerwał d'Artagnan, chcąc się popisać przed mieszczaninem, że jest wtajemniczony w sprawy dworskie.

— Wyżej, panie, wyżej.

— Pani d'Aiguillon?

— Jeszcze wyżej.

— Pani de Chevreuse?

— Znacznie wyżej, bardzo znacznie wyżej.

— A więc... — d'Artagnan zatrzymał się.

— Tak jest, panie — odpowiedział przerażony mieszczanin głosem tak cichym, że zaledwie można było dosłyszeć.

— A z kimże?

— Z kimżeby, jeżeli nie z księciem de...

— Z księciem de.....

— Tak, panie — odparł mieszczanin, nadając swemu głosowi jeszcze cichsze brzmienie.

— Ale skąd dowiedziałeś się pan o tem?

— Ach! skąd?

— Tak jest, skąd wiesz pan o tem? tylko żadnych półsłówek, albo..... pan rozumie.

— Wiem od mojej żony, panie, od mojej własnej żony.

— A ona znowu od kogo się dowiedziała?

— Od pana de La Porte. Mówiłem już panu, że jest chrzestną córką pana de La Porte, powiernika królowej. Pan de La

Porte umieścił ją przy Jej Królewskiej Mości, aby nasza biedna królowa miała się przynajmniej przed kim zwierzyć, wobec tego, że jest opuszczona przez króla, szpiegowana przez kardynała, a zdradzana przez wszystkich.

— Aha! aha! otóż wszystko zaczyna się zarysowywać — zawołał d'Artagnan.

— Moja żona przyszła tedy do mnie przed czterema dniami, albowiem jednym z warunków umowy z nią było, że będzie mnie mogła odwiedzać dwa razy na tydzień, a kocha mnie bardzo, jak już miałem zaszczyt panu powiedzieć; przyszła więc i zwierzyła mi się, że królowa żywi w obecnej chwili wielkie obawy.

— Doprawdy?

— Tak jest. Pan kardynał, jak się zdaje, śledzi ją i prześladuje bardziej, niż kiedykolwiek; nie może jej przebaczyć tej historji z sarabandą. Czy znasz pan ten wypadek?

— Oczywiście, jakżebym mógł nie znać! — odpowiedział d'Artagnan, który nie wiedział wprawdzie o niczem, ale chciał utrzymać opinję człowieka, wiedzącego o wszystkiem.

— Tak, że teraz nie jest to już nienawiść, lecz pragnienie zemsty.

— Doprawdy?

— A królowa jest przekonana.....

— O czemże jest przekonana?

— Jest przekonana, że napisano do księcia Buckingham w jej imieniu.

— W imieniu królowej?

— Tak jest, aby skłonić księcia do przybycia do Paryża, a gdy już raz znajdzie się w Paryżu, uwikłać go w jakieś sidła.

— Do djabła! Ale pańska żona, mój drogi panie, cóż ona ma z tem wspólnego?

— Znają jej przywiązanie do królowej i chcą albo oddalić ją od jej pani, albo nastraszyć ją, aby wyjawiła tajemnice Jej Królewskiej Mości, albo wreszcie posłużyć się nią, jako szpiegiem.

— To bardzo możliwe — rzekł d'Artagnan. — Ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

— Mówiłem już panu, że znam go, o ile mi się zdaje.

— Jak się nazywa?

— Tego nie wiem; wiadomo mi jedynie, że jest to figura najzupełniej oddana kardynałowi, jego złych duch.

— Ale widziałeś go pan?

— Tak jest, żona pokazywała mi go pewnego dnia.

— Czy posiada jakieś szczególne znaki, po których możnaby go rozpoznać?

— Och! niewątpliwie; jest to człowiek wyniosłej postawy, brunet, smagły na twarzy, z przenikliwym wzrokiem, z białymi zębami i blizną na skroni.

— Z blizną na skroni! — zakrzyknął d'Artagnan, — a w dodatku białe zęby, wzrok przenikliwy, smagła cera, czarne włosy i wyniosła postawa? Ależ to mój człowiek z Meung!

— Pański człowiek, powiadasz pan?

— Tak, tak; ale to niema z tem nic wspólnego. A raczej nie, mylę się, przeciwnie, to upraszcza sprawę. Jeżeli pański wróg jest także moim, za jednym zamachem pomszczę jedno i drugie; oto wszystko. Ale w jakiż sposób możnaby odszukać tego człowieka?

— Nie umiem panu powiedzieć.

— Czy nie posiadasz pan wcale wiadomości, gdzie mieszka?

— Nie, żadnej zgoła. Pewnego dnia, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, on wychodził stamtąd właśnie w chwili, kiedy ona miała wejść, i wtedy pokazała mi go.

— Do licha! do licha! — mruczał d'Artagnan, — to wszystko zanadto ogólnikowe. Od kogo dowiedziałeś się pan o uprowadzeniu swojej żony?

— Od pana de La Porte.

— Czy nie podał żadnych szczegółów?

— Sam nie znał ich wcale.

— A skądinąd niema pan żadnych wiadomości?

— Owszem, otrzymałem....

— Co takiego?

— Nie wiem jednakże, czy nie popełniam wielkiej nieroztropności.....

— Jeszcze raz powracasz pan do tego samego? Zwracam panu uwagę, że tym razem jest już zapóźno się cofnąć.

— To też nie cofam się wcale, do djabła! — krzyknął mieszczanin, klnąc, aby dodać sobie animuszu. — Zresztą, na honor, jak jestem Bonacieux...

— Pan nazywasz się Bonacieux? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, to moje nazwisko.

— Mówisz pan zatem: "jak jestem Bonacieux"? Przepraszam, że przerywam, ale zdaje mi się, że to nazwisko nie jest mi nieznane.

— To możliwe, proszę pana; jestem właścicielem tego domu

— Ach, tak? — zawołał d'Artagnan, powstając na pół z krzesła i składając ukłon, — więc pan jesteś właścicielem tego domu?

— Tak jest, panie. A ponieważ od trzech miesięcy, odkąd mieszkasz pan w tym moim domu, zajęty niewątpliwie swemi ważnemi czynnościami, zapomniałeś pan zapłacić komorne i ponieważ ani przez chwilę nie niepokoiłem pana o nie, mam nadzieję, że będzie pan miał wzgląd na moją delikatność...

— Ależ, drogi panie Bonacieux — odpowiedział d'Artagnan, — niech pan będzie przekonany, że w całej pełni uznaję tego rodzaju postępowanie i, jak już powiedziałem, gdybym tylko mógł być panu w czemkolwiek pomocny.....

— Wierzę panu, wierzę i, jak to już oświadczyłem, na honor, jak jestem Bonacieux, mam zaufanie do pana.

— Kończ pan zatem to, co zacząłeś mówić.

Mieszczanin wydobył z kieszeni jakiś papier i podał d'Artagnanowi.

— List! — zawołał młodzieniec.

— Otrzymałem go dzisiaj rano.

D'Artagnan otworzył list, a ponieważ dzień miał się już ku schyłkowi, podszedł z nim ku oknu. Mieszczanin postąpił za nim.

"Nie szukaj pan swojej żony — czytał d'Artagnan; — zostanie odesłana panu, gdy nie będziemy jej już potrzebowali. Gdy byś pan jednak uczynił jakikolwiek krok w celu odnalezienia jej, będziesz pan zgubiony."

— To dosyć stanowcze — oświadczył d'Artagnan, — ale pozatem jest to tylko czcza pogróżka.

— Zapewne, ale ta pogróżka przeraża mnie, mój panie; nie jestem człowiekiem wojennego rzemiosła i obawiam się Bastylji.

— Hm! — zauważył d'Artagnan, — i ja nie staram się dostać do Bastylji, tak samo, jak pan. Gdyby chodziło jedynie o cios szpadą, to mniejsza.

— Jednakże, proszę pana, liczyłem bardzo na pańską pomoc w tej sprawie.

— Czy tak?

— Widząc pana zawsze w otoczeniu muszkieterów o wspaniałej postawie i wiedząc, że ci muszkieterowie pozostają w służbie pana de Treville, że więc są tem samem nieprzyjaciółmi kardynała, przypuszczałem, że pan i pańscy przyjaciele zechcecie oddać sprawiedliwość naszej biednej królowej i że będziecie zachwyceni, mogąc wypłatać figla Jego Eminencji.

— Niewątpliwie.

— A oprócz tego myślałem o tem zaległem komornem za trzy miesiące, o które nie dopominałem się nigdy.

— Tak, tak, podałeś pan już ten argument; uważam go za wyborny.

— Co więcej, jeżeli uczynisz mi pan ten zaszczyt i pozostaniesz w moim domu, nie wspomnę nigdy o komornem.

— Bardzo dobrze.

— W dodatku, gdyby zachodziła potrzeba, gotów jestem dać panu jakieś pięćdziesiąt pistolów, jeżelibyś pan czego nie przypuszczam, znajdował się w tej chwili w kłopotach.

— Wyśmienicie; ależ pan musisz być bogaty, drogi panie Bonacieux!

— Mam się niezgorzej, mój panie, mogę to powiedzieć; zebrałem sobie coś około dwóch do trzech tysięcy talarów renty, zajmując się drobnym handlem, a oprócz tego umieściłem trochę grosza w ostatniej wyprawie sławnego żeglarza, Jana Mocqueta. W ten sposób, jak pan zrozumiesz... Ach! ależ... — krzyknął nagle mieszczanin.

— Co się stało? — zapytał d'Artagnan.

— Kogóż ja widzę?

— Gdzie?

— Na ulicy, naprzeciwko pańskich okien, we framudze tej bramy; człowiek, zasłaniający się płaszczem.

— To on! — wykrzyknęli równocześnie d'Artagnan i mieszczanin, każdy z nich bowiem w tej samej chwili poznał swego wroga.

— Ach! tym razem — krzyknął d'Artagnan, biegnąc po szpadę, — tym razem mi nie umknie!

I wydobywając szpadę z pochwy, wypadł z mieszkania.

Na schodach spotkał Atosa i Portosa, którzy szli właśnie do niego w odwiedziny. Usunęli się z drogi, a d'Artagnan przebiegł pomiędzy nimi, jak strzała.

— Cóż to? dokąd to tak biegniesz? — zawołali razem obaj muszkieterowie.

— Człowiek z Meung! — odpowiedział d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan opowiadał już niejednokrotnie przyjaciołom o swojej przygodzie z nieznajomym, jak również o pojawieniu się pięknej podróżnej, której nieznajomy powierzał tak ważne zlecenia.

Zdaniem Atosa, d'Artagnan zgubił swój list podczas bójki. Według niego, szlachcic — a na podstawie opisu jaki dał d'Artagnan, nieznajomy musiał być szlachcicem, — szlachcic więc nie byłby zdolny do takiej podłości, jak kradzież listu.

Portos natomiast upatrywał w tem jedynie schadzkę miłosną, naznaczoną przez damę kawalerowi, lub przez kawalera damie, schadzkę, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i jego żółtego konika.

Aramis wyrażał przekonanie, że skoro sprawy tego rodzaju są okryte tajemnicą, najlepiej nie zgłębiać ich wcale.

Z kilku zatem słów, jakie się wymknęły d'Artagnanowi zrozumieli, o co chodzi, a ponieważ sądzili, że d'Artagnan w każdym razie powróci do swego mieszkania, be zwzględu na to, czy dopędzi nieznajomego, czy straci go z oczu, ruszyli dalej w swoją drogę.

Kiedy weszli do pokoju d'Artagnana, pokój był pusty. Gospodarz, obawiając się następstw spotkania, które niewątpliwie musiało dojść do skutku między młodzieńcem a nieznajomym, uważał za bardziej roztropne usunąć się z widowni, zgodnie z objaśnieniem, jakie sam dał o swym charakterze.

IX.

D'ARTAGNAN DZIAŁA.

Jak Atos i Portos przewidywali, d'Artagnan powrócił po upływie pół godziny. I tym razem jeszcze nie zdołał pochwycić nieznajomego, który wymknął mu się, jakby zapomocą czarów. D'Artagnan z szpadą w ręku przebiegł wszystkie okoliczne ulice, ale nie znalazł nikogo, ktoby był podobny do szukanego człowieka. Wreszcie przyszło rozpocząć, a mianowicie zapukać do bramy, o którą nieznajomy się opierał. Okazało się to jednak bezcelowem, ponieważ, mimo, że dziesięć czy dwanaście razy z rzędu uderzył młotkiem, nikt się nie odezwał, a sąsiedzi, którzy, zwabieni hałasem, wybiegli na progi swych domów lub wystawili nosy przez okna, zapewnili go, że dom ten, mający zresztą szczelnie zamknięte wszystkie wejścia, jest od dziesięciu miesięcy zupełnie niezamieszkany.

Podczas gdy d'Artagnan biegał po ulicach i pukał do bram, Aramis złączył się z towarzyszami, dzięki czemu d'Artagnan powróciwszy do domu, zastał zebranie w pełnym komplecie.

— A zatem? — zapytali razem trzej muszkieterowie, widząc, że d'Artagnan wchodzi z chmurą na czole, miotany gniewem.

— A zatem! — odpowiedział tenże gwałtownie, rzucając szpadę na łóżko, — a zatem wydaje mi się, że ten człowiek jest wcielonym djabłem; znikł, jak złuda, jak cień, jak widmo.

— Czy wierzysz w duchy? — zapytał Atos Portosa.

— Wierzę tylko w to, co widzę, a ponieważ duchów nie widzę, a ponieważ duchów nie widziałem nigdy, nie mogę w nie wierzyć.

— Biblja — oświadczył Aramis — każe nam w nie wierzyć: duch Samuela objawił się Saulowi; jest to więc artykuł wiary, i gniewałbym się bardzo, Portosie, gdybyś wyrażał wątpliwości w tym kierunku.

— Bądźcobądź, jest li człowiekiem czy szatanem, ciałem czy cieniem, złudzeniem czy rzeczywistością, człowiek ten urodził się na moją zgubę, ponieważ jego ucieczka pozbawia nas pysznej sposobności, moi panowie, sposobności, dzięki której moglibyśmy byli zyskać sto pistolów a może i więcej.

— Jakto? — zakrzyknęli równocześnie Portos i Aramis.

Atos zaś, wierny swemu zwyczajowi milczenia, zadowolnił się zapytaniem d'Artagnana wzrokiem.

— Planchecie — rzekł d'Artagnan do swego służącego, który wsadził w tej chwili głowę między uchylone drzwi, aby podchwycić urywki rozmowy, — idźno do naszego gospodarza domu, pana Bonacieux, i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina z Beaugency, jest to bowiem trunek, który przekładam ponad inne.

— Cóż to? masz zatem kredyt u swego gospodarza domu? — zapytał Portos.

— Tak jest — odparł d'Artagnan, — począwszy od dnia dzisiejszego. I bądźcie spokojni: jeżeli wino będzie złe, zwrócimy mu je, żądając innego.

— Należy używać, lecz nie nadużywać — zauważył sentencjonalnie Aramis.

— Twierdziłem zawsze, że d'Artagnan ma najtęższą głowę z nas czterech — oświadczył Atos i natychmiast po wyrażeniu tego przekonania, za które d'Artagnan podziękował skinieniem głowy, popadł znowu w zwykłe milczenie.

— Ale koniec końców pragnęlibyśmy wiedzieć, co to takiego? — zapytał Portos.

— Tak — odezwał się Aramis, — wyjaw nam tę tajemnicę, drogi przyjacielu, o ile przez to honor jakiejś kobiety nie byłby narażony, w takim bowiem razie zachowaj ją raczej przy sobie.

— Bądźcie spokojni — odpowiedział d'Artagnan, — nie narażę na szwank niczyjego honoru, wyjawiając wam wszystko.

I następnie opowiedział im, słowo za słowem, wszystko co zaszło między nim a jego gospodarzem, i o tem, jak człowiek, który porwał żonę szanownego właściciela domu, okazał się tym samym, z którym i on miał na pieńku w oberży pod Wolnym Młynarzem.

— Sprawa ta nie przedstawia się źle — oświadczył Atos, spróbowawszy najpierw wina, jako znawca, i przytwierdziwszy ruchem głowy, że uważa je za dobre, — i możnaby od tego

dzielnego człowieka otrzymać pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistolów. Teraz należy się tylko zastanowić, czy za pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistolów opłaci się narażać cztery głowy.

— Zwróćcie jednak uwagę — zawołał d'Artagnan, — że chodzi tutaj o kobietę, o kobietę porwaną, kobietę, której niewątpliwie grożą, którą może torturują, a to wszystko za to, że jest wierną sługą swojej pani.

— Miej się na baczności, d'Artagnanie, miej się na baczności — zauważył Aramis; — przejmujesz się może trochę zanadto losem pani Bonacieux. Kobieta została stworzoną na naszą zgubę i ona to jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Atos, usłyszawszy to zdanie, wygłoszone przez Aramisa, zmarszczył brew i zagryzł wargi.

— To nie pani Bonacieux napawa mnie niepokojem — wołał d'Artagnan, — lecz los królowej, którą król zaniedbuje, którą prześladuje kardynał i która patrzeć musi, jak spadają, jedna po drugiej, głowy jej wszystkich przyjaciół.

— Więc dlaczegoż kocha tych, których my nienawidzimy najbardziej na całym świecie: Hiszpanów i Anglików?

— Hiszpanja jest jej ojczyzną — odpowiedział d'Artagnan.

— więc łatwo zrozumieć, że kocha Hiszpanów będących dziećmi tej samej ziemi, co i ona. Co do drugiego zarzutu, jaki jej uczyniłeś, to słyszałem, że kocha nie Anglików, lecz jednego Anglika.

— I, na honor! — rzekł Atos, — Anglik ten jest godzien tego, aby był kochany. Nie widziałem nigdy człowieka o bardziej wspaniałym wyglądzie, aniżeli on.

— Pomijając, że ubiera się, jak nikt inny — oświadczył Portos. — Byłem w Luwrze w ów dzień, kiedy rozsypał perły i, na Boga, podniosłem 2 z nich, aby je później sprzedać po dziesięć pistolów za sztukę. A ty, Aramisie, czy znasz go także?

— Tak dobrze, jak i wy, panowie, ponieważ byłem jednym z tych, którzy go zatrzymali w ogrodzie Amiens, gdzie mnie wprowadził pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem naówczas w seminarjum, i zdarzenie to wydało mi się okrutnem ze względu na króla.

— Nie przeszkodziłoby mi to jednak — oświadczył d'Artagnan, — że, gdybym wiedział, gdzie się znajduje książę Buckingham, wziąłbym go za rękę i zaprowadziłbym do królowej, chociażby dlatego, aby pana kardynała doprowadzić do wściekło-

ści. Albowiem naszym prawdziwym, naszym jedynym, naszym wiecznym wrogiem jest kardynał, i gdybyśmy mogli wyszukać sposób, by mu wyrządzić jakiegoś okrutnego figla, to, przysięgam, naraziłbym chętnie głowę wzamian za to.

— Zatem — odezwał się Atos — kramarz powiedział ci d'Artagnanie, jakoby królowa sądziła, że zwabiono Buckingham fałszywem wezwaniem?

— Obawia się tego.

— Czekajcie — odezwał się Aramis.

— Co takiego? — spytał Portos.

— Zaraz, zaraz; usiłuję przypomnieć sobie szczegóły.

— Obecnie zaś — mówił d'Artagnan — jestem pewny, że porwanie tej powiernicy królowej jest ściśle związane z wypadkami, o których mówimy, a może także z obecnością księcia Buckingham w Paryżu.

— Ten Gaskończyk ma pełno pomysłów — rzekł Portos, z podziwem.

— Lubię bardzo słuchać, jak mówi — oświadczył Atos; — cieszy mnie jego zapał.

— Panowie — odezwał się Aramis, — słuchajcież zatem.

— Słuchajmy, co powie Aramis — rzekli trzej przyjaciele.

— Byłem wczoraj u pewnego mądrego doktora teologji, od którego zasięgam niekiedy rad co do moich studjów...

Atos uśmiechnął się.

— Mieszka on w opustoszałej dzielnicy — ciągnął dalej Aramis, — wymagają tego bowiem zamiłowania jego i zawód. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tu Aramis przerwał.

— A zatem? — pytali słuchacze, — cóż się stało w chwili, gdy wychodziłeś od niego?

Widoczne było, że Aramis zadaje sobie wysiłke, niby człowiek, który, zabrnąwszy w kłamstwie, ujrzał nagle przed sobą jakąś nieprzewidzianą przeszkodę. Ale trzej towarzysze spoglądali bacznie na niego, słuchając z otwartemi uszami, i nie miał już możności cofnąć się.

— Doktor ten ma siostrzenicę — mówił dalej Aramis.

— Aha! ma siostrzenicę! — przerwał Portos.

— Bardzo szanowną damę — oświadczył Aramis.

Trzej przyjaciele zaczęli się śmiać.

— O! jeżeli śmiać się będziecie albo wątpić — rzekł Aramis, — w takim razie nie dowiecie się niczego.

— Wierzymy ci, jak mahometanie w słowa proroka, i milczymy, jak groby — odparł Atos.

— Opowiadam zatem dalej — odezwał się Aramis. — Siostrzenica ta przypadkowo znalazła się tam równocześnie ze mną, musiałem ją odprowadzić do karety.

— Aha! siostrzenica doktora ma karetę? — przerwał Portos, albowiem jedną z jego wad była wielka niepowściągliwość języka. — Bardzo piękna znajomość, mój przyjacielu.

— Portosie — zwrócił się do niego Aramis, — niejednokrotnie już zwracałem ci uwagę, że jesteś niedyskretny i że ci to szkodzi w stosunkach z kobietami.

— Panowie, panowie! — wołał d'Artagnan, który domyślał się już istoty przygody. — Panowie, sprawa jest poważna; starajmy się nie obracać jej w żarty, o ile można. Kończ, Aramisie, kończ.

— Naraz jakiś człowiek wysoki, brunet, zachowaniem się sprawiający wrażenie szlachcica..... wiecz co, d'Artagnanie, zupełnie w rodzaju twojego...

— Może ten sam — rzekł d'Artagnan.

— To możliwe — mówił dalej Aramis. — Otóż człowiek ten zbliżył się do mnie w towarzystwie pięciu czy sześciu ludzi, którzy postępowali za nim mniej-więcej o dziesięć kroków z tyłu "Mości książę", rzekł do mnie najuprzejmiejszym tonem, "i pani także", dodał zwracając się do damy, którą trzymałem pod rękę.....

— Do siostrzenicy doktora?

— Milczże, Portosie! — odezwał się Atos; — jesteś nieznośny.

— "Raczcie wsiąść do tego powozu, i to nie stawiając najmniejszego oporu, ani nie czyniąc najminejszego hałasu".

— Uważał cię za księcia Buckingham! — zakrzyknął d'Artagnan.

— Tak sądzę — odpowiedizał Aramis.

— Ale ta dama? — pytał Portos.

— Z całą pewnością — oświadczył d'Artagnan.

— Prawdziwy djabeł z tego Gaskończyka! — krzyknął Atos, — nic nie ujdzie jego uwadze.

— Faktem jest — rzekł Portos, — że Aramis jest poniekąd z postawy i ruchów podobny do pięknego księcia; zdaje mi się jednak, że mundur muszkieterski.....

— Byłem owinięty szerokim płaszczem — rzekł Aramis.

— W mieścącu lipcu? — dziwił się Portos. — Do licha! Czy ten doktor obawia się może, aby cię nie poznano?

— Pojąłbym jeszcze — odezwał się Atos, — by szpieg pozwolił się zwieść ruchami; ale twarz....

— Miałem na głowie wielki kapelusz — rzekł Aramis.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Portos, — ileż to trzeba zachować ostrożności, by się kształcić w teologji!

— Panowie, panowie! — upominał d'Artagnan, — nie traćmy czasu na drobnostki. Rozbiegnijmy się i szukajmy żony tego kramarza; to jest klucz intrygi.

— Tak sądzisz, d'Artagnanie? Przecież jest to kobieta niskiego pochodzenia — wtrącił Portos, skrzywiając pogardliwie usta.

— Jest ona córką chrzestną pana de La Porte, powiernika królowej. Czyż nie mówiłem wam tego, moi panowie? Wreszcie być może, że Jej Królewska Mość z wyrachowaniem szukała tym razem tak nisko pomocników; wysokie głowy są widoczne z daleka, a kardynał ma doskonały wzrok.

— Niech i tak będzie! — oświadczył Portos. — Ale najpierw wytarguj cenę z gospodarzem, i to dobrą cenę.

— To zbyteczne — odpowiedział d'Artagnan, — ponieważ sądzę, że jeżeli on nam nie zapłaci, otrzymamy dostateczną zapłatę od kogo innego.

W tej samej chwili rozległ się na schodach odgłos pospiesznych kroków, drzwi rozwarły się z trzaskiem, a do pokoju, gdzie się odbywaał narada, wpadł nieszczęśliwy kramarz.

— Ach! panowie! — woła, ratujcie mnie! w mię Boga, ratujcie mnie! Czterech ludzi przyszło, aby mnie uwięzić; ratujcie mnie, ratujcie!

Portos i Aramis powstali.

— Jeszcze chwilę spokoju, panowie — zakrzyknął d'Artagnan, dając im znak, aby schowali do pochew na pół wyciągnięte już szpady, — chwilę spokoju, albowiem potrzebna jest tutaj przedewszystkiem rozwaga, a nie odwaga.

— Jednakże — wołał Portos — nie możemy pozwolić....

— Pozwólcie działać d'Artagnanowi — rozstrzygnął Atos; — jest on, powtarzam, najtęższą głową z pośród nas, i oświadczam wyraźnie, że będę mu posłuszny. Zrób d'Artagnanie, co uważasz za stosowne.

W tej chwili w drzwiach przedpokoju pojawiło się czterech zbirów, którzy jednak, ujrzawszy wewnątrz czterech muszkieterów z bronią u boku, zawahali się iść dalej.

— Proszę, niech panowie wejdą — zawołał d'Artagnan; — jesteście panowie tutaj u mnie, a wszyscy jesteśmy wiernemi sługami króla i pana kardynała.

— Więc nie będziecie się panowie sprzeciwiali, byśmy wypełnili otrzymane rozkazy? — zapytał ten ze zbirów, który wyglądał na przywódcę wyprawy.

— Przeciwnie, wesprzemy was nawet zbrojną ręką, gdyby zaszła potrzeba.

— Ależ co on gada? — mruczał Portos.

— Jesteś głupi! — rzekł Atos, — milcz!

— Ależ przyrzeknijcie mi panowie... — mówił szeptem biedny kramarz.

— Możemy pana ocalić tylko w takim wypadku, jeżeli pozostaniemy wolni — odpowiedział szybko i również szeptem d'Artagnan; — gdybyśmy zaś okazali chęć bronienia się, zaaresztują nas razem z panem.

— Jednakże zdaje mi się....

— Pójdźcie, panowie, proszę — rzekł teraz głośno d'Artagnan;— nie mam żadnej zgoła przyczyny ażeby bronić tego pana. Ujrzałem go dopiero dzisiaj po raz pierwszy wżyciu, i to jeszcze w jakich okolicznościach.... Niechaj wam powie osobiście, że przyszedł dopominać się o komorne za mieszkanie. Czy nie tak, panie Bonacieux? Odpowiadaj pan!

— Szczera prawda — zawołał kramarz. — Ale nie mówi pan nic....

— Ani słowa o mnie! ani słowa o moich przyjaciołach! a przedewszystkiem ani słowa o królowej! inaczej zgubisz pan wszystkich, a siebie nie uratujesz. No, panowie, zbierajcie tego jegomościa!

I d'Artagnan popchnął całkiem oszołomionego kramarza w ręce zbirów, mówiąc do niego:

— Jesteś łajdakiem, mój drogi! przychodzisz żądać pieniędzy odemnie, od muszkietera! Do więzienia! jeszcze raz powtarzam,

do więzienia go bierzcie, panowie, i trzymajcie pod kluczem możliwie długo; dzięki temu zyskam przynajmniej na czasie, aby zapłacić.

Zbirowie, składając dzięki, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili, gdy już schodzili po schodach, d'Artagnan uderzył dowódcę w ramię:

— Nie wypijęż za pańskie zdrowie, a pan za moje? — rzekł, napełniając dwie szklaneczki winem z Beaugency, pochodzącem z hojności pana Bonacieux.

— Będzie to zaszczyt dla mnie — odparł dowódca zbirów, — i przyjmuję go z wdzięcznością.

— Zatem za zdrowie pańskie, panie... jak się pan nazywa?....

— Boisrenard.

— Więc panie Boisrenard!

— Za pańskie zdrowie, panie szlachcicu.... jak mam nazywać, jeśli łaska?

— D'Artagnan.

— Za pańskie zdrowie!

— A przedewszystkiem — wołał d'Artagnan, jakby uniesiony swym zapałem — za zdrowie króla i kardynała!

Dowódca zbirów powątpiewałby może w szczerość d'Artagnana, gdyby wino było złe; ponieważ jednak było dobre, został przekonany.

— Do djabła! cóż ty zo łajdactwo zrobiłeś? — odezwał się Portos, gdy dowódca zbirów połączył się ze swymi towarzyszami, a czterej przyjaciele pozostali sami. — Wstyd doprawdy? Czterej muszkieterowie pozwalają w pośrodku siebie uwięzić nieszczęśliwego, który błaga o pomoc! Szlachcic trąca się kieliszkiem z pachołkiem więziennym!

— Portosie — rzekł Aramis, — Atos powiedział ci już, że jesteś głupcem, a ja godzę się z jego zdaniem. D'Artagnanie, jesteś wielkim człowiekiem, a kiedy już zajmiesz miejsce pana de Treville, poproszę cię o protekcję, bym dostał opactwo.

— Ach! teraż już gubię się zupełnie — mówił Portos. — Więc pochwalacie to, co d'Artagnan uczynił?

— Zdaje mi się — odpowiedział Atos, — nie tylko pochwalam to, co czyni, ale winszuję mu jeszcze.

— A teraz, panowie — rzekł d'Artagnan, nie zadając sobie trudu wytłumaczenia Portosowi swego postępowania, — a te-

raz: wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! oto nasza dewiza, nieprawdaż?

— Jednakże.... — wtrącił Portos.

— Podnieś rękę i przysięgaj! — zawołali razem Atos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, złorzecząc pocichu, Portos podniósł rękę, i wszyscy czterej przyjaciele powtórzyli jednym głosem słowa przysięgi, podane przez d'Artagnana:

"Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich".

— Dobrze. A teraz niech każdy uda się do swego domu — rozkazał d'Artagnan, jak gdyby przez całe życie nie robił nic innego, — i baczność, gdyż od tej chwili idziemy oto z kardynałem w zapasy.

X.

PUŁAPKA SIEDEMNASTEGO WIEKU.

Wynalazek pułapki nie pochodzi z naszych czasów. Odkąd kształtujące się społeczeństwa stworzyły jakąśkolwiek policję, ta policja stwarzała pułapki.

Ponieważ czytelnicy nasi nie są prawdopodobnie obznajomieni z gwarą z ulicy Jerozolimskiej*) i ponieważ, odkąd piszemy, po raz pierwszy przed piętnastu laty użyliśmy wyrażenia "łapka na myszy" w tem znaczeniu, musimy wyjaśnić, co należy przez to rozumieć.

Gdy w jakimś domu zaaresztowano pewną osobę podejrzaną o jkąś brodnię, aresztowanie to zachowywano w tajemnicy. W pierwszym pokoju mieszkania aresztowanego umieszczano czterech lub pięciu ludzi na zasadzce, otwierano bramę wszystkim, którzy do niej stukali, zamykano ją za nimi i aresztowano ich również, a dzięki temu w ciągu dwóch lubtrzech dni prawie wszyscy krewni i znajomi domu wpadali w ręce władzy.

Oto, jak wyglądała pułapka.

W mieszkaniu pana Bonacieux urządzono zatem pułapkę; ktokolwiek się tam zjawił, zostawał aresztowany i badany przez ludzi pana kardynała. Nie trzeba mówić, że na pierwsze piętro, gdzie mieszkał d'Artagnan, było oddzielne wejście i że odwiedzający go byli wolni od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkieterowie. Zabrali się oni do poszukiwań, każdy na własną ręką, ale nic nie znaleźli, nic nie odkryli. Atos zwrócił się nawet do pana Treville z zapytaniem, co — wobec zwyczajnego milczenia czcigodnego muszkietera — zadziwiło bardzo jego kapitana. Ale i pan de Treville nie wiedział nic i mógł powiedzieć tylko to jedno, że kiedy o-

*) Znajdował się tam wówczas główny urząd policyjny. Przyp. tłum.

statni raz widział kardynała, króla i królową, kardynał wyglądał bardzo stroskany, król był zaniepokojony, a zaczerwienione oczy królowej świadczyły, że albo spędzała bezsennie noce, albo płakała. Ta ostatnia jednak okoliczność nie dziwiła nikogo, albowiem królowa od czasu swego zamążpójścia wiele nocy spędziła bezsennie i wiele łez wylewała.

Na wszelki wypadek jednak pan de Treville zalecił Atosowi, by gorliwie służył królowi, a zwłaszcza królowej i prosił go, by to samo zlecenie powtórzył swoim towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszał się z domu. Mieszkanie swoje zamienił na czatownię. Z okna widział tych ludzi, którzy dawali się złapać w pułapkę; prócz tego wyrwał deski z podłogi i wygrzebał w niej otwór, tak, że tylko cienki sufit oddzielał go od pokoju na dole, gdzie się odbywało badanie, i dzięki temu słyszał wszystko, co mówili inkwizytorzy i oskarżeni.

Badanie, poprzedzone szczegółowem stwierdzeniem osoby aresztowanego, odbywało się prawie zawsze w słowach następujących:

— Czy pani Bonacieux nie wręczyła panu czegoś dla swego męża lub jakiejś innej osoby?

— Czy pan Bonacieux nie wręczył panu czegoś dla swojej żony lub dla jakiejś innej osoby?

— Czy jedno lub drugie nie czyniło panu jakich zwierzeń?

— Gdyby wiedzieli cośkolwiek, nie wypytywaliby się w ten sposób — mówił d'Artagnan sam do siebie. — A obecnie czegóż usiłują się dowiedzieć? Może tego, czy książę Buckingham bawi w Paryżu i czy spotkał się już, czy też ma się spotkać z królową?

D'Artagnan uczepił się tej myśli, której, wedle wszystkiego, co słyszał, nie zbywało prawdopodobieństwa.

Tymczasem pułapka działała bez przerwy; bez przerwy też czuwał d'Artagnan.

Wieczorem następnego dnia po uwięzieniu biednego Bonacieux, kiedy Atos pożegnał d'Artagnana, aby się udać do pana de Treville, ponieważ biła już godzina dziewiąta, i kiedy Planchet, który jeszcze nie pościelił łóżka, zabrał się właśnie do tej roboty, dało się słyszeć pukanie do drzwi. Brama otwarła się szybko i zamknęła; ktoś dał się złapać w pułapkę.

D'Artagnan pospieszył ku otworowi w podłodze, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które usiłowano stłumić. O badaniach niebyło mowy.

— Do licha! — rzekł do siebie d'Artagnan, — zdaje mi się, że to kobieta.... Przeszukują ją.... ona się opiera... używają przemocy... niegodziwcy!

Id'Artagnan, mimo całego swego rozsądku, musiał się powstrzymać siłą woli, aby nie wmieszać się w scenę która rozgrywała się na dole.

— Ależ mówię wam, panowie, że jestem panią domu; mówię wam, że jestem pani Bonacieux; mówię wam, że należę do dworu królowej! — krzyczała nieszczęśliwa kobieta.

— Pani Bonacieux? — szepnął d'Artagnan. — Byłżebym tak szczęśliwy, że znalazłem to, czego daremnie szukają wszyscy?

— Na panią właśnie czekaliśmy tutaj — odpowiedzieli badający.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony; szamotanie wstrząsnęło boczerją. Ofiara opierała się widocznie, o ile kobieta może się opierać czterem mężczyznom.

— Łaski, panowei! łas... —szeptał głos, coraz to cichszy i odzywający się już tylko urywanymi dźwiękami.

— Kneblują jej usta, chcą ją porwać — krzyknął d'Artagnan, zrywając się z ziemi jakby na sprężynie. — Moja szpada! dobrze, mam ją przy boku. Planchecie!

— Słucham pana.

— Biegnij szukać Atosa, Portosa i Aramisa. Któryś z nich będzie z pewnością w domu, a może wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń, niech tu przychodzą, ale niech się spieszą. Ach! przypominam sobie: Atos jest u pana de Treville.

— Ale dokąd pan idzie? dokąd pan idzie?

— Wyjdę przez okno, aby prędzej przybyć na miejsce; ty zaś załóż deski, zamieć podłogę i biegnij, gdzie kazałem.

— Och! panie, panie, pan się zabije! — wołał Planchet.

—Milcz, głupcze! — odpowiedział d'Artagnan. I, chwyciwszy ręką za futrynę, zsunął się z pierwszego piętra, które na szczęście nie było bardzo wysokie, a po chwili stanął na ziemi, nie zadrapawszy się nawet.

Potem zapukał do drzwi, myśląc sobie:

— I ja także dam się schwytać w pułapkę. Ale biada kotom, które się spotkają z taką myszą!

Zaledwie uderzył poruszony ręką młodzieńca młotek, hałas ucichł, dały się słyszeć kroki, otwarła się brama, i d'Artagnan z obnażoną szpadą w dłoni wpadł do mieszkania pana Bonacieux. Drzwi, widocznie opatrzone sprężyną, same zamknęły się za nim.

Wtedy ci, którzy mieszkali jeszcze w nieszczęsnym domu pana Bonacieux, i najbliżsi sąsiedzi usłyszeli przeraźliwe krzyki, bieganinę, szczęk broni i przeciągły łoskot padających sprzętów. W chwilę później ci, którzy, zwabieni hałasem, pospieszyli do okien, aby się dowiedzieć o jego przyczynie, mogli byli ujrzeć otwierającą się znowu bramę i czterech ludzi, czarno ubranych, nie tyle wychodzących, ile raczej wylatujących, niby spłoszone kruki, i pozostawiających na węgłach domu pióra ze swych skrzydeł, to znaczy: strzępy ubrań i łachmany płaszczów.

Trzeba powiedzieć, że d'Artagnan zwyciężył bez wielkiego trudu, ponieważ tylko jeden zbir był uzbrojony, a i ten jeszcze bronił się jedynie dla zachowania pozoru. Co prawda, trzej inni usiłowali zasypać młodego człowieka krzesłami, stołeczkami i garnkami, — ale dwa czy trzy zadraśnięcia, zadane szpadą Gaskończyka, wystarczyły, aby ich przestraszyć. W ciągu dziesięciu minut ponieśli klęskę, a d'Artagnan został panem pola bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owe czasy zaburzeń i nieustannych bójek, zamknęli je z powrotem na widok ucieczki czterech czarno ubranych ludzi; przeczucie powiedziało im, że, jak na razie, wszystko skończone.

Zresztą było już późno, a w dzielnicy luksemburskiej zarówno dzisiaj, jak codziennie, wcześnie udawano się na spoczynek.

D'Artagnan, pozostawszy sam z panią Bonacieux, odwrócił się ku niej; biedna niewiasta leżała na fotelu, napół zemdlona. D'Artagnan obrzucił ją spojrzeniem.

Była to ładna kobieta, w wieku dwudziestu pięciu lub sześciu lat, brunetka, z niebieskiemi oczyma, z noskiem nieco zadartym w górę, prześlicznymi ząbkami, cerą o odcieniu róży i opalu. Na tem jednak kończyły się cechy, dzięki którym mogłaby uchodzić za wielką damę. Ręce miała białe, lecz niezbyt małe; nogi nie dowodziły również, by była rasową kobietą. Na szczęście,

d'Artagnan nie był jeszcze tak wybredny, aby się zajmować tego rodzaju szczegółami.

Podczas gdy d'Artagnan wpatrywał się w panią Bonacieux, a obserwował właśnie, jak mówiliśmy, nogi, ujrzał na ziemi wytworną, batystową chusteczkę. Podniósł ją, zgodnie ze swym zwyczajem, i na rogu ujrzał te same znaki, jakie były na owej chusteczce, która omal nie doprowadziła go do śmiertelnego starcia z Aramisem.

Od tego czasu d'Artagnan nie ufał chusteczkom, ozdobionym herbami, w milczeniu więc schował ją do kieszeni pani Bonacieux.

W tej chwili pani Bonacieux odzyskała zmysły. Otworzywszy oczy, z przerażeniem rozejrzała się dokoła i przekonała się, że pokój jest pusty, a ona znajduje się sam na sam ze swym wybawcą. Z uśmiechem wyciągnęła do niego ręce, a usta jej ozdobił najcudniejszy uśmiech na świecie.

— Ach, panie! — zawołała, — to pan mnie ocaliłeś? Pozwól, niech ci podziękuję.

Pani — odpowiedział d'Artagnan, — uczyniłem to tylko, co uczyniłby każdy szlachcic na mojem miejscu, nie zasłużyłem zatem bynajmniej na podziękę.

— Nie mówmy o tem, proszę pana; potrafię może przekonać pana, że nie natrafiłeś na niewdzięczną osobę. Ale czego chcieli odemnie ci ludzie, których zrazu uważałam za złodziei, i dlaczego niema tutaj pana Bonecieux?

— O, pani, ludzie ci byli bez porównania niebezpieczniejsi od złodziei; byli to bowiem służalcy pana kardynała; zaś męża pani, pana Bonacieux, niema tu, gdyż wczoraj uwięziono go i odprowadzono do Bastylji.

— Mój mąż w Bastylji? — krzyknęła pani Bonacieux. — Ach! mój Boże! Cóż miał popełnić złego ten biedny, kochany człowiek? on, który jest wcieloną niewinnością?

Coś niby uśmiech przemknął po przestraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

— Co popełnił złego, zapytuje pani? — odparł d'Artagnan. — Jak mi się zdaje, jedyną jego zbrodnią jest to, że ma zarazem szczęście i nieszczęście być mężem pani.

— Jakto, panie? pan wiesz.....

— Wiem, że zostałaś pani porwana.

—A czy wiesz pan, przez kogo? O! jeżeli ci wiadomo, chciej mi pan powiedzieć.

— Przez mężczyznę w wieku czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, bruneta, o smagłej cerze, z blizną na prawej skroni.

— Tak! to on! Ale jego nazwisko?

— Ach! nie znam właśnie na nieszczęście jego nazwiska.

— A czy mąż mój wiedział, że zostałam porwana?

— Doniósł mu o tem sam napastnik w liście, napisanym do niego.

— A czy przypuszcza, jaka była przyczyna tego wypadku? — pytała pani Bonacieux z zakłopotaniem.

— Zdaje mi się, że przypisywał go powodom politycznej natury.

— Zrazu wątpiłam w to, ale teraz podzielam jego przekonanie. Tak więc ten kochany Bonacieux nie podejrzywał mnie ani przez chwilę.....

— Ach, pani! dalekim był od wszelkich podejrzeń; zanadto się szczyci mądrością pani, a przedewszystkiem jej miłością.

Po raz wtóry niedostrzegalny prawie uśmiech wykwitł na ustach pięknej młodej kobiety.

— Ale w jakiż sposób zdołałaś pani umknąć — pytał dalej d'Artagnan.

— Skorzystałam z chwili, kiedy pozostawiono mnie samą, a wiedząc od rana, co sądzić o mojem porwaniu przy pomocy prześcieradeł spuściłam się z okna, następnie zaś podążyłam tutaj w przekonaniu, że zastanę tu męża.

— Aby się schronić pod jego opiekę?

— Och, nie! Wiem dobrze, że ten biedny, kochany człowiek nie jest zdolny mnie bronić; ale, ponieważ mogliśmy go użyć do czegoś innego, chciałam go uprzedzić.

— Do czego?

— Och! nie jest to moja tajemnica, więc nie mogę jej panu wyjawić.

— Zresztą — zauważył d'Artagnan, — przepraszam panią, że, mając się na baczności, odwołam się do jej rozsądku... zresztą wydaje mi się, że tu nie miejsce właściwe na czynienie sobie zwierzeń. Ludzie, których zmusiłem do ucieczki, powrócą z posiłkami; jeżeli nas zastaną tutaj, będziemy zgubieni. Uprzedziłem wprawdzie trzech moich przyjaciół, ale nie wiem, czy byli właśnie w domu.

— Tak, tak, masz pan słuszność — zawołała pani Bonacieux z przerażeniem; uciekajmy, ratujmy się.

To mówiąc, wsunęła rękę pod ramię d'Artagnana i pociągnęła go żywo.

— Lecz dokąd uciekać? — pytał d'Artagnan, gdzie się schronić?

— Przedewszystkiem oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I młoda kobieta oraz młodzieniec, nie zadając sobie nawet trdu, by zamknąć bramę, przeszli szybko przez ulicę Grabarzy, zboczyli w ulicę des Fosses-Monsieur-le-Prince i zatrzymali się dopiero na placu Świętego Sulpicjusza.

— A teraz cóż uczynimy? — spytał d'Artagnan, — gdzie każesz się pani odprowadzić?

— Przyznaję, że trudno mi dać odpowiedź — rzekła pani Bonacieux. — Miałam zamiar uprzedzić pana de La Porte za pośrednictwem mego męża, aby tenże zawiadomił nas dokładnie, co zaszło w Luwrze w ciągu tych trzech dni i czy mogę się tam pojawić bez niebezpieczeństwa dla siebie.

— Ale przecież ja mógłbym uprzedzić pana de La Porte — oświadczył d'Artagnan.

— Niewatpliwie. Jedno jest tylko w tym nieszczęście: pan Bonacieux jest znany w Luwrze, i dlatego przepuszcza go; natomiast pana nie znają i zamkną przed panem bramę.

— Ech, głupstwo! — odparł d'Artagnan. — Masz pani zapewne przy jednej z bram oddanego sobie odźwiernego, który, dzięki umówionemu hasłu....

Pani Bonacieux spojrzała bystro na młodego człowieka.

— A gdybym powiedziała panu to hasło? — oświadczyła, — czy zapomnisz je zaraz po użyciu?

— Słowo honoru, słowo szlachcica! — zawołał d'Artaognan z akcentem, w którego szczerość nie można było wątpić.

— Dobrze, wierzę panu; wyglądasz pan na dzielnego młodzieńca. Zresztą może los pański jest zależny od tego poświęcenia.....

— I bez żadnej obietnicy spełnię sumiennie wszystko, co tylko w mojej mocy, aby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej — rzekł d'Artagnan. — Rozporządzaj pani mną, jak przyjacielem.

— Ale gdzie pan mnie tymczasem umieści?

— Cyz nie masz pani nikogo, skądby cię później mógł zabrać pan de La Porte?

— Nie, nie chęc się zwierzać nikomu.

— Zaraz — rzekł d'Artagnan. — Jesteśmy przed drzwiami Atosa. Tak, to tutaj.

— Któż to jest Atos?

— Jeden z moich przyjaciół.

— A jeżeli jest w domu i zobaczy mnie?

— Niema go napewno. A wprowadzając panią do jego mieszkania, zabiorę klucz.

— Jeżeli jednak powróci?

— Nie powróci; zresztą powiedzą mu, że przyprowadziłem kobietę, i że ta kobieta jest u niego.

— Lecz czy pan wiesz, że mnie to może bardzo skompromitować?

— Cóż to panią obchodzi? Nikt pani tutaj nie zna; zresztą znajdujemy się w takiem położeniu, że nie możemy zważać na konwenanse.

— Chodźmy zatem do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

— Przy ulicy Ferou, stąd parę kroków.

— Chodźmy.

I oboje ruszyli w drogę. Jak przewidywał d'Artagnan, Atosa nie było w domu. D'Artagnan wziął klucz, który mu zawsze dawano, jako przyjacielowi domu, wszedł na schody i wprowadził panią Bonacieux do małego apartamentu, który już opisywaliśmy.

— Jesteś pani u siebie — rzekł. — Proszę posłuchać: zamknie pani drzwi na klucz i nie będzie otwierała nikomu, aż usłyszy pani trzykrotne pukanie w następujący sposób — tu zakupał trzy razy: dwa razy szybko po sobie i dosyć mocno, trzeci raz po przerwie i znacznie słabiej.

— Dobrze — odezwała się pani Bonacieux. — A teraz na mnie kolej, aby dać panu wskazówki.

— Słucham.

— Udasz się pan do bramy Luwru od strony ulicy Drabinia-stej i polecisz zawołać Germana.

— Dobrze. A potem?

— German będzie wypytywał pana o najrozmaitsze rzeczy, a pan na wszystko odpowiadać będziesz dwoma słowami: Tours i Bruksela. Wtedy będzie już na pańskie rozkazy.
— A co mam mu rozkazać?
— Aby poszukał pana de La Porte, pokojowca królowej.
— A skoro go znajdzie i pan de La Porte przyjdzie?
— Przyślesz go pan do mnie.
— Dobrze. A kiedy i gdzie zobaczę panią?
— Czy panu tak bardzo na tem zależy?
— Oczywiście.
— Więc pozostaw to pan memu staraniu i bądź spokojny.
— Liczę na słowo pani.
— Możesz pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najbardziej kochające spojrzenie, jakiem mógł objąć zachwycającą jej osóbkę. Kiedy schodził ze schodów, usłyszał, jak zamykała za nim drzwi na dwa spusty. Kilkoma skokami dostał się do Luwru. Gdy wchodził w bramę od ulicy Drabiniastej, biła właśnie godzina dziesiąta. Wszystkie opisane przez nas wypadki nie trwały dłużej, jak pół godziny.

W Luwrze odbyło się wszystko, jak powiedizała pani Bonacieux. Na umówione hasło German okazał gotowość wypełnienia wszystkiego. W dziesięć minut później pan de La Porte był już w pokoju odźwiernego. W paru słowach d'Artagnan zawiadomił go o tem, co zaszło, i wskazał mu, gdzie się znajduje pani Bonacieux. Pan de La Porte dwukrotnie upewnił się co do adresu i pędem tam podążył. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

— Dam ci radę, młodzieńcze — rzekł do d'Artagnana.
— Jaką?
— Mógłbyś być niespokojny z powodu tego, co zaszło.
— Tak pan sądzisz?
— Tak jest. Czy masz pan jakiegoś przyjaciela, którego zegarek by się spóźniał?
— Udaj się do niego, aby mógł poświadczyć, że byłeś u niego o godzinie pół do dziesiątej. Podług prawa nazywa się to "alibi".

D'Artagnan uznał tę radę za mądrą; wziął nogi za pas i udał się do pana de Treville. Zamiast jednak wejść, jak wszyscy, do salonu, poprosił o pozwolenie wejścia do gabinetu. Po-

nieważ d'Artagnan był jednym ze stałych bywalców w pałacu, nie czyniono żadnych trudności jego życzeniu i zawiadomiono pana de Treville, że jego młody ziomek, mając mu donieść coś ważnego, prosi o posłuchanie na osobności. W pięć minut później pan de Treville zapytywał już d'Artagnana, czem mógłby mu usłużyć i czemu ma przypisać odwiedziny o tak spóźnionej porze.

— Przepraszam pana — rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, kiedy był sam w pokoju, i przesunął zegar o trzy kwadranse; — wobec tego, że jest dopiero dwadzieścia minut po dziewiątej, przypuszczałem, że jest jeszcze pora stawić się u pana.

— Dwadzieścia minut po dziewiątej? — zawołał pan de Treville, spoglądając na zegar; — ależ to niemożliwe!

— Niech się pan sam przekona — odpowiedział d'Artagnan, — oto rzeczywistość.

— Istotnie — rzekł pan de Treville; — sądziłem, że jest już znacznie później. No, cóż tam? czego pan sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział panu de Treville szczegółowo historję, dotyczącą królowej, przesdtawił obawy, jakie się w nim obudziły ze względu na Jej Królewską Mość, opowiedział, co słyszał o projektach kardynała co do księcia Buckingham, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Treville dał się zwieść, tem bardziej, że i sam — jak już wspominaliśmy — zauważył, iż zaszło coś nowego między kardynałem, królem i królową.

Gdy na zegarze w gabinecie wybiła godzina dziesiąta, d'Artagnan pożegnał pana de Treville, który podziękował mu za wiadomości, i polecił mu służyć całem sercem królowi i królowej. Potem pan de Treville powrócił do salonu. D'Artagnan na dole schodów przypomniał sobie, że pozostawił w gabinecie laskę, powrócił więc na górę, jednym ruchem palca przesunął wskazówkę zegara na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie można było poznać, że ją ruszano z miejsca, a pewny już teraz, że ma świadka,a aby udowodnić swoje alibi, zeszedł ze schodów i niebawem znalazł się na ulicy.

XI.

INTRYGA SIĘ WIĄŻE.

Odwiedziwszy pana de Treville, d'Artagnan, zamyślony, powracał do domu najdalszą możliwie drogą.

O czemże myślał d'Artagnan, gdy przedłużał tak swą drogę, zapatrzony w gwiazdy na niebie, naprzemian to wzdychając, to uśmiechając się.

Myślał o pani Bonacieux. Dla kandydata na muszkietera młoda ta kobieta była nieledwie ideałem miłości. Piękna, tajemnicza, dopuszczona niemal do wszystkich sekretów dworu, które na wdzięcznych jej rysach odzwierciadlały się powabną powagą, pozwalała przypuszczać, że nie jest dlań nieczułą, co stanowi dla nowicjuszów miłości nieprzeparty urok; prócz tego d'Artagnan uwolnił ją z rąk tych demonów, którzy chcieli ją przeszukać i zgnębić przemocą, a ta ważna usługa nawiązała między nią i nim jedno z owych uczuć znajomości, które łatwo przybierają najczulszy charakter.

D'Artagnan widział już — tak szybko pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni, — jak dogania go wysłannik młodej kobiety, niosąc mu jakiś bilecik, naznaczający schadzkę, lub łańcuch złoty czy djament. Mówiliśmy już, że w owe czasy młodzi kawalerowie nie wstydzili się przyjmować darów od króla; dodajmy, że w tej epoce rozluźnionej moralności przyjmowali je także bez skrupułu od kochanek, a te znowu prawie zawsze zasypywały ich kosztownymi i trwałymi upominkami, jakgdyby chciały przezwyciężyć nietrwałość uczuć trwałością swych darów.

Torowano sobie drogę przy pomocy kobiet bez rumieńca wstydu. Te, które nie posiadały nic, prócz piękności, oddawały swą piękność, i stąd niewątpliwie pochodzi przysłowie, że najpiękniejsza dziewczyna na świecie nie może dać nic więcej, oprócz siebie samej. Te, które były bogate, oddawały znowu część swego majątku, i możnaby przytoczyć sporą liczbę boha-

terów tej rycerskiej epoki, którzy nie byliby zdobyli ostróg przedewszystkiem, a następnie nie byliby wygrywali bitew, gdyby nie kieska, lepiej lub gorzej zaopatrzona przez kochankę do łęku u siodła.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość parafjanina, ten łagodny polor, kwiat krótkotrwały, puszek brzoskwini, ulotniły się pod wpływem podmuchu nie bardzo moralnych rad, jakich trzej muszkieterowie nie szczędzili swemu przyjacielowi. D'Artagnan, idąc za dzikim obyczajem owych czasów, żył w Paryżu, jak na polu wojny, i to ni mniej ni więcej tak, jakby się znajdował we Flandrji: tam był Hiszpan, tu kobieta. I tu i tam należało pokonać nieprzyjaciela, ściągnąć kontrybucję ze zwyciężonego.

Zaznaczmy jednak, że w tej chwili uczucie d'Artagnana było bardziej szlachetne i bardziej bezinteresowne. Kramarz wyjawił mu, że jest bogaty; młodzieniec mógł łatwo odgadnąć, że wobec głupoty pana Bonacieux klucz od kasy musi się znajdować w rękach jego żony. Wszystko to jednak nie wpłynęło wcale na uczucie, zrodzone pod wpływem zobaczenia pani Bonacieux, i jakiekolwiek wyrachowanie było prawie tak samo obce tym narodzinom miłości, jak i dalszemu jej rozwojowi. Powiadamy: "prawie", gdyż myśl, że młoda, piękna, miła i pełna ducha kobieta jest równocześnie bogata, nietylko nie osłabia zaczątków miłości, lecz przeciwnie — utrwala je.

Dostatki wnoszą z sobą wiele dbałości i nawyknień wytwornych, które piękności dodają uroku. Pończoszka cienka i czysta, suknia jedwabna, narzutka z koronek, piękny bucik na nodze nie upiększają kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej, nie mówiąc już nic o rękach, które u kobiety muszą być bezczynne, aby mogły być piękne.

Przytem d'Artagnan, jak już czytelnikom wiadomo — nie tailiśmy bowiem jego stanu majątkowego, — d'Artagnan nie był bynajmniej miljonerem. Spodziewał się wprawdzie, że zostanie nim kiedyś, ale termin tej szczęśliwej odmiany, nawet ten, jaki sam naznaczał w marzeniach, był jeszcze dosyć odległy. A cóż za rozpacz patrzeć, że ukochana kobieta pragnie tysiąca tych drobnostek, jakie się składają na uszczęśliwienie kobiety, i nie módz jej dać tego wszystkiego. Natomiast, gdy kobieta jest bogata, a kochanek ubogi, sama ona ofiarowuje sobie to, czego on ofiarować jej nie może, i to zazwyczaj dostar-

cza sobie tych przyjemności za pieniądze męża, któremu jednak rzadko przypada za to wdzięczność w udziale.

Przytem d'Artagnan, usposobiony na jak najczulszego kochanka, nie przestał równocześnie być wiernym przyjacielem. Wśród projektów miłosnych co do żony kramarza nie zapominał też i o swoich własnych zamiarach. Piękna pani Bonacieux była kobietą, z którą byłoby miło przechadzać się po równinie Saint-Denis, lub na jarmarku w Saint-Germain w towarzystwie Atosa, Portosa i Aramisa; a d'Artagnan był dumny, że będzie się mógł pochlubić przed nimi takiem zwycięstwem. Że zaś po dłuższej przechadzce doznaje się uczucia głodu, co d'Artagnan miał sposobność sprawdzać od pewnego czasu, przyjemnie byłoby wtedy zjeść jeden z tych obiadków, kiedy to z jednej strony dotyka się przyjaciela ręką, a z drugiej kochankę nogą. Wreszcie w chwilach kłopotliwych, w sytuacjach krytycznych d'Artagnan mógłby się stać zbawieniem dla swych przyjaciół.

A pan Bonacieux, którego d'Artagnan popchnął w ręce zbirów wypierając się go głośno, a szeptem przyrzekając mu ocalenie? Musimy wyznać, że d'Artagnan nie myślał o nim wcale, a jeżeli nawet pomyślał, to tylko poto, aby sobie powiedzieć, że dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiekby się znajdował. Miłość jest najbardziej samolubną z wszystkich namiętności.

Wszelako niech się czytelnicy nasi pocieszą: jeżeli d'Artagnan zapomniał o swoim gospodarzu, lub też udawał, że zapomniał, pod pozorem, iż nie wie, gdzie go umieszczono, my nie zapomnieliśmy wcale, tem bardziej, że wiemy, gdzię się znajduje. Ale w obecnej chwili postąpmy tak samo, jak zakochany Gaskończyk; później zajmiemy się znowu losem zacnego kramarza.

D'Artagnan, rozmyślając o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, uśmiechając się do gwiazd, zaszedł na ulicę Cherche-Midi. Ponieważ zaś znalazł się w dzielnicy, gdzie mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzić przyjaciela, aby dać mu wyjaśnienie, z jakiego powodu przysłał Plancheta z prośbą, by niezwłocznie udał się do pułapki. Jeżeli bowiem Planchet zastał Aramisa w domu, ten pospieszył niewątpliwie na ulicę Grabarzy, gdzie nie znalazł nikogo, co najwyżej zaś swoich dwóch towarzyszów, wszyscy zaś razem nie wiedzieli zupełnie, o co chodzi. Wezwanie to zatem potrzebowało wyjaśnienia; d'Artagnan powiedział to sobie wyraźnie.

Przytem myślał także w skrytości ducha, że nastręczy mu się sposobność mówienia o pięknej, małej pani Bonacieux, która przepełniała jego umysł i serce. I nie można nawet wymagać, aby pierwsza miłość się ukrywała. Towarzyszy jej tak bezbrzeżna radość, że, gdyby nie pozwolić się jej wyładować, zadławiłaby swym ogromem.

Już od dwóch godzin Paryż był ciemny i zaczynał się stawać pusty. Na wszystkich zegarach przedmieścia Saint-Germain biła godzina jedenasta; niebo było pogodne. D'Artagnan postępował uliczką, znajdującą się w miejscu, gdzie dzisiaj biegnie ulica d'Assas, i wdychał wonne wiewy, które płynęły z wiatrem od ulicy de Vaugirard, z ogrodów, odświeżonych rosą wieczorną i lekkim odechem nocy. Z daleka brzmiały stłumione zamkniętemi okiennicami śpiewy pijaków w kilku szynkowniach, rozrzuconych po równinie. Doszedłszy do końca uliczki, d'Artagnan zawrócił na prawo. Dom, gdzie mieszkał Aramis, znajdował się między ulicą Cassette i ulicą Servandoni.

D'Artagnan mijał właśnie ulicę Cassette i rozróżniał już bramę domu przyjaciela, ukrytą w gąszczu klonów i bluszczów, które tworzyły nad nią szeroki wieniec, gdy nagle ujrzał coś, niby cień, wysuwający się z ulicy Servandoni. To coś było otulone płaszczem, a d'Artagnan sądził zrazu, że jest to mężczyzna; ale drobny wzrost, niepewność ruchów i lękliwy krok przekonały go niebawem, że widzi przed sobą kobietę. Co więcej, kobieta ta, jakgdyby nie wiedząc dobrze, gdzie znajduje się dom, którego szuka, rozglądała się dokoła, zatrzymywała się, zawracała z powrotem i znowu szła naprzód. D'Artagnan był zaciekawiony.

— A gdybym zaofiarował jej swe usługi? — pomyślał. — Z ruchów jej można wnioskować, że jest młoda: może jest także piękna. Ach! z pewnością! Ale kobieta, która o tej porze biegnie przez ulice nie może iść gdzieindziej, jak na schadzkę z kochankiem. Do licha! gdybym przeszkodził tej schadzce, złe doprawdy wybrałbym drzwi, by z nią wejść w stosunki.

Tymczasem młoda kobieta szła ciągle naprzód, licząc domy i okna. Nie było to zresztą ani zbyt długiem, ani zbyt trudnem zajęciem. W tej części ulicy wznosiły się zaledwie trzy domy i dwoje okien wychodziło na ulicę: jedno z pawilonu, równoległego do tego, w którym mieszkał Aramis, drugie z jego własnego mieszkania.

— Do licha! — mruknął d'Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa, — do licha! a to byłoby zabawne, gdyby ta spóźniona gołąbka szukała właśnie mieszkania naszego przyjaciela! I na honor, tak mi się wydaje. Ach! drogi Aramisie, tym razem chcę już mięć czyste serce.

I d'Artagnan, kurcząc się, jak mógł najbardziej, ukrył się w najciemniejszej stronie ulicy, obok kamiennej ławki, znajdującej się w głębi jakiejś framugi.

Młoda kobieta szła dalej naprzód; chód miała lekki, znamionujący młodość, prócz tego pokaszliwała cicho, objawiając przy tej sposobności świeżutki głosik. D'Artagnan przypuszczał, że kaszel ten może być sygnałem.

Tymczasem, czyto na kaszlanie odpowiedziano innym umówionym sygnałem, który rozproszył niepewności nocnego gościa, czy też bez obcej pomocy, kobieta doszła sama do przekonania, że stanęła u celu drogi, — dość, żepodeszła śmiało do okiennicy Aramisa i zgiętym paluszkiem zapukała trzykrotnie w równych odstępach czasu.

— Więc jednak do Aramisa — szepnął d'Artagnan. — A, panie hypokryto! otóż złapałem cię, jak to pracujesz nad teologją!

Zaledwie przebrzmiały trzy puknięcia, wewnętrzne okno otwarło się, a przez szpary okiennicy przebysło światło.

— Aha! — zauważył podsłuchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknem. — Aha! więc oczekiwano odwiedzin! Zobaczymy; teraz otworzy się okiennica, a dama wejdzie przez okno. Doskonale!

Ale, ku niezmiernemu zdziwieniu d'Artagnana, okiennica pozostała zamkniętą; co więcej — światło, które błyszczało przez krótką chwilę, zagasło, a dom cały pogrążył się w ciemności.

D'Artagnan był przekonany, że to nie potrwa długo, i dlatego obserwował dalej, wytężając oczy, — nasłuchiwał, wytężając słuch.

Nie pomylił się; po upływie kilku chwil ozwały się wewnątrz domu dwa krótkie stuknięcia.

Młoda kobieta odpowiedziała na nie jednem stuknięciem, poczem okiennica została otwarta.

Łatwo pojąć, jak chciwie patrzył i słuchał d'Artagnan.

Na nieszczęście, światło zostało przeniesione do innego pokoju. Ale oczy młodego człowieka przyzwyczaiły się już do

ciemności nocy; prócz tego, oczy Gaskończyków mają podobno, jak zapewniają, tę samą zdolność, co oczy kocie :widzą w nocy.

D'Artagnan ujrzał więc, jak młoda kobieta wyjęła z kieszeni jakiś biały przedmiot, który po rozwinięciu przybrał kształt chusteczki do nosa, i rożek tego rozwiniętego przedmiotu pokazała osobie, z którą rozmawiała.

Przypomniało to d'Artagnanowi chusteczkę, jaką znalazł u stóp pani Bonacieux, oraz drugą, którą podniósł z pod stóp Aramisa.

Cóż u licha mogła oznaczać ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie się znajdował, d'Artagnan nie mógł widzieć twarzy Aramisa; młody człowiek był bowiem przekonany, że to jego przyjaciel rozmawia z wewnątrz z damą, stojącą przed domem. Ciekawość zwyciężyła rozsądek; korzystając z zajęcia, jakie widok chusteczki obudził w obu osobach w grze będących, wymknął się ze swej kryjówki i szybko, jak błyskawica, lecz tłumiąc odgłos kroków, przypadł do węgła muru, skąd mógł doskonale ogarnąć spojrzeniem wnętrze apartamentu Aramisa.

Przybywszy tam, d'Artagnan omal nie wydał okrzyku zdumienia; to nie Aramis rozmawiał z nocnym gościem, lecz jakaś kobieta. D'Artagnan widział o tyle w ciemnościach, że mógł rozpoznać kształt ubrania, ale nie o tyle, by rozróżnić także rysy.

W tej samej chwili kobieta, stojąca w pokoju, wyjęła inną chusteczkę i zamieniła ją na tę, którą jej pokazywano. Następnie obie kobiety rozmawiały przez krótką chwilę; wreszcie okiennica zamknęła się. Kobieta, znajdująca się na zewnątrz okna, odwróciła się i przeszła w odległości czterech kroków od Artagnana, opuszczając kaptur płaszcza. Ale ostrożność tę przedsięwzięła nazbyt późno, i d'Artagnan poznał już panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzenie, że to ona jest właśnie już przedtem zrodziło się w jego umyśle, kiedy wyjęła z kieszeni chusteczkę; ale jakżeż można było przypuszczać, że pani Bonacieux, wysyłająca go w celu odszukania pana de La Porte, który miał ją odprowadzić do Luwru, błądzi sama po ulicach Paryża o godzinie jedenastej i pół, narażając się na powtórne porwanie.

Musiałaby to być chyba sprawa niezmiernie ważna. A jakąż

ważną sprawę może mieć kobieta dwudziestopięcioletnia? Jedynie miłość!

Czy jednak narażała się na podobne niebezpieczeństwa na swój własny rachunek, czy też na rachunek inej osoby? — oto pytanie, jakie zadawał sobie młody człowiek, któremu demon zazdrości szarpał już tak serce, jakgdyby był rzeczywistym kochankiem.

Był zresztą bardzo prosty sposób przekonania się, dokąd uda się pani Bonacieux: pójść za nią. Sposób ten był tak prosty, że d'Artagnan użył go bez namysłu, instynktownie.

Lecz na widok młodzieńca, który oderwał się od muru, jak statua od swej niszy, i na odgłos kroków, jakie usłyszała poza sobą, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i zaczęła uciekać.

D'Artagnan pobiegł za nią. Nie było trudnem dla niego dogonić kobietę, której w dodatku płaszcz przeszkadzał w ruchach. Zrównał się z nią zatem już w trzeciej części ulicy, wktórą się schroniła. Nieszczęśliwa była wyczerpana, nie tyle zmęczeniem, co przestrachem, a gdy d'Artagnan położył jej rękę na ramieniu, upadła na kolano, krzycząc zdławionym głosem.

Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, obejmując wpół ramieniem; czując zaś po ciężarze, że bliska jest zemdlenia, pospieszył dodać jej otuchy, zapewniając ją o swem oddaniu. Zapewnienia te nie miały znaczenia dla pani Bonacieux, równie dobrze bowiem mogły być dawane, mimo najgorszych w sercu zamiarów; natomiast głos rozstrzygnął o wszystkiem. Młodej kobiecie wydało się, że rozpoznaje jego brzmienie; otwarła oczy, spojrzała na człowieka, który nabawił ją tak wielkiego strachu, i poznając d'Artagnana, wydała okrzyk radości.

— Ach, to pan! to pan! — rzekła. — Dzięki Bogu!

— Tak, to ja — odpowiedział d'Artagnan. — Bóg zesłał mnie, abym czuwał nad panią.

— Czy to z tym zamiarem szedłeś pan za mną? — spytała z pełnym zalotności uśmiechem młoda kobieta, której nieco szydercze usposobienie zaczynało brać górę i której wszelkie obawy zniknęły z chwilą, gdy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

— Nie — odpowiedział d'Artagnan, — zaręczam, że nie. To przypadek postawił mnie na drodze pani; ujrzałem kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół.....

— Jednego z pańskich przyjaciół? — przerwała pani Bonacieux.

— Bezwątpienia; Aramis jest moim najlepszym przyjacielem.

— Aramis? któż to taki?

— Jakto? Czy chcesz pani twierdzić, że nie znasz Aramisa?

— Po raz pierwszy słyszę to nazwisko.

— Więc i po raz pierwszy zapewne przychodzisz pani do tego domu?

— Niewątpliwie.

— I nie wiedziałaś pani wcale, że mieszka tam młody człowiek?

— Nie.

— Muszkieter?

— Nic nie wiedziałam.

— Więc to nie jego pani szukałaś?

— Bynajmniej. Zresztą widziałeś pan na własne oczy że osobą, z którą rozmawiałam, była kobieta.

— To prawda; lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

— O tem nie wiem.

— Skoro przebywa u niego....

— To mnie nic nie obchodzi.

— Lecz kto jest ta osoba?

— O, to już nie jest moja tajemnica.

— Droga pani Bonacieux, jesteś pani zachwycającą, ale równocześnie najbardziej tajemniczą kobietą.

— Czy na tem co tracę?

— Nie, przeciwnie, jesteś pani godna ubóstwienia.

— A zatem podaj mi pan ramię.

— Najchętniej. A teraz?

— Teraz odprowadzisz mnie pan.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idę.

— A dokąd pani idzie?

— Przekonasz się pan, skoro mnie pożegnasz przy bramie.

— Czy wolno mi będzie zaczekać na panią?

— To byłoby daremne.

— Więc chcesz pani powracać sama?

— Może tak, może i nie.

— Aczy mężczyzna, czy też kobieta będzie pani później towarzyszyła?

— Tego jeszcze nie wiem.

— Ale ja będę wiedział.

— Jakim sposobem?

— Będę czekał, dopóki pani nie wyjdzie.

— W takim razie już teraz żegnam pana.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie potrzebuję jego pomocy.

— Przecież żądałaś pani sama...

— Pomocy szlachcia, ale nie dozoru szpiega.

— Słowo trochę za ostre.

— A jakże pan nazywasz tych, którzy śledzą kogoś wbrew jego woli?

— Niedyskretnymi.

— Słowo trochę za łagodne.

— Widzę zatem, że trzeba czynić to wszystko, co pani chce.

— Czemuż pozbawiłeś się pan zasługi, nie postępując tak odrazu?

Czyż istnieje człowiek, któryby nie żałował czegoś?

— A czy pan żałuje szczerze?

— Ja sam już nic nie wiem. Wiem tylko to jedno, że przyrzekam pani uczynić wszystko, co zechcesz, jeżeli pozwolisz mi, abym towarzyszył ci aż tam, dokąd idziesz.

— I później zostawisz mnie pan samą?

— Tak jest.

— Nie będziesz śledził, gdy wyjdę?

— Nie.

— Słowo honoru?

— Na honor szlachcica!

— Więc podaj mi pan ramię i chodźmy.

D'Artagnan podał ramię pani Bonacieux, która wsparła się na niem, napół roześmiana, napół drżąca, poczem oboje ruszyli w górę ulicy de La Harpe. Przybywszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo, jak poprzednio na ulicy Vaugirard. Potem jednak po pewnych znakach rozpoznała bramę i, podchodząc ku niej, rzekła:

— Tutaj oto mam coś załatwić. Dziękuję tysiąckrotnie za pańskie zacne towarzystwo, które ochroniło mnie od tych wszystkich niebezpieczeństw, na jakie mogłabym być narażona.

gdybym szła sama. Teraz jednak nadeszła chwila, abyś pan dotrzymał danego mi słowa; przybyłam na miejsce przeznaczenia

— I nie potrzebujesz się już pani niczego obawiać podczas powrotu?

— Mogę się obawiać tylko złodziei.

— Czyż to nic nie znaczy?

— Cóż mogliby mi zabrać? Nie mam przy sobie ani grosza.

— Zapominasz pani o tej pięknej, haftowanej chusteczce z herbami.

— Jakiej?

— Tej, którą znalazłem u stóp pani i schowałem pani do kieszeni.

— Milcz, milcz, nieszczęsny! — zawołała młoda kobieta. — Czy chcesz mnie pan zgubić?

— Otóż widzi pani, że grożą jej jeszcze niebezpieczeństwa, skoro jedno-jedyne słowo przyprawia panią o dreszcze i skoro sama pani wyznaje, że wystarczy, aby usłyszano to słowo, by była pani zgubiona. Ach! wysłuchaj mnie, pani — wołał d'Artagnan, chwytając ją za rękę i obejmując ją płomiennem spojrzeniem, — wysłuchaj mnie, pani, bądź bardziej wspaniałomyślną, zawierz mi; czyż nie wyczytałaś w moich oczach, że w sercu mem niema nic więcej, prócz oddania i sympatji dla ciebie?

— Wierzę temu — odpowiedziała pani Bonacieux, — i zapytaj mnie pan o moje własne tajemnice, a wyjawię ic je wszystkie; jeżeli jednak są to tajemnice cudze, sprawa inna.

— Dobrze — zawołał d'Artagnan, — więc sam je wykryję; skoro bowiem tajemnice te mają mieć wpływ na życie pani, trzeba, abym je poznał.

— Strzeż się pan — krzyknęła młoda kobieta z powagą w głosie, która mimowolnym dreszczem przyjęła d'Artagnana. — O! nie mieszaj się pan w to, co do mnie należy... nie usiłuj pomagać mi w tem, co spełniam sama; żądam tego od pana w imię tej sympatji, jaką budzę w panu, i w imięu usługi, jaką mi pan oddałeś, a której nie zapomnę do końca życia. Chciej pan raczej uwierzyć temu, co mówię. Nie zajmuj się pan mną nadal; niech przestanę istnieć dla ciebie; postępuj tak, jakbyś mnie nie widział nigdy w życiu.

— Czy i Aramis powinien tak samo, jak ja, uczynić? — zapytał, dotknięty jej słowami.

— Oto już poraz drugi czy trzeci wymieniasz pan to nazwisko, aczkolwiek oświadczyłam panu, że nie znam wcale tego człowieka.

— Nie znasz pani człowieka, do którego okien pukałaś? Uważasz mnie pani chyba za bardzo łatwowiernego.

— Przyznaj się pan, że wymyślasz tę historję i stwarzasz tego człowieka tylko poto, aby wyciągnąć mnie na słówka.

— Pani, nic nie wymyślam i nic nie stwarzam; mówię tylko szczerą prawdę.

— I twierdzisz pan, że jeden z pańskich przyjaciół mieszka w tym domu?

— Mówię to i powtarzam poraz trzeci; w domu tym mieszka mój przyjaciel, a przyjacielem tym jest Aramis.

— Wszystko to wyjaśni się trochę później — szepnęła młoda kobieta; — tymczasem jednak niech pan milczy.

— Gdybyś pani mogła otworzyć całkowicie moje serce i zajrzeć do niego — mówił d'Artagnan, — ujrzałabyś w niem tyle ciekawości, że miałabyś litość nademną, i tyle miłości, że zadowolniłabyś niezwłocznie nawet moją ciekawość. Niema powodu obawiać się tych, którzy kochają.

— Bardzo szybko mówisz pan o miłości, mój panie — rzekła młoda kobieta, potrząsając głową.

— To miłość zawładnęła mną tak szybko, i to po raz pierwszy, nie mam jeszcze nawet lat dwudziestu.

Młoda kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

— Posłuchaj mnie, pani; wpadłem już na trop — rzekł d'Artagnan. Przed trzema miesiącami omal nie miałem pojedynku z Aramisem z powodu podobnej chusteczki, jaką pokazałaś pani tej kobiecie w jego mieszkaniu, z powodu chusteczki, naznaczonej tymi samymi znakami, jestem tego pewny.

— Panie — odpowiedziała młoda kobieta, — przysięgam panu, że męczysz mnie bardzo temi zapytaniami.

— Jesteś pani przecież tak przezorna. A pomyśl, pani, coby się stało, jeżeliby uwięziono panią z tą chusteczką, jeżeliby pochwycono ją u ciebie. Czyż nie byłabyś pani skompromitowana?

— Dlaczgo? wszak inicjały są moje własne: K. B., Konstancja Bonacieux.

— Albo Kamilla de Bois-Tracy.

— Milcz pan, jeszcze raz błagam. Jeżeli nie powstrzymują

pana niebezpieczeństwa, które tobie samemu mogą zagrozić.

— Mnie?

— Tak jest, panu. Znajomość ze mną grozi więzieniem grozi śmiercią.

— Mimoto nie wyrzekam się pani.

— Panie — odezwała się młoda kobieta błagalnym tonem, załamując ręce, — w imię Boga, w imię honoru wojskowego, w imię grzeczności szlacheckiej, oddal się pan. Słuchaj, północ już bije; nadeszła godzina, kiedy mnie oczekują.

— Pani — odpowiedział młody człowiek, schylając, głowę, — nie mogę nic odmówić, gdy ktoś mnie prosi w ten sposób; bądź pani zadowoloną; odchodzę.

— Ale nie pójdziesz pan za mną, nie będziesz mnie śledził?

— Wracam w tej chwili prosto do domu.

— Ach! wiedziałam, że jesteś pan dzielnym młodzieńcem! — zawołała pani Bonacieux, wyciągając jedną rękę ku niemu, a drugą ujmując młotek, umieszczony przy małych drzwiczkach, ukrytych w murze.

D'Artagnan ujął podaną mu rękę i ucałował gorąco.

— Ach! wolałbym był nie widzieć pani nigdy — zawołał z tą brutalną naiwnością, jaką kobiety przenoszą często nad przesadną uprzejmość, ponieważ odsłania ona głąb myśli i dowodzi, że uczucie bierze górę nad rozumem.

— Panie! — odpowiedziała pani Bonacieux głosem niemal pieszczotliwym, ściskając dłoń d'Artagnana, który nie wypuszczał jej ręki, — powiem inaczej, aniżeli pan: to, co jest stracone na dziś, nie jest stracone na przyszłość. Kto wie czy, skoro pewnego dnia zostanę zwolniona z przysięgi, nie zadowolnię pańskiej ciekawości.

— A czy to samo przyrzekasz pani co do mojej miłości? — zakrzyknął d'Artagnan w nadmiarze radości.

— O, co do tego nie mogę się zobowiązywać; zależeć to będzie od uczucia, jakie wzbudzisz pan we mnie.

— Jednak dzisiaj, pani....

— Dzisiaj, panie, żywię jedynie wdzięczność dla pana.

— O! jesteś pani zachwycająca — rzekł d'Artagnan ze smutkiem, — a jednak nadużywasz mej miłości.

— Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, oto wszystko. Ale niech mi pan wierzy: są ludzie, u których wszystko można odnaleźć.

— Ach! czynisz mnie pani najszczęśliwszym z ludzi. Nie zapomnij pani tego wieczoru! nie zapomnij pani tego przyrzeczenia.!

— Bądź pan spokojny; w stosownej chwili i w stosownem miejscu przypomnę sobie wszystko. A teraz idź pan, idź pan, na miłość Boga! Oczekiwano mnie o północy, i już się spóźniłam.

— Pięć minut.

— Tak jest; lecz w pewnych okolicznościach pięć minut przemienia się w pięć wieków.

— Gdy się kocha.

— Tak, ale któż panu powiedział, że nie mam się spotkać z zakochanym?

— Więc to mężczyzna oczekuje na panią? — wykrzyknął d'Artagnan, — mężczyzna?!

— Otóż dyskusja rozpoczyna się na nowo — przerwała pani Bonacieux napół z uśmiechem, nie pozbawionym jednak pewnego zabarwienia niecierpliwości.

— Nie, nie! idę już, odchodzę; wierzę pani i chcę mieć całą zasługę poświęcenia się, chociażby nawet to poświęcenie się miało być głupotą. Żegnaj mi, pani, żegnaj!

I, jakgdyby nie czuł się na siłach oderwać się od ręki, którą ciągle trzymał ze wzruszeniem, oddalił się pędem, podczas gdy pani Bonacieux zapukała trzema uderzeniami powolnemi i miarowemi, tak samo, jak do okiennicy. Stanąwszy na rogu ulicy, odwrócił się: brama otwarła się już i z maknęła, a piękna żona kramarza zniknęła.

D'Artagnan ruszył w dalszą drogę; dał słowo honoru, że nie będzie śledził pani Bonacieux, więc, choćby nawet jej życie zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która jej miała towarzyszyć, d'Artagnan powróciłby do domu, skoro przyrzekł, że powróci. W pięć minut później był już na ulicy Grabarzy.

— Biedny Atos! — mówił sam do siebie; — nie będzie nic wiedział, co to wszystko znaczy. Może zasnął, czekając na mnie, albo też powrócił do swego mieszkania i po powrocie dowiedział się, że była tam jakaś kobieta. Kobieta u Atosa! Mimo wszystko jednak — mówił dalej d'Artagnan — była jakaś u

Aramisa. Wszystko zaś jest nader dziwne, i jestem bardzo ciekaw dowiedzieć się, jak się to skończy.

— Źle, panie, źle! — odpowiedział głos jakiś, w którym młodzieniec rozpoznał głos Plancheta. Albowiem, monologując na głos, jak to zwykli czynić ludzie, mający czemś zaprzątniętą głowę, wszedł w sień, na końcu której znajdowały się schody, wiodące do jego mieszkania.

— Jakto źle? co ty gadasz, głupcze? — zapytał d'Artagnan. — Cóż się stało?

— Wszelakie nieszczęścia.

— Jakie?

— Najpierw pan Atos został uwięziony.

— Uwięziony? Atos uwięziony? za co?

— Zastano go w pańskiem mieszkaniu i wzięto go za pana.

— Któż go uwięził?

— Straż, przyprowadzona przez czterech czarnych zbirów, których pan zmusił do ucieczki.

— Dlaczego nie wyjawił swego nazwiska? dlaczego nie powiedział, że nie wie nic o tej całej sprawie?

— Tego się właśnie wystrzegał, panie; przeciwnie, podszedł do mnie i rzekł:" Pan twój przedewszystkiem musi być wolny w tej chwili, nie zaś ja; on bowiem wie wszystko, podczas gdy ja nic nie wiem. Będą sądzili, że go uwięzili, i przez to pozyska czas do działania; po trzech dniach, zaś powiem, kim jestem, i będą zmuszeni mnie wypuścić".

— Wybornie, Atosie, zacna duszo! — szeptał d'Artagnan. — Poznaję cię w tem właśnie! A cóż uczynili zbirowie?

— Czterej zawiedli go, nie wiem dokąd, do Bastylji, czy do Fortu Biskupiego; dwaj inni pozostali z czarnymi ludźmi, którzy przetrząsnęli wszystko i zabrali papiery, jakie znaleźli; wreszcie dwaj ostatni stali na straży przy bramie podczas tej wyprawy, potem zaś, po ukończeniu rewizji, odeszli, pozostawiając dom pusty i otwarty.

— A Portos i Aramis?

— Nie zastałem ich w domu; nie przyszli dotąd.

— Ale mogą przyjść lada chwila, ponieważ zostawiłeś im wiadomość, że oczekuję na nich.

— Tak jest, panie.

— Zatem nie ruszaj się stąd. Jeżeliby przyszyli, uprzedź ich o tem, co mnie spotkało, i powiedz im, aby czekali na mnie w

gospodzie Pommne-de-Pin; tutaj bowiem mogłoby grozić niebezpieczeństwo; kto wie, czy dom nie jest śledzony. Ja pospieszę do pana de Treville, aby donieść mu o wszystkiem, a potem spotkam się tam z nimi.

— Dobrze, panie — rzekł Planchet.

— Ale zostaniesz tutaj i nie będziesz się bał! — odezwał się d'Artagnan, zawracając z drogi, aby służącemu swemu dodać odwagi.

— Niech pan będzie spokojny — odpowiedział Planchet. — Nie zna mnie pan jeszcze; jestem dzielny, skoro się raz postawię; wszystko zależy od tego, abym się postawił; a zresztą jestem Pikardyjczykiem.

— Więc postanowione — oświadczył d'Artagnan. — Pozwolisz się raczej zabić, niżbyś miał opuścić wyznaczone stanowisko.

— Tak jest, panie; uczynię wszystko, aby dowieść, jak jestem do pana przywiązany.

— Dobrze — rzekł d'Artagnan sam do siebie. — Zdaje się, że metoda, jakiej użyłem względem tego chłopca, jest bezwarunkowo dobra; przy sposobności będę ją i nadal stosował.

I wytężając całą szybkość nóg, aczkolwiek zmęczonych już nieco całodziennem bieganiem, d'Artagnan skierował kroki w stronę ulicy Starego Gołębnika.

Pan de Treville był nieobecny w pałacu; oddział jego stał na straży w Luwrze, więc i on udał się do Luwru wraz z żołnierzami.

Trzeba było jednak dotrzeć do niego koniecznie i uprzedzić go o tem, co się stało. D'Artagnan postanowił więc spróbować dostać się do Luwru. Mundur gwardji pana des Essarts powinien był utorować mu drogę.

Zeszedł przeto na ulicę Augustjanów i zawrócił przez bulwar, aby przejść przez Nowy Most. Na chwilę przyszedł mu pomysł, aby przeprawić się promem przez rzekę; gdy jednak stanął nad brzegiem i sięgnął odruchoow ręką do kieszeni, przekonał się, że nie ma ani grosza, aby zapłacić za przewóz.

Kiedy wszedł już w ulicę Guenegaud, ujrzał wychodzące z ulicy Delfina dwie osoby, których powierzchowność zwróciła jego uwagę.

Jedną z tych osób był mężczyzna, drugą kobieta.

Kobieta miała kształty pani Bonacieux; mężczyzna był ludzą co podobny do Aramisa.

Prócz tego kobietą była owinięta czarnym płaszczem takim samym, jaki d'Artagnan widział rysujący się na tle okiennicy na ulicy de Vaugirard i na tle drzwiczek na ulicy de La Harpe.

Co więcej — mężczyzna był w mundurze muszkietera.

Kobieta miała opuszczony kaptur, mężczyzna zasłaniał twarz chusteczką. Podwójna ta ostrożność wskazywała, że zależało im na tem, aby ich nie poznano.

Weszli na most. Ponieważ d'Artagnan, udając się do Luwru, musiał iść tą samą drogą, pospieszył za niemi.

Ale nie zdołał jeszcze postąpić dwudziestu kroków naprzód, gdy już upewnił się w podejrzeniu, że kobietą była pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

W tej samej chwili wszystkie podejrzenia, dyktowane zazdrością, wstrząsnęły jego sercem.

Został podwójnie oszukany: przez przyjaciela i przez tę, którą kochał już tak, jakgdyby naprawdę była jego kochanką. Pani Bonacieux zaklinała się na wszystkie świętości, że nie zna Aramisa, a oto w kwadrans później spotyka ją, idącą pod rękę z Aramisem.

D'Artagnan nie zastanowił się wcale nad tem, że zna piękną żonę kramarza dopiero od trzech godzin, że nie ma ona wobec niego żadnych zoobwiązań, prócz pewnej wdzięczności za uwolnienie jej z rąk czarnych ludzi, którzy chcieli ją porwać, i że nie przyrzekała mu nic zgoła. Uważał się za kochanka zelżonego, oszukanego, wyszydzonego. Krew i wściekłość uderzyły mu na twarz. Postanowił wszystko wyjaśnić.

Młoda kobieta i młody człowiek spostrzegli, że są ścigani, przyspieszyli więc kroku. D'Artagnan pospieszył również, wyminął ich i zwrócił się ku nim właśnie w chwili, kiedy znaleźli się pod latarnią, oświecającą swym blaskiem całą tę część mostu.

D'Artagnan przystanął przed niemi, oni zaś zatrzymali się naprzeciwko niego.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał muszkieter, cofając się o krok.

Mówił to z cudzoziemskim akcentem, co przekonało d'Artagnana, że pomylił się w części swych przypuszczeń.

— To nie Aramis — zawołał .

— Nie, panie, bynajmniej nie Aramis. Okrzyk ten przekonywa mnie, że wziąłeś mię pan za kogo innego, i dlatego przebaczam panu.

— Pan mi przebacza? — wykrzyknął d'Artagnan.

— Tak jest — odpowiedział nieznajomy. — Pozwól mi pan zatem przejść dalej, skoro nie masz ze mną żadnej sprawy.

— Masz pan słuszność — odezwał się d'Artagnan; — nie mam z panem żadnej sprawy, ale natomiast z tą panią.

— Z tą panią?! Nie znasz jej pan wcale — oświadczył nieznajomy.

— Mylisz się pan; przeciwnie, znam ją.

— Ach! — odezwała się pani Bonacieux tonem wyrzutu, — ach, panie! Miałam przecież pańskie słowo honoru, szlacheckie słowo; sądziłam, że mogę na nie liczyć.

— A pani — odparł d'Artagnan z zakłopotaniem — przyrzekłaś mi....

— Podaj mi pani ramię — rzekł nieznajomy, — i chodźmy dalej.

D'Artagnan jendak, oszołomiony, obezwładniony, zniweczony tem, co na niego spadło, stał w miejscu z rękami skrzyżowanemi na piersi, zagradzając drogę pani Bonacieux i nieznajomemu.

Muszkieter postąpił dwa kroki naprzód i odsunął d'Artagnana ręką.

D'Artagnan odskoczył w tył i dobył szpady.

W tej samej chwili nieznaojmy z szybkością błyskawicy wyciągnął swoją szpadę.

— Na miłość Boga, milordzie! — krzyknęła pani Bonecieux, rzucając się między gotowych do walki i chwytając ostrza szpad rękami.

— Milard! — zawołał d'Artagnan, oświecony nagłą myślą — milord! Przepraszam, więc pan jesteś...

— Książę Buckingham — rzekła półgłosem pani Bonecieux. — A teraz możesz nas pan wszystkich zgubić.

— Milordzie! pani! przepraszam, stokrotnie przepraszam..... Ale ja kocham, milordzie, i byłem zazdrosny. Pan wiesz, co to miłość, milordzie..... Przebacz mi i powiedz, jak mogę oddać życie za Waszą Wysokość.

— Jesteś pan dzielnym młodzieńcem — rzekł książę Buckingham, wyciągając do d'Artagnana rękę, którą tenże uścisnął

szacunkiem. — Ofiarowujesz mi swe usługi; przyjmuję je. Idź za nami w odległości dwudziestu kroków aż do Luwru; gdyby nas kto śledził, zabij go.

D'Artagnan wziął pod pachę obnażoną szpadę, przepuścił panią Bonacieux i księcia dwadzieścia kroków naprzód i ruszył za niemi, gotów wypełnić dosłownie zlecenie szlachetnego i wytwornego ministra Karola I-ego.

Na szczęście jednak młody człowiek nie był zmuszony dawać dowodów swej życzliwości dla księcia, i młoda kobieta wraz z pięknym muszkieterem weszli do Luwru przez bramę do ulicy Drabiniastej, nie niepokojeni przez nikogo.

D'Artagna natomiast udał się zaraz do gospody Pomme-de-Pin, gdzie zastał Portosa i Aramisa, oczekujących na niego.

Ale, nie dając im szczegółowych wyjaśnień o zamieszaniu, jakiego stał się przyczyną, powiedział tylko, że sam załatwił sprawę, do której ich wezwał w przekonaniu, że będzie potrzebował ich pomocy.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, pozwólmy naszym trzem przyjaciołom udać się do domów a sami pójdźmy poprzez krużanki Luwru za księciem Buckingham i jego przewodniczką.

XII.

JERZY VILLIERS, KSIĄŻĘ BUCKINGHAM.

Pani Bonacieux i książę weszli do Luwru bez żadnej trudności: panią Bonacieux znano, jako osobę, należącą do dworu królowej; książę miał na sobie mundur muszkietera, którzy — jak powiedzieliśmy — trzymali straż tego wieczoru. Zresztą German był oddany królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby oskarżona, że wprowadziła do Luwru swego kochanka; na nią spadłaby cała wina, i jej dobra sława byłaby stracona. Ale czyż dobre imię drobnej kramarki ma w świecie jakieś znaczenie?

Znalazłszy się raz wewnątrz dziedzińca, książe i młoda kobieta poszli wzdłuż muru na przestrzeni mniej-więcej dwudziestu kroków. Przebywszy tę przestrzeń, pani Bonacieux popchnęła małe drzwiczki, przeznaczone dla służby, otwarte w dzień, ale w nocy zazwyczaj zamknięte; drzwi otwarły się, oboje weszli i znaleźli się w ciemności. Lecz pani Bonacieux znała dobrze wszystkie przejścia i krużganki tej części Luwru, przeznaczonej dla świty. Zamknęła drzwi za sobą, ujęła księcia za rękę, postąpiła naprzód kilka kroków, macając w ciemności, uchwyciła ręką za poręcz, odszukała nogą stopień i zaczęła wchodzić po schodach. Książę naliczył dwa piętra. Potem zwróciła się na prawo, przeszła przez długi korytarz, znowu zeszła o piętro na dół, postąpiła jeszcze kilka kroków, włożyła klucz do zamku, otworzyła drzwi i lekko wepchnęła księcia do apartamentu, oświeconego jedną tylko nocną lampką, mówiąc: "Proszę tu zaczekać, książę; zaraz nadejdzie". Potem wyszła temi samemi drzwiami i zamknęła je na klucz, tak, że książę został dosłownie więźniem.

Ale, chociaż odcięty zupełnie od świata, książę Buckingham — należy to podkreślić — ani przez chwilę nie doznawał obawy. Jedną z wybitnych cech jego charakteru było szukanie przygód i zamiłowanie w romantycznych sytuacjach. Odważny, zu-

chwały, przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek. Wiedział już, że rzekome wezwanie Anny Austrjaczki, na wiarę którego przybył do Paryża, było zasadzką; zamiast jednak powrócił do Anglji, oświadczył królowej, nadużywając położenia, w jakiem się znalazł, że nie odjedzie, dopóki się z nią nie zobaczy. Królowa zrazu odmówiła stanowczo, później jednak poczęła się obawiać, aby zrozpaczony książę nie popełnił jakiegoś szaleństwa. I już postanowiła przyjąć go i błagać, aby wyjechał natychmiast, kiedy — w ten właśnie wieczór, gdy zapadło postanowienie — porwano panią Bonacieux, która miała zlecone odszukać księcia i przyprowadzić go do Luwru. Przez dwa dni nie wiedziano wcale, co się z nią stało, i wszystko było w zawieszeniu. Skoro jednak tylko pani Bonacieux odzyskała wolność i porozumiała się z panem de La Porte, sprawy przyjęły należyty bieg; pani Bonacieux przeprowadzała niebezpieczne przedsięwzięcie, które, gdyby nie jej aresztowanie, byłoby doszło do skutku o trzy dni wcześniej.

Pozostawszy sam, Buckingham zbliżył się do zwierciadła. W tym stroju muszkietera wyglądał doskonale.

W trzydziestym piątym roku życia słusznie był uważany za najpiękniejszego i najwytworniejszego kawalera we Francji i Anglji.

Ulubieniec dwóch królów, pan miljonowy, wszechwładny w królestwie, w którem wywoływał przewroty wedle fantazji, lub które uspokajał, gdy mu taka przyszła ochota, Jerzy Villiers, książę Buckinghamu, był jedną z tych istot legendarnych, które pozostają przez wieki podziwem dla przyszłości.

Pewny siebie, świadomy swej potęgi, spokojny, że prawa, rządzące innymi ludźmi, jego dosięgnąć nie mogą, szedł prosto do obranego celu, chociażby cel ten był tak wielki i oślepiający, że dla innego człowieka byłoby szaleństwem nawet pomyśleć o nim. W ten to sposób zbliżył się kilkakrotnie do pięknej i dumnej Anny Austrjaczki i, olśniwszy ją, zmusił do kochania go.

Jerzy de Villiers stanął więc, jak powiedzieliśmy, przed lustrem, poprawił loki swych pięknych jasnych włosów, które zgniotły się pod ciężarem kapelusza, podkręcił wąsa i z sercem, wezbranem radością, szczęśliwy i dumny, że nadeszła chwila, jakiej tak dawno pożądał, uśmiechnął się sam do siebie, pełen zadowolenia i nadziei.

W tej chwili otwarły się drzwi, ukryte w obiciu, i ukazała się w nich kobieta. Buckingham ujrzał to zjawisko w lustrze i zakrzyknął radośnie. Była to królowa.

Anna Austrjaczka miała wtedy dwadzieścia sześć czy dwadzieścia siedem lat i, można powiedzieć, znajdowała się w całym blasku piękności.

Ruchy miała królowej i bogini; oczy rzucające odbłyski szmaragdu, były idealnie piękne, a zarazem pełne słodyczy i majestatu. Usta miała małe i pąsowe, a chociaż dolna warga, jak u wszystkich księżniczek austrjackich, była nieco bardziej wysunięta, niż górna, śmiała się niezmiernie wdzięcznie, — lecz także niezmiernie pogardliwie, gdy chciała komuś okazać nienawiść. Płeć jej słynęła z delikatności i puszystości. Ręce i ramiona odznaczały się niezwykłą pięknością; poeci owej epoki opiewali je, jako nie mające sobie równych. Wreszcie włosy, które, z jasnych w pierwszej młodości stały się z czasem ciemniejsze, a które nosiła ufryzowane i pokryte znaczną ilością pudru, okalały cudownym wieńcem twarz, od której najsurowszy krytyk mógłby wymagać jedynie nieco minej różu, a najwybredniejszy rzeźbiarz nieco delikatniejszej linji nosa.

Buckingham stał przez chwilę w niemym zachwycie; nigdy Anna Austrjaczka nie wydawała mu się tak piękną czyto na balach, czy na uroczystościach, czy na turniejach, jak w tej chwili, w skromnej sukni z białego atłasu. Przy boku miała donę Estefanję, jedyną z dam hiszpańskich, której nie wygnała ani zazdrość króla, ani dotknęło prześladowanie kardynała.

Ana Austrjaczka postąpiła naprzód parę kroków. Buckingham padł na kolana i, zanim królowa mogła temu przeszkodzić, ucałował kraj jej sukni.

— Książę wiesz już o tem, że to nie ja pisałam do niego?

— O tak, pani! o tak, Wasza Królewska Mość! — zawołał książę. — Wiem, że byłem szaleńcem nierozumnym, sądząc, iż lód się ogrzeje, że marmur się ożywi. Ale cóż zrobić! gdy się kocha, łatwo się wierzy w miłość. Zresztą nie straciłem nic, odbywszy tę podróż, gdyż widzę cię, pani.

— Tak jest — odpowiedziała Anna Austrjaczka. — Ale wiesz pan także, dlaczego się z tobą spotykam, gdyż, nieczuły na wszystkie moje udręczenia, upierałeś się pozostać w tem mieście, gdzie narażasz swe życie i moją cześć. Spotykam się z panem, aby ci powiedzieć, że wszystko nas rozdziela: głębie mórz,

nieprzyjaźń państw, świętość przysiąg. Świętokradztwem jest walczyć przeciwko temu wszystkiemu, milordzie. Spotykam się wreszcie z panem poto, aby panu powiedzieć, że nie możemy się już więcej widywać.

— Mów, pani! mów, królowo! — odezwał się Buckingham. — Słodycz twego głosu łagodzi surowość twoich słów. Mówisz o świętokradztwie! Ale czyż nie jest świętokradztwem rozłąka dwóch serc, które Bóg stworzył dla siebie?

— Milordzie! — zawołała królowa, — zapominasz pan, że nie powiedziałam nigdy, bym cię kochała.

— Ale nie powiedziałaś też pani nigdy, że mnie nie kochasz, a doprawdy słowa podobne byłyby niewdzięcznością z twej strony. Najjaśniejsza Pani.... Bo, proszę mi powiedzieć, gdzie możesz pani znaleźć miłość do mojej podobną.... miłość, której nie może zgasić ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz.... miłość, która się zadowalnia zgubioną wstążką, przelotnem spojrzeniem, słowem, jakie się mimowoli wymknie? Przed trzema laty, pani, poraz pierwszy cię ujrzałem i od trzech lat cię tak kocham. Czy chcesz, pani, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, kiedy poraz pierwszy cię zobaczyłem? czy chcesz, abym opisał drobiazgowo każdą ozdobę twojej toalety? Słuchaj, widzę cię jeszcze: siedziałaś pani na poduszkach, hiszpańskim obyczajem, miałaś suknię z zielonego atłasu ze złotymi i srebrnymi haftami; zwisające jej rękawy podpięte były dużymi djamentami na pięknych ramionach, na tych cudownych ramionach; miałaś kryzę, otaczającą szyję, na głowie mały berecik koloru sukni, ozdobiony czaplem piórem. Słuchaj, pani! Zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtedy; otwieram oczy i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, to znaczy stokroć jeszcze piękniejszą!

— To szaleństwo! — szepnęła Anna Austrjaczka, nie mając odwagi gniewać się na księcia za to, że tak wiernie zachował w sercu jej portret, — to szaleństwo podsycać bezcelową namiętność podobnemi wspomnieniami.

— A czemże mam żyć? Nie posiadam przecież nic więcej, prócz tych wspomnień. To moje szczęście mój skarb, moja nadzieja. Ilekroć widzę cię, pani, za każdym razem nowy djament kryję do skarbca mojego serca. Oto właśnie zabrałem czwarty, rzucony mi przez ciebie; bo w ciągu tych trzech lat, pani, widziałem cię cztery razy: poraz pierwszy, o którym wspomniałem

przed chwilą, poraz drugi u pani de Chevreuse, poraz trzeci w ogrodach w Amiens.

— Książę! — rzekła królowa, okrywając się rumieńcem, — nie mów o tym wieczorze.

— O! przeciwnie, mówmy o nim, pani, mówmy: był to szczęśliwy i promienny wieczór mojego życia. Czy przypominasz sobie pani tę cudną noc? Powietrze było łagodne i wonne, niebo błękite, całe usiane gwiazdami! Ach! ten jeden raz, pani, mogłem przez chwilę pozostać sam z tobą; ten jeden raz gotowa byłaś powiedzieć mi o wszsytkiem: o pustce twego życia i o smutkach twego serca. Wsparłaś się pani na mojem ramieniu, o patrz, na tem właśnie. Czułem, skłaniając ku tobie głowę, jak piękne twoje włosy muskają mi twarz, a za każdem takiem muśnięciem przebiegał mię dreszcz od stóp do głowy. Ach! królowo, królowo! Ach, pani! nie wiesz wcale, ile szczęścia niebiańskiego, ile rajskiej radości zawiera w sobie chwila podobna. Słuchaj, pani! Cały majątek, moją sławę, wszystkie dni życia, jakie mi jeszcze pozostają, oddałbym za jedną taką chwilę, za noc podobną! Albowiem owej nocy, pani, owej nocy kochałaś mnie..... Przysięgam na to!

— Być może, milordzie, że tak było, że wpływ otoczenia, że czar tego pięknego wieczoru, potęga twego spojrzenia, a wreszcie te tysiące okoliczności, które zawsze składają się na to, aby zgubić kobietę, zwyciężyły mnie w ów nieszczęsny wieczór. Ale widziałeś też, milordzie, jak królowa pospieszyła w pomoc słabnącej kobiecie; zaraz po pierwszem sołwie, jakie ośmieliłeś się powiedzieć, po pierwszem zuchwalstwie na które należało dać odpowiedź, zawezwałam pomocy.

— Ach! tak, tak! to prawda! I niewątpliwie inna miłość, aniżeli moja, uległaby wobec takiej próby; ale moja miłość stała się tylko wskutek tego bardziej gorącą i bardziej trwałą. Sądziłaś, że uciekniesz przedemną, powracając do Paryża, że nie odważę się opuścić skarbu, nad którym pan mój straż mi powierzył. Ach! cóż mnie obchodzą wszystkie skarby świata i wszyscy królowie tej ziemi! W osiem dni później byłem już z powrotem, pani. Tym razem nie mogłaś mi już nic zarzucić; postawiłem na kartę moje stanowisko, moje życie, aby cię zobaczyć przez chwilę; nie dotknąłem nawet twej ręki, a pani przebaczyłaś mi, widząc mnie tak pokornego i skruszonego.

— Tak, ale oszczerstwo podchwyciło te wszystkie szaleństwa, w których, jak wiesz, milordzie, nie miałam żadnego udziału. Król, podżegany przez pana kardynała, wybuchnął strasznym gniewem: pani de Vernet została wypędzona, Putange poszedł na wygnanie, pani de Chevreuse popadła w niełaskę a kiedy pan chciałeś powrócić do Francji, jako ambasador, król sam, pamiętasz pan dobrze, król sam oparł się temu.

— Tak, i Francja zapłaci wojną tę odmowę swego króla. Nie mogę cię, pani widywać więcej! dobrze! więc pragnę przynajmniej, abyś codziennie słyszała o mnie. Jaki cel ma, zdaniem pani, ta wyprawa z Re i ten sojusz, jaki projektuję z protestantami z Rochelli? Rozkosz ujrzenia ciebie, pani! Nie mam wprawdzie nadziei dotarcia na czele armji aż do Paryża; wiem o tem dobrze. Ale wojna ta będzie się musiała zakończyć pokojem; zawarcie zaś pokoju wymagać będzie pośrednictwa, a pośrednikiem tym będę ja. Wówczas nikt nie będzie się mógł sprzeciwić mojej osobie: powrócę do Paryża, zobaczę panią znowu i będę przez chwilę szczęśliwy. Tysiące ludzi, to prawda, zapłacą życiem za moje szczęście; ale cóż mnie to obchodzi, skoro ja, dzięki temu, obaczę panią! Wszystko to jest może szalone, może nierozumne; ale powiedz, pani, jaka kobieta ma bardziej kochającego kochanka, jaka królowa bardziej oddanego sługę?

— Milordzie, milordzie! Wszystkie te argumenty, które przytaczasz na swoją obronę, oskarżają cię jeszcze bardziej; milordzie, wszystkie dowody miłości, jakie chcesz mi dać, są niemal zbrodnią.

— Dlatego, że nie kochasz mnie, pani. Gdybyś mnie kochała, inaczej patrzyłabyś na wszystko; gdybyś mnie kochała, och! gdybyś mnie kochała, byłoby to za wielkie szczęście... mógłbym oszaleć. Ach! pani de Chevreuse, o której dopiero co wspomniałaś, pani de Chevreuse, była mniej okrutną, aniżeli pani; Holland ją kochał, a ona odwzajemniła się mu miłością.

— Pani de Chevreuse nie była królową — szepnęła Anna Austrjaczka, zwyciężona pomimowoli wyrazem tak głębokiej miłości.

— Więc pani kochałabyś mnie gdybyś nie była królową? Och! powiedz, kochałabyś mnie? Więc wolno mi wierzyć, że jedynie dostojność twego stanowiska, pani, sprawia, iż jesteś dla mnie okrutną? więc wolno mi wierzyć, że, gdybyś była panią de Che-

vreuse, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję? Dzięki za te słodkie słowa, piękna moja królowo, stokrotnie dzięki!

— Ach, milordzie! przesłyszałeś się, źle zrozumiałeś; nie chciałam powiedzieć.....

— Och! zamilcz pani, zamilcz! — rzekł książę. — Jeżeli jestem szczęśliwy wskutek pomyłki, nie bądź tak okrutną, aby wyprowadzać mię z błędu. Wszakże powiedziałaś pani sama, że wciągnięto mnie w sidła; może położę tu moje życie... Bo, słuchaj, to dziwne: od pewnego czasu miewam wizje śmierci.

I książę westchnął weschnieniem smutnem i ujmującem zarazem.

— O! mój Boże! — wykrzyknęła Anna Austrjaczka z akcentem przerażenia, które dowodziło, że książę obchodzi ją bardziej, aniżeli mu to chciałaby okazać.

— Nie mówiłem tego bynajmniej dlatego, aby panią przestraszać,..... nie; śmiesznem jest nawet, że o tem wspominam, albowiem, chciej mi pani wierzyć, nie przywiązuję wcale wagi do podobnych snów. Ale słowo, jakie wyrzekłaś, pani, nadzieja, jaką mi dałaś nieledwie, godne są wszelkiej zapłaty, nawet gdyby miało nią być moje życie.

— Zatem — rzekła Anna Austrjaczka — i ja, książę, i ja mam przeczucia, i ja mam sny. Śniło mi się, że widzę cię, zbroczonego krwią, rannego.

— Nożem w prawy bok, nieprawda? — przerwał Buckingham.

— Tak jest, milordzie, tak właśnie, nożem w prawy bok. Ale któż mógł panu powiedzieć, że miałam taki sen? Zwierzyłam się z niego tylko Bogu jednemu w moich modlitwach.

— Nie pragnę nic więcej. Kochasz mnie, pani, i to dosyć.

— Ja pana kocham?

— Tak jest, pani. Czyż Bóg zsyłałby pani te same sny, co i mnie, gdybyś mię pani nie kochała? Czyż doznawalibyśmy tych samych przeczuć, gdyby istnienia nasze nie były złączone serdecznymi węzłami? Kochasz mnie, o królowo, i będziesz opłakiwała śmierć moją.

— Och! mój Boże! mój Boże! — zawołała Anna Austrjaczka. — To już ponad moje siły! Słuchaj, książę, zaklinam cię na imię Boga, oddal się, odjeżdżaj! Nie wiem, czy cię kocham, czy cię nie kocham, ale to jedno wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Miej więc litość nademną i oddal się. Och! gdyby nieszczęście jakieś spotkało cię tu, we Francji, gdybyś zginął we

Francji gdybym musiała przypuszczać, że to twoja miłość dla mnie stała się powodem twej śmierci, nie pocieszyłabym się nigdy, oszalałabym. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj! błagam nię o to.

— Och! jakżeś piękna w tej chwili! Och! jakże cię kocham! — zawołał książę Buckingham.

— Oddal się, oddal się! błagam cię o to! A później powracaj; powracaj jako ambasador, powracaj jako minister, ale powracaj w otoczeniu gwardji, która będzie cię broniła, w otoczeniu służby, która będzie czuwała nad tobą; wtedy nie będę już zmuszona obawiać się o twoje życie, wtedy będę szczęśliwa, mogąc cię znowu zobaczyć.

— O! pani! czy prawdą jest to, co mówisz?

— Tak.....

— Dobrze zatem! daj mi pani jakiś zakład w dowód twojej łaskawości, jakiś przedmiot, należący do ciebie, który mi będzie przypominał, że to, co przeżyłem, nie było tylko sennem marzeniem.... jakiś przedmiot, który nosiłaś sama, a który i ja także będę mógł nosić przy sobie, więc pierścionek, naszyjnik lub łańcuch.

— A czy odjedziesz pan jeżeli dam panu to o co mię prosisz?

— Tak jest.

— Natychmiast?

— Tak.

— Wyjedziesz pan z Francji i powrócisz do Anglji?

— Tak jest, przysięgam!

— Zaczekaj pan zatem... zaczekaj.

Anna Austrjaczka udała się do swego apartamentu, ale powróciła niemal natychmiast, niosąc w ręku szkatułkę z różanego drzewa, ozdobioną jej inicjałami, inkrustowanymi złotem.

— Słuchaj, milordzie — odezwała się; — przyjmij to i zachowaj, jako pamiątkę odemnie.

Buckingham wziął z jej rąk szkatułkę i po raz drugi upadł przed nią na kolana.

— Przyrzekłeś mi pan, że odjedziesz! — rzekła królowa.

— I dotrzymam danego słowa. Proszę, podaj mi pani rękę! proszę, podaj mi rękę! odjeżdżam.

Anna Austrjaczka wyciągnęła do niego rękę, przymykając oczy, a drugą ręką opierając się na ramieniu dony Estefanji, czuła bowiem że siły zaczynają ją opuszczać.

Książę Buckingham przylgnął namiętnie ustami do tej pięknej ręki, a potem, powstając, rzekł:

— Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę do tego czasu, zobaczę cię znowu, pani, choćbym miał z tego powodu przewrócić świat do góry nogami.

I, dotrzymując przyrzeczenia, jakie dał królowej, wybiegł z pokoju.

W krużganku spotkał panią Bonacieux, która oczekiwała na niego i która z tą samą ostrożnością i z tem samem powodzeniem, co poprzednio, wyprowadziła go z Luwru.

XIII.

PAN BONACIEUX.

We wszystkich tych wypadkach, jak można było zauważyć, odgrywała rolę jeszcze jedna osoba, której losami ze względu na podrzędne jej stanowisko, nie niepokoiliśmy się zbytecznie; osobą tą był pan Bonacieux, zacny męczennik intryg politycznych i miłosnych, które tak bardzo splatały się jedne z drugiemi w owej epoce rycerskości i miłostek zarazem.

Na szczęście — czytelnik przypomina sobie może, albo też i nie przypomina, — na szczęście przyrzekliśmy, że nie stracimy go z oczu.

Żołnierze, którzy go uwięzili, zaprowadzili go prosto do Bastylji, gdzie, drżąc na całem ciele, musiał prejść obok gromady wojaków, nabijających muszkiety.

Prowadzony stamtąd podziemną galerją, był narażony na najbardziej grubijańskie obelgi i na najbrutalniejsze traktowanie ze strony towarzyszących mu żołnierzy. Zbirowie, przekonawszy się, że nie jest szlachcicem, obchodzili się z nim, jak z najgorszym hultajem.

Po upływie mniej-więcej pół godziny pisarz sądowy uwolnił go od tych tortur, ale nie wyzwolił go z niepokojów, wydał bowiem rozkaz zaprowadzenia pana Bonacieux do pokoju, gdzie odbywało się badanie. Zazwyczaj przesłuchiwano więźniów w ich celach, ale z panem Bonacieux nie robiono zachodu.

Dwaj żołnierze pochwycili kramarza, przeprowadzili go przez podwórze, weszli z nim na korytarz, gdzie trech ludzi stało na straży, otworyli jakieś drzwi i wepchnęli go do niskiej sali, której całe umeblowanie składało się ze stołu i krzesła i gdzie znajdował się komisarz sądowy. Siedział on na krześle, zajęty pisaniem przy stole.

Dwaj żołnierzez podprowadzili więźnia do stołu, a potem na znak dany przez komisarza oddalili się o tyle, by nie mogli słyszeć zeznań.

Komisarz, który aż do tej chwili pochylony był nad papierami, podniósł głowę, aby zobaczyć, z kim ma do czynienia. Był to człowiek o nieprzyjemnej twarzy, z nosem spiczastym, z policzkami pożółkłymi i wystającymi, o oczach małych, lecz przenikliwych i ożywionych. Fizjognomja jego przypominała kunę i lisa zarazem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej, obszernej sukni, kołysząc się ruchem, nieco podobnym do ruchu żółwia, wysuwającego łeb z skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, zajęcie i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakób Michał Bonacieux, że liczy pięćdziesiąt jeden lat życia, że jest byłym kramarzem i że mieszka przy ulicy Grabarzy Nr. 11.

Wówczas komisarz, zamiast prowadzić dalej badanie, wygłosił wielką mowę o niebezpieczeństwach, jakiemi grozi zwyczajnemu mieszczaninowi mieszanie się do spraw politycznych.

Wstęp ten pogmatwał z wywodem, w którym opowiadał o potędze i czynach pana kardynała, tego ministra nieporównanego, tego zwycięzcy dawnych ministrów, a wzoru dla przyszłych ministrów; mówił o potędze i dziełach, którym nikt nie może bezkarnie stanąć w drodze.

Po tej drugiej części mowy utkwił krogulczy wzrok w biednym panu Bonacieux i wezwał go, aby się zastanowił nad swem poważnem położeniem.

Kramarz nie potrzebował zastanawiać się długo; przeklinał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszedł pomysł ożenienia go ze swoją chrzestną córką, a zwłaszcza chwilę, kiedy ta chrzestna córka została dozorczynią bielizny na dworze królowej.

Istotą charakteru pana Bonacieux było głębokie samolubstwo, pomieszane z brudnem skąpstwem, wszystko zaś było jeszcze okraszone tchórzostwem, dochodzącem do ostatecznych granic. Miłość, jaką żywił dla swej młodej żony, była zupełnie drugorzędnem uczuciem i nie mogła współzawodniczyć z wrodzonemi uczuciami, jakie dopiero co wyliczyliśmy.

Bonacieux zastanowił się istotnie nad tem, co mu powiedziano.

— Ależ, panie komisarzu — rzekł z zimną krwią, — chciej mi pan wierzyć, że znam i oceniam bardziej, niż ktokolwiek inny, niezrównane zasługi Eminecji, pod którego rządami mamy zaszczyt pozostawać.

— Doprawdy? — zapytał komisarz z wyrazem powątpienia. — Gdyby tak było istotnie, jakimże sposobem dostałbyś się pan do Bastylji?

— Nie umiem dać panu odpowiedzi, jakim sposobem się tu dostałem, a raczej z jakiego powodu, sam bowiem nie wiem tego — odrzekł Bonacieux. — Ale jestem pewny, że niczem nie zawiniłem wobec pana kardynała przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— A jednak musiałeś się pan dopuścić zbrodni, skoro znajdujesz się tu, obwiniony o zdradę stanu.

— O zdradę stanu? — wykrzyknął przerażony Bonacieux, — o zdradę stanu? Skądże biedny kramarz, brzydzący się hugenotami i nienawidzący Hiszpanów, może być obwiniony o zdradę stanu? Zastanów się pan! to przecież rzeczowo niemożliwe.

— Panie Bonacieux — rzekł komisarz, spoglądając na oskarżonego w ten sposób, jakgdyby oczy jego mogły czytać aż w głębi duszy, — panie Bonacieux, pan masz żonę?

— Tak jest, panie — odpowiedizał kramarz, drżąc na całem ciełem, czuł bowiem, że tutaj sprawa zaczyna się wikłać, — to znaczy, raczej należałoby powiedzieć, że miałem żonę.

— Jakto: miałeś pan? A cóż się stało, że jej nie masz?

— Porwano mi ją, panie.

— Porwano ją? — odezwał się komisarz. — Aha!

Bonecieux, usłyszawszy to "aha"!, zrozumiał, że sprawa wikła się coraz gorzej.

— Porwano ją zatem! — powtórzył komisarz. — A czy wiadomo panu, kto się dopuścił tego gwałtu?

— Zdaje mi się, że znam sprawcę.

— Któż to taki?

— O, panie komisarzu, nie twierdzę bynajmniej z pewnością; podejrzywam jedynie.

— Kogóż pan podejrzywasz? odpowiadaj pan szczerze.

Pan Bonacieux znalazł się w największym kłopocie: czy należało zaprzeczyć wszystkiemu, czy też wszystko wyznać? Zaprzecając, mógł się narazić na podejrzenie, że wie znacznie więcej, aniżeli mówi; natomiast wyznając wszystko, dawałby dowód dobrych chęci. Postanowił zatem powiedzieć wszystko.

— Posądzam — rzekł — wysokiego bruneta o wyniosłej postawie, wyglądającego na wielkiego pana; śledził nas kilkakrot-

nie, jak mi się zdaje, kiedy czekałem na żonę przed bramą Luwru, aby ją zabrać do domu.

Komisarz okazał pewne zaniepokojenie.

— A jego nazwisko?

— Och! nie znam jego nazwiska, ale, gdybym go spotkał kiedy, poznałbym go natychmiast, zaręczam panu, nawet pośród tysiąca ludzi.

Komisarz zachmurzył czoło.

— Rozpoznałbyś go pan wśród tysiąca ludzi, powiadasz pan? — badał dalej.

— To znaczy — odparł Bonecieux, zauważywszy, że wchodzi na fałszywą drogę, — to znaczy...

— Stwierdziłeś pan, że rozpoznałbyś go — powtórzył komisarz. — Dobrze, to wystarczy na dzisiaj. Zanim przystąpimy do dalszego badania, trzeba zawiadomić, kogo należy, że znasz pan człowieka, który porwał twoją żonę.

— Ależ ja nie twierdziłem bynajmniej, że go znam! — wołał zrozpaczony pan Bonacieux. — Wręcz przeciwnie...

— Wyprowadzić więźnia — rzekł komisarz do stróżów więziennych.

— Gdzie go umieścić? — zapytał pisarz.

— W celi.

— W której?

— Och! mój Boże! w pierwszej-lepszej, byleby była dobrze zamknięta — odpowiedział komisarz z obojętnością, która przejęła zgrozą biednego Bonacieux.

— Biada mi, biada! — powtarzał sam do siebie. — Nieszczęście zwaliło się na moją biedną głowę. Moja żona popełniła jakąś straszną zbrodnię; mnie uważają za jej wspólnika, i poniosę karę z nią razem. Ona powie wszystko, wyjawi wszystko w co mnie wtajemniczyła; kobieta jest tak słaba! Loch, pierwszy lepszy! oto, co mnie teraz czeka! Noc zaś szybko przeminie, a jutro wypadnie iść na koło, albo na szubienicę! Boże mój! Boże miej litość nademną!

Nie zwracając wcale uwagi na skargi pana Bonacieux skargi, do jakich zresztą byli przyzwyczajeni obaj strażnicy ujęli więźnia pod ramiona i odprowadzili go, podczas gdy komisarz pisał pospiesznie list, na który pisarz sądowy już oczekiwał.

Bonacieux nie zamknął oka, nie dlatego, by loch, w którym go zamknięto, był nieprzyjemny, ale ponieważ dręczący go nie-

pokój była zbyt wielki. Przesiedział całą noc na ławeczce wstrząsany dreszczem, gdy usłyszał szmer najlżejszy; a kiedy pierwsze promienie dnia wślizgnęły się do celi wydało mu się, że jutrzenka przywdziała żałobne barwy.

Nagle usłyszał zgrzyt otwieranych ryglów i odskoczył ze strachem. Był przekonany, że przychodzą po niego, aby go zaprowadzić na szafot. Skoro zaś ujrzał w drzwiach, zamiast kata, którego oczekiwał, jedynie komisarza z pisarzem, tych samych, których widział dnia poprzedniego, gotów był niemal rzucić się im na szyję.

— Sprawa pańska skomplikowała się bardzo od wczoraj wieczora, mój dobry człowieku — rzekł do niego komisarz, — i radzę panu powiedzieć szczerą prawdę; tylko skrucha może przebłagać gniew kardynała.

— Jestem gotów wyznać wszystko, a przynajmniej wszystko to, co wiem — zawołał Bonacieux. — Niech pan pyta, proszę.

— Przedewszystkiem, gdzie jest pańska żona?

— Mówiłem już panu, że ją porwano.

— Tak jest, ale wczoraj o godzinie piątej popołudniu zdołała umknąć z pomocą pańską.

— Moja żona umknęła?! — zawołał Bonacieux. — Och! nieszczęsna! Panie, jeżeli umknęła, to nie z mojej winy, przysięgam panu.

— Jaki zatem interes miałeś pan do pana d'Artagnana, swego sąsiada, z którym w ciągu dnia odbyłeś pan dłuższą naradę?

— Ach! tak, panie komisarzu, tak, to prawda, i wyznaję, że postąpiłem głupio. Byłem u pana d'Artagnana.

— Jaki był cel tych odwiedzin?

— Prosiłem go, aby mi dopomógł odszukać żonę. Sądziłem, że mam prawo jej poszukiwać; pomyliłem się, jak się zdaje, i proszę pana bardzo o przebaczenie.

— A co odpowiedział pan d'Artagnan?

— Pan d'Artagnan przyrzekł mi swą pomoc, ale niebawem przekonałem się, że mnie zdradził.

— Usiłujesz pan wprowadzić w błąd sprawiedliwość! Pan d'Artagnan zawarł z tobą układ, na mocy tego układu zmusił do ucieczki policjantów, którzy zaaresztowali pańską żonę, i uchronił ją przed wszelkiemi dochodzeniami.

— Pan d'Artagnan uprowadził moją żonę? Ach! co też pan opowiada!

— Na szczęście, pan d'Artagnan dostał się w nasze ręce, i będziesz pan z nim skonfrontowany.

— Na honor, niczego bardziej nie pragnę — zawołał Bonacieux; — nie sprawi mi bynajmniej przykrości zobaczyć twarz znajomą.

— Wprowadzić pana d'Artagnan — rzekł komisarz do strażników.

Strażnicy wprowadzili Atosa.

— Panie d'Artagnan — odezwał się komisarz, zwracając się do Atosa, — proszę nam powiedzieć, co zaszło między tobą a tym oto panem.

— Ależ to nie jest wcale pan d'Artagnan! — krzyknął Bonacieux.

— Jakto? nie pan d'Artagnan? — zawołał komisarz.

— Nigdy w świecie — odparł Bonacieux.

— Więc jak się ten pan nazywa? — pytał komisarz.

— Nie umiem panu powiedzieć, bo go nie znam.

— Jakto? nie znasz go pan?

— Nie.

— I nie widziałeś go pan nigdy?

— Owszem, widziałem, jednak nie znam jego nazwiska.

— Jak się pan nazywasz? — spytał komisarz.

— Atos — odpowiedział muszkieter.

— Ależ to nie jest nazwisko ludzkie, lecz nazwa góry! — wołał biedny komisarz, zaczynając już tracić głowę.

— To moje nazwisko — rzekł spokojnie Atos.

— Powiedziałeś pan przecież, że się nazywasz d'Artagnan.

— Ja?

— Tak jest, pan.

— Właściwe to mnie powiedziano: "Pan jesteś d'Artagnan?! Odpowiedziałem: "Czy tak?" Lecz strażnicy zakrzyczeli mnie, dowodząc, że są tego pewni. Nie chciałem się im sprzeciwiać. Zresztą mogłem się był mylić.

— Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

— Bynajmniej — odparł spokojnie Atos.

— Pan jesteś d'Artagnan.

— Otóż teraz pan znowu jeszcze raz wmawiasz to we mnie.

— Ależ, panie komisarzu — zawołał z kolei Bonacieux, — upewniam pana, że ani przez chwilę nie można żywić wątpliwości. Pan d'Artagnan jest mieszkańcem mojego domu, a ponie-

waż nie płaci należnego mi komornego, przeto z tej właśnie przyczyny tem lepiej muszę go znać. Pan d'Artagnan jest człowiekiem młodym, liczącym zaledwie dziewiętnaście lat życia, a ten pan tutaj ma conajmniej lat trzydzieści. Pan d'Artagnan służy w gwardji pana des Essarts, ten pan zaś w oddziale muszkieterów pana de Treville. Spojrzyj pan na mundur, panie komisarzu, spojrzyj pan na mundur.

— To prawda — mruknął komisarz, — tam do licha! prawda.

W tej chwili otwarto szybko drzwi, a posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylji, oddał list komisarzowi.

— Och! nieszczęsna! — zawołał komisarz.

— Co się stało? o kim pan mówisz? Mam nadzieję, że nie o mojej żonie?

— Przeciwnie, o niej właśnie. Słuchaj pan! Sprawa pańska wchodzi na nienajlepsze tory.

— Ach! mój Boże! — wykrzyknął kramarz z rozpaczą. — Ale racz mi pan powiedzieć, jakim sposobem moje położenie może się pogarszać wskutek tego, co uczyniła moja żona w tym czasie, który ja spędziłem w więzieniu!

— Gdyż to, co uczyniła, jest dalszym ciągiem ułożonego między wami planu, planu piekielnego.

— Przysięgam, panie komisarzu, że mylisz się pan najokropniej. Nie wiem nic zgoła o tem, co miała popełnić moja żona; jestem najzupełniej obcy temu wszystkiemu, co robiła, a jeżeli popełniła jakie głupstwo, wyrzekam się jej, wypieram, przeklinam ją...

— Ostatecznie — zrwócił się Atos do komisarza, — jeżeli nie jestem już panu potrzebny, każ mię odprowadzić gdziekolwiek, bo ten wasz pan Bonacieux jest strasznie nudny.

— Odprowadzić więźniów do lochu — rzekł komisarz, wskazując tym samym ruchem na Atosa i Bonacieux — i strzedz ich pilniej, aniżeli zwykle.

— Jednakże — odezwał się Atos ze zwykłym spokojem, — jeżeli masz pan jakąś sprawę z d'Artagnanem, nie rozumiem dobrze, dlaczego ja mam zastępować jego miejsce.

— Róbcie, co kazałem! — zawołał komisarz, — i wszystko zachować w największej tajemnicy! Zrozumieliście?

Atos poszedł za strażą, wrzusając ramionami; natomiast pan Bonacieux wydawał takie jęki, że mógłby nimi wzruszyć nawet serce tygrysa.

Umieszczono kramarza w tym samym lochu, w którym przepędził noc poprzednią, i pozostawiono go tam przez dzień cały. I przez cały ten dzień Bonacieux płakał, jak prawdziwy kramar, nie był bowiem człowiekiem rycerskiego rzemiosła, jak nam to sam powiedział.

Wieczorem około godziny dziewiątej, w chwili, gdy Bonacieux postanowił ostatecznie położyć się na tapczanie, usłyszał nagle kroki w korytarzu. Kroki zbliżały się do jego kaźni, wreszcie w otwartych drzwiach ukazała się straż.

— Proszę za mną — rzekł oficer, postępujący za strażą.

— Za panem? — zawołał Bonacieux, — za panem o tej godzinie? I dokądże to, na Boga?

— Tam, dokąd kazano mi zaprowadzić pana.

— Ależ to nie jest wcale odpowiedź.

— Tylko taką panu dać możemy.

— Och! mój Boże! mój Boże! — szeptał biedny kramarz, — tym razem jestem zgubiony!

I poszedł odruchowo, nie stawiając bynajmniej oporu, za strażnikami, którzy przyszli po niego.

Minął ten sam korytarz, przez który już poprzednio go prowadzono, przeszedł przez jedno podwórze, potem przez drugie, gdzie mieściła się straż pałacowa, wreszcie minąwszy bramę wjazdową, stanął przed karetą, którą otaczało czterech żołnierzy na koniach. Wsadzono go do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, i drzwiczki zamknięto na klucz, tak, że obaj znaleźli się jakbdy w ruchomem więzieniu.

Powóz ruszył z miejsca powoli, jak wóz pogrzebowy. Poprzez zamknięte na kłódkę kraty więzień widział domy i bruk, ale, jako rodowity paryżanin, rozpoznawał każdą ulicę po słupach, znakach sklepowych i latarniach. W chwili, gdy przybyli na plac Świętego Pawła, miejsce, gdzie tracono skazańców z Bastylji, omal nie zemdlał i przeżegnał się dwa razy. Był przekonany, że zatrzymują się tutaj. Lecz powóz jechał dalej.

Niedługo później ogarnął go jeszcze większy przestrach, wtedy mianowicie, gdy zbliżyli się do cmentarza Świętego Jana, gdzie grzebano straconych przestępców stanu. Pocieszał się tem jednem tylko, że wszystkim tym ludziom ścinano głowę

przed pogrzebaniem, a on miał jeszcze głowę na karku. Skoro jednak spostrzegł, że powóz zawraca w stronę placu LaGreve, skoro ujrzał spiczaste dachy ratusza, a powóz podjechał pod arkady, był przekonany, że tutaj zakończy się wszystko, i chciał się nawet wyspowiadać przed oficerem. Gdy zaś tenże od mówił prośbie, Bonacieux począł wydawać tak rozpaczliwe krzyki, że oficer zagroził mu zakneblowaniem ust, jeżeli nie zaprzestanie hałasować.

Groźba ta uspokoiła nieco pana Bonacieux; powiedział sobie, że gdyby miano go stracić na placu La Greve, nie zadawanoby sobie chyba trudu, by mu kneblować usta, bo znajdowali się już niemal na samem miejscu tracenia. Istotnie powóz przejechał przez nieszczęsny plac, nie zatrzymując się wcale. Teraz można się było obawiać jeszcze tylko placu Croix-du-Trahior; powóz kierował się właśnie w tamtą stronę.

Tym razem nie mógł już wątpić. Jakkolwiek w Croix-du-Trahior tracono przestępców podrzędniejszych, a Bonacieux uważał się za godnego placu Świętego Pawła lub placu La Greve, jednak w Croix-du-Trahior miała się zakończyć jego wędrówka i jego żywot! Nie mógł jeszcze dostrzedz nieszczęsnego krzyża, ale czuł, że coraz bardziej zbliżają się ku niemu. Gdy znaleźli się mniej-więcej w odległości dwudziestu kroków od strasznego miejsca, usłyszał Bonacieux gwar jakiś i powóz zatrzymał się.

Tego nie mógł już znieść biedny kramarz spokojnie. Zdruzgotany wrażeniami, jakie kolejno przechodził, wydał słaby jęk, który możnaby wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i stracił zmysły.

XIV.

NIEZNAJOMY Z MEUNG.

Tłum ten zebrał się nie w oczekiwaniu na stracenie człowieko, lecz, aby się przyjrzeć już powieszonemu.

Powóz, zatrzymawszy się chwilę, ruszył w dalszą drogę przebił się przez tłumy, przeciął ulicę Świętego Honorjusza, zawrócił w ulicę Dobrych Dzieci i zatrzymał się przed niską bramą.

Otworzono drzwiczki karety, i dwaj żołnierze, pochwyciwszy pana Bonacieux, podtrzymywanego przez oficera, wepchnęli go do sieni, stamtąd na schody, a wreszcie wprowadzili do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się niemal bez żadnego współudziału napół zemdlonego pana Bonacieux.

Szedł naprzód, jakgdyby we śnie; przez mgłę widział otaczające go przedmioty; uszy jego chwytały dźwięki, których znaczenia nie pojmował. Gdyby go w tej chwili tracono, nie uczyniłby jednego ruchu, aby się bronić, nie wydałby jednego krzyku, aby błagać o litość.

Siedział na ławeczce, oparty plecami o ścianę, z ramionami opuszczonemi na dół, tak, jak go usadzili strażnicy.

Ponieważ jednak, rozglądając się dokoła siebie, nie ujrzał żadnego groźnego przedmiotu, ponieważ nic nie wskazywało, aby mu groziło jakieś istotne niebezpieczeństwo, ponieważ ławeczka była wygodnie, wysłana, ściana pokryta piękną skórą kordubańską, a w oknach zwisały wielkie zasłony z czerwonego adamaszku, podtrzymyawne złotemi przepaskami, Bonacieux pojął, że przestrach jego był przesadny, i zaczął poruszać głową to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Gdy nikt nie sprzeciwiał się tym poruszeniom, kramarz nabrał odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną nogę, potem drugą, wreszcie pomagając sobie rękami, podniósł się na ławecze i stanął.

W tej samej chwili oficer o pięknej powierzchowności uchylił zasłonę we drzwiach, zamienił jeszcze kilka słów z osobą, znajdującą się w przyległym pokoju, a potem, zwracając się do więźnia, rzekł:

— Czy to pan nazywasz się Bonacieux?

— Tak jest, panie oficerze, do usług — wybełkotał kramarz, napół żywy.

— Proszę wejść — rzekł oficer.

I usunął się nieco, aby przepuścić kramarza. Ten usłuchał ślepo i wszedł do pokoju, gdzie widocznie oczekiwano na niego.

Był to obszerny gabinet, zamknięty szczelnie i zaciszny, obwieszony bronią zaczepną i odporną. Na kominku płonął ogień, mimo, że był to zaledwie koniec miesiąca września. Na środku pokoju stał stół czworoboczny, pokryty książkami i papierami, między którymi był rozłożony ogromny plan Rochelli.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, o wyniosłej, dumnej postawie, z bystremi oczyma, z szerokiem czołem, z twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiszasta bródka, i z małymi wąsikami. Aczkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści sześć do trzydziestu siedmiu lat, włosy, wąsy i bródkę pokrywał już szron siwizny. Gdyby nie brak szpady, mężczyzna wyglądałby na wojownika; buty ze skóry bawolej, lekko jeszcze przyprószone kurzem, dowodziły, że w ciągu dnia dosiadał konia.

Był to Armand-Jan Duplessis, kardynał Richelieu, ale nie taki, jakim go zazwyczaj przedstawiają, złamany wiekiem starzec, cierpiący męczennik, z bezsilnem ciałem, z głosem przygasłym, zagrzebany w olbrzymim fotelu, niby w przedwczesnym grobie, żyjący jedynie siłą swego genjuszu, podtrzymujący walkę z Europą jedynie nieustannym wysiłkiem myśli. Nie! Stał przy kominku taki, jakim był istotnie w owej epoce, to znaczy, przebiegły i światowy kawaler, słaby już ciałem, ale podtrzymywany tą potęgą ducha, dzięki której stał się jednym z najwybitniejszych ludzi, jacy wogóle istnieli, — przygotowujący się teraz właśnie po osadzeniu księcia de Nevers w jego księstwie mantuańskiem, po zdobyciu Nimes, Castres i Uzes, do wypędzenia Anglików z wyspy Re i do oblężenia Rochelli.

Na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia dostojnika, — toteż ci, którzy nie znali go osobiście, nie mogli odgadnąć, wobec kogo się znajdują.

Biedny kramarz przystanął przy drzwiach, podczas gdy opisana przez nas osobistość utkwiła w nim wzrok bodawczy, jakgdyby chcąc przeniknąć go aż do głębi serca.

— Więc to jest ów Bonacieux? — zapytał kardynał po chwili milczenia.

— Tak jest, Jaśnie Oświecony — odpowiedział oficer.

— Dobrze. Podaj mi pan te papiery i pozostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery i podał je żądającemu, poczem skłonił się aż do ziemi i wyszedł.

Bonacieux poznał, że są to protokóły z jego przesłuchania w Bastylji. Mężczyzna, stojący przy kominku odrywał kiedy-niekiedy oczy od czytania i wpijał je w biednego kramarza, niby dwa sztylety w głąb jego serca.

Po dziesięciu minutach czytania i po dziesięciu sekundach obserwacji kardynał wyrobił sobie już przekonanie.

— Nie, ten człowiek nie spiskował nigdy — szepnął — Ale, bądź co bądź, przekonajmy się.

— Jesteś pan obwiniony o zdradę stanu — oświadczył powolnym głosem.

— Powiedziano mi to już, Jaśnie Oświecony Panie — zawołał Bonacieux, dając badającemu tytuł, jaki usłyszał z ust oficera. — Ale przysięgam, że nie wiem zgoła o niczem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

— Spiskowałeś pan ze swoją żoną, z panią de Chevreuse i z milordem, księciem Buckingham.

— Istotnie, Jaśnie Oświecony Panie — odrzekł kramarz, — słyszałem, jak moja żona wymieniała te nazwiska.

— A przy jakiej sposobności?

— Mówiła, że kardynał Richelieu zwabił księcia Buckingham do Paryża, aby go zgubić, a wraz z nim zgubić królową.

— Tak mówiła?! — krzyknął kardynał gwałtownie.

— Tak jest, Jaśnie Oświecony Panie. Ale ja oświadczyłem jej że robi głupstwo, powtarzając takie plotki, i że Jego Eminencja nie byłby zdolny....

— Milcz pan, jesteś pan głupcem — przerwał kardynał.

— Zupełnie to samo oświadczyła mi także moja żona, Jaśnie Oświecony Panie.

— Czy panu wiadomo, kto porwał pańską żonę?

— Nie, Jaśnie Oświecony Panie.

— Miałeś pan jednak jakieś podejrzenia?

— Tak, Jaśnie Oświecony Panie; ponieważ jednak pan komisarz sprzeciwił się wyrażaniu takich podejrzeń, zaniechałem ich.

— Czy wiedziałeś pan, że żona twoja wydostała się na wolność?

— Nie, Jaśnie Oświecony Panie; dowiedziałem się o tem dopiero w więzieniu, i to za pośrednictwem pana komisarza nader miłego człowieka.

Kardynał po raz wtóry stłumił uśmiech.

— Nie wiesz pan zatem, co się stało z pańską żoną po jej ucieczce?

— Nic zgoła, Jaśnie Oświecony Panie. Musiała zapewne powrócić do Luwru.

— O godzinie pierwszej w nocy nie było jej tam jeszcze.

— Ach! mój Boże! więc cóż się z nią stało?

— Bądź pan spokojny; dowiemy się tego. Nic się nie ukryje przed kardynałem; kardynał wie wszystko.

— A czy sądzisz, Jaśnie Oświecony Panie, że kardynał pozwoli na to, aby mi powiedziano, co się dzieje z moją żoną?

— Być może; przedtem jednak musisz pan wyznać bez ogródek wszystko, co wiesz o stosunkach swojej żony z panią de Chevreuse.

— Kiedy ja nie wiem nic, Jaśnie Oświecony Panie; nie widziałem jej nigdy w życiu.

— Czy żona pańska wracała zawsze prost do domu, gdy odprowadzałeś ją pan z Luwru?

— Prawie nigdy; zazwyczaj miała interesy do handlarzy płótna, do których jej towarzyszyłem.

— Ilu było tych handlarzy?

— Dwóch, Jaśnie Oświecony Panie.

— Gdzie mieszkają?

— Jeden przy ulicy de Vaugirard, drugi przy ulicy de La Harpe.

— Czy wchodziłeś pan do nich z nią razem?

— Nigdy, Jaśnie Oświecony Panie; czekałem na nią przed bramą.

— A jakimże pozorem tłumaczyła się, że wchodzi sama?

— Nie tłumaczyła się nigdy; kazała mi czekać, więc czekałem.

— Jesteś pan wygodnym mężem, mój drogi panie Bonecieux — rzekł kardynał

— Nazywa mnie drogim panem! — pomyślał kramarz. — Do licha! sprawa nie najgorzej się przedstawia.

— Czy rozpoznałbyś pan te bramy?

— Tak jest.

— Czy znasz pan numery domów?

— Znam.

— Jakież to numery?

— Nr. 25 przy ulicy de Vagirard i nr. 75 przy ulicy de La Harpe.

— Dobrze — rzekł kardynał.

Powiedziawszy to, ujął w rękę srebrny dzwonek i zadzwonił. Oficer wszedł do gabinetu.

— Idź, poszukaj Rocheforta — rzkeł kardynał półgłosem. — Jeżeli już powrócił, niech tu przyjdzie natychmiast.

—Hrabia jest już tutaj — odparł oficer — i pragnie usilnie mówić z Waszą Eminencją.

— Niech wejdzie, niech wejdzie! — rzekł Richelieu z ożywieniem.

Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem, jaki okazywali zazwyczaj w posłuszeństwie wszyscy, którzy służyli kardynałowi.

— Z Waszą Eminencją! — szeptał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem dokoła.

Nie upłynęło nawet kilka chwil od wyjścia oficera, gdy drzwi otworzyły się, i nowa osoba weszła do pokoju.

—To on! — krzyknął Bonacieux.

— Co za on? — zapytał kardynał.

— Ten, który porwał moją żonę.

Kardynał zadzwonił ponownie. Oficer pojawił się we drziwach.

— Oddaj tego człowieka w ręce dwóch strażników, i niech czeka, póki nie zawezwę go do siebie.

— Nie, Jaśnie Oświecony Panie! nie, to nie on! wołał Bonacieux. — Nie, pomyliłem się, to ktoś inny, zupełnie niepodobny do tamtego człowieka! Ten pan jest uczciwym człowiekiem!

— Wyprowadźcie tego głupca! — odezwał się kardynał.

Oficer ujął pana Bonacieux pod ramię i odprowadził go do przedpokoju, gdzie oczekiwali na niego dwaj strażnicy.

Nowoprzyłyby wiódł niecierpliwem spojrzeniem za panem Bonacieux, póki nie zniknął, skoro zaś tylko drzwi zamknęły się za nim, rzekł, zbliżając się żywo do kardynała:

— Widzieli się.

— Kto? — zapytał Jego Eminencja.

— Ona i on.

— Królowa i książę? — zapytał Richelieu.

— Tak.

— Gdzie?

— W Luwrze.

— Czy jesteś pan tego pewny?

— Najzupełniej.

— Kto panu powiedział?

— Pani de Lannoy, która, jak wiadomo, jest najzupełniej oddana Waszej Eminencji.

— Czemu nie doniosła o tem wcześniej?

— Czy to przez przypadek, czy przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis pozostać w swoim pokoju, i ona przez cały dzień była towarzyszką królowej.

— Zatem jesteśmy pobici. Postarajmyż się przynajmniej o odwet.

— Będę dopomagał całem sercem! bądź spokojny, Jaśnie Oświecony Panie.

— Jakże się odbyło to spotkanie?

— O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu swoich dam.....

— Gdzie?

— W swojej sypialni...

— Dobrze.

— Wtem wręczono jej chusteczkę, przyniesioną przez jej dozorczynię bielizny....

— Cóż dalej?

— Królowa objawiła natychmiast wielkie wzruszenie; zbladła, pomimo różu, którym miała twarz pokrytą.

— Cóż dalej? co dalej?

— Podniosła się jednak i oświadczyła niepewnym głosem: "Moje panie, zaczekajcie tu na mnie dziesięć minut; zaraz powrócę". Potem otworzyła drzwi, wiodące do alkowy, i wyszła.

— Dlaczegóż pani de Lannoy nie zawiadomiła pana w tej samej chwili?

— Nie wiedziała jeszcze nic pewnego; zresztą królowa powiedziała: "Zaczekajcie, moje panie", nie śmiała zatem pani de Lannoy sprzeciwić się rozkazowi.

— Jak długo królowa była nieobecna w pokoju?

— Trzy kwadranse.

— Czy żadna z dam pałacowych nie towarzyszyła jej?

— Tylko Dona Estefanja.

— A potem królowa wróciła?

— Tak jest, ale po to tylko, aby zabrać szkatułkę z różanego drzewa, ozdobioną jej inicjałami, i wyszła znowu.

— Czy przyniosła z sobą tę szkatułkę, gdy wróciła do siebie?

— Nie.

— Czy pani de Lannoy wie, co znajdowało się w tej szkatułce?

— Tak jest: zapinki djamentowe, którego Jego Królewska Mość ofiarował był królowej.

— Powróciła zatem bez tej szkatułki?

— Tak jest.

— I pani de Lannoy sądzi, że królowa oddała je księciu Buckingham?

— Jest tego pewna.

— Na jakiej podstawie?

— Korzystając z tego, że powierzono jej nadzór nad strojami królowej, pani de Lannoy w ciągu dnia szukała szkatułki, udając wielkie zaniepokojenie, że nie może jej znaleźć, i wreszcie zwróciła się z zapytaniem do królowej, czy nie wie, coby się z nią stać mogło.

— A cóż na to królowa?

— Królowa zaczerwieniła się bardzo i odpowiedziała, że ponieważ poprzedniego dnia złamała jedną zapinkę, posłała ją swemu złotnikowi do naprawy.

— Trzeba się udać do niego i przekonać, czy to prawda, czy nie.

— Już tam byłem.

— I cóż złotnik?

— Złotnik nie słyszał o niczem.

— Doskonale, doskonale! Rocheforcie, jeszcze nie wszystko stracone... A może... może nawet lepiej, że się tak stało.

— Nie wątpie, że genjusz Waszej Eminencji...

— Nie naprawi głustw swego agenta nieprawdaż?

— To właśnie chciałem powiedzieć, gdy Wasza Eminencja pozwolił mi był dokończyć zdania.

— A teraz, czy wiesz pan, gdzie się ukrywała księżna de Chevreuse i książę Buckingham?

— Nie, Jaśnie Oświecony Panie; moi ludzie nie umieli o tem nic pewnego powiedzieć.

— Ja zaś wiem.

— Wasza Eminencja wie?

— Tak jest, a przynajmniej przypuszczam. Jedno z nich przebywało przy ulicy de Vaugirard w domu nr. 25, drugie przy ulicy de La Harpe w domu nr. 75.

— Czy wasza Eminencja życzy sobie, abym kazał uwięzić oboje?

— Zapóźno; już wyjechali zapewne.

— Mimo to, można się upewnić.

— Weź pan dziesięciu ludzi z mojej gwardji i przetrząśnij oba domy.

— Idę, Wasza Eminencjo.

I Rochefort wybiegł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, zamyślił się przez chwilę, a potem zadzwonił po raz trzeci.

— Pojawił się ten sam oficer.

— Wprowadzić więźnia — rzekł kardynał.

Pan Bonacieux znalazł się z powrotem w gabinecie. Na dany przez kardynała znak oficer oddalił się.

— Wprowadziłeś mnie pan w błąd — oświadczył surowo kardynał.

— Ja?! — krzyknął Bonacieux, — ja miałbym oszukiwać Waszą Eminencję!?

— Żona pańska, udając się na ulicę de Vaugirard i na ulicę de La Harpe, nie szła bynajmniej do handlarzy płótna.

— A dokądże chodziła, wielki Boże?

— Bywała u księżnej de Chevreuse i u księcia Buckingham.

— Tak jest — rzekł Bonacieux, wytężając pamięć, — tak jest; Wasza Eminecja ma słuszność. Niejednokrotnie wyrażałem zdziwienie w rozmowie z żoną, że ci handlarze bielizny mieszkają w podobnych domach, w domach, na których niema wcale szyldów; żona za każdym razem odpowiadała śmiechem. Ach! Wasza Eminencjo — mówił dalej Bonacieux, rzucając się

kardynałowi do nóg, ach! prawdziwie jesteś wielkim kardynałem, człowiekiem genjuszu, którego świat cały uwielbia.

Jakkolwiek drobny był triumf, odniesiony nad tak marną istotą, jaką był pan Bonacieux, kardynał ucieszył się nim na chwilę poczem, natychmiast niemal, uśmiech przemknął mu po wargach, jakgdyby nowa myśl zaświtała mu w głowie. Wyciągając rękę do kramarza, rzekł;

— Powstań, mój przyjacielu; jesteś dzielnym człowiekiem.

— Kardynał uścisnął mi rękę! Uścisnąłem dłoń wielkiego człowieka! — wołał Bonacieux. — Wielki człowiek nazwał mnie przyjacielem!

— Tak, mój przyjacielu, tak jest — powtórzył kardynał tym jakby ojcowskim tonem, którego używał niekiedy, lecz który mógł wprowadzić w błąd tylko nie znających go ludzi. — A ponieważ podejrzywano cię niesłusznie, sprawiedliwość nakazuje, abyś otrzymał jakieś wynagrodzenie; proszę cię zatem, weź tę sakiewkę, zawierającą sto pistolów, i przebacz mi.

— Ja mam przebaczyć Waszej Eminencji!? — odezwał się Bonacieux, ociągając się z przyjęciem kieski, prawdopodobnie w przypuszczeniu, że proponowany dar nie jest niczem więcej jak żartem. — Ależ Jaśnie Oświeconemu Panu wolno mię uwięzić, wolno mię posłać na tortury, wolno wreszcie kazać mię nawet powiesić, podczas gdy mnie niewolno w żadnym wypadku ani słówkiem uskarżyć się na to. Ja mam przebaczyć Waszej Eminencji!? Nie mówi tego Wasza Eminencja na serjo...

— Ach! mój drogi pani Bonacieux! Okazujesz pan szlachetność, którą uznaję i za którą jestem wdzięczny. A zatem przyjmiesz pan tę sakiewkę i odejdziesz, nie żywiąc względem mnie nazbyt wielkiego żalu?

— Odejdę, zachwycony łaskawością Waszą, Jaśnie Oświecony Panie.

— Żegnam więc pana, a raczej mówię: do zobaczenia się, mam bowiem nadzieje, że zobaczymy się jeszcze.

— Jestem zawsze na usługi ilekroć Wasza Eminencja tego zażąda.

— Korzystać będę często z tego, albowiem przekonałem się, że rozmowa z panem ma wdzięk nieporównany.

— Och! Jaśnie Oświecony Panie!

— Do widzenia, panie Bonacieux, do widzenia z panem.

I kardynał pożegnał go ruchem ręki, na co Bonacieux odpowiedział głębokiem ukłonem aż do ziemi, poczem wyszedł, cofając się tyłem. A kiedy już znalazł się w przedpokoju, uniesiony entuzjazmem, począł krzyczeć na całe gardło: "Niech żyje Jaśnie Oświecony Pan! niech żyje Jego Eminencja! niech żyje wielki kardynał!"

Eminencja słuchał z uśmiechem tych hałaśliwych objawów uczuciowego entuzjazmu pana Bonacieux, gdy zaś okrzyki przebrzmiały wreszcie w oddali, rzekł sam do siebie.

— Oto znowu jeden człowiek, który jest gotów oddać za mnie głowę.

Potem kardynał zaczął z największą uwagą badać rozłożoną na biurku, jak wspomnieliśmy, mapę Rochelli i ołówkiem zaznaczał linję, gdzie ma być zbudowana owa sławna tama, która w osiemnaście miesięcy później zamknęła port oblężonego miasta.

Gdy siedział tak, pogrążony w strategicznych kombinacjach, drzwi się rozwarły, a do pokoju wszedł Rochefort.

— Cóż zatem? — zapytał żywo kardynał, zrywając się szybko od stołu, co dowodziło, jak wielką wagę przywiązywał do zlecenia, wydanego hrabiemu.

— Zatem — odpowiedział tenże — młoda kobieta, w wieku lat dwudziestu sześciu do dwudziestu ośmiu, i mężczyzna, mogący liczyć lat trzydzieści pięć do czterdziestu, mieszkali istotnie w domach, wskazanych przez Waszą Eminencję, jedno przez cztery dni, drugie przez pięć. Ale kobieta wyjechała dzisiaj w nocy, a mężczyzna dzisiaj rano.

— To oni! — zakrzyknął kardynał, spoglądając na zegar. — Teraz jednak już zapóźno ich ścigać: księżna znajduje się już w Tours, a książę w Boulogne. Należy ich dogonić w Londynie.

— Co Wasza Eminencja rozkaże?

— Przedewszystkiem ani słówka o tem, co zaszło! Niech królowa czuje się najzupełniej bezpieczną; niech nie wie, że znamy jej tajemnicę; niech przypuszcza, że tropimy jakiś spisek. Przyślij mi pan kanclerza Seguiera.

— A co Wasza Eminencja uczynił z tym człowiekiem?

— Z jakim? — zapytał kardynał.

— Z tym Bonacieux?

— Uczyniłem to, co należało: zrobiłem z niego szpiega własnej jego żony.

Hrabia Rochefort skłonił się, jak człowiek, uznający wyższość swego mistrza, i wyszedł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, usiadł znowu przy biurku, napisał list, zapieczętował go własnym sygnetem, a następnie zadzwonił.

Oficer wszedł po raz czwarty.

— Proszę zawołać Vitray'a — rzekł kardynał. — Powiedz mu pan, aby się przygotował do podróży.

W chwilę później stanął przed kardynałem wezwany, w butach do podróży i z ostrogami.

— Vitray'u — odezwał się kardynał, — udasz się jak najspieszniej do Londynu; nie będziesz się zatrzymywoł po drodze ani na chwilę. Oddasz ten list milady. Oto przekaz na dwieście pistolów, z którym udasz się do mego skarbnika, aby wypłacił tę sumę. Otrzymasz drugie tyle, jeżeli powrócisz w ciągu sześciu dni i wywiążesz się dobrze z zadania.

Posłaniec, nie odpowiadając ani słowa, skłonił się, wziął list, przekaz na dwieście pistolów i wyszedł.

List zawierał następujące słowa:

"Milady:

Udaj się pani na pierwszy bal, na którym znajdować się będzie książę Buckingham. Przy ubraniu będzie on miał dwanaście zapinek djamentowych; zbliż się ku niemu i dwie z nich odetnij.

Skoro będziesz już pani miała te zapinki, zawiadom mnie niezwłocznie."

XV.

TOGA I MIECZ.

Gdy Atos nie pojawił się następnego dnia po wypadkach, jakie się rozegrały, d'Artagnan i Portos zawiadomili pana de Treville o jego zniknięciu.

Aramis już przedtem poprosił o zwolnienie go na pięć dni ze służby i udał się — jak twierdził — do Rouen w celu załatwienia jakichś spraw rodzinnych.

Pan de Treville był ojcem dla swoich żołnierzy. Najpodrzędniejszy z nich i najmniej znany, skoro tylko nosił mundur oddziału, mógł być tak pewnym jego pomocy i poparcia, jakdgyby był jego rodzonym bratem. Udał się tedy natychmiast do urzędnika do spraw kryminalnych. Wezwano oficera, dowodzącego strażą w więzieniu Czerwonego Krzyża, a kolejne poszukiwania wykazały, że Atos został umieszczony w Forcie Biskupim.

Atos przechodził te same przykrości, na jakie był narażony Bonacieux.

Byliśmy świadkami sceny konfrontacji obu więźniów. Atos, który aż dotąd nie mówił nic z obawy, by d'Artagnanowi nie brakło potrzebnego czasu, oświadczył teraz stanowczo, że nazywa się Atos, nie zaś d'Artagnan.

Dodał, że nie zna ani pana, ani pani Bonacieux, że nigdy nie rozmawiał ani z jednem, ani z drugiem z małżonków, że około godziny dziesiątej wieczorem przybył w odwiedziny do d'Artagnana, swego przyjaciela i że aż do tej pory nie znajdował się w pałacu pana de Treville, gdzie jadł obiad co — jak oświadczył — mogło potwierdzić dzudziestu świadków. Na dowód wymienił kilka znanych osobistości, między innymi także księcia de La Tremouille.

Drugi komisarz, przesłuchujący go, był, podobnie jak pierwszy, zdumiony prostem i zwięzłem oświadczeniem tego muszkietera, na którym chętnie pragnąłby wykonać odwet, gdyż lu-

dzie noszący togę, lubią okazywać swą wyższość ludziom, noszącym szpadę przy boku. Ale wymienione nazwiska pana de Treville i księcia de La Tremouille zasługiwały na uwagę.

Atosa również zaprowadzono do pałacu kardynała, ale na nieszczęście kardynał był właśnie w Luwrze u króla.

W tej samej chwili pan de Treville, odwiedziwszy urzędnika do spraw kryminalnych i gubernatora Fortu Biskupiego gdzie nie znalazł Atosa, przybył także do Jego Królewskiej Mości.

Jako kapitan muszkieterów, pan de Treville miał o każdej porze wolny dostęp do króla.

Wiadomo, jakie były uprzdzenia króla względem królowej, uprzedzenia, podsycane przez kardynała, który co do intryg nieskończenie bardziej nie dowierzał kobietom, aniżeli mężczyznom. Jedną z głównych przyczyny tego uprzedzenia była przyjaźń, jaką Anna Austrjaczka okazywała pani de Chevreuse. Dwie te kobiety bardziej niepokoiły króla, aniżeli wojny z Hiszpanją, zatargi z Anglją i kłopoty finansowe. W jego oczach i w jego przekonaniu pani de Chevreuse usługiwała królowej nie tylko w jej intrygach politycznych, ale również, co go niepomiernie bardziej dręczyło, w intrygach miłosnych.

To też zaraz po pierwszych słowach kardynała, że pani de Chevreuse, wygnana do Tours i rzekomo, jak sądzono, znajdująca się w tem mieście, przybyła do Paryża i przez pięć dni tu bawiła, zmyliwszy tropy policji, król wpadł w straszny gniew. Kapryśny i niestały, król pragnął, aby go nazywano Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Skromnym. Potomność niełatwo może zrozumieć ten charakter, który historja tłumaczy nie rozumowaniem, lecz faktami.

Gdy zaś kardynał dodał, że nietylko pani de Chevreuse bawiła w Paryżu, ale jeszcze, że królowa nawiązała z nią na nowo jedną z tych tajemniczych korespondencji, jakie w owej epoce nazywano kabałą, — skoro wreszcie zapewnił, że miał już w ręku nici tej najczarniejszej ze wszystkich intryg i że byłby pochwycił na gorącym uczynku ze wszystkimi dowodami występku wysłanniczkę królowej, pozostającą w bliskich stosunkach z wygnaną księżną, lecz że jakiś muszkieter odważył się powstrzymać gwałtownie bieg sprawiedliwości, napadając ze szpadą w ręku na czcigodnych urzędników sądowych, wydelegowanych do zbadania sprawy z całą bezstronnością w celu przedstawienia jej królowi, — Ludwik XIII nie zdołał zapanować nad

sobą i podążył ku apartamentom królowej, pobladły tem niemem oburzeniem, które w chwilach wybuchu wiodło go do najchłodniejszego okrucieństwa.

A jednak w całem swem opowiadaniu kardynał nie wspomniał jeszcze ani słowem o księciu Buckingham.

W takiej właśnie chwili wszedł do króla pan de Treville, pełen zimnej krwi, ugrzeczniony i w nienagannej postawie.

Aczkolwiek obecność kardynała i wzburzenie króla ostrzegły go, że coś się stało, pan de Treville czuł się silnym, jak Samson wobec Filistynów.

Ludwik XIII kładł już rękę na klamce drzwi, a usłyszawszy odgłos kroków pana de Treville, odwrócił się.

— Przybywasz pan w samą porę — oświadczył król który, gdy gniew jego doszedł już do pewnego napięcia, nie umiał zapanować nad sobą. — Ładnych rzeczy dowiaduję się o pańskich muszkieterach.

— A ja — odrzekł z zimną krwią pan de Treville — muszą donieść Waszej Królewskiej Mości o pięknem postępowaniu jego urzędników.

— Cóż takiego? — spytał wyniośle król.

— Mam zaszczyt donieść Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej pan de Treville tym samym tonem, — że pewni prokuratorzy, komisarze i urzędnicy policyjni, ludzie bardzo szanowni, lecz, jakby się zdawało, wielce zażarci na mundury wojskowe ośmielili się zaaresztować w prywatnym domu, prowadzić przez ulicę i wrzucić do więzienia w Forcie Biskupim, na mocy rozkazu, którego nie chcieli mi okazać, jednego z moich muszkieterów, a raczej twoich, Najjaśniejszy Panie, człowieka, wiodącego nienaganny żywot, o opinji niemal świetnej, znanego Waszej Królewskiej Mości z jak najlepszej strony, pana Atosa.

— Atosa? — powtórzył król, nie zastanawiając się. — Istotnie znam to nazwisko.

— Jak Wasza Królewska Mość sobie przypomina — mówił pan de Treville, — Atos jest właśnie tym muszkieterem, który w owym przykrym, pamiętnym pojedynku zranił, na nieszczęście, tak ciężko pana de Cahusac... Ale prawda to, Wasza Eminencjo — zwrócił się pan de Treville do kardynała, — że pan de Cahusac powrócił już zupełnie do zdrowia?

— Tak, dziękuję — odparł kardynał, zagryzając wargi z wściekłości.

— Pan Atos udał się w odwiedziny do jednego ze swych przyjaciół — opowiadał dalej pan de Treville, — młodego Bearneńczyka, kadeta z gwardji Waszej Królewskiej Mości, służącego w oddziale pana des Essarts. Nie zastawszy go w domu, postanowił zaczekać. Zaledwie jednak zdołał usiąść w mieszkaniu swego przyjaciela i wziąść książkę do ręki, by skrócić sobie czas oczekiwania, kiedy chmara pachołków i żołnierzy otoczyła dom, wyłamała kilkoro drzwi i.....

Kardynał dał znak królowi, mający oznaczać: "To właśnie ta sprawa, o której mówiłem".

— Wiemy już o tem wszystkiem — oświadczył król, — gdyż zostało to dokonane w naszym interesie.

— Więc to w interesie Waszej Królewskiej Mości — rzekł pan de Treville — pochwycono jednego z moich muszkieterów, który nic nie zawinił, i umieściwszy go między dwoma strażnikami więziennymi, jak złoczyńcę, prowadzono wśród urągającego mu tłumu.... A obelga ta spotkała zacnego rycerza, który po dziesięćkroć już przelewał swą krew na usługach Waszej Królewskiej Mości i który zawsze jest gotów uczynić to samo.

— Ba! — odezwał się król z pewnem wahaniem, — więc zajście to miało się rozegrać w ten sposób?

— Pan de Treville przemilczał tu — rzekł kardynał z największym spokojem, — że ten niewinny muszkieter ten zacny rycerz mniej-więcej na godzinę przedtem napadł z bronią w ręku na czterech komisarzy sądowych, wysłanych przezemnie w celu załatwienia pewnej niezmiernie doniosłej sprawy.

— Wzywam Waszą Eminencję, aby zechciał tego dowieść — zakrzyknął pan de Treville z iście gaskońską szczerością i prawdziwie żołnierską szorstkością, — albowiem na godzinę przedtem pan Atos, który, jak mogę zapewnić Waszą Królewską Mość jest potomkiem wielce znakomitego rodu, zaszczycał nas po spożyciu u mnie obiadu rozmową w salonach mego pałacu z księciem de La Tremouille i z hrabią de Chalus, którzy znajdowali się tam właśnie.

Król spojrzał na kardynała.

— Przesłuchanie napadniętych zasługuje na wiarę — odezwał się kardynał, odpowiadając na nieme zapytanie króla; — pokrzywdzeni poczynili takie zeznania, jakie miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Protokóły urzędników, noszących togi, nie mogą się równać z żołnierskiem słowem honoru — odparł z dumą pan de Treville.

— Dobrze, dobrze, panie de Treville — rzekł król; — uspokój się.

— Jeżeli Jego Eminencja ma jakieś podejrzenia względem którego z moich muszkieterów — nie dał się zbić z tropu pan Treville, — to wobec tego, że znam dostatecznie sprawiedliwość pana kardynała, sam będę żądał śledztwa.

— W domu, gdzie zarządzono to postępowanie sądowe, mieszka, o ile wiem, pewien Bearneńczyk, przyjaciel muszkietera — oświadczył obojętnie kardynał.

— Wasza Eminencja mówi o panu d'Artagnan.

— Mówię o młodym, protegowanym przez pana człowieku, panie de Treville.

— To ten sam, Wasza Eminencjo.

— Czy nie przypuszczasz pan, że ów młody człowiek dawał jakieś złe rady....

— Panu Atosowi, człowiekowi dwa razy starszemu? — przerwał pan de Treville. — Nie, Wasza Eminencjo! Zresztą pan d'Artagnan tego wieczora był u mnie.

— Ach, tak! — rzekł kardynał, — wszyscy zatem byli u pana tego wieczora!.....

— Czyżby Wasza Eminencja powątpiewał w moje słowa? — zapytał pan de Treville z czołem purpurowem od gniewu.

— Niechże mnie Bóg strzeże! — odrzekł kardynał. — Pragnąłbym się tylko dowiedzieć, o której godzinie ów młody Bearneńczyk był u pana?

— Mogę to najdokładniej powiedzieć Waszej Eminencji, ponieważ, w chwili, kiedy wchodził, spojrzałem na zegar i przekonałem się, że jest godzina pół do dziesiątej, podczas gdy wydawało mi się, że musi być znacznie później.

— A o której godzinie opuścił pański pałac?

— O godzinie pół do jedenastej, w godzinę zatem po tych wypadkach.

— Ale ostatecznie — ciągnął dalej kardynał, nie wątpiąc ani przez chwilę w prawdomówność pana de Treville i czując, że zwycięstwo wymyka się mu z rąk, — ostatecznie Atos został uwięziony w tym domu przy ulicy Grabarzy.

— Jakto? więc niewolno odwiedzić własnego przyjaciela? niewolno muszkieterowi z mojego oddziału przyjaźnić się z gwardzistą z oddziału pana des Essarts?

— Tak jest, jeżeli dom, gdzie się odbywają te przyjacielskie schadzki, jest podejrzany.

— A może nie wiedziałeś pan wcale, panie de Treville — wtrącił król, — że dom ten znajdował się pod dozorem policyjnym?

— Istotnie, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem o tem. W każdym razie, jeżeli nawet tak było, to z pewnością dom ten znajdował się pod nadzorem policji nie w tej części gdzie mieszka pan d'Artagnan; mogę bowiem zapewnić, Najjaśniejszy Panie, skoro wierzę temu, co mówi pan d'Artagnan, że niema człowieka, który byłby bardziej oddany Waszej Królewskiej Mości i któryby głębiej podziwiał pana kardynała.

— Czy to nie ten sam d'Artagnan, który pewnego dnia zranił Jussaca w owem nieszczęsnem zajściu, jakie rozegrało się niedaleko klasztoru Karmelitów Bosych? — zapytał król, spoglądając na kardynała, czerwieniejącego ze złości.

— A nazajutrz tego Bernajoux. Tak jest, Najjaśniejszy Panie, jest to ten sam, Wasza Królewska Mość ma doskonałą pamięć.

— Cóż zatem postanowimy? — zapytał król.

— To zależy bardziej od Waszej Królewskiej Mości, aniżeli odemnie — oświadczył kardynał. — Ja osobiście uważam czyn za występny.

— Ja zaś przeczę temu — zawołał pan de Treville. — Ale Jego Królewska Mość ma sędziów, i oni powinni wydać wyrok.

— Otóż właśnie — rzekł król — odeślemy tę sprawę przed sąd; zadaniem sędziów jest sądzić, niech więc osądzą.

— Jednakże — zauważył pan de Treville — smutne to, że w tych nieszczęsnych czasach, w jakich żyjemy, nawet życie bez jakiejkolwiek skazy, nawet cnota najbardziej stwierdzona niebezpieczają człowieka przed potwarzą i prześladowaniem. A wojsko, mogę zaręczyć, nie będzie też nazbyt zadowolone z tego, że jest narażone na tak surowe traktowanie z powodu spraw policyjnych.

Słowa były niebaczne; ale pan de Treville użył ich ze świadomością skutku: pragnął doprowadzić do wybuchu, gdyż wybuch budzi płomienie, a płomień rozświetla.

— Sprawy policyjne! — krzyknął król, powtarzając słowa pana de Treville, — sprawy policyjne! A cóż pan o tem wiadomo, mój panie. Gdy się słyszy pańskie słowa, możnaby sądzić, że Francja znajduje się w niebezpieczeństwie, skoro przypadkiem zaaresztowano jakiegoś muszkietera. Mój Boże! ileż to hałasu z powodu jednego muszkietera! Rozkażę uwięzić dziesięciu, do licha! stu nawet cały oddział! i nie pozwolę nikomu pisnąć ani słowa.

— Z tą chwilą, gdy moi muszkieterowie są podejrzywani przez Waszą Królewską Mość — oświadczył pan de Treville, — z tą chwilą stają się winnymi. I ja również, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem zwrócić ci szpadę; nie wątpię bowiem, że pan kardynał, oskarżywszy moich żołnierzy, zakończy oskarżeniem mnie samego. Lepiej się zatem stanie, jeżeli znajdę się w więzieniu z panem Atosem, który już został zaaresztowany, i z panem d'Artagnanem, który niewątpliwie też zostanie uwięziony.

— Zamilczże już raz, ty gaskońska gorączko! — zawołał król.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się pan de Treville, nie zniżając bynajmniej głosu, — rozkaż, aby mi oddano mego muszkietera, albo go osądzono.

— Będzie stawiony przed sąd — rzekł kardynał.

— Tem lepiej! w takim bowiem razie poproszę Waszą Królewska Mość, aby pozwolił mi bronić jego sprawy.

Król obawiał się burzy.

— Jeżeli Jego Eminencja — rzekł — nie ma jakichś względów osobistych...

Kardynał, usłyszawszy skierowane przeciwko sobie słowa, wolał je uprzedzić.

— Przepraszam — oświadczył, — ale z chwilą, kiedy Wasza Królewska Mość widzi we mnie stronniczego sędziego, usuwam się.

— Panie de Treville — odezwał się król, — czy możesz pan przysiądz na pamięć mojego ojca, że pan Atos znajdował się w pańskim domu podczas tego zajścia i że nie brał w nim wcale udziału?

— Na pamięć pełnego chwały ojca twego i na miłość ku tobie, Najjaśniejszy Panie, którego kocham i czczę najbardziej na świecie, przysięgam.

— Racz się zastanowić, Najjaśniejszy Panie — rzekł kardynał. — Jeżeli w ten sposób wypuścimy więźnia, trudno będzie dojść prawdy.

— Pan Atos gotów będzie zawsze odpowiadać, kiedy tylko sędziowie zechcą go badać — odparł pan de Treville. — Nie ucieknie, panie kardynale, ja ręczę za niego.

— Istotnie, nie ucieknie — zauważył król; — znajdziemy go zawsze, jak słusznie powiedział pan de Treville. Zresztą — dodał, zniżając głos i spoglądając proszącym wzrokiem na Jego Eminencję — zapewnijmy im bezpieczeństwo; to będzie nawet politycznie.

Te "polityczne" poglądy Ludwika XIII wywołały uśmiech na usta kardynała Richelieu'ego.

— Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie — rzekł; — masz prawo ułaskawiania.

— Prawo ułaskawiania może być stosowane tylko do przestępców — oświadczył pan de Treville, który pragnął ostatni zabrać głos, — a mój muszkieter jest niewinny. Nie będzie zatem łaską to, co zamierzasz uczynić, Najjaśniejszy Panie, lecz jedynie wymiarem sparwiedliwości.

— Czy jest on uwięziony w Forcie Biskupim? — zapytał król.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, i to trzymany w tajemnicy, zamknięty w lochu, jak najgorszy zbrodniarz.

— Do licha! do licha! — mruknął król. — Co tu począć?

— Podpisać rozkaz wypuszczenia na wolność, a wszystko będzie skończone — odpowiedział kardynał. — Sądzę, tak samo, jak Wasza Królewska Mość, że poręczenie pana de Treville jest aż nazbyt wystarczające.

Pan de Treville pochylił głowę z szacunkiem, chociaż radość jego nie była wolną od obaw; wolałby spotkać się z najtwardszym oporem kardynała, aniżeli z tem nagłem ustępstwem.

Król podpisał rozkaz uwolnienia więźnia, a pan de Treville zabrał go niezwłocznie.

W chwili, gdy już miał wychodzić, kardynał uśmiechnął się do niego przyjaźnie i rzekł, zwracając się do króla:

— W oddziale muszkieterów twoich, Najjaśniejszy Panie, panuje doskonała harmonja pomiędzy wodzem a żołnierzami. Przynosi to okromną korzyść w służbie i jest nader zaszczytne dla wszystkich.

— Spłata on mi niebawem jakiegoś figla — pomyślał pan de Treville. — Z takim człowiekiem nie można nigdy dojść do porozumienia. Spieszmy się jednak, ponieważ król mógłby lada chwila zmienić zdanie, a ostatecznie jest nieporównanie trudniej wsadzić z powrotem do Bastylji lub Fortu Biskupiego człowieka, który już wyszedł stamtąd, aniżeli czuwać nad więźniem, który się tam jeszcze znajduje.

Pan de Treville wszedł triumfalnie do Fortu Biskupiego i uwolnił muszkietera, który aż do tej chwili nie porzucił wcale swej obojętnej bierności.

Potem, gdy pierwszy raz spotkał się z d'Artagnanem, rzekł do niego.

—Wymknąłeś się gładko. Zapłaciłem ci już więc za cios, zadany Jussacowi. Pozostaje jeszcze tylko do spłacenia Bernajoux nie; powinieneś jednak z tego powodu zbytnio dowierzać szczęściu.

Zresztą pan de Treville miał zupełną słuszność, nie dowierzając kardynałowi i sądząc, że nie wszystko jeszcze skończone. Zaledwie bowiem kapitan muszkieterów zamknął drzwi za sobą, Jego Eminencja odezwał się do króla w te słowa.

— Teraz zaś, skoro pozostaliśmy tylko sami, musimy pomówić poważnie, jeżeli Wasza Królewska Mość pozwoli. Najjaśniej szy Panie, książę Buckingham bawił w Paryżu przez pięć dni i wyjechał dopiero dzisiaj rano....

XVI.

PAN KANCLERZ SEGUIER SZUKA KILKAKROTNIE DZWONKA, ABY ZADZWONIĆ, JAK TO CZYNIŁ NIEGDYŚ.

Niepodobna wyobrazić sobie wrażenia, jakie te wywarły na Ludwika XIII. Twarz jego pokryła się rumieńcem i zbladła natychmiast. A kardynał zrozumiał to przedewszystkiem, że za jednym zamachem odzyskał cały teren, jaki utracił.

— Książę Buckingham w Paryżu? — zakrzyknął król. — I pocóż tu przybył?

— Zapewne w tym celu, aby spiskować z nieprzyjaciółmi Waszej Królewskiej Mości, z hugenotami i Hiszpanami.

— Nie, do licha, nie! Przybył tu spiskować przeciwko mojej czci z panią de Chevreuse, z panią de Longueville i z Kondeuszami.

— Cóż za pomysł, Najjaśniejszy Panie! Królowa jest nazbyt cnotliwą, a przedewszystkiem zabardzo kocha Waszą Królewską Mość.

— Każda kobieta jest istotą słabą, mości kardynale — oświadczył król. — A o jej miłości ku mnie mam z dawna wyrobione zdanie.

— Tem nie mniej twierdzę, że książę Buckingham przybył do Paryża w celach czysto politycznych — odezwał się kardynał.

— A ja zaś twierdzę, że przybył tutaj w zupełnie innym celu, panie kardynale. Ale niechaj królowa drży, jeżeli jest winna!...

— Istotnie — odparł kardynał, — jakkolwiek staram się wyprzeć z mózgu mego myśl o podobnej zdradzie, Wasza Królewska Mość zmusza mię do zastanowienia się: Pani de Lannoy, którą, stosownie do rozkazu Waszej Królewskiej Mości, kilkakrotnie wypytywałem opowiadała mi dzisiaj rano, że poprzed-

niej nocy Jej Królewska Mość czuwała do bardzo późnej godziny, a dzisiaj płakała wiele i przez cały ranek pisała listy.

— To do niego — zawołał król, — napewno do niego! Kardynale, muszę dostać papiery królowej.

— Ale jak je dostać, Najjaśniejszy Panie? Zdaje mi się, że ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się podjąć przeprowadzenia podobnej sprawy.

— A jakże poradzono sobie, aby je zabrać marszałkowej d'Ancre? — zawołał król w najwyższem uniesieniu i gniewie. — Przetrząśnięto wszystkie jej szafy, a wreszcie zrewidowano ją samą.

— Była ona jednak tylko marszałkową d'Ancre, awanturnicą florencką i niczem więcej, Najjaśniejszy Panie; tymczasem dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austrjaczką, królową Francji, to znaczy, innemi słowy, jedną z najpierwszych monarchiń na świecie.

— Tem niemniej jest winna, książę kardynale! Im bardziej zaś zapomina o wysokiem stanowisku, jakie zajmuje, tem niżej upada. Zresztą od dawna już postanowiłem zakończyć te wszystkie drobne intrygi polityczne i miłosne. Królowa ma też w pobliżu siebie niejakiego La Parte.

— Który, mojem zdaniem, przyznaję, jest główną sprężyną wszystkiego — wtrącił kardynał.

— Sdzisz pan zatem tak, jak ja, że mnie oszukuje? — zapytał król.

— Przypuszczam i powtarzam to Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciwko potędze Najjaśniejszego Pana, lecz nie twierdzę wcale, by spiskowała przeciwko jego czci.

— Ja zaś twierdzę, że sprzysięga się na jedno i na drugie; twierdzę, że królowa mnie nie kocha; twierdzę, że kocha kogo innego; twierdzę, że kocha tego niegodziwca Buckingham! Dlaczego nie kazałeś go pan uwięzić, gdy bawił w Paryżu?

— Uwięzić księcia? uwięzić pierwszego ministra króla Karola I-go, Najjaśniejszy Panie? Ależ to byłby straszny skandal! Wywołałoby to rozgłos nawet w takim wypadku, gdyby podejrzenia Waszej Królewskiej Mości, w co jednak ciągle wątpię, miały pewne podstawy!

— Skoro jednak krył się tu, jak włóczęga, jak złodziej, należało...

Ludwik XIII zawahał się, przerażony tem, co chciał powiedzieć. Nadaremno Richelieu wytężał słuch oczekując słowa, które zamarło na wargach królewskich.

— Co należało?

— Nic — odpowiedział król, — nic. Jednakże nie traciłeś go pan z oczu w tym czasie, kiedy przebywał w Paryżu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie mieszkał?

— Przy ulicy de La Harpe, w domu pod numerem 75.

— Gdzież to jest?

— W pobliżu Luksemburga.

— I jesteś pan pewny, że nie widział się z królową?

— Sądzę, Najjaśniejszy Panie, że królowa aż nazbyt przestrzega wypełniania swoich obowiązków.

— Ale porozumiewali się listownie; do niego to królowa pisała przez cały ranek. Książę kardynale, muszę mieć te listy!

— Jednakże, Najjaśniejszy Panie...

— Muszę je mieć, książę, cokolwiek miałoby mnie to kosztować!

— Ośmielę się jednak zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości...

— Czy i pan zdradzasz mnie także, mości kardynale, sprzeciwiając się zawsze w ten sposób mojej woli? Czy i pan może także wszedłeś w sojusz przeciwko mnie z Hiszpanami i z Anglikami, z panią de Chevreuse i z królową?

— Najjaśniejszy Panie — odparł kardynał z westchnieniem. — Sądziłm, że mnie podobne podejrzenie spotkać nie może.

— Słyszałeś pan, mości kardynale, co powiedziałem: muszę mieć te listy!

— Byłby tylko jeden jedyny sposób...

— Jaki?

— Powierzyć tę misję panu kanclerzowi Seguier; wchodzi to najzupełniej w zakres obowiązków jego urzędu.

— Niechaj natychmiast poślą po niego!

— Kanclerz powinien być w tej chwili u mnie w domu Najjaśniejszy Panie; kazałem go bowiem prosić, aby przybył, gdy zaś udawałem się do Luwru, zostawiłem polecenie, aby zaczekał, jeżeli przyjdzie.

— Niechaj się posipeszą i odnajdą go natychmiast!

— Rozkazy Waszej Królewskiej Mości będą wypełnione... Ale...

— Ale co?

— Ale może królowa nie zechce być posłuszną.

— Moim rozkazom?

— Tak jest, jeżeli nie będzie wiedziała z całą pewnością, że pochodzą od Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze; aby zatem nie miała wcale wątpliwości pójdę ją sam uprzedzić.

— Wasza Królewska Mość nie zapomni, że uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby zapobiedz porożnieniu.

— Tak jest, książę; wiem że masz wielkie względy dla królowej, może nawet za wielkie, i uprzedzam pana, że nieco później pomówimy i o tem także.

— Kiedy się spodoba Waszej Królewskiej Mości. Zawsze jednak będę szczęśliw i dumny, Najjaśniejszy Panie, poświęcając się dla utrzymania zgody, jaką pragnąłbym utrzymać między Waszą Królewską Mością a królową Francji.

— Dobrze, kardynale, dobrze. Tymczasem jednak poszlij po pana kanclerza, ja zaś idę do królowej.

I Ludwik, otworzywszy drzwi pośredniczące, wszedł w korytarz, wiodący z pokojów do apartamentów Anny Austrjaczki.

Królowę otaczały jej damy dworu: pani de Guitaut, pani de Sable, pani de Montbazon i pani de Guemenee. Na uboczu siedziała Hiszpanka, dona Estefanja, która przybyła z królową z Madrytu. Pani de Guemenee czytała głośno, a wszyscy obecni słuchali z uwagą, z wyjątkiem jednej królowej, która, przeciwnie, umyślnie nakazawszy to czytanie, udawała tylko, że słucha, i snuła wątek własnych myśli.

Myśli te zaś, jakkolwiek ozłoczone ostatnim odbłyskiem miłości, były tem nie mniej smuntne. Anna Austrjaczka utraciła zaufanie męża i była prześladowana zawiścią kardynała, który nie mógł jej przebaczyć, że odrzuciła jego czułe zaloty. Przed oczyma miała przykład królowej-matki, której nienawiść ta zatruła całe życie, mimo że Marja Medyceuszka — jeżeli można wierzyć pamiętnikom z owej epoki — darzyła zrazu kardynała swymi względami, podczas gdy Anna Austrjaczka zawsze opierała się jego zalotom. Królowa musiała patrzeć, jak upadają dokoła niej najbardziej oddani jej ludzie, najzaufańsi powiernicy,

najdroższi ulubieńcy. Jak ci nieszczęśni obdarzeni jakimś tragicznym darem, niosła nieszczęście wszystkiemu, czego się dotknęła; okazywana przez nią przyjaźń stawała się zgubnem hasłem do prześladowania. Pani de Chevreuse i pani de Vernet zostały skazane na wygnanie; La Porte nie taił przed swą władczynią obawy, że lada chwila zostanie uwięziony.

Właśnie w chwili, gdy królowa była pogrążona w najbardziej ponurych i smutnych myślach, otwarły się drzwi od komnaty, i do wnętrza wszedł król.

Lektorka umilkła natychmiast, wszystkie damy dworu powstały z miejsc, i nastała głęboka cisza.

Król, bez jakiejkolwiek oznaki grzeczności, zatrzymał się przed królową i oświadczył wzburzonym głosem:

— Pani, przyjdzie tu pan kanclerz i zawiadomi cię o pewnej sprawie, którą poleciłem mu załtwić.

Nieszczęśliwa królowa, której ustawicznie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod powłoką różu, pokrywającego jej twarz, i nie mogła powstrzymać pytania:

— Jakiż jest cel tych odwiedzin, Najjaśniejszy Panie? Co takiego ma mi oznajmić kanclerz, czego Wasza Królewska Mość nie może sam powiedzieć?

Król wykręcił się na pięcie nie dając wcale odpowiedzi, a prawie w tej samej chwili kapitan gwardji, pan de Guitaut, oznajmił przybycie kanclerza.

Zanim Seguier się pojawił, król wyszedł już innemi drzwiami.

Kanclerz wszedł do komnaty, napół uśmiechnięty, napół zawstydzony. Ponieważ spotkamy się z nim jeszcze prawdopodobnie w dalszym ciągu tej historji, będzie dobrze, jeżeli czytelnicy nasi już obecnie się z nim zapoznają.

Seguier był zabawnym człowiekiem. Jego Eminencji polecił go, jako człowieka najzupełniej oddanego, kanonik katedry Notre-Dame, ksiądz Des Roches le Masle, który był uprzednio pokojowcem kardynała. Kardynał zaufał mu i dobrze na tem wyszedł.

Opowiadano o kanclerzu przeróżne historje, między innemi następującą:

Po burzliwej przeszłości wstąpił do klasztoru, aby pokutować przynajmniej przez czas jakiś za szaleństwa młodości.

Wchodząc jednakże do świętego miejsca, biedny pokutknik nie zdołał zatrząsnąć za sobą tak szybko bramy, aby nie pozwolić wedrzeć się także namiętnościom, przed któremi właśnie uciekał. Pokusy dręczyły go w dalszym ciągu, a przeor, któremu zwierzył swoją niedolę i który pragnął mu o ile możności dopomódz, zalecił mu, aby w celu odpędzenia szatana-kusiciela szukał ucieczki w chwytaniu za sznur i dzwonieniu co sił. Alarm ten zawiadamiał mnichów, że jeden z braci jest dręczony pokusą, wobec czego całe zgromadzenie rozpoczynało modły.

Przyszły kanclerz uznał radę za dobrą. Odpędzał więc złego ducha nawałem modłów, zarzuconych przez mnichów. Ale szatan nie chciał tak łatwo opuścić miejsca, jakie raz już zajął; w miarę, jak zwiększano liczbę modłów, zwiększał także liczbę pokus. Wskutek tego i w dzień i w nocy dzwon bił ciągle na alarm, oznajmiając gwałtowną potrzebę zwalczania pokus, których doświadczył, pokutujący.

Mnisi nie mieli ani na chwilę wypoczynku: w dzień musieli ustawicznie wchodzić i schodzić po stopniach, wiodących do kaplicy; w nocy, oprócz ostatniej godziny kanonicznej i jutrzni, głos dzwonu kazał im jeszcze dwadzieścia razy zrywać się z łóżek i uderzać głową o kamienne tafle cel przy modlitwie.

Nie wiadomo, czy djabeł okazał się nazbyt upartym, czy też mnisi się zmęczyli, dosyć, że po upływie trzech tygodni pokutnik wrócił poza mury klasztoru z opinją najbardziej opętanego człowieka, jaki kiedykolwiek istniał na świecie.

Po opuszczeniu klasztoru Seguier został urzędnikiem, otrzymał prezydenturę (które to stanowisko zajmował poprzednio jego wuj), przyłączył się do stronnictwa kardynała, co dowodziło niepospolitej bystrości, został kanclerzem, służył Jego Eminencji z niezwykłą gorliwością, podsycaną nienawiścią ku królowej-matce i pragnieniem zemsty na Annie Austrjaczce, przekupywał sędziów w sprawie pana de Chalais, udaremniał obronę pana de Laffemas, wielkiego łowczego Francji, aż wreszcie, uzyskawszy najzupełniejsze zaufanie kardynała, zaufanie, na które tak dobrze zasłużył, objął tę niezwykłą misję, dla wypełnienia której przybył do królowej.

Królowa stała jeszcze, kiedy wszedł, ale skoro go tylko spostrzegła, usiadła z powrotem na fotelu i dała znak swym damom dworu, aby również zajęły miejsca na poduszkach i krzesłach. Potem zaś zapytała tonem niezmiernie wyniosłym:

— Czego pan żądasz i w jakim celu przybywasz tutaj?

— Aby w imieniu króla i z zachowaniem całego uszanowania, jakie żywię dla Waszej Królewskiej Mości, odbyć szczegółową rewizję jej papierów.

— Jakto, panie!? rewizję moich papierów?.... u mnie?

— Chciej mi przebaczyć pani, ale w tym wypadku jestem tylnarzędziem, jakiem się król posługuje. Czyż Najjaśniejszy Pan nie był sam tutaj i nie zapowiedział mojego przybycia, abyś pani była na nie przygotowana?

— Rewiduj pan zatem. Jestem widocznie zbrodniarką. Estefanjo, podaj klucze od moich stolików i sekretników.

Kanclerz pozornie tylko zrewidował te sprzęty, wiedział bowiem, że nie tutaj schowała królowa ów ważny list, który napisała tego samego ranka.

Skoro kanclerz co najmniej dwadzieścia razy otworzył i zamknął szuflady sekretnika, nadeszła chwila, mimo wahania, jakie go ogarniało, nadeszła chwila — powtarzam — zakończenia sprawy, to znaczy przeprowadzenia rewizji osobistej. Z zakłopotaniem na twarzy zbliżył się do Anny Austrjaczki i rzekł tonem bardzo niepewnym siebie:

— A teraz pozostaje jeszcze tylko dokonać głównej rewizji.

— Jakiej? — zapytała królowa, nie rozumiejąc lub raczej nie chcąc zrozumieć tych słów.

— Najjaśniejszy Pan jest przekonany, że napisała pani dzisiaj rano pewien list; wie także, że list ten nie został jeszcze wysłany wedle adresu. Listu tego nie znalazłem ani w szufladzie stołu, ani w sekretniku, a jednakże musi się on gdzieś znajdować.

— Jakto? ośmieliłbyś się pan podnieść rękę na swoją władczynię? — rzekła Anna Alstrjaczka, prostując się dumnie i mierząc kanclerza spojrzeniem, którego wyraz był nieledwie groźny.

— Jestem wiernym sługą króla i muszę spełnić, co mi Jego Królewska Mość nakazał.

— A więc tak, to prawda! — odezwała się Anna Austrjaczka. — Szpiegowie pana kardynała sprawili się dobrze. Napisałam dzisiaj rano list, i nie został on dotąd wysłany. List ten znajduje się tutaj.

I mówiąc to, królowa położyła piękną swą rękę na piersiach.

— Proszę zatem o wydanie mi tego listu, pani — oświadczył kanclerz.

— Mogę go oddać tylko królowi — odrzekła Anna.

— Gdyby król był chciał, aby ten list wręczono mu osobiście, byłby go sam zażądał. Skoro jednak, jak powtarzam, mnie polecił go zażądać, w takim razie, jeżeli nie zechcesz go pani oddać.....

— W takim razie?

— W takim razie polecono mi go odebrać własnoręcznie.

— Jakto? co pan mówi?

— Mówię, że dane mi zlecenia są bardzo szerokie, pani, i że mam prawo szukać tego podejrzanego papieru nawet przy osobie Waszej Królewskiej Mości.

— Co za ohyda! — zawołała królowa.

— Zechciej więc więc pani działać bardziej zgodnie.

— To postępowanie jest niegodnym gwałtem! czy wiesz pan o tem?

— Wybacz mi, pani; rozkaz królewski.....

— Nie zniosę tego! nie! nie! wolę raczej umrzeć! — zawołała królowa, w której wzburzyła się monarsza krew hiszpańska i austrjacka.

Kanclerz skłonił się głęboko, poczem, z widoczny zamiarem wypełnienia otrzymanego rozkazu i nie ustąpienia ani na krok od niego, z miną pachołka katowskiego w izbie tortur zbliżył się do Anny Austrjaczki, w oczach której błysnęły w tejże chwili łzy gniewu.

Królowa była — jak mówiliśmy — niepospolicie piękną.

Zlecenie mogło uchodzić za kwestję bardzo delikatnej natury; ale król, wskutek niesłychanej zazdrości o Buckinghama, doszedł już do tego, że nie był zazdrosny o nikogo innego.

Kanclerz Seguier niewątpliwie szukał w tej chwili sznura od osławionego dzwonu; nie mogąc jednak znaleźć, przystąpił do dzieła i wyciągnął rękę w kierunku gdzie się list znajdował, jak to wyznała sama królowa.

Anna Austrjaczka cofnęła się o krok w tył, tak blada, jakgdyby śmierć zajrzała jej w oczy; opierając się lewą ręką o stół, znajdujący się poza nią, aby nie upaść, prawą wyjęła list z za gorsu i podała kanclerzowi.

— Weźże pan ten list! — krzyknęła głosem urywanym i drżącym — weź go i uwolnij mię od swojej wstrętnej obecności!

Kanclerz, który drżał również skutkiem wzruszenia, łatwo zrozumiałego, wziął list, skłonił się aż do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, królowa padła napół zemdlona na ręce dam dworu.

Kanclerz zaniósł list królowi, nie przeczytawszy jednak ani jednego słowa. Król odebrał go drżącemi rękoma, zaczął szukać adresu, którego jednak na liście nie było, zbladł ogromnie, otworzył kopertę powoli, poczem, przekonawszy się z pierwszych zaraz słów, że był pisany do króla hiszpańskiego, przeczytał go bardzo szybko.

Był to całkowity plan walki przeciwko kardynałowi. Królowa doradzała swemu bratu i władcy austrjackiemu, aby, postępując wspólnie, pod pozorem, że czują się obrażeni polityką Richelieu'ego, którego wiecznem staraniem było poniżenie dworu austrjackiego — wypowiedzieli Francji wojnę i postawili jako warunek pokoju usunięcie kardynała; o miłości nie było ani słowa w całym liście.

Król, uradowany, kazał się dowiedzieć, czy kardynał jest jeszcze w Luwrze. Odpowiedziano mu, że Jego Eminencja oczekuje w gabinecie do pracy na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Natychmiast więc udał się król do niego.

— Słuszne było twoje twierdzenie, książę — rzekł do kardynała, — ja natomiast myliłem się. Jest to intryga nawskróś polityczna; o miłości niema zgoła mowy w tym oto liście. Zato jest on w przeważnej części poświęcony tobie, książę.

Kardynał wziął list z rąk króla i przeczytał go z największą uwagą; gdy zaś doszedł już do końca, począł go czytać na nowo.

— Widzisz teraz zatem, Najjaśniejszy Panie — rzekł, — do czego posuwają się moi nieprzyjaciele; grożą ci dwie wojny, jeżeli nie usuniesz mnie ze stanowiska. I gdybym znajdował się na twojem miejscu, Najjaśniejszy Panie, ustąpiłbym doprawdy tak potężnym naleganiom; ja zaś osobiście byłbym istotnie szczęśliwy, mogąc usunąć się od spraw państwowych.

— Co mówisz, książę?

— Mówię, Najjaśniejszy Panie, że tracę zdrowie w tych nadmiernych zapasach i tej nieustannej pracy. Mówię, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie potrafię znieść trudów oblężenia Rochelli i że byłoby lepiej, gdyby Wasza Królewska Mość zlecił przeprowadzenie tego działa czy to księciu Kondeuszowi,

czy panu de Basompierre, czy wreszcie jakiemuś innemu dzielnemu człowiekowi, przygotowanemu zawodem do prowadzenia wojen, nie zaś mnie, będącemu sługą kościoła, odrywanemu ustawicznie od istotnego powołania ku dziełom, do pełnienia których nie mam wcale zdolności. Będziesz wówczas, Najjaśniejszy Panie, szczęśliwy w stosunkach swoich wewnętrznych, nie wątpię zaś wcale, że także wobec obcych pozostaniesz nie mniej wielkim.

— Mości książę — odpowiedział król, — rozumiem twoje myśli. Bądź spokojny; wszyscy, których nazwiska są wymienione w liście, poniosą karę, na jaką zasługują, nie wyłączając samej królowej.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie? Uchowaj Boże, aby królowa miała zostać narażona na najdrobniejszą choćby przykrość z mojej przyczyny! I chociaż zawsze uważała mnie za swego nieprzyjaciela, Najjaśniejszy Panie, właśnie Wasza Królewska Mość mógłby zaświadczyć, że w każdym wypadku stawałem w jej obronie, nawet sprzeciwiając się życzeniom Waszej Królewskiej Mości. O, tak! gdyby swą zdradą narażał honor Waszej Królewskiej Mości, byłoby to zupełnie co innego, i w takim razie ja pierwszy oświadczyłbym bez wahania: "Bądź nieubłagany, Najjaśniejszy Panie, bądź nieubłagany dla występnej!" Na szczęście, niema tego wypadku, a Wasza Królewska Mość zdobyłeś nowe na to dowody.

— To prawda, mości kardynale — odparł król, — i masz pan słuszność, jak zazwyczaj. Tem nie mniej jednak królowa zasłużyła na mój gniew.

— Ty to raczej, Najjaśniejszy Panie, ściągnąłeś jej gniew na siebie, i nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby żywiła głęboką urazę do Waszej Królewskiej Mości; postąpiłeś z nią bowiem, Najjaśniejszy Panie, zbyt surowo!

— Tak samo postępować będę zawsze, książę, z wszystkimi moimi i twoimi nieprzyjaciółmi, bez względu na to, jak wysokie zajmowaliby stanowiska i jakiekolwiek miałoby mi zagrozić niebezpieczeństwo z powodu tej surowości postępowania.

— Królowa jest dla mnie wrogo usposobiona, Najjaśniejszy Panie, ale nie dla ciebie; przeciwnie, dla ciebie jest oddaną małżonką, uległą, bez zarzutu. Niech mi zatem wolno będzie, Najjaśniejszy Panie, wstawić się za nią do Waszej Królewskiej Mości.

— Niechaj się upokorzy i pierwsza do mnie przyjdzie.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie: należy, abyś sam dał dobry przykład; pierwszy bowiem zawiniłeś, posądzając królową.

— Ja mam uczynić pierwszy krok do zgody!? — zawołał król. — Nigdy!

— Błagam o to, Najjaśniejszy Panie.

— Zresztą w jakiż sposób mógłbym jej pierwszy podać rękę?

— Czyniąc coś takiego, co jej sprawi przyjemność.

— Cóż naprzykład?

— Urządzić bal. Wiesz, Najjaśniejszy Panie, że królowa lubi tańczyć, a zaręczam, że wobec takiego dowodu dobroci urazy jej rychło przeminą.

— Wiadomo ci przecież, mości kardynale, że nie lubię wszelkich uciech światowych.

— Znając niechęć Waszej Królewskiej Mości do tego rodzaju zabaw, królowa tem więcej będzie ci wdzięczna. Zresztą znajdzie też sposobność, by przystroić się w te piękne zapinki djamentowe, które otrzymała w dzień imienin od Waszej Królewskiej Mości, a których nie miała na sobie jeszcze nigdy.

— Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy — odrzekł król, gotów pogodzić się z żoną pod wpływem radości, że królowa zawiniła jedynie tem, co go niewiele obchodziło, a nie popełniła występku, którego się istotnie bardzo obawiał. — Zobaczymy... Chociaż, na honor, jesteś książę nazbyt pobłażliwy.

— Najjaśniejszy Panie — oświadczył kardynał, — pozostaw surowość swoim ministrom; pobłażliwość jest cnotą królów; stosuj ją w życiu, a przekonasz się, że dobrze ci z tem będzie.

Poczem, usłyszawszy, że zegar wybija godzinę jedenastą, kardynał skłonił się głęboko, prosząc o pozwolenie odejścia i błagając króla raz jeszcze, by się pojednał z królową.

Anna Austrjaczka, która wobec przejęcia listu oczekiwała jakichś wyrzutów, była niemało zdziwiona, zauważywszy następnego dnia, że król czyni usiłowania, aby się do niej zbliżyć. Pierwszym odruchem chciała go odepchnąć; jej duma kobieca i godność królowej zostały zbyt okrutnie dotknięte, by odrazu mogła o wszystkiem zapomnieć. Ale pod wpływem rady dam dworu zaczęła się godzić, aby przynajmniej pozornie puścić urazę w niepamięć. Król skorzystał z pierwszej sposobności spotkania, aby zawiadomić ją, że w najbliższej przyszłości zaimierza wydać wspaniały bal.

Dla biednej Anny Austrjaczki bal był tak niezwykłą rozrywką, że, kiedy dowiedziała się o zamiarze króla — jak to słusznie przypuszczał kardynał — ostatni cień urazy zniknął bez śladu, jeżeli nie z jej serca, to w każdym razie z oblicza. Zaczęła pytać, kiedy odbędzie się uroczystość. Król oświadczył jednak, że musi pierwej naradzić się w tej sprawie z kardynałem.

I istotnie codziennie zapytywał król kardynała, w jakim terminie bal ma się odbyć, i codziennie kardynał pod tym lub owym pozorem zwlekał z oznaczeniem terminu.

— Upłynęło tak dziesięć dni.

Ósmego dnia po opisanych przez nas wypadkach kardynał otrzymał list z Londynu, zawierający te tylko kilka wierszy:

"Mam je. Ale z powodu braku pieniędzy nie mogę się ruszyć z Londynu; proszę mi przysłać pięćset pistolów, a w cztery lub pięć dni po otrzymaniu ich zjawię się w Paryżu".

Tego samego dnia, kiedy kardynał otrzymał list, król zwrócił się znowu do niego ze zwykłem zapytaniem o termin balu.

Kardynał zaczął obliczać po cichu:

— Przybędzie tutaj, jak twierdzi, w cztery lub pięć dni po otrzymaniu pieniędzy; przesyłka pieniędzy potrwa cztery lub pięć dni, powrót tej cztery do pięciu dni, czyli razem dni dziesięć. Uwzględnijmy jeszcze przeciwne wichry, nieprzewidziane nieszczęśliwe wypadki, słabostki kobiece, a możemy przyjąć na pewno termin dwunastodniowy.

— A zatem, książę kardynale — zapytał król, — jakiż wynik obliczeń?

— Obliczyłem już, Najjaśniejszy Panie. Dzisiaj jest dzień 20-ty września, zatem dygnitarze miejscy wydadzą bal dnia 3 października. W ten sposób wszystko ułoży się jak najlepiej, i unikniemy wrażenia, jakoby Waszej Królewskiej Mości zależało tak bardzo na jak najspieszniejszem nawiązaniu z królową dobrych stosunków.

Po chwili zaś kardynał dodał:

— Nie zapomnij jednak, Najjaśniejszy Panie, powiedzieć Jej Królewskiej Mości w przeddzień uroczystości, że z okazji tego balu pragniesz się przekonać, czy będzie jej do twarzy w otrzymanych od ciebie zapinkach djamentowych.

XVII.

DOM PAŃSTWA BONACIEUX.

Po raz drugi to już wspomniał kardynał królowi o djamentowych zapinkach. Ludwik XIII był zakłopotany tą uporczywością i zaczął przypuszczać, że przypomnienie to musi kryć jakąś tajemnicę.

Niejednokrotnie już czuł się król upokorzony tem, że kardynał, którego policja tajna nie miała wprawdzie jeszcze doskonałości policji nowożytnej, ale mimo to była doskonała, jest lepiej od niego samego powiadomiony nawet o tem, co się działo w jego własnym domu. Miał zatem nadzieję, że w rozmowie z Anną Austrjaczką rozjaśni poniekąd tę sprawę i spotka się znowu z Jego Eminencją, posiadając już tę tajemnicę, znaną czy nieznaną kardynałowi. I w jednym i w drugim wypadku musiałoby go to podnieść w oczach ministra.

Udał się więc do królowej i, jak zazwyczaj, rozpoczął rozmowę nowemi groźbami, skierowanemi przeciwko tym, którzy ją otaczali. Anna Austrjaczka pochyliła głowę, pozwoliła płynąć potokowi słów, nie odpowiadając na nie zupełnie i spodziewając się, że król wyczerpie nareszcie swe groźby. Nie tego jednak pragnął Ludwik XIII. Chciał nawiązać dyskusję, z której zrodziło się jakieś światło, przekonany o tem, że kardynał miał jakieś uboczne myśli, i zamierzając sprawić Jego Eminencji, jak się spodziewał, straszną niespodziankę. I uporem oskarżania doszedł do tego celu.

— Najjaśniejszy Panie — zawołała Anna Austrjaczka, — zaniechaj już tych napaści. Dlaczego nie powiesz mi otwarcie, o co ci chodzi? Cóżem uczyniła? Jakąż to popełniłam zrobdnię? Bo przecież trudno przypuścić, aby przyczyną tego gniewu Waszej Królewskiej Mości był jedynie list, napisany przezemnie do brata.

Król, zaskoczony tem bezpośredniem zapytaniem, nie wiedział, co na nie odpowiedzieć; pomyślał zatem, że będzie to

najwłaściwsza chwila do powiadomienia królowej o tem, co miał jej powiedzieć dopiero w przeddzień balu.

— Pani — oświadczył z godnością, — niebawem odbędzie się bal w ratuszu. Mam nadzieję, że dla zaszczycenia naszych zacnych mieszczan pojawisz się na tej zabawie w uroczystym stroju, a przedewszystkiem w zapinkach djamentowych, które ofiarowałem ci w dniu imienin. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź była straszliwa. Anna Austrjaczka przypuściła, że Ludwik XIII wie o wszystkiem i że to kardynał nakłonił go do udawania nieświadomości przez te siedem czy ośm dni, co zresztą leżało w charakterze samego króla. Zbladła strasznie, oparła się o kominek ręką przedziwnej piękności, które w tej chwili wydawała się ręką z wosku, i wpatrując się w króla przerażonemi oczyma, nie odpowiedziała ani słowa.

— Czy słyszysz, pani? — odezwał się król, uradowany tem tak widocznem zakłopotaniem, aczkolwiek nie znając jego przyczyny. — Czy słyszysz?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie słyszę — wyjąkała królowa.

— Będziesz obecną na tym balu?

— Tak jest.

— Przybrana w zapinki?

— Tak.

Oblicze królowej pobladło jeszcze bardziej, o ile to wogóle było możliwe. Król spostrzegł to i tem bardziej lubował się jej przerażaniem z owem zimnem okrucieństwem, które było jedną z ujemnych stron jego charakteru.

— A zatem postanowione — oświadczył król. — Oto wszystko, co chciałem pani powiedzieć.

— A kiedy odbędzie się ten bal? — zapytała Anna Austrjaczka.

Ludwik XIII odczuł instynktownie, że nie powinien odpowiadać na to pytanie, zadane przez królowę konającym niemal głosem.

— Bardzo niedługo, pani — rzekł po chwili. — Nie przypominan sobie dokładnie naznaczonego dnia; zapytam o to kardynała.

— A więc to kardynał, Najjaśniejszy Panie, ustanowił termin tej uroczystości? — zawołała królowa.

— Tak jest, pani — odparł król ze zdziwieniem. — Ale dlaczego pytasz mię o to.

— I czy on także polecił, abym przybyła na bal, przyozdobiona zapinkami djamentowemi?

— To znaczy...

— Więc to on, Najjaśniejszy Panie, on?

— No, tak! Ale ostatecznie cóż pani zależy na tem, on czy ja? Czyż polecenie tego rodzaju jest zbrodnią?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem pojawisz się pani na balu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Dobrze — rzekł król, odchodząc, — dobrze; liczę na to z całą pewnością.

Królowa skłoniła się nisko, nie tyle jednak przez etykietę ile raczej dlatego, że kolana uginały się pod nią.

Król wyszedł zachwycony.

— Jestem zgubiona! — szeptała królowa, — jestem zgubiona, bo kardynał wie wszystko. On to kieruje królem, który nie wie jeszcze o niczem, lecz niebawem dowie się wszystkiego. Jestem zgubiona! Mój Boże! mój Boże! mój Boże!

Uklękła na poduszcze i zaczęła się modlić, ukrywając głowę w drżących rękach.

Położenie było istotnie rozpaczliwe. Buckingham powrócił do Londynu, pani de Chevreuse przebywała w Tours. Królowa, strzeżona bardziej, niż kiedykolwiek, czuła, że jedna z dam dworskich ją zdradza, nie wiedziała jednak, która. La Porte nie mógł wydalić się z Luwru; nie było więc żywej duszy, której mogłaby zaufać.

Wobec grożącego niebezpieczeństwa i zupełnego opuszczenia królowa wybuchnęła wreszcie płaczem.

— Czy nie mogłabym czemś usłużyć Waszej Królewskiej Mości? — odezwał się nagle głos, pełen współczucia i słodyczy.

Królowa odwróciła się szybko, albowiem brzmienie tego głosu nie mogło być oszukaństwem; tylko prawdziwa przyjaciółka mogła mówić w ten sposób.

Istotnie w jednych z drzwi, wiodących do apartamentu królowej, ukazała się piękna pani Bonacieux; była ona zajęta porządkowaniem sukien i bielizny w przyległym gabinecie w chwili, kiedy król wszedł do pokoju, i nie mogąc się już stąd oddalić, wysłuchała całej rozmowy.

Królowa, spostrzegłszy, że podpatrzono jej rozpacz, wydała przenikliwy okrzyk; w pomieszaniu bowiem nie poznała zrazu młodej kobiety, poleconej jej przez pana de La Porte.

— Och! nie lękaj się, pani! — rzekła młoda kobieta, załamując ręce i płacząc sama nad troskami królowej; — jestem oddana ciałem i duszą Waszej Królewskiej Mości. I jakkalwiek tak daleka od Najjaśniejszej Pani jakkolwiek niskie jest moje stanowisko, to jednak zdaje mi się, że znalazłam środek, aby wybawić Waszą Królewską Mość z kłopotu.

— Ty? o nieba! ty? — zawołała królowa. — Lecz słuchaj; spojrzyj mi w oczy. Jestem oszukiwana ze wszystkich stron.... Czyż mogę tobie zaufać?

— O, pani! — odpowiedziała młoda kobieta, rzucając się na kolana, — przysięgam na zbawienie mojej duszy, że gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Wykrzyk ten wyrwał się z głębi serca i podobnie, jak pierwszy, nie mógł być obłudą.

— Tak jest — mówiła dalej pani Bonacieux, — tak jest; pełno tu zdrajców. Ale przysięgam na święte imię Marji Panny, że nikt nie jest bardziej odemnie oddany Waszej Królewskiej Mości. Te zapinki, o które król się dopomina, dałaś pani księciu Buckingham? nieprawda? Były one zamknięte w małej szkatułce z różanego drzewa, którą książę, wyszedłszy stąd, niósł pod pachą. Czy się mylę? czy nie o to chodzi?

— Och! mój Boże! mój Boże! — szeptała królowa, szczękając zębami z przerażenia.

— Trzeba odzyskać te zapinki! — oświadczyła pani Bonacieux.

— Tak, bezwątpienia, trzeba je odzyskać — zawołała królowa. — Ale co czynić? w jaki sposób otrzymać je z powrotem?

— Należy wysłać kogoś do księcia.

— Ale kogo?.... kogo?... komu zaufać?

— Niech pani mnie zaufa; uczyń mi ten zaszczyt, Najjaśniejsza Pani, a ja znajdę odpowiedniego wysłannika.

— Ale trzeba będzie napisać list.

— Tak, to nieodzowne. Potrzeba kilku słów, napisanych własnoręcznie przez Waszą Królewską Mość, i list musi być zapieczętowany twoim własnym sygnetem.

— Ale te kilka słów to moje potępienie, to rozwód to wygnanie!

— Tak jest.... gdyby się dostały w niegodne ręce! Lecz ja zaręczam, że te kilka słów dojdą pod właściwym adresem.

— Och, mój Boże! muszę oddać moje życie, mój honor, moją dobrą sławę w twoje ręce!

— Tak, pani, to konieczne; wzamian zato zaś przyrzekam, że je ocalę.

— Ale jakim sposobem? powiedz mi to przynajmniej.

— Mąż mój przed dwoma czy trzema dniami został wypuszczony na wolność, i nie miałam jeszcze czasu z nim się zobaczyć. Jest on zacnym i uczciwym człowiekiem nie żywi ku nikomu ani miłości, ani nienawiści. Uczyni to, co zechcę: uda się w podróż, otrzymawszy rozkaz odemnie, i nie wiedząc wcale, co wiezie, odda pod adresem, jaki mu wskażę, list Waszej Królewskiej Mości. Nie będzie nawet wiedział, że pochodzi on od Waszej Królewskiej Mości.

Królowa z namiętnem uniesieniem ujęła obie ręce młodej kobiety, spojrzała jej w oczy, jakgdyby chcąc przeniknąć ją aż do głębi duszy, a wyczytawszy w pięknych oczach jedynie szczerość i prawdomówność, uścisnęła ją czule.

— Uczyń to — zawołała, — a ocalisz może życie, ocalisz mój honor!

— Och, Najjaśniejsza Pani, nie przesadzaj znaczenia przysługi, jaką mam szczęście ci oddać; nie potrzebuję ocalać ani życia, ani honoru Waszej Królewskiej Mości, lecz jedynie przeszkodzić, abyś się nie stała ofiarą niecnych intryg.

— To prawda, moje dziecię, to prawda — rzekła królowa. — Masz zupełną słuszność.

— Daj mi ten list, pani; czas nagli.

Królowa podbiegła do stolika, na którym znajdował się atrament, papier i pióra, napisała kilka wierszy, zapieczętowała własnym sygnetem i wręczyła list pani Bonacieux.

— A teraz — odezwała się królowa, — zapominamy jeszcze o jednej bardzo ważnej rzeczy.

— O czem?

— O pieniądzach.

Pani Bonacieux zaczerwieniła się.

— Tak, to prawda — odpowiedziała, — i muszę wyznać Waszej Królewskiej Mości, że mój mąż....

— Że twój mąż ich nie ma; to cscesz powiedzieć?

— Owszem, ma je, ale jest strasznie skąpy, i to jest jego wadą. Jednakże niech się Wasza Królewska Mość nie niepokoi; znajdziemy środki...

— Niestety, i ja nie mam pieniędzy — rzekła królowa (ci zaś, którzy czytali pamiętniki pani de Motevile, nie zdziwią się tą odpowiedzią). — Ale zaczekaj — dodała i pobiegła do szafeczki z klejnotami.

— Masz oto — rzekła — pierścień ogromnej wartości, jak zapewniają; otrzymałam go od mego brata, króla hiszpańskiego, jest zatem moją własnością i mogę nim rozporządzać. Weź ten pierścień, zamień na pieniądze, i niech twój mąż rusza w drogę.

— Za godzinę rozkazy będą wypełnione.

— Czy widzisz adres? — dodała królowa głosem tak przyciszonym, że zaledwie można było dosłyszeć jej słowa: — Do milorda księcia de Buckingham w Paryżu.

— List będzie oddany do rąk własnych.

— Szlachetne dziecię! — zawołała Anna Austrjaczka.

Pani Bonacieux ucałowała rękę królowej, ukryła list za stanikiem i zniknęła z lekkością ptaka.

W dziesięć minut później pani Bonacieux była już w domu. Tak, jak oświadczyła królowej, nie widziała się jeszcze z mężem od czasu, kiedy wypuszczono go na wolność, to też nie wiedziała nic o zmianie, jaka zaszła w nim w stosunku do kardynała, o zmianę, którą umocniły jeszcze dwie czy trzy wizyty hrabiego de Rochefort. Hrabia stał się bowiem najserdeczniejszym przyjacielem pana Bonacieux, w którego wpoił wiarę, bez wielkiego zresztą trudu, że uprowadzenie jego żony nie było spowadowane jakiemś występnem uczuciem, lecz jedynie przezornością polityczną.

Zastała pana Bonacieux samego, zajętego mozolnem doprowadzaniem domu do porządku. Po powrocie bowiem znalazł meble przeważnie połamane, a szafy częściowo wypróżnione; sprawiedliwość ówczesna nie należała do tych trzech rzeczy, o których powiadał król Salomon, że nie pozostawiają śladów swego przejścia. Służąca zaś umknęła zaraz po uwięzieniu pana; to, co zaszło, przejęło biedną dziewczynę tak panicznym strachem, że uciekła z Paryża i oparła się dopiero w Burgundji, w swym kraju rodzinnym.

Zacny kramarz zaraz po wypuszczeniu go z więzienia zawiadomił żonę o swym szczęśliwym powrocie, ona zaś złożyła mu z

tej okazji życzenia i oświadczyła, że pierwszą chwilę kiedy zwolni się od swych obowiązków, poświęci mu całkowicie.

Na tę pierwszą chwilę wypadło mu czekać przez pięć dni. W innych okolicznościach wydawałoby się to zapewne panu Bonacieux nieco przydługo; ale z powodu bytności u kardynała i kilkakrotnych odwiedzin hrabiego de Rochefort najrozmaitsze myśli cisnęły mu się ciągle do głowy. Wiadomo zaś, że nic tak nie skraca czasu, jak zagłębianie się w rozmyślaniach, — tem bardziej, że rozmyślania pana Bonacieux miały różowe barwy. Rochefort nazywał go swoim przyjacielem, drogim Bonacieux, i nieustannie mu powtarzał, że kardynał ceni go bardzo. Kramarz widział już zatem otwierającą się przed sobą drogę do zaszczytów i majątku.

Pani Bonacieux rozmyślała również wiele, ale należy zaznaczyć, że marzeniem jej było zgoła co innego. Pomimo woli nawet myśli jej powracały ustawicznie do tego pięknego, młodego człowieka, tak dzielnego i, jak się wydawało, tak bardzo w niej zakochanego. Wyszedłszy w osiemnastym roku życia za pana Bonacieux, przebywała przez cały czas w kółku jego przyjaciół, z nich zaś żaden nie mógł natchnąć najlżejszem nawet uczuciem młodej kobiety, która sercem wznosiła się ponad swe stanowisko społeczne i która wskutek tego pozostawała nieczułą na pospolite pokusy. Lecz w tej epoce zwłaszcza tytuł szlachecki wywierał wielkie wrażenie na mieszczaństwie, a d'Artagnan był szlachcicem; co więcej, nosił on mundur gwardyjski, który po muszkieterskim był najwięcej ceniony przez kobiety. W dodatku, powtarzamy, był piękny młody, szukający przygód, mówił o miłości, jak człowiek, który kocha i pragnie być kochany. Wszystko razem wystarczało aż nazbyt, by zawrócić główkę dwudziestotrzechletniej kobiecie, a pani Bonacieux znajdowała się właśnie w tym szczęśliwym okresie życia.

Jakkolwiek małżonkowie nie widzieli się od ośmiu dni i jakkolwiek w ciągu tego tygodnia los ciężko ich dotknął, powitali się z pewną wstrzemięźliwością. Niemniej jednak pan Bonacieux objawił istotną radość i podbiegł naprzeciwko żony z otwartemi ramionami.

Pani Bonacieux podała mu czoło do pocałowania.

— Pomówimy trochę — odezwała się.

— O czem? — spytał zdziwiony Bonacieux.

— Tak, tak, mam ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

— Co prawda, i ja także chciałbym ci zadać kilka ważnych pytań. Przedewszystkiem, proszę, wytłumacz mi swoje porwanie.

— W tej chwili nie chodzi wcale o to — odrzekła pani Bonacieux.

— A o cóż takiego? Czy o moje uwięzienie?

— Dowiedziałam się o niem tego samego dnia. Ponieważ jednak nie popełniłeś żadnego występku, ponieważ nie zawiniłeś jakąś intrygą i ponieważ nie wiedziałeś o niczem, co mogłoby skompromitować czyto ciebie, czy kogoś innego, nie przywiązywałam do tego wypadku większej wagi, niż na to zasługiwał.

— Łatwo ci to mówić, moja pani — rzekł Bonacieux, urażony nieco tem, że żona okazuje mu tak mało zainteresowania jego losem. — Czy wiesz, że przez cały dzień i całą noc siedziałem w lochu w Bastylji?

— Ten dzień i ta noc przeminęły szybko. Przestańmy więc mówić o twojem uwięzieniu, a wróćmy raczej do tego, co mię tu sprowadza.

— Jakto: "co cię tu sprowadza"? Więc nie wiodło cię do mnie pragnienie ujrzenia męża, z którym byłaś rozłączona przeszło od tygodnia? — spytał kramarz, do żywego dotknięty.

— To przedewszystkiem, ale prócz tego jeszcze coś innego.

— Mów!

— Jest to sprawa niezmiernie doniosłej wagi, i może cała nasza przyszłość od niej zależy.

— Nasze losy zmieniły postać, moja pani, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. I nie dziwiłbym się wcale, gdyby za kilka miesięcy od dnia dzisiejszego wielu ludzi zazdrościło mi mego szczęścia.

— Stanie się tak niewątpliwie, jeżeli tylko zastosujesz się ściśle do wskazówek, jakie otrzymasz odemnie.

— Ja?

— Tak jest, ty. Nadarza się sposobność, mój panie, spełnienia dobrego i szlachetnego uczynku, przyczem można równocześnie zarobić dużo pieniędzy.

Pani Bonacieux wiedziała dobrze, że, mówiąc o pieniądzach, trafi w słabą stronę męża.

Ale Bonacieux nie był już tym samym człowiekiem, odkąd przez dziesięć minut rozmawiał z kardynałem Richelieu.

— Można zabroći dużo pieniędzy? — powtórzył, wydymając wargi.

— Tak jest, dużo.

— Mniej-więcej ile?

— Może tysiąc pistolów.

— Czy to, co chesz mi polecić do wykonania, jest trudne?

— Tak jest.

— Co należy uczynić?

— Udasz się natychmiast w podróż, ja zaś wręczę ci list, którego niewolno ci postradać pod żadnym pozorem i który musisz oddać do rąk własnych adresata.

— A dokąd mam jechać?

— Do Londynu.

— Ja do Londynu!? Żartujesz chyba; nie mam tam żadnych zgoła ineresów.

— Ale musisz pojechać w interesie innych.

— W czyim interesie?! Uprzedzam cię, że ani kroku nie uczynię na ślepo, i muszę wiedzić nietylko, na co się narażam, ale i dla kogo się narażam.

— Wysyła cię pewna znakomita osoba, druga zaś, równie dostojna, będzie oczekiwała na ciebie. Nagroda przewyższy twoje żądania. Oto wszystko, co mogę ci przyrzec.

— Znowu intrygi! zawsze intrygi! Dziękuję! Będę się miał teraz na baczności; pan kardynał objaśnił mię w tym względzie.

— Kardynał? — zawołała pani Bonacieux. — Widziałeś kardynała?

— Wezwał mnie do siebie — odpowiedział z dumą kramarz.

— I posłuchałeś tego wezwania, niebaczny człowieku?

— Muszę się przyznać, że nie mogłem wybierać między pójściem i odmową, albowiem prowadziło mnie dwóch strażników więziennych. Co prawda, gdybym był mógł wówczas uwolnić się od tych odwiedzin, byłbym to uczynił z rozkoszą, ponieważ wtedy nie znałem jeszcze Jego Eminencji.

— Jakże obchodził się z tobą kardynał? Straszył cię groźbami?

— Podał mi rękę i nazwał mnie swym przyjacielem... swym przyjacielem! Czy słyszysz, pani?... jestem przyjacielem wielkiego kardynała.

— Wielkiego kardynała?!

— Jakto? Czyżbyś może chciała mu odmówić tego tytułu, moja pani?

— Nie odmawiam mu niczego, lecz twierdzę, że względy, okazywane przez ministra, są krótkotrwałe i że chyba człowiek szalony może się przywiązywać do ministra. Istnieją potęgi, wyższe od niego, które nie opierają się na kaprysach ludzkich lub na chwilowych wydarzeniach, i z temi to potęgami należy iść ręka w rękę.

— Przykro mi bardzo, moja pani, lecz nie znam wyższej potęgi ponad tego wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

— Ty służysz kardynałowi?

— Tak jest, pani. I, jako jego sługa, nie mogę pozwolić, abyś mieszała się do spisków przeciwko bezpieczeństwu państwa i abyś służyła intrygom kobiety, która nie jest Francuską, serce jej bowiem jest nawskróś hiszpańskie. Na szczęście, wielki kardynał baczy czujnym wzrokiem i przenika wszystko do głębi.

Bonacieux powtarzał słowo w słowo frazesy, zasłyszane od hrabiego de Rochefort. Biedna kobieta jednak, która liczyła na swego męża i właśnie dzięki temu zaręczyła za niego królowej, drżała teraz zarówno wskutek niebezpieczeństwa, na jakie się narażała, jak wskutek bezsilności, na jaką nie mogła nic poradzić. Ponieważ jednak znała słabostki swego męża, a zwłaszcza jego żądzę zysku, nie traciła jeszcze nadziei, że dojdzie z nim do porozumienia.

— Aha! jesteś zatem stronnikiem kardynała! — zakrzyknęła; — służysz stronnictwu, które poniewiera twoją żonę i znieważa twoją królowę!

— Sprawy prywatne nie mają znaczenia wobec spraw ogólnych. Staję w jednym rzędzie z tymi, którzy mają na celu dobro państwa — oświadczył z przesadą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego de Rochefort, który Bonacieux zapamiętał i który zużytkował teraz wobec nadarzającej się sposobności.

— A czy wiesz, co to jest to państwo, o którem rozprawiasz?

— zapytała pani Bonacieux, wzruszając ramionami. — Powinieneś być zadowolony, że jesteś zwyczajnym mieszczaninem, i oddawać swe usługi tej stronie, która ofiarowuje ci większe korzyści.

— Tak! tak! A cóż powiesz na to, pani kaznodziejko? — rzekł Bonacieux, uderzając dłonią po zaokrąglonym trzosie, wydającym metaliczny brzęk.

— Skąd masz te pieniądze?

— Czy nie domyślasz się?

— Od kardynała?

— Od niego i od mojego przyjaciela, hrabiego de Rochefort.

— Od hrabiego de Rochefort?! Ależ to on właśnie mnie uprowadził.

— Być może, moja pani.

— I od tego człowieka przyjmujesz teraz pieniądze?

— Czyż nie oświadczyłaś mi sama, że to uprowadzenie było dokonane z przyczyn wyłącznie politycznych?

— Zapewne; ale miało ono na celu zmusić mnie do zdradzenia mojej pani, wydrzeć mi przy pomocy tortur zeznania, które mogłyby narazić na szwank honor, a może i życie mojej dostojnej władczyni.

— Pani — odpowiedział Bonacieux, — twoja dostojna władczyni jest przewrotną Hiszpanką; to zaś, co kardynał czyni, jest najzupełniej słuszne.

— Panie — rzekła młoda kobieta, — wiedziałam, że jesteś tchórzem, skąpcem i niedołęgą, lecz nie wiedziałam, że jesteś również nikczemnikiem.

— Co mówisz, moja droga? — przerwał Bonacieux, który nie widział nigdy żony w uniesieniu gniewu i który wolał uniknąć małżeńskiego zatargu, — co mówisz?

— Twierdzę, że jesteś nędznikiem! — powtórzyła pani Bonacieux, spostrzegając, że odzyskuje przewagę nad mężem. — Ach! więc zajmujesz się polityką, i to jeszcze wysługując się kardynałowi! Za pieniądze zaprzedajesz się z duszą i ciałem temu szatanowi!

—Nie szatanowi, lecz kardynałowi.

— To wszystko jedno! — krzyczała młoda kobieta; — Richelieu i szatan to jedno i to samo!

— Zamilcz, pani, zamilcz! mógłby ktoś posłyszeć.

— Tak jest, masz słuszność... A wówczas musiałabym się wstydzić twej podłości...

— Więc cóż chcesz, abym uczynił? powiedz.

— Powiedziałam, że masz oddalić się natychmiast, i wywiązać się ściśle z włożonego na ciebie obowiązku. Pod tym tylko

warunkiem wybaczę ci wszystko, a nawet, co więcej — tu wyciągnęła do niego rękę, — powrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i chciwcem, ale żonę swą kochał, rozczulił się przeto na ostatnie jej słowa. Pięćdziesięcioletni mężczyzna prędko zapomiona urazy względem młodej kobiety.

Pani Bonacieux, spostrzegłszy, że się jakby wahał, zapytała:

— No, namyśliłeś się?

— Ależ, moje życie, pomyśl tylko, czego wymagasz odemnie; Londyn jest daleko od Paryża, bardzo daleko, a zlecenie, jakie na mnie wkładasz, nie powiem, aby było bezpieczne...

— Nic tu trudnego. Niebezpieczeństw można uniknąć...

— Słuchaj mię, pani Bonacieux; odmawiam.... boję się intryg. Widziałem już Bastylję... Brr! okropna jest ta Bastylja! Drżę na samo jej wspomnienie. Grożono mi tam torturami. A czy wiesz, co to są tortury? o takie narzędzia drewniane, zapomocą których wyciągają ci kości ze stawów... Nie! nie pójdę. I do sto piorunów! czemu sama tam iść nie chcesz? Bo w istocie widzę, żem się mylił, iż jesteś kobietą; ty jesteś mężczyzną, i to najzapamiętalszym.

— A ty natomiast jesteś kobietą! nikczemną kobietą, głupią i podłą!.... Ach! boisz się? Słuchaj! Jeśli nie pojedziesz natychmiast, każę cię z polecenia królowej zaaresztować i wtrącić do tej samej Bastylji, której się tak lękasz.

Bonacieux popadł w głębokie zamyślenie; rozważał rozsądnie w mózgu te dwa gniewy: kardynała oraz królowej — i gniew kardynała napełnił go nieporównanie większą obawą.

— Każ mię zatem uwięzić na mocy rozkazu królowej — rzekł, — a wtedy zwrócę się do Jego Emineneji o pomoc.

Pani Bonacieux spostrzegła natychmiast, że posunęła się nazbyt daleko, i przeraziła się tego sama. Przez chwilę wpatrywała się ze strachem w głupią twarz męża, pełną jednakże stanowczości, jak zwykle u ludzi ograniczonych którzy się boją.

— Dobrze więc — rzekła. — Może masz nawet i słuszność; mężczyźni znają się lepiej na polityce, aniżeli kobiety, zwłaszcza zaś ty, panie Bonacieux, ty, który rozmawiałeś z kardynałem. A jednak — dodała — bardzo to smutne, że mąż, na którego przywiązanie niezawodnie liczyłam, postępuje ze mną tak niełaskawie i nie chce zadowolnić moich życzeń.

— Bo życzenia twoje mogą zaprowadzić za daleko — odpowiedział Bonacieux triumfującym głosem. — Dlatego muszę ci niedowierzać.

— Więc wyrzekam się ich spełnienia — oświadczyła młoda kobieta z westchnieniem. — Dobrze; nie mówmy już o tem.

— I gdybyś przynajmniej powiedziała mi, co mam robić tam w Londynie — odezwał się Bonacieux, który przypomniał sobie, trochę późno, że Rochefort zalecił mu wybadać tajemnice żony.

— Wiadomość ta jest ci już teraz zbyteczna — odparła młoda kobieta, którą instynktowna nieufność powstrzymała od zwierzeń — Chodziło o drobnostkę jedną z tych, jakich często pragną kobiety o pewien sprawunek na zakupnie którego możnaby było dużo zarobić.

Im bardziej jednak młoda kobieta starała się ukryć swą tajemnicę, tem bardziej upewniał się Bonacieux w przekonaniu, że tajemnica ta ma doniosłą wagę. Postanowił też udać się natychmiast do hrabiego de Rochefort i zawiadomić go, że królowa poszukuje kogoś, chcąc wysłać go do Londynu.

— Wybacz mi, droga pani Binacieux, że cię teraz opuszczę — rzekł. Nie wiedząc, że przyjdziesz do mnie, umówiłem się na tę godinę z jednym z moich przyjaciół. Powrócę jednak niebawem i, jeżeli zechcesz zaczekać na mnie przez chwilę to natychmiast po załatwieniu tej sprawy z przyjacielem odprowadzę cię do Luwru, zwłaszcza wobec tego, że zaczyna się już zciemniać.

— Dziękuję panu — odparła pani Bonacieux. — Nie jesteś dość odważny, abyś mógł mi być przydatny; powrócę zatem sama do Luwur.

— Jak ci się podoba, moja droga — rzekł były kramarz. — Kiedyż cię znowu zobaczę?

— Niedługo; mam nadzieję, że w najbliższym tygodniu będę wolniejsza od służby, skorzystam więc z tego i przyjdę, aby nieco doprowadzić do ładu nasze gospodarstwo, które zapewne musi być w dość złym stanie.

— Dobrze; będę czekał na ciebie. Nie masz do mnie żadnej urazy?

— Bynajmniej.

— Zatem do zobaczenia niebawem.

— Do zobaczenia.

Bonacieux pocałował żonę w rękę i oddalił się szybko.

— No, tylko tego brakowało jeszcze, aby mój małżonek został sługą kardynała — rzekła pani Bonacieux, gdy mąż jej zamknął bramę domu i gdy sama pozostała w mieszkaniu. — A ja zapewniałam królową, przyrzekłam mojej biednej pani.... Ach, mój Boże, mój Boże! będzie mnie uważała za jedną z tych niegodziwych osób, od których roi się w pałacu, a któremi otoczono ją tylko dlatego, aby ją szpiegowały. Ach, pani Bonacieux! nie kochałam cię nigdy za bardzo, ale teraz cię nienawidzę! nienawidzę! I daje słowo, zapłacisz mi za to!

W chwili, gdy wypowiadała te słowa, rozległo się stuknięcie w sufit, co skłoniło ją do spojrzenia w górę, a równocześnie głos jakiś, przenikający przez powałę zawołał na nią:

— Droga pani Bonacieux, niech pani otworzy drzwiczki od korytarza, abym mógł przyjść do pani.

XVIII.

KOCHANEK I MĄŻ.

— Ach, pani! — rzekł d'Artagnan, wchodząc przez małe drzwiczki, które otworzyła młoda kobieta, — pozwól powiedzieć sobie, że nieosobliwego masz męża.

— Więc pan słyszałeś naszą rozmowę? — zapytała żywo młoda kobieta, spoglądając z zaniepokojeniem na d'Artagnana.

— Każde słowo.

— Jakim sposobem, na Boga?

— Za pomocą pewnego znanego mi urządzenia, dzięki któremu słyszałem również niedawno nieco podnieconą rozmowę pani ze zbirami kardynała.

— I czy zrozumiałeś pan to, co mówiliśmy?

— Dowiedziałem się niejednego: przedewszystkiem tego, że mąż pani, na szczęście, jest głupcem i niedołęgą; następnie, że znajdujesz się pani w kłopocie, z czego znowu się cieszę, ponieważ mogę znaleźć sposobność, aby ci oddać usługę, a Bóg widzi, że gotów jestem skoczyć w ogień dla pani; wreszcie dowiedziałem się, że królowa szuka człowieka dzielnego, inteligentnego i oddanego, któryby w jej interesie odbył podróż do Londynu. Z tych trzech potrzebnych warunków posiadam conajmniej dwa... i dlatego oto przychodzę.

Pani Bonacieux nie odpowiedziała nic, ale radość napełniła jej piersi, a w oczach jej rozbłysła ukryta nadzieja.

— A jakąż możesz mi pan dać gwarancję — zapytała, — gdybym zgodziła się powierzyć panu wypełnienie tej misji?

— Gwarancją jest moja miłość dla pani. Mów pani, rozkazuj, co należy uczynić.

— Mój Boże, mój Boże! — szeptała pani Bonacieux. — Czyż mogę powierzyć panu tę tajemnicę? Jesteś pan niemal dzieckiem jeszcze!

— Jak się zdaje, pragnęłabyś pani, aby ktoś za mną poręczył.

— Przyznaję, że upewniłoby mnie to bardzo.

— Czy znasz pani Atosa?
— Nie.
— A Portosa?
— Nie.
— I Aramisa?
— Nie. Któż są ci panowie?
— Są to muszkieterowie królewscy. A czy znasz pani ich kapitana, pana de Treville?
— O! tak; tego znam, nie osobiście wprawdzie, ale słyszałam kilkakrotnie, jak mówiono o nim królowej, jako o dzielnym i zacnym szlachcicu.
— I nie obawiasz się pani, aby on zdradził kardynałowi twe tajemnice, nieprawdaż?
— O, nie; nie mam najmniejszej obawy.
— A zatem wyjaw mu pani tę tajemnicę i zapytaj go, czy można mi ją powierzyć, jakkolwiek byłaby ważna, cenna i straszna.
— Ale tajemnica ta nie jest moją, i wyjawić mu jej nie mogę.
— A jednak zamierzałaś ją pani powierzyć panu Bonacieux — odparł d'Artagnan, urażony.
— Tak, jak się powierza list dziupli w drzewie, jak się go ukrywa pod skrzydłem gołębia lub w obroży psa.
— Wiesz pani przecież, że cię kocham.
— Tak pan twierdzisz?
— Jestem człowiekiem, oddanym kobiecie, którą kocham.
— W to wierzę.
— Jestem odważny.
— Och! tego jestem pewna.
— A zatem niech mię pani wystawi na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodego człowieka, powstrzymywana jeszcze tylko resztkami wątpliwości. Ale w oczach jego błyszczał taki zapał, głos jego miał tak przekonywającą siłę, że nabrała odwagi, by mu zaufać. Zresztą znajdowała się w takich okolicznościach, że należało wszystko postawić na kartę, aby wygrć wszystko. Królowa mogła być zgubiona zarówno przez nazbyt wielką ostrożność, jak przez zbyt wielkie zaufanie. Przyznajmy też, że pomimowolne uczucie, jakie żywiła dla swego młodego opiekuna, skłoniło ją ostatecznie do mówienia.

— Posłuchaj pan zatem — rzekła; — ufam temu, co mówisz, i przyjmuję twoje zapewnienia. Ale przysięgam też wobec Boga,

który słyszy nasze słowa, że, gdybyś mnie pan zdradził i gdyby moi wrogowie zachowali mnie przy życiu, to zabiję się i obwinię pana o moją śmierć.

— Ja zaś, pani, przysięgam na Boga — oświadczył d'Artagnan, — że, gdybym został pochwycony podczas wypełniania otrzymanych od pani rozkazów, raczej umrę, niżeli cośkolwiek wypowiem lub narażę kogoś jakiemś słowem.

Teraz młoda kobieta zwierzyła mu straszną tajemnicę, której część wyjawił mu już przypadek na moście pod latarnią.

Było to równocześnie ich milczące wyznanie miłości.

D'Artagnan promieniał radością i dumą,tajemnica jaką posiadał, kobieta, którą kochał, wszystko to, zaufanie i miłość, sprawiało, że czuł się jakby olbrzymem.

— Jadę — rzekł, — jadę natychmiast.

— Jakto? jedziesz pan? — zawołała pani Bonacieux. — A cóż powiedzą na to w pułku? cóż powie na to kapitan?

— Na honor, zapomniałem o tem zupełnie, droga Konstancjo! Tak jest; masz słuszność; muszę się postarać o zwolnienie ze służby.

— Jeszcze jedna przeszkoda — szepnęła pani Bonacieux ze smutkiem.

— Och! bądź spokojna — odezwał się d'Artagnan po chwili namysłu; — tę przeszkodę łatwo usunę.

— Jakim sposobem?

— Udam się jeszcze dzisiaj wieczorem do pana de Treville i zobowiążę go, aby wyjednał dla mnie tę łaskę u swego szwagra, pana des Essarts.

— A teraz jeszcze coś innego.

— Co? — zapytał d'Artagnan, zauważywszy, że pani Bonacieux zawahała się przez chwilę.

— Może nie masz pieniędzy?

— Słowo "może" jest zamało w tym wypadku — odparł d'Artagnan z westchnieniem.

— Weź zatem — odpowiedziała pani Bonacieux, otwierając szafę i wyjmując z niej kieskę, którą jeszcze przed półgodziną z taką miłością pieścił jej małżonek, — weź tę kieskę.

— Kieska kardynała! — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem; jak wiadomo bowiem, dzięki usuniętym deskom z podłogi, słyszał każde słowo rozmowy, jaką kramarz prowadził z żoną.

— Kieska kardynalska — powtórzyła pani Bonacieux, — jak widzisz, ma wygląd wcale pokaźny.

— Na Boga! — wołał d'Artagnan, — będzie to sprawa niezmiernie ucieszna ocalić honor królowej pieniędzmi Jego Eminencji.

— Jesteś kochanym i miłym chłopcem — rzekła pani Bonacieux. — I wierzaj mi, że Jej Królewska Mość nie okaże się dla ciebie niewdzięczną.

— Och! jestem już wspaniale wynagrodzony! — zakrzyknął d'Artagnan. — Kocham cię i wolno mi powtarzać ci te słowa; to już większe szczęście, aniżeli się mogłem spodziewać.

— Cicho! — przerwała pani Bonacieux, drżąc.

— Co się stało?

— Słychać głosy na ulicy.

— To głos...

— Mojego męża. Poznaję dobrze.

D'Artagnan podbiegł ku drzwiom i zasunął rygiel.

— Nie wejdzie tu pierwej, póki ja się nie oddalę — rzekł. — Otworzysz mu, skoro już wyjdę.

— Ale i ja nie powinnam się tu znajdować; jak ja bowiem wytłumaczę zniknięcie tych pieniędzy.

— Masz słuszność; musimy wyjść oboje.

— Wyjść, ale jakim sposobem? Ujrzy nas wychodzących.

— A zatem musisz pójść do mnie.

— Ach! — zawołała pani Bonacieux, — mówisz to tonem który mię przeraża.

Pani Bonacieux wypowiedziała te słowa ze łzami w oczach. D'Artagnan dostrzegł łzy i, pomieszany, wzruszony, padł przed nią na kolaną.

— Będziesz u mnie tak bezpieczna — rzekł, — jak w świątyni; daję na to szlacheckie słowo honoru.

— Chodźmy — powiedziała pani Bonacieux; — ufam ci, mój przyjacielu.

D'Artagnan odsunął ostrożnie rygiel, i oboje, cicho jak cienie wymknęli się przez wewnętrzne drzwi na korytarz, bez hałasu weszli po schodach i znaleźli się w pokoju d'Artagnana.

Wszedłszy do mieszkania, młody człowiek zabarykadował drzwi dla większej pewności, poczem oboje zbliżyli się ku oknu i ujrzeli przez szparę okiennicy pana Bonacieux, romawiającego z jakimś człowiekiem w płaszczu.

Spostrzegłszy tego człowieka, d'Artagnan porwał się i, dobywając szpadę, poskoczył ku drzwiom.

Był to nieznajomy z Meung.

— Co chcesz uczynić? — zawołała pani Bonacieux. — Zgubisz nas oboje!

— Poprzysiągłem, że zabiję tego człowieka! — odpowiedział d'Artagnan.

— Życie twoje nie należy w tej chwili do ciebie. W imię królowej zabraniam ci narażać się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo, nie pozostające w związku z zamierzoną podróżą.

— Lecz w swem własnem imieniu nic mi nie rozkazujesz?

— A sama — dodała pani Bonacieux wzruszonym głosem, — sama proszę cię o to bardzo. Ale słuchajmy; zdaje mi się, że mówią o mnie.

D'Artagnan zbliżył się ku oknu i wytężył słuch.

Pan Bonacieux otworzył bramę i, przekonawszy się, że w mieszkaniu niema nikogo, wrócił do człowieka w płaszczu, którego na chwilę pozostawił był samego.

— Już poszła — rzek. — Musiała wrócić do Luwru.

— Czy jesteś pan pewny — pytał nieznajomy, — że nie domyśla się, w jakich zamiarach wyszedłeś z domu?

— Nie — odparł Bonacieux zarozumiale; — jestto kobieta nazbyt powierzchowna.

— Czy ten kadet z gwardji jest w domu?

— Nie sądzę. Jak pan sam widzisz, okiennice są zamknięte; nie znać też, aby światło przebłyskiwało przez szpary.

— To nic; należałoby się upewnić.

— W jaki sposób?

— Zapukać do jego drzwi.

— Zapytam jego służącego.

— Idź pan.

Bonacieux wszedł do mieszkania, minął drzwi, któremi umknęli tamci oboje, wszedł po schodach, wiodących do mieszkania d'Artagnana, i zapukał.

Nikt nie odpowiedział. Portos bowiem wypożyczył sobie na wieczór Plancheta, chcąc wystąpić z większą wspaniałością; d'Artagnan zaś nie myślał dawać znaku życia.

W chwili, gdy Bonacieux zastukał palcem we drzwi, obojgu młodym ludziom serce omal nie rozsadziło piersi.

— Niema nikogo — rzekł Bonacieux.

— Mniejsza o to. Bądź co bądź, wejdziemy do wnętrza; będziemy tam pewniejsi, aniżeli tutaj, na progu domu.

— Ach, mój Boże! — szepnęła pani Bonacieux, — nie będziemy już nic słyszeli.

— Przeciwnie — odpowiedział d'Artagnan, — usłyszymy wszystko jeszcze lepiej.

D'Artagnan podniósł trzy czy cztery deski posadzki, dzięki czemu pokój jego stał się niejako drugiem uchem Dyonizosa, rozpostarł dywan na podłodze, ukląkł i dał znak pani Bonacieux aby, tak samo jak on, pochyliła się nad otworem.

— Czy jesteś pan przekonany, że niema w domu nikogo? — pytał nieznajomy.

— Ręczę za to — odparł Bonacieux.

— I sądzisz pan, że twoja żona...

— Powróciła do Luwur.

— Nie rozmawiając z nikim, oprócz pana?

— Jestem tego pewny.

— To rzecz niezmiernie ważna! Czy pan rozumiesz?

— Tak jest; nowina, jaką usłyszałeś pan odemnie, ma swe znaczenie...

— Bardzo duże, mój drogi Bonacieux; nie ukrywam tego bynajmniej.

— I pan kardynał będzie zadowolony ze mnie?

— Nie wątpię.

— Wielki kardynał!

— Czy jesteś pan pewny, że żona pańska nie wymieniła w rozmowie żadnego nazwiska jakiej osoby?

— Nie przypominam sobie.

— Nie wymieniła ani pani de Chevreuse, ani księcia Buckingham, ani pani de Vernet?

— Nie; powiedziała tylko, że chce mię posłać do Londynu w celu załatwienia jakiejś sprawy dla pewnej wybitnej osobistości.

— Zdrajca! — szepnęła pani Bonaceiux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ujmując ją za rękę, którą mu podała odruchowo.

— W każdym razie — mówił dalej mężczyzna w płaszczu — byłeś pan głupcem, że odmówiłeś wypełnienia tego polecenia. Gdyby nie to, miałbyś już w tej chwili ten list w kieszeni; państwo, któremu grozi niebezpieczeństwo, byłoby ocalone, a ty...

— A ja?

— A panu dałby kardynał dyplom szlachecki!...

— Czy to powiedział?

— Tak jest; wiem, że chciał sprawić panu tę niespodziankę.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Bonacieux. — Moja żona ubóstwia mnie; jest jeszcze czas.

— Osioł! — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — odezwał się d'Artagnan, ściskając ją silnie za rękę.

— Jak to pan rozumiesz, że jesz jeszcze czas? — spytał nieznajomy w płaszczu.

— Udam się do Luwru zobaczę się z panią Bonacieux, powiem jej, że się namyśliłem, że podejmę się tej sprawy, otrzymamy list i pobiegnę z nim natychmiast do kardynała.

— Dobrze więc! idź pan szybko. Powrócę tu niebawem, aby się dowiedzieć, coś pan uczynił.

Nieznajomy oddalił się.

— Niegodziwiec! — rzekła pani Bonacieux, nadając jeszcze i to miano swemu małżonkowi.

— Cicho! — powtórzył d'Artagnan, ściskając jeszcze silniej rączkę młodej kobiety.

Straszny ryk przerwał nagle rozmyślania d'Artagnana i pani Bonacieux bo oto jej małżonek zauważył zniknięcie trzosa i począł drzeć się na całe gardło, że go okradziono.

— Ach, mój Boże! — zawołała pani Bonacieux, — gotów sprowadzić na kark całą dzielnicę.

Bonacieux krzyczał długo. Ale ponieważ hałasy tego rodzaju często się powtarzały na ulicy Grabarzy i ponieważ w dodatku dom kramarza miał od pewnego czasu złą opinję w okolicy, nie zwracano na krzyki te uwagi. Widząc, że nikt nie przybywa, Bonacieux wybiegł z domu, krzycząc w dalszym ciągu, i słychać było jeszcze długo głos jego, oddalający się w stronę ulicy du Bac.

— A teraz, kiedy już sobie poszedł — rzekła pani Bonacieux, — czas i panu także wyruszyć w drogę. Bądź odważny, ale przedewszystkiem roztropny, i pamiętaj, że odtąd należysz do królowej.

— Do niej i do ciebie! — zawołał d'Artagnan. — Bądź spokojna, piękna Konstancjo; powrócę, okazując się godnym twojej wdzięczności.... Ale czy stanę się również godnym twej miłości?

Młoda kobieta nie odpowiedziała, tylko żywy rumieniec okrasił jej lica. W kilka chwil później d'Artagnan wyszedł z domu, także owinięty szerokiem płaszczem, który załamywał się malowniczemi fałdami około pochwy długiej szpady.

Pani Bonacieux śledziła jego kroki miłosnem spojrzeniem, jakiem kobieta wiedzie zawsze za kochającym ją człowiekiem; skoro zaś zniknął za węgłem domu, padła na kolana i, wznosząc ręce do góry, zawołała:

— O. Boże mój! weź w swoją opiekę królowę i nie opuszczaj nas!

XIX.

PLAN WYPRAWY.

D'Artagnan udał się prosto do pana de Treville. Przyszło mu na myśl, że kardynał zostanie niebawem uprzedzony przez tego przeglętego nieznajomego, który wydawał się jego narzędziem, i sądził słusznie, że niema ani chwili czasu do stracenia.

Serce młodego człowieka było przepełnione radością. Nastręczała mu sposobność zdobycia równocześnie sławy i pieniędzy, a w dodatku sposobność ta zbliżała go do kobiety, którą ubóstwiał. Szczęśliwy los odrazu dawał mu więcej, aniżeli śmiałby żądać od Opatrzności.

Pan de Treville znajdował się w salonie, jak zawsze, otoczony szlachtą. D'Artagnan, którego znano, jako stałego bywalca w pałacu, podszedł prosto do gabinetu i polecił uprzedzić pana de Treville, że pragnie się z nim rozmówić w nader ważnej sprawie.

Czekał niespełna pięć minut, gdy wszedł pan de Treville. Od pierwszego rzutu oka zauważywszy radość, malującą się na twarzy gościa, zacny kapitan zrozumiał, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego.

W ciągu całej drogi d'Artagnan zadawał sobie pytanie, czy zwierzyć wszystko panu de Treville, czy też prosić go tylko o pozwolenie swobodnego działania w pewnej tajemnej sprawie. Ale pan de Trevillé był zawsze tak niesłychanie dobry dla niego, tak odany królowi i królowej, tak serdecznie przytem nienawidził kardynała, że młody człowiek postanowił powiedzieć mu wszystko.

— Pragnąłeś mówić ze mną, mój młody przyjacielu — odezwał się pan de Treville.

— Tak jest, panie — odpowiedział d'Artagnan. — Przebaczysz mi pan jednak, jak sądzę, że cię trudziłem, skoro się dowiesz, o jak ważną chodzi tu sprawę.

— Mów pan; słucham.

— Chodzi tu ni mniej ni więcej — rzekł d'Artagnan zniżając głos — jak o honor, a może i o życie królowej.

— Co pan mówisz? — zawołał pan de Treville, rozglądając się dokoła, czy są sami w pokoju, i wpijając pytające spojrzenie w d'Artagnana.

— Przypadek uczynił mię panem pewnej tajemnicy....

— Którą, spodziewam się, młodzieńcze, zachowasz choćby kosztem własnego życia.

— Ale winienem powierzyć ją panu, ponieważ pan jeden tylko możesz mi dopomódz do wypełnienia zlecenia, jakie otrzymałem od Jej Królewskiej Mości.

— Czy jest to pańska tajemnica?

— Nie, to tajemnica królowej.

— Czy Najjaśniejsza Pani upoważniła cię, byś mi ją powierzył?

— Nie, panie; przeciwnie, zalecono mi jaknajgłębsze milczenie.

— Dlaczegoż więc chesz ją zdradzić przedemną?

— Ponieważ, jak powiadam, nie mogę nic uczynić bez pomocy pana, a lękam się, by mi pan nie odmówił łaski, o którą przychodzę prosić, jeżeli nie będziesz pan wiedział, w jakim celu o nią proszę.

— Zachowaj tę tajemnicę, młodzieńcze, i powiedz, czego pragniesz.

— Pragnę, abyś pan uzyskał dla mnie od pana des Essarts piętnastodniowy urlop.

— Kiedy?

— Jeszcze tej nocy.

— Jadę z poleceniem.

— Czy możesz mi powiedzieć, dokąd?

— Do Londynu.

— Czy może zależy komuś na tem, abyś się nie dostał do celu podróży?

— Sądzę, że kardynał dałby wszystko na świecie, byleby mi w tem przeszkodzić.

— I jedziesz sam?

— Sam.

— W takim razie nie dojedziesz nawet do Bondy; ja ci to mówię, jak jestem Treville.

— Dlaczego?

— Zamordują cię.

— Zginę, spełniając mój obowiązek.

— Ale nie wypełnisz go, jak tego oczekują.

— To prawda — rzekł d'Artagnan.

— Wierzaj mi — mówił dalej pan de Treville, — w przedsięwzięciach tego rodzaju z czterech ludzi zaledwie jeden dociera do celu.

— Ach! masz pan słuszność — zawołał d'Artagnan. — Ale znasz pan także Atosa, Portosa i Aramisa i wiesz sam, że mogę na nich liczyć.

— Ale nie dopuszczaj ich do tajemnicy, której i ja znać nie chcę.

— Zaprzysięgliśmy sobie raz na zawsze ślepe zaufanie i wierność w każdej potrzebie; zresztą możesz im pan powiedzieć, że ufasz mi zupełnie, a z pewnością uwierzą, tak samo, jak pan mi uwierzyłeś.

— Mogę każdemu z nich posłać zwolnienie od służby na przeciąg piętnastu dni: Atosowi, któremu jeszcze ciągle dolega rana, w tym celu, aby udał się do kąpieli w Forges, a Portosowi i Aramisowi z poleceniem, by towarzyszli swemu przyjacielowi, który w tem przykrem położeniu nie może się obejść bez ich pomocy. Udzielenie urlopu będzie dowodem, że podróż ta odbywa się z moją wolą.

— Dzięki ci, panie! Jesteś nieskończenie dobry.

— Odszukaj ich zatem natychmiast i ruszajcie w drogę jeszcze dzisiaj w nocy. Ach, prawda! napisz zaraz prośbę do pana des Essarts. Być bardzo może, że szpieg szedł twoim śladem; w tym więc wypadku, gdyby kardynał wiedział już o całej sprawie, odwiedziny twoje w mym domu będą usprawiedliwione.

D'Artagnan napisał prośbę, a pan de reville, biorąc ją do ręki zapewnił, że przed godziną drugą rano cztery pozwolenia na wyjazd będą doręczone wybierającym się w podróż w ich własnych mieszkaniach.

— Może będziesz pan tak łaskaw przesłać pozwolenie dla mnie do mieszkania Atosa — rzekł d'Artagnan. — Obawiam się bowiem, że w razie powrotu do własnego domu mógłbym tam narazić się na jakie niezbyt miłe spotkanie.

— Bądź pan spokojny. Zatem żegnam i życzę szczęśliwej podróży. Ale, ale! — odezwał się jeszcze pan de Treville przywołując młodzieńca z powrotem.

D'Artagnan zawrócił.

— Czy masz pan pieniądze?

— D'Artagnan brzęknął workiem, który miał w kieszeni.

— Czy wystarczy? — pytał pan de Treville.

— Mam trzysta pistolów.

— To dobrze; z tem można zajechać na koniec świata. Ruszajcie zatem w drogę.

D'Artagnan pożegnał pana de Treville, który podał mu rękę; młodzieniec uścisnął ją z szacunkiem, zmieszanym z wdzięcznością. Odkąd przybył do Paryża, mógł tylko chełpić się znajomością tego człowieka, który zawsze postępował z nim zacnie, szczerze i wielkodusznie.

Najpierw skierował kroki do Aramisa. Nie był u swego przyjaciela od owego pamiętnego wieczoru, kiedy śledził panią Bonacieux, — co więcej, nie widywał go niemal, a ilekroć go spotkał, dostrzegał głęboki smutek na jego twarzy.

Tego wieczoru Aramis był również smutny i rozmarzony. D'Artagnan zagadnął go kilkakrotnie o przyczynę tej melancholji; Aramis za każdym razem usprawiedliwiał się, że na tydzień następny musi przygotować komentarz łaciński do ośmnastego rozdziału dzieła świętego Augustyna i że to pochłania całkowicie jego uwagę i myśli.

Obaj przyjaciele rozmawiali już przez czas pewien, gdy nadszedł służący pana de Treville, przynosząc jekieś zapieczętowane papiery.

— Cóż to takiego? — zapytał Aramis.

— Pozwolenie na wyjazd, o jakie pan prosiłeś — odpowiedział służący.

— Ależ ja nie prosiłem o nic.

— Nie mów nic, lecz bierz — odezwał się d'Artagnan. — A ty, mój przyjacielu, masz tu pół pistola za swój trud. Oświadczysz panu de Treville, że pan Aramis dziękuje bardzo za otrzymane pozwolenie. Możesz odejść.

Sługący skłonił się aż do ziemi i wyszedł.

— Cóż to ma znaczyć? — pytał Aramis.

— Wyobraź sobie, że masz odbyć piętnastodniową podróż, i zabieraj się ze mną.

— Ależ ja nie ruszę z Paryża, dopóki się nie dowiem....

Aramis zawahał się.

— Co się z nią stało, naprawdaż? — dokończył d'Artagnan.

— Z kim? — pytał Aramis.

— Z damą, która była tutaj.... z damą, posiadającą haftowane chusteczki.

— Kto ci powiedział, że była tutaj jakaś dama? — przerwał Aramis, blednąc, jak chusta.

— Widziałem ją.

— I wiesz, kto to taki?

— Domyślam się przynajmniej.

— Słuchaj — mówił Aramis. — Skoro. — Skoro wiesz już tyle, to wiesz może także, co się z nią stało?

— Przypuszczam, że wróciła do Tours.

— Do Tours? to być może. Znasz ją, jak widzę. Ale dlaczego wróciła do Tours, nie zawiadamiając mię o tem wcale?

— Obawiała się, by jej nie uwięziono.

— Dlaczego nie napisała ani słowa?

— Bo obawiała się skompromitować ciebie.

— D'Artagnanie! wracasz mi życie! — krzyknął Aramis. Sądziłem już, że pogardziła mną, że mię zdradziła... Byłem tak szczęśliwy, ujrzawszy ją znowu... Nie mogłem przecież przypuścić, aby narażała dla mnie swą wolność.... A jednak jakaż przyczyna mogła ją sprowadzić do Paryża?

— Ta sama, dla której wyruszamy dzisiaj do Londynu.

— A cóż to za przyczyna? — pytał Aramis.

— Dowiesz się tego jeszcze kiedyś, mój Aramisie. Tymczasem pragnę naśladować powściągliwość w słowie "siostrzenicy doktora".

Aramis uśmiechnął się, — przypomniał sobie bowiem bajeczkę, którą pewnego wieczora opowiedział przyjaciołom.

— Dobrze więc! skoro pani ta wyjechała z Paryża i skoro jesteś o tem przekonany, d'Artagnanie, nic mię już nie zatrzymuje, i gotów jestem towarzyszyć ci. Dokądże więc się udajemy?...

— Na razie do Atosa. Skoro zaś chcesz mi towarzyszyć, proszę cię, spiesz się, gdyż straciliśmy już i takdużo czasu. Ach, prawda! zawołaj Bazina.

— Czy Bazin pojedzie także z nami?

— Może. Bądź co bądź, dobrze będzie, gdy obecnie pójdzie z nami do Atosa.

Aramis przywołał Bazina i rozkazał mu podążyć za nimi do Atosa.

— Chodźmy zatem! — rzekł, biorąc płaszcz, szpadę i trzy pistolety i otwierając zgoła niepotrzebnie kilka szuflad, aby zobaczyć, czy nie znajdzie tam przypadkiem jakiejś zabłąkanej monety. Przekonawszy się ostatecznie, że poszukiwania te są daremne, poszedł za d'Artagnanem, zastanawiając się, skąd młody kadet z gwardji wie tak samo dobrze, jak on, kto była dama, której udzielał gościnności w swym domu, i jakim sposobem mógł wiedzieć lepiej od niego, co się z nią stało.

Gdy wychodzili z domu, Aramis położył dłoń na ramieniu d'Artagnana i, wpatrując się w niego badawczo, zapytał:

— Nie mówiłeś z nikim o tej kobiecie?

— Z nikim.

— Ani z Portosem, ani z Atosem nawet?

— Nie wspomniałem im o niej ani słowa.

— To dobrze.

I uspokojony już co do tego ważnego szczegółu Aramis poszedł za d'Artagnanem. Nie bawem znaleźli się obaj u Atosa.

Zastali go, trzymającego w jednej ręce pozwolenie na wyjazd w drugiej zaś list od pana de Treville.

— Czy moglibyście mi może wyjaśnić, co znaczy to pozwolenie i ten list, który otrzymuję? — zapytał Atos przybyłych przyjaciół i przeczytał im treść otrzymanego listu: — "Mój drogi Atosie. Ponieważ zdrowie twoje wymaga tego bezwarunkowo, chciałbym, abym wypoczął przez kilka dni. Wybierz się więc do kąpieli w Forges lub gdzieindziej, gdyby ci to bardziej dogadzało, i postaraj się odzyskać nadszarpane siły.

Życzliwy ci
Treville".

— Otóż, Atosie, list ten i pozwolenie oznaczają, że masz mi towarzyszyć.

— Do kąpieli w Forges?

— Tam lub gdzieindziej.

— W służbie króla?

— Króla albo królowej. Czyż nie jesteśmy sługami obojga Ich Królewskich Mości?

W tej samej chwili wszedł Portos.

— Tam do licha! — rzekł, — dzieją się dziwne rzeczy. Odkądże to zapanował zwyczaj, że udziela się muszkieterom urlopów, choć nie proszą o to wcale?

— Odtąd, odkąd mają przyjaciół, którzy proszą o to w ich imieniu — odpowiedział d'Artagnan.

— Aha! aha! — zawołał Portos. — Zdaje się, że tutaj gotuje się coś nowego...

— Tak jest; wyjeżdżamy — rzekł Aramis.

— Dokądże to? — pytał Portos.

— Na honor, sam nie wiem — odrzekł Atos; — zapytaj d'Artagnana.

— Udajemy się do Londynu, moi panowie — oświadczył d'Artagnan.

— Do Londynu? — zawołał Portos. — A cóż my tam będziemy robili?

— Tego właśnie nie mogę wam powiedzieć, moi panowie; musicie mi zaufać.

— Ale na to, aby się dostać do Londynu — zauważył Portos, — trzeba pieniędzy; ja zaś nie posiadam ich wcale.

— Ani ja — rzekł Aramis.

— Ani ja — powtórzył Atos.

— Ja zato mam — odpowiedział d'Artagnan, wyciągając swój skarb z kieszeni i kładąc go na stole. — W kiesce tej znajduje się trzysta pistolów; jeżeli każdy z nas weźmie po sześćdziesiąt pięć, to wystarczy to zupełnie, aby zajechać do Londynu i powrócić. Zresztą bądźcie spokojni; nie wszyscy tam dojedziemy.

— A to dlaczego?

— Gdyż, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, niektórzy z nas pozostaną po drodze.

— Czyż przedsiębierzemy jaką wyprawę wojenną?

— Jedną z najniebezpieczniejszych... oznajmiam wam.

— Więc tak? Skoro jednakże mamy się narażać na śmierć — rzekł Portos, — pragnąłbym wiedzieć przynajmniej, z jakiego powodu.

— Dużą korzyść z tego odniesiesz! — zauważył Atos.

— Jednakże i ja również podzielam zdanie Portosa — oświadczył Aramis.

— Czy król zwykł zdawać wam sprawę ze swych zamiarów? Nie. Mówią wam po prostu: Panowie, walka toczyć się będzie we Flandrji, czy w Gaskonji; idźcie tam walczyć. I idziecie... Dlaczego się bijecie, to nie obchodzi was bynajmniej .

— D'Artagnan ma słuszność — oświadczył Atos. — Oto trzy

zezwolenia, nadesłane przez pana de Treville; oto trzysta pistolów, których pochodzenia nie znam wcale. Idźmy zatem nadstawiać głowę tam, gdzie nas wysyłają. Czyż życie warte jest tylu rozpraw? D'Artagnanie, jestem gotów iść z tobą.

— Ja również — rzekł Portos.

— I ja — odezwał się Aramis. — tem bardziej, że chętnie opuszczę Paryż..... potrzebuję rozrywki.

— Doskonale ! Rozrywki nie zabraknie wam, moi panowie, bądźcie spokojni — oświadczył d'Artagnan.

— Kiedyż zatem wyruszamy w drogę? — zapytał Atos.

— Natychmiast — odpowiedział d'Artagnan; — nie mamy ani chwili do stracenia.

— Hola! Grimaud! Planchet, Mousqueton! Bazin! — wołali czterej młodzi ludzie na swoich służących. — Smarować buty i przyprowadzić konie ze stajni pałacowej!

Każdy z muszkieterów miał zawsze w stajni pałacowej konia w pogotowiu, jak w koszarach, a podobnie i każdy z ich służących.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin popędzili cwałem.

— A teraz ułóżmy plan wyprawy — rzekł Portos. — Dokąd wyruszamy najpierw?

— Do Calais — odparł d'Artagnan; — jest to najprostsza droga do Londynu.

— Dobrze — rzekł Portos. — Moje zdanie zatem jest następujące...

— Mów.

— Czterej ludzie, podróżujący razem, budzą zawsze podejrzenie; d'Artagnan zatem da każdemu z nas wskazówki. Ja wyruszę pierwszy drogą na Boulogne, aby wybadać teren; Atos wyjedzie w dwie godziny później, udając się w stronę Amiens; Aramis pospieszy za nami przez Noyon; wreszcie d'Artagnan pojedzie, którędy mu się spodoba, w przebraniu Plancheta, podczas gdy Planchet będzie nam towarzyszył, udając d'Artagnana w mundurze gwardyjskim.

— Mojem zdaniem, panowie — oświadczył Atos, — nie należy wtajemniczać służby w podobną sprawę. Szlachcic może niekiedy przypadkiem zdradzić jakąś tajemnicę; służący sprzeda ją prawie zawsze.

— Plan Portosa — rzekł d'Artagnan — wydaje mi się niepraktycznym, choćby dlatego, że sam nie wiem, jakie mógłbym

wam dać wskazówki. Zadaniem mojem jest odwiezienie listu, nic więcej. Nie posiadam i nie mogę sporządzić trzech odpisów tego listu, gdyż pismo jest zamknięte pieczęcią; sądzę zatem, że wypadu nam wspólnie odbywać podróż. Pismo to jest ukryte w mojej kieszeni — mówiąc to, pokazał kieszeń, w której się list znajdował. — Gdybym padł podczas wyprawy, jeden z was weźmie list, i ruszycie w dalszą drogę. Gdyby ten drugi został zabity, przyjdzie kolej na następnego, i tak dalej... Chodzi bowiem jedynie tylko o to, aby jeden z nas przybył do celu.

— Brawo, d'Artagnanie! — W zupełności podzielam twoje zdanie — zawołał Atos. — Należy zresztą postępować konsekwentnie. Udaję się do kąpieli, wy zaś mi towarzyszycie; zamiast udać się do Forges, jadę nad morze, to mi wolno. Gdyby nas chciano zaaresztować, pokażę list pana de Treville, wy zaś wykażecie się otrzymanymi urlopami; jeżeli zostaniemy napadnięci, będziemy się bronili; jeżeli pociągną nas przed sąd, będziemy twierdzili z całą stanowczością, że nie mieliśmy zgoła innych zamiarów, jak tylko zanurzyć się pewną ilość razy w morzu. Nietrudno zresztą byłoby dać sobie radę z czterema rozdzielonymi ludźmi, podczas gdy złączeni razem tworzą już pokaźny zastęp. Uzbroimy naszych czterech służących w pistolety i muszkiety, i gdyby nawet wysłano armję przeciwko nam, stawimy jej czoło, a ten, co wyjdzie żywym z walki, odwiezie list, jak to planuje d'Artagnan.

— Dobrze powiedziane — zawołał Aramis. — Rzadko zabierasz głos, Atosie, ale, gdy się odezwiesz, przemawiasz, jak święty Jan Złotousty. Przyjmuję plan Atosa. A ty, Portosie?

— Ja także — odparł Portos, — jeżeli tylko d'Artagnan godzi się na niego. D'Artagnan bowiem, jako oddawca listu, jest oczywiście wodzem wyprawy; co on postanowi, wypełnimy.

— A zatem — odezwał się d'Artagnan — postanawiam, że przyjmujemy plan Atosa i że za pół godziny ruszamy w drogę.

— Przyjmujemy! przyjmujemy! — zakrzyknęli chórem trzej muszkieterowie.

I każdy z nich, sięgnąwszy do trzosa, wziął po sześćdziesiąt pięć pistolów i począł czynić przygotowania do wyjazdu o oznaczonej godzinie.

XX.

PODRÓŻ.

O godzinie drugiej nad ranem czterej nasi poszukiwacze przygód wyjechali z Paryża przez rogatkę Świętego Djonizego. Dopóki trwała noc, posuwali się naprzód w milczeniu; pomimowoli ulegali wpływowi ciemności i na każdym kroku podejrzywali zasadzki.

Ale z pierwszym brzaskiem dnia rozwiązały się języki; z promieniami słońca wesołość. Jak gdyby w przeddzień potyczki, serca biły przyspieszonem tempem, oczy błyszczały radością; odczuwali, że życie, z którem może będą zmuszeni się rozstać, jest bądź co bądź drogocennym skarbem.

Zastęp ich zresztą wyglądał nader groźnie: marcowe postawy muszkieterów, czarne ich konie, miarowy ruch naprzód, do jakiego ci dzielni towarzysze żołnierza przyzwyczaili się w szeregach pułku, — wszystko to zdradziłoby tajemnicę, gdyby chcieli ją ukrywać.

Pachołkowie, uzbrojeni od stóp do głów, jechali za nimi.

Aż do Chantilly, gdzie stanęli około godziny ósmej rano, dojechali bez żadnej przygody. Należało spożyć śniadanie. Zsiedli więc z koni przed gospodą, której godło przedstawiało świętego Marcina, dającego połowę płaszcza ubogiemu, przyczem nakazali pachołkom, aby nie zdejmowali siodeł z koni i aby byli gotowi natychmiast wyruszyć w dalszą drogę.

Gdy weszli do ogólnej sali i zasiedli do stołu, jakiś szlachcic, który, jak się zdawało, przybył z Dammartin, i siedząc przy tym samym stole, jadł śniadanie, rozpoczął z nimi rozmowę o deszczu i pogodzie. Nasi podróżni odpowiadali mu. Gdy zaś wychylił kielich za ich zdrowie, muszkieterowie odpowiedzili grzecznością na grzeczność.

W chwili jednak kiedy Mousqueton wszedł z wiadomością że konie czekają w pogotowiu, i kiedy zaczęto wstawać od stołu, nieznajomy zaproponował Portosowi wypicie za zdrowie kardy-

nała. Portos odpowiedział, że niczego więcej nie pragnie, jeżeli nieznajomy wypije również za zdrowie króla. Szlachcic począł krzyczeć, że nie zna innego króla, prócz Jego Eminencji. W odpowiedzi na to Portos nazwał go pijakiem, wobec czego nieznajomy dobył szpady.

— Zrobiłeś głupstwo — rzekł Atos. — Ale niema rady; nie można się już cofać. Zabij tego człowieka i staraj się dogonić nas, jak możesz najprędzej.

Wszyscy trzej dosiedli koni i puścili się cwałem, podczas gdy Portos obiecywał swemu przeciwnikowi, że podziurawi go wszystkiemi sposobami, znanymi w sztuce szermierskiej.

— O jednego mniej! — rzekł Atos, gdy ujechali jakieś sto kroków.

— Ale dlaczego ten człowiek zaczepił Portosa, zamiast któregoś z nas? — pytał Aramis.

— Bo Portos wykrzykiwał najgłośniej, i dlatego nieznajomy uważał go za przywódcę wyprawy — odpowiedział d'Artagnan.

— Twierdziłem zawsze że ten Gaskończyk jest skarbnicą mądrości — mruknął Atos.

W Beavais podróżnicy nasi zatrzymali się przez dwie godziny, aby dać wypocząć koniom i zaczekać na Portosa. Skoro jednak nie wrócił po upływie tego czasu, ani też nie było o nim żadnej wieści, ruszyli w dalszą podróż.

O milę za Beauvais, w miejscu, gdzie droga wiła się między dwoma wzgórzami, napotkali ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy pod pozorem naprawiania zepsutego gościńca kopali w nim doły i błotniste kałuże. Aramis, obawiając się, że powala sobie buty w tem robionem błocie, skrzyczał ich ostro. Atos chciał temu zajściu zapobiedz, ale się spóźnił, i robotnicy poczęli wydrwiwać naszych podróżnych, czem doprowadzili do tego, że nawet flegmatyczny Atos oburzył się ich zuchwalstwem i najechał koniem na jednego z nich. Wówczas ludzie ci cofnli się do przydrożnego rowu i pochwycili ukryte w nim muszkiety. Wskutek tego podróżni nasi musieli przejechać wprost pod gradem kul, z których jedna przebiła Aramisowi ramię, druga zaś utkwiła Mousquetonowi w miękkich częściach ciała, będących przedłużeniem kości krzyżowej. Mousqueton spadł z konia, nie dlatego, by był istotnie ciężko raniony, lecz ponieważ, nie mogąc zobaczyć rany, przypuszczał zapewne, że jest groźniejsza, aniżeli była w rzeczywistości.

— To zasadzka! — krzyknął d'Artagnan. — Nie dajmy się chwycić w sidła! Dalej, naprzód w drogę!

Aramis, aczkolwiek raniony, chwycił się grzywy konia, który poniósł go za towarzyszami. Rumak Mousquetona dogonił ich także i biegł razem bez jeźdźca.

— Będziemy mieli jednego konia zapasowego — rzekł Atos.

— Wolałbym mieć kapelusz — odparł d'Artagnan. — Zdmuchnęła mi go kula. Całe szczęście, na honor, że list, jaki mam przy sobie nie w nim się znajdował.

— Otóż to! Gotowi zabić biednego Portosa, gdy pojedzie tędy — odezwał się Aramis.

— Gdyby Portos mógł się utrzymać na nogach, byłby nas już dawno dogonił — zauważył Atos. — Mojem zdaniem, ten pijak otrzeźwiał, ledwie stanął na placu boju.

Pędzili jeszcze galopem przez dwie godziny, chociaż konie były pomęczone i można się było obawiać, że niebawem odmówią jeźdźcom swej służby. Skierowali się następnie na przełaj, w nadziei, że dzięki temu będą mniej niepokojeni. Ale w Crevecoeur Aramis oświadczył, że dalej jechać nie może. W istocie trzeba było mieć jego męstwo, ukrywające się pod wytworną powierzchownością i pod gładkiem obejściem, aby dotrwać aż dotąd. Co chwila bladł straszliwie i musiano podtrzymywać go na koniu. Zsadzono go zatem przed bramą przydrożnej oberży, pozostawiono mu Bazina, który raczej przeszkadzał, niż pomagał w utarcze, i ruszono dalej w nadziei, że zdążą na noc do Amiens.

— Do licha! — zaklął Atos, gdy jechali dalej, mając już poczet, zmniejszony do dwóch panów i Grimauda oraz Plancheta. — Do licha! nie dam się więcej złapać i zaręczam ci, że nie otworzę ust, ani nie dobędę szpady, póki nie przybędziemy do Calais. Przysięgam...

— Nie przysięgajmy — rzekł d'Artagnan, — pędźmy tylko, ile tchu starczy koniom.

Podróżnicy wbili ostrogi w brzuchy rumaków, które, podniecone tem, wytężały siły. O północy przybyli do Amiens i zatrzymali się przed gospodą pod Złotą Lilją.

Oberżysta wyglądał na najzacniejszego człowieka na świecie. Przyjął podróżnych ze świecą w jednej ręce, a bawełnianą szlafmycą w drugiej, i chciał każdego z nich umieścić w osobnym pięknym pokoju. Na nieszczęście, pokoje te znajdowały się na

dwóch przeciwnych krańcach gospody. D'Artagnan i Atos nie zgodzili się na to. Oberżysta odpowiedział, że nie rozporządza innymi pokojami, godnymi Ich Wysokości; a podróżni oświadczyli, że gotowi się przespać w ogólnej sali na siennikach rzuconych na ziemię. Oberżysta nalegał, oni upierali się przy swojem; wreszcie musiał zastosować się do tego, czego żądali.

Zaledwie przyrządzili sobie posłanie i zatarasowali drzwi od wewnątrz, gdy zapukano do okiennicy od strony podrwórza. Zapytali, kto taki, i otwarli okiennicę, poznawszy głosy swych pachołków.

Byli to istotnie Planchet i Grimaud.

— Grimaud sam potrafił dopilnować koni,— oświadczył Planchet, — a jeżeli panowie pozwolą, ja położę się na progu. Dzięki temu, będą panowie mogli mieć pewność, że nikt tu nie wejdzie.

— A na czem się położysz? — spytał d'Artagnan.

— Oto moje posłanie — odpowiedział Planchet, wskazując wiązkę słomy.

— Chodź więc — rzekł d'Artagnan. — Masz słuszność; postać tego oberżysty nie bardzo mi się podoba; jest zanadto uprzejmy.

— Mnie nie podoba się także — oświadczył Atos.

Planchet wszedł do pokoju przez okno, ułożył się pod drzwiami, a Grimaud zamknął się w stajni, zaręczając, że o godzinie piątej rano i on i cztery konie będą gotowe do drogi.

Noc minęła dosyć spokojnie. Około godziny drugiej nad ranem próbował ktoś wprawdzie dostać się do drzwi, Planchet jednak zerwał się natychmiast, a kiedy zapytał "kto tam?", pukający oświadczył, że się pomylił, i oddalił się szybko.

O godzinie czwartej rano rozległ się straszny hałas w stajni; Grimaud chciał obudzić parobków, ci natomiast zaczęli go bić. Kiedy otwarto okno, ujrzano biednego chłopca nieprzytomnego, z głową rozciętą rękojeścią od wideł.

Planchet wyszedł na podwórze i chciał osiodłać konie; okazało się jednak, że są ochwacone. Jeden tylko koń Mousquetona, który w ciągu dnia poprzedniego przez pięć czy sześć godzin odbywał podróż bez jeźdźca, mógł służyć do dalszej jazdy, ale wskutek trudnej do wytłumaczenia pomyłki weterynarz, po którego posłano, aby puścił krew koniowi gospodarza, uczynił to z koniem Mousquetona.

Wszystko razem poczynało się stawać niepokojącem przygody bowiem, jakie spotkały naszych podróżnych, mogły być zarówno dziełem przypadku, jak wynikiem uknutego z góry planu. Atos i d'Artagnan wyszli przed gospodę, podczas gdy Planchet poszedł się wywiedzieć, czy nie możnaby nabyć gdzieś w okolicy trzech koni wierzchowych. Tuż przed bramą stały właśnie dwa konie wypoczęte i silne. Składało się to nadzwyczajnie. Planchet zapytał, do kogo należą; odpowiedziano mu, że właściciele spędzili noc w gospodzie i że w tej chwili załatwiają rachunki z gospodarzem.

Atos udał się tam także, aby uregulować należność, a d'Artagnan i Planchet pozostali przy bramie, wiodącej na ulicę. Oberżysta siedział w dość odległym pokoju na dole. Poproszono Atosa, aby tam poszedł do niego. Nie podejrzywając nic złego, Atos wyjął dwa pistole, aby zapłacić. Oberżysta siedział sam przed biurkiem którego szuflady były na pół otwarte. Wziął pieniądze podane przez Atosa, obejrzał je, przekładając z ręki do ręki, poczem oświadczył nagle, że są fałszywe, i zagroził aresztowaniem jego i towarzysza, jako fałszerzy pieniędzy.

— Hultaju! — rzekł Atos, podchodząc ku niemu, — obetnę ci uszy!

W tej chwili jednak wypadli z bocznych drzwi czterej ludzie, uzbrojeni od stóp do głów,, i rzucili się na Atosa.

— Schwytano mnie! — krzyknął Atos na całe gardło. — Uciekaj, d'Artagnanie! — i przy tych słowach wystrzelił dwukrotnie z pistoletu.

— D'Artagnan i Planchet nie czekali na powtórne wezwanie: odwiązali natychmiast konie, czekające przy bramie, dosiedli ich i, spiąwszy ostrogami, popędzili cwałem.

— Czy wiesz, co się stało z Atosem? — zagadnął d'Artagnan Plancheta, nie zatrzymując się w biegu.

— Ach, panie! — odpowiedział Planchet, — widziałem, jak dwóch napastników padło od jego strzałów, i zdaje mi się, że zauważyłem poprzez szyby, jak rąbał się z innymi.

— Dzielny Atos! — szepnął d'Artagnan. — I pomyśleć, że jestem zmuszony go opuścić. Zresztą któż może wiedzieć, co nas obu tutaj czeka... Naprzód, Planchecie! naprzód! Jesteś zuchem, co się zowie.

— Mówiłem już panu — odparł Planchet, — że Pikardyjczy-

ka można poznać dopiero w potrzebie; zresztą jestem w rodzinnym kraju, i to mi dodaje odwagi.

I obaj, spinając konie ostrogami, przybyli do Saint-Omer, nie zatrzymując się w drodze. Tam, trzymając cugle w rękach z obawy nowej przygody, pozwolili odpocząć koniom, przekąsili coś naprędce, stojąc na ulicy, poczem ruszli dalej w drogę.

Na sto kroków przed bramami Calais koń d'Artagnana runął na ziemię, tak, że w żaden sposób nie można go było podnieść; krew płynęła mu z nozdrzy i z oczu. Pozostał jeszcze koń Planchet, ale i ten zatrzymał się w miejscu, i niepodobna było zmusić go do dalszej drogi.

Na szczęście, jak powiedzieliśmy, znajdowali się zaledwie w odległości stu kroków od miasta. Pozostawili więc swe wierzchowce na środku drogi i pieszo pobiegli do portu. Planchet zwrócił uwagę swego pana na jakiegoś szlachcica, który w towarzystwie służącego szedł o jakie pięćdziesiąt kroków przed nimi.

Zbliżyli się szybko ku temu człowiekowi, któremu, jak się zdawało, spieszyło się bardzo; obuwie miał pokryte pyłem i wypytywał się, czy nie mógłby natychmiast przepłynąć na brzeg angielski.

— To bardzo łatwo — odpowiedział właściciel statku, przygotowanego do wyruszenia w drogę. — Dzisiaj rano jednak wydano rozkaz, aby nie przewozić nikogo bez szczególnego pozwolenia pana kardynała.

— Pozwolenie takiem mam przy sobie — odparł szlachcic, wyjmując dokument z kieszeni; — oto jest.

— Niech je poświadczy dowódca portu — rzekł właściciel statku, — a ja poczynię tymczasem ostateczne przygotowania.

— Gdzie znajdę dowódcę?

— Na letniem mieszkaniu.

— Gdzież to jest?

— W odległości ćwierć mili od miasta; o, patrz pan, widać stąd: dom, pokryty dachówką, tam, poniżej tego małego wzgórza.

— Doskonale! — odparł szlachcic i w towarzystwie służącego udał się w stronę letniego mieszkania dowódcy portu.

D'Artagnan i Planchet szli za nim w odległości mniej-więcej pięciuset kroków.

Skoro już wyszli za miasto, d'Artagnan przyspieszył kroku i

zrównał się z szlachcicem w chwili, gdy tenże wchodził do niewielkiego lasku.

— Zdaje mi się — rzekł d'Artagnan, że spieszy się panu bardzo.

— Nikomu nie może się bardziej spieszyć.

— Niezmiernie mi przykro — mówił dalej d'Artagnan, — bo i mnie także bardzo pilno, przeto chcę prosić pana o oddanie mi pewnej usługi.

— A mianowicie?

— Ażebyś mi pan pozwolił przepłynąć do Anglji pierwej od niego.

— To niemożliwe — odpowiedział szlachcic. — Przebyłem sześćdziesiąt mil w ciągu czterdziestu czterech godzin i jutro w południe muszę być w Londynie.

Odbyłem tę samą drogę w ciągu czterdziestu godzin i muszę być w Londynie jutro o godzinie dziesiątej rano.

— Bardzo mi przykro, mój panie, ale przybyłem tu pierwszy i nie pozwolę się wyprzedzić.

— Bardzo mi przykro, mój panie, ale chociaż przybyłem tu później, stanę tam pierwszy....

— Jadę w sprawie królewskiej — rzekł szlachcic.

— A ja w mojej własnej! — odparł d'Artagnan.

— Jak mi się zdaje, szukasz pan zaczepki?

— Do licha! A za cóż pan to uważasz?

— Czego pan zatem żądasz?

— Chcesz się pan dowiedzieć?

— Oczywiście.

— Otóż pragnę otrzymać od pana pozwolenie na przejazd, jakie posiadasz. Ja nie mam go, a jest mi potrzebne.

— Żartujesz pan chyba...

— Nie żartuję nigdy.

— Ustąp pan z drogi!

— Nie pójdziesz pan dalej.

— Słuchajno, młodzieńcze! czy chcesz, abym ci łeb roztrzaskał? Hola, Lubinie, daj mi moje pistolety!

— Planchecie, zajmij się sługą — zawołał d'Artagnan; — pana ja biorę na siebie.

Planchet, rozzuchwalony pierwszem powodzeniem, rzucił się na Lubina, a będąc krzepkim i zwinnym, przewrócić go nawznak na ziemię i ukląkł mu na piersiach.

— Czyń pan, co do pana należy — zawołał Planchet; — ja zrobiłem już swoje.

Widząc to, szlachcic dobył szpady i rzucił się na d'Artagnana. Ale trafił na godniejszego od siębie przeciwnika; w ciągu trzech sekund d'Artagnan zadał mu trzy pchnięcia, mówiąc przy każdym ciosie:

— To za Atosa... to za Portosa... to za Aramisa!

Otrzymawszy trzecie pchnięcie, szlachcic runął na ziemię jak kłoda.

D'Artagnan sądził, że przeciwnik jego jest nieżywy lub, co najmniej, nieprzytomny, i zbliżył się ku niemu, aby zabrać mu pozwolenie na przejazd. W chwili jednakże, gdy wyciągnął rękę, aby przeszukać jego kieszenie, ranny, który nie wypuścił szpady z ręki, zadał mu cios w same piersi, mówiąc:

— To dla ciebie.

— To dla mnie! Lecz najlepszy jest ten, kto jest ostatni! — krzyknął d'Artagnan z wściekłością, przygważdżając go czwartym ciosem w brzuch do ziemi.

Teraz szlachcic zamknął oczy i stracił przytomność.

D'Artagnan przeszukał kieszeń, do której podróżny chował pozwolenie na przejazd, i zabrał mu ten dokument. Był on wypisany na nazwisko hrabiego de Wardes.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni na młodego człowieka, który mógł mieć zaledwie lat dwadzieścia pięć, a którego pozostawiał tu bez przytomności, może i bez życia, i westchnął nad tem dziwnem przeznaczeniem, zmuszającem ludzi do wzajemnego zabijania się w obronie spraw tych, którzy są dla nich najzupełniej obcymi ludźmi i o których nie wiedą nawet często, że wogóle istnieją.

Ale myśli te przerwał mu Lubin, który wydawał chrapliwe jęki i z całych sił wołał o pomoc.

Planchet trzymał go ręką za gardło i zaciskał silnie.

— Panie — rzekł, — kiedy go tak trzymam, nie krzyczy; ale niechno tylko popuszczę, zaraz zaczyna wrzeszczeć nanowo. Poznaję, że to Normandczyk, a Normandczycy to uparty naród.

Istotnie, mimo zaciśniętego gardła, Lubin usiłował jeszcze pokrzykiwać.

— Zaczekaj! — rzekł d'Artagnan.

I wziąwszy chustkę, zakneblował mu usta.

—A teraz — radził Planchet — przywiążmy go do drzewa.

U czynili to bardzo sumiennie, poczem ułożyli hrabiego de Wardes obok służącego. Ponieważ zaś noc już zapadała, a zarówno zakneblowany, jak raniony, znajdowali się w głębi lasku, nie ulegało wątpliwości, że pozostaną na tem miejscu aż do dnia następnego.

— Teraz zaś — oświadczył d'Artagnan — spieszmy do dowódcy!

— Ależ pan jesteś raniony jak się zdaje — zauważył Planchet.

— To nic. Zajmijmy się najpierw tem, co najważniejsze, a potem będzie czas pomyśleć o ranie, która zresztą, jak mi się zdaje, nie jest bynajmniej niebezpieczna.

I obaj skierowali się pospiesznym krokiem ku siedzibie dostojnego urzędnika.

Oznajmiono mu przybycie pana hrabiego de Wardes.

D'Artagnan został wprowadzony.

— Masz pan rozkaz, podpisany przez kardynała? — zapytał dowódca.

— Tak — odpowiedział d'Artagnan, — oto jest.

— Wszystko w zupełnym porządku — oświadczył dowódca, przeczytawszy pismo.

— Rzecz prosta — odparł d'Artagnan; — należę do najwierniejszych sług kardynała.

— Jak się zdaje, Jego Eminencja pragnie przeszkodzić komuś w dostaniu się do Anglji?

— Tak jest, niejakiemu d'Artagnanowi, szlachcicowi bearneńskiemu, który wyjechał z Paryża w towarzystwie trzech przyjaciół, udając się w podróż do Anglji.

— Czy znasz go pan osobiście? — pytał dowódca.

— Kogo?

— Tego d'Artagnana.

— Doskonale.

— Poproszę zatem o jego rysopis.

— To drobnostka.

— I d'Artagnan przedstawił szczegółowo rysopis hrabiego de Wardes.

— Czy mu kto towarzyszy? — pytał dowódca.

— Tak jest; służący, nazwiskiem Lubin.

— Będziemy baczyli na nich, a jeżeli wpadną w nasze ręce,

to Jego Eminencja może być spokojny, że odstawimy ich do Paryża pod dobrą eskortą.

— Czyniąc to, panie dowódco — oświadczył d'Artagnan, — zasłużysz się dobrze kardynałowi.

— Czy zobaczysz się pan z nim po powrocie?

— Niewątpliwie.

— W takim razie chciej mu pan powiedzieć, że jestem jego wiernym sługą.

— Nie omieszkam tego uczynić.

Uradowany tem zapewnieniem, dowódca portu potwierdził pozwolenie przejazdu i zwrócił je d'Artagnanowi.

Nie tracąc czasu na zbyteczne uprzejmości, d'Artagnan pożegnał dowódcę, podziękował mu i wyszedł.

Znalazłszy się na ulicy, obaj z Planchetem pobiegli pędem i, nakładając drogi, aby ominąć lasek, weszli inną bramą do miasta.

Statek był już gotów do odjazdu, a właściciel oczekiwał w porcie.

— Więc cóż? — zapytał, ujrzawszy d'Artagnana.

— Oto pozwolenie, już potwierdzone.

— A tamten drugi szlachcic?

— Nie pojedzie dzisiaj — odpowiedział d'Artagnan. — Ale niech się pan nie troszczy; zapłacę tak, jak za dwóch.

— Wobec tego ruszamy w drogę — rzekł właściciel.

— Ruszajmy! — powtórzył d'Artagnan.

I wskoczył z Planchetem do łodzi.

Po upływie pięciu minut stali już na pokładzie.

Był to czas ostatni, gdyż, zaledwie na pół mili odpłynęli od brzegu, d'Artagnan ujrzał błysk światła i usłyszał huk wystrzału. Wystrzał ten oznajmiał zamknięcie portu.

Teraz dopiero można się było zająć raną. Na szczęście, tak, jak przypuszczał d'Artagnan, nie była ona bynajmniej niebezpieczna: ostrze szpady napotkało na żebro i osunęło się wzdłuż kości, — co więcej, koszula tak przylgnęła do rany, że zaledwie kilka kropel krwi wyciekło.

D'Artagnan upadał ze znużenia. Położono mu siennik na pokładzie; młodzieniec rzucił się na niego i zasnął.

Nazajutrz, skoro świt, obudził się w odległości trzech do czterech mil od wybrzeży angielskich. Przez całą noc wiatr był słaby i płynęli wolno.

O godzinie dziesiątej rano statek zarzucił kotwicę w porcie Dworu.

O godzinie pół do jedenastej d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej, wołając:

— Nareszcie jestem u celu!

Ale nie tu był koniec podróży: trzeba było dostać się jeszcze do Londynu.

Poczty jednak angielskie były bardzo dobre. D'Artagnan i Planchet dosiedli koni, pocztylion popędził przed nimi, i po czterech godzinach stanęli u bram stolicy.

D'Artagnan nie znał Londynu, nie umiał też ani słowa po angielsku; poradził sobie wszakże, napisawszy nazwisko księcia Buckingham na kawałku papieru, i pierwszy-lepszy przechodzień wskazał mu drogę.

Książę był w Windsorze na polowaniu z królem.

D'Artagnan dopytał się o zaufanego pokojowca księcia, który towarzyszył księciu we wszystkich podróżach, a który doskonale mówił po francusku, i pokojowcowi owemu oświadczył, że przybywa z Paryża w sprawie, w której idzie o śmierć i życie, przyczem zaznaczył, że musi się natychmiast rozmówić z jego panem.

Pewność siebie, z jaką przemawiał d'Artagnan, przekonała Patrycego — tak bowiem zwał się ten minister ministra. Natychmiast też kazał osiodłać dwa konie i podjął się być przewodnikiem młodego gwardzisty. Planchet zsiadł z konia, sztywny, jak patyk; biedny chłopak gonił ostatkiem sił. D'Artagnan natomiast był jakby z żelaza.

Przybywszy do zamku, zasięgnęli tam wiadomości: król i książę Buckingham polowali z sokołami na bagnach, oddalonych o dwie do trzech mil od zamku.

Po upływie dwudziestu minut znaleźli się na oznaczonem miejscu. Niebawem Patryk usłyszał głos pana, wołającego na sokoła.

— Kogo mam oznajmić Jeko Książęcej Mości? — zapytał d'Artagnana.

— Młodego człowieka, który pewnego wieczora szukał z nim zaczepki w Paryżu na Nowym Moście pod latarnią.

— Dziwne oznajmienie.

— Przekonasz się pan, że jest ono równie dobre, jak każde inne.

Patryk podciął konia, dopędził księcia i zawiadomił go w wyżej podanych słowach o przybyciu wysłannika.

Buckingham poznał odrazu d'Artagnana. Domyślając się, że stało się coś, o czem pragną go zawiadomić, zapytał tylko, gdzie jest ten, który przywiózł nowiny, a zauważywszy z daleka mundur gwardzisty, podciął konia i popędził prosto ku d'Artagnanowi. Patryk zatrzymał się dyskretnie na uboczu.

— Nic zdarzyło się chyba królowej jakieś nieszczęście? — zawołał Buckingham, wkładając w to pytanie wszystkie swe myśli i całą miłość.

— Nie sądzę. Zdaje mi się jednak, iż grozi jej wielkie niebezpieczeństwo, z którego jedynie Wasza Mość może ją wybawić.

— Ja? — zakrzyknął Buckingham. — Jakim sposobem? Będę doprawdy bardzo szczęśliwy, jeżeli potrafię przydać się jej na coś! Mów pan! mów!

— Proszę przyjąć ten list — rzekł d'Artagnan.

— List? od kogo?

— Od Jej Królewskiej Mości, jak mi się zdaje.

— Od Jej Królewskiej Mości? — rzekł Buckingham, blednąc tak strasznie, że d'Artagnan przeląkł się, aby nie zemdlał.

Książę złamał pieczęć.

— Co znaczy to uszkodzenie? — zapytał, wskazując d'Artagnanowi miejsce listu, na wylot przedziurawione.

— Ach! — odpowiedział d'Artagnan, — nie zauważyłem tego. To ślad szpady hrabiego de Wardes, który zadał taki piękny, cios, dziurawiąc mi piersi.

— Jesteś pan raniony? — pytał Buckingham, odrywając pieczęć.

— O, to nic! — odrzekł d'Artagnan, — jedynie lekkie draśnięcie.

— Wielki Boże! czegoż ja się dowiaduję? — zawołał książę. — Patryku, pozostań tutaj, a raczej odszukaj, gdzie się król znajduje, i powiedz Najjaśniejszemu Panu, aby raczył mi najłaskawiej wybaczyć, gdyż niezmiernie ważna sprawa zmusza mię natychmiast powrócić do Londynu. Jedźmy, panie! jedźmy!

I obaj ruszyli galopem drogą do stolicy.

XXI.

HRABIA DE WINTER.

Przez całą drogę książę wypytywał d'Artagnana nie tyle o to, co się stało, jak raczej o to, co młodzieniec wiedział. Zestawiając szczegóły, jakie usłyszał z ust młodego człowieka, z własnemi wspomnieniami, mógł sobie wytworzyć dość dokładne pojęcie o nadzwyczajnej ważności położenia, czego dowodził również list królowej, chociaż krótki i trochę niejasny. Najbardziej jednak to go wprawiało w podziw, że kardynał, któremu przecież tak bardzo musiało zależeć na tem, aby młody człowiek nie dostał się do Anglji, nie zdołał go zatrzymać w drodze, Skoro objawił to zdziwienie, d'Artagnan opowiedział mu, jakie przedsięwziął ostrożności i jak, dzięki poświęceniu swych trzech przyjaciół, których rozsiał skrwawionych po drodze, dostał się wreszcie na drugi brzeg kosztem pchnięcia szpady, które przebiło list królowej, lecz za które tak strasznie zapłacił hrabiemu de Wardes. Słuchając tego opowiadania, pełnego prostoty, książę spoglądał na dzielnego młodzieńca zdziwionym wzrokiem, nie mógł bowiem pojąć, jakim sposobem tyle rozumu, odwagi i wierności łączy się z obliczem, z którego można go było osądzić na lat niespełna dwadzieścia.

Konie pędziły, jak wicher, i po kilku minutach jeźdźcy stanęli u bram Londynu. D'Artagnan przypuszczał, że książę, wjechawszy w ulice miasta, zwolni bieg swego rumaka. Książę jednak pędził dalej, ani dbając, że może potratować tych, którzy się znajdą na jego drodze. I rzeczywiście podczas jazdy przez miasto wydarzyły się dwa czy trzy wypadki tego rodzaju. Ale Buckingham nie odwrócił nawet głowy, aby choć spojrzeć na ludzi, których przejechał. D'Artagnan spieszył za nim, słuchając krzyków, niejednokrotnie przypominających bardzo złorzeczenia.

— Przybywszy na dziedziniec pałacowy, Buckingham zeskoczył z konia, rzucił cugle na kark zwierzęcia i, nie troszcząc się

wcale, co się z nim stanie, pobiegł na ganek. D'Artagnan poszedł za jego przykładem, zaniepokojony jednakże nieco o los szlachetnych zwierząt, których wartość umiał ocenić. Z zadowoleniem wszakże zauważył, że z kuchni i stajni wybiegło kilku pachołków, którzy natychmiast zaopiekowali się końmi.

Książę kroczył tak szybko naprzód, że d'Artagnan z trudem tylko mógł za nim nadążyć. Przeszedł kolejno przez kilka komnat, urządzonych z taką wspaniałością, o jakiej najwięksi panowie francuscy nie mieli nawet pojęcia, i stanął wreszcie w sypialni, będącej wprost cudem zarówno dobrego smaku, jak bogactwa. W alkowie tej komnaty były drzwi, ukryte w obiciu, które książę otworzył złotym kluczykiem, zawieszonym na szyi na takimże łańcuchu. D'Artagnan przystanął dyskretnie z tyłu. Książę jednak, przekroczywszy próg, odwrócił się i, widząc wahanie młodzieńca, rzekł:

— Wejdź, proszę, a jeżeli kiedy będziesz miał szczęście stanąć przed Najjaśniejszą Panią, opowiedz jej, co tu widziałeś.

Ośmielony wezwaniem, poszedł d'Artagnan za księciem, który zamknął drzwi, skoro tylko weszli do wnętrza.

Znaleźli się jakby w małej kapliczce, wybitnej perskimi jedwabiami, haftowanymi złotem, a oświetlonej wspaniale mnóstwem gorejących świec. Na wzniesieniu, podobnem z kształtu do ołtarza, pod baldachimem z błękitnego aksamitu, przybranym białemi i czerwonemi piórami, był umieszczony naturalnej wielkości portret Anny Austrjaczki, tak doskonale oddający jej podobieństwo, że d'Artagnan wydał okrzyk podziwu: można było przypuszczać, że królowa przemówi lada chwila.

Na ołatrzyku, u stóp portretu, stała szkatułka, zawierająca zapinki djamentowe.

Książę podszedł ku ołtarzowi, ugiął kolano, jakgdyby był kapłanem, znajdującym się wobec Boga, poczem otworzył szkatułkę.

— Patrz! — rzekł do młodego człowieka, wyjmując ze szkatułki wielką kokardę z błękitnej wstążki, iskrzącą się djamentami. — Patrz! oto cenne dla mnie zapinki, z któremi poprzysiągłem spocząć w grobie. Od królowej je otrzymałem, królowa mi je odbiera; wola jej, jak wola Boga, niech się spełnia we wszystkiem!

Rzekłszy to, mając się z niemi rozstać, całował kolejno jedną zapinkę po drugiej. Nagle wydarł mu się głuchy krzyk z piersi.

— Co się stało, milordzie? — zapytał d'Artagnan z niepokojem. — Co się stało?

— Wszystko przepadło! — wołał Buckingham, blady, jak trup; — brakuje dwóch zapinek! pozostało tylko dziesięć...

— Czy zgubiłeś je, milordzie, czy też sądzisz, że zostały ci skradzione?

— Skradziono mi je — odparł książę. — A cios ten jest dziełem kardynała. Spojrzyj tutaj: wstążka, do której były przypięte, odcięta została nożyczkami.

— Czy nie domyślasz się, milordzie, kto mógłby popełnić te kradzież?... Może zapinki znajdują się jeszcze w ręku złodzieja...

— Czekaj! czekaj! — wołał książę. — Raz tylko jeden miałem na sobie te zapinki, przed ośmiu dniami, na balu dworskim w Windsorze. Hrabina de Winter, z którą byłem poróżniony, zbliżyła się do mnie na tym balu. To pozorne zbliżenie się było zemstą zazdrosnej kobiety. Odtąd nie widziałem jej więcej... Ta kobieta pozostaje w służbie kardynała.

— Ależ w takim razie karydnał ma chyba na całym świecie swoich agentów! — zawołał d'Artagnan.

— Och! tak, tak! — odpowiedział Buckingham, zgrzytając zębami z gniewu, — tak, to straszny przeciwnik. Ale teraz powiedz mi , kiedy ten bal ma się odbyć?

— W przyszły poniedziałek.

— W przyszły poniedizałek? To więcej czasu, aniżeli nam potrzeba. Patryku! — zawołał książę, otwierając drzwi kaplicy, — Patryku!

Zaufany pokojowiec wbiegł natychmiast.

— Zawołaj mojego jubilera i mojego sekretarza!

Pokojowiec wyszedł szybko, nie mówiąc ani słowa, co dowodziło, że był przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa i nie śmiałby uczynić żadnej uwagi.

Chociaż jednak jubiler był wezwany pierwszy, sekretarz zjawił się prędzej od niego. Było to całkiem zrozumiałe, mieszkał bowiem w pałacu. Zastał Buckinghama, siedzącego przy stole w sypialni i piszącego własnoręcznie jakieś rozporządzenie.

— Panie Jackson — rzekł książę do niego, — udasz się pan natychmiast do lorda-kanclerza i powiesz, że polecam mu wypełnienie tych rozkazów. Żądam, aby je zaraz ogłoszono.

— A jeżeli lord-kanclerz zapyta mię, jakie przyczyny skłoniły Waszą Wysokość do wydania tak niezwykłego zarządzenia, co mam odpowiedzieć?

— Że tak mi się podobało i że nie jestem obowiązany zdawać z tego nikomu sprawy.

— Czy tę odpowiedź ma kanclerz udzielić także Najjaśniejszemu Panu — zapytał sekretarz z uśmiechem, — gdyby przypadkiem Jego Królewska Mość chciał się dowiedzieć przez ciekawość, dlaczego żaden statek nie może opuścić portów Wielkiej Brytanji?

— Masz pan słuszność — rzekł książę. — Niech powie w takim razie królowi, że postanowiłem rozpocząć wojnę i że to zarządzenie jest pierwszym krokiem nieprzyjacielskim skierowanym przeciwko Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

— Pod tym więc względem jesteśmy już zabepieczeni — mówił Buckingham, zwracając się do d'Artagnana. — Jeżeli zapinki nie zostały jeszcze wywiezione do Francji, nie dostaną się tam przed powrotem pana.

— Jakim sposobem?

— Wydałem rozkaz zatrzymania wszystkich statków, które w tej chwili znajdują się w portach Jego Królewskiej Mości, i bez osobnego mojego pozwolenia żaden z nich nie może podnieść kotwicy.

Z osłupieinem spoglądał d'Artagnan na tego człowieka, który posługiwał się nieograniczoną władzą, udzieloną mu zaufaniem królewskiem, dla zaspokajania własnych fantazji miłosnych. Z wyrazu twarzy młodzieńca poznał Buckingham jego myśli i uśmiechnął się.

— Tak, tak! — rzekł. Anna Austrjaczka jest moją prawdziwą królową. Wystarczy jedno jej słowo, bym zdradził ojczyznę bym zdradził króla, bym się sprzeniewierzył Bogu. Prosiła mnie abym nie wysłał więcej posiłków protestantom z Rochelli; przyrzekłem jej i dotrzymałem. Złamałem dane im słowo, ale mniejsza o to, skoro wypełniłem jej żądanie. I powiedz sam, czy nie zostałem wspaniale wynagrodzony za moje posłuszeństwo, otrzymując wzamian ten portret!

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu, na jakich to wątłych i niewidzialnych niciach wiszą niekiedy losy narodów i życie poszczególnych ludzi.

Właśnie pogrążał się w dociekaniach, gdy wszedł złotnik. Był to Irlandczyk, jeden z najbieglejszych w tej sztuce, który sam przyznawał, że zarabia rocznie sto tysięcy liwrów od księcia Buckingham.

— Panie O'Reilly — rzekł książę, prowadząc go do kaplicy, — obejrzyj pan te zapinki djamentowe i powiedz mi, jaka jest ich wartość.

Złotnik jednem spojrzeniem ocenił niepospolitą oprawę, obliczył równocześnie wartość djamentów i odpowiedział bez zająknienia:

— Tysiąc pięćset pistolów każda, milordzie.

— Ile czasu potrzebowałbyś pan, aby zrobić dwie zapinki, dokładnie takie same? Jak pan widzisz, dwóch właśnie brakuje.

— Ośm dni zajmie praca, milordzie.

— Otrzymasz zatem po trzy tysiące pistolów za każdą, ale muszę je mieć już pojutrze.

— Będą zrobione, milordzie.

— Jesteś nieocenionym człowiekiem, panie O'Reilly. Ale to jeszcze nie wszystko: nie mogę nikomu powierzyć tych zapinek, praca zatem musi być wykonana tutaj, w pałacu.

— To niepodobieństwo, milordzie. Tylko ja jeden mogę je tak wykonać, że nikt nie rozpozna różnicy między nowemi i dawnemi.

— Dlatego też, drogi panie O'Reilly, od tej chwili jesteś pan już moim więźniem i choćbyś pan chciał nawet, nie możesz już opuścić murów mojego pałacu. Poddaj się więc losowi. Wymień mi nazwiska pomocników, których będziesz potrzebował, i wskaż narzędzia, jakich mają dostarczyć.

Złotnik znał dobrze księcia i wiedział, że bezcelowoby się opierał; toteż odrazu pogodził się z losem.

—Czy wolno mi będzie zawiadomić żonę? — zapytał.

— Och! wolno ci się nawet zobaczyć z nią, drogi panie O'Reilly. Uspokój się; niewola twoja będzie miła. Ponieważ zaś każdy trud powinien być wynagrodzony, chciej przyjąć, niezależnie od umówionej zapłaty za zapinki, ten przekaz na tysiąc pistolów i przebacz mi nudy, na jakie cię narażam.

D'Artagnan ani na chwilę nie wychodził z podziwu, patrząc na czyny tego ministra, który hojnemi garściami marnotrawił ludzi i miljony.

Tymczasem złotnik napisał list do żony, załączając przekaz na tysiąc pistolów i prosząc, aby wysłała mu wzamian najzręczniejszego pomocnika, jako też kolekcję djamentów, których wartość i wagę dokładnie oznaczył, oraz potrzebne mu do pracy narzędzia.

Buckingham zaprowadził złotnika do przeznaczonego dlań pokoju, który w ciągu pół godziny przemienił się na pracownię. Potem ustawił straże przy wszystkich drzwiach i zabronił im przepuszczać kogokolwiek z wyjątkiem swego pokojowca, Patryka. Nie potrzeba dodawać, że złotnikowi O'Reilly'emu i jego pomocnikowi zakazano najsurowiej wychodzić gdzieś pod jakimkolwiek pozorem.

Załatwiwszy to wszystko, książę powrócił do d'Artagnana.

— A teraz, mój młody przyjacielu, Anglja należy do nas dwóch tylko. Czego żądasz? czego pragniesz?

— Łóżka — odpowiedział d'Artagnan; — przyznaję się, że w tej chwili tę potrzebę najgoręcej odczuwam.

Buckingham umieścił go w komnacie, przyległej do swego pokoju. Pragnął mieć obok siebie młodego człowieka, nie dlatego bynajmniej, aby mu nie ufał, lecz, że chciał rozmawiać z kimś ciągle o królowej.

W godzinę później został w Londynie ogłoszony edykt, zabraniający opuszczać port jakiemukolwiek statkowi, dążącemu do Francji; zatrzymano nawet statki, wiozące listy. W przekonaniu powszechnem było to wypowiedzenie wojny między obu mocarstwami.

Trzeciego dnia o godzinie jedenastej rano dwie zapinki djamentowe były już gotowe. Odznaczały się tak doskonałem podobieństwem, taką dokładnością, że Buckingham nie mógł wcale rozpoznać nowych od dawnych, a nawet najbieglejsi znawcy myliliby się tak samo, jak on.

Natychmiast kazał przywołać d'Artagnana.

— Oto zapinki djamentowe — rzekł, — po które pan przyjechałeś. Bądźże mi świadkiem, że uczyniłem wszystko, co było w mocy ludzkiej.

— Bądź spokojny, milordzie; opowiem wszystko, co widziałem. Ale Wasza Wysokość oddaje mi zapinki bez szkatułki?

— Szkatułka zawadzałaby ci tylko. Zresztą jest ona obecnie dla mnie tem droższa, ponieważ zostaje mi się próżna. Powiedz, że zachowałem ją.

— Wypełnię jaknajdokładniej otrzymane zlecenia, milordzie.

— A teraz — rzekł Buckingham, spoglądając bystro na młodzieńca — czemże zdołam uiścić ci się z długu?

D'Artagnan zarumienił się aż po białka oczu. Spostrzegł, że książę szuka sposobu, aby mu coś ofiarować w nagrodę, a myśl, że krew jego towarzyszów i jego własna miałaby być zapłacona złotem angielskiem, przejęła go wstrętem.

— Porozumiejmy się, milordzie — odrzekł, — a najpierw rozważmy należycie fakta, aby uniknąć pomyłki. Pozostaję w służbie króla i królowej Francji i należę do oddziału gwardji pana des Essarts, który tak samo, jak jego szwagier, pan de Treville, jest nadewszystko przywiązany do Ich Królewskich Mości. Co więcej, może nie byłbym wcale podjął się tego dzieła, gdyby nie chodziło mi o przypodobanie się osobie, która jest damą mego serca, podobnie, jak królowa jest damą pańskiego serca.

— Tak jest — odrzekł książę z uśmiechem. — Zdaje mi się nawet, że znam tę osobę; jest to...

— Nie wymieniajmy nazwisk, milordzie — przerwał mu żywo młodzieniec.

— To prawda — zgodził się książę. — Tej osobie zatem winienem wdzięczność za pańskie poświęcenie.

— Nie przeczę temu, milordzie, gdyż właśnie w tej chwili, kiedy się rozpoczyna wojna, z większą jeszcze radością, wyznaję to szczerze, spotkałbym się z Waszą Miłością na polu walki, jako z wrogiem, widząc w nim tylko Anglika, aniżeli w parku windsorskim czy na krużgankach Luwru. Nie przeszkodzi mi to wszakże wypełnić jak najskrupulatniej otrzymanego zlecenia, chociażby przyszło w razie potrzeby nałożyć to głową. Ośmielam się jednak powtórzyć Waszej Miłości, że osobiście bynajmniej nie obowiązuje cię to, milordzie, do dziękowania mi tak, jak niepotrzebne jest podziękowanie za pierwszą moją wyprawę.

— Istnieje u nas przysłowie: "Hardy, jak Szkot!" — mruknął Buckingham.

— A u nas znowu mawia się: "Hardy, jak Gaskończyk" — odparł d'Artagnan. — Gaskończycy są Szkotami Francji.

D'Artagnan szkłonił się księciu, gotując się do odejścia.

— Jakże to? wyruszasz pan? dokąd? którędy? jakim sposobem?

— Prawda!... zapomniałem.

— Do licha! ci Francuzi nie liczą się z niczem.

— Zapomniałem istotnie, że Anglja jest wyspą i że pan, milordzie, jesteś na niej królem.

— Udaj się pan do portu, dowiedz się o dwumasztowiec "Sund" i oddaj ten list kapitanowi. On przewiezie cię do małej francuskiej przystani, gdzie z pewnością nikt nie czatuje na pana i gdzie zazwyczaj zawijają tylko statki rybackie.

— Jak się ta przystań nazywa?

— Port Świętego Walerjusza. Ale zaczekaj jeszcze: przybywszy tam, idź do nędznej oberży bez nazwy i bez godła, prawdziwej nory dla marynarzy; nie możesz się pomylić, albowiem jest tam tylko ta jedna gospoda...

— A potem?

— Zawezwiesz właściciela i powiesz mu: "For'ward".

— Co to znaczy?

— Naprzód! Jest to hasło. Usłyszawszy je, oberżysta da ci konia osiodłanego i wskaże drogę, którą powinieneś się udać; znajdziesz na mniej również cztery przeprzęgi. Jeżeli pan chcesz, zostaw każdemu z nich swój adres w Paryżu, a cztery te konie będą wysłane za tobą. Dwa z nich już pan poznałeś i, jak mi się zdaje, oceniłeś należycie, będą to bowiem te same wierzchowce, na których jechaliśmy. Chciej pan przyjąć zapewnienie, że dwa inne nie będą gorsze. Cztery te konie są zupełnie wyekwipowane do wyprawy. Aczkolwiek jesteś pan hardym młodzieńcem, nie odmówisz mej prośbie, aby jednego z nich przyjąć dla siebie, trzy inne zaś dla swoich towarzyszów. Cel uświęca środki, jak twierdzicie wy, Francuzi... Nieprawdaż?

— Tak, milordzie. Przyjmuję ten dar — rzekł d'Artagnan i, da Bóg, uczynimy z niego dobry użytek.

— Teraz zaś podaj mi rękę, młodzieńcze. Może niedługo już spotkamy się na polu walki. Ale aż do tej chwili, jak tuszę, jesteśmy przyjaciółmi.

— Tak jest, milordzie, jednak z nadzieją w duszy, że niebawem zostaniemy wrogami.

— Bądź pan spokojny; przyrzekam ci to.

— Liczę na pańskie słowo, milordzie.

D'Artagnan pożegnał księcia i żywo udał się do portu.

Nawprost Wieży Londyńskiej znalazł wskazany mu statek; oddał otrzymany list kapitanowi, który, natychmiast po potwierdzeniu przez gubernatora portu pozwolenia na wyjazd, rozwinął żagle.

Pięćdziesiąt statków, gotowych do odjazdu, oczekiwało tamże.

Przepływając koło jednego z nich, d'Artagnan spojrzał na jego pokład, i wydało mu się, że poznaje damę, widzianą w Meung tę samą, którą nieznajomy tytuoławł "milady", a która tak oczarowała d'Artagnana swą pięknością. Ale, dzięki wartkiemu prądowi rzeki i dobremu powiewowi wiatru, statek posuwał się tak szybko naprzód, że d'Artagnan niebawem stracił z oczu nieznajomą.

Nazajutrz o godzinie dziewiątej rano zarzucono kotwicę w porcie Świętego Walerjusza.

D'Artagnan skierował natychmiast kroki do wskazanej mu oberży, rozpoznawszy ją odrazu po krzykach, jakie rozlegały się z wewnątrz; rozmawiano tam o wojnie między Anglją i Francją, jako o nieuniknionym wypadku najbliższe pjrzyszłości. Wesei; majtkowie bawili się hulaszczo.

D'Artagnan przecisnął się poprzez tłum ku oberżyście i szepnął mu hasło: "For'ward". Usłyszawszy je, oberżystał dał znak, aby postępował za nim, wyszedł z nim razem przez bramę, wiodącą na podwórze, zaprowadził go do stajni, gdzie oczekiwał osiodłany już koń, i zapytał, czy nie potrzebuje jeszcze czego więcej.

— Pragnąłbym wywiedzieć się o drogę, którą mam jechać — oświadczył d'Artagnan.

— Uda się pan stąd do Blangy, a z Blangy do Neufchatel. Stanąwszy w Neufchatel, zajedzie pan do gospody "Pod złotą broną", powtórzy pan hasło oberżyście i znajdzie pan, podobnie jak tutaj, konia gotowego do drogi.

— Ile jestem wam winien, panie oberżysto? — zapytał d'Artagnan.

— Wszystko już zapłacone — odparł gospodarz, — i to sowicie. Ruszaj pan zatem w drogę, i niech cię Bóg prowadzi.

— Amen! — dokończył młodzieniec, ruszając naprzód galopem.

Po upływie czterech godzin stanął w Neufchatel, a zastosowawszy się ściśle do otrzymanych wskazówek, i tu, w Neufchatel, podobnie, jak w porcie Świętego Walerjusza, znalazł konia, który czekał już na niego. Gdy chciał przełożyć pistolety z siodła, na którem przyjechał na konia, którego miał dosiąść znalazł w olstrach broń zupełnie podobną.

— Jaki jest adres pana w Paryżu?

— Pałac gwardji oddziału pana des Essarts.
— Dobrze — odpowiedział oberżysta.
— Którędy mam jechać? — zapytał z kolei d'Artagnan.
— Pojedziesz pan drogą do Rouen, ale ominiesz miasto z prawej strony i w małej wiosce d'Ecouis zatrzymasz się przed jedyną znajdującą się tam oberżą "Pod talarem francuskim". Niech pana nie zraża wygląd gospody; w stajni oczekiwać będzie koń, zupełnie godny tego, na którym pan siedzisz.
— Jakie hasło?
— Dokładnie to samo.
— Żegnaj pan, panie gospodarzu.
— Życzę szczęśliwej podróży, szlachetny panie. A może masz jeszcze jakieś życzenia?

D'Artagnan potrząsnął przecząco głową i ruszył naprzód z kopyta. W wiosce d'Ecouis powtórzyła się dosłownie ta sama scena. Znalazł oberżystę, okazującego równą uprzejmość; znalazł też konia rączego i wypoczętego. Pozostawiwszy oberżyście swój adres w Paryżu, tak, jak to uczynił w poprzednich razach, z tą samą szybkością popędził do Pontoise. Tam zmienił wierzchowca po raz ostatni i o godzinie dziewątej wjechał w pełnym galopie na podwórze pałacu pana de Treville.

W ciągu dwunastu godzin przebył tedy około sześćdziesięciu mil.*)

Pan de Treville przyjął go tak, jakgdyby się rozstali dopiero tego samego ranka; jedynie uścisnął mu rękę nieco goręcej, aniżeli zazwyczaj, poczem zawiadomił go, że oddział pana des Essarts znajduje się w Luwrze na służbie i oznajmił, że może się udać na swoje stanowisko.

*) Francuskich. Przyp. tłum.

XXII.

TANIEC "MERLAISON".

Następnego dnia cały Paryż mówił wyłącznie o balu, który radni miejscy urządzali na cześć króla i królowej, a na którym Najjaśniejsi Państwo mieli tańczyć sławny taniec "Merlaison", szczególnie ulubiony przez króla.

Istotnie od ośmiu dni przygotowywano już wszystko w ratuszu na uroczysty wieczór. Stolarz miejski zbudował wzniesienia, na których zasiąść miały zaproszone damy; kupcy korzenni przystroili salony dwustu świecami z białego wosku, co było na owe czasy niebywałym zbytkiem; wreszcie zamówiono dwudziestu muzykantów, godząc ich za cenę dwa razy większą, aniżeli zwyczajnie, zważywszy, że — jak świadczą kroniki — mieli grać przez noc całą.

O godzinie dziesiątej rano pan de La Coste, chorąży gwardji królewskiej, przybywszy w towarzystwie dwóch oficerów i oddziału łuczników, zażądał od pisarza miejskiego, nazwiskiem Clement, wszystkich kluczy od drzwi komnat i pokoi urzędowych ratusza. Klucze te wręczono mu natychmiast, opatrując każdy z nich karteczką, oznaczającą, które podwoje otwiera, i od tej chwili już pan de La Coste objął straż nad wszystkiemi drzwiami i korytarzami pałacu.

O godzinie jedenastej przybył znowu kapitan gwardji, Duhallier, wiodąc pięćdziesięciu łuczników, którzy rozproszyli się zaraz po całym ratuszu, zajmując wyznaczone im przy drzwiach posterunki.

O godinie trzeciej nadeszły dwa oddziały gwardji — jeden francuski, drugi szwajcarski. Oddział gwardzistów francuskich składał się w połowie z żołnierzy pana Duhallier, a w połowie żołnierzy pana des Essarts.

O godzinie szóstej wieczorem poczęli napływać zaproszeni goście. W miarę, jak wchodzili, wskazywano im miejsca na wzniesieniach, przygotowanych w wielkiej sali.

O godzinie dziewiątej zjawiła się małżonka prezydenta miasta. Ponieważ pierwszą po królowej była ona osobą na balu, przeto u wejścia przyjęło ją grono radnych miasta i zaprowadziło uroczyście do loży, znajdującej się naprzeciwko tej, w której miała zasiąść królowa.

O godzinie dziesiątej w małej sali od strony kościoła Świętego Jana zastawiono dla króla wieczerzę, złożoną ze słodycy, na srebrnym kredensie miejskim, przy którym stanęli zaraz na straży czterej łucnicy.

O północy rozległy się głośne, entuzjastyczne okrzyki na cześć króla, przejeżdżającego prze ulice które wiodły z Luwru do ratusza; wszystkie te ulice były iluminowane barwnemi latarniami.

Panowie radni, przybrani w swe tradycyjne, sukienne stroje, poprzedzani przez sześciu strażników, trzymających w ręku pochodnie, pospieszyli naprzeciwko króla i spotkali go u stóp schodów. Starszy cechu kupców wygłosił przemowę, dziękując królowi za przybycie, — Najjaśniejszy Pan zaś odpowiedział, usprawiedliwiając się, że przybywa tak późno, lecz rzucając winę na pana kardynała, który zatrzymał go aż do godziny jedenastej, omawiając z nim sprawy państwa.

Najjaśniejszemu Panu, który przybył w stroju uroczystym, towarzyszyli: Jego Królewska Wysokość, jegomość pan brat, hrabia de Soissons, wielki jałmużnik, książę de Longuaville, książę d'Elbeuf, hrabia d'Harcourt, hrabia de La Roche-Guyon, pan de Liancourt, pan de Baradas, hrabia de Cramail i kawaler de Souveray.

Wszyscy obecni zauważyli, że król miał twarz smutną i zamyśloną.

Dla króla przygotowano osobną komnatę, a drugą dla brata królewskiego. W każdej z tych komnat były złożone stroje balowe. Również osobne buduary urządzono dla królowej i dla małżonki prezydenta miasta. Panowie i panie, należące do świt Ich Królewskich Mości, mieli się przebierać po dwie osoby razem w przygotowanych na ten cel pokojach.

Przed wejściem do swego apartamentu król polecił, aby natychmiast dano mu znać, skoro kardynał przybędzie.

W półgodziny po przybyciu króla zabrzmiały ponownie na ulicach okrzyki; zwiastowały one przejazd królowej. Radni zastosowali tenże sam ceremoniał, co poprzednio, i prowadzeni

przez straż z pochodniami, pospieszyli naprzeciw dostojnego gościa.

Królowa weszła do sali. Zauważono, że i ona także, podobnie, jak król, miała oblicze smutne, a przedewszystkiem zmęczone.

W chwili, gdy królowa wchodziła do sali, uchyliła się zasłona małej galerji, dotychczas zamkniętej, i poza zasłoną ujrzano bladą twarz kardynała, przybranego w strój hiszpański. Oczy jego spotkały się z wzrokiem królowej, i po ustach przemknął uśmiech strasznej radości: królowa nie miała na sobie zapinek djamentowych.

Jej Królewska Mość zatrzymała się na chwilę, aby wysłuchać powitania przez radnych i odpowiedzieć na ukłony dam.

Nagle w drzwiach sali ukazał się król w towarzystwie kardynała. Ten mówił coś cicho do niego, a król blady był śmiertelnie.

Bez maski, z zawiązanemi tylko częściowo wstążkami kaftana, król przecisnął się przez tłumy i, zbliżywszy się do królowej odezwał się podnieconym głosem:

— Dlaczego nie przystroiłaś się pani zapinkami djamentowemi, skoro wiesz, że byłoby mi przyjemnie je zobaczyć?

Królowa powiodła wkoło spojrzeniem i spostrzegła poza sobą kardynała, który uśmiechał się szatańskim śmiechem.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedziała zmienionym nieco głosem, — obawiałam się, by nie narazić się na ich utratę w tym tłumie balowym.

— I źle pani uczyniłaś! Ofiarowałem ci ten podarunek w tym celu, abyś się nim przystrajała. Powtarzam, że źle uczyniłaś.

Głos króla drżał gniewem. Stojący dokoła patrzyli i słuchali ze zdumieniem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Najjaśniejszy Panie— odezwała się królowa, — mogę posłać do Luwur, gdzie się te zapinki znajdują, i w ten sposób wypełnić żądanie Waszej Królewskiej Mości.

— Tak! uczyń to, pani, i to możliwie najprędzej, bo za godzinę rozpoczną się tańce.

Królowa skłoniła głowę na znak zgody i poszła za damami dworu, które miały zaprowadzić ją do jej buduaru.

Król również powrócił teraz do swego apartamentu.

Na sali zapanowało przez chwilę zaniepokojenie i niepewność.

Wszyscy obecni zauważyli, że między królem i królową rozegrała się jakaś scena; oboje jednakże rozmawiali przyciszonym

głosem, wskutek czego otaczający ich, stojąc z szacunkiem w pewnem oddaleniu, nie mogli usłyszeć ani słowa. Muzykanci wygrywali z całych sił, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Pierwszy wyszedł król ze swego apartamentu. Był ubrany w strój myśliwski, niesłychanie wytworny; brat królewski i panowie ze świty mieli takież same kostjumy. Król najchętniej nosił ten ubiór, ponieważ wyglądał w nim istotnie, jak najpierwszy wytworniś w całem królestwie.

Tymczasem kardynał, zbliżywszy się do króla, podał mu jakieś pudełko. Król otworzył je i znalazł wewnątrz dwie zapinki djamentowe.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kardynała.

— Nic — odpowiedział tenże. — Jeżeli jednak królowa przystroi się w zapinki, w co zresztą wątpię, przelicz je, Najjaśniejszy Panie, i o ilebyś się przekonał, że jest ich tylko dziesięć, bądź łaskaw zapytać Jej Królewską Mość, kto mógł jej wykraść te dwie zapinki, które się tutaj znajdują.

Król spojrzał na kardynała jakby pytającym wzrokiem. Ale brakło już czasu, by zadać pytanie: okrzyk zachwytu wyrwał się z wszystkich ust. Jeżeli bowiem król wyglądał, jak najpierwszy wytworniś w całem królestwie, to królowa była niewątpliwie najpiękniejszą kobietą w całej Francji.

W istocie strój myśliwski podnosił znakomicie jej urodę; miała kapelusz pilśniowy z błękitnemi piórami, kaftanik aksamitny szaro-perłowej barwy, spięty djamentowemi agrafami, spódniczkę atłasową błękitną, całą haftowaną srebrem. Na lewem ramieniu skrzyły się zapinki, podtrzymywane węzłem tej samej barwy, co pióra i spódniczka.

Król zadrżał radością, a kardynał gniewem. Jednakże z tej odległości, jaka dzieliła ich od królowej, nie mogli policzyć zapinek. Królowa miała je na sobie, — ale czy było ich dziesięć, czy dwanaście?

W tej samej chwili muzyka dała znak rozpoczęcia tańca. Król podszedł ku małżonce burmistrza, z którą miał tańczyć, a Jego Królewska Wysokość, brat jego, ku królowej. Wszyscy zajęli miejsca, i taniec rozpoczął się.

Król tańczył naprzeciwko królowej i za każdym razem, kiedy zbliżał się ku niej, pożerał oczyma zapinki, nie mogąc się ich doliczyć. Czoło kardynała zraszał zimny pot.

Taniec trwał przez godzinę, a składał się z szesnastu figur.

Kiedy zakończył się nareszcie wśród oklasków wszystkich zebranych w sali, każdy z tańczących odprowadził swą damę na miejsce. Jednakże król skorzystał z przysługującego mu prawa i, pozostawiając swą towarzyszkę tańca tam, gdzie stała, posunął się szybko ku królowej.

— Dzięki ci, pani — rzekł, — za to, że zechciałaś uwzględnić moje życzenia. Ponieważ jednak wydaje mi się, że brakuje ci dwóch zapinek, przynoszę ci je z powrotem.

I mówiąc te słowa, podał królowej dwie zapinki, które otrzymał przed chwilą z rąk kardynała.

— Jakto, Najjaśniejszy Panie! — zawołała królowa, udając miłe zdziwienie. — Ofiarujesz mi jeszcze dwie zapinki? Ależ w takim razie będę ich miała czternaście.

Teraz dopiero mógł król przeliczyć dokładnie i stwierdzić, że istotnie na ramieniu Jej Królewskiej Mości znajdowało się dwanaście zapinek.

Natychmiast przywołał kardynała.

— Cóż to ma znaczyć, panie kardynale? — zapytał go surowym głosem.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie — odparł kardynał, — że pragnąłem ofiarować Jej Królewskiej Mości te dwie zapinki, a nie mając odwagi sam wręczyć jej daru, uciekłem się do tego wybiegu.

— Ja zaś jestem Waszej Eminencji tem bardziej za nie wdzięczną — ozwała się Anna Austrjaczka z uśmiechem, świadczącym, że to pomysłowa grzeczność kardynała bynajmniej nie zdołała jej w błąd wprowadzić, — gdyż jestem przekonana, że te dwie tylko zapinki kosztowały pana drożej, aniżeli Jego Królewska Mość zapłacił za dwanaście tamtych.

Pożegnawszy następnie króla i kardynała, królowa zwróciła kroki do buduaru, gdzie się ubierała przedtem i gdzie miała się teraz przebrać.

Zainteresowanie, jakie przy rozpoczęciu tego rodziału musieliśmy ześrodkować na dostojnych osobach, wprowadzonych na widownię, odwróciło na chwilę uwagę naszą od tego człowieka, któremu Anna Austrjaczka zawdzięczała swój niebywały triumf, odniesiony nad kardynałem, a który, zakłopotany, nieznany, zmieszany z tłumem, tłoczącym się przy jednej z bram, przyglą-

dał się tej scenie, zrozumiałej jedynie dla czterech osób: dla króla, królowej, kardynała i dla niego samego.

Królowa powróciła do swego apartamentu, a d'Artagnan gotował się także do odejścia, gdy uczuł nagle, że ktoś dotknął lekko jego ramienia. Odwórcił się i ujrzał młodą kobietę, dającą mu znak, aby poszedł za nią. Młoda kobieta miała twarz osłonię tą czarną, aksamitną maską; ale, mimo tej ostrożności, przedsięwzętej zresztą raczej ze względu na innych, niż na niego d'Artagnan poznał natychmiast swą zwyczajną przewodniczkę, łagodną i dowcipną panią Bonacieux.

Poprzedniego dnia zaledwie mogli spojrzeć na siebie u szwajcara Germaina, dokąd d'Artagnan polecił ją wezwać. Młoda kobieta spieszyła się, aby donieść królowej tę radosną nowinę o szczęśliwym powrocie swego wysłannika. Toteż kochankowie zamienili z sobą zaledwie słów kilka. Teraz d'Artagnan postępował za panią Bonacieux, ożywiony dwojakiem uczuciem: miłości i ciekawości. Podczas całej drogi, zwłaszcza, gdy weszli w korytarze coraz bardziej opustoszałe, d'Artagnan pragnął zatrzymać młodą kobietę, uścisnąć ją, wpić się w jej oczy chociażby na jedną chwilę tylko. Lecz ona, zwinna, jak ptak, ciągle wymykała mu się z rąk, a gdy chciał się odezwać, kładła palec na usta drobnym, rozkazującym ruchem, jakkolwiek pełnym wdzięku, i przypominała mu w ten sposób, że znajduje się pod władzą potęgi, której musi być ślepo posłuszny i która nie pozwala mu nawet się uskarżać. Wreszcie, gdy już przez minutę czy dwie skręcali w tę i ową stronę, pani Bonacieux otworzyła jakieś drzwi i wprowadziła młodego człowieka do zupełnie ciemnego pokoju. Tu jeszcze raz nakazała mu ruchem milczenie, potem zaś, otworzywszy inne, ukryte w obiciu drzwi, przez które wpadało jasne światło, zniknęła.

D'Artagnan stał przez chwilę nieruchomy, usiłując odgadnąć, gdzie się może znajdować. Niebawem błysk światła, przedostający się z sąsiedniego pokoju, ciepłe i wonne powietrze, które go owiało swą falą, rozmowa dwóch czy trzech kobiet, przemawiających z szacunkiem i wytwornością, oraz kilkakrotnie powtarzane słowa "Najjaśnejsza Pani" — przekonały go ponad wszelką wątpliwość, że znajduje się w komnacie, przylegającej do apartamentu królowej.

Młodzieniec stał w cieniu i czekał.

Królowa była wesoła i uszczęśliwiona, co, jak się wydawało, dziwiło bardzo otaczające ją osoby, które, przeciwnie, przywykły widywać ją prawie zawsze ze stroskanem czołem. Wesołość tę tłumaczyła zadowoleniem z uroczystości, przyjemnem wrażeniem, jakie sprawił jej taniec. A ponieważ stosowano się we wszystkiem do usposobienia królowej w danej chwili, więc wszyscy obecni podnosili z zachwytem szczęśliwy pomysł panów radnych miasta Paryża.

Jakkolwiek d'Artagnan nie znał jeszcze wcale królowej, to jednak niebawem rozpoznał jej głos wśród innych głosów, przedewszystkiem po lekkim cudzoziemskim akcencie, jako też po tej wyniosłości, z jaką zazwyczaj przemawiają ludzie, przyzwyczajeni do rozkazywania. Słyszał, jak podchodziła i oddalała się od tych otwartych drzwi; dwa czy trzy razy zauważył nawet cień jej postaci, przesłaniający światło.

Wreszcie z poza draperji wysunęła się ręka i ramię cudownego kształtu i olśniewającej białości. D'Artagnan pojął, że jest to nagroda dla niego! Ukląkł, ujął rękę i z największym szacunkiem przycisnął do ust. Po chwili ręka cofnęła się, pozostawiając w jego dłoniach jakiś przedmiot, w którym rozpoznał pierścień; równocześnie prawie drzwi się zamknęły, i d'Artagnan znalazł się w najzupełniejszej ciemności.

Włożywszy pierścień na palec, czekał dalej. Widocznem było, że nie wszystko jeszcze skończone. Po nagrodzie za wierność i oddanie miała przyjść nagroda za miłość. Zresztą, aczkolwiek ta niec był zakończony, bal zaledwie rozpoczął się dopiero. Wieczerza miała się odbyć o godzinie trzeciej, a zegar na wieży Świętego Jana wydzwonił właśnie przed chwilą trzy kwadranse po drugiej.

Istotnie szmer głosów w przyległej komnacie cichnął powoli, jakby oddalając się, poczem otwarły się drzwi pokoju, w którym się dArtagnan znajdował, i w drzwiach tych stnęła pani Bonacieux.

— Jesteś nareszcie! — zawołał d'Artagnan.

— Cicho! — rzekła młoda kobieta, kładąc rękę na ustach młodzieńca. — Cicho! Wyjdź teraz tędy, którędy pryszedłeś.

— Ale gdzie i kiedy cię znowu zobaczę? — wołał d'Artagnan.

— Powie ci to bilecik, który znajdziesz po powrocie do domu. Ale teraz już idź!

To mówiąc, otwarła drzwi, wiodące na korytarz, i wypchnęła go lekko z komnaty.

— D'Artagnan był posłuszny, jak dziecko; nie stawiał najmniejszego oporu, nie sprzeciwiał się. Dowodziło to, że był naprawdę zakochany.

XXIII.

SCHADZKA.

D'Artagnan powracał pędem do domu. Aczkolwiek była to już godzina trzecia po północy, i musiał przechodzić przez najgorsze dzielnice Paryża, nie spotkała go żadna zła przygoda. Wiadomo, że jest jakiś bożek, mający w swej opiece pijaków i zakochanych.

Zastał drzwi korytarza nawpół uchylone. Wszedł po schodach i zapukał lekko w sposób, umówiony między nim a służącym. Planchet, którego dwie godziny przedtem odesłał z ratusza do domu z poleceniem aby czekał na niego, pospieszył mu otworzyć.

— Czy nie przyniesiono tu dla mnie jakiego listu? — zapytał z ożywieniem.

— Nikt nie przyniósł żadnego listu — odpowiedział Planchet. — Ale jest list, który nie wiadomo skąd sam się tu dostał.

— Co gadasz, ciemięgo?

— Powiadam, że chociaż miałem klucz od mieszkania w kieszeni i ani na chwilę nie wypuściłem go z ręki, to jednak, powróciwszy do domu, znalazłem w pańskiej sypialni list, leżący na stole, przykrytym zieloną serwetą.

— Gdzież jest ten list?

— Pozostawiłem go na tem samem miejscu, panie. To coś nadprzyrodzonego, aby listy w ten sposób dostawały się do ludzi. I gdyby chociaż okno było otwarte, albo przynajmniej niedomknięte, nie dziwiłbym się niczemu. Ale nie; wszystko było szczelnie pozamykane. Panie, strzeż się pan, bo napewno kryje się pozatem jakaś nieczysta siła.

W trakcie tego młodzieniec pospieszył do sypialni i otworzył list. Pochodził on od pani Bonacieux i zawierał te słowa:

"Czekają cię gorące podziękowania. Bądź dzisiaj około godziny dziesiątej w Saint Cloud, przed pawilonem, który się wznosi na rogu domu pana d'Estrees. C.B."

Czytając te słowa, doznał d'Artagnan w sercu tego skurczu rozkoszy, który jednocześnie udręcza i uszczęśliwia kochanków. Był to pierwszy liścik miłosny, jaki otrzymał, — pierwsza schadzka, jaką mu naznaczono. Serce jego, wezbrane upojeniem radości, chciało niemal zamrzeć u progu tego raju ziemskiego, który się nazywa miłością.

— A zatem, proszę pana — rzekł Planchet, widząc że pan jego blednie i czerwienieje naprzemian, — a zatem czyż nie odgadłem trafnie, że to jakaś nieczysta jest sprawa?

— Mylisz się, Planchecie — odparł d'Artagnan. — Na dowód zaś tego masz tutaj talara, abyś miał zaco wypić za moje zdrowie.

— Dziękuję panu za talara, jakiego otrzymałem, i przyrzekam, że będę zawsze najskrupulatniej wypełniał wszystkie zlecenia. Ale tem nie mniej jest prawdą, że listy które w ten sposób dostają się do zamkniętych domów...

— Spadają z nieba, mój przyjacielu... spadają z nieba.

— Więc jest pan zadowolony? — pytał Planchet.

— Drogi Planchecie, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

— I mogę skorzystać z pańskiego szczęścia i położyć się spać?

— Tak, idź spać.

— Niechaj niebo ześle na pana wszystkie swoje błogosławieństwa. Ale tem nie mniej jest prawd, że ten list...

Planchet oddalił się, potrząsając głową z niedowierzaniem, którego nie zdołała rozproszyć całkowicie nawet hojność d'Artagnana.

Pozostawszy sam, d'Artagnan przeczytał biłecik jeszcze raz i jeszcze raz, potem wycałował nie wiedzieć ile razy te słowa, napisane ręką jego pięknej kochanki, wreszcie położył się, zasnął i śnił złote marzenia.

O godzinie siódmej rano obudził się, zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi. Na twarzy jego malowały się jeszcze niepokoje, jakie go dręczyły dnia poprzedniego.

— Planchecie — rzekł d'Artagnan do sługi, — wyjeżdżam, być może, na cały dzień, więc jesteś wolny aż do godziny siódmej wieczór. Ale o godzinie siódmej czekaj na mnie z dwoma osiodłanymi końmi.

— Masz tobie! — rzekł Planchet. — Zdaje mi się, że narazimy się znowu na dziurawienie skóry w rozmiatych miejscach.

— Weźmiesz muszkiet i pistolety.

— A co! nie mówiłem? — wołał Planchet. — Tak, tak! byłem tego pewny. Przeklęty list...

— Nie bój się niedołęgo! Pojedziemy poprostu tylko na spacer, dla przyjemności.

— Aha! tak, jak niedawno temu, kiedy kule sypały się jak grad dokoła, a wszędzie po drodze czyhały pułapki.

— Zresztą, jeżeli się boisz, Planchecie — przerwał mu d'Artagnan, — obejdę się bez ciebie; wolę jechać sam, aniżeli mieć z sobą towarzysza, który się trzęsie ze strachu.

— Krzywdzi mię pan — odpowiedział Planchet; — zdaje się, że widział pan, jak się sprawiam.

— Tak jest, ale sądziłem, że za jednym razem wyczerpałeś już zupełnie swoją odwagę.

— Przekona się pan, że znajdzie się ona jeszcze w potrzebie; proszę tylko, aby pan nie szafował nią zbytecznie, jeżeli pan chce, by starczyło jej na długo.

— A czy myślisz, że na dzisiejszy wieczór znajdzie się jeszcze jaki zapas tej odwagi?

— Mam nadzieję.

— Więc liczę na ciebie.

— Będę gotów o oznaczonej godzinie. Zdawało mi się jednak, że ma pan tylko jednego konia w stajni gwardyjskiej.

— Być może, że w tej chwili jest tylko jeden, ale wieczorem będzie ich tam już cztery.

— Możnaby sądzić, że wybraliśmy się w drogę poto, aby zaopatrzyć lepiej naszą stajnie.

— Istotnie — rzekł d'Artagnan.

I skinąwszy głową, wyszedł.

Pan Bonacieux stał przed bramą domu. D'Artagnan zamierzał przejść obok niego, nie wdając się w rozmowę z czcigodnym kramarzem. Ale tenże pozdrowił go tak słodko i tak dobrodusznie, że zmusił tem swego lokatora nietylko do oddania mu ukłonu, ale i do nawiązania z nim rozmowy.

Jakżeż zresztą nie mieć odrobiony pobłażania dla małżonka, którego żona naznacza nam schadzkę tego samego wieczora w Saint-Cloud, przed pawilonem pana d'Estrees! D'Artagnan zbliżył się przeto ku niemu z największą uprzejmością.

Rzecz prosta, że rozmowa zeszła zaraz na uwięzienie biednego człowieka. Pan Bonacieux, nie wiedząc, że d'Artagnan słyszał jego rozmowę z nieznajomym z Meung, opowiadał swemu młodemu lokatorowi o prześladowaniu ze strony tego potwora, pana de Laffemas, nie przestając podczas całego opowiadania nazywać go katem kardynała; potem rozwodził się szeroko o swym pobycie w Bastylji, mówił o ryglach, zasuwkach, okienkach, kratach i przyrządach tortury.

D'Artagnan słuchał w przykładnem skupieniu, a gdy pan Bonacieux skończył wreszcie mówić, zapytał:

— A czy dowiedziałeś się pan, kto porwał panią Bonacieux?... Nie zapomniałem bowiem, że tej właśnie przykrej okoliczności zawdzięczam szczęście i zaszczyt poznania pana.

— Ach! — odrzekł pan Bonacieux. — Nazbyt dobrze mieli się na baczności, aby mi to powiedzieć; moja żona zaś zaklina się na wszystkie świętości, że nie zna wcale człowieka, który ją uprowadził. Ale cóż się działo z panem podczas tych ubiegłych dni? — zapytał nagle pan Bonacieux tonem niesłychanie dobrodusznym. — Nie widziałem pana wcale.... ani pana, ani pańskich przyjaciół, a chyba nie na bruku paryskim, jak sądzę, nagromadziła się ta masa kurzu, z którego Planchet oczyszczał wczoraj pańskie obuwie.

— Masz pan słuszność, drogi panie Bonacieux; odbyłem z przyjaciółmi małą przejażdżkę.

— Daleko?

— Stąd mniej-więcej jakieś czterdzieści mil zaledwie; odprowadziliśmy pana Atosa do wód Forges, gdzie moi przyjaciele pozostali na dłużej.

— A pan powróciłeś, jak widzę? — odezwał się pan Bonacieux z najzłośliwszym możliwie wyrazem twarzy. — Taki piękny młodzieniec, jak pan, nie dostaje od kochanki długiego urlopu... I byliśmy oczywiście niecierpliwie oczekiwani w Paryżu, nieprawda?

— Na honor — odparł młodzieniec, wybuchając śmiechem, — przyznaję szczerze, że tak było istotnie. Mówię to zaś choćby z tego powodu, że, jak widzę, nic się nie ukryje przed panem, drogi panie Bonacieux. Tak jest, oczekiwano mnie, i to z ogromną niecierpliwością.

Lekka chmurka przemknęła po twarzy pana Bonacieux, tak lekka, że d'Artagnan nie zwrócił na to wcale uwagi.

— I będziemy oczywiście sowicie wynagrodzeni za nasz pośpiech? — pytał dalej kramarz z pewnem podnieceniem w głosie.

D'Artagnan jednak nie zauważył tego zaniepokojenia kramarza, które na chwilę zadrgało na jego obliczu.

— Ach! — zawołał wesoło, — bodajbyś pan był dobrym prorokiem!

— Mówię o tem tylko dlatego — wtrącił Bonacieux, — aby się dowiedzieć, jak późno pan powrócisz.

— Na cóż ci ta wiadomość, kochany mój gospodarzu? — spytał d'Artagnan. — Czy masz może ochotę oczekiwać na mnie?

— Nie, ale od czasu uwięzienia mię i kradzieży, jakiej dokonano w moim domu, lękam się zawsze, gdy słyszę, że ktoś otwiera bramę, zwłaszcza w nocy. Cóż pan chcesz,do licha! nie jestem człowiekiem rycerskiego zawodu!

— A zatem nie przerażaj się pan, jeżeli wrócę o godzinie pierwszej, albo o drugiej, albo nawet o trzeciej w nocy; nie przerażaj się tem bardziej, jeżeli nie wrócę wcale.

Tym razem pan Bonacieux zbladł tak strasznie, że d'Artagnan nie mógł już tego nie zauważyć. Spytał więc, co mu jest.

— Nic to, nic — odpowiedział Bonacieux. — Od czasu nieszczęść, jakie przeszedłem, ulegam nagłym słabościom i w tej chwili właśnie uczułem, że wstrząsnął mną niemiły dreszcz. Nie zwracaj pan na to uwagi. Wszak myślisz pan o tem jedynie, aby być szczęśliwym.

— Myślę o tem, ponieważ jestem szczęśliwy.

— Jeszcze nie; powiedziałeś pan przecież, że dopiero dzisiaj wieczorem...

— Wieczór ten jednak nadejdzie. Mój Boże, a może i pan będziesz go oczekiwał z taką, jak ja, niecierpliwością; może pani Bonacieux odwiedzi dzisiaj wieczorem swoje ognisko rodzinne.

— Pani Bonacieux jest dzisiaj wieczorem zajęta — odpowiedział poważnie jej małżonek. — Obowiązki zatrzymują ją w Luwrze.

— Tem gorzej dla pana, kochany gospodarzu, tem gorzej. Wobec tego, że jestem szczęśliwy pragnąłbym aby cały świat cieszył się szczęściem. Ale zdaje się, że jest to niemożliwe.

— I młody człowiek oddalił się, śmiejąc się na całe gardło z żartu, który, jak sądził, sam jeden tylko rozumie.

— Przyjemnej zabawy! — grobowym głosem zawołał za odchodzącym Bonacieux.

Ale d'Artagnan był już zadaleko, aby usłyszeć te słowa, a nawet, gdyby je był usłyszał, to wobec nastroju, w jakim się znajdował, nie byłby na nie zwrócił uwagi.

Młodzieniec udał się wprost do pałacu pana de Trevillę, — przypominamy sobie bowiem, że jego odwiedziny dnia poprzedniego trwały bardzo krótko i że niewiele mógł wtedy udzielić wyjaśnień.

Zastał pana de Treville w jaknajlepszym humorze. Król i królowa byli na balu uprzedzająco grzeczni wobec niego, — natomiast kardynał był niesłychanie zachmurzony i o godzinie pierwszej nad ranem opuścił salę balową pod pozorem, że czuje się niezdrów. Zato król z królową wrócili do Luwru dopiero o godzinie szóstej rano.

— Teraz zaś — odezwał się wreszcie pan de Treville, zciszając głos i badając spojrzeniem wszystkie kąty apartamentu, by się przekonać, czy są sami, — teraz zaś pomówmy o tobie, młody przyjacielu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że twój szczęśliwy powrót odegrał jakąś rolę w uradowaniu króla, w triumfie królowej i w upokorzeniu Jego Eminencji. Wobec tego musisz mieć się na baczności.

— A czegóż mam się lękać — zapytał d'Artagnan, — dopóki będę miał szczęście cieszyć się łaską Ich Królewskich Mości?

— Wszystkiego, wierzaj mi, młodzieńcze. Kardynał nie jest człowiekiem, któryby zapomniał, że go wyporwadzono w pole, i któryby nie załatwił rachunków z tym, kto to uczynił. A zdaje mi się, że tym wyprowadzającym w pole jest właśnie pewien znany mi Gaskończyk.

— Czy sądzisz pan, że kardynał wie o mnie tyle, co pan? że wiadomo mu o mojej podróży do Londynu?

— Do licha! więc byłeś pan w Londynie? i z Londynu przywiozłeś ten piękny brylant, który się skrzy na twoim palcu? Strzeż się, mój drogi d'Artagnanie; dar nieprzyjaciela nie przynosi szczęścia. Czyż nie mówi o tem pewien wiersz łaciński?... Zaraz sobie przypomnę....

— Tak, bez wątpienia — odpowiedział d'Artagnan, który nie mógł nigdy przyswoić sobie nawet najpierwszych zasad łaciny i który doprowadzał tem do rozpaczy swego nauczyciela. — Tak, istotnie, jest jakiś wiersz.

— Jest napewno — rzekł pan de Treville, mający pociąg do literatury. — Niedawno cytował mi go pan de Benserade... Czekajno... Aha! już wiem. "'Timeo Danaos et dona ferentes. Otóż wiersz ten znaczy: "Nie dowierzaj nieprzyjacielowi, nawet gdy przynosi ci dary."

— Djament ten nie pochodzi od wroga, panie; jest on darem królowej — odpowiedział d'Artagnan.

— Darem królowej? Och! och! — zawołał pan de Treville. — Rzeczywiście jest to prawdziwie królewski klejnot, wart tysiąc pistolów, jak jeden grosz. I przez kogóż to doręczyła ci królowa ten podarunek?

— Dała mi go sama.

— Gdzie?

— W pokoju, przylegającym do apartamentu, gdzie zmieniała toaletę.

— Jakim sposobem?

— Podając mi rękę do ucałowania.

— Ucałowałeś rękę królowej? — wołał pan de Treville, spoglądając bystro na d'Artagnana.

— Najjaśniejsza Pani uczyniła mi ten zaszczyt i wyświadczyła tę łaskę. — odparł d'Artagnan.

— I to w obecności świadków?... Niebaczna! po trzykroć niebaczna!

— Nie, panie! niech się pan uspokoi; nikt tego nie widział.

I d'Artagnan opowiedział panu de Treville, jak się to wszystko stało.

— O! kobiety, kobiety! — rzekł stary żołnierz. — Znam ja dobrze waszą romantyczną wyobraźnię; podoba się wam wszystko, co uważacie za tajemnicze. Tak więc widziałeś tylko ramię i nic więcej, czyli mógłbyś spotkać królowę i nie poznać jej, a ona, spoktawszy cię, nie wiedziałaby, że to byłeś ty?

— Tak. Ale dzięki temu djamentowi... — przerwał młody człowiek.

— Słuchaj — rzekł pan de Treville, — czy chcesz, abym ci udzielił rady, dobrej rady, pochodzącej od przyjaciela?

— Wyświadczyłby mi pan tem doprawdy zaszczyt — odparł d'Artagnan.

— Słuchaj więc! Idź do pierwszego-lepszego jubilera po drodze i sprzedaj mu ten djament za cenę, jaką ci da. Gdyby nawet był Żydem, dostaniesz w każdym razie ośmset pistolów. Pie-

niądze są bez nazwy, młodzieńcze, a ten pierścień posiada nazwę, i to straszną, bo może wydać tego, kto go nosi.

— Sprzedać ten pierścień!? pierścień, który pochodzi od mojej władczyni!? Przenigdy! — oświadczył d'Artagnan.

— Więc przynajmniej odwróć go na dół kamieniem, biedny szaleńcze! Wiadomo bowiem, że kadet gaskoński nie znajduje podobnych klejnotów w skarbcu swej matki.

— Sądzisz pan zatem, że mogę się obawiać czegoś z tego powodu? — zapytał d'Artagnan.

— Możnaby powiedzieć, młodzieńcze, że człowiek, zasypiający na minie, której lont został zapalony, może się uważać za mniej zagrożonego od ciebie.

—Do licha! — rzekł d'Artagnan, którego poczęła niepokoić pewność, z jaką pan de Treville wygłaszał swoje przekonanie. — Do licha! Więc cóż uczynić?

— Mieć się na baczności zawsze i przed wszystkiem. Kardynał ma dobrą pamięć i długą rękę; wierzaj mi, że wypłata ci jakiego figla.

— Ale cóż mi może zrobić?

— Ach! czyż ja mogę to wiedzieć? czyż mogę znać wszystkie djabelskie podejścia, jakiemi się posługuje? Co najmniej, może cię spotkać więzienie.

— Jakto? Poważonoby się uwięzić człowieka, pozostającego w służbie Jego Królewskiej Mości?

— Tam do djabła! Nie robiono przecie i z Atosem ceremonji Bądź co bądź, młody zapaleńcze, zawierz zdaniu człowieka, który spędził już lat trzydzieści na królewskim dworze: nie zasypiaj spokojnie, bo inaczej narazisz się na zgubę. Przeciwnie, i ja ci to mówię: upatruj wszędzie nieprzyjaciół. Jeżeli ktoś będzie szukał z tobą zaczepki, unikaj jej, chociażby zaczepiało cię nawet dziesięcioletnie dziecko; jeżeli zostaniesz napadnięty, czy w dzień, czy w nocy, umykaj i nie wstydź się tego; jeżeli będziesz przechodził przez most, uważaj na deski, aby się któraś nie usunęła pod twojemi nogami; jeżeli pójdziesz około nowobudowanego domu, spoglądaj w górę z obawy, aby kamień nie spadł ci na głowę! jeżeli będziesz wracał późno do domu, niech idzie za tobą służący i niech ten służący będzie uzbrojony, o ile wogóle możesz zaufać swemu służącemu. Niedowierzaj całemu światu: przyjacielowi, bratu, kochance, a zwłaszcza kochance...

Twarz d'Artagnana pokrył rumieniec.

— Mojej kochance? — powtórzył mimowolnie. — A dlaczegoż mam jej niedowierzać bardziej, aniżeli komuś innemu?

— Bo właśnie kochanki są jednym z najulubieńszych środków kardynała i najbardziej skutecznych. Kobieta sprzeda cię za dziesięć pistolów; dowodem Dalila. Znasz przecie pismo święte, co?

D'Artagnan pomyślał o schadzce, jaką na ten sam wieczór naznaczyła mu pani Bonacieux. Lecz na pochwałę naszego bohatera musimy powiedzieć, że złe wyobrażenie, jakie pan de Treville miał wogóle o kobietach, nie natchnęło go najmniejszem nawet podejrzeniem co do pięknej gospodyni.

— A cóż się stało z twoimi trzema towarzyszami? — spytał pan de Treville.

— Chciałem właśnie zapytać się pana, czy nie otrzymałeś pan o nich jakich wiadomości?

— Żadnych zgoła.

— Pozostawiłem ich po drodze: Portosa w Chantilly z pojedynkiem na karku; Aramisa w Crevecoeur z kulą w ramieniu; Atosa w Amiens, oskarżonego o fałszerstwo pieniędzy.

— Otóż widzisz! — rzekł pan de Treville. — A ty jakże się przemknąłeś?

— Cudem poprostu, muszę to wyznać. Otrzymałem pchnięcie szpadą w pierś i przygwoździłem na drodze do Calais hrabiego de Wardes, jak motyla do ściany...

— Otóż masz jeszcze jeden dowód! Hrabia de Wardes to człowiek, oddany kardynałowi, krewny de Rocheforta. Słuchajno jednak, mój drogi; przychodzi mi pewna myśl.

— Proszę, niech pan mówi.

— Gdybym był na twojem miejscu, urządziłbym się inaczej.

— W jaki sposób?

— Podczas gdy Jego Eminencja kazałby mię szukać po Paryżu, ja w tajemnicy i bez rozgłosu powróciłbym do Pikardji i starałbmy się wywiedzieć, co się stało z moimi trzema przyjaciółmi. Do Licha! przecie zasługują chyba na ten mały dowód troskliwości z twojej strony...

— Rada jest doskonała, panie, i zaraz jutro wyruszę w drogę.

— Jutro!? A dlaczegoż nie dziś wieczorem?

— Dziś wieczorem zatrzymuje mię w Paryżu sprawa niezmiernie ważna.

— Oj! młodzieńcze! młodzieńcze! Z pewnością jakaś sprawa miłosna... Mniej się na baczności, powtarzam; kobieta to doprowadziła nas wszystkich do zatracenia i wiedzie nas jeszcze zawsze na zatratę. Posłuchaj mej rady i jedź dzisiaj wieczorem.

— To niemożliwe, panie.

— Czy dałeś słowo honoru?

— Tak, panie.

— W takim razie co innego. Ale przyrzeknij mi, że jeżeli dzisiaj w nocy nie zostaniesz zabity, jutro wyruszysz w drogę.

— Przyrzekam.

— Czy potrzebujesz może pieniędzy?

— Mam jeszcze pięćdziesiąt pistolów. Jest to właśnie tyle, że mi wystarczy, jak sądzę.

— Ale twoi towarzysze?

— Przypuszczam, że nie brak im także grosza. Gdybyśmy wyjeżdżali z Paryża, każdy z nas miał w kieszeni po siedemdziesiąt pięć pistolów.

— Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem?

— Chyba że nie, panie, o ile tylko nie wydarzy się coś nadzwyczajnego.

— Zatem życzę ci szczęśliwej podróży.

— Dziękuję panu.

I d'Artagnan, pożegnawszy pana de Treville, wrzuszony bardziej, niż kiedykolwiek, jego ojcowską pieczołowitością, poszedł kolejno do Atosa, do Portosa i do Aramisa. Żaden z nich jednak nie wrócił jeszcze, a i służący ich byli również nieobecni. Nie było też zgoła żadnej wieści ani o jednych, ani o drugich.

Mógłby się był może dowiedzieć czegoś od ich kochanek, ale nie znał ich wcale, przyczem Atos nie miał kochanki.

Mijając koszary gwardyjskie, zajrzał do stajni: trzy konie znajdowały się już na miejscu. Planchet, osłupiały, czyścił je zgrzebłem; dwa były już opatrzone.

— Ach, panie! — zawołał Planchet, spostrzegłszy d'Artagnana, — jakże się cieszę, że pana widzę!

— I dlaczegoż to, Planchecie? — spytał młodzieniec.

— Czy pan dowierza panu Bonacieux, naszemu gospodarzowi?

— Ja? Ani trochę.

— Och! to bardzo dobrze!

— Ale dlaczego pytasz mię o to?

— Dlatego, że, podczas gdy rozmawiałeś pan z nim obserwowałem go, nie podsłuchując zresztą wcale. O, panie! twarz jego parokrotnie się mieniła.

— Tak?

— Pan nie zwrócił na to wcale uwagi, zajęty listem, jaki pan otrzymał; ja przeciwnie, nie traciłem z oczu jego fizjognomji, tem bardziej, że tajemniczy sposób, w jaki ten list dostał się do domu, powiększył jeszcze moją ostrożność.

— I jakiż był wyraz jego twarzy?

— Zdradziecki, panie.

— Doprawdy?

— Co więcej, skoro tylko pan się z nim rozstał i zniknął za rogiem ulicy, pan Bonacieux chwycił kapelusz, zamknął bramę i pobiegł w przeciwną stronę.

— Masz słuszność, Planchecie! to istotnie wydaje się zagadkowem. Ale bądź spokojny; nie zapłacimy mu komornego, dopóki cała sprawa nie wyjaśni się należycie.

— Pan żartuje, ale przekona się pan jeszcze...

— Cóż chcesz, Planchecie; to, co jest przeznaczone, spełnić się musi.

— Więc nie wyrzeka się pan swej dzisiejszej wieczornej przejażdżki?

— Przeciwnie, im więcej mam na pieńku z panem Bonacieux, tem chętniej pójdę na schadzkę, naznaczoną mi w liście, który cię tak niepokoi.

— A zatem, skoro takie jest postanowienie pańskie...

—Niezłomne, mój przyjacielu. O godzinie dziewiątej czekaj na mnie tu, w koszarach; przyjdę po ciebie.

Przekonawszy się, że niema nadziei odwiedzenia pana od powziętego planu, Planchet westchnął głęboko i zabrał się do czyszczenia trzeciego konia.

D'Artagnan zaś, który w gruncie rzeczy był bardzo mądrym chłopcem, zamiast udać się z powrotem do domu, poszedł na śniadanie do owego księdza z Gaskonji, który wówczas, kiedy czterej przyjaciele znajdowali się w najstraszniejszej nędzy, poczęstował ich na śniadanie czekoladą.

XXIV.

PAWILON.

O godzinie dziewiątej d'Artagnan przybył do koszar gwardji. Planchet oczekiwał już w pogotowiu. Czwarty koń przybył także.

Planchet był uzbrojony w muszkiet i pistolet.

D'Artagnan miał szpadę, za pas zaś zatknął dwa pistolety. Obaj dosiedli koni i wymknęli się pocichu. Noc już zapadła i nikt nie widział ich, jak wyjeżdżali z koszar. Planchet jechał z tyłu w odległości dziesięciu kroków za panem.

Przejechawszy wpoprzek przez bulwary i minąwszy bramę de la Conference, d'Artagnan skręcił na drogę, wiodącą do Saint-Cloud, znacznie piękniejszą wówczas, aniżeli dzisiaj.

Dopóki jechali przez miasto, Planchet trzymał się wciąż z szacunkiem w znacznej odległości za panem; w miarę jednak, jak droga stawała się coraz pustszą i ciemniejszą, zaczął się powolutku przybliżać, tak, że, gdy znaleźli się w lasku Bulońskim, jechał już przy boku swego pana. Istotnie, nie możemy zataić, że kołysanie się olbrzymich drzew i odblaski księżyca w ciemnej gęstwinie napełniały go żywym niepokojem. D'Artagnan zauważył, że ze służącym dzieje się coś dziwnego.

— Cóż, to mości Planchecie? — zapytał, — nad czem tak rozmyślasz?

— Czy nie uważa pan, jak podobne są te drzewa do kościołków?

— Skąd ci ta myśl, Planchecie?

— Bo i w ich cieniu nie ośmielamy się mówić głośno,

— A dlaczego nie mówisz głośno, Planchecie? czy się boisz?

— Boję się, by mię nie usłyszano.

— By cię nie usłyszano? Przecie rozmowa nasza, drogi Planchecie, jest nawskróś moralna, i nikt nie mógłby jej nic zarzucić.

— Ach, panie! — rzekł Planchet, powracając do swej zasad-

niczej myśli, — ten Bonacieux ma coś ponurego w spojrzeniu i coś wstrętnego w wyrazie ust!

— Co, u licha, zmusza cię myśleć o panu Bonacieux?

— Panie! człowiek myśli o tem, o czem musi myśleć, a nie o tem, o czemby chciał.

— Bo jesteś tchórzem, Planchecie.

— Nie mieszajmy, panie, rozwagi z tchórzostwem; przecież rozwaga jest cnotą.

— A ty jesteś cnotliwy, Planchecie, nieprawdaż?

— Panie, czy to nie lufa muszkietu błysnęła tam w dali? Możebyśmy schylili głowy?

— Nie, doprawdy! — mruknął d'Artagnan, przypominając sobie przestrogi pana de Treville, — to bydlę i mnie zarazi strachem.

I ruszył kłusem naprzód.

Planchet uczynił to samo, jakgdyby był jego cieniem, i znowu kłusował przy boku swego pana.

— Czy będziemy tak jechali przez całą noc, panie? — zapytał.

— Nie, Planchecie; ty jesteś już u celu.

— Jakto, u celu? A pan?

— Ja pójdę jeszcze kilka kroków naprzód.

— I zostawi mię pan tutaj samego?

— Czy boisz się, Planchecie?

— Nie; zwracam tylko uwagę pańską, że noc będzie bardzo zimna, że chłód nabawia reumatyzmu i że sługa, cierpiący na reumatyzm, jest kiepskim sługą, zwłaszcza dla kogoś, kto ma taki temperament, jak pan.

— Dobrze. Jeżeli ci jest zimno, udasz się do jednej z szynkowni, które tam widać w oddali, i jutro rano o godzinie szóstej będziesz czekał na mnie u bramy miejskiej.

— Przepiłem już i przejadłem uczciwie całego talara, któregom otrzymał rano ,i nie mam teraz nawet złamanego grosza na wypadek zziębnięcia.

— Oto masz pół pistola. Więc do jutra.

D'Artagnan zsiadł z konia, rzucił cugle do rąk Planchetowi i, owinąwszy się płaszczem, oddalił się szybko.

— Boże mój jakże mi zimno! — wołał Planchet, gdy pan znikał mu z oczu.

A ponieważ pilno mu było się ogrzać, zapukał natychmiast w bramę domu, mającego wygląd typowej karczmy podmiejskiej.

Tymczasem d'Artagnan, skręciwszy na poprzeczną ścieżynę, szedł dalej, zdążając do Saint-Cloud. Zamiast jednak pójść główną drogą, zawrócił poza tyłu zamku, zapuścił się w uliczkę bardzo ustronną i niebawem stanął przed oznaczonym pawilonem. Budynek stał na miejscu upełnie pustem. Wielki mur, w rogu którego wznosił się pawilon, stanowił jeden bok tej uliczki; po drugiej stronie żywopłot bronił przechodniom przystępu do małego ogródka, w głębi którego stała licha chałupka.

Przybył na schadzkę, ponieważ jednak nie polecono mu, aby oznajmił swe przybycie jakiemś hasłem, czekał.

Dokoła nie słychać było żadnego szmeru; możnaby sądzić, że sto mil dzieli czekającego od stolicy. D'Artagnan oparł się o płot, spojrzawszy przedtem bacznie poza siebie. Za płotem, ogródkiem i chatką czarna mgła spowijała swemi fałdami tę bezmierną przestrzeń, gdzie zasypiał Paryż, szeroką, rozwartą prestrzeń, w której błyszczało kilka świetlnych punktów, niby ponure gwiazdy tego piekła.

W oczach d'Artagnana jednak wszystko to przybierało rozkoszne kształty, każda myśl śmiała się do niego, ciemności wydawały się przejrzystemi. Za chwilę miała uderzyć godzina schadzki.

Istotnie po upływie kilku minut dzwon z wieży Saint-Cloud wyrzucił ze swej szerokiej, grzmiącej paszczy dziesięć powolnych uderzeń.

Było coś ponurego w tym spiżowym głosie, który niejako skarżył się w ciemnościach nocy.

Ale każde z tych uderzeń, składających się na upragnioną godzinę, jakże harmonijne dźwięczało w sercu młodego człowieka!

Utkwił wzrok w mały pawilon, znajdujący się w narożniku muru; wszystkie okna były zamknięte okiennicami, z wyjątkiem jednego na pierwsze piętrze.

Poprzez okna to przebłyskiwało łagodne światło, rozsrebrzając listowie dwóch czy trzech lip, rosnących zwartą grupą w parku. Niezawodnie za tem małem okienkiem, tak mile jaśniejącem, musiała oczekiwać piękna pani Bonacieux.

Ukołysany tą słodką myślą, d'Artagnan czekał z całą cierpliwością przez pół godziny, z oczyma, utkwionemi w rozkoszne gniazdo, którego kawałek powały ze złoconemi listewkami świadczył o wytwornem urządzeniu całego apartamentu.

Dzwon w Saint-Cloud wydzwonił godzinę dziesiątą i pół.

Tym razem głos ten jednak przejął go zimnym dreszczem, aczkolwiek sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego. Może chłód począł mu dokuczać i może to wrażenie czysto fizyczne uznał za wrażenie duchowe?

Potem począł przypuszczać, że może źle przeczytał i że schadzkę wyznaczono mu na godzinę jedenastą.

Zbliżył się ku oknu, stanął w miejscu, gdzie dochodził promień światła, wyjął list z kieszeni i jeszcze raz go przeczytał. Nie mylił się jednak: schadzka była naznaczona na godzinę dziesiątą.

Powrócił na swoje stanowisko, ale milczenie i samotność poczęły go trochę niepokoić.

Wybiła godzina jedenasta.

D'Artagnan zaczął się naprawdę obawiać, czy pani Bonacieux nie zdarzyło się co złego.

Klasnął trzykrotnie w dłonie, które to hasło dają sobie zazwyczaj zakochani, — lecz nikt nie odpowiedział, nawet echo. Pomyślał więc z pewną złością, że może młoda kobieta zasnęła, oczekując na niego.

Podszedł do muru i usiłował wdrapać się na niego; mur jednak był świeżo otynkowany, i d'Artagnan nadaremno łamał sobie paznokcie.

W tej chwili zwrócił uwagę na drzewa których liście srebrzyły się w świetle okna, a ponieważ jedno z tych drzew zwieszało konary nad drogą, pomyślał, że, dostawszy się na nie, mógłby zajrzeć do wnętrza pawilonu.

Drzewo nadawało się do tego. Zresztą d'Artagnan miał lat zaledwie dwadzieścia i nie zapomniał jeszcze szkolnych ćwiczeń. W jednej chwili znalazł się wśród konarów a wzrok jego pobiegł poprzez przejrzyste szyby okna do wnętrza pawilonu.

Zgroza przejęła go dreszczem od stóp do głowy. To łagodne światło, ta przyćmiona lampa oświetlała scenę strasznego nieładu. Jedna z szyb była stłuczona a drzwi komnaty wyrwane z zawias, na których trzymały się jeszcze napół złamane; stół, zastawiony widocznie wykwintną wieczerzą, leżał obalony na ziemi; karafki w szczerbach i pogniecione owoce zalegały posadzkę; wszystko dowodziło, że w pokoju tym rozegrała się gwałtowna, rozpaczliwa walka. D'Artagnanowi wydało się nawet, że rozróżnia w tym całym chaosie strzępy ubrań i plamy krwawe, widniejące na obrusie i na firankach.

Pospiesznie zsunął się na ziemię. Serce biło mu gwałtownie. Chciał się jednak przekonać, czy nie znajdzie innych śladów niecnego gwałtu.

Drobne, miłe światełko błyszczało jeszcze ciągle w ciszy nocnej. D'Artagnan spostrzegł teraz (czego przedtem nie zauważył, bo nic nie skłaniało go do tych badań), że ziemia, tu zdeptana, tam rozrzucona, jest pokryta pomieszanymi śladami stóp ludzkich i kopyt końskich. Koła powozu, przybyłego widocznie z Paryża, wyżłobiły w miękkiej ziemi głębokie bróżdy, które nie posuwały się poza pawilon, lecz zawracały od niego w stronę Paryża.

Wreszcie, prowadząc dalej poszukiwania, znalazł d'Artagnan w pobliżu muru podartą rękawiczkę kobiecą. Ze wszystkich tych jej części, które nie zetknęły się z błotnistą ziemią, można było poznać, że niedawno jeszcze znajdowała się na ręce. Była to jedna z tych wonnych rękawiczek, które kochankowie tak lubią ściągać z pięknej rączki.

W miarę, jak d'Artagnan czynił dalsze poszukiwania,, zimny pot obficie wsytępował mu na czoło, straszne przerażenie uciskało serce, a oddech stawał się coraz bardziej przyspieszonym. Wprawdzie, aby się uspokoić, powtarzał sobie, że może pani Bonaciex nie miała nic wspólnego z tym pawilonem, że naznaczyła mu spotkanie przed budynkiem, a nie w jego wnętrzu, że może służba na dworze królowej lub też zazdrość małżonka zatrzymały ją w Paryżu.

Jednakże wszystkie te rozumowania zostały rozbite, zdruzgotane i zniweczone uczuciem najwewnętrzniejszego bólu, który w pewnych wypadkach opanowuje całą naszą istotę i krzyczy donośnym głosem, że zagraża nam wielkie nieszczęście.

Wtedy ogarnęło d'Artagnana niemal szaleństwo. Pobiegł na główną drogę, powrócił tamtędy, którędy przyszedł, i dotarł aż do brodu, aby wypytać przewoźnika.

Około godziny siódmej wieczorem przewoźnik przeprawiał przez rzekę na drugi brzeg jakąś kobietę, owiniętą czarnym płaszczem, której, jak się wydawało, bardo zależało na tem, aby jej nie poznano. Jednakże właśnie te przedsiębrane przez nią środki ostrożności skłoniły przewoźnika do tem baczniejszego zwrócenia uwagi; stwierdził, że kobieta była młoda i piękna.

Aczkolwiek w owe czasy, podobnie, jak i dzisiaj zresztą, wiele młodych i pięknych kobietek udawało się do Saint-Cloud,

starając się przebyć tę drogę bez zwracania uwagi, to jednak d'Artagnan nie wątpił ani przez chwilę, że kobietą, którą zauważył przewoźnik, była pani Bonacieux.

Skorzystał z tego, że w chacie przewoźnika paliła się lampa, i raz jeszcze przeczytał bilecik, otrzymany od pani Bonacieux, aby się przekonać, że się nie myli, że spotkanie było istotnie naznaczone w Saint-Cloud, a nie gdieindziej, i to przed pawilonem pana d'Estrees, nie zaś w innem miejscu.

Wszystko składało się na to, aby przekonać d'Artagnana, że przeczucia go nie omyliły i że istotnie runęło na niego nieszczęście.

Pobiegł pędem powrotną drogą do zamku: był przekonany, że podczas jego nieobecności wydarzyło się może w pawilonie coś nowego, albo że przynajmniej uzyska jakieś wyjaśnienia.

Uliczka była zupełnie pusta, tak, jak poprzednio; z okna błyszczało to samo łagodne i miłe światło.

Przyszło mu na myśl, że ta wznosząca się naprzeciwko rudera, głucha i ciemna, widzieć musiała z pewnością to, co się stało, i że może tam mógłby się czegoś dowiedzieć.

Ponieważ drzwi ogrodzenia były zamknięte, d'Artagnan przeskoczył przez płot i, nie zważając na ujadanie psa, uwiązanego na łańcuchu, zbliżył się do chałupy.

Gdy zapukał po raz pierwszy, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. W chacie panowało grobowe milczenie, podobnie, jak w pawilonie. Ponieważ jednak chata ta była ostatnią jego nadzieją, nie przestawał się dobijać.

Niebawem wydało mu się, że słyszy wewnątrz leciuchny szmer, tak leciuchny, jak gdyby mieszkaniec chaty obawiał się objawiać swoją obecność.

Wówczas d'Artagnan przestał pukać, natomiast począł błagać z wyrazem, tak pełnym niepokoju, obietnic, przerażenia i pieszczotliwości, że głos jego mógłby natchnąć ufnością nawet największego tchórza. Nareszcie uchyliła się, a raczej napół wypadła stara, zmurszała okiennica, lecz zamknęła się natychmiast z powrotem, skoro tylko światło palącej się wewnątrz nędznej lampki rozbłysło na szarfie, na rękojeści szpady i kolbach pistoletów d'Artagnana. Jakkolwiek stało się to nadzwyczaj szybko, d'Artagnan miał czas dostrzedz wewnątrz chaty głowę starca.

— Na miłosierdzie boskie — rzekł, — wysłuchaj mnie, czło-

wieku! Oczekiwałem tutaj na kogoś i doczekać się nie mogę; umieram z niepokoju. Czyżby wydarzyło się tu w okolicy jakieś nieszczęście? Mówże, człowieku!

Okiennica otworzyła się powoli, a w jej ramach ukazała się znowu ta sama postać, tym razem jednak bledsza jeszcze ,niż poprzednio.

D'Artagnan opowiedział z prostotą wszystko, nie wymieniając tylko nazwisk. Opowiedział, że miał się spotkać przed pawilonem z młodą kobietą, że, oczekując długo nadaremnie, wdrapał się na konary lipy i ujrzał stamtąd przy blasku lampy straszny nieład, panujący w pokoju.

Starzec słuchał z uwagą jego słów, potakując gestami ich prawdziwość, — gdy zaś d'Artagnan skończył opowiadać, potrząsnął głową ruchem, nie wróżącym nic dobrego.

— Co to znaczy? — zakrzyknął d'Artagnan. — Na miłość Boga, wytłumacz mi pan!

— Ach, panie! — odparł starzec, — nie pytaj mnie o nic.... gdybym bowiem opowiedział to, co widziałem, z pewnością nie wynikłoby stąd nic dobrego...

— A zatem widziałeś coś? — wołał d'Artagnan. — W takim razie mów, na Boga — zaklinał, rzucając mu pistola, — mów, co widziałeś, a ja daję ci słowo honoru szlachcica, że ani jednego twego słowa nie uronię z mego serca.

Starzec wyczytał na twarzy d'Artagnana tyle szczerości i bólu, że dał mu znak, aby słuchał, i począł mówić przytłumionym głosem:

"Było to około godziny dziewiątej, gdy usłyszałem nagle jakiś hałas na ulicy. Pragnąc dowiedzieć się, coby to było, podszedłem ku drzwiom i spostrzegłem, że ktoś usiłuje się dostać do mojej chaty. Jestem ubogim człowiekiem i nie lękam się złodziei; otworzyłem zatem drzwi i ujrzałem trzech ludzi, stojących w odległości kilku kroków. Dalej w cieniu stała karoca, zaprzężona w dwa konie, a obok niej konie wierzchowe. Należały one zapewne do tych trzech ludzi, ubranych po pańsku.

"— Czemże mogą wam służyć, moi panowie? — zapytałem.

— "Posiadasz zapewne drabinkę? — zawołał jeden z nich, wyglądający na kierownika wyprawy.

— "Tak jest, panie; mam drabinkę, którą posługuję się przy zbieraniu owoców — odpowiedziałem.

— "Dawaj ją tutaj i wracaj do izby. Masz tu talara za kłopot,

jakiego cię nabawiliśmy. Pamiętaj jednak że jeżeli wygadasz się choć jednem słowem o tem, cobyś tu zobaczył lub usłyszał, a jestem pewny, że zobaczysz i usłyszysz to i owo zginiesz niechybnie.

"Mówiąc to, rzucił mi talara, którego schowałem do kieszeni, i zabrał moją drabinkę.

"Rzeczywiście, zamknąwszy za nimi bramę ogrodzenia, udałem, że wchodzę do chaty. Wyszedłem jednak natychmiast tylną bramą i, prześlizgując się w ciemniu, dostałem się aż do tej kępki bzów, z pośród której mogłem obserwować wszystko, nie będąc sam widziany.

"Trzej mężczyźni kazali podjechać karecie dalej bez żadnego szmeru, wysadzili z niej małego grubego, niskiego szpakowatego człowieczka, nędznie odzianego w ciemne suknie, ten zaś wdrapał się ostrożnie po drabince, zajrzał do wnętrza pokoju, zeszedł na dół lisimi ruchami i szepnął półgłosem:

"— To ona!

"Człowiek, który rozmawiał ze mną, podszedł natychmiast do bramy pawilonu, otworzył ją kluczem, wyjętym z kieszeni, i zniknął, a równocześnie towarzysze jego poczęli się wspinać w górę po drabinie. Mały staruszek pozostał przy bramie, woźnica trzymał w pogotowiu konie powozu, służący zaś nie wypuszczał z ręki cugli wierzchowców.

"W tej samej chwili rozległ się w pawilonie głośny krzyk, i jakaś kobieta podbiegła ku oknu, jakby chcąc przez nie wyskoczyć, ale zauważywszy mężczyzn, stojących na drabinie, cofnęła się wstecz. Wówczas ci dwaj weszli za nią do pokoju.

"Nie mogłem już nic więcej zobaczyć; słyszałem tylko hałas łamanych mebli. Kobieta wołała przeraźliwie o pomoc, niebawem jednak krzyki jej zostały stłumione. Po chwili trzej mężczyźni podeszli ku oknu, niosąc kobietę w ramionach; dwaj zeszli po drabince i znieśli ją do karocy, do której wsiadł następnie także staruszek, a trzeci z napastników, który pozostał w pawilonie, zamknął okno, wyszedł po chwili przez bramę i upewnił się jeszcze naocznie, że kobieta znajduje się w powozie. Dwaj jego towarzysze czekali już, siedząc na koniach; wtedy zaś i on z kolei wskoczył na siodło, lokaj usiadł na koźle obok woźnicy, poczem karoca, eskortowana przez trzech jeźdźców, popędziła galopem. Tak się zakończyło wszystko. Od tej chwili nie widziałem już nic, ani nie słyszałem."

Zgnębiony tą straszną wieścią d'Artagnan stał nieruchomy i niemy; całe piekło gniewu i zazdrości targało mu sercem.

— Ach, drogi panie! — rzekł starzec, na którego ta niema rozpacz większe wywarła wrażenie, niżby to mogły uczynić krzyki i płacze. — Nie rozpaczaj; nie zabili ci jej, a to najważniejsze.

— Czy nie wiesz pan przypadkiem, kto był przywódcą tej piekielnej wyprawy? — zapytał d'Artagnan.

— Nie znam go wcale.

— Ale mogłeś mu się przyjrzeć, gdy rozmawiał z tobą.

— Aha, chcesz pan wiedzieć, jak wyglądał?

— Tak jest.

— Wysoki, chudy, o smagłej cerze, z czarnemi oczyma, pańska postawa.

— To on! — zakrzyknął d'Artagnan, — jeszcze raz on! zawsze on! Mój zły duch, jakby się zdawało! A ten drugi?

— Który?

— Ten niski?

— Och! mogę zaręczyć, że ten był wielkim panem; zresztą nie miał nawet szpady przy boku, a towarzysze nie okazywali mu wcale szacunku.

— Zapewne jakiś służący — szepnął d'Artagnan. — Ach, nieszczęśliwa kobieta! nieszczęśliwa kobieta! Co oni mogli z nią uczynić?

— Przyrzekł mi pan zachować tajemnicę — przypominał starzec.

— I ponawiam ją teraz. Bądź spokojny, staruszku; jestem szlachcicem; szlacheckie słowo waży ponad wszystko, a ja ci je dałem.

Z rozdartą duszą powlókł się d'Artagnan ku brodowi. Chwilami nie mógł uwierzyć, aby to była istotnie pani Bonacieux, i pocieszał się nadzieją, że nazajutrz odnajdzie ją w Luwrze, — to znowu przerażała go myśl, czy nie wplątała się z kimś innym w miłosną intrygę i czy ten inny nie uropawdził jej, powodowany zazdrością. Błąkał się w domysłach, gryzł się, wpadał w rozpacz.

— Ach, gdyby przynajmniej byli tu ze mną moi przyjaciele! — wołał, — wtedy mógłbym mieć chociaż nadzieję, że ją odnajdę.... Ale któż wie, co się z nimi stało? któż wie!?

Zbliżała się już północ; trzeba było odnaleźć Plancheta. D'Artagnan dobijał się kolejno do wszystkich karczem w których ujrzał jeszcze światło, lecz nigdzie nie mógł odszukać swego służącego.

Gdy zasezdł do szóstej oberży, zastanowił się, że poszukiwania te są poniekąd bezcelowe. Ponieważ naznaczył służącemu spotkanie dopiero o godzinie szóstej rano, więc Planchet miał bezwarunkowo prawo uczynić ze swym czasem, co mu się żywnie podobało.

Zresztą i to przyszło młodzieńcowi na myśl, że, jeżeli pozostanie w pobliżu miejsca, gdzie dokonano porwania, łatwiej może uchwyci przewodnią nić tej tajemniczej sprawy. Jak mówiliśmy więc, w szóstej karczmie d'Artagnan zatrzymał się, kazał podać sobie flaszkę wina najlepszego gatunku, przysiadł w najciemniejszym kątku i postanowił w ten sposób doczekać do dnia. Lecz i tym razem zawiodły go nadzieje: chociaż bacznie wytężał słuch, nie zdołał się nic dowiedzieć; przekleństwa, wyuzdane piosenki i wymyślania wzajemne robotników, służących i woźniców, składających tę zacną kompanję, do której przyłączył się mimowoli, nie mogły naprowadzić go na ślad nieszczęśliwej uprowadzonej kobiety.

Wysączywszy zatem z nudów butelkę, rad nie rad, aby nie budzić podejrzeń, umieścił się, jak mógł najwygodniej, w swym kątku i zdrzemnął się. Jak wiemy, d'Artagnan miał lat dwadzieścia, a w tym wieku sen posiada nieprzeparte niczem prawa, które narzuca najbardziej nawet zrozpaczonym sercom.

Około godziny szóstej rano d'Artagnan obudził się, odczuwając te znużenie, jakie zwykle objawia się po źle spędzonej nocy. Niewiele potrzebował czasu, aby doprowadził do porządku swoje ubranie. Przedewszystkiem pomacał się po kieszeniach, chcąc się przekonać, czy ktoś nie skorzystał z jego drzemki i nie okradł go. Znalazłszy jednak pierścień djamentowy na palcu, kieskę w kieszeni, a pistolety za pasem, podniósł się z ławy, zapłacił za wino i wyszedł z karczmy, spodziewając się, że może ranne poszukiwanie służącego będzie uwieńczone pomyślniejszym skutkiem, aniżeli nocne. Istotnie pierwszym człowiekiem, jakiego ujrzał poprzez wilgotne szarawe mgły poranku był zacny Planchet, który, trzymając dwa konie, oczekiwał nań przed bramą małej, schyłonej ku ziemi karczemki. D'Artagnan przeszedł w nocy obok, niezauwszy jej wcale.

XXV.

PORTOS.

Zamiast powrócić do domu, d'Artagnan zsiadł z konia przed brамą pałacu pana de Treville i wbiegł szybko po schodach do jego gabinetu. Tym razem postanowił opowiedzieć mu wszystko, co zaszło. Nie wątpił, że pan de Treville może mu dać w tej sprawie jakąś dobrą radę; prócz tego, widując codziennie królowę, mógł także zaciągnąć od niej wiadomości o nieszczęśliwej kobiecie, której z pewnością kazano zapłacić tak drogo właśnie za przywiązanie do swej pani.

Pan de Treville wysłuchał opowiadania młodego człowieka z powagą, świadczącą, że upatruje w tem zajściu coś więcej, aniżlei zwykłą intrygę miłosną. Gdy zaś d'Artagnan skończył, zwrócił się do niego ze słowami:

— Hm! hm! w tem wszystkiem czuć już o milę Jego Eminencję.

— Ale co czynić? — zapytał d'Artagnan.

— Nic, absolutnie nic innego, prócz tego, co już doradzałem a mianowicie jak najszybciej opuścić Paryż. Zobaczę się z królową, opowiem jej szczegóły zniknięcia tej nieszczęśliwej kobiety, o czem zapewne nie wie jeszcze wcale, a szczegóły te posłużą jej za wskazówkę do działania. Może zaś po powrocie pańskim będę mógł już udzielić panu pomyślnych wiadomości. Niech mi pan zaufa.

D'Artagnan wiedział, że pan de Treville, aczkolwiek Gaskończyk, nie lubił dawać przyrzeczeń, — jeżeli jednak już coś przyrzekł, dotrzymywał zawsze, więcej nawet, aniżeli przyrzekał. Pożegnał go więc d'Artagnan, pełen wdzięczności za przyszłą i przyszłą opiekę, a zacny kapitan, odczuwający żywą sympatję dla tego młodzieńca, tak dzielnego i energicznego, uścisnął mu gorąco rękę, życząc szczęśliwej podróży.

Postanowiwiszy wprowadzić natychmiast w czyn radę pana de Treville, d'Artagnan udał się prosto na ulicę Grabarzy, aby spa-

kować tłomoczek podróżny. Podchodząc do domu, ujrzał pana Bonacieux na progu w porannem ubraniu. Wszystko to, co mądry Planchet mówił dnia poprzedniego o przewrotnym charakterze ich gospodarza, stanęło mu żywo w pamięci, i począł z większą niż zawyczaj, uwagą obserwować go. Istotnie, pomijając żółtawą i chorobliwą bladość, która dowodziła, że żółć przenika do krwi tego człowieka, co zresztą mogło być przypadkowe, d'Artagnan dostrzegł w jego rysach jakąś przewrotną nieszczerość. Oszust uśmiecha się inaczej, aniżeli człowiek uczciwy; obłudnik płacze innemi łzami, niż człowiek dobrej wiary. Wszelki fałsz jest maską, a chociażby była ona najdoskonalsza, zawsze, przy pewnej uwadze, poznać ją można na twarzy.

D'Artagnanowi wydało się, że maska, jaką nosi pan Bonacieux, jest najwstrętniejszą ze wszystkich na świecie.

W następstwie tego spostrzeżenia, przejęty odrazą do tego człowieka, postanowił przejść obok niego, nie odzywając się ani słowem. Ale pan Bonacieux, tak, jak poprzedniego dnia, zaczepił go pierwszy:

— Otóż to, młodzieńcze! — odezwał się, — zdaje się, że wesoło spędzamy noce... Do licha! już siódma rano! Jak widzę, zmieniasz pan istniejący porządek rzeczy i powracasz wtedy, kiedy inni wychodzą z domu.

— Panu nie można uczynić podobnego zarzutu, mości panie Bonacieux — odpowiedział młody człowiek; — jesteś pan wzorem porządnych ludzi, Co prawda, skoro się ma młodą i przystojną żonę, nie potrzeba uganiać się za szczęściem: szczęście przychodzi samo do pana... Nieprawdaż, panie Bonacieux?

Bonacieux zbladł, jak trup, i wykrzywił usta uśmiechem.

— Ho! ho! — zawołał, — jesteś pan wesołym kompanem. Ale gdzież tu, u djabła, goniłeś dzisiaj w nocy, mój młody panie? Możnaby sądzić, że manowce nie były nazbyt wygodne...,

D'Artagnan spojrzał na swoje obuwie, całkowicie pokryte błotem, — ale przy tej sposobności powiódł jednocześnie spojrzeniem po butach kramarza. Możnaby było twierdzić, że ktoś unurzał je w tej samej kałuży; jedne i drugie miały bezwarunkowo to samo błoto na sobie.

Nagła myśl przemknęła mu przez głowę. Tym małym, niskim, szpakowatym człowiekiem, odzianym w ciemne suknie, a wyglądającym na lokaja, tym człowiekiem, któremu żołnierze, należą-

cy do eskorty, nie okazywali wcale szacunku, był najpewniej sam pan Bonacieux. Mąż przewodził przy uprowadzeniu żony.

D'Artagnan uczuł straszną ochotę pochwycić go za gardło i zadusić. Ponieważ jednak — jak mówiliśmy — był roztropnym młodzieńcem, przeto zapanował nad sobą. Jednakże wzburzenie wewnętrzne objawiło się tak silnie na jego obliczu, że Bonacieux przeraził się i chciał się cofnąć o krok. Niestety, stał właśnie nawprost zamkniętej połowy bramy, i przeszkoda ta zmusiła go do zatrzymania się na miejscu.

— Tak, tak! — rzekł d'Artagnan. — Żartujesz sobie ze mnie mój dobry panie; ale zdaje mi się, że jeżeli moje obuwie potrzebują oczyszczenia gąbką, to nie mniej także twoim butom i pończochom przydałaby się szczotka. Czyżbyś i pan włóczył się po nocy, panie Bonacieux? Do djabła! to już trudniej wybaczyć człowiekowi w pańskim wieku, mającemu w dodatku młodą i ładną żonę...

— Och! uchowaj Boże! — odpowiedział Bonaciex. — Byłem wczoraj w Saint-Mande, aby się wywiedzieć o służącą, bez której w żaden sposób poradzić sobie nie mogę. Ponieważ droga była jak najgorsza, zabłociłem się tak strasznie, a nie miałem jeszcze czasu oczyścić się.

Oznaczenie przez pana Bonacieux miejsca, mającego być celem jego podróży, było nowym dowodem, popierającym podejrzenia, jakie się zrodziły w myśli d'Artagnana. Bonacieux dlatego mówił, że był w Saint-Mande, bo miejscowość ta leży w zupełnie przeciwnej stronie, iż Saint-Cloud.

Podejrzenia te jednak stały się zarazem dla d'Artagnana pierwszą pociechą. Jeżeli Bonacieux wiedział, gdzie się znajduje jego żona, można było zawsze, używając choćby ostatecznych środków, rozewrzeć mu zęby i zmusić go do wyjawienia tajemnicy. Teraz szło jedynie o to, aby przypuszczenia zamienić w pewność.

— Niech mi pan wybaczy, panie Bonacieux — odezwał się d'Artagnan, — że postąpię z panem nazbyt swobodnie; jednakże nic mnie tak nie podnieca, jak brak snu, a przytem mam szalone pragnienie. Pozwolisz pan zatem, że wypiję u ciebie szklankę wody; sąsiadowi nie odmawia się takiej drobnostki.

I nie czekając na pozwolenie swego gospodarza, d'Artagnan wszedł szybko do mieszkania i przedewszystkie spojrzał na łóżko. Było nietknięte. Bonacieux nie kładł się tej nocy; mu-

siał powrócić do domu dopiero przed godziną czy dwiema; towarzyszył zatem żonie aż na miejsce, gdzie ją wywieziono, albo przynajmniej do pierwszej stacji.

— Dzięki, panie Bonacieux, — rzekł d'Artagnan, wychylając szklankę wody. — Oto wszystko, czego pragnąłem od ciebie. Wrócę teraz do domu i każę Planchetowi wyczyścić sobie buty, a kiedy będzie wolny, przyślę go tutaj, jeżeli to panu dogadza, aby wyczyścił i pańskie obuwie.

Rzekłszy to, wyszedł z mieszkania kramarza, zdumionego tem szczególnem pożegnaniem, po drodze zaś pytał sam siebie, czy przypadkiem nie pokpił sprawy.

Na szczycie schodów spotkał Plancheta, który objawiał ogromne zaniepokojenie.

— Ach, panie! — zawołał, ujrzawszy d'Artagnana, — znowu coś nowego! Nie mogłem doczekać się pańskiego przybycia.

— Cóż takiego? — spytał d'Artagnan.

— Założyłbym się o sto przeciw jednemu, nawet o tysiąc przeciw jednemu, że nie odgadłby pan, jaką tu miałem wizytę podczas pańskiej nieobecności.

— Kiedy?

— Przed pół godziną, w tym samym czasie, kiedy się pan znajdował u pana de Treville.

— Więc któż tu był? gadajże prędzej!

— Pan de Cavois.

— Pan de Cavois?

— We własnej osobie.

— Kapitan gwardji Jego Eminencji?

— Tak, panie.

— Czy przyszedł może uwięzić mię?

— Takby należało przypuszczać, aczkolwiek miał bardzo układną minę.

— Układną minę, powiadasz?

— Możnaby powiedzieć, że był słodki, jak miód.

— Doprawdy?

— Przyszedł, jak twierdził, aby prosić pana w imieniu Jego Eminencji, który ma być dla pana nader życzliwie usposobiony, o udanie się wraz z nim do Palais-Royal.

I cóż mu odpowiedziałeś?

— Że jest to niemożliwością, bo znajduje się pan poza domem, jak sam może się o tem przekonać.

A cóż on na to?

— Prosił, abyś pan koniecznie przybył do niego w ciągu dnia, potem zaś dodał przyciszonym głosem: "Powiedz twemu panu, że Jego Eminencja jest dla niego nadzwyczajnie przychylnie usposobiony i że od tego spotkania zależeć może cała przyszłość twego pana."

— Jak na kardynała, niezbyt zręcznie zastawione sidła — zauważył młodzieniec z uśmiechem.

— Ja upatrywałem w tem także zasadzkę, ale odpowiedziałem, że będzie pan niepocieszony po powrocie.

— Dokądże pan wyjechał? — spytał mnie pan de Cavois. — Do Troyes w Szampanji — odpowiedziałem.

— A kiedyż wyruszył w drogę? — Wczoraj wieczorem — oświadczyłem mu.

— Przyjacielu Planchecie — przerwał mu d'Artagnan, — jesteś poprostu nieocenionym skarbem.

— Pomyślałem sobie, że, gdyby pan chciał się zobaczyć z panem de Cavois, będzie zawsze czas odwołać moje słowa i oświadczyć, iż nie wyjeżdżałeś pan nigdzie. W takim razie mnie tylko uważanoby za kłamcę, a ponieważ nie jestem szlachcicem, więc wolno mi kłamać.

— Nie bój się, Planchecie; będziesz miał opinję człowieka prawdomównego, bo wyjeżdżamy za kwadrans.

— I ja chciałem panu to samo poradzić. A dokądże jedziemy, jeżeli wolno mi zapytać?

— W stronę zupełnie przeciwną tej, którą wymieniłeś panu de Cavois. Czyż nie pilno ci zresztą dowiedzieć się czegoś o Grimaudzie, o Mousquetonie i o Bazinie, tak, jak ja pragnąłbym już wiedzieć nareszcie, co się dzieje z Atosem, Portosem i Aramisem?

— Istotnie, panie. I pojadę, kiedy rozkażesz. A jak sądzę, powietrze na prowincji będzie nam lepiej służyło w tej chwili, aniżeli paryskie. Zatem...

— Zatem zapakuj rzeczy, Planchecie, i ruszamy w drogę. Ja pojadę naprzód, trzymając ręce w kieszeniach, aby nie wzbudzić niczyjej nieufności. Spotkasz się ze mną w pałacu gwardji. Ach, prawda, Planchecie! zdaje mi się, że nie omyliłeś się w sądzie o naszym gospodarzu; jest to niewątpliwie skończony łotr.

— O! skoro ja mówię, powinieńś mi pan wierzyć; ja znam się na ludziach.... ho, ho! i jak jeszcze!

D'Artagnan wyszedł pierwszy, jak się umówili. Aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, wstąpił jeszcze raz jeden do mieszkań swych przyjaciół. Nie miano tam o nich żadnej wieści; nadszedł jedynie dla Aramisa list, przesycony wonnościami, zaadresowany wytwornem, drobniutkiem pismem. D'Artagnan zabrał go. W dziesięć minut później Planchet spotkał się ze swym panem w stajniach pałacu gwardji. Aby nie tracić czasu, d'Artagnan sam osiodłał sobie konia.

— Dobrze — rzekł, zwracając się do Plancheta, który tymczasem przytroczył tobołki. — Teraz osiodłaj jeszcze tamte trzy konie, i jedziemy.

— Czy sądzi pan, że pojedziemy szybciej, jeżeli każdy z nas mieć będzie po dwa konie? — zapytał Planchet z przebiegłą miną.

— Nie, kiepski kpiarzu — odparł d'Artagnna, — ale, posiadając te cztery konie, będziemy mogli przywieźć naszych trzech przyjaciół, o ile odnajdziemy ich jeszcze żywych.

— Byłoby to wielkie szczęście — rzekł Planchet. — Ale ostatecznie nie należy wątpić w miłosierdzie Boskie.

— Amen— odpowiedział d'Artagnan, dosiadając konia.

Wyjechawszy z hotelu gwardji, oddalili się każdy w inną stronę: jeden miał opuścić Paryż przez rogatki de la Villette, drugi przez rogatki Montmartre. Za miejsce spotkania obrali drogę poza Saint-Denis. Był to manewr strategiczny, który wykonany z największą dokładnością, został uwieńczony jaknajlepszym wynikiem. Do Pierrefitte wjechali już obaj razem.

Zaznaczyć trzeba, że Planchet był w dzień odważniejszy, aniżeli w nocy, a wrodzona przezorność nie opuszczała go ani na chwilę. Nie zapominał żadnego szczegółu z pierwszej podróży i uważał za wrogów wszystkich ludzi, jakich napotkali na drodze. Następstwem tego było, że trzymał ustawicznie kapelusz w ręku, co znowu surowo zganił dArtagnan, obawiając się, by z powodu tego nadmiaru grzeczności nie uważano Plancheta za chudopacholskiego sługę.

Nie wiadomo, czy dlatego, że ta uprzejmość wzruszała istotnie przejezdnych, czy też dlatego, że tym razem nie nasłano na nich nikogo po drodze, — podróżnicy nasi przybyli do Chantilly bez najmniejszego wypadku i zsiedli z konia przed oberżą Grand-Saint-Martin, w której zatrzymywali się już podczas pierwszej podróży.

Oberżysta, ujrzawszy młodego człowieka z pachołkiem, prowadzącym luzem trzy konie, wyszedł z szacunkiem przed próg domu. Ponieważ ujechali już jedenaście mil, d'Artagnan uznał za stosowne zatrzymać się bez względu na to, czy znajdzie Portosa w oberży, czy nie. Prócz tego nie byłoby może roztropnem wypytywać odrazu, co się stało z muszkieterem. Wynikiem tego namysłu było, że d'Artagnan, nie wywiadując się o nic, zeskoczył z siodła, zalecił swemu służącemu uwagę na konie, wszedł do małego pokoju, przeznaczonego dla gości, którzy pragnęli samotności, i kazał gospodarzowi, aby mu podał flaszkę najlepszego wina, jakie posiada, i aby przygotował śniadanie, również możliwie najlepsze. Rozkaz ten wzmocnił jeszcze dobre o gościu mniemanie, jakiego gospodarz nabrał z pierwszego zaraz wejrzenia.

Obsłużono d'Artagnana z cudowną szybkością.

Pułk gwardyjski rekrutował się z najlepszej szlachty w całem królestwie. D'Artagnan, mający służącego i cztery wspaniałe konie, nie mógł mimo prostoty munduru, nie zwrócić na siebie uwagi. Oberżysta pragnął go sam obsłużyć, co widząc, d'Artagnan kazał przynieść dwie szklanki i nawiązał z nim następującą rozmowę:

— Na honor, kochany panie oberżysto — mówił, nalewając obiedwie szklanki, — zażądałem najlepszego, jakie masz, wina; jeżeli więc oszukałeś mię, zostaniesz sam ukarany tem, czem zgrzeszyłeś; zważywszy bowiem że nie lubię pić sam, musisz mi dotrzyać kompanji. Bierz zatem szklankę i pij. Za czyjeż wypijemy zdrowie, aby nie zranić niczyjej miłości własnej? Pijmy nalepiej za pomyślność twojego zakładu.

— Wasza Dostojność czyni mi zaszczyt — odparł oberżysta. — Dziękuję serdecznie za dobre pańskie życzenia.

— Nie chcę, abyś pan źle rozumiał moje słowa — zauważył znowu d'Artagnan. — Może toast ten jest bardziej samolubny, aniżeli przypuszczasz. Te jedynie zakłady mają powodzenie, w których goście są dobrze przyjmowani; tam natomiast, gdzie panuje nieład, gość pada ofiarą kłopotów swego gospodarza. Ja zaś, podróżując wiele, zwłaszcza w tym kierunku, pragnąłbym widzieć wszystkich oberżystów dochodzących do majątku.

— Istotnie — odparł oberżysta — zdaje mi się, że nie pierwszy raz mam zaszczyt pana widzieć.

— Ba! Przejeżdżałem tędy do Chantilly może z dziesięć razy, a z tych dziesięciu conajmniej trzy lub cztery razy zatrzymywałem się w pańskiej gospodzie. Prawda, byłem tu także przed dziesięciu czy dwunastu dniami, odprowadzając moich przyjaciół muszkieterów. Jeden z nich właśnie zawikał się w spór z jakimś przejezdnym nieznajomym, który, nie wiadomo z jakiej przyczyny, szukał z nim zaczepki.

— Ach tak! prawda! przypominam sobie doskonale. Czy to nie o panu Portosie mówi Wasza Dostojność?

— Tak właśnie nazywał się mój towarzysz podróży. Mówże, na Boga, drogi gospodarzu! czy może spotkało go jakie nieszczęście?

— Jak sobie Wasza Dostojność przypomina, nie mógł on puścić się w dalszą drogę.

— Istotnie. Przyrzekł jednak podążyć za nami, tymczasem nie widzieliśmy go więcej.

— Zaszczycił nas bowiem, pozostając tutaj.

— Jakto: zaszczycił was, pozostając tutaj?

— Tak jest, panie, w tej gospodzie. I nawet niepokoi nas to pod pewnem względem.

— Dlaczego?

— Z powodu należności za pobyt.

— Cóż znowu? — Z pewnością zapłaci wszystko, co się będzie należało.

— Ach, panie! doprawdy wlewasz balsam w moje żyły! Poczyniliśmy na jego rachunek znaczne wydatki a jeszcze dzisiaj rano oświadczył chirurg, że, jeżeli pan Portos nie zapłaci mu, co się należy, wystąpi przeciwko mnie ze skargą, gdyż to ja go wezwałem.

— Zatem Portos jest ranny?

— Nie wiem, jak to powiedzieć.

— Nie wiesz pan, jak powiedzieć? Jakże to? Przecież pan powinienbyś lepiej wiedzieć o wszystkiem, aniżeli ktokolwiek inny.

— Tak jest, ale w naszym zawodzie nie zawsze mówi się to, co się wie, zwłaszcza, jeżeli komuś zagrożono, że jego uszy mogą odpowiadać za nazbyt długi język.

— Ach, tak!? Ale przecie mogę się sam zobaczyć z panem Portosem?

— Oczywiście, proszę pana. Niech pan wejdzie po schodach na pierwsze piętro i zapuka do drzwi Nr. 1. Jednak należy przed tem uprzedzić, że to pan jest właśnie....

— A to znowu dlaczego?

— Bo inaczej mogłoby pana spotkać nieszczęście.

— I jakież to nieszczęście mogłoby mię spotkać?

— Pan Portos mógłby uważać pana za kogoś z domowników i w przystępie gniewu przeszyć pana na wylot szpadą, albo też w leb panu palnąć.

— Cóżeście mu zawinili?

— Żądaliśmy zapłaty.

— Do licha! pojmuję to. Portos wita z wielkiem niezadowoleniem tego rodzaju żądania, gdy nie ma pieniędzy. O ile mi jednak wiadomo, powinienby obecnie mieć pieniądze.

— Tak samo i my sądziliśmy, proszę pana. Ponieważ zaś w naszej gospodzie panuje wzorowy porządek, a wszystkie rachunki przedstawia się co tydzień do zapłaty, więc po upływie ośmiu dni zawiadomiliśmy go, co się nam należy. Widocznie jednak był w tej chwili źle usposobiony, albowiem, usłyszawszy pierwsze słowo, odnoszące się do zapłaty, wysłał nas do wszystkich djabłów. Co prawda, grał wczoraj wieczorem w karty.

— Jakto? grał? z kimże?

— Ach, mój Boże! któż to wie? Z jakimś panem przejezdnym, któremu zaproponował partję lanksknechta.

— Tak, i oczywiście przegrał biedak wszystko?

— Wszystko, nawet konia. Gdy bowiem nieznajomy wyruszał w drogę, zauważyliśmy, że służący jego siodła konia pana Portosa. Zwróciliśmy na to jego uwagę, on jednak odparł, że mieszamy się w nieswoje sprawy i że koń należy do niego. Uprzedziliśmy również pana Portosa, o tem, co się dzieje; lecz ten odpowiedział, że trzeba być błaznem, aby powątpiewać w słowo szlachcica, i że skoro szlachcic twierdzi, jakoby koń należał do niego, to widocznie tak być musi.

— Zawsze taki sam! — szepnął d'Artagnan.

— Wówczas — opowiadał dalej gospodarz — kazałem mu oświadczyć, że skoro nie możemy się porozumieć co do zapłaty, nie tracę przynajmniej nadziei, iż zechce okazać swą łaskę także mojemu sąsiadowi z pod "Złotego Orła" i da mu również coś zarobić. Pan Portos odpowiedział na to, że uważa moją obelżę za najlepszą i że tu pozostanie. Odpowiedź ta była nazbyt

dla mnie pochlebną, abym nalegał na jego wyprowadzenie. Poprzestałem więc jedynie na prośbie, aby był łaskaw ustąpić z zajmowanego pokoju, najpiękniejszego w całej gospodzie, i przenieść się do ładnego, małego gabinetu na trzeciem piętrze. Na propozycję tę odpowiedział pan Portos, że oczekuje lada chwila przybycia swej kochanki, która jest jedną z największych dam dworu, wobec czego powinienem zrozumieć, że nawet ten pokój, który on teraz zajmuje w mojej gospodzie, wyświadczając mi tem niemały zaszczyt, jest jeszcze aż nazbyt skromny dla takiej osoby. Nie wątpiąc bynajmniej w wiarogodność jego słów, obstawałem jednak przy mojem żądaniu. Wtedy pan Portos, nie zadając sobie wcale trudu wdawania się ze mną w rozmowę, wziął pistolet, położył go na nocnym stoliku i oświadczył, że za pierwszem słowem o jakichkolwiek przenosinach, czyto na zewnątrz, czy wewnątrz, roztrzaska łeb temu, ktoby był o tyle nierozważny, aby mieszać się w sprawę, nie obchodzącą nikogo, oprócz niego samego. Od tej chwili zatem, proszę pana, nie wchodzi nikt do jego pokoju, z wyjątkiem jego własnego służącego.

— Więc Mousqueton jest tutaj?

— Tak jest, panie. Powrócił w pięć dni po wyjeździe w bardzo złym humorze; widocznie więc i jego spotkała jakaś nieprzyjemność podczas podróży. Na nieszczęście jest on bardziej ruchliwy od swego pana, co sprawia, że przewraca tutaj wszystko do góry nogami. Przypuszcza też widocznie, że prośby jego mogłyby się spotkać z odmową, i dlatego bierze bez proszenia wszsytko, czego potrzebuje.

— Istotnie — odpowiedział d'Artagnan — zauważyłem to już, że Mousqueton okazuje wierność i inteligencję niepospolitą.

— To bardzo możliwe, proszę pana. Ale pomyśl pan, że jeżeli tylko cztery razy do roku będę miał sposobność natrafić na podobną wierność i inteligencję, niewątpliwie pójdę z torbami.

— Bynajmniej, gdyż pan Portos zapłaci wszystko, co winien.

— Hm! — mruknął oberżysta z powątpiewaniem.

— Jest on ulubieńcem pewnej wielkiej damy, która z pewnością nie narazi go na kłopoty z powodu tej drobnostki, jaką panu winien.

— Gdybym tylko śmiał powiedzieć, co o tem sądzę...

— A cóż pan sądzisz?

— Mogę powiedzieć raczej, co wiem....

— A cóż pan wiesz?
— I czego nawet jestem pewny...
— A czegoż pan jesteś pewny?
— Powiedziałbym, że znam tę wielką damę.
— Pan?
— Tak jest.
— W jakiż sposób ją poznałeś?
— O, panie! gdybym mógł zaufać pańskiej dyskrecji....
— Mów pan; ręczę słowem szlacheckiem, że nie będziesz potrzebował żałować tego zaufania.
— Zrozumie pan przedewszystkiem, że zaniepokojenie popycha człowieka do rozmaitych środków.
— I cóż pan uczyniłeś?
— Och! nic takiego zresztą, do czego wierzyciel nie miałby prawa.
— A zatem?
— Pan Portos dał nam list do tej księżnej, polecając oddać go na pocztę. Ponieważ zaś służący jego nie wrócił był jeszcze, a on sam nie mógł wychodzić z pokoju, musiał nas obarczać swemi zleceniami.
— Cóż dalej?
— Zamiast oddać list na pocztę, co nigdy nie zapewnia całkowicie, że dostanie się on pod właściwym adresem, skorzystałem ze sposobności, że jeden z moich pachołków jechał do Paryża, i poleciłem mu oddać list do rąk własnych księżnej. Wypełniłem w ten sposób tylko dokładniej zlecenie pana Portosa, który mi tak bardzo ten list polecał. Nieprawdaż?
— Przypuśćmy.
— I czy wiesz pan, kto jest ta wielka dama?
— Nie; słyszałem jedynie, jak Portos o niej mówił.
— Czy wiesz pan zatem, kto jest ta rzekoma księżna?
— Powtarzam, że nie znam jej wcale.
— Jest to stara żona prokuratora w Chatelet, nazwiskiem Coquenard, która liczy mniej-więcej pięćdziesiąt lat życia, a jednak mimoto udaje jeszcze zazdrosną. Odrazu zresztą dziwiłem się, aby jakaś księżna mieszkała przy ulicy Niedźwiedziej.
— Skądże wiesz pan o jej zazdrości?
— Ponieważ, otrzymawszy ten list, wpadła w straszny gniew i wykrzykiwała, że pan Portos jest wietrznikiem i że z pewnością z powodu jakiejś kobiety odniósł swą ranę.

— Więc jest ranny?

— Ach, mój Boże! co ja też gadam?

— Powiedziałeś pan, że Portos jest ranny.

— Tak jest; jednakże zabroniono mi najsurowiej mówić o tem.

— Dlaczego?

— Hm! Pan Portos przechwalał się, że nadzieje na rożen tego nieznajomego, z którym rozpoczął kłótnię w chwili, kiedy pan odjeżdżałeś; a tymczasem przeciwnie, mimo całej fanfaronady, ten nieznajomy powalił go na ziemię. Ponieważ zaś pan Portos jest człowiekiem o głośnem nazwisku, nie chciał się przyznać przed nikim, że został pokłóty rapierem, z wyjątkiem jednej księżnej, którą chciał rozczulić opowieścią o swojej przygodzie.

— A więc to odniesione rany przykuły go do łóżka?

— Było to mistrzowskie pchnięcie, zaręczam panu. Możnaby sądzić, że przyjaciel pański ma duszę, przymocowaną gwoździami do ciała.

— Czy byłeś pan obecny przy walce?

— Poszedłem za nimi przez ciekawość i przyglądałem się w ten sposób, że walczący nie zauważyli mię wcale.

— Jakiż był przebieg?

— Och! walka trwała zaledwie krótką chwilę, może mi pan wierzyć. Stanęli naprzeciwko siebie; nieznajomy udał zwodzone cięcie, a potem rąbnął z całej siły, i to tak szybko, że, zanim pan Portos mógł się zasłonić, żelazo przeciwnika utkwiło mu już na głębokość trzech cali w piersi. Upadł nawznak. Wówczas nieznajomy oparł mu koniec szpady na gardle, a pan Portos, widząc, że znajduje się na łasce przeciwnika, uznał się za pokonanego. Potem nieznajomy zapytał go o nazwisko, a dowiedziawszy się, że nazywa się Portos, nie zaś d'Artagnan, sam pomógł mu dźwignąć się z ziemi, odprowadził go do gospody, poczem wsiadł na konia i zniknął.

— A zatem nieznajomy ten szukał pana d'Artagnana?

— Takby się zdawało.

— A czy wiesz pan, co się z nim stało?

— Nie; widziałem go wtedy poraz pierwszy; odtąd też nie pokazał się więcej.

— Wybornie; wiem już. co chciałem wiedzieć. Mówiłeś pan zatem, że pokój pana Portosa znajduje się na pierwszem piętrze pod Nr. 1?

— Tak, panie; jest to najpiękniejszy pokój w całej gospodzie, i przez ten czas mogłem już był wynająć go z dziesięć razy.

— Uspokój się pan— rzekł d'Artagnan z uśmiechem. — Portos zapłaci panu pieniędzmi, jakie otrzyma od księżnej Coquenard.

— Och, panie! to mi wszystko jedno, czy byłaby to księżna, czy żona prokuratora, byleby tylko rozwiązała supełki swego worka. Ale ona oświadczyła stanowczo, że ma już dosyć tych wymagań i wiarołomstwa pana Portosa, i że mu nie da więcej ani grosza.

— Czy powtórzyłeś pan tę odpowiedź swemu gościowi?

— Uchowaj Boże! byłby się przecież dowiedział, w jaki sposób wypełniliśmy jego zlecenie.

— Więc czeka jeszcze ciągle na pieniądze?

— Tak jest. Wczoraj jeszcze pisał powtórnie; ale tym razem jego służący odniósł list na pocztę.

— I twierdzisz pan, że prokuratorowa jest stara i brzydka?

— Ma co namjmniej lat pięćdziesiąt i nie może wcale uchodzić za piękną, jak mówił Pataud.

— W takim razie możesz pan być spokojny, że pozwoli się ubłagać! Zresztą Portos nie jest panu zapewne dużo winien.

— Jakto, nie dużo! Jak dotąd dwadzieścia pistolów, nie wliczając zapłaty chirurga. Och! nie odmawia sobie niczego; widać zaraz, że przyzwyczajony do dobrego życia.

— Zresztą chociażby nawet opuściła go kochanka, znajdą się jeszcze przyjaciele, zaręczam panu. Tak więc, kochany gospodarzu, nie miej wcale obawy i nie ustawaj w pieczołowitości, jakiej stan jego wymaga.

— Obiecał mi pan nie wspomnieć ani słowa o prokuratorowej, jakoteż o odniesionej ranie.

— Tak; dałem na to słowo.

— Widzi pan, on gotówby mnie zabić...

— Nie lekaj się; nie taki djabeł straszny, jak się wydaje.

To powiedziawszy, d'Artagnan wszedł na schody, pozostawiając gospodarza, uspokojonego nieco pod dwoma względami, o które mu widocznie najbardziej chodziło: o dług i o życie.

Na najokazalszych drzwiach w korytarzu na pierwszem piętrze wypisana była czarnym atramentem na olbrzymia jedynka. D'Artagnan zapukał, a gdy z wewnątrz usłyszał wezwanie do wejścia, otworzył drzwi.

Portos, leżąc na łóżku, grał z Mousquetonem w dansknechta, aby — jak twierdził — nie wychodzić z wprawy. Nad ogniem obracał się rożen, z nadzianemi kuropatwami; w rogach wielkiego kominka na rozżarzonych węglach dymi dwa rondle, z których wydobywał się, łechcący powonienie zapach potrawy z królika i z ryb. Prócz tego wierzch biurka i marmur komody były zastawione wypróżnionemi butelkami.

Ujrzawszy przyjaciela, Portos zerwał się z głośnym okrzykiem radości; Mousqueton powstał z uszanowaniem, odstąpił gościowi swoje miejsce, sam zaś poszedł zajrzeć do obu rondli, nad którymi roztaczał widocznie szczególną pieczę .

— Na Boga! to ty, d'Artagnanie — zawołał Portos. — Witaj że mi, przyjacielu, i wybacz, że nie wyszedłem na twoje spotkanie. Ale — dodał, spoglądając z pewnym niepokojem na d'Artagnana — wiesz już zapewne, co mię spotkało?

— Nie.

— Oberżysta nic ci nie mówił?

— Przedewszystkiem pytałem go o ciebie i przychodzę prosto tutaj.

Mogło się wydawać, że Portos odetchnął swobodniej.

— A cóż cię spotkało, drogi Portosie? — pytał dalej d'Artagnan.

— Gdy nacierałem na przeciwnika, któremu zadałem już trzy cięcia szpadą i chciałem właśnie zadać czwarte mając zakończyć walkę, nastąpiłem przypadkiem na kamień i zwichnąłem nogę.

— Czy być może?

Na honor! upiekło się szczęśliwie temu łajdakowi, bo inaczej, zaręczam ci, byłbym go ubił na miejscu.

— A cóż się z nim stało?

— Och! tego nie wiem; dostał już dosyć i odjechał, nie pytając o resztę. Lecz co się z tobą działo, drogi d'Artagnanie?

— I to zwichnięcie nogi zatrzymuje cię w łóżku? — pytał dalej d'Artagnan, nie dając się zbić z tropu.

— Ach, mój Boże! tylko to... Zresztą za kilka dni już wstanę.

— Dlaczegoż nie kazałeś się przewieźć do Paryża? Musiałeś się tutaj okropnie nudzić?

— Miałem ten zamiar; muszę jednak przyznać ci się do czegoś.

— Do czego?

— Otóż, ponieważ nudziłem się strasznie, jak słusznie zauważyłeś, a miałem w kieszeni sześćdziesiąt pistolów, które mi wydzieliłeś zaprosiłem tu do siebie pewnego przejezdnego szlachcica i, aby się rozerwać, zaproponowałem mu grę w kości. Zgodził się na to, a w rezultacie, na honor, sześćdziesiąt pistolów powędrowało z mojej kieszeni do jego, nie licząc mego konia, którego zabrał na dokładkę. Ale cóż ty, drogi d'Artagnanie.

— Cóż chcesz, kochany Portosie! nie można był uprzywilejowanym przez los w każdym kierunku — rzekł d'Artagnan. — Znasz przysłowie: "Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości." Jesteś nazbyt szczęśliwy w miłości, by fortuna nie mściła się za to w grze. Ale cóż cię obchodzi jej niełaska? Czyż nie masz, szczęliwy człowieku, czyż nie masz swej księżnej, która niewątpliwie pospieszy ci z pomocą?

— Otóż, widzisz, drogi d'Artagnanie, gram nieszczęśliwie — odezwał się Portos z najswobodniejszą miną. — Ale pisałem do niej, prosząc, aby mi przysłała kilkadziesiąt ludwików, których bezwarunkowo potrzebuję ze względu na położenie, w jakiem się znalazłem.....

— I cóż?

— Musiała widocznie wyjechać do swych dóbr, gdyż dotąd nie otrzymałem odpowiedzi.

— Doprawda?

— Tak jest. Wczoraj jednak wystosowałem do niej jeszcze jedną prośbę i jeszcze gorętszą. Ale mówmy raczej o tobie, mój drogi. Przyznaję, że zaczynałem się już niepokoić nieco o ciebie.

— Jak się zdaje, gospodarz twój obchodzi się z tobą bardzo dobrze, kochany Portosie — mówił d'Artagnan, wskazując pełne rondle i wypróżnione flaszki.

— Ujdzie, ujdzie od biedy! — odparł Portos. — Przed trzema czy czterema dniami przyniósł mi ten gbur rachunek; ale wyrzuciłem go razem z nim za drzwi, wsutek czego jestem tu niejako na prawach zaborcy albo zwycięzcy. Widzisz też, że oba-

wiając się zostać wypartym siłą ze stanowiska, jestem uzbrojony od stóp do głów.

— Jednakże — zauważył d'Artagnan ze śmiechem zdaje mi się, że od czasu do czasu urządzasz wycieczki z twierdzy.

I mówiąc to, wskazał palcem flaszki i rondle.

— Nie ja, niestety — odparł Portos; — nieszczęsne zwichnięcie nogi przykuwa mię do łóżka. To Mousqueton wiedzie bój i dostarcza żywności. Mój kochany Mousquetonie — zwrócił się Portos do służącego, — widzisz przecie, że przybyły nam posiłki; trzeba zatem przysporzyć zapasów.

— Mousquetonie — odezwał się d'Artagnan, — musisz mi wyświadczyć przysługę.

— Jaką, panie?

— Musisz udzielić swych wiadomości Planchetowi. I ja bowiem mogę się kiedyś znaleźć w oblężeniu, a nie gniewałbym się wcale, gdybym mógł wtedy korzystać z podobnych wygód, jakiemi ty otaczasz swego pana.

— Ach! mój Boże! — odpowiedział skromnie Mousqueton, — to bardzo łatwo; trzeba tylko mieć trochę sprytu, oto wszystko. Wychowałem się na wsi, a ojciec mój w wolnych chwilach polował nieco na cudzych gruntach.

— A na cóż obracał resztę czasu?

— Trudnił się rzemiosłem, które uważałem zawsze za wielce korzystne.

— Mianowicie?

— Ponieważ było to w czasach walk między katolikami a hugenotami, i widział, jak katolicy tępią hugenotów, a hugenoci tępią katolików, wszystko to zaś w imię religji, wytworzył więc sobie wiarę pośrednią między jedną a drugą, co pozwalało mu być naprzemian to hugenotą, to katolikiem. Zazwyczaj więc przechadzał się ze strzelbą na ramieniu poza przydrożnymi płotami, a skoro ujrzał nadchodzącego samotnego katolika, wiara protestancka brała natychmiast górę w jego sercu: wymierzał strzelbę w kierunku podróżnika, poczem, gdy tenże znajdował się już w odległości dziesięciu kroków, nawiązywał z nim rozmowę, która niemal zawsze kończyła się tem że przechodzień pozbywał się trzosa, aby ocalić życie. Nie potrzebuję mówić, że, skoro ojciec ujrzał nadchodzącego hugenotę, przejmowała go tak gorąca gorliwość katolicka, iż sam nie mógł pojąć, jakim sposobem na kwadrans przedtem mógł żywić, jakąś wątpliwość

co do wyższości naszej świętej wiary. Ja bowiem, panie, jestem katolikiem. Natomiast starszego brata uczynił ojciec, wierny swym zasadom, hugenotą.

— Jakże skończył ten zacny człowiek? — zapytał d'Artagnan.

— Ach! najbardziej nieszczęśliwie, jak tylko być może proszę pana. Pewnego dnia znalazł się na drodze wśród dzikiego wąwozu między katolikiem a hugenotą, z którymi już kiedyś poprzednio się zetknął, a którzy go teraz poznali. Złączyli się tedy przeciwko niemu i powiesili go na przydrożnem drzewie. Potem obaj przyszli do karczmy w najbliższej wsi, gdzie właśnie piliśmy z bratem, i chełpili się głośno czynem jakiego dokonali.

— A cóż wy na to? — spytał d'Artagnan.

— Pozwoliliśmy się im przechwalać — odparł Mousqueton. — Potem zaś, gdy wyszli z karczmy i udali się każdy w inną stronę, brat mój zaczaił się na drodze na katolika, a ja na protestanta: w dwie godziny później wszystko było skończone; każdy z nas wypełnił, co do niego należało. Podziwialiśmy przezorność ojca, który tak mądrze wychował nas każdego w innej wierze.

— Istotnie, Mousquetonie, na podstawie tego, co opowiadasz, ojciec twój wydaje mi się nader mądrym człowiekiem. I mówisz że w wolnych chwilach dzielny ten mąż zajmował się polowaniem na cudzych gruntach?

— Tak, panie. On też nauczył mnie zastawiać sidła i łowić ryby na wędkę. Dlatego też, widząc, że ten gałgan-oberżysta karmi nas pospolitem mięsem, dobrem dla włóczęgów, ale nie dla tak wycieńczonych żołądków, jak nasze, przypomniałem sobie coś-nie-coś dawne zajęcie. Przechadzając się zatem po lasach książęcych, zastawiam sieci na przesmykach, a wylegując się nad brzegiem stawów Jego Wysokości, zapuszczam ostrożnie wędkę do wody. W ten sposób, dzięki Bogu, jak może potwierdzić mój pan, nie brakuje nam teraz ani kuropatw, ani królików, ani karpi i węgorzy, które są pokarmem łatwostrawnym i zdrowym, odpowiednim zupełnie dla chorych.

— Lecz któż dostarcza wam wina? — pytał d'Artagnan. — — Czyżby sam oberżysta myślał o tem?

— Możnaby powiedzieć: i tak i nie.

— Jakto: i tak i nie?

— Jest naszym dostawcą, to prawda, ale nie wiem o tem wcale, że go ten zaszczyt spotyka.

— Wytłumacz się jaśniej, Mousquetonie; opowiadanie twoje obfituje w pouczające szczegóły.

— Sprawa zatem przedstawia się, jak następuje: Podczas moich przechadzek spotkałem przypadkowo pewnego Hiszpana, który widział bardzo wiele świata, a między innemi i Nowy Świat także.

— Jakiż związek może istnieć między Nowym Światem a temi flaszkami, stojącemi na biurku i na komodzie?

— Cierpliwości, panie; na wszystko przyjdzie kolej.

— Słusznie, Mousquetonie; polegam na tobie i słucham.

— Ów Hiszpan tedy miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, więc też przystaliśmy do siebie bardzo szybko, gdyż usposobienia nasze się zgadzały. Obaj lubiliśmy nadewszystko polować, wobec czego opowiadał mi, jak to w pampasach polują tubylcy, i bawoły, jedynie z pętlicami w ręku, które zarzucają na kark upatrzonej zwierzynie. Zrazu nie chciałem wierzyć, by można było dojść do tego stopnia wprawy i trafiać końcem sznura na odległość dwudziestu czy trzydziestu kroków tam, gdzie się chce. Przyjaciel mój ustawił flaszkę, w odległości trzydziestu kroków i za każdym rzutem chwytał ją za szyjkę pętlicą. Wobec tego naocznego dowodu trzeba było uwierzyć. Zabrałem się do ćwiczeń w tym kierunku, a ponieważ natura obdarzyła mię pewnemi zdolnościami, rzucam dzisiaj lassem tak samo celnie jak człowiek z Nowego Świata. A zatem pojmuje pan teraz? Gospodarz nasz posiada piwnicę, doskonale zaopatrzoną lecz z kluczami od niej nigdy się nie rozstaje. Piwnica ma jednakże okienko. Otóż przez to okienko zarzucam pętlicę, a ponieważ wiem już teraz, gdzie jest najlepszy kącik, więc stamtąd dobywam wino. W ten oto sposób, panie, pozostaje Nowy Świat w związku z flaszkami, stojącemi na biurku i na komodzie. A teraz zapewne zechce pan spróbować naszego wina i powiedzieć nam bez ogródek, co o niem sądzi.

— Dzięki ci, drogi przyjacielu, dzięki! Na nieszczęście jestem już po śniadaniu.

— Zatem nakryj stół, Mousquetonie — odezwał się Portos. — A podczas, gdy będziemy śniadali, d'Artagnan opowie nam, o tem, co się z nim działo w ciągu tych dziesięciu dni, odkąd się rozstaliśmy.

— Najchętniej — odparł d'Artagnan.

Podczas, gdy Portos i Mousqueton zajadali z apetytem rekonwalescentów i braterską serdecznością, jaką wytwarza wspólność w nieszczęściu, d'Artagnan opowiadał, jak to ranny Aramis zmuszony był pozostać w Crevecoeur, jak w Amiens opuścił Atosa, zmuszonego wyzwalać się z rąk czterech ludzi, oskarżających go, że jest fałszerzem pieniędzy, jak wreszcie on sam musiał przejść po brzuchu hrabiego de Wardes, aby się dostać do Anglji.

Na tem zakończył d'Artagnan swe zwierzenia; dodał tylko, że za powrotem z Wielkiej Brytanji przyprowadził cztery przepyszne rumaki, z których jeden jest przeznaczony dla niego, inne zaś dla każdego z jego przyjaciół; zawiadomił wreszcie Portosa, że koń dla niego przeznaczony, stoi już w stajni oberży.

— W tejże samej chwili wszedł Planchet, zawiadamiając swego pana, że konie wypoczęły już należycie i że mogą dotrzeć na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan uspokoił się nieco o los Portosa, a pragnął jak najspieszniej dowiedzieć się czegoś o dwóch innych przyjaciołach, więc wyciągnął rękę do chorego, oznajmiając, że puszcza się w dalszą drogę na poszukiwania. Ponieważ zaś zamierzał wracać tą samą drogą, przyrzekł zabrać Portosa z sobą, gdyby za siedm lub ośm dni był jeszcze w gospodzie "Grand-Saint-Martin".

Portos odpowiedział, że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zwichnięta noga nie pozwoli mu wcześniej się oddalić. Musiał zresztą pozostać w Chantilly, aby oczekiwać na odpowiedź swej księżnej.

D'Artagnan wyraził mu życzenie, aby odpowiedź rychło nadeszła i była pomyślna, poczem jeszcze raz polecił Portosa troskliwej opiece Mousquetona, zapłacił swą należność w gospodzie i ruszył w drogę z Planchetem, który pozbył się jednego z prowadzonych luzem koni.

XXVI.

ROZPRAWA ARAMISA.

D'Artagnan nie wspomniał Portosowi ani o jego ranie, ani o prokuratorowej, bo mimo swej młodości, był mądrym chłopcem. Przeciwnie, udawał, że wierzy we wszystko, co mu opowiadał chełpliwy muszkieter, — rozumiał bowiem, że niema przyjaźni, któraby wytrzymała próbę przejętej tajemnicy, zwłaszcza, gdy tajemnica ta rani miłość własną człowieka; prócz tego ma się też zawsze pewną wyższość moralną nad tymi, których życie jest nam znane. D'Artagnan, snując swe plany na przyszłość, zamierzał uczynić z swych trzech przyjaciół narzędzia fortuny; a mając taki zamiar, nie mógł odrzucać sposobności pochwycenia w ręce niewidzialnych nici, z pomocą których mógł był nimi kierować.

W ciągu całej drogi jednak głęboki smutek ściskał mu serce: myślał o młodej i pięknej pani Bonacieux, która miała mu dać nagrodę za jego wierną służbę. Ale — pospieszmy dodać — smutek ten wynikał nie tyle z żalu za utraconem szczęściem, ile raczej z obawy młodego człowieka, czy nieszczęśliwej kobiety nie spotkało jakie nieszczęście. Nie wątpił on ani na chwilę, że stała się ofiarą zemsty kardynała, a wiadomo było, że Jego Eminencja mści się okrutnie. Jak się to stało, że on sam znalazł łaskę w oczach ministra, nie wiedział wcale; wytłumaczyłby mu to zapewne pan de Canois, gdyby kapitan gwardzistów był go zastał w domu.

Nic nie skraca tak bardzo czasu i drogi, jak myśl, około której ześrodkowują się wszystkie władze umysłowe rozmyślającego. Istnienie zewnętrzne wydaje się wówczas snem, w którym myśl ta jest marzeniem. Pod jej wpływem czas traci miarę, przestrzeń granice. Opuszcza się jedną miejscowość, przybywa się do innej, a z przebytej przestrzeni nic nie pozostaje w pamięci, prócz jakiejś mglistej fali, z której wyłania się tysiąc chaotycznie pomieszanych obrazów drzew, pagórków, upraw-

nych pól. Skutkiem tej jakiejś halucynacji d'Artagnan puścił wolno koniowi wodze i tak przebył sześć czy siedm mil, dzielących Chantilly od Crevecouer. Przybywszy do tej miejscowości, nie zdawał sobie sprawy z niczego co spotykał po drodze.

Teraz dopiero oprzytomniał nareszcie i, otrząsnąwszy się z zadumy, zobaczył przed sobą gospodę, gdzie pozostawił był Aramisa. Ściągnąwszy konia, zatrzymał się przed bramą.

Tym razem powitała go oberżystka, nie zaś jej mąż. Jako dobry fizjognomista, jednem spojrzeniem zdał sobie młodzieniec sprawę z pogodnego oblicza pani domu i zrozumiał, że wobec niej nie ma potrzeby udawać, ani też nie ma powodu obawiać się czegoś.

— Moja dobra pani — zapytał d'Artagnan, — czy nie mogłaby mię pani objaśnić, co się stało z jednym z moich przyjaciół, którego musieliśmy pozostawić tutaj przed dwunastu dniami?

— Piękny, młody człowiek, w wieku dwudziestu trzech lub dwudziestu czterech lat, łagodny, miły, dobrze wychowany?

— Co więcej, raniony w ramię.

— To się zgadza.

— Istotnie?

— Nie ruszył się stąd wcale, proszę pana.

— Na Boga, dobra pani! — zawołał d'Artagnan, zeskakując z konia i rzucając Planchetowi cugle, — powracasz mi pani życie. Gdzież jest kochany Aramis? niechże go uścisnę. Wyznaję, że strasznie mi pilno go zobaczyć.

— Wybacz pan, wątpię jednak, aby mógł pana przyjąć w tej właśnie chwili.

— Dlaczego? Czyżby była może u niego jaka kobieta?

— Na miłość Boską, co pan wygadujesz? U tego biednego chłopaka? Nie, panie; niema tam wcale kobiety.

— Więc któż jest u niego?

— Ksiądz proboszcz z Montididier i ojciec przełożony Jezuitów z Amiens.

— Mój Boże! — zakrzyknął d'Artagnan, — czyżby temu chłopcu pogorszyło się do tego stopnia?

— Nie, panie; przeciwnie, w następstwie choroby spłynęła nań łaska Pańska, i postanowił wstąpić do zakonu.

— Prawda — rzekł d'Artagnan, — zapomniałem, że tylko czasowo służy w pułku muszkieterskim.

— Czy pan koniecznie chce się z nim widzieć?

— Konieczniej, niż kiedykolwiek.

— Niech pan zatem wejdzie na podwórze, potem na schody po prawej ręce i uda się na drugie piętro pod Nr. 5

D'Artagnan udał się we wsakzanym kierunku i znalazł schody zewnętrzne, podobne do tych, jakie jeszcze dzisiaj możemy ujrzeć na podwórzach starych oberż. Ale nie tak łatwo było się dostać do przyszłego kapłana; wejście do pokoju Aramisa było strzeżone nie mniej czujnie od ogrodów Armidy. Bazin, stojący na korytarzu, zagrodził mu drogę, objawiając tem więcej nieustraszoną odwagę, że po długoletnich przejściach życiowych widział się nareszcie bliskim celu, który był zawsze jego marzeniem.

Istotnie bowiem biedny Bazin marzył tylko o tem, by zostać sługą duchownej osoby, i z niecierpliwością oczekiwał tej chwili, upatrywanej nieustannie w mgłach przyszłości, kiedy Aramis, odrzuci nareszcie precz od siebie mundur muszkieterski i przywdzieje sutannę. I jedynie obietnica, powtarzana codziennie przez młodego człowieka, że chwila ta musi nadejść prędzej czy później, utrzymywała go w wiernej służbie muszkietera, w służbie, w której, jak twierdził, łatwo mógłby się narazić na zatracenie duszy.

Teraz Bazin docierał do szczytów wymarzonego szczęścia. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tym razem pan jego nie miał się już cofnąć. Połączenie cierpienia fizycznego z cierpieniem duchowem wywołało tak dawno upragniony skutek. Aramis, złamany na ciele i duchu, zaczął wreszcie szukać w religji oparcia dla oczu i myśli i upatrywał przestrogę niebios w tym podwójnym ciosie, jaki go dotknął, to znaczy, w nagłem zniknięciu kochanki i w otrzymanej ranie.

Łatwo pojąć, że w tych okolicznościach przybycie d'Artagnana musiało być dla Bazina nader nieprzyjemne, albowiem mogło ono znowu rzucić jego pana w wir wypadków światowych, które go tak długo wabiły. Postanowił zatem mężnie bronić wejścia. Ponieważ zaś właścicielka gospody zdradziła tajemnicę, i nie mógł oświadczyć, że Aramisa niema w domu, usiłował przekonać przybysza, że byłoby najwyższą niedyskrecją przerywać jego panu pobożne rozprawy, które rozpoczęły się rano, a nie mogły się skończyć, zdaniem Bazina, przed wieczorem.

Ale d'Artagnan nie zwracał wcale uwagi na przekonywające wywody mości Bazina. Ponieważ nie chciał się wogóle wdawać w rozprawy ze służącym swego przyjaciela, usunął go poprostu jedną ręką, drugą zaś nacisnął klamkę drzwi pokoju, oznaczonego Nr. 5.

Skoro drzwi się uchyliły, d'Artagnan zajrzał do wnętrza pokoju.

Aramis w czarnym surducie, z głową zaczesaną gładko przykrytą okrągłą czapeczką, poniekąd przypominającą zakonne nakrycie głowy, siedział przy stole, zawolanym zwojami papieru i olbrzymimi foljałami. Obok niego z prawej strony zajmował miejsce przełożony Jezuitów, z lewej proboszcz z Montdidier. Na pół zapuszczone firanki u okien rzucały tajemniczy półcień, usposabiający do pobożnych rozmyślań. Wszystkie przedmioty światowego użytku, mogące świadczyć, że wchodzi się do pokoju młodego człowieka, a zwłaszcza, że człowiek ten jest muszkieterem, zniknęły jakby cudem. Co więcej, Bazin, chcąc widocznie uchronić swego pana przed wszelkiemi myślami światowemi, ukrył także szpadę, pistolety, kapelusz, zdobny piórami, hafty, koronki i wszystkie podobne przedmioty.

Natomiast na miejscu ich ujrzał d'Artagnan w najciemniejszym kąciku coś nakształt dyscypliny do biczowania, zawieszonej na haku w murze.

Usłyszawszy szmer, spowodowany otwarciem drzwi przez d'Artagnan. Aramis podniósł głowę i zobaczył przyjaciela. Ale, ku niezmiernemu swemu zdziwieniu, d'Artagnan zauważył, że wejście jego wywarło na Aramisie dość obojętne wrażenie, tak bardzo umysł jego był już oderwany od spraw ziemskich.

— Witaj mi, drogi d'Artagnanie — odezwał się tylko — Z przyjemnością widzę cię tutaj.

— Ja także — odparł d'Artagnan, — aczkolwiek nie jestem pewny, czy to Aramisa mam przed oczyma.

— Jego samego, drogi przyjacielu, jego samego; jakże możesz w to wątpić?...

— Obawiałem się, że wszedłem przez omyłkę do cudzego pokoju ,i to zajmowanego przez jakiegoś klechę, a następnie, zobaczywszy cię w towarzystwie tych panów, przestraszyłem się, czy nie jesteś niebezpiecznie chory.

Obaj czarno ubrani panowie, zrozumiawszy docinek, spojrzeli na prybysza niemal groźnie. Ale d'Artagnan nie przeraził się tem wcale.

— A może przeszkadzam ci, drogi Aramisie? — mówił dalej. — Sądząc z tego, co widzę, odbywałeś właśnie spowiedź przed tymi panami.

Aramis zaczerwienił się nieznacznie.

— Miałbyś mi przeszkadzać? Ależ przeciwnie, drogi przyjacielu, zaręczam ci najświetszem słowem honoru. Na dowód zaś tego, co mówię, pozwól mi wyrazić sobie radość, że widzę cię w dobrem zdrowiu.

— Ach! — pomyślał d'Artagnan, — niema jeszcze nieszczęścia.

— Albowiem pan ten, będący moim przyjacielem — kończył Aramis z namaszczeniem, wskazując ręką obu kapłanom d'Artagnana, — uniknął wielkiego niebezpieczeństwa

— Wielbij miłosierdzie Boże, panie! — odpowiedzieli tamci, pochylając równocześnie głowy.

— Wielbię je, wielebni ojcowie — odpowiedział młodzieniec, składając im również ukłon.

— Przybywasz w samą porę drogi d'Artagnanie — rzekł Aramis, — bo możesz niejedno wyjaśnić swymi światłymi poglądami, wziąwszy udział w naszych rozprawach. Pan rektor z Amiens, ksiądz proboszcz z Montdidier i ja spieraliśmy się o pewne kwestje teologiczne, które już oddawna zajmują nasze umysły. Byłbym bardzo zadowolony, gdybym mógł usłyszeć także twoje zdanie.

— Zdanie żołnierza nie ma w tych kwestjach znaczenia — odpowiedział d'Artagnan, zaniepokojony nieco obrotem sprawy. — Mojem zdaniem, możesz najzupełniej polegać na wiedzy tych panów.

Obaj duchowni słonili głowy.

— Przeciwnie — rzekł Aramis, — sąd twój może być dla nas szczególnie cennym. Ale posłuchaj, o co tu nam chodzi: ksiądz rektor twierdzi, że moja rozprawa powinna być przedewszystkiem dogmatyczna i dydaktyczna.

— Twoja rozprawa? — piszesz zatem rozprawę?

— Tak jest — wtrącił jezuita; — rozprawa jest niezbędną do egzaminu, poprzedzającego wyświęcenie.

— Wyświęcenie? — zakrzyknął d'Artagnan, nie mogący uwierzyć jeszcze w to, co mu kolejno powiedziała właścicielka gospody i Bazin. — Wyświęcenie!?

I zdumionym wzrokiem wodził po trzech osobach, znajdujących się w pokoju.

— Zatem — mówił Aramis, rozsiadając się na krześle z tem samym wdziękiem, jaki posiadał, gdy szedł przez ulicę, oraz oglądając z zadowoleniem białą pulchną jak gdyby kobiecą rękę i podnosząc ją do góry, aby krew z niej spłynęła, — zatem, jak słyszałeś, d'Artagnanie, ksiądz rektor życzyłby sobie, aby moja rozprawa była dogmatyczna, podczas gdy ja chcę, aby miała kierunek idealny. Z tego samego też powodu ksiądz rektor zaproponował mi temat jeszcze zupełnie nie wyzyskany, w którym możnaby znaleźć materjał do wspaniałej rozprawy: "Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est".

D'Artagnan, którego erudycję mieliśmy już sposobność poznać, nie drgnął nawet, słyszawszy to zdanie, tak samo, jak onego czasu, gdy pan de Treville zacytował inne w przekonaniu, że d'Artagnan przyjął podarunek od księcia Buckingham.

— Znaczy to — dodał Aramis, chcąc mu ułatwić zrozumienie: — "Duchowni, posiadający niższe święcenia, muszą wznieść obie ręce, dając błogosławieństwo".

— Zachwycający temat! — zawołał jezuita.

— Zachwycający i dogmatyczny — powtórzył proboszcz, który, równie jak d'Artagnan, słaby w łacinie, baczył pilnie na jezuitę, aby wstępować w jego ślady i powtarzać każde słowo jego, jak echo.

D'Artagnan nie dzielił bynajmniej zachwytów obu duchownych.

— Tak jest, zachwycający! prorsus admirabile! — mówił Aramis, — ale wymaga głębokich studjów nad Pismem Świętem i Ojcami Kościoła. Z całą pokorą wyznałem tym mądrym kapłanom, że bezsenne noce w kordegardzie i służba dla króla zmusiły mię do zaniedbania trochę studjów. Nieporównanie łatwiej, facilius natans byłbym opracował temat, wybrany przezemnie samego, coś z zasadniczych kwestji filozoficznych, jak naprzykład, czem jest moralność w metafizyce filozofji.

— Oto świetne exordjum — zawołał jezuita.

— Exordjum powtórzył proboszcz, aby cośkolwiek powiedzieć.

— Quemadmodum inter coelorum immensitatem.

Aramis spojrzał na d'Artagnana i zobaczył, że przyjaciel jego ziewa tak strasznie, iż szczęki omal nie wyskoczą mu ze stawów.

— Mówmy po francusku — rzekł, zwracając się do jezuity. — D'Artagnan zasmakuje wówczas bardziej w naszej rozmowie.

— Jestem istotnie zmęczony podróżą — zauważył d'Artagnan, — i dlatego trudno mi zrozumieć łacinę.

— Zgoda — rzekł jezuita, niezupełnie zadowolony.

Natomiast proboszcz, uradowany, spojrzał z wdzięcznością na d'Artagnana.

— Słuchajcież zatem, — dodał jezuita, — jakie wnioski można wyciągnąć z tej glossy.

— Mojżesz, sługa Boży... jest jedynie sługą Bożym. Czy pojmujecie dobrze? Mojżesz błogosławi rękoma; rozkazuje podtrzymywać sobie ręce, podczas gdy hebrejczycy zadają klęskę swym nieprzyjaciołom; innemi słowy:: błogosławi obiema rękami. Zresztą jakże mówi Ewangelja: "Imponite manus", a nie "manum", połóżcie ręce, nie zaś rękę.

— Połóżcie ręce — powtórzył proboszcz z odpowiednim ruchem.

— Przeciwnie święty Piotr, którego następcami są papieże — ciągnął dalej jezuita, — powiada: "Porrige digitos", wyciągnijcie palce... Czy rozumiesz pan teraz?

— Zapewne — odrzekł Aramis, rozkoszując się słyszanemi słowy. — Kwestja jest jednak nader subtelna.

— Palce! — powtórzył jezuita. — Święty Piotr błogosławi palcami.... Papież błogosławi palcami. A iloma palcami błogosławi? Trzema: w imieniu Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Wszyscy obecni przeżegnali się; d'Artagnan uznał za właściwe pójść za ich przykładem.

— Papież jest następcą świętego Piotra i przedstawia trzy Boskie władze; inni, inferiores ordines w herarchji kościoła, błogosławią w mieniu świętych archaniołów i aniołów; duchowni najniższego, stopnia, jak nasi djakoni i zakrystjanie, błogosławią kropidłem, które niejako przedstawia nieskończoną ilość błogosławiących palców. Oto uprościłem przedmiot; argumenium omni denudatum ornamento. Mógłbym na ten temat — kończył jezuita — napisać dwa tomy tej objętości.

I, porwany zapałem uderzył ręką w "Świętego Chryzostoma" in foljo, pod ciężarem którego stół się uginał.

D'Artagnan drgnął.

— Zapewne! — rzekł Aramis, — przyznaję, że temat ten jest istotnie piękny, ale równocześnie sądzę, że jest dla mnie zatrudny. Wybrałem więc temat inny, o powiedz sam, d'Artagnanie, czy ci się nie bardziej podoba: "Non inutile est desiderium in oblatione", a raczej powiedziałbym: Nieco żalu nie zawadzi w ofierze Panu.

— Ani słowa więcej! — zakrzyknął jezuita, — temat ten trąci herezją. Podobne niemal wyrażenie znajduje się w "Augustinusie" tego heretyka Janseniusza, którego książka wcześniej czy później zostanie spalona rękami kata. Miej się na baczności, młody przyjacielu; dążysz ku błędnym doktrynom.... zatracisz duszę.

— Zatracisz duszę — powtórzył proboszcz, potrząsając żałośnie głową.

— Poruszasz tę sławną kwestję wolnej woli, która bywa w dociekaniach zgubną skałą... nachylasz ucho ku zgubnym podszeptom pelagijczyków.

— Ależ, wielebny ojcze.... — odezwał się Aramis, ogłuszony nieco gradem argumentów, spadających na jego głowę.

— Jakże mi dowiedziesz — grzmiał dalej jezuita, nie dając mu przyjść do słowa, — że powinno się żałować światowego życia, oddając się Bogu? Zapamiętaj sobie ten dylemat: Bóg jest Bogiem, a świat jest sprawą szatana. Żałować świata to żałować szatana; oto moje zdanie.

— I moje również — wtrącił proboszcz.

— Ależ pozwólcie... — usiłował dojść do słowa Aramis.

— "Desideras diabolum", nieszczęsny! — wołał jezuita.

— Żałujesz djabła! Ach, młody mój przyjacielu! — mówił proboszcz z westnieniem, — nie żałuj djabła, błagam cię o to.

D'Artagnan dochodził do ogłupienia; miał wrażenie, że znajduje się w domu obłąkanych i że i on sam także zwarjuje, podobnie, jak ci, na których patrzy. Ale był zmuszony milczeć, nie rozumiejąc dobrze języka, jakim rozmawiano.

— Proszę jednak posłuchać, co chcę powiedzieć — rzekł Aramis uprzejmie, chociaż już z pewnym akcentem zniecierpliwienia. — Nie mówię bynajmniej, że żałuję; nie ośmieliłbym się twierdzić nic podobnego, byłoby to bowiem niezgodne z moją wiarą...

— Nie! ale zgódźcie się na to przynajmniej, że nie przystoi ofiarowywać Panu tego, do czego człowiek jest zupełnie zniechęcony. Czyż nie tak, d'Artagnanie?

— Do licha, jestem najzupełniej twego przekonania — zawołał tenże.

Proboszcz i jezuita podskoczyli na siedzeniach krzeseł.

— Oto mój punkt wyjścia, następujący syllogizm: światu nie brak powabów, wyrzekam się świata, spełniam zatem ofiarę.... A Pismo Święte powiada wyraźnie: Czyńcie ofiary Panu!

— To prawda — oświadczyli obaj przeciwnicy.

— Co więcej — mówił dalej Aramis, szczypiąc się w ucho, aby nadać różową karnację, tak, jak potrząsał rękami, aby zbielały, — co więcej, wyraziłem kiedyś to przekonanie w wierszu, który czytałem w ubiegłym roku panu Voiture i który podobał się bardzo temu wielkiemu człowiekowi.

— Wiersz? — odezwał się pogardliwie jezuita.

— Wiersz? — powtórzył bezmyślnie proboszcz.

— Powiedzże, powiedz — zawołał d'Artagnan; — to nas rozerwie trochę.

— O nie, jest to bowiem wiersz religijny, niejako rymowana teologja — przerwał Aramis.

— Do djabła! — mruknął d'Artagnan.

— Posłuchajcie więc — mówił Aramis ze skromnością, choć nie bez pewnego akcentu hipokryzji.

Wy, co za przeszłą płaczecie godziną
Szczęścia, wciąż smutków wychylając czarę,
Złóżcie łzy wasze Panu na ofiarę.
A wnet nieszczęścia wasze wszystkie miną,
Łzy się ukoją.

D'Artagnanowi i proboszczowi wiersz podobał się bardzo. Jezuita upierał się przy swojem zdaniu.

— Strzeż się światowego smaku w teologicznym stylu. Święty Augustyn powiada: "Severus sit clericorum sermo".

— Tak, niech kazanie będzie jasne! — wtrącił proboszcz.

— Otóż — przerwał pospiesznie jezuita, widząc, że jego akolita zaczyna się błąkać w rozumieniu, — otóż temat twój, młodzieńcze, będzie się podobał damom. to wszystko... i może osiągnąć powodzenie tylko takie, jak obrona pani Patru.

— Daj Boże! — zawołał Aramis z zapałem.

— Widzisz — grzmiał znowu jezuita, — świat przemawia jeszcze przez twoje usta doniosłym głosem, "altissima voce". Gonisz za upodobaniami światowemi, młody mój przyjacielu, i drżę o ciebie, by zesłana ci łaska nie pozostała bez skutku.

— Uspokój się, wielebny ojcze; jestem siebie pewny.

— Zarozumiałość światowa!

— Znam dobrze moją naturę, wielebny ojcze; postanowienie, jak powziąłem, jest nieodwołalne.

— Upierasz się zatem przy opracowaniu tego tematu?

— Czuję, że jestem do opracowania tego, a nie innego; rozwinę go teraz dalej i mam nadzieję, że będziesz jutro zadowolony z poprawek, jakie poczynię wedle twoich wskazówek, wielebny ojcze.

— Pracuj powoli — rzekł proboszcz; — pozostawiamy cię w doskonałem usposobieniu.

— Tak, grunt jest dobrze zasiany — oświadczył jezuita; — niema obawy, aby część z tego ziarna padła na skałę, a druga wzdłuż drogi właściwej, i aby ptaki niebieskie wyzbierały resztę, "aves coeli comederunt illam".

— Niechaj cię zaraza pochłonie razem z twoją łaciną! — mruknął d'Artagnan, który czuł, że doszedł już do ostatecznych granic cierpliwości.

— Do widzenia jutro, mój synu — rzekł proboszcz.

— Do jutra, lekkomyślny młodzieńcze — odezwał się jezuita. — Wszystko zapowiada, że możesz się stać jednem ze świateł kościoła; niechajże niebo cię ustrzeże, by to światło nie przemieniło się w trawiący ogień.

D'Artagnan, który przez godzinę gryzł paznokcie z niecierpliwości, zabrał się teraz do ciała.

Dwaj czarno ubrani kapłani powstali, pozdrowili Aramisa i d'Artagnana i skierowali się ku drzwiom. Bazin, stojący pod drzwiami i słuchający całej tej dysputy z pobożną radością poskoczył ku nim, pochwycił brewiarz proboszcza i mszał jezuity, potem zaś ruszył przed księżmi z najwyższym szacunkiem, torując im drogę.

Aramis odprowadził ich aż na dół i natychmiast wrócił do d'Artagnana, pogrążonego jeszcze w zamyśleniu.

Skoro obaj przyjaciele pozostali sami, zapanowało zrazu kłopotliwe milczenie. Jeden z nich musiał przerwać je pierwszy, —

ale d'Artagnan pozostawiał widocznie swemu przyjacielowi ten zaszczyt.

— Jak widzisz zatem — odezwał się wreszcie Aramis, — wróciłem do moich zasadniczych projektów.

— Tak, łaska skuteczna spłynęła na ciebie, jak to powiedział ten pan przed chwilą.

— Och! już oddawna miałem ten plan usunięcia się od świata... Czyż nie mówiłem ci już o tem, mój przyjacielu?

— Niewątpliwie; przyznaję jednak, że uważałem to za żart tylko.

— Miałbym żartować w podobnych kwestjach? Co mówisz, d'Artagnanie?

— Do djabła! żartuje się przecież nawet ze śmierci.

— I bardzo źle się czyni, d'Artagnanie, albowiem śmierć jest bramą, wiodącą do wiecznej zatraty albo do zbawienia.

— Zgoda. Ale, jeżeli łaska, nie zajmujmy się więcej teologją, Aramisie. Zdaje mi się zresztą, że masz jej już dosyć na resztę dnia. Co do mnie zaś, to zapomniałem trochę tej odrobiny łaciny której i tak nie umiałem nigdy... Pozatem zaś muszę ci się przyznać, że nie jadłem nic od godziny dziesiątej rano i jestem głodny, jak wszyscy djabli.

— Siądziemy zaraz do stołu, kochany przyjacielu. Nie zapominasz jednak zapewne, że dzisiaj jest piątek, a w takim dniu nie mogę jeść mięsa, ani nawet patrzeć na nie. Zechcesz więc może zadowolnić się moim obiadem składającym się z jarzyn i owoców.

— Co rozumiesz przez te jarzyny? — zapytał z niepokojem d'Artagnan.

— Dostanę na obiad szpinak — odpowiedział Aramis. — Dla ciebie każę dodać jaj, aczkolwiek jest to wykroczenie przeciw regule; jaja bowiem są mięsem skoro wyrastają z nich kurczęta.

— Nie jest to uczta zbyt posilna.... Ale trudno! godzę się na nią, aby pozostać z tobą.

— Dziękuję ci za tę ofiarę — rzekł Aramis. — Chociaż jednak ciało twoje poniesie pewną szkodę, duch niewątpliwie osiągnie stąd korzyść.

— Więc stanowczo już wstępujesz do zakonu, Aramisie? Cóż powiedzą na to przyjaciele? co powie pan de Treville? Uprzedzam cię, że gotowi uważać cię za zbiega z szeregów.

— Nie wstępuję do zakonu, lecz wracam do niego. Kościół, to właśnie opuściłem dla światowego życia i, jak wiesz, jedynie zadając sobie przymus, przywdziałem mundur muszkieterski.

— Nie wiem o niczem.

— Jakto? Nie wiesz, w jakich warunkach opuściłem seminarjum?

— Nic zgoła.

— Posłuchaj zatem. Pismo Święte mówi: spowiadajcie się jedni przed drugimi; otóż ja wyspowiadam się przed tobą, d'Artagnanie.

— Ja zaś daję ci z góry rozgrzeszenie. Jak widzisz, jestem dobrym człowiekiem.

— Nie żartuj z rzeczy świętych, mój przyjacielu.

— Mów więc; słucham.

— Byłem w seminarjum od dziewiątego roku życia, a wówczas, kiedym się zachwiał, miałem już dwadzieścia lat bez trzech dni. Miałem zostać księdzem; wszystko było postanowione. Tego właśnie wieczora udałem się, jak zazwyczaj, do pewnego domu, gdzie bywałem z przyjemnością.... Cóż chcesz! człowiek jest słaby, kiedy jest młody. Nagle, bez zapowiedzenia się wszedł pewien oficer, który zazdrosnem okiem spoglądał na to, jak z panią domu czytywałem Żywoty Świętych. Tłumaczyłem tego wieczora ustęp o Judycie i wyjaśniałem właśnie odpowiednie rymy damie, która nie szczędziła mi pochwał i, oparta o moje ramię, czytała razem ze mną. Znajdowaliśmy się, przyznaję, w pozycji nieco swobodnej, co nie spodobało się oficerowi. Nie powiedział jednakże nic. Dopiero, gdy wyszedłem, pospieszył za mną i dogonił mię na ulicy.

"— Mości klecho — rzekł, — czy lubisz kije?

"— Nie umiem powiedzieć, panie — odparłem, — nikt bowiem nie ważył się dotąd częstować mię nimi.

— "A zatem słuchaj, mości klecho! jeżeli ośmielisz się powrócić do tego domu, gdzie cię zastałem dzisiaj wieczorem, otrzymasz je odemnie.

Zdaje mi się, że nastraszyłem się; zbladłem, nogi zadrżały podemną, szukałem w głowie jakiejś odpowiedzi, a nie mogąc jej znaleźć milczałem. Oficer oczekiwał przez chwilę na odpowiedź, ale widząc, że z nią zwlekam, roześmiał się, odwrócił się plecami i wrócił do domu. Ja udałem się do seminarjum. Jestem szlachcicem i mam krew gorącą, jak mogłeś się o tem już przeko-

nać, d'Artagnanie. Obelga była straszna, a chociaż nikt o niej nie wiedział, nurtowała i na dnie serca. Oświadczyłem przełożonym, że nie czuję się jeszcze dostatecznie przygotowanym do otrzymania święceń. Wysłuchano mej prośby i odłożono na rok ceremonję wyświęcenia. Udałem się wtedy do najlepszego nauczyciela szermierki w Paryżu, ułożyłem się z nim, że codziennie będę brał lekcje, i istotnie przez cały rok nie zaniedbałem ich ani w jeden dzień. W rocznicę dnia, kiedy zostałem zelżony powiesiłem sutannę na kołku, wdziałem strój kawalera i poszedłem na bal, urządzany przez jedną z moich znajomych pań, wiedząc z góry, że zastanę tam mego przeciwnika. Było to przy ulicy rancs-Bourgois, tuż obok La Force. Rzeczywiście znalazłem tam mojego oficerka. Zbliżyłem się ku niemu w chwili, gdy śpiewał żałośliwą pieśń miłosną, spoglądając czule w oczy jednej z dam, i przerwałem mu w połowie drugiej zwrotki.

"— Mój panie — rzekłem, — czy jeszcze nie podoba się panu abym uczęszczał do pewnego domu przy ulicy Payenne i czy jeszcze byłbyś gotów dać mi kije, gdyby mi przyszła ochota nie być ci posłusznym?

Oficer spojrzał na mnie ze zdumieniem, a potem zapytał:

"— Czego pan sobie życzysz? Nie znam pana wcale.

"— Jestem — odpowiedziałem — owym małym klechą, który czytywał Żywoty Świętych i przekładał wierszem Judytę.

"— Ach, tak? przypominam sobie teraz — odezwał się drwiąco. — I czegoż sobie pan życzysz?

"— Chciałbym, abyś pan znalazł swobodną chwilę i odbył ze mną małą przechadzkę.

"— Jutro rano, jeśli łaska, i to z największą przyjemnością.

"— Nie jutro rano, lecz natychmiast, jeżeli mogę prosić.

"— Skoro żądasz pan koniecznie...

"— Tak jest, żądam.

"— Więc chodźmy — rzekł oficer. — A paniom niechaj to nie przeszkadza. Potrzebuję jedynie chwili czasu, aby zabić tego pana, poczem wrócę natychmiast dokończyć ostatniej zwrotki.

Wyszliśmy. Zaprowadziłem go na ulicę Paynne, w to miejsce, gdzie przed rokiem o tej samej godzinie powiedział mi owe przyjemne słowa, jakie ci powtórzyłem. Ujęliśmy szpady w ręce. Przy pierwszem starciu zadałem mucios śmiertelny.

— Do licha! — odezwał się d'Artagnan.

— Skoro damy — opowiadał dalej Aramis — nie mogły się doczekać powrotu pieśniarza i skoro znaleziono go wreszcie na ulicy Payenne przebitego szpadą na wylot, domyślono się, że było to moje dzieło. Sprawa nabrała przykrego rozgłosu, musiałem się więc wyrzec sutanny na czas pewien. Atos, którego poznałem w owej epoce, i Portos, który podczas moich lekcji szermierki nauczył mię niejednego znakomitego cięcia, namówili mnie, abym się starał o mundur muszkieterski. Ponieważ król bardzo kochał mego ojca, który padł w zwycięskiej walce pod Arras, zaszczycono mię tą łaską. Otóż pojmiesz, że dzisiaj właśnie nadeszła chwila mego powrotu na łono Kościoła.

— A czemuż właśnie dzisiaj, nie wczoraj lub jutro? Cóż spotkało cię dzisiaj? co ci podsuwa tak złe myśli?

— Rana ta, drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie przestrogą niebios.

— Ta rana? Ba! przecież zagoiła się już prawie. I jestem pewny, że dzisiaj właśnie nie z jej przyczyny najbardziej cierpisz.

— A z jakiej? — spytał Aramis, okrywając się rumieńcem.

— Masz inną ranę.... w sercu, Aramisie, bardziej bolesną i krawawiącą ranę, którą zadała ci kobieta...

Oczy Aramisa zapłonęły wbrew woli.

— Ach! — odpowiedział, ukrywając wzruszenie pod płaszczykiem lekceważenia, — nie mówmy o tem. Ja miałbym myśleć o czemś podobnem? jak miałbym cierpieć z miłości? Vanitas vanitatum! Więc, twojem zdaniem, ktoś miałby zawrócić mi w głowie? I któż taki? Czy może jakaś gryzetka, a może jaka pokojówka, do której się zalecałem, kiedym był jeszcze w pułku? Fe!

— Wybacz, drogi Aramisie, ale zdaje mi się, że mierzyłeś wyżej.

— Wyżej? I jakże mógłbym się o to kusić? ja, biedny, nędzny muszkieter, nienawidzący jarzma i zbyteczny na tym świecie?

— Aramisie! Aramisie! — zawołał d'Artagnan, spoglądając z powątpiewaniem na przyjaciela.

— Proch jestem i w proch się obrócę. Życie pełne jest upokorzeń i cierpienia — mówił dalej z coraz chmurniejszem czołem. — Wszystkie nici, wiodące do szczęścia, rwą się kolejno w ręku człowieka, zwłaszcza zaś złote nici. Och, drogi d'Artagnanie! — kończył z lekkim odcieniem goryczy w głosie, — ukrywaj skrzęt

nie rany jeżeli będzies je miał kiedy. Milcenie jest ostatnią radością nieszczęśliwych. Strzeż się, by ktokolwiek wpadł na trop twego cierpienia, bo ciekawość ludzka wyciśnie ci łzy, jak muchy ssą krew z rannego jelenia.

— Niestety, drogi Aramisie! — odparł d'Artagnan z głębokiem westchnieniem, — taki jest właśnie mój los, jak mówisz.

— Jakto?

— Tak. Porwano mi przemocą kobietę, którą kocham, którą ubóstwiam. Nie wiem nic, gdzie się znajduje, gdzie ją umieszczono; może jest więziona, a może nie żyje już wcale.

— Ale możesz przynajmniej pocieszać się, mówiąc sobie, że nie porzuciła cię dobrowolnie.... mówiąc sobie, że nie masz o niej żadnych wieści, bo niewolno jej porozumiewać się z tobą... Natomiast ja....

Natomiast ty...

— Nic, nic — odpowiedział Aramis.

— A zatem wyrzekasz się już na zawsze tego świata? jest to już ostateczne, nieodwołalne postanowienie?

— Na zawsze. Dzisiaj jestś mi druhem; jutro nie będziesz niczem więcej, jak cieniem, a raczej nie będziesz wcale istniał dla mnie. Bo świat jest grobem, niczem więcej.

— Do licha!. niewesołe jest to, co mówisz.

— Cóż zrobić? Powołanie porywa mię, pociąga....

D'Artagnan uśmiechnął się, lecz nic nie odpowiedział.

A Aramis mówił dalej:

— Lecz tymczasem, skoro jeszcze wiąże mię coś ze światem, pragnąłbym pomówić o tobie, o naszych przyjaciołach.

— Ja zaś — rzekł d'Artagnan — wolałbym mówić o tobie samym. Lecz widzę, niestety, że odrywasz się już od wszystkiego: miłość obrzydła ci; przyjaciele zamieniają się w cienie; świat staję się grobowcem....

— Niestety! i ty sam będziesz tak myślał kiedyś — odparł Aramis z westnieniem.

— Nie mówmy więcej otem — oświadczył d'Artagnan — i spalmy także ten list, który niewątpliwie doniósłby ci tylko o jakiejś nowej zdradzie tej twojej gyrzetki czy pokojówki.

— Jaki list? — zawołał z nagłem ożywieniem Aramis.

— List, który nadszedł dla ciebie podczas twej nieobecności, a który zabrałem, aby ci doręczyć.

— Ale od kogo jest ten list?

— Ach! od jakiejś zapłakanej garderobianej, od jakiejś zrozpaczonej pokojówki... Może autorką jego jest właśnie pokojówka pani de Chevreuse, która była zmuszona powrócić do Tours ze swoją panią, a która, dla wydania się czemś lepszem, posłużyła się wonnym papierem i zapieczętowała list książęcą koroną.

— Co ty wygadujesz?

— Masz tobie! zdaje mi się, że go zgubiłem — mówił żartobliwym tonem młody człowiek, udając, że szuka po kieszeniach. — Na szczęście, świat jest grobowcem, ludzie, a oczywiście także i kobiety, są cieniami tylko, miłość zaś jest uczuciem, które ci obrzydło!

— Ach, d'Artagnanie! d'Artagnanie! — wołał Aramis, — chcesz mię widocznie wpędzić do grobu!

— Znalazłem nareszcie! — rzekł d'Artagnan.

I wyjął list z kieszeni.

Aramis skoczył, pochwycił list, pochłonął go raczej, aniżeli przeczytał, a twarz jego rozbłysła radością.

— Mogłoby się wydawać, że garderobiana posługuje się bardzo pięknym stylem — zauważył d'Artagnan, jakby od niechcenia.

— Dzięki ci, d'Artagnanie, dzięki! — wołał Aramis, niemal szalejąc z radości. — Była zmuszona powrócić do Tours. Bynajmniej nie jest mi niewierna, lecz kocha mię zawsze. Pójdź, mój przyjacielu! pójdź w moje objęcia! Szczęście dech mi zapiera....

I obaj przyjaciele poczęli tańczyć dookoła czcigodnego dzieła świętego Chryzostoma, tratując energicznie nogami kartki uczonej rozprawy, które pospadały na ziemię.

W tejże samej chwili wszedł do pokoju Bazin, przynosząc obiad: szpinak i jajecznicę.

— Zabieraj się, nieszczęśniku! — zakrzyknął na niego Aramis rzucając mu w twarz czapeczkę zakonną, jaką miał na głowie. — Wracaj natychmiast tam, skąd przyszedłeś! zabieraj te obrzydliwe jarzyny i te ohydne dania! Każ nam podać szpikowanego zająca, tłustego kapłona, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery flaszki starego burgunda.

Bazin, patrząc zdumiony na swego pana i nie pojmując, coby miała znaczyć ta odmiana, opuścił melancholijnie jajecznicę na szpinak, a talerz ze szpinakiem na ziemię.

— Nadeszła właśnie chwila, abyś poświęcił swoją istność Królowi Królów — rzekł d'Artagnan, — jeżeli chcesz mi wyświadczyć uprzejmość. "Non inutile desiderium in oblatione".

— Idź do djabła razem z twoją łaciną, kochany d'Artagnanie! — wołał Aramis. — Pijmy do licha! pijmy zdrowo, pijmy dużo, i opowiedz mi, co tam słychać na świecie.

XXVII.

ŻONA ATOSA.

— Teraz zatem musimy jeszcze dowiedzieć się tylko, co się stało z Atosem — odezwał się d'Artagnan do rozradowanego Aramisa, skoro go już zaznajomił ze wszystkimi wypadkami, jakie się wydarzyły w stolicy od czasu ich wyjazdu, i skoro wyborny obiad pozwolił zapomnieć jednemu z nich o pisanej rozprawie, a drugiemu o zmęczeniu.

— Czyżbyś sądził, że spotkało go jakie nieszczęście? — spytał Aramis. — Atos jest nazbyt rozważny i dzielny, a przytem doskonale włada szpadą, więc niema o niego obawy.

— Niewątpliwie, i nikt bardziej odemnie nie ocenia odwagi i zręczności Atosa we władaniu bronią. Wolę jednakże iść ze szpadą na oszczepy, aniżeli na kije a właśnie obawiam się, czy Atos nie został pobity przez gawiedź, która jest w takich wypadkach bez litości i nieprędko bić przestaje. Dlatego to pragnąłbym jaknajrychlej wyruszyć w drogę.

— Radbym ci towarzyszyć — oświadczył Aramis, — ale nie wiem, czy starczy mi sił, by dosiąść konia. Wczoraj próbowałem biczować się tem oto narzędziem, jakie widzisz na ścianie, lecz ból przeszkodził mi w dalszem odbywaniu pobożnego ćwiczenia.

— Bo też, drogi mój przyjacielu, kto słyszał kiedykolwiek, aby ranę postrzałową leczyć uderzeniami rzemienia? Tylko to usprawiedliwia cię tutaj, że byłeś chory, a choroba osłabia władze umysłowe...

— Kiedyż chcesz wyruszyć w drogę ?

— Jutro o świcie. Wypocznij więc dzisiaj w nocy a jutro, o ile ci sił starczy, pojedziemy razem.

— Do jutra zatem — rzekł Aramis. — Aczkolwiek bowiem żelazne masz siły, potrzebujesz i ty niewątpliwie wypoczynku.

Nazajutrz rano, gdy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go przy oknie.

— Czemu się tak przyglądasz? — zapytał go.

— Na honor! podziwiam te trzy wspaniałe konie, które chłopcy stajenni trzymają tam oto za cugle; to poprostu królewska rozkosz podróżować na takich wierzchowcach.

— A zatem, drogi Aramisie, będziesz mógł zaznać tej rozkoszy, gdyż jeden z tych rumaków należy do ciebie.

— Co mówisz? który?

— Którego z tych trzech sobie wybierzesz; nie zależy mi na pierwszeństwie wyboru.

— A ten bogaty czaprak na nim czy także ma być moją własnością?

— Oczywiście.

— Żartujesz chyba, d'Artagnanie?

— Nie żartuje, odkąd zacząłeś mówić po francusku.

— Więc to do mnie mają należeć i te złocone strzemiona, i aksamitny czaprak, i to siodło, inkrustowane srebrem?

— Do ciebie. Ten zaś koń, kopiący dumnie nogą, i drugi, stający dęba, są własnością moją i Atosa.

— Do licha! wspaniałe zwierzęta!

— Bardzo się cieszę, że ci się tak podobały.

— Czyżby to król ofiarował ci dar taki?

— Jedno jest tylko pewne, że konie te nie są darem kardynała. Ale niepotrzebnie się troszczysz, skąd one pochodzą; niech ci wystarczy, że jeden z nich należy do ciebie.

— Biorę więc tego, którego trzyma ten rudy pachołek.

— Niech ci służy!

— Wielki Boże! — zawołał Aramis. — Wobec tego zapominam o swych utrapieniach. Na takiego konia wsiadłbym, gdyby mi nawet trzydzieście kul w ciele dolegało. Ach! na honor, jakie cudne strzemiona! Hola! Bazinie! chodźno tu natychmiast.

Ponury i zbolały stanął Bazin w progu drzwi.

— Szpadę do pochwy, odświeżyć kapelusz, wyczyścić płaszcz, nabić pistolety! — rozkazał Aramis.

— To ostatnie polecenie całkiem jest zbyteczne — przerwał d'Artagnan, — gdyż w olstrach znajdziesz już pistolety nabite.

Bazin westchnął.

— No, mości Bazinie, uspokój się — rzekł d'Artagnan; — królestwo niebieskie można uzyskać we wszelkich warunkach życiowych.

— Mój pan był już tak dobrym teologiem — odpowiedział Bazin niemal z płaczem; — byłby niezawodnie został biskupem a może i kardynałem.

— Słuchajże, biedny mój Bazinie! zastanów się trochę! Na coby się zdało być księdzem? pytam cię. Czyż można przez to uniknąć wypraw wojennych? Wszakże widzisz sam, że kardynał wyrusza niebawem w pole, na wojnę, z syzszakiem na głowie i zoszczepem w ręku. A pan de Nogaret de La Valette? Przecież i on jest kardynałem; a zapytaj tylko jego służącego ile razy skubał dla niego szarpie....

— Niestety! — westchnął Bazin, — wiem o tem panie; dzisiaj wszystko na świecie przezwróciło się do góry nogami.

Rozmawiając w ten sposób, dwaj młodzi ludzie i nieszczęśliwy służący zeszli na dół.

— Przytrzymaj mi strzemię, Bazinie — rzekł Aramis i w jednej chwili ze zwykłym wdziękiem i zręcznością wskoczył na siodło.

Gdy jednak szlachetne zwierzę wspięło się kilka razy i rzuciło naprzód, jeździec począł doznawać znowu tak gwałtownego bólu prawie nie do zniesienia, że pobladł i zachwiał się na siodle. D'Artagnan, przygotowany na taki wynik próby i nie tracący towarzysza z oczu, poskoczył natychmiast ku niemu chwycił go w ramiona i odprowadził do pokoju.

— Niema rady, drogi Aramisie; musisz nabrać sił — rzekł. — Pojadę sam szukać Atosa.

— Jesteś człowiekiem ze spiżu — twierdził Aramis.

— To nie, ale mam szczęście. Cóż jednak będziesz robił tutaj, oczekując na mnie? Nie będziesz się chyba zajmował rozprawami o tem, jak błogosławiąc należy układać palce, co?

Aramis uśmiechnął się.

— Będę pisał wiersze — odpowiedział .

— Aha! wiersze, woniejące zapachem listu od pokojówki pani de Chevreuse. Kształć lepiej Bazina w prozodji, to go pocieszy. Pozatem siadaj codziennie na chwilę na konia, aby się przyzwyczaić do jazdy.

— Och! bądź spokojny. Skoro powrócisz, będę gotów do drogi — zapewnił Aramis.

Pożegnali się, a w dziesięć minut później d'Artagnan, poleciwszy swego przyjaciela opiece Bazina i oberżystki, puścił się kłusem w kierunku Amiens.

W jakim stanie odnajdzie Atosa i czy go wogóle odnajdzie? Położenie, w jakiem go pozostawił, było krytyczne; Atos bardzo łatwo mógł uledz przemocy. Myśl ta zachmurzyła d'Artagnanowi czoło, wyrywając z piersi niejedno westchnienie, i spowodowała kilka cichych przysiąg zemsty.

Ze wszystkich jego przyjaciół Atos był najstarszy wiekiem i dlatego najmniej mu był może bliski pod względem upodobań i sympatji. Mimo to d'Artagnan jego właśnie cenił wyżej ponad wszystkich. Szlachetna i wytworna postawa Atosa, wielkopańskie byłski, rozświetlające kiedy-niekiedy cień, w jakim skromnie się ukrywał, niewzruszona niczem równowaga usposobienia, sprawiająca, że w obejściu był najmilszym człowiekiem na świecie, dowcip wesoły i czasem złośliwy, odwaga, którą możnaby nazwać ślepą, gdyby nie była wynikiem najbardziej zimnej rozwagi — wszystkie te zalety Atosa wywoływały w d'Artagnanie nietylko uczucie szacunku i przyjaźni, ale wprost najwyższy dla niego podziw.

Istotnie, nawet w zestawieniu z panem de Treville, wytwornym i szlachetnym dworakiem, Atos w swych najszczęśliwszych dniach wytrzymywał porównanie z korzyścią dla siebie. Był wzrostu niskiego, ale zbudowany tak kształtnie i wspaniale, że naprzykład podczas walk z Portosem niejednokrotnie pokonywał tego olbrzyma, którego siła fizyczna stała się wśród muszkieterów przysłowiową. Głowa Atosa, o bystrych oczach, prostym nosie i brodzie, zarysowanej, jak u Brutusa, miała trudny do określenia charakter wspanałości i wdzięku. Ręce, na które wogóle nie zwracał uwagi, budziły zazdrość Aramisa, który pielęgnował swoje z pomocą niezliczonej ilości wonnej oliwy i migdałowej maści. Głos miał stanowczy, a zarazem melodyjny.

Pozatem było w Atosie coś niezwykłego — mimo, że starał się nie zwracać nigdy na siebie uwagi; odznaczał się mianowicie znajomością świata i obyczajów najlepszego towarzystwa, a była to jakaś wrodzona umiejętność życia, która nawet pomimo woli objwiała się we wszystkich najdrobniejszych jego uczynkach.

Gdy chodziło o urządzenie uczty, Atos organizował ją lepiej, aniżeli którykolwiek inny światowiec, rozmieszczając gości na właściwych miejscach, wedle tego porządku, jaki przysługiwał im z urodzenia lub z zasług własnych. Gdy chodziło o wiedzę heraldyczną, Atos znał wszystkie szlacheckie rody, ich genealogję, związki, herby i pochodzenie tychże herbów. Najdrobniejsze

szczegóły etykiety nie były mu obce. Wiedział, jakie przywileje przysługują wielkim właścicielom ziemskim, był biegły w myśliwstwie i w polowaniu z sołokami, — pewnego zaś dnia, rozprawiając o tej ostatniej sztuce, wprawił w podziw króla Ludwika XIII, który jak wiadomo, był w niej nielada mistrzem.

Jak wszyscy wielcy panowie owej epoki, Atos nieporównanie jeździł konno i równie doskonale władał bronią. Co więcej, niezwykle starannem było jego wykształcenie umysłowe, nawet w zakresie nauk scholastycznych, tak rzadkich na owe czasy u szlachty, i nieraz łacińskie cytaty Aramisa, których rozumienie udawał Portos, wywoływały na usta Atosa uśmiech znawstwa, a dwa czy trzy razy zdarzyło się, ku niezmiernemu zdumieniu przyjaciół, że, gdy Aramis popełnił jakiś zasadniczy błąd w konjugacji czy deklinacji, Atos poprawił go. Z drugiej strony prawość jego charakteru była bez zarzutu, i to w owym właśnie wieku, gdy żołnierze z taką łatwością frymarczyli wiarą i sumieniem, kochankowie z całem wyrafinowaniem wchodzili w układy z dammi swego serca, a ubodzy lekceważyli całkiem siódme przykazanie Boskie. Był zatem Atos człowiekiem zgoła niezwyczajnym.

A jednak można było zauważyć, jak ta wyjątkowa i piękna natura, ta istota tak doskonała, skłania się nieznacznie materjalizmowi, podobnie, jak starcy skłaniają się ku zniedołężnieniu fizycznemu i duchowemu. W chwilach przygnębienia moralnego (a chwile te bywały częste) przyćmiewała się w Atosie ta świetna strona jego charakteru i pogrążała się na czas jakiś jakby w ciemnościach nocy.

Wówczas znikał półbóg, a pozostawał zwykły człowiek. Głowa mu opadała na piersi, oczy przygasały, słowa z trudem i rzadko wychodziły z ust. W takich chwilach Atos przez długie godziny wpatrywał się bądź we flaszkę i kieliszek bądź w Grimauda, który, przyzwyczajony rozumieć rozkazy swego pana na migi, wyczytywał w przygasłem jego spojrzeniu najdrobniejsze życzenia i wypełniał je natychmiast. Jeżeli zaś chwila taka nadeszła podczas wspólnego zebrania czterech przyjaciół, wówczas Atos zaledwie jedno lub dwa słowa, z trudnością wypowiedziane, rzucał w rozmowę, natomiast pił wtedy za czterech, i to marszcząc coraz bardziej brwi i objawiając coraz większy smutek.

D'Artagnan, którego badawczy i przenikliwy umysł już poznaliśmy, nie mógł się doszukać przyczyn tego upadku duchowego i towarzyszących mu okoliczności, aczkolwiek bardzo pragnąłby był zaspokoić swą ciekawość pod tym właśnie względem. Atos nie odbierał nigdy listów i nie czynił nic, o czemby nie wiedzieli wszyscy jego przyjaciele. Nie można też było przypisywać jego smutku użyciu wina, gdyż właśnie pił je dla zagłuszenia czarnych swych myśli, aczkolwiek to lekarstwo, jak wspomnieliśmy, wywoływało tylko jeszcze większą w nim ponurość. Nie była też przyczyną jego melancholji gra, bo, w przeciwieństwie do Portosa, który w miarę powodzenia w grze śpiewał lub wyklinał, Atos pozostawał jednakowo niewzruszonym, czy wygrał, czy przegrał. Widziano, jak pewnego wieczoru wygrał w kole muszkieterów tysiąc pistolów, następnie przegrał wszystko aż do haftowanego złotem pasa, który przywdziewał w dni uroczyste, i znowu odegrał się całkowicie z nadwyżką stu pistolów, — a w ciągu całej tej gry z tak zmiennem powodzeniem piękne brwie jego ani raz się nie zmarszczyły i nie rozpogodziły, ręce o perłowej karnacji ani przez chwilę nie zadrżały nerwowo, nie przestał ani na chwilę rozmawiać spokojnie a mile, i był tego wieczoru bardzo dobrze usposobiony. W godzinach smutku nie były też chmury na czole wynikiem wpływów atmosferycznych, jak to się zdarza u naszych sąsiadów, Anglików; przeciwnie, najgłębsza melancholja opanowywała go zazwyczaj w najpiękniejszej porze roku: czerwiec i lipiec były najgorszymi pod tym względem miesiącami dla Atosa.

O chwilę obecną nie troszczył się wcale; gdy wspomniano o przyszłości, wzruszał ramionami; przyczyna smutku jego, jak ogólnikowo opowiedziano d'Artagnanowi, kryła się w przeszłości.

Tajemniczy cień, otaczający całą istotę Atosa, sprawiał, że był on tem bardziej interesującym człowiekiem; oczy zaś i usta jego, nawet podczas największego pijaństwa, nigdy w tym względzie nie wyjawiły nic, mimo zręcznie zadawanych mu pytań.

— Tak — rozmyślał głośno d'Artagnan, — biedny Atos może już w tej chwili nie żyje, może poniósł śmierć z mojej winy, gdyż ja to wciągnąłem go w sprawę, której nie znał ani początku, ani wyniku i z której nie mógł odnieść żadnej korzyści.

— Nie mówiąc już o tem — wtrącił się Planchet, słysząc rozumowanie swego pana, — że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, obaj zawdzięczamy mu życie. Czy pamięta pan, jak wołał: "Uciekaj, d'Artagnanie! schwytano mnie w pułapkę!" A potem, wystrzeliwszy oba pistolety, jakże strasznie puścił w ruch szpadę. Mógłby kto przypuścić, że było tam ze dwudziestu ludzi, a raczej dwudziestu wściekłych djabłów.

Słowa te spotęgowały jeszcze pośpiech d'Artagnana. Popędził konia, który i bez tej podniety unosił jeźdźca galopem.

Około godziny jedenastej rano ujrzeli zdala Amiens, a o pół do dwunastej stanęli przed bramą przeklętej gospody.

D'Artagnan niejednokrotnie już przemyśliwał, jakby się pomścić na zdradzieckim oberżyście, w tem przynajmniej szukając pociechy. Wszedł więc do gospody w kapeluszu, naciśniętym na oczy, trzymając lewą rękę na rękojeści szpady, a w prawej dzierżąc szpicrutę, którą ciął groźnie powietrze.

— Czy poznajesz mnie pan? — zapytał karczmarza, który pospieszył naprzeciwko, aby go powitać.

— Nie mam zaszczytu — odpowiedział tenże, olśniony świetnym rzędem konia d'Artagnana.

— Ach! nie poznajesz mnie pan?

— Nie, jaśnie panie.

— Zatem dwa słowa przywrócą ci pamięć. Co uczyniłeś z owym szlachcicem, któremu przed piętnastu mniej-więcej dniami ośmieliłeś się zarzucić fałszerstwo pieniądzy?

Oberżysta zbladł, gdyż d'Artagnan, zadając to pytanie, przybrał jak najgroźniejszą postawę, a Planchet poszedł za przykładem swego pana.

— Achń jaśnie panie! nie wspominaj mi o tem — zawołał płaczliwym głosem. — O, jakże drogo zapłaciłem za te przewinę! O, ja nieszczęsny!

— Pytam, co się stało z tym szlachetnym panem? — powtórzył groźnie d'Artagnan.

— Zechciej mnie wysłuchać, jaśnie panie, i ulituj się nademną. Racz usiąść, jeśli łaska!

D'Artagnan, pełen gniewu i niepokoju, usiadł z sędziowską powagą; Planchet oparł się dumnie o jego krzesło.

— Opowiem wszystko, co się stało, jaśnie panie — mówił oberżysta, drżąc z przerażenia. — Teraz bowiem poznaję już

pana; to pan odjechałeś właśnie, gdy rozpoczęło się to nieszczęsne zajście z owym szlachcicem, o którym wspominasz.

— Tak, to ja. Widzisz zatem, że nie możesz się spodziewać przebaczenia, jeżeli nie powiesz mi całej prawdy.

— Chciej pan posłuchać tylko, a dowiesz się wszystkiego.

— Słucham.

— Zostałem zawiadomiony przez władze, że do mojej gospody przybędzie pewien głośny fałszerz pieniędzy z kilkoma towarzyszami, przebranymi w mundury gwardyjskie lub muskieterskie. Opisano mi, jaśnie panie, najdokładniej wasz wygląd, wasze konie, waszą służbę.....

— Co dalej? — pytał d'Artagnan, domyślając się natychmiast skąd pochodził ten dokładny rysopis.

— Wedle polecenia władzy, która nadesłała mi sześciu ludzi do pomocy, przedsięwziąłem wszystkie środki, jakie uważałem za konieczne do przytrzymania tych rzekomych fałszerzy pieniędzy.

— I jeszcze nas tak nazywasz?! — zawołał d'Artagnan, którego uszy bardzo niemile drażniła nazwa "fałszerza pieniędzy".

— Przebacz mi, jaśnie panie, że mówię o tem, ale będzie to właśnie mojem usprawiedliwieniem. Władze nastraszyły mię, a wiadomo panu, że oberżysta zmuszony jest liczyć się z żądaniami urzędników.

— Ale pytam się raz ejszcze, gdzie jest ów szlachcic? co się z nim stało? żyje, czy zginął?

— Cierpliwości, jaśnie panie; dochodzimy już do tego. Widziałeś pan sam początek tych wydarzeń. Pański pospieszny odjazd — mówił chytrze oberżysta, co nie uszło uwagi d'Artagnana — zdawał się jeszcze potwierdzać podejrzenia. Szlachcic, przyjaciel pański, bronił się rozpaczliwie, a nadomiar nieszczęścia służący jego wdał się w spór z wysłańcami władzy, przebranymi za chłopaków stajennych...

— Ach! łajdaki! — krzyknął d'Artagnan, — byliście wszyscy w zmowie! I nie wiem, co mię jeszcze powstrzymuje, żem was wszystkich nie wytępił co do nogi.

— Nie, jaśnie panie, nie byliśmy w zmowie, i zaraz przekonasz się pan o tem. Pański przyjaciel.... przepraszam, że nie wymieniam szlachetnego nazwiska, jakie zapewne nosi, ale niestety nie znam go wcale.... otóż przyjaciel pański, dwoma wystrzałami z pistoletów uczyniwszy dwóch ludzi niezdolnymi do

walki, zaczął się cofać, broniąc się szpadą, przyczem zranił jeszcze jednego z moich ludzi, a mnie samego ogłuszył, uderzywszy płazem....

— Czy skończysz raz hyclu? — zawołał zniecierpliwiony d'Artagnan. — Mów mi natychmiast, co się stało z Atosem!

— Otóż, cofając się i walcząc dalej, jak to już jaśnie panu mówiłem, trafił na drzwi, wiodące do piwnicy. Ponieważ zaś były otwarte, schronił się tam, przekręcił klucz w zamku i zabarykadował się wewnątrz. Stamtąd nie mógł już umknąć, więc pozostawiono go w spokoju.

— Tak — rzekł d'Artagnan, — nie zależało im na tem, aby go zabić; chciano go tylko uwięzić.

— Wielki Boże! uwięzić? Ależ on sam się, jaśnie panie, uwięził! przysięgam panu! Przedtem zaś uczynił straszne spustoszenie: jednego człowieka zabił na miejscu, a dwóch innych ciężko poranił. Zabitego i obu rannych zabrali ich towarzysze, i nie wiem, co się później z nimi stało. Co do mnie, to odzyskawszy przytomność, udałem się do pana gubernatora, opowiedziałem mu wszystko, co zaszło, i zapytałem, co mam uczynić z więźniem. Ale pan gubernator zrobił taką minę, jakby spadł z księżyca, i oświadczył mi, że nie wie nic zgoła o całej tej sprawie i że rozkazy, jakie otrzymałem, nie pochodziły od niego. Co więcej, zagroził mi gubernator, że każę mię powiesić, gdybym się ośmielił twierdzić wobec kogoś, że i on był zamieszany w tę sprawę. Widocznie pomyliłem się i zatrzymałem kogoś innego, podczas gdy ten, kogo należało uwięzić, umknął.

— Ale pytam, co się dzieje z Atosem? — zapytał podniesionym głosem d'Artagnan, którego niecierpliwość spotęgowała się jeszcze, gdy usłyszał o niedbałości władz w tej sprawie. — Mów mi, gdzie jest Atos!

— Ponieważ pragnąłbym jak najrychlej naprawić niesprawiedliwość, popełnioną względem więźnia — opowiadał dalej oberżysta, — pospieszyłem natychmiast do piwnicy, aby go uwolnić. Ach! panie to nie człowiek, to djabeł wcielony ten pan Atos! Kiedym mu zaproponował wypuszczenie na wolność, posądził mię, że zastawiam na niego sidła, i oświadczył, że wyjdzie z piwnicy pod pewnymi warunkami. Zgodziłem się na to z pokorą, bo stało się jasnem, że, podnosząc rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości, naraziłem się na smutne następstwa. Odpowiedziałem tedy, że przyjmę wszystkie jego warun-

ki. "Najpierw — rzekł — przyszlecie mi tu mojego służącego w pełnem uzbrojeniu." Pospieszyłem wypełnić to polecenie, bo, jak pan pojmuje, byłem gotów uczynić wszystko, czegoby zażądał pański przyjaciel. Pan Grimaud.... powiedział nam swe nazwisko, aczkolwiek jest tak małomówny... pan Grimaud zatem zeszedł do piwnicy, chociaż był ciężko ranny, a pan jego, wpuściwszyg o do wnętrza, zabarykadował z powrotem drzwi, nakazując mi, abym siedział dalej w sklepie....

Ale ostatecznie gdzie jest Atos? — krzyknął d'Artagnan. — Odpowiadaj mi natychmiast, gdzie jest Atos!

— W piwnicy, jaśnie panie.

— Jakto, nieszczęsny?! więzisz go w piwnicy do tego czasu?

— Ależ niech mię Pan Bóg broni! nie, panie! Ja miałbym go więzić w piwnicy?! Jaśnie pan nie wie, jakie on mi tam szkody wyrządza. Ach! gdybyś pan potrafił nakłonić go do wyjścia stamtąd, byłbym panu wdzięczny aż do śmierci... czciłbym pana jako mojego dobroczyńcę...

— Więc go tam jeszcze znajdę?

— Tak jest, panie. Uparł się tam pozostać. Codziennie podajemy mu przez okienko zapomocą wideł chleb i mięso, o ile tego zażąda. Ale, niestety, nie chlebem on i nie mięsem głównie się żywi. Pewnego dnia próbowałem zejść do piwnicy w towarzystwie dwóch moich pachołków. Zaledwieśmy się znaleźli u wejścia do piwnicy porwał go straszny gniew, i uszu naszych dobiegł szczęk nabijanych pistoletów oraz muszkietu, w który uzbroił swego służącego. Zatrzymaliśmy się, pytając, jakie są jego życzenia, a on oświadczył, że posiadają czterdzieści nabojów i wystrzelają je do ostatniego, a nie pozwolą komukolwiek przestąpić progu piwnicy. Na taką groźbę udałem się ze skargą do gubernatora, a ten mi, proszę pana, odpowiedział, że zasłużyłem na to, co mię spotyka, i że będę miał dzięki temu nauczkę, jak niebezpiecznie jest ubliżać wielkim panom, popasającym w mojej gospodzie.

— A więc od owego czasu.... — rzekł d'Artagnan i, nie dokończywszy, wybuchnął śmiechem na widok płaczliwej miny oberżysty.

— Od owego czasu, panie — powtórzył karczmarz, — wiedziemy możliwie najsmutniejszy żywot. Albowiem trzeba panu wiedzieć, że wszystkie nasze zapasy znajdują się w piwnicy: jest tam wino w butelkach i w beczkach, piwo, oliwa, korzenie, słoni-

na, salcesony i inne dobre rzeczy. Ponieważ zaś nie możemy się tam dostać, musimy odmawiać jadła i napitku podróżnym, przybywającym do gospody, a wskutek tego oberża z dnia na dzień podupada... I jeżeli pański przyjaciel jeszcze z tydzień posiedzi w piwnicy, odejdę stąd z torbami...

— Dobrze ci tak, hultaju! Powinieneś był poznać z naszego wyglądu, że jesteśmy porządnymi ludźmi, a nie fałszerzami pieniędzy.

— Tak jest, panie, przyznaję — odparł gospodarz. — Ale niechno pan posłucha... Znowu wpada we wściekłość...

— Musiano go niewątpliwie czemś zaniepokoić — zauważył d'Artagnan.

— Czyż może być inaczej? — jęknął oberżysta. — Przybyło do nas właśnie dwóch panów angielskich.

— Więc cóż z tego?

— Anglicy, jak panu wiadomo, lubią dobre wina, a ci dwaj zażądali najlepszego. Żona moja prawdopodobnie zaniosła prośbę do pana Atosa, aby pozwolił jej wejść do piwnicy i zadośćuczynić życzeniu tych panów, a on, jak zazwyczaj, odmówił. Na miłosierdzie Boskie! słyszy pan? piekielna wrzawa!

Istotnie d'Artagnan usłyszał okropny hałas, dochodzący od strony piwnicy. Powstał z krzesła i, prowadzony przez gospodarza, załamującego ręce, zbliżył się ku wejściu do piwnicy w towarzystwie Plancheta, który odwiódł kurek u swego muszkietu.

Tymczasem obaj szlachcice trzęśli się od gniewu; przebyli ogromny kawał drogi i umierali z głodu i pragnienia.

— Ależ to prawdziwa tyrania — wołali płynnie po francusku, aczkolwiek z pewnym cudzoziemskim akcentem, — żeby jakiś szaleniec nie pozwalał tym dobrym ludziom wziąć własnego ich wina! Trzeba wyważyć drzwi, a jeżeli będzie zanadto szalał, zabijemy go.

— Hola, panowie! zwolna! — rzekł na to d'Artagnan, dobywając z za pasa pistolety. — Nie zabijecie tu nikogo, jeśli łaska.

— Owszem! — ozwał się z poza drzwi spokojny głos Atosa, — niechno mi się tylko pokażą ci zjadacze niewiniątek, a zobaczymy, kto kogo zabije.

Aczkolwiek obaj Anglicy mieli wygląd dzielnych ludzi, to jednak na tę groźbę spojrzeli po sobie z wahaniem; możnaby po-

myśleć, że w piwnicy siedzi jeden z tych mitycznych ludożerców, olbrzymich bohaterów z baśni ludowej, do którego pieczary nikt się nie waży wejść bezkarnie.

Po chwili milczenia jednak zawstydzili się Anglicy swej niepewności, i jeden z nich, energiczniejszy, zeszedłszy po pięciu czy sześciu stopniach schodowych, kopnął nogą w drzwi z taką siłą, że mógłby mur rozwalić.

— Planchecie — zawołał d'Artagnan, odciągając kurki pistoletów, — biorę na cel tego, stojącego na górze; ty mierz do tego na dole.

A następnie rzekł do Anglików:

— Skoro panowie pragniecie walki, będziecie ją mieli!

— Wielki Boże! — zakrzyknął z głębi piwnicy Atos, — zdaje mi się, że słyszę głos d'Artagnana.....

— Isottnie, przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan również podniesionym głosem, — to ja jestem.

— A więc — wołał Atos — zabierzmy się wspólnie do tych burzycieli murów.

Na te słowa Anglicy ujęli szpady w ręce, gotując się do obrony, ale się wnet spostrzegli, że wzięci są we dwa ognie, i jeszcze raz zawahali się na chwilę. Duma jednak, jak poprzednio, wzięła w nich górę; drugie uderzenie nogą rozszczepiło drzwi piwnicy na całej ich długości.

— Usuń się d'Artagnanie! usuń się, bo strzelam! — wołał Atos.

— Panowie — rzekł d'Artagnan, którego rozwaga nie opuszczała nigdy, — panowie, zastanówcie się! Atosie, nie gorączkuj się! Panowie! w niemiłą sprawę wmieszaliście się i możecie wyjść z niej pokonani. Oto mój służący i ja trzykrotnie damy do was ognia, a i z piwnicy padnie tyleż strzałów; prócz tego mamy jeszcze szpady, któremi, mogę panów zapewnić, zarówno mój przyjaciel, jak i ja, posługujemy się zupełnie przyzwoicie. Pozwólcie mi załagodzić to nieporozumienie, a daję słowo honoru, że za chwilę będziecie już mieli czem ugasić pragnienie.

— O ile tu jeszcze coś pozostało — zawołał z humorem Atos.

Oberżysta uczuł, że zimny pot oblewa mu plecy.

— Jakto " o ile jeszcze co pozostało"? — wybełkotał z rozpaczą.

— Do licha! pozostało napewno — odpowiedział d'Artagnan; — bądź pan spokojny. Przecież we dwóch nie wypili całej piw-

nicy. — Do Anglików zaś rzekł: — Panowie, schowajcie szpady do pochew.

— Dobrze, a pan niech włoży pistolety za pas.

— Najchętniej.

I d'Artagnan dał przykład, a równocześnie zwrócił się do Plancheta i kazał mu opuścić muszkiet.

Anglicy pozwolili się przekonać i, pomrukując schowali szpady do pochew, poczem zostali poinformowani o całej historji uwięzienia Atosa; ponieważ zaś byli dobrą szlachtą, więc uznali, że wszelką winę ponosi w tym wypadku oberżysta.

— Obecnie — rzekł d'Artagnan — idźcie panowie do swego pokoju, a za dziesięć minut, ręczę słowem, przyniosą wam tam wszystko, czego tylko zapragniecie.

Anglicy skłonili się i odeszli.

— Jestem już teraz sam, kochany Atosie — rzekł d'Artagnan, — proszę cię zatem, otwórz drzwi.

— Za chwilę ci otworzę — odparł Atos.

I wnet rozległ się łoskot odrzucanych klepek oraz belek, stanowiących obwarowanie twierdzy Atosa, które rozwalał sam oblężony. Po chwili zaś rozwarły się drzwi piwnicy, i pojawiła się w nich wybladła twarz jego.

Szybkiem spojrzeniem rozejrzawszy się dokoła, otworzył ramiona ku d'Artagnanowi, który rzucił mu się na szyję i uścisnął serdecznie. Gdy jednak następnie d'Artagnan chciał wyprowadzić przyjaciela z wilgotnej kryjówki, spostrzegł, że Atos chwieje się na nogach.

— Jesteś ranny? — zapytał go.

— Ależ bynajmniej; jestem tylko pijany, jak bela.... oto wszystko. Bo rzeczywiście nigdy chyba nikt nie pracował na to gorliwiej odemnie. Gospodarzu, ja sam wypiłem conajmniej pięć dziesiąt flaszek...

— Wielkie nieba! — zakrzyknął oberżysta. — Jeżeli służący pański w dodatku wypił tylko połowę tego, jestem zrujnowany...

— Mój Grimaud jest służącym z dobrego domu i nie ośmieliłby się nigdy przejmować moich zwyczajów; pił prosto z beczki... Ale, zdaje mi się, zapomniał zasadzić czopa z powrotem... Słyszycie, jak się leje?....

D'Artagnan parsknął śmiechem, który zaniepokojenie oberżysty przemienił w gorączkę.

W tej samej chwili poza plecami Atosa ukazał się Grimaud z muszkietem na ramieniu, chwiejący się na nogach i z bezwładną głową, podobny do pijanych satyrów na obrazach Rubensa; z przodu i z tyłu zlany był jakimś gęstym płynem, w którym oberżysta rozpoznał najlepszą swoją oliwę.

Wyszli wreszcie z piwnicy i, przeciągnąwszy przez wielką izbę, rozgospodarowali się w najlepszym w całej oberży pokoju, który d'Artagnan zajął prawem pierwszeństwa.

Tymczasem oberżysta i jego żona pobiegli z latarkami w ręku do piwnicy, dokąd przez tak długi czas mieli wstęp wzbroniony.

Straszny widok przedstawił się tutaj ich oczom.

Poza obwarowaniem, które Atos dla utorowania sobie wyjścia sam zburzył, a które składało się z mnóstwa klepek, belek i próżnych antałków, rozmieszczonych wedle wszelkich prawideł sztuki obronnej, widać było tu i ówdzie walające się w kałużach wina i oliwy kości z całych spożytych szynek, lewy kąt piwnicy zawalony był potłuczonemi flaszkami, a beczka, której kran zapomniano zamknąć, traciła przez ten otwór ostatnie krople krwi swojej. Niby na polu bitwy, jak powiedział jeden ze starożytnych poetów, panował obraz zniszczenia i śmierci. Z pięćdziesięciu salcesonów, które wisiały przedtem u pułapu, pozostało zaledwie dziesięć.

Rozpaczliwe jęki oberżysty i jego żony, gdy to spostrzegli, przebiły sklepienia piwnicy i, dobiegłyszy uszu znajdujących się na górze dwóch przyjaciół, wzruszyły serce d'Artagnana. Atos ani drgnął.

Po rozpaczy jednak gospodarza przyszła na niego wściekłość. Oszalały, uzbroiwszy się w rożen, wpadł do pokoju, zajętego przez wojowniczych swych gości.

— Wina! — zawołał Atos, zoczywszy go.

— Wina?! — powtórzył pytająco osłupiały oberżysta, — wina?! Ależ wypiłeś mi go pan za sto przeszło pistolów; jestem zrujnowany, zgubiony, doprowadzony do żebraczego kija...

— Cóż na to poradzić? — odrzekł Atos; — mieliśmy nieustanne pragnienie.

— Gdybyście panowie byli chociaż poprzestali na tem; ale potłukliście mi tyle flaszek.

— Popchnąłeś mnie pan na nie; pańska to wina.

— Przepadła wszystka moja oliwa!

— Oliwa jest środkiem gojącym, a biedny Grimaud musiał opatrywać rany, które mu z pańskiej winy zadano.

— Wszystkie moje salcesony pożarte!

— Bo w piwnicy jest niesłychana liczba szczurów.

— Zapłacisz mi pan za to wszystko! — krzyknął wreszcie zrozpaczony gospodarz.

— Potrójny ośle! — zawołał Atos, podnosząc się z krzesła, natychmiast jednak osuwając się na nie z powrotem gdyż sił mu zabrakło.

D'Artagnan pospieszył mu na pomoc, wznosząc jednocześnie szpicrutę nad plecami gospodarza.

Oberżysta cofnął się i wybuchnął płaczem.

— To pana nauczy — mówił d'Artagnan — obchodzić się nieco grzeczniej z gośćmi, jakich ci Bóg zsyła.

— Bóg?! Powiedz pan raczej: djabeł.

— Mój drogi przyjacielu — oświadczył na to d'Artagnan. — Jeżeli w dalszym ciągu będziesz rozdzierał nasze uszy swymi wrzaskami, zamkniemy się wszyscy czterej w twojej piwnicy, aby sprawdzić, czy szkoda jest rzeczywiście tak wielka, jak twierdzisz.

—Tak jest, panowie! zbłądziłem! wyznaję to szczerze — rzekł w odpowiedzi gospodarz. — Ale dla każdego grzesznika jest zmiłowanie; jesteście wielkimi panami, a ja biednym oberżystą, więc miejcie litość nademną.

— Ach! — ozwał się Atos, — mówiąc w ten sposób, rozczulasz mię, i łzy gotowe popłynąć z mych oczu, jak wino z twoich antałków. No, gospodarzu, nie taki djabeł straszny, jak się wydaje. Chodź tutaj; pogadamy.

Oberżysta bliżył się z niepokojem.

— Chodź, powtarzam, i nie bój się — ciągnął dalej Atos. — W chwili, gdy miałem ci uiścić zapłatę, położyłem kieskę na stole.

— Tak, jaśnie panie.

Kieska ta zawierała sześćdziesiąt pistolów. Gdzie ona jest obecnie?

— W depozycie sądowym, jaśnie panie; oświadczono mi wówczas, że pieniądze te są fałszywe.

— Postaraj się zatem, aby zwrócono kieszkę, i weź sobie te sześćdziesiąt pistolów.

— Ba! Jaśnie panu wiadomo przecie, że sąd nie wypuszcza już tego, co raz dostanie w swe ręce. Gdyby to jeszcze były istotnie fałszywe pieniądze, możnaby mieć jakąś nadzieję; na nieszczęście, są one prawdziwe sztuka w sztukę.

— Ułóż się tedy z sądem, mój dobry człowieku. Mnie to już nic nie obchodzi. Pozatem zresztą nie mam ani grosza.

— Czekajcie — przerwał d'Artagnan. — Gdzie jest koń Atosa?

— W stajni.

— Ile może być wart?

— Pięćdziesiąt pistolów, co najwięcej.

— O, nie, przyjacielu! wart jest osiemdziesiąt. Weź go sobie, i kwita!

— Jakże to, d'Artagnanie? — zapytał Atos, — sprzedajesz mojego konia? sprzedajesz mojego Bajazeta? A na czemże pojadę na wojnę? na Grimaudzie?

— Przyprowadziłem dla ciebie innego konia — odpowiedział d'Artagnan.

— Innego?

— Niezwykle wspaniałego! — zawołał oberżysta.

— Skoro więc mam innego, piękniejszego i młodszego, zabieraj sobie starego i daj nam pić.

— Jakiego wina panowie sobie życzą? — zapytał oberżysta z zupełnie już rozpogodzonem obliczem.

— Tego, które stoi w głębi przy krokwiach. Pozostało tam jeszcze dwadzieścia pięć flaszek; reszta się potłukła, gdy upadłem. Otóż przynieś nam sześć flaszek tego wina.

— To proch, nie człowiek! — szepnął oberżysta do siebie. — Jeżeli pobędzie tutaj z piętnaście dni i będzie płacił za to, co wypije, powetuję wszystkie swe straty.

— A nie zapomnij — zawołał d'Artagnan za odchodzącym gospodarzem — zanieść cztery flaszki tego samego wina owym dwom panom Anglikom.

— Tymczasem — zwrócił się Atos do d'Artagnana, — zanim podadzą nam wino, opowiedz mi, co się dzieje z resztą naszych towarzyszów.

D'Artagnan opowiedział pokrótce przyjacielowi, że odnalazł Portosa w łóżku ze zwichniętą nogą, Aramisa zaś siedzącego przy stole między dwoma teologami. Właśnie kończył opowia-

danie, gdy wszedł oberżysta, niosąc zamówione wino i szynkę, która, na jego szczęście, ocalała jeszcze w piwnicy.

— Dobrze — rzekł Atos, napełniając szlanki, — wypijmy więc za zdrowie Portosa i Aramisa. Ale cóż się z tobą samym działo, mój przyjacielu? Wydaje mi się, że masz coś niewesołego na sercu.

— Tak! — zawołał d'Artagnan, — jestem najnieszczęśliwszy z was wszystkich.

— Ty, nieszczęśliwy? d'Artagnanie, ty jesteś nieszczęśliwy? — pytał Atos. — Z jakiejże to przyczyny?

— Opowiem ci później.

— Później! a dlaczego nie teraz? Czy sądzisz może, że jestem pijany? Zapamiętaj sobie, d'Artagnanie, że myśl moja nigdy nie bywa tak jasna, jak właśnie wtedy, gdy napiję się wina. Mów zatem; nastawiam uszy.

D'Artagnan opowiedział mu swą przygodę z panią Bonacieux, której Atos wysłuchał bez zmarszczenia brwi, a gdy wreszcie przyjaciel skończył mówić, odezwał się:

— Wszystko to nędza! wszystko nędza!

Takie było zwykłe powiedzenie Atosa.

— Nazywasz to zawsze nędzą, drogi Atosie! — rzekł d'Artagnan. — A jednak nie przystoi tak mówić właśnie tobie, który nie kochałeś nigdy.

Znużone oczy Atosa rozbłysnęły nagle. Była to jednak tylko krótka błyskawica, bo zaraz stał się znowu ponurym i niepojętym, jak poprzednio.

— To prawda — rzekł spokojnie — nie kochałem nigdy.

— Widzisz więc, człowieku o kamiennem sercu — mówił d'Artagnan, — że postępujesz niesłusznie, będąc tak bardzo surowym dla nas, którzy mamy serca wrażliwe.

— Serca wrażliwe i zranione — dorzucił Atos.

— Co mówisz?

— Mówię, że miłość jest loterją, a ten, kto wygrywa, zyskuje śmierć! Powinieneś się czuć szczęśliwym, drogi d'Artagnanie, że przegrałeś; chciej mi wierzyć. A jeżeli posłuchasz dobrej rady, staraj się przegrywać zawsze.

— Zdawało mi się, że kocha mię tak bardzo.

Zdawało ci się.

— Och, nie! Ona mię rzeczywiście kochała.

— Dziecko! Niema człowieka, któryby nie wierzył w to, że jest przez kobietę kochany, jak niema człowieka, któryby nie był przez nią oszukiwany.

— Z wyjątkiem ciebie, Atosie, ty bowiem nie miałeś nigdy ukochanej.

— To prawda — odparł Atos po chwili milczenia; — nie miałem takiej nigdy, nigdy... Ale pijmy!

— Będąc jednak takim filozofem, powinieneś mię pouczyć, wspomódz — mówił d'Artagnan. — Potrzebuję nauki i pociechy.

— Pociechy? w czem?

— W mojej niedoli.

— Twoja niedola budzi śmiech we mnie — odpowiedział Atos wzruszając ramionami. — Ciekawy jestem, cobyś powiedział gdybym ci przytoczył pewną historję miłosną.

— Swoją?

— Może któregoś z przyjaciół. Czyż to ci nie obojętne, czyją?

— Mów więc, Atosie, proszę.

— Pijmy, to będzie lepsze!

— Pijmy i opowiadaj.

— Niech i tak będzie — odrzekł Atos, wypróżniając i napełniając nanowo swą szlankę. — Te dwie rzeczy doskonale idą w parze.

— Więc słucham — rzekł d'Artagnan.

Atos zamyślił się, a w miarę, jak pamięć wywoływała wspomnienia, bladł coraz bardziej. W tem stadjum pijaństwa, w jakiem się znajdował, przeciętny pijak pada zazwyczaj, snem znużony. Atos natomiast myślał i marzył głośno, nie śpiąc. Ten lunatyzm pijaństwa miał w sobie coś przerażającego.

— Więc chcesz tego koniecznie? — zapytał.

— Proszę o to bardzo — odpowiedział d'Artagnan.

— Niech będzie zatem, jak pragniesz. Jeden z moich przyjaciół.... powtarzam, jeden z moich przyjaciół, nie ja, zapamiętaj to sobie — zaczął Atos, ponuro westchnąwszy, — pewien hrabia, pochodzący z tej samej okolicy, skąd i ja pochodzę, to znaczy z Du Berry, szlachcic tak dobry, jak naprzykład taki Dandolo lub Montmorency, zakochał się, mając lat dwadzieścia pięć, w szesnastoletniej dziewczynie, pięknej, jak marzenie. Poprzez naiwność jej dziecięcego wieku tryskał umysł żywy, nie tyle kobiecy, ile poetyczny. Zamało powiedzieć, że się ona szlachcicowi owemu podobała; ona go wprost istotą swą upajała.

Z bratem swym, który był księdzem, mieszkali razem w małem miasteczku. Byli w tej okolicy przybyszami i nikt nie wiedział, skąd się tu wzięli. Ale wobec piękności dziewczyny i pobożności jej brata sąsiedzi byli im życzliwi, i nikomu nie przyszła do głowy złośliwa myśl badać skąd są rodem. Zresztą krążyły pogłoski, że pochodzili z dobrej rodziny. Przyjaciel mój, który był panem na całą okolicę, mógł był uwieść ją, mógł porwać ją siłą; zależało to od jego woli. Bo i któżby się poważnie ujął za dwojgiem cudzoziemców, nikomu nieznanych! Na nieszczęście jednak był to człowiek uczciwy i poślubił ją..... Osioł, głupiec, niedołęga....

— Dlaczego? przecie ją kochał? — zdziwił się d'Artagnan.

— Zaczekaj — rzekł Atos. — Hrabia wprowadził ją na swój zamek i uczynił najpierwszą damę w całej okolicy. A przyznać trzeba, że umiała się doskonale na tem stanowisku zachować.

— Więc? — pytał d'Artagnan.

— Otóż pewnego dnia, gdy była z mężem na polowaniu — opowiadał dalej Atos przytłumionym głosem i mówiąc coraz to szybciej, — spadła z konia i zemdlała. Hrabia pospieszył jej na pomoc, a że dusiły ją suknie, przeciął materję sztyletem i obnażył jej ramiona. I zgadnij, d'Artagnanie, co było na jednem z tych ramion — rzekł Atos, wybuchając śmiechem.

— Skądże mogę wiedzieć? — odpowiedział d'Artagnan.

Rysunek lilii — dokończył Atos. — Była niepiętnowana.

I mówiąc to, jednym haustem wychylił kielich, który trzymał w ręku.

— Co mówisz? — zawołał d'Artagnan. — To okropne!

— Mówię szczerą prawdę. Tak, mój drogi! anioł okazał się demonem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

— Cóż wobec tego uczynił hrabia?

— Hrabia był wielkim panem i miał w swych dobrach prawo życia i śmierci nad mieszkańcami. Obdarł więc do reszty suknie z hrabiny, związał jej ręce na plecach i powiesił nieszczęsną na drzewie.

— Co mówisz, Atosie! Wszakże to było morderstwo! — zawołał d'Artagnan.

— Tak jest, morderstwo, nic innego — rzekł Atos, blady, jak trup. A następnie dodał: — Ale, jak mi się zdaje, zbraknie nam wina.

I pochwyciwszy za szyjkę ostatnią butelkę, jaka jeszcze pozostała, wychylił jednym łykiem całą jej zawartość, jak gdyby to była najzwyczajniesza szklanka, poczem opuścił głowę i ukrył ją w dłoniach. D'Artagnan stał przed nim, nie ochłonąwszy jeszcze ze zgrozy, jaką go przejęło opowiadanie.

— To wyleczyło mnie z wszelkich uczuć ku pięknym, poetycznym i miłośnie usposobionym kobietom — mówił Atos, powstając z krzesła i nie myślać bynajmniej usprawiedliwiać hrabiego. — Niechże Bóg chroni od nich i ciebie! A teraz pijmy!

— Zatem ona umarła? — wyjąkał d'Artagnan.

— Do licha! — krzyknął Atos na służącego, niez wracając uwagi na to pytanie przyjaciela. — Trzymajże porządnie kieliszek! Daj nam szynki, głupcze! nie możemy już pić więcej.

— A cóż się stało z jej bratem? — pytał dalej nieśmiało d'Artagnan.

— Z bratem?

— Tak jest, z tym księdzem?

— Och! dowiadywałem się o niego, aby go także powiesić; ale uprzedził mię i opuścił probostwo o dzień wcześniej.

— Czy dowiedziano się przynajmniej, kto był ten nędznik? — pytał jeszcze d'Artagnan.

— Był to bezwątpienia pierwszy kochanek i wspólnik dziewczyny, zacny osobnik, podający się za księdza może właśnie w tym celu, aby wydać tę swą kochankę zamąż i zapewnić jej los szczęśliwy... Nie wiem, co się z nim stało; ale mam nadzieję, że został poćwiartowany.

— Mój Boże! — westchnął d'Artagnan, oszołomiony całkiem tą straszną opowieścią.

— Zjedz trochę szynki, d'Artagnanie; jest doskonała — rzekł Atos, odcinając spory kawał i kładąc młodemu człowiekowi na talerz. — Jaka szkoda, że nie znalazłem ze czterech takich w piwnicy! Wypiłbym wina o pięćdziesiąt flaszek więcej.

D'Artagnan nie mógł już dłużej znieść tej rozmowy; czuł, że doprowadziłaby go do najwyższego stopnia rozdrażnienia. Opuścił więc głowę na ręce i udał, że zasypia.

— Dzisiaj młodzi ludzie nie umieją już pić — rzekł Atos, spoglądając na niego z litością. — A jednak ten jest jednym z najdzielniejszych...

XXVIII.

POWRÓT.

D'Artagnan pozostawał długo pod wrażeniem strasznej opowieści Atosa. Ale w tem połowicznem zwierzeniu muszkietera było jeszcze wiele szczegółów niejasnych. Przedewszystkim mówił mu to człowik najzupełniej pijany, jemu, który również czuł wino w głowie. Jednakże, mimo pewnej niejasności, spowodowanej w mózgu oparami dwóch czy trzech flaszek burgunda, d'Artagnan, obudziwszy się nazajutrz, miał każde słowo Atosa tak żywo w pamięci, jakgdyby mu się w mózg wryły, wszystkie zaś wątpliwości obudziły w nim tem większe pragnienie osiągnięcia wyjaśnień. Poszedł tedy do swego przyjaciela z ukrytym zamiarem wznowienia rozmowy z dnia poprzedniego i dowiedzenia się szczegółów. Atos jednak trzeźwy już był zupełnie, to znaczy, stał się znowu najprzebieglejszym i najskrytszym z ludzi.

Zresztą muszkieter, zamieniwszy z przyjacielem uścisk dłoni, uprzedził jego myśli.

— Byłem wczoraj, kochany d'Artagnanie, strasznie pijany — rzekł. — Czuję to jeszcze dzisiaj w języku, który jest nieco skołowaciały, i po pulsie, niezwykle przyspieszonym. I założyłbym się, że musiałem opowiadać ci tysiące niedorzeczności....

Mówiąc te słowa, spojrzał badawczo na przyjaciela, co d'Artagnana nieco zmieszało.

— Ależ bynajmniej — odparł d'Artagnan. — O ile sobie przypominam, nie mówiłeś nic nadzwyczajnego.

— To dziwne! Wydawało mi się, że opowiadałem ci jakąś niezwykle żałośną historję.

I spojrzał na młodego człowieka tak, jakgdyby chciał zajrzeć mu na dno serca.

— Na honor! — oświadczył d'Artagnan, — okazuje się z tego, że byłem jeszcze bardziej pijany od ciebie, gdyż nic sobie nie przypominam.

Atos zadowolnił się temi słowy i mówi dalej:

— Zauważyłeś zapewne, drogi przyjacielu, że każdy człowiek upija się na swój sposób: smutno albo wesoło; ja upjima się na smutno, a skoro raz zaleję sobie głowę, zwykłem opowiadać najtragiczniejsze bajki, które głupia moja niańka przyswoiła mej pamięci. Jest to moją wadą, wadą zasadniczą... Lecz pozatem jestem wcale dobrym pijakiem.

Atos wypowiedział to z tak naturalną swobodą, że d'Artagnan zachwiał się w swem przekonaniu o prawdzie wczorajszych słów jego.

— Ach, tak, rzeczywiście — zaczął mówić, usiłując powrócić na drogę prawdy. — Tak, przypominam sobie teraz, jak gdybym przypominał senne marzenie... Mówiliśmy o jakichś wisielcach.

— A widzisz — rzekł Atos, mieniąc się na twarzy, jakkolwiek usiłował się uśmiechać; — byłem tego pewny... Wisielcy są moją zmorą...

— Tak, tak! — ciągnął dalej d'Artagnan. — Przypominam... Była mowa.... zaraz, zaraz.... była mowa o jakiejś kobiecie.

— Właśnie — przytwierdził Atos. — Gdy jestem pijany, jak bela, opowiadam zazwyczaj długie historje o jakiejś jasnowłosej kobiecie.

— Tak też było i wczoraj — potwierdził d'Artagnan; — opowiadałeś o jasnowłosej kobiecie, wysokiej i pięknej z niebieskiemi oczyma.

— I powieszonej.

— Przez własnego męża, znanego ci osobiście wielkiego pana — dokończył d'Artagnan, spoglądając bystro w oczy Atosa.

— No, widzisz, jak to łatwo skompromitować człowieka, gdy się już nie wie, co się mówi — dodał Atos, wzruszając ramionami, jakgdyby się litował nad samym sobą. — Stanowczo przestanę się upijać, d'Artagnanie. Jest to obrzydliwy nałóg.

D'Artagnan milczał, — Atos zaś, zmieniając nagle temat rozmowy, rzekł:

— Prawda, dziękuję ci bardzo za konia, którego mi przyprowadziłeś.

— Spodobał ci się? — zapytał d'Artagnan.

— O, bardzo! — rzekł, a po chwili dodał: — Chociaż nie jest to zwierzę, mogące znosić zbyt ciężkie trudy.

— Mylisz się. Przebyłem na tym koniu sześć mil w niespełna półtorej godziny, a pomimo to wyglądał potem, jakdgyby odbył tylko przejażdżkę dookoła placu Świętego Sulpicjusza.

— Otóż to; gotów jestem zacząć teraz żałować.

— Żałować? czego?

— Że się go pozbyłem.

— Jakto?

— Ano, było tak. Obudziłem się o godzinie szóstej rano. Ty spałeś jeszcze, jak zabity. Nie wiedziałem, co robić; wskutek wczorajszego naszego pijaństwa jakaś tępość rozsiadła mi w mózgu. Zeszedłem na dół do wielkiej sali i ujrzałem tam jednego z naszych Anglkiów, który targował się z handlarzem koni, bo wierzchowiec jego zdechł wczoraj ze zmęczenia. Podszedłem ku niemu i, słysząc, że ofiarowuje sto pistolów za przypalanego bułanka, rzekłem: Panie, ja też mam konia na spredaż. "— I to wcale pięknego — odparł; — widizałem go wczoraj, gdy służący pańskiego przyjaciela odprowadzał go do stajni". — Jak pan sądzisz? — zapytałem, — wart jest sto pistolów? "— Oczywiście. Czy oddasz mi go pan za tę cenę?" — Nie, ale mogę zagrać o niego. "— Zagrać o niego?" — Tak jest." — A w co?" — W kości. — I stało się... Przegrałem konia... Ale, na szczęście — kończył Atos, — odegrałem czaprak.

D'Artagnan spochmurniał.

— Czy ci to sprawia przykrość? — zapytał Atos.

— Jeżeli mam wyznać prawdę, to tak — odpowiedział d'Artagnan. — Koń ten miał nam posłużyć do odznaczenia się kiedyś w bitwie. Był to podarek, pamiątka..... Źle zrobiłeś, Atosie.

—Tak, mój drogi — rzekł muszkieter. — Ale postaw się na mojem miejscu. Nudziłem się śmiertelnie... A po zatem, na honor, nie lubię koni angielskich. Jeżeli zaś chodzi o to tylko, aby być rozpoznanym przez kogoś to siodło wystarczy, bo jest wcale niepospolite. A zniknięcie konia łatwo wytłumaczyć jakąś wymówką. Do licha! wszakże koń jest śmiertelnem stworzeniem; przypuśćmy zatem, że mój dostał nosacizny lub parchów.

D'Artagnan nie rozchmurzył czoła.

— Przykro mi bardzo — mówił dalej Atos, — że widocznie zależy ci na tych zwierzętach... Bo nie koniec na tem mego opowiadania.

— Cóż uczyniłeś jeszcze?

— Po przegraniu mego własnego konia na dziewięć przeciw dziesięciu... widzisz, jaki los... przyszedł mi pomysł postawić na stawkę twojego.

— Mam nadzieję, że zadowoliłeś się tylko pomysłem,

— Bynajmniej; natychmiast wprowadziłem go w czyn.

— Cóż to znaczy? — zawołał d'Artagnan z zaniepokojeniem.

— Zagrałem o niego i również przegrałem.

— Mojego konia?

— Twojego konia.... na siedem przeciwko ośmiu; brakło mi jednego punktu.... Znasz odnośne przysłowie.

— Atosie! ty nie masz chyba zdrowego rozumu?

— Mój drogi, należało mi to powiedzieć wczoraj, gdy opowiadałem ci te głupie historje, a nie teraz. Przegrałem konia z całym rynsztunkiem... ze wszystkiem...

— Ależ to okropne! o

— Posłuchaj! nie wiesz może, że jestem dosoknałym graczem, o ile się nie gorączkuję. Ale w końcu gorączkuje się tak samo, jak przy piciu, i wskutek tego....

— Ale o cóż mogłeś jeszcze grać, skoro ci już nic nie pozostało?

— Powoli, powoli, mój przyjacielu! Pozostał nam jeszcze ten djament, który błyszczy na twoim palcu, a który zauważyłem wczoraj.

— Ten djament? — zawołał żywo d'Artagnan, dotykając ręką pierścienia.

— Ponieważ zaś jestem znawcą, sam bowiem posiadałem kilka podobnych, oceniłem go na tysięc pistolów.

— Spodziewam się — rzekł poważnie d'Artagnan, omdlewając niemal z przerażenia, — że nie wspomniałeś nikomu o moim djamencie.

— Przeciwnie, drogi przyjacielu. Pojmujesz, że djament ten stał się ostatnią naszą ucieczką; dzięki niemu mogłem odegrać nasze rynsztunki nasze konie, a co więcej, pewną sumkę na koszta podróży....

— Atosie! przerażasz mnie! — zakrzyknął d'Artagnan.

— Wspomniałem zatem o tym djamencie mojemu współgraczowi, który zresztą już wczoraj go zauważył. Do djabła, mój drogi! nosisz na palcu gwiazdę z nieba i chcesz, aby nie zwracano na nią uwagi! To przecie niemożliwe!

— Kończ, kończ! — wołał d'Artagnan, — bo ta twoja zimna krew o śmierć mię przyprawi.

— Podzieliliśmy klejnot na dziesięć stawek, oceniając na sto pistolów każdą.

— No, drwisz sobie chyba ze mnie, aby mię wypróbować — rzekł d'Artagnan, którego gniew począł ciągnąć za czuprynę, jak w "Iliadzie" Minerwa Achillesa.

— Nie, nie żartuję wcale.... Zresztą chciałbym bardzo zobaczyć ciebie na swojem miejscu; przez piętnaście dni nie widziałem ludzkiej twarzy i obcowałem jedynie z flaszkami.

— To jeszcze nie powód, aby mój djament rzucać na stawkę! odpowiedział d'Artagnan, zaciskając rękę nerwowym skurczem.

— Posłuchajże do końca. Dziesięć patryj, po sto pistolów każda, w dziesięciu rzutach, bez odgrywania się. W trzynastym rzucie przegrałem wszystko... W trzynastym rzucie! Liczba 13 była dla mnie zawsze fatalna; było to 13-go lipca, gdy....

— Do wszystkich djabłów! — zakrzyknął zrywając się od stołu d'Artagnan, na którego wiadomości te podziałały, tak, że zapomniał już całkiem o wczorajszem opowiadianu Atosa.

— Cierpliwości! — rzekł Atos. — Miałem w tem pewien plan. Anglik ów to dziwak jakiś. Widziałem, jak rano rozmawiał z Grimaudem, i wiem od Grimauda, że proponował mu aby wstąpił do inego na służbę. Zagrałem tedy z nim o Grimauda, o milczącego Grimauda, podzielonego również na dziesięć stawek.

— Na każdy rzut? — odezwał się d'Artagnan, wybuchając pomimowoli śmiechem.

— O Grimauda w jego własnej osobie... wyobraź sobie!.... I dziesięcioma stawkami Grimauda, który jest wart nawet jednego dukata, odegrałem djament! Powiedzże sam teraz, czy upór nie jest cnotą?

— Na honor ,zabawna historja! — zawołał d'Artagnan, nieco pocieszony, trzymając się za boki ze śmiechu.

— Teraz pojmiesz, że, czując, iż szczęście mi sprzyja, rozpocząłem grać o djament nanowo.

— Idźże do djabła z żartami! — rzekł d'Artagnan, zachmurzając się znowu.

— I odegrałem twoją uprząż, potem twego konia, potem moją uprząż, potem mojego konia... i znowu przegrałem wszystko. Ostatecznie odzyskałem twoją uprząż, potem moją, i na tem

przerwaliśmy grę. Udało się doskonale, więc już nie próbowałem więcej szczęścia.....

D'Artagnan odetchnął, jakgdyby mu z przygniecionych dotąd piersi zdjęto całą i oberżę.

— Więc djament pozostaje moją własnością? — zapytał trwożnie.

— Nienaruszoną, drogi przyjacielu, zarówno, jak uprząż twego i mojego Bucefała.

— Na cóż jednak przydadzą się nam uprzęże, skoro nie mamy koni?

— Mam co do nich pewien plan.

— Atosie, przerażasz mię znowu.

— Posłuchaj, d'Artagnanie .Tý nie grałeś już oddawna....

— I nie mam do gry najmniejszej chęci.

— Nie wyrzekajmy się niczego. Nie grałeś już oddawna, jak mówię ,będziesz miał zatem szczęśliwą rękę.

— Dobrze! Ależ cóż z tego wynika?

— Otóż Anglik i jego towarzysz są jeszcze tutaj. Zauważyłem że żałował bardzo uprzęży. Tobie widocznie zależy na koniu. Otóż, gdybym był na twojem miejscu, postawiłbym uprząż przeciwko koniowi.

— Ależ on nie zechce samej uprzęży na stawkę!

— To postaw obie uprzęże, do licha! Nie jestem takim egoistą, jak ty.

— I tybyś tak postąpił? — pytał d'Artagnan, wahając się już, bo pewność Atosa poczęła się i jemu udzielać.

— Słowo honoru! na jeden rzut....

— Straciliśmy już konie; pragnąłbym przynajmniej zachować uprzęże.

— W takim razie postaw djament.

— O, to co innego! Nigdy, nigdy!

— Do djabła! — rzekł Atos, — zaproponowałbym ci zagrać o Plancheta, ale ponieważ Anglik grał już o służącego, więc może nie zechce teraz takiej stawki....

— Stanowczo lepiej nie kusić szczęścia, drogi Atosie — rzekł d'Artagnan.

— Szkoda! — odparł zimno Atos. — Anglik wyptchany jest pistolami. Spróbuj jeden rzut... jeden rzut! To nie potrwa długo.

— A jeżeli przegram?

— Wygrasz.

— Ale jeżeli przegram?
— No, to stracisz uprzęże.
— Więc raz spróbuję — rzekł d'Artagnan.

Atos wyruszył na poszukiwanie Anglika i wnet znalazł go w stajni, gdzie pożądliwem spojrzeniem oglądał uprzęże. Nastręczała się sposobność. Postawił swoje warunki: dwa rzędy przeciwko jednemu koniowi lub stu pistolom do wyboru. Anglik namyślił się szybko: oba rzędy mogły mieć wartość trzystu pistolów, przyjął więc stawkę.

D'Artagnan drżącą ręką rzucił kości i zliczył trzy punkty. Bladość jego przeraziła Atosa, ograniczył się jednak tylko do tych słów.:

— Smutny rzut, towarzyszu! — A zwracając się do Anglika, dodał: — Będziesz pan miał konie z rzędami.

Triumfujący Anglik nie zadał sobie nawet trudu, aby pomieszać kości, i rzucił je na stół, nie patrząc wcale — tak pewny był zwycięstwa. D'Artagnan stał odwrócony, chcąc ukryć zły humor.

— No, no! — rzekł Atos spokojnym głosem, — to istotnie niezwykły rzut kośćmi; tylko cztery razy w życiu widziałem coś podobnego... Dwie jedynki.

Anglik obejrzał się ze zdumieniem, d'Artagnan zaś poruszony radością.

— Tak jest — kończył Atos, — tylko cztery razy: raz u pana de Crequy; drugi raz u mnie w domu, na wsi w zamku de..., kiedy posiadałem zamek; poraz trzeci u pana de Treville, gdzie wywołał powszechne zdumienie; wreszcie poraz czwarty w szynkowni, gdzie sam wyrzuciłem dwie jedynki, przegrywając w ten sposób sto ludwików i kolację.

— Odbierasz pan zatem swego konia? — zapytał Anglik.

— Oczywiście — odparł d'Artagnan.

— Nie pozwolisz mi się pan odegrać?

— Jak pan sobie przypomina, w warunkach naszych nie było mowy o odgrywaniu się.

— To prawda. Więc koń będzie zwrócony pańskiemu służącemu.

— Przepraszam pana — rzekł Atos; — chciałbym powiedzieć na stronie jedno słówko memu przyjacielowi.

— Proszę.

Atos odciągnął na bok d'Artagnana.

— Czego chcesz jeszcze, kusicielu? — zapytał go d'Artagnan, — może namówić mię, abym grał jeszcze, nieprawdaż?

— Nie; chciałbym, abyś się zastanowił.

— Nad czem?

— Chcesz odebrać konia? czy tak?

— Oczywiście.

— To zła rachuba; ja wziąłbym sto pistolów. Wszak pamiętasz, że postawiłeś rzędy przeciwko koniowi lub stu pistolom, do wyboru.

— Tak.

— Ja wziąłbym sto pistolów.

— Może; lecz ja wezmę konia.

— I źle robisz, powtarzam. Cóż uczynimy, mając jednego konia na nas dwóch? Nie mogę przecie siąść za tobą z tyłu, bo wy glądalibyśmy, jak dwaj synowie Aymona po stracie swego brata. Nie możesz mię też tak upokorzyć, abym szedł pieszo obok ciebie jadącego, i to jadącego na tak wspaniałym rumaku. Ja nie wahałbym się ani przez chwilę i wziąłbym sto pistolów, tem bardziej, że potrzebujemy pieniędzy, aby wrócić do Paryża.

— Zależy mi bardzo na tym koniu, Atosie.

— I znowu źle rachujesz, mój przyjacielu. Koń może okuleć, albo stłuc sobie kolana, może trafić na żłób, z którego jadł koń zarażony nosacizną, i oto już jest stracony, albo raczej stracone są sto pistolów. Pozatem pan musi żywić konia, podczas gdy przeciwnie, sto pistolów żywi ich posiadacza.

— Więc jakże wrócimy do Paryża?

— Na koniach naszych służących, do licha! Sam nasz wygląd daje dostateczne świadectwo, że nie jesteśmy pachołkami.

— Pięknie będziemy wyglądali na tych skapach, podczas gdy Portos i Aramis pysznić się będą swymi rumakami!

— Aramis! Portos! — zawołał Atos, wybuchając śmiechem.

— Co takiego? — spytał d'Artagnan, nie pojmując przyczyny wesołości swego przyjaciela.

— Dobrze, dobrze! kończmy więc — rzekł Atos.

— A zatem radzisz?...

— Radzę wziąć sto pistolów, d'Artagnanie. Posiadając sto pistolów, możemy ucztować do końca miesiąca. Jak sam wiesz o tem, jesteśmy bardo pomęczeni, i byłoby wskazane odpocząć trochę.

— Odpocząć!? O, nie, Atosie! Natomiast po powrocie do Paryża zajmę się odszukaniem tej biednej kobiety.

— I sądzisz, że koń będzie ci tak samo przydatny do tego, jak brzęczące luidory? Bierz sto pistolów, przyjacielu! bierz sto pistolów!

D'Artagnan potrzebował tylko podniety, aby zmienić postanowienie, — a oto wpadł mu do ucha poważny argument. Obawiał się zresztą, że w razie dalszego oporu Atos pocznie go uważać za samoluba. Zgodził się więc ostatecznie i wybrał sto pistolów, które Anglik wypłacił mu natychmiast.

Zaraz potem pomyślano o odjeździe. Zgoda, zawarta z oberżystą, kosztowała, prócz starego konia Atosa, sześć pistolów D'Artagnan i Atos dosiedli koni Plancheta i Grimauda, a obaj służący puścili się w drogę pieszo, niosąc swe siodła na głowach.

Aczkolwiek konie, jakich dosiadali dwaj nasi przyjaciele, nie były tęgi, wyprzedzili jednak szybko służących i, wjeżdżając do Crevecoeur, zdaleka już ujrzeli Aramisa, wspartego melancholijnie na oknie i zapatrzonego w tumany kurzu, wzbijające się na horyzoncie.

— Hej! Aramisie! co tam robisz, u djabła? — wołali doń obaj przyjaciele.

— Ach! to ty, d'Artagnanie! to ty, Atosie! — ozwał się młody człowiek. — Rozmyślałem właśnie nad tem, z jaką szybkością przemijają wszystkie dobra tego świata. Mój koń angielski, oddalający się i znikający wśród tumanów kurzu, był dla mnie żyjącym obrazem znikomości rzeczy ziemskich... A życie samo można streścić w trzech słowach: "Erit, est, fuit".

— Cóż to znaczy? — zapytał d'Artagnan, poczynając domyślać się prawdy.

— To naczy, że pozwoliłem się okpić w targu, biorąc sześćdziesiąt luidorów za konia, który tak chodzi, iż może przebywać truchtem po pięć mil na godzinę.

D'Artagnan i Atos wybuchnęli śmiechem.

— Drogi d'Artagnanie — rzekł Aramis, — nie miej do mnie, proszę, urazy, ale konieczność nie zna praw. Zresztą ja sam pierwszy ponoszę karę, bo ten niegodziwy handlarz okradł mnie co najmniej na pięćdziesiąt luidorów. A co do was, jak widzę, jesteście dobrymi gospodarzami: przejeżdżacie na koniach waszych służących oni natomiast zapewne prowadzą wasze paradne konie luzem, powoli, z odpoczynkami.

W tej właśnie chwili zatrzymał się tuż za młodymi przyjaciółmi furgon, który od pewnego czasu było widać na drodze z Amiens, a z wnętrza wozu wyłoniły się postacie Grimauda i Plancheta, z siodłami na głowach. Wóz wracał próżny do Paryża, i obaj służący skorzystali z tego, ułatwiając sobie podróż, a wzamian za usługę gasząc pragnienie woźnicy podczas całej drogi.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał Aramis, zobaczywszy ich. — Nic nie zostało, prócz siodeł?

— Chyba rozumiesz? — spytał Atos.

— O, mili przyjaciele! urządziliście się dosłownie tak samo, jak ja. Przeczuciem wiedziony, zachowałem rzęd na konia. Hej! Bazinie! połóżno moją nową uprząż obok tych tutaj.

— A cóż uczyniłeś z twoimi klechami? — zapytał d'Artagnan.

— Zaprosiłem ich na obiad — odparł Aramis. — Nawiasem mówiąc, wina są tutaj wyborne; spoiłem ich tedy, jak mogłem najlepiej, i skończyło się na tem, że proboszcz zabronił mi zrzucać mundur, a jezuita prosił, abym mu ułatwił wstąpienie w szeregi muszkieterskie.

— Bez rozprawy naukowej! — zawołał d'Artagnan, — bez rozprawy! proszę o skasowanie rozprawy.

— Od tego czasu — opowiadał dalej Aramis — życie upływa mi mile. Rozpocząłem pisać poemat wierszem jednozgłoskowym; jest to dosyć trudne zadanie, jednak na trudnościach polega zasługa rzeczy. Treść jest światowa. Przeczytam wam pieśń pierwszą; mimo, że ma czterysta wierszy, na przeczytanie wystarczy minuta.

— Na honor, drogi mój Aramisie! — odezwał się d'Artagnan który nie lubił poezji na równi z łaciną, — dodaj do zasługi trudności zasługę krótkości, a będziesz miał utwór, odznaczający się dwiema odrazu zaletami.

— Przekonacie się przytem — mówił dalej niezbity z tropu Aramis, — ile szlachetnych namiętności zawiera mój poemat. Ach, przyjaciele! wracamy więc do Paryża? Doskonale! jestem gotów. Wstąpimy po naszego poczciwca Portosa.... Tem lepiej! Nie uwierzycie, jak mi brakowało tego wielkiego głuptasa. On by nie odstąpił swego konia nawet za królestwo. Chciałbym go już widzieć na jego rumaku i na siodle. Jestem pewien, że będzie wyglądał, jak Wielki Mogoł.

Zatrzymano się przez godzinę, aby pozwolić koniom wypocząć poczem Aramis zapłacił rachunki, umieścił Bazina w wozie razem z towarzyszami, i wyruszono w drogę, aby odszukać Portosa.

Portos zaś wstał już z łóżka i był mniej blady, aniżeli za pierwszych odwiedzin d'Artagnana. Siedział przy stole zastawionym na cztery osoby, aczkolwiek był sam. Obiad składał się z mięsiwa, doskonale przyrządzonego, wyborowych win i pysznych owoców.

— Na Boga, panowie! — zawołał, zrywając się od stołu, — przybywacie w samą porę; właśnie jestem przy zupie. Zapraszam was na obiad.

— Ho, ho! — zauważył d'Artagnan, — tych flasek nie łowił chyba Mousqueton za pomocą lassa.... Przytem cielęcina szpikowana i polędwica wołowa....

— Odżywiam się — rzekł Portos, — odżywiam się. Nic tak nie osłabia człowieka, jak zwichnięcia. Czy zwichnąłeś sobie kiedy, Atosie, jaki członek?

— Nigdy; natomiast przypominam sobie, że podczas naszej utarczki na ulicy Ferou dostałem taki cios szpadą, że przez piętnaście czy osiemnaście dni doznawałem takiego samego bólu.

— Ale obiad ten nie był chyba przygotowany dla ciebie, kochany Portosie? — pytał Aramis.

— Nie — odpowiedział Portos. — Oczekiwałem na kilka panów z sąsiedztwa, którzy jednak zawiadomili mię, że nie przybędą. Wy zajmiecie ich miejsce, a na zamianie tej nic nie stracę. Hej! Mousqueton! podaj krzesła i przynieś drugie tyle flaszek.

— Czy wiecie, co my tu jemy? — zagadnął Atos po upływie dziesięciu minut.

— Do licha! — odparł d'Artagnan, — ja mam cielęcinę, nadziewaną karczochami.

— A ja somber z jagnięcia — rzekł Portos.

— Ja zaś potrawę z drobiu — rzekł Aramis.

— Mylicie się, panowie wszyscy — odpowiedział z powagą Atos; — jecie koninę.

— Co mówisz? — zawołał d'Artagnan.

— Koninę!? — mruknął Aramis, krzywiąc się z niesmakiem.

Portos milczał.

— Tak jest, koninę. Nieprawdaż, Portosie, że to konina? A może z uprzężą?

— Nie, panowie; uprząż zachowałem — odparł Portos.

— Na honor! wszyscyśmy siebie wzajemnie warci — oświadczył Aramis; — możnaby powiedzieć, żeśmy się związali słowem...

— Cóż chcecie! — tłumaczył się Portos. — Koń ten zawstydzał moich gości, a nie chciałem ich upokarzać.

— A przytem twoja księżna nie wraca z wód, nieprawdaż? — dopytywał d'Artagnan.

— Tak, dotychczas nie wróciła — odparł Portos. — Przytem, daję wam słowo, gubernator tutejszy, jeden z tych panów właśnie, którzy mieli być dzisiaj u mnie na obiedzie, tak pragnął posiąść tego konia, że mu go wreszcie darowałem.

— Darowałeś? — zawołał d'Artagnan.

— Och, mój Boże! darowałem! tak się mówi! — rzekł Portos. — Z pewnością był wart sto pięćdziesiąt luidorów, a ten kutwa nie chciał dać za niego więcej ponad osiemdziesiąt.

— Bez siodła? — pytał Aramis.

— Tak jest, bez siodła.

— Zauważcie, panowie — odezwał się Atos, — że jednak Portos wytargował najwięcej z nas wszystkich.

Słowa te wywołały wybuch śmiechu, który zmieszał Portosa. Gdy jednak wytłumaczono mu przyczynę wesołości, i on przyjął w niej hałaśliwie udział, jak to było u niego we zwyczaju.

— W ten sposób więc wszyscy posiadamy pewne zapasy pieniężne? — rzekł d'Artagnan.

— Z wyjątkiem mnie jednego — oświadczył Atos. — Wino hiszpańskie, jakie piliśmy u Aramisa, tak mi zasmakowało, że kazałem zapakować sześćdziesiąt flaszek do wozu służących, i to nadwerężyło znacznie moją kasę.

— A ja — rzekł Aramis — wydałem wszystko niemal aż do ostatniego grosza, wyobraźcie sobie, na kościół w Montdidier i na klasztor jezuitów w Amiens; pozatem miałem jeszcze inne zobowiązania, które musiałem wypełnić; zamówione zaś na moją i waszą, panowie, intencję msze, które w najbliższym czasie zostaną odprawione, z pewnością przyniosą nam korzyść.

— A czy sądzicie, że moje zwichnięcie nogi nic mię nie kosztowało? — zapytał Portos, — nie mówiąc już o ranach Mousquetona, do którego musiałem dwa razy dziennie wzywać chi-

rurga... Chirurg zaś kazał sobie płacić podwójnie za każde odwiedziny, pod pozorem, że ten niedołęga Mousqueton pozwolił sobie wpakować kulę w takie miejsce, jakie zazwyczaj pokazuje się tylko aptekarzom. Nakazałem też surowo Mousquetonowi, aby na przyszłość nie dopuszczał do zranienia tych części ciała.

— No, no! — oświadczył Atos, zamieniając porozumiewawczy uśmiech z d'Artagnanem i Aramisem, — widzę, że postępowałeś z tym biedakiem wspaniałomyślnie, jak przystoi na dobrego pana...

— Krótko mówiąc — kończył Portos, — po zapłaceniu wszystkich kosztów pozostało mi jeszcze trzydzieści talarów.

— A u mnie z dziesięć pistolów — oświadczył Aramis.

— Oho! — mówił Atos, — zdaje mi się, że wobec tego jesteśmy Krezusami. Ileż pozostało tobie, d'Artagnanie, z tych stu pistolów?

— Z tych stu pistolów? Przedewszystkiem dałem ci z nich pięćdziesiąt.

— Tak sądzisz?

— Cóż, do djabła! zapomniałeś?

— Ach, prawda, przypominam sobie.

— Potem zapłaciłem sześć pistolów gospodarzowi.

— Co za bydlę z tego oberżysty! I poco mu dałeś te sześć pistolów?

— Wszakże sam prosiłeś mię o to.

— Prawda! Jestem nazbyt dobry..... Ostatecznie ileż ci zostaje?

— Dwadzieścia pięć pistolów — odparł d'Artagnan.

— Ja zaś — mówił Atos, dobywając trochę drobnej monety z kieszeni, — ja....

— Ty nie masz nic.

— Na honor! przynajmniej tak niewiele, że nie warto zadawać sobie trudu, aby to wliczać do ogólnej sumy.

— Policzmy więc teraz, ile posiadamy razem. Ty, Portosie?

— Trzydzieści talarów.

— Aramis?

— Dziesięć pistolów.

— D'Artagnan?

— Dwadzieścia pięć.

— Wszystko razem wynosi zatem? — pytał Atos.

— Razem czterysta sześćdziesiąt pięć liwrów! — odparł d'Artagnan, który liczył, jak Archimedes.

— Po przybyciu więc do Paryża — rzekł Portos — będziemy mieli jeszcze czterysta, nie licząc rzędów na konie.

— Ale skąd weźmiemy konie? — pytał Aramis.

— Cztery szkapy naszych służących zamienimy na dwa pańskie wierzchowce, które następnie puścimy pomiędzy nas na losy. Czterysta zaś liwrów wystarczy na pół konia dla jednego z tych, co pozostaną bez wierzchowców. Wreszcie wszystko, co się uda jeszcze wyłowić w naszych kieszeniach, damy d'Artagna nowi, który ma szczęśliwą rękę i pójdzie grać do pierwszej-lepszej szulerni.... Oto wszystko.

— Jedzcie, panowie, tymczasem — rzekł Portos, — bo potrawy zastygną.

I cztej przyjaciele, uspokojeni zupełnie o swą przyszłość, jęli się posilać, nie szczędząc uznania dla potraw, których pozostałości dostały się panom Mousquetonowi, Bazinowi, Planchetowi i Grimaudowi.

Po powrocie do Paryża d'Artagnan znalazł list od pana de Treville z zawiadomieniem, że na jego prośbę król zezwolił mu łaskawie wstąpić w szeregi muszkieterskie.

Ponieważ d'Artagnan tego właśnie pragnął najbardziej na świecie, oczywiście obok chęci odnalezienia pani Bonacieux, więc pobiegł, pełen radości, oznajmić to towarzyszom, z którymi rozstał się dopiero przed półgodziną. Zastał ich wszakże pogrążonych w smutku i obliczeniach. Zebrali się wszyscy na naradę u Atosa, co dowodziło, że okoliczności muszą być nader ważne. Oto pan de Treville zawiadomił ich, że niezłomnym zamiarem Jego Królewskiej Mości było rozpocząć kroki wojenne w dniu 1 maja, że zatem muszą niezwłocznie umundurować się przyzwoicie.

Czterej więc filozofowie nasi, otrzymawszy takie polecenie, spoglądali teraz po sobie w osłupieniu; pan de Treville nie żartował w sprawach karności wojskowej.

— Na jaką sumę obliczacie koszt wyekwipowania się? — zapytał d'Artagnan.

— Och! niema o czem mówić! — odparł Aramis. — Obliczaliśmy z iście spartańskiem skąpstwem, i okazało się, że dla każdego z nas trzeba po tysiąc pięćset liwrów.

— Cztery razy piętnaście jest sześćdziesiąt, czyli, innemi słowy, sześć tysięcy liwrów ogółem — rzekł Atos.

— Mnie się zaś zdaje, że wystarczyłoby po tysiąc na każdego; mówię, co prawda, nie jak Spartanin, lecz jak prokurator...

Słowo "prokurator" ocknęło Portosa z zadumy.

— Zdaje mi się, że wpadłem na pewien pomysł — rzekł.

— I to już coś znaczy! Co do mnie, nie mam ani cienia pomysłu — oświadczył lodowato Atos. — D'Artagnan zaś oszalał ze szczęścia, że został już całkowicie zaliczony do naszego grona. Tysiąc liwów? Oświadczam, że dla mnie samego potrzeba dwa tysiące.

— Cztery razy dwa jest ośm — dodał Aramis, — czyli musimy mieć na wyekwipowanie się ośm tysięcy liwrów... Chociaż, co prawda, posiadamy już siodła...

— A nadto — zakończył Atos, czekając, aż d'Artagnan, który wstał i szedł z podziękowaniem do pana de Treville, zamknie drzwi za sobą, — a nadto ten piękny djament, błyszczący na palcu naszego przyjaciela.... Do licha! d'Artagnan jest nazbyt dobrym towarzyszem, aby opuścił swych braci w potrzebie skoro nosi na środkowym palcu królewski podarunek...

XXIX.

W POGONI ZA WYEKWIPOWANIEM.

Najbardziej zajęty z czterech przyjaciół w obecnej chwili był d'Artagnan, aczkolwiek jemu, jako gwardziście, łatwiej było się wyekwipować do wyprawy wojennej, aniżeli panom muszkieterom, którzy byli wielkimi panami. Ale nasz młody Gaskończyk, jak można już było stwierdzić, miał charakter przewidujący i nieledwie chciwy a prócz tego (zrozumiejmy dobrze przeciwieństwo) był próżny, niemal, jak sam Portos. Obok zajęcia spowodowanego tą próżnością, dręczył d'Artagnana w tej chwili inny jeszcze niepokój, o mniej egoistycznym charakterze. Mimo wszelkich usiłowań otrzymania jakichś wiadomości o pani Bonacieux, nie mógł się dowiedzieć nic nowego. Pan de Treville rozmawiał w tej sprawie z królową. Królowa jednak nie wiedziała również, co się stało z młodą kobietą lecz przyrzekła wdrożyć poszukiwania. Obietnica ta była wszakże nazbyt nieokreślona, by d'Artagnan mógł się nią zadowolnić.

Atos nie wychodził ze swego pokoju; postanowił nie uczynić ani jednego kroku w sprawie wyekwipowania.

— Pozostaje nam jeszcze tylko piętnaście dni — mówił do swoich przyjaciół. — Mniejsza o to! Jeżeli nie znajdę nic przed upływem tego czasu, albo raczej, jeżeli mnie nic nie znajdzie, bo ja szukać nie będę, to nie roztrzaskam sobie łba kulą z pistoletu jedynie dzięki temu, że jestem nazbyt dobrym katolikiem. Natomiast postaram się wplątać w jakieś niebezpieczne zajście z czterema gwardzistami Jego Eminencji, lub też z ośmioma Anglikami, i będę walczył z nimi po kolei, dopóki któryś z nich nie zabije mię, co, wobec takiej ilości przeciwników, stać się w końcu musi. Powiedzą wówczas, że poległem w służbie króla; spełnię więc mój obowiązek, nie mając potrzeby szukać wyekwipowania.

Portos nie przestawał chodzić po pokoju z rękami skrzyżowanemi na plecach. Potrząsał głową i mówił:

— Zastanawiam się nad urzeczywistnieniem mego pomysłu.

Aramis, stroskany, zaniedbał swą fryzurę, lecz nie mówił nic.

Z nieszczęsnych tych szczegółów możemy poznać, jaka rozpacz zapanowała wśród naszej znajomej gromadki.

Służący, podobnie, jak rumaki Hippolyta, podzielali ciężkie strapienia swych panów. Mousqueton gromadził zapasy sucharów; Bazin, skłaniający się coraz bardziej ku dewocji, nie wychodził z kościoła;; Planchet przyglądał się przelatującym muchom; a Grimaud, którego nawet powszechne przygnębienie nie mogło skłonić do zaniechania nakazanego mu przez pana milczenia, wyrzucał tylko z piersi westchnienia, które nawet skałę mogłyby z miejsca poruszyć.

Trzej przyjaciele (Atos bowiem, jak wspomnieliśmy poprzysiągł nie uczynić ani kroku w sprawie wyekwipowania się) wychodzili tedy z domów wczesnym rankiem, a wracali bardzo późno w nocy, błąkając się przez cały czas po ulicach, oglądając każdy niemal kamień bruku, w nadziei, że może uda się im znaleźć zgubiony przez którego z przechodniów trzos z pieniędzmi. Możnaby przypuścić, że poszukują jakichś śladów, — tak pilną uwagę okazywali wszędzie gdziekolwiek się ruszyli. A skoro spotkali się wzajemnie, spoglądali na siebie zrozpaczonym wzrokiem, jakgdyby zapytując: Czy nie znalezłeś pieniędzy?

Ponieważ jednak Portos pierwszy wpadł na jakiś pomysł i uparcie dążył do urzeczywistnienia go, więc też pierwszy zaczął cośkolwiek działać. Był zresztą człowiekiem czynu. D'Artagnan spotkał go pewnego dnia, idącego w kierunku kościoła Saint-Leu i odruchowo podążył za nim. Portos wszedł w progi świętego przybytku, podkręciwszy przedtem wąsa i wygładziwszy brodę, co było zawsze dowodem, że żywi jakieś zdobywcze zamiary. Ponieważ d'Artagnan zachowywał wszelkie środki ostrożności, by nie być spostrzeżonym, Portos był przekonany, że nikt go nie widzi. Gdy, wszedłszy za nim do kościoła, zobaczył że Portos oparł się o jedną z kolumn d'Artagnan ukrył się za drugą.

Odbywało się właśnie kazanie, i kościół był przepełniony. Portos skorzystał z tej okoliczności i począł zawzięcie przyglądać się kobietom. Dzięki troskliwym zabiegom Moucquetona, zewnętrzny wygląd jego pana nie zdradzał wewnętrznej niedoli; wprawdzie kapelusz był nieco podniszczony, pióro trochę wy-

płowiałe, hafty w półceniu wszystkich tych drobnostek nie było widać, i Portos wydawał się zawsze tym samym pięknym Portosem.

Na ławce, najbliższej kolumn, o które oparci byli dwaj nasi przyjaciele, zauważył d'Artagnan jakąś piękność przejrzałą, przyżółkłą i zasuszoną, ale jeszcze trzymającą się prosto i wyniośle poza okrywającym ją czarnym welonem. Wzrok Portosa spoczął przelotnie na tej damie, poczem zaczął błądzić daleko po całej nawie.

Dama, rumieniąc się od czasu do czasu, zerkała nieznacznie na płochego Portosa, ten zaś, czując to, rzucał na wszystkie strony coraz bardziej strzeliste spojrzenia. Widocznie było, że manewr ten drażni do żywego czarno zakwefioną damę, bo zagryzała do krwi wargi, drapała się w koniec nosa i kręciła się rozpacznie na siedzeniu.

Portos, zauważywszy to, podkręcił na nowo wąsa, jeszcze raz wygładził brodę i począł dawać znaki jakiejś pięknej niewieście, siedzącej w pobliżu presbiterjum, która nietylko odznaczała się urodą, lecz musiała być i wielką damą, bo poza nią stał murzynek, noszący poduszkę do klęczenia, i pokojówka, trzymająca herbowy futerał od książki do nabożeństwa.

Czarno zakwefiona dama śledziła wszystkie spojrzenia Portosa i zauważyła, że zatrzymują się one na kobiecie, która klęczała na aksamitnej poduszce, a której towarzyszyli murzynek i pokojówka.

Przytem Portos nie przestawał przesyłać jej znaki: to mrugał oczyma, to kładł palce na wargach, to przesyłał zabójcze uśmiechy, które istotnie morderczo działały na ową piękność.

Wreszcie czarna dama, zniecierpliwiona snadź tem, niby mówiąc "mea culpa" i uderzając się w piersi, chrząknęła tak groźnie, że wszyscy obecni i nawet dama, klęcząca na czerwonej poduszce, odwrócili się w jej stronę. Rozumie się, że i Portos usłyszał to chrząknięcie, tem bardziej, że wiedział, co ono znaczy, — ale udał głuchego.

Dama, klęcząca na czerwonej poduszce, jakieśmy to już zauważyli, była niezwykle urodziwa i dlatego wywarła wielkie wrażenie na czarno zakwefioną niewiastę, która uznała snadź w niej niebezpieczną dla siebie rywalkę. Wywarła też istotnie urok i na Portosa, który spostrzegł, że jest nieporównanie piękniejszą od zakwefionej damy. Największe jednak wrażenie od-

niósł d'Artagnan, gdyż poznał w niej nieznajomą z Meung, z Calais i Dowru, którą wróg jego człowiek z blizną, witał tytułem "milady".

Nie tracąc z oczu damy klęczącej, d'Artagnan obserwował grę Portosa, która go ogromnie bawiła. Domyślał się, że damą w czarnym woalu była żona prokuratora z ulicy Niedźwiedziej, w czem upewniało go jeszcze i to, że kościół Saint-Leu nie był zbyt odległy od jej mieszkania. Młody Gaskończyk intuicyjnie zgadywał, że Portos szuka tu pomsty za swój zawód w Chantilly, kiedy to żona prokuratora okazała taką zaciętość w obronie swej sakiewki.

Lecz pośród tego wszystkiego d'Artagnan zauważył, że żadna z obecnych kobiet nie odpowiada na zaloty Portosa. Były to zatem tylko mrzonki złudzenia. Ale czyż dla istotnej miłości, dla rzeczywistej zazdrości istnieje jakaś inna rzeczywistość, prócz marzeń i ułud?

Po skończonem kazaniu żona prokuratora skierowała swe kroki ku kropielnicy. Ale Portos wyprzedził ją szybko i, zamiast jednego palca, zanurzył w święconej wodzie całą rękę. Pani prokuratorowa uśmiechnęła się w przypuszczeniu, że Portos czyni to ze względu na nią. Ale rychło okrutnie się rozczarowała; bo oto, gdy się znalazła o jakie trzy kroki od niego, Portos odwrócił się i tkwił uporczywe spojrzenie w damie z czerwoną poduszką, która powstała również i zbliżała się ku niemu w towarzystwie murzynka i służebnej. Skoro zaś stanęła tuż obok niego, Portos wyciągnął ku niej rękę, ociekającą święconą wodą, a piękna nabożnisia dotknęła drobnym paluszkiem grubej jego dłoni, przeżegnała się i wyszła z uśmiechem z kościoła.

To było dla pani prokuratorowej zawiele; nie mogła już wątpić, że owa dama i Portos zalecają się do siebie wzajemnie. Gdyby była wielką damą,niezawodnieby zemdlała, — że jednak była tylko zwyczajną prokuratorową, zadowolniła się słowami, wypowiedzianemi z wściekłości do muszkietera:

— Cóż to, panie Portosie! nie podasz mi pan wody święconej?

Na dźwięk jej głosu Portos drgnął, niby człowiek, budzący się ze snu.

— Ach! to pani! — zawołał. — Przepraszam za nieuwagę. Jakże zdrowie męża pani, drogiego pana Coquenard? Czy ciągle jest jeszcze takim samym sknerą, jak dawniej? Gdzież podzia-

łem oczy, aby nie zobaczyć pani w ciągu tego dwugodzinnego kązania!?

— Siedziałam w odległości dwóch kroków od pana — oświadczyła pani prokuratorowa. — Ale nie mogłeś mię pan dostrzedz będąc zajęty bez przerwy tą piękną damą, której przed chwilą podałeś przy wyjściu święconą wodę....

Portos udał zakłopotanie:

— Ach! zauważyłaś to pani....

Trzeba byłoby chyba być ślepym, aby tego nie postrzedz....

— Jest to — rzekł Portos, jakby od niechcenia — jedną z moich przyjaciółek, księżna, z którą tylko z trudem mogę się spotykać, bo ma bardzo zazdrosnego męża. Przyszedłem tu na jej żądanie, gdyż zawiadomiła mię, że będzie dzisiaj w tym skromnym odległym kościołku jedynie poto, aby się ze mną zobaczyć.

— Panie Portosie — rzekła pani prokuratorowa, — czy będzie pan łaskaw na pięć minut podać mi ramię? Pragnęłabym pomówić z panem.

— Ależ najchętniej, łaskawa pani — rzekł Portos z miną gracza, ucieszonego oszustwem, które mu się powiodło.

W tej samej właśnie chwili d'Artagnan, ścigający wzrokiem "milady", spojrzał na niego z ukosa i podchwycił ów triumfujący błysk oczu.

— No, no! — szepnął sam do siebie, rozumując w duchu rozluźnionej moralności, właściwej owej epoce zalotów, — oto człowiek, który będzie wyekwipowany na termin.

Portos, poddając się naciskowi ramienia pani prokuratorowej jak łódź sterowi, doszedł z nią do klasztoru Saint-Magloire przy mało uczęszczanej, zamkniętej z obu stron kołowrotami ulicy. W dzień można tu było spotkać jedynie zajadających wyżebraną strawę żebraków i bawiącą się dziatwę .

— Ach, panie Portosie! — mówiła pani prokuratorowa, upewniwszy się poprzednio, że, prócz miejscowych mieszkańców dzielnicy, nikt obcy nie może ich ani zobaczyć, ani usłyszeć. — Ach, panie Portosie! jesteś pan jak widzę, nieporównanym zdobywcą serc niewieścich.

— Ja, pani? — odrzekł Portos, nadymając się. — I czemuż to uważasz mię pani za takiego?

— A te znaki w kościele! a ta woda święcona! Dama zaś owa z murzynkiem i pokojową to co najmniej księżniczka krwi....

— Mylisz się, pani — rzekł Portos; — jest to zwyczajna księżna.

— Przytem lokaj, czekający przy drzwiach kościoła... karoca z woźnicą we wspaniałej liberji na koźle.... No, no!

Portos nie widział ani lokaja, ani karety; natomiast pani Coquenard dostrzegła wszystko bystrem spojrzeniem zazdrosnej kobiety.

Portos pożałował teraz, że odrazu nie przedstawił nieznajomej, jako księżniczki krwi.

— Jesteś pan tedy ulubieńcem pięknych pań, panie Portosie! — rzekła prokuratorowa z westchnieniem.

— Pojmuje pani — odparł Portos, że, dzięki urodzie, jaką mię uposażyła natura, nie brakuje mi powodzenia.

— Mój Boże! jak to prędko mężczyźni tracą pamięć! — zawołał prokuratorowa, wznosząc oczy ku niebu.

— Zdaje mi się jednak, że nie tak prędko, jak kobiety — odpowiedział Portos. — Ja raczej mógłbym powiedzieć, że stałem się ofiarą pani, gdy leżałem ranny, umierający niemal, pozbawiony pomocy chirurga.... Potomek znakomitego rodu, ufający w twą przyjaźń, omal nie zginąłem... najpierw z odniesionych ran, a potem z głodu..... w nędznej oberży w Chantilly. Pani zaś nie raczyłaś ani słówkiem odpowiedzieć na płomienne listy, jakie pisałem do ciebie.

— Ależ, panie Portosie! — szeptała prokuratorowa, uprzytomniwszy sobie postępowanie wielkich dam w owej epoce i poczuwając się teraz do winy.

— Ja, który poświęciłem dla ciebie baronową de...

— Wiem o tem.....

— Hrabinę de....

— Panie Portosie, nie przytłaczaj mię pan zarzutami.

— Księżnę de...

— Panie Portosie, bądźże wspaniałomyślny.

— Masz pani słuszność; zamilknę.

— To wina mego męża; nie chciał on ani słyszeć o pożyczce...

— Pani Coquenard! — rzekł Portos, — niech pani sobie przypomni pierwszy list, jaki pisałaś do mnie... List ten mam głęboko wyryty w pamięci.

Pani prokuratorowa jęknęła cicho.

— A przytem — próbowała się tłumaczyć — suma, jakiej pan zażądałeś była nazbyt wielka.

— Pani Coquenard! dałem pani pierwszeństwo. Wystarczyłoby mi napisać tylko do księżnej de... Nie chcę wymieniać nazwisk, bo doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co to znaczy kompromitować kobietę. Ale wiem także, że gdybym był tylko napisał do niej, przysłałaby mi tysiące.

Pani prokuratorowa uroniła łzę.

— Panie Portosie! — rzekła, — przysięgam, że ukarałeś mię pan srodze... I jeżelibyś kiedyś w przyszłości znalazł się w podobnem położeniu, zwróć się zawsze domnie.

— Nie, pani! — zawołał Portos, niby obrażony, — nie mówmy o pieniądzach! to upokarzające!

— A zatem już mię nie kochasz? — rzekła melancholijnie.

Portos zachował wyniosłe milczenie.

— I tak mi odpowiadasz? Niestety! rozumiem, co to znaczy...

— Pomyśl pani, jaką obelgę mi wyrządziłaś; ta obelga utkwiła mi tutaj — rzekł, kładąc rękę na sercu i przyciskając je silnie.

— Naprawię ją! zobaczysz, mój drogi Portosie!

— Zresztą czegoż żądałem od ciebie? — mówił dalej Portos, wzruszając dobrodusznie ramionami. — Pożyczki, nic innego. Ostatecznie czyż jestem człowiekiem, pozbawionym rozumu? Wiem, pani Coquenard, że nie jesteś bogatą, a mąż twój musi wysysać krew ze swych biednych klientów, aby zarobić kilka marnych talarów. Rozumie się, gdybyś była hrabiną, margrabiną lub księżną, sprawa przedstawiałaby się inaczej, i nie przebaczyłbym ci nigdy...

Pani prokuratorowa uczuła się obrażoną.

— O, dowiedz się, panie Portosie, że moja kasa, aczkolwiek to tylko kasa prokuratorowej, jest może lepiej napełniona, aniżeli kasy niejednej z twoich arystokratycznych bankrutek!

— Wyrządzasz mi pani tem powiedzeniem podwójną obelgę — rzekł Portos, wypuszczając jej ramię. — Skoro bowiem jesteś bogatą, odmowa twoja nie da się niczem usprawiedliwić.

— Kiedy jednak mówię, że jestem bogata — dodała — pani prokuratorowa, spostrzegłszy, że zapędziła się zadaleko, — nie należy brać tych słów dosłownie.... Nie jestem właściwie bogata, lecz pędzę żywot dostatni.

— Posłuchaj mię, pani — rzekł Portos. — Nie mówmy o tem więcej, bardzo cię o to proszę. Nie poznałaś mojego serca, a teraz wszelkie uczucie między nami wygasło.

— Jesteś niewdzięczny!

— Ach! możes zsobie uskarżać się, ile chcesz! — odciął się Portos.

— Zabierajże się razem ze swoją piękną księżną! Nie zatrzymuję cię więcej....

— No, nie można chyba powiedzieć, jak sądzę, aby księżna była brzydka.

— Słuchaj pan, panie Portosie! Zapytuję cię po raz ostatni: czy kochasz mię jeszcze?

— Niestety, pani — odrzekł Portos tonem możliwie najbardziej melancholijnym, — skoro wyruszamy na wojnę, na której, jak mi mówią przeczucia, polegnę....

— Och! nie mów tak! — jęknęła prokuratorowa, wybuchając łkaniem.

— Mówi mi to jakiś głos wewnętrzny — dodał Portos jeszcze bardziej melancholijnie.

— Przyznaj się lepiej, że się znowu zakochałeś.

— Bynajmniej; mówię szczerze, iż żadna inna kobieta nie pociąga mię ku sobie, a nawet czuję tam, na dnie serca, jakiś prąd, popychający mię ku tobie. Ale za piętnaście dni, jak wiesz a może i nie wiesz o tem, rozpoczyna się ta nieszczęsna wojna... Będę strasznie zajęty przygotowaniami do wyruszenia w pole. Oprócz tego, muszę pojechać do rodziny w głąb Bretanji, dla podjęcia sumy, potrzebnej mi na wyprawę.

Portos dostrzegł, że w sercu kobiety toczy się walka między miłością a skąpstwem.

— A ponieważ księżna, którą widziałaś w kościele — mówił dalej, — posiada dobra, sąsiadujące z mojemi, odbędziemy tę podróż razem. Wiesz o tem dobrze, że każda podróż wydaje się nieporównanie krótszą, o ile się ją odbywa we dwoje.

— A czy nie masz przyjaciół w Paryżu? — zapytała prokuratorowa.

— Sądziłem, że mam — odparł Portos, wpadając znowu w ton melancholijny. — Ale przekonałem się, że się mylę...

— Masz, panie Portosie! masz ich tutaj — zawołała prokuratorowa z uniesieniem, które ją samą w podziw wprawiło. — Przyjdź jutro do nas. Jesteś synem mojej ciotki, a zatem moim bratem ciotecznym; przybywasz z Noyon, z Pikardji; masz w Paryżu kilka spraw do załatwienia, a nie znasz żadnego zastępcy prawnego. Czy zapamiętasz to wszystko?

— Doskonale, pani.
— Przyjdź w porze obiadowej.
— Owszem.
— A z moim mężem trzymaj się ostro, bo to chytra sztuka, mimo lat siedemdziesięciu sześciu.
— Siedemdziesiąt sześć lat? Ładny wiek! do licha! — wykrzyknął Portos.
— Późny wiek, powiedz raczej, panie Portosie. I biedaczysko drogie może mię lada chwila osierocić — kończyła prokuratorowa, rzucając Portosowi znaczące spojrzenie. — Na szczęście, intercyza ślubna postanawia, że cały majątek przechodzi na osobę jedną z małżonków, pozostającą przy życiu.
— Cały majątek? — powtórzył pytająco Portos.
— Tak, cały majątek.
— Jak z tego widzę, droga pani Coquenard, jesteś pani przewidującą kobietą — oświadczył Portos, ściskając czule rękę prokuratorowej.
— A zatem, kochany panie Portosie, od tej chwili panuje już między nami najzupełniejsza zgoda? — zapytała, wdzięcząc się do niego, pani prokuratorowa.
— Na całe życie — odpowiedział podobnym tonem Portos.
— Do zobaczenia więc, mój ty.... zdrajco!
— Do zobaczenia, moja.... zapominajko!
— Do jutra, mój aniele!
— Do jutra, światłości mojego życia!

XXX.

MILADY.

D'Artagnan poszedł za milady. Niepostrzeżony przez nią, ujrzał, jak wsiadała do karety, i słyszał, jak dała woźnicy rozkaz, by jechał do Saint-Germain.

Nie miałoby celu ścigać piechotą powóz, unoszony przez dwa dzielne konie. D'Artagnan zawrócił więc na ulicę Ferou.

Na ulicy Sekwany spotkał Plancheta, stojącego przed sklepem pasternika i oglądającego z zachwytem maślane ciastka o smakowitej powierzchowności.

Polecił mu osiodłać dwa konie ze stajni pana de Treville, dla siebie i dla niego, i przybyć z nimi do Atosa. Zaznaczamy tutaj, że pan de Treville raz na zawsze oddał swą stajnię na usługi d' Artagnana.

Planchet pospieszył na ulicę Gołębnika, a d'Artagnan ruszył dalej ku ulicy Ferou. Atos siedział w domu, wysączając smutnie flaszkę owego bajecznego wina hiszpańskiego, które przywiózł z podróży do Pikardji. Na widok wchodzącego d'Artagnana dał znak Grimaudowi, aby przyniósł drugi kieliszek, a Grimaud, jak zawsze, w milczeniu wypełni wnet rozkaz.

D'Artagnan opowiedział Atosowi o wszystkiem, co zaszło w kościele między Portosem a panią prokuratorową, i wyraził przekonanie, że towarzysz ich jest już w tej chwili na najlepszej drodze do wyekwipowania się.

— Co do mnie — rzekł Atos, wysłuchawszy opowiadania, — jestem spokojny, że moje uzbrojenie nie będzie dokonane staraniem kobiet.

— A przecież jesteś tak pięknym, układnym mężczyzną i w dodatku wielkim panem, mój drogi Atosie, że nawet księżniczki i królowe nie potrafiłyby się oprzeć twoim grotom miłosnym.

— Jakiś ty jeszcze młody, d'Artagnanie! — odparł Atos, wzruszając ramionami.

I dał znak Grimaudowi, aby przyniósł drugą flaszkę wina.

W tej samej chwili przez drzwi napół otwarte Planchet wsunął nieśmiało głowę i oznajmił, że konie czekają.

— Jakie konie? — zapytał Atos.

— Pan de Treville pożyczył mi dwa konie, zamierzam bowiem przejechać się do Saint-Germain.

— Jakiż cel tej przejażdżki? — zapytał Atos.

D'Artagnan opowiedział mu o swem spotkaniu w kościele i o odnalezieniu owej kobiety, która, wraz z nieznajomym w czarnym płaszczu i ze szramą na skroni, przejmuje go wiecznym niepokojem.

— To znaczy, że jesteś w niej zakochany, tak, jak byłeś zakochany w pani Bonacieux — oświadczył Atos, wzruszając pogardliwie ramionami, jakgdyby litował się nad słabostkami ludzkiemi.

— Ależ bynajmniej! — zawołał d'Artagnan. — Pragnę tylko wyświetlić tajemnicę, jaką się ta dama otacza. Nie wiem sam, dlaczego, ale wyobrażam sobie, że aczkolwiek nie zna mię ona i aczkolwiek ja jej również nie znam wcale, wywiera ona jakiś wpływ na moje losy.

— Istotnie — rzekł Atos, — masz zupełną słuszność. Nie znam kobiety, którejby warto szukać, gdy zginie. Pani Bonacieux zginęła.... tem gorzej dla niej, jeżeli się odnajdzie.

— O, nie, Atosie! mylisz się! — zawołał d'Artagnan. — Kocham moją biedną Konstancję bardziej, niż kiedykolwiek, i gdybym tylko mógł się dowiedzieć, gdzie jej szukać należy, to chociażby to było na końcu świata, pospieszyłbym wyrwać ją z rąk nieprzyjaciół. Niestety, nie wiem nic zgoła; wszelkie poszukiwania moje były daremne. Cóż w tem złego, że pragnę się trochę rozerwać?

— Szukaj więc tej rozrywki z piękną milady, kochany d'Artagnanie. Z całego serca życzę ci powodzenia, jeżeli może cię to zabawić.

— Słuchaj, Atosie — rzekł d'Artagnan; — zamiast zamykać się w domu, jak w więzieniu, siądź lepiej na konia i jedź ze mną do Saint-Germain.

— Mój drogi — odparł Atos, — siadam na konia, gdy go mam; nie mając go, chodzę pieszo.

— Ja zaś — oświadczył d'Artagnan, uśmiechając się wobec tej mizantropji Atosa, która u kogoś innego z pewnością mu się nie podobała, — ja zaś jestem mniej dumny od ciebie i do-

siadam każdego konia, skoro go tylko znajdę. Do zobaczenia więc kochany Atosie.

— Do zobaczenia — rzekł muszkieter, dając Grimaudowi znak aby otworzył przyniesioną flaszkę.

D'Artagnan i Planchet skoczyli na siodła i ruszyli drogą, wiodącą do Saint-Germain.

Jadąc, młodzieniec rozmyślał nad tem, co mu powiedział Atos o pani Bonacieux. Aczkolwiek nie był z natury zbyt sentymentalny, to jednak obraz pięknej kupcowej utkwił mu głęboko w sercu — i tak jak mówił, gotów był spieszyć na koniec świata, aby ją odnaleźć. Niestety, świat ma dużo końców, już dlatego choćby, że jest okrągły, wobec czego d'Artagnan nie wiedział w jaką zwrócić się stronę.

Tymczasem pragnął się dowiedzieć, kto była "milady". Rozmawiała ona z człowiekiem w czarnym płaszczu, a więc go znała. W umyśle d'Artagnana zaś, który wobec tajemniczości tego człowieka skłonny był wszystko mu przypisywać, zrodziło się podejrzenie, że on to właśnie, nie kto inny, porwał panią Bonacieux i tym razem jak poprzednio. Skłamał zatem tylko połowicznie —co zresztą było wcale niewinnem kłamstwem, — gdy mówił, że, poszukując śladów milady, poszukuje również śladów Konstancji.

Tak rozmyślając i od czasu do czasu popędzając konia ostrogą, d'Artagnan przybył do Saint Germain i, minąwszy pawilon, w którym w dziesięć lat później miał przyjść na świat Ludwik XIV, jechał ulicą zupełnie pustą, rozglądając się naprawo i lewo w nadziei, że spostrzeże gdzieś ślad pięknej Angielki. Wtem na parterze jednego z domów, który, zgodnie ze zwyczajem owego czasu, od ulicy nie miał wcale okien, dostrzegł znaną sobie skądciś postać człowieka, przechadzającego się po tarasie, ozdobionym kwiatami. Planchet poznał go pierwszy.

— Czy nie przypomina pan sobie tej gęby — zapytał, zwracając się do d'Artagnana, — co gapi się tam na wrony?

— Nie — odparł d'Artagnan, — aczkolwiek jestem pewny, że nie po raz pierwszy widzę tego człowieka.

— Bardzo wierzę — rzekł Planchet, — gdyż jest to biedny Lubin, służący hrabiego de Wardes, tego samego, z którym obszedł się pan tak pięknie w Calais, w ubiegłym miesiącu, na drodze do wiejskiego mieszkania gubernatora.

— Istotnie — zawołał d'Artagnan. — Teraz już poznaję go. Czy sądzisz, że i on poznałby ciebie?

— Wątpię, panie; był wówczas zanadto przelękniony, aby mógł mię zachować w pamięci.

— Więc idź, pogadaj z tym chłopcem i postaraj się dowiedzieć, czy jego pan żyje.

Planchet zsiadł z konia, podszedł prosto do Lublina, który go istotnie nie poznał, i dwaj służący poczęli rozmawiać ze sobą w jak najlepszej zgodzie, podczas gdy d'Artagnan przeprowadził konie przez wązką uliczkę dookoła domu i ukrył się poza szpalerem leszczynowym, by stamtąd słyszeć, co powie Lubin.

Gdy stał tak czas jakiś poza szpalerem, posłyszał nagle turkot zbliżającego się powozu i ujrzał zajeżdżającą przed dom karetę milady. Położył się co prędzej na karku konia, aby widzieć wszystko, nie będąc sam widziany.

Milady wychyliła uroczą główkę z poza zasłony drzwiczek karety i wydała jakiś rozkaz swej pokojówce.

Służebna, ładna, w wieku dwudziestu do dwudziestu dwóch lat, zwinna i żywa dziewczyna, prawdziwa subretka wielkopańska, zeskoczyła na dół ze stopnia, na którym siedziała, i podążyła ku tarasowi, gdzie przechadzał się Lubin.

D'Artagnan śledził oczyma idącą, a tymczasem ktoś z wewnątrz domu odwołał Lubina, i na tarasie pozostał sam Planchet, rozglądający się na wszystkie strony za swym panem, którego stracił z oczu. Nagle zbliżyła się ku niemu pokojowa i, biorąc go w pośpiechu za Lubina, podała mu mały bilecik.

— Dla waszego pana — rzekła.

— Dla mego pana? — spytał Planchet zdziwiony.

— Tak jest, i to bardzo pilne.

I wetknąwszy bilet w rękę Plancheta, pobiegła szybko ku karecie, która tymczasem nawróciła, a skoro tylko pokojówka znalazła się na dawnem miejscu, konie ruszyły z powrotem naprzód.

Planchet przez chwilę obracał list w ręku, a następnie, przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa, zbiegł z tarasu, skierował się w uliczkę i w odległości dwudziestu mniej-więcej kroków spotkał d'Artagnana, zdążającego naprzeciw niemu.

— Dla pana — rzekł Planchet, podając mu bilecik.

— Dla mnie? spytał d'Artagnan. — To niemożliwe.

— Ależ jestem tego pewny. Pokojówka powiedziała mi wyraźnie: "Dla waszego pana." Że zaś nie mam innego pana, prócz pana, więc.... Na honor, ładna dziewucha ta pokojówka!

D'Artgnan otworzył liścik i wyczytał te słowa:

"Osoba, którą obchodzisz więcej, aniżeli może ci to wyznać, pragnie się dowiedzieć, kiedy mógłbyś wyjść do lasku na przechadzkę. Jutro w hotelu ru Champ-du-Drap-d'Or oczekiwać będzie lokaj w czarnoczerwonej liberji na pańską odpowiedź".

— Ono! — rzekł d'Artagnan sam do siebie, — jak się zdaje, i ja i milady troszczymy się o zdrowie tej samej osoby... A więc Planchecie, jakże się miewa ten nasz kochany de Wardes? bo chyba nie umarł?

— Żyje, proszę pana, i ma się tak, jak to jest możliwe u człowieka, który otrzymał cztery pchnięcia szpadą. Bo, nie wymawiając, cztery ciosy zadał pan temu zacnemu szlachcicowi. Jest więc jeszcze osłabiony z utraty krwi, której sporo mu pan wypuścił. Lubin rozumie się, nie poznał mię wcale i opowiedział od początku do końca całą naszą przygodę.

— Bardzo dobrze, Planchecie; jesteś brylantem wśród służących. Ale teraz siadaj na koń i gońmy za karetą.

Niewiele trzeba było wysiłku, aby ją dopędzić, — po upływie pięciu minut ujrzeli ją, zatrzymającą się na zakręcie drogi, a do jej drzwiczek zbliżył się jakiś bogato ubrany jeździec, i rozpoczęła się ożywiona rozmowa pomiędzy nim a siedzącą w karecie damą.

Skorzystał z tego zajęcia się sobą dwojga rozmawiających d'Artagnan i zatrzymał się w pewnej odległości z przeciwnej strony karety, nie spostrzeżony przez nikogo, prócz pięknej pokojówki.

Rozmawiano po angielsku, więc d'Artagnan nie rozumiał, — ale z tonu rozmowy mógł odgadnąć, że piękna Angielka jest strasznie rozgniewana. Rozmowa zakończyła się gestem, nie pozostawiającym żadnych zgoła wątpliwości co do jej charakteru; zakończeniem tem było tak silne uderzenie wachlarzem, że drobny ten przedmiot rozleciał się w tysiąc kawałeczków.

— Jeździec w odpowiedzi na to wybuchnął śmiechem, co, jak się zdawało, doprowadziło damę do najwyższego stopnia podrażnienia.

Wtedy d'Artagnan uznał, że nadeszła właściwa chwila, by się wmieszać w sprawę. Zbliżył się szybko do przeciwległych drzwiczek krety i, uchylając z szacunekiem kapelusz rzekł:

— Czy pozwolisz, pani, abym ci ofiarował moje usługi? Zdaje mi się, że obecny tu kawaler wywołał twój gniew. Wystarczy jedno słowo pani, abym go skarcił za brak grzeczności.

Usłyszawszy pierwsze słowa, milady odwróciła się i spojrzała na razie ze zdziwieniem na młodego człowieka. Gdy jednak skończył mówić, odpowiedziała poprawnie po francusku.

— O, panie! z miłą chęcią uciekłabym się pod pańską opiekę, gdyby ten, który sprzecza się ze mną, nie był moim bratem.

— Ach! w takim razie proszę o przebaczenie — rzekł d'Artagnan. — Pojmuje pani, że nie wiedziałem o tem.

Lecz w tejże chwili jeździec, którego milady nazwała swoim bratem, zmierzył lekceważącem okiem d'Artagnana i wycedził przez zęby:

— Jakiem prawem ten młokos miesza się w cudze sprawy? Czemu nie jedzie swoją drogą?!

— Jesteś sam młokosem, mój panie! — rzucił pogardliwie jeźdźcowi d'Artagnan, pochylając się nad grzywą końską i rzucając również odpowiedź przez drzwiczki. — A nie jadę, bo mi się podobało zatrzymać tutaj.

Jeździec przemówił do siostry kilka słów po angielsku.

— Mówię do pana po francusku — oświadczył d'Artagnan; — zrób mi pan zatem, proszę, tę przyjemność i mów do mnie w tym samym języku. Jesteś bratem tej pani, zgoda, lecz na szczęście nie moim.

Można było przypuszczać, że milady, zapewne lękliwa, jak każda kobieta, będzie usiłowała pośredniczyć w tym rozpoczynającym się sporze i zapobiedz, by nie posunął się zbyt daleko. Ona jednak, wprost przeciwnie, cofnęła się w głąb karety i z zimnym spokojem rzuciła rozkaz woźnicy:

— Ruszaj do pałacu!

Ładna subretka, na którą d'Artagnan wywarł swą powierzchownością olśniewające wrażenie, spojrzała na niego z niepokojem, — on zaś, spostrzegłszy, że jeździec chce puścić się za powozem, zakipiał gniewem i uniósł się jeszcze bardziej, poznając w przeciwniku tego samego Anglika, który w Amiens wygrał jego konia i omal nie wygrał od Atosa jego djamentu. Posko-

czył tedy za nim, chwycił konia jego za uzdę i zatrzymał na miejscu.

— Hola, mój panie! wydajesz mi się młokosem tem bardziej, że zapominasz o pewnym drobnym rachunku jaki mamy pomiędzy sobą do zaałtwienia...

— Ach! to ty, mój panie? — odparł Anglik. — Jak widzę zawsze grasz w tę czy ową grę.

— Tak jest, i to właśnie mi przypomina, że powinienem się jeszcze odegrać. Zobaczymy, drogi panie czy równie dobrze władasz pan szpadą, jak kubkiem do kości.

— Widzisz pan przecie, że nie mam szpady przy boku — rzekł Anglik. — Chcesz udawać zucha wobec bezbronnego!

— Mam jednak nadzieję, że nie braknie panu szpady w domu — odpowiedział d'Artagnan. — Bądź co bądź, ja posiadam dwie i jedną z ich, jeśli łaska, mogę ci służyć.

— Nie trzeba — rzekł Anglik; — jestem dostatecznie zaopatrzony w przybory tego rodzaju.

Tem lepiej, zacny panie! — odparł d'Artagnan. — Wybierz więc najdłuższą i staw się dzisiaj wieczorem, by mi ją pokazać.

— Gdzie, jeśli łaska?

— Poza Luksemburgiem. Okolica ta nadaje się pięknie do podobnego rodzaju zabawy, jaką proponuję.

— Dobrze, stawię się.

— O której godzinie?

— O szóstej.

— Ale prawda! masz pan zapewne także jakiegoś jednego czy dwóch przyjaciół...

— Trzech nawet, którzy uważać sobie będą za zaszczyt towarzyszyć mi przy tej zabawie.

— Trzech? Doskonale! wszystko układa się jak najlepiej! — rzekł d'Artagnan. — I ja mam tyluż.

— A teraz, kto pan jesteś?

— Jestem d'Artagnan, szlachcic gaskoński, gwardzista z oddziału pana des Essarts. A pan?

— Ja zaś lord Winter, baron de Sheffield.

— Jestem na pańskie usługi, panie baronie — rzekł d'Artagnan, — aczkolwiek nazwisko pana strasznie trudno zapamiętać,

I ubódłszy konia ostrogą, popędził galopem drogą do Paryża

Jak zwykle w podobnych wypadkach, d'Artagnan udał się prosto do Atosa i opowiedział mu wszystko, co zaszło, nie wspominając jedynie o bilecie do pana de Wardes.

Atos był zachwycony, dowiedziawszy się, że pojedynek ma się odbyć z Anglikiem. Zaznaczaliśmy już że było to jego marzeniem.

Natychmiast posłano służących po Portosa i Aramisa i zawiadomiono ich o sytuacji.

Portos wydobył szpadę z pochwy i zaczął wymachiwać nią w kierunku ściany, cofając się od czasu do czasu i podskakując, jak baletnik. Aramis, pracujący ciągle jeszcze nad poematem, zamknął się w gabinecie Atosa i prosił, aby mu nie przeszkadzano, aż do chwili, gdy trzeba będzie dobyć szpady. Atos dał znak Grimaudowi, by przyniósł flaszkę. D'Artagnan zaś obmyślał tymczasem w duchu pewien mały plan, o którego wykonaniu dowiemy się nieco później. Spodziewał się widocznie jakiejś miłej przygody, a dowodził tego uśmiech, przemykający kiedy-niekiedy po jego ustach i rozświetlający zamyśloną twarz.

XXXI.

ANGLICY I FRANCUZI.

Gdy nadeszła naznaczona godzina, czterej przyjaciele udali się w towarzystwie służących na zamknięte pole poza Luksemburgiem, gdzie zazwyczaj pasały się kozy. Atos dał pastuchowi drobną monetę, aby oddalił się na inne miejsce; służących rozstawiono na straży.

Niebawem zbliżyła się w milczeniu inna gromadka ludzi, a rozejrzawszy się wokoło, zbliżyła się ku muszkieterom. Wedle obyczaju, przejętego z za morza, przeciwnicy zapoznali się wzajemnie.

Anglicy należeli wszyscy do znakomitej szlachty, więc, usłyszawszy dziwaczne nazwiska swych przeciwników, zdziwili się, a nawet zaniepokoili.

— Z tem wsystkiem — rzekł lord Winter, gdy trzej przyjaciele wymienili swe nazwiska, — nie wiemy jeszcze, kto panowie jesteście, a z ludźmi nieznanymi, o podobnych nazwiskach, nie możeby stawać do walki gdyż są to chyba nazwiska urojone.

— Istotnie, milordzie, są to nazwiska przybrane — odpowiedział Atos.

— Tem bardziej więc pragniemy poznać prawdziwe — oświadczył Anglik.

— Graliście jednak panowie z nami w kości, nie pytając wcale o nasze nazwiska — rzekł Atos. — I, co więcej, nie przeszkodziło to wam wygrać od nas dwa konie...

— To prawda, ale w wypaku owym ryzykowaliśmy jedynie nasze pistole, podczas gdy obecnie mamy rzucić na stawkę własną krew; grać można z pierwszym-lepszym, ale bić się tylko z równym sobie.

— Słuszna uwaga — odparł Atos.

I odpowadziwszy na stronę Anglika, z którym miał skrzyżować szpadę, wyjawił mu pocichu swoje prawdziwe nazwisko. A

podczas, gdy Aramis i Portos naśladowali go w tym względzie, Atos mówił do swego przeciwnika:

— Czy to panu wystarcza? i czy uważasz mię teraz za godnego, bym skrzyżował z nim swą szpadę?

— Tak jest, panie — odparł Anglik, skłaniając głowę, — w zupełności.

— Dobrze. A teraz zechcesz pan jeszcze przyjąć odemnie pewne wyjaśnienie — dodał Atos z lodowatym spokojem.

— Jakie? — zapytał Anglik.

— Że byłbyś pan lepiej uczynił, nie starając się dowiedzieć, kto jestem.....

— Dlaczego?

— Jestem uważany za umarłego, a ponieważ mam pewne powody, aby się nikt nie dowiedział, że żyję, będę zmuszony zabić pana, bo tylko w ten sposób wiadomość o mnie nie wyjdzie poza granice tego pola.

Anglik spojrzał na Atosa tak, jakby oświadczenie to uważał jedynie za junacką przechwałkę z jego strony. Ale Atos bynajmniej nie żartował.

— Panowie — rzekł, zwracając się zarówno do swych towarzyszów, jak do ich przeciwników, — czy jesteśmy gotowi?

— Tak! — odpowiedzieli jednocześnie Anglicy i Francuzi.

— Więc baczność! — oświadczył Atos.

I po chwili ośm szpad zabłysło w blaskach zachodzącego słońca; rozpoczęła się zacięta walka, której gwałtowność tem łatwiej zrozumieć, gdy się zważy, iż walczący byli sobie wrogami w podwójnej mierze.

Atos ścierał się ze swym przeciwnikiem z tak zimną krwią i z takiem przestrzeganiem wszelkich reguł, jakgdyby znajdował się w sali ćwiczeń szermierczych. Portos, którego zbytnią pewność siebie wyleczyła niewątpliwie przygoda, jaką miał w Chantilly, wysilał się na zręczność i roztropność. Aramis rozmyślający o trzeciej części swego poematu, nacierał gwałtownie, jak człowiek, któremu się spieszy.

Pierwszy skończył ze swym przeciwnikiem Atos, zadając mu jeden tylko cios, ale, jak to zapowiedział cios śmiertelny; szpada przeszyła serce. Drugi z kolei Portos powalił swego przeciwnika na ziemię, przeszywając mu udo. Ponieważ zaś Anglik nie stawiał dalej oporu i oddał szpadę w ręce zwycięzcy, Portos wziął go sam w ramiona zaniósł do karety. Aramis natarł tak

gwałtownie, że jego przeciwnik, zmuszony cofać się przez jakieś pięćdziesiąt kroków, zaczął wreszcie umykać z całych sił i zniknął z placu boju wśród szyderczych śmiechów służby.

D'Artagnan walczył metodą obronną, a zmęczywszy już dostatecznie swego przeciwnika, błyskawicznym ruchem szpady wytrącił mu broń z ręki. Baron, zaskoczony takim obrotem sprawy, cofnął się w tył o dwa czy trzy kroki, ale w tejże chwili poślizgnęła mu się noga i upadł nawznak. Wówczas d'Artagnan jednym susem znalazł się tuż nad nim i przyłożył mu szpadę do krtani:

— Mógłbym pana zabić — rzekł do Anglika, — jesteś pan bowiem w mojej mocy. Lecz, powodowany uczuciem sympatji ku pańskiej siostrze, daruję panu życie.

D'Artagnan był tedy u szczytu powodzenia; zbliżał się do urzeczywistnienia planu, jaki ułożył sobie poprzednio, a na myśl o tem radość rozświetlała mu oblicze.

Anglik, olśniony postępkiem d'Artagnana, w którym znalazł tak dobrze wychowanego szlachcica, uścisnął go serdecznie, przyczem wyraził w pochlebnych słowach całkowite swe uznanie dla trzech muszkieterów.

Ponieważ raniony przez Portosa Anglik był już umieszczony w karecie, zaś przeciwnik Aramisa zmykał, aż się kurzyło, zajęto się tedy jedynie zabitym. Portos i Aarmis rozebrali go, sądząc, że rana nie jest śmiertelna, a przy tej okoliczności z za pasa zabitego wypadł duży worek, wypchany złotem. D'Artagnan podniósł go i wręczył lordowi Winterowi.

— Cóż ja, u licha, mam z tem uczynić? — zapytał Anglik.

— Oddasz pan rodzinie zmarłego — odparł d'Artagnan.

— Rodzina jego nie będzie się troszczyła taką drobnostkę; odziedziczy ona po zmarłym piętnaście tysięcy ludwików renty. Tę kieskę możesz pan zachować dla służby.

D'Artagnan schował worek do kieszeni.

— A teraz, mój młody przyjacielu — rzekł lord Winter, — mam bowiem nadzieję, że pozwolisz mi się tak nazywać, przedstawię cię dziś wieczorem, o ile sobie tego życzysz, mojej siostrze, lady Clarik. Pragnąłbym, aby i ona wzięła cię pod swoje opiekuńcze skrzydła, że zaś posiada pewne wpływy na dworze, więc jakieś słowo, wypowiedziane przez nią w przyszłości w twoim interesie, może nie być bezużyteczne.

D'Artagnan zarumienił się na samą myśl o pięknej damie i skinął uprzejmie głową na znak zgody.

Wchwili, gdy rozmawiali, zbliżył się do d'Artagnana Atos.

— Co zamierzasz uczynić z tą kieską? — zapytał szeptem.

— Chciałem ją oddać tobie, drogi Atosie.

— Mnie? a to na co?

— Do licha! ty go zabiłeś, więc łup ten słusznie do ciebie należy.

— Ja? spadkobiercą wroga? — zawołał Atos. — Za kogoż to mnie uważasz?

— Istnieje podobny zwyczaj na wojnie — odpowiedział d'Artagnan, — czemuż nie miałby obowiązywać w pojedynku?

— Nawet na polu bitwy nie uczyniłem nigdy nic podobnego — oświadczył Atos.

Portos wzruszył ramionami, Aramis zaś miną przytakiwał Atosowi.

— A więc — rzekł d'Artagnan — oddajmy te pieniądze służącym, jak to radził lord Winter.

— Dobrze — przytwierdził Atos, — i to nie naszym lecz służącym Anglików.

To mówiąc, Atos wziął kieskę i rzucił ją do rąk woźnicy.

— Weź to dla siebie i dla swoich towarzyszów. –

Ta wspaniałomyślność człowieka, pozbawionego zupełnie jakichkolwiek zasobów pieniężnych, zadziwiła nawet Portosa. Wszystkim też podobał się ten gest pański, rozgłoszony następnie przez lorda Wintera i jego przyjaciela, z wyjątkiem imci Grimauda, Mousquetona, Plancheta i Bazina.

Lord Winter, żegnając d'Artagnana, podał mu adres swej siostry; mieszkała przy Placu Królewskim, który i wówczas był w modzie, w domu pod liczbą 6. Zresztą baron przyrzekł nawet przyjść po niego, aby go osobiście przedstawić, id'Artagnan naznaczył mu spotkanie na godzinę ósmą wieczorem w mieszkaniu Atosa.

Te odwiedziny u milady zaprzątnęły żywo umysł naszego Gaskończyka. Przypomniał sobie, w jak niezwykły sposób mieszała się dotychczas ta kobieta w jego losy. Był przekonany, że pozostaje ona w służbie kardynała, a przecie pociągało go ku niej nieprzezwyciężenie jedno z tych uczuć, z których człowiek nie zdaje sobie sprawy.

Tego tylko się obawiał, aby milady nie przypomniała go sobie z Meung i z Douvru, bo wiedziałaby wówczas także, iż zalicza się on do przyjaciół pana de Treville i że w następstwie tego jest ciałem i duszą oddany królowi. Utraciłby też wówczas poniekąd te szanse, jakie wobec niej posiadał, bo gdyby go milady znała tak dobrze, jak on ją, gra między niemi byłaby zupełnie równa.

Owej rozpoczynającej się miłostki między milady a hrabią de Wardes nie brał nasz zarozumialec prawie całkiem w rachubę, aczkolwiek hrabia był młody, piękny, bogaty i cieszył się wielkiemi łaskami kardynała. Niedarmo ma się lat dwadzieścia i przedewszystkiem niedarmo pochodzi się z Tarbes.

D'Artagnan rozpoczął od tego, że, poszedłszy do domu, wystroił się jak najświetniej, a następnie udał się do Atosa „ jak to miał we zwyczaju, opowiedział mu o zaproszeniu i planach na przyszłość. Atos wysłuchał przyjaciela, poczem, potrząsnąwszy głową, zaczął go z pewną goryczą w głosie nawoływać do rozwagi.

— Jakże to? — mówił, — dopiero co postradałeś kobietę, jak sam powiadasz, dobrą, piękną, bez zarzutu, i już chcesz gonić za inną?!

D'Artagnan odczuwał słuszność tego zarzutu.

— Kochałem panią Bonacieux całem sercem, milady zaś zawróciła mi tylko w głowie — odpowiedział. — Wchodząc obecnie do jej domu, pragnę przedewszystkiem wyświetlić, jaką rolę odgrywa ona na dworze królewskim.

— Do licha! nietrudno przecie odgadnąć jej rolę chociażby na podstawie tego, co mi opowiedziałeś. Jest ona niewątpliwie powiernicą kardynała, kobietą, która wciągnie cię w zasadzkę, co w najlepszym razie przypłacisz własną głową.

— Do djabła! zdaje mi się, drogi Atosie, że widzisz wszystko w zbyt czarnych kolorach...

— Nie ufam kobietom, mój kochany, a zwłaszcza kobietom jasnowłosym. Trudno! zapłaciłem już drogo za to doświadczenie. A milady ma jasne włosy, jak mówiłeś?

— Jest najcudniejszą blondynką, jaką można spotkać na świecie.

— Biedny mój d'Artagnanie — rzekł Atos.

— Nie obawiaj się; pragnę wyświetlić tę sprawę, a skoro tylko dowiem się tego, o co mi chodzi, usunę się od niej bezzwłocznie.

— Wyświetlaj zatem — oświadczył flegmatycznie Atos.

Lord Winter przybył o oznaczonej godzinie, — że zaś Atos na chwilę przedtem usunął się do przyległego pokoju, zastał więc d'Artagnana samego i natychmiast zabrał go z sobą.

— Przed domem oczekiwała kareta, zaprzężona w dwa pyszne rumaki, które szybko zawiozły ich na Plac Królewski.

Pałac lady Claric odznaczał się niezwykłym przepychem. Aczkolwiek zamieszkali w Paryżu Anglicy z powodu wojny bądź wyjechali, bądź też przygotowywali się do wyjazdu, milady, przeciwnie, odnawiała właśnie w tym czasie pałac, co dowodziło, że ogólny reksrypt, wydalający Anglików, jej nie dotyczył wcale.

— Widzisz przed sobą — mówił lord Winter, przedstawiając siostrze d'Artagnana — młodzieńca, w którego ręku znajdowało się moje życie. A jednak nie skorzystał z nastręczającej się sposobności, chociaż byliśmy nieprzyjaciółmi podwójnie, bo po pierwsze zelżyłem go, powtóre jestem Anglikiem. Podziękuj mu zatem, pani, jeżeli żywisz dla mnie uczucie przyjaźni.

Milady zmarszczyła lekko brwi, i po czole jej przemknęła zaledwie dostrzegalna chmurka, na ustach pojawił się tak dziwny uśmiech, że d'Artagnan, zauważywszy to, został jakgdyby zmrożony.

Brat jej nie widział tego, gdyż, pociągnięty w tej chwili za kaftan przez małpkę, ulubienicę milady, odwrócił się w stronę napastniczki.

Milady zaś rzekła natychmiast z całą uprzejmością, zdającą się przeczyć objawom niezadowolenia, jakie d'Artagnan dopiero co zauważył:

— Witam pana! Pozyskałeś pan dzisiaj wieczyste prawo do mojej wdzięczności.

Anglik opowiedział cały przebieg starcia, nie pomijając ani jednego szczegółu, a milady słuchała go z największem zajęciem. Łatwo jednak można było dostrzedz, mimo wysiłku, z jakim starała się ukryć swe wrażenia, że opowiadanie to nie sprawia jej bynajmniej przyjemności ;ponsowiała od chwili do chwili, a mała nóżka poruszała się niespokojnie pod skrajem sukni.

Lord de Winter nie widział tego. Gdy nareszcie skończył opowiadać, poszedł do stołu, gdzie na tacy postawiła służba flaszkę wina hiszpańskiego, nalał dwa kielichy i uprzejmym gestem zaprosił d'Artagnana, aby wychylił je z nim razem.

D'Artagnan wiedział, że odmową mógłby obrazić Anglika więc zbliżył się do stołu i ujął kielich w rękę, ani na chwilę jednak nie tracąc z oczu milady, której główka, odbita w tej chwili w zwierciadle, mieniła się dziwnemi uczuciami. Teraz, gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, wyraz jakiegoś okrucieństwa zeszpecił jej rysy; pięknymi ząbkami zaś szarpała z gniewem chusteczkę.

Wtem do pokoju weszła przystojna pokojówka, którą d'Artagnan już poprzednio zauważył, i szepnęła po angielsku kilka słów do lorda Wintera. Anglik, wytłumaczywszy się przed gościem ważnością powołujących go spraw, poprosił następnie siostrę, by usprawiedliwiła go również przed nim, i pożegnawszy d'Artagnana uściśnięciem dłoni, wyszedł.

D'Artagna zwrócił się do milady, której oblicze z zadziwiającą szybkością przybrało znów łagodny i miły wyraz, i wśród rozmowy zauważył jedynie ślady mimionego jej gniewu w postaci krwawych plamek na trzymanej jeszcze przez nią chusteczce, które świadczyły, że przed chwilą pogryzła sobie warki aż do krwi. A wargi miała przpyszne, rzec można — koralowe.

Rozmawiała z ożywieniem, i zdawaćby się mogło, że zapomniała o wszystkiem. Opowiada, że lord de Winter był jej szwagrem, nie zaś bratem; poślubiła młodszego jego brata, który osierocił ją wraz z maleńkiem dzieciątkiem. Dziecko-to było jedynym spadkobiercą jej szwagra, gdyby się nie ożenił i nie miał sam dzieci.

Słuchając tego opowiadania, d'Artagnan wyczuwał, że poza wszystkiemi obsłonkami, w które ono obfitowało, coś się kryje tajemniczego, — ale co, nie mógł tego odgadnąć.

Zresztą po półgodzinnej rozmowie d'Artagnan nabrał przekonania, że milady jest bezwarunkowo jego rodaczką, mówiła bowiem po francusku tak czysto i poprawnie, iż nie można było mieć żadnych pod tym względem wątpliwości.

Nie szczędził też młody człowiek miłych słów i zapewnień o zupełnem dla niej odaniu, a wszystkich niedorzeczności naszego Gaskończyka słuchała milady z dobrodusznym uśmiechem.

Wreszcie nadeszła godzina rozstania. D'Artagnan pożegnał gospodynię domu i opuścił salon, czując się najszczęśliwszym z ludzi.

Na schodach spotkał piękną pokojówkę. Potrąciła go w przejściu, i rumieniąc się aż po białka oczu, przeprosiła za swą niezręczność tak słodkim głosikiem, że aż się obejrzał za nią.

Nazajutrz d'Artagnan przybył ponownie w odwiedziny i został przyjęty jeszcze milej, aniżeli dnia poprzedniego. Lord de Winter był nieobecny, i tym razem znowu sama milady zabawiała gościa przez cały wieczór. Objawiając wielkie zajęcie jego losem, wyptywała skąd pochodzi, jakich ma pzyjaciół i czy nie myślał kiedy o tem, aby wejść w służbę pana kardynała.

W odpowiedzi na to ostatnie zapytanie d'Artagnan, który, mimo lat dwudziestu, był niezwykle roztropnym młodzieńcem, przypomniawszy sobie podejrzenia, jakie od początku budziła w nim milady, wygłosił teraz pochwalną mowę na cześć Jego Eminencji i zapewnił, że niewątpliwie wstąpiłby w szeregi gwardji kardynała, zamiast do gwardji królewskiej, gdyby był przedtem naprzykład poznał pana de Cavois, zamiast pana de Treville.

Na to oświadczenie milady zmieniła wnet temat rozmowy nie objawiając żadnego podniecenia, i zapytała w możliwie najnaturalniejszy sposób, czy był kiedykolwiek w Anglji. D'Artagnan odpowiedział na to pytanie, że posyłał go tam pan de Treville w celu zakupu koni, których cztery sprowadził na próbę.

W ciągu rozmowy milady zagryzła wargi dwa czy trzy razy — Gaskończyk bowiem okazał się niezwykle skrytym człowiekiem.

O tej samej porze, co dnia poprzedniego, d'Artagnan pożegnał milady i znowu na korytarzu spotkał piękną Ketty, tak bowiem nazywała się pokojówka. Spojrzała na niego tak mile, że trudno byłoby pomylić się co do jej życzliwości dla niego. Lecz młody człowiek nazbyt był zajęty jej panią, aby zwracać uwagę na cośkolwiek innego.

Następnego dnia d'Artagnan znowu przybył w odwiedziny do milady, która co wieczór przyjmowała go ze wzrastającą sympatją. I co wieczór, czyto w przedpokoju, czy w krużganku, czy na schodach, spotykał piękną pokojówkę.

Ale, jak wspomnieliśmy, d'Artagnan nie zwracał wcale uwagi na biedną Ketty, która go za każdym razem niemal zagabywała rozmiłowanym wzrokiem.

XXXII.

OBIAD U PROKURATORA.

Portos, mimo zajęcia się pojedynkiem, w którym tak świetnie odegrał rolę, nie zapomniał bynajmniej o obiedzie u pani prokuratorowej. Nazajutrz około godziny pierwszej, po ostatniem dotknięciu szczotki Mousqetona, skierował się krokiem człowieka szczęśliwego ku ulicy Niedźwiedziej.

Serce biło mu gwałtownie, ale bynajmniej nie tą młodą i nieciepliwą miłością, jaką rozpierała piersi d'Artagnana. Nie! bardziej realna sprawa burzyła mu krew w żyłach. Miał nareszcie przekroczyć ten tajemniczy próg, wejść na te nieznane schody, po których kroczyły jeden po drugim dukaty pana Coquenard; miał ujrzeć w rzeczywistości skrzynię, której obraz tylekroć widywał w sennych swych marzeniach, — skrzynię podłużną, głęboką, z kłódkami i zamkami, przytwierdzoną mocno do podłogi, — skrzynię, o której tyle nasłuchał się opowiadań, a którą teraz nieco wyschłe, to prawda, lecz nie pozbawione jeszcze wdzięku ręce pani prokuratorowej miały otworzyć przed jego zdumionemi oczyma.

A pozatem on, człowiek wałęsający się po szerokim świecie, człowiek bez pieniędzy, bez rodziny, żołnierz, pędzący życie w gospodach, w karczmach i szynkowniach, smakosz, zmuszony zadowalniać się zazwyczaj ucztą, jaka się przypadkiem tu lub ówdzie nadarzała, — miał dziś zasiąść do zastawionego suto stołu, zakosztować rozkoszy wytwornego ogniska domowego, zaznać tych drobnych przyjemności, za któremi, jak powiadają starzy wojacy, tem bardziej się tęskni, im bardziej się ich brak odczuwa. Zasiadać codziennie w roli krewnego do dobrego obiadu, rozweselać pożółkłe i zmarszczone czoło starego prokuratora, podskubywać od czasu do czasu jego pomocników, wprowadzając ich w tajniki rozmaitych gier, i zabierać im w nagrodę za godzinę nauki całomiesięczne oszczędności — wszystko to niezmiernie się uśmiechało Portosowi.

Muszkieter przypominał sobie dokładnie zasłyszane tu i ówdzie złe plotki, obiegające w owe czasy o prokuratorach: o ich skąpstwie, o odegrzewanych potrawach, o dniach postu. Ale ponieważ Portos wiedział, że prokuratorowa, jak na osobę, zajmującą podobne stanowisko, poza pewnemi skłonnościami do oszczędności (których zawsze był przeciwnikiem) jest dosyć wolnomyślna, spodziewał się, że wejdzie w dom, postawiony na przyzwoitej stopie. Jednak już wchodząc do bramy, począł muszkieter żywić pewne co do tego wątpliwości. Wejście wcale nie było zachęcające: korytarz chuchnący i ciemny; schody kiepsko oświetlone poprzez kraty, któremi przenikało światło z sąsiedniego podwórka; na pierwszem piętrze drzwi niskie, nabijane olbrzymimi gwoździami, jakby wrot więzienia.

Portos zapukał lekko. Otworzył mu jeden z pomocników prokuratora, blady wychudły, z rozczochraną głową witając go, jak człowiek, który przywykł szanować wysoki wzrost, bo znamionuje on siłę, strój wojskowy, bo świadczy o stanowisku, i twarz rumianą, bo dowodzi przyzwyczajenia do dobrego życia.

Za pierwszym pomocnikiem stał drugi, niższy od niego, dalej znowu inny, wyższy, a na samym końcu dwunastoletni mniejwięcej wyrostek.

Razem tedy pomocników było trzech i pół, co, jak na owe czasy, dowodziło, że biuro zażywa dużej wziętości.

Chociaż przybycie muszkietera było naznaczone na godzinę pierwszą, prokuratorowa wyglądała go już od południa, spodziewając się, że bądź serce, bądź żołądek skłonią jej kochanka do wcześniejszego przybycia.

Pani Coquenard pojawiła się w drzwiach swego apartamentu prawie w tej samej chwili, gdy gość jej wchodził drzwiami ze schodów. Widok czcigodnej damy wprowadził Portosa w wielkie zakłopotanie. Pomocnicy prokuratora spoglądali na niego z zaciekawieniem, on za na widok tego rosnącego i malejącego ich szeregu nie wiedząc, co czynić, trwał w głuchem milczeniu.

— Ach, kuzynie! — zawołał prokuratorowa. — Chodźże pan, panie Portosie!

Nazwisko wywarło na pomocników komiczne wrażenie; poczęli się ksztusić śmiechem. Lecz skoro tylko Portos spojrzał po nich, twarze wszystkich przybrały wyraz poważny.

Minąwszy ten pierwszy pokój, gdzie pomocnicy owi pracowali, mówiąc nawiasem — brudny i zawalony papierami, wszedł

Portos za panią domu do gabinetu prokuratora, do sali przyjęć, pozostawiając kuchnię z prawej strony na uboczu.

Całe to mieszkanie nie budziło bynajmniej w sercu Portosa dobrych nadziei. Z jednego końca w drugi poprzez otwarte na rozcież drzwi można było słyszeć zdaleka każde słowo. Przechodząc koło kuchni, Portos szybkiem i badawczem spojrzeniem ogarnął jej wnętrze i przekonał się z niezmiernym żalem swoim, a na hańbę gospodyni, że na kominie nie było wcale ognia, nie niebyło w kuchni tego ruchu i ożywienia, jakie w tej świątyni smakoszostwa na krótką chwilę przed dobrą biesiadą powinnoby panować.

Prokurator, widocznie uprzedzony o odwiedzinach, nie objawiał wcale zdziwienia na widok Portosa, który śmiało podszedł ku niemu i powitał go uprzejmie.

— Jesteśmy, zdaje się, krewniakami, panie Portosie — rzekł starzec, podnosząc się z wysiłkiem z trzcinowego krzesła.

Owinięty był czarnym płaszczem, w którym ginęła jego słabowita, sucha, koścista postać. Małe, szare oczy błyszczały mu, jak robaczki świętojańskie; mogło się wydawać, że w nich i w poruszających się ustawicznie wargach ześrodkowuje się cała siła życiowa tego człowieka. Niestety, nogi poczęły mu wymawiać posłuszeństwo, a słabość ta, ujawniająca się od pięciu czy sześciu miesięcy, oddała czcigodnego prokuratora najzupełniej pod władzę żony.

Pan Coquenard przyjął "kuzyna" z rezygnacją. Gdyby bowiem był jeszcze rzeźki, jak dawniej, z pewnością nie przyznałby się do pokrewieństwa z nim.

— Tak jest, panie, jesteśmy spokrewnieni — oświadczył bez wahania Portos, nie oczekujący bynajmniej, aby mąż przyjął go z zapałem.

— Przez kobiety, jak sądzę — zauważył złośliwie prokurator.

Portos nie zrozumiał przytyku i, wziąwszy te słowa za wyraz naiwności, uśmiechnął się pod wąsem. Natomiast pani Coquenard, która wiedziała, że mąż jej naiwnością nie grzeszy, spojrzała na Portosa i zarumieniła się gwałtownie.

Z chwilą przybycia Portosa pan Coquenard od czasu do czasu z zaniepokojeniem spoglądał na wielką szafę, stojącą naprzeciwko jego biurka, z czego Portos zrozumiał, że ta właśnie szafa, aczkolwiek z wyglądu nie odpowiadała wymarzonemu przez niego obrazowi, musi być owym upragnionym skarbcem, i

cieszył się, że rzeczywistość okazała się o sześć stóp wyższą od jego wyśnionego ideału.

Pan Coquenard nie usiłował już dalej doszukiwać się pokrewieństwa z gościem, lecz, przenosząc nagle niespokojne spojrzenie z szafy na Portosa, zadowolnił się słowami:

— Kochany kuzynek przed wyjazdem na wojnę wyświadczy nam zapewne zaszczyt i zje wraz z nami obiad.... Nieprawda, pani Coquenard?

Tym razem Portos został ugodzony w sam żołądek i odczuł ten cios boleśnie. Pani Coquenard obruszyła się widocznie także na te słowa, bo odpowiedziała szybko:

— Kuzynek mój nie przyszedłby do nas więcej, gdybyśmy go przyjęli niegościnnie. Ponieważ zaś już tylko przez krótki czas pozostaje w Paryżu i tak niewiele ma sposobności widywać się z nami, musimy go prosić, aby poświęcał nam wszystkie wolne chwile, jakiemi rozporządza, aż do chwili swego odjazdu.

— Och, moje nogi! moje biedne nogi! co się z wami dzieje? — mruczał Coquenard, usiłując się uśmiechanąć.

Tymczasem serce Portosa przepełniło się gorącą wdzięcznością dla gospodyni za pomoc, na jaką pospieszyła mu ona w chwili, gdy zachwiały się wszystkie jego nadziei gastronomiczne.

Niebawem nadeszła pora obiadowa, i gospodarstwo wraz z gościem przeszli do pokoju stołowego, znajdującego się naprzeciwko kuchni, a brudnego i ciemnego, jak wszystkie.

Pomocnicy wyczuli wnet widocznie woń potraw, gdyż stawili się z wojskową punktualnością, trzymając kresła w ręku, gotowi zasiąść do stołu, i już zawczasu poruszając groźnie szczękami.

— Do licha! — pomyślał Portos, spoglądając na trzech głodomorów (najmłodszy z pomocników, jak się łatwo domyślić, nie był zaszczycony dopuszczeniem do pańskiego stołu) — do licha! będąc na miejscu mego kuzyna, nie trzymałbym w domu takich obżartuchów. Wyglądają na rozbitków, którzy nie jedli nic od sześciu tygodni.

Pan Coquenard dostał się do pokoju stołowego, wtoczony na fotelu z kółkami przez żonę, której dopomógł Portos.

Stary, zaledwie się znalazł przy stole, pokręcił nosem i począł również poruszać szczękami, jak jego pomocnicy.

— Ho! ho! — zawołał, — zapach zupy jest poprostu kuszący!

— Co on tak nadzwyczajnego upatruje w tej zupie, u djabła? — pomyślał Portos, spoglądając na blady i chudy, choć w obfitej podany ilości rosół, w którym zrzadka pływały grzanki, niby wyspy na archipelagu.

Pani Coquenard uśmiechnęła się. Na dany przez nią znak wszyscy obecni usiedli z pośpiechem.

Najpierw napełniła talerz męża, potem Portosa, wreszcie swój własny, a niecierpliwiącym się pomocnikom rodzieliła grzanki bez zupy.

W tej samej chwili uchyliły się ze skrzypieniem drzwi pokoju, i ukazała się w nich twarz najmłodszego pomocnika, który, nie mogąc brać udziału w uczcie, zaspokajał głód chlebem, okraszonym wonią, płynącą zarówno z kuchni, jak i z jadalni.

Po zupie podała służąca gotowaną kurę. Na widok tej wspaniałej potrawy rozszerzyły się źrenice biesiadników, i oczy omal nie wyskoczyły im z orbit.

— Widać, że pani Coquenard kocha swą rodzinę — rzekł prokurator z tragicznym niemal uśmiechem; — wspaniałość tę zawdzięczamy niewątpliwie obecności pana kuzyna.

Biedna kura była chuda i pokryta tak twardą skórą, że kości nie zdołałyby jej przebić, mimo wszelkich wysiłków; zapewne długo musiano szukać, zanim znaleziono ją na grzędzie, gdzie się schroniła, pragnąc spokojnie zakończyć starszy żywot.

— Jakie to smutne, do djabła! — pomyślał Portos. — Szanuję wprawdzie starość, ale mniej ją cenię, gdy jest ugotowana lub upieczona.

Rozejrzał się dokoła, aby przekonać, czy i inni podzielają jego zdanie. Lecz spostrzegł, że, przeciwnie, u wszystkich płonęły oczy pożerając już naprzód wspaniałą kurę, przedmiot jego pogardy.

Pani Coquenard przysunęła ku sobie półmisek, oderwała zręcznie obie wielkie, czarne łapy i położyła je na talerzu męża, — następnie odcięła szyję i razem z głową odsunęła dla siebie, — wreszcie odjęła skrzydła dla Portosa, poczem oddała półmisek z nietkniętem prawie stworzeniem służącej, która poprzednio przyniosła potrawę. Kura zniknęła tak szybko, że muszkieter nie miał czasu zauważyć, wrażenia, jakie ten niespodziewany

zawód, zależnie od charakterów i temperamentów, wywarł na tych, których dotknął.

W miejsce kury ukazał się olbrzymi półmisek, pełen fasoli, z kilkoma baraniemi kośćmi, które na pierwszy rzut oka wydawały się pokryte mięsem. Ale pomocnicy prokuratorscy nie dali się uwieść tym pozorom; smutek ich zmienił się w rezygnację. Pani Coquenard obdzieliła młodych ludzi fasolą z umiarkowaniem, godnem dobrej gospodyni.

Przyszła wreszcie kolej na wino. Pan Coquenard wziął w rękę flaszkę, mówiąc nawiasem, niezbyt wielkich rozmiarów, nalał po kieliszku każdemu z młodych ludzi, do siebie zastosował taką samą niemal miarę, poczem odsunął flaszkę ku Portosowi i żonie. Młodzi ludzie dopełnili kieliszki wodą, a wychyliwszy je do połowy, doleli znowu wody — i powtarzali to aż do końca obiadu, tak, że w ostatniej chwili w kieliszkach zamiast rubinowego napoju była jakaś ciecz barwy bladego topazu.

Portos jadł ostrożnie otrzymane skrzydełka kury, gdy uczuł, że nóżka prokuratorowej szuka pod stołem jego nogi, i ciałem jego wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Wypił pół kieliszka wina oszczędnie odmierzonepo, i poznał po smaku, że jest to ohydny zieleniak z Montreuil, budzący zgrozę w prawdziwych smakoszach.

Pan Coquenard przyglądał się ze zdziwieniem, że gość pije czyste wino, i westchnął na ten widok.

— Czy pozwolisz jeszcze tej fasoli, kuzynku Portosie? — zapytała pani Coquenard tonem, który mówił wyraźnie: Proszę cię, nie jedz już więcej.

— Niech mnie djabli wezmą, jeżeli skosztuję choćby odrobinę — pomyślał Portos, a głośno odpowiedział:

— Dziękuję ci, kuzynko; nie jestem już głodny...

Nastała chwila ciszy, która wprawiła Portosa w zakłopotanie. Wreszcie prokurator rzekł, powtarzają kilkakrotnie:

— Winszuję ci z całego serca, pani Coquenard; obiad był wspaniały! Ależ się objadłem, o Boże!...

Objadł się zaś pan Coquenard talerzem rosołu, dwoma czarnemi łapami kurzemi i ogryzioną kością baranią, na której było trochę mięsa.

Portos był przekonany, że żartują sobie z niego, — więc zaczął podkręcać wąsa i maszczyć brwi. Ale nóżka pani Coquenard lekkiem dotknięciem nakazała mu cierpliwość.

Jednak cisza i przerwa w dalszem podawaniu, niezrozumiałe dla Portosa, miały tragiczne znaczenie dla młodych ludzi. Posłuszni spojrzeniu prokuratora, któremu towarzyszył uśmiech pani Coquenard, wstali zwolna, jeszcze powolniej złożyli serwety, poczem, oddawszy ukłon, odeszli.

— Idźcie, młodzieńcy, idźcie trawić przy pracy — odezwał się poważnie prokurator.

Po odejściu pomocników pani Coquenard powstała, wyjęła z kredensu kawałek sera, nieco kosfitur z pigwy, placek z migdałami i miodem, własnoręcznie przez siebie upieczony, i postawiła to wszystko na stole.

Pan Coquenard na widok tej obfitości dań zmarszczył czoło, a Portos, pomyślawszy, że deser ten nie zastąpi mu obiadu, zagryzł wargi i rozejrzał się za półmiskiem z fasolą, — ale ten, niestety, już zniknął ze stołu.

— Prawdziwa uczta — wołał pan Coquenard, kręcząc się na krześle, — prawdziwa uczta! "Epulae epularum!" Lukullus, podejmowany przez Lukullusa!

Portos spojrzał na stojącą obok niego flaszkę i przyszła mu myśl, że uda mu się zaspokoić głód winem, chlebem i serem; ale flaszka była już próżna, państwo zaś Coquenard, jak się zdawało, nie zwracali na to wcale uwagi.

— Dobrze — pomyślał Portos, — przeliczyłem się....

Oblizał językiem łyżeczkę konfitur i wbił zęby w lepki, zakalcowaty placek, dzieło pani Coquenard.

— No! ofiara dopełniona! — pomyślał. — Ach! gdybym nie miał tej błogiej nadziei, że razem z panią Coquenard zajrzę do szafy jej męża!....

Pan Coquenard po rozkoszach wspaniałej biesiady, której nie przestawał nazywać zbytkiem, uczuł potrzebę wypoczynku. Mimo nadziei, jaką żywił Portos, że drzemka odbędzie się w tym samym pokoju, niedobry prokurator nie chciał słyszeć o niczem i dopóty gderał, póki go nie zaprowadzono do jego gabinetu i nie usadowiono naprzeciwko szafy, na podstawie której, dla większej snadź pewności, oparł nogi.

Prokuratorowa zaprowadziła Portosa do sąsiedniego pokoju, gdzie rozpoczęli oboje szukać gruntu do porozumienia się.

— Mógłbyś przychodzić do nas na obiad trzy razy w tygodniu — mówiła pani Coquenard.

— Dziękuję — odparł Portos; — nie lubię nadużywać gościnności. Zresztą muszę pomyśleć o mojem umundurowaniu.

— Prawda! — westchnęła prokuratorowa, — ... to nieszczęsne umundurowanie!

— Niestety — rzekł Portos.

— Czegoż ci więc potrzeba, panie Portosie?

— Och! mnóstwa rozmaitych rzeczy — mówił Portos. — Jak pani wiadomo, muszkieterowie są wyborowymi żołnierzami, potrzebują zatem wielu przedmiotów, które są całkiem zbyteczne dla takich naprzykład gwadzistów lub straży pałacowej.

— Niech pan wyliczy wszystko szczegółowo.

— Wszystko razem mogłoby kosztować.... — namyślał się Portos, który wolał mówić o całości, niż o szczegółach.

Prokuratorowa czekała z drżeniem.

— Ileż? ile? — zapytała niecierpliwie. — Mam nadzieję, że nie więcej....

I tu zbrakło jej słów.

— Och! niewiele! — odparł Portos. — Wszystko razem kosztować będzie najwyżej.... dwa tysiące pięćset liwrów... — Ale natychmiast dodał: — Sądzę nawet, że przy zachowaniu możliwej oszczędności wystarcyłoby mi dwa tysiące liwrów.

— Boże! — krzyknęła, — dwa tysiące liwrów! ależ to majątek!

Portos skrzywił się znacząco, a pani Coquenard w lot zrozumiała, co chce przez to powiedzieć, i dodała:

— Zapytywałam o szczgóły — rzekła, — gdyż mam wielu krewnych i znajomych w kołach handlowych i jestem niemal pewna, że potrafiłabym kupić wszystko o sto procent taniej, aniżeli pan sam musiałbyś zapłacić.

— Ach! więc o to chodzi? — zauważył Portos.

— Tak, drogi panie Portosie! Przedewszystkiem więc potrzebujesz konia?

— Tak, najpierw konia.

— Otóż zdaje mi się, że ta sprawa byłaby już załatwiona...

— Hm! — rzekł Portos, uradowany, — dobre i to, że przynajmniej o konia niema kłopotu. Ale potrzebna jest całkowita uprząż, składająca się z takich części, które może nabyć tylko sam muszkieter. Zdaje mi się jednak, że nie powinno to kosztować więcej, jak jakieś trzysta liwrów.

— Trzysta lwrów!? — zawołała prokuratorowa z westchnieniem, a po chwili dodała: — No, dobrze! przypuśćmy, trzysta liwrów.

Portos uśmiechnął się. Czytelnik przypomina sobie zapewne, że posiadał on pyszny rzęd na konia, pochodzący od Buckinghama; więc owe trzysta liwrów zamierzał zdradziecko schować do kieszeni.

— Dalej potrzeba jeszcze konia dla mego służącego i kufrów podróżnych — wyliczał. — O uzbrojenie nie troszcz się pani — dodał; — mam je w komplecie.

— Konia dla służącego? — powtórzyła z wahaniem prokuratorowa. — Czyż ten służący jest tak wielkim panem, mój przyjacielu, że aż musi posiadać konia?

— Jakto? uważasz mię pani za żebraka? — zapytał dumnie Portos.

— Bynajmniej; chciałam tylko zaznaczyć, że piękny muł wygląda niekiedy równie dobrze, jak koń. A zdaje mi się, że byłoby mi łatwo wystarać się dla pańskiego Mousquetona o doskonałego muła...

— Zgoda! niech będzie i dobry muł — odparł Portos. — Masz pani słuszność; widziałem wielkich panów hiszpańskich, których cała świta jeździła na mułach. Ale nie zapominaj, droga pani Coquenard, że muł potrzebuje czapraka i dzwonków.

— Nie pan będzie o nie spokojny — odrzekła prokuratorowa.

— Zatem jeszcze toboły podróżne — zauważył Portos.

— Och! nie kłopoc się pan o to wcale — zawołała pani Coquenard. — Mój małżonek posiada pięć czy sześć kufrów podróżnych, więc wybierzecz sobie z nich najlepszy. Jeden zwłaszcza, który szczególnie lubi, jest tak wielki,że świat cały możnaby w nim pomieścić.

— I ten kufer jest próżny? — zapytał niby naiwnie Portos.

— Oczywiście, zupełnie próżny — odpowiedziała równie naiwnie prokuratorowa.

— Ach, moja droga! — rzekł Portos, — ja potrzebuję przecież kufra dobrze wyładowanego.

Na te słowa z piersi pani Coquenard wyrwało się ponowne westchnienie. Moliere nie napisał był jeszcze scen ze swego "Skąpca", — pani Coquenard wyprzedziła zatem Harpagona.

W ten sposób omówiono kolejno resztę umundurowania, a wynikiem narady było, że pani Coquenard zgodziła się dać gotówką ośmset liwrów, oraz dostarczyć konia i muła, którym miał przypaść zaszczyt dźwigania w drodze do sławy Portosa i Mousquetona.

Dokonawszy tej umowy, Portos pożegnał panią Coquenard która wprawdzie usiłowała go zatrzymać słodkiemi spojrzeniami, ale musiała ustąpić pierwszeństwa królowi, gdyż Portos wymówił się obowiązkami służbowymi.

Muszkieter wrócił do domu wściekle głodny i z tego powodu w bardzo złym humorze.

XXXIII.

POKOJÓWKA I PANI.

Tymczasem d'Artagnan, jak mówiliśmy, pomimo wyrzutów sumienia i mądrych rad Atosa, niemal z godziny na godzinę odczuwał coraz większą miłość ku milady. Codziennie też przybywał składać jej swoje hołdy, przekonany, że wcześniej czy później pozyska jej wzajemność.

Pewnego wieczoru, gdy wchodził do pałacu milady z podniesioną w górę głową, z miną człowieka, oczekującego złotego deszczu, spotkał przy zewnętrznej bramie nadobną pokojówkę. Piękna Ketty nie zadowolniła się tym razem otarciem się o niego w przejściu, lecz łagodnie ujęła go za rękę.

— Aha! — pomyślał d'Artagnan, — zapewne ma mi zakomunikować jakieś zlecenie swojej pani, która może chce mi w ten sposób naznaczyć schadzkę, nie śmiejąc uczynić tego osobiście w rozmowie ze mną.

I spojrzał na piękną dziewczynę najbardziej zdobywczem spojrzeniem, do jakiego był zdolny.

— Pragnęłabym powiedzieć panu kilka słów, panie kawalerze.... — wyjąkała nieśmiało pokojówka.

— Mów, moje dziecko, mów — rzekł d'Artagnan; — słucham uważnie.

— Nie mogę tego panu powiedzieć tutaj, jest to bowiem zbyt wielka tajemnica i wymaga długiej rozmowy.

— Cóż więc poradzić na to?

— Gdyby pan kawaler zechciał pójść ze mną... — mówiła trwożnie Ketty.

— Pójdę, dokąd zechcesz, piękna dziecino.

— Więc chodźmy.

I nie wypuszczając już ręki d'Artagnan, poprowadziła go Ketty ciemnymi i zawrotnymi schodami na górę. Skoro zaś przeszli kilkanaście stopni, otworzyła małe drzwiczki.

— Wejdź pan, proszę — rzekła. — Będziemy tu sami i możemy pomówić swobodnie.

— Czyjże to pokoik, moja piękna panienko? — pytał d'Artagnan.

— Mój, panie kawalerze, a przez te drzwi łączy się z pokojem mojej pani. Ale bądź pan spokojny; nieusłyszy ona tego, co będziemy mówili, bo nigdy nie udaje się na spoczynek przed północą.

D'Artagnan rozejrzał się dokoła. Mały pokoik urządzony był ze smakiem i nadzwyczaj schludny. Mimowoli jednak oczy młodego człowieka kierowały się w stronę drzwi, wiodących, jak mu powiedziała dziewczyna, do pokoju milady.

Ketty w jednej chwili odgadła, co się dzieje w sercu młodzieńca. Spojrzała mu w oczy, i westchnienie wyrwało się jej z piersi.

— Pan kochasz bardzo moją panią, panie kawalerze? — rzekła.

— Och! słów mi braknie, aby to wypowiedzieć, Ketty! Ja szaleję poprostu!

Dziewczyna westchnęła powtórnie.

— Otóż, panie — rzekła, — niestety, szkoda pańskiego uczucia.

— Cóż złego, u licha, w niem upatrujesz? — pytał d'Artagnan.

— To, panie — mówiła Ketty, — że moja pani nie kocha pana wcale.

— Boże! — zawołał d'Artagnan, — czyżby poleciła ci powiedzieć mi o tem?

— Och, nie! To ja sama przez przyjaźń dla pana postanowiłam powiedzieć mu całą prawdę.

— Dziękuję ci, moja dobra Ketty, za życzliwość dla mnie.... chociaż to, co mi wyjawiasz, nie może mi być miłe.

— Innemi słowy: nie wierzysz pan w to, co mu pawiedziałam nieprawdaż?

— Zawsze, moje piękne dziecię, trudno uwierzyć w to, co tak srodze rani miłość własną człowieka.

— Więc nie wierzysz mi pan?

— Wyznaję, że póki nie dasz mi jakiegoś dowodu na to, co mówisz, istotnie trudno mi będzie uwierzyć....

— A cóżbyś pan powiedział na to?

I przy tych słowach wyjęła Ketty jakiś bilecik z poza gorsu.

— To dla mnie? — zapytał żywo d'Artagnan, wyciągając rękę, aby uchwycić list.

— Nie, to dla kogoś innego...

— Dla kogo innego?

— Tak jest.

— Jego nazwisko? powiedz mi jego nazwisko! — krzyknął d'Artagnan.

— Oto adres.

— Hrabia de Wardes?...

W tejże chwili wspomnienie sceny w Saint-Germain stanęło z całą dokładnością przed oczyma zarozumiałego Gaskończyka. Ruchem nagłym, jak myśl, rozdarł kopertę, nie bacząc na krzyk jaki z tego powodu wydała Ketty.

— Na Boga! — zawołała, — na Boga! co pan robisz?

— Nic! nic! — odparł d'Artagnan i szybko przebiegł list oczyma.

Treść jego była następująca:

"Nie odpowiedziałeś pan na mój pierwszy list. Czy jesteś jeszcze chory, czy też zapomniałeś o spojrzeniu, jakie z twych oczu pobiegło ku mnie na balu u pani de Guise? Nadarza ci się, hrabio, sposobność. Czy nie wykorzystasz jej?..."

D'Artagnan zbladł. Jego miłość własna została ciężko zraniona; młody człowiek uważał to za zawód miłosny.

— Biedny, kochany panie d'Artagnan! — zawołała Ketty pocieszającym głosem, ściskając znowu rękę młodzieńca.

— Współczujesz ze mną, poczciwe dziewczę? — rzekł d'Artagnan.

— Och, tak, z całego serca! wiem bowiem sama, niestety, co to jest miłość...

— Wiesz, co to jest miłość? — spytał d'Artagnan, spoglądając po raz pierwszy na dziewczynę z pewnem zajęciem.

— Niestety, wiem.

— A więc, zamiast żłaować mnie, uczyniłabyś lepiej, gdybyś mi dopomogła pomścić się na twojej pani....

— A w jaki sposób chcesz się pan pomścić ?

— Pragnę triumfować nad nią.... pragnę zastąpić mego rywala....

— Do tego nigdy nie przyłożę ręki — oświadczyła żywo Ketty.

— I dlaczegoż to?

Z dwóch powodów.

— Z jakich?

— Przedewszystkiem pani moja nie pokocha cię nigdy, panie kawalerze.

— Skąd wiesz o tem?

— Uraziłeś ją pan w samo serce.

— Ja? ja miałbym ją urazić? ja, który od pierwszej chwili poznania wiję się u jej stóp, jak niewolnik? Wytłumacz mi te słowa, dziewczyno! błagam cię!...

— Mogłabym wytłumaczyć je tylko temu człowiekowi, któryby zajrzał w głąb mojego serca.

D'Artagnan spojrzał ponownie na Ketty. Młoda dziewczyna była tak świeża i piękna, że niejedna księżniczka oddałaby koronę za taką urodę.

— Ketty! — rzekł, — będę czytał w twem sercu, jeżeli mi tylko pozwolisz na to; bądź pewne, moje dziecię.

I wycisnął na jej ustach gorący pocałunek, od którego biedna dziewczyna zaczerwieniła się jak wiśnia.

— Nie! nie! — wołała Ketty, — pan mię nie kochasz! pan kochasz moją panią; wszakże sam powiedziałeś to przed chwilą...

— I dlatego nie chcesz mi wyjawić drugiego powodu,

— Drugim powodem — mówiła Ketty, ośmielona zarówno pocałunkiem, jak wyrazem oczu młodego człowieka, — drugim powodem jest to, że w miłości każdy człowiek myśli przedewszystkiem o sobie...

Teraz dopiero przypomniał sobie d'Artagnan owe powłóczyste spojrzenia Ketty, owe spotkania z nią na schodach, w przedpokoju, w krużgankach pałacu, owe muśnięcia jej rąk, gdy się przypadkiem znalazł na jej drodze, owe tłumione jej westchnienia... Aż do tej chwili owładnięty pragnieniem spodobania się wielkiej pani, nie zwracał wcale uwagi na pokojówkę; kto poluje na orła, nie baczy na stające mu w drodze wróble.

Teraz jednak zrozumiał nasz Gaskończyk odrazu wszystkie korzyści, jakie mógłby osiągnąć z miłosnego ku niemu uczucia Ketty, z uczucia, objawianego mu w tak naiwny czy śmiały sposób: mógł odtąd przejmować listy, adresowane do hrabiego de Wardes, dowiadywać się o miejscu schadzek, mieć możność wstępu o każdej porze do pokoiku Ketty, przylegającego do sypialni jej pani.

— Zdradziecki młodzian, jak widzimy, poświęcał już w myśli nieszczęśliwą dziewczynę, byleby zdobyć milady podstępem czy przemocą.

— Więc chcesz, droga Ketty — rzekł, zwracając się do młodej dziewczyny, — abym ci dał dowód tej miłości, w jaką wątpisz?

— Jakiej miłości? — zapytała młoda dziewczyna.

— Miłości, jaką zaczynam odczuwać ku tobie.

— I jakiż ma być ten dowód?

— Czy chcesz, abym dzisiaj wieczorem spędził z tobą ten czas, który zazwyczaj spędzam z twoją panią?

— Och, tak! tak! —zawołała Ketty, składając ręce; — pragnę tego gorąco.

— A więc, kochana dziecino — rzekł d'Artagnan, zasiadając wygodnie w fotelu, — pozwól mi wyznać ci, że jesteś najpiękniejszą i najmilszą pokojóweczką, jaką widziałem kiedykolwiek na świecie.

I począł jej mówić tyle miłych słów, że biedna dziewczyna, która nie pragnęła nic więcej, jak uwierzyć, uwierzyła we wszystko....

Jednak, ku wielkiemu zdumieniu d'Artagnana, piękna Ketty broniła się z dziwną stanowczością. Że zaś, gdy jedna strona przypuszcza szturm, a druga się broni, czas szybko przemija, więc ani się spostrzegli, jak wybiła północ, a równocześnie prawie odezwał się dzwonek z pokoju milady.

— Na Boga! — krzyknęła Ketty, — woła mię moja pani! Wychodź pan co prędzej!

D'Artagnan powstał z krzesła, ujął kapelusz, jak gdyby istotnie chciał być posłuszny jej słowom, — ale, zamiast otworzyć drzwi, wiodące na schody, otworzył nagle drzwi wielkiej szafy i ukrył się między suknie i peniuary milady.

— Co pan robisz? — zawołała Ketty.

D'Artagnan, który już poprzednio przygotował sobie klucz, zamknął się w szafie, nie dając wcale odpowiedzi.

I w tejże chwili usłyszał, jak drzwi, łączące oba pokoje, zostały gwałtownie otwarte.

— Cóż to znaczy? — wołała milady szorstkim głosem. — Śpisz, czy też nie słyszysz, że dzwonię?!

— Jestem, proszę pani — wołała Ketty, podbiegając na spotkanie swej pani, — jestem! — poczem obie weszły do sypialni milady.

Ponieważ jednak łączące drzwi pozostały otwarte, d'Artagnan mógł słyszeć, jak milady przez chwilę jeszcze łajała pokojówkę, poczem uspokoiła się, i podczas gdy Ketty rozbierała swą panią, rozmowa zeszła na niego właśnie.

— Nasz Gaskończyk nie pokazał się dziś wieczorem — mówiła milady.

— Jakto? — pytała Ketty. — czyżby uciekał przed własnem szczęściem?

— Och, nie! Prawdopodobnie zatrzymał go pan de Treville albo pan des Essarts. Poznałam go już dobrze, moja Ketty, i trzymam go mocno....

— I cóż pani z nim zrobi?

— Co zrobię?.... Bądź spokojna, Ketty; jest między tym młodzieńcem a mną pewien porachunek, którego on nie domyśla sięnawet... Niewiele brakowało, a byłby mię pozbawił zaufanie Jego Eminencji.... Och! pomszczę się strasznie!

— Sądziłam, że pani go kocha....

— Kochać go? Nie! Ja go nienawidzę!..... tego głupca, który miał w swem ręku życie lorda Wintera i nie zabił go, pozbawiając mię przez to trzystu tysięcy liwrów renty!...

— To prawda — odrzekła Ketty. — Syn pani jest jedynym spadkowiercą swego stryja, i aż do jego pełnoletności władanie majątkiem pozostawałoby w rękach pani.

D'Artagnan, słysząc, jak ta słodka istota niekrępowanym już teraz szorstkim głosem odzywa się o nim gniewnie, że nie zabił człowieka, otaczającego ją przyjaźnią, przejęty był zgrozą.

— Dawno już — mówiła dalej milady — byłabym się pomściła na nim, gdyby nie to, że kardynał nakazał mi go ochraniać.

— Ale zato nie oszczędziła pani przynajmniej tej młodej kobiety, którą tak kochał...

— Ach! tej kupcowej z ulicy Grabarzy? Zdaje mi się, że już zapomniał o jej istnieniu, i zemsta moja przestała być zemstą.

Zimny pot pokrył czoło d'Artagnan: ta kobieta była poprostu potworem!

Chciał podsłuchiwać dalej, ale, na nieszczęście, przebieranie już się skończyło.

— Możesz teraz odejść — rzekła milady. — Jutro rano postaraj się otrzymać odpowiedź na list, który ci dałam.

— List do pana de Wardes? — spytała Ketty.

— Tak jest, do pana hrabiego de Wardes.

— Otóż to! — zauważyła Ketty, — na niego patrzy pani wcale inaczej, aniżeli na tego biednego pana d'Artagnana....

— Możesz odejść — rzekła milady. — Nie lubię uwag.

D'Artagnan usłyszał, jak drzwi od sypialni się zamknęły i jak milady przekręciła dwukrotnie klucz w zamku. Ketty bardzo ostrożnie zamknęła również od swojej strony drzwi na klucz, d'Artagnan zaś wyszedł z szafy.

— Mój Boże! — rzekła do niego szeptem Ketty, — co się z panem dzieje? jesteś pan tak strasznie blady...

— Wstrętna istota! — szepnął d'Artagnan.

— Cicho! cicho! — mówiła Ketty. — Tylko cienka ściana dzieli nas od pokoju milady; słychać tam każde słowo, jakie się tutaj wymawia.

— Właśnie dlatego ani myślę stąd wychodzić — oświadczył d'Artagnan.

— Jakto? — spytała Ketty, oblewając się rumieńcem.

— A raczej wyjdę, ale.... nieco później.

I mówiąc to, przycisnął Ketty do piersi. Nie mogła się już dłużej opierać, i zresztą opieranie się spowodowałoby hałas; musiała uledz.

Był to odruch zemsty nad milady, i d'Artagnan pojął, że słusznie nazywa się zemstę rozkoszą bogów. Wszakże, gdyby był miał odrobinę uczucia, byłby się zadowolnił tym nowym podbojem, ale, niestety, pochłonęła go całego ambicja i pycha. Na pochwałę jednak młodego człowieka należy przyznać, że, zdobywszy w ten sposób wpływ na Ketty, pomyślał przedewszystkiem o tem, aby dowiedzieć się co się stało z panią Bonacieux. Lecz biedna dziewczyna zaklęła się, że nie wie o niczem i że pani nie wyjawiła jej bynajmniej całej tajemnicy. Wyraziła też Ketty przypuszczenie, że pani Bonacieux zostaje przy życiu.

Nie wiedziała również piękna pokojówka, z jakiego powodu milady omal nie straciła zaufania kardynała. Co do tego jednak d'Artagnan nie potrzebował się informować; wystarczyło, gdy sobie przypomniał, że widział milady na pokładzie zatrzymanego statku w chwili, kiedy opuszczał Anglję, i domyślał się teraz, że chodziło tu niewątpliwie o djamentowe zapinki.

Najoczywistszem wszakże z całego stosunku milady do d'Artagnana było to, że nienawiść jej do niego, nienawiść głęboka i niehamowana, miała swe główne źródło w tem, iż nie zabił jej szwagra.

Nazajutrz d'Artagnan odwiedził znowu milady. Zastał ją w bardzo złym humorze; widocznie spowodował to brak odpowiedzi od pana de Wardes. Wchodzącą Ketty przyjęła milady nader surowo. Pokojówka zaś rzuciła młodzieńcowi spojrzenie, jak gdyby chcąc powiedzieć: "Widzisz, co muszę cierpieć dla ciebie!".

Pod koniec wieczoru piękna lwica złagodniała nieco; z uśmiechem słuchała czułych słówek d'Artagnana i nawet dała mu rękę do ucałowania.

Wychodząc z jej salonów, d'Artagnan nie wiedział zgoła, co sądzić o wszystkiem. Ponieważ jednak niełatwo można go było wyprowadzić z równowagi umysłu, więc i tym razem jej nie utracił, a zalecając się do milady, układał w głowie pewien mały plan.

Spotkał Ketty przy bramie i tak, jak dnia poprzedniego, poszedł do niej. Tu dowiedział się od pięknej dziewczyny, że milady wyłaja ją surowo, nie mogąc się doczekać listu, i zarzuciła iż opieszałość jej jest tego powodem, — nie mogła sobie bowiem inaczej wytłumaczyć milczenia hrabiego de Wardes. Wreszcie rozkazała jej jutro rano zanieść do hrabiego trzeci list z rzędu.

D'Artagnan wymógł na Ketty obietnicę, że przyniesie mu ten list; dziewczyna, szalona miłością, przyrzekła kochankowi wszystko.

Pozatem wieczór zeszedł tak samo, jak dnia poprzedniego: d'Artagnan zamknął się w szafie, milady przywołała pokojówkę, przy jej pomocy rozebrała się, poczem odprawiła ją i zamknęła drzwi. I tak samo, jak dnia poprzedniego, d'Artagnan wrócił do domu dopiero o godzinie piątej rano.

Przed południem o jedenastej przyszła do niego Ketty, przynosząc mu list milady. Tym razem biedne dziewczę z całem zaufaniem oddało mu samo list do rąk; duszą i ciałem należało niepodzielnie do pięknego żołnierza.

D'Artagnan otworzył list i przeczytał, co następuje:

"Piszę oto już po raz trzeci, aby ci raz jeszcze powiedzieć że kocham. Strzeż się pan, aby nie była zmuszona za czwartym razem napisać, że nienawidzę. — Jeżeli żałujesz pan swego postępowania względem mnie, młoda dziewczyna, oddawczyni tego bileciku, powie panu, w jaki sposób rycerski człowiek może zdobyć moje przebaczenie".

D'Artagnan, czytając list, bladł i czerwieniał naprzemian.

— Ach! kochasz ją jeszcze! — rzekła Ketty, która ani na chwilę nie spuszczała z niego oczu.

— Mylisz się, Ketty; nie kocham jej i pragnę się pomścić za jej wzgardę.

— Tak, tak! Znam twój plan; mówiłeś mi już o nim.

— Chyba to ci nie szkodzi, Ketty! Wiesz przecie, że kocham tylko ciebie...

— Skądże mogę o tem wiedzieć?

— Przekona cię o tem obelga, jaką jej wyrządzę.

Ketty westchnęła.

D'Artagnan zaś wziął pióro do ręki i napsiał:

"Pani! Aż do tej chwili wątpiłem, czy dwa Jej listy przeznaczone są istotnie dla mnie, — tak niegodnym się czułem podobnej łaski. Zresztą byłem jeszcze tak chory, że już to samo zmusiło mię do zwlekania z odpowiedzią. Dzisiaj jednak muszę już uwierzyć w nieporównaną łaskawość Pani dla mnie, albowiem nietylko list ten, ale i pokojówka Pani zapewnia mię o szczęściu, jakie przypadło mi w udziale. — I nie potrzeba bynajmniej, aby pouczała mię, w jaki sposób otrzymać mogę przebaczenie Pani. Przybędę dzisiaj o godzinie jedenastej, aby osobiście o nie błagać. Albowiem choćby jednodniowa zwłoka byłaby, jak sądzę, nową obelgą, wyrządzoną Pani.

Ten, którego uczyniłaś najszczęśliwszym z ludzi,

Hrabia de Wardes".

List ten był fałszerstwem, był pozatem uchybieniem czci niewieściej i nawet, w naszem pojęciu, był czemś niegodnem. Ale w owej epoce (choć i dzisiaj się to zdarza) nie liczono się z tem wcale. D'Artagnan zresztą czuł się w prawie do podobnego postępku wobec stwierdzonej przez samą milady nikczemności jej charakteru, przyczem nie żywił teraz dla niej najmniejszego szacunku, poddając się tylko jeszcze niepokonanej namiętności, nieposkromionemu pożądaniu, zaprawionemu pogardą.

Plan d'Artagnana był prosty: wejść nagle w odpowiedniej chwili przez pokoik Ketty dosypialni jej pani i skorzystać z pierwszej chwili jej zdziwienia, przestrachu, wstydu.. Oczywiście plan ten mógł zawieść, ale młody człowiek nie namyślał się

długo; za ośm dni rozpoczynała się wojna, musiał wyruszyć w pole i na stopniowe zabiegi miłosne nie miał czasu.

— Ten oto liścik doręczysz milady, jako odpowiedź hrabiego de Wardes — rzekł, oddając Ketty zapieczętowany bilet.

Biedna Ketty zbladła; nie mogła wątpić, co zawiera list.

— Posłuchaj, drogie dziecię — rzekł jej, widząc to, d'Artagnan. — Pojmujesz, że sprawa ta musi się zakończyć w ten lub inny sposób. Milady wykryje w końcu, że pierwszy jej bilet oddałaś mojemu służącemu, zamiast służącemu hrabiego de Wardes, i że to ja otworzyłem inne jej listy, chociaż były przeznaczone dla hrabiego. A wtedy pani twoja wypędzi cię i.... wiesz sama doskonale, jak strasznie umie się mścić ta kobieta.

— Boże mój! Boże! — zawołała Ketty. — I dla kogoż to ja naraziłam się tak okropnie?!

— Dla mnie, najdroższa; wiem o tem dobrze — odparł młody człowiek. — Ale przysięgam, że nie zawiedziesz się, licząc na moją wdzięczność.

— Powiedz mi przynajmniej, co zawiera ten list...

— Powie ci to milady.

— Och! ty mnie jednak nie kochasz! — wołała Ketty. — Jestem nieszczęśliwa!....

Na zarzut podobny jest tylko jedna odpowiedź, która po wszystkie wielki wprowadza w błąd kobiety. D'Artagnan odpowiedział właśnie w ten sposób.

Mimo to biedna Ketty długo zalewała się łzami, nie mogąc się zdecydować na oddanie listu milady, i długo d'Artagnan zmuszony był przekonywać ją, zanim przyrzekła spełnić to jego żądanie. Przyobiecał też jej, że wieczorem wyjdzie od milady wcześniej i zajdzie do niej.

Obietnica ta pocieszyła ostatecznie biedną Ketty.

XXXIV.

ROZDZIAŁ TEN OPOWIADA O UMNDUROWANIU ARAMISA I PORTOSA.

Odkąd czterej nasi przyjaciele poczęli uganiać się za umundurowaniem, zaprzestali zwykłych wzajemnych u siebie odwiedzin. Jadali obiady samotnie, gdzie wypadło, albo raczej, gdzie się zjeść dało. Służący starali się również wykorzystać drogi czas, upływający tak chyżo. Tylko raz w tydzień schodzono się wspólnie o godzinie pierwszej w mieszkaniu Atosa, który zresztą, wedle swej zapowiedzi nie wychodził poza próg domu.

W tym dniu właśnie, gdy Ketty odwiedział d'Artagnana, wypadało umówione spotkanie przyjaciół u Atosa. To też natychmiast po jej wyjściu d'Artagnan podążył na ulicę Ferou. Zastał Atosa i Aramisa, pogrążonych w filozoficznej dyskusji. Aramis znowu począł się zastanawiać nad tem, czyby nie przywdziać sutanny, — Atos zaś, zgodnie ze swym zwyczajem, ani mu odradzał, ani też zachęcał go do tego, zawsze zresztą pozostawiając każdemu wolność przekonań i nie spiesząc się nigdy z radą, o ile go o nią nie proszono, a gdy go o nią proszono, wykręcał się na wszelkie sposoby.

— Wogóle — mawiał — ludzie proszą o radę tylko poto, aby jej nie słuchać... a jeżeli nawet korzystają z niej, to jedynie w tym celu, by mieć potem komu czynić wyrzuty.

W chwilę po d'Artagnanie przybył do mieszkania Atosa Portos, dopełniając kompletu czterech naszych przyjaciół.

Oblicze każdego z nich wyrażało odmienne uczucie: na twarzy Portosa malował się spokój, w oczach d'Artagnana błyszczała nadzieja, Aramis był jakiś zafrasowany, Atos zaś filozoficznie obojętny.

Portos, rozumie się, skierował ogólną rozmowę na kwestję umundurowania i usiłował dać przyjaciołom do zrozumienia, że

pewna osobistość, pozostająca na wybitnem stanowisku, zajęła się uwolnieniem go od kłopotów.

Nagle wszedł Mousqueton. Przyszedł prosić Portosa, aby natychmiast wracał do domu, gdzie, jak twierdził tajemniczo, obecność jego była niezbędna.

— Czy przysłano może moje umundurowanie? — zapytał Portos.

— Tak i nie — odparł Mousqueton.

— Cóż to ma znaczyć?

— Proszę bardzo, niech pan idzie ze mną.

Portos wstał, pożegnał się z przyjaciółmi i poszedł za Mousquetonem.

W chwilę później pojawił się na progu Bazin.

— Czego chcesz, mój przyjacielu? — spytał go Aramis z tą słodyczą w głosie, jaką zawsze można było zauważyć u niego, ilekroć myśli jego zwracały się ku służbie Kościoła.

— Jakiś człowiek czeka w domu na pana — oświadczył Bazin.

— Jakiś człowiek? któż taki?

— Jakiś żebrak.

— Więc daj mu jałmużnę, Bazinie, i poleć mu, aby się pomodlił za biednego grzesznika.

— Ale żebrak ten chce się koniecznie zobaczyć z panem osobiście.

— Czy powoływał się może na co, albo wyraził jakie żądanie?

— Tak jest; mówił, że gdyby się pan nie spieszył zobaczyć z nim, abym panu powiedział, że przybywa z Tours.

— Z Tours? — zawołał Aramis, zrywając się z krzesła. — Ach, panowie, przepraszam was tysiąckrotnie, ale zdaje mi się, że człowiek ten przywozi mi nowiny, na które właśnie oczekuję.

I rzekłszy to, wybiegł z mieszkania.

Atos i d'Artagnan pozostali sami.

— Zdaje się, że ci dwaj nasi przyjaciele załatwili już pomyślnie swoje sprawy. Jak myślisz, d'Artagnanie? — pytał Atos.

— Wiem, że Portos był na najlepszej drodze — rzekł d'Artagnan. — Co do Aramisa zaś, przyznaję, że nie niepokoiłem się o niego wcale. Ale co ty uczynisz, drogi Atosie? ty, który wielkopańskim gestem rzuciłeś obcym ludziom należne ci sprawiedliwie pistole poległego od twej szpady Anglika?

— Jestem bardzo rad, moje dziecko, że zabiłem tego głupca. Był to czyn błogosławiany. Gdybym jednak był schował do kieszeni jego pieniądze, ciężyłyby mi one, jak wyrzut sumienia.

— Masz istotnie dziwne uprzedzenia, drogi Atosie.

— Dajmy temu spokój. Pan de reville, który zaszczycił mię wczoraj swemi odwiedzinami, powiedział mi, że utrzymujesz obecnie stosunki z tymi podejrzanymi Anglikami, mającymi u kardynała szczególnie względy.

— Chyba raczej, że utrzymuję stosunki z Angielką, o której ci wspomniałem.

— Tak, z tą jasnowłosą lady, co do której udzieliłem ci pewnych rad. Oczywiście nie posłuchałeś ich wcale....

— Wytłumaczyłem ci przecież, dlaczego.

— Sądzę, że spodziewasz się tą właśnie drogą pozyskać umundurowanie...

Bynajmniej. Jestem obecnie przekonany, że kobieta ta odegrała pewną rolę w porwaniu pani Bonacieux, i dlatego zależy mi na niej.

— Tak, rozumiem cię, mój drogi; chcąc odnaleźć jedną kobietę, zalecasz się do drugiej...

D'Artagnan chciał już opowiedzieć Atosowi o swym stosunku do milady, lecz wstrzymał się w porę Atos miał na punkcie honoru bardzo poważne zasady, w planie zaś akcyj przeciwka milady, jaki ułożył sobie d'Artagnan, istniały pewne szczegóły, jakich Atos, surowy purytanin, nie pochwaliłby wcale. Wiedział o tem d'Artagnan i w ostatniej chwili postanowił zamilczeć, a ponieważ Atos był najmniej ciekawym człowiekiem na świecie, więc zwierzenia d'Artagnana na tem się zakończyły.

Pozostawmy wszakże obu przyjaciół, którzy zresztą nie mogli sobie powiedzieć nic ważniejszego, a zajmijmy się Aramisem.

Widzieliśmy, jakie wrażenie wywarła na młodym człowieku wiadomość, że żebrak, pragnący z nim mówić, przybywa z Tours. Pospieszył za Bazinem, a raczej wyprzedził go i jednym niemal susem przebył odległość, dzielącą ulicę Ferou od ulicy Vaugirard.

W domu zastał istotnie nieznanego sobie człowieka, niskiego wzrostu, o bystrem spojrzeniu, lecz odzianego w łachmany.

— Czy to pan chciałeś mówić ze mną? — zapytał muszkieter.

— Pragnę zobaczyć się z panem Aramisem. Czy to pan jesteś nim właśnie?

— Tak. Czy masz pan dla mnie jakie wiadomości?

— Zaraz je panu przedstawię; proszę jednak o okazanie mi przedtem pewnej haftowanej chusteczki.

— Oto jest — odparł Aramis i, otworzywszy wyjętym z zanadrza kluczykiem małą hebanową szkatułkę, wysadzaną masą perłową, wydostał z niej chusteczkę.

— Dobrze — oświadczył żebrak. — Odpraw pan teraz służącego.

Ciekawy Bazin, któremu również pilno było dowiedzieć się, czego życzy sobie tajemniczy żebrak, stał właśnie na uboczu, gdyż zdążył przybyć do domu niemal równocześnie ze swym panem. Nie na wiele mu się jednak przydał ten pośpiech; Aramis na żądanie żebraka dał mu znak ręką, by się oddalił.

Po wyjściu Bazina, żebrak, szybko rozejrzawszy się dokoła i upewniwszy się, że nikt ich nie widzi, ani słyszy, rozpiął zewnętrzne łachmany, przewiązane skórzanym pasem, poczem rozpruł bok kaftana i z tego ukrycia wydobył list.

Na widok pieczęci Aramisowj zapłonęły radością oczy; złożywszy na liście pocałunek, z religijną niemal czcią rozpieczętował go i przeczytał, co następuje:

"Przyjacielu! Los rozłącza nas jeszcze na czas pewien, — ale piękne dni młodości nie przeminęły bezpowrotnie. Wypełnij swą powinność na polu walki, tak, jak ja moją tu spełniam, i złóż dowód, że jesteś dzielnym, dobrym szlachcicem. Wkońcu przyjmij odemnie dar, który ci wręczy mój wysłannik, i myśl o tej, która tkliwie całuje twoje czarne oczy.

Żegnam cię, a raczej mówię: do zobaczenia!"

Żebrak pruł dalej kaftan i z brudnej swej odzieży wyjmował kolejno jedną sztukę złota po drugiej, aż ułożył na stole sto pięćdziesiąt podwójnych pistolów hiszpańskich, poczem skłonił się i wyszedł, zanim zdumiony młodzieniec zdążył przemówić choćby słowo.

Aramis odczytał list powtórnie i teraz dopiero zauważył w nim dopisek następującej treści:

"P. S. Przyjmij oddawcę listu z szacunkiem; jest to jeden z hrabiów i grandów Hiszpanji."

— Złote sny moje! — zawołał Aramis. — Jakże piękne jest życie! Jesteśmy jeszcze młodzi, a dni szczęścia przed nami! Och! do ciebie należy moja miłość, moja krew, moje życie! wszystko, ty najcudowniejsza kochanko moja!

I ucałował namiętnie list, nawet nie spoglądając na złoto, błyszczące na stole.

W tej chwili zastukał do drzwi Bazin. Aramis nie miał już powodu nic ukrywać, więc pozwolił mu wejść do pokoju.

Na widok złota Bazin osłupiał i zapomniał nawet powiedzieć swemu panu o przybyciu d'Artagnana, który, zaciekawiony tajemniczemi odwiedzinami żebraka, wyszedł również od Atosa i pospieszył do Aramisa, a wobec przyjacielskiego z nim stosunku sam oznajmił swoje przybycie.

— Do licha, drogi Aramisie! — rzekł, ujrzawszy stos złota na stole, — jeżeli tak wyglądają owoce, nadesłane ci z Tours to powinszuj odemnie ogrodnikowi, który je wyhodował.

— Mylisz się, mój drogi — odparł dyskretnie Aramis; — są to pieniądze, nadesłane mi przez mego wydawcę za poemat, który zacząłem pisać.

— Doprawdy!? — rzekł d'Artagnan. — W takim razie muszę ci powiedzieć, że twój wydawca jest niezwykle hojny, kochany Aramisie.

— Jakto, panie? — zawołał Bazin, — to za poemat dostaje się aż tyle pieniędzy? Ależ to wspaniale! Może pan osiągnąć w taki sposób wszystko, czego zapragnie... może pan dorównać panu de Voiture i panu de Benserade! Ogromnie mi się to podoba. Poeta jest prawie księdzem. Och, panie! błagam, niech pan zostanie poetą!

— Bazinie, zdaje mi się, dobry mój przyjacielu, że mieszasz się do naszej rozmowy.

Bazin zrozumiał, że się znalazł nie na miejscu, i opuszczając głowę, wyszedł za drzwi.

— Sprzedajesz więc swe utwory na wagę złota — zauważył z uśmiechem d'Artagnan. — Szczęśliwy z ciebie człowiek, mój przyjacielu... Uważaj jednak, byś nie zgubił tego listu, który wysuwa ci się z za kaftana, a który zapewne również pochodzi od twego wydawcy.

Aramis zaczerwinił się po białka oczu i, ukrywszy list głębiej, zapiął kaftan.

— Kochany d'Artagnanie — rzekł, — jeżeli masz ochotę, pójdziemy odszukać naszych przyjaciół. Jestem teraz bogaty, więc od dziś dnia będziemy znowu jadali razem, a może i wy tymczasem wzbogacicie się z kolei.

— Godzę się na to z największą chęcią! — zawołał d'Artagnan. — Oddawna już należy się nam porządny obiad. Ponieważ zaś dziś wieczorem mam odbyć trochę ryzykowną wyprawę, z przyjemnością dodam sobie odwagi kilkoma flaszkami starego burgunda.

— Niech będzie burgund; nie czuję ku niemu bynajmniej odrazy — rzekł Aramis, któremu widok złota wybił zupełnie z głowy myśl o stanie duchowym.

I schowawszy w kieszeń trzy czy cztery podwójne pistole, aby być przygotowanym na potrzebę chwili, ukrył resztę w hebanowej szkatułce, wykładanej perłową masą, gdzie znajdowała się już owa chusteczka, służąca mu za talizman.

Dwaj przyjaciele udali się najpierw do Atosa, który, wierny przysiędze na wychodzenia za próg domu, zgodził się aby ucztę urządzono u niego; ponieważ zaś znał się doskonale na sprawach gastronomicznych, d'Artagnan i Aramis powierzyli mu bez namysłu troskę o jej urządzenie.

Idąc następnie do Portosa, spotkali na rogu ulicy du Bac Mousquetona, który z żałosną miną prowadził muła i konia.

— Ach! — zawołał d'Artagnan ze zdziwieniem i jednocześnie z pewną radością, — mój żółty konik! Popatrzno, Aramisie, na tego konia!

— Nikczemna szkapa! — odpowiedział Aramis.

— Otóż widzisz, mój drogi — mówił d'Artagnan, — na tym właśnie rumaku przybyłem do Paryża.

— Jakto? pan zna tego konia? — zapytał Mousqueton, posłyszawszy te słowa.

— Szczególna barwa — zauważył Aramis; — nigdy w życiu nie widziałem podobnej maści.

— Bardzo wierzę — potwierdził d'Artagnan. — Dlatego też zapewne, jedynie z powodu tej właśnie maści, dano mi za niego trzy talary, szkapa bowiem nie jest warta pozatem nawet ośmnastu liwrów. Ale jakim sposobem koń ten dostał się w twoje ręce, Mousquetonie?

Och! — odpowiedział służący, — niech pan nawet nie wspomina o tem. Jest to niegodziwość, popełniona przez męża naszej księżnej!

— Jakiej księżnej, Mousquetonie?

— Bo to, proszę pana, jesteśmy w wielkich łaskach u pewnej znakomitej damy, księżnej de...., przepraszam, ale pan mój zabronił mi wymieniać jej nazwisko.... Otóż księżna chciała nas zmusić do przyjęcia drobnego upominku: wspaniałego wierzchowca hiszpańskiego i prześlicznego andaluzyjskiego muła. Ale małżonek jej dowiedział się o tem, przejął w drodze wysłane nam wierzchowce, a zamiast nich przysłał te oto ohydne bydlęta.

— Które obecnie odprowadzasz z powrotem? — spytał d'Artagnan.

— Tak jest — potwierdził Mousqueton. — Pojmuje pan, że nie możemy przyjąć podobnych szkap zamiast tych, które nam przyobiecano.

— Oczywiście.... Chciałbym wprawdzie zobaczyć Portosa na moim żółtym koniku, bo w ten sposób miałbym przynajmniej wyobrażenie, jak sam na nim wyglądałem, przybywają do Paryża.... ale nie zatrzymujemy cię, Mousquetonie; idź wypełnić otrzymane polecenie. Czy pan twój jest w domu?

— Jest, proszę pana — odrzekł Mousqueton, — ale w najgorszym humorze.

I powiedziawszy to, ruszył w dalszą drogę ku bulwarowi Grands-Augustins, a obaj młodzi ludzie poszli zastukać do drzwi skłopotanego Portosa. Ten jednak, choć spostrzegł dwóch przyjaciół, przechodzących przez podwórze, nie kwapił się przyjąć ich u siebie; dzwonili do niego daremnie.

Tymczasem Mousqueton, pędząc przed sobą obie wywłoki, minął Nowy Most i dotarł wreszcie na ulicę Niedźwiedzia, a przybywszy pod dom prokuratora, zastosował się dokładnie do rozkazu swego pana: przywiązał konia i muła do młotka przy drzwiach domu i, nie troszcząc się bynajmniej, co się dalej z nimi stanie, wrócił do Portosa z wiadomością że wypełnił jego zlecenie.

Nieszczęsne zwierzęta, które nie otrzymały od rana ani odrobiny strawy, po niejakimś czasie tak niesfornie poczęły się zachowywać, targając w tę i ową stronę młotkiem, wiszącym u drzwi, i czyniąc ogromny hałas, że prokurator wysłał wreszcie

swego młodego pomocnika z poleceniem, by się wywiedział w sąsiedztwie, czyją własnością jest koń i muł.

Pani Coquenard poznała swój dar, ale nie mogła zrazu odgadnąć, czemu przypisać odesłanie zwierząt z powrotem. Niebawem jednak odwiedziny Portosa wyjaśniły tajemnicę.

Wściekłość, błyszcząca w oczach muszkietera, mimo, że usiłował zapanować nad sobą, przeraziła sentymentalną jego kochankę. Mousqueton bowiem nie zataił przed swoim panem, że spotkał po drodze d'Artagnana i Aramisa i że d'Artagnan rozpoznał żółtego konika, jako tego samego wierzchowca, na którym przyjechał był do Paryża i za którego zapłacono mu trzy talary. Nie mogąc oczywiście wyjaśnić sprawy na wizycie u pani prokuratorowej ze względu na obecność jej męża, Portos, zabawiwszy u niej krótko, zdążył jedynie naznaczyć jej schadzkę koło klasztoru Sain-tMagloire. Prokurator wprawdzie prosił go o pozostanie na obiedzie, lecz muszkieter gestem, pełnym godności, odmówił.

Pani Coquenard z drżeniem spieszyła w stronę klasztoru Saint-Magloire, przeczuwając, co ją czeka ze strony Portosa, który imponował jej swem pańskiem zachowaniem.

Wszystkie gromy i wyrzuty, jakie człowiek, ciężko zraniony w miłości własnej, rzucić może na głowę kobiety, runęły teraz na pochyloną głowę pani prokuratorowej.

— Chciałam zrobić jak najlepiej — usprawiedliwiała się. — Jeden z naszych klientów, handlujący końmi, winien nam pewną sumę pieniędzy, a że nie ma czem zapłacić, więc przyjęłam konia i muła na rachunek tego długu... przyrzekł bowiem, że dostarczy wspaniałe wierzchowce.

— Jeżeli dług jego wynosił więcej, aniżeli pięć talarów, moja pani — mówił Portos, — to handlarz ów jest złodziejem.

— Przecież każdy człowiek może się starać o kupno jaknajkorzystniejsze, panie Portosie — mówiła prokuratorowa, próbując się bronić.

— Nie, pani; ci, którzy rozglądają się za korzystnym handlem, winni pozwolić innym poszukać sobie bardziej wspaniałomyślnych przyjaciół.

To rzekłszy, Portos odwrócił się na pięcie, jakby w zamiarze odejścia.

— Panie Portosie! — wołała prokuratorowa, — źle uczyniłam przyznaję. Nie należało się targować, gdy chodziło o wyekwipowanie takiego kawalera, jakim pan jesteś.

Portos, nie odpowiadając, ruszył krok naprzód, a pani prokuratorowej wydało się, że widzi go już niknącego w świetlanym obłoku, w otoczeniu księżnych i margrabin, które rzucały mu wory złota pod stopy.

— Na miłość Boga, panie Portosie! zatrzymaj się pan! — błagała, — zatrzymaj się, abyśmy się mogli porozumieć...

— Rozmowa z panią przynosi mi nieszczęście — oświadczył Portos.

— Więc powiedz pan, czego żądasz?

— Nic zgoła..... bo gdybym nawet żądał czegoś, skutek będzie ten sam.

Prokuratorowa uwiesiła się u ramienia Portosa i zawołała w bolesnem podnieceniu:

— Panie Portosie! przebacz! ja przecież nie znam się na niczem. Czyż mogę wiedzieć, jaki jest dobry koń? czyż mogę wiedzieć, jaka uprząż jest potrzebna?

— Należało się zapytać mnie, bo znam się na tem, moja pani. Ale pani wolałaś czynić oszczędności... co więcej, pożyczać na lichwę.

— Uczyniłam źle, panie Portosie, ale zaręczam słowem honoru, że ten błąd naprawię.

— A to jakim sposobem? — pytał muszkieter.

— Posłuchaj. Dzisiaj wieczorem pan Coquenard udaje się od księcia de Chaulnes, który zawezwał go do siebie, nie będzie go tedy w domu conajmniej dwie godziny; przyjdź do mnie... będziemy sami i załatwimy nasze porachunki.

— To są dopiero słowa rozumne, moja droga! Takie postawienie sprawy to co innego!

— Więc przebacz mi?

— Zobaczymy — odpowiedział majestatycznie Portos.

I rozeszli się, powtarzając: "Do zobaczenia wieczorem".

— Do kaduka! — myślał muszkieter, oddalając się, — zdaje się, że przybliżam się nareszcie do szkatuły pana Coquenarda.

XXXV.

W NOCY WSZYSTKIE KOTY SĄ SZARE.

Nadszedł nareszcie oczekiwany z taką niecierpliwością przez Portosa i d'Artagnan wieczór.

Jak zazwyczaj, d'Artagnan stawił się u milady około godziny dziewiątej. Piękna pani miała doskonały humor. Gaskończyk nasz, przyjęty przez nią niezwykle łaskawie, poznał od pierwszego wejrzenia, że fałszywy list jego wywołał oczekiwany skutek.

W tej chwili weszła Ketty, przynosząc sorbety. I względem niej milady była uprzejmą, jak nigdy, — uśmiechała się do niej wdzięcznie. Niestety, biedna dziewczyna, jakaś zasmucona, nie spostrzegła nawet tych objawów życzliwego dla siebie usposobienia pani.

D'Artagnan spoglądał kolejno na obie kobiety, i przyszło mu na myśl, że natura, stwarzając je, pomyliła się strasznie: dała wielkiej damie duszę przedajną i podłą, a pokojówce serce, godne księżniczki krwi królewskiej.

Około godziny dziesiątej milady poczęła objawiać jakby zaniepokojenie: spoglądała od czasu do czasu na zegar, wstawała i siadała z powrotem, przyczem uśmiechała się do d'Artagnana, jak gdyby chcąc powiedzieć: Jesteś pan niewątpliwie ogromnie miłym gościem, ale byłbyś jeszcze milszy, gdybyś już sobie poszedł!

D'Artagnan wiedział dobrze, jaka była przyczyna tego niepokoju. Powstał wreszcie, ujął kapelusz i, ucałowawszy na pożegnanie piękną rączkę milady, która mu odpowiedziała delikatnym uściskiem dłoni, wyszedł. Młodzieniec zrozumiał jednak, że uścisk ten nie był kokieterją, lecz niejako wyrażeniem wdzięczności za to, że odchodzi.

— Ona go strasznie kocha! — pomyślał.

Tym razem Ketty nie oczekiwała na niego ani w przedpokoju, ani w krużgankach, ani przy głównej bramie pałacu, i d'Artag-

nan sam musiał szukać schodów, wiodących do małego jej pokoiku.

Zastał Ketty pogrążoną w wielkim smutku: siedziała z ukrytą w dłoniach twarzą i płakała gorzko.

Gdy d'Artagnan wszedł do pokoju, nie podniosła nawet głowy, a gdy zbliżył się ku niej i ujął ją za ręce, wybuchnęła głośnem łkaniem.

Tak, jak d'Artagnan przewidywał, milady otrzymawszy list, w uniesieniu radości opowiedziała pokojówce o wszystkiem, a chcąc ją wynagrodzić za dokładne spełnienie zlecenia, podarowała jej pełną złota sakiewkę. Ketty jednak, wróciwszy do swego pokoiku, rzuciła sakiewkę w kąt, gdzie leżała jeszcze dotychczas z wysypującemi się z niej sztukami złota.

Biedna dziewczyna pod wpływem pieszczoty d'Artagnana podniosła głowę, i młody człowiek aż przeląkł się na widok zmiany, malującej się na jej twarzy. Wyciągnęła ku niemu błagalnie dłonie, ale nie śmiała ani słowa wymówić.

Chociaż d'Artagnan nie posiadał zbyt miękkiego serca, to jednak ta niema boleść poruszyła go do głębi. Ale zanadto zależało mu na urzeczywistnieniu powziętych planów, by mógł w nich co zmienić, i nie wyraził Ketty co do tego ani odrobiny nadziei, — przedstawił jej tylko swe zamysły, jako zwykłą zemstę.

Zresztą zemsta ta nie była nazbyt trudna do osiągnięcia, bo milady, zapewne dla ukrycia przed kochankiem rumieńca wstydu, poleciła Ketty pogasić w całym apartamencie, a nawet w jej własnym pokoiku, wszystkie światła. Hrabia de Wardes miał wyjść przed świtem, a więc w ciemności.

Po chwili ozwały się kroki w sypialni milady. D'Artagnan ukrył się szybko w szafie i zaledwie miał czas zamknąć drzwi za sobą, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

Ketty pospieszyła do swej pani. Chociaż zaś tym razem nie zostawiła drzwi otworem, dla d'Artagnana było to obojętnie, gdyż przez cienką ścianę mógł słyszeć prawie wszystko, co za tą ścianą mówiono.

Milady, upojona radością, kazała opowiadać sobie najdrobniejsze szczegóły rzekomego spotkania pokojówki z hrabią de Wardes; wypytywała, jakie wrażenie wywarł na nim jej list, czy wydawał się bardzo zakochanym i jak się zachowywał dając odpowiedź. Biedna zaś Ketty, zmuszona kłamać, odpowiadała na

te wszystkie zapytania przytłumionnym głosem i z jakimś bolesnym akcentem, którego wszakże pani jej nie zauważyła pod wpływem samolubnego swego szczęścia.

Gdy wreszcie zbliżyła się godzina schadzki z hrabią, milady, zgasiwszy w swej sypialni ostatnie świece, rozkazała Ketty powrócić do swego pokoiku i, skoro tylko przyjdzie hrabia de Wardes, wprowadzić go do jej apartamentu.

Ketty nie potrzebowała czekać długo. Zaledwie d'Artagnan spostrzegł przez dziurkę od klucza, że w apartamencie zaległa ciemność, wymknął się ze swej kryjówki, zanim jeszcze Ketty zamknęła drzwi, łączące oba pokoje.

— Co to za hałas? — spytała milady.

— To ja — rzekł półgłosem d'Artagnan, — ja, hrabia de Wardes.

—Boże mój! Boże! — szepnęła Ketty, — nie doczekał nawet do tej godziny, jaką sam oznaczył!

— To hrabia? — mówiła milady. — Czemuż nie wchodzi? Hrabio — dodała, — wiesz przecie, że czekam na ciebie.

Usłyszawszy to wezwanie, d'Artagnan usunął łagodnie Ketty na stronę i wszedł do sypialni milady.

By zrozumieć ból i gniew, szarpiący duszą kochanka, który pod przykryciem mroków nocnych i nieswojem nazwiskiem otrzymuje objawy miłości, przeznaczone dla jego szczęśliwego rywala, trzeba doświadczyć tego chyba samemu. D'Artagnan znalazł się w położeniu bardziej bolesnem, niż przewidywał Zazdrość szarpała mu serce; cierpiał niemal tak bardzo, jak biedna Ketty, płacząca w tej chwili w przyległym pokoiku.

— O, gdybyś wiedział, hrabio, — mówiła milady najsłodszym głosem, ściskając jego ręce, — jakie szczęście przepełniało mi serce, gdym w twych spojrzeniach wyczytała miłość, gdy ją wyczuwałam w twych słowach, ilekroć spotykaliśmy się ze sobą! I ja cię kocham bez miary. A na pamiątkę tego naszego zbliżenia pragnęłabym, abyś miał ten zastaw mojej miłości... Niech ona ci nie pozwala zapomnieć o mnie ani na chwilę....

I mówiąc to, zdjęła z swej ręki pierścień i wsunęła go na palec d'Artagnana.

Młodzieniec przypomniał sobie, że widział już ten pierścień na ręku milady; zdobił go wspaniały szafir, okolony brylantami.

Pierwszym odruchem d'Artgnan wzbraniał się przyjąć podarunek, — lecz milady dodała w tejże chwili:

— Weź ten pierścień przez miłość dla mnie. Przyjmując go, oddasz mi przysługę, o jakiej nie masz pojęcia — kończyła podnieconym dziwnie głosem.

— Ta kobieta jest pełna tajemnic — pomyślał w duszy d'Artagnan.

A jednocześnie przyszła mu nagle ochota wyznać w tej chwili, że nie jest hrabią de Wardes, przyznać się, kim jest w istocie, i oświadczyć wprost, że przyszedł wzamiarze zemsty. Ale milady, nie dając mu dojść do słowa, mówiła dalej:

— Biedny mój aniele! Ten potwór gaskoński omal nie pozbawił cię życia!... Czy bolą cię jeszcze te rany?

— Tak jest, strasznie bolą — odparł d'Artagnan, zaskoczony nagle epitetem "potwora gaskońskiego".

— Bądź spokojny — szepetała milady; — ja cię pomszczę, pomszczę okrutnie!

— Do licha — pomyślał d'Artagnan, — chwila odkrycia się nie nadeszła jeszcze.

Wzburzyły go te słowa milady, i potrzebował nieco czasu, aby się uspokoić, a plany zemsty, z jakimi tu przybył, rozwiały się zupełnie. Czuł, że ta kobieta osiągnęła nad niem przemożną władzę. Nienawidził ją i uwielbiał równocześnie, choć niedawno jeszcze aniby przypuszczał, by tak przeciwnie sobie uczucia mogły się pomieścić w jednem sercu i, łącząc się z sobą, wytworzyć miłość tak dziwną.... szatańską.

Tymczasem wybiła godzina pierwsza, i należało się rozstać. Żegnając się z milady, d'Artagnan czuł jedynie wielki żal, że musi się oddalić. Wśród namiętnych słów, jak to bywa między dwojgiem kochanków w podobnej chwili, umówiono się, że następne spotkanie nastąpi za tydzień.

Biedna Ketty miała nadzieję, że będzie mogła zamienić chociaż kilka słów z d'Artagnanem, gdy będzie przechodził przez jej pokoik, — lecz milady przeprowadziła go sama w ciemności aż na schody i tam dopiero z nim się rozstała.

Nazajutrz rano d'Artagnan pospieszył do Atosa. Zaplątał się w tak niezwykłą przygodę, że postanowił zasięgnąć jego porady, jak się z tego wydobyć. Opowiedział mu tedy wszystko szczegółowo, — Atos zaś podczas tego opowiadania marszczył od

czasu do czasu czoło, a wreszcie, wysłuchawszy cierpliwie wszystkiego, rzekł mu:

— Twoja milady wydaje mi się osobą bez czci i wiary. Tem niemniej źle uczyniłeś, wprowadzając ją w błąd, gdyż tak czy owak pozyskałeś w niej sobie straszliwego wroga.

A mówiąc to, spoglądał Atos na pierścień z szafirem, otoczony brylantami, który zajął na palcu d'Artagnana miejsce pierścienia królowej, schowanego skrzętnie do szkatułki.

— Podziwiasz, widzę, ten pierścionek — spytał Gaskończyk z dumą, że może się pochwalić przed przyjaciółmi tak wspaniałym darem.

— Przypomina mi on jeden z moich rodzinnych klejnotów.

— Piękny! nieprawdaż? — pytał d'Artagnan.

— Wspaniały! — odparł Atos. — Nie przypuszczałem jednak, by mogły istnieć na świecie dwa szafiry tak czystej wody. Nabyłeś go może wzamian za swój djament?

— Nie — odparł d'Artagnan. — Jest to dar mojej pięknej Angielki, a raczej mojej pięknej Francuzki... bo choć nie pytałem o to wcale jestem przekonany, że urodziła się we Francji.

— Jakto? otrzymałeś ten pierścień od milady? — zawołał Atos z najwyższem zainteresowaniem.

— Tak, od niej; dała mi go dzisiaj w nocy.

— Pokaż mi ten pierścionek — zażądał Atos.

— Proszę — odparł d'Artagnan, zdejmując klejnot z palca.

Obejrzawszy pierścień, Atos zbladł. Spróbował go wsunąć na czwarty palec lewej ręki, — pierścionek pasował tak, jakgdyby specjalnie dla niego był robiony. Chmura gniewu zaciemniła nagle łagodne zazwyczaj czoło szlachcica.

— Niepodobna, aby to był ten sam — rzekł; — bo jaką drogą mógłby się znaleźć w rękach lady Clarick?... A trudno znów przypuścić, aby istniały na świecie dwa tak bardzo do siebie podobne klejnoty...

— Jakto? znasz ten pierścień? — zapytał d'Artagnan.

— Zdaje mi się, że go poznaję — odparł Atos. — Ale być może, że się mylę.

I oddał klejnot d'Artagnanowi, nie przestając jednak spoglądać na niego od czasu do czasu.

— Słuchaj, d'Artagnanie — rzekł po chwili. — Zdejmij z palca ten pierścień, albo odwróć kamieniem na dół. Wywołuje mi

on tak okrutne wspomnienia, że nie mógłbym z tobą spokojnie rozmawiać. A przecie przyszedłeś do mnie po poradę... przecie chcesz, bym ci podał sposób, jak masz w danej chwili postąpić... Ale zaczekaj.... pokaż mi jeszcze raz ten kamień; szafir, o którym mówię, miał na boku rysę, powstałą wskutek pewnego wypadku.

D'Artagnan ponownie zdjął pierścień z palca i podał Atosowi. Atos obejrzał pierścień uważnie.

— Patrz — rzekł zmieszany, — patrz; to niepojęte! I wskazał rysę na kamieniu.

— Czyjąż tedy własnością był ten pierścień, Atosie?

— Moją... Otrzymałem go od matki, która w spadku dostała go od swojej matki. Jak ci mówiłem, był to stary klejnot rodzinny... który nigdy nie powinien był wyjść z posiadania naszej rodziny.

— A ty sprzedałeś go? — spytał d'Artagnan z pewnem wahaniem.

— Nie — odparł Atos ze szczególniejszym uśmiechem. — Podarowałem go w pewną noc miłości, podobnie jak dziś ty doszedłeś do jego posiadania.

D'Artagnan zamyślił się; zdawało mu się, że dostrzega w tej chwili w duszy milady niezgłębione otchłanie, ponure i nieznane.

Nie włożył już pierścienia na palec, lecz schował go do kieszeni.

— Słuchaj, d'Artagnanie — rzekł po chwili Atos, wyciągając rękę ku niemu. — Wiesz, jak cię kocham; gdybym miał syna, nie mógłbym go bardziej kochać. Otóż posłuchaj mnie i zerwij z tą kobietą. Nie znam jej wcale, ale jakieś wewnętrzne przeczucie mi powiada, że jest to istota nikczemna i że ciąży nad nią jakaś fatalna siła.

— Masz słuszność — odparł d'Artagnan. — Zerwę z nią... bo przyznaję, że i mnie samego przejmuje ona strachem.

— A czy będziesz miał dość siły? — spytał Atos.

— Tak jest — odpowiedział d'Artagnan. — Uczynię to zaraz.

— Słusznie, bardzo słusznie, moje dziecko — mówił przyjaciel, ściskając rękę Gaskończyka z ojcowską niemal tkliwością. — Niech Bóg sprawi, aby ta kobieta, która wplątała się w twe życie, nie pozostawiła tam straszliwych śladów.

Powiedziawszy to, Atos skinieniem głowy pożegnał d'Artagnana, dając mu do zrozumienia, że pragnie pozostać sam ze swemi myślami.

Powróciwszy do domu, d'Artagnan zastał tam Ketty, oczekującą na niego. Cały miesiąc gorączki nie potrafiłby tak zmienić wyglądu biednego dziewczęcia, jak to uczyniła ta jedna noc bezsenna, pełna bólu i goryczy.

Pani wysłała ją do hrabiego. Milady szalała miłością, była jakby pijana z rozkoszy, — pragnęła wiedzieć, kiedy kochanek spędzi z nią noc następną.

I biedna Ketty, wybladła, drżąca, oczekiwała odpowiedzi d'Artagnana.

Atos posiadał wielki wpływ na młodego człowieka. Rady przyjaciela łącznie z głosem własnego serca przekonały go ostatecznie, że teraz, skoro zadowolnił już dumę i zaspokoił pragnienie zemsty, powinien przestać widywać milady. o też, ująwszy pióro do ręki, odpisał milady, co następuje:

"Niech pani nie liczy na rychłe spotkanie ze mną. Od czasu powrotu do zdrowia tyle mam podobnych spraw miłosnych, że muszę zaprowadzić w nich pewien porządek. Gdy kolej wypadnie na panią, będę miał zaszczyt zawiadomić ją o tem.

Hrabia de Wardes".

O szafirze nie wspomniał ani słowem. Czy może pragnął Gaskończyk zachować sobie tę broń przeciwko milady? Albo może, bądźmy szczerzy, może raczej zachowywał ten klejnot, jako ostatnie źródło zapewnienia sobie wyekwipowania na wojnę?

Byłoby zresztą niesprawiedliwością sądzić czyny ludzkie z odległej epoki na podstawie zasad, obowiązujących w innej epoce. To, co uważanoby dzisiaj za hańbę dla człowieka szlachetnie urodzonego, było w owe czasy czemś zupełnie prostem i naturalnym; młodzi ludzie z najlepszych nawet rodzin przyjmowali nieraz zasiłki pieniężne od swych kochanek .

D'Artagnan podał Ketty list niezapieczętowany. Przeczytała go, ale go na razie nie zrozumiała. Po powtórnem zaś przeczytaniu omal nie oszalała z radości.

Nie mogła uwierzyć w swe szczęście, i d'Artagnan musiał jej powtórzyć to ustnie, co list zawierał.

Nie bacząc na niebezpieczeństwa, mogące jej grozić wobec porywczego charakteru miłady, pobiegła wnet pędem na Plac Królewski doręczyć list swej pani.

Bo serce najlepszej nawet kobiety nie zna litości dla cierpień rywalki.

Miłady otworzyła list z takim samym pośpiechem, z jakim Ketty go doręczyła. Zaraz po przeczytaniu pierwszych słów strasznym gniewem twarz jej się wykrzywiła. Zgniotła papier w ręku i z błyskawicą w oczach zwróciła się ku Ketty:

— Co ma znaczyć ten list? — zapytała.

— Jest to odpowiedź na pismo pani — odpowiedziała Ketty z drżeniem.

— To niepodobieństwo! — krzyczała miłady, — to niepodobieństwo, aby szlachcic mógł napisać do kobiety podobne słowa!

Poczem dodała z nagłem przerażeniem:

— Boże! czyżby wiedział?....

I urwała nagle.

Twarz jej przybrała barwę popiołu, a zęby zgrzytnęły złowrogo. Chciała postąpić ku oknu, by odetchnąć świeżem powietrzem, — ale zdołała jedynie wyciągnąć rękę, — nogi odmówiły posłuszeństwa, i upadła na krzesło.

Ketty, sądząc, że pani jej mdleje, podbiegła, by rozpiąć jej suknię. W tejże jednak chwili miłady zerwała się żywo.

— Czego chcesz odemnie? — zawołała. — Nie dotykaj mię!...

— Myślałam, że pani mdleje; chciałam spieszyć z pomocą — odpowiedziała służąca, przerażona straszliwym wyrazem twarzy swej pani.

— Zemdleć?! ja miałabym zemdleć?! Cóż to? uważasz mnie za taką słabą? Jeżeli spotka mię obelga, nie mdleję, lecz mszczę się!... Czy słyszysz?!

I ruchem ręki nakazała Ketty wyjść z pokoju.

XXXVI.

MARZENIE O ZEMŚCIE.

Wieczorem milady w oczekiwaniu d'Artagnana poleciła wprowadzić go do swych pokoi natychmiast, skoro tylko przyjdzie. Ale nie przyszedł....

Nazajutrz Ketty, odwiedziwszy znowu młodego człowieka, opowiadała mu o całem zachowaniu się swej pani z powodu otrzymanego listu. D'Artagnan wysłuchał sprawozdania z uśmiechem; zazdrosny gniew milady był najlepszą dla niego pomstą.

Tego wieczora milady oczekiwała na Gaskończyka z większą jeszcze niecierpliwością, niżli wczoraj, — lecz tak samo, jak wczoraj, czekała nadaremnie.

I znowu nazajutrz Ketty przyszła do d'Artagnana, ale tym razem, zamiast wesołości, na twarzy jej młody człowiek wyczytał gnębiący smutek. Zapytał biedną dziewczynę, co jej jest, — ona zaś, zamiast odpowiedzi, wyjęła z kieszeni list i podała mu w milczeniu.

List pochodził od milady, — tym razem wszakże zaadresowany był nie do hrabiego de Wardes, lecz do d'Artagnana.

Otworzył go i przeczytał, co następuje:

"Drogi panie d'Artagnan! Niełądnie jest z Pańskiej strony zaniedbywać przyjaciół, zwłaszcza, gdy niebawem ma się ich na tak długi przeciąg czasu opuścić. Szwagier mój i ja oczekiwaliśmy na pana nadaremnie wczoraj i przedwczoraj. Czy i dzisiaj będzie tak samo?

Życzliwa panu.

Lady Clarick".

— To zupełnie jasne — rzekł d'Artagnan; — można było napewno oczekiwać podobnego listu. Szanse moje rosną w miarę, jak traci je hrabia de Wardes.

— Czy pójdzie pan do niej? — spytała Ketty.

— Posłuchaj, drogie dziecko — mówił Gaskończyk, usiłując usprawiedliwić się we własnem sumieniu z zamiaru niedotrzymania obietnicy, danej Atosowi. — Pojmujesz chyba, że byłoby nader niepolitycznie nie przyjąć tak wyraźnego zaproszenia. Milady, nie widując mię u siebie i nie pojmując, z jakiego powodu przestałem u niej bywać, mogłaby domyślić się tego lub owego. A któż jest w stanie wiedzieć, do jakiej granicy może się w pragnieniu zemsty posunąć taka kobieta?...

— Och! mój Boże! — rzekła Ketty, — umiesz pan zawsze tak wszystko przedstawić, że trzeba ci przyznać słuszność. Ale zaczniesz się znowu do niej zalecać, a jeżeli tym razem pozyskasz jej względy pod własnem nazwiskiem, będzie jeszcze gorzej aniżeli było poprzednio.

Biedna dziewczyna odgadywała instynktowo część tego, co miało nastąpić.

D'Artagnan pocieszał ją, jak mógł, i zapewniał, że oprze się wszystkim pokusom milady. Na zaproszenie zaś polecił odpowiedzieć, że odczuwa dla milady ogromną wdzięczność za jej dobroć i oddaje się jej na rozkazy. Nie odważył się wszakże oświadczyć tego listownie, gdyż obawiał się, że wprawne oko milady mogłoby łatwo rozpoznać charakter jego pisma.

Z uderzeniem godziny dziewiątej d'Artagnan był już na Placu Królewskim. Służba hrabiny de Clarick widocznie była uprzedzona o jego odwiedzinach, gdyż skoro tylko zjawił się w przedpokojach pałacu, zanim jeszcze zapytał, czy milady przyjmuje, jeden z lokai pobiegł donieść jej o przybyciu gościa.

— Prosić! — rzekła milady krótko, ale tak przenikliwym głosem, że d'Artagnan posłyszał go w przedpokoju.

Wnet wprowadzono d'Artagnana do salonu.

— Nie przyjmuję nikogo więcej — oświadczyła milady służącemu, — zrozumieliście?... nikogo.

Służący wyszedł.

D'Artagnan spojrzał z zaciekawieniem na milady. Była bardzo blada, oczy miała zmęczone, bądź skutkiem płaczu, bądź z powodu nieprzespanej nocy. Rozmyślnie zmniejszono zwykłą liczbę świateł w jej apartamentach a jednak, pomimo to, młoda kobieta nie mogła ukryć śladów gorączki, trawiącej ją od dwóch dni.

D'Artagnan zbliżył się ku niej ze zwykłą wytwornością, ona zaś zadała sobie nadludzki wysiłek, aby go mile powitać. I ni-

gdy może jeszcze nie gościł tak wdzięczny uśmiech na twarzy tak zmienionej.

Gdy d'Artagnan zapytał ją o zdrowie, odpowiedziała:

— Źle... bardzo źle...

— W takim razie nie chcę być natrętny — rzekł d'Artagnan. — Potrzebujesz pani niewątpliwie wypocząć, więc natychmiast odchodzę.

— Przeciwnie — odpowiedziała milady, — bardzo pana proszę, byś został, panie d'Artagnanie; towarzystwo pańskie będzie dla mnie przyjemną rozrywką.

— No, no! — pomyślał d'Artagnan, — nigdy jeszcze nie była tak zachwycająca.... Miejmy się na baczności....

Milady istotnie roztoczyła przed młodym człowiekiem cały swój powab. Rozmawiała z niedającym się opisać wdziękiem, a równocześnie gorączkowe podniecenie, które ją opuściło na chwilę, powróciło znowu, rozpłomieniając jej oczy, rumieniąc policzki i zabarwiając ponsem usta. D'Artagnan miał znowu przed sobą zdradziecką Cyrce, która sidłała go swym czarem. Miłość która, jak sądził, wygasła w nim już zupełnie, a która w rzeczywistości była jeno uśpiona, znowu zbudziła się w jego sercu. Milady uśmiechała się do niego, on zaś czuł, że poszedłby za tym uśmiechem bodaj w piekło.

Przez chwilę począł doznawać jakby wyrzutów sumienia, — zgłuszyło je wszakże natychmiast zachowanie się milady, która z każdą chwilą stawała się słodszą. Wreszcie wśród rozmowy o rzeczach na razie obojętnhcy zapytała d'Artagnan, czy ma kochankę.

— Na Boga! — zawołał młodzieniec najczulszym możliwie głosem, — jak możesz pani być tak okrutną i zadawać mi podobne pytanie! Wszakże od chwili, gdy cię ujrzałem, oddycham i wzdycham jedynie dla ciebie i przez ciebie.

Na ustach milady pojawił się dziwny uśmiech.

— Więc kochasz pan mnie? — zapytała.

— Zaliż potrzeba to mówić? czyż pani sama tego nie widzi?

— Tak jest. Ale wiadomo panu, że im bardziej harde jest jakieś serce, tem trudniej się je zdobywa....

— Och! nie przerażają mię żadne zgoła trudności — odparł d'Artagnan; — lękam się jedynie niepodobieństw.

— Prawdziwa miłość nie zna niepodobieństw — oświadczyła milady.

— Nie zna?

— Tak! — odpowiedziała.

— Do licha! — pomyślał d'Artagnan, — śpiewka zmieniła się. Czyżby kapryśna pani zakochała się we mnie naprawdę i była skłonną obdarzyć mię szafirem, podobnym temu, jaki był przeznaczony dla hrabiego de Wardes a dostał się mnie dzięki ciemnościom nocy?....

D'Artagnan przysunął szybko swe krzesło ku miłady.

— Czemże mi pan dowiedziesz tej miłości, o jakiej mówisz? — pytała.

— Wszystkiem, czego pani zażądasz odemnie. Czekam rozkazu i jestem gotów na jego spełnienie!

— Na wszystko?

— Tak jest na wszystko! — rzekł z mocą d'Artagnan, wiedząc z góry, że przez to przyrzeczenie ryzykuje niezbyt wiele.

— Zatem pomówmy nieco — rzekła miłady, sama przysuwając się teraz ku niemu.

— Słucham panią.

Miłady milczała przez chwilę, jakgdyby namyślając się, poczem rzekła wprost:

— Mam wroga.....

— Pani? — zawołał d'Artagnan z udanem zdziwieniem. — Czyż to możliwe, na Boga? Pani tak piękna i dobra?....

— Mam śmiertelnego wroga.

— Doprawdy?

— Wroga, który znieważył mię tak okrutnie, że między nami może być tylko walka na śmierć i życie. Czy mogę się spodziewać, że będziesz pan mi w tej walce sojusznikiem?

D'Artagnan pojął natychmiast, do czego zmierza mściwa kobieta.

— O, pani! — zawołał z przesadnym zapałem, — moje ramię i moje życie należy do ciebie tak samo, jak moja miłość.

— A zatem — mówiła dalej miłady, — ponieważ jesteś pan równie szlachetny, jak zakochany....

Tu zawahała się przez chwilę.

— A zatem?

— A zatem — dokończyła miłady po chwili milczenia — przestań pan mówić od dnia dzisiejszego o niepodobieństwach.

— Trudno mi uwierzyć w to szczęście! — zawołał d'Artagnan, klękając przed nią i okrywając pocałunkami ręce, których mu nie usuwała.

W tej wszakże pełnej namiętnych słów chwili przez mózg obojga przemknęły inne myśli:

— Pomścij mnie i zabij tego niegodnego de Wardes — pragnęła w duszy miłady, — a wówczas potrafię się pozbyć i ciebie, podwójny głupcze, bierne narzędzie rąk moich.

— Padnij mi teraz dobrowolnie w ramiona — myślał natomiast d'Artagnan, — ty, która tak bezczelnie naigrawałaś się dotychczas ze mnie.... Padnij w moje ramiona, obłudna i niebezpieczna kobieto, a wtedy zadrwię i z ciebie, i z tego którego pragniesz zabić przy mojej pomocy.

D'Artagnan podniósł głowę.

— Jestem gotów — rzekł.

— Zrozumiałeś mię zatem, kochany panie d'Artagnanie? — odezwała się miłady.

— Odgadłem jedno z twych spojrzeń.

— Więc użyjesz dla mnie siły twego ramienia, tak już znanego z dzielności?

— Choćby w tej chwili.

— Ale jakże ja cię nagrodzę za podobną usługę? Znam dobrze zakochanych i wiem, że nie czynią nic zadarmo.

— Pragnę jednej tylko nagrody, wiesz pani o tem dobrze.... nagrody, która byłaby godna i ciebie i mnie.

I mówiąc to, przytulił ją tkliwie do siebie.

Nie opierała się prawie.

— Chcesz pan wziąć nagrodę z góry? — rzekła ze śmiechem.

— Ach! — zawołał d'Artagnan, opanowany w tej chwili namiętnością, jakiej kobieta ta nie przestała w nim budzić. — Ach! nieprawdopodobnem wydaje mi się moje szczęście i lękam się, aby nie znikło nagle, niby marzenie senne, więc staram się jak najszybciej zamienić je w rzeczywistość.

— Trzeba najpierw na to szczęście zasłużyć.

— Jestem na rozkazy pani — oświadczył d'Artagnan.

— Czy naprawdę? — spytała, pragnąc uspokoić resztę swych wątpliwości.

— Wymień nazwisko niegodziwca, z powodu którego te cudne oczy zalały się łzami.

— Któż panu powiedział, że płakałam? — zapytała.

— Zdawało mi się...

— Kobiety takie, jak ja, nie płaczą — oświadczyła.

— Tem lepiej! Jakże się więc ten człowiek nazywa?

— Nie zapominaj pan, że to nazwisko jest moją tajemnicą.

— A jednak muszę je poznać.

— Tak jest.. I zwierzenie to jest właśnie dowodem, jak bardzo ci ufam.

— Uszczęśliwiasz mię pani. Któż to jest tedy?

— Znasz go pan.

— Istotnie?

— Tak jest.

— Może to któryś z moich przyjaciół? — pytał d'Artagnan, aby tem silniejszą obudzić wiarę w swą nieświadomość.

— A gdyby to był istotnie pański przyjaciel, czy zawahałbyś się pan? — zawołała milady, a błysk złowrogi uderzył z jej oczu.

— Nie! nawet, gdyby to był mój brat rodzony! — odpowiedział d'Artagnan z udanym zapałem.

Goskończyk nasz szedł w swej sprawie naprzód bez wahania, wiedział bowiem dobrze, dokąd dąży.

— Podoba mi się to pańskie oddanie — rzekła milady.

— Niestety! więc tylko to jedno zdobywa mi twoje serce? — spytał d'Artagnan.

— Nie ;wszak kocham ciebie bezwzględnie — rzekła, ujmując go za rękę.

Płomieny dreszcz wstrząsnął d'Artagnanem, jakgdyby przez to dotknięcie udzieliła mu się gorączką, paląca ciało milady.

— Kochasz mię? — wołał. — Och! gdyby tak było istotnie, oszalałbym ze szczęścia.

Chwycił ją w ramiona. Nie broniła mu pocałunków, ale nie oddwała ich wzajem. Usta jej były zimne, i d'Artagnanowi wydawało się, że obejmuje posąg. Tem nie mniej pijany był rozkoszą, oszołomiony szczęściem. Uwierzył niemal w prawdziwość uczucia milady, — uwierzył prawie w zbrodnię hrabiego de Wardes i, gdyby go w tej chwili spotkał na swej drodze, zabiłby niewątpliwie.

Milady uznała, że nadeszła właściwa chwila.

— Człowiek ten nazywa się... — zaczęła.

— De Wardes, wiem — przerwał d'Artagnan.

— Skąd wiesz o tem? — pytała milady, trzymając go silnie za ręce i, patrząc w oczy tak badawczo, jakgdyby chciała przeniknąć go do głębi duszy.

D'Artagnan pojął, że popełnił błąd.

— Mów! mów natychmiast, skąd wiesz o tem! — powtórzyła milady.

— Skąd wiem? — rzekł d'Artagnan.

— Tak.

— Wiem, gdyż wczoraj wieczorem hrabia de Wardes, znajdując się w pewnym domu, gdzie byłem również i ja, pokazywał pierścień, który, jak twierdził, otrzymał od ciebie.

— Nędznik! — zawołała milady.

Nazwa ta, jak łatwo pojąć odbiła się głośnem echem na dnie duszy d'Artagnana.

— A więc? — pytała dalej milady.

— Więc zabiję go, tego nędznika, aby pomścić — rzekł d'Artagnan z miną armeńskiego Jafeta.

— Dzięki ci, mój przyjacielu — zawołała milady. — Kiedyż więc będę pomszczona?

— Jutro, dzisiaj, zaraz.... kiedy zechcesz.

Milady miała już zawołać: "w tej chwili", — ale przyszło jej na myśl, że tego rodzaju pośpiech złe wrażenie wywarłby na d'Artagnanie. Zresztą należało w tym wypadku przedsięwziąć tysiące środków ostrożności, — należało dać obrońcy tysiąc rad, aby go uchronić od nieprzyjemnych wyjaśnień ze świadkami hrabiego.

Wszystko to uprzedził d'Artagnan jednem słowem.

— Jutro — rzekł — będziesz pomszczona, albo żyć przestanę.

— Nie! — zawołała, — pomścisz mnie, ale nie umrzesz. Hrabia jest tchórzem.

— Może jest nim w stosunku do kobiet, lecz nie względem mężczyzn. Wiadomo mi o tem coś-niecoś.

— Zdaje mi się jednak, że nie potrzebowałeś się uskarżać na brak szczęścia w niedawnem z nim starciu...

— Szczęście jest niby kochanka: dziś sprzyja, jutro odwraca się do ciebie plecami.

— Czy to ma znaczyć, że się wahasz jeszcze?

— Nie, nie waham się bynajmniej. Ale czy sprawiedliwem jest wysyłać mię na możliwą śmierć, nie dając mi nic więcej, prócz odrobiny nadziei?

Milady odpowiedziała spojrzeniem, które mówiło:

— A więc o to ci chodzi?

I uzupełniła spojrzenie kilkoma jeszcze słowami:

— To prawda — rzekła z uczuciem.

— Och! jesteś aniołem! — zawołał młody człowiek.

— Zatem wszystko ułożone? — przypomniała.

— Prócz tego, o co cię błagam, aniele.

— Zaręczam ci przecież, że możesz zaufać mej miłości.

— Nie mam przed sobą pewnego jutra, aby módz czekać...

— Cicho! Słyszę kroki mojego brata. Nie trzeba, aby zastał cię tutaj.

Zadzwoniła. W drzwiach stanęła Ketty.

— Wyjdź tędy — rzekła do d'Artagnana, wskazując mu małe drzwiczki, ukryte w ścianie. — Powrócisz tu o godzinie jedenastej, i wówczas dokończymy naszej rozmowy. Ketty wprowadzi cię do mnie.

Biedna dziewczyna omal nie padła na ziemię, usłyszawszy te słowa.

— Cóż to ma znaczyć, moja panno, że stoisz nieruchoma, jak posąg? Prędzej, wyprowadź pana. Wieczorem o jedenastej oczekuję.

— Jak się zdaje — pomyślał d'Artagnan, — ma stały zwyczaj naznaczania schadzek na godzinę jedenastą.

Milady wyciągnęła do niego rękę, którą ucałował gorąco.

— No! no! — myślał, wychodząc z pokoju i nie odpowiadając na wyrzuty Ketty, — trzeba się mieć na baczności ta kobieta jest skończoną zbrodniarką!

XXXVII.

TAJEMNICA MILADY.

Zamiast zajść do pokoiku Ketty, która oczekiwała na młodego człowieka z upragnieniem, d'Artagnan wyszedł z pałacu i zwrócił się ku domowi. Skłoniły go do tego dwie przyczyny; przedewszystkiem unikał dzięki temu wymówek, oskarżeń i żalów biednej dziewczyny, — a następnie, pragnął zastanowić się nieco, o ile można, i nad sobą samym, i nad uczuciami kobiety, która go tak silnie opętała.

Najzupełniej jasnem było w tej sprawie to tylko, że d'Artagnan kochał milady miłością szaleńca, ona zaś nie kochała go wcale. Przez chwilę myślał, że najlepiej byłoby natychmiast po powrócić do domu napisać do niej długi list z wyjaśnieniem, że w stosunku do niej w ciągu dni ostatnich on i de Wardes byli jedną i tą samą osobą, i że z tego powodu nie może się podjąć zabicia hrabiego, gdyż dla zadośćuczynienia sprawiedliwości musiałby chyba popełnić samobójstwo. Ale i jego także ogarnęła dzika żądza zemsty; pragnął posiąść tę kobietę bez użycia pomocy cudzego nazwiska, a ponieważ zemsta tego rodzaju była słodka, nie chciał się jej wyrzekać.

Pięć czy sześć razy obszedł dokoła Plac Królewski, zwracając co dziesięć kroków wzrok ku oknom apartamentu milady, które wciąż jeszcze poprzez zasłony przebłyskiwały światłem; widocznie tym razem piękna pani nie spieszyła się tak do sypialni, jak w poprzednim tygodniu.

Nareszcie światła pogasły.

Równocześnie jednak zgasła ostatnia wątpliwość w duszy d'Artagnana; przypomniał sobie szczegóły pierwszej nocy i z bijącem sercem, z rozpłomienioną głową wszedł do pałacu i pospieszył do pokoiku Ketty.

Młoda dziewczyna, blada i drżąca, usiłowała powstrzymać kochanka. Lecz milady czuwała bacznie; posłyszawszy szmer, sprawiony przez d'Artagnana, otworzyła drzwi.

— Chodź! — rzekła.

Był to już tak niesłychany bezwstyd, tak potworna czelność, że d'Artagnan ledwie mógł uwierzyć swym oczom i uszom; wydawało mu się to wszystko złudą, marzeniem sennem, nie zaś rzeczywistością.

Tymczasem wszedł do sypialni milady, jakby ulegając magnetycznej jej sile, która działa na niego, i drzwi zamknęły się za nim.

Teraz Ketty pobiegła ku drzwiom. Zazdrość, gniew, obrażona duma, wszystkie namiętności, targające sercem kochającej kobiety, popychały ją do odkrycia przed swą panią całej prawdy, — ale i sama wówczas byłaby zgubiona, wyznając, że przyłożyła rękę do podobnej intrygi, i d'Artagnan byłby dla niej stracony, a ostatnia myśl skłoniła ją do jednego jeszcze poświęcenia się — w imię miłości.

D'Artagnan zaś stanął u szczytu swych pragnień: nie potrzebował już podawać się wobec milady za znienawidzonego rywala, — sam dla siebie odbierał dowody miłości. Wprawdzie z głębi duszy szeptał mu jakiś głos tajemny, że jest jedynie narzędziem zemsty, które o tyle ma wartość dla mściciela, o ile zada śmierć wrogowi; ale duma, miłość własna i szał namiętności zmuszały ten głos wewnętrzny do zamilknięcia, — głuszyły w młodzieńcu wszystkie podszepty rozumu. Nadomiar złego Gaskończyk nasz jak wiemy, pełen zarozumiałości, porównywał się teraz z hrabią de Wardes i zapytywał, dlaczego ostatecznie nie miałby być kochany we własnej osobie. Oddawał się zresztą całkowicie wrażeniom chwili. Milady nie była już teraz dla niego tą kobietą o niegodnych zamiarach, jakimi przerażała go niedawno; stała się ona kochanką upragnioną, namiętną, pochłoniętą również, jak przypuszczał, uczuciem miłości.

Około dwóch godzin upłynęło młodym ludziom na słodkiem "sam na sam", aż uspokoili się w swych uczuciach. Ponieważ zaś milady nie miała przyczyn, jak d'Artagnan, zapominać ani na chwilę o swych nikczemnych planach, więc po niejakimś czasie zapytała młodego człowieka, czy pomyślał już o wynalezieniu jakiegoś pozoru, któryby mógł nazajutrz doprowadzić do pojedynku między nim a hrabią de Wardes.

D'Artagnan jednak, przejęty jeszcze całkiem innemi myślami, zapomniał się odpowiedział, jak głupiec, że zapóźno już było zająć się wyzwaniem.

Obojętność, okazana przez młodzieńca wobec jedynego pragnienia, jakie przejmowało całą istotę milady, przeraziła ją, — zaczęła tedy dopytywać się gwałtownie i namiętnie, jak zamierza postąpić. Wówczas d'Artagnan, który nie myślał poważnie o możliwości tego pojedynku, usiłował skierować rozmowę na inny temat. Było to wszakże bezskuteczne: milady z żelaznym uporem umysłu i woli wracał do postawionego z góry żądania.

Sądząc, że będzie dowcipny, d'Artagnan począł doradzać jej, by zaniechała zemsty i przebaczyła hrabiemu de Wardes. Młoda kobieta jednak na tę propozycję zawrzała gniewem i odsunęła się od niego.

— Czyżbyś się bał hrabiego, drogi d'Artagnanie? — zapytała głosem zgryźliwym i drwiącym, który dziwnie rozbrzmiał w ciemnościach.

— Nie możesz chyba mieć co do tego żadnych wątpliwości, moje dziecko! — odparł d'Artagnan. — Ale jeżeli hrabia de Wardes zawinił mniej, aniżeli sądzisz?

— Bądź co bądź — rzekła poważnie milady — oszukał mię, a tem samem już zasłużył na śmierć.

— Umrze zatem, skoro wyrzekłaś wyrok na niego! — oświadczył d'Artagnan tak stanowczym tonem, że milady uspokoiła się zupełnie i znowu czule przytuliła się do niego.

Nie możemy zaręczyć, jak długą wydała się ta noc pięknej pani. Ale d'Artagnanowi zdawało się, że bawi u niej zaledwie niespełna dwie godziny, gdy już dzień zaświtał przez zasłony okien i niebawem rozjaśnił komnatę swem bladem światłem.

Zauważywszy, że d'Artagnan myśli o wyjściu, milady przypomniała mu jeszcze raz obietnicę pomszczenia wyrządzonej jej przez hrabiego de Wardes obelgi.

— Jestem gotów — odparł d'Artagnan. — Pragnąłbym jednak przedtem upewnić się jeszcze co do pewnej rzeczy.

— Mianowicie? — spytała milady.

— Czy ty mię kochasz?

— Dałam ci przecież, jak sądzę, dowody.

— Tak jest. I ja również należę do ciebie ciałem i duszą.

— Dzięki ci! Ale tak samo, jak ja dowiodłam ci mej miłości, dowiedziesz i ty mnie, że mię kochasz.... nieprawdaż?

— Oczywiście. Jeżeli jednak — podchwycił d'Artagnan — kochasz mię istotnie, czy nie obawiasz się o moje życie?

— Czemuż miałabym się obawiać ?

— Mogę zostać niebezpiecznie raniony, a nawet zabity.

—To niepodobna! — rzekła milady. — Jesteś tak waleczny, i tak świetnie władasz szpadą....

— Czy nie wolałabyś jednak — ciągnął dalej d'Artagnan — użyć innego sposobu zemsty, bo pojedynek stał się niepotrzebnym?

Milady spojrzała w milczeniu na kochanka pytającemi oczyma, który blade światło pierwszych promieni poranku nadawało jakiś dziwnie ponury wyraz.

— Zdaje mi się — rzekła, — że poczynasz się znowu wahać.

— Nie, nie waham się... ale... żałuję szczerze tego biednego hrabiego de Wardes, odkąd dowiedziałem się, że go już nie kochasz. Zdaje mi się, że sama utrata twej miłości jest dla niego dość srogą karą... pocóż więc obmyślać jeszcze inną zemstę?....

— Kto ci powiedział, że go kochałam? — zapytała milady.

— Bez wielkiej zarozumiałości mogę wierzyć, że obecnie kochasz kogo innego — rzekł młodzieniec, pieszczotliwie się uśmiechając. — A powtarzam, że los hrabiego bardzo mię obchodzi.....

— Ciebie? — pytała milady.

— Tak jest, mnie.

— I dlaczegoż to?

— Ponieważ ja jeden wiem...

— Co?

— Że nie jest on winien względem ciebie w tym stopniu, jak ci się to wydaje.

— Doprawdy?! — zawołała milady z pewnem zaniepokojeniem. — Wytłumacz swoje słowa dokładniej, gdyż istotnie nie pojmuję, co znaczą.

I spojrzała na d'Artagnana, trzymającego ją w objęciach, rozszerzonemi źrenicami, w których zapaliły się jakieś błyski.

— Jestm człowiekiem prawym — oświadczył d'Artagnan, postanowiwszy nareszcie odkryć karty, — i odkąd zdobyłem twoją miłość.... a tego mogę być pewnym, nieprawdaż?....

— Tak jest. Ale mów dalej.

— Otóż jestem w tej chwili jakby odrodzony duchowo i.... cięży mi pewne wyznanie.

— Wyznanie?!

— Gdybym wątpił w twoją miłość, nie powiedziałbym ci tego. Ale ty mię kochaszę piękna moja kochanko! kochasz?....

— Nie powinieneś w to wątpić.

— Gdybym więc, powodowany miłością, zawinił czemś względem ciebie, przebaczyłabyś mi?

— Być może.

Z możliwie najsłodszym uśmiechem chciał d'Artagnan zbliżyć swe wargi do ust milady, — lecz ona odepchnęła go.

— Chcę usłyszeć to wyznanie — rzekła blednąc. — Czemże względem mnie zawiniłeś?

— W ubiegły czwartek naznaczyłaś hrabiemu de Wardes schadzkę w tym samym pokoju, nieprawdaż?

— Ja?..... Bynajmniej.

Milady wypowiedziała te słowa tak stanowczym głosem i z tak pewnym siebie wyrazem twarzy, że, gdyby d'Artagnan nie miał bezwzględnej pewności, musiałby się zachwiać w swem przekonaniu.

— Nie kłam, mój śliczny aniele — rzekł, śmiejąc się — bo na nic się to nie przyda.

— Ale cóż to wszsytko ma znaczyć? Mów, jeżeli nie chcesz, bym umarła, oczekując na twoje wyjaśnienia!

— Och! uspokój się! Nie zawiniłaś względem mnie wcale; już ci przebaczyłem!

— Cóż dalej?

— Hrabia de Wardes nie może się niczem chełpić....

— Jakto? Sam przecie mówiłeś mi o tym pierścieniu.

— Pierścień ten znajduje się w mojem ręku, najdroższa. Hrabia de Wardes, który tu był we czwartek, i d'Artagnan, który tu jest dzisiaj, są jedną i tą samą osobą.

Niebaczny młodzian oczekiwał, że wyznanie to wywoła co najwyżej zdziwienie, pomieszane z objawami wstydu, wreszcie małą burzę, która zakończy się łzami. Ale pomylił się i rychło się o tem przekonał.

Milady, blada, ze strasznie zmienioną twarzą, odwróciła się nagle od d'Artagnana i, gwałtownem uderzeniem w piersi odepchnąwszy go od siebie, podeszła do łóżka.

Dzień już był prawie zupełny.

D'Artagnan, chwyciwszy za nocny strój z cienkiego indyjskiego muślinu, usiłował zatrzymać ją, chciał błagać o przebaczenie. Ona jednak wyrwała mu się z siłą i stanowczością, a wówczas muślin rozdarł się, obnażając jedno ramię okrągłe i białe, na którem d'Artagnan z niedającem się opisać zdumieniem uj-

rzał wytatuowany kwiat lilii, to niezatarte piętno, wyryte hańbiącą ręką kata.

— Wielki Boże! — zawołał, opuszczając rękę.

I stał niemy, jakby skamieniały, przy łóżku milady.

Ale ten jeden okrzyk młodzieńca wystarczył, by milady pojęła, co go wywołało. Domyśliła się, że posiadł tę jej tajemnicę, straszną tajemnicę, o której nie wiedział nikt na świecie.

Odwróciła się ku niemu, podobna już nie do rozjuszonej kobiety, ale do zranionej pantery.

— A! nędzniku! — zawołała. — Podszedłeś mię zdradziecko, aby mię posiąść, a teraz ukradłeś mi jeszcze moją tajemnicę!... Umrzesz, nędzniku, z mojej ręki!....

I podbiegłszy do ozdobnej szkatułki, stojącej na gotowalni, wyjęła z niej sztylet ze złotą rękojeścią, o ostrzu cienkiem, jak igła, i jednem skokiem rzuciła się na d'Artagnana, napół zaledwie ubranego.

Aczkolwiek, jak wiemy, młodzieniec nasz posiadał dzielne serce, to jednak na widok tej tak strasznie zmienionej kobiety, tych źrenic, okropnie rozszerzonych, tych pobladyłych jej lic i warg krwawiących cofnął się przerażony do samej ściany, jak gdyby ujrzał węża, skradającego się ku sobie, i ręką, oblaną zimnym potem, wydobył szpadę z pochwy.

Ale milady, nie zważając na szpadę, usiłowała przedostać się ku niemu przez łóżko, aby go dosięgnąć sztyletem, i zatrzymało ją dopiero na chwilę zimne, ostre żelazo szpady, które poczuła na swem gardle.

Próbowała wytrącić mu szpadę z ręki, ale d'Artagnan błyskawicznymi obrotami żelaza nie dopuszczał do tego i począł się cofać w kierunku drzwi, wiodących do pokoiku Ketty. Z tem większą furją i krzykiem zaatakowała go wściekła kobieta, — d'Artagnan zaś, wszedłszy w rolę pojedynkującego się, gdyż istotnie walka przypominała pojedynek, począł odzyskiwać zimną krew.

— Dobrze, moja piękna pani! doskonale! — mówił, ograniczając się jedynie do obrony. — lecz, na Boga, uspokój się, bo w przeciwnym razie na twej pięknej twarzy wyrysuję jeszcze jeden kwiat lilii.

— Nędznik! nikczemnik! — syczała milady, nacierając wciąż naniego i przewracając po drodze krzesła, któremi się napastowany zastawiał.

Gdy się zaś znalazł koło drzwi pokoiku służebnej, Ketty, przestraszona hałasem, otworzyła je nagle. Skorzystał z tego w jednej chwili d'Artagnan. Wpadłszy z sypialni do pokoiku, szybkim jak błyskawica ruchem zamknął drzwi i podparł je sobą, a jednocześnie drżąca ze strachu Kety zasunęła rygle.

Wówczas rozwścieczona miłady usiłowała drzwi wyważyć, uderzając w nie z niesłychaną, jak na kobietę, siłą. Gdy zaś doszła do przekonania, że wysiłki jej są nadaremne, poczęła uderzać w nie ostrzem sztyletu, aż koniec jego przechodził na drugą stronę. A każdemu uderzeniu towarzyszyły okrzyki wściekłości.

— Prędko! prędko, Ketty! — rzekł półgłosem d'Artagnan, — dopomóż mi wyjść z pałacu, bo, gdy pozostawimy jej jeszcze trochę czasu na opamiętanie, każe mię zamordować służbie.

— Nie możesz pan przecie wyjść w takim stroju na ulicę — zauważyła Ketty; — jesteś prawie nagi....

— To prawda — potwierdził d'Artagnan, spostrzegając dopiero teraz, że jest bez ubrania, — to prawda... Daj mi cokolwiek do okrycia się.... Ale spieszmy, bo widzisz sama, że idzie tu o śmierć lub życie!

Ketty pojmowała to aż nazbyt dobrze.

Zakrzątnąwszy się żwo, ubrała go w jakąś suknię z kwiecistej materji, na głowę wsadziła mu kapelusz, raczej do czepka podobny, narzuciła na wszystko jakiśp łaszczyk, dała pantofle, które włożył na gołę nogi, poczem sprowadziła go po schodach.

Czas był już ostatni, gdyż miłady zaczęła dzwonić i rozbudziła wnet cały pałac.

Odźwierny wypuszczał właśnie d'Artagnana w chwili, gdy miłady, napół rozebrana, krzyczała przez okno:

— Nie otwierać nikomu!

XXXVIII.

JAK ATOS BEZ TRUDU ZDOBYŁ UMUNDUROWANIE.

D'Artagnan był już za bramą pałacu, a milady jeszcze groziła mu gwałtownymi gestami, — gdy zaś zniknął jej z oczu, padła zemdlona na podłogę sypialni.

Młodzieniec był tak wzburzony, że zapomniał o Ketty, która pozostała we władzy wściekłej kobiety, i przebiegłszy pędem pół Paryża, zatrzymał się dopiero przed domem Atosa. Oszołomienie umysłu ,przenikający strach, nawoływania napotykanych straży, które poczęły go ścigać, szydercze śmiechy nielicznych przechodniów, spieszących do swych zajęć, podnieciły go do najwyższego stopnia.

Przebiegł podwórze, jednym tchem dostał się po schodach na drugie piętro i zastukał z całej siły do drzwi.

Grimaud z oczami napuchniętemi od snu otworzył, a młodzieniec wpadł do wnętrza tak gwałtownie, że omal go nie przewrócił.

Biedny chłopak, mimo przyzwyczajenia do milczenia, tym razem zawołał:

— Hola! cóż to, łatawico jakaś! czego tu chcesz, głupia dziewczyno?!

D'Artagnan odsunął welon kapelusza i wyciągnął ręce z pod płaszcza. Na widok wąsów i gołej szpady biedny chłopiec zrozumiał, że stoi przed nim mężczyzna, — ale wnet przyszło mu na myśl, że jest to niechybnie jakiś morderca.

— Na pomoc! ratujcie! na pomoc! — począł wrzeszczeć.

— Milcz, nieszczęśniku! — rzekł młody człowiek. — Jestem d'Artagnan.... Czyż nie poznajesz mnie? Gdzie twój pan?

— Pan... pan d'Artagnan? — wołał Grimaud. — To niemożliwe!

— Grimaudzie — odezwał się Atos, wychodząc z sypialni w porannym stroju, — zdaje się, że ośmielasz się zabierać głos.

— Ach, panie! bo to, proszę pana...

— Milcz!

Grimaud zmilkł i zadowolnił się tem, że wskazał palcem d'Artagnana.

Atos poznał towarzysza natychmiast, ale, mimo wrodzonej swej powagi, parsknął śmiechem, usprawiedliwionym zresztą niezwykłem przebraniem swego przyjaciela: przekrzywiony czepek, spodnica, opadająca na pięty, zakasane rękawy, wąsy najeżone ze wzruszenia....

— Nie śmiej się, mój przyjacielu — wołał d'Artagnan, — nie śmiej się, bo, na Boga, niema się tu śmiać z czego....

A wypowiedział te słowa z taką powagą i prawdziwą grozą, że Atos uchwycił go za ręce, pytając z zaniepokojeniem:

— Jesteś może raniony, drogi przyjacielu?... Jakiś ty blady!

— Nie, raniony nie jsetem.... ale miałem straszliwą przygodę. Czy jesteś sam w domu, Atosie?

— Do licha! któż mógłby być u mnie o tej godzinie?

— Dobrze, dobrze — rzekł drżącym głosem d'Artagnan i wybiegł do sypialni przyjaciela.

— No, opowiadaj! — rzekł Atos, zamykając drzwi i zasuwając rygiel, aby im nikt w rozmowie nie przeszkodził. — Może król nie żyje? a może zabiłeś kardynała?. Jesteś widzę, strasznie pomieszany.... Mówże, bo naprawdę umieram z niepokoju.

— Atosie — rzekł d'Artagnan, zdejmując ubranie kobiece i pozostając w samej koszuli. — Przygotuj się, że usłyszysz rzecz nieprawdopodobną, niesłychaną....

— Wdziej najpierw ten szlafrok — przerwał muszkieter przyjacielowi.

D'Artagnan wziął podany mu strój, ale długo go wkładał na siebie, gdyż pomieszał rękawy, — tak był jeszcze podniecony.

— A zatem? — pytał Atos niecierpliwie.

— A zatem — rzekł d'Artagnan, pochylając się ku przyjacielowi i szepcąc mu do ucha, — zatem..... milady jest napiętnowana na ramieniu kwiatem lilii.

— Ach! — krzyknął muszkieter, jakgdyby ugodzony kulą w samo serce.

— Powiedz mi — ciągnął dalej d'Artagnan, — czy jesteś tego pewny, że "tamta" nie żyje?

— "Tamta"? — powtórzył Atos tak cicho, że d'Artagnan ledwie go dosłyszał.

— Tak, tamta, o której opowiadałeś mi kiedyś w Amiens.

Atos westchnął głęboko i ukrył głowę w dłoniach.

— Ta jest kobietą, mogącą liczyć dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat — rzekł d'Artagnan.

— Ma jasne włosy, nieprawdaż? — pytał Atos.

— Tak jest.

— Oczy jasno-niebieckie, dziwnie przejrzyste; rzęsy i brwi czarne?

— Tak.

— Wysoka dobrze zbudowana? Z lewej strony brak jej jednego zęba?

— Tak, istotnie.

— Kwiat lilii mały, czerwonawy, jakby zatarty przez używanie maści, którą przykładano?

— Tak.

— Mówiłeś jednak, że jest Angielką....

— Nazywają ją "milady". Lecz równie dobrze może być pochodzenia francuskiego. Lord de Winter jest tylko jej szwagrem.

— Muszę ją zobaczyć, d'Artagnanie.

— Strzeż się, Atosie! strzeż się! Chciałeś ją zabić kiedyś, ale możesz się sam na śmierć narazić... Ona nie chybi z pewnością...

— Nie odważy się nic powiedzieć mi o tej sprawie, gdyż w ten sposób zdradziłaby się sama.

— Ona jest zdolna do wszsytkiego! Nie widziałeś jej nigdy w przystępie wściekłości?

— Nie — odparł Atos.

— To tygrysica! pantera! Ach, Atosie! obawiam się, czym nie ściągnął na nasze głowy straszliwej zemsty!

I d'Artagnan opowiedział o całem swojem przejściu, o bezrozumnej wściekłości milady i o pogróżkach śmierci.

— Masz słuszność, mój drogi. Na honor, gra warta świeczki — oświadczył Atos. — Na szczęście, pojutrze już opuszczamy Paryż i, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ruszymy prosto na Rochellę. Skoro zaś raz znajdziemy się w drodze...

— Będzie cię ścigała aż na kraj świata, Atosie, jeżeli cię pozna... Pozwól, niech ja sam stane się ofiarą jej nienawiści.

— Mój drogi! i cóż to szkodzi, jeżeli mię zabije? Czy sądzisz może, że tak bardzo dbam o życie?

— W tem wszystkiem kryje się jakaś straszna tajemnica. Atosie, ta kobieta jest szpiegiem kardynała; jestem tego pewny.

— W takim razie i ty miej się na baczności. Gdyby kardynał nie był zachwycony twoją wyprawą do Londynu, nienawidziłby cię z całej duszy. Wprawdzie nie może cię jawnie oskarżyć, ale o pomszczeniu się nie zapomni z pewnością. Dlatego powtarzam: mniej się na baczności! Gdy masz wyjść na ulicę, nie wychodź nigdy sam; jedząc, uważaj, aby cię nie otruto... Nie dowierzaj niczemu, strzeż się nawet własnego cienia....

— Na szczęście — rzekł d'Artagnan, — tylko do pojutrza wieczorem będziemy chodzili po ulicach miasta. A skoro raz znajdziemy się w szeregach armji, nie będziemy się już potrzebowali obawiać nikogo, prócz jawnych wrogów.

— Tymczasem ponawiam moją radę — mówił Atos — i będę ci towarzyszył wszędzie; teraz także, gdy pójdziesz na ulicę Grabarzy, pójdę z tobą.

— Aczkolwiek jest to bardzo niedaleko — odparł d'Artagnan, — nie mogę jednak wrócić do domu w tym stroju.

— Masz słuszność — rzekł Atos i równocześnie zadzwonił. Griumaud wszedł do pokoju, Atos zaś rozkazał mu na migi, aby poszedł do mieszkania d'Artagnana i przyniósł ubranie. Griumaud również na migi odpowiedział, że zrozumiał polecenie, i wyszedł.

— Niestety, kochany przyjacielu, nie przyspiesza to wcale sprawy naszego umundurowania — odezwał się Atos. — Bo, jeżeli się nie mylę, pozostawiłeś swą odzież u milady, a ona nie będzie się bynajmniej kwapiła, by ci ją odesłać. Całe szczęście, że posiadasz ten szafir.

— Szafir jest twoją własnością, drogi Atosie. Czyż nie mówiłeś mi, że był to klejnot rodzinny?

— Tak jest. Ojciec mówił mi kiedyś, że pierścień ten kosztował dwa tysiące talarów, a należał do podarunków ślubnych mojej matki, i jest rzeczywiście wspaniały. Matka dała mi go na pamiątkę, a ja, szalony; zamiast zachować go, jak świętą relikwię, ofiarowałem tej nędznicy...

— Bierz więc z powrotem ten klejnot, bo słusznie ci się on należy.

— Nie d'Artagnanie. Pierścień ten już samem dotknięciem tej nędznicy, tej niegodnej kobiety został haniebnie splamiony.

— Więc go sprzedaj,

— Sprzedawać klejnot, pochodzący od mojej matki? Przyznam ci się, że uważałbym to niemal za świętokradztwo.

— W takim razie zastaw go; pożyczą ci na niego conajmniej tysiąc talarów, a suma ta wyswobodzi cię z obecnych kłopotów. Później wykupisz go za pierwsze pieniądze, jakie otrzymasz, a wówczas będzie on już oczyszczony z dawnych plam, gdyż przejdzie przez ręce lichwiarzy.

Atos uśmiechnął się.

— Jesteś nieocenionym towarzyszem — rzekł; — swoją nieprzebraną wesołością podnosisz z upadku biedne umysły, pogrążone w rozpaczy. Dobrze więc; zastawię ten pierścień, ale pod jednym warunkiem.

— Mianowicie?

— Żepięćset talarów będzie dla ciebie, a pięćset dla mnie.

—Co mówisz, Atosie? Ja nie potrzebuję nawet czwartej części tej sumy; sprzedawszy siodło, będę już miał wystarczającą ilość pieniędzy. Bo i czegóż jeszcze mi potrzeba? Kupić Planchetowi konia, to wszystko. A nie zapominaj, że i ja posiadam pierścień...

— Który jednak daleko więcej cenisz, aniżeli ja swój; tak mi się przynajmniej wydawało.

— Tak jest..... bo w razie ostatecznego jakiegoś wypadku może nas jeszcze wyratować nietylko z wielkiego kłopotu, ale nawet z niebezpieczeństwa, gdybyśmy się kiedy w niem znaleźli. Jest to więc nietylko cenny djament, lecz i czarodziejski talizman.

— Nie rozumiem tego, ale wierzę twoim słowom. Zajmijmy się wszakże teraz moim pierścieniem, a raczej twoim. Przyjmiesz połowę sumy, jaką otrzymamy za niego, albo też cisnę go do Sekwany... Wątpię zaś bardzo, abym, jak Polikrates, znalazł jaką usłużną rybkę, któraby mi go odniosła z powrotem.

— Niech i tak będzie! zgoda! — rzekł d'Artagnan.

W tej samej chwili wszedł Grimaud w towarzystwie Planchet, który, zaniepokojny o swego pana i rozciekawiony tem, co mu Grimaud opowiedział, skorzystał ze sposobności i sam przyniósł potrzebną odzież.

D'Artagnan ubrał się, Atos uczynił to samo, i gdy już byli gotowi do wyjścia, Atos dał Grimaudowi znak, wskazujący składanie się do kogoś ze strzelby. Griumaud pojął natychmiast, o co chodzi, — wziął muszkiet i stanął gotów towarzyszyć swemu panu.

Bez żadnej przygody przybyli na ulicę Grabarzy. Bonacieux stał przed bramą, mierząc d'Artagnana drwiącem spojrzeniem.

— Kochany panie lokatorze — rzekł, — spiesz się pan, bo w domu czeka ładna, młoda dziewczyna; a kobiety, jak panu wiadomo, nie lubią długo wyczekiwać.

— To zapewne Ketty! — rzekł d'Artagnan i pospieszył w korytarz.

Istotnie na schodach, wiodących do jego mieszkania, siedziała biedna dziewczyna, przytulona do drzwi, drżąc na całem ciele. Skoro go tylko spostrzegła, zawołała:

— Przyrzekłeś mi pan opiekę, przyrzekłeś obronić mię przed jej gniewem.... a niech pan nie zapomina, że to pan mię zgubił!

— Oczywiście, Ketty — odparł d'Artagnan. — Ale przedewszystkiem opowiedz nam, co się stało po mojem odejściu....

— To trudno wyrazić! — odezwała się Ketty. — Sprowadzeni jej krzykami, przybiegli wszyscy służący.... Szalała wprost z gniewu. Niema przekleństwa, któregoby nie rzuciła na pana. Wówczas przyszło mi na myśl, że musi sobie przecież przypomnieć, którędy dostałeś się pan do jej sypialni, i że będzie mię uważała za pańską wspólniczkę. Zabrałam więc trochę pieniędzy, jakie posiadałam, wzięłam co lepsze ubranie i ratowałam się ucieczką.

— Biedne dziecko! Ale cóż ja ci poradzę? Pojutrze już wyruszam w pole.

— Zrób pan wszystko, co chcesz... wypraw mię z Paryża, a nawet z Francji....

— Nie mogę przecie zabrać cię z sobą, idąc na oblężenie Rochelli — tłumaczył d'Artagnan.

— Nie. Ale możesz mię umieścić gdzieś na prowincji, u jakiejś znajomej pani.... choćby naprzykład w pańskim kraju rodzinnym.

— Och, moja droga! tam, gdzie się urodziłem, kobiety nie trzymają pokojówek. Ale czekaj; coś uradzimy.

I przy tych słowach zwrócił się do służącego:

— Planchecie! idź, poszukaj pana Aramisa i poproś, by tu zaraz przyszedł. Powiedz mu, że sprawa jest nader ważna.

— Pojmuję — rzekł Atos. — Dlaczego jednak nie poślesz po Portosa? Zdaje mi się, że jego margrabina....

— Margrabinę Portosa ubierają pomocnicy jej męża — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem. — Zresztą Ketty nie chciałaby mieszkać na ulicy Niedźwiedziej... Nieprawdaż, Ketty?

— Wszystko mi jedno, panie, gdzie będę mieszkała — odparła Ketty, — bylebym była dobrze ukryta i byleby się nie dowiedziano, gdzie jestem.

— Teraz zaś, Ketty, skoro się rozstajemy i skoro oczywiście nie jesteś już o mnie zazdrosna....

— O, panie kawalerze! czy będę daleko, czy blisko pana, nie przestanę pana nigdy kochać.

— Gdzież, u djabła, gnieździ się taka wierność?! — mruknął Atos.

— Ja również, moje dziecko — rzekł d'Artagnan, — będę cię zawsze kochał; bądź o to spokojna. Teraz jednak odpowiedz mi na jedno pytanie (a do pytania tego przywiązuję ogromną wagę): czy nie było kiedy mowy w pałacu o pewnej młodej kobiecie, którą porwano nocą?

— Zaraz, panie kawalerze... Mój Boże! więc pan jeszcze ciągle kochasz tę kobietę?

— Nie ja, lecz jeden z moich przyjaciół.... pan Atos mianowicie, którego widzisz tu przed sobą.

— Ja!? — krzyknął Atos takim głosem, jak człowiek który zauważył nagle, że nastąpił na jaszczurkę.

— Oczywiście ty! — powtórzył d'Artagnan, ściskając dłoń przyjaciela. — Wiesz przecie dobrze, że wszyscy interesujemy się losem tej nieszczęśliwej kobiety pani Bonacieux. Zresztą Ketty nie zdradzi nas.... Nieprawdaż, Ketty? Jest to żona tego obrzydliwego koczkodana, którego widziałaś przed bramą, wchodząc do mego mieszkania.

— Och, mój Boże! — zawołała Ketty, — przypominasz mi pan mój przestrach. Oby mnie tylko nie poznał?

— Jakto "nie poznał"? Więc widziałaś go już kiedy?

— Przychodził dwa razy do milady.

— Otóżto! Kiedyż to było?

— Mniej-więcej przed piętnastu lub ośmnastu dniami.

— Spodziewałem się tego.

— Wczoraj wieczorem był znowu.

— Wczoraj wieczorem?

— Tak jest, na chwilę przed przybyciem pana.

— Oto widzisz, drogi Atosie — zwrócił się d'Artagnan do przyjaciela, — jaką to siecią szpiegów jesteśmy otoczeni.

Poczem zapytał dziewczyny:

— I czy sądzisz, Ketty, że cię poznał?

— Nasunęłam zasłonę na czoło... Ale może było już zapóźno.

— Proszę cię, Atosie, ponieważ ciebie mniej podejrzewa, aniżeli mnie, zejdź na dół i zobacz, czy stoi jeszcze przed bramą.

Atos poszedł i wrócił niebawem.

— Już go niema — rzekł; — dom zamknięty.

— Poszedł złożyć sprawozdanie i zawiadomić, że wszystkie gołębie są w tej chwili w gołębniku.

— Ulotnijmy się zatem — oświadczył Atos — i pozostawmy tylko Plancheta, aby nam donosił, co się dzieje.

— Jeszcze chwilę! Posłaliśmy przecież po Aramisa.

— To prawda. Zaczekajmy więc na niego.

Aramis właśnie nadchodził.

Przedstawiono mu całą sprawę i wytłumaczono, że koniecznie musi wyszukać dla Ketty jakieś miejsce u którejś ze znajomych pań.

Aramis myślał przez chwilę, a następnie rzekł, rumieniąc się:

— Czy istotnie tak bardzo ci na tem zależy, d'Artagnanie?

— Będę ci wdzięczny aż do śmierci.

— Otóż pani de Bois-Tracy zapytywała mię w interesie jakiejś swej przyjaciółki, jak mi się zdaje, mieszkającej na prowincji, czy nie mógłbym się wystarać dla niej o pokojówkę, godną zaufania. Jeżeli zatem możesz mi poręczyć za tę panienkę...

— Och, pani! — zawołała Ketty, — będę najzupełniej oddana osobie, która mi umożliwi opuszczenie Paryża.

— Zatem wszystko się dobrze układa — rzekł Aramis.

Usiadł przy stole, napisał parę słów, zapieczętował list sygnetem i wręczył młodej dziewczynie.

— A teraz, moje dziecko — zwrócił się do Ketty d'Artagnan, — wiesz chyba sama, że ani dla nas, ani dla ciebie nie jest tu bezpieczne miejsce pobytu. Rozłączmy się zatem. Może spotkamy się kiedyś w lepszych czasach.

— Kiedykolwiek i gdziekolwiek się spotkamy — oświadczyła Ketty, — serce moje należeć będzie do pana, tak samo, jak w tej chwili.

— Przysięga gracza — zauważył Atos, podczas gdy d'Artagnan sprowadzał Ketty po schodach.

Niedługo później trzej przyjaciele rozłączyli się, naznaczając sobie spotkanie w mieszkaniu Atosa na godzinę czwartą i pozostawiając Plancheta, aby pilnował domu.

Aramis wrócił do siebie, zaś Atos i d'Artagnan poszli zastawić szafir.

Jak przewidywał nasz Gaskończyk, uzyskano z łatwością na zastaw pierścienia pożyczkę trzystu pistolów. Co więcej Żyd oświadczył, że gdyby chciano sprzedać pierścień, to on zapłaci chętnie za niego pięćset pistolów, gdyż klejnot ten doskonale nadawał się do kolczyków, jakie już posiadał.

Atos i d'Artagnan z ruchliwością żołnierską i umiejętnością znawców w ciągu niespełna trzech godzin zakupili wszystko, co było potrzebne do wyekwipowania muszkieterskiego. Przytem Atos był hojny jak wielki pan z krwi i kości: jeżeli mu się coś podobało, kupował za oznaczoną cenę, nie targując się wcale. D'Artagnan próbował czasem wtrącić jakąś uwagę, ale Atos z uśmiechem dotykał tylko ręką jego ramienia, i d'Artagnan pojmował natychmiast, że targowanie się było może odpowiednie dla niego, drobnego szlachetki gaskońskiego, ale nie licowało z książęcą postawą i przyzwyczajeniami jego przyjaciela.

Muszkieter wynalazł wspaniałego wierzchowca andaluzyjskiego, czarnego, jak heban, sześciolatka, z ognistemi nozdrzami, o nogach pięknych i zgrabnych. Obejrzał go i przekonał się, że jest bez wady. Zaceniono go tysiąc liwrów.

Być może, udałoby się kupić go taniej, — ale w chwili, gdy d'Artagnan spierał się z handlarzem, Atos wyłożył już na stole żądane sto pistolów.

Grimaud otrzymał konika pikardyjskiego, przysadzistego i silnego, za cenę trzystu liwrów.

Gdy wszakże kupiono jeszcze siodło i uzbrojenie dla Grimauda, Atos z otrzymanych stu pięćdziesięciu pistolów nie miał już w kieszeni ani grosza. Widząc to, d'Artagnan ofiarował przyjacielowi, część sumy, jaką przypadła dla niego, przyczem dodał, że zwróci resztę, gdy będzie mógł. Zamiast odpowiedzi, Atos wzruszył ramionami.

— Ile to Żyd dawał za szafir, gdybyśmy się zgodzili sprzedać go? — zapytał po chwili.

— Pięćset pistolów.

— To znaczy, o dwieście więcej; sto pistolów dla ciebie, a sto dla mnie.... Wcale nieźle! To już majątek, drogi przyjacielu. Wracaj szybok do Żyda!

— Jakto? chciałybś więc.....

— Pierścień ten budzi w mojej duszy nazbyt smutne wspomnienia... Pozatem nie będę nigdy posiadał trzystu pistolów, aby go wykupić, i w ten sposób stracilibyśmy dwa tysiące liwrów. Idź i powiedz mu, że może zatrzymać pierścień za dopłatą dwustu pistolów.

— Zastanów się, Atosie!

— Bardzo trudno zdobyć obecnie gotówkę; trzeba przyuczać się do poświęceń. Idź, d'Artagnanie, idź! Grimaud będzie ci towarzyszył z muszkieterem w ręku.

W pół godziny d'Artagnan wrócił z dwoma tysiącami liwrów, nie doznawszy żadnej przygody.

W taki to sposób znalazł Atos w swym majątku zasoby, jakich zgoła przedtem nie oczekiwał.

XXXIX.

ZJAWISKO.

O godzinie czwartej czterej przyjaciele zebrali się w mieszkaniu Atosa. Nie potrzebując już troskać się o umundurowanie, kryli jednak w sercach osobiste tajemne niepokoje; zawsze bowiem poza szczęściem chwili obecnej kryje się obawa przyszłości.

Zaledwie się drzwi za nimi zamknęły, gdy wszedł Planchet, niosąc dwa listy do d'Artagnana: jeden z nich był to mały, pięknie złożony bilecik podłużnego formatu z ładną zieloną pieczęcią woskową i wyciśniętym na niej gołąbkiem z gałązką oliwną w dzióbku, — drugi list był dużego formatu, złożony w kwadrat i opatrzony przejmującemi trwogą pieczęciami Jego Eminencji księcia kardynała.

Na widok małego bileciku serce d'Artagnana zadygotało w piersi, gdyż poznał charakter pisma, które, choć widział je raz tylko w życiu, utkwiło mu jednak głęboko w pamięci. Pochwycił bilecik i szybko zerwał pieczęć.

"W najbliższy czwartek między godziną szóstą a siódmą wieczorem wyjdź pan na drogę, wiodącą do Chaillot, i przechadzaj się, zaglądając do każdej przejeżdżającej karety. Jeżeli wszakże dbasz o życie swoje i osób, które cię kochają, nie zdradź się słowem czy nawet ruchem, gdyż poznasz te, która naraża się na wszystko, byleby mogła ujrzeć cię choć przez chwilę."

Tak brzmiał list, nie opatrzony wcale podpisem.

— To zasadzka — oświadczył Atos. — Nie powinieneś tam chodzić, d'Artagnanie.

— A jednak jestem pewny — odparł d'Artagnan, — że rozpoznaję charakter pisma autorki tego listu.

— Pismo może być dobrze podrobione — rzekł Atos. — Między godziną szóstą a siódmą wieczorem droga, wiodąca do Chail

lot, jest najczęściej pusta; byłoby to toż samo, jakgdybyś urządził sobie w tej porze przechadzkę do lasu Bondy.

— Gdybyśmy jednak udali się tam razem! — szukał wybiegów d'Artagnan. — Do licha! trudno przecież przypuścić, aby pożarto nas żywcem wszystkich czterech, razem ze służbą, z końmi i z bronią.

— Byłaby to dobra sposobność pokazania się w pełnym rynsztunku — zauważył Portos.

— Jeżeli jednak kobieta, od której liścik ten pochodzi, nie życzy sobie, aby ją zobaczono — upierał się Atos, — to pomyśl przecież, d'Artagnanie, że skompromitujesz ją to bynajmniej nie jest godne szlachica.

— Pozostaniemy z tyłu, a on sam się zbliży — twierdził Portos.

— Zapewne. Nie należy jednak zapominać, że z pędzącej karety mogą strzelać, jak z zasadzki.

— Ba! — wtrącił d'Artagnan, — gdyby nawet strzelano, nie trafią. A wówczas dopędzimy karetę i osoby w niej jadące wyprawimy na tamten świat, zmniejszając sobie w ten sposób liczbę nieprzyjaciół.

— Słusznie powiedziane — oświadczył Portos. — Jak wojna, to wojna! Zresztą będzie to jednocześnie sposobność wypróbowania broni.....

— Tak jest; nie odmawiajmy sobie tej przyjemności — odezwał się Aramis swym zwykłym śpiewnym i melancholijnym głosem.

— Jak się wam podoba — rzekł Atos.

— Panowie! — nawoływał d'Artagnan, — jest już pół do piątej, więc ledwie możemy zdążyć, by o szóstej znaleźć się na drodze do Chaillot.

— I gdybyśmy wyruszyli zapóźno — dodał Portos, — niktby nas nie zauważył, a przecie zależy nam na tem, by nas widziano. Spieszmy więc, moi panowie.

— Zapomniałeś jednak o drugim liście — odezwał się Atos. — A zdaje mi się, iż pieczęć już sam wskazuje, że zasługiwałby na otwarcie. I oświadczam, że budzi on we mnie obawę w przeciwieństwie do tego bileciku, który tak czule ukryłeś na sercu.

D'Artagnan zarumienił się.

— Istotnie, moi panowie! — rzekł młodzieniec. — Dowiedzmy się terza, czego sobie odemnie życzy Jego Eminencja.

I odpieczętowawszy list, czytał:

" Pan d'Artagnan, żołnierz gwardji królewskiej z oddziału pana des Essarts, proszony jest o przybycie dzisiaj wieczorem o godzinie ósmej do pałacu księcia kardynała.

La Houdiniere,

kapitan gwardji."

— Do djabła! — zawołał Atos, — schadzka, budząca niepokój z innego względu, aniżeli tamta.

— Udam się na nią, powróciwszy z pierwszej — rzekł d'Artagnan. — Jedna jest naznaczona na godzinę pół do siódmej, druga na ósmą; starczy więc czasu na obie.

—Hm! jabym na tę drugą nie poszedł wcale oświadczył Aramis. — Dobrze wychowany kawaler nie może zlekceważyć schadzki, naznaczonej przez kobietę; natomiast rozważny szlachcic może się wytłumaczyć z niestawienia się na rozkaz Jego Eminencji, zwłaszcza, skoro ma powody przypuszczać, że nie po to go wezwano, aby mu prawić komplimenty.

— Podzielam najzupełniej przekonanie Aramisa — wtrącił Portos.

— Już raz, moi panowie, otrzymałem podobne zaproszenie za pośrednictwem pana de Cavois — odpowiedział d'Artagnan. — Nie stawiłem się, i zaraz nazajutrz padło na mnie straszne nieszczęście; porwana została Konstancja... Teraz więc pójdę bez względu na to, co się ze mną stać może.

— Jeżeli tak postanowiłeś, nie będę ci odradzał — rzekł Atos.

— A Bastylja? — spytał Aramis.

— Ba! przecież w razie potrzeby wyswobodzicie mię stamtąd.

— Oczywiście! — zawołali razem Aramis i Portos z taką pewnością siebie, jak gdyby urzeczywistnienie przyrzeczenia nie nastręczało żadnej zgoła trudności. — Oczywiście, wyswobodzimy cię stamtąd. Jednak ze względu na to, że już pojutrze mamy wyruszać w drogę, byłoby może lepiej nie narażaćsię na niebezpieczeństwo dostania się do Bastylji.

— Postąpimy inaczej, i to będzie pewniejsze — oświadczył Atos. — Nie opuścimy go dzisiaj wieczorem ani na chwilę i będziemy czekali nań przy bramach pałacu. Każdy zaś dobierze sobie do pomocy trzech muszkieterów, i gdybyśmy ujrzeli jaką ka-

retę o podejrzanym wyglądzie z opuszczonemi zasłonami drzwiczek wyjeżdżająca z bramy, uderzymy na nią niespodziewanie. Dawno już nie zaglądaliśmy w oczy gwadzistom pana kardynała, i pan de Treville gotów mniemać, że zamarła już w nas odwaga....

— Atosie! — zawołał Aramis, — jesteś stanowczo stworzony na wodza armji! Jak się wam ten plan podoba? — zwrócił się do innych.

— Przepyszny! — odpowiedzieli chórem młodzi ludzie.

— A zatem — oświadczył Portos — spieszę do pałacu pana de Treville i uprzedzę naszych towarzyszów broni, by byli gotowi na godzinę ósmą; spotkamy się z nimi na placu przed pałacem kardynała. Wy tymczasem każcie służącym osiodłać konie.

— Ja nie mam własnego konia — odezwał się d'Artagnan, — ale wezmę wierzchowca ze stajni pana de Treville.

— Niepotrzeba — przerwał mu Aramis; — możesz dosiąść jednego z moich koni.

— A ileż ty masz koni? — spytał d'Artagnan.

— Trzy odparł z uśmiechem Aramis.

— Mój drogi — zauważył Atos, — jesteś z największą pewnością nalepiej w całem królestwie Francji i Nawarry uposażonym poetą.

— Ależ, kochany Aramisie, na cóż ci aż trzy konie?

Nie pojmuję doprawdy, poco kupiłeś trzeciego...

— Bynajmniej go nie kupiłem. Przyprowadził mi go dzisiaj rano jakiś służący bez liberji,i przyczem nie chciał powiedzieć, u kogo służy, i tylko oświadczył, że wypełnia rozka zswojego pana.

— Albo swojej pani — podchwycił d'Artagnan.

To wszystko jedno — odpowiedział Aramis, rumieniąc się. — Oświadczył więc, że pani jego poleciła mu odprowadzić tego rumaka do mojej stajni, zabraniając wyjawić, od kogo pochodzi.

— No, no! tylko poetom zdarzają się podobne wypadki — odezwał się poważnie Atos.

— W każdym razie porozumiejmy się — mówił d'Artagnan. — Na którym z wierzchowców postanowiłeś jeździć? na tym, którego kupiłeś, czy też na otrzymanym w podarunku?

— Rozumie się, że na tym, którego mi podarowano. Pojmujesz przecie, d'Artagnanie, że nie mógłbym postąpić inaczej bez ubliżenia.....

— Nieznajomemu ofiarodawcy — dokończył d'Artagnan.

— Tajemniczej ofiarodawczyni — poprawił Atos.

— Więc koń, którego kupiłeś, nie będzie ci potrzebny?

— Mniej-więcej tak.

— Czy wybierałeś go sam?

— I to z największą uwagą. Wiesz przecie, że bezpieczeństwo jeźdźca zależy w głównej mierze od konia.

— Odstąpi mi go wtedy za cenę kupna.

— Zamierzałem właśnie ofiarować go tobie, drogi d'Artagnanie. pozostawiając ci dowolny czas na zrwócenie mi należności za tę drobnostkę.

— Ile zapłaciłeś za niego?

— Ośmset liwrów.

— Oto czterdzieści podwójnych pistolów, kochany przyjacielu — rzekł d'Artagnan, wyjmując pieniądze z kieszeni. — Wiem już, że taką monetą płacą ci za twoje poematy.

— Jesteś, jak widzę, kapitalistą.....

— Tak, mój drogi; jestem bogaty, co się zowie!

I mówiąc to, d'Artagnan brzęknął resztą posiadanych pistoli.

— Przyślij siodło do koszar muszkieterskich, a przyprowadzą ci tu konia razem z naszymi wierzchowcami.

— Doskonale! Ale dochodzi godzina piąta; spieszmy się!

W kwadrans później na rogu ulicy Ferou zjawił się na wspaniałym dzianecie Portos, a za nim na małym również ładnym owernijskim koniku jechał Mousqueon. Portos promieniał radością i dumą. Równocześnie na drugim rogu ulicy ukazał się na przepysznym kłusaku angielskim Aramis; Bazin pospieszał za nim na koniu rueńskim, wiodąc za uzdę silnego meklemburczyka, przeznaczonego dla d'Artagnana. Obaj muszkieterowie spotkali się przy bramie. Atos i d'Artagnan przyglądali się im z okna.

— Do licha! — zawołał Aramis, — przepysznego masz konia, Portosie!

— Tak jest — odparł Portos. — Jestto ten sam, którego miano mi przysłać odrazu, a w miejsce którego złośliwy mąż ofiarodawczyni podstawił innego. Ale za złośliwość został należycie ukarany... ja zaś otrzymałem zupełnie zadośćuczynienie.

Planchet i Grimaud stawili się również, wiodąc wierzchowce dla swoich panów. D'Artagnan i Atos zeszli przed dom, dosiedli koni i zrównali się z towarzyszami, poczem wszyscy czterej ru-

szyli w drogę: Atos na koniu, którego zawdzięczał żonie, — Portos na dzianecie, otrzymanym od prokuratorowej, — Aramis na wierzchowcu, podarowanym mu przez kochankę, — a d'Artagnan na rumaku, którego mu zesłała jego szczęśliwa gwiazda, najlepsza ze wszystkich kochanka.

Służący jechali za nimi.

Jak przewidział Portos, kalwakada sprawiała doskonałe wrażenie. I gdyby pani Coquenard, znalazłszy się tu przypadkiem na drodze, zobaczyła, jak wspaniale wyglądał Portos na swym pięknym hiszpańskim dzianecie, nie żałowałaby z pewnością spustoszeń, poczynionych w mężomskiej szkatule.

W pobliżu Luwru czterej przyjaciele spotkali pana de Treville, który właśnie powracał z Saint-Germain. Kapitan zatrzymał się i złożył im powinszowanie z powodu doskonałego wyglądu. W tej samej też chwili otoczyło ich kilkuset gapiów.

D'Artagnan skorzystał ze sposobności i opowiedział panu de Treville o otrzymanym liście z czerwoną pieczęcią i książęcymi herbami.

Pan de Treville pochwalił zamiar, powzięty przez d'Artagnana, przyczem zapewnił go, że, gdyby do dnia następnego nie miał o nim wiadomości, potrafi go odnaleźć, bez względu na to, gdzieby go ukryto.

W tej samej chwili zegary miejskie wybiły godzinę szóstą, więc czterej przyjaciele, usprawiedliwiwszy się umówioną schadzką, pożegnali co prędzej pana de Treville i puścili się cwałem w kierunku drogi, wiodącej do Chaillot.

Zmierzch już zapadał. Od czasu do czasu mijali przejeżdżające karety, d'Artagnan zaś, mając w pewnej odległości za sobą strzegących go przyjaciół, zaglądał w głąb każdego powozu, wszakże żadnej znajomej osoby w nich dotąd nie zauważył.

Wreszcie po kwadransie, gdy się już prawie całkiem zciemniło, spostrzegł nagle karetę, pędzącą cwałem drogą od strony Sevres. Jakieś przeczucie szepnęło mu, że właśnie ta kareta wiezie autorkę bileciku, i serce gwałtownie zabiło mu w piersi. Gdy się zrównał z powozem, wychyliła się z niego główka kobiety, która położyła na ustach dwa palce, jakgdyby chcąc mu nakazać milczenie lub przesłać pocałunek. Kobietą tą, a raczej tem zjawiskiem, bo powóz przemknął z szybkością błyskawicy, była pani Bonacieux. Mimowolnym odruchem, nie pamiętając o otrzy

manej wskazówce, d'Artagnan spiął konia ostrogami i w likka susach zrównał się z karetą. Ale drzwiczki jej były już zasłonięte.... Zjawisko znikło.

Wtedy przypomniał sobie d'Artagnan słowa listu: Jeżeli dbasz o życie własne i tych, którzy cię kochają, zachowaj się spokojnie, jakbyś nic nie zobaczył Zatrzymał się natychmiast w obawie nie o swoje życie, lecz o los tej biednej kobiety, która niezawodnie narażała się na ogromne niebezpieczeństwo naznaczając mu to spotkanie.

Kareta z panią Bonacieux, pędząc, co koń wyskoczy, wjechała do Paryża i zniknęła z oczu d'Artagnana.

On zaś stał jeszcze czas jakiś nieruchomo w miejscu, nie wiedząc, co sądzić o tem wszystkiem. Jeżeli była to rzeczywiście pani Bonacieux i jeżeli wracała na stałe do Paryża, to cóż miało znaczyć to przelotne spotkanie, ta krótko wymiana spojrzeń, ten pocałunek, rzucony w powietrze? Z drugiej strony, jeżeli to nie była ona, co wydawało się również możliwem, bo zapadający zmierzch nie wykluczał pomyłki, — jeżeli zatem nie była to ona, w takim razie czyż nie należało uważać tego za początek zemsty, wymierzonej przeciwko niemu? Wiedziano, że kochał tę kobietę, i skorzystano może z tej miłości, by go nią przynęcić.

Towarzysze zbliżyli się ku niemu, oświadczając wszyscy trzej, że w oknie karety widzieli doskonale głowę kobiecą, — żaden z wyjątkiem Atosa, nie znał pani Bonacieux. Zdaniem zaś Atosa, była to istotnie pani Bonaciex. Ale Atos, mniej od d'Artagnana porwany widokiem pięknej twarzyczki, dostrzegł także w głębi powozu drugą głowę, głowę mężczyzny.

— Jeżeli tak jest istotnie — rzekł wreszcie d'Artagnan, — to niewątpliwie przewożono ją z jednego więzienia do drugiego. Lecz co zamierzają uczynić z tą biedną istotą? i jakim sposobem możnaby ją teraz odnaleźć?

— Przyjacielu — odezwał się poważnie Atos, — pamiętaj, że tylko nieboszczyków nie można już spotkać na tym świecie. Przekonałeś się o tem równie dobrze, jak ja sam, nieprawdaż? Jeżeli zatem ukochana twoja żyje i jeżeli to ją właśnie widzieliśmy przed chwilą, odnajdziesz ją niewątpliwie, nie dzisiaj, to jutro... a może nawet, Bóg to raczy wiedzieć — dodał ze zwykłą zgryźliwością, — może nawet rychlej, aniżelibyś tego pragnął.

Wybiło pół do ósmej, kareta więc spóźniła się na umówione spotkanie o dwadzieścia minut.

Przyjaciele przypomnieli d'Artagnanowi, że ma się udać na drugie jeszcze spotkanie, — nadmienili wszakże, że lepiej byłoby cofnąć powzięte postanowienie. Ale d'Artagnan był zarazem uparty i zaciekawiony. Postanowił pójść do pałacu kardynała choćby w tym celu, by się dowiedzieć, co mu Jego Eminencja pragnie powiedzieć. I nic już nie mogło skłonić go do zaniechania zamiaru.

Przybywszy na ulicę Św. Honorjusza, zastali już zamówionych dwunastu muszkieterów, przechadzających się opodal pałacu kardynała w oczekiwaniu na towarzyszów. Teraz dopiero objaśniono ich, w jakim celu zostali wezwani.

Zacna kompanja muszkieterów królewskich znała dobrze d'Artagnana; wiedziano też, że lada dzień znajdzie się i on w szeregach muszkieterskich, i już zawczasu uważano go za towarzysza. Toteż wszyscy wezwani podjęli się najchętniej nieść mu pomoc wrazie potrzeby. Zresztą uśmiechała się im już sama sposobność wypłatania figla panu kardynałowi i jego zausznikom, a na to dzielni muszkieterowie byli zawsze gotowi.

Atos podzielił obecnych na trzy oddziały, sam obejmując dowództwo nad jednym z nich, a dwa pozostałe powierzając Portosowi i Aramisowi, poczem oddziały te stanęły na czatach przy trzech bramach pałacu — każdy przy jednej z nich.

D'Artagnan wszedł do wnętrza przez główną bramę.

Jakkolwiek młody Gaskończyk czuł poza sobą silne oparcie, nie mógł się jednak otrząsnąć z pewnego niepokoju, gdy, wcale się nie kwapiąc, wchodził wolno po wielkich schodach pałacu.

W jego postępku względem milady, o której był przekonany, że jakieś tajemne związki politycznej natury łączą ją z kardynałem, możnaby się dopatrzyć niejakich pozorów zdrady. A i de Wardes, któremu się d'Artagnan tak przysłużył był jednym z powierników kardynała. Wiedziano zaś powszechnie, że, o ile kardynał był nielitościwy dla swych wrogów, o tyle przyjaciołom swym okazywał wielką łaskawość.

— Jeżeli de Wardes opowiedział kardynałowi o naszem zajściu — rozumował d'Artagnan, — w co zresztą nie można wątpić, i jeżeli mnie poznał, co również jest bardzo prawdopodobne, w takim razie mogę się z góry uważać za skazanego. Dlaczego jednak kardynał zwlekał aż do dnia dzisiejszego? Hm! dlaczego? To bardzo proste: milady wniosła przeciwko mnie skargę, poparła ją zbolałym swym wyrazem twarzy, tak ujmu-

jącym, a ostatni mój względem niej występek przepełnił czarę po brzegi... Na szczęście — pocieszał się, — zacni przyjaciele moi czekają na dole i nie pozwolą uprowadzić mię stąd bezkarnie. — Natychmiast jednak pomyślał sobie: — Tak, ale pułk muszkieterów pana de Treville nie może wojować z kardynałem który rozporządza siłą zbrojną całej Francji i wobec którego królowa nie ma znaczenia, a król wolnej woli. Przyjacielu d'Artagnanie! jesteś dzielnym chłopcem, posiadasz niepospolite zalety, ale kobiety cię zgubią!...

Smutny ten wniosek wyciągnął właśnie w chwili, gdy wchodził do przedpokoju apartamentów Jego Eminencji. Wręczył list oficerowi służbowemu, który wprowadził go do sali poczekalnej, a sam udał się w głąb apartamentów pałacowych.

W sali gdzie znalazł się d'Artagnan, czekało pięciu czy sześciu gwardzistów pana kardynała. Poznawszy go i wiedząc, że to on porąbał Jussaca, zaczęli się ze szczególnemi minami uśmiechać.

Wydało się to d'Artagnanowi bardzo złą wróżbą. Ponieważ jednak nie łatwo było nastraszyć naszego Gaskończyka, a raczej ponieważ wrodzona Gaskończykom duma nie pozwalała mu nigdy okazywać tego, co się działo w jego duszy, zwłaszcza, gdy była to niepewność, przypominająca poniekąd trwogę, zachował się więc nasz młodzieniec dumnie wobec panów gwardzistów, wspierając się ręką na biodrze i postawą swą budząc szacunek.

Oficer wrócił, i d'Artagnan na dany znak poszedł za nim, przyczem zdawało mu się, że gdy odchodził, gwardziści poczęli coś szeptać między sobą. Przeszedł przez korytarz, a następnie przez wielką salę, i znalazł się w bibljotece, przed biurkiem, przy którem siedział jakiś jegomość i pisał .

Oficer, wprowadziwszy go, oddalił się, nie mówiąc ani słowa. D'Artagnan stał i obserwował piszącego. Zrazu sądził, że znajduje się wobec jakiegoś sędziego, przeglądającego akta jego sprawy. Niebawem jednak zauważył, że jegomość, siedzący przy biurku, pisze, a raczej poprawia wiersze nierównej długości, skandując zgłoski na palcach; stał więc wobec poety. Po chwili poeta zamknął manuskrypt, na okładce którego widniał tytuł: "Mirame", tragerja w pięciu aktach, — i podniósł głowę.

D'Artagnan poznał w nim kardynała.

XL.

STRASZNA ZJAWA.

Kardynał wsparł łokieć na rękopisie, głowę zaś na dłoni i przez chwilę wpatrywał się w młodzieńca. Nikt nie spoglądał nigdy tak głęboko i badawczo, jak kardynał Richelieu.

D'Artagnan uczuł, że spojrzenie to rozpala mu żyły, niby gorączka. Nie tracił jednak spokoju i, trzymając w ręku kapelusz, oczekiwał bez bytniej dumy, lecz i bez uniżoności, aż Jego Eminencja raczy przemówić.

— Pochodzisz pan z d'Artagnanów bearneńskich? — zapytał kardynał.

— Tak, Wasza Wielebność — odpowiedział młodzieniec.

— Istnieje kilka rodzin d'Artagnanów w Tarbes i w okolicy — Mówił kardynał; — z której z nich pan się wywodzisz?

— Jestem synem tego d'Artagnan, który brał udział w wojnach religijnych pod wodzą wielkiego króla Henryka, ojca miłościwie nam panującego Króla Jego Mości.

— Tak, to się zgadza. Przed sześciu czy siedmiu miesiącami przybyłeś pan tutaj ze stron rodzinnych, aby szukać szczęścia w stolicy?

— Tak, Eminencjo.

— Jechałeś pan przez Meung, gdzie spotkała cię jakaś przygoda... nie pamiętam już w tej chwili, jaka.

— Eminencjo — odpowiedział d'Artagnan, — zdarzyło się....

— Nie trzeba, nie trzeba! — przerwał kardynał z uśmiechem, dowodzącym, że wiedział o wszystkiem równie dobrze, jak Gaskończyk. — Miałeś pan list polecający do pana de Treville, nieprawdaż?

— Tak jest, Eminencjo; ale właśnie podczas owego nieszczęsnego zajścia, jakimi się przytrafiło w Meung....

— List zaginął — dokończył kardynał. — Tak jest, wiem o tem. Ale pan de Treville jest znakomitym fizjognomistą, poznającym ludzi z pierwszego wejrzenia.... to też umieścił pana w

oddziale swego szwagra, pana des Essarts, pozostawiając panu nadzieję, że lada dzień dostaniesz się w szeregi muszkieterskie.

— Wasza Eminencja posiada doskonałe wiadomości — potwierdził d'Artagnan.

— Od tego czasu wydarzyło się panu niejedno: przechadzałeś się pan kiedyś poza klasztorem Kartuzów, aczkolwiek lepiej byłoby dla pana, gdybyś dnia tego znajdował się gdzieindziej; odbyłeś pan z przyjaciółmi podróż do wód w Forges, przyczem towarzysze zostali zatrzymani po drodze, a pan pojechałeś dalej, w czem zresztą nie było nic dziewnego, skoro pewne sprawy powoływały pana do Anglji....

— Eminencjo — rzekł zmieszany d'Artagnan, — udawałem się tam.....

— Na polowanie, do Windsoru, czy też gdzieindziej... Nikomu nic do tego... Wiem o tem, bo obowiązkiem moim jest wiedzieć o wszystkiem. Po powrocie zostałeś pan powołany przed pewną dostojną osobistość, i z przyjemnością stwierdzam, że przechowujesz dar, od niej otrzymany.

D'Artagnan miał na palcu djament, otrzymany od królowej; zapomniał był zostawić go w domu, — teraz zaś na uwagę, uczynioną przez kardynała, odwrócił szybko pierścień kamieniem do dłoni. Był to, rozumie się, odruch spóźniony.

— Nazajutrz — mówił dalej kardynał — odwiedził pana pan de Cavois, prosząc, abyś przybył do mego pałacu; nie posłuchałeś pan wezwania.... i źle uczyniłeś.

— Obawiałem się, żem wpadł w niełaskę Waszej Eminencji...

— I z jakiegoż to powodu, mój panie? Czy za to, że wypełniałeś pan rozkazy swoich przełożonych z taką gorliwością i odwagą, do jakich nikt inny nie byłby zdolny?.... Z tego powodu miałbyś wpadać w niełaskę u mnie?.... Przeciwnie, mogłeś za to spodziewać się chyba tylko mej pochwały! Karzę jedynie tych, którzy mi okazują nieposłuszeństwo, nie zaś tego rodzaju ludzi, jak pan, którzy są posłuszni... aż nazbyt.... A na dowód tego przypomnij pan sobie datę dnia, gdy poleciłem wezwać pana do siebie.... przypomnij pan sobie, co się wydarzyło tego samego wieczora.

W ten to właśnie wieczór porwano panią Bonaciex.

D'Artagnan wzdrygnął się na samo wspomnienie, że zaledwie przed pół godziną nieszczęśliwa kobieta znajdowała się w pobli-

żu niego, niewątpliwie i tym razem uwożona z woli tej potęgi, która poprzednio spowodowała jej porwanie.

— Nakoniec — mówił dalej kardynał, — ponieważ od pewnego czasu nie słyszałem nic o panu, zapragnąłem dowiedzieć się, co się z panem dzieje. Zresztą powinieneś wspominać mnie z wdzięcznością; zauważyłeś zapewne, jakie względy okazywano panu we wszystkich okolicznościach.

D'Artagnan pochylił z szacunkiem głowę.

— Wynikało zaś to — ciągnął kardynał dalej — nietylko z mego poczucia sprawiedliwości, ale miało też swe źródło i w pewnym planie, jaki co do pana powziąłem.

D'Artagnana ogarniało coraz większe zdumienie.

— Chciałem przedstawić panu ów plan właśnie tego dnia, gdy otrzymałeś po raz pierwszy moje wezwanie. Ale nie zjawiłeś się pan u mnie. Na szczęście zwłoka ta nie spowodowała nic złego, i dzisiaj dowiesz się o wszystkiem. Siadaj pan, panie d'Artagnanie, tu, przedemną; zanadto dobrym jesteś szlachcicem, aby słuchać stojąc.

I przy tych słowach ruchem ręki wskazał kardynał młodemu człowiekowi stojące obok krzesło. Ale d'Artagnan był nazbyt oszołomiony niespodziankami, jakie go tu spotkały, i usiadł dopiero wtedy, gdy karydnał powtórzył wezwanie.

— Jesteś pan dzielnym młodzieńcem, panie d'Artagnanie — mówił kardynał, — a co więcej, jesteś rozważnym człowiekiem. Lubię ludzi, posiadających zalety umysłu i serca. Nie przerażaj się pan — dodał z uśmiechem, — nazywam tu ludźmi serca tych którzy są dzielni i nieustraszeni. Ale, chociaż jesteś pan młody i wchodzisz w świat zaledwie, masz już potężnych nieprzyjaciół, i jeżeli nie będziesz się miał na baczności, zgubią pana!

— Niestety, Eminencjo — odpowiedział młody człowiek, — przyjdzie im to z łatwością, gdyż są silni i posiadają dobre oparcie, ja zaś w przeciwstawieniu jestem sam.

— Tak, to prawda. Lecz chociaż jesteś pan sam, dokazałeś już niejednego, i nie wątpię, że dokażesz więcej. Sądzę wszakże, że w awanturniczej karjerze, jaką sobie obrałeś, potrzebujesz kierownika. Nie pomylę się bowiem, twierdząc, że przywiodła pana do Paryża ambicja i pragnienie zdobycia tu powodzenia...

— Jestem w tym wieku, w którym się miewa szalone nadzieje — odparł d'Artagnan.

— Szalonemi mogą być one tylko u głupców, a pan odznaczasz się niezwykłym umysłem. Cobyś pan powiedział, gdybym panu dał w mojej gwardji stopień chorążego, a po wyprawie wojennej stanowisko dowódzcy oddziału?

— Ach, Eminencjo!

— Godzisz się pan, nieprawdaż?

— Eminencjo! — odparł d'Artagnan z zakłopotaniem.

— Jakto? odrzucasz pan moją propozycję? — zawołał kardynał ze zdziwieniem .

— Służę w gwardji Jego Królewskiej Mości, Eminencjo, i nie mam powodu do niezadowolenia.

— Zdaje mi się — mówił kardynał, — że i moja gwardja należy do składu armji Jego Królewskiej Mości i że ten, kto służy w armji francuskiej, służy tem samem królowi.

— Wasza Eminencja źle zrozumiał moje słowa...

— Chodzi panu zapewne o jakiś pozór dla takiej zmiany, nieprawdaż? Rozumiem. Otóż pozór ten znaleźć bardzo łatwo. Awans, rozpoczynająca się wyprawa wojenna, sposobność, jaką panu daję, oto wytłumaczenie przed światem. Przed samym sobą zaś wytłumaczysz pan przyjęcie mojej propozycji potrzebą uzyskania silnej i pewnej protekcji. Przytem, powtarzam, brak panu w karjerze kierownictwa. Bo powinieneś wiedzieć, mości d'Artagnanie, że dochodzą mych uszu bardzo poważne skargi na pana; nie poświęcasz bynajmniej wszystkich dni i nocy służbie królewskiej....

D'Artagnan zarumienił się.

— Zresztą — kończył kardynał, kładąc rękę na grubym stosie papierów, — mam tu właśnie przed sobą wszystkie akty, dotyczące pana. Pragnąłem jednak, zanim je przeczytam, pomówić z panem. Wiem, że jesteś człowiekiem, ważącym się na wszystko a czyny pańskie dobrze pokierowane mogą przynieść panu wiele dobrego, zamiast prowadzić go na złą drogę. Zastanów się pan tedy poważnie i powiedz, co o tem sądzisz.

— Dobroć Waszej Eminencji zawstydza mię — odpowiedział d'Artagnan. — Dowodzi ona wzniosłości ducha, wobec której czuję się nędznym, niby robak ziemny. Ponieważ jednak Wasza Eminencja pozwala mi mówić szczerze...

Tu d'Artagnan zawahał się na chwilę.

— Proszę, niech pan mówi.

— A więc powiem Waszej Eminencji, że znalazłbym się w niezwykle trudnem położeniu.... Wszyscy moi przyjaciele służą w oddziałach muszkieterów i gwardji królewskiej, a natomiast nieprzyjaciele, fatalnym jakimś zbiegiem okoliczności, znajdują się w służbie Waszej Eminencji. Gdybym zatem przyjął propozycję, jedni uważaliby mi to za złe, drudzy zaś patrzyliby na mnie niechętnie.

— Czyżbyś pan sądził w przesadnej swej dumie, że ofiarowuję panu zamało w porównaniu z jego wartością? — spytał kardynał z ironicznym uśmiechem.

—Wasza Eminencja jest dla mnie niesłychanie dobry, i przeciwnie, zdaje mi się, że nie uczyniłem nic jeszcze, aby na tę dobroć zasłużyć. Niebawem jednak rozpoczyna się oblężenie Rochelli; będę walczył pod okiem Waszej Emineniji, i jeżeli przypadnie mi w udziale to szczęście, że zdołam się w jakiś sposób odznaczyć, w sposób, któryby zwrócił uwagę Waszej Eminencji, wówczas będę przynajmniej mógł się chlubić czemś, coby usprawiedliiwało okazaną mi łaskawość. Wszystko czas okaże.. I jeżeli mi szczęście posłuży, zdobędę może prawo oddania się sam na usługi Waszej Eminencji; dzisiaj sprawiałoby to wrażenie, jakgdybym się sprzedał...

— Innemi słowy: nie chcesz pan wejść w moją służbę — rzekł kardynał tonem oburzenia, lecz nie pozbawionym pewnego szacunku. — Pozostań pan zatem wolnym i zachowaj nadal swe nienawiści i sympatje.

— Eminencjo....

— Dobrze, dobrze — przerwał kardynał. — Nie mam żalu do pana. Powinieneś jednak rozumieć, że bronienie przyjaciół i wynagradzanie ich jest kłopotliwe do tego stopnia, iż dla przyjaciół nic już nie pozostaje. Dam panu wszakże pewną radę: strzeż się pan, panie d'Artagnanie, albowiem z chwilą, gdy wypuszczę pana z mojej opieki, nie dałbym już ani grosza za pańskie życie.

— Będę się miał na baczności, Wasza Eminencjo — odparł Gaskończyk z szlachetną pewnością siebie.

— A w chwili, gdy cię dotknie nieszczęście — mówił kardynał, podkreślając te słowa, — przypomnij pan sobie, że to ja sam szukałem pana i czyniłem wszystko, co możliwe, aby uchronić go przed tem nieszczęściem.

— Cokolwiek mię spotka — oświadczył d'Artagnan, kładąc rękę na piersi i pochylając głowę, — żywić będę dozgonną wdzięczność dla Waszej Eminencji za życzliwe słowa, jakie usłyszałem w tej chwili.

— Spotkamy się tedy, jak pan powiedziałeś, na polu walki, panie d'Artagnanie. Ponieważ zaś i ja się tam udaję — tu ręką wskazał kardynał przygotowaną dla siebie wspaniałą zbroję, — będę miał pana na oku... Po powrocie zaś z wyprawy wojennej porachujemy się....

— Ach, Eminencjo! — zawołał d'Artagnan, — oszczędź mi twej niełaski i, jeżeli raczysz uznać, że postąpiłem tu uczciwie, pozostań biernym.

— Młodzieńcze — rzekł Richelieu, — jeżeli kiedyś jeszcze będę mógł powtórzyć ci dzisiejsze moje słowa, przyrzekam, że to uczynię.

Ten ostatni zwrot Richelieu'go wyrażał tak wielką wątpliwość, że przeraził d'Artagnana bardziej, aniżeli groźba, był bowiem ostrzeżeniem, — ostrzeżeniem o jakiemś grożącem mu niebezpieczeństwie. D'Artagnan otwierał już usta, aby odpowiedzieć, lecz kardynał pożegnał go wyniosłym ruchem ręki.

D'Artagnan skierował się ku wyjściu. Lecz na progu serce niemal przestało mu bić w piersi; niewiele brakowało, a byłby się cofnął. Wnet jednak przyszła mu na myśl poważna, surowa postać Atosa. Gdyby przyjął propozycję, jaką mu kardynał przedstawił, Atos nie podałby mu więcej ręki.. Atos wyparłby się go napewno.... I tylko obawa przed tem powstrzymała go ostatecznie, — tak silny bowiem wpływ wywiera na swe otoczenie istotnie wielki charakter.

D'Artagnan zeszedł na dół tymi samymi wielkimi schodami, którymi był tu przybył, a zastawszy przed bramą Atosa oraz czterech muszkieterów, oczekujących go i już nieco zaniepokojonych, jednem słowem rozwiał ich obawy. Planchet pospieszył natychmiast zawiadomić innych, że niema potrzeby stać dłużej na czatach, bo pan jego wyszedł zdrowo i cało z pałacu kardynała.

Po powrocie do mieszkania Atosa d'Artagnan zaspokoił ciekawość Aramisa i Portosa, którzy poczęli go wypytywać o przyczynę tak niezwykłego zaproszenia do kardynała, i objaśnił ich, że pan de Richelieu wezwał go, aby zaproponować mu wstąpie-

nię do swej gwardji ze stopniem chorążego. Gdy się zaś dowiedzieli, że d'Artagnan propozycję tę odrzucił, zgodnie pochwalili jego postępek. Jedynie Atos zadumany milczał i dopiero po wyjściu Aramisa i Portosa odezwał się:

— Postąpiłeś tak, jak powinieneś był postąpić, d'Artagnanie... Ale być może, że dla swej karjery uczyniłeś źle....

D'Artagnan westchnął, bo głos ten dziwnie się zgadzał z jakimś tajemnym głosem wewnętrznym, przepowiadającym mu wielkie oczekujące go nieszczęścia.

Dzień następny upłynął na przygotowaniach do wyprawy. D'Artagnan poszedł pożegnać pana de Treville. Przypuszczano jeszcze w tej chwili, że rozłączenie muszkieterów i gwardji będzie jedynie chwilowe, — król bowiem miał w tym dniu uczestniczyć w obradach parlamentu, a nazajutrz wyruszyć również na pole walki. Pan de Treville zapytał przedewszystkiem d'Artagnana, czy może mu w czemś dopomódz, na co tenże z dumą odpowiedział, że posiada wszystko, co mu było potrzebne.

Wieczorem wszyscy towarzysze z oddziału gwardji pana des Essarts i z oddziału muszkieterów pana de Treville, których łączyła wzajemna przyjaźń, zebrali się na wspólną biesiadę i, jak łatwo się domyślić spędzono noc niezwykle burzliwie, albowiem w podobnych wypadkach wszelkie niepokoje można zagłuszyć jedynie wielką wesołością. Rozstawano się wszakże w nadzieli spotkania się, kiedy się Bogu spodoba i jeżeli wogóle spodoba się Bogu.

Rano na pierwszy dźwięk trąbki przyjaciele rozłączyli się: muszkieterowie pospieszyli do pałacu pana de Treville, gwardzieści zaś do koszar pana des Essarts. Obaj kapitanowie poprowadzili natychimast swe oddziału do Luwru, gdzie król miał odbyć przegląd wojsk.

Król był smutny i jakby cierpiący, co pozbawiało go poniekąd rycerskiej postawy. Istotnie dnia poprzedniego roków sądowych dostał ataku febry. Tem niemniej postanawiał wyruszyć wieczorem w drogę i, pomimo wszelkich udzielanych mu rad, chciał przedtem odbyć przegląd wojsk, w nadziei, że rozruszawszy się, przezwycięży ogarniającą go słabość.

Po ukończeniu przeglądu wyruszyła z miasta jedynie gwardja, — muszkieterowie bowie mmieli towarzyszyć królowi. Dzię-

ki tej zwłoce Portos miał jeszcze dość czasu, by przejechać się po ulicy Niedźwiedziej i pochwalić się swem pysznem umundurowaniem i wspaniałym rumakiem. Pani prokuratorowa zanadto go kochała, by, ujrzawszy go przejeżdżającego, nie poprosić go przed rozstaniem do siebie. Dała mu zatem znak, aby zsiadł z konia i odwiedził ją w domu. Portos wyglądał wspaniale: dźwięczały mu u nóg ostrogi, promieniał na piersiach pancerz, szpada dumnie trącała po łydkach tym razem pomocnicy nie odważyli się na najlżejszy uśmieszek; Portos miał minę obcinacza uszu.

Zaprowadzono też muszkietera do pana Coquenard. Szare jego oczy rozbłysły zazdrosnym gniewem, gdy ujrzał kuzyna w błyszczącym nowym stroju i patrzącą na niego z zachwytem żonę swoją. Pocieszył się wszakże myślą, że według powszechnego mniemania wyprawa miała być ciężka, więc żywił w głębi serca słodką nadzieję, że Portos legnie na polu walki.

Pożegnał się wreszcie Portos czule z panem Coquenar, który życzy mu wszelkiej pomyślności, a następnie z panią Coquenard nie mogącą powstrzymać łez, których nikt jednak nie tłumaczył fałszywie, gdyż wiedziano, że kochała bardzo swoich krewnych i niejednokrotnie staczała z mężem ciężkie z ich powodu utarczki.

Istotnie wszakże pożegnanie pani Coquenard z Portosem odbyło się dopiero w jej pokoju, a było wprost rodzierające. Gdy zaś wreszcie wsiadł na konia i odjechał, prokuratorowa, dopóki go tylko mogła dojrzeć, wywijała mu na pożegnanie chusteczką, wychylając się przez okno tak gwałtownie, jakgdyby miała zamiar rzucić się z piętra na dół. Portos przyjmował te oznaki czułości z miną człowieka, przywykłego do podobnych manifestacji, i dopiero na rogu ulicy odwróciwszy się ku niej, uniósł w górę kapelusz na znak pożegnania.

Aramis tymczasem u siebie w domu pisał długi list. Do kogo? — nie wiedział nikt. W przyległym pokoju oczekiwała Ketty, która jeszcze tego samego wieczora miała wyruszyć do Tours. Atos wypijał małymi łykami ostatnią flaszkę swego hiszpańskiego wina. d'Artagnan maszerował już w szeregach swego pułku.

Przechodząc przez przedmieście Świętgo Antoniego, młody nasz Gaskończyk odwrócił się i spojrzał wesoło na Bastylję. Szko

da wszakże, iż dzięki temu nie zauważył innej rzeczy, mianowicie przejeżdżającej na izabellowatym koniu milady, która wskazywała go właśnie palcem dwom bardzo podejrzanie wyglądającym drabom. Zbliżyli się oni natychmiast ku szeregom, aby go dobrze zapamiętać, zapytali jeszcze wzrokiem, czy to on istotnie, a milady, potwierdziwszy im skinieniem głowy, podcięła konia i odjechała, pewna już, że rozkazy jej zostaną wypełnione bez pomyłki.

Dwaj podejrzani ludzie szli jakiś czas, obserwując d'Artagnana, a na granicy przedmieścia Świętego Antoniego dosiadłszy koni, z którymi czekał tu na nich jakiś służący bez liberji, pospieszyli za pułkiem.

XLI.

OBLĘŻENIE ROCHELLI.

Oblężenie Rochelli było jednem z najdonioślejszych wydarzeń politycznych za panowania Ludwika XIII i jednem z największych przedsięwzięć wojennych kardynała, — wypada więc tutaj, a nawet jeszcze rzeczą konieczną podać o niem niektóre wiadomości, tem bardziej, iż wiele szczegółów tego oblężenia wiąże się ściśle z historją, jaką zamierzyliśmy opowiedzieć.

Kardynał, przedsiębiorąc to oblężenie, miał bardzo poważne plany polityczne. Wyłuszczmy je tedy, zanim zajmiemy się rozpatrzeniem osobistych planów Jego Eminencji, które miały może dla niego nie mniejszą wagę.

Z potężnych miast, jakie Henryk IV przeznaczył hugenotom na miejsce schronienia, pozostała im już tylko jedna Rochella. Chodziło zatem o zniszczenie tej ostatniej twierdzy kalwinizmu, a tem samem usunięcie niebezpiecznego fermentu, z którym wiązały się bez przerwy żywioły buntów domowych lub wojen zagranicznych. Hiszpanie, Anglicy, Włosi — awanturnicy rozmaitych narodowości, rycerze przemysłu, należący do wszelakich sekt, stawali na pierwsze wezwanie pod sztandarami protestantyzmu i organizowali się w rozległe stowarzyszenie, którego odnogi sięgały do wszystkich punktów Europy.

Rochella wskutek upadku innych miast kalwińskich nabrała nowego znaczenia, — stała się ogniskiem niezgody i wygórowanych pożądań. Co więcej, port jej był ostatniem otwartem wejściem do królestwa francuskiego dla Anglików. Zamykając ten port przed Anglją, odwiecznym wrogiem Francji, zamierzał kardynał dokończyć dzieło, zapoczątkowane przez Joannę d'Arc i księcia Gwizyusza.

Toteż Bassompierre, będący zarazem protestantem i katolikiem — protestantem z przekonania, a katolikiem jako komandor Świętego Ducha, — Bassompierre, Niemiec z urodzenia, lecz sercem Francuz, — Bassompierre wreszcie, wyłączny do-

wódzca oblężenia Rochelli, mawiał niejednokrotnie do innych magnatów protestanckich, podobnie jak on myślących:

— Zobaczycie, panowie, że będziemy o tyle głupi, iż zdobędziemy Rochellę!

I Bassompierre miał słuszność: zbombardowanie wyspy Re pociągnęło za sobą wypadki w Cevennes, — zdobycie Rochelli było wstępem do edyktu nantejskiego.

Jak to już jednak wspomnieliśmy, obok tych planów ministra, burzącego i upraszczającego w ten sposób położenie, planów należących do historji, grały wcale niepoślednią rolę drobne plany człowieka zakochanego i zazdrosnego rywala, które kronikarz musi również uwzględnić. Richelieu, jak wiadomo kochał się w królowej. Nie umiemy powiedzieć, czy miłość jego miała jakieś polityczne tylko cele, czy też była jednem z tylh głębokich uczuć, jakie Anna Austrjaczka wzbudzała w całem swem otoczeniu, — w każdym jednak razie, jak to widać z poprzednich wypadków naszego opowiadania, Buckingham zatriumfował na kardynałem, a dwa czy trzy razy, zwłaszcza w sprawie zapinek, dzięki poświęceniu trzech muszkieterów i odwadze d'Artagnana, zakpił okrutnie z kardynała.

Chodziło zatem Richelieu'mu nietylko o uwolnienie Francji od wroga, lecz również o zemstę nad rywalem. Zresztą zemsta miała być wielka i godna człowieka, który, jako szpadę bojową, dzierżył w swem ręku siły zbrojne całego królestwa.

Richelieu wiedział, że, walcząc z Anglją, walczy z Buckinghamem, — wiedział, że, odnosząc triumf nad Anglją, odniesie równocześnie triumf i nad Buckinghamem, — wiedział, że, upokarzając Anglję w oczach Europy, upokorzy Buckinghama w oczach królowej.

Podobnie Buckingham, mając przedewszystkiem honor Anglji na względzie, ożywiony był równocześnie takiemi samemi, jak kardynał, nadziejami. I on także pragnął osobistej pomsty. A nie mogąc pod żadnym pozorem wejść do Francji, jako ambasador, zapragnął wejść tam, jako zwycięzca.

To też istotną stawką tej gry jaka rozgrywała się między dwoma najpotężniejszemi mocarstwami w celu zadowolenia ambicji dwóch zakochanych ludzi, były oczy Anny Austrjaczki.

Pierwszy triumf przypadł w udziale księciu de Buckingham. Niespodziewanie pojawił się koło wyspy Re, prowadząc dziewięć dziesiąt okrętów i około dwóch tysięcy ludzi, — niespodziewa-

nie napadł na hrabiego de Toirac rządzącego wyspą w imieniu króla, i po krwawej utarczce wylądował.

Wspomnimy tu nawiasem, że w utarczce tej zginął baron de Chantal, osierocając ośmnastoletnią córeczkę. Dziewczynką tą był późniejsza pani de Sevigne.

Hrabia de Toirac cofnął się do cytadeli Świętego Marcina z całą swą armją, pozostawiając jedynie jakąś setkę żołnierzy w małej forteczce, noszącej nazwę La Pree.

Wypadek ten przyspieszył działalność kardynała; nie czekając, aż król i on sam obejmą naczelne dowództwo nad oblężeniem Rochelli, co było już postanowione, wyprawił na pole walki brata królewskiego, zlecając mu kierownictwo nad pierwszemi operacjami wojennemi, i rozkazał gromadzić na terenie wojennym wszystkie siły zbrojne, jakiemi mógł rozporządzać.

Do tego to właśnie przedniego oddziału wojsk należał nasz przyjaciel, d'Artagnan.

Jak już wspomnieliśmy, król miał wyruszyć za główną armją zaraz po ukończonych roków sądowych. I istotnie, pomimo ataku febry, któremu uległ w dniu 23-im czerwca, wstając z sędziowskiego kreszła, tegoż dnia jeszcze wyruszył w drogę. Pogarszający się wszakże stan zdrowia zmusił go do zatrzymania się w Villeroi, a z nim razem musieli się też zatrzymać i jego muszkieterowie. Stąd wynikło, że d'Artagnan, wyruszywszy wraz z gwardją dalej, został odłączony na czas jakiś od swych dobrych przyjaciół, Atosa, Portosa i Aramisa. A rozłąka ta, prócz żalu z powodu rozstania, byłaby go z pewnością bardzo poważnie zaniepokoiła, gdyby mógł przeczuć, jak straszne ze wszech stron groziły mu niebezpieczeństwa. Szczęśliwie wszakże, bez żadnej złej przygody, przybył około dziesiątego września 1627 roku do obozu pod Rochellą.

Sytuacja na polu wojny była bez zmiany: książe Buckingham i jego armja angielska, zająwszy wyspę Re oblegali bezskutecznie na razie cytadelę Świętego Marcina i forteczkę La Pree, a z drugiej strony od dwóch czy trzech dni rozpoczęto pierwsze kroki nieprzyjacielskie przeciwko Rochelli, posiłkując się obwarowaniami, jakie wzniósł książę d'Angouleme tuż pod bokiem miasta.

Gwardja pod dowództwem pana des Essarts rozłożyła się obozem w Minimes.

D'Artagnan, jak wiemy, ogarnięty pragnieniem dostania się jak najprędzej w szeregi muszkieterskie, nie bardzo przyjaźnił się z towarzyszami broni; wolał samotność, wśród której oddawał się rozmyślaniom. A rozmyślania te nie były wesołe. Od dwóch lat, odkąd przybył do Paryża, rzucił się w wir spraw publicznych, a natomiast co się tyczy spraw osobistych, nic właściwie nie uczynił dla siebie — tak w miłości, jak i w zdobywaniu fortuny. Jedyną kobietą, którą naprawdę pookchał, była pani Bonacieux. Ta jednak zniknęła bez śladu, i nie mógł się jeszcze dotąd dowiedzieć, co się z nią istotnie dzieje. Co do fortuny zaś, a właściwie karjery, zamiast ją zdobyć, on, chudopachołek, pozyskał sobie wroga w panu kardynale, więc w człowieku przed którym drżeli najpotężniejsi w państwie, nie wyłączając samego króla. I jedynie pocieszało d'Artagnana to, że kardynał, który mógł go w jednej chwili zetrzeć na proch, nie uczynił tego dotychczas, — ta zaś pobłażliwość dla spostrzegawczego umysłu naszego młodego Gaskończyka była jakby światełkiem, dzięki któremu spoglądał spokojniej w przyszłość. Prócz tego uczynił sobie jeszcze innego wroga, mniej wprawdzie ,jak sądził, groźnego, ale bądź co bądź wroga, którego nie można było lekceważyć. Wrogiem tym była milady. Wzamian osiągnął poparcie i życzliwość królowej. Ale w owych czasach życzliwość ta mogła być raczej jeszcze jednym powodem do prześladowania go, poparcie zaś z jej strony nie miało zgoła żadnego znaczenia, czego dowodem były losy pana Chalais i pani Bonacieux. Największą wartość ze wszystkiego, co pozyskał dotąd, mógł mieć dar królowej — djament w ipierścieniu, który miał na palcu, szacowany na pięć do sześciu tysięcy liwrów. Zważywszy jednak, że ożywiony ambitnymi projektami d'Artagnan postanowił go zachować, aby kiedyś w przyszłości był dlań dowodem wdzięczności królowej, zważywszy to, trzeba stwierdzić, że klejnot ów, dopóki nie spieniężony błyszczał na jego palcu, nie miał właściwie większej wartości, aniżeli kamienie, po jakich d'Artagnan stąpał w tej chwili, znalazłszy się samotnie na malowniczej dróżce, wiodącej z obozu do miasteczka d'Angoutin.

Pogrążony w rozmyślaniach o tem wszystkiem, młody nasz Gaskończyk zaszedł dalej, aniżeli zamierzał, i ani się spostrzegł, jak słońce zbliżyło się ku zachodowi.

Nagle w ostatnich jego promieniach ujrzał d'Artagnan poza przydrożnym płotem błyszczącą lufę rusznicy. Dzięki bystremu

wzrokowi i wielkiej przytomności umysłu zrozumiał w jednej chwili, że rusznica nie znalazła się tu sama i że człowiek, który ją trzyma, nie żywi z pewnością przyjacielskich względem niego zamiarów, — postanowił tedy natychmiast wyjść na czyste pole. Zaledwie jednak uczynił parę kroków, gdy ujrzał i z drugiej strony wychylający się z poza skały wylot rusznicy. Nie mógł już wątpić, że to zasadzka na niego. Spojrzał instynktowo na pierwszą lufę i stwierdził z pewnem zaniepokojeniem, że obniża się ona w jego kierunku. Uchwyciwszy chwilę, gdy zatrzymała się nieruchomo, d'Artagnan rzucił się plackiem naziemię i w tejże chwili słyszał strzał oraz świst kuli nad swoją głową. Nie było czasu do stracenia. Zerwał się nasz Gaskończyk na nogi a prawie równocześnie kula z drugiego muszkietu wzbiła w górę kupkę kamyków na tem właśnie miejscu, z którego dopiero co się podniósł.

D'Artagnan nie należał do tych nierozważnych junaków, którzy gotowi się narazić nawet na śmieszną śmierć, byle tylko nie cofnąć się na krok; zresztą na cóż przydałaby się tu odwaga, skoro wpadł w uplanowaną zasadzkę?

— Jeżeli padnie trzeci strzał — pomyślał wnet, — zginę niechybnie.

I wziąwszy nogi za pas, począł uciekać w kierunku obozu z chyżością, jaka cechuje jego ziomków z Gaskonji. Pomimo jednak, że biegł bardzo szybko, człowiek, który pierwszy strzelił do niego, miał dość czasu, by nabić broń powtórnie. Po chwili też rozległ się trzeci strzał — tym razem lepiej wymierzony, gdyż kula, przeszywszy kapelusz d'Artagnana, zrzuciła mu go z głowy na odległość dziesięciu kroków.

Ponieważ d'Artagnan nie posiadał innego kapelusza, podniósł go szybkim ruchem, nie zatrzymując się w biegu, i po paru minutach, zadyszany i wybladły, dopadł do swego namiotu. Nie opowiadając nikomu o swej przygodzie, usiadł i zaczął się zastanawiać.

Zdarzenie to mogło mieć trzy przyczyny. Prawdopobdonie była to zasadzka oblężonych mieszkańców Rochelli, którym musiało się uśmiechać zabicie jednego z gwardzistów Jego Królewskiej Mości i zmniejszenie w ten sposób wrogiej armji choćby o jednego żołnierza, zwłaszcza, gdy można się było spodziewać, że żołnierz ten ma w kieszeni dobrze naładowaną kieskę. D'Artagnan wziął kapelusz do ręki, obejrzał dziurę, uczynioną

przez kulę, i pokiwał głową. Nie była to kula z muszkietu, lecz z rusznicy, a celny strzał kazał przypuścić, że wystrzelono ze szczególnie doskonałej rboni. Wobec tego zaś, że strzał pochodził z broni niewojskowej, upadło przypuszczenie zasadzki wojennej. — A więc był to może miły podarunek, pochodzący od pana kardynała.... Czytelnik przypomina sobie zapewne, że właśnie w chwili, gdy dobroczynny błysk promieni słoneczych pozwolił d'Artagnanowi zauważyć lufę rusznicy, rozmyślał on nad względnością, okazywaną mu przep Jego Eminencję. Ale rozważywszy to, d'Artagnan raz jeszcze potrząsnął głową. Kardynał rzadko używał podobnych środków wobec ludzi, kótrych mógł dosięgnąć jednem poruszeniem ręki. — Mogła to być zatem zemsta milady. I to wydawało się najbardziej prawdopodobnem.

Napróżno usiłował przypomnieć sobie rysy twarzy lub ubrania; uciekając szybko przed nimi, nie zdołał nic z tego zauważyć.

— Och, kochani moi przyjaciele! — szeptał d'Artagnan, — jakże mi was brak tutaj!

Tej nocy d'Artagnan spał bardzo źle. Trzy czy cztery razy zrywał się z łóżka, doznając wrażenia, że jakiś człowiek zbliża się ku niemu, aby go zasztyletować. Wreszcie światło dnia rozproszyło ciemności, które jednak nie naraziły go na żadną zgoła przygodę. Ale d'Artagnan rozumiał dobrze, że to, co się odwlekło, nie minęło bynajmniej bezpowrotnie. Przez cały dzień nie opuszczał namiotu, tłumacząc to sam przed sobą brzydką pogodą.

Nazajutrz o godzinie dziewiątej zrana apel wezwał żołnierzy do szeregów. Książę Orleanu odbywał przegląd wojsk. Gwardja stanęła pod bronią, i d'Artagnan zajął miejsce wśród towarzyszów. Jegomość brat królewski przejechał przed frontem armji; wyżsi oficerowie zbliżyli się ku niemu, aby go powitać, wśród nich zaś i kapitan gwardzistów, pan des Essarts. D'Artagnan, stojąc w szeregach, przyglądał się temu powitaniu, gdy w pewnej chwili wydało mu się że pan des Essarts siknął na niego by się przybliżył. Sądząc wszakże, że mu się to tylko wydawało, oczekiwał powtórnego skinienia swego przełożonego, i dopiero dostrzegłszy ponowny znak, wysunął się z szeregów, aby wysłuchać rozkazu.

— Książę potrzebuje kilku odważnych ludzi do wypełnienia pewnego niebezpiecznego zlecenia, mogącego jednak okryć chwa

łą tych, którzy go dokonają. Dlatego dałem ci znak, abyś był gotów.

— Dziękuję, kapitanie! — odparł d'Artagnan, który niczego nie pragnął więcej, jak odznaczyć się pod okiem naczelnego wodza.

Zdarzyło się, że mieszkańcy Rochelli przedsięwzięli podczas nocy wycieczkę z oblężonej twierdzy i zdobyli z powrotem forteczkę, którą przed dwoma dniami zajęły wojska królewskie. Obecnie chodziło o to, aby wysłać pod jej mury rekonesans w celu stwierdzenia, jakie siły zbrojne tam się znajdują.

Istotnie po niedługiej chwili książę Orleański odezwał się doniosłym głosem:

— Potrzeba mi trzech lub czterech ochotników pod wodzą jakiego pewnego zucha.

— Jeżeli chodzi o pewnego zucha, nie trzeba go daleko szukać, Wasza Wysokość — rzekł pan des Essarts, wskazując ręką d'Artagnana. — Skoro zaś Wasza Wysokość objawi swe zamiary, nie zbraknie i trzech czy czterech ochotników .

— Szukam czterech ludzi, którzyby poszli ze mną ochotnie choćby na śmierć — zawołał d'Artagnan, podnosząc szpadę.

Natychmiast stanęło obok niego dwóch towarzyszy z szeregów gwardyjskich, a do nich przyłączyli się dwaj żołnierze z pod innego sztandaru, — wymagana liczba była więć już w pogotowiu. D'Artagnan odmówił innym zgłaszającym się w dalszym ciągu, nie chcąc czynić krzywdy tym, którzy stawili się pierwsi.

Nie było wiadomo, czy mieszkańcy Rochelli po zajęciu forteczki opuścili ją, czy też pozostawili w niej zbrojną załogę, — należało więc zbadać wspomniane miejsce, aby się dokładnie o tem przekonać.

D'Artagnan ruszył ze swymi czterema towarzyszami wzdłuż okopów; dwaj gwadziści szli w jednym z nim rzędzie, — żołnierze nieco z tyłu. Kryjąc się w okopach, dotarli na odległość mniej-więcej stu kroków od forteczki, i tutaj d'Artagnan odwrócił się, by wydać żołnierzom jakieś zlecenie, ale ci gdzieś znikli. Przypuszczając, że ze strachu pozostali w tyle, ruszył z dwoma towarzyszami dalej. Minąwszy boczną szkarpę, zbliżyli się niemal na szcześćdziesiąt kroków do forteczki. Naokół nie było widać nikogo, i można było sądzić, że forteczka jest opuszczona.

Trzej towarzysze, znalazłszy się na straconej placówce poczęli się naradzać, co począć dalej, gdy w tem chmura dymu zakryła przed ich oczyma kamienne mury, a kilkanaście kul świsnęło nad głową d'Artagnana i jego dwóch kolegów. Dowiedzieli się więc tego, czego mieli się dowiedzieć: w forteczce znajdowała się załoga.

Bezużytecznem i nierozważnem byłoby pozostawać dłużej w tem tak niebezpiecznem miejscu, więc d'Artagnan i jego towarzysze rozpoczęli odwrót, mający wszelkie pozory ucieczki.

Gdy przybyli na skraj okopów, które miały ich zasłonić przed nieprzyjaciółmi, jeden z gwardzistów runął na ziemię; kula przeszyła mu piersi. Drugi gwardzista umykał dalej ku obozowi. D'Artagnan atoli, nie chcąc opuszczać ranionego towarzysza, schylił się, aby go podnieść i dopomódz mu wrócić do obozu, gdy w tejże samej chwili zabrzmiały znowu dwa strzały, i jedna z kul roztrzaskała głowę ranionego gwardzisty, a druga, przeleciawszy o dwa cale nad głową d'Artagnana, spłaszczyła się o pobliską skałę.

Młody człowiek odwrócił się szybko, by się rozejrzeć. Atak nie mógł pochodzić z forteczki, albowiem przed strzałami stamtąd osłaniały uciekających okopy. W tejże samej chwili przyszli mu na myśl dwaj żołnierze, którzy tak tajemniczo zniknęli, a równocześnie przypomniał sobie dwóch morderców, którzy poprzedniego dnia wykonali zamach na niego. Zorjentowawszy się w jednej sekundzie, postanowił tym razem dowiedzieć się prawdy, i udając zabitego, padł na zwłoki swego towarzysza.

Niebawem wychylił się z poza opuszczonych obwarowań w odległości jakichś trzydziestu kroków dwie głowy ludzkie, i d'Artagnan poznał owych dwóch zbiegłych żołnierzy. Nie pomylił się zatem; ludzie ci poszli za nim jedynie w celu zamordowania go, przyczem spodziewali się, że śmierć jego będzie policzona na karb strzałów nieprzyjacielskich. Ponieważ zaś przyszło im na myśl, że jeżeli d'Artagnan został tylko raniony, to może donieść władzy o ich zbrodni, więc zbliżali się teraz ku niemu, by go dobić. Na szczęście, zwiedzeni fortelem Gaskończyka, nie nabili powtórnie rusznic. I oto, gdy znaleźli się zaledwie o dziesięć kroków od niego, d'Artagnan, który padając nie wypuścił szpady z ręki, zerwał się nagle i jednym skokiem stanął przed nimi.

Mordercy zdawali sobie z tego sprawę, że gdyby uciekli do obozu, nie położywszy trupem młodzieńca, zostaliby przez niego oskarżeni o zbrodnię. Zanim wszakże rzucili się do ucieczki w stronę oblężonego miasta, jeden z nich chwycił rusznicę za lufę i, posługując się nią, niby maczugą, wymierzył z ogromnym rozmachem straszny cios w stronę d'Artagnana. Młodzieniec, uskoczywszy na bok, uniknął uderzenia, ale jednocześnie otworzył wolną drogę bandycie, który natychmiast pomknął ku forteczce. Zauważyli to obrońcy forteczki, a nie wiedząc, w jakich zamiarach drab biegnie ku nim, dali ognia, i bandyta ze strzaskanem od kuli ramieniem runął na ziemię.

Tymczasem d'Artagnan, podniósłszy szpadę, rzucił się na drugiego żołnierza. Walka z nim wszakże nie trwała długo, gdyż nędznik miał na swą obronę jedynie nienabitą rusznicę. Szpada Gaskończyka odparła cios nieużytecznej broni i przeszyła udo mordercy, a gdy się powalił na ziemię, d'Artagnan z błyskawiczną szybkością oparł mu ostrze jej na gardle.

— Och! daruj mi życie, panie oficerze! — wołał bandyta. — Łaski! łaski! Wyjawię panu wszystko!

— Czy jednak to, co mi powiesz, warte jest twojego życia? — pytał młody człowiek, odwlekając zadanie śmiertelnego ciosu.

— Och, tak! jeżeli się ceni swoje życie, będąc tak młodym i dzielnym, jak pan jesteś, i mogąc wobec dwudziestu dwóch lat zaledwie osiągnąć wszystko....

— Nędzniku !— wołał d'Artagnan, — gadaj natychmiast, z czyjego polecenia usiłowałeś mię zamordować!

— Z rozkazu kobiety, której nie znam, lecz którą nazywają "milady".

— Jakimże sposobem wiesz, że ją tak nazywają, skoro, jak twierdzisz, nie znasz jej wcale?

— Zna ją mój towarzysz, i on to właśnie tak ją nazywał; z nim się też układała, a nie ze mną. Przytem posiada on w kieszeni list tej damy, list, który może mieć dla pana doniosłe znaczenie, o ile mogłem wywnioskować ze słów, jakie od niego słyszałem....

— A dlaczego ty uczestniczyłeś w tym napadzie?

— Zaproponował mi, abyśmy we dwóch podjęli się tej roboty, ja zaś zgodziłem się na to.

— I jakąż sumę otrzymaliście za podjęcie się tej pięknej wyprawy?

— Sto luidorów.

— Wcale nieźle — rzekł młody człowiek, uśmiechnąwszy się. — Dowodzi to, że jestem coś wart. Sto luidorów! to już majątek dla dwóch takich łotrów, jak wy. Teraz pojmuję że mogłeś się zgodzić.... I nawet gotów jestem darować ci życie, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim, panie? — zapytał żołnierz, któremu trwoga śmiertelnymi potami wciąż oblewała czoło.

— Oto pójdziesz i wyjmiesz list z kieszeni swego towarzysza.

— Ależ to, panie, także śmierć pewna, tylko innego rodzaju! — zawołał bandyta. — Gdybym poszedł po ten list, naraziłbym się na kule z fortecy...

— Ruszaj i przynieś mi ten list natychmiast, bo przysięgam, że w przeciwnym razie zginiesz z mojej ręki.

— Łaski, panie! ulituj się nademną! zaklinam cię na imię tej młodej kobiety, którą kochasz i którą może uważasz za umarłą, a która żyje jeszcze! — wołał bandyta, podnosząc się na kolana i opierając się na ręku, gdyż w miarę upływu krwi tracił coraz bardziej siły.

— Skąd wiesz, że istnieje kobieta, którą kocham, i że uważam tę kobietę za nieżyjącą? — spytał d'Artagnan.

— To wszystko jest powiedziane w tym liście, który ma w kieszeni mój towarzysz.

— Widzisz więc sam, że list ten muszę mieć bezwarunkowo — oświadczył d'Artagnan. — Nie zwlekaj zatem, nie wahaj się się dłużej, bo chociaż wstrętem przejmuje mię myśl umoczenia powtórnie szpady w krwi takiego jak ty łotra, to jednak przysięgam na honor uczciwego człowiena...

I przy tych słowach d'Artagnan uczynił tak groźny gest, że raniony zerwał się na nogi.

— Wstrzymaj się, panie! wstrzymaj się! — wołał bandyta, odzyskując pod wpływem strachu odwagę. — Już idę! idę!

D'Artagnan odebrał żołnierzowi rusznicę, a gdy się drab koło niego zatoczył z osłabienia, popędził go ku towarzyszowi, uderzając w lędźwie rękojeścią szpady.

Strasznym był widok tego nieszczęśliwca, który śladami krwi znacząc swą drogę, blady, jak oczekująca go niebawem śmierć, usiłował dowlec się do ciała wspólnika, dogorywającego w odległości mniej-więcej dwudziestu kroków. Na oblanej zimnym potem twarzy jego malowało się przytem tak strasznie przeraże-

nie, że d'Artagnan uczuł litość dla nędznika i, spoglądając na niego z pogardą, odezwał się:

— Stój! Pokażę ci różnicę między człowiekiem odważnym a takim, jak ty, tchórzem! Zaczekaj! pójdę sam!

I szybkim krokiem, baczny na wszystko, a przedewszystkiem na wszelkie poruszenia wrogów na murach forteczki, wyzyskując przytem wszystkie nierówności terenu, d'Artagnan dotarł aż do drugiego żołnierza.

Miał do wyboru: albo zrewidować łotra na miejscu, albo zabrać go z sobą i, posłużywszy się jego ciałem, jako puklerzem, obszukać go dopiero pod osłoną wałów. D'Artagnan wybrał drugi sposób i zarzucił sobie ciało ranionego na ramię właśnie w chwili, gdy nieprzyjaciele dali ognia. Lekkie wstrząśnienie, głuchy trzask trzech kul, rozdzierających ciało, ostatni jęk i drganie przedśmiertne przekonały d'Artagnana, że ten, który chciał go zamordować, ocalił mu teraz życie.

Dostawszy się z powrotem poza wały, młodzieniec rzucił trupa obok rannego, który był równie blady, jak nieboszczyk, i natychmiast zajął się obszukaniem jego kieszeni: skórzana torba, kieska, zawierająca niewątpliwie część sumy, otrzymanej przez bandytę za morderstwo, kubek i kości do gry były całą spuścizną po zabitym. D'Artagnan pozostawił kubek i kości do gry tam, gdzie padły, kieskę rzucił rannemu i z pośpiechem otworzył skórzaną torbę. Wśród rozmaitych papierów bez wartości odnalazł następujący list, dla zdobycia którego narażał życie:

"Ponieważ straciliście ślad tej kobiety, która znajduje się obecnie bezpieczna w klasztorze, dokąd nie powinniście jej byli dopuścić, starajcie się przynajmniej nie chybić tego człowieka. Wiecie, że rękę mam długą i że potrafię was dosięgnąć. A więc wrazie niewykonania moich rozkazów zapłacicie drogo za te sto luidorów, jakie otrzymaliście odemnie."

Podpisu nie było. Nie mogło wszakże ulegać żadnej wątpliwości, że list pochodził od milady, i dlatego d'Artagnan schował go starannie, jako niezbity przeciw niej dowód, poczem zabezpieczony przed strzałami nieprzyjaciół występem wału, jął badać rannego. Drab wyznał, że wspólnie z zabitym obecnie towarzyszem podjął się porwać młodą damę, która wyjechała z Paryża przez rogatki de La Villete, — że jednak zatrzymali się

po drodze w jakieś karczmie, by się napić po kieliszku, wskutek czego spóźnili się, — powóz wyprzedził ich o dziesięć minut.

— Co polecono wam uczynić z tą kobietą? — pytał z trwogą d'Artagnan.

— Mieliśmy ją odwieźć do pałacu przy placu Królewskim — odpowiedział raniony.

— Więc tak, jak przypuszczałem — pomyślał d'Artagnan — do milady...

I zadrżał niepokojem, gdy uprzytomnił sobie teraz, jak strasznie pragnienie zemsty żywiła ta kobieta, skoro chciała zniszczyć nietylko jego samego, ale i tych, których on kochał, — i jak była wtajemniczona we wszystkie intrygi dworskie, jeżeli potrafiła wykryć wszystko. Wiadomości te zawdzięczała zapewne w niemałej mierze kardynałowi, — to nie ulegało wątpliwości.

Lecz, rozważając te różne wiążące się z sobą szczegóły, d'Artagnan doszedł ku wielkiej swej radości do przekonania, że królowa potrafiła wykryć, gdzie biedna pani Bonacieux pokutowała za swe przywiązanie, i wyswobodzić ją z niewoli. To tłumaczyło mu również liścik młodej kobiety i niedawny jej przejazd przez drogę do Chaillot, wydający mu się dziś niemal złudzeniem sennem.

Od tej chwili, jak mu to zresztą przepowiedział Atos, odnalezienie pani oBnacieux stało się zupełnie możliwem; klasztor przecie nie był niezdobytą twierdzą.

Przekonanie to oddziałało kojąco na jego serce. Odwrócił się do ranionego bandyty, który z niepokojem śledził malujące się na jego twarzy wrażenia, i wyciągając ku niemu rękę, rzekł:

—Nie chcę pozostawiać cię tutaj; ruszajmy w drogę. Oprzyj się na mojem ramieniu. Wracamy do obozu.

— Dobrze, panie! — odpowiedział raniony, który nie chciał uwierzyć w podobną wspaniałomyślność d'Artagnana. — Ale czy nie poprowadzi mię pan do obozu poto, by kazać mię tam powiesić?

— Poręczyłem słowem honoru, że daruję ci życie — odparł d'Artagnan. — A teraz oto darowuję ci je poraz wtóry.

Ranny zaczął na klęczkach ponownie całować nogi swego wybawiciela. Lecz d'Artagnan nie miał już żadnej zgoła przyczyny zostawać dłużej tak blisko stanowiska wrogów, więc, rychło ukróciwszy objawy jego wdzięczności, skierował się wraz z nim w stronę obozu.

Tymczasem gwardzista, który był umknął z pod forteczki po pierwszych wystrzałach, opowiedział w obozie, że czterej jego towarzysze zginęli. Można tedy wyobrazić sobie, jakie w pułku zapanowało zdumienie i powszechna radość, gdy ujrzano młodego człowieka, powracającego cało i zdrowo!

D'Artagnan, wytłumaczywszy ranę swego towarzysza i śmierć drugiego żołnierza niespodzianą wycieczką wrogów z forteczki, opowiedził też, na jakie niebezpieczeństwa byli narażeni, i wywołał wśród słuchaczy niezwykłe wrażenie. Wyprawa ta uczyniła zeń prawdziwego triumfatora, i przez cały dzień armja tylko o nim mówiła, a jegomość brat królewski polecił wyrazić mu swe zadowolenie.

Ponieważ zaś każdy dzielny czyn daje człowiekowi pewne zadowolenie wewnętrzne, więc i czyn d'Artagnana przyniósł mu jakiś błogi spokój, którego tak bardzo potrzebował. I wydało mu się, że rzeczywiście może już być spokojny, skoro jeden z jego wrogów poległ, drugi zaś był mu teraz wiernie oddany.

Ale spokój ten dowodził tylko, że d'Artagnan nie znał jeszcze milady.

XLII.

WINO ANDEGAWEŃSKIE.

Po beznadziejnych prawie wiadomościach o zdrowiu króla nadeszły do obozu wieści, że zaczyna się ono poprawiać i że nieodwołalnem życzeniem monarchy jest stanąć osobiście na czele oblężenia, więc skoro tylko będzie mógł dosiąść konia, wyruszy natychmiast w drogę.

Tymczasem brat królewski, w tem przekonaniu, że lada dzień zastąpi go w dowództwie ktoś inny, czyto książę d'Angouleme, czy Bassompierre lub Schomberg, którzy zresztą już spierali się o władzę, nie czynił nic prawie, tracąc dnie na małe podjazdy i nie odważając się przedsięwziąć ani jednego energiczniejszego kroku dla wypędzenia z wyspy Re Anglików, którzy ciągle przypuszczali szturmy do cytadeli Świętego Marcina i do fortecy de La Pree, podczas gdy Francuzi ze swej strony oblegali Rochellę.

D'Artagnan, jak wspomnieliśmy, po zniweczeniu urządzonych na jego życie zamachów odzyskał zupełny spokój, co dzieje się zawsze, gdy ktoś uniknie niebezpieczeństwa i mniema, że przeminęło ono nazawsze. Dreczyła go obecnie jedna tylko troska, a mianowicie, że nic wiedział, co się dzieje z jego przyjaciółmi. Ale i tę zagadkę wyjaśnił mu wreszcie list, który w pierwszych dniach listopada nadszedł z Charleroi jednocześnie z adresowaną na jego imię posyłką. List zawierał, co następuje:

"Panie d'Artagnanie!

Panowie Atos, Portos i Aramis po odbytym u mnie sutym bankiecie, rozweseliwszy się nieco, hałasowali tak bardzo, że dowódzca policji królewskiej, człowiek nader surowy, zamknął ich na kilka dni w areszcie. Tymczasem, wypełniając otrzymane od nich polecenie, przesyłam panu dwanaście flaszek mojego wina andegaweńskiego, które im ogromnie smakowało. Pragną oni, abyś pan ten ulubiony przez nich trunek, wypił za ich zdrowie.

Donosząc o tem z całem uszanowaniem, pozostaję pańskim uniżonym i oddanym sługą.

Godeau.

oberżysta panów muszkieterów."

— Poczciwcy! — zawołał d'Artagnan, — myślą o mnie przy zabawie, tak samo, jak ja myślę o nich, nudząc się tutaj. Oczywiście wypiję za ich zdrowie, i to z całego serca... Ale nie będę pił sam.

I pobiegł natychmiast do dwóch gwardzistów, z którymi zawarł bliższą nieco znajomość, aby zaprosić ich na szklankę wyborowego wina andegaweńskiego, jakie mu nadesłano z Charleroi. Jednego z nich zaprosił jeszcze tego samego wieczoru, drugiego zaś w dniu następnym; wspólne zebranie naznaczono na trzeci dzień, to jest na pozajutrze.

Wróciwszy do domu, d'Artagnan odesłał dwanaście flaszek wina do obozowej kantyny gwardzistów, zalecając troskliwe ich przechowanie, a w dzień uroczystości, mimo, że uczta była naznaczona na godzinę południową, wysłał Plancheta już o godzinie dziewiątej rano, aby przygotował wszystko, czego wymagało jej urządzenie.

Planchet, dumny z wyniesienia go na godność marszałka dworu, starał się jak najlepiej sprostać zadaniu i dowieść przytem swej inteligencji. Do pomocy przybrał sobie służącego jednego z zaproszonych gwardzistów, nazwiskiem Fourreau, oraz rzekomego żołnierza, niedoszłego mordercy d'Artagnana, ktzry teraz, nie należąc do żadnego pułku, wszedł w służbę młodego człowieka, a raczej stał się pomocnikiem Plancheta.

Nadeszła godzina uczty. Gdy przybyli obaj zaproszeni, wnet zastawiono potrawy, i biesiadnicy zasiedli do stołu. Planchet, założywszy serwetę na ramię, usługiwał, Fourreau otwierał flaszki, a Brisemont (jak się nazywał rekonwalescent) przelewał do szklanych karafek wino, które po zmąceniu w podróży już się dostatecznie ustało. Pierwsza wskakże z otwartych flaszek miała jeszcze na spodzie nieco mętów, więc Brisemont zlał tej osad do szklanki, d'Artagnana pozwolił mu resztę wina z flaszki wypić, gdyż nieborak był jeszcze ciągle bardzo osłabiony.

Współbiesiadnicy zjedli już zupę i zamierzali właśnie wychylić pierwszą szklankę wina, gdy nagle z fortu Ludwika i z for-

tu t. zw. Nowego zabrzmiały wystrzały armatnie. Gwardziści, w przypuszczeniu, że jest to jakiś niespodziewany atak, bądź ze strony oblężonych, bądź też ze strony Anglików, chwycili szpady, d'Artagnan żwawo poszedł za ich przykładem, i wszyscy trzej wybiegli z kantyny, by podążyć na swe stanowiska. Zaledwie jednak znaleźli się poza kantyną obozową, dowiedzieli się o przyczynie alarmu. Naokół brzmiały gromkie okrzyki: "Niech żyje król!", "Niech żyje kardynał!", a odgłos bębnów rozlegał się ze wszystkich stron.

Istotnie król, zniecierpliwiony przymusową swą z powodu choroby bezczynnością, jak już wspomnieliśmy wyruszył z Shaillot i przybywał właśnie z całym swym dworem, prowadząc dziesięć tysięcy żołnierzy. Muszkieterowie towarzyszyli mu w przedniej i tylnej straży. D'Artagnan, znalazłszy się w szeregu, wypatrywał swych przyjaciół, a postrzegłszy ich nareszcie, pozdrowił wymownym ruchem, gdy przechodzili obok niego, jak również powitał pana de Treville, który poznał go natychmiast.

Po skończonej ceremonji przyjęcia króla w obozie czterej przyjaciele rzucili się sobie w objęcia.

— No, przyjaciele! — wołał d'Artagnan, — nie mogliście przybyć bardziej w porę. Mięsiwo nie wystygło jeszcze zapewne. Nieprawdaż, moi panowie? — dodał, zwracając się do dwóch gwardzistów, których przedstawił swym przyjaciołom.

— Aha! — rzekł Portos, — bankietujemy tu sobie, jak widzę.

— Mam nadzieję, że kobiet na tej uczcie niema — wtrącił Aramis.

— Ba! ważniejsza rzecz, czy jest w tej dziurze wino, któreby można pić? — pytał Atos.

— Ależ, na Boga, jest wasze właśnie wino, drodzy przyjaciele — odpowiedział d'Artagnan.

— Nasze wino? — zapytał Atos ze zdziwieniem.

— Tak jest, to wino, któreście mi przysłali.

— Myśmy przysłali wino?

— Wiecie przecież dobrze.... wino z wzgórz andegaweńskich...

— Tak, znam to wino.

— I lubisz je przecie.

— Niewątpliwie... gdy niema szampana lub chambertina.

— Zatem w braku szampana i chambertina musicie się niem zadowolnić.

— Więc sprowadziłeś sobie wina andegaweńskiego? No, no! stałeś się, jak widzę, smakoszem — mówił Portos.

— Ależ jest to toż samo wino, jakie otrzymałem od was.

— Od nas? — zapytali trzej muszkieterowie ze zdziwieniem.

— To ty, Aramisie, przysłałeś mu może to wino? — spytał Atos.

— Nie, nie posyłałem. Może Portos uczynił mu z niego prezent?

— Nic mu nie posyłałem. Chyba Atos....

— Ja również nic o tem nie wiem.

— Jeśli więc nie pochodzi ono od was — rzekł d'Artagnan, — to w każdym razie od waszego oberżysty.

— Od naszego oberżysty?

— Tak jest, od waszego oberżysty, Gordeau, tytułującego się oberżystą panów muszkieterów.

— Na honor! nie przeszkadza nam to, by je wypić, bez względu, skąd ono pochodzi — oświadczył Portos. — Jeżeli jest dobre napijemy się z ochotą.

— Jestem innego zdania — przerwał Atos. — Nie należy pić wina, które pochodzi z niewiadomego źródła.

— Masz słuszność, Atosie rzekł d'Artagnan. — Więc żaden z was nie dał polecenia oberżyście Godeau, aby mi przysłał to wino?

— Nie. I skąd ci to przyszło twierdzić, jakoby miało być ono przez nas przysłane?

— Oto list — rzekł d'Artagnan, podając papier przyjaciołom.

— To nie jego pismo — odezwał się Atos. — Znam je dobrze, bo przed wyjazdem, załatwiając z nim nasze wspólne rachunki, miałem możność je poznać.

— List ten jest sfałszowany — oświadczył Portos. — Nie byliśmy wcale zamknięci w areszcie.

— D'Artagnanie — rzekł Aramis tonem wyrzutu, — czyż mogłeś naprawdę przypuścić, abyśmy się aż na taką awanturę narazić byli w stanie?

D'Artagnan zbladł, i zimny dreszcz przebiegł mu ciało.

— Co ci jest, przyjacielu? — zapytał Atos, kładąc mu rękę na ramieniu. — Zbladłeś... przerażasz mię...

Tylko w wyjątkowych wypadkach Atos przemawiał do niego tak tkliwie.

— Chodźcie! chodźcie prędko, drodzy przyjaciele! — wołał d'Artagnan. — Straszne mam podejrzenie!... Czyżby to znowu zemsta tej kobiety?...

Na te słowa Atos zacisnął pięści.

D'Artagnan pobiegł ku obozowej kantynie, a za nim pospieszyli trzej muszkieterowie i obaj gwardziści.

Zaledwie weszli do sali stołowej, d'Artagnan ujrzał leżącego na ziemi i wijącego się w strasznych męczarniach Brisemonta. Planchet i Fourreau, obaj śmiertelnie bladzi, usiłowali nieść mu ratunek. Ale było widoczne, że żadna pomoc nie zda się tu już na nic: twarz nieszczęśliwego była wykrzywiona śmiertelnymi skurczami.

— Ach! zawołał umierający, spostrzegłszy d'Artagnana, — to niegodziwie! Darowałeś mi pan życie, aby mię następnie otruć....

— Ja miałbym to uczynić? — zakrzyknął d'Artagnan. — Co mówisz, nieszczęśliwy człowiecze?!

— Mówię, że to pan dałeś mi tego wina.... mówię, że kazałeś mi je pan wypić.... mówię, że pragnąłeś się pan na mnie zemścić..... Uważam to za niegodziwość!....

— Nie mó wtak, Brisemoncie — przekonywał d'Artagnan, — nie wierz temu! błagam cię, zaklinam....

— Och! jest jeszcze Bóg na niebie! On cię ukarze! Boże mój, spraw, aby i on tak kiedyś cierpiał, jak ja cierpię w tej chwili!

— Przysięgam ci na Ewangelję — wołał d'Artagnan, pochylając się nad umierającym, — przysięgam ci, że nie wiedziałem wcale, iż wino to było zatrute... Przysięgam ci, że miałem zamiar wypić je tak samo, jak ty...

— Nie wierzę! — odpowiedział żołnierz, wijąc się w boleściach, i po chwili skonał wśród strasznych męczarni.

— To okropne! — szeptał Atos, podczas gdy Portos tłukł flaszki, a Aramis wydawał spóźnione nieco polecenie, by sprowadzono spowiednika.

— Och, moi przyjaciele! — rzekł d'Artagnan, — jeszcze raz ocaliliście mi życie.... i nietylko mnie, bo również i tym oto towarzyszom moim. Panowie! — mówi dalej, zwracając się do obu

gwardzistów, — proszę was bardzo, abyście to, co się tu stało, zachowali w tajemnicy; w sprawę tę wmieszane są potężne osobistości, więc rozgłaszanie o tem sprowadziłby mogło na nasze głowy nieszczęśliwe następstwa!

— Ach, panie! — jąkał Planchet, obumierający z trwogi. — Ach, panie! tylko przypadkiem uniknąłem niebezpieczeństwa!

— Jakto, hultaju? — zawołał d'Artagnan, — więc i ty chciałeś się napić mojego wina?

— Chciałem wypić maleńki kieliszek, panie, za zdrowie króla, i byłbym to uczynił, gdyby Fourreau nie był mi powiedział, że mię wołają.

— Właściwie chciałem go stąd wyprawić, aby się samemu napić — przyznał się Fourreau, szczękając zębami z przerażenia.

— Wobec tego, co się stało — rzekł d'Artagnan, zwracając się do gwardzistów, — pojmujecie panowie, że uczta nasza musiałaby się nader smutno zakończyć. Proszę więc, raczcie mi wybaczyć, i odłóżmy nasze zebranie na inny dzień.

Obaj gwardziści z całą uprzejmością przyjęli usprawiedliwienie d'Artagnana i pożegnali go, by swoją obecnością nie krępować ścisłego przyjacielskiego kółka.

Skoro czterej przyjaciele pozostali bez świadków, spojrzeli po sobie wzrokiem, który dowodził, że pojmują całą grozę położenia.

— Przedewszystkiem wyjdźmy z tego pokoju — odezwał się Atos.— Niedobra to kompanja z człowiekiem który umarł, i to jeszcze gwałtowną śmiercią.

— Planchecie! — rzekł d'Artagnan, — zaopiekuj się zwłokami tego nieboraka. Niechaj je pochowają w poświęconej ziemi. Co pawda, popełnił zbrodnię, ale odpokutował za nią...

I czterej przyjaciele wyszli z pokoju, pozostawiając Planchetowi i Fourreau'wi trud oddania ostatniej posługi Brisemontowi.

Oberżysta dał im inny pokój, poczem przyniesiono im jajka, ugotowane na miękko ;czystej wody zaczerpnął sam Atos wprost ze studni. Podczas posiłku w kilku słowach wtajemniczono w sprawę Portosa i Aramisa.

— Widzisz więc, drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan do Atosa; — jak ci mówiłem, jest to walka na śmierć i życie.

Atos skinął głową.

— Tak, tak! — odparł, — widzę to dobrze. Sądzisz więc bez zastrzeżeń, że to ona?

— Jestem tego pewny.

— Co do mnie, przyznam ci się, że wątpię jeszcze.

— A ten kwiat lilji na ramieniu?

— Być może, że jest to Angielka, która dopuściła się we Francji jakiejś zbrodni, i zato w ten sposób ją napiętnowano....

— Zaręczam ci, Atosie, że to jest nie kto inny, lecz twoja żona — powtarzał d'Artagnan. — Przypomnij sobie, że rysopis zgadza się zupełnie.

— Byłem wszakże pewny, że tamta nie żyje; powiesiłem ją przecież tak dobrze, że trudno przypuścić, aby mogła się uratować.

D'Artagnan powątpiewająco potrząsnął głową.

— Ale ostatecznie co teraz czynić? — zapytał.

— Faktem jest, że ciężko żyć w ten sposób, z mieczem, zawieszonym ciągle nad głową — odparł Atos, — i trzeba koniecznie znaleźć jakieś wyjście z tego położenia.

— Ale jakie?

— Posłuchaj! Musisz ją odszukać i rozmówić się z nią stanowczo. Powiesz jej: pokój albo wojna! I dasz szlacheckie słowo, że nigdy nie powiesz o niej nic złego, że nigdy nic przeciw niej nie przedsięweźmiesz. A ona wzamian niech ci przyrzeknie, że zaniecha wszelkich przeciw tobie knowań. Gdyby zaś nie chciała się na to zgodzić, możesz jej zagrozić, że pójdziesz do kanclerza, wreszcie do króla samego, że sprowadzisz kata, podburzysz przeciwko niej dwór, że ogłosisz powszechnie, iż jest napiętnowana, i doprowadzisz do pociągnięcia jej przed sądy. Gdyby zaś sądy ją uwolniły, to możesz jej zagrozić pod słowem szlacheckiem, że zabijesz ją przy pierwszemlepszem spotkaniu w jakimkolwiek zaułku Paryża... że zabijesz ją, jak psa wściekłego....

— Podoba mi się dosyć ten sposób załatwienia sprawy — rzekł d'Artagnan. — Ale w jaki sposób ją odszukać.

— Czas, drogi przyjacielu, czas nastręczy ci sposobność; sposobność zaś jest walną pomocnicą człowieka. A im więcej się postawi na kartę, tem więcej się wygrywa, jeżeli się umie czekać.

— Tak, to prawda. Ale czekać w takich warunkach, mając w swem otoczeniu nieznanych morderców i trucicieli...

— Ba! — rzekł Atos, — Bóg miał nas dotąd w swej opiece, Bóg będzie nas strzegł i nadal.

— Nas samych, wierzę w to; zresztą jesteśmy mężczyznami i nieraz z obowiązku wypada nam narażać swe życie. Ale ona! — dodał półgłosem.

— Ona? — spytał Atos.

— Konstancja!

— Pani Bonacieux!... Prawda, biedny przyjacielu! zapomniałem, że jesteś zakochany — rzekł Atos.

— Czyż nie dowiedziałeś się z listu, znalezionego przy tym zabitym drabie, że znajduje się ona w klasztorze? — wtrącił Aramis. — W klasztorze zaś nic jej nie grozi. I zapewniam cię, że skoro tylko zakończy się oblężenie Rochelli, jak także....

— Dobrze! — przerwał Atos, — dobrze, mój drogi Aramisie! Znamy twoje religijne powołanie....

— Jestem muszkieterem tylko chwilowo — odparł z pokorą Aramis.

— Zdaje się, że już dawno nie otrzymał wiadomości od swej kochanki— zauważył pod nosem Atos. — Lecz nie zwracajmy na to uwagi; wszak znamy się na tem dobrze...

— Otóż — oświadczył Portos — byłby tu jeden bardzo prosty środek.

— Jaki? — spytał d'Artagnan.

— Mówicie, że znajduje się w klasztorze?

— Tak jest.

— Gdy się tedy skończy oblężenie, porwiemy ją z tego klasztoru.

— Przedewszystkiem jednak trzebaby wiedzieć, w którym ją klasztorze umieszczono.

— Hm! to prawda — mruknął Portos.

— Czy nie przypuszczasz jednak, drogi d'Artagnanie, że to z woli królowej umieszczono ją w murach klasztornych, jako w najpewniejszem schronieniu? — spytał Atos.

— Tak sądzę.

— Więc Portos dopomoże nam najprędzej odszukać ją.

— A to jakim sposobem?

— Za pośrednictwem swojej margrabiny, księżnej czy też księżniczki krwi królewskiej, która zapewne ma wielkie wpływy.

— Sza! — zawołał Portos, kładąc palec na ustach. — Zdaje mi się, że należy ona do stronników kardynała i wskutek tego nie może wiedzieć o niczem.

— Skoro tak — odezwał się Aramis, — ja podejmuję się wywiedzieć o wszystkiem.

— Ty, Aramisie? — zawołali równocześnie trzej przyjaciele. — A jakimże to sposobem zdobędziesz te wiadomości?

— Dowiem się przez jałmużnika królowej, z którym łączą mię związki przyjaźni — odparł Aramis, rumieniąc się.

Zadowoleni z tego postanowienia, spożywszy swój skromny posiłek, czterej przyjaciele rozstali się, obiecując sobie zejść się ponownie tegoż samego jeszcze wieczora.

D'Artagnan wrócił do Minimes, a trzej muszkieterowie udali się do królewskiej kwatery, gdzie mieli otrzymać pomieszczenie.

XLIII.

GOSPODA POD CZERWONYM GOŁĘBNIKIEM.

Tymczasem król, zaledwie przybył do obozu, począł się niecierpliwić, pragnąc jak najrychlej stanąć do rozprawy z wrogiem, gdyż zresztą obok pobudek politycznych słuszniejszy on miał powód, niżli kardynał, do nienawiści względem księcia Buckinghama, i chęci załatwienia się z nim. Wydał tedy odpowiednie rozkazy przedewszystkiem do ataku na Anglików w celu wyparcia ich z wyspy Re, a następnie zdobycia Rochelli. Nieporozumienia wszakże, jakie wynikły między panami Bassompierrem i Schomberg'iem a księciem d'Angouleme, opóźniały wszystko.

Panowie de Bassompierre i Schomberg, piastujący godność marszałków Francji, uważali siebie przed innymi za uprawnionych do dowodzenia armją pod rozkazami króla. Natomiast kardynał, który obawiał się, aby Bassompierre, w głębi duszy hugenota, nie okazał się zbyt łagodnym względem Anglików i współwyznawców swych, mieszkańców Rochelli, forytował księcia d'Angouleme, którego król, na jego nalegania, zamianował swym namiestnikiem. Stąd wynikło, że z obawy, aby panowie de Bassompierre i Schomberg nie usunęli się od udziału w wojnie, musiano ustanowić poszczególne dowództwa, przyczem Bassompiere rozłożył się obozem na północ od miasta — od La Leu aż po Dompierre, książę d'Angouleme na wschód — od Dompierre po Perigny i d'Angoutin.

Kwatera brata królewskiego znajdowała się w Dompierre, — król rezydował naprzemian w Etre i w La Jarrie, — nakoniec kwatera kardynała mieściła się na piaskach morskich koło mostu La Pierre, w nieobwarowanym, zwyczajnym domu. W ten sposób jegomość brat królewski miał na oku Bassompierre'a, król księcia d'Angouleme, a kardynał pana de Schomberg.

Po przeprowadzeniu tej organizacji zabrano się do wyparcia Anglików z wyspy.

Okoliczności układały się pomyślnie. Anglicy, którzy, aby być dobrymi żołnierzami, potrzebują przedewszystkiem dobrego jadła, żywili się tu jedynie solonem mięsem i zepsutymi sucharami, wskutek czego w obozie ich poczęły się szerzyć choroby. W dodatku morze, w tym okresie roku bardzo burzliwe na wszystkich wybrzeżach oceanu, codziennie niemal rozbijało o brzegi jakiś statek, i brzegi te, począwszy od le l'Aiguillon aż po okopy forteczne, po każdym przypływie morza były pokryte szczątkami strzaskanych łodzi żaglowych i szalup. Wobec tego nie ulegało wątpliwości, że choć armja królewska nie wyruszyła jeszcze z obozu, książe Buckingham pozostający na wyspie Re jedynie przez upór, pewnego dnia będzie zmuszony odstąpić od oblężenia. Ponieważ jednak pan de Toirac doniósł, że w obozie nieprzyjacielskim rozpoczęto przygotowania do nowego ataku, król osądził, że należy dążyć do zakończenia sprawy, i w celu przyspieszenia rozstrzygającego starcia wydał odpowiednie zarządzenia.

Nie mamy zamiaru opisywać tu wypadków każdego dnia oblężenia. Przeciwnie, postanowiliśmy mówić tu jedynie o tem, co ma jakikolwiek związek z naszą opowieścią. Wypada nam wszak że zaznaczyć, że ku wielkiemu zadowoleniu króla jegomości i chwale pana kardynała, rozprawa z księciem Buckingham zakończyła się świetnem zwycięstwem. Anglicy, wypierani krok za krokiem, pokonani we wszystkich potyczkach, rozbici w cieśninie koło wyspy Loix, musieli ratować się ucieczką na okręty, pozostawiając na polu walki dwa tysiące poległych żołnierzy, w tej liczbie pięciu pułkowników, trzech podpułkowników, dwustu pięćdziesięciu kapitanów i dwudziestu przedstawicieli wyborowej szlachty, przyczem stracili cztery działa i sześćdziesiąt sztandarów, które Klaudjusz de Saint-Simon zawiózł do Paryża i nader uroczyście zawiesił pod sklepieniami kościoła Notre-Dame.

W obozie odśpiewano "Te Deum", a stamtąd echo poniosło je przez całą Francję.

Kardynał tedy mógł skierować wszystkie siły ku oblężeniu Rochelli, nie obawiając się, przynajmniej na razie, żadnej dywersji ze strony Anglików.

Był to jednak chwilowy tylko spokój. Schwytano wkrótce wysłannika księcia Buckinghama i ze znalezionych przy nim papierów uzyskano niewątpliwe dowody, że między Cesarstwem,

Hiszpanją, Anglją i Lotaryngją zawiązało się przymierze, skierowane przeciwko Francji. A potwierdziły to następne dokumenty, znalezione w opustoszałej angielskiej kwaterze wojennej, którą książę Buckingham zmuszony był porzucić spieszniej, niż przewidywał. Dokumenty te, jak zapewnia w swych pamiętnikach pan kardynał, kompromitowały bardzo panią de Chevreuse, a tem samem i królową. Ponieważ zaś cała odpowiedzialność za sprawy państwa ciężyła na kardynale, nie można bowiem być samowładnym ministrem, nie ponosząc za wszystko odpowiedzialności, więc Jego Eminencja w dzień i w noc wytężał wszystkie zasoby swego genjalnego umysłu, aby nie stracić z uwagi najdrobniejszego nawet poruszenia w każdem z wielkich państw Europy. Richelieu znał energję, a przedewszystkiem nienawiść Buckinghama, i czuł to dobrze, czem mu grozi kierowany ręką jego sojusz przeciw Francji. Gdyby ten sojusz odniósł zwycięstwo, wówczas cały dotychczasowy wpływ kardynała w państwie przepadłby bezpowrotnie. Polityka hiszpańska i polityka austrjacka miały w gabinecie Luwru swoich przedstawicieli, miały też i stronników; on tedy, Richelieu, minister francuski, minister narodowy, z krwi i kości, runąłby w takich warunkach niechybnie. Król, posłuszny mu we wszystkiem, jak dziecko, ale i nienawidzący go, jak dziecko nienawidzi nauczyciela, oddałby go wówczas na pastwę osobistej zemsty brata królewskiego i królowej: byłby zgubiony, a razem z nim może i cała Francja. Należało temu zapobiedz.

Widziano też odtąd w owym małym domku przy moście de La Pierre, gdzie kardynał obrał sobie na czas wojny siedzibę, coraz liczniej przybywających z zmieniających się dniem i nocą gońców. Odwiedzali go więc tutaj dziwni zakonnicy, tak niezdarnie noszący swe habity, że łatwo można było poznać w nich ludzi, należących przedewszystkiem do kościoła wojującego; przybywały kobiety, przebrane za paziów i zakłopotane nieco swymi niezwykłymi kostjumami, których krój nie mógł całkowicie zamaskować zaokrąglonych ich kształtów; zjawiali się wreszcie wieśniacy z uczernionemi rękoma, lecz o zbyt zgrabnych nogach i wykwintnych ruchach, — wieśniacy, których o milę czuć było pańskością. Zdarzały się i mniej przyjemne odwiedziny; dwa czy trzy razy rozeszła się pogłoska, jakoby usiłowano kardynała zamordować. Co prawda, nieprzyjaciele Jego Eminencji twierdzili, że to on sam nasyła na siebie owych rzekomych morder-

ców, aby módz w razie potrzeby użyć prawa odwetu, — nie należy jednak nigdy wierzyć ani temu, co mówią ministrowie, ani w to, co opowiadają o nich ich wrogowie. Nie przeszkadzało to zresztą kardynałowi (któremu najzawziętsi nawet przeciwnicy nie odmawiali osobistej odwagi) odbywać nocne wycieczki czyto w celu zawiadomienia księcia d'Angouleme o szczególnie ważnych rozkazach, czy dla naradzenia się z królem w jakiejś sprawie, czy wreszcie dla rozmówienia się z wysłańcami, których kardynał nie chciał przyjmować u siebie w domu.

Muszkieterowie, nie mający przy oblężeniu miasta zbyt wiele zajęcia, nie byli trzymani krótko i wiedli życie wcale wesołe. A było to tem łatwiejsze, zwłaszcza dla naszych trzech znajomych, że, ciesząc się przyjaźnią pana de Treville, otrzymywali bez trudności szczególne pozwolenia na przebywanie poza obozem nawet po jego zamknięciu.

Pewnego dnia, gdy d'Artagnan, stojący na straży przy okopach, nie mógł im towarzyszyć Atos, Portos i Aramis, dosiadłszy koni i owinąwszy się w swe płaszcze żołnierskie, z ręką na kolbach pistoletów powracali we trójkę z małej oberży, jaką Atos wynalazł przed trzema dniami na drodze do La Jarrie, a którą nazywano gospodą "Pod Czerwonym Gołębnikiem". Jechali drogą, wiodącą do obozu, bacząc przytem pilnie, jak wspomnieliśmy, aby nie wpaść w jakąś zasadzkę. W odległości mniejwięcej ćwierć mili od wioski Boinar wydało im się, że słyszą tętent pędzących za nimi koni. Zatrzymali się wszyscy trzej natychmiast i, stanąwszy w ścieśnionym szeregu, oczekiwali na środku drogi. Po upływie chwili, gdy księżyc wynurzył się właśnie z poza chmur, ujrzeli na zakręcie drogi dwóch jeźdźców, którzy na ich widok zatrzymali się także, jakgdyby namyślając się, czy jechać dalej, czy zawrócić. Wahanie to wydało się trzem naszym przyjaciołom nieco podejrzanem, — Atos więc, wysunąwszy się kilka kroków naprzód, zawołał gromkim głosem:

— Kto idzie?

— To ja zapytam: kto idzie? — odparł jeden z jeźdźców.

— To nie odpowiedź! — zawołał Atos. — Kto idzie? Mówić, albo damy ognia!

— Zastanówcie się, panowie, najpierw nad tem, co chcecie uczynić — odezwał się teraz inny, dźwięczny głos, przyzwyczajony do rozkazywania.

— Zapewne jakiś wyższy oficer, odbywający patrol nocny — rzekł Atos do towarzyszów. — Co robić?

— Kto jesteście? — pytał ten sam głos rozkazującym tonem. — Odpowiadajcie, lub pożałujecie gorzko nieposłuszeństwa.

— Jesteśmy muszkieterowie królewscy — odparł Atos, coraz bardziej przekonany, że człowiek, który ich wypytywał, miał do tego prawo.

— Z oddziału pana de Treville.

— Zbliżcie się w szeregu i zdajcie sprawę z tego, co tu o tej godzinie robicie.

Trzej towarzysze posunęli się naprzód, nieco stropieni, gdyż teraz już przestali wątpić, że znajdują się wobec potężniejszych od siebie. Atosowi pozostawili trud wytłumaczenia się.

Jeździec o dźwięcznym głosie, który odezwał się był do nich drugi, wyprzedził teraz o jakieś dziesięć kroków swego towarzysza, co widząc Atos dał znak Portosowi i Aramisowi, aby również pozostali z tyłu, a sam wysunął się naprzód.

— Wybacz pan, panie oficerze — odezwał się Atos. — Nie wiedzieliśmy, z kim się spotykamy... Lecz przekonałeś się pan sam, że dobrze pełnimy straż.

— Pańskie nazwisko? — zapytał oficer, zakrywając część oblicza fałdami płaszcza.

— Ależ to ja pana poproszę przedewszystkiem, mój panie — zaczął Atos, oburzony nieusprawiedliwionem badaniem, — ja pana proszę, abyś dał nam dowód, że masz prawo nas wypytywać.

— Pańskie nazwisko? — powtórzył po raz drugi jeździec, opuszczając teraz połę płaszcza tak, że można było dojrzeć jego oblicze.

— Pan kardynał? — zawołał zdumiony muszkieter.

— Pańskie nazwisko? — powtórzył po raz trzeci Jego Eminencja.

— Atos — odrzekł muszkieter.

Kardynał skinął na giermka, aby się zbliżył.

— Ci trzej muszkieterowie pojadą z nami — odezwał się doń półgłosem. — Nie chcę, aby wiedziano, że wyjechałem z obozu; zabierając ich z sobą, będę miał pewność, że nie powiedzą o tem nikomu.

— Jesteśmy szlachtą, Wasza Eminencjo — rzekł Atos; — zażądaj od nas słowa honoru i nie kłopoc się tą sprawą. Dzięki Bogu, umiemy dochowywać tajemnicy.

Kardynał utkwił przeszywające spojrzenie w śmiałym mówcy.

— Masz pan doskonały słuch, panie Atosie — rzekł. — Posłuchaj jednak, co ci powiem: bynajmniej nie z powodu nieufności proszę was, panowie, abyście mi towarzyszyli, lecz jedynie dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Jeżeli się nie mylę, towarzyszami pańskimi są panowie Portos i Aramis.

— Tak jest, Wasza Eminencjo — odpowiedział Atos, podczas gdy dwaj muszkieterowie, pozostający dotąd na uboczu, zbliżyli się z kapeluszami w ręku.

— Znam was, panowie — mówił kardynał, — znam was i wiem, że nie jesteście moimi przyjaciółmi, nad czem zresztą ubolewam.... Wiem jednak także, że jesteście dzielną i prawą szlachtą i że można wam zaufać. Otóż, panie Atosie, bądź pan łaskaw towarzyszyć mi wraz ze swymi dwoma przyjaciółmi; będę miał z was eskortę, jakiej sam król mógłby mi pozazdrościć, gdybyśmy go spotkali.

Trzej muszkieterowie skłonili się aż do karków końskich.

— Na honor! — odezwał się Atos, — Wasza Eminencja czyni dobrze, zabierając nas z sobą. Spotkaliśmy na drodze podejrzane osobniki, a z czterema z nich mieliśmy nawet zatarg w gospodzie pod Czerwonym Gołębnikiem.

— Zatarg? I z jakiejże to przyczyny? — pytał kardynał. — Wiadomo wszakże panom, że nie lubię zwad.

— Dlatego też właśnie mam zaszczyt zawiadomić Waszą Eminencję o tem, co zaszło. Albowiem ktoś inny mógłby przedstawić przebieg zajścia fałszywie i obudzić podejrzenia, że myśmy byli winni.

— A jakież były następstwa tej zwady? — pytał kardynał, marszcząc brwi.

— Obecny tu przyjaciel mój, Aramis, otrzymał szpadą lekką ranę w ramię, co jednak, jak Wasza Eminencja widzi, nie przeszkodzi mu jutro wziąć udział w walce, jeżeli Wasza Eminencja każe przypuścić szturm.

— Nie należycie panowie do ludzi, którzy pozwalają sobie zadawać bezkarnie rany — odezwał się kardynał. — Otóż bądźcie

panowie szczerzy; poczęstowaliście zapewne niezgorzej swych napastników? Wyspowiadajcie się przedemną; wszak wiecie, że mam prawo udzielać rozgrzeszenia...

— Ja, Eminencjo — mówił Atos, — nie wydobywałem nawet szpady z pochwy. Jednego z tych, z którymi wypadło nam się rozprawić, chwycił wpół i wyrzuciłem przez okno. Zdaje mi się jednak — dodał Atos z pewnem wahaniem, — że upadając złamał sobie ten drab nogę.

— Aha! — mruknął kardynał. — No, a pan, panie Portosie?

— Ja, Eminencjo, wiedząc, że pojedynki są wzbronione, chwyciłem jakąś ławę i jednemu z tych bandytów zadałem nią cios, który, zdaje mi się, zdruzgotał mu ramię.

— Dobrze — rzekł kardynał. — A pan, panie Aramisie?

— Co do mnie, Eminencjo, jestem z natury łagodny i, jak to może Waszej Eminencji wiadomo, mam zamiar wstąpić niebawem do zakonu; usiłowałem tedy przeszkodzić bójce i rozłączyć obie strony. Ale jeden z łotrów najniespodzianiej zranił mię podstępnie w lewe ramię, co wyprowadziło mię z cierpliwości, i dobyłem szpady. Wówczas drab rzucił się na mnie powtórnie, i zdaje mi się, nadział się niechcący na moją szpadę, aż mu jej ostrze wyłazło plecami; wiem tylko napewno, że upadł i że wyniesiono go razem z jego dwoma kompanami.

— Do licha, panowie! — odezwał się kardynał, — trzech ludzi niezdolnych do walki z powodu zajścia w karczmie! Nie próżnujecie, jak widzę.... A jakaż była przyczyna zwady?

— Nędznicy byli pijani — mówił Atos; — dowiedziawszy się, że w gospodzie jest jakaś kobieta, która przybyła tam wieczorem, chcieli wywalić drzwi.

— Wywalić drzwi? — pytał kardynał. — W jakim celu?

— Zapewne, aby ją zgwałcić — rzekł Atos. — Miałem już zaszczyt oświadczyć Waszej Eminencji, że ci nędznicy byli pijani.

— A cóż to była za kobieta? młoda? ładna? — pytał kardynał z pewnem zaniepokojeniem.

— Nie widzieliśmy jej wcale, Wasza Eminencjo — odpowiedział Atos.

— Nie widzieliście jej, panowie? Hm! to dobrze! — rzekł kardynał, jakby sam do siebie.

— No, tak!.... postąpiliście bardzo słusznie, broniąc honoru kobiety. Ponieważ zaś podążam właśnie do gospody pod Czerwonym Gołębnikiem, przekonam się o prawdzie słów waszych.

— Wasza Eminencjo — oświadczył dumnie Atos, — jesteśmy szlachcicami i nie zniżylibyśmy się do kłamstwa, chociażby nawet szło o ocalenie w ten sposób głów naszych.

— To też, panie Atosie, nie wątpię bynajmniej w to, co panowie opowiadacie... nie wątpię ani przez chwilę — rzekł i zapytał: — Czy ta kobieta była sama?

— Razem z nią był jakiś mężczyzna — odrzekł Atos; — zamknięci byli w pokoju... Przypuszczam, że to tchórz jakiś, gdyż, mimo hałasu, nie pokazał się wcale.

— "Nie sądźcie lekkomyślnie", uczy Ewangelja — zauważył kardynał, na co Atos pochylił głowę.

— A teraz, panowie, dosyć już o tem — dodał. — Wiem już, co chciałem wiedzieć. Proszę za mną.

I zakrywszy twarz płaszczem, ruszył stępa naprzód, wyprzedzając o ośm lub dziesięć kroków swych towarzyszów.

Niebawem przybyli do cichej i samotnej gospody, przed którą stał uwiązany do jednej z zewnętrznych okienic osiodłany koń. W gospodzie było cicho; widocznie oberżysta, wiedząc zawczasu, jakie go czekają odwiedziny, odprawił natrętów.

Dziesięć kroków przed bramą kardynał dał znak swemu giermkowi i trzem muszkieterom, aby się zatrzymali, sam zaś podszedł do okna i trzykrotnie snadź w umówiony sposób zapukał.

Natychmiast wyszedł z oberży jakiś człowiek, otulony płaszczem, i szybko zamienił kilka słów z kardynałem, poczem dosiadł konia i ruszył drogą ku Surgeres, wiodącą również do Paryża.

— Zbliżcie się, panowie — rozkazał kardynał.

Trzej muszkieterowie podeszli ku niemu.

— Prawdą jest, coście opowiadali — rzekł, zwracając się do nich, — i nie moja będzie wina, jeżeli to dzisiejsze spoktanie nie wyjdzie wam na korzyść. Tymczasem chodźcie, panowie, za mną.

I zsiadłszy z konia, co również za jego przykładem uczynili trzej muszkieterowie, rzucił lejce swemu giermkowi, poczem zwrócił się do oberżysty, który oczekiwał na progu. Muszkieterowie, przywiązawszy konie do okienicy, podążyli za nim.

— Czy masz pan jaki pokój na dole, gdzieby ci panowie mogli zaczekać przy dobrym ogniu na kominku? — zapytał kardynał, wskazując ręką trzech muszkieterów.

Oberżysta, dla którego kardynał był tylko oficerem odwiedzającym damę, otworzył drzwi do wielkiej sali, gdzie właśnie popsuty piec przerabiano na okazały kominek.

— Oto — rzekł.

— Dobrze — oświadczył kardynał. — Wejdźcie tam, panowie, i zechciejcie na mnie zaczekać; za pół godziny będę z powrotem.

I gdy trzej muszkieterowie weszli do pokoju na dole, kardynał nie żądając od oberżysty żadnych wskazówek, skierował się po schodach na górę, jak człowiek, obeznany z rozkładem domu.

XLIV.

O POŻYTKU Z RUR KOMINOWYCH PIECA.

Trzej nasi muszkieterowie dość szybżo zrozumieli, że przez swą rycerskość i temperament zawadjacki mimowoli, a raczej zupełnie bezwiednie, załatwiając się z napastnikami, wyświadczyli przysługę jakiejś osobie, którą kardynał zaszczycał swą szczególną opieką.

Ale kto mógł być tą osobą? — oto pytanie, na które sobie narazie znaleźć odpowiedzi nie mogli, to też zaniechali wkrótce do mysłów, i Portos, przywoławszy oberżystę, kazał mu podać kości do gry, poczem zasiadł z Aramisem przy stole i poczęli grać. Atos tymczasem chodził po pokoju i łamał sobie jeszcze głowę nad rozwiązaniem tej zagadki. Chodząc zaś i rozmyślając, za każdym razem, gdy mijał wnękę rozebranego do połowy pieca, którego wylot znajdował się w pokoju na piętrze, słyszał urywki rozmowy, które wreszcie zwróciły jego uwagę. Zbliżył się do pieca i rozróżnił kilka zdań, które, jak sądził, miały niewątpliwie doniosłe znaczenie. Wobec tego skinął na towarzyszów, aby się uciszyli, i umieściwszy głowę w wnęce rozebranego pieca, słuchał.

— Proszę tedy o uwagę, milady — brzmiał głos kardynała, — gdyż sprawa ma znaczenie nader doniosłe. Niech pani siada; pomówimy o szczegółach.

— Słucham, Wasza Eminencjo — odpowiedział głos kobiecy, na dźwięk którego Atos zadrżał, poznawszy głos swej żony.

— Niewielki statek z angielską załogą pod wodzą zupełnie oddanego mi kapitana oczekuje na panią przy ujściu rzeki Charente, koło twierdzy La Pointe, i jutro o świcie rozwinie żagle.

—A więc powinnam się tam udać jeszcze dzisiaj w nocy?

— Natychmiast, to znaczy zaraz po wysłuchaniu moich poleceń. Wychodząc stąd, zastaniesz pani przy bramie dwóch ludzi, którzy będą ci służyli za eskortę. Ja odjadę pierwszy, pani wyruszysz w pół godziny później.

— Dobrze, Wasza Eminencjo. A teraz proszę mi wyjaśnić, jakie posłannictwo będę miała do spełnienia. A że pragnę i nadal zasługiwać na zaufanie Waszej Eminencji, proszę o rozkazy jasne i zwięzłe, bym nie popełniła jakiej pomyłki.

— Nastała chwila głębokiej ciszy. Kardynał obmyślał snadź z góry słowa, jakich ma użyć, — milady zaś skupiała całą swą uwagę, aby zrozumieć dokładnie i wyryć sobie dobrze w pamięci to, co usłyszy.

Atos skorzystał z tej chwili i kazał towarzyszom zamknąć drzwi, wiodące na zewnątrz, poczem wezwał ich, aby poczęli słuchać z nim razem.

Muszkieterowie, lubiący wygodę, przynieśli krzesła dla siebie i dla Atosa, i wszyscy trzej usiedli, zbliżając uszy do otworu.

— Udasz się pani do Londynu — mówił kardynał, — a przybywszy tam, zwrócisz się wprost do Buckinghama.

— Ośmieleę się zwrócić uwagę Waszej Eminencji — odpowiedziała milady, — że Jego Wysokość od czasu tej sprawy z zapinkami djamentowemi nie dowierza mi, podejrzywając mię o udział w kradzieży.

— Tym razem — oświadczył kardynał — nie chodzi wcale o pozyskanie jego zaufania; przedstawisz mu się pani szczerze i uczciwie, jako pośredniczka.

— Szczerze i uczciwie — powtórzyła milady bardzo dwuznacznym tonem.

— Tak jest, szczerze i uczciwie — rzekł raz jeszcze kardynał tym samym tonem; — rokowania te muszą być prowadzone jawnie.

— Wykonam jak najdokładniej polecenia Waszej Eminencji i czekam teraz na dalsze wskazówki.

— Pójdziesz pani do Buckinghama i powiesz mu w mojem imieniu, że wiem o wszystkich przygotowaniach, jakie poczynił... powiesz mu, że nie obawiam się ich wcale i za pierwszem poruszeniem z jego strony zgubię bezpowrotnie królowę.

— Czy jednak książę uwierzy, że Wasza Eminencja wykona tę groźbę?

— O! uwierzy, gdyż mam w ręku dowody.

— Trzeba więc, abym mu te dowody przedstawiła.

— Oczywiście. Powiesz mu pani, że ogłoszę raport pana de Bois-Robert i margrabiego de Beautru o spotkaniu księcia z królową na balu maskowym, jaki wydała pani marszałkowa; po-

wiesz mu pani, by nie mógł już wątpić, że wiem o wszystkiem, iż przybył na ten bal w kostjumie Wielkiego Mogoła, który miał przywdziać kawaler de Guise, a który książę odkupił w ostatniej chwili za cenę trzech tysięcy pistolów....

— Dobrze, Eminencjo.

— Opowiesz mu pani następnie wszystkie szczegóły jego wejścia i wyjścia podczas nocy z zamku królewskiego, dokąd dostał się w przebraniu wróżbiarza włoskiego; powiesz mu pani, dla utwierdzenia go w przekonaniu, iż nic się przedemną nie ukryje, że pod płaszczem miał długą białą szatę, usianą w deseń z czarnych łez, trupich czaszek i skrzyżowanych piszczeli... na wypadek bowiem wykrycia jego obecności w zamku chciał udawać Białą Damę, ukazującą się w Luwrze, jak powszechnie wiadomo, przed każdemi wydarzeniami wielkiej doniosłości.

— Czy to już wszystko, Eminencjo?

— Powiesz mu pani jeszcze, że znam wszystkie szczegóły jego przygody w Amiens, że na ich tle osnuję fantastyczny romans, pomysłowy i dowcipny, dodając plan ogrodu i portrety głównych bohaterów tej nocnej sceny.

— Powiem mu to wszystko.

— Powiesz mu pani wreszcie, że Montałgu znajduje się w moich rękach, że Montaigu jest uwięziony w Bastylji, a chociaż, co prawda, nie znaleziono przy nim żadnego listu, to jednak tortura rozwiąże mu język, i powie on nam wszystko, co wie a nawet... to, czego nie wie.

— Tem lepiej.

— Dodaj pani w końcu, że Jego Wysokość, opuszczając w pośpiechu swą kwaterę na wyspie Re, pozostawił tam pewien liścik od pani de Chevreuse, szczególnie kompromitujący królowę dowodzący bowiem, że Jej Królewska Mość nietylko może kochać wrogów króla, ale, co więcej, spiskuje z nimo przeciwko Francji. Czy zapamiętałaś pani dobrze wszystko, co mówiłem?

— Niech Wasza Eminencja osądzi sam: bal maskowy u pani marszałkowej; noc w Luwrze; wieczorna przygoda w Amiens; uwięzienie pana de Montaigu; list pani de Chevreuse.

— Tak — potwierdzi kardynał; — masz milady doskonałą pamięć.

— Jeżeli jednak — zapytała mająca dobrą pamięć milady, — jeżeli jednak, mimo wszystkie te argumenty, książę nie zechce ustąpić i w dalszym ciągu będzie groził?

— Książę jest zakochany, jak szaleniec, a raczej, jak głupiec — odparł kardynał z głęboką goryczą w głosie. — I wszczął tę wojnę, tak, jak dawni błędni dycerze, jedynie w tym celu, by zyskać wzamian jedno spojrzenie swej ukochanej. Skoro zaś się dowie, że wojna ta będzie kosztowaał honor kobiecy, a może nawet i wolność władczyni jego myśli, jak ją nazywa, skoro się o tem dowie, zastanowi się dobrze, co mu czynić wypada.

— A jednak — pytała milady z uporem, dowodzącym że chce zbadać nawskróś spawę, jaką jej zlecono, — a jednak, gdyby mimo wszystko groził?

— Gdyby jednak groził... — rzekł kadynał. — Ale nie..... to niemożliwe....

— Możliwe — oświadczyła milady.

— Gdyby groził... — tu kardynał zawahał się przez chwilę, a potem mówił dalej: — gdyby groził, w takim razie całą nadzieję oprę na jednym z tych wypadków, jakie zmieniają zwykle rządy państw.

— Gdyby Wasza Eminencja zechciał mi przytoczyć chociażby jeden podobny wypadek z historji — rzekła milady, — może i ja podzieliłabym wówczas tę wiarę w powodzenie sprawy.

— Posłuchaj więc pani! — odezwał się Richelieu. — Oto naprzykład w roku 1610, gdy sławnej pamięci król Henryk IV z podobnej nieco przyczyny, jak ta, która popycha księcia do działania, natarł równocześnie na Flandrję i Włochy, aby następnie z dwóch stron uderzyć na Austrję, czyż nie wydarzyło się wówczas coś, co ocaliło Austrję. Dlaczegóżby zatem król francuski nie miał mieć tego samego szczęścia, co cesarz?

— Wasza Eminencja ma na myśli pchnięcie nożem przy ulicy de La Ferroniere? — spytała milady.

— Tak jest — odparł kardynał.

— Czy Wasza Eminencja nie obawia się, że męki Ravaillaca odstraszą tych, którzy chcieliby pójść w jego ślady?

— Po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, a zwłaszcza tam, gdzie ludność dzielą uczucia religijne, znajdą się fanatycy, nie pragnący nic więcej, jak stać się męczennikami. A właśnie przypominam sobie, że purytanie są do ostatnich granic oburzeni na księcia Buckinghama; kaznodzieje ich piętnują go, jako Antychrysta.

— A zatem? — spytała milady.

— A zatem — mówił dalej kardynał najobojętniejszym tonem — należałoby obecnie znaleźć naprzykład kobietę piękną, młodą i sprytną, która sama miałaby powód do osobistej pomsty na księciu. Kobietę taka można znaleźć łatwo; książę jest człowiekiem kochliwym, niejednokrotnie pozyskiwał miłość obietnicami stałości, niejednokrotnie wzniecał nienawiść nieustannem wiarołomstwem.

— Zapewne — rzekła milady lodowatym tonem, — kobietę taką udałoby się chyba wyszukać.

— Tak jest! A kobieta, któraby włożyła w rękę fanatyka nóż Jakuba Clement lub Ravaillaca, ocaliłaby Francję.

— Zapewne,... lecz stałaby się wspólniczką zbrodni.

— Czyż ktokolwiek zna wspólników Ravaillaca lub Jakuba

— Nie. Stali oni zbyt wysoko, aby ośmielono się aż tam ich szukać; nie podpala się Pałacu Sprawiedliwości dla byle kogo, Wasza Eminencjo.

— Więc sądzisz pani, że pożar Pałacu Sprawiedliwości nie był nieszczęśliwym wypadkiem? — zapytał Richelieu takim tonem, jak gdyby sprawa ta nie miała żadnego znaczenia.

— Nie sądzę nic, Wasza Eminencjo — odpowiedziała milady. — Przytoczyłam fakt, i oto wszystko; dodam tylko, że gdybym się nazywała panną de Montpensier, lub gdybym była królową Marją Medycejską, nie musiałabym zachowywać takich środków ostrożności, jak dzisiaj, kiedy jestem tylko poprostu lady Clarick.

— To prawda — odezwał się Richelieu. — Czegóż więc pani żądasz?

— Pragnęłabym mieć rozkaz, usprawiedliwiający z góry wszystko, cokolwiekbym uznała za stosowne uczynić dla dobra Francji.

— Przedewszystkiem jednak, jak już powiedziałem, należałoby znaleźć kobietę, pragnącą pomścić się na księciu.

— Już ją znalazłam — odparła milady.

— Następnie należałoby wyszukać fanatyka, któryby zechciał służyć na narzędzie sprawiedliwości Bożej.

— I ten się znajdzie.

— A dopiero wtedy — oświadczył kardynał — możesz pani żądać polecenia, o jakiem mówiłaś.

— Wasza Eminencja ma słuszność — rzekła milady; — to ja się myliłam, upatrując w udzielonych mi zaszczytnie rozkazach

coś więcej, aniżeli jest w istocie. Przecież zadaniem mojem jest tylko zakomunikować Jego Wysokości w imieniu Waszej Eminencji: że Eminencja zna przebranie, z pomocą którego udało mu się zbliżyć do królowej na balu u pani marszałkowej; że Wasza Eminencja posiada dowody spotkania się w Luwrze królowej z pewnym wróżbiarzem włoskim, którym nie był nikt inny, jak książę Buckingham; że Eminencja zamierza wydać niewielką dowcipną powieść o przygodzie w Amiens, z planem ogrodu, gdzie miało miejsce to zajście, i z portretami głównych bohaterów, biorących w niem udział; że Montaigu znajduje się w Bastylji i że tortury zmuszą go do powiedzenia tego, co wie, a nawet przypomną mu to,, o czem zapomniał; wreszcie, że Wasza Eminencja posiada pewien list pani de Cheyreuse, znaleziony w kwaterze Jego Wysokości, a kompromitujący nie tylko autorkę listu lecz i osobę, w której imieniu został napisany. Gdyby zaś książę, mimo wszystko, okazał się niewzruszonym, misja moja kończy się na tem i mogę tylko błagać Boga o cud, któryby ocalił Francję. To wszystko! nieprawdaż, Wasza Eminencjo?

— Wszystko — odpowiedział sucho kardynał.

— A teraz — odezwała się milady, nie zważając na zmianę tonu kardynała w stosunku do niej, — teraz, skoro już otrzymałam zlecenia Waszej Eminencji, dotyczące jego wrogów, czy pozwoli mi Wasza Eminencja, abym powiedziała słów kilka o moich wrogach?

— Jakto? masz pani wrogów? — spytał Richelieu.

— Tak jest, Wasza Eminencjo, i to wrogów, przed którymi Wasza Eminencja powinien mię bronić, gdyż pozyskałam ich sobie w służbie Waszej Eminencji.

— Któż to taki? — zapytał książę.

— Przedewszystkiem ta mała intrygantka, pani Bonacieux.

— Jest przecież zamknięta w więzieniu w Nantes.

— To znaczy, była tam — odpowiedziała milady; — ale królowa wyjednała rozkaz królewski, mocą którego przewieziono panią Bonacieux do klasztoru.

— Do klasztoru? — powtórzył książę.

— Tak jest, do klasztoru.

— Do którego?

— Nie wiem; tajemnica jest pilnie strzeżona.

— Ja się o tem dowiem.

— Aczy Wasza Eminencja po dowiedzeniu się raczy mi o tem powiedzieć?

— Owszem; nie widzę w tem żadnej przeszkody — rzekł kardynał.

— Dziękuję. Mam jednak jeszcze jednego wroga, którego muszę się obawiać tak samo, jak pani Bonacieux.

— A mianowicie?

— Jej kochanka.

— Jakże się on nazywa?

— Och! Wasza Eminencja zna go dobrze — zawołała milady, uniesiona gniewem; — to nasz wspólny zły duch. On to w starciu z gwardją Waszej Eminencji przechylił zwycięstwo na stronę muszkieterów królewskich; on zadał trzy ciosy szpadą hrabiemu de Wardes, wysłannikowi Waszej Eminencji, obracając wniwecz nasze plany w sprawie zapinek djamentowych; on to wreszcie poprzysiągł mi zagładę, wiedząc, że przyczyniłam się do porwania pani Bonacieux....

— Ach, tak! — odezwał się kardynał, — wiem już, o kim pani mówisz.

— Mówię o tym niegodziwcu d'Artagnanie.

— To dzielny młodzieniec — oświadczył kardynał.

— I dlatego właśnie tem bardziej muszę się go obawiać.

— Trzebaby posiąść jakiś dowód, że porozumiewał się z księciem Buckinghamem — odrzekł kardynał.

— Dowód?! — zawołała milady. — Mam ich dziesięć!....

— Więc sprawa jest zupełnie prosta; przedstaw pani te dowody, a wyślę go do Bastylji.

— Dobrze, Wasza Eminencjo.. A potem?

— Niema już przyszłości dla tego, kto się dostanie do Bastylji — odrzekł głucho kardynał. — Ach, mój Boże, gdybym tak łatwo mógł się pozbyć mojego wroga, jak wrogów pani, i gdyby chodziło tylko o ukaranie takich ludzi!

— Wet za wet, Eminencjo — oświadczyła milady, — człowiek za człowieka! Poświęć mi tego, ja zaś oddam ci tamtego.

— Nie wiem, o kim pani mówisz — rzekł kardynał — i nie chcę wiedzieć. Pragnę jednak wyświadczyć pani przysługę, tem bardziej, że nic nie staje na przeszkodzie wypełnieniu tego życzenia i ukaraniu go... Słyszałem, że ten d'Artagnan jest bezbożnikiem, lubiącym zwady, i przeniewiercą.

— To nikczemnik, Wasza Eminencjo! nikczemnik!

—Podaj mi pani pióro, papier i atrament — rzekł kardynał.

— Oto, Eminencjo.

Nastała chwila milczenia, podczas której kardynał zastanawiał się snadź nad słowami ,jakie ma napisać, a może też nad tem, czy wogóle pisać. Atos, który nie stracił ani słowa z rozmowy, pociągnął teraz swych przyjaciół w przeciwny kąt pokoju, ująwszy obu za rękę.

— Nie przeszkadzajże nam dosłuchać rozmowy do końca! — rzekł Portos.

— Cicho! — szepnął Atos. — Wysłuchaliśmy wszystkiego, co może się nam przydać. Zresztą nie przeszkadzam wam bynajmniej w dalszem podsłuchiwaniu; ja jednak muszę stąd wyjść.

— Musisz wyjść? — zagadnął Portos. — A jeżeli kardynał zapyta się o ciebie, co mu odpowiemy?

— Nie czakajcie, aż będzie pytał, lecz sami powiedzcie mu odrazu, że z rozmowy z oberżystą dowiedziałem się, iż droga nie jest bezpieczna, i dlatego pojechałem na zwiady. Powiem też kilka słów giermkowi kardynała. Reszta do mnie należy; bądźcie o mnie spokojni.

— Bądź roztropny, Atosie — rzekł Aramis.

— Nie bójcie się — odparł Atos. — Wiecie przecież, że mam dosyć zimnej krwi.

Portos i Aramis usiedli znowu przy wnęce od pieca, — natomiast Atos wyszedł, nie kryjąc się z tem wcale, a odwiązawszy konia, stojącego wraz z końmi przyjaciół u zewnętrznej okiennicy, kilkoma słowami wytłumaczył giemkowi, że trzeba koniecznie, aby ktoś pojechał na zwiady, poczem obejrzał starannie proch na panewce pistoletu, chwycił szpadę w zęby, i pognał, jak potępieniec, drogą, wiodącą do obozu.

XLV.

MAŁŻEŃSTWO.

Kardynał, jak to słusznie przewidywał Atos, zakończył w kilku słowach rozmowę z milady i zeszedł na dół. Otworzywszy drzwi izby, gdzie Portos z Aramisem rozgrywali w tej chwili zawzięcie swą partję, szybkiem spojrzeniem ogarnął wszystkie kąty sali i spostrzegł natychmiast, że brakuje jednego z muszkieterów.

— Gdzie pan Atos? — zapytał.

— Atos, Eminencjo — odpowiedział Portos, — wyruszył na zwiady, gdyż dowiedział się od oberżysty, że w powrotnej drodze może nam grozić niebezpieczeństwo.

— A panowie tymczasem coście tu robili?

— Graliśmy, Eminencjo — rzekł Portos, — i wygrałem od Aramisa pięć pistolów.

— Jesteście tedy gotowi wracać ze mną?

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Eminencji.

— Więc na koń, panowie! A spieszmy, bo już późno...

I rzekłszy to, kardynał, a za nim dwaj muszkieterowie wyszli przed oberżę. Przy bramie, trzymając konia kardynała za uzdę, czekał jego giermek, a nieco dalej widać było w ciemnościach nocnych dwóch żołnierzy i trzy konie. Żołnierze ci mieli odprowadzić milady do twierdzy La Pointe i nie odstępować jej aż do chwili, gdy wsiądzie na okręt.

Giermek, zapytany przez kardynała o Atosa, potwierdził to, co mówili o nim muszkieterowie. Jego Eminencja skinął ręką na znak zadowolenia i ruszył w powrotną drogę, zachowując te same środki ostrożności, jak poprzednio.

Zostawmy go, podążającego w kierunku obozu w towarzystwie giermka i obu muszkieterów, a natomiast wróćmy do Atosa.

Przez czas pewien pędził on drogą wprost przed siebie, co koń wyskoczy, a gdy już był pewny, że go nikt od strony oberży nie dostrzeże, skierował się na prawo, zatoczył półkrąg i zna-

łazł się z powrotem o jakieś dwadzieścia kroków od drogi, którędy przejeżdżać miał kardynał, a ukrywszy się w gęstwinie krzewów, czatował. Wkrótce też posłyszał jadących i rozpoznał lamowane kapelusze swych towarzyszów oraz złotą frendzlę płaszcza kardynalskiego. Zaczekawszy chwilę, aż zniknęli na zakręcie drogi, wrócił galopem do gospody, gdzie go natychmiast wpuszczono, gdyż oberżysta poznał go odrazu.

— Mój dowódzca — rzekł Atos — zapomniał udzielić tej damie, mieszkającej na pierwszem piętrze, pewnego ważnego polecenia i przysyła mnie, abym to zapomnienie naprawił.

— Proszę — odrzekł gospodarz, — niech pan wejdzie. Ta dama jest jeszcze w swoim pokoju.

Atos skorzystał z pozwolenia, wszedł po schodach najcichszym możliwie krokiem na piętro i przez napół otwarte drzwi pokoju milady ujrzał ją, odwróconą od niego plecami i wkładającą właśnie kapelusz. Wszedł cicho do pokoju i zamknął za sobą drzwi na zasuwę, na zgrzyt której milady odwróciła się ku niemu szybko. Owinięty płaszczem, w kapeluszu, którego rondo rzucało mu cień na oczy, stał chwilę przy drzwiach.

— Kto pan jesteś i czego chcesz tutaj? — zawołała milady.

— Tak, niestety, to ona! — stwierdził Atos w sobie i, rzuciwszy szybkim ruchem płaszcz oraz zdjąwszy kapelusz, posunął się ku milady.

— Czy poznajesz mnie, pani? — zapytał.

— Milady postąpiła krok ku niemu, lecz natychmiast cofnęła się z przerażeniem, jakgdyby na widok żmji.

— Dobrze! — odezwał się Atos, — więc poznałaś mię pani...

— Hrabia de La Fere! — jęknęła milady, blednąc i cofając się dalej, aż się plecami oparła o ścianę.

— Tak jest, milady — odparł Atos, — hrabia de La Fere we własnej osobie, który przybył z tamtego świata, aby mieć przyjemność cię ujrzeć. Usiądź pani, i pomówimy z sobą, jak się wyraził pan kardynał.

Milady, opanowana niedającą się opisać trwogą, usiadła bez słowa sprzeciwu.

— Choć jesteś szatanem, zesłanym przez piekło na ziemię — odezwał się Atos, — i wielka jest twoja potęga, o czem wiem dobrze, ale i ty wiesz zapewne, że ludzie zpomocą Boga zwalczają niekiedy najstraszliwsze potęgi tegoż piekła. Raz już znalazłaś się pani na mojej drodze... Sądziłem wszakże, że cię uni-

cestwił... Ale widocznie myliłem się, albo też piekło wskrzesiło cię z powrotem.

Milady, usłyszawszy te słowa, które przywiodły jej na myśl straszliwe wspomnienia, pochyliła głowę z ponurem westchnieniem.

— Tak jest! piekło wskrzesiło cię, piekło dało ci bogactwa — mówił dalej Atos, — piekło pozwoliło ci przybrać inne nazwisko, piekło odmieniło ci twarz niemal... nie zdołało jednak ani oczyścić twej duszy z plugastwa, ani zetrzeć z twego ciała ohydnego piętna....

Milady podniosła się, jakby poderwana sprężyną, a oczy jej poczęły ciskać błyskawice. Atos nie ruszył się z miejsca.

— Sądziłaś, że nie żyję... nieprawdaż?..... tak, jak i ja byłem pewny, żeś umarła. Nazwisko Atosa ukryło hrabiego de Le Fere podobnie, jak nazwisko lady Clarick osłoniło Annę de Buiel. Czyż nie tak bowiem nazywałaś się, gdy godny twój braciszek połączył nas węzłem małżeńskim? Położenie nasze jest dziwne — mówił dalej, wybuchając szyderczym śmiechem. — Żyliśmy spokojnie aż do tej chwili, gdyż oboje uważaliśmy się za umarłych... Wspomnienie samo nie przeszkadza tak, jak człowiek żyjący.... azkolwiek zdarza się, że i wspomnienie zabija...

— Lecz ostatecznie — spytała milady głuchym głosem — co cię sprowadza tutaj? czego żądasz odemnie?

— Pragnę ci powiedzieć, że, aczkolwiek niewidzialny dla ciebie, śledziłem wszystkie twoje postępki.

— Wiesz zatem, co robiłam?

— Mógłbym ci opowiedzieć wszsytko, dzień po dniu, od chwili, gdy wstąpiłaś w służbę kardynała, aż do dzisiejszego wieczora.

Uśmiech niedowierzania przemknął po bladych wargach milady.

— Posłuchaj więc! Wiem o tem, że to ty właśnie obcięłaś dwie zapinki djamentowe z ramienia księcia Buckinghama; wiem, że przyczyniłaś się do porwania pani Bonacieux; wiem, że, zakochana w hrabi de Wardes, przyjęłaś u siebie pewnej nocy pana d'Artagnana, który, zawdzięczając ciemności, udawał pomyślnie hrabiego de Wardes; wiem również, że, sądząc, iż hrabia de Wardes cię oszukał, chciałaś, aby poległ z ręki rywala, a gdy rywal ten odkrył hańbiącą twą tajemnicę, usiłowałaś zamordować go z pomocą dwóch najemnych drabów; wiem,

że wobec nieudania się tego zamachu wysłałaś d'Artagnanowi zatrute wino wraz z sfałszowanym listem, pragnąc obudzić w nim przekonanie, że dar ten pochodzi od jego przyjaciół; wiem wreszcie, że tu, w tym pokoju, siedząc na tem samem krześle na którem ja teraz siedzę, przyrzekłaś kardynałowi Richelieu, iż zamordujesz księcia Buckinghama, jeżeli wzamian za to pozwoli ci zamordować d'Artagnana...

Podczas tych słów Atosa blada twarz milady nabrała jakiejś sinej barwy.

— Jesteś chyba szatanem! — zawołała.

— Być może — odparł Atos. — Bądź co bądź, posłuchaj, co ci powiem. Zabij lub każ zabić księcia Buckinghama; to mię nie obchodzi wcale!... Nie znam go... zresztą jest an Anglikiem... Ale... ale nie waż się choćby tknąć d'Artagnana, który jest moim przyjacielem, którego kocham i którego bronię. Gdyby zaś z twojej przyczyny chociażby jeden włos spadł z głowy jego, przysięgam ci na pamięć mego ojca, że zbrodnia ta będzie ostatnią, jakiej się dopuścisz.

— Pan d'Artagnan obraził mię — oświadczyła milady głucho, — obraził mię strasznie, i dlatego zginie!

— Czy być może? — zawołał Atos z ironicznym uśmiechem. — Więc panią można obrazić? d'Artagnan obraził panią i dlatego ma umrzeć?

— Umrze — odpowiedziała milady, — ona najpierw a on potem.

Atosa ogarniał jakiś szał. Widok tej kobiety, nie mającej w swej duszy nic kobiecego, budził mu w pamięci okropne wspomnienia; przypomniał sobie, że pewnego dnia, gdy znajdował się w położeniu mniej niebezpiecznem, aniżeli obecnie, chciał ją poświęcić, aby uczynić zadość swemu honorowi teraz pragnienie unicestwienia jej buchnęło w nim płomieniem i opanowało go, jak gorączka. Zerwał się z krzesła, wydobył pistolet z za pasa i odwiódł kurek.

Milady, blada jak trup, chciała krzyczeć, ale z gardła jej, zdławionego trwogą, wydarł się tylko chrapliwy dźwięk nie podobny do ludzkiego głosu i przypominający raczej przedśmiertne rzężenie dzikiego zwierza. Przytulona do ściany, z rozwianym włosem, wyglądała na tle boazerji, jak sybol przerażenia.

Atos podniósł powoli pistolet, tak, że koniec lufy jego dotykał niemal czoła milady, i głosem również straszliwym, jak do-

wodzącym niewzruszonego postanowienia, oświadczył z całym spokojem:

— Oddasz mi pani natychmiast dokument, podpisany przez kardynała, albo łeb ci roztrzaskam.

Gdyby naprzeciwko niej stał inny człowiek, miłady względem groźby tegro rodzaju miałaby może jeszcze jakieś wątpliwości, — ale Atosa znała nazbyt dobrze.

On zaś, widząc ją pomimo to stojącą nieruchomo, dodał twardo:

— Pozostawiam pani jedną sekundę do namysłu.

Ze skurczu jego twarzy miłady poznała, że strzał padnie w oznaczonej chwili. Sięgnąwszy szybko poza gors, wyjęła ukryty tam list i podała Atosowi.

— Bierz — rzekła — i... bądź przeklęty!

— Atos wziął list i, chowając pistolet za pas, zbliżył się ku lampie, by się upewnić, że jest to istotnie żądany przez niego papier, a rozerwawszy pieczęć przeczytał:

"Czegokolwiek dokona właściciel tego dokumentu, spełnione zostaje z mego rozkazu i dla dobra państwa.

3-go grudnia 1627 roku.

Richelieu.

— A teraz, żmija — odezwał się Atos, biorąc płaszcz i wdziewając kapelusz, — a teraz, skoro wyrwałem ci żądło, kąsaj, jeżeli możesz.

To rzekłszy, wyszedł z pokoju, nie oglądając się poza siebie. Przy bramie zastał dwóch ludzi, trzymających konia w pogotowiu.

— Jak wam wiadomo, panowie — rzekł, — macie z rozkazu Jego Eminencji odprowadzić tę damę do twierdzy de La Pointe i opuścić ją dopiero wtedy, gdy się już znajdzie na pokładzie statku.

Słowa te zgadzały się z otrzymanym przez nich rozkazem więc skinęli twierdząco głowami, poczem Atos skoczył lekko na siodło i popędził naprzód, bodąc konia ostrogami. Zamiast jednak jechać drogą, puścił się na przełaj przez pola, aby wyprzedzić kardynała, przyczem zatrzymywał się kiedy-niekiedy, nasłuchując.

Podczas jednego z takich przystanków usłyszał tętent kilku koni. Nie mógł wątpić, że to jedzie kardynał ze swą eksortą;

popędził tedy naprzód ku drodze, a znalazłszy się wreszcie na niej, wytarł konia trawą i liśćmi drzew i czekał, stojąc wpoprzek drogi o dwieście mniej-więcej kroków przed jadącymi.

—Kto idzie? — zawołał, gdy ukazali się jeźdźcy.

— Ach! to zapewne nasz dzielny muszkieter! — odezwał się kardynał.

— Tak, Eminencjo — odparł Atos, — to ja.

— Zechciej pan przyjąć dzięki za zabezpieczenie nam drogi — rzekł Richelieu. — Ale jesteśmy już na miejscu, panowie. Skierujcie się ku lewej bramie; hasło: "Król i Re".

Powiedziawszy to, kardynał skinął głową naszym trzem przyjaciołom i sam skierował się naprawo, —nocował bowiem tej nocy w obozie.

— I cóż? — zapytali równocześnie Atosa Portos i Aramis, skoro się kardynał odalił, — czy podpisał dokument, jakiego się domagała?

— Mam go w kieszeni — odparł spokojnie Atos.

Trzej przyjaciele, nie mówiąc już ani słowa, odpowiedziawszy jedynie, gdy zapytano ich o hasło, przybyli do zajmowanej przez siebie kwatery i posłali natychmiast Mousqueona, aby powiedział Planchetowi, że pan jego skoro tylko zejdzie z posterunku, proszony jest usilnie o przybycie do ich kwatery.

Jak przewidział Atos, milady wraz z oczekującą na nią przed bramą eskortą udała się w wyznaczoną jej przez kardynała drogę. Miała wprawdzie na razie ochotę polecić, aby zaprowadzono ją przed Jego Eminencję, — miała ochotę opowiedzieć mu wszystko; ale na myśl, że rewelacje jej spowodowałyby rewelacje Atosa, zaniechała tego... Gdyby oskarżyła Atosa, że ją powiesił, on wzamian oświadczyłby kardynałowi, że jest napiętnowana. Biorąc to pod uwagę, postanowiła, nie wnosząc na razie skargi przed kardynała, wyjechać dla dokonania z właściwą sobie zręcznością powierzonego jej trudnego dzieła, a dopiero potem, po spełnieniu wszystkich zleceń kardynała, pomyśleć o zemście.

W następstwie tego postanoweinia po całonocnej podróży o godzinie siódmej rano znalazła się około twierdzy La Pointe, o godzinie ósmej wsiadła na pokład okrętu, a o godzinie dziewiątej statek, zaopatrzony listami polecającymi kardynała i mający rzekomo płynąć do Bayonny, podniósł kotwicę i, rozwinąwszy żagle, skierował się ku Anglji.

XLVI.

BASTJON ŚWIĘTEGO GERWAZEGO

D'Artagnan, przybywszy na wezwanie swych trzech przyjaciół do ich kwatery, zastał ich zgromadzonych razem. Atos oddawał się rozmyślaniu, Portos podkręcał wąsa, Aramis zaś modlił się z pięknej małej książeczki, oprawnej w niebieski aksamit.

— Do licha, moi panowie! — odezwał się d'Artagnan wchodząc, — mam nadzieję, że to, co mi chcecie powiedzieć, jest istotnie warte mego do was spaceru, i uprzedzam was, że, jeżeli jest przeciwnie, nie daruję wam tego, iż wezwaliście mię tutaj, zamiast pozwolić mi wypocząć po nocy, spędzonej po szturmie bastjonu. Och! czemuż nie byliście tam, panowie! mieliśmy gorącą rozprawę!

— Znajdowaliśmy się gdzieindziej gdzie również było wcale gorąco — odpowiedział Portos, swoim zwyczajem podkręcając wąsa.

— Sza! — odezwał się Atos.

— Ho! ho! — rzekł d'Artagnan, zrozumiawszy lekkie zmarszczenie brwi muszkietera, — zdaje się, że mamy coś nowego.

— Aramisie— odezwał się Atos, — byłeś podobno onegdaj na śniadaniu w gospodzie Parpaillota?

— Tak jest.

— Jakże ci się tam podobało?

— Mojem zdaniem, jedzenie jest bardzo złe — odrzekł zapytany; — onegdaj był dzień postu, a tymczasem można było dostać tam tylko mięsa.

— Jakżeżto? — zapytał Atos, — w mieście portowem nie było ryb?

— Rybacy twierdzili — odrzekł Aramis, pogrążając wzrok znowu w pobożnej książeczce, — że tama, jaką kazał budować pan kardynał, odpędza ryby na pełne morze.

— Nie o to pytałem, Aramisie — zauważył Atos. — Chciałem się dowiedzieć, czy czułeś się tam zupełnie swobodnym, czy ci nikt nie przeszkadzał.

— Zdaje mi się, że gospoda ta nie jest zbyt uczęszczana. I jestem pewien, że dobrze będzie, gdy dla wysłuchania tego, co nam chcesz powiedzieć, pójdziemy do gospody Parpaillota.

— Chodźmy zatem do Parpaillota — zadecydował Atos. — Tu taj ściany są cienkie, jak papier.

D'Artagnan, przyzwyczajony do taktyki postępowania swego przyjaciela, z jednego jego słowa, z jednego gestu, jednego znaku rozpoznając ważność sprawy, ujął Atosa pod ramię i wyszedł w milczeniu; Portos i Aramis poszli za nimi, gawędząc.

Po drodze spotkali Grimauda. Atos dał mu znak, aby się przybliżył. Służący, podług zwyczaju, usłuchał w milczeniu; biedny chłopak zapominał już niemal, jak się mówi.

Gdy przybyli do gospody Parpaillota, była godzina siódma rano i zaczynało świtać. Trzej przyjaciele kazali podać sobie śniadanie i weszli do pokoju, gdzie, jak twierdził gospodarz, mogli być zupełnie swobodni i nikt im tu nie mógł przeszkodzić.

Na nieszczęście, godzina na schadzkę wybrana była źle. Właśnie zaczęto bębnić poranną pobudkę, żołnierze budzili się z nocnego snu i, aby ogrzać się po nocnej wilgoci, spieszyli wychylić kieliszek w gospodzie; dragoni, szwajcarzy, gwardziści, muszkieterowie, szwoleżerowie przesuwali się przez oberżę, jak w kalejdoskopie, ku zadowoleniu oberżysty, czerpiącego stąd obfity zarobek, lecz ku największemu niezadowoleniu naszych czterech przyjaciół. To też bardzo niechętnie odpowiadali oni na pozdrowienia, toasty i żarciki swych wojskowych towarzyszów.

— Zdaje mi się — rzekł Atos, — że nie obejdzie się tu bez jakiegoś zatargu, co w danej chwili niebyłoby nam bynajmniej na rękę. Opowiedz nam jednak, d'Artagnanie co porabiałeś dzisiejszej nocy, a potem my opowiemy ci nasze przygody.

— Czy panowie gwardziści naprawdę byliście dzisiejszej nocy na wałach? — zapytał d'Artagnana jakiś szwoleżer, przestępując z nogi na nogę i popijając zwolna wódkę z trzymanej w ręku szklanki. — Mówią, że starliście się z mieszkańcmi Rochelli.....

D'Artgnan spojrzał na Atosa, jakby zapytując go wzrokiem, co odpowiedzieć temu natrętowi, wtrącającemu się do ich rozmowy.

— Czy nie słyszysz, przyjacielu — rzekł Atos, — że pan de Busigny raczył zwrócić się do ciebie z zapytaniem? Opowiadajże, co stało się dzisiaj w nocy; ci panowie radziby się także coś o tem dowiedzieć.

— Szy to prafda, sze stpoyliście fortece? — zapytał jakiś szwajcar, popijający rum z kufla od piwa.

— Tak, panie — odpowiedział d'Artagnan, skłaniając głowę, — mieliśmy ten zaszczyt. Podłożyliśmy pod jeden z węgłów baryłkę prochu, która, wybuchając, uczyniła w murze wcale pokaźny wyłom; ponieważ zaś forteczka była już stara, więc i reszta budowli uległa wielkim uszkodzeniom.

— Któraż to forteczka była w takich opałach? — zapytał dragon, trzymający w ręku nadzianą na szablę gęś, którą przyniósł do gospody, by mu ją upieczono.

— Forteczka Świętego Gerwazego — odpowiedział d'Artagnan, — ta, z której mieszkańcy Rochelli niepokoili naszych robotników.

— Musiało być ciepło przy starciu?

— Oczywiście; straciliśmy pięciu ludzi, a obrońcy Rochelli ośmiu czy dziesięciu.

— Szakrepleu! — zawołał szwajcar, który, jakkolwiek posiadał piękny zapasik niemieckich przekleństw, zwykł był posługiwać się francuskiemi.

— Możliwe jest jednak — odezwał się szwoleżer, — że przyślą dzisiaj rano robotników, aby naprawić uszkodzone mury.

— Tak, to możliwe — odparł d'Artagnan.

— A możebyśmy się założyli, panowie, o pewną rzecz? — oświadczył Atos.

— Tak, moszebyszmy sze saloszyli! — powtórzył szwajcar, choć nie wiedział, o co idzie.

— O co? — spytał szwoleżer.

— Domyślam się już — zawołał dragon, osadzając szablę, niby rożen, na wilkach kuchennych, znajdujących się w ścianie kominka. — Hej, tam! gospodarzu! a przynieśże mi natychmiast patelnię, bo nie mam ochoty stracić choćby kropelki tłuszczu z tego szacownego ptaszka!

— Ma słuszność — odezwał się szwajcar; — szmalec gęsi jest parco topry z gonfiturami.

— Już mam! — zawołał dragon. — A teraz niechże się dowiemy, panie Atosie, o co się mamy zakładać. Słuchamy.

— Słuchamy! — potwierdził szwoleżer.

— Otóż, panie de Busigny — mówił Atos, — zakładam się z panem, że ja i trzej moi towrzysze, panowie Portos, Aramis i d'Artagnan, zjemy śniadanie w forteczce Świętego Gerwazego i ściśle według zegarka, bez względu na to, co uczynią wrogowie, aby nas stamtąd wyprzeć, pozostaniemy tam przez całą godzinę.

Portos i Aramis spojrzeli na siebie, zrozumiawszy o co chodzi. D'Artagnan zaś zrobił "wielkie oczy" i szepnął do Atosa na ucho:

— Wiedziesz nas chyba na oczywistą zagładę.... Nie rozumiem, skąd ci to przyszło do głowy...

— Grozi nam większe jeszcze niebezpieczeństwo, jeżeli tam nie pójdziemy — odpowiedział Atos.

— Na honor, moi panowie! — rzekł Portos, odwracając się na krześle i podkręcając wąsa, — oto zakład, co się zowie!

— Toteż przyjmuję go — odparł pan de Busigny. — Ale o jaką stawkę zakładamy się?

— Panów jest czterech i nas czterech, zatem przegrywający stawia obiad na ośm osób — mówił Atos. — Czy zgoda?

— Z ochotą! — odrzekł pan de Busigny.

— Doskonale! — przyświadczył dragon.

— To mi sze potopa! — dodał szwajcar.

Czwarty z obecnych, który się dotychczas nie odezwał ani słowem, skinął tylko głową na znak zgody.

— Śniadanie dla panów gotowe — rzekł gospodarz, wchodząc do izby ogólnej.

— Dobrze, proszę je tu przynieść — odparł Atos.

Oberżysta zastosował się do rozkazu, Atos zaś przywołał Grimauda, wskazał mu wielki kosz, stojący w kącie pokoju, i objaśnił gestem, że przyniesione mięsiwo trzeba zawinąć w serwety. Grimaud pojął, że panowie zamierzają zjeść śniadanie pod gołem niebem; wziął tedy koszyk, zapakował do niego mięsiwo, ułożył flaszki, poczem narzucił sobie kosz na ramię.

— Ale gdzież panowie zamierzacie jeść to śniadanie? — pytał gospodarz.

— Cóż to pana obchodzi? — przerwał Atos, — skoro płacę za nie zgóry.

I majestatycznym ruchem cisnął na stół dwa pistole.

— Czy wydać resztę, panie oficerze? — pytał gospodarz.

— Nie trzeba. Dodaj nam pan tylko dwie flaszki wina szampańskiego; reszta pieniędzy będzie odszkodowaniem za zastawę.

Oberżysta nie zarobił tak dużo, jak mu się na razie zdawało, — to też zawiedzioną nadzieję nagrodził sobie w ten sposób, że zamiast wina szampańskiego, włożył do kosza dwie flaszki wina andegaweńskiego.

— Panie de Busigny — odezwał się Atos, — czy pozwolisz mi pan nastawić mój zegarek wedle pańskiego, czy też nastawisz swój wedle mojego?

— Z największą chęcią — odparł szwoleżer, wydobywając z kieszeni kamizelki wspaniały zegarek, ozdobiony djamentami. — Jest w tej chwili godzina pół do ósmej — dodał.

— Godzina siódma, minut trzydzieści pięć — rzekł Atos; — innemi słowy, wiemy teraz, że mój zegarek spieszy o pięć minut.

I czterej młodzi ludzie, pożegnawszy obecnych, osłupiałych ze zdumienia, wyszli z oberży, kierując swe kroki w stronę fortecznki Świętego Gerwazego. Grimaud szedł za nimi z koszykiem na ramieniu, nie wiedząc, dokąd dąży; ale, przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa, jakie wpoił weń Atos, nie myślał i teraz o to zapytywać.

Dopóki czterej przyjaciele nasi znajdowali się w obrębie obozu, żaden z nich nie przemówił ani słowa. Zresztą ciągnęła za nimi gromadka ciekawych, którzy, dowiedziawszy się o zawartym zakładzie, pragnęli zobaczyć jego rozstrzygnięcie. Skoro jednakże zuchowie nasi, wydostawszy się poza linję obdarowań, znaleźli się w czystem polu, d'Artagnan, zaintrygowany, co to wszystko ma znaczyć, uznał, że nadeszła właściwa chwila, by zapytać o wyjaśnienie.

— Wyświadcz mi nareszcie, drogi Atosie — rzekł, — tę łaskę i powiedz, dokąd zdążamy?

— Słyszałeś przecie — odparł Atos, — że idziemy do fortecznki.

— Ale cóż tam będziemy robili?

— I o tem wiesz także; zjemy tam śniadanie.

— A dlaczegóż nie uczyniliśmy tego u Parpaillota?

— Bo musimy pomówić o sprawach niezmiernie ważnych, a w oberży, ze względu na tych wszystkich, co wchodzili, wychodzili, pozdrawiali, szukali zaczepki, nie było sposobu porozmawiać poufnie nawet przez pięć minut. Tutaj zaś — kończy Atos, wskazując forteczkę — nie będzie nam przynajmniej nikt przeszkadzał.

— Zdaje mi się — rzekł d'Artagnan z rozwagą, łączącą się tak dobrze z jego wybuchowym temperamentem, — zdaje mi się, że można było znaleźć jakieś odpowiedniejsze ku temu miejsce, gdzieś na nowej tamie naprzykład lub na wybrzeżu morza.

— Tak, miejsce, gdzie widzianoby nas, naradzających się we czwórkę, dzięki czemu kardynał już w kwadrans później byłby uwiadomiony przez swoich szpiegów o naszej naradzie.

— Istotnie — odezwał się Aramis, — Atos ma słuszność: "Animadvertuntur in desertis".

— Pustynia nie byłaby wcale tak złą, byleby ją znaleźć — rzekł Portos.

— Niema pustyni, gdzieby ptak nie przeleciał nad głową, gdzieby ryba nie wyskoczyła ponad zwierciadło wody, gdzieby zając nie wybiegł ze swej kryjówki.... A mojem zdaniem i ptak i ryba i zając mogą być szpiegami kardynała. Lepiej więc dokonać naszego zamiaru, z którego zresztą i tak nie możemy się już wycofać bez narażenia się na sromotę; uczyniliśmy zakład, którego nikt nie mógł się spodziewać i którego istotnej przyczyny, jestem tego pewny, nikt się nie domyśli. Aby wygrać ten zakład, spędzimy godzinę w forteczce. I albo będziemy mieli rozprawę z nieprzyjacielem, albo i nie. Jeżeli nie zostaniemy zaatakowani, będziemy mieli czas pomówić z sobą, nie narażając się na to, by ktoś podsłuchał naszą rozmowę, mogę bowiem zaręczyć że mury tej forteczki nie mają uszu; jeżeli zaś będziemy atakowani, znajdziemy i tak sposobność do pomówienia o naszych sprawach, a co więcej, broniąc się, zyskamy sobie nowy liść do wieńca sławy naszej. Widzicie zatem, że cokolwiek się stanie wszystko będzie dla nas z korzyścią.

— Tak — rzekł d'Artagnan. — Ale kulka z pewnością nas nie minie.

— Ech, mój drogi! — odpowiedział Atos, — wiesz chyba najlepiej, że nie te kulki są najgorsze, które pochodzą od nieprzyjaciela na wojnie.

— Zdaje mi się jednak —zauważył Portos, — że, przedsiębiorąc tego rodzaju wyprawę, należało przynajmniej uzbroić się w muszkiety.

— Jesteś głupcem, kochany Portosie.... I pocóż to mieliśmy się obarczać nieużytecznym ciężarem?

— Nie sądzę, aby dobry muszkiet, dwanaście kul i woreczek prochu były czemś bezużytecznem wobec możliwości spotkania z nieprzyjacielem.

— Czy nie słyszałeś, co mówił d'Artagnan? — odpowiedział Atos.

— Cóż takiego? — pytał Portos.

— D'Artagnan opowiedział nam, że podczas szturmu tej nocy zginęło ośmiu czu dziesięciu Francuzów i tyluż obrońców Rochelli.

— A zatem?

— Nie miano jeszcze czasu obedrzeć ich.... Bo przecie nieprzyjaciel miał ważniejsze sprawy na głowie.

— A więc?

— A więc zabierzemy ich muszkiety, różki z prochem i kule i w ten sposób będziemy posiadali nie cztery, ale piętnaście strzelb i około stu wystrzałów.

— Atosie! — zawołał Aramis, — jesteś doprawdy genjalnym człowiekiem!

Portos skinął potakująco głową. Jedynie d'Artagnan nie zdawał się przekonanym.

Grimaud podzielał widocznie wątpliwości młodego Gaskończyka, gdyż, stwierdziwszy nareszcie, że podążają wrpost ku forteczce, co mu się w głowie pomieścić nie mogło, pociągnął swego pana za połę kaftana i zapytał gestem:

— Dokąd idziemy?

Atos wskazał ręką forteczkę, na co przerażony Grimaud uczynił taki gest, jakby chciał powiedzieć:

— Ależ zmuszeni będziemy chyba zostawić tam skórę!

Atos wzniósł oczy i rękę ku niebu, co widząc Grimaud postawił koszyk na ziemi i usiadł obok, potrząsając głową. Wówczas Atos wyjął pistolet z za pasa, obejrzał, czy broń nabita, odwiódł kurek i przyłożył Grimaudowi lufę do ucha. Nieszczęsny sługa zerwał się na równe nogi, jakby poderwany sprężyną, — Atos zaś gestem rozkazał mu, aby wziął koszyk i szedł naprzód. Grimaud spełnił rozkaz milcząco i ruszył przed swym panem.

Jedyną tedy korzyścią, jaka z tej pantominy osiągnął, było to, że obecnie znalazł się na przedzie wyprawy, podczas gdy poprzednio zajmował miejsce w tylnej straży.

Zbliżywszy się do forteczki, czterej przyjaciele zatrzymali się na chwilę, by spojrzeć ku ozobowi.

Przeszło trzystu żołnierzy rozmaitej broni zgromadziło się tam na przedniej linji, a wśród nich przyjaciele nasi rozpoznali w osobnej grupie pana de Busigny, dragona, szwajcara i czwartego uczestnika zakładu.

Atos zdjął kapelusz, zasadził na koniec szpady i wywinął nią w powietrzu. Widzowie z obozu odpowiedzieli na to pozdrowienie, wydając głośny okrzyk, który dobiegł aż do forteczki. Wreszcie czterej przyjaciele ruszyli ku murom forteczki i zniknęli poza nimi, poprzedzani przez Grimauda.

XLVII.

NARADA MUSZKIETERÓW.

Jak przewidywał Atos, w fortece znajdowało się jedynie kilkanaście trupów, zarówno Francuzów, jak Rochelczyków.

— Przyjaciele! — rzekł Atos, który objął kierownictwo wyprawy, — zanim Grimaud przygotuje nam śniadanie, zaopatrzmy się przedewszystkiem w strzelby i naboje, a załatwiając tę rzecz konieczną, możemy rozmawiać; ci panowie — dodał, wskazując nieboszczyków — nie będą nas podsłuchiwali...

— Można ich jednak wrzucić do rowu — oświadczył Portos, — przekonawszy się przedtem, czy nie posiadają czego w kieszeniach.

— Zapewne — odparł Atos. — Lecz to już jest zadanie Grimauda.

— A więc — rzekł d'Artagnan — niech Grimaud obszuka ich i przerzuci zwłoki poza mur forteczny.

— Niech Bóg broni! — zawołał Atos. — I ci nieboszczycy mogą się nam jeszcze przydać.

— Mogą się nam przydać? — zapytał Portos. — Oszalałeś chyba, drogi przyjacielu!

— Nie należy sądzić lekkomyślnie, powiada Ewangelja i pan kardynał — odrzekł. — Ile mamy strzelb, panowie?

— Dwanaście — odpowiedział Aramis.

— A ile naboi?

— Setkę.

— W sam raz tyle, ile potrzeba. Nabijmy broń.

Czterej muszkieterowie wzięli się do wykonania tego, a z chwilą, gdy ostatni muszkiet został nabity. Grimaud dał znak swemu panu, że śniadanie już przygotowane.

Atos milczącym gestem wyraził mu swe zadowolenie i, wskazawszy rodzaj strzelnicy, polecił stanąć na straży, a dla uprzyjemnienia mu nudów pozwolił zabrać bochenek chleba, dwa kotlety i butelkę wina.

— Siadajmy "do stołu" — rzekł do towarzyszów.

Czterej przyjaciele usiedli na ziemi, krzyżując nogi, jak Turcy.

— Teraz zaś — ozwał się d'Artagnan, — skoro się już nie potrzebujesz obawiać, by ktoś nas podsłuchał, mam nadzieję, że wyjawisz swą tajemnicę.

— Sądzę, panowie, że zapewniłem wam równocześnie przyjemność i sławę — mówił Atos. — Odbyliście, dzięki mnie, miłą przechadzkę, a teraz oto oczekuje nas doskonałe śniadanie... Tam zaś, w oddali, jak możecie zauważyć poprzez strzelnice, stoi pięciuset ludzi, którzy patrzą na nas, jak na szaleńców lub bohaterów... albowiem te dwa rodzaje niedołęgów są bardzo podobne do siebie....

— Ale jakże z tą tajemnicą? — dopytywał się d'Artagnan.

— Otóż.... wczoraj wieczorem widziałem się z milady — zaczął Atos.

— D'Artagnan w tej właśnie chwili podnosił szklankę do ust, ale na słowo "milady" ręka zadrżała mu tak gwałtownie, że postawił szybko szklankę na ziemi, aby nie rozlać jej zawartości.

— Widziałeś swoją....

— Sza! — przerwał mu Atos; — zapominasz, drogi przyjacielu, że ci panowie nie są wtajemniczeni w moje rodzinne sprawy.... Widziałem milady.

— Gdzie? — pytał d'Artagnan.

— Mniej-więcej o dwie mile stąd, w oberży pod Czerwonym Gołębnikiem.

— No, to jestem zgubiony — rzekł d'Artagnan.

— Nie, jeszcze nie! — odparł Atos, — bo właśnie w tej chwili opuszcza prawdopodobnie brzegi Francji.

D'Artagnan odetchnął głęboko.

— Ale ostatecznie któż to jest ta milady? — zapytał Portos.

— Jestto prześliczna kobieta — mówił Atos, nalewając do szklanki musującego wina, które miało być szampańskiem. — A to łajdak ten oberżysta! — zawołał; — dał nam wino andegaweńskie, zamiast szampańskiego, i myśli zapewne, że się nie poznamy!.... Jest to zatem — mówił dalej — prześliczna kobieta, której względami cieszył się nasz d'Artagnan. Nie wiem, jakie popełnił bezeceństwo, dość, że ściągnął na siebie obecnie jej zemstę: przed miesiącem chciała go zgładzić ze świata, nasadziwszy na niego morderców, którzy doń strzelali, przed o-

śmioma dniami usiłowała go otruć, a wczoraj zażądała od Jego Eminencji jego głowy....

— Jakto? zażądała mojej głowy od kardynała? — zawołał d'Artagnan, blednąc.

— Tak jest — potwierdził Portos, — to prawda; słyszałem to na własne uszy.

— I ja także — dodał Aramis.

— W takim razie — rzekł d'Artagnan z rezygnacją — niema co walczyć z nią dłużej ;lepiej odrazu łeb sobie roztrzaskać i wszystkiemu położyć koniec.

— To byłoby ostatecznem głupstwem — oświadczył Atos, — i to takiem głupstwem, na które nie byłoby już lekarstwa.

— A jednak nie zdołam już uniknąć podobnego końca — mówił d'Artagnan, — mając tak potężnych wrogów. Najpierw ten nieznajomy z Meung; dalej hrabia de Wardes, któremu zadałem trzy pchnięcia szpadą; potem milady, której haniebną tajemnicę wykryłem; wreszcie kardynał, któremu pokrzyżowałem plany zemsty nad nie miłemi mu osobistościami.

— Masz zatem czterech wrogów — oświadczył Atos. — Nas jest także czterech, więc siły równe. Ale, do licha! jeżeli wierzyć znakom, jakie czyni Grimaud, będziemu mieli za chwilę jeszcze większą liczbę wrogów na karku... Cóż tam Grimaudzie? — zawołał pytająco do służącego. — Wobec niezwykłych okoliczności pozwalam ci mówić, mój przyjacielu, ale krótko i zwięźle... Co tam nowego zauważyłeś?

— Oddział, panie.

— Ilu ludzi?

— Dwudziestu.

— Jacyż to ludzie?

— Szesnastu pionierów i czterech szeregowców.

— Jak daleko są od nas?

— O pięćset kroków.

— Doskonale! Kończmy zatem pieczyste i wypijmy szkankę wina za twoje zdrowie, d'Artagnanie.

— Za twoje zdrowie! — powtórzyli Portos i Aramis.

— Niechże będzie za moje zdrowie!.... aczkolwiek nie wierzę, aby życzenia wasze przydały mi się już na co.

— Ba! — rzekł Atos, — Bóg jest wielki, jak powiadają wyznawcy Mahometa; przyszłość w jego ręku.

To mówiąc, wychylił zawartość szklanki i odrzucił ją od siebie a podniósłszy się niedbale z ziemi, chwycił pierwszą-lepszą z brzegu rusznicę i zbliżył się do otworu strzelniczego.

Portos, Aramis i d'Artagnan poszli za jego przykładem, przyczem Grimaud otrzymał rozkaz, by, stanąwszy poza czterema przyjaciółmi, zmieniał broń.

Oddział nieprzyjacielski tymczasem posuwał się ku forteczce podkopem, który stanowił zabezpieczone niejako połączenie jej z miastem

— Do licha! — odezwał się Atos, — czy warto było ruszać się z miejsca z powodu tych dwudziestu hultajów, uzbrojonych w łopaty i motyki? — Wystarczyłoby, zdaje się, żeby Grimaud ruchem ręki nakazał im oddalić się a zaręczam, że pozostawiliby nas w spokoju.

— Ośmielę się w to wątpić — zauważył d'Artagnan, — gdyż jakoś odważnie posuwają się ku nam... Zresztą z robotnikami jest czterech żołnierzy i brygadjer, wszyscy uzbrojeni w muszkiety.

— Ba! odważni są jedynie z tej przyczyny, że nie dostrzegli nas jeszcze — oświadczył Atos.

— Na honor! — rzekł Aramis, — przyznam się, że myśl strzelania do tych biednych mieszczuchów przejmuje mię wstrętem.

— Zły to ksiądz — zauważył Portos, — który lituje się nad heretykami!

— Aramis jednak ma słuszność — rzekł Atos. — Zaraz ich ostrzegę.

— Czyś oszalał, do djabła! — zawołał d'Artagnan, chwytając go za połę. — Chcesz chyba dostać kulką w łeb, mój drogi?

Ale Atos, nie bacząc na słowa przyjaciela, wychylił się już ponad wyłom muru z rusznicą w jednej, a z kapeluszem w drugiej ręce.

— Panowie! — zawołał do zbliżającego się oddziału, a na głos ten żołnierze i robotnicy, zdumieni obecnością muszkieterów w forteczce, zatrzymali się w odległości mniej-więcej pięćdziesięciu kroków. — Panowie! — wołał, kłaniając się uprzejmie kapeluszem, — kilku moich przyjaciół spożywa tu właśnie wraz ze mną śniadanie. Otóż wiadomo panom chyba, że niema nic bardziej niemiłego, jak przerwać sobie tę przyjemność... I proszę was, jeżeli już koniecznie musicie się zająć tutaj jakąś robotą, abyście zaczekali, póki nie skończymy naszego posiłku,

i przyszli tu nieco później... A może, i to, zdaje się byłoby najlepsze, zechcecie zacnie, porzuciwszy szeregi buntownicze, wypić wraz z nami za zdrowie króla Francji?

— Uważaj, Atosie! — zawołał d'Artagnan. — Czy nie widzisz, że biorą cię na cel?

— Nic to nie szkodzi! — odpowiedział Atos, — te mieszczuchy strzelają bardzo kiepsko i nie poważą się trafić we mnie.

W tej samej chwili zagrzmiały cztery wystrzały, i wszystkie kule trafiły gdzieś w mur niedaleko Atosa.

Natychmiast jednak odpowiedziały im z forteczki cztery muszkiety, ale z lepszym skutkiem, gdyż jednocześnie trzej żołnierzt padli trupem, i raniony został jeden robotnik.

— Grimaudzie, podaj mi świeży muszkiet — zawołał Atos, wciąż eszcze stojąc u wyłomu.

Grimaud spełnił rozkaz, trzej zaś przyjaciele nabili tymczasem broń powtórnie, i nastąpiła nowa salwa, po której padł brygadjer i dwóch robotników, co widząc reszta oddziału poczęła uciekać.

— A teraz, panowie, urządźmy wycieczkę! — wołał Atos.

Czterej przyjaciele wybiegli z poza murów fortecznych, dotarli aż do poległych, zabrali cztery muszkiety żołnierzy i krótką dzidę brygadjera, poczem, przekonani, że uciekający nie zatrzymają się pierwej, aż dopiero w mieście, zawrócili do forteczki, unosząc trofea swego zwycięstwa.

— Nabij broń, Grimaudzie — odezwał się Atos, — a my, panowie, wracajmy do śniadania i do naszej przerwanej rozmowy. Na czemże to stanęliśmy?

— Mówiłeś o wyjeździe milady — rzekł d'Artagnan, zaciekawiony ogromnie podróżą milady.

— Pojechała zatem do Anglji — mówił Atos.

— W jakim celu?

— Aby zamordować albo kazać zamordować Buckinghama.

— Ależ to haniebne! — zawołał zdziwiony i oburzony d'Artagnan.

— Co do mnie zaś — rzekł Atos, — bardzo mało mię to obchodzi. — I zwrócił się do służącego: — A teraz Grimaudzie, skoro skończyłeś nabijać, weź dzidę naszego brygadjera, przytwierdź do niej serwetę i zatknij na szczycie forteczki, aby powstańcy z Rochelli zobaczyli, że mają do czynienia z walecznymi i wiernymi żołnierzami króla.

Grimaud w milczeniu poszedł wykonać otrzymany rozkaz, i w chwilę później ponad głowami naszych czterech przyjaciół powiał biały sztandar, a pojawienie się jego wywołało burzę oklasków od strony wałów obozowych, gdzie wyległa przynajmniej połowa obozu.

— Jakto? — powtórzył d'Artagnan, — nie obchodzi cię to wcale, że zabije ona lub też każe zabić Buckinghama? Przecież książę jest naszym przyjacielem!

— Książę jest Anglikiem i walczy przeciwko nam. Niech więc nasza miłady robi sobie z księciem, co się jej podoba; obchodzi mię to tyle, co ta pusta flaszka.

Mówiąc to, Atos cisnął na odległość piętnastu kroków flaszkę, z której wysączył był przed chwilą resztę wina.

— Przepraszam! — oświadczył d'Artagnan, — co do mnie, nie jest mi obojętną osobistość Buckinghama; on to przecież podarował nam owe przepiękne cztery konie.

— I w dodatku wspaniałe siodła — wtrącił Portos, który jeszcze w tej chwili miał płaszcz obszyty kolonem ze swego siodła.

— Przytem powinniśmy pamiętać — dodał Aramis, — że Bóg chce nawrócenia, a nie śmierci grzesznika.

— "Amen"! — dokończył Atos. — Wrócimy później do tego tematu, jeżeli taka wasza wola. Na razie jednak, a jestem przekonany, że zrozumiesz dobrze moje pobudki, d'Artagnanie, na razie chodziło mi przedewszystkiem o to, aby wydrzeć tej kobiecie pewne upoważnienie wystawione na okaziciela, które wymusiła na kardynale i z pomocą którego mogłaby bezkarnie pozbyć się ciebie, a może i nas wszystkich.

— Ależ to szatan chyba, nie kobieta! — rzekł Portos, podsuwając swój talerz Aramisowi, który krajał w tej chwili pieczyste.

—I upoważnienie to, wystawione na okaziciela — pytał d'Artagnan, — pozostało w jej ręku.

— O, nie! Odebrałem je... i muszę się przyznać, że nie bez trudu.

— Drogi Atosie! — rzekł d'Artagnan, ściskając rękę przyjaciela, — nie mogę już spamiętać, ile razy zawdzięczam ci życie.

— Więc to dlatego opuściłeś nas w oberży, aby być u niej? — zapytał Aramis.

— Tak jest.

— I posiadasz to pismo kardynała? — pytał d'Artagnan.

— Oto ono — rzekł Atos, wydobywając cenny dokument z kieszeni kaftana.

D'Artagnan drżącemi rękoma rozwinął papier, nie próbując ukryć swego niepokoju, i przeczytał, co następuje:

"Czegokolwiek dokona właściciel tego dokumentu, spełnione zostaje z mego rozkazu i dla dobra państwa.

3-go grudnia 1627 roku.

Richelieu."

— Istotnie — rzekł Aramis, — jest to rozgrzeszenie wedle wszelkich reguł.

— Trzeba zniszczyć ten dokument — oświadczył d'Artagnan, który miał wrażenie, że czyta wyrok śmierci na siebie.

— Przeciwnie — odparł Atos, — należy go zachować jaknajstaranniej. Nie oddałbym tego dokumentu, gdyby wzamian chciano go pokryć stosem złota.

— Jak myślisz? co teraz milady uczyni? — spytał młody człowiek.

— Napisze zapewne do kardynała — odpowiedział Atos z zadziwiającą obojętnością, — że pewien przeklęty muszkieter, nazwiskiem Atos, wydarł jej przemocą ten list bezpieczeństwa; w tem samem piśmie poda też zapewne kardynałowi radę, że należałoby się tego muszkietera pozbyć, zarówno, jak i jego dwóch przyjaciół, Portosa i Aramisa. Jego Eminencja przypomni sobie wówczas, że są to ci sami ludzie, których ustawicznie spotyka na swojej drodze, i pewnego pięknego poranku każe uwięzić d'Artagnana, a dla towarzystwa, by się nie nudził samotnie, zamknie i nas w Bastylji.

— Do licha! — rzekł Portos, — zdaje mi się, że twoje żarty nie są wcale zabawne, mój drogi.

— Bynajmniej nie żartuję — odparł Atos.

— Czy wiesz — zakonkludował Portos, — że byłoby mniejszym grzechem skręcić kark tej przeklętej milady, niż tym biedakom hugenotom, których całą zbrodnią jest to, że śpiewają po francusku te same psalmy, jakie my śpiewamy po łacinie.

— A jakież jest zdanie księdza dobrodzieja? — spytał poważnie Atos.

— Podzielam w zupełności przekonanie Portosa — odpowiedział Aramis.

— Ja również — oświadczył d'Artagnan.

— Całe szczęście, że milady znajduje się daleko od nas — mówił Portos. — Przyznaję bowiem, że, gdyby była tutaj, przeszkadzałoby mi to bardzo.

— Mnie przeszkadza ona bez względu na to, czy znajduje się w Anglji, czy we Francji — odezwał się Atos.

— I dla mnie jest wszędzie zmorą — wtrącił d'Artagnan.

— Skoro jednak miałeś ją w swem ręku — pytał Portos, — dlaczego nie utopiłeś jej, nie zadusiłeś, nie powiesiłeś? Wszak tylko umarli nie wracają....

— Tak sądzisz, Portosie? — odparł Atos, uśmiechając się tragicznie, co zrozumiał jeden tylko d'Artagnan.

— Panowie! — rzekł d'Artagnan, — przychodzi mi do głowy pewien plan...

— Co takiego? — zapytali muszkieterowie.

Zanim d'Artagnan zdążył odpowiedzieć, rozległ się okrzyk Grimauda:

— Do broni!

Młodzi ludzie zerwali się szybko i pochwycili rusznice.

Tym razem ku murom forteczki zbliżał się oddział, składający się z dwudziestu czy dwudziestu pięciu ludzi; nie byli to już robotnicy, lecz żołnierze miejskiej załogi.

— A gdybyśmy tak wrócili już do obozu? — rzekł Portos. — Zdaje mi się, że teraz siły będą bardzo nierówne.

— Nie możemy uczynić tego z trzech powodów — odpowiedział Atos; — popierwsze: nie skończyliśmy jeszcze śniadania; powtóre: musimy jeszcze pomówić o ważnych sprawach; potrzecie: brakuje nam jeszcze dziesięciu minut do umówionej godziny.....

— Trzeba zatem pomyśleć o obronie — rzekł Aramis.

— To będzie nader proste — mówił Atos. — Skoro nieprzyjaciel zbliży się na odległość strzału z muszkietu, damy ognia; jeżeli pomimoto posuwać się będzie dalej, wystrzelimy raz jeszcze... i będziemy strzelali dopóty, póki starczy nabitych muszkietów; jeżeli zaś reszta pozostałych z oddziału żołnierzy zechce przypuścić szturm, pozwolimy oblegającym dotrzeć aż do rowu i zepchniemy na ich głowy ten oto kawał muru, który jedynie jakimś cudem trzyma się równowagi.

— Doskonale! — zawołał Portos. — Stanowczo urodziłeś się na dowódzcę, Atosie, a kardynał, uważający się za wielkiego wojownika, jest niczem przy tobie.

— I proszę bardzo, panowie — ostrzegał Atos, — niewolno pudłować! Niech każdy wymierzy dobrze do upatrzonego wroga.

— Ja upatrzyłem go już sobie — rzekł d'Artagnan.

— I ja mam już mój cel — odezwał się Portos.

— Ja "idem" — dodał Aramis.

— A więc... ognia! — rozkazał Atos.

Jeden tylko huk towarzyszył czterem strzałom, ale czterech ludzi runęło na ziemię.

Dobosz uderzył w bęben, i mały oddział począł zbliżać się ku forteczce przyspieszonym krokiem.

Teraz strzały naszych przyjaciół następowały już po sobie w nieregularnych odstępach, ale wszystkie były celne. Atakujący jednak, znając widocznie liczebną słabość obrońców forteczki, szli ku niej, nie zrażeni tem, że na każde trzy strzały padało najmniej dwóch z ich ludzi. Wreszcie u stóp murów fortecznych znalazło się jeszcze dwunastu do piętnastu atakujących, których jednak ostatnia skuteczna salwa nie powstrzymała; rzucili się do rowu i poczęli wdrapywać się ku wyłomowi.

— Dalejże, przyjaciele- — zawołał Atos, — do muru! do muru!

I, nie wyłączając Grimauda, wszyscy poczęli spychać olbrzymi kawał muru, który wreszcie, straciwszy punkt równowagi, zachwiał się i z ogromnym łoskotem runął do rowu. U stóp forteczki rozległy się straszne krzyki, i chmura pyłu wzniosła się ku niebu.

— No, chyba ani jeden nie pozostał wśród żywych- — ozwał się Atos.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan, — takby się wydawało.

— Nie! — odparł Portos; — patrzcie, oto dwóch czy trzech umyka, kulejąc.

Istotnie kilku nieszczęśliwców, pokrwawionych i okrytych pyłem rumowiska, umykało ku miastu; to byli wszyscy którzy ocaleli w porażce.

Atos spojrzał na zegarek.

— Panowie! — oświadczył, — bawimy tutaj całą godzinę, i zakład nasz został wygrany. Należy jednak pokazać, że rozgry-

wamy. partję z godnością. A przytem d'Artagnan nie wyjawił nam swego jeszcze planu.

I powiedziawszy to, muszkieter z właściwą sobie zimną krwią zasiadł, by dokończyć śniadania.

— Mego planu? — zapytał d'Artagnan.

— Tak jest; mówiłeś przecie, że przyszedł ci jakiś plan do głowy — odparł Atos.

— Ach, prawda! — rzekł d'Artagnan. — Otóż zamierzam wyruszyć powtórnie do Anglji i udam się prosto do Buckinghama.

— Nie uczynisz tego, d'Artagnanie — oświadczył zimno Atos.

— I dlaczegoż to? Czyż już raz nie dokonałem tego?

— Tak jest. Ale wówczas nie byliśmy jeszcze na stopie wojennej; wówczas książę Buckingham był naszym sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. To, co zamierzasz teraz uczynić, byłoby uważane za zdradę.

D'Artagnan uznał słuszność tych słów i zamilkł.

— Zdaje mi się — ozwał się Portos, — że i ja także mam pewien pomysł.

— Słuchajmy pomysłu pana Portosa! — zawołał Aramis.

— Poproszę pana de Treville o urlop pod jakimkolwiek pozorem, który pozostawiam wam do obmyślenia, gdyż, jak wiecie, nie odznaczam się wybitną pomysłowością... a następnie postaram się zbliżyć do milady, która mię nie zna, a więc osobistość moja nie obudzi w niej nieufności... Skoro zaś dostanę piękną panią w ręce, uduszę ją.

— Nieźle! — rzekł Atos. — Skłonny byłbym zgodzić się na pomysł Portosa.

— Wstydźcie się! — przerwał Aramis. — Jakto? zabijać kobietę? Nie! Posłuchajcie raczej mojego pomysłu.

— Mów, Aramisie — oświadczył Atos, który wielce poważał zdanie młodego muszkietera.

— Należy uprzedzić królowę.

— Na honor! — zawołali równocześnie Portos i d'Artagnan, — zdaje się, że znaleźliśmy nareszcie właściwy środek.

— Uprzedzić królowę? — mówił Atos, — ale w jaki sposób? Czyż łączą nas z dworem jakiekolwiek stosunki? czy możemy wysłać kogoś do Paryża tak, aby nie wiedziano o tem w obozie? A dzieli nas od Paryża sto czterdzieści mil, więc, zanim list nasz znalazłby się w Angers, my siedzielibyśmy już w więzieniu.

— Jeżeli chodzi o doręczenie listu Jej Królewskiej Mości — odezwał się Aramis, a rumieniec pokrył mu oblicze, — podejmę się tego z ochotą. Znam w Tours pewną sprytną osóbkę...

Tu Aramis, zauważywszy uśmiech na ustach Atosa, nie dokończył.

Zauważył ten uśmiech i d'Artagnan, więc zagadnął:

— Więc nie godzisz się, Atosie, na użycie tego środka?

— Nie odrzucam go zasadniczo — odpowiedział Atos, — ale chciałbym zwrócić Aramisowi uwagę, że nie będzie się mógł oddalić z obozu, a komuś innemu, prócz nas w sprawie tej zaufać nie można, i że w dwie godziny po wyjeździe wysłannika wszystkie zakapturzone mnichy, wszyscy zbirowie, wszystkie czarne duchy kardynała będą znali treść twego listu na pamięć, a następstwem tego będzie, że zarówno ty, jak i twoja sprytna osóbka, dostaniecie się do więzienia...

— Nie biorąc już tego w rachubę — odezwał się Portos, — że choćby nawet królowa ocaliła księcia Buckinghama, nas ocalićby nie zdołała.

— Portos mówi świętą prawdę, panowie — rzekł d'Artagnan.

— A cóż to się tam dzieje w mieście — zawołał Atos, nasłuchując.

— Biją w bębny na alarm.

Czterej przyjaciele nastawili uszu; istotnie odgłos bębnów dochodził ich najwyraźniej.

— Przekonacie się, że wyślą przeciwko nam cały pułk — rzekł Atos.

— No! chyba nie zechcesz mieć z całym pułkiem do czynienia? — zapytał Portos.

— Czemużby nie? — odparł muszkieter. — Czuję w sobie niezwykły animusz i stawiłbym czoło nawet całej armji, gdybyśmy byli, kierując się przezornością, zabrali tu z sobą z tuzin flaszek więcej.

— Na honor! odgłos bębnów przybliża się — zauważył d'Artagnan.

— Niech się przybliża — odpowiedział Atos. — Kwadrans drogi dzieli nas od miasta, więc dopiero za kwadrans mogą być tutaj. Mamy tedy dosyć czasu, aby rozważyć jeszcze nasze plany. Skoro bowiem odejdziemy stąd, nie znajdziemy już nigdzie miejsca tak odpowiedniego i dogodnego na narady. A oto właśnie przychodzi mi, panowie, pewien doskonały pomysł.

— Mów zatem.

— Pozwólcie wszakże, że wydam przedtem Grimaudowi kilka nieodzownych poleceń.

Atos skinął na służącego, aby się przybyliżył.

— Grimaudzie — rzekł, wskazując mu trupy, leżące koło forteczki, — weźmiesz tych panów, ustawisz rzędem koło muru, nasadzisz im czapki na głowy i włożysz muszkiety do rąk...

— O, wielki człowieku! — zawołał d'Artagnan, — zaczynam cię pojmować.

— Pojmujesz? — spytał Portos.

— A ty, Grimaudzie, czy rozumiesz, o co chodzi? — indagował Aramis.

Grimaud skinął potakująco głową.

— Tego tylko było potrzebo — odezwał się Atos. — Teraz możemy się zająć moim pomysłem.

— Jednakże i ja chciałbym zrozumieć, o co chodzi — rzekł Portos.

— To zbyteczne.

— Tak! tak! — wołali razem d'Artagnan i Aramis, — powiedz zatem, jaki masz pomysł.

— Otóż milady, ta zbrodnicza kobieta, ten demon, ten szatan, jak mi mówiłeś, d'Artagnanie, ma szwagra.

— Tak jest; znam go, i zdaje mi się, że nie żywi on zbytniej sympatji dla swej bratowej.

— To nawet dobrze się składa — odparł Atos; — gdyby ją zaś nienawidził, byłoby jeszcze lepiej.

— W takim razie okoliczności dla planu twego są sprzyjające.

— Pragnąłbym jednak dowiedzieć się nareszcie — wtrącił Portos. — w jakim celu Grimaud ustawia te trupy.

— Nie przeszkadzaj, Portosie — uspokajał go Aramis.

— Jak się nazywa ten szwagier?

— Lord de Winter.

— A gdzie się obecnie znajduje?

— Na pierwszą wieść o wojnie pojechał do Londynu.

— Doskonale! — oświadczył Atos. — To jest właśnie człowiek, jakiego nam potrzeba. Należy uprzedzić go o wszystkiem: zawiadomić, że jego bratowa ma wobec kogoś zbrodnicze zamiary, i prosić, aby miał ją na oku. Myślę, że istnieje w Londynie jakaś instytucja w rodzaju paryskich Magdalenek lub Sióstr

Pokutujących; skoro umieści tam swoją bratową, będziemy mieli spokój.

— Tak — rzekł d'Artagnan, — dopóki nie wymknie się stamtąd.

— Na honor, d'Artagnanie! — oświadczył Atos, — wymagasz nazbyt wiele. Dałem już wszystko, co mogłem, i uprzedzam, że pomysłowość moja już się wyczerpała.

— Owszem, Atosie; zdaje mi się, że nie można wymyślić nic lepszego — rzekł d'Artagnan. — Ale trzeba uprzedzić równocześnie królowę i lorda Wintera.

— Dobrze. Ale któż zawiezie list do Tours i list do Londynu?

— Ręczę za Bazina — oświadczył Aramis.

— Ja zaś za Plancheta — dodał d'Artagnan.

— To prawda — odezwał się Portos; — my nie możemy opuszczać obozu, ale na służących naszych nikt nie zwróci uwagi.

— Oczywiście — rzekł Aramis. — Jeszcze więc dzisiaj damy im listy oraz pieniądze i wyślemy w drogę.

— Pieniądze? — odezwał się Atos, — więc macie pieniądze? Czterej przyjaciele spojrzeli po sobie, i czoła ich zachmurzyły się.

— Baczność! — krzyknął nagle d'Artagnan. — Patrzcie, panowie! Mówiłeś, Atosie, o jednym pułku, a tu idzie na nas cała armja.....

— Istotnie, na honor! — odparł Atos. — Ale tchórze podstępni... skradają się bez bębnów i trąbek wojskowych. Aha! skończyłeś już, Grimaudzie?

Grimaud skinął potakująco głową i wskazał około dwunastu truposzów, ustawionych pod murem w najbardziej malowniczych pozycjach; jedni stali z opuszczoną bronią, inni wyglądali tak, jakgdyby celowali z muszkietów, jeszcze inni trzymali szpady w rękach.

— Doskonale! — zawołał Atos, — dzieło twoje czyni zaszczyt twojej fantazji.

— Wszystko mi jedno — oświadczył Portos, — pragnąłbym jednak przedewszystkiem zrozumieć....

— Zmykajmy najpierw, a potem zrozumiesz wszystko — odpowiedział d'Artagnan.

— Jeszcze chwileczkę, panowie! Niech Grimaud sprzątnie nakrycie.

— Oho! — zawołał Aramis. — Patrzcie, jak szybko zbliżają się... Podzielam zdanie d'Artagnana, że nie możemy tracić czasu, jeżeli chcemy cało dostać się do obozu

— Na honor! — oświadczył Atos, — nic nie przeszkadza nam w odwrocie. Założyliśmy się o godzinę, a spędziliśmy tutaj półtorej godziny. Teraz nie mamy już potrzeby zatrzymywać się dłużej i ruszajmy, panowie, ruszajmy!

Grimaud poszedł naprzód, niosąc kosz z naczyniami. Czterej przyjaciele podążyli za nim i uszli już kilkanaście kroków, gdy nagle Atos zawołał:

— Do licha! cożeśmy to uczynili, panowie?

— Zapomniałeś czego? — spytał Aramis.

— Na Boga! nasz sztandar! Niewolno przecie zostawiać sztandaru na łup wroga, chociażby to była tylko zwykła serweta.

Atos zawrócił do forteczki i, wdrapawszy się na mur, gdzie zatknięta była serweta, sięgał po nią, gdy nagle Rochelczycy, którzy zbliżyli się już na odległość strzału, dali teraz straszliwą salwę.

I, możnaby powiedzieć, czary chyba jakieś sprawiły, że człowiek ten, który, jakby dla przyjemności, wystawiał się na pociski, nie doznał żadnego szwanku; kule świstały dokoła niego, ale żadna nie drasnęła go nawet.

Atos, odwrócony tyłem do nieprzyjaciela, powiał swym sztandarem, pozdrawiając towarzyszów z obozu, i jednocześnie z obu stron rozległy się głośne okrzyki: z jednej okrzyki wściekłości, z drugiej entuzjazmu.

Wnet jednak zabrzmiała druga salwa, i trzy kule ugodziły w serwetę sztandaru, dziurawiąc ją nawylot, a z obozu zaczęto wołać:

— Schodź prędzej! Schodź prędzej!

Atos zeszedł szczęśliwie, witany radośnie przez oczekujących nań z zaniepokojeniem towarzyszów.

— Chodźmy, Atosie! — przynaglał d'Artagnan, — spieszmy się, spieszmy! Byłoby nierozwagą pozwolić się zabic teraz, gdy już znaleźliśmy rozwiązanie wszystkiego, prócz... kwestji pieniężnej.

Ale Atos, mimo nalegań swych towarzyszów, nie spieszył zbyt nio, zachowując całą swą powagę, — więc trzej jego przyjacie-

le, przekonawszy się, że nie zmuszą go do pospiechu, dostosowali do niego kroki swoje.

Natomiast Grimaud, niosący koszyk, nie marudził i był już w tej chwili poza obrębem strzałów nieprzyjacielskich.

Po upływie chwili przyjaciele nasi usłyszeli niezwykłą strzelaninę; Rochelczycy dawali salwę po salwie.

— Cóż to znaczy? — pytał Portos, — do czego, a raczej do kogo oni strzelają?

— Do naszych truposzów — objaśnił Atos.

— Poco? przecie trupy nie odpowiadają im na ogień.

— Oczywiście. To też, spostrzegłszy się, przyjdą do wniosku, że to zasadzka, zaczną się naradzać, wyślą parlamentarza, a gdy wreszcie przekonają się, że padli jedynie ofiarą żartu, my będziemy już dawno poza obrębem strzałów. Oto, dlaczego niema powodu przyspieszać kroku, narażając się na rozedmę płuc.

— Ach! pojmuję teraz! — zawołał Portos z zachwytem.

— No, to całe szczęście! — zauważył Atos, wzruszając ramionami.

Francuzi, ujrzawszy powracających czterech naszych zuchów, wydawali na ich cześć głośne okrzyki. Lecz wrzawę tę przygłuszyła nagle nowa salwa, i tym razem przyjaciele nasi posłyszeli świst kul koło swych uszu, a gdy się obejrzeli, forteczka już roiła się od Rochelczyków.

— Bardzo niezdarni wojownicy — zauważył Atos. — Iluż to zabiliśmy? dwunastu?

— Albo piętnastu.

— A ilu zmiażdżyliśmy?

— Ośmiu czy dziesięciu.

— Sami zaś nie otrzymaliśmy najdrobniejszej nawet rany. Ale cóż to, d'Artagnanie? co ci się stało? twoja ręka krwawi?

— Drobnostka — odparł d'Artagnan.

— Dosięgła cię może jakaś zabłąkana kula?

— Bynajmniej.

— Więc cóż się stało?

Wspominaliśmy już, że Atos kochał d'Artagnan, jak syna; ponury ten i twardy człowiek okazywał niekiedy młodzieńczowi iście rodzicielską czułość.

— Drobne zadraśnięcie — odpowiedział d'Artagnan. — Ręka dostała się pomiędzy kamienie, i pierścień, a właściwie djament, przeciął mi skórę.

— Otóż widzisz, mój panie, jaką to odnosi się korzyść, stroją ręce djamentami — rzekł pogardliwie Atos.

— Jakto? — zawołał Portos, — posiada djament i uskarza się na brak pieniędzy?

— Prawda! — zauważył Aramis.

— Nareszcie i Portos poddaje nam dobrą myśl — dodał Atos.

— Oczywiście — mówił Portos, zadowolony z pochwały. — Skoro posiada djament, niech go spienięży.

— Ależ to djament od królowej! — bronił się d'Artagnan.

— Tem bardziej — rzekł Atos. — Niema nic słuszniejszego, jak to, że królowa ocala księcia Buckinghamskiego, swego kochanka; niema nic moralniejszego, że królowa ocala nas, swoich przyjaciół... Trzeba sprzedać djament. Jak się na to zapatruje ksiądz dobrodziej? Nie pytam Portosa o zdanie, bo już je wyraził.

— Myślę — oświadczył Aramis, rumieniąc się, — że, skoro pierścień ten nie pochodzi od kochanki i nie jest zakładem miłości, posiada on jedynie wartość pieniężną.

— Mój drogi, przemawiasz, jak uosobiona teologja. Więc twojem zdaniem?

— Należy sprzedać pierścień — odpowiedział Aramis.

— Skoro tak — rzekł wesoło d'Artagnan, — sprzedajmy pierścień i nie mówmy już o tem więcej.

Strzelanina nie ustawała, ale przyjaciele byli już poza obrębem jej dosięgalności; Rochelczycy strzelali jedynie dlatego, by uspokoić swe sumienie.

— Na honor! Portos w sam czas podał swój projekt, jesteśmy bowiem już w obozie, i.... ani słowa więcej o tej sprawie! Wszyscy patrzą na nas, spieszą na nasze spotkanie; zostaniemy triumfalnie wprowadzeni do obozu.

Istotnie obóz znajdował się w niezwykłem poruszeniu; przeszło dwa tysiące żołnierzy przyglądało się, niby widowisku, wyprawie czterech przyjaciół, — nikt jednak nie podejrzywał prawdziwej jej przyczyny. Rozlegały się okrzyki: "Niech żyje gwardja! Niech żyją muszkieterowie!"

Pan de Busigny pierwszy pospieszył uścisnąć dłoń Atosa i stwierdzić, że przegrał zakład. Towarzyszył mu dragon i szwajcar, a za nimi spieszyli inni towarzysze. Powinszowania, uściski rąk, pocałunki, śmiechy i żarty z powodu niezaradności mieszkańców Rochelli nie miały końca. A hałas przytem w obozie

był tak wielki, że wreszcie pan kardynał, przypuszczając, że to bunt wśród wojska lub coś pdobnego, wysłała kapitana swej gwardji, nazwiskiem La Houdiniere, by sprawdził, co zaszło.

Opowiedziano wysłannikowi całą historję, ubarwiając ją jeszcze zwykłymi w takich razach dodatkami, poczem wrócił on do Jego Eminencji.

— I cóż? — zapytał go kardynał.

— Otóż, Eminencjo — odpowiedział kapitan, — trzej muszkieterowie i jeden gwardzista założyli się z panem de Busigny, że zjedzą śniadanie w forteczce Świętego Gerwazego. Urzeczywistniając to, odpierali przez dwie godziny ataki nieprzyjaciół i dosyć ich położyi trupem.....

— Czy znasz nazwiska tych trzech muszkieterów?

— Tak jest, Eminencjo.

— Jakże się nazywają?

— Są to panowie Atos, Portos i Aramis.

— Zawsze ci trzej zuchowie! — mruknął kardynał. — A jak się nazywa gwardzista?

— Pan d'Artagnan.

— Zawsze mój młody zapaleniec! Stanowczo muszę pozyskać dla siebie tych ludzi.

Tego samego jeszcze wieczora wyprawa czterech naszych zuchów była przedmiotem rozmowy kardynała z panem de Treville; zresztą cały obóz nie mówił o niczem. Pan de Trevlile, który wysłuchał był opowiadania o przygodzie z ust samych jej bohaterów, przedstawił Jego Eminencji wszystkie szczegóły, nie przemilczając także epizodu z serwetą.

— Każ pan zachować tę serwetę panie de Treville — oświadczył kardynał. — Polecę wyhaftować na niej trzy złote lilie i ofiaruję ją jako sztander twemu pułkowi.

— Eminencjo! — rzekł pan de Treville, — byłoby to niesprawiedliwością wobec gwardji, gdyż współuczestnik tej wyprawy, pan d'Artagnan, nie służy w moim pułku, lecz pod znakami pana des Essarts.

— A więc zabierz go pan sobie — odrzekł kardynał. — Nie jest słusznem, aby ci czterej dzielni żołnierze, tak bardzo się kochający, służyli w rozmaitych pułkach.

Tego samego jeszcze dnia doniósł pan de Treville trzem muszkieterom i d'Artagnanowi o pomyślnej nowinie zapraszając ich do siebie na jutro na śniadanie.

D'Artagnan był na wyraz uradowany; wiemy przecież, że marzeniem jego życia było zostać muszkieterem. Trzej przyjaciele ucieszyli się również.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan do Atosa, — wpadłeś na świetny pomysł. Tak, jak mówiłeś, nietylko pozyskaliśmy sławę, ale mogliśmy się spokojnie naradzić w naszej tak doniosłej sprawie.

— Obecnie możemy się i tutaj naradzać, nie zwracając na siebie podejrzeń. Albowiem z woli Bożej będziemy teraz uchodzili za stronników kardynała.

Wieczorem d'Artagnan udał się do pana des Essarts, aby złożyć mu swe uszanowanie i zawiadomić o swem przeniesieniu. Pan des Essarts, który bardzo lubił d'Artagnana, ofiarował mu się zpomocą pieniężną, gdyż przeniesienie to pociągało za sobą wydatki na umundurowanie. D'Artagnan jednak odmówił przyjęcia, natomiast ,korzystając ze sposobności, zostawił swemu byłemu zwierzchnikowi djament z prośbą o ocenienie, oświadczając, że pragnie go sprzedać dla pozyskania pieniędzy. Następnego dnia o godzinie ósmej rano lokaj pana des Essarte przyszedł do kwatery d'Artagnana, przynosząc mu worek złota, zawierający siedem tysięcy liwrów. — Była to cena djamentu królowej.

XLVIII.

SPRAWA RODZINNÁ.

Atos wynalazł określenie: "sprawa rodzinna". Sprawa rodzinna nie mogła podlegać kontroli kardynała; sprawa rodzinna nie obchodziła nikogo obcego, i wobec całego świata można było otwarcie zajmować się swą sprawą rodzinną, nie wywołując zdziiwenia czy też nadmiernej ciekawości ludzkiej.

Tak więc Atos wynalazł orkeślenie "sprawa rodzinna", — Aramis podał myśl posłużenia się w niej pachołkami, — Portos wreszcie wskazał środki ku jej wykonaniu: djament. D'Artagnan nie wylazał nic, choć był najbardziej z całej czwórki pomysłowy, — należy tu jednak zaznaczyć, że paraliżowało go już samo nazwisko milady. Zresztą mylimy się: d'Artagnan wynalazł kupca na djament.

Śniadanie u pana de Treville odbyło się wesoło, wśród niezwykle dobrych humorów. D'Artagnan miał już na sobie nowy mundur, odstąpiony mu przez Aramisa, który, jak wiemy, otrzymawszy od swego "księgarza-wydawcy" sutą zapłatę za swój poemat, sprawił sobie aż dwa mundury, — że zaś byli z d'Artagnanem jednakowego wzrostu, więc mundur pasował doskonale. To też, gdy się po śniadaniu przyjaciele rozeszli, obiecawszy sobie spotkać się wieczorem w kwaterze Atosa dla ostatecznego omówienia szczegółów zamierzonego przedsięwzięcia, d'Artagnan przez dzień cały kręcił się po obozie, prezentując ten swój nowy mundur. I osiągnąwszy nareszcie cel swych marzeń, czułby się nasz młody Gaskończyk zupełnie szczęśliwym, gdyby myśl o milady, niby groźna chmura, nie zaciemniała mu horyzontu.

Wieczorem o umówionej godzinie czterej muszkieterowie, znalazłszy się znowu razem, postawili sobie przedewszystkiem do rozstrzygnięcia trzy następujące pytania: co napisać do brata milady? jakie zlecenia dać sprytnej osóbce w Tours? wreszcie, których służących wybrać na wysłanników? Każdy z obecnych zalecał swego służącego: Atos wychwalał dyskrecję Grimauda,

który przemawiał tylko wtedy, gdy pan odsznurował mu usta; Portos rozwodził się nad siłą Mousquetona, chłopa wielkiego wzrostu, który mógł poradzić czterem zwyczajnym ludziom; Aramis, zaufany w zręczność i spryt swego Bazina, wygłosił na rzecz jego pompatyczną przemowę, przedstawiając go, jako nieporównanego w takich sprawach posła; wreszcie d'Artagnan, pełen wiary w dzielność Plancheta, przypominał, jak dobrze giermek jego spisał się w trudnej przygodzie w Boulogne. Cztery te doskonałości czekały długo na ostateczne przyznanie palmy pierwszeństwa, dając swym panom sposobność do wygłoszenie na rzecz ich mnóstwa pochwał, których tu jednak nie powtarzamy z obawy znudzenia czytelnika.

— Niestety — oświadczył wreszcie Atos, — ten, którego wyślemy, powinien jednoczyć w sobie zalety wszystkich czterech.

— Ale gdzież takiego znaleźć?

— Niema takiego — rzekł Atos, — wiem doskonale: dlatego wybierzcie Grimauda.

— Mojem zdaniem odpowiedniejszy będzie Mousqueton.

— A ja uważam, że należy tu użyć Bazina.

— Wybierzcie najlepiej Plancheta; jest to dzielny i sprytny chłopiec, więc z wymaganych czterech zalet posiada aż dwie.

— Moi panowie! — odezwał się Aramis, — w wyborze naszym powinno rozstrzygać nie to, który z nich jest najdyskretniejszy, czy najsilniejszy, lub najprzebieglejszy, albo wreszcie najodważniejszy, ale to, który z nich najwięcej lubi pieniądze.

— Święta prawda, Aramisie! — oświadczył Atos; — należy tu liczyć się z wadami, a nie zaletami danego osobnika. Jesteś doskonałym moralistą, księże dobrodzieju!

— Musimy nietylko starać się o powodzenie przedsięwzięcia, ale także być zabezpieczeni na wypadek jego niepowodzenia — mówił Aramis, — gdyż w razie przegranej stawką będą głowy, i to bynajmniej nie naszych służących...

— Mów ciszej, Aramisie — wtrącił Atos.

— Powtarzam: nie głowy służących, ale głowy ich panów, tylko ich panów — ciągnął dalej Aramis. — Czyż służący nasi są nam tak oddani, by narażali dla nas swoje życie? Nie.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan, — ja ręczyłbym niemal za

— Niewątpliwie... gdy niema szampana lub chambertina.

— A zatem, drogi przyjacielu, dodaj do tej jego wierności pewną sumkę, któraby mogła zapewnić mu dostatek, a będziesz mógł ręczyć podwójnie.

— Mój Boże! i tak zostaniecie oszukani — oświadczył Atos, który, gdy szło o jakieś dzieła ludzkie, był optymistą, ale ilekroć szło o samych ludzi, objawiał skończony pessymizm. — Przyrzekną wam wszystko, byleby zyskać pieniądze; lecz skoro przyjdzie do działania, strach ich obleci i sparaliżuje nawet dobre chęci. Skoroby zaś zostali schwytani i uwięzieni, ręczę, że wyjawią wszystko. Do licha! nie jesteśmy przecież dziećmi! Aby się dostać do Anglji — tu Atos zniżył głos, — trzeba przejechać całą Francję, zasianą szpiegami i kreaturami kardynała... trzeba mieć paszport, aby wsiąść na okręt... trzeba znać język angielski, aby się wywiedzieć o drogę do Londynu... Sprawa wydaje mi się zatem bardzo trudną.

— Ależ nie spoglądajmy na nią tak ponuro! — zawołał d'Artagnan, który gorąco pragnął doprowadzić przedsięwzięcie do skutku. — Mnie, przeciwnie, wydaje się ona bardzo łatwa. Oczywiście, jeżeli w liście do lorda Wintera wypiszemy niestworzone rzeczy, przedstawimy kardynała w okropnych barwach....

— Ciszej! — rzekł Atos.

— Jeżeli będziemy pisali o intrygach i tajemnicach stanu — mówił półgłosem d'Artagnan, zastosowawszy się do przestrogi Atosa, — to nie ulega wątpliwości, że wtedy narazimy się wszyscy na łamanie kołem. Ale nie zapominajmy, na Boga, że piszemy w sprawie rodzinnej, jak to sam obmyśliłeś, Atosie, że piszemy do lorda Wintera tylko w tym celu, by po przyjeździe milady do Londynu uczynił ją dla nas nieszkodliwą. Napiszę więc list do niego w takich mniej-więcej słowach.....

— No, no! słuchamy — rzekł Aramis, przybierając już zawczasu minę krytyka.

— "Szanowny panie i drogi przyjacielu"....

— Ach, tak! "drogi przyjacielu" do Anglika! — przerwał Atos. — Ładny początek, d'Artagnanie! Za to jedno słowo będziesz poćwiartowany, zamiast być łamany kołem.

— W takim razie napiszę tylko krótko: "Panie".

— Możesz nawet napisać: "Milordzie" — oświadczył Atos, dbający zawsze o formy towarzyskie.

— "Milordzie"! Czy przypominasz sobie małą polanę w okolicy Luksemburga, gdzie pasły się kozy..."

— Dobryś! teraz Luksemburg! Pomyślą, że to aluzja do królowej-matki... Jesteś dowcipny, ani słowa! — krytykował Atos.

— Napiszę więc poprostu: "Czy pamiętasz pan pewną małą polanę, gdzie darowano ci życie"....

— Drogi d'Artagnanie! nie będziesz nigdy dobrym stylistą — mówił Atos. — "Gdzie darowano ci życie"... To niegodne! Człowiekowi honoru nie przypomina się nigdy takich podarunków.. Wypominane dobrodziejstwo staje się wprost obrazą.

— Jesteś nieznośny, mój kochany — oświadczył d'Artagnan. — I jeżeli mam pisać, podlegając twojej cenzurze, to wyrzekam się tego.

— I dobrze czynisz. Wywijaj szpadą i muszkietem; tymi instrumentami umiesz władać doskonale; lecz pióro oddaj księdzu dobrodziejowi, co mu się zresztą słusznie należy.

— Ależ tak! to zupełnie słuszne! oddaj pióro Aramisowi — rzekł Portos. — Przecie pisuje on rozprawy nawet po łacinie.

— Niech i tak będzie! — oświadczył d'Artagnan. — Ułóż więc ten list, Aramisie. Ale, na Ojca Świętego, postaraj się uczynić to bez zarzutu, bo uprzedzam cię, że i ja potrafię krytykować.

— Niczego więcej nie pragnę — odparł Aramis z tą naiwną wiarą w siebie, jaką odznaczają się poeci. — Ale wtajemniczcież mię w szczegóły, bo słyszałem tylko tak, mimochodem, że ta pani to wielkie ladaco, czego zresztą miałem dowód, słuchając jej rozmowy z kardynałem.

— Ciszej, do djabła! — krzyknął Atos.

— Nie znam tedy szczegółów — mówił dalej Aramis.

— I ja także — oświadczył Portos.

D'Artagnan i Atos przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, — wreszcie Atos, bledszy w tej chwili, niż zwykle, skinął potakująco, z czego d'Artagnan zrozumiał, że może mówić, więc rzekł:

— Otóż, mojem zdaniem, należałoby napisać tak: "Milordzie! Bratowa pańska jest zdeklarowaną zbrodniarką. Przedewszystkiem starała się o zabicie pana, aby zagarnąć pański majątek. Nie mogła jednak poślubić pańskiego brata, albowiem była już zamężna we Francji, gdzie została..."

D'Artagnan zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa, i spojrzał na Atosa.

— "Wypędzona przez męża" — dokończył Atos.

— "Ponieważ była napiętnowana" — mówił dalej d'Artagnan.

— Ależ to okropne! — zawołał Portos. — Chciała zabić swego szwagra?

— Tak.

— Była zamężna? — pytał Aramis.

— Tak.

— I mąż jej przekonał się, że ma ona wypalony na ramieniu znak lilii? — zawołał Portos.

— Tak

Te trzy potwierdzenia wypowiadał Atos głosem, w którym drżał cały tragizm jego duszy.

— A kto widział ten kwiat lilii? — pytał Aramis.

— D'Artagnan i ja, albo raczej, aby zachować porządek chronologiczny, ja i d'Artagnan — odpowiedział Atos.

— I mąż tej nikczemnej istoty jeszcze żyje? — indagował Aramis.

— Żyje.

— Jesteś tego pewny?

— Jak najpewniejszy.

Nastała chwila grobowej ciszy, podczas której każdy z obecnych ulegał wrażeniom, odpowiadającym swemu usposobieniu.

— Tym razem — odezwał się Atos, przerywając pierwszy milczenie— d'Artagnan dał nam pomysł doskonały. Od tego właśnie należy list rozpocząć.

— Do licha! masz słuszność, Atosie — rzekł Aramis. — Ale ułożenie takiego list jest nad wyraz trudne. Sam pan kanclerz byłby w niemałym kłopocie, gdyby był zmuszony zredagować pismo w tym sensie, a wiadomo przecież, że pan kanclerz jest wybornym stylistą. Mniejsza jednak o to. Uciszcie się; zaczynam pisać.

Tu Aramis wziął pióro do ręki, namyślał się przez chwilę poczem nakreślił kilkanaście wierszy pięknym drobnym, kobiecym charakterem, a następnie głosem łagodnym i powolnym, kładąc nacisk na każde słowo, odczytał, co następuje:

"Milordzie!

Osoba, pisząca do ciebie, miała zaszczyt kiedyś skrzyżować z tobą szpadę na małym placyku przy ulicy d'Enfer. Od tego czasu byłeś łaskaw nazwać się kilkakrotnie przyjacielem swego chwilowego przeciwnika. Odwdzięczając się

za tę przyjaźń, przesyła on ci obecnie pewną przestrogę. Dwukrotnie już omal nie stałeś się ofiarą złych instynktów swej bliskiej krewnej, którą uważasz za swoją spadkobierczynię, albowiem nie wiesz o tem że wprzód, zanim zawarła małżeństwo w Anglji, była już zamężna we Francji. Obecnie za trzecim razem możesz uledz w tej walce. Krewna pańska wyjechała nocą z Rochelli do Anglji. Bacz na jej przybycie, żywi ona bowiem straszliwe zamysły. Jeżeli zaś pragniesz się z całą pewnością przekonać, do czego jest zdolna, wyczytaj jej przeszłość, zapisaną na lewem jej ramieniu".

— Otóż tak będzie doskonale! — rzekł Atos. — Masz, drogi Aramisie, styl sekretarza stanu. Lord de Winter, jeżeli ta przestroga dojdzie rąk jego, będzie się miał teraz na baczności. A gdyby nawet list wpadł w ręce Jego Eminencji, nie może nas skompromitować. Ponieważ jednak służący, który pojedzie z listem, mógłby nas oszukać i, dotarłszy zaledwie do Chatellerault twierdzić, że był w Londynie, daj mu teraz, d'Artagnanie, tylko połowę przyrzeczonej sumy i obiecaj, że resztę wypłacisz, gdy przywiezie odpowiedź. Czy masz djament?

— Mam coś lepszego, bo pieniądze.

I mówiąc to, d'Artagnan rzucił na stół pękaty worek.

Usłyszawszy brzęk złota, Aramis obejrzał się, Portos poruszył się na krześle, tylko Atos pozostał obojętnym.

— Ile jest w tym woreczku? — zapytał.

— Siedem tysięcy liwrów w dwunastofrankowych ludwikach.

— Siedem tysięcy liwrów? — zawołał Portos. — Więc ten brzydki, mały djament wart był aż tyle?

Plancheta.

— Tak się zdaje — odpowiedział Atos. — Nie przypuszczam bowiem, aby nasz przyjaciel d'Artagnan dołożył coś z własnych pieniędzy....

— Z tem wszystkiem, panowie — rzekł d'Artagnan, — zapominamy najzupełniej o naszej królowej. Należy przecie pomyśleć też o bezpieczeństwie drogiego jej Buckinghama. To przynajmniej winniśmy jej ze swej strony.

— Istotnie — odparł Atos. — Lecz to należy już do Aramisa.

— Cóż mam zatem uczynić? — zapytał Aramis, rumieniąc się.

— Rzecz zupełnie jasna — oświadczył Atos. — Napisz drugi list do owej sprytnej osóbki, mieszkającej w Tours.

Aramis ujął znowu pióro, pomyślał przez chwilę i, nakreśliwszy kilkanaście wierszy, poddał je ocenie przyjaciół:

— "Kochana kuzynko..."

— Aha! — odezwał się Atos, — więc ta sprytna osóbka jest twoją krewną?

— Cioteczną siostrą — odparł Aramis.

— Niech więc będzie list do kuzynki.

Aramis czytał dalej:

"Kochana kuzynko! Jego Eminencja pan kardynał, którego oby Bóg zachował jak najdłużej dla szczęścia Francji i wytępienia wrogów królestwa, spodziewa się już niedługo zakończyć zbrojną rozprawę ze zbuntowanymi heretykami z Rochelli. Wobec tego możliwe jest, że angielska flota nie przyjedzie wcale z odsieczą. Ośmieliłbym się nawet twierdzić, że pan Buckngham nie będzie mógł wogóle wyruszyć, bo, jak się zdaje, jakiś ważny wypadek stanie mu na przeszkodzie. Jego Eminencja jest najznamienitszym z polityków minionych czasów, z polityków teraźniejszości, a pewnie i przyszłości; gotówby zgasić nawet słońce, gdyby mu blask jego przeszkadzał. Donieś te pomyślne nowiny swej siostrze, kochana kuzynko. Śniło mi się, że ten przeklęty Anglik zginął; nie mogę sobie tylko przypomnieć, czy zginął od żelaza, czy od trucizny. To jednak pewne, że miałem taki sen — a wiesz o tem, że sny moje sprawdzają się zawsze. Mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem."

— Doskonale! — zawołał Atos. — Jesteś, kochany Aramisie, królem poetów; przemawiasz, jak Apokalipsa, a słowa twoje są, jak Ewangelja. Obecnie pozostaje list ten zaadresować.

— To nader łatwe — odparł Aramis.

I złożywszy kokieteryjnie liścik, napisał na nim:

"Do panny Michon, właścicielki składu bielizny w Tours".

Trzej przyjaciele spojrzeli na siebie z uśmiechem; czegoś podobnego żaden z nich nie oczekiwał.

— A teraz pojmiecie, panowie — mówił Aramis, — że jedynie Bazin może ten list zawieźć do Tours. Kuzynka moja zna Bazina i ufa mu; ktokolwiek inny mógłby popsuć sprawę. Zresztą Bazin pragnie się odznaczyć i jest uczony; Bazin, panowie,

czytywał dzieła historyczne i wie, że Sykstus Piąty został papieżem, aczkolwiek zamłodu pasał trzodę. Ponieważ zaś Bazin ma zamiar równocześnie ze mną poświęcić się stanowi duchownemu i nie traci nadziei, że zostanie jeszcze kiedyś papieżem, a przynajmniej kardynałem, więc zrozumiecie, iż człowiek, którego ożywiają takie pragnienia i myśli, nie da się pojmać w niewolę, a gdyby nawet spotkał go taki los, będzie wolał raczej ponieść śmierć męczeńską, aniżeli powiedzieć choćby jedno słowo.

— Bardzo dobrze! — oświadczył d'Artagnan. — Godzę się jak najchętniej, aby Bazin podjął się tego posłannictwa; lecz proszę również o uznanie zalet Plancheta. Milady kazała go kiedyś wyrzucić za drzwi i obić dotkliwie; Planchet ma doskonałą pamięć, i mogę zaręczyć, że, jeżeli tylko nadarzy się mu sposobność do zemsty, pozwoli się raczej zabić, niżby się jej miał wyrzec. A tak, jak sprawa w Tours, Aramisie, jest twoją sprawą tak znowu sprawy londyńskie są mojemi sprawami. Dlatego proszę, abyśmy na wysłannika do Londynu wybrali Plancheta, który zresztą był już tam ze mną i potrafi powiedzieć najzupełniej poprawnie: "London, sir, if you please", jakoteż: "My master, lord d'Artagnan", wobec czego bądźcie panowie przekonani, że da on sobie radę i w drodze do stolicy Anglji i z powrotem.

— W takim razie — odezwał się Atos — trzeba dać teraz Planchetowi siedemset liwrów, a drugie siedemset po powrocie; Bazin zaś otrzyma obecnie trzysta liwrów i trzysta po powrocie. Pozostanie nam tedy całego kapitału pięć tysięcy liwrów, z których każdy z nas niech weźmie po tysiącu i użyje, jak mu się spodoba, a tysiąc liwrów pozostawimy na nieprzewidziane wypadki i na wspólne potrzeby, zlecając pieczę nad tymi pieniędzmi naszemu kochanemu księdzu dobrodziejowi. Czy zgadzacie się panowie?

— Kochany Atosie — odparł Aramis, — przemawiasz jak Nestor, który, jak wiadomo, był najmędrszym z Greków.

— A więc wszystko ułożone — oświadczył Atos. — Postanawiamy tedy, że Planchet i Bazin wyruszą w drogę. Prawdę mówiąc, nie martwię się, że Grimaud zostaje, gdyż przyzwyczajony jestem do jego usług, on zaś do moich wymagań, co mi dogadza. Przytem dzień wczorajszy naraził nieco na szwank jego zdrowie, a ta podróż mogłaby go dobić.

Przywołano Plancheta i objaśniono, jakie go czeka zadanie, o czem zresztą uprzedził go już pierwej d'Artagnan, nadmieniając że dobre spełnienie tego zadania przyniesie mu sławę inagrodę pieniężną, i ostrzegając o niebezpieczeństwach, jakie mu w drodze grozić mogą.

— Schowam list za podszewkę ubrania — oświadczył Planchet, — a w razie, gdybym został uwięziony, połknę go.

— Lecz w takim razie nie mógłbyś już wypełnić otrzymanego polecenia — rzekł d'Artagnan.

— Niech mi pan da kopję listu dzisiaj wieczorem, a jutro rano będę go już umiał na pamięć.

D'Artagnan spojrzał na przyjaciół, jakgdyby chcąc powiedzieć: "A co? czyż nie przyrzekałem wam tego?"

— Będziesz miał tedy — kończył d'Artagnan — ośm dni czasu na drogę do lorda Wintera i ośm dni na powrót, czyli razem dni szesnaście. Jeżeli za szesnaście dni od dzisiaj nie stawisz się tutaj o godzinie ósmej wieczór, nie dostaniesz ani grosza więcej, choćbyś się spóźnił tylko o pięć minut.

— W takim razie — rzekł Planchet — poproszę, aby mi pan kupił zegarek.

— Weź ten— odezwał się Atos, podając mu z wielkopańską wspaniałomyślnością własny zegarek — i sprawuj się dzielnie. Pamiętaj, że gadatliwością, paplaniem i wogóle nieopatrznością możesz narazić głowę swego pana, który tak bardzo ufa w twą wierność, iż poręczył nam za ciebie. Pamiętaj także, że, gdybyś z własnej winy sprowadził na pana d'Artagnana jakie nieszczęście, potrafię cię odnaleźć wszędzie, a odnajdę w tym celu, aby ci brzuch rozpłatać.

— Och, panie! — zawołał Planchet, urażony nieufnością, cofając się w przerażeniu na wypowiedzianą tak spokojnie groźbę muszkietera.

— A ja — krzyknął Portos, zataczając straszliwie oczyma, — a ja obedrę cię żywcem ze skóry! Zapamiętaj to sobie!

— Ach panie!

— Ja zaś — oświadczył Aramis słodkim i dźwięcznym głosem — upiekę cię na wolnym ogniu, jak ludożerca.

— Ach, panie!

I Planchet rozpłakał się, — nie śmiemy twierdzić, czy ze strachu wobec tych miłych obietnic, jakie usłyszał, czy też z rozrzewnienia na widok jednomyślności, łączącej czterech przyjaciół.

D'Artagnan podał mu rękę i uścisnął go.

— Nie lękaj się, Planchecie — rzekł do niego. — Panowie mówią to wszystko z przywiązania do mnie, jednak w rzeczywistości bardzo cię lubią.

— Ach, panie! — odpowiedział Planchet, — albo wypełnię, co mi polecono, albo pozwolę się posiekać na ćwierci.... Ale, gdyby nawet posiekano mię na drobne kawałeczki, żadna z cząstek mego ciała ani piśnie o tajemnicy... Niech pan będzie o to spokojny.

Postanowiono, że Planchet wyruszy następnego dnia o godzinie ósmej rano, tymczasem zaś w ciągu nocy, stosownie do swej obietnicy, nauczy się listu na pamięć. Skorzystał więc Planchet na tym układzie całe dwanaście godzin zwłoki, zobowiązując się wrócić szesnastego dnia o godzinie ósmej wieczorem.

Nazajutrz rano, gdy już dosiadł konia, d'Artagnan, mający głębi duszy słabość dla księcia Buckinghama, odprowadził swego służącego na bok i rzekł:

— Słuchaj, Planchecie! Skoro oddasz list lordowi Winteowi i on go przeczyta, powiesz mu jeszcze te słowa: "Niech pan czuwa dobrze nad Jego Wysokością księciem Buckinghamem, gdyż chcą go zamordować.' 'Widzisz z tego, jak ważna i doniosła jest cała ta sprawa. Nieuprzedziłem nawet moich przyjaciół, że ci powierzę tę tajemnicę, a pisać o niej pod żadnym pozorem nie mogę.

— Niech pan będzie spokojny — odparł Planchet. — Przekona się pan, że można na mnie liczyć.

I przy tych słowach dosiadłszy wybornego konia, którego miał pozostawić w odległości dwudziestu mil od obozu, by stamtąd jechać dalej dyliżansem pocztowym, Planchet ruszył naprzód galopem. Podczas zaś drogi w uszach mu jeszcze brzmiały, przejmując go dreszczem trwogi, piękne obietnice, uczynione mu przez muszkieterów. Pozatem jednak był pełen najlepszych nadziei.

Bazin wyruszył do Tours następnego dnia rano; wyznaczono mu na wypełnienie polecenia ośm dni czasu.

Łatwo zrozumieć, że podczas nieobecności tych dwóch zaufanych i wiernych sobie służących czterej przyjaciele bardziej niż kiedykolwiek indziej wypatrywali oczy, uważali, skąd wiatr wieje, i wytężali słuch, całe dnie spędzając na podsłuchiwaniu, co naokół mówiono, na szpiegowaniu kardynała i na wypatrywaniu

skąd przybywają do niego gońcy. Niejednokrotnie też ogarniała ich trwoga, choć ukrywana przed okiem ludzkiem, gdy niespodziewanie wezwano ich do wypełnienia jakiegoś rozkazu. A przytem musieli się mieć sami ciągle na baczności: milady była upiorem, który, skoro raz się komuś ukazał, spędzał mu spokojny sen z powiek.

Ósmego dnia rano Bazin, wyświeżony, jak zawsze, i uśmiechnięty, wszedł do gospody Parpaillota, gdzie czterej przyjaciele zasiadali właśnie do śniadania, i odezwał się w umówiony sposób:

— Panie Aramisie, oto odpowiedź pańskiej kuzynki.

Czterej przyjaciele spojrzeli rozradowani po sobie: połowa zadania była wypełniona, — co prawda, połowa łatwiejsza i mniej wymagająca czasu.

Aramis, którego oblicze na te słowa pokryło się rumieńcem, odebrał list, napisany niewprawnem pismem i niebardzo godzący się z zasadami ortografji.

— Wielki Boże! — zawołał, wybuchając śmiechem, — tracę doprawdy wszelką nadzieję! ta biedna Michon nigdy już nie będzie pisała tak, jak pan de Voiture.

— Któż to zacz ta pietna Miżon? — pytał szwajcar, który właśnie w chwili, gdy list doręczono, gawędził z muszkieterami.

— Och, mój Boże! — odparł Aramis, — jest to sobie pewna skromna osóbka, właścicielka niewielkiego składu bielizny, którą jednak kochałem bardzo i którą prosiłem, by napisała do mnie choć kilka słów w dowód pamięci.

— To tjabła! — odezwał się szwajcar, — jeszeli fykląda tak samo fspaniale, jak jej pismo, to masz szczęście, przyjacielu.

Aramis przeczytał list i podał Atosowi.

— Patrzaj, co pisze — rzekł.

Atos spojrzał na kartkę i dla obalenia wszelkich podejrzeń, jakie mogły się zrodzić w głowie szwajcara, przeczytał ją głośno:

"Kochany kuzynku! Obiedwie z siostrą odgadujemy doskonale sny i nawet boimy się ich okrutnie. Lecz mam nadzieję, iż o twoim śnie będzie można powtórzyć przysłowie: Sen mara, Bóg wiara! Żegnaj! Niech ci los sprzyja, a sta-

raj się, abyśmy otrzymały otobie kiedy-niekiedy jakąś wiadomość."

— O jakimże to śnie tu mowa? — zapytał dragon, który zbliżył się do stołu podczas czytania listu.

— O jakim śnie? — powtórzył szwajcar.

— Och, panowie! nic nadzwyczajnego — mówił Aramis. — Śniło mi się coś tam niedawno, i zawiadomiłem o tem swoje kuzynki.

— Tak, to parco naturalne opofiatać sfoje sny... A fiecie, panowie? mnie się nikty nic nie śni.

— Jesteś pan w takim razie szczęśliwym człowiekiem — rzekł Atos, powstając z miejsca, — i żałuję bardzo, że nie mogę powiedzieć tego o sobie.

— Nikty! — powtarzał szwajcar, uradowany, że Atos zazdrości mu czegoś, — nikty a nikty!

D'Artagnan, widząc, że Atos wstaje, poszedł za jego przykładem, a ująwszy go pod ramię, wyszedł z nim razem.

Portos i Aramis pozostali, żartując dalej z dragonem i szwajcarem.

Bazin poszedł się przespać na wiązce słomy, — a ponieważ miał bujniejszą od szwajcara wyobraźnię, przyśniło mu się że Aramis został wybrany papieżem i że jemu włożył na głowę kapelusz kardynalski.

Jak już powiedzieliśmy, szczęśliwy powrót Bazina połowicznie tylko rozwiał dręczące czterech naszych przyjaciół niepokoje. Dnie oczekiwania na rezultat drugiej sprawy dłużyły się im niesłychanie, i d'Artagnan gotów byłby założyć się teraz, że dzień ma obecnie czterdzieści ośm godzin. Zapomniał, że w podróżach morskich bywają nieuniknione i nie dające się naprzód obliczyć zwłoki. W przesadnych zaś barwach malując sobie wszechwładzę milady, przypisywał tej kobiecie, wydającej mu się wprost szatanem, pomoc nadnaturalnych potęg. A w takiem podnieceniu ducha zdarzało mu się nieraz, iż, usłyszawszy w nocy szmer, wyobrażał już sobie, że to idą po niego straże, by skonfrontować go oraz jego przyjaciół ze schwytanym Planchetem i następnie uwięzić. Co więcej, ufność, jaką pokładał niegdyś w swym zacnym giermku, malała obecnie z dnia na dzień i ogarniający go w tym względzie niepokój z każdym dniem tak dalece, że się nawet udzielił Portosowi i Ara-

misowi. Jeden tylko Atos nie wzruszał się niczem, jakgdyby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo i jakgdyby okoliczności ich bytowania nie uległy żadnej zgoła zmianie.

Gdy wreszcie nadszedł szesnasty dzień nieobecności Planchet'a, ogarnęło d'Artagnana i jego dwóch przyjaciół tak straszne podniecenie, że nie mogli usiedzieć na miejscu i błąkali się, jak cienie, na drodze, którą Planchet miał wracać.

— Jesteście doprawdy chyba dziećmi, nie zaś mężczyznami — odezwał się do nich widząc to Atos, — skoro jedna kobieta napawa was tak wielkim strachem. O cóż wam zresztą chodzi? Obawiacie się dostać się do więzienia?... Cóż wielkiego?! Wyzwolą nas stamtąd, tak, jak wyzwolono panią Bonacieux. Lękacie się może, że nam zetną głowy? A przecież codziennie na wałach fortecznych narażamy się, nie tracąc fantazji, na pewniejsze niebezpieczeństwa; kula może potrzaskać nam członki, a jestem przekonany, że chirurg, odejmując nam naprzykład nogę, sprawi nieporównanie większe cierpienie, aniżeli kat, ścinając głowę. Czekajcie spokojnie! Za dwie godziny, za cztery, za sześć, może zresztą nieco później, Planchet zjawi się najniezawodniej; przyrzekł, że przybędzie, a ja pokładam zupełną w tej obietnicy ufność..... Planchet wydaje mi się nader dzielnym chłopakiem.

— A jeżeli nie przybędzie wcale? zapytał d'Artagnan.

— Gdyby nie przybył, byłoby to tylko dowodem, że z powodu jakiegoś wypadku zatrzymał się w drodze. Mógł przecie spaść z konia, mógł runąć z mostu do rzeki, mógł przy zbyt szybkiej jeździe nabawić się zapalenia płuc..... Nie zapominajcie, panowie, że wszelkie wypadki są możliwe. Życie jest jakby różańcem, złożonym z drobnych udręczeń, a ziarnka jego filozof przesuwa z uśmiechem na ustach. Bądźcie filozofami, tak, jak ja, moi panowie. Siadajmy do stołu i pijmy! Nigdy przyszłość nie wydaje się tak różową, jak wówczas, gdy się na nią spogląda poprzez szklankę chambertina.

— Zapewne — odparł d'Artagnan zamyślony. — Ale co do mnie, mam teraz zawsze niepokojące, wrażenie, że wino, które piję, pochodzi z piwnic milady.

— Jesteś nazbyt wybredny! — żartował Atos. — Taka piękna kobieta!.....

— Kobieta ze znaczkiem — zaśmiał się brutalnie Portos.

Atos wzdrygnął się, przesunął ręką po czole i wstał, nie mogąc opanować nerwowego drżenia.

Dzień wreszcie począł się zwolna chylić ku wieczorowi, i gospody zapełniały się pijącymi. Atos, który przypadającą nań część sumy ze sprzedaży djamentu miał przy sobie nie wychodził wcale od Parpaillota. Znalazłszy w panu de Busigny, który zresztą poczęstował ich przewybornym obiadem, godnego siebie towarzysza, muszkieterowie zabawiali się z nim, grając w kości, gdy wybiła godzina siódma i rozległy się kroki straży, zmieniających się na posterunkach. O godzinie siódmej i pół zatrąbiono wieczorną pobudkę.

— Jesteśmy zgubieni! — szepnął Atosowi do ucha d'Artagnan, z drżeniem wyczekujący powrotu Plancheta.

— Chcesz powiedzieć, że przegraliśmy — odezwał się spokojnie Atos, wyjmując z kieszeni cztery pistole i rzucając je na stół, jako przegraną stawkę. No, panowie, trąbią pobudkę do snu; chodźmy spać — dokończył.

I czterej nasi muszkieterowie wyszli z oberży Parpaillota. Atos z d'Artagnanem szli przodem, Aramis zaś, trzymając Portosa pod ramię, podążyli za nimi. Aramis przeżuwał jakieś wiersze, — Portos od czasu do czasu targał niecierpliwie wąsa.

Lecz oto nagle stanął przed nimi w ciemności jakiś cień, dobrze znany z kształtu d'Artagnanowi, i ozwał się głos znajomy:

— Przynoszę panu płaszcz, bo wieczór jest chłodny.

— Planchet! — zakrzyknął d'Artagnan radośnie.

— Planchet! — powtórzyli Portos i Aramis.

— No, tak! Planchet! — rzekł spokojnie Atos. — Dlaczego to was dziwi? Przyrzekł nam stawić się o godzinie ósmej, a oto właśnie bije ósma. Doskonale, Planhecie! jesteś słownym chłopakiem! I jeżelibyś kiedy porzucił swego pana, znajdziesz u mnie zawsze służbę.

— Och, nie, proszę pana! — oświadczył Planchet, — nie porzucę nigdy służby u mego pana.

D'Artagnan, który w tej chwili uczuł, że mu Planchet wsuwa jakąś kartkę do ręki, miał wielką ochotę uścisnąć go tak, jak go uściskał przed wyjazdem, — ale się pohamował w obawie, aby taki wylew uczucia, okazywany służącemu na środku ulicy, nie wydał się komu z przechodzących podejrzanym.

— Mam list w ręku — rzekł półgłosem do Atosa i pozostałych przyjaciół.

— Dobrze — rzekł Atos. — Wracajmy do domu; tam go odczytamy.

D'Artagnan miał wrażenie, że list ten wprost pali mu dłoń; pragnął przyspieszyć kroku, lecz Atos ujął go pod ramie i zmusił iść dalej równym, spokojnym krokiem. Gdy weszli wreszcie do namiotu i zapalili lampę, Planchet stanął przy drzwiach, aby wczas ostrzedz czterech przyjaciół przed jakim nieproszonym gościem, a D'Artagnan drżącemi rękami rozerwał pieczęć i otworzył list. Zawierał on tylko pół wiersza pisma prawdziwie angielskiego w stylu iście spartańskim:

"Thank you! be easy".

Co znaczyło: "Dziękuję! bądźcie spokojni."

Atos wziął list z rąk d'Artagnan, zbliżył do lampy, zapalił i i nie wypuścił pierwej, aż cała kartka zmieniła się w popiół, — poczem zawołał Plancheta:

— Teraz, mój chłopcze — rzekł, — możesz słusznie dopominać się o należne ci siedemset liwrów, chociaż, jak widzisz, nie narażałeś się wcale tak bardzo, wioząc list podobnej treści.

— To odemnie nie zależało — odparł Planchet. — Wynalazłem zato mnóstwo sposobów, aby go ukryć.

— Opowiadaj! — rzekł d'Artagnan niecierpliwie.

— To, proszę, strasznie długa historja.

— Masz słuszność, Planchecie — oświadczył Atos. — Zresztą otrąbiono już pobudkę do spoczynku, i zwrócilibyśmy na siebie uwagę, nie gasząc światła dłużej, aniżeli czynią to w innych namiotach.

— Niech i tak będzie — rzekł d'Artagnan. — Chodźmy więc spać. Dobranoc, Planchecie! śpij dobrze!

— Och, proszę pana, będą spał spokojnie po raz pierwszy od dni szesnastu.

— Ja również — oświadczył d'Artagnan.

— I ja! — rzekł Portos.

— I ja także! — dodał Aramis.

— Jeżeli chcecie wiedzieć prawdę, to i ja również! — przyznał się Atos.

XLIX.

ZRZĄDZENIE LOSU.

Tymczasem milady, uprzytomniwszy sobie utratę cennego dokumentu Jego Eminencji, pijana złością, rzucając się na pokładzie statku, niby uwięziona lwica, gotowa była niemal skoczyć w fale morza, by dostać się z powrotem na wybrzeże. Nie mogła pogodzić się z myślą, że, znieważona przez d'Artagnana, a następnie pozbawiona przez Atosa śmiertelnego swego żądła, musiała opuszczać Francję, nie pomściwszy się na nich. Myśl ta stała się jej wreszcie tak nieznośną, że, nie dbając o to, jakie niebezpieczeństwa mogą stąd dla niej samej wyniknąć, poczęła błagać kapitana statku, aby wysadził ją na brzeg. Ale kapitan, pragnąc jak najrychlej wyjść z niemiłego położenia, w jakiem się znalazł — w pośrodku między wojennymi okrętami Francji i Anglji, niby nietoperz między szczurami i ptakami, spieszył ku wybrzeżu angielskiemu i stanowczo odmówił żądaniu, które uważał jedynie za kaprys kobiecy, przyrzekając natomiast podróżnej, szczególnie zresztą polęconej mu przez kardynała, że wysadzi ją na ląd, o ile tylko morze i Francuzi na to pozwolą, w jednym z portów bretońskich — w Loriencie lub w Breście. Wiatr wszakże był niepomyślny, a morze wzburzone, i musiano lawirować z niezwykłą ostrożnością. Wreszcie w dziewięć dni po opuszczeniu Charente milady, wybladła ze zmartwień i złości, ujrzała przed sobą spowite w mgły wybrzeża Finisterru. Poczęła się wszakże zastanawiać, jak ma postąpić. By dostać się stąd z powrotem do kardynała, potrzebowałaby zużyć na to, wliczając jeden dzień na wylądowanie, cztery dni czasu; dodawszy te cztery dnie do dziewięciu dni przebytej już podróży, miała razem trzynaście dni straconych, — trzynaście dni, w ciągu których wydarzyć się mogły w Londynie najdonioślejsze wypadki. Rozważyła również, że kardynał, oburzony jej powrotem, w następstwie tego gotów byłby uwzględnić raczej skargi, przeciwko niej podniesione, aniżeli te, z jakiemiby ona

wystąpiła przeciwko innym. Następstwem tych rozważań było to, że okręt minął Lorient i Brest, ona zaś nie przypominała już o poprzedniej swej prośbie kapitanowi, który, zadowolony z jej milczenia, uważał za odpowiednie milczeć również. Tak więc płynęła milady dalej i tego samego dnia, gdy Planchet wsiadał w Plymouth na okręt, zdążając z powrotem do Francji, wysłanniczka Jego Eminencji przybyła do tegoż portu.

Wybrzeże roiło się od tłumu, gdyż w dniu tym wśród wielkiej uroczystości spuszczano na morze cztery dopiero co wykończone statki. A w ceremonji tej brał, jak zwykle, udział książę Buckingham. Błyszczący od złota, lśniący jak zazwyczaj, djamentami i klejnotami, z białem piórem, spływającem mu z kapelusza na ramię, stał on w otoczeniu wspaniałej świty.

Był to jeden z tych pięknych, rzadkich dni zimowych, kiedy Anglja przypomina sobie, że istnieje słońce. Zachodziło ono właśnie, zalewając purpurą niebo i morze, złocąc wieże i stare domy miast, paląc się w ich szybach, niby płomienie pożaru.

I oto, gdy Anglja przystępowała do aktu, który był wyrazem rosnącej jej potęgi, milady, słaba kobieta, posiłkowana jedynie kilkoma worami złota, stawała w jej obliczu, przygotowując się do walki na śmierć i życie i porównywając się w myśli z ową straszną Żydówką, Judytą, gdy ta znalazła się wśród obozu asyryjskiego, wśród nieprzeliczonego mnóstwa wozów ładowych, koni, ludzi i zbroi, co wszystko jednym ruchem ręki rozwiała, jak chmurę dymu.

Gdy statek zatrzymał się nareszcie w pobliżu portu, zarzuciwszy kotwicę, skierowała się ku niemu groźnie uzbrojona, niby straż nadbrzeżna, mała szkuta, i po chwili spuszczono z niej na morze łódź, która podpłynęła ku drabince statku. W łodzi znajdował się oficer, sternik i ośmiu wioślarzy. Na pokład wszedł tylko oficer, którego przyjęto z należnymi jego mundurowi honorami, a zamieniwszy z właścicielem statku słów kilka, przedstawił mu dokumenty, jakie przywiózł z sobą. Bezpośrednim skutkiem przejrzenia owych dokumentów było to, że kapitan kazał wezwać na pokład wszystkich znajdujących się na statku ludzi załogi i podróżnych, poczem oficer, wypytawszy głośno, z jakiego portu statek wypłynął, którędy jechał i gdzie przybijał do brzegu, i otrzymawszy na wszystkie te zapytania szczerą odpowiedź kapitana, odbył przegląd zebranych, przechodząc od jednego do drugiego. Zatrzymawszy się przed milady,

oficer popatrzył na nią badawczo, poczem zwrócił się ponownie do kapitana i zamienił z nim słów kilka, dając jakieś zlecenie. Na to zlecenie posłuszny kapitan wydał rozkaz załodze, i wnet statek ruszył z miejsca jednocześnie ze szkutą płynącą równo z nim i grożącą mu sześcioma paszczami armat, skierowanych w bok jego kadłuba. Łódka, kołysząca się z tyłu, wyglądała jak łupina przy obrzymiej masie szkuty.

Podczas, gdy młody oficer przyglądał się badawczo milady, ona także pożerała go wzrokiem. Przy całej swej jednak umiejętności czytania w sercach ludzi, których tajemnice pragnęła odgadnąć, tym razem ta kobieta z płomiennemi oczyma natrafiła na oblicze tak nieprzeniknione, że nic się z niego domyślić nie mogła. Nieodgadniony ten człowiek mógł liczyć lat dwadzieścia pięć lub sześć najwyżej. Twarz miał bladą, oczy jasnoniebieskie, nieco wgłębione, usta wąskie, pięknie zarysowane, lecz w swych szlachetnych linjach nieruchome. Broda, wysunięta nieco naprzód, świadczyła o sile woli, która u pospolitych typów angielskich graniczy z uporem. Czoło wyniosłe, jak u poetów, entuzjastów i żołnierzy, ocieniał włos krótki, gładko zaczesany, pięknej ciemnej barwy, tak samo, jak broda, okalająca mu oblicze.

Gdy statek wpłynął do wewnętrznego portu, zapadła już noc, a mgła, potęgująca jeszcze ciemności, tworzyła naokoło nadbrzeżnych latarń widmowe kręgi, podobne do tych, jakie okalają księżyc w przededniu niepogody. Powietrze było wilgotne, zimne i tchnęło jakimś smutkiem. Być może, iż to podziałało na milady, że drżała w tej chwili, jak w febrze.

Oficer zażądał, by mu wskazano kufry podróżne milady, poczem kazał je przenieść do łodzi, a gdy wypełniono to zlecenie, podał jej rękę, prosząc, aby udała się za nim.

Milady spojrzała na młodego człowieka i zawahała się.

— Kto pan jesteś? — zapytała — i dlaczego z tak szczególną troskliwością opiekujesz się pan moją osobą?

— Odgadnie to pani łatwo, spojrzawszy na mój mundur. Jestem oficerem marynarki angielskiej — odpowiedział młodzieniec.

—Czyż jest to obyczajem oficerów marynarki angielskiej, że oddają się na usługi swych rodaczek, przybywających do portów Wielkiej Brytanji, i że posuwają swą uprzejmość do tego stopnia?

— Jest to zwyczaj, milady, wskazany nie uprzejmością dla kobiet, ale przezornością. Podczas trwania wojny odprowadzamy wszystkich cudzoziemców do wyznaczonych dla nich hoteli, gdzie aż do chwili zasięgnięcia szczegółowych o nich wiadomości pozostają pod nadzorem władz naszych.

Słowa te oficer wypowiedział z największą uprzejmością i najzupełniejszym spokojem. Jednak nie zdołały one przekonać milady.

— Nie jestem przecie cudzoziemką, mój panie — rzekła z najczystszy makcentem angielskim, jaki można słyszeć od Portsmouthu do Manchesteru; — nazywam się lady Clarick, i to rozporządzenie....

— Rozporządzenie to obowiązuje wszystkich, milady, i napróżno usiłowałabyś pani uchylić się od niego.

— W takim razie idę z panem.

I przyjąwszy podane jej ramię, poczęła schodzić po drabince, u stóp której oczekiwała łódka. W tyle łodzi rozciągnięty był wielki płaszcz; oficer wskazał jej na nim miejsce i sam usiadł obok.

— Odbijać! — wydał rozkaz marynarzom.

Ośm wioseł jednem uderzeniem spadło w morze, rozgarniając równym ruchem ciemne fale, i łódź pomknęła ku lądowi.

W pięć minut przybili do brzegu. Oficer wyskoczył i podał rękę milady. W pobliżu oczekiwał powóz.

— Czy to dla nas jest przeznaczona ta kareta? — spytała milady.

— Tak, pani — odparł oficer.

— A jak daleko stąd do hotelu?

— Znajduje się on na drugim końcu miasta.

— Zatem jedźmy — rzekła milady i śmiałym ruchem wsiadła do powozu.

Oficer dopilnował, by kufry podróżne przytroczono z tyłu karety, poczem wsiadł do powozu i ,ulokowawszy się obok milady, zamknął drzwiczki. Woźnica zaś na ten dźwięk, nie czekając rozkazu i nie pytając o cel podróży, zaciął konie, i kareta pomknęła w uliczki miasta.

Tak niezwykłe przyjęcie na ziemi angielskiej nastręczyło milady wiele tematu do rozmyślań. Ze zaś po kilku próbach przekonała się, iż oficer nie jest wcale usposobiony do rozmowy,

wcisnęła się w głąb pojazdu i poczęła rozważać kolejno wszystkie przypuszczenia, jakie się jej nasuwały.

Po upływie jakiegoś kwadransa, zdziwiona przedłużającą się zbyt jazdą, nachyliła się ku drzwiczkom, aby zobaczyć gdzie się znajduje, i stwierdziła z pewnem zdumieniem, że naokół nie widać wcale domów; w ciemnościach nocy migały tylko przygrożne drzewa, jak czarne widma, biegnące szybko jedno za drugiem.

Milady wzdrygnęła się.

— Jesteśmy za miastem? — odezwała się.

Młody oficer milczał. ..

— Uprzedzam pana, że nie pojadę dalej, jeżeli mi pan nie powiesz, dokąd mię wieziesz!

I na tę groźbę nie było odpowiedzi.

— Panie! tego już zawiele! — zawołała milady. — To już najoczywistszy gwałt! — I poczęła krzyczeć: — Na pomoc! ratujcie! ..

Nikt jednak na to wołanie nie odpowiedział; oficer siedział nieruchomy, jak posąg, a powóz pędził dalej z niezmienioną szybkością.

Milady spojrzała na swego towarzysza jednym z tych spojrzeń, które rzadko kiedy chybiały celu, i gniew rozświecił jej oczy w ciemności. Młody człowiek jednak nie poruszył się nawet. Wówczas milady porwała się nagle z siedzenia, by otworzyć drzwiczki i wyskoczyć z powozu, co widząc oficer oświadczył lodowatym tonem:

— Ostrzegam panią, że, wyskakując, możesz się pani zabić....

Milady, pieniąc się ze złości, usiadła, i wówczas młody człowiek, spojrzawszy na nią, aż się zdziwił zmianą, jaka wskutek strasznego gniewu zaszła na jej twarzy; piękne to oblicze zeszpecił taki wyraz, że stało się ono niemal wstrętnem.

Ale przewrotna ta istota spostrzegła się w tejże chwili, że gubi się sama, pozwalając zbyt głęboko zajrzeć w swą duszę, więc natychmiast rozpogodziła twarz i zapytała z westchnieniem:

— Na miłość Boga, powiedz mi pan komu zawdzięczam ten gwałt, jakiego się wobec mnie dopuszczono: rządowi waszemu, czy też jakiemu osobistemu wrogowi memu? ..

— Niema tu żadnego bynajmniej gwałtu, pani; to, co się stało, jest poprostu wynikiem zarządzeń, do jakich musieliśmy się uciec wobec tych ludzi, którzy przybywają do Anglji.

— Więc pan nie znasz mnie wcale?

— Po raz pierwszy w życiu mam zaszczyt widzieć panią.

— I możesz mi pan zaręczyć słowem, że nieżywisz do mnie jakichkolwiek wrogich uczuć?

— Bynajmniej; daję pani na to moje oficerskie słowo.

Tyle było powagi, łagodności, a nawet słodyczy w głosie młodzieńca, że milady do pewnego stopnia uspokoiła się...

Nareszcie, po godzinie mniej-więcej jazdy, powóz zatrzymał się przed żelazną kratą, która zamykała stromą drogę, wiodącą do ponurego kształtem, ogromnego i zupełnie samotnego zamczyska. Po otwarciu tej kraty powóz ruszył ku murom zamczyska, a podczas gdy koła toczyły się po miękkim piasku, do uszu milady doszedł głychy poszum morza z czego wywnioskowała że uderza ono tuż niedaleko bałwanami swymi w skaliste wybrzeże.

Powóz przejechał pod dwoma sklepieniami i zatrzymał się wreszcie na ciemnym kwadratowego kształtu podwórcu. Prawie równocześnie oficer, otworzyszy drzwiczki, wyskoczył lekko na ziemię i podał rękę milady, która, wsparłszy się na niej, wysiadła, jakby się zdawało, uspokojona już zupełnie.

— Bądź co bądź jednak — rzekła, rozejrzawszy się dokoła z najwdzięczniejszym uśmiechem, a następnie zwróciwszy się ku młodemu oficerowi, — bądź co bądź jednak jestem, jak widzę, więźniem. Spodziewam się wszakże, iż niewola ta nie potrwa zbyt długo — dodała; — czyste moje sumienie i uprzejmość pańska, panie oficerze, są mi w tym względzie, jak myślę, najlepszą gwarancją.

Aczkolwiek słowa te były mocno dla oficera pochlebne, nie odpowiedział jednak na nie ani słowa, — natomiast wyjął z za pasa małą srebrną świstawkę, jaką zazwyczaj posługują się sternicy na okrętach wojennych, gwizdnął trzykrotnie, za każdym razem inaczej, a na ten sygnał podbiegło wnet kilku ludzi i, wyprzegnąwszy okryte pianą konie, poprowadzili je do stajni, powóz zaś zatoczyli do wozowni. Oficer zaś tymczasem, zawsze z tą samą obojętną grzecznością, poprosił uwięzioną, by podała mu ramię, a gdy milady, wciąż uśmiechnięta, ujęła go pod rękę, wprowadził ją w niską, łukowo sklepioną bramę, skąd oświetlonym z jednej tylko strony korytarzem weszli na kamienne schody i zatrzymali się wreszcie przed okutemi drzwiami. Oficer otworzył je kluczem, który miał przy sobie, przyczem

drzwi zgrzytnęły głucho, i wprowadził milady do przeznaczonego dla niej pokoju.

Jednem spojrzeniem objęła milady cały apartament.

Stojące wewnątrz sprzęty były odpowiednie zarówno dla celi więziennej, jak i dla zwykłego mieszkania; jedynie kraty, umieszczone w oknach, i rygle, znajdujące się zewnątrz drzwi, świadczyły, iż jest to właściwie więzienie.

Gdy się milady tu znalazła, nagle cała siła woli opuściła tę tak doświadczoną w przeróżnych okolicznościach życia istotę; osunęła sięna krzesło i ze skrzyżowanemi rękoma, opuściwszy głowę na piersi, wpadła w pewnego rodzaju osłupienie. Przypuszczała na razie, że lada chwili nadejdzie sędzia, by ją wybadać — ale nie ukazał się nikt, prócz kilku żołnierzy marynarki, którzy wnieśli toboły i kufry, ustawili je w kącie pokoju i oddalili się w milczeniu. Oficer, bacząc na wszsytko z tym samy spokojem, jaki już milady miała sposobność poznać, milczał również i nawet rozkazy swoje wydawał bądź ruchem ręki, bądź zapomocą świstawki. Możnaby powiedzieć, że w stosunkach tego człowieka z podwładnymi mowa ludzka jest nieznana lub stała się bezużyteczną.

Bezwład jednak, jaki na razie opanował milady, nie trwał długo. Nie mogąc pogodzić się z zagadkowością swego położenia, zawołała niecierpliwie:

— Na miłość Boga, panie oficerze! co znaczy to wszystko? Uspokój pan moją niepewność; zniosę odważnie każde niebezpieczeństwo, które znam, każde nieszczęście, o którem wiem. Gdzie się znajduję i w jakim tu jestem charakterze? Jeżeli jestem wolna, jaki cel mają te kraty w oknach i rygle przydrzwiach? Jeżeli zostałam uwięziona, o jaką zbrodnię mię oskarżają?

— Znajdujesz się pani w przeznaczonym dla niej pokoju. Polecono mi zabrać panią z pokładu okrętu i przywieźć do tego zamku; wypełniłem ten rozkaz ze ścisłością, jak sądzę, żołnierską, ale również z grzecznością, godną szlachcica. Na tem, na razie przynajmniej, zakończyły się moje obowiązki wobec pani; reszta zależy już od innej osobistości.

— A ta inna osobistość? któż to jest? — pytała milady. — Czy nie możesz pan powiedzić mi jej nazwiska? ..

W tej chwili rozległ się na schodach głośny brzęk ostróg, ozwało się kilka głosów i umilkło, poczem odgłos kroków jednego człowieka dał się słyszeć tuż za drzwiami pokoju.

— Oto nadchodzi właśnie ta osoba, o której pani mówiłem — rzekł oficer, usuwając się szybko z przejścia i przybierając pełną uszanowania i posłuszeństwa postawę.

Zaledwie wypowiedział te słowa, drzwi pokoju otwarły się, i na progu stanął jakiś człowiek. Wszedł z odkrytą głową; przy boku miał przypasaną szpadę, — w rękach gniótł chusteczkę.

W cieniu kurytarza postać przybyłego wydała się miłady znajomą. Wsparłszy się ręką na poręczy krzesła, na którem siedziała, podała się głową naprzód, jakgdyby chcąc pójść naprzeciw rzeczywistości.

Nieznajomy zwolna posuwał się ku niej, w miarę zaś, jak wchodził w krąg światła lampy, słabo oświecającej pokój, miłady pomimo woli cofała głowę.

— Czy się nie mylę? mój brat?! — zawołała nagle ze zdumieniem. — Jakto? tyżeś to?

— Tak jest, piękna pani — odpowiedział chłodno lord de Winter, skłaniając równocześnie głowę w ukłonie napoły uprzejmy, napoły ironją zaprawionym. — Tak! to ja we własnej osobie.

— Więc ten zamek?...

— Jest moją własnością.

— A ten pokój?

— Przeznaczony jest dla pani.

— Jestem więc twoim więźniem?

— Mniej-więcej tak.

— Ależ to... to okrutne nadużycie władzy!

— Nie posługujmy się patetycznemi określeniami... Usiądźmy raczej i pomówmy z sobą spokojnie, tak jak przystoi bratu i siostrze...

Lord Winter odwrócił się i, spostrzegłszy, że młody oficer oczekuje snadź jeszcze dalszych zleceń, rzekł doń uprzejmie:

— Dziękuje panu. Jestem zupełnie zadowolony. Teraz racz pan, panie Feltonie, pozostawić nas samych.

L.

ROZMOWA BRATA Z SIOSTRĄ.

Podczas, gdy lord Winter zamykał drzwi na klucz, zapuszczał okiennice i przysuwał sobie krzeszło do fotelu bratowej, milady zastanawiaał się nad głębiami możliwości i doszła do przekonania, że nie zdoła rozwiązać zagadki swego obecnego położenia, dopóki się nie dowie, w czyjem jest ręku. Znała swego szwagra, jako honorowego szlachcica, jako zapalonego myśliwego jako hazardownego gracza, jako mężczyznę przedsiębiorczego wobec kobiet, ale zarazem nie posiadającego najmniejszych zdolności do przeprowadzenia choćby drobnej intrygi. Jakim cudem zdołał się dowiedzieć o jej przyjeździe? Dlaczego kazał ją porwać? W jakim celu przywiódł ją tutaj?

Atos mógłby mu wprawdzie powtórzyć coś-niecoś z rozmowy, jaką prowadziła z kardynałem, — z rozmowy, której urywki doszły do obcych uszu; ale uważała to wprost za niemożliwe, by Atos zdołał tak szybko i śmiało pokrzyżować jej plany. Obawę przejmowała ją raczej myśl, iż być może, dawniejsze jej sprawki w Anglji zostały jakimś przypadkiem wykryte. Buckingham mógł był odgadnąć, że to ona odcięła mu dwie zapinki djamentowe, i chciał może teraz pomścić tę zdradę. Lecz Buckingham — wiedziała o tem — nie był zdolny do użycia przemocy wobec kobiety, zwłaszcza, gdy można było sądzać tę kobietę, że popełniła winę, powodowana uczuciem zazdrości.

Jednak, pomimo tych wątpliwości, jedynie w takiem przypuszczeniu widziała prawdopodobieństwo. Chciano zapewne zemścić się na niej za przeszłość, nie zaś przeszkodzić jej w zamiarach na przyszłość. Bądź co bądź, stwierdziła z pewnem zadowoleniem, że znalazłszy się w rękach szwagra, którego spodziewała się otumanić, bezpieczniejszą jest, aniżeli gdyby wpadła w ręce jakiegoś nieprzyjaciela osobistego a przebiegłego.

— Więc mów, bracie, o co chodzi — odezwała się z pozorną wesołością, postanawiając, mimo wszelkiej obłudy, jakąby objа-

wiał lord Winter, wyciągnąć z niego wszystko, co mogłoby przydać się jej do ustalenia jej planów na przyszłość.

— Postanowiłaś zatem — rzekł lord Winter — wrócić do Anglji, mimo tych zapewnień, jakie tylekroć powtarzałaś w Paryżu, że nigdy już noga twoja na ziemi wielkobrytańskiej nie postanie?

Milady na to pytanie odpowiedziała również pytaniem:

— Przedewszystkiem proszę o wyjaśnienie, dlaczego poleciłeś szpiegować mię tak bacznie i jakim sposobem dowiedziałeś się naprzód nietylko o moim do Anglji przyjeździe, ale nawet o dniu, w którym tu przybędę, i o tem, do jakiego portu zawinę?

W odpowiedzi na to lord Winter, posługując się taktyką milady w tem przekonaniu, że musi być dobrą, skoro jej bratowa używa, zapytał:

— Powiedz mi jednak przedewszystkiem, droga siostro, w jakim celu przybyłaś do Anglji?

— Oczywiście w tym jedynie celu, by się zobaczyć z tobą — odpowiedziała milady, nie przeczuwając, jak bardzo tą odpowiedzią utwierdza podejrzenia, które list d'Artagnana obudził w umyśle lorda Wintera, a pragnąć tem właśnie kłamstwem zaskarbić sobie życzliwość szwagra.

— Ach! dla zobaczenia się ze mną! — powtórzył nieszczerze lord Winter.

— Oczywiście, przybyłam tu jedynie w tym celu. Czy cię to dziwi?

— I, przybywając do Anglji, nie miałaś bezwarunkowo innych zamiarów?

— Nie.

— I dla mnie tylko naraziłaś się na trud podróży przez kanał La Manche? — pytał dalej.

— Tylko dla ciebie.

— Do djaska! niezwykła to czułość, kochana bratowo!

— Czyż nie jestem twoją najbliższą krewną? — rzekła milady pełnym naiwności tonem.

— A nawet jedyną moją spadkobierczynią, czyż nie tak? — zapytał ironicznie lard Winter, patrząc badawczo w oczy bratowej.

Mimo całego panowania nad sobą, nie mogła milady utaić drżenia, jakie na te słowa wstrząsnęło jej ciałem. A ponieważ

lord Winter, wypowiadając je, położył rękę na ramieniu bratowej, dreszcz ten nie uszedł jego uwagi.

Istotnie cios był wymierzony dobrze i głęboko. Natychmiast przyszło na myśl milady, że została zdradzoną przez Ketty i że to ona opowiedziała baronowi o jej względem niego niechęci, powodowanej żądzą zysków materjalnych. I pożałowała teraz, że kilkakrotnie wobec służącej wspominała o tem nierozważnie. Przyszło jej również na pamięć, jak gwałtownie i niebacznie zarzucała d'Artagnanowi, że szwagrowi jej darował w pojedynku życie.

— Nie rozumiem cię, milordzie — odrzekła, chcąc zyskać na czasie iz musić swego przeciwnika do mówienia. — Nie rozumiem, co mają znaczyć te słowa... Chyba może jest w nich jakaś myśl ukryta?

— Och, mój Boże! — odparł lord Winter z pozorną dobrodusznością. — Pragnęłaś zobaczyć się ze mną i w tym celu przyjechałaś do Anglji. Dowiaduję się o tem pragnieniu, a raczej domyślam się, że ono cię tu sprowadza, i chcąc oszczędzić ci nieprzyjemności, połączonych z nocnem przybyciem do portu, oraz wszsytkich przykrości wylądowania, wysyłam na twe spotkanie jednego z moich oficerów, oddaję do jego rozporządzenia karetę on przywozi cię do zamku, którego jestem gubernatorem a że przyjeżdżam tu codziennie, więc by zadowolnić obopólne nasze pragnienie częstego widywania się, przeznaczam ten oto pokój dla ciebie. Czyż w tem, co mówię, jest coś bardziej dziwnego, aniżeli w tem, co ty mi opowiadasz?

— O, nie! Dziwię się jedynie temu, w jaki sposób zdołałeś się dowiedzieć o mojem przybyciu do Anglji.

— I to również zupełnie proste, kochana bratowo... Czyż uszło twej uwagi, że kapitan statku, na którym przybyłaś, zbliżając się do portu, wysłał naprzód małą łódkę, wiozącą jego dziennik podróży i spis podróżnych. Tylko zresztą po przedstawieniu tych dokumentów mógł otrzymać pozwolenie wpłynięcia do portu. Ponieważ zaś jestem dowódcą portu, więc przyniesiono mi te papiery, i odrazu odnalazłem w nich twoje nazwisko. Serce powiedziało mi to, co obecnie potwierdziły twoje usta; domyśliłem się, w jakim celu naraziłaś się na tę niebezpieczną i tak męczącą, zwłaszcza w obecnej porze roku, podróż przez kanał. Szkuta moja wyszła na twoje spotkanie. Reszta już ci wiadomo...

Milady rozumiała, że lord Winter kłamie, ale to jego kłamstwo właśnie przejmowało ją tem większem przerażeniem.

— Mój drogi — zapytała, — wszak to księcia Buckinghama widziałam wczoraj na wybrzeżu?

— Tak, był to książę Buckingham we własnej osobie — odpowiedział lord Winter. A po chwili dodał: — Ach! i pojmuję to dobrze, że widok księcia musiał zwrócić twoją uwagę. Przybywasz z kraju, gdzie zajmują się nim bardzo.. Wiem również, że jego zbrojenia przeciwko Francji nader żywo interesują twego przyjaciela, pana kardynała.

— Mego przyjaciela, kardynała? — zawołała milady z nieukrywanem zdziwieniem, gdyż słowa lorda Wintera dowodziły, że i pod tym względem, podobnie, jak pod innymi, jest doskonale powiadomiony.

— Jakto? nie jestże już twoim przyjacielem? — zapytał na pozór obojętnie baron. — Ach! w takim razie przepraszam cię bardzo; sądziłem, że pozostajecie jeszcze w przyjaźni. Powrócimy jednak potem do księcia-milorda; tymczasem nie przerywajmy sobie miłego nastroju, jaki owiewa naszą pogawędkę.... Przybyłaś zatem, jak powiadasz, aby zobaczyć się ze mną?

— Tak jest.

— Oświadczyłem ci już, że stanie się zadość twojej woli; będziemy się widywali codziennie.

— Więc mam tutaj pozostał nazawsze? — spytała milady z pewnem zaniepokojeniem.

— Ach! może uważasz, iż brak ci tu jakich wygód? Rozkaż jednak tylko, moja droga, a w tej chwili dostarczę ci wszystkiego.

— Niema tu ani moich służebnych, ani moich lokaj.

— Wszystko się znajdzie, milady. Zechciej tylko objaśnić mię, jak był urządzony dom twego pierwszego męża, a ja, aczkolwiek jestem ci tylko szwagrem, zastosuję się ściśle do twych wskazówek.

— Mojego pierwszego męża? — zawołała milady, spoglądając na lorda Wintera, obłąkanym niemal wzrokiem.

— Tak jest, twego męża.... owego Francuza; nie mówię tu o moim bracie. Zresztą, jeżeli zapomniałaś już o tem, mogę napisać do niego, gdyż przecie żyje jeszcze, i zasięgnąć u niego wiadomości.

Na te słowa zimny pot zrosił czoło milady.

— Żartujesz — wyrzekła głucho.

— Czyż doprawdy wyglądam na człowieka, który żartuje? — zapytał baron, powstając i postępując krok naprzód.

— A raczej znieważasz mnie — mówiła, opierając zaciśnięte ręce na obu poręczach fotelu i unosząc się na nim.

— Znieważam panią? — odezwał się lord Winter z pogardą. — Czy naprawdę sądzisz pani, że byłoby to możliwe?

— Widzę, że jesteś pan albo pijany, albo utraciłeś zmysły — zawołała z gniewem milady. — Proszę stąd wyjść i przysłać mi jaką pokojówkę.

— Kobiety są tak niedyskretne, moja droga! Czyż ja sam nie mógłbym ci usłużyć? Przynajmniej wszystkie nasze tajemnice pozostałyby w rodzinie.

— Zuchwalcze! — krzyknęła milady i, jakby podrzucona sprężyną, skoczyła ku baronowi, który stał ze skrzyżowanemi rękami.

— No! no! — rzekł. — Wiem ja o tem, że masz pani zwyczaj mordować ludzi. Ale uprzedzam cię, że będę się bronił, nie bacząc na to, iż jesteś kobietą.

— Och! powiedziałeś pan prawdę! — syknęła milady. — Jesteś tak podły, że podniósłbyś rękę nawet na kobietę.

— Bardzo być może. Zresztą mam usprawiedliwienie: ręka moja nie będzie pierwszą ręką męską, która cię dotknęła..... Tak mi się przynajmnie zdaje.

I powolnym a oskarżającym ruchem wyciągnął baron swą prawicę ku lewemu ramieniu bratowej, dotykając go niemal palcem.

Milady wydała głuchy ryk i cofnęła się aż w kąt pokoju, niby pantera, gotująca się do skoku.

— Och! rycz sobie, ile ci się podoba! — rzekł lord Winter, — ale nie próbuj kąsać, bo uprzedzam cię, że wszystko złoży się na twoją zgubę. Tutaj niema prokuratorów, którzyby spisywali naprzód akty sukcesji, i niema również błędnych rycerzy, którzyby wyzywali mię na pojedynki w obronie więzionej przezemnie pięknej damy. Są natomiast sędziowe, gotowi osądzić, jak należy, bezwstydną kobietę, popełniającą dwużeństwo i w ten sposób wślizgującą się w łoże mego brata, lorda Wintera... A sędziowie ci, uprzedzam panią, oddadzą cię w ręce kata, któ-

ry przyozdobi ci prawe ramię tak samo, jak jest przyozdobione lewe.

Oczy milady rozbłysły tak dzikim blaskiem, że, aczkolwiek lord Winter był mężczyzną i stał zbrojny wobec bezbronnej kobiety, to jednak uczuł dreszcz przerażenia, który go przejął aż do szpiku kości. Mimoto mówił dalej z coraz bardziej rosnącym gniewem:

— O, tak! rozumiem dobrze, że, odziedziczywszy mienie mojego brata, byłoby ci przyjemnie zostać i moją spadkobierczynią. Ale uprzedzam cię z góry, że, chociażbyś nawet kazała mię zamordować, nie przyda ci się to na nic, gdyż treść ostatniej woli mojej już jest spisana, i ani jeden grosz z mego majątku nie dostanie się twoje ręce. Czyż zresztą nie jesteś już dosyć bogatą, posiadając prawie miljon? czyż nie mogłabyś już wstrzymać się na tej nieszczęsnej drodze?.... Ale nie! ty czynisz zło dla samej rozkoszy dokonywaniao zbrodni! Otóż słuchaj, co powiem! Gdyby pamięć mego brata nie była dla mnie święta, zgniłabyś w więzieniu państwowem, lub wysłałbym cię do Tyburnu na uciechę marynarzy... Nie uczynię tego jednak i będę milczał, jeżeli zachowasz się w tem przeznaczonem dla ciebie więzieniu spokojnie. Za piętnaście lub dwadzieścia dni udaję się z armją pod Rochellę, a w przeddzień mego wyjazdu zabierze cię stąd przygotowany umyślnie statek i przywiezie do naszych kolonji południowych. No, uspokój się! dodam ci towarzysza podróży, który, gdybyś się poważyła przedsięwziąć jakąkolwiek próbę ucieczki do Anglji lub na kontynent, przy pierwszem twem usiłowaniu tego rodzaju łeb ci roztrzaska...

Milady słuchała z uwagą, rozpłomienione swe źrenice utkwiwszy w oczach szwagra.

— Aż do tej chwili — mówił dalej lord Winter — pozostaniesz w tym zamku. Mury jego są grube, bramy kowane, kraty okien zupełnie pewne; zresztą okno twoje wychodzi wprost na skałę, oblaną morzem. Żołnierze załogi zamkowej, oddani mi duszą i ciałem, stoją na straży koło twego pokoju i strzegą wszystkich przejść, wiodących na dziedziniec. A gdybyś nawet przedostała się na dziedziniec, musiałabyś jeszcze przebyć trzy zakratowane bramy, przy których ustawione straże otrzymały wyraźny rozkaz: jeżeli dostrzegą jeden krok, jeden ruch, lub posłyszą jedno słowo, zdradzające chęć twojej ucieczki, natych-

miast dadzą ognia. Jeżeli cię zabiją, sprawiedliwość angielska, jak sądzę, wdzięczna mi będzie za oszczędzenie jej trudu. Ach! rozpogodziło ci się czoło, i widzę w twych oczach znowu pewność siebie.... "Piętnaście czy dwadzieścia dni, myślisz sobie, ba! do tego czasu wynajdę jakiś sposób ratunku! mój szatański umysł znajdzie jakąś ofiarę; za piętnaście dni będę już daleko stąd". O! spróbuj tylko! spróbuj!..

Milady, widząc, że lord Winter odgadł jej myśli, wbiła paznokcie w ciało, aby zapanować nad sobą i ukryć zewnętrzne objawy, któreby mogły potwierdzić jego przypuszczenie, i nadała swej twarzy jedynie wyraz udręki.

Tymczasem lord Winter mówił dalej:

— Widziałaś już dowodzącego tym zamkiem podczas mojej nieobecności oficera i przekonałaś się, że umie on wypełniać dane sobie rozkazy. Znając cię, jestem pewny, że podczas podróży z Portsmouth do tego zamku usiłowałaś nawiązać z tym młodym człowiekiem rozmowę. Cóż ci powiedział?... Tylko posąg marmurowy może być równie nieczuły i milczący, nieprawdaż? Próbowałaś już niejednokrotnie uwodzić ludzi swymi wdziękami i, niestety, udawało ci się to zawsze.. Do licha! spróbuj uwieść i jego; jeżeli ci się to uda, powiem, że jesteś istotnie wcielonym szatanem.

Poszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

— Przywołać tutaj pana Feltona — rzekł. — Zaczekaj chwilę zaraz mu cię polecę — dodał, zwracając się do milady.

Przez chwilę lord de Winter i milady milczeli — tem niezwykłem milczeniem, które jednak więcej mówi, niż gromowe słowa. Po kilku minutach zaś rozległ się odgłos spokojnych i miarowych kroków, zbliżających się ku pokojowi, i w cieniu, zalegającym korytarz, zarysował się jakiś kształt ludzki. Młody oficer, którego mieliśmy już sposobność poznać, zatrzymał się w progu, oczekując rozkazów barona.

— Proszę cię, wejdź tutaj, drogi Janie — rzekł lord Winter, — wejdź i zamknij drzwi za sobą.

Młody oficer wszedł do wnętrza.

— A teraz — mówiła baron — przypatrz się dobrze tej kobiecia. Jak widzisz, jest młoda piękna posiada wszystkie powaby ciała, jakie tylko znaleźć można na świecie. A jednak jest to prawdziwy potwór, który w dwudziestu pięciu latach swego życia

spełnił tyle zbrodni, że za przeciąg roku nie zdołałbyś doliczyć się takiej liczby w naszych archiwach trybunalskich. Jej słodki głos zdobywa życzliwość; jej piękność jest przynętą dla ofiar; jej ciało służy do spłacania danych obietnic, za które płaci istotnie.... i to jest jedyna sprawiedliwość, jaką jej oddać należy. Kobiet ta będzie usiłowała uwieść cię, może nawet będzie próbowała zamordować cię. Ale.... Feltonie, wydobyłem cię z nędzy, pozyskałem dla ciebie rangę oficerską, raz nawet uratowałem ci życie, pamiętasz zapewne, przy jakiej sposobności... Co więcej, jestem nietylko twoim opiekunem, lecz również twoim przyjacielem; jestem nietylko twoim dobroczyńcą, ale niemal ojcowskie żywię dla ciebie uczucia. Kobieta zaś ta przybyła tu, do Anglji, by godzić na moje życie. I teraz, kiedy trzymam właśnie w rękach tę gadzinę, teraz poleciłem cię przywołać, aby ci powiedzieć: Przyjacielu Feltonie, Janku, dziecko moje! czuwaj nademną, a przedewszystkiem strzeż się sam tej kobiety; przysięgnij na zbawienie swojej duszy, że będziesz jej pilnował aż do chwili, gdy otrzyma karę na jaką zasłużyła. Janie Feltonie, wierzę twojemu słowu; Janie Feltonie, wierzę, że będziesz mi wierny.

— Milordzie! — rzekł młody oficer, w którego czystem spojrzeniu rozbłysła teraz najgłębsza nienawiść, — przysięgam, że spełnię wszystko, czego odemnie zażądasz.

Milady wytrzymała spojrzenie oficera z miną zrezygnowanej ofiary; więcej słodyczy i poddania się, jak to, które malowało się obecnie na pięknej jej twarzy, trudno sobie wyobrazić. Sam lord Winter ze zdziwieniem niemal patrzył na tę zmianę w tygrysicy, z którą dopiero przed chwilą gotował się stoczyć walkę.

— Nie przestąpi nigdy progu tego pokoju... słyszysz, Janie — mówił dalej baron; — niewolno jej pisać do nikogo; rozmawiać będzie z tobą jedynie, jeżeli kiedyś zechcesz jej wyświadczyć ten zaszczyt i przemówić do niej jakieś słowo.

— Dosyć, milordzie; przysiągłem.

— A teraz, pani, staraj się pogodzić z Bogiem, gdyż ludzie wydali już sąd na ciebie.

Milady opuściła głowę, jakgdyby tem osądzeniem czuła się zdruzgotaną. Lord Winter wyszedł, wzywając ruchem ręki Feltona, który poszedł za nim i zamknął drzwi komnaty.

W chwilę później rozległy się na korytarzu ociężałe kroki marynarza, który z toporem u pasa i z muszkietem w ręku przyszedł pełnić straż przy drzwiach pokoju miłady.

Ona zaś siedziała przez kilka minut nieruchomo, w tej myśli, że jej zachowanie się może być przez dziurkę od klucza obserwowane, poczem podniosła powoli głowę, i na twarzy jej zarysował się straszny wyraz groźby oraz wyzwania. Wstawszy, nasłuchiwała przez chwilę pod drzwiami, następnie wyjrzała przez okno, a wreszcie, usadowiwszy się znowu w szerokim fotelu, poczęła rozmyślać.

LI.

OFICER.

Tymczasem kardynał oczekiwał wieści z Anglji, ale, prócz złych i groźnych, nie nadchodziły żadne inne.

Aczkolwiek Rochella była osaczona i zwycięstwo zdawało się pewnem, dzięki różnym strategicznym zarządzeniom, a zwłaszcza dzięki zbudowaniu tamy, nie dopuszczającej do oblężonego miasta obcych okrętów, tem niemniej oblężenie mogło trwać jeszcze długo .A przewlekanie się to było niemałym wstydem dla armji królewskiej i wielkim kłopotem dla pana kardynała, który nie potrzebował już wprawdzie siać niezgody między Ludwikiem XIII i Anną Austrjaczką, bo było to dziełem dokonanem, lecz musiał zato godzić pana de Bassompierre'a, poróżnionego z księciem d'Angouleme.

Jegomość brat królewski, który rozpoczął oblężenie, pozostawił kardynałowi starania o dorpowadzenie go do końca. Miasto, mimo niesłychanej surowości swego dowódcy, próbowało się zbuntować i poddać, na co dowódca odpowiedział wyrokami śmierci, i gdy wichrzycieli powywieszano, uspokoiło to wnet zapalniejsze umysły. Wprawdzie groziła oblężonym śmierć głodowa, ale śmierć ta wydawała się im bądź co bądź nie tak gwałtowną i pewną, jak powieszenie na szubienicy.

Oblegający chwytali od czasu do czasu posłów, wysyłanych przez mieszkańców Rochelli do księcia Buckinghama, lub szpiegów, których Buckingham wysyłał do oblężonej twierdzy, a tak z jednymi, jak i z drugimi załatwiano się krótko: kardynał wypowiadał jedno tylko słowo: "Powiesić!" — i wnet wyrok ten dochodził, do skutku. Proszony do uczestniczenia przy egzekucji król przybywał schorzały, obierał sobie najlepsze miejsce, by w najdrobniejszych szczegółach obserwować wykonanie wyroku, i to rozrywało trochę jego umysł podczas długiego, wymagającego cierpliwości oblężenia. Tem niemniej jednak nudził się co chwila wyrażając chęć powrotu do Paryża. I gdyby przypad-

kiem zabrakło chwytanych wysłanników oraz szpiegów, Jego Eminencja, mimo całej swej pomysłowości, znalazłby się w niemałym kłopocie, chcąc zabawić znudzonego władcę.

Czas upływał, — mieszkańcy Rochelli nie poddawali się. Ostatni ze schwytanych szpiegów wiózł list, który zawiadamiał księcia Buckinghama, że miasto znajduje się w rozpaczliwem położeniu. W liście tym jednak, w końcowym dodatku, rozpoczynającym się od słów: "Jeżeli do piętnastu dni nie nadejdą posiłki" — zamiast upragnionej przez Jego Eminencję konkluzji: — "będziemy musieli się poddać" — kardynał znalazł zdanie następujące: "Jeżeli do piętnastu dni nie nadejdą posiłki, zastaniecie tylko trupy zmarłych z głodu".

Buckingham tedy był jedyną nadzieją mieszkańców Rochelli, — był on dla nich Mesjaszem. Nie ulegało wątpliwości, że, gdyby pewnego dnia dowiedzieli się jakimś sposobem, iż nie mogą liczyć na pomoc Buckinghama, upadłaby wraz z tą nadzieją ich waleczność.

Kardynał więc z największą niecierpliwością oczekiwał wieści z Anglji, któreby stwierdziły, że Buckingham nie przybędzie.

Plan zdobycia miasta szturmem roztrząsany niejednokrotnie na naradach wojennych u króla, odrzucano za każdym razem, gdyż przedewszystkiem Rochella zdawała się niezdobytą, a powtóre kardynał, mimo wszystko, co o nim mówiono, czuł to dobrze, że groza krwi, przelanej w tej wojnie, w której Francuzi walczyli przeciwko Francuzom, groza krwi, przelanej nadmiernie, cofnęłaby politykę Francji wstecz o lat sześćdziesiąt. A w owej epoce był kardynał tym człowiekiem, jaki nosi miano postępowego. Istotnie złupienie Rochelli i wymordowanie trzech lub czterech tysięcy hugenotów, ginących w obronie swych przekonań, przypominałoby zanadto w roku 1628 rzeź nocy Świętego Bartłomieja z roku 1572. Prócz tego, ostateczny ten środek, na który zresztą król, dobry katolik, godził się bez zastrzeżeń, spotykał się zawsze z oporem jenerałów, dowodzących armją oblężniczą i twierdzących: "Rochellą jest niezdobyta, chyba głodem".

Kardynał nie mógł się także pozbyć obawy o to, co uczyniła jego straszliwa wysłanniczka, bo i on także zdawał sobie sprawę z niezwykłego charakteru tej kobiety, zamieniającej się to w węża, to w lwicę. Może zdradziła go? — myślał chwilami. — A może już nie żyła? Bądź co bądź, znał ją dobrze i wiedział,

że bez względu na to, komuby służyła — jemy, czy przeciwko niemu, czy byłaby mu przyjaciółką, czy wrogiem, — w każdym razie działałaby, o ileby tylko jakie nieprzezwyciężone przeszkody działalności jej nie sparaliżowały. Lecz jakie tu mogły zajść przeszkody, jeżeli istotnie trafiła na nie — tego nie mógł się dowiedzieć.

Zresztą liczył, i słusznie, na wierność milady; domyślając się w przeszłości tej kobiety jakichś strasznych tajemnic, które mogły się ukryć tylko pod jego purpurowym płaszczem, czuł dobrze że jest mu oddana, bo nie mogłaby znaleźć lepszej dla siebie opieki i podpory w zagrażających jej niebezpieczeństwach.

Postanowiszy prowadzić wojnę sam, nie rachując na jakieś niezależne od siebie okoliczności i nie idąc w ślady człowieka, który liczy na los szczęśliwy, budował w dalszym ciągu słynną ową tamę, mającą ogłodzić Rochellę. A w oczekiwaniu końca jej budowy spoglądał na nieszczęsne miasto, które zamykała w swych murach tyle głębokiej nędzy i tyle heroicznych cnót. I przywodząc sobie na myśl słowa Ludwika XI-go, swego poprzednika w polityce, tak, jak on sam był poprzednikiem Robespierr'a, powtarzał zdanie Tristanowego kmotra: "Rozdzielaj, aby panować".

Henryk IV, oblegając Paryż, kazał rzucać poprzez mury miasta chleb i żywność; kardynał przez zaufanych rozsiewał w Rochelil świstki, podburzające ludność przeciw jej wodzom. W świstkach tych przedstawiał mianowicie postępowanie dowódców rochelskich, jako niesprawiedliwe, pełne sobkowstwa i okrucieństwa, — twierdził, że wodzowie mieli zboża podostatkiem., lecz rozmyślnie je przed ludnością ukrywali, — i że jakaby przyjęli za zasadę (bo i oni kierowali się zasadami), iż nie zależy im na życiu kobiet, dzieci i starców, byleby obrońcy murów byli zdrowi i zdolni do czynu. Papierowe te knowania zachwiały ostatecznie względnym spokojem oblężonej ludności, aczkolwiek było wśród niej wielu gotowych do poświęceń lub zrezygnowanych wskutek bezsilności wobec władz, — odezwy te albowiem przypominały żołnierzom, że te dzieci, kobiety i starcy, skazywani na śmierć głodową, są ich własnemi dziećmi, ich żonami, ich ojcami, więc wydawało się słusznem, aby w tem ogólnem nieszczęściu zrównać prawa do życia wszystkich i wobec jednakowego położenia całego ogółu stosować jednakowe zasady.

Odezwy te więc dały istotnie wynik, jakiego oczekiwali autorowie, i skłoniły znaczną liczbę mieszkańców Rochelli do poszczególnego porozumiewania się z armją królewską.

Jednak w chwili, gdy kardynał dostrzegał już owoce swego pomysłu i radował się z jego zastosowania, przybył z Portsmouth do Rochelli jeden z jej wysłańców, który zdołał prześlizgnąć się tam i z powrotem poprzez linję wojsk królewskich — Bogu jedynie wiadomo, jakim sposobem, gdyż panowie de Bassompierre, de Schomberg i książę d'Angouleme dokładali wszelkich starań, by nikt się przez tę linję nie przedostał, a nad nimi czuwał znów kardynał. Otóż, powtarzamy, jeden z wysłańców Rochelli, wracający z Portsmouth, zdołał przedostać się do miasta z wiadomością, że widział na własne oczy wspaniałą flotę, mającą przed upływem ośmiu dni rozwinąć żagle. Co więcej, Buckingham donosił dowódcy miasta, że wielkie przymierze przeciwko Francji zostało ostatecznie zawarte i że równocześnie uderzą na królewstwo armje angielska, cesarska i hiszpańska. List ten odczytano publicznie na wszystkich placach, rozlepiono go w odpisach na rogach ulic, a skutek był taki, że nawet ci, którzy nawiązali już częściowo rokowania z armją oblężniczą, zerwali je teraz, postanawiając czekać na zapowiedzianą tak szumnie odsiecz.

Niespodziewany ten zwrot wznowił dawniejsze niepokoje Richelieu'go. Pomimo woli kardynał znowu zwrócił oczy ku przeciwległemu wybrzeżu kanału.

W tymże czasie wolna od niepokojów swego jedynego i prawdziwego wodza armja królewska wiodła życie bez troski. Nie brakowało w obozie żywności, nie brakowało pieniędzy, — wszystkie więc pułki współzawodniczyły z sobą w brawurze i wesołości. Chwytanie szpiegów i wieszanie ich, niebezpieczne wycieczki na tamę lub na morze, obmyślanie szalonych projektów i wykonywanie ich — oto były zajęcia, jakiemi armja skracała sobie dnie, dnie, wlokące się w nieskończoność nietylko dla mieszkańców Rochelli, nękanych głodem i trwogą, lecz również i dla kardynała, zamykającego z wysiłkiem wszelki dostęp do oblężonej twierdzy.

Czasami, gdy kardynał, zawsze na koniu, jak najzwyklejszy żandarm, wodził zamyślonym wzrokiem po obwarowaniach, które w jego pełnem niecierpliwości mniemaniu tak powolnie wznosili inżynierowie, sprowadzeni z wszystkich zakątków kró-

lestwa francuskiego, — czasami spostrzegał muszkietera z pułku pana de Treville. Wtedy zbliżał się ku niemu, przyglądał mu się badawczo i dopiero przekonawszy się, że nie jest to żaden z naszych czterech towarzyszów, zapuszczał gdzieindziej swój głęboki wzrok i potężną myśl.

Pewnego dnia kardynał, trawiony śmiertelną nudą, straciwszy już nadzieję doprowadzenia do skutku układów z oblężonem miastem i nie mając zgoła wieści z Anglji, wyjechał z obozu w towarzystwie panów de Cahusac'a i de La Houdiniere'a — bez celu jedynie dla przejażdżki. Jadąc wzdłuż wybrzeża i łącząc swe marzenia z widokiem bezbrzeżnego oceanu, stanął wreszcie na wzgórzu, z wysokości którego ujrzał wylegujących się na piasku poza płotem i grzejących się w promieniach słońca, tak rzadkiego w tej porze roku, siedmiu żołnierzy. Dokoła nich leżały wypróżnione flaszki. Czterej z żołnierzy byli to nasi muszkieterowie, oczekujący na przeczytanie listu, który jeden z nich właśnie otrzymał; ważny to musiał być list, skoro z tego powodu zaniechali nawet gry w karty i w kości, porzucone obok na bębnie wojskowym. Trzej inni zakrzątnięci byli około olbrzymiej flaszki wina z Collioure, którą usiłowali rozkorkować; poznajemy w nich służących muszkieterów.

Kardynał, jak wspomnieliśmy, był w bardzo ponurem usposobieniu, a w takich chwilach nic go nie gniewało bardziej, jak wesołość innych. Zresztą miał dziwne uprzedzenie: wierzył, że to, co jest przyczyną jego smutków, pobudza innych do wesołości. Skinął na pana La Houdiniere i na Cahusac'a, aby się zatrzymali, san zsiadł z konia i skierował się ku wesołej kompanji w tej nadziei, że miękki piasek zagłuszy jego kroki, a płot osłoni jego postać, i że dzięki temu będzie mógł podsłuchać parę słów z rozmowy muszkieterów, która wydawała mu się szczególnie zajmująca. Gdy znalazł się w odległości dziesięciu kroków od płotu, rozpoznał akcent gaskoński mówiącego w tej chwili żołnierza a zobaczywszy jeszcze mundury muszkieterskie, nie wątpił już, że ma przed sobą tych, których nazywano nierozłącznymi, to znaczy Atosa, Portosa, i Aramisa.

Łatwo pojąć, że, uczyniwszy to odkrycie, tem bardziej zapragnął usłyszeć prowadzoną rozmowę. W oczach zamigotał mu dziwny blask, i kocimi krokami począł się skradać ku płotowi. Ale, zanim zdołał usłyszeć coś więcej, prócz oderwanych dźwięków bez znaczenia, musiał się zatrzymać, gdyż ostrzegaw

czy, krótki okrzyk jednego ze służących zwrócił uwagę muszkieterów.

— Oficer nadchodzi! — krzyknął mianowicie Grimaud.

— Cóż to?! odważasz się mówić, głupcze? — rzekł Atos, unosząc się na łokciu i spoglądając na Grimauda gniewnym wzrokiem.

Grimaud nie dodał już ani słowa, ograniczając się jedynie do tego, że wskazał palcem w kierunku płotu i ujawnił w ten sposób obecność kardynała oraz jego orszaku.

Muszkieterowie zerwali się na nogi i z uszanowaniem powitali przybyłego.

Kardynał pienił się ze złości.

— Jak się zdaje, rozstawiliście panowie straże! — rzekł. — Czyżbyście się obawiali napadu Anglików? A może panowie muszkieterowie uważają się za wyższych oficerów?

— Eminencjo — odpowiedział Atos (on jeden bowiem w ogólnym popłochu zachował spokój i zimną krew wielkiego pana, które zresztą nie opuszczały go nigdy), — Eminencjo! w chwili, gdy muszkieterowie nie pełnią służby, gdy piją i grają w kości, wtedy są najwyższymi przełożonymi swych służących.

— Służących? — mruknął kardynał. — Ludzie, którym polecono ostrzegać swych panów o zbliżaniu się kogokolwiek, nie są już służącymi, lecz poprostu strażą.

— Wasza Eminencja ma jednak dowód, że, gdybyśmy nie zastosowali tej ostrożności, narazilibyśmy się na to, iż Wasza Eminencja przeszedłby niepostrzeżenie, i nie moglibyśmy wyrazić Waszej Eminencji wdzięczności za połączenie naszej przyjacielskiej czwórki. D'Artagnanie! — tu zwrócił się Atos do młodego Gaskończyka, — nie miałeś dotąd sposobności podziękować za dobroć Jego Eminencji; skorzystaj teraz z nadarzającej chwili.

Słowa te wypowiedział z niewzruszonym spokojem, który zawsze cechował go w chwilach niebezpieczeństwa, i z wyszukaną grzecznością, nadającą mu niekiedy pozory królewskiej iście godności.

D'Artagnan podszedł do kardynała i wyjąkał kilka słów podziękowania, które jednak wobec chmurnego spojrzenia kardynała zamarły mu w końcu na ustach.

— Wszelako, moi panowie — mówił dalej kardynał, nie odstępując od swej pierwotnej myśli, mimo epizodu, wszczętego

przez Atosa, — wszelko moi panowie, nie lubię by prości żołnierze, tylko dlatego, że służą w uprzywilejowanym pułku, udawali wielkich panów; karność wojskowa obowiązuje ich tak samo, jak wszystkich innych.

Atos z całym spokojem i równowagą ducha wysłuchał admonicji kardynała i, skinąwszy potakująco głową, zauważył:

— Mam to przekonanie, Wasza Eminencjo, że nie zaniedbaliśmy karności wojskowej pod żadnym względem. Nie pełnimy dzisiaj służby i wobec tego sądziliśmy, że możemy rozporządzać wolnym czasem, jak nam się spodoba. Gdybyśmy jednak mieli w tej chwili szczęście otrzymać od Waszej Eminencji jakieś szczególne zlecenie, wypełnimy je natychmiast. Wasza Eminencja raczy zwrócić uwagę — kończył Atos, marszcząc czoło, albowiem wybadywanie to poczynało go już niecierpliwić, — że przyszliśmy tu nawet z bronią, aby na wszelki wypadek być w pogotowiu.

I mówiąc to, wskazał kardynałowi ręką cztery muszkiety, ustawione w kozioł obok bębna, na którym były poruczone karty i kości do gry.

— Wasza Eminencja raczy uwierzyć, że pospieszylibyśmy naprzeciwko niemu, gdybyśmy mogli byli przypuścić, iż przybywa z tak niewielką eskortą — dorzucił d'Artagnan.

Kardynał gniewnie gryzł wąsy i wargi.

— Czy wiecie, panowie — rzekł, — jakie robicie wrażenie, zebrani tu razem, uzbrojeni i strzeżeni przez służących? Wyglądacie na spiskowców.

— Istotnie, Wasza Eminencjo — odrzekł Atos, — i nawet rzeczywiście spiskujemy od czasu do czasu, jak to Wasza Eminencja mógł się przekonać pewnego innego dnia; spiskujemy w tej chwili przeciwko mieszkańcom Rochelli.

— Och! politykować umiecie panowie nieźle! — rzekł kardynał, marszcząc brew. — I gdyby w umysłach waszych można było tak czytać, jak się czyta naprzykład list, który ukryliście przed chwilą na widok mojego przybycia, znalazłoby się może w waszych mózgach niejedną tajemnicę.

Na te słowa krew uderzyła Atosowi do głowy; postąpił krok ku Eminencji.

— Możnaby przypuścić, że Wasza Eminencja istotnie nas podejrzywa i że zostaliśmy poddani formalnej indagacji; jeżeli

tak jest rzeczywiście, to może Wasza Eminencja raczy nam to wyraźnie o świadczyć, abyśmy wiedzieli przynajmniej, o co chodzi.

— A gdybym istotnie chciał was wybadać? — rzekł na to kardynał. — Nie tacy, jak pan, panie Atosie, musieli się poddać badaniu i odpowiadać na zadawane pytania....

— Jak już mówiłem, niech Wasza Eminencja raczy tylko pytać, a my gotowi jesteśmy odpowiadać.

— Jaki to był list, który zamierzałeś pan właśnie odczytać, panie Aramisie, i który ukryłeś za mojem nadejściem?

— List od kobiety, Eminencjo.

— Och, rozumiem! — mówił kardynał; — tajemnica takich listów jest święta. Ale można ją przecie wyjawić spowiednikowi... a ja, jak panom wiadomo, otrzymałem święcenia.

— Eminencjo! — odezwał się Atos ze spokojem tem straszniejszym, że odpowiedzią swą narażał głowę, — jest to list od kobiety, lecz nie podpisała go ani Marion de Lorme, ani pani d'Aigullon.

Kardynał zbladł, a w oczach zamigotał mu dziki błysk, i w tej chwili odwrócił się, jak gdyby chciał wydać jakiś rozkaz panom de Houdiniere i Cahusac'owi. Atos dostrzegł to poruszenie i cofnął się o krok bliżej ku muszkietom. Trzej przyjaciele spojrzeli także na ustawione w kozioł muszkiety, z miną ludzi, którzy nie mają ochoty pozwolić się uwięzić. Kardynał był samotrzeć, muszkieterów zaś wraz ze służbą było siedmiu, — Jego Eminencja uznał tedy, że pozycja jego jest niepewna, zwłaszcza jeżeli muszkieterowie spiskowali istotnie. Toteż z właściwą sobie siłą woli zapanował nad gniewem i roześmiał się wesoło.

— No, no! — rzekł, jesteście wszelako dzielnymi młodzieńcami, zuchwałymi przy blasku słońca, wiernymi w ciemności, i dobrze jest mieć się samem na baczności, gdy się tak uczciwie daje baczenie na innych. Nie zapomniałem przecie, panowie, owej nocy, kiedyście mi towarzyszyli w drodze do Czerwonego Gołębnika. I gdybym przypuszczał, że i obecnie może mi zagrażać jakieś niebezpieczeństwo na drodze prosiłbym was znowu, abyście mi dotrzymali swego towarzystwa. Ponieważ jednak nie obawiam się niczego, zostańcie więc tutaj, wysączcie do dna butelki dokończcie gry i przeczytajcie swój list. Żegnam was, panowie.

Przy tych słowach, dosiadł konia, którego mu podprowadził Cahusac, i skinąwszy muszkieterom ręką na pożegnanie, odjechał.

Czterej młodzi ludzie, stojąc nieruchomo, ścigali go wzrokiem i milczeli, dopóki nie znikł im z oczu, poczem spojrzeli na siebie z niepokojem. Czuli to dobrze wszyscy czterej, że, mimo łaskawego pożegnania się z nimi kardynał odjechał z wściekłością w duszy. Tylko Atos uśmiechał się pogardliwie ze zwykłą pewnością siebie.

Gdy kardynał nie mógł już ani ich widzieć, ani słyszeć ich rozmowy, Portos, który pragnął koniecznie wyładować na kimś swój zły humor, zawołał:

— Grimaud jednak ostrzegł nas zapóźno!

Grimaud chciał się usprawiedliwić, ale Atos ruchem ręki nakazał mu milczenie.

— Czy byłbyś oddał ten list, Aramisie? — zapytał d'Artagnan.

— Byłem przygotowany na wszystko — odparł Aramis najsłodszym swym głosem. — Gdyby zażądał pokazania listu, jedną ręką byćbym go podał, a drugą przeszyłbym kardynała szpadą na wylot.

— Spodziewałem się tego i dlatego stanąłem pomiędzy nim a tobą — oświadczył Atos. — Istotnie kardynał jest bardzo nie roztropny, odzywając się w taki sposób do ludzi dojrzałych; możnaby pomyśleć, że miał w życiu do czynienia jedynie z kobietami i dziećmi.

— Podziwiam cię, drogi Atosie — odezwał się d'Artagnan. — Jednak, mimo wszystko, nie mieliśmy słuszności.

— Jakto? nie mieliśmy słuszności? — zapytał Atos. — Czyjeż więc jest to powietrze, którem oddychamy? czyj jest ocean, po którego falach biegną nasze spojrzenia? czyj jest ten piasek, na którym leżeliśmy? do kogo należy list twojej kochanki? może do kardynała? Na honor! człowiek ten wyobraża sobie, że świat cały jest mu podległy. Staliście tutaj, jąkając się, osłupiali, pokorni; możnaby przypuścić, że Bastylja otwarła się nagle przed waszemi oczyma, lub, że potworna meduza przemieniła was w kamienie... Czyż kochanie jest spiskowaniem? Kochasz kobietę, którą kardynał kazał uwięzić, i pragniesz ją wyzwolić z rąk jego; jest to gra, jaką rozgrywasz z Jego Eminencją. Ten list jest twoją świętą kartą, i miałbyś ją pokazy-

wać przeciwnikowi? Tak się nie robi. Jeżeli odgadnie tę kartę, niech mu szczęście służy; tymczasem my sami odgadujemy doskonale jego karty.

— Istotnie, masz zupełną słuszność, Atosie — oświadczył d'Artagnan.

Przestańmy więc już mówić o tem, co się stało, i niech Aramis czyta dalej list swej kuzynki od miesjca, gdzie mu przerwał pan kardynał.

Aramis wyjął list z kieszeni, a trzej przyjaciele zbliżyli się ku niemu, służący zaś wrócili do flaszek z winem.

— Przeczytałeś zaledwie jeden czy dwa wiersze — rzekł d'Artagnan; — zacznij jeszcze raz od początku.

— Z ochotą — odparł Aramis.

"Kochany kuzynku. Postanowiłam pojechać do Stenay, gdzie moja siostra umieściła w klasztorze Karmelitanek naszą nieszczęsną służącą. Biedna dziewczyna pogodziła się z losem, rozumie bowiem, że, przebywając gdzieindziej, narażiłaby zbawienie swej duszy na niebezpieczeństwo. O ile jednak nasze rodzinne sprawy ułożą się tak, jak tego pragniemy, to sądzę, że odważy się ona stawić czoło pokusom i wróci w pobliże tych za którymi tęskni. Ponieważ zaś wie biedna mała, że i oni myślą o niej zawsze, więc tęskni za nimi tembardziej. W oczekiwaniu wszakże tej zmiany nie czuje się nawet nieszczęśliwą, i jedynem jej pragnieniem jest otrzymać list od narzeczonego. Wiem wprawdzie, że tego rodzaju pożywienie niełatwo przedostaje się przez kraty klasztorne, ale dałam ci już chyba, drogi kuzynie, dowody mojej zręczności, a i obecnie także chętnie podejmę się wypełnić twe zlecenie. Siostra moja dziękuje ci za twą dobroć i stałą o niej pamięć. Przez czas pewien niepokiła się bardzo, teraz jednak jest już nieco spokojniesza, wysłała tam bowiem swego powiernika aby zapobiedz jakimś nieprzewidzianym wypadkom.

Zegnam cię, kochany kuzynku, i proszę, abyś możliwie najczęściej nadsyłał nam wiadomości o sobie, to znaczy, ilekroć tylko będziesz przekonany, że listy twoje dojdą napewno do rąk naszych. Całuję cię serdecznie.

Marja Michon"

— Och; ileż ja ci zawdzięczam, Aramisie! — zawołał d'Artagnan. — Kochana moja Konstancja! Nareszcie dowiaduję się coś o niej... Więc żyje i przebywa bezpieczna w klasztorze w Stenay!... Powiedz mi, Atosie, gdzie leży owo Stenay?

— W odległości kilku mil od granicy alzackiej w Lotaryngji. Skoro się skończy oblężenie, będziemy mogli wybrać się w tamte strony

— Mam nadzieję, że wojna ta nie potrwa już długo — wtrącił Portos. — Dzisiaj rano powieszono szpiega, który wyznał, że mieszkańcy Rochelli żywią się już przyszwami z własnych butów. Przypuściwszy, że po zjedzeniu skóry przyszwowej zabiorą się do podeszew, możemy być pewni, że niebawem nie pozostanie im nic innego, jak zjadać się wzajemnie.

— Biedni głupcy! — rzekł Atos, wychylając szklanicę doskonałego wina bordeaux, które, aczkolwiek nie posiadało w owej epoce dzisiejszej sławy, tem nie mniej zasługiwało na nią w zupełności. — Biedni głupcy! Nie chcą uwierzyć, że religja katolicka zapewnia największe korzyści i jest najmilszą ze wszystkich. A jednak — dodał, smakując językiem wino — to dzielni ludzie. Do licha! cóż to Aramisie? chowasz ten list do kieszeni?

— Słuszna uwaga! — zauważył d'Artagnan. — List trzeba spalić i jeszcze raz spalić, bo kto wie, czy pan kardynał nie zna sposobu wygrzebywania tajemnic nawet z popiołów.

— Z całą pewnością można twierdzić, że i to potrafi — rzekł Atos.

— Cóż więc uczynić z tym listem? — pytał Portos.

— Chodźno tu, Grimaudzie — rzekł Atos.

Grimaud powstał i zbliżył się posłusznie.

— Za karę, że odezwałeś się bez pozwolenia, zjesz, mój przyjacielu, ten kawałek papieru. A następnie w nagrodę za usługę, jaką nam przez to oddasz, wypijesz sobie tę szklankę wina. Więc najpierw list! no! połknij a szybko!

Grimaud uśmiechnął się, i utkwiwszy spojrzenie w szklance, którą Atos napełnił po brzegi, pożuł papier i połknął.

— Doskonale, mości Grimaudzie! — rzekł Atos. — A teraz pij! Od podziękowań zwalniam cię.

Grimaud wychylił w milczeniu szklankę bordeaux, a w chwili przelewania się wina w jego gardło wzniesione ku niebu oczy przymusowego niemowy mówiły nie mniej wyraźnie, niż używane ku temu zwykłych warunkach narzędzie, zwące się językiem.

— Teraz — oświadczył Atos, — jeżeli tylko panu kardynałowi nie przyjdzie genjalny pomysł otwarcia brzucha Grimauda, możemy, być, jak sądzę, prawie całkiem spokojni o tajemnicę listu.

Tymczasem Jego Eminencja odbywał dalej melancholijną przejażdżkę, pomrukując pod wąsem:

— A jednak ci ludzie muszą stanowczo do mnie należeć!

LII.

PIERWSZY DZIEŃ NIEWOLI.

Wróćmy na czas jakiś do milady, którą przez chwilę straciliśmy z oczu, przeniósłszy się na wybrzeża Francji.

Odnajdujemy ją w tem samem rozpaczliwem położeniu, w jakiem ją pozostawiliśmy, pogrążoną w otchłani czarnych myśli, w ponurem piekle, u bram którego straciła niemal nadzieję. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło ją zwątpienie, — po raz pierwszy ogarnął ją lęk. Dwukrotnie nie dopisało jej zwykłe szczęście dwukrotnie odkryto jej tajemnicę i zwiedziono ją podstępnie, a obydwa razy rozbiło się jej powodzenie o genjusz fatalny, zesłany niewątpliwie przez Boga na jej pognębienie: zwyciężył ją d'Artagnan, — zwyciężył ją i opanował tę nieprzezwyciężoną potęgę zła. Nadużywszy jej miłości, upokorzywszy dumę, oszukawszy ambicję uchylił częściowo maskę tej potwornej kobiety, maskę, pod którą się ukrywała i pod którą czuła się dotychczas tak silną, — a teraz oto naraża ją na utratę fortuny, dybie na jej wolność, zagraża nawet jej życiu... D'Artagnan odwrócił od Buckinghama piorun, grożący mu z powodu królowej, ze strony Richelieu'go, odwrócił śmiertelny cios od człowieka, którego nienawidziła, jak wszystko, co niegdyś kochała... D'Artagnan narzucił się jej, jako hrabia de Wardes, ku któremu pociągał ją jeden z owych popędów zwierzęcych, niepohamowanych, jakim podlegają kobiety jej charakteru... D'Artagnan bezkarnie odkrył straszną jej tajemnicę, mimo, że poprzysięgła śmierć każdemu, ktoby ją poznał... Nakoniec w chwili, gdy otrzymała dokument, z pomocą którego mogła się była pomścić na tym swoim wrogu, wydarto jej ów dokument z rąk... A oto teraz tenże wróg wtrącił ją do więzienia, by w końcu zesłać do jakiejś leżącej poza światem zatoki Botany, czy też do jakiegoś ohydnego Tyburnu na oceanie Indyjskim.

Albowiem wszystko to — niewątpiła ani na chwilę — było dziełem d'Artagnana... Któżby inny ściągnął tyle hańby na jej głowę, jeżeli nie on? Tylko on mógł wyjawić lordowi Winterowi wszystkie jej tajemnice, które wykrył kolejno, dzięki nieszczęśliwemu zrządzeniu losu. Znał jej szwagra i napisał do niego..

Jakaż nienawiść wre teraz w jej sercu! Siedzi oto nieruchoma,, pałające oczy utkwiła w pusty pokój, a z głębi piersi razem z oddechem wydobywają się stłumione jęki, którym wtóruje szum bałwanów, rozbijających się z rykiem o skały u stóp tego ponurego i pysznego zamku, rozbijających się, niby rozpacz wieczna i bezsilna. Z błysków, jakimi wściekły gniew rozświetla jej oczy, domyślić się łatwo, że w mózgu jej rodzą się olbrzymie plany zemsty, gubiące się w odległej przyszłości, — zemsty pani Bonacieux, na Buckinghamie, a przedewszystkiem na d'Artagnanie.

Ale, by mścić się, trzeba być wolnym, a chcąc być wolnym, trzeba przebić mury, wyłamać kraty, wyrwać podłogi. Wszystkie te przeszkody pokonałby może mężczyzna cierpliwy i silny, ale gorączkowa wściekłość kobiety musi się na nich zatrzymać. Zresztą, aby dokonać tego, trzebaby czasu, trzeba miesięcy lat... A ona... ona ma na to wszystko zaledwie dziesięć, dwanaście dni, jak oświadczył lord Winter, jej braterski i straszliwy dozorca więzienny.

Ach! czemuż nie jest mężczyzną?! Pokusiłaby się wówczas dokonać tego wszystkiego nawet w tak krótkim czasie i dokonałaby może. Dlaczego niebo pomyliło się tak strasznie, tchnąc męskiego ducha w jej ciało słabe i delikatne?!

Pierwsze chwile niewoli były dla milady okropne. Po niejakimś jednak czasie, gdy kilka wybuchów niedającej się pohamować wściekłości spłaciło naturze dług słabości kobiecej, zapanowała nad sobą i pokonała odruchy rozszalałego gniewu; przeminęło nerwowe drżenie, wstrząsające jej ciałem, i skuliła się w sobie, jak wąż zmęczony, który odpoczywa.

— Tak! byłam szalona, unosząc się w ten sposób — mówiła, spoglądając w lustro i płomiennem spojrzeniem badając samą siebie. — Dość już tych gwałtownych wybuchów! Gwałtowność jest dowodem słabości... Zresztą na tej drodze nigdy nie osiągnęłam celu. Może, gdybym użyła mej siły w walce z kobietami, okazałyby się one słabszemi odemnie, i zdołałabym je pokonać.

Ale walczę z mężczyznami, dla których jestem tylko kobietą.... trzeba więc walczyć sposobem kobiecym: siłą moją jest właśnie moja słabość....

Jakgdyby dla przekonania się o zmianach, jakim może ulegać jej twarz ruchliwa, pełna wyrazu, poczęła przed lustrem obserwować grę swej fizjognomji — od wyrazu gniewu, wykrzywiającego rysy, aż do najbardziej czułego, tkliwego i kuszącego uśmiechu. Potem wprawnemi rękoma, ułożyła włosy, aby potęgowały czar jej twarzy, i wreszcie, zadowolona z siebie, szepnęła:

— Nic straconego.... Jestem zawsze piękna.

Była mniej-więcej godzina ósma wieczór. Milady rzuciła okiem na zasłane łóżko i pomyślała sobie, że kilka godzin odpoczynku odświeżyłoby nietylko jej umysł, ale także i cerę. Zanim jednak położyła się spać, wpadła na lepszy pomysł. Słyszała, że mówiono coś o wieczerzy, a ponieważ znajdowała się w tym pokoju już od godziny, więc należało oczekiwać, iż niebawem otrzyma posiłek. Postanowiła zresztą sobie wogóle nie tracić czasu i jeszcze tego samego wieczoru wybadać położenie, a przedewsystkiem poznać charaktery ludzi, którym straż nad nią powierzono.

Nagle przez szczelinę drzwi zamigotało światło, — więc ktoś widocznie szedł do jej celi. Milady odskoczyła od lustra, a usadowiwszy się szybko w krześle, rozpuściła w jednej sekundzie piękne swe włosy i przechyliła głowę, wtył; z pośród zgniecionych koronek wychylała się na pół obnażona jej szyja; ręka jedna spoczyła na sercu a druga obwisła bezwładnie ku dołowi.

Otworzono zamki, drzwi zgrzytnęły w zawiasach, i kilka osób weszło do jej pokoju.

— Postawcie ten stół tutaj — odezwał się jeden z przybyłych, a milady poznała głos Feltona.

Gdy spełniono to polecenie, Felton rozkazywał dalej:

— Przynieście światła i zmieńcie straże.

Podwójny ten rozkaz, wydany przez młodego oficera tym samym ludziom, pouczył milady, że usługujący byli zarazem jej dozorcami, innemi słowy — żołnierzami.

Polecenia Feltona zostały wypełnione szybko i w milczeniu, co było doskonałem świadectwem karności, w jakiej trzymał swych podwładnych.

Nareszcie Felton, który dotychczas nie patrzył na milady, odwrócił się ku niej.

— Ach! — rzekł, — śpi... To bardzo dobrze; wypocząwszy, zje z większym apetytem wieczerzę.

Powiedziawszy to, zawrócił ku wyjściu.

— Ależ nie, panie poruczniku! — rzekł jeden z żołnierzy mniej surowy od dowódcy, zbliżywszy się do milady, — ona nie śpi bynajmniej.

— Jakto? nie śpi? — zapytał zdziwiony Felton.

— Ta kobieta zemdlała. Proszę spojrzeć, panie poruczniku; twarz jej zbladła, i zdaje mi się, nie oddycha....

— Masz słuszność — przyznał Felton, patrząc na milady z miejsca, gdzie się znajdował, i ani kroku nie postępując ku niej. — Idź i zawiadom lorda Wintera, że uwięziona zemdlała i że nie wiem, co czynić, bo wypadek tego rodzaju nie był wcale przewidziany.

Żołnierz oddalił się, by spełnić otrzymany rozkaz, a Felton, usiadłszy na krześle, stojącem przypadkowo w pobliżu drzwi, oczekiwał w milczeniu i bez poruszenia na powrót swego wysłańca.

Milady, posiadając ową sztukę, o której nabycie kobiety tak usilnie się starają, mianowicie sztukę patrzenia poprzez długie rzęsy bez zdradzenia się, że istotnie patrzą, widziała, że Felton siedzi, odwrócony do niej plecami, i przez dziesięć mniej-więcej minut spoglądając nań bez przerwy, przekonała się, że w ciągu całego tego czasu nie odwrócił się do niej w swej nieczułości ani razu. I przyszło jej na myśl, że z chwilą przybycia lorda Wintera niezłomny ten młozian pozyska nową jeszcze siłę do opierania się jej sztuczkom. Pomimo wszakże, iż pierwsza próba zawiodła, milady nie straciła ufności w moc innych sposobów; podniosła głowę, otworzyła oczy i lekko westchnęła.

Usłyszawszy to westchnienie, Felton odwrócił się wreszcie ku niej.

— Ach! obudziłaś się pani — odezwał się; — jestem już więc niepotrzebny. Gdybyś pani miała jeszcze jakie żądanie, proszę zadzwonić.

— Och! Boże! mój Boże! jakżeż cierpiałam! — ozwała się milady tym melodyjnym głosem, jakim zapewne starożytne cza-

rodziejki usidlały ludzi, których pragnęły doprowadzić do zagłady.

I, poprawiając się na krześle, usiadła w pozycji jeszcze bardziej kuszącej, aniżeli ta, jaką poprzednio swemu ciału nadała.

Felton powstał.

— Trzy razy dziennie będę podawał pani posiłek — oświadczył: — rano o godzinie dziewiątej, w południe o pierwszej i wieczorem o ósmej. Gdyby ta pora nie dogadzała pani, zechce pani wyrazić swoje życzenia, a zastosujemy się do nich.

— Czyż zawsze mam przebywać sama jedna w tym wielkim i smutnym pokoju? — zapytała milady.

— Wezwaliśmy pewną kobietę z okolicy, która już od jutra zamieszka w zamku, aby usługiwać pani, i która zawsze stawi się na każde jej zawołanie.

— Dziękuję panu bardzo — odpowiedziała pokornie milady.

Felton skłonił lekko głowę i skierował się ku drzwiom. W chwili wszakże, gdy był już na progu, pojawił się na korytarzu lord Winter w towarzystwie owego żołnierza, który go był zawiadomił o zemdleniu milady. Lord trzymał w ręku flakon z trzeźwiącemi solami.

— Jakżeż to? co się tu stało? — pytał drwiącym głosem, widząc, że milady już jest przytomna, a Felton gotuje się do wyjścia. — Więc nieboszczka już zmartwychwstała? Na Boga, Felitonie! ta pani uważa cię widocznie za wielkiego młokosa, odgrywając przed tobą tę pierwszą scenę komendji, której wszystkie dalsze epizody będziemy mieli zapewne sposobność oglądać.

— Zrozumiałem to, milordzie — odrzekł Felton. — Ponieważ jednak więzień nasz jest kobietą, chciałem okazać jej wszystkie względy, należne płci niewieściej, już nie przez szacunek dla niej, lecz dla siebie samego.

Milady na te nieoczekiwane słowa Feltona poruszyła się całem ciałem w krześle, a krew wzburzyła się w jej żyłach.

— Ach, człowieku z kamiennem sercem! — zawołał lord Winter ze śmiechem, — więc nie uwiodły cię jeszcze te cudnie rozpuszczone włosy, ta biała szyja i omdlewające spojrzenie?!

— O, nie, milordzie! — odpowiedział młody człowiek. — Potrzebaby czegoś więcej, aniżeli sztuczek i kokieterji kobiecej, aby mię oszukać, i nic mię nie sprowadzi z drogi obowiązku.

— W takim razie, dzielny mój poruczniku, pozostawmy tu milady... niechaj w spokoju obmyśla inne sposoby, sami zaś chodźmy na wieczerzę. Och, bądź spokojny! ta kobieta ma nader bujną wyobraźnię i akt drugi komedji nastąpi niedługo po pierwszym.

Mówiąc to, lord Winter ujął Feltona pod ramię, i szyderczo uśmiechnięty, skierował się ku wyjściu.

— Nie bądź zbyt pewny siebie, biedny niedoszły mnichu! — pomyślała milady; — znajdę ja sposób na ciebie, nawrócony żołnierzu, który mundur wojskowy wykroiłeś sobie z habitu!

— Ale, ale! — odezwał się jeszcze lord Winter, zatrzymując się na progu. — Niech ten zawód nie psuje ci apetytu, milady. Spróbuj kurczęcia i tych ryb; zapewniam cię słowem honoru, że nie są zatrute. Mam doskonałego kucharza, a ponieważ nic po mnie nie będzie dziedziczył, więc ufam mu w zupełności. Postępuj za moim przykładem. Do zobaczenia, kochana bratowo, przy sposobności najbliższego zemdlenia.

Szyderstwo to doprowadziło milady do ostatecznej wściekłości. Zacisnęła kurczowo ręce na poręczy krzesła, zgrzytnęła głucho zębami i utkwiła spojrzenie w zamykających się za lordem Winterem i Feltonem drzwiach. Skoro zaś pozostała sama, ogarnął ją znowu istny szał. Spojrzała na stół, a ujrzawszy leżący na nim nóż, podbiegła i chwyciła go w rękę. Ale roczarowała się: ostrze było z miękkiego srebra i zupełnie tępe.

Nagle poza niedomkniętemi drzwiami rozległ się głośny śmiech — i prawie równocześnie rozwarły się one naoścież.

— Spojrzyj, mój Feltonie — wołał lord Winter, — spojrzyj i przekonaj się, czy mówiłem nieprawdę. Ten nóż był przeznaczony dla ciebie, mój miły; chciała cię nim zabić. Otóż, widzisz, jest to jeden ze spososób, jakimi się posługuje, by się pozbyć zawadzających jej ludzi. Gdybym był posłuchał twojej rady i dał jej nóż stalowy, przestłbyś już może istnieć na świecie; poderżnęłaby gardło najpierw tobie, mój Feltonie, a następnie wszystkim innym, którychby napotkała na drodze. Spojrzyj tylko, kochany Janie, jak groźnie wygląda z tym nożem i jak go umiejętnie trzyma.

Istotnie milady z zaciśniętym w dłoni nożem robiła wrażenie wprawnego sztyletnika. Ostatnie wszakże słowa lorda będące dla niej największą możliwie obelgą, rozprężyły jej rękę, złamały moc i wolę. Nóż upadł na ziemię.

— Mówiłeś prawdę, milordzie — rzekł Felton tonem głębokiej pogardy, która zadźwięczała zgrzytliwem echem aż na dnie serca milady, — mówiłeś prawdę, a ja właśnie się myliłem.

I obaj opuścili próg jej pokoju.

Tym razem milady nasłuchiwała uważniej, aniżeli poprzednio, czekając, aż odgłos oddalających się kroków przebrzmi w głębi korytarza.

— Jestem bezpowrotnie zgubiona! — szepnęła do siebie. — Znalazłam się w mocy ludzi, których niepodobna wzruszyć, tak, jak posągi z bronzu lub granitu. Znają mię nawskróś i opancerzeni są przeciwko wszystkim moim podstępom, jakichbym mogła użyć.....

— A jednak — dodała po chwili — to przecie niemożliwe, aby sprawa moja zakończyła się w taki sposób, jak postanowili. Słowa te wskazywały, że milady odzyskuje znowu nadzieję, jakkolwiek jeszcze dotąd nieokreśloną.

Zasiadła do stołu, spożyła po kilka kąsków z podanych potraw, wypiła odrobinę wina hiszpańskiego, i po niejakimś czasie, uspokojona zupełnie, uczuła, że odwaga oraz zdolność postanawiania wracają jej szybko. Zresztą trwoga i poczucie słabości nigdy zbyt długo w tej niezbadanej duszy nie gościły.

Zanim udała się na spoczynek, przypomniała sobie jeszcze i rozważyła w umyśle wszytkie szczegóły zachowania się swych wrogów, zdała sobie sprawę z wszystkich drobiazgów, z każdego słowa, z każdego kroku, z każdego poruszenia, z każdego znaku, przyczem nawet chwile milczenia nie uszły jej analizy, i na podstawie tego rozważania, głębokiego, sprawnego a umiejętnego, doszła do wniosku, że, pomimo wszelkich pozorów, z obu jej prześladowców łatwiej było zadać ranę Feltonowi niż lordowi Winter.

Jedno przedewszystkiem słowo szwagra zaważyło pokaźnie w jej umyśle.

"Gdybym był posłuchał twojej rady".... — tak właśnie powiedział lord Winter do Feltona.

A zatem Felton ujmował się za nią widocznie, skoro lord Winter nie chciał posłuchać jego rady.

— Nie wiem, czy młodzieniec ten jest słaby, czy silny — pomyślała milady, — lecz bądź-co-bądź ma on w duszy iskrę litości. Otóż iskrę tę rozniecę w pożar, który go pochłonie.

Po chwili zaś rozważała dalej:

— Co się tyczy mego miłego szwagra, zna on mię nazbyt dobrze... obawia się mnie i wie, co go czeka, gdyby mi się udało wymknąć z rąk jego. Z tej strony więc niewarto nic próbować. Tak! z Feltonem jest łatwiejsza sprawa: to człowiek młody, naiwny, o czystej duszy i, jak się zdaje, cnotliwy; na niego więc można znaleźć skuteczny sposób, który go zgubi...

Z tą myślą położyła się na łóżku i zasnęła, a po chwili lekki uśmiech rozchylił jej wargi. Widząc ją teraz, myślałbyś, że masz przed sobą młodą dziewczynę, marzącą we śnie o wianku kwiatów, którym ozdobi piękną swą głowę w najbliższe święto.

LIII.

DRUGI DZIEŃ NIEWOLI.

Śniło się milady, że dostała nareszcie d'Artagnana w swe ręce i że była świadkiem jego stracenia; widok tej jego znienawidzonej krwi, spływającej z katowskiego topora, wywołał właśnie na jej usta ów wdzięczny uśmiech.

Spała, jak śpi więzień, kołysany pierwszą nadzieją odzyskania wolności.

Nazajutrz, gdy otworzono drzwi jej pokoju, leżała jeszcze w łóżku. Felton zatrzymał się na korytarzu, przyprowadziwszy kobietę, o której wspominał dnia poprzedniego, a która tymczasem przybyła do zamku. Teraz służebna owa podeszła do łóżka milady, ofiarowując się na jej rozkazy.

Milady była blada, jak zazwyczaj, i cera jej mogła łatwo wprowadzić w błąd tego, kto widział ją po raz pierwszy.

— Mam gorączkę — rzekła; — nie spałam ani przez chwilę w ciągu tej długiej nocy i cierpię straszliwie... Czy zdolną jesteś okazać mi więcej litości, aniżeli okazano mi jej wczoraj?... Zresztą mam jedno tylko pragnienie: chcę, by pozwolono mi pozostać w łóżku.

— Może pani sobie życzy, abym wezwała lekarza? — spytała kobieta.

Felton słuchał rozmowy, nie odzywając się jednak ani słowem.

Milady pomyślała sobie, że im więcej osób będzie ją otaczało, tem trudniej będzie wzbudzić we wszystkich współczucie; mogłoby to przytem skłonić lorda Wintera do podwojenia baczności, że choroba jest udana. A milady, straciwszy pierwszą stawkę, nie chciała się już narażać na ponowną przegraną.

— I pocóż tu wizyta lekarza? — odpowiedziała. — Panowie ci oświadczyli wczoraj, że choroba moja jest komedją więc i dzisiaj zapewne mieliby toż samo przekonanie. Gdyby mi zresztą

wierzyli, mieliby od wczorajszego wieczora dosyć czasu, aby wezwać lekarza.

— A więc niech pani powie sama, jakiego żądasz lekarstwa — odezwał się zniecierpliwiony Felton.

— Czyż ja wiem, mój Boże! Czuję, że jestem chora, i oto wszystko. Dajcie mi, co się wam spodoba. Czyż zresztą zależy wam na mojem zdrowiu?....

— Poprosić tutaj lorda Wintera — rzekł twardo Felton do strażnika, znużony nieustannemi jej skargami.

— Och, nie! nie! — zawołała milady — nie wzywajcie go! Jestem zupełnie zdrowa... przysięgam, nie potrzebuję niczego!

W okrzyku tym brzmiała tak niezwykła gwałtowność, tak przekonywająca wymowa, że Felton, pociągnięty nią, wszedł do pokoju.

— A jednak wszedł! — pomyślała milady.

— Wszakże, jeżeli pani jest istotnie chora — rzekł, — poślemy po lekarza. Natomiast, jeżeli nas pani zwodzisz tem gorzej dla niej. Bądź-co-bądź, my sami nie będziemy zmuszeni czynić sobie zgoła żadnych wyrzutów.

Milady nie odpowiedziała na te słowa, lecz, oparłszy piękną swą głowę na poduszce, zalała się łzami i wybuchnęła łkaniem.

Felton spoglądał na nią przez chwilę ze zwykłą swą obojętnością, poczem, widząc, że atak płaczu nieprędko przeminie, wyszedł z pokoju. Usługująca kobieta podążyła za nim. Lord Winter nie ukazał się wcale.

— Zdaje się, że zaczynam patrzeć jaśniej na wszystko — pomyślała milady z dziką radością, owijając się w kołdrę, by ukryć przed ludźmi, mogącymi ją podpatrywać, wybuch wewnętrznego zadowolenia.

Upłynęły od tej chwili dwie godziny.

— No! rzekła do siebie milady; — nadszedł czas, aby już wyzdrowieć. Trzeba wstać i starać się wyciągnąć jakąś korzyść z dnia dzisiejszego. Mam do rozporządzenia dziesięć dni zaledwie; dzisiaj wieczorem upłyną już dwa dni mego tutaj pobytu.

Służba, wszedłszy rano do jej pokoju, przyniosła śniadanie; milady przypuszczała zatem, że niebawem przyjdzie ktoś sprzątnąć nakrycie i że wówczas ujrzy także Feltona.

Nie pomyliła się Felton wszedł i nie zwracając uwagi, czy milady z zastawionego posiłku skorzystała, czy też nie, ruchem ręki rozkazał usunąć stół, który zawsze wnoszono już z zastawą.

Po wyjściu służby Felton pozostał jeszcze w pokoju. W ręku trzymał jakąś książkę.

Milady, siedząca na krześle w pobliżu kominka, piękna, blada, z wyrazem rezygnacji na twarzy, wyglądała, jak święta dziewica, oczekująca na chwilę męczeństwa.

Felton zbliżył się ku niej i rzekł:

— Lord Winter, jako katolik, podobnie, jak pani, jest tego mniemania, że brak praktyk i obrządków religijnych może sprawiać pani niejaką przykrość, wobec czego postanowił zezwolić pani, abyś odmawiała codziennie swoje nabożeństwo. A oto książka, zawierająca wszystkie modlitwy.

Gest, z jakim Felton położył książeczkę na stoliku, obok którego siedziała milady, i ton, z jakim wymówił słowa "swoje nabożeństwo", jak również towarzyszący słowom pogardliwy uśmiech, zostały w lot przez nią zrozumiane. Podniosła głowę i utkwiła bacznie wzrok w twarzy młodego oficera. Jego gładko zaczesane włosy, strój skromny aż do przesady, poważne, jakby z marmuru wykute czoło, równie nieprzeniknione, jak całe jego zachowanie się, zrodziły w milady przypuszczenie, że ma przed sobą jednego z tych ponurych purytanów, jakich tak często spotykała na dworze króla Jakuba, a również i na dworze króla francuskiego, gdzie przybywali nieraz szukać schronienia, mimo wspomnień nocy świętego Bartłomieja.

I przyszło jej nagle jedno z owych natchnień, jakie miewają jedynie ludzie genjalni w tych wielkich chwilach, gdy rozstrzyga się ich los, lub gdy chodzi o ich życie.

Te dwa słowa Feltona "swoje nabożeństwo"i krótkie na niego spojrzenie pouczyły ją o ważności odpowiedzi, która miała wyjść z jej ust.

Dzięki wrodzonej szybkości, z jaką zawsze pracował jej umysł, nie potrzebowała wcale zastanawiać się nad słowami, — miała je gotowe już na ustach:

— Jakto? — odpowiedziała z akcentem pogardy, dostosowanym do tonu, jaki zasłyszała w głosie młodego oficera, — jakto mam odmawiać to "nabożeństwo"? Lord Winter, będący fałszywym katolikiem, wie doskonale, że jestem innego wyznania... I to jest zapewne nowa pułapka, jaką na mnie zastawia...

— A jakiegoż jesteś pani wyznania? — zapytał Felton ze zdziwieniem, którego, mimo całej mocy panowania nad sobą, nie zdołał zupełnie ukryć.

— Wyznam to — zawołała milady z udaną egzaltacją — dopiero w tym dniu, kiedy już dosyć wycierpię za moją wiarę.

Przelotne spojrzenie na Feltona przekonało milady, jaki wyłom uczyniła temi słowy w jego nieprzejednanem dotychczas względem niej usposobieniu.

Młody oficer stał jednak milczący i nieruchomy, — tylko w spojrzeniu jego można było czytać wyraźnie.

— Znalazłam się w ręku nieprzyjaciół — mówiła dalej milady tonem, który musiał budzić pokrewne oddźwięki w duszy purytanina. — Wszystko mi jedno, czy Bóg mię ocali, czy zginę za moją wiarę! Oto moja odpowiedź. Proszę bardzo, zanieś ją pan lordowi Winterowi. Tę książkę zaś — mówiła dalej, wskazując palcem modlitewnik, lecz nie dotykając go, jakgdyby obawiała się, że splami się samem dotknięciem, — tę książkę zaś możesz pan zabrać do własnego użytku, albowiem jesteś bezwątpienia podwójnie wspólnikiem lorda Wintera: wspólnikiem w jego prześladowaniach i wspólnikiem w jego herezji.

Felton nie odpowiedział. Zabrawszy książkę z tym samym gestem wzgardy, z jakim ją przed chwilą składał na stole, wyszedł zamyślony.

Lord Winter przybył odwiedzić bratowę około godziny piątej wieczorem, milady więc miała dość czasu, aby obmyślić plan swego postępowania. Przyjęła też lorda z pewnością siebie, jaką daje poznanie nastręczających się korzyści.

— Jak się zdaje — rzekł lord Winter, siadając na krześle naprzeciwko milady i wyciągając niedbałym ruchem nogi przed kominkiem, — jak się zdaje, popełniliśmy małe odstępstwo religijne!

— Co chcesz powiedzieć przez to, milordzie?

— Chcę powiedzieć, że widocznie od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, zmieniłaś pani wyznanie. Czyżbyś może po raz trzeci wyszła za mąż..... tym razem za protestanta?

— Chciej mi wytłumaczyć te słowa, milordzie — odpowiedziała milady z godnością, — słyszę je bowiem, ale ich nie rozumiem.

— To znaczy, że wyrzekłaś się pani wszelkiej wiary — odpowiedział drwiąco lord Winter i następnie dodał: — Ha! tem lepiej... tem lepiej.

— Nie wątpię, że odpowiadałoby to bardziej pańskim przekonaniom — rzekła zimno milady.

— Och! muszę wyznać, że jest mi to najzupełniej obojętne.

— Chociażbyś się nie przyznawał, milordzie, do obojętności w rzeczach wiary, łatwo byłoby to poznać, patrząc na twoje wszeteczeństwo i na twoje zbrodnie.

— Cóż znowu? Ty mówisz o wszeteczeństwie? ty, Messalina? ty, lady Macbeth?! Albo mię słuch myli, albo jesteś doprawdy bezwstydną, aż do ostatecznych granic.

— Mówisz pan w ten sposób, bo wiesz, że jeszcze ktoś więcej słucha naszej rozmowy — rzekła milady z zimnym spokojem. — Chcesz podburzyć przeciwko mnie swoich dozorców więziennych i katów.

— Moich dozorców więziennych i moich katów? Och, pani! posługujesz się nazbyt poetycznemi wyrażeniami. Komedja wczorajsza, jak widzę, przemienia się dzisiaj w tragedję. Mniejsza zresztą o to! Za ośm dni znajdziesz się we właściwem dla siebie miejscu, a moje zadanie będzie wypełnione.

— Zadanie haniebne, bezbożne! — zawołała milady z oburzeniem ofiary, wyzywającej swych sędziów.

— Na honor! zdaje mi się, że ta hultajka dostała pomieszania zmysłów — rzekł lord Winter, powstając. — No, uspokój się pani purytanko, bo w przeciwnym razie zamknę cię w lochu. Upiłaś się widocznie mojem winem hiszpańskiem, nieprawdaż? Ale to nic nie szkodzi; oszołomienie takie nie jest niebezpieczne i nie będzie miało żadnych następstw.

I lord Winter oddalił się, klnąc głośno, co w owe czasy czynił niejeden szlachcic.

Felton podczas całej tej rozmowy stał istotnie za drzwiami i nie stracił ani jednego słowa. Milady więc odgadła to trafnie.

— Idź, idź! — rzekła za odchodzącym szwagrem. — Ale przekonasz się jeszcze, że te następstwa będą; jednak dowiesz się o nich wtedy, gdy zapóźno już będzie im zapobiedz.

Nastała cisza, i znów upłynęły dwie godziny. Gdy wnoszono wieczerzę, milady była zatopiona w modlitwach, jakich nauczyła się od starego sługi swego drugiego męża, zażartego purytanina. Mogło się wydawać, że popadła w religijną ekstazę; nie zwracała najmniejszej uwagi na to, co się działo naokół. Felton rozkazał ruchem ręki, aby nie przeszkadzano jej w modlitwie, i wyszedł cicho razem z żołnierzami.

Milady, przypuszczając, że ktoś może przez szparę we drzwiach obserwować dalsze jej zachowanie się, odmawiała mo-

dlitwy aż do końca, — i wydało się jej istotnie, że żołnierz, pełniący straż, przystanął i nasłuchiwał. Tego zresztą na razie pragnęła. Po niejakimś czasie podniosła się wreszcie z klęcznika i, usiadłszy przy stole, zjadła coś-niecoś, poczem napiła się czystej wody.

W godzinę później zabrano stół z resztkami wieczerzy. Tym razem jednak Felton nie towarzyszył żołnierzom.

Czyżby obawiał się nazbyt często widywać ją?

Odwróciła się ku ścianie, i usta złożyły się jej do uśmiechu. A w uśmiechu tym krył się tak wyraźny triumf, że już to samo mogłoby ją zdradzić.

Przeczekała jeszcze pół godziny, a skoro wreszcie zupełna cisza zaległa mury zamku, i nie było słychać nic, prócz nieustannego grzmotu fal morskich, tego potężnego oddechu oceanu, — zaczęła głosem czystym melodyjnym a drżącym śpiewać pierwszą zwrotkę najbardziej ulubionego przez purytanów psalmu:

"Twarz odwróciłeś od nas, Boże Panie,
Abyśmy sami pełnili swe czyny;
Lecz, gdy się woli twojej zadość stanie,
Za trud nagrodą są niebios wawrzyny."

Wiersz nie był dobry, nie odznaczał się rytmem, — ale, jak wiadomo, purytanie niewielką wagę przywiązywali do poezji.

Śpiewając zaś, milady nasłuchiwała. Żołnierz, stojący na straży przed drzwiami, zatrzymał się, jakby skamieniał w miejscu. I mogła z tego milady ocenić wrażenie, jakie wywoływał jej śpiew.

Śpiewała więc dalej z głębokiem uczuciem ,i wydawało się jej, że głos jej, rozlegając się daleko pod sklepieniami, opanowuje serce jej stróżów więziennych, niby czar tajemny. Okazało się jednak, że strażujący żołnierz, zapewne zagorzały katolik, otrząsnął się wrkótce z uroku i zawołał głośno poprzez drzwi:

— Niech się pani uciszy nareszcie! Ta pieśń jest smutna, jak "De profundis". Poprostu nie można wytrzymać, słuchając podobnych śpiewów, gdy już wystarczy samo przebywanie w tym ponurym zamku.

— Milczeć! — odezwał się poważny głos, w którym milady rozpoznała głos Feltona. — Nie mieszaj się w nieswoje sprawy, błaźnie jakiś! Czy dano ci rozkaz, abyś przeszkadzał śpiewać tej kobiecie? Nie. Powiedziano ci tylko, że masz jej strzedz

że masz ją zastrzelić, gdyby próbowała uciekać. A więc strzeż jej, zabij ją, jeżeli zajdzie potrzeba, ale niewolno ci nic zmieniać w otrzymanych rozkazach.

Błysk niepohamowanej radości rozjaśnił oblicze milady, gdy usłyszała te słowa. Błysk ten jednak był tak krótki, jak błyskawica. Nie zwracając niby uwagi na zasłyszaną rozmowę, której wszakże każde słowo wyryło się jej głęboko w pamięci, zaczęła drugą zwrotkę, nadając swemu głosowi nieprzemożony wdzięk, wyrazistość i czar kuszący, jakim ją sam szatan chyba obdarzył:

"Za mych łez tyle, za tyle niedoli,
Za me wygnanie i wszystko, co boli,
Dał Bóg modlitwy siłę tajemniczą;
Cierpienia moje, anioły policzą,"

Głos milady, niesłychanie rozlewny i drgający najgłębszem uczuciem, nadawał prostej i niewyszukanej poezji tych psalmów iście czarodziejski urok i wymowność, jaką najbardziej zagorzali purytanie rzadko tylko znajdowali w śpiewach swych braci, a którą usiłowali wydobyć wszystkimi środkami swej wyobraźni.

Felton miał wrażenie, że słyszy śpiew anioła, który ongi pocieszał trzech Hebrejczyków w piecu gorejącym.

Milady śpiewała dalej:

"Ale wyzwolin idzie chwila wielka,
Gdyż Bóg pan mocny jest i sprawiedliwy;
Choćby nadzieja zawiodła nas wszelka,
Śmiercią męczeńską ty będziesz szczęśliwy".

W strofkę tę usiłowała straszliwa śpiewaczka przelać całe uczucie jej treści. Młody zaś oficer, do głębi przejęty tą pieśnią, nie mógł się już pohamować. Otworzył nagle gwałtownym ruchem drzwi i stanął na progu pokoju. Blady był, jak zazwyczaj, lecz oczy miał rozpłomienione, niemal obędne.

— Śpiewasz pani w ten sposób — odezwał się, — że istotnie.... zbyt głośno.

— Proszę o przebaczenie — odpowiedziała milady słodkim swym głosem. — Zapomniałam zupełnie, że pieśni moje nie mogą być miłe słyszane w tym domu. Być może, obraziłam pańskie

uczucie religijne. Ale, jeżeli się tak stało, to gotowa jestem przysiądz, iż nie miałam bynajmniej tego zamiaru. Racz pan zatem przebaczyć mi winę, która jest może wielka, lecz nie była wcale rozmyślna.

Milady jaśniała w tej chwili niezwykłą urodą. Nieznającemu jej mogło się wydawać, iż to ekstaza religijna nadawała jej obliczu tyle uroku. To też Felton spoglądał na nią olśniony. Zdawało mu się niemal, że widzi w tej chwili przed sobą anioła, którego głos słyszał tak niedawno.

— Tak jest — odpowiedział, — zakłócasz pani spokój ludzi, którzy mieszkają w tym zamku.

I biedny szaleniec nie spostrzegał nawet, że odpowiedź ta nie ma związku z tłumaczeniem milady i że pozwala tej kobiecie zajrzeć okiem rysia w najgłębsze tajniki jego serca.

— Nie będę już śpiewała — rzekła milady, spuszczając oczy i nadając swemu głosowi możliwie największą słodycz, a swej postawie wyraz najgłębszej rezygnacji.

— Nie, nie pani! — odparł Felton. — Proszę tylko, niech pani śpiewa nieco ciszej, zwłaszcza w nocy.

Powiedziawszy to, oficer oddalił się szybko z pokoju, czując, że nie potrafi dłużej postępować z należną wobec uwięzionej surowością.

— Dobrze zrobiłeś, panie poruczniku — odezwał się żołnierz. — Te pieśni zakłócają spokój duszy... Choć, co prawda, można się ostatecznie przyzwyczaić do tego... Ona śpiewa wcale pięknie.

LIV.

TRZECI DZIEŃ NIEWOLI.

A więc udało się nareszcie milady przywabić do siebie Feltona. Nie było to jednak wszystko; należało teraz zatrzymać go przy sobie, a raczej doprowadzić do tego, by został z nią sam-na-sam. Milady zdawała sobie dotąd tylko bardzo niejasno sprawę, jakiego użyć środka, by ten cel osiągnąć.

Nie koniec na tem: trzeba było skłonić go do mówienia, aby rozmowa ta przyniosła pożądane owoce. Milady wiedziała, że głos jej ma nieprzezwyciężony urok, że obejmuje całą niezmierzoną skalę tonów — od ludzkiego słowa żą do anielskich wprost dźwięków.

A jednak, pomimo tych wszystkich ponęt, mogła się jeszcze zawieść; Felton był uprzedzony i przygotowany na wszelkie z jej strony pokusy.

Odtąd poczęła zwracać baczną uwagę na każde poruszenie młodego oficera, na każdy jego gest, na każde spojrzenie, nawet na szybkość oddechu, w którymby się można dopatrzyć głębszego westchnienia, a słowa jego ważyła z taką ścisłości, że nawet najdrobniejsza zmiana w tonie nie mogła ujść jej uwagi.

Wreszcie wystudjowała wszystko, niby utalentowany artysta, który otrzymał nową rolę w nieznanej mu sztuce.

Znacznie łatwiej było dla milady dać sobie radę z lordem Winterem. Wobec niego postanowiła zachowywać się nadal tak, jak dni poprzednich: milczeć z godnością w jego obecności, od czasu do czasu doprowadzać go do oburzenia przesadną pogardą lub obelżywem słowem, zmuszać go kiedy-niekiedy do pogróżek i gwałtów; coby tem bardziej uwydatniało jej rezygnację. Taki był jej plan. A młody jej nadzorca miał być tego świadkiem; chociażby nawet nie odzywał się, musiał to widzieć i słyszeć.

Rano, jak zawyczaj, przyszedł Felton — i milady pozwoliła mu się zająć śniadaniem, nie zwracając się do niego ani słów-

kiem. W chwili, gdy już miał wychodzić, wydało się jej, że chce coś powiedzieć. Ale zawahał się jakby i nie uszło uwagi milady, że z pewnym wysiłkiem zamknął w sercu słowa, chcące mu się wydrzeć na wargi, poczem wyszedł.

Około opłudnia przybył lord Winter.

Był pogodny dzień zimowy; promienie bladego angielskiego słońca, które świeci, lecz nie grzeje, przedzierały się poprzez kraty celi więziennej.

Milady wyglądała przez okno, udając, że nie słyszy skrzypnięcia otwieranych drzwi.

— Aha! — odezwał się lord Winter. — Odegrawszy komedję, odegrawszy następnie tragedję, udajemy teraz, że nas dręczy melancholja.

Uwięziona nie odpowiedziała.

—Tak, tak! — mówił dalej, — pojmuję to dobrze. Chciałabyś pani znajdować się teraz, jako wolny człowiek, na tem wybrzeżu; pragnęłabyś wsiąść na jaki dobry statek i pruć fale tego morza o szmaragdowej zieleni: pragnęłabyś przytem, bądź na lądzie, bądź na morzu, zgotować mi jedną z tych zasadzek, jakie tak świetnie umiesz obmyślać. Cierpliwości! cierpliwości! Za cztery dni znajdziesz się na tem wybrzeżu, za cztery dni znajdziesz się na tak szerokiem morzu, że szerszego trudno już żądać... bo za cztery dni uwolnię Anglję od twojej obecności.

Milady złożyła ręce i podniosła piękne swe oczy ku niebu.

— Boże! Boże! — rzekła z anielskim wdziękiem w ruchu i w słowie, — przebacz temu człowiekowi, jak ja mu przebaczam!

— Módl się, módl, niegodna! — zakrzyknął baron. — Twoja prośba jest o tyle szlachetniejsza, że znajdujesz się w ręku człowieka, który nie przebaczy ci nigdy.

I wyszedł.

W chwili, gdy otwierał i zamykał drzwi, milady dostrzegła Feltona, który jednak usunął się spiesznie na stronę, nie chcąc się jej pokazać.

Wtedy padła na kolana i poczęła się modlić.

— Boże mój! Może! — wołała, — tobie, Panie, wiadomo, dla jak świętej sprawy znoszę te cierpienia! Dodaj mi sił, bym mogła je wytrzymać!

W tej sekundzie drzwi rozwarły się cicho, lecz piękna pokutnica, udając, że nie słyszy tego, modliła się dalej głosem łkającym:

— Mścicielu krzywd, Boże litościwy! czy dopuścisz, aby wypełniły się straszne zamiary tego człowieka?!

Nastała chwila ciszy, wśród której milady uważała za stosowne posłyszeć nareszcie odgłos kroków Feltona. Zerwała się szybko i zarumieniła się, jakgdyby zawstydzona, że zaskoczono ją na klęczkach.

— Nie lubię przeszkadzać tym, którzy się modlą — odezwał się Felton z powagą, — i proszę panią, niech się pani nie krępuje moją obecnością.

— Skąd pan wiesz o tem, że się modliłam? — zapytała milady zduszonym łzami głosem. — Mylisz się pan; nie modliłam się wcale.

— Czy sądzisz pani — rzekł Felton ze swą zwykłą powagą, lecz łagodniejszym tonem, — czy sądzisz pani, że czułbym się uprawnionym przeszkadzać ludzkiej istocie, gdy korzy się przed Stwórcą? Niech Bóg uchowa! Zresztą winowajca powinien żałować za grzechy i bez względu na to, jaką zbrodnię popełnił z chwilą, gdy klęka u stóp Pana nad Pany jest dla mnie święty.

— Więc uważasz mię pan za winowajczynię? — rzekła milady z uśmiechem, który mógłby rozbroić aniołów na sądzie ostatecznym. — Ja winowajczynią! Boże mój! ty wiesz, czy nią jestem! Powiedz pan, że jestem skazaną, zgoda; ale wiesz pan przecie o tem, że Bóg, miłujący męczenników, zezwala niekiedy, by skazywano i niewinnych.

— Jeżeli jesteś pani niewinnie skazaną, czy też męczennicą, to tylko jeden powód więcej, abyś się modliła... Ja sam także modlić się będę za panią.

— Och! jesteś pan, jak widzę, sprawiedliwym człowiekiem — zawołała milady, rzucając mu się do nóg. — Jednak, pomimo modlitwy, wątpię, abym wytrzymała tu już dłużej; lękam się, że zabraknie mi sił w chwili ostatecznej walki, gdy będę musiała stwierdzić dowodnie moją wiarę. Wysłuchaj pan zatem błagania zrozpaczonej kobiety! Oszukują tu pana.... Ale nie o to mi chodzi; proszę pana o jedną tylko łaskę, a jeżeli mię wysłuchasz, będę cię błogosławiła na tym i na tamtym świecie.

— Pomów pani z milordem — odparł Felton. — Na szczęście, nie dano mi prawa ani uniewinniać, ani też karać; Bóg innym, wyższym odemnie, powierzył ten obowiązek.

— Z panem, z panem tylko pragnę mówić! Wysłuchaj mię, zamiast przykładać rękę do mojej zguby, do mojej hańby!

— Jeżeli zasłużyłaś pani na ten wstyd i hańbę, należy ją znosić, ofiarowując swą pokutę Bogu.

— Co pan mówisz? Nie zrozumiałeś pan słów moich! Mówiłam o hańbie, a pan sądzisz, że myślę o jakiejś karze, o więzieniu lub śmierci. Och, mój Boże! cóż znaczy śmierć lub więzienie?

— Teraz ja nie rozumiem słów pani.

— Albo też udajesz pan, że nie rozumiesz — odpowiedziała milady z uśmiechem powątpiewania.

— Nie, pani! przysięgam na honor żołnierski, na moją wiarę chrześcijańską, że nic nie wiem!

— Jakto? nie znasz pan zamiarów lorda Wintera względem mnie?

— Nie znam wcale.

— To niemożliwe! jesteś pan przecie jego powiernikiem!

— Nie kłamię nigdy, pani.

— Och! lord nie ukrywa tak swoich zamysłów, aby nie można było ich odgadnąć.

— Nie staram się nic odgadywać; czekam, aż mi sam powie. A lord Winter nie zwierzał mi się dotychczas z niczem, oprócz tego, co powiedział w obecności pani.

— A więc nie jesteś pan jego wspólnikiem? — Zawołała milady z akcentem najzupełniejszej szczerości. — A zatem nie wiesz, że lord skazuje mię na hańbę, przewyższającą wszystkie najstraszniejsze kary na świecie?

— Mylisz się pani — odparł Felton, rumieniąc się. — Lord Winter nie byłby zdolny popełnić żadnej zbrodni.

— Doskonale! — pomyślała milady. — Nie wiedząc nawet, o co chodzi, nazywa to zbrodnią. — A głośno rzekła: — Przyjaciel człowieka, pozbawionego czci, jest zdolny do wszystkiego.

— Kogo nazywasz pani pozbawionym czci? — spytał zdziwiony Felton.

— Czyż istnieje w Anglji dwóch ludzi, którym możnaby nadać podobne miano? — odpowiedziała pytaniem.

— Mówisz pani może o Jerzy de Villiers? — zapytał Felton, a oczy zapłonęły mu ogniem.

— Mówię o tym, którego poganie i heretycka szlachta nazywają księciem Buckinghamskim — odpowiedziała milady. — Nie sądziłam, że znajdzie się w Anglji choćby jeden człowiek, któremu tak długo trzebaby tłumaczyć, aby odgadł o kim mówię.

— Ręka Stwórcy ciąży nad nim — oświadczył Felton z powagą. — Nie uniknie on kary, na jaką zasłużył....

Mówiąc te słowa, Felton wyraził właściwie nie osobistą jedynie, lecz ogólną opinję, jaką książę miał u swoich rodaków; nawet katolicy mianowali Buckinghama łupieżcą, zdziercą, wszetecznikiem, a purytanie nazywali go poprostu szatanem.

— Och, mój Boże! mój Boże! — wołała milady, — błagam, ześlij na tego człowieka karę, na jaką zasługuję! Ty wiesz Panie, że nie pragnę pomsty za własne krzywdy; pragnę tylko wyzwolenia narodu i o to błagam!

— Więc pani go zna? — zapytał Felton.

— Nareszcie poczyna zadawać pytania — pomyślała milady, uradowana, że tak szybko udało jej się wciągnąć Feltona w swe sieci, i odparła: — Czy go znam? Tak! na moje nieszczęście, na moje wieczyste nieszczęście znam go.

— I załamała ręce, jakgdyby opanował ją paroksyzm boleści. Felton odczuwał niewątpliwie, że traci moc panowania nad sobą, i chcąc wyjść, postąpił parę kroków ku drzwiom. Ale uwięziona, spostrzegłszy to, poskoczyła za nim.

— O, panie! — zawołała, — bądź dobrym, bądź łaskawym i wysłuchaj mojej prośby: daj mi nóż, którego pozbawiło mię okrucieństwo barona, pragnącego, bym się męczyła jak nadjłużej bez możności skrócenia sobie tej męczarni! Och! wysłuchaj mię panie! przez litość daj mi ten nóż na jedną chwilę i zamknij mię samą w tym pokoju! Nie zamierzam bynajmniej godzić na pańskie życie. Boże mój! jakżebym miała żywić złe zamiary przeciwko panu, przeciwko jedynej dobrej, sprawiedliwej i litosnej istocie, jaką tu napotkałam... przeciwko panu, być może, zbawcy mojemu?! Daj mi pan ten nóż na chwilę, na jedną krótką chwilę, poczem zabierzesz go pan sobie! daj mi go na chwilę tylko, panie Feltonie, a ocalisz cześć moją!

— Jakto? chcesz pani odebrać sobie życie? — zawołał Felton z przerażeniem, zapominając wyrwać ręce z uścisku uwięzionej, — chcesz się pani zabić?!

— Tak, panie! — odparła milady niemal szeptem, padając bez sił na podłogę, poczem dodała, jakby do siebie: — Wyjawiłam moją tajemnicę!... wie teraz wszystko!... O, Boże! jestem zgubiona!

Felton stał nieruchomo w miejscu, nie wiedząc, co czynić.

— Jeszcze wątpi — pomyślała milady; — niedość prawdziwie odegrałam moją rolę...

W tejże chwili na korytarzu rozległo się czyjeś stąpanie. Milady rozpoznałał kroki lorda Wintera; Felton poznał je również i skierował się ku drzwiom.

Milady pobiegła za nim.

— Och! ani słowa przed tym człowiekiem! — rzekła stłumionym głosem, — ani słowa o tem, co mówiłam! inaczej będę zgubiona.... zgubiona przez pana...

I w obawie, by jej lord nie usyszał, zamilkła, — natomiast ruchem niesłychanego przerażenia położyła delikatną swą dłoń na ustach Feltona, — gdy zaś oficer odsunął ją łagodnie od siebie, upadła na kanapę.

Lord Winter przeszedł koło drzwi nie zatrzymując się, i słychać było oddalające się w głębi korytarza jego kroki.

Felton, blady śmiertelnie, stał przez chwilę, nasłuchując, poczem, gdy już miarowe stąpanie barona ucichło zupełnie, odetchnął głęboko, jak człowiek, zbudzony ze snu, i wybiegł z pokoju.

— Ach! — rzekła milady, gdy i kroki Feltona przebrzmiały u wyjścia z kurytarza, — nareszcie go zdobyłam dla siebie!

Po chwili jednak czoło jej zachmurzyło się znowu.

— Jeżeli opowie to wszystko baronowi — pomyślała, — będę zgubiona. Baron wie doskonale, że nie odbiorę sobie życia.... da mi nóż w jego obecności i przekona go, że straszna moja rozpacz była jedynie komedją.

Usiadła przed lustrem i napawała się swoim widokiem; nigdy jeszcze nie była tak piękną.

— Mogę być jednak spokojna — pomyślała, uśmiechając się; — nic mu nie powie.

Wieczorem lord Winter przyszedł towarzyszyć jej przy wieczerzy.

— Milordzie — rzekła, zaledwie przestąpił próg, — czy obecność pańska jest nieodzownym dodatkiem do mojej niewoli i czy nie mógłbyś mi o szczędzić tych tortur, jakiemi są dla mnie pańskie odwiedziny?

— Jakto, najdroższa bratowo? — odpowiedział lord Winter, — czyż nie słyszałem na własne uszy, jak te piękne usteczka, tak okrutnie dla mnie dzisiaj, zapewniały mię, że przybyłaś do Anglji jedynie w tym celu, by się nacieszyć moim widokiem?

Wszakże mówiłaś sama, że tęskniłaś za mną, że byłaś gotowa narazić się na wszystko, byle mię zobaczyć: na trud podróży morskiej, na burze i na niewolę! Jestem teraz obok ciebie, więc powinnaś się czuć zadowoloną. Tym razem rzesztą odwiedziny moje mają pewien cel, ściśle określony...

Milady zadrżała, gdyż przyszło jej do głowy przypuszczenie, że Felton jednak powtórzył lordowi ich rozmowę. I może nigdy jeszcze serce tej kobiety, która doznawała tylu potężnych i tak różnorodnych wrażeń, nie biło tak wałtogwnie, jak w tej chwili.

Siedziała nak rześle. Lord Winter przysunął sobie również krzesło, a usiadłszy obok, sięgnął do kieszeni, wydobył jakiś papier i począł rozwijać go powoli.

— Pragnę — rzekł — pokazać ci rodzaj paszportu, który napisałem własnoręcznie, a który ma ci posłużyć za numer porządkowy na resztę żywota.

I z twarzy milady przenosząc spojrzenie na papier, zaczął czytać:

"Rozkaz deportacji do..." — tu wyjaśnił: — Nazwy miejscowości nie wymieniam i pozwalam, byś pani obrała ją sobie sama; jeżeli tylko znajdować się będzie o jakieś tysiąc mil od Londynu, najchętniej miejscowość tę wpiszę. Tymczasem przyjmij pani do wiadomości treść tego pisma. Otóż: "Rozkaz deportacji do... tak zwanej Karoliny Backson, napiętnowanej na podstawie wyroku sądów francuskich i następnie po odcierpieniu kary uwolnionej. Skazuje się ją obecnie na przebywanie w oznaczonej miejscowości bez wydalania się z niej poza obręb trzech mil. Gdyby usiłowała uciec, będzie ukarana śmiercią. Przeznacza się dla niej pięć szylingów dziennie na mieszkanie i utrzymanie."

— Rozkaz ten nie dotyczy mnie, gdyż jest w nim wymienione niemoje nazwisko.

— Nazwisko?! Czyż pani masz wogóle jakie nazwisko?

— Mam to, które mi nadał brat pański.

— Mylisz się pani! brat mój był drugim twym mężem, a tymczasem żyje jeszcze twój pierwszy małżonek. Wymień mi jego nazwisko, a umieszczę je zamiast nazwiska Karoliny Backson...

Milady, zaciąwszy usta, nie odpowiedziała.

— Milczysz? nie chcesz?.... Wobec tego będzies zesłana pod nazwiskiem Karoliny Backson.

Wyraz trwogi wystąpił na twarz milady, — tym razem jednak

nie była to komedja, lecz istotna rozpacz na samą myśl, że oto jest już gotowy zupełnie prawomocny rozkaz, który prawdopodobnie będzie natychmiast wykonany, gdyż widocznie lord Winter przyspieszył zesłanie, i że jeszcze tego samego wieczora wszadzą ją na okręt. Wobec tego wszystkie jej nadzieje i plany rozpadły się nagle w gruzy. Rzuciwszy jednak nieznacznie okiem na dokument, dostrzegła, że nie jest jeszcze opatrzony podpisem, i to ją nieco uspokoiło.

— Tak! — odezwał się lord Winter, zauważywszy to spojrzenie, — szukasz pani podpisu i powiadasz sobie: "Dopóki dokument ten nie jest podpisany, nie wszystko jeszcze stracone; pokazano mi go tylko tylko dlatego, aby mię nastraszyć." Otóż mylisz się, piękna pani! Jutro poślę ten akt do lorda Buckingham, pojutrze otrzymam go z powrotem, zaopatrzony w jego podpis i pieczęć, a w dwadzieścia cztery godziny potem, przyrzekam ci to uroczyście, rozpocznie się jego wykonanie. Teraz żegnam cię, pani, gdyż to tylko pragnąłem ci oświadczyć.

— A ja odpowiadam na to, milordzie, że takie nadużycie władzy, takie zesłanie kogoś pod obcem nazwiskiem jest podłością...

— Czyż wolałabyś pani zostać powieszoną pod własnem nazwiskiem? Wiesz zapewne, że prawa angielskie w wypadkach nadużycia sakramentu małżeństwa są nieubłagane... Zresztą mów pani otwarcie. Pomimo, że w sprawę tę będzie zamieszane nazwisko moje, a raczej mojego brata, gotów jestem narazić się nawet na zniesławienie mojego nazwiska, wskutek publicznego procesu, byleby mieć tę pewność, że nareszcie uwolnię się od ciebie.

Miłady, blada, jak trup, milczała.

— Jak widzę, wolisz pani odbyć tę wędrówkę. I słusznie czynisz; stare przysłowie powiada, że podróże kształtują młodość. Zresztą życie wogóle nie jest złe... I dlatego nie chcę pozwolić na to, abyś mię go pozbawiła. Pozostaje jeszcze tylko do omówienia sprawa pięciu szylingów dziennej twej pensji. Nie jestem nazbyt hojny, nieprawdaż? Ale postępuję tak dlatego, byś nie mogła przekupić strażników, którzy będą czuwali nad tobą. Co prawda, posiadasz jeszcze urodę, mogącą ci posłużyć do ich uwiedzenia... i spróbuj jej użyć, jeżeli zawód, jakiego doznałaś w stosunku do Feltona, nie zniechęcił cię do sztuczek tego rodzaju.

Te słowa lorda Wintera dowodziły, że Felton nic mu nie po-

wiedział, — więc weszła w nią pewna otucha, że niewszystko jeszcze stracone.

— A teraz żegnam panią. Jutro przyjdę, by ci oznajmić o odjeździe mojego wysłannika.

Lord Winter powstał, skłonił się z szyderczym uśmiechem i wyszedł.

Milady odetchnęła swobodniej. Miała jeszcze cztery dni czasu... a cztery dni powinnyby wystarczyć do ostatecznego uwikłania Feltona.

Nagle jednak opanowała ją myśl, że może lord Winter zamierza właśnie Feltona wysłać z tym dokumentem do Buckinghama, i w takim razie Felton wymknąłby się z pod jej władzy, a przecie dla dopięcia swego celu musiała milady mieć go ustawicznie koło siebie. Po chwili wszakże odepchnęła to przypuszczenie od siebie, pocieszając się najważniejszą swą zdobyczą, mianowicie tem, że Felton nic lordowi nie powiedział, a więc był jej do pewnego stopnia życzliwy.

Nie chcąc, by zauważono na jej twarzy jakiekolwiek zafrasowanie z powodu gróźb lorda Wintera, zasiadła do stołu i zabrała się do posiłku, poczem podobnie, jak poprzedniego wieczora, uklękła i zaczęła głośno odmawiać modlitwy. I tak samo, jak poprzedniego dnia, stojący na straży żołnierz przystanął u drzwi jej pokoju, nasłuchując.

Po chwili dały się słyszeć na korytarzu czyjeś kroki, zbliżające się z głębi korytarza, które umilkły tuż przed drzwiami.

— To on! — pomyślała milady i poczęła śpiewać tę samą pieśń nabożną, która dnia poprzedniego doprowadziła Feltona do takiej egzaltacji.

Ale, pomimo, że jej słodki i dźwięczny głos rozbrzmiewał harmonijniej i bardziej przejmująco, aniżeli kiedykolwiek, nie doczekała się upragnionych odwiedzin Feltona. Gdy jednak spojrzała ukradkiem na mały otwór w drzwiach, wydało jej się, że poza kratkami błyszczą płomienne oczy młodzieńca. Czy było to tylko złudzenie, czy rzeczywistość — nie zdawała sobie z tego sprawy; jedno wszakże było pewne, że tym razem oparł się pokusie wejścia do pokoju.

Gdy skończyła śpiewać psalm, wydało jej się znów że słyszy głębokie westchnienie, a następnie stwierdziła, że też same kroki, które się poprzednio do drzwi zbliżyły, teraz oddaliły się powoli.

LV.

CZWARTY DZIEŃ NIEWOLI.

Nazajutrz, gdy Felton wszedł do pokoju milady, zastał ją stojącą na krześle i trzymającą w ręku sznur, spleciony z chusteczek batystowych, podartych na pasy i powiązanych końcami ze sobą. Usłyszawszy szemr otwieranych przez Feltona drzwi, milady zeskoczyła lekko z krzesła i, usiłując ukryć poza sobą ów zaimprowizowany powróz, usiadła na temże krześle.

Młodzieniec był jeszcze bledszy, aniżeli zazwyczaj; zaczerwienione oczy wskazywały, że w nocy nie spał, być może, dręczony przez gorączkę. Na czole młodego oficera widniał wyraz surowości, bardziej stanowczy, niż kiedykolwiek.

Postąpił powoli ku milady i, ujmując koniec sznura, który, bądź przez nieuwagę milady, bądź z jej rozmysłem, wymknął się jej z ręki, zapytał lodowatym głosem:

— Co to jest, proszę pani?

— To?.... nic! — odpowiedziała milady, uśmiechając się tym bolejącym uśmiechem, którym umiała się tak dobrze posługiwać. — Nuda jest nieznośnym towarzyszem więźniów; aby więc zwalczyć nudę, zabawiałam się splataniem tego sznurka.

Felton spojrzał na ścianę, przy której zastał milady stojącą na krześle, i spostrzegłszy tuż nad jej głową pozłacany hak do wieszania odzieży czy też broni, zadrżał.

Milady zauważyła to drgnienie, bo choć miała spuszczone oczy, nic nie uchodziło jej uwagi.

— W jakim celu weszłaś pani na krzesło? — pytał dalej.

— Cóż to pana obchodzi? — odpowiedziała.

— Pragnę to wiedzieć stanowczo — oświadczył Felton.

— Nie pytaj mię pan o to — odparła. — Wiadomo panu przecież, że nam, prawdziwym chrześcijanom, niewolno kłamać.

— W takim razie — rzekł Felton — ja sam powiem pani, co czyniłaś, albo raczej, co zamyślałaś uczynić. Chciałaś dokonać strasznego zamiaru, jaki żywisz w swem sercu. Nie zapominaj

jednak, że jeżeli Bóg nasz zabrania kłamać, to tem surowiej jeszcze zabrania odbierać sobie życie.

— Chciej mi pan wierzyć — odparła milady tonem głębokiego przekonania, — że jeżeli Bóg widzi jakąś istotę, cierpiącą niesłusznie, a mającą do wyboru samobójstwo lub niesławę, przebacza jej targnięcie się na moje życie, albowiem samobójstwo jest wówczas wyrazem męczeństwa.

— Mówisz pani zamało lub zawiele... Na Boga! wytłumacz mi jaśniej te słowa!

— Czyż mam opowiedzieć panu moje niedole, abyś uważał je za bajki? Czyż mam wyjawiać swoje plany, abyś doniósł o nich memu prześladowcy? Nie, panie! Zresztą cóż może cię obchodzić życie lub śmierć nieszczęsnej skazanej? Jesteś pan odpowiedzialny tylko za moje ciało, nieprawdaż? Jeżeli przedstawisz pan trupa, którego rozpoznają, jako moje zwłoki, to nietylko nikt nie będzie od pana żądał nic więcej, ale może otrzymasz jeszcze podwójną nagrodę za doprowadzenie do takiego końca...

— Jakto? — zawołał Felton, — przypuszczasz pani, że byłbym zdolny wziąć nagrodę za twoje życie? Och! nie myślisz chyba naprawdę tego, co mówisz!

— Pozwól mi uczynić, Feltonie, co zamierzałam — mówiła milady. — Przecie każdy żołnierz powinien się starać o odznaczenie, nieprawdaż? Jesteś pan teraz porucznikiem; za moim pogrzebem pójdziesz już, jako kapitan.

— Com zawinił milady — zawołał złamanym głosem, — że obarczasz mię pani taką odpowiedzialnością przed ludźmi, i przed Bogiem za to, co zamierzałaś uczynić?... Za kilka dni będziesz pani już daleko stąd... życie twoje nie będzie powierzone mojej pieczy... i wówczas — tu westchnął ze smutkiem, — wówczas uczynisz pani z niem, co zechcesz.

— A więc tak? — zawołała milady jakgdyby nie mogąc zapanować nad pobożnem oburzeniem, — więc pan, człowiek religijny, pan, którego uważają za sprawiedliwego, obawiasz się jedynie odpowiedzialności za moją śmierć?....

— Mam obowiązek czuwać nad życiem pani i będę nad niem czuwał.

— Ale czy zdajesz pan sobie sprawę z obowiązku, jaki wypełniasz? Jest on okrutny, jeżeli jestem winna; ale jakże go pan nazwiesz, jakże go osądzi Stwórca, jeżelim niewinna?

— Jestem żołnierzem i wypełniam rozkazy, jakie otrzymałem.

— Mniemasz więc, że w dniu sądu ostatecznego Bóg oddzieli ślepych katów od niesprawiedliwych sędziów? Nie chcesz pozwolić, abym zabiła moje ciało, a stajesz się narzędziem tego, który chce zabić moją duszę?!

— Ależ powtarzam — odparł Felton, zachwiany w przekonaniu, — że życiu pani nie zagraża bynajmniej niebezpieczeństwo; ręczę za lorda Wintera, jak za siebie samego.

— Szaleńcze! biedny szaleńcze! — wołała milady, — odważasz się ręczyć za innego człowieka, podczas gdy najmędrsi nawet, najlepsi przed Panem nie ośmielają się ręczyć sami za siebie. A przecie stajesz po stronie silniejszego i szczęśliwszego, by pognębić istotę słabszą i nieszczęśliwą!

— To niemożliwe, pani! to niemożliwe! — szpetał Felton, jakby broniąc się przed narzucaną sobie przez milady myślą, a jednocześnie czując w głębi serca słuszność jej argumentów. — Dopóki jesteś uwięziona, nie otrzymasz wolności z moją pomocą; dopóki żyjesz, nie utracisz życia z moją zgodą.

— Tak, Feltonie! ale utracę to, co mi jest droższe nad życie, utracę cześć — wołała milady. — A pan odpowiesz przed Bogiem i ludźmi za moją hańbę i niesławę!

Mimo dotychczasowej obojętności, prawdziwej czy udawanej tym razem Felton nie zdołał się oprzeć tajemnemu wpływowi milady, jaki już nim owładnął. Patrzeć na tę piękną kobietę, jasną, jak najczystsze marzenie, naprzemian zalewającą się łzami i naprzemian groźną, pozostawać równocześnie pod wrażeniem jej rozpaczy i piękności — było to zawiele dla fanatyka, zawiele dla umysłu, nurtowanego płomiennymi snami ekstatycznej wiary, zawiele dla serca, pożeranego płomieniem miłości i zarazem nienawiścią do ludzi.

Milady spostrzegła jego walkę wewnętrzną, odczuła intuicyjnie płomień sprzecznych pragnień, szalejących z krwią w żyłach młodego purytanina. I, jak umiejętny wódz, który na widok nieprzyjaciela, gotującego się do odwrotu, uderza na niego z okrzykiem zwycięstwa, podniosła się, piękna, jak starożytna kapłanka, natchniona, jak chrześcijańska dziewica, i skromnie podtrzymując ręką suknię na piersiach, z wyciągniętem przed siebie drugiem ramieniem, z obnażoną szyją, z rozpuszczonym włosem, z ogniem w spojrzeniu, które już pomieszało zmysły mło-

dego purytanina, poczęła śpiewać brzmiącym słodko, lecz pełnym głosem pieśń purytańską:

"Złóż Baalowi tę jego ofiarę:
Niech śmierć męczeńską da paszcza lwia!
Pan sam wypłaci nagrodę lub karę...
Głos go mój wezwie z otchłani dna"..

Felton z zatrzymanym w piersi oddechem słuchał tych dziwnych słów i stał, jak skamieniały.

— Kto ty jesteś? kto jesteś, pani?! — zawołał nagle, składając ręce. — Czyś wysłanniczką Boga, czy też sługą piekieł? aniołem, czy demonem? na imię ci Eloe, czy też Astarte?

— Nie poznałeś mię, Feltonie! Nie jestem ani aniołem, ani demonem; jestem córą tej ziemi i siostrą twoją w wierze. Oto wszystko!

— Tak! — rzekł Felton, — wątpiłem dotąd jeszcze, lecz teraz jestem tego pewny.

— Jesteś pewny, a jednak nie przestajesz być wspólnikiem syna Beliala, którego zwą lordem Winterem! Jesteś pewny, a jednak pozostawiasz mię w mocy mych nieprzyjaciół, nieprzyjaciół Anglji i nieprzyjaciół Boga! Jesteś pewny, a jednak wydajesz mię w ręce tego, który gorszy i zakaża świat swą herezją i swemi wszeteczeństwami... w ręce tego niegodziwego Sardanapala, którego zaślepieni zwą księciem Buckinghamem, a prawowierni Antychrystem...

— Jakto? ja miałbym cię wydawać w ręce Buckinghama? ja? Co mówisz?

— Mają oczy ku patrzeniu — wołała miłady — a nie zobaczą mają uszy ku słyszeniu, a nie usłyszą...

— Tak! — mówił Felton, przesuwając ręką po czole, zroszonem potem, jakgdyby chciał rozproszyć ostatnie wątpliwości. — Tak! rozpoznaję głos, który woła na mnie w mych snach; rozpoznaję oblicze anioła, który zjawia się noc w noc przedemną i mówi memu duchowi, nie znajdującemu w śnie wypoczynku: "Uderz, zbaw Anglję, zbaw własną duszę, bowiem umrzesz, nie przebłagawszy Pana nad Pany!" — I po chwili dodał: — Mów, pani! Teraz cię już rozumiem!

Błyskawica okrutnej radości, szybka jak myśl, zapłonęła w oczach miłady.

Lecz, chociaż błysk ten był krótki, Felton dostrzegł go i zadrżał, jakgdyby nagle roświetliła się przed nim przepastna dusza tej kobiety.

Przypomniał sobie natychmiast przestrogi lorda Wintera o wabiących pokusach milady i dawniejsze jej próby olśnienia go z chwilą, gdy przybyła do zamku. Cofnął się krok wtył i pochylił głowę. Lecz oczy jego nie mogły się oderwać od jej oczu, oczarowane powabem niezwykłej tej istoty.

Milady aż nadto dobrze rozumiała przyczynę tego wahania, — mimo jednak wzruszenia zachowawszy całą swą rozwagę, myślała nad tem, jak dalej zagrać swą rolę, zanim jeszcze Felton zdoła coś powiedzieć. Czuła to dobrze, że zabraknie jej sił do podtrzymania w dalszej rozmowie tego samego tonu podniecenia, — opuściła więc ręce, udając, iż słabość kobieca wzięła górę nad natchnionym zapałem, i rzekła:

— Nie! nie potrafię stać się Judytą, uwalniającą Betulię od tego Holofernesa! Miecz odwiecznej sprawiedliwości zaciężki jest dla mego ramienia! Pozwól mi więc, Feltonie, w śmierci szukać ucieczki przed niesławą! pozwól mi stać się męczennicą!.... Nie błagam o wolność, jakby uczyniła istota występna; nie błagam o pomstę, jakby uczyniła istota bezbożna. Pozwól mi umrzeć! oto wszystko, o co proszę... Błagam cię, panie! pozwól mi umrzeć, a ostatnie moje westchnienie będzie błogosławieństwem dla ciebie.

Słysząc słodki i błagalny głos swej kusicielki, widząc jej wzrok lękliwy i cichy, Felton zbliżył się ku niej znowu. Tymczasem milady przybrała się już w cały swój urok czarodziejski, który na podobieństwo szaty mogła dowolnie przywdziewać i odrzucać a na który składały się razem piękność, słodycz, łzy, przedewszystkiem zaś nieprzeparty czar mistycznej rozkoszy, najbardziej pociągającej ze wszystkich.

— Niestety! — rzekł, — jedno tylko jest w mojej mocy: mogę współczuć z panią, jeżeli dowiedziesz, że istotnie jesteś ofiarą. Lecz lord Winter wytacza przeciwko pani straszne oskarżenie. Jesteś chrześcijanką i moją siostrą w wierze; czuję, że coś pociąga mię ku tobie, mnie, który nie kochałem nigdy nikogo, prócz mego dobroczyńcy, mnie, który nie znajdowałem w życiu nic więcej, oprócz zdrady i bezbożności. Ale ty, pani, tak piękna i na pozór tak czysta duchem istota, musisz mieć jednak

za sobą jakieś straszne występki, skoro lord Winter ściga cie tak nieubłaganie...

— Mają oczy ku patrzeniu — powtórzyła milady, — a nie zobaczą;; mają uszy ku słyszeniu, a nie usłyszą.

— Więc mów, pani! — zawołał młody oficer, — mów, abym wiedział, co myśleć o tem....

— Mam ci zwierzyć swą hańbę!? — zapytała milady z rumieńcem wstydu na twarzy. — Bo często występek jednego człowieka staje się hańbą drugiego! Mam ci zwierzyć swą hańbę, ja, kobieta, mężczyźnie?! Och, nie! — westchnęła, zakrywając skromnie ręką cudne swe oczy, — nie! nie zdołam tego uczynić!

— Jakto? wobec mnie brata? — zawołał Felton.

Milady spojrzała na niego przeciągle, jakby chcąc wyrazić pewne względen młodego oficera niedowierzanie, a w istocie by zajrzeć mu w głąb duszy i ostatecznie go ujarzmić. Felton w odpowiedzi na to spojrzenie złożył błagalnie ręce i stał w milczeniu.

— Dobrze więc! — rzekła, — zaufam bratu... znajdę odwagę!

W tejże jednak chwili rozległ się odgłos kroków lorda Wintera, który nie zadowolnił się dziś, jak dnia poprzedniego, przejściem koło drzwi, lecz zatrzymał się, zamienił kilka słów ze stojącym na straży żołnierzem i wszedł do pokoju.

Tymczasem Felton, posłyszawszy kroki jego na korytarzu, cofnał się żywo, i gdy lord ukazał się w progu, młody oficer stał już w przyzwoitej odległości od milady.

Baron, wchodząc do pokoju, badawczem spojrzeniem ogarnął zarówno uwięzioną, jak i młodego oficera.

— Jak się dowiaduję, Janie — rzekł, — przebywasz tu już dość długo. Czyżby kobieta ta wyznawała ci swoje zbrodnie? W takim wypadku nie dziwiłbym się wcale, że spowiedź trwa tak długo.

Felton zadrżał, a milady uczuła, że będzie zgubiona, jeżeli nie pospieszy z pomocą zakłopotanemu purytanowi.

— Ach! obawiasz się pan — rzekła, — aby niewolnica twoja nie umknęła? Zapytaj zatem twego czcigodnego dozorcę, o jaką łaskę błagałam go przed chwilą.

— Błagałaś pani o łaskę? — zapytał podejrzliwie baron.

— Tak jest, milordzie — odparł z pomieszaniem młody człowiek.

— I o jaką to łaskę? — pytał dalej lord Winter.

— Prosiła, abym dał jej nóż, i przyrzekała, że w chwilę później będę mógł go zabrać — odrzekł Felton.

— Widocznie zatem ukrywa się tu ktoś, komu ta miła osoba pragnie poderżnąć gardło — zauważył szyderczo i pogardliwie lord Winter.

— Tak! ja sama jestem tym kimś — oświadczyła milady.

— Pozostawiłem pani do wyboru Amerykę lub Tyburn — mówił lord Winter, — wybierz zatem Tyburn; wierzaj mi, sznur jest jeszcze pewniejszy, aniżeli nóż.

— Na te słowa Felton postąpił krok naprzód, przypomniawszy sobie, że w chwili, gdy wchodził, milady trzymała właśnie sznur w ręku.

— Masz pan słuszność — odrzekła milady; — myślałam i o tem. — Po chwili zaś dodała smutnym głosem: — I pomyślę jeszcze....

Felton uczuł dreszcz, wstrząsający go od stóp do głów, co prawdopodobnie nie uszło uwagi lorda, albowiem rzekł:

— Miej się na baczności, mój przyjacielu! pamiętaj, że zaufałem ci!... i ostrzegłem cię również! Zresztą nie trać odwagi, kochane dziecko! Za trzy dni będziemy już uwolnieni od tej istoty, a stamtąd, dokąd ją wyślę, nie będzie mogła zaszkodzić nikomu.

— I ty to słyszysz! — zawołała z patosem milady.

A okrzyk ten dwojako został zrozumiany: baron sądził, iż jest to komendjancki zwrot ku niebu, a Felton zrozumiał, że jest przeznaczony dla niego.

Młody oficer stał z pochyloną głową, pogrążony w marzeniach, gdy baron ujął go pod ramię i, patrząc na milady z pogardą, wyszedł wraz z Feltonem.

— Tak! — pomyślała milady, skoro się drzwi za nimi zamknęły, — nie jest jeszcze ze mną tak dobrze, jak mi się zdawało. Właściwa Winterowi głupota zmieniła się w niepojętą wprost przezorność. Co to znaczy chęć zemsty i jak ta chęć przekształca człowieka! Felton waha się jeszcze. Ale to nie taki człowiek, jak ten niezgodziwy d'Artagnan. Purytanin uwielbia kobietę, składając przed niemi ręce, jak przed bóstwem; muszkieter kocha je, ściskając w objęciach.

Mając nadzieję, że Felton jeszcze dzisiaj powtórnie ją odwiedzi, miłady wyczekiwała go niecierpliwie. Wreszcie w godzinę po opisanej przez nas scenie, usłyszała cichą za drzwiami rozmowę, a w chwilę później młody oficer stanął w rozwartych drzwiach. Twarz miał strasznie zmienioną. Zostawiwszy drzwi otworem, dając znak, aby milczała, przyszedł szybko przez pokój i zbliżył się ku niej.

— Czego chcesz odemnie? — zapytała.

— Posłuchaj! — odparł Felton przyciszonym głosem. — Oddaliłem straże, aby mądz pozostał tu z tobą bez niczyjej wiedzy i pomówić bez narażania się na podsłuchiwanie. Baron opowiedział mi straszne rzeczy...

Miłady uśmiechnęła się, niby przygotowana na wszystko ofiara, i skinęła głową.

— Albo jesteś demonem — mówił Felton, — albo baron, mój dobroczyńca, mój ojciec, jest wprost potworem. Ciebie znam od czterech dni, jego kocham od dwóch lat; czyż mogę się wahać, komu z was dwojga uwierzyć? Nie przerażaj się tem, co mówię; potrzebuję przecie dowodów. Dzisiaj po północy przyjdę tutaj, abyś mi te dowody złożyła.

— Nie, Feltonie! nie, mój bracie! — odpowiedziała miłady. — Zbyt wielka byłaby tak ofiara! pojmuję dobrze, ile wysiłku musiałoby cię to kosztować. Nie! ja jestem zgubiona; poco i ty małbyś ginąć wraz ze mną? Śmierć moja będzie wymowniejsza, niż moje życie; milczenie trupa da ci bardziej przekonywające dowody, aniżeli słowa uwięzionej kobiety.

— Zamilcz, pani! — błagał Felton, — nie przemawiaj w taki sposób! Przyszedłem tutaj, by uzyskać od ciebie przyrzeczenie, by otrzymać przysięgę na wszystko, co jest dla ciebie najświętsze, że nie targniesz się na swe życie.

— Takiego przyrzeczenia złożyć nie mogę — odpowiedziała miłady, — gdyż nazbyt wielką wagę przywiązuję do przysięgi... a gdybym przysięgła, musiałabym obietnicy dotrzymać.

— A więc przyobiecaj mi pani tylko, że do chwili mego tu przybycia nie uczynisz sobie nic złego — mówił Felton. — Jeżeli i po naszej rozmowie będziesz trwała jeszcze w swym zamiarze, wówczas pozostawię ci swobodę... co więcej, sam wręczę ci broń, o którą mię prosiłaś.

— Niech i tak będzie — oświadczyła miłady. — Zaczekam, póki nie przyjdziesz.

— Przysięgnij!

— Przysięgam na imię naszego Boga! Czy jesteś zadowolony?

— Tak! — odparł Felton. — Więc dzisiaj w nocy!

Wybiegł z pokoju i, zamknąwszy drzwi za sobą, stanął nazewnątrz, biorąc do rąk krótką dzidę, pozostawioną w korytarzu przez strażnika.

Gdy żołnierz wrócił na swe stanowisko, Felton oddał mu broń jego, przeżegnał się pobożnie i z rozradowaną twarzą odszedł.

Milady, która przez otwór we drzwiach obserwowała go do ostatniej chwili, odeszła teraz w głąb pokoju z uśmiechem dzikiej pogardy na ustach i z bluźnierczemi słowami:

— Moim Bogiem, oszalały fanatyku, jest ten, kto dopomoże mi do pomsty!.....

LVI.

PIĄTY DZIEŃ NIEWOLI.

Milady, odniósłszy już połowiczne w swej sprawie zwycięstwo, poczuła w sobie zdwajające się siły.

A zwycięstwo to nie było łatwe.

Dotychczas miewała do czynienia z ludźmi ulegającymi pokusom, z ludźmi, których wychowanie dworskie popychało szybko w zastawione przez nią sieci. Milady była dostatecznie piękną, by pokonać wszelki opór wobec swych wdzięków, — była dość mądrą, by zwalczyć wszelkie wyrzuty sumienia.

Tym razem jednak walczyła z naturą zamkniętą w sobie, pierwotną i znieczuloną przez surowość obyczajów. Głęboka wiara Feltona i gorliwość w pełnieniu obrządków religijnych były w jego duszy tymi czynnikami, którym zawdzięczał swą oporność przeciwko pokusom. W tej zapalnej głowie roiło się zresztą tyle szerokich planów, tyle chaotycznych zamiarów, że nie było tam już miejsca, na jakąś miłość lub pożądania zmysłowe, podsycane zazwyczaj u młodych ludzi i potęgowane przez brak zajęcia oraz przedwczesne zepsucie. A jednak milady uczyniła w tej duszy wyłom, — przez udaną cnotę uczyniła wyłom wsądach człowieka, straszliwie ku niej uprzedzonego, — przez swoją piękność uczyniła wyłom w sercu i zmysłach człowieka skromnego i czysetgo. A wypróbowawszy już dostatecznie ten najbardziej oporny organizm duchowy, który wiara i natura broniły od pokus, mogła też zdać sobie milady sprawę z rozległości środków, jakimi wobec niego rozprządza.

Pomimo wszakże wiary w owe środki, ogarniało ją kilkakrotnie w ciągu tego wieczora pewne zwątpienie, — zwątpienie w szczęśliwą swą gwiazdę i nawet we własne siły. Jak wiemy, nie było w jej naturze wzywać pomocy boskiej, — natomiast miała ufność w moc złą, w tę niezmierzoną potęgę, która nieraz z taką łatwością rządzi każdem poruszeniem istoty ludzkiej, po-

tęgę, której, wedle arabskiej legendy, wystarczy jedno ziarnko granatu, aby odbudował zniszczone światy.

Przygotowawszy się na przyjęcie Feltona, poczęła milady marzenia, co jej dzień następny przyniesie. Wiedziała, że ma jeszcze przed sobą tylko dwa dni czasu, w ciągu których akt deportacji zostanie podpisany przez Buckinghama, — a Buckingham podpisze go bez namysłu, gdyż zamieszczone w dokumencie pospolite nazwisko nic mu nie powie, o kogo tu chodzi, — skoro zaś akt ten zostanie podpisany, baron wsadzi ją natychmiast na pokład okrętu. Zdawała sobie również sprawę z tego, że kobieta skazana na zesłanie, znacznie mniej liczyć może na potęgę swych czarów, aniżeli przeciętna cnotliwa niewiasta, której piękność podnosi blask wielkiego świata, której zalety wysławia głos opinji której wdzięki ozłaca szlachetne podchodzenie, — i wiedziała, że, choć wyrok hańbiący nie pozbawi jej piękności, ale obedrze ją raz na zawsze z owej aureoli moralnej, podnoszącej wdzięk kobiecy do niezrównanej nieraz potęgi. Jak wszyscy ludzie głębszego umysłu, rozumiała też milady, jakie środowisko odpowiada jej naturze i jej zdolnościom. Ubóstwo przejmowało ją wstrętem, — upodlenie zmniejszało dwie trzecie jej wielkość. Mogła królować tylko wśród królowych; aby się czuć władczynią, musiała doznawać rozkoszy zadowolonej dumy. A królowanie wśród istot niskich było dla niej raczej upokorzeniem, aniżeli rozkoszą. Była pewna, że powróci z wygnania, i nie wątpiła w to ani przez chwilę, — ale jakże długo ma potrwać to wygnanie? Dla istot czynnych i ambitnych, do jakich należała milady, nieszczęśliwemi są już chwile przeszkód nie pozwalających im wznosić się do góry; jakiemż określeniem nazwać chwilę, gdy spada się w dwół?! Stracić rok, dwa, trzy lata na wygnaniu i dręczyć się przez cały ten czas myślą, że tu wróg jej, d'Artagnan, otrzymawszy od królowej nagrodę za oddane jej usługi, żyje wraz z przyjaciółmi szczęśliwy i triumfujący — przecie to położenie wprost rozpaczliwe, i ona znieść tego nie potrafi...

Burza, szalejąca w jej duszy, potęgowała jej energję w dwójnasób; rozwaliłaby w tej chwili mury swego więzienia, gdyby ciało jej choćby przez chwilę posiadło moc, równą potędze ducha.

Oprócz tego pobudzało ją jeszcze do czynu wspomnienie kardynała. Cóż mógł pomyśleć, co powiedzieć o jej milczeniu ten

niedowierzający, pełen obaw, podejrzliwy człowiek? A przecież on właśnie był nietylko jedynem jej oparciem, jedynym opiekunem w teraźniejszości, lecz, co ważniejsze, głównem narzędziem powodzenia i pomsty na przyszłość. Znała go dobrze i wiedziała że po powrocie z bezowocnej swoje podróży, chociażby najokropniejsze rzeczy opowiadała o swem więzieniu i przebytych katuszach, kardynał odpowie jej z szyderczym pokojem sceptyka, po tężnego władzą i genjuszem: "Nie trzeba było dać się podejść!"

Milady odpychała tedy od siebie wszelki cień słabości, powtarzając w myślach nazwisko Feltona i skrzepiając ducha tem jedynem światełkiem, przenikającem w głąb piekła, w jakie się dostała. I niby wąż, zwijający i rozwijający swe pierścienie, aby się przekonać o ich sile, już w myślach spowijała Feltona tysiącem więzów swej pomysłowej wyobraźni.

Lecz czas upływał, mijała godzina po godzinie, a każde uderze nie spiżowego młotka zegaru odbrzmiewało ostro w sercu uwięzionej. O godzinie dziewiątej przyszedł, jak zwykle, lord Winter. Nie miał snadź dzisiaj ochoty do rozmowy, gdyż przez cały czas odwiedzin milczał. Obejrzał tylko okno i kraty, opukał posadzkę i ściany, zbadał kominek i drzwi pokoju, a na odchodnem rzekł:

— No, jestem spokojny, że mi tej nocy nie umkniesz.

O godzinie dziesiątej milady rozpoznała na korytarzu kroki Feltona, który czynił przegląd straży. Zresztą, choć nienawidziła go i pogardzała bezsilnym tym fanatykiem, jednak odgadywała teraz zwykle jego obecność, jak kochanka odgaduje obecność wybrańca swego serca.

Felton, przeszedłszy się po korytarzu, odszedł, nie zaglądając tym razem do jej pokoju.

Nastąpiła wreszcie północ, a wraz znią zmiana straży. Od tej chwili milady oczekiwała niecierpliwie nadejścia Feltona. Jakoż po upływie dziesięciu minut posłyszała jego kroki.

Podszedł do pełniącego straż żołnierza i rzekł:

— Pod żadnym pozorem nie oddalaj się od tych drzwi. Pamiętaj, że poprzedniej nocy milord ukarał żołnierza, który na chwilę opuścił swój posterunek, i nie usprawiedliwiło go nawet, to, że ja sam podczas jego nieobecności stanąłem na straży.

— Wiem o tem — odpowiedział żołnierz.

— Zalecam ci jak największą baczność. Ja sam — dodał — wejdę jeszcze raz do pokoju tej kobiety, gdyż wiem, że nosi się z samobójczymi zamiarami, i mam rozkaz czuwania nad nią.

— Dobrze! — szepnęła milady. — Surowy purytanin zaczyna kłamać.

Żołnierz w odpowiedzi na oświadczenie Feltona zaśmiał się głośno.

— Do licha, mój poruczniku! — rzekł, — rozkazy tego rodzaju nie są nieszczęściem, zwłaszcza, jeżeli milord polecił ci otoczyć ją opieką nawet.... w łóżku.

Felton zarumienił się. W innych okolicznościach za podobne żarciki byłby złajał żołnierza, — ale niczyste sumienie odzywało się w nim nazbyt głośno, by usta odważyły się przemówić.

— Bądź gotów na moje zawołanie — rzekł, — a gdyby kto nadchodził, zawiadomisz mnie.

— Dobrze, poruczniku — odparł żołnierz.

Gdy Felton wszedł do pokoju milady powstała z krzesła.

— Jesteś więc — rzekła.

— Przyrzekłem, że przyjdę — odpowiedział Felton, — i dotrzymuję słowa.

— Ale przyrzekłeś mi jeszcze coś innego.

— Co? na Boga! — zawołał młody człowiek, który, mimo panowania nad sobą, uczuł, że kolana chwieją się pod nim, a zimny pot występuje na czoło.

— Przyrzekłeś, że przyniesiesz mi nóż i po naszej rozmowie pozostawisz mi go na chwilę....

— Nie mów pani o tem — rzekł Felton. — Niema tak rozpaczliwego położenia, któreby usprawiało stworzoną przez Boga istotę do odebrania sobie życia. Zresztą zastanowiłem się i przyszedłem do wniosku, że nie mogę obciążać mego sumienia takim grzechem.

— Ach! zastanowiłeś się! — odrzekła milady, siadając na krześle i uśmiechając się pogardliwie. — I ja namyśliłam się także.

— Jakto?

— Namyśliłam się, że nie mogę nic wyznać człowiekowi, który nie dotrzymuje danego słowa.

— Boże mój! — szepnął Felton.

— Możesz pan odejść — oświadczyła milady; — nic panu nie powiem.

— Oto nóż! — rzekł Felton, wydobywając z kieszeni broń, którą, stosownie do przyrzeczenia, przyniósł z sobą, lecz którą wahał się oddać do rąk uwięzionej.

— Daj go pan — zawołała milady.

— Co pani zamierzasz z nim uczynić?

— Ręczę honorem że, oddam go panu w tej chwili; położysz go pan na stole, i pozostanie tutaj pomiędzy tobą a mną.

Felton podał broń. Milady obejrzała rękojeść i końcem palca zbadała ostrze.

— Tak — rzekła, oddając nóż młodemu oficerowi, — to wcale piękna i dobra stal... Widzę teraz, że jesteś mi przyjacielem, Feltonie.

Oficer wziął nóż i położył na stole.

Milady, widząc to, skinęła z zadowoleniem głową.

— A teraz słuchaj — powiedziała.

Zalecenie to było niepotrzebne, gdyż młody oficer stał przed nią i gorączkowo wyczekiwał, co mu powie.

— Feltonie! — mówika milady z powagą i melancholją, — cobyś uczynił, gdyby twoja siostra, córka twego ojca, opowiedziała ci taką smutną historję:

"Młoda jeszcze i na nieszczęście piękna, wpadłam w zastawione na mnie sidła, lecz oparłam się; otoczono mię matnią niegodziwości i gwałtów, lecz nie ugięłam się; gdy wzywałam na pomoc Boga, którego czczę, wyszydzano mi go, jak również wyszydzano wiarę moją, lecz i to mię nie zachwiało; niema zniewagi, którejby nie oszczędzono, a gdy i to nie zdołało zbrukać mej duszy, postanowiono ciało moje zniesławić nazawsze przez obezwładnienie mię....

Milady przerwała, i smutny uśmiech przemknął po jej wargach.

— I cóż uczyniono? — zapytał niecierpliwie Felton.

"Otóż, nie mogąc złamać mego oporu jawnie, postanowiono go sparaliżować podstępem. Pewnego wieczoru domieszano do wody silnego narkotyku. Zaledwie spożyłam skromny posiłek, ogarnęła mię dziwna jakaś ociężałość. Chociaż nie podejrzewałam jeszcze wówczas nic złego, jednak opanował mię strach, i usiłowałam walczyć z sennością. Powstałam, chciałam podbiedz ku oknu by wezwać pomocy, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zdawało mi się, że powała spada na moją głowę i przytłacza ją swym ciężarem. Wyciągnęłam ręce, chciałam mó-

wić, ale z ust moich wydobywały się jedynie dźwięki bez treści. Ogarnęło mię wreszcie nieprzepartte odrętwienie, więc usiadłam na krześle czując, że w przeciwnym razie runę na ziemię; ale i ta podpora okazaał się niebawem dla mych słabnących członków niedostateczną: upadłam na kolano, potem na oba. Chciałam w modlitwie szukać ratunku, ale język mój był jakby zkołowaciały; Bóg widocznie opuścił mię w owej chwili. Runęłam na posadzkę, stając się ofiarą snu, twardego, jak śmierć.

"Nie wiem nic, ile czasu upłynęło i co się ze mną działo podczas tego snu; jedno tylko przypominam sobie: obudziłam się w okrągłym, zbytkownie urządzonym pokoju, do którego światło dnia wpadało przez okno w suficie. Zresztą nie było wcale widać drzwi wchodowych; rzekłbyś, wspaniałe więzienie.

"Przez długi czas nie mogłam sobie zdać sprawy ani z tego, gdzie się znajduję, ani z wszystkich opowiedzianych dopiero co szczegółów. Nadaremnie umysł mój walczył, aby rozproszyć męczące mroki tego snu, z którego nie mogłam się otrząsnąć. Miałam niejasne wspomnienie jakiejś przebytej drogi, turkotu kół powozowych, strasznego marzenia, które wyczerpało moje siły, ale wszystko to ciemno i niewyraźnie majaczyło w mych myślach; zdawało mi się niemal, że wypadki te złączone są z innem jakiemś życiem, nie mojem własnem, a jednak związanem ze mną fantastyczną dwoistością.

"Stan, w jakim się znajdowałam, wydawał mi się przez czas pewien tak dziwnym, że gotowa byłam uważać wszystko za ułudę senną. Podniosłam się chwiejnym ruchem i ujrzałam, że suknie moje leżą obok na krześle, podczas gdy nie przypominałam sobie wcale, abym się rozbierała lub kładła do łóżka. Powoli rzeczywistość poczęła mi stawać jasno przed oczyma, budząc trwogę i wstyd dziewiczy. Byłam w jakimś obcym, nieznanym sobie domu. O ile mogłam wnosić z blasków słonecznych dzień zbliżał się już ku schyłkowi. Ponieważ zasnęłam wieczorem dnia poprzedniego, więc sen mój trwał prawie całą dobę. Co się stało w ciągu tego długiego snu?

"Ubrałam się z największym możliwie pośpiechem, lecz nie bez trudu, gdyż działanie narkotyku niezupełnie jeszcze ustało, i pewna ociężałość paraliżowała mi ruchy. Zauważyłam, iż pokój przygotowany był na przyjęcie kobiety; największa wykwintnisia nie mogłaby żądać żadnych zmian w jego urządzeniu, — rozejrzenie się dokoła zadowolniłoby wszystkie jej wymagania.

"Nie byłam zapewne pierwszą kobietą, zamkniętą w tem wspaniałem więzieniu. Ale pojmujesz, Feltonie, że im piękniejszem mi się ono wydawało, tem większą przejmowało mię obawą.

"Tak, to było więzienie! Bo nadaremno szukałam jakiegoś wyścia nadaremno uderzałam w ściany w nadziei, że znajdę mo że drzwi ukryte, — mur odbrzmiewał wszędzie głucho i pełno.

"Ze dwadzieścia razy obeszłam pokój dokoła, poszukując jakiegokolwiek otworu — nadaremno. Wreszcie, wyczerpana wysiłkiem i przestrachem, upadłam na krzesło.

"Tymczasem zbliżała się noc, a równocześnie rosło moje przerażenie. Nie byłam pewna, czy mogę bezpiecznie pozostawać w miejscu, gdzie usiadłam; zdawało mi się, że naokół grożą mi nieznane niebezpieczeństwa i że mogę im uledz na każdym kroku. Aczkolwiek od poprzedniego wieczoru nie jadłam nic, to jednak wskutek dręczących mię obaw nie doznawałam wcale głodu.

"Z zewnątrz nie dochodził mię żaden odgłos, i nie było możności zorjentować się, jak szybko czas upływa; przypuszczałam, że musi być siódma lub ósma godzina, był to bowiem październik, a noc zapadła już czarna.

"Nagle usłyszałam zgrzyt drzwi, obracających się w zawiasach, a jednocześnie świetlana kula opuściła się pod oszklonem cknem w suficie, zalewając żywymi blaskami mój pokój, i ujrzałam na środku pokoju stolik z dwoma nakryciami i przygotowaną całkowicie wieczerzą, który znalazł się tu jakby cudem. Lecz, ku swemu wielkiemu przerażeniu, spostrzegłam, też w odległości kilku kroków przed sobą jakiegoś człowieka.

"Był to ten sam, który ścigał mię już od roku i który zaprzysiągł, że mię posiędzie. Teraz, w pierwszych odrazu słowach, jakie wypowiedział, dał mi do zrozumienia, że należałam do niego poprzedniej nocy."

— Podły! — szepnął Felton.

— Och! podły! — powtórzyła milady, widząc, że młody oficer z najgłębszem wzruszeniem słucha jej niezwykłego opowiadania. — Och! podły!

I poczęła opowiadać dalej:

"Sądził, że wystarczy mu zdobyć mię we śnie; obecnie przychodził w nadziei, że przyjmę teraz z poddaniem moją hańbę,

skoro już się dokonała, — przychodził ofiarować mi swój majątek wzamian za moją miłość.

"Cały ogrom pogardy, jaki może wezbrać w sercu kobiety, popłynął obelżywemi słowami ku temu człowiekowi. Był on jednak widocznie przyzwyczajony do podobnych wyrzutów, albowiem słuchał spokojnie, uśmiechnięty, skrzyżowawszy ręce na piersi. Potem, gdy sądził, żem się już uspokoiła, podszedł ku mnie. Poskoczyłam do stołu i, chwyciwszy nóż, oparłam go na swej piersi.

"— Postąp pan jeszcze krok naprzód — zawołałam, — a oprócz mej hańby, będziesz miał i śmierć moją na sumieniu.

"Bez wątpienia w spojrzeniu mojem, w głosie, w całej postawie musiał ten potwór wyczytać ową prawdę ruchu i tonu, która przekonywa najbardziej przewrotne umysły, albowiem zatrzymał się w miejscu.

"— Twoją śmierć? — odparł. — Och! jesteś nazbyt rozkoszną kochanką, bym mógł się zgodzić utracić cię w ten sposób, doznawszy dotąd tylko raz szczęścia posiadania cię. Żegnaj, moja piękna! Będę czekał łaskawszej dla mnie chwili, gdy zastanę cię w lepszym humorze.

"Powiedziawszy to, zaświstał, a na ten znak kula, oświetlająca mój pokój, zniknęła, pogrążając wnętrze mego więzienia w ciemnościach, i usłyszałam ten sam zgrzyt otwieranych oraz zamykanych drzwi, poczem światło rozbysło nanowo.

"Byłam samotna.

"Straszna to była chwila! Jeżeli jeszcze dotychczas mogłam się była łudzić czemkolwiek, teraz, wobec rozpacznej rzeczywistości, pierzchnęły wszystkie moje wątpienia. Byłam w mocy człowieka, którego nietylko nienawidziłam, ale którym pogardzałam z całej duszy, — człowieka, który ważył się na wszystko i który dał mi już straszny dowód, do czego jest zdolny.

— Ale któż był tym potworem? — spytał Felton.

"Spędziłam noc na krześle, drżąc na odgłos każdego szmeru — opowiadała dalej milady, —gdyż mniej-więcej około północy lampa zgasła, i w pokoju zapanowały znowu ciemności. Ale noc minęła, a mój prześladowca nie predsiębrał nowej haniebnej próby. Gdy brzask dnia wpadł do pokoju, stołu już w nim nie było, natomiast nóż pozostał jeszcze w mojem ręku.

"W tym nożu pokładałam całą nadzieję.

"Upadałam ze znużenia; bezsenność paliła mi oczy, — nie odważyłam się bowiem dotąd spocząć ani na chwilę. Dzień wszakże dodał mi odwagi, i położyłam się na łóżku, nie rozstając się jednak z nożem-wybawicielem, który ukryłam pod poduszką.

"Gdy otworzyłam oczy, w pokoju stał znowu zastawiony stół.

"Tym razem, mimo trwogi, mimo obaw, uczułam dręczący mię głód, — od czterdziestu ośmiu bowiem godzin nie miałama nic w ustach. Zjadłam więc trochę chleba i owoców, a dla ugaszenia pragnienia napełniłam szklankę z marmurowej fontanny, umieszczonej w murze obok gotowalni; stojącej na stole szklanki z wodą nie tknęłam w obawie, iż może być zaprawiona narkotykiem.

"Pomimo tej ostrożności, nie mogłam przez czas pewien pokonać dręczącego mię niepokoju, że i w fontannie woda może być zatruta. Przekonawszy się wszakże po niejakimś czasie, że obawy moje są niesłuszne, uspokoiłam się.

"Stojącą na stole karafkę z wodą opróżniłam przezornie do połowy, aby nie zauważono mojej nieufności.

"Nadszedł wreszcie wieczór, a wraz z nim zapadła ciemność, do której jednak wzrok mój o tyle się przyzwyczaił, że zauważyłam, jak stół zsunął się pod podłogę, a po upływie kwadransa pojawił się nanowo, zastawiony wieczerzą. W chwilę później u stropu zapłonęła lampa i pokój napełnił się znowu światłem.

"Postanowiłam jeść tylko te potrawy, do których nie można w żaden sposób domieszać jakiegoś środka nasennego: dwa jajka i trochę owoców starczyły mi za posiłek. Potem zaczerpnęłam szklankę wody z mojej opatrznościowej fontanny i wypiłam.

"Ale już przy pierwszych łykach wydało mi się, że woda ma odmienny smak, aniżeli rano, i ogarnęło mię nanowo podejrzenie. Odsunęłam szklankę od ust, którą jednak niestety wychyliłam już do połowy, i że wstrętem wylawszy resztę czekałam. Po chwili uczułam z przerażeniem że zimny pot występuje mi na czoło.

"Nie ulegało wątpliwości, że jakiś niewidzialny świadek podpatrzył mię, pijącą wodę z fontanny i wykorzystał moje zaufanie do tej wody aby w dalszym ciągu przeprowadzać zbrodnicze swe dzieło, z tak zimnem okrucieństwem obmyślane.

"Nie upłynęło pół godziny, gdy poczułam objawy działania narkotyku. Ponieważ jednak tym razem wypiłam tylko pół szklanki, mogłam się dłużej opierać i, zamiast zasnąć twardo, popadłam w półsen, tak, iż miałam świadomość wszystkiego, co się dzieje dokoła, chociaż równocześnie zabrakło mi sił do obrony.

"Chwiejąc się na nogach, podążyłam ku łóżku, aby odszukać tam zbawczy mój nóż, ale, nie zdoławszy już dojść do celu, upadłam na kolana i tylko uczepiłam się kurczowo rękami kolumny łóżka. Zrozumiałam, że niema dla mnie ratunku".

Felton zbladł, i konwulsyjny dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

"Najstraszniejszem jednak było to — mówiła milady głosem tak zmienionym, jakgdyby obecnie przerażenie owej okropnej chwili zbudziło się w niej z tą samą siłą, — najstraszniejszem było to, że tym razem miałam zupełną świadomość grożącego mi niebezpieczeństwa... że duch mój, możnaby powiedzieć, czuwał w mem uśpionem ciele... że widziałam, co mnie czeka... I choć wszystko to wydawało mi się jakby strasznym snem, ale przerażenie moje było niemniej okropne.

"Ujrzałam, jak lampa unosi się w górę, i w pokoju nastaje ciemność; następnie posłyszałam znany mi już zgrzyt drzwi ukrytych i instynktownie odczułam, że ktoś zbliża się ku mnie. Powiadają, że nieszczęśliwiec, zbłąkany w puszczach Ameryki, odczuwa w ten sposób zbliżanie się jadowitego gadu.

"Usiłowałam zebrać siły i krzyczeć; niesłychanem wytężeniem woli zdołałam się nawet podnieść, ale tylko po to, aby upaść natychmiast, i to upaść... w ramiona mego prześladowcy."

— Powiedz mi nazwisko tego człowieka! — zawołał wzburzony owicer.

Jedno spojrzenie wystarczyło milady, aby zrozumiała, jak cierpi Felton, wgłębiając się w każdy szczegół jej opowiadania. Nie chciała jednak oszczędzać jego nerwów i opowiadała dalej, jakgdyby nie widząc, co się w nim dzieje, lub też zostawiając odpowiedź na właściwszą chwilę.

"Ale tym razem nędzny uwodziciel nie trzymał w objęciach bezwładnego, nieczułego ciała. Jak już mówiłam, opanował mię połowiczny bezwład, ale miałam świadomość chwili. Broniłam się z całych sił i prawdopodobnie mimo osłabienia długo stawiałam opór, gdyż w pewnej chwili zaklął z wściekłością:

"— Przeklęte purytanki! wiedziałem dobrze, że potrafią zmęczyć swoich oprawców, ale nie sądziłem, by opierały się tak długo swym kochankom.

"Niestety, rozpaczliwy mój opór nie mógł trwać bez końca, i uczułam, że mię resztki sił opuszczają. I tym razem nędznik ten skorzystał... wprawdzie nie ze snu mego, lecz z mego omdlenia".

Felton słuchał w milczeniu, i tylko głuchy jęk, wydarł się z piersi jego; pot rzęsisty zlewał mu przytem marmurowe czoło, a ręka, ukryta pod płaszczem, darła paznokciami pierś aż do krwi.

"Gdy odzyskałam przytomność, pierwszem mojem poruszeniem było odszukanie ukrytego pod poduszką noża, którego poprzednio nie zdążyłam wydobyć. Nie mogąc posłużyć się nim do obrony, chciałam, by przynajmniej zmazał moje winy.

"Zaledwo jednak wzięłam nóż w rękę, przyszło mi do głowy straszliwa myśl..."

Tu milady jakby zawahała się, a po chwili rzekła:

— Przysięgłam ci, Feltonie, powiedzieć wszystko i dotrzymam przysięgi; przyrzekłam powiedzieć ci prawdę i powiem, chociażby mię to miało zgubić.

— Przyszła ci myśl pomsty na tym człowieku, nieprawdaż? — zawołał Felton.

— Tak jest — odrzekła milady. — Wiem dobrze, że była to myśl niegodna chrześcijanki; niewątpliwie podszepnął mi ją ten wieczny wróg naszej duszy, ten lew ryczący, który krąży nieustannie koło nas.. I cóż ci mam powiedzieć jeszcze, Feltonie? — mówiła dalej głosem kobiety, przyznającej się do zbrodni. — Opanowała mię ta myśl wszechwładnie i odtąd nie opuściła już nigdy. I za tę właśnię żądzę mordu ponoszę dzisiaj karę.

— Mów dalej! mów! — zawołał Felton. — Pragnę wiedzieć, jak się pomściłaś.

"Och! postanowiłam wykonać mój zamiar jak najrychlej. Nie wątpiłam, że mój prześladowca przyjdzie do mnie i następnej nocy. W dzień nie potrzebowałam się go obawiać. Toteż, gdy nadeszła pora śniadania, nie wahałam się jeść i pić, przy wieczerzy natomiast postanowiłam tylko udawać, że jem i piję, lecz nie wziąć nic do ust; poranny posiłek miał mię ochronić od wieczornego głodu. Ukryłam jedynie szklankę wody, podanej mi do śniadania, bo przez owe czterdzieści ośm godzin, gdy pozo-

stawałam bez pokarmu i napoju, doświadczyłam największej męczarni z powodu pragnienia.

"Dzień cały upłynął, umacniając mię w powziętem postanowieniu. Troszczyłam się tylko o to, by oblicze moje nie wydało żywionych w sercu zamiarów, — nie wątpiłam bowiem, że każdy mój krok jest śledzony. Co więcej, kilkakrotnie nawet uśmiech zagościł na moich wargach. Nie śmiem powiedzieć ci, Feltonie, jaka myśl budziła ten uśmiech, bo odwróciłbyś się ode mnie ze wstrętem..."

— Mów dalej — rzekł Felton. — Wszak widzisz, że słucham i pragnę dowiedzieć się wszystkiego.

"Nadszedł wieczór. Jak dni poprzednich, tak i tegoż dnia w ciemności podano wieczerzę, a następnie zapłonęła lampa. Zasiadłam do stołu. Zjadłam trochę owoców udałam, że nalewam sobie wodę z karafki, ale napiłam się wody, która mi pozostała od śniadania; zamiany szklanek dokonałam tak zręcznie, że szpiegowie moi, o ile czuwali, nie mogli byli powziąć żadnych podejrzeń.

"Po spożyciu wieczerzy poczęłam udawać objawy ociężałości, jakiej doznawałam dnia poprzedniego. Ale tym razem, jakgdyby znużona lub też oswojona już z myślą o następstwach zatrucia, zawlokłam się odrazu na łóżko, zrzuciłam suknie i ułożyłam się do spoczynku.

"Odnalazłszy nóż pod poduszką, zacisnęłam rękojeść jego w dłoni i udałam, że zasypiam.

"W ciągu dwóch godzin nie zdarzyło się nic nowego. Ale tym razem... o Boże, któżby to przewidywał wczoraj! tym razem poczęłam się obawiać, że kat mój nie przyjdzie wcale.

"Po upływie jednak krótkiej chwili lampa podniosła się łagodnie, znikając w otworze plafonu, i pokój zaległy ciemności, które starałam się przebić wzrokiem.

"Minęło jeszcze mniej-więcej dziesięć minut, w ciągu których nie słyszałam żadnego szmeru, prócz bicia własnego serca.

"Błagałam nieba, aby przyszedł nareszcie.

"Wkońcu usłyszałam dobrze mi znany szmer otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie, mimo grubego dywanu na posadzce, szmer zbliżających się kroków, i dostrzegłam przyzwyczajonemi do ciemności oczyma cień jakiś, podchodzący do mego łóżka."

Tu milady westchnęła, zamilkłszy na chwilę.

— Mów, pani! — wołał Felton. — Czyż nie widzisz, że każde twoje słowo pali mię, jak roztopiony ołów.

"Skupiłam wszystkie siły, przywiodłam sobie na pamięć że godzina pomsty, a raczej godzina sprawiedliwości wybiła, i na podobieństwo Judyty zaczaiłam się na łóżku z nożem w ręku. Ujrzawszy go zaś przed sobą, wyciągającego do mnie ramiona, ugodziłam go w sam środek piersi.... Ale nędznik ten przewidział wszystko; na piersi miał stalową siatkę, i nóż mój obsunął się po niej.

"— Aha! — zawołał, chwytając mię za rękę i wydzierając broń, która tak złą oddała mi usługę — godziłaś na moje życie, piękna purytanko! To już więcej, niż nienawiść! to niewdzięczność! No no uspokój się, moje piękne dziecię! Sądziłem, żeś się już udobruchała. Nie należę do rzędu tych tyranów, którzy przemocą zatrzymują kobiety; widzę teraz, że mię nie pokochasz w co zarozumiale ufałem więc jutro odzyskasz wolność.

"Jedno tylko miałam pragnienie: aby mię zabił.

"— Strzeż się pan! — powiedziałam; — moja wolność będzie pańską zgubą.

"— Wytłumacz się jaśniej, moja piękna Sybillo!

"— Skoro tylko się stąd wydostanę, rozgłoszę wszystko; rozgłoszę, jakiego gwałtu dopuściłeś się pan na mnie; rozgłoszę, że mię więziłeś; opowiem o tym pałacu rozpusty. Zajmujesz, imlordzie, wysokie stanowisko, ale mimo to drżyj! Ponad tobą jest jeszcze król, a ponad królem jest Bóg.....

"Na te słowa prześladowca mój, choć umiał panować nad sobą, zatrząsł się gniewem. Nie mogłam widzieć wyrazu jego twarzy, ale czułam, że jego ramię, na którem opierała się moja ręka, drżało, jak w febrze.

"— Więc nie wyjdziesz stąd nigdy! — rzekł.

"— Dobrze! —zawołałam. — W takim razie miejsce mojej kaźni stanie się także moim grobem. Dobrze! umrę tutaj, a wtedy przekonasz się, że oskarżające widmo jest straszliwsze jeszcze, aniżeli istota żyjąca, która grozi.

"— Nie dostaniesz do rąż żadnej broni!

"— Istnieje broń, którą rozpacz kładzie w ręce każdej istoty, mającej odwagę posłużyć się nią. Zamorzę się głodem!

"— Posłuchaj! — odezwał się nędznik. — Czyż pokój nie jest lepszy od takiej wojny? Wrócę ci natychmiast wolność, rozgłoszę wszędzie twoją cnotliwość i nazwę cię Lukrecją Anglji.

"— A ja nazwę cię Sextusem i oskarżę cię przed ludźmi tak, jak oskarżam przed Bogiem... A jeżeli zajdzie potrzeba, bym, jak Lukrecja, własną krwią podpisała akt oskarżenia, uczynię to z ochotą!

"— Ach! to zmienia sprawę! — rzekł wróg mój szyderczo. — Na honor! zważywszy wszystko, jest ci tutaj bardzo dobrze, nie braknie ci niczego, i jeżeli zechcesz umrzeć z głodu, będzie to twoją własną winą.

"I rzekłszy to, oddalił się. Słyszałam zgrzyt otwieranych i zamykanych drzwi, poczem zapanowała cisza, i ogarnęło mię, wyznaję to szczerze, nietyle uczucie rozpaczy, ile wstyd, że nie zdołałam się pomścić.

"Prześladowca mój dotrzymał słowa: ani następiego dnia, ani następnej nocy nie zobaczyłam go wcale. Lecz i ja dotrzymywałam słowa, nie jedząc nic, ani nie pijąc, postanowiwszy, jak to powiedziałam, zamorzyć się głodem.

"Dzień i noc spędziłam na modlitwie — w tej nadziei, że Bóg przebaczy mi samobójstwo.

"W drugą noc z rzędu drzwi otwarły się znowu. Leżałam na posadzce, i zaczęły mię już opuszczać siły.

"Słysząc odgłos kroków, uniosłam się na ręku, a w tejże chwili ozwał się głos, brzmiący nazbyt strasznie w mych uszach, bym go nie rozpoznała natychmiast.

"— Może nareszcie uspokoiliśmy się już trochę i jesteśmy gotowi zapłacić obietnicą milczenia za naszą wolność?... Słuchaj! — dodał, — jestem łaskawym panem, a chociaż nie lubię purytanów, to jednak oddaję im sprawiedliwość, podobnie, jak i purytankom, gdy są ładne. A zatem złóż tylko przysięgę na krzyż; nie żądam nic więcej.

"— Na krzyż? — zawołałam, podnosząc się z ziemi, bo już sam dźwięk znienawidzonego głosu podniecił me siły, — na krzyż? Otóż przysięgam, że żadna obietnica, żadna groźba, żadne tortury nie zamkną mi ust; przysięgam na krzyż, że okrzyczę cię wszędzie, jako zbójcę, jako złodzieja czci, jako nikczemnika; przysięgam na krzyż że jeżeli kiedykolwiek się stąd wydostanę, poruszę świat cały, błagając o pomstę nad tobą!

"— Strzeż się! — rzekł groźnie głosem, jakiego nigdy przedtem nie słyszałam. — Pozostaje mi jeszcze jeden niezawodny środek, którego jednak nie chciałbym użyć, chyba w ostatecz-

ności... środek niezawodny, aby ci zamknąć usta, a przynajmniej zapobiedz, by ktoś mógł dać wiarę twoim słowom.

"Zebrałam wszystkie siły i odpowiedziałam mu na to wybuchem śmiechu.

"Zrozumiał, że odtąd trwać będzie między nami wieczysta walka, walka na śmierć i życie.

"— Słuchaj! — rzekł, — pozostawiam ci jeszcze resztę tej nocy i dzień jutrzejszy do namysłu. Zastanów się: przyrzeknij milczeć, a bogactwa, szacunek ludzki, nawet dostojeństwa staną się twym udziałem; natomiast, jeżeli będziesz groziła rozgłosem, skażę cię na hańbę.

"— Pan? — zawołałam, — pan?

"— Na pohańbienie wieczyste, niezmazalne!

"— Pan? — powtarzałam, doznając wrażenia, iż mówi do mnie człowiek szalony.

"— Tak jest, ja! — odpowiedział.

"—Pozostaw mię pan samą! — wołałam, — odejdź bo inaczej w twoich oczach roztrzaskam sobie głowę o ściany!

"— Dobrze! — odpowiedział, — odchodzę, skoro żądasz. A więc do jutra wieczorem!

"— Do jutra! — powtórzyłam, padając na ziemię i gryząc kobierzec z wściekłości..."

Felton oparł się o krzesło, a milady zauważyła z szatańską radością, że mogłoby mu zabraknąć sił przed dokończeniem opowiadania.

LVII.

SCENA Z TRAGEDJI KLASYCZNEJ.

Po chwili milczenia, którą milady poświęciła obszerwowaniu słuchającego jej młodzieńca, zaczęła mówić dalej:

"Od trzech dni nie jadłam już nic, ani nie piłam i cierpiałam strasznie; chwilami jakby chmury jakieś przesłaniały mi oczy i ugniatały czoło. Był to początek obłędu....

"Nadszedł wieczór. Byłam tak osłabiona, że mdlałam co chwila, a po każdem omdleniu zanosiłam gorące dzięki do Boga, sądząc, że zbliża się już ku mnie śmierć-oswobodzicielka.

"Ale podczas jednego z takich omdleń posłyszałam zgrzyt otwieranych drzwi, i przerażenie wróciło mi przytomność.

"Wszedł on w towarzystwie zamaskowanego człowieka; sam również miał maskę na twarzy, i poznałam go jedynie po ruchach, po głosie, wreszcie po wspaniałej postawie, jaką go na zgubę ludzi obdarzyło piekło.

"— Przychodzę — odezwał się do mnie, — aby cię zapytać, czy namyśliłaś się złożyć przysięgę, której wczoraj żądałem?

"— Powiedziałeś pan przecie sam, że purytanie mają tylko jedno słowo. Przysięgę moją już słyszałeś... Będę dochodziła krzywd moich przed ludzkimi trybunałami na ziemi i przed trybunałem Boga w niebie!

"— Więc upierasz się przy swojem?

"— Przysięgam przed Bogiem, który słyszy mój głos, że wzywać będę świat cały na świadka twej zbrodni, dopóki nie znajdę mściciela.

"— Jesteś nierządnicą — krzyknął grzmiącym głosem — i ulegniesz kaźni, przeznaczonej dla nierządnic! Napiętnowana w oczach świata, który pragniesz wezwać na pomoc, spróbuj przekonać ten świat, że nie jesteś występną lub szaloną!

"Po tych słowach zwrócił się do towarzyszącego mu człowieka i rzekł:

"— Możesz spełnić swoją katowską powinność!"

— Och! jego nazwisko!? jego nazwisko!? — wołał Felton, — powiedz mi jego nazwisko!

"Na ten rozkaz kat, pomimo mych krzyków, pomimo oporu, porwał mię w swe ręce, obalił na ziemię i obezwładnił duszącym uściskiem. Zrozumiawszy, że grozi mi coś gorszego, aniżeli śmierć, nawet, prawie nieprzytomna, poczęłam wśród łkania wzywać Boga na ratunek, gdy nagle rozpalone do czerwoności żelazo kata zasyczało na mojem ramieniu, wydzierając z mych piersi jęk bólu i wstydu..."

Felton na te słowa, wzburzony do ostateczności, zgrzytnął zębami.

— Patrz, Feltonie! — mówiła milady, podnosząc się z majestatem królowej, — patrz, jak wygląda pieczęć męczeństwa, którą brutalność zbrodniarza obmyśliła dla młodej niewinnej dziewczyny! Patrz i przekonaj się, co to są serca ludzkie, a może będziesz dotąd mniej powolnem narzędziem mściwości drapieżców.

I przy tych słowach z rumieńcem udanego wstydu rozpięła szybkim ruchem suknię, rozdarła batysty, okrywające pierś, i pokazała młodzieńcowi niezmazalne piętno, hańbiące jej cudne ramię.

— Ależ to kwiat lilii! — zawołał Felton.

— W tem właśnie kryje się cała podłość — odpowiedziała milady. — Gdyby to było piętno angielskie!... trzezaby dowieść któ ry trybunał nakazał je wyryć, a ja odwołałabym się do wszystkich trybunałów królestwa. Ale piętno francuskie!.... Och, tak! zostałam rzeczywiście napiętnowana.

Felton, blady, przejęty do głębi strasznem wyznaniem i oślepiony pięknością tej kobiety, obnażającej się przed nim z bezwstydem, któremu jednak potrafiła nadać wyraz niewinnej szczerości, upadł przed nią na kolana, jak to czynili pierwsi chrześcijanie wobec tych czystych i świętych męczennic, co z woli cezarów, rzucane na areny cyrkowe, służyły ku krwawej uciesze ludu. Nie widział hańby, — widział jedynie czarującą piękność.

— Przebacz! przebacz mi! — wołał.

Milady zaś wyczytała w jego oczach: "Kocham! kocham!"

— Co mam przebaczyć? — zapytała.

— Przebacz, że dopomagałem twoim prześladowcom!

Z uśmiechem niebianki wyciągnęła ku niemu dłoń.

— Tak piękna! tak młoda! — wołał Felton, okrywając jej rękę pocałunkami.

Milady spojrzała na niego jednem z tych spojrzeń, które króla zmieniają w niewolnika.

Felton był purytaninem: puścił rękę milady i począł całować jej nogi. Obecnie nie kochał już, lecz z całem szaleństwem uwielbiał.

Wreszcie, gdy ochłonął nieco, milady udała, że odzyskuje zimną krew, której zresztą nie straciła ani na chwilę, — i Felton ujrzał nieporównane skarby jej ciała,, znikające skromnie pod batystem koszuli; ukrywała jej przed nim milady tak skrzętnie, aby ich tem gorącej pożądał.

— A teraz — rzekł — powiedz mi nareszcie, błagam, jakie jest nazwisko twego istotnego kata.... istotnego, bo tamten drugi był tylko jego narzędziem.

— Bracie mój! — zawołała milady, — czyż trzeba jeszcze wymieniać to nazwisko? czyż sam go dotąd nie odgadłeś?...

— Jakto? — krzyknął Felton, — on!?... jeszcze raz on? zawsze on? Więc tym nędznikiem...

— Tym nędznikiem — dokończyła milady — jest ciemięzca Anglji, prześladowca prawowiernych, podły złodziej czci tylu kobiet, zbrodniarz, który dla kaprysu swego znieprawionego serca każe przelewać tyle krwi angielskiej, który wspomaga dzisiaj protestantów, a jutro ich zdradzi...

— Buckingham? więc Buckingham!? — zawołał w uniesieniu Felton.

Milady ukryła twarz w dłoniach, jak gdyby nie mogła bez uczucia wstydu wspominać tego nazwiska.

— Buckingham katem tej anielskiej istoty?! — wołał Felton. — Boże mój! i Ty nie zniszczysz go piorunem? i Ty pozwoliłeś mu zostać wielkim, czczonym, wszechwładnym, na zgubę nas wszystkich!...

— Bóg opuszcza tych, którzy opuszczają się sami — rzekła milady.

— Więc wywołuje na swą głowę karę, przeznaczoną przeklętym! — wołał Felton z rosnącą egzaltacją, — więc pragnie, aby pomsta ludzka wyprzedziła wyrok sprawiedliwości Bożej!

— Ludzie lękają się go i oszczędzają.

— Och! ja nie będę się ani bał, ani oszczędzał! — mówił Felton.

Milady na to oświadczenie młodego fanatyka uczuła w duszy piekielną radość.

— Ale jakim sposobem lord Winter, mój opiekun, mój ojciec, jest w to wszystko wmieszany?

— Widzisz, Feltonie — odpowiedziała milady, — obok ludzi podłych i zasługujących na pogardę są jeszcze natury wielkie i szlachetne. Miałam narzeczonego, którego kochałam i który mnie kochał. Był obdarzony sercem, podobnem do twego Feltonie; był, jak ty, prawdziwym człowiekiem. Udałam się do niego i opowiedziałam mu wszystko. Znał mię dobrze i ani przez chwilę nie wątpił w moje słowa. Należąc do sfery wielkopańskiej, pod każdym względem stał narówni z Buckinghamem. Na moje oświadczenie nie powiedział nic; przypasał tylko szpadę, wdział płaszcz i udał się do pałacu Buckinghama.

— Tak! — rzekł Felton, — pojmuję.... aczkolwiek z podobnymi ludźmi nie szpady używać należy, lecz sztyletu.

— Buckingham wyjechał dnia poprzedniego, wysłany jako ambasador do Hiszpanji, gdzie miał prosić o rękę infantki dla króla Karola I-go, będącego naówczas jeszcze księcim Walji. Narzeczony mój więc powrócił z niczem. "Słuchaj — rzekł do mnie, — kat twój wyjechał i wskutek tego uniknął na razie mojej zemsty. Połączmy się jednak węzłem małżeńskim, jak to już było postanowione, i bądź spokojną.. pozostaw lordowi Winterowi troskę o honor własny i o honor jego żony."

— Lordowi Winterowi? — wykrzyknął Felton.

— Tak jest — odpowiedziała milady, — lordowi Winterowi. Teraz pojmujesz już wszystko, nieprawdaż? Buckingham prawie przez rok cały przebywał poza granicami Anglji. Na tydzień przed jego powrotem lord Winter zmarł nagle, a ja zostałam jedyną jego spadkobierczynią. Jaka była przyczyna jego śmierci?... Bóg, który wie wszystko, wie i to zapewne; ja nie obwiniam nikogo...

— Och! jakież to piekło, jakie piekło! — wołał Felton.

— Lord Winter umarł, nie powiedziawszy nic swemu bratu. Straszliwa tajemnica miała pozostać ukrytą przed wszystkimi dopókiby, jak piorun, nie spadła na głowę winnego. Opiekun twój niechętnem patrzył okiem na małżeństwo swego starszego brata z ubogą dziewczyną. Czułam to dobrze, że nie mogę spodziewać się opieki uczłowieka, zawiedzionego w nadziejach otrzymania spadku; wyjechałam więc do Francji, zamierzając

przepędzić tam resztę swego życia. Że jednak całe moje mienie znajduje się w Anglji, a komunikacja z powodu wojny jest utrudniona, zaczęło mi brakować wszystkiego, i oto byłam zmuszona wrócić tutaj.

— Poto, by cierpieć dalej — rzekł Felton.

— Buckingham dowiedział się widocznie, że wracam; wezwał więc do siebie lorda Wintera, już i tak względem mnie uprzedzonego, i oświadczył mu zapewne, że jego bratowa jest nierządnicą, kobietą napiętnowaną... Czysty i szlachetny głos mego męża nie mógł się już odezwać w mojej obronie. Lord Winter, uwierzywszy we wszystko, co mu powiedziano, i to tem łatwiej, że łączył się z tem jego własny interes, kazał mię uwięzić, sprowadzić tutaj i powierzył tobie straż nademną. Resztę już wiesz: pojutrze spełni się wyrok, skazujący mię na wygnanie, na deportację; pojutrze wtrącą mię pomiędzy zbrodniarki.... Och! spisek dobrze został uknuty, podstęp zręcznie obmyślony! Czci mojej nie odzyskam już nigdy... Widzisz zatem Feltonie, że śmierć moja jest nieunikniona.... Daj mi ten nóż, Feltonie! — prosiła wyciągając dłoń ku niemu.

Ale przy tych słowach, jak gdyby z nerwowego wyczerpania, milady osunęła się słaba i omdlewająca w ramionea młodego oficera, który, przejęty do głębi całą tą historją i wzburzony nieznaną mu jeszcze żądzą, pochwycił ją w ramiona i przycisnął do serca, drżąc na całem ciele pod wpływem oddechu jej cudnych ust i dotknięcia falującego gwałtownie łona.

— Nie! — zawołał. — Musisz żyć dalej, czysta, otoczona szacunkiem, i będziesz żyła, aby upokorzyć swych wrogów!

Milady odsuwała go łagodnie ręką od siebie, wabiąc jednocześnie spojrzeniem, wobec czego Felton, nie wypuszczał jej z objęć i pałającym wzrokiem patrzył w nią, jak w bóstwo.

Ona zaś z przymkniętemi oczyma wołała słabnącym głosem:

— Och! śmierci! śmierci pragnę! Znicestwienie lepsze jest od hańby... Feltonie, bracie mój, przyjacielu! zaklinam cię!

— Nie! — odparł Felton, — musisz żyć i będziesz pomszczona.

— Feltonie, ja sprowadzam nieszczęście na tych którzy mię otaczają! Feltonie, idź odemnie! pozwól mi umrzeć!

— Dobrze więc! umrzemy razem! — zawołał, tuląc wargi do ust uwięzionej.

W tej chwili zapukano kilkakrotnie do drzwi. Tym razem milady odepchnęła go naprawdę.

— Słyszysz? — rzekła. — Podsłuchano nas... Ktoś nadchodzi! Stało się! jesteśmy zgubieni!

— Nie — uspokajał Felton, — to tylko straż daje znak, że patrol się zbliża.

— Biegnij więc i sam otwórz drzwi.

Felton usłuchał, oddany już tej kobiecie wszystkiemi swemi myślami i całą duszą. W korytarzu przed drzwiami stał sierżant, dowodzący patrolem.

— Co się stało? — zapytał go młody porucznik.

— Rozkazałeś mi, poruczniku, otworzyć drzwi, gdybym usłyszał wołanie o pomoc — odpowiedział żołnierz; — zapomniałeś jednak zostawić mi klucz. Teraz słysząc twoje podniecone słowa, sądziłem, że wzywasz mię, poruczniku; a że drzwi były zamknięte od wewnątrz, więc przywołałem sierżanta.

— Jestem na rozkazy — rzekł sierżant.

Felton stał oszołomiony, prawie nieprzytomny, nie mogąc przemówić słowa. Milady pojęła natychmiast, że musi ratować sytuację. Podbiegła do stołu i, chwytając nóż, pozostawiony przez Feltona, zawołała:

— Jakiem prawem przeszkadzasz mi pan umrzeć?!

— Wielki Boże! — krzyknął Felton, spostrzegłszy nóż, błyszczący w jej ręku.

A jednocześnie zabrzmiał w korytarzu szyderczy śmiech, i na progu ukazał się baron w porannem ubraniu, ze szpadą pod pachą, widocznie zwabiony hałasem.

— Aha! — rzekł, — dochodzimy, jak widzę, do ostatniego aktu tragedji. Widzisz, Feltonie; dramat przechodził wszystkie momenty, jakie ci zapowiedziałem. Ale bądź spokojny; obejdzie się tu bez rozlewu krwi.

Milady pojęła, że będzie zgubiona, jeżeli nie da Feltonowi bezpośredniego i przerażającego dowodu swej odwagi.

— Mylisz się, milordzie! Niech popłynie krew moja i niech spadnie na głowy tych, którzy doprowadzili do jej rozlewu!

To mówiąc, milady ugodziła się w pierś nożem, a jednocześnie Felton z okrzykiem przerażenia rzucił się ku niej — zbyt późno, aby jej w ten przeszkodzić.

Lecz uderzenie noża było wcale zręczne, gdyż ostrze jego trafiło na żelazną brykle gorsetu, niby na pancerz, i ześlizgnęło

się po niej, rozdzierając suknię i raniąc ciało na ukos między żebrami.

Suknia milady w jednej chwili zabarwiła się krwią, a komedjancka samobójczyni padła na wznak, udając zemdlenie.

— Felton wyrwał jej nóż z ręki i zrozpaczony zawołał:

— Patrz, milordzie! powierzyłeś, ją mojej pieczy, a jednak nie mogłem dopilnować i odebrała sobie życie...

— Bądź o nią spokojny, Feltonie — oświadczył lord Winter. — Szatany nie giną tak łatwo... Uspokój się i idź do mego pokoju, a ja wnet tam przybędę.

— Ależ, milordzie....

— Idź! rozkazuję ci!

Na te stanowcze słowa swego zwierzchnika Felton oddalił się zabierając z sobą nóż i kryjąc go na piersi.

Lord Winter posłał żołnierza po służebną, a skoro przyszła, polecił jej zaopiekować się ranną, która ciągle jeszcze leżała zemdlona, i oddalił się, zostawiając je same. Dla wszelkiej jednak pewności, na wypadek, gdyby rana milady była istotnie niebezpieczną, wysłał natychmiast służącego na koniu, aby sprowadził lekarza.

LVIII.

UCIECZKA.

Oczywiście rana milady, jak to przewidywał lord Winter, nie była niebezpieczna. Zaledwo niedoszła samobójczyni znalazła się sam-na-sam z usługującą jej kobietą i została przez nią rozebrana, otwarła oczy. Wypadało jej jednak teraz z kolei rzeczy grać rolę osłabionej i cierpiącej, co zresztą dla tak doskonałej aktorki, jak milady, nie przedstawiało bynajmniej trudu. To też biedna kobieta, oszukana pozorami, uparła się, wbrew usilnym prośbom uwięzionej, czuwać przy niej przez noc całą.

Obecność wszakże służebnej nie przeszkadzała milady w rozmyślaniach.

Nie ulegało już wątpliwości, że Felton został ostatecznie usidlany, że Felton należał do niej zupełnie. Gdyby nawet anioł zstąpił z nieba, aby oskarżyć milady, młody człowiek w sumieniu swem uważałby go z pewnością za wysłannika szatana.

Na myśl o tem uśmiech radości błąkał się na ustach milady, — Felton bowiem był obecnie jedyną jej nadzieją, jedyną drogą ratunku.

Lord Winter wszakże mógł pozwiązć co do młodego oficera jakieś podejrzenia, i być może — kazał go teraz pilnować.

Około godziny czwartej rano przybył lekarz. Ponieważ jednak tymczasem rana milady już się była zasklepiła, nie mógł ani zmierzyć jej głębokości, ani oznaczyć jej kierunku; zbadał więc tylko puls chorej i na tej podstawie uznał, że niema obawy o jej życie.

Rano milady, spodziewając się, że w porze śniadania przyjdzie Felton, odprawiła czuwającą przy niej kobietę pod pozorem ulitowania się nad nią, że nie spała przez noc całą i potrzebuje wypoczynku.

Felton jednak nie zjawił się wcale.

Czyżby sprawidziły się jej obawy? Czyżby skutkiem podejrzeń barona miało jej zbraknąć Feltona w rozstrzygającej chwili? Jeden dzień pozostawał jej już tylko: lord Winter zapowiedział, że dnia 23-go wsadzi ją na statek, — a oto nadszedł już poranek 22-go.

Oczekiwała wszakże jeszcze cierpliwie do południa.

Aczkolwiek rano nie tknęła śniadania, o zwykłej porze przyniesiono jej obiad. Przy tej jednak sposobności milady z przerażeniem spostrzegła, że strażnicy umundurowani byli inaczej. Odważyła się zapytać, co się stało z Feltonem; odpowiedziano jej, że wsiadł przed godziną na konia i pojechał.

Zapytała jeszcze, czy baron jest w zamku; żołnierz odpowiedział jej twierdząco i oznajmił, że ma polecenie zawiadomienia milorda, gdyby uwięziona pragnęła z nim mówić. Milady jednak oświadczyła, że w tej chwili nie posiada jeszcze dość sił do rozmowy i że pragnie jedynie, aby pozostawiono ją samą.

Zastawiwszy obiad, żołnierz oddalił się.

A więc — myślała milady — usunięto od niej Feltona i zastąpiono marynarzy żołnierzami z pod innego znaku, co najwyraźniej dowodzi, że młody oficer stracił zaufanie swego przełożonego.

—Był to ostatni cios, zadany uwięzionej.

Pozostawszy samą, wstała z łóżka, które paliło ją, jak rozżarzone żelazo, a w którem dotychczas pozostawała jedynie przez roztropność, by zachować pozór osoby ciężko ranionej. Spojrzała kudrzwiom i zauważyła, że okienko, znajdujące się w nich, zostało założone od zewnątrz deską. Widocznie baron obawiał się, aby za pomocą jakiegoś szatańskiego sposobu nie uwiodła przez ten otwór jeszcze kogoś ze straży.

Uśmiechnęła się złośliwie. Teraz mogła już nie krępować się z objawami nurtujących jej duszę uczuć, gdyż nie było obawy, że ją podpatrzą. W gniewnem podnieceniu poczęła biegać po pokoju, niby oszalała furjatka lub tygrysica, zamknięta w żelaznej klatce. Gdyby pozostawiono jej nóż, przemyśliwałaby teraz nie nad tem, aby sobie samej odebrać życie, lecz nad tem, jakby nim ugodzić barona.

O godzinie szóstej wszedł on do jej pokoju, uzbrojony od stóp do głów. Do chwili swego uwięzienia miała go milady za dość głupiego szlachetkę; teraz z każdą chwilą przekonywała się coraz bardziej, że człowiek ten jest genjalnym dozorcą wię-

ziennym, przewidującym wszystko, odgadującym myśl wszelką i umiejącym wszystkiemu zapobiedz.

Zaledwo spojrzał na milady, pojął, co się dzieje w jej duszy.

— Aha! — rzekł, dzisiaj nie zdołasz mię pani zabić; jesteś bezbronna, a ja mam się na baczności. Zaczęłaś przewracać w głowie mojemu biednemu Feltonowi, i uległ już twym szatańskim wpływom; ale postanowiłem go ocalić, i nie ujrzysz go tu już więcej. Przygotuj swoje kufry podróżne; jutro wyruszysz w drogę. Naznaczyłem termin odjazdu na dzień 24-ty; ale doszedłem do przekonania, że im rychlej to nastąpi, tem będzie pewniejsze. Jutro w południe otrzymam rozkaz deportacji, podpisany przez Buckinghama. Niewolno ci odtąd odzywać się do nikogo, i na pierwsze twoje słowo, wyrzeczone dokogokolwiek, sierżant mój ma polecone roztrzaskać ci głowę. Gdyby zaś na statku przyszła ci ochota rozmawiać z kimś bez pozwolenia kapitana, zostaniesz wrzucona w morze; to postanowione. Do zobaczenia zatem! Oto wszystko, co pragnąłem ci dziś powiedzieć. Jutro przyjdę tu jeszcze, aby cię pożegnać.

Rzekłszy to, baron wyszedł, i milady, która całej tej groźnej przemowy wysłuchała z uśmiechem pogardy na ustach a z wściekłością w duszy, pozostała sama.

Gdy podano wieczerze, uczuła potrzebę pokrzepienia sił, tem bardziej, że noc zapowiadała się groźnie, gdyż po niebie toczyły się ciężkie chmury, a dalekie błyskawice zwiastowały burzę, która mogła jej sen odebrać.

Około dziesiątej zahuczały pioruny, i milady doznała uczucia, że przyroda usiłuje dostroić się do tego, co się dzieje w jej sercu; zdawało się jej, że wicher targa nią, jak targa drzewami, odzierając je z gałęzi i ogołacając z liści; jęczała też dziko, jak orkan, a głos jej ginął w zamęcie głosów przyrody, która również zdawała się jęczeć i skarżyć.

Nagle usłyszała puknięcie w szybę i w świetle błyskawicy ujrzała poza kratami twarz ludzką.

Podbiegła do okna i otworzyła je.

— Felton! — krzyknęła. — Więc jestem uratowana!

— Tak, to ja — odparł Felton. — Lecz cicho! na Boga! Potrzebuję czasu na przepiłowanie krat. Uważaj, aby cię nie spostrzeżono przez okienko we drzwiach.

— Och! — zawołała milady, — okienko to zabito dzisiaj deską. To nowy dowód, że Bóg nam dopomaga, Feltonie.

— Tak, Bóg im rozum odebrał — rzekł młody purytanin.

— Co mam czynić? — pytała milady.

— Nic! Zamknij tylko okno i udaj się na spoczynek, lub przynajmniej połóż się w ubraniu na łóżku. Skoro ukończę pracę, zastukam w szybę. Ale czy zdołasz pójść za mną?

— Och! podołam wszystkiemu.

— A rana?

— Sprawia mi dużo cierpienia, lecz nie przeszkodzi w ucieczce.

— Bądź więc gotowa na pierwszy mój znak.

Milady zamknęła okno, zgasiła lampę i, posłuszna zaleceniu Feltona, położyła się w ubraniu do łóżka. Wśród huku burzy słyszała kiedy-niekiedy zgrzyt piły, przecinającej kratę, a w świetle każdej błyskawicy dostrzegała poza szybami cień Feltona.

Tak minęła godzina, podczas której milady, prawie bez tchu, oblewała się zimnym potem przy każdym szmerze, zasłyszanym na korytarzu. Była to dla niej jedna z tych chwil, które w pewnych okolicznościach wydają się długiemi, jak całe lata.

Po upływie godziny Felton zastukał powtórnie.

Milady zerwała się z łóżka i pobiegła otworzyć okno. Wskutek wypiłowania dwóch krat powstał w niem otwór, przez który człowiek mógł się przesunąć.

— Czy jesteś gotowa? — spytał Felton.

— Tak. Czy mam zabrać co z sobą?

— Złoto, o ile je posiadasz.

— Owszem; na szczęście, pozostawiono mi to, co miałam przy sobie.

— Tem lepiej. Ja bowiem wydałem wszystkie swoje pieniądze na wynajęcie barki.

— Weź więc to — rzekła milady, podając mu kieskę, pełną luidorów.

Felton wziął woreczek i rzucił go na dół pod mur.

— A teraz chodź — rzekł cicho.

— Jestem gotowa.

I milady stanęła na krześle, a przesunąwszy się do połowy ciała przez otwór, spostrzegła, że młody oficer wisi nad przepaścią na sznurowej drabince.

Na ten widok dreszcz wstrząsnął nią całą. Poraz pierwszy w życiu ulękła się, jak prawdziwa kobieta.

— Spodziewałem się tego — rzekł Felton, dostrzegłszy trwogę w oczach milady.

— To nic, to nic! — szeptała, — zejdę z zamkniętemi oczyma.

— Czy ufasz mi całkowicie? — spytał Felton.

— Och! pytasz jeszcze?!

— Daj mi więc ręce i złóż nakrzyż.

Milady podała ręce, a Felton związał je w kostkach chustką i następnie powyżej chustki sznurem.

— Poco to? — zapytała milady, zdziwiona.

— Zarzuć mi teraz ręce na szyję i nie obawiaj się niczego.

— Ach, Feltonie! stracisz równowagę, i oboje runiemy w przepaść.

— Bądź spokojna; jestem marynarzem.

Nie było chwili do stracenia. Milady założyła ręce na szyję młodego człowieka i pozwoliła mu wyciągnąć się przez okno.

Felton powoli, krok za krokiem, począł schodzić po drabince ze swym żywym ciężarem, a huragan bujał ich ciałami w powietrzu.

Nagle młody oficer zatrzymał się.

— Co się stało? — zapytała milady.

— Cicho! — szepnął Felton. — Słyszę odgłos czyichś kroków.

— Odkryto nas!

Przez chwilę nasłuchiwali.

— Nie; niema obawy — rzekł wreszcie Felton.

— A ten odgłos kroków?

— To patrol.

— Gdzie?

— Pod nami.

— Więc dostrzegą nas!

— Nie dostrzegą, bo przestało się już łyskać.

— Mogą przypadkiem trafić na koniec drabiny.

— Na szczęście, jest zakrótka o sześć stóp.

— Nadchodzą już! o Boże!

— Cicho!

Wisieli tak czas jakiś na drabinie, nie poruszając się, nie oddychając prawie, na wysokości dwudziestu stóp nad ziemią. Tymczasem patrolujący żołnierze przeszli pod niemi, śmiejąc się i gawędząc ze sobą.

Straszna to była dla obojga chwila, i dopiero, gdy słabnący odgłos kroków ucichł zupełnie, w zbiegów wstąpiła otucha.

— Jesteśmy uratowani — rzekł Felton.

Milady westchnęła i omdlała.

Gdy Felton zeszedł na ostatni szczebel i nie znalazł już oparcia pod nogami, począł opuszczać się niżej na rękach, aż wreszcie zawisnął przez chwilę na samym końcu drabiny i puścił ją, zeskakując na ziemię. Podniósły następnie worek z pieniędzmi, chwycił go w zęby, a milady ujął w silne swe ramiona i począł się szybko oddalać w kierunku przeciwnym patrolowi. Niebawem zboczył z drogi, zeszedł na dół po skałach i, stanąwszy na brzegu morza, zaświstał.

Odpowiedziało mu podobne hasło, a w pięć minut później z ciemności nocnych wyłoniła się na morzu barka z czterema wioślarzami i zatrzymała się w pewnej odległości od brzegu, gdyż mielizna nie pozwoliła jej podpłynąć bliżej.

Felton ze swym żywym ciężarem wszedł w wodę, która mu po pas sięgała, i skierował się ku barce.

Burza, na szczęście, ustawała, a choć morze było jeszcze niespokojne, zaś mały statek skakał po falach, jak łupina orzecha, młody człowiek dobrnął do niego szczęśliwie, i oddawszy milady w ręce wiośladzy, sam wskoczył do barki.

— Odbijać! — zakomenderował — i wiosłować żywo!

Czterej marynarze chwycili za wiosła, i barka, skacząc po wzburzonych falach, oddaliła się od zamku.

Noc czarna osłoniła płynących, i w ciemnościach nie można było niemal rozróżnić krańców statku, — tem bardziej więc trudno było przypuszczać, aby łódź mogła być dostrzeżoną z wybrzeża.

Wkrótce przed oczyma płynących zarysowała się na morzu jakaś ogromna czarna masa.

Był to okręt.

Podczas, gdy barka zbliżała się ku niemu całym wysiłkiem ramion czterech wiośladzy, Felton rozwiązał sznur i chustkę, krępującą ręce milady, a następnie, zaczerpnąwszy z morza trochę wody, bryznął nią na twarz omdlałej.

Milady westchnęła i otworzyła oczy.

— Gdzie jestem? — zapytała.

— Jesteś ocalona — odrzekł młody oficer.

— Och! ocalona! ocaloną! Tak! widzę niebo, widzę morze! I to powietrze, którem oddycham, mówi mi o wolności... Dzięki ci, Feltonie! dzięki.

Młodzieniec przytulił ją do piersi.

— Ale co się dzieje z mojemi rękami? — pytała milady. — mam wrażenie, jakgdyby były pogruchotane w kostkach.

Istotnie ręce milady zdrętwiały zupełnie, i ledwie mogła je podnieść.

Felton obejrzał piękne te ręce i rzekł z rozrzewnieniem:

— Niestety! nie można było tego uniknąć.

— Och! nic to strasznego! — zawołała milady. — Teraz przypominam już sobie wszystko!

Rozejrzała się dokoła.

Tam leży — rzekł Felton, trącając nogą — worek z pieniędzmi.

Gdy się zbliżono do okrętu, majtek, stojący na straży, odezwał się; z barki odpowiedziano.

— Jaki to statek? — spytała milady, gdy się zbliżono do okrętu.

— Wynająłem go dla ciebie.

— Dokądże on mię zawiezie?

— Dokąd zechcesz, bylebyś kazała wysadzić mię na ląd w Portsmouth.

— W jakimże celu udajesz się do Portsmouth? zapytała.

— Aby wypełnić rozkazy lorda Wintera — odrzekł Felton ze smutnym uśmiechem.

— Jakie rozkazy?

— Czyż nie domyślasz się?

— Nie. Wytłumacz mi to, proszę.

— Nie ufał mi, więc postanowił sam cię dopilnować; mnie natomiast polecił udać się do Buckinghama po podpis na rozporządzeniu twej deportacji.

— Ale, jeżeli ci nie ufał. dlaczego powierzył ci to zadanie?

— Był pewny, że nie wiem, co wiozę.

— To prawdopodobne. Więc okręt ten wysadzi cię w Portsmouth?

— Tak. I nie mogę tracić czasu, gdyż dzisiaj jest już 23-ci, a jutro Buckingham na czele floty odpływa z Anglji.

— Jutro? i dokądże to?

— Pod Rochellę.

— On nie powienien odpłynąć — zawołała z mocą miłady, zapominając o zwykłe przezorności.

— Bądź spokojna! — odparł Felton; — nie odpłynie...

Na te słowa milady aż drgnęła z radości. Otwarły się przed nią najtajniejsze głębie młodzieńczego serca i wyczytała w nich..... śmierć Buckinghama.

— Feltonie! — rzekła, — jesteś wielki, jak Juda Machabeusz!... I gdybyś musiał umrzeć, umrę wraz z tobą. Oto, co ci z rozkoszą oświadczam!

— Cicho! — odezwał się Felton. — Jesteśmy u celu.

Istotnie barka przybiła w tej chwili do statku.

Felton wszedł pierwszy na drabinę i podał rękę milady, którą podtrzymywali marynarze, albowiem morze było jeszcze bardzo wzburzone.

W chwilę później stanęli na pokładzie okrętu.

— Kapitanie! — rzekł Felton, — oto osoba, o której ci mówiłem,, a którą masz pan przewieźć do Francji w zdrowiu i bezpieczeństwie.

— Za cenę tysiąca pistolów — zauważył kapitan.

— Pięćset już wypłaciłem panu.

— Istotnie — rzekł kapitan.

— A oto drugie pięćset — oświadczyła milady, sięgając do sakiewki.

— Nie! — przerwał kapitan, — umowa może być tylko jedna, a ja zawarłem ją już z tym młodym panem; drugie pięćset pistolów należeć mi się będą dopiero z chwilą przybycia do Boulogne.

— A czy dopłyniemy tam?

— Zdrowo i szczęśliwie — rzekł kapitan; — zaręczam honorem Jakóba Buttlera.

— Dobrze! — odpowiedziała milady. — Ufam pańskiemu słowu. I jeżeli go pan dotrzymasz, dam ci nie pięćset, lecz tysiąc pistolów.

— Niech żyje piękna pani! — zawołał kapitan. — Oby Bóg raczył mi częściej zsyłać tak zacne osoby, jak Wasza Łaskawość.

— Tymczasem — rzekł Felton — zawieziesz nas pan do tej małej zatoki.... wiesz pan zresztą, dokąd, bo mówiliśmy już o tem.

Zamiast odpowiedzi, kapitan dał załodze odpowiednie rozkazy i okręt podniósł kotwicę.

Podczas tej przeprawy Felton opowiedział milady zdarzenia ostatniej doby. Oto, zamiast udać się odrazu z poleceniem lorda Wintera do Londynu, wynajął ten mały statek, wrócił pod zamek i, wbijając w mur od strony okna jej pokoju żelazne klamry, by znaleźć oparcie dla nóg, dostał się do krat okna, u których umocował drabinę sznurową. Reszta była już milady wiadoma.

Obawiając się, czy Felton wytrwa w powziętym zamiarze zamordowania Buckinghama, postanowiła milady umocnić go w tem. Lecz, zaledwo zaczęła o tem mówić, przekonała się, że młodego fanatyka trzeba raczej miarkować, niż podtrzymywać w zamiarze.

Umówiono się w końcu, że milady będzie czekała na Feltona do godziny dziesiątej przed południem, — a gdyby nie powrócił do tego czasu, wyruszy w drogę. On zaś, o ile wpadnie w ręce sprawiedliwości. natychmiast po zamachu podąży za nią do Francji i połączy się z nią w klasztorze Karmelitanek w Bethune.

Około godziny siódmej rano statek, wiozący milady i Feltona, zarzucił kotwicę w oznaczonej przez niego zatoce.

LIX.

SO SIĘ WYDARZYŁO W PORTSMOUTH DNIA 23 SIERPNIA 1628 ROKU.

Felton pożegnał się z milady w taki sposób, jak się żegna brat z siostrą, udając się na zwyczajną przechadzkę: pocałował ją w rękę.

Wydawał się, jak zazwyczaj, zupełnie spokojnym, tylko w oczach migotały mu błyski, jak to bywa w gorączce, a czoło miał bledsze, niż zwykle; przytem zaciskał zęby, a przemawiał tonem krótkim i urywanym, co wskazywało, że kłębią mu się w duszy ponure myśli.

Dopóki stał na czółnie, wiozącem go ku wybrzeżu, co chwila zwracał oczy w stronę milady, która, stojąc na pomoście, ścigała go również spojrzeniem. Nie obawiali się pościgu, gdyż służba wchodziła rano do pokoju milady dopiero około godziny dziewiątej, a przebycie drogi z zamku do Londynu wymagało trzech godzin czasu.

Felton wysiadł na ląd, wszedł na mały nadbrzeżny pagórek i, ruchem ręki pozdrowiwszy milady poraz ostatni, skierował się ku miastu. Po przebyciu stu kroków, gdy się jeszcze odwrócił, by posłać jej ostatnie spojrzenie, nie mógł dojrzeć nic więcej, prócz masztów okrętu, gdyż wzniesione łagodnie wybrzeże zasłoniło mu powierzchnię morza.

Przyspieszywszy kroku, skierował się w stronę Portsmouth, którego wieżyce i domy rysowały się przed nim w mgłach porannych w odległości mniej-więcej pół mili.

Poza miastem morze pokryte było statkami, których maszty kołysały się za podmuchem wiatru, podobne lasowi topól, ogołoconych z liści zimową porą.

Felton, idąc szybko naprzód, rozmyślał o tych wszystkich zarzutach, prawdziwych czy zmyślonych, jakie czyniono ulubieńcowi Jakóba VI i Karola I-go, a które niejednokrotnie dochodziły do jego uszu podczas dwóch lat rozmyślań i długiego pobytu

wśród purytanów. Porównywał zbrodnie publiczne tego ministra, zbrodnie rozgłośne, zbrodnie, możnaby powiedzieć, europejskie, ze zbrodniami życia prywatnego, zbrodniami nieznanemi, o jakich mówiła milady, — i doszedł do przekonania, że z dwóch osobowości Buckinghama, publicznej i prywatnej, gorszą była ta ostatnia, ukryta przed okiem świata. Miłość młodego zapaleńca, to uczucie tak mu dotąd obce, tak nowe a tak płomienne, spowodowało, że wszelkie możliwe i niemożliwe czyny Buckinghama, dzięki podłym a zmyślonym oskarżeniom milady, przedstawiały mu się tak, jak się przedstawiają poprzez szkła mikroskopu drobne żyjątka — w przerażająco potwornych kształtach.

Szedł szybko, z jakimś nerwowym pośpiechem, co mu jeszcze bardziej rozpalało krew w żyłach, a niepokojąca myśl, że tam, poza nim, została kobieta, ścigana przez okrutną zemstę, kobieta, którą czcił, jak świętą, — myśl ta obok przeżytych ponad miarę uczuć ludzkich potęgowała jego podniecenie.

Przybył do Portsmouth około godziny ósmej rano. Całe miasto znajdowało się już w ruchu, na ulicach i w porcie bębniono pobudkę, a oddziały wojska, mające wsiąść na okręty, spieszyły ku morzu.

Okryty kurzem i zlany potem, stanął wreszcie Felton w pałacu Admiralicji, a krew mu biła do głowy, gorącym rumieńcem pokrywając bladą zazwyczaj twarz jego. Straż pałacowa zagrodziła mu drogę, lecz Felton wezwał dowodzącego i, wyjmując z kieszeni list, rzekł krótko:

— Pilnie zlecenie od lorda Wintera.

Ponieważ wiedziano powszechnie, że lord Winter jest jednym z najbardziej zaufanych przyjaciół Jego Wysokości, więc dowódca straży wydał rozkaz wpuszczenia Feltona, który zresztą był w mundurze oficera marynarki.

Młody człowiek wbiegł gorączkowo do pałacu.

Jednocześnie zaś z nim wpadł śpiesznie do przedsionka pałacu jakiś inny człowiek, również okryty kurzawą i bez tchu prawie z powodu zmęczenia; jak zaś dalece spieszyło mu się tutaj, dowodziło to, iż koń pocztowy, na którym przybył, padł przed bramą z wyczerpania na oba kolana.

Felton i nieznajomy zwrócili się równocześnie do Patryka, zaufanego pokojowca księcia. Felton wymienił nazwisko lorda Wintera; nieznajomy nie chciał powiedzieć, kto go przysyła, i

oświadczył, że wyjawić to może jedynie księciu. Obaj zaś domagali się o pierwszeństwo widzenia się z księciem.

Patryk, wiedząc, że lord Winter pozostaje z księciem nietylko w stosunkach służby wojskowej, ale i w przyjaźni, oddał pierwszeństwo temu, który przybywał w jego imieniu. Nieznajomy musiał zaczekać, choć łatwo można było zauważyć jaką mu ta zwłoka czyni różnicę.

Pokojowiec przeprowadził Feltona przez wielką salę, gdzie oczekiwała deputacja mieszkańców Rochelli z księciem de Soubise na czele, i wszedł do gabinetu, gdzie Buckingham po kąpieli przebierał się we wspaniałe swe szaty, co czynił zazwyczaj z wielką starannością.

— Porucznik Felton, wysłannik lorda Wintera! — oznajmił Patryk.

— Wysłannik lorda Wintera! — powtórzył Buckingham. — Niech wejdzie.

Felton wszedł do gabinetu w chwili gdy Buckingham zrzucał na kanapę bogaty strój poranny, haftowany złotem, aby przywdziać wyszyty perłami kaftan z błękitnego aksamitu.

— Dlaczego baron nie przybył sam? — spytał Buckingham. — Oczekiwałem go dzisiaj rano.

— Baron de Winter polecił mi oznajmić Waszej Dostojności — odparł Felton, — że było mu niezmiernie przykro wyrzec się tego zaszczytu, ale nie mógł opuścić zamku, gdyż osobiście musi tam pełnić straż.

— Tak — rzekł Buckingham, — wiem o tem; ma tam jakąś uwięzioną.

— O tej właśnie uwięzionej pragnę mówić z Waszą Dostojnością — oświadczył Felton.

— Proszę, niech pan mówi.

— Tylko ty sam, milordzie, możesz wysłuchać tego, z czem tu przybywam.

— Patryku, zostaw nas samych — rzekł Buckingham, — ale bacz przy drzwiach na odgłos dzwonka; niebawem cię zawołam.

Patryk wyszedł z pokoju.

— Jesteśmy sami — oświadczył książę; — niech pan mówi.

— Milordzie! — rzekł Felton, — lord Winter pisał już do Waszej Dostojności, prosząc o rozkaz deportacji, jakiej ma uledz pewna kobieta, nazwiskiem Karolina Backson.

— Tak jest, i odpowiedziałem mu, że podpiszę ten rozkaz, skoro mi go przyniesie lub przyśle.

— Oto jest ten dokument, milordzie.

— Daj pan — rzekł książę.

I wziąwszy papier z ręki Feltona, przebiegł go szybko oczyma, a następnie, kładąc na stole, wziął pióro do ręki, by położyć na dokumencie swój podpis, — gdy Felton zapytał go:

— Przepraszam, milordzie! Czy Wasza Dostojność wie o tem, że wymienione tu nazwisko Karoliny Backson nie jest prawdziwem nazwiskiem tej młodej kobiety?

— Tak jest, wiem — odpowiedział książę, zanurzając pióro w kałamarzu.

— A czy Wasza Dostojność zna jej prawdziwe nazwisko? — zapytał Felton krótkim, suchym tonem.

— Znam.

Na to oświadczenie Felton zbladł. Książę zbliżył pióro do papieru.

— I znając to nazwisko, Wasza Dostojność podpisze jednak ten dokument? — spytał młody oficer.

— Oczywiście — rzekł Buckingham; — podpisałbym chętnie nawet dwa razy.

— Nie mogę w to uwierzyć — rzekł Felton rwącym się głosem, — aby Wasza Dostojność wiedział, że chodzi tutaj o lady Winter....

— Wiem doskonale... choć dziwię się doprawdy, że i panu to wiadomo!

— I Wasza Dostojność podpisze ten wyrok bez wyrzutów sumienia?

Buckingham spojrzał dumnie na młodego człowieka.

— Zadajesz mi, mój panie, dziwne zapytania — rzekł, mierząc go wzrokiem z góry do dołu, — i doprawdy jestem bardzo cierpliwy, odpowiadając na nie.

— Odpowiedz mi jednak, mości książę! — prosił Felton. — Położenie jest groźniejsze, aniżeli może sądzisz.

Na te słowa Buckingham, w przypuszczeniu, że młody człowiek, jako wysłannik lorda Wintera, przemawia tak w jego imieniu, odpowiedział łagodniejszym już tonem:

— Podpiszę bez żadnego wyrzutu sumienia. Tak baron, jak i ja, wiemy dobrze, że lady Winter jest zbrodniarką i że, skazując ją tylko na deportację, wyświadcza się jej niemal łaskę.

Książę dotknął pióro do papieru.

— Nie podpiszesz tego wyroku, milordzie! — zawołał Felton, postępując krok naprzód.

— Nie podpiszę? — zapytał Buckingham. — I dlaczegóżto nie miałbym podpisać?

— Bo namyślisz się, milordzie, i postąpisz względem milady sprawiedliwie.

— Postąpię sprawiedliwie, wysyłając ją do Tyburnu — rzekł Buckingham. — Milady jest nędznicą!

— Milordzie! milady jest aniołem; ty sam wiesz o tem najlepiej... I dlatego żądam jej uwolnienia.

— Cóż to? — rzekł podniesionym głosem Buckingham, — oszalałeś pan, że śmiesz się odzywać do mnie w ten sposób?

— Wybacz, milordzie! Mówię, jak umiem, i staram się panować nad sobą. Ale zastanów się, milordzie, co zamierzasz uczynić, i strzeż się, abyś nie przebrał miary!

— Co?! — zawołał Buckingham. — Zdaje mi się, że mi też człowiek grozi!

— Nie, milordzie; ja proszę jeszcze i powiadam: kropla wody wystarcza, aby przepełnić czarę; drobny występek może ściągnąć karę na głowę, oszczędzaną dotąd, mimo nieprzeliczonych zbrodni....!

— Poruczniku Feltonie! — oświadczył Buckingham, — wyjdziesz pan stąd natychmiast i udasz się do obozowego więzienia!

— Wysłuchaj mię do końca, milordzie. Uwiodłeś młodą dziewczynę, znieważyłeś ją, splamiłeś!.... Napraw teraz swą względem niej zbrodnię i wypuść ją na wolność, a nie będę nic więcej żądał od ciebie.

— Nie będziesz pan żądał? — rzekł Buckingham, spoglądając z gniewem zdumieniem na Feltona i podkreślając każdą zgłoskę tych czterech słów.

— Milordzie! — mówił Felton z rosnącem podnieceniem, — milordzie! miej się na baczności! Cała Anglja jest znużona twymi występkami! Milordzie! nadużyłeś królewskiej władzy, którą przywłaszczyłeś sobie bezprawnie! Milordzie! jesteś znienawidzony przez ludzi i wstrętny Bogu!.... Bóg ukarze cię później, ale ja.... ja ukarzę cię dzisiaj jeszcze!

— Cóż to jest?! — zawołał Buckingham, zmierzając ku drzwiom.

Felton jednak zagrodził mu drogę.

— Błagam cię pokornie milordzie — rzekł, — podpisz rozkaz wypuszczenia lady Winter na wolność.... Pomyśl, że to kobieta, którą sam zbezcześciłeś....

— Usuń się pan — rzekł z mocą Buckingham, — bo zawołam służbę, i każę cię zakuć w kajdany.

— Nie zawołasz — oświadczył Felton, stając pomiędzy księciem a dzwonkiem, który znajdował się na inkrustowanym srebrem gerydonie. — I strzeż się, milordzie, albowiem jesteś w ręku Boga!....

— W ręku szatana, chciałeś powiedzieć! — zawołał Buckingham podniesionym głosem, aby zwrócić tem uwagę służby w sąsiednim pokoju.

— Podpisz, milordzie, akt uwolnienia lady Winter! — mówił Felton, podsuwając księciu jakiś papier.

— Pod przymusem? Żartujesz chyba! Hej Patryku!

— Podpisz, milordzie!

— Nigdy!

— Nigdy?

— Hola! służba! do mnie! — krzyknął książę, sięgając po szpadę.

W tejże chwili wszedł spiesznie do gabinetu Patryk i, nie domyślając się grozy położenia, rzekł:

—Milordzie, list z Francji!

— Z Francji? — powtórzył Buckingham, i radość w oczach mu zabłysła na samą myśl, od kogo list ten pochodzi.

Jednocześnie zaś Felton, szybkim ruchem wyciągnąwszy z zanadrza nóż z zaschniętą na ostrzu kroplą krwi milady, wbił go po rękojeść w bok Buckinghama.

— Zdrajco! — krzyknął Buckingham, — zamordowałeś mię!...

Patryk, widząc, co się stało, podbiegł do księcia, wołając o ratunek.

Felton zaś tymczasem wybiegł do przyległego pokoju, gdzie oczekiwali na audjencję wysłańcy Rochelli, i nie zatrzymany przez nikogo, nie widząc zresztą nic przed sobą i koło siebie, blady, z błędnym wzrokiem i ze śladami krwi na rękach i na ubraniu, skoczył ku schodom pałacu.

Tu jednak ktoś uchwycił go za ramię. Był to lord Winter, który, stwierdziwszy ucieczkę miłady, podążał do Buckinghama.

— Nieszczęśliwcze! — zawołał, widząc krew na rękach młodego oficera. — Coś uczynił?! Domyślałem się... odgadłem o minutę zapóźno!

I nieopierającego się Feltona oddał w ręce straży, która właśnie w tej chwili ukazała się na schodach w pogoni za mordercą.

Podczas gdy straż wyprowadzała Feltona na mały taras, górujący nad morzem, lord Winter pospieszył do gabinetu Buckinghama. Jednocześnie zaś wpadł do gabinetu nieznajomy, którego Felton spotkał był poprzednio w przedsionku.

Książę leżał na kanapie, kurczowo zaciskając ręką ranę w boku. Spostrzegłszy nowoprzybyłego, zapytał słabnącym głosem:

— Ach! Laporte! zapewne przybywasz od niej...

— Tak, mości książę — odpowiedział wierny sługa Anny Austrjaczki, — ale... może zapóźno.

— Ciszej, Laporte!.... mógłby kto usłyszeć..... Patryku, nie wpuszczaj tu nikogo. Och! nie dowiem się już, co do mnie pisze! Boże! umieram!.....

I książę przy tych słowach zemdlał.

Tymczasem wbiegli do pokoju lord Winter, wysłannicy Rochelli i oficerowie nadworni Buckinghama. Niebawem zaś wieść napełniająca pałac rozpaczą i jękami, przedostała się na miasto, a wystrzał armatni oznajmił, że wydarzyło się tu coś niezwykłego i nieoczekiwanego.

Lord Winter, rwąc włosy na głowie, powtarzał z rozpaczą:

— O jedną minutę zapóźno! o jedną minutę! Och! nieszczęście! nieszczęście!...

Oczywiście spóźnienie to było rzeczą przypadku. Po ucieczce miłady doniesiono mu, że przy jednem z okien zamkowych kołysze się drabinka sznurowa. Natychmiast pobiegł do pokoju uwięzionej, a nie znalazłszy jej i spostrzegłszy otwarte okno oraz przecięte kraty, przypomniał sobie ostrzeżenie, jakie przesłał mu d'Artagnan przez usta swego służącego, i zadrżał o życie księcia. Nie zwlekając ani chwili, pobiegł do stajni, skoczył na pierwszego-lepszego z brzegu nieosiodłanego konia i popędził cwałem do pałacu. Było już po zamachu... Na schodach — jak wspomnieliśmy — spotkał okrwawionego Feltona.

Po niejakimś czasie książę odzyskał przytomność, i nadzieja wstąpiła w serca obecnych.

— Panowie! — mówił słabym głosem, — pozostawicie mię samego z Patrykiem i Laportem. — A spostrzegłszy barona rzekł do niego: — Ach! to ty, Winterze? Przysłałeś mi dzisiaj rano szczególnego szaleńca... Spojrzyj, co ze mną uczynił!

— Milordzie! — zawołał baron, — nie pocieszę się nigdy!

— I źlebyś zrobił, drogi Winterze — mówił Buckingham, wyciągając rękę ku niemu. — Nie znam człowieka, któryby zasługiwał na to, aby ktoś inny opłakiwał go przez całe życie... Ale teraz proszę cię, pozostaw nas samych.

Baron wyszedł ze łzami w oczach.

W gabinecie pozostał tylko książę, Laporte i Patryk.

Lekarza na razie nie znaleziono.

— Będziesz żył, milordzie, będziesz żył! — powtarzał wierny sługa Anny Austrjaczki, klęcząc obok kanapy.

— Co pisze do mnie? — pytał słabym głosem Buckingham, zlany krwią, opanowując ból, byleby mówić o ukochanej. — Co pisze? Przeczytaj mi jej list.

— Och! milordzie! — załkał Laporte.

— Spiesz się, Laporte! Czyż nie widzisz, że nie mam czasu na stracenie?

Laporte zerwał pieczęć i przysunął księciu pergamin przed oczy. Ale Buckingham nadaremnie usiłował rozróżnić litery.

— Czytaj, czytaj! — mówił. — Ja już nie widzę.., Czytaj, bo za chwilę może już i słyszeć nie będę... i umrę, nie dowiedziawszy się treści listu.

Laporte przeczytał:

"Milordzie!

Ponieważ od chwili poznania ciebie musiałam przez ciebie i dla ciebie wiele wycierpieć, zaklinam cię, jeżeli dbasz o mój spokój, zaniechaj tych wielkich zbrojeń przeciwko Francji i zaprzestań wojny, której jawnym powodem, jak mówią głośno, są zatargi religijne, lecz o której powszechnie mówią pocichu, że wywołała ją twoja miłość ku mnie. Wojna ta może narazić na największe katastrofy nietylko Francję i Anglję, lecz i ciebie samego, milordzie, naraża na niebezpieczeństwa. A gdyby cię one dotknęły, nie potrafiłabym tego nigdy przeboleć.

Strzeż swego życia, które jest zagrożone, a które z chwilą, gdy przestanę widzieć w tobie wroga ojczyzny mojej, będzie dla mnie tem droższe.

Oddana ci
Anna."

Buckingham zebrał wszystkie siły życia, aby nie stracić ani słowa z tego listu. Ale, gdy go wysłuchał do końca, doznał gorzkiego rozczarowania.

— I nie polecono ci oświadczyć mi ustnie nic więcej? — pytał.

— O tak, mości książę: królowa nie przestawała prosić, abyś czuwał nad sobą, milordzie, gdyż otrzymała wiadomości, że chcą cię zamordować.

— I to już wszystko? wszystko? — pytał niecierpliwie Buckingham.

— Kazała mi jeszcze powiedzieć księciu, że go zawsze kocha.

— Ach! dzięki Ci, Boże! — westchnął Buckingham. — Śmierć moja zatem nie będzie dla niej śmiercią obcego człowieka!....

Laporte zalał się łzami.

— Patryku! — rzekł książę, — przynieś mi szkatułkę, w której były złożone djamentowe zapinki.

Patryk przyniósł szkatułkę, a Laporte poznał, że była ona niegdyś własnością królowej.

— A teraz podaj mi jeszcze białą atłasową torebkę, na której są wyhaftowane perłami inicjały królowej.

— Weź to, Laporte — rzekł Buckingham. — To są jedyne pamiątki, jakie miałem od niej.... ta srebrna szkatułka i te litery. Oddasz te rzeczy Jej Królewskiej Mości. A jako ostatnie wspomnienie.... — rozejrzał się dokoła szukając jakiego cennego przedmiotu, — jako ostatnie wspomnienie, zawieziesz jej....

Szukał przez chwilę, i wzrok jego, przyćmiony mgłą śmierci, padł na nóż, który wypadł z rąk Feltona i ociekał jeszcze na ostrzu purpurową krwią.

— Zawieziesz jej ten nóż — dokończył, ściskając dłoń Laporte'a.

Poczem omdlewającą ręką włożył z trudnością torebkę i nóż do srebrnej szkatułki, dając znak, że nie może już mówić, — w

chwilę zaś później w skurczach śmiertelnych osunął się z kanapy na podłogę.

Patryk jęknął straszliwie.

Buckingham usiłował jeszcze uśmiechnąć się, i śmierć zatrzymała ten uśmiech, znacząc na czole wyraz szczęścia, niby ostatni pocałunek miłości.

W tejże chwili wpadł z przerażeniem nadworny lekarz księcia którego znaleziono nareszcie na pokładzie statku admiralskiego — niestety, zapóźno.

Podbiegł do księcia, a ująwszy go za rękę, czas jakiś trzymał ją w swojej dłoni, badając puls.

— Nie żyje — rzekł wreszcie.

— Nie żyje! pan mój nie żyje! — zawołał rozdzierającym głosem Patryk.

Na ten okrzyk ciżba obecnych wpadła do gabinetu, i nastało zgiełkliwe zamieszanie.

Lord Winter zaś po stwierdzeniu przez lekarza śmierci Buckinghama udał się na taras zamkowy, gdzie Felton, odzyskawszy po zamachu cały swój spokój i zimną krew, otoczony strażą, oddawał się rozmyślaniom.

— Nędzniku! — zawołał baron, — cożeś uczynił?

— Pomściłem się — odpowiedział Felton.

— Ty się pomściłeś?! — zawołał baron. — Powiedz raczej, że stałeś się narzędziem tej występnej kobiety... Ale przysięgam ci, że będzie to już ostatnia jej zbrodnia!

— Nie rozumiem, co pan mówisz — odparł spokojnie Felton; — nie wiem, o kim mówisz, milordzie... Zabiłem księcia Buckinghama, bo odmówił dwukrotnie podpisania nominacji mojej na kapitana; ukarałem go za niesprawiedliwość, i oto wszystko.

Lord Winter ze zdumieniem spojrzał na pilnujących Feltona ludzi, nie wiedząc, co sądzić o podobnej zatwardziałości.

Było jednak coś, co pokrywało chmurą pogodne czoło Feltona. W całej swej naiwności szlachetnego człowieka miał to przekonanie, że lada chwila zjawi się tu milady, by paść mu w ramiona, oskarżyć się o współudział w zbrodni i podnieść śmierć z nim razem. To też każdy szmer czyichś kroków napełniał go tą nadzieją, a następnie rozczarowywał boleśnie.

Lecz oto nagle z wysokości tarasu, skąd rozległy był widok na olbrzymią przestrzeń morza, Felton orlim wzrokiem marynarza dostrzegł punkt, który przez kogo innego mógłby być u-

ważany za mewę, bujającą nad falami morskiemi, i na widok tego punktu chwycił się ręką za serce, a śmiertelna bladość pokryła mu oblicze. Punkt ów był żaglem okrętu, kierującego się ku wybrzeżom Francji.

W tej chwili zrozumiał Felton, że się pomylił w swych nadziejach na szlachetność milady, i stwierdził ostatecznie, że ta uwielbiana przez niego kobieta z całą egoistyczną obojętnością pozostawiła go na pastwę losu, ani dbając, co się z nim stanie.

— Milordzie! — rzekł do barona, — błagam cię o ostatnią łaskę!

— Czego żądasz? — zapytał baron.

— Powiedz mi, która godzina.

Baron wyjął zegarek.

— Dziewiąta za dziesięć minut — oświadczył.

— Dziękuję — rzekł Felton.

I stało się jasnem dla niego, że milady przyspieszyła swój odjazd o półtorej godziny; stało się mu widocznem, że, skoro tylko usłyszała wystrzał armatami, zwiastujący nieszczęsne wydarzenie, kazała podnieść kotwicę. I oto statek jej płynął pod błękitnem sklepieniem nieba w znaczej już odległości od wybrzeży Anglji.

— Bóg tak chciał! — szepnął z rezygnacją fanatyk, nie odrywając oczu od okrętu, na którego pokładzie oczyma ducha dostrzegał białe zjawisko, któremu życie swe poświęcił w ofierze.

Lord Winter zaś śledził jego spojrzenie, widział boleść, malującą się na twarzy nieszczęsnego młodzieńca, i odgadł wszystko.

— Zanim jednak tę zbrodniczą kobietę dosięgnie ręka sprawiedliwości, przedewszystkiem ty sam poniesiesz karę, nieszczęśliwcze! — rzekł do Feltona. — Lecz przysięgam na pamięć mego brata, którego tak kochałem, że wspólniczka twoja nie ujdzie już teraz kary..

I skinął, by zaprowadzono Feltona do więzienia.

On zaś, gdy go wyprowadzano z tarasu, aż do ostatniej chwili spoglądał na odległe fale morskie, poczem, zwiesiwszy głowę na piersiach, zniknął, otoczony strażą w pałacowym krużganku.

Lord Winter zbiegł szybko po schodach pałacu i udał się do portu.

LX.

WE FRANCJI.

Król angielski, Jakób I-szy, dowiedziawszy się o śmierci Buckinghama, powodowany obawą, aby ta straszna wieść nie zniechęciła do dalszej walki oblężonych mieszkańców Rochelli, przedsięwziął wszelkie środki, jak opowiada Richelieu w swoich pamiętnikach, w celu przecięcia drogi do Francji i przedewszystkiem zamknął wszystkie porty całego swego królestwa, wydając rozkaz baczenia, by przed wyruszeniem armji, zgromadzonej przez Buckinghama, nie wypłynął z nich żaden statek. Objął też król w zastępstwie zmarłego księcia naczelny dozór nad temi wojskami. Surowość zaś swego zarządzenia posunął tak dalece, że wstrzymał wyjazd posłów duńskich, posiadających już zezwolenie powrotu do kraju i zatrzymał posła holenderskiego, który miał odprowadzić do portu Flissingen okręty z Indji, wysyłane przez Karola I-go do Zjednoczonych Prowincji.

Ale zarządzenia te uczynione zostały dopiero w pięć godzin po zamachu, to znaczy — o godzinie drugiej popołudniu. A przez ten czas zdążyły już wypłynąć z portu dwa statki. Jeden z nich, jak wiemy, wiózł milady, która nie mogła mieć wątpliwości co do śmierci Buckinghama, gdyż żałobny sztandar, wywieszony na maszcie okrętu admiralskiego świadczył o tem dowodnie. Co się tyczy drugiego statku, opowiemy później, jakim sposobem wydostał się z portu i kogo wiózł na pokładzie.

Tymczasem w obozie pod Rochellą nie zaszło nic nowego. Król jegomość nudził się, jak zazwyczaj, w obozie zaś bardziej może jeszcze, aniżeli gdzieindziej, i korzystał z każdej sposobności, aby się nieco rozerwać. Zdarzyło się też, że postanowił udać się incognito do Saint Germain na uroczystości w dniu Świętego Ludwika i wezwał kardynała, aby przygotował mu orszak, złożony z dwudziestu muszkieterów. Kardynał, któremu nuda królewska udzielała się także niekiedy, z największem zadowoleniem pozwolił oddalić się swemu królewskiemu towarzy-

szowi, przyczem król zapowiedział swój powrót do obozu na połowę września.

Pan de Treville, uprzedzony przez kardynała, spakował toboły podróżne, a wiedząc, że przyjaciele jego mają gorącą chęć i nawet nieodzowną potrzebę powrotu do Paryża, jakkolwiek przy czyna nie była mu znana, wyznaczył ich właśnie do orszaku, mającego towarzyszyć królowi.

Czterej młodzi ludzie dowiedzieli się o tem życzliwem postanowieniu swego bzepośredniego zwierzchnika w kwadrans później, i teraz dopiero d'Artagnan mógł w całej pełni ocenić łaskę, wyświadczoną mu przez kardynała, który przeniósł go do szeregów muszkieterskich; gdyby nie to, musiałby pozostać w obozie, podczas gdy przyjaciele jego byliby w Paryżu.

Nie trzeba dodawać, że źródłem tej ochoty odwiedzenia Paryża była obawa niebezpieczeństw, mogących grozić pani Bonacieux, gdyby spotkała się w klasztorze w Bethune ze swą śmiertelną nieprzyjaciółką, milady. Toteż, jak mówiliśmy, Aramis napisał natychmiast do Marji Michon, owej tak wysoko ustosunkowanej właścicielki składu bielizny w Tours, aby wyjednała u królowej dla pani Bonacieux pozwolenie opuszczenia klasztoru i udania się do Lotaryngji lub Belgji.

Na odpowiedź Aramis nie czekał długo; w ośm czy dziesięć dni później otrzymał już list następującej treści:

"Kochany kuzynku.

"Przesyłam ci upoważnienie mojej siostry, na mocy którego nasza mała służąca, skoro twojem zdaniem powietrze tamtejsze jej nie służy, może opuścić klasztor w Bethune. Siostra moja daje to zezwolenie tem chętniej, że kocha bardzo tę dziewczynę, której zresztą i nadal przyrzeka swą opiekę i pomoc.

Ściskam cię serdecznie.

Marya Michon."

Do listu dołączone było upoważnienie, brzmiące jak następuje:

"Przełożona klasztoru w Bethune raczy zwolnić i powierzyć opiece oddawcy niniejszego pisma nowicjuszkę, która

wstąpiła do klasztoru z mojego pozwolenia i za moją wiedzą.

W Luwrze, dnia 10 sierpnia 1623 rku.

Anna."

Łatwo pojąć, że te stosunki pokrewieństwa Aramisa ze szwaczką, nazywającą królowę "siostrą", budziły wesołość i wywołały żarty ze strony młodych ludzi. Ale Aramis, wskutek grubych dowcipów Portosa rumieniąc się po białka oczu, poprosił przyjaciół, aby zaniechali docinków na ten temat, i oświadczył, że, jeżeli powiedzą choćby jedno jeszcze słowo, nie użyje już nigdy pośrednictwa swej kuzynki w tego rodzaju sprawach.

Odtąd czterej muszkieterowie przestali wspominać nazwisko Marji Michon, mając już zresztą to, czego pragnęli, mianowicie rozkaz wypuszczenia pani Bonacieux z klasztoru Karmelitanek w Bethune. Co prawda, rozkaz ten nie miał dla nich wielkiej wartości, dopóki obozowali pod Rochellą, a więc na drugim końcu Francji, i d'Artagnan zamierzał już nawet prosić pana de Treville o urlop, przyczem zdecydowany był wyjawić mu otwarcie, jak ważna sprawa skłania go do wyjazdu, — gdy właśnie otrzymał wraz ze swymi trzema towarzyszami wiadomość, że król udaje się do Paryża z orszakiem, złożonym z dwudziestu muszkieterów, i że do orszaku tego zostali i oni wcieleni.

Na tę wieść zapanowała wśród nich ogromna radość. Wysłali naprzód służących z tobołami podróżnymi, a rano wyruszli sami w drogę.

Kardynał odprowadził Najjaśniejszego Pana z Surgeres do Mauze, gdzie król i minister rozstali się wśród objawów największej przyjaźni.

Aczkolwiek królowi, spragnionemu rozrywek, zależało bardzo, by stanąć w Paryżu na dzień 23, to jednak zatrzymywał się tu i ówdzie po drodze, śledząc lot srok, do którego to sportu wpoił mu zamiłowanie pan de Luynes. Z dwudziestu muszkieterów jego orszaku szesnastu radowało się bardzo tymi odpoczynkami, czterech zaś przeklinało te przystanki z całej duszy. D'Artagnan zwłaszcza doznawał ciągle jakby dzwonienia w uszach, co Portos tłumaczył w następujący sposób:

— Pewna bardzo wielka dama objaśniała mię, że, jeżeli komu dzwoni w uszach, dowodzi to, iż mówią o nim wiele.

Wreszcie nocą na 23-ci kawalkada przybyła do Paryża. Król podziękował panu de Treville i pozwolił udzielić każdemu z żołnierzy czterodniowego urlopu z tym jednak warunkiem, by się nie pokazywali pod karą Bastylji w miejscach publicznych.

Jak się łatwo domyślić, puszczeni zostali na urlop przed innymi czterej przyjaciele, przyczem Atos, zamiast czterech dni, otrzymał od pana de Treville sześć wolnych dni i ponadto dwie noce, gdyż przyjaciele nasi wyjechali dnia 24 o godzinie piątej popołudniu, a pan de Treville wpisał łaskawie w urlopie datę 25-go rano.

— Mój Boże! — mówił d'Artagnan, ufający zawsze w swe własne siły, — zdaje mi się, że nazbyt kłopocemy się całkiem prostą sprawą. Za dwa dni, zajeździwszy dwa lub trzy konie, co zresztą jest mi obojętne, gdyż mam pieniądze, będę w Bethune. Oddam przełożonej list królowej i zabiorę mój słodki skarb, którego szukam, nie do Lotaryngji jednak, ani do Belgji, lecz do Paryża, gdzie będzie lepiej ukryty, zwłaszcza, że pan kardynał przebywa pod Rochellą. Później, gdy wrócimy z wojny, częścią dzięki protekcji kuzynki, częścią w uznaniu zasług, jakie osobiście oddaliśmy królowej, łatwo otrzymamy wszystko, czego możemy zapragnąć. Ponieważ zaś ja i Planchet poradzimy sobie w tej tak łatwej wyprawie więc najlepiej będzie, gdy wy pozostaniecie tutaj. Bo i pocóż macie się narażać na daremnne trudy?

Atos odpowiedział na to spokojnie:

— My także, kochany d'Artagnanie, mamy pieniądze; co do mnie, nie zdążyłem jeszcze przepić reszty sumy, otrzymanej za djament, a zdaje mi się, że tak Aramis, jak i Portos, nie przejedli również do ostatka swych udziałów z tego djamentu. Wobec tego i my możemy zajeździć po kilka koni. Pamiętaj zaś d'Artagnanie — dodał tonem ponurego ostrzeżenia, na które dreszcz wstrząsnął młodym człowiekiem, — pamiętaj, że w Bethune właśnie kardynał naznaczył spotkanie tej kobiecie, siejącej nieszczęście, gdziekolwiek się uda. I gdybyś miał, d'Artagnanie, spotkać się z czterema wrogimi ci mężczyznami, puściłbym cię bez obawy samego; ponieważ jednak możesz się zetknąć przypadkiem z tą kobietą, więc pojedziemy wszyscy czterej wraz ze służącymi, i daj to Boże, aby siły nasze były wystarczające.

— Przerażasz mię, Atosie! — zawołał d'Artagnan. — Skąd takie obawy? Co nas może spotkać? ?

— Wszystko, co może być najgorszego — odparł Atos.

D'Artagnan spojrzał kolejno na towarzyszów. Wszyscy mieli na twarzach wyraz zaniepokojenia.

Ruszono w drogę wyciągniętym kłusem, nie mówiąc już ani słowa do siebie.

Dnia 25-go wieczorem, gdy przybyli do Arras, i d'Artagnan, zsiadłszy z konia przed gospodą pod Złotą Broną, wszedł napić się wina, spostrzegł przez drzwi gospody na dziedzińcu pocztowym jakiegoś jeźdźca, który zmieniał konia, dosiadając świeżego. D'Artagnan zwrócił na niego baczną uwagę. Gdy jeździec wyjeżdżał z bramy, wiatr rozwiał mu płaszcz, którym się starannie pomimo sierpniowego ciepła osłaniał, i zerwał mu kapelusz z głowy, — jeździec jednak w lot pochwycił ręką kapelusz, a nacisnąwszy go szybko na oczy, pomknął kłusem drogą w kierunku Paryża.

Nie obcy był snadź jednak d'Artagnanowi ów jeździec, gdyż młody Gaskończyk na widok zdemaskowanej przez wiatr twarzy jego zbladł i wypuścił szklankę z ręki.

— Co panu jest? — spytał zaniepokojny Planchet, a nie otrzymawszy odpowiedzi, począł wołać:

— Panowie! na pomoc! Mój pan traci przytomność!

Trzej przyjaciele wbiegli natychmiast do gospodniej izby, — lecz d'Artagnan wyminął ich szybko, kierując się do drzwi, by skoczyć na konia. Zatrzymali go jednak na progu.

— Do licha! d'Artagnanie! dokąd lecisz? — pytał Atos.

— To on! — wołał d'Artagnan zmieszany, a pot wystąpił mu na czoło. — To on! Pozwólcie mi go dopędzić!

— Kogo? — zapytał Atos.

— Tego człowieka!

— Jakiego człowieka?

— Tego nędznika... To mój zły genjusz, którego spotykałem zawsze, ilekroć groziło mi jakieś nieszczęście.... ten sam, którego ujrzałem po raz pierwszy, gdy towarzyszył owej strasznej kobiecie... ten sam, którego ścigając, naraziłem się na zajście z naszym przyjacielem Atosem.... ten sam, którego widziałem jeszcze w owym dniu, gdy pani Bonacieux została porwana.... Teraz poznałem go! to on we własnej osobie! Widziałem go do-

brze, gdy wicher podwinął mu płaszcz i zerwał kapelusz z głowy.

— Do licha! — odezwał się Atos, zakłopotany.

— Na koń, panowie! na koń dogonimy go z pewnością.....

— Mój drogi! — rzekł Aramis, — zastanów się, że pojechał on w stronę przeciwną celowi naszej drogi, że ma świeżego wierzchowca, podczas gdy nasze konie są zmęczone, i możemy je tylko forsowną jazdą dobić, nie mając zgoła nadziei, iż go doścignięmy. Pozostaw tedy zemstę na kiedy-indziej, d'Artagnanie a natomiast ratujmy kobietę.

Tymczasem, gdy trzej przyjaciele powstrzymywali d'Artagnana, puścił się za jeźdźcem w pogoń chłopiec stajenny z jakimś papierem w ręku, wołając:

— Panie! panie! ten papier wyleciał panu z kapelusza! Panie! panie!

— Mój przyjacielu! — zawołał na chłopca d'Artagnan, — masz tu pół pistola za ten kawałek papieru.

Chłopiec na te słowa zawrócił.

— O, proszę pana! niech go pan sobie weźmie — rzekł.

I, uszczęśliwiony hojną nagrodą, wręczył papier d'Artagnanowi, który go z zaciekawieniem rozwinął.

— I cóż? — pytali przyjaciele.

— Jest tu tylko jedno słowo — odparł d'Artagnan.

— Tak — rzekł Aramis, — ale jest to nazwa jakiegoś miasta lub wioski.

— "Armentieres"? — czytał Portos, — Armentieres?..... Nie znam takiej miejscowości!

— Ale słowo to napisane jest jej ręką! — oświadczył Atos.

— No, no! — rzekł d'Artagnan. — Schowajmy troskliwie ten kawałek papieru.... Może nie napróżno wydałem ostatniego pistola. A teraz na koń, przyjaciele!

I czterej towarzysze puścili się kłusem drogą ku Bethune.

LXI.

KLASZTOR KARMELITANEK W BÉTHUNE.

Wielcy zbrodniarze posiadają nieraz szczególne szczęście, które, jakby jaki talizman, usuwa przed nimi wszelkie przeszkody i oddala wszelkie niebezpieczeństwa aż do chwili, gdy obrażona w poczuciu sprawiedliwości Opatrzność nie położy kresu ich krwawemu powodzeniu.

Tak samo było już niejednokrotnie z milady i tak samo stało się teraz. Potrafiła prześlizgnąć się między statkami wojennymi obu narodów i szczęśliwie przybyła do Boulogne.

Widzieliśmy już, że, wysiadając w Portsmouth, udawała milady Angielkę, uciekając z Rochelli przed prześladowaniem Francuzów; w dwa dni po wyruszeniu z Anglji, obecnie, ląd ując w Boulogne, podała się za Francuskę, prześladowaną w Portsmouth przez Anglików, żywiących nienawiść ku Francji. Posiadała ona zresztą najskuteczniejszy z paszportów: piękność, pozory wielkiej damy i hojność, z jaką rozrzucała pistole. Zwolniona ze spełnienia zwykłych formalności przyjaznym uśmiechem i dworskiemi manierami starego dowódcy portu, który ucałował jej rękę, zatrzymała się w Boulogne tylko chwilę, aby wysłać list następujący:

"Do Jego Eminencji kardynała Richelieu w obozie pod Rochellą.

Niech Wasza Eminencja będzie spokojny; Jego Dostojność książę Buckingham nie wyruszy do Francji.

Boulogne, dnia 25 wieczorem. Milady de.....

P. S. Wedle życzenia Waszej Eminencji, udaję się do klasztoru Karmelitanek w Bethune i tam oczekiwać będę na Jego rozkazy."

Rzeczywiście tego samego jeszcze wieczora milady wyruszyła w drogę, a następnie zatrzymawszy się na noc w przydrożnej

gospodzie, wczesnym rankiem, około godziny piątej, ruszyła dalej, w trzy godziny zaś później była już w Bethune.

Wypytawszy się o klasztor Karmelitanek, podążyła tam natychmiast.

Przełożona wyszła na jej spotkanie. Milady okazała jej polecenie kardynała, wobec czego wyznaczono jej w klasztorze pokój i podano śniadanie.

Wszystkie przejścia, jakie tak niedawno jeszcze spotkały tę kobietę, zatarły się już w jej pamięci. Teraz z utkwionym w przyszłość wzrokiem swej duszy widziała przed sobą znaczenie i dostatki, zapewnione jej przez kardynała, któremu tak szczęśliwie usłużyła, nie mieszając nawet swego nazwiska w krwawe to wydarzenie. Zresztą znaczenie i dostatki były jedynym celem jej życia, — życia, w którem namiętności były podobne obłokom, płynącym po niebie, to odsłaniającym błękit jego, to zabarwionym ognistą purpurą słońca, to znów czarnym, jak noc, i siejącym na ziemi zniszczenie oraz śmierć.

Po śniadaniu odwiedziła ją przełożona; zacnej zakonnicy, nie znającej w życiu klasztornem żadnych prawie rozrywek, pilno było poznać nowego gościa.

Rozumie się, pragnieniem milady było przypodobać się przełożonej, co zresztą wobec istotnej wyższości jej umysłu nie było trudnem. Usiłując tedy być przyjemną, wzbudziła odrazu w przełożonej zachwyt i podbiła ją zupełnie kilkoma zręcznymi zwrotami rozmowy oraz czarem, wiejącym z całej jej istoty.

Przełożona, pochodząca ze szlacheckiej rodziny, ciekawa była zwłaszcza wiadomości o życiu dworskiem, tak rzadko docierających aż na krańce królestwa, a przedewszystkiem z taką trudnością przedostających się przez mury klasztoru, na progu którego milkną wszystkie odgłosy światowego życia. Milady zaś, wtajemniczona we wszystkie intrygi arystokratyczne, wśród których obracała się bez przerwy od lat pięciu czy sześciu, miała wiele do opowiedzenia poczciwej przełożonej o światowych zwyczajach dworu francuskiego, dziwnie nie licujących z krańcową dewocją króla; roztoczyła więc skandaliczną kronikę z życia panów i pań dworskich, których nazwiska doskonale znane były przełożonej; wspomniała też zręcznie o miłostkach królowej z księciem Buckinghamskim — i wogóle mówiła jak najwięcej, aby i słuchającą skłonić do mówienia.

Przełożona słuchała tego wszystkiego w milczeniu i uśmiechała się. Milady zaś, widząc, że sprawy te bardzo ją zajmują, cały szereg osób przedstawiwszy w swem opowiadaniu, zwróciła wreszcie rozmowę na kardynała.

Jedno wszakże przeszkadzało tu jej bardzo: nie wiedziała, czy przełożona jest stronniczką króla, czy kardynała, — mówiła więc z wielkiem umiarkowaniem. Ale przełożona milczała z jeszcze większem umiarkowanim, zadowalniając się jedynie kornem schyleniem głowy, gdy nowoprzybyła wymieniała nazwisko Jego Eminencji. Wobec tego milady przyszło do wniosku, że jeżeli nie zdoła tu przeprowadzić jakiej intrygi, zanudzi się w klasztorze na śmierć. Postanowiła więc odważyć się wreszcie na jakieś śmielsze słowo, aby się tym sposobem dowiedzieć, czego może się trzymać nadal. Dla przekonania się zaś, do jakich granic sięga dyskrecja poczciwej zakonnicy, zaczęła najpierw bardzo ogródkowo, potem coraz wyraźniej, obmawiać kardynała, opowiadając o miłostkach jego z panią d'Aiguillon, z Marion de Lorme i z innemi paniami, znanemi ze swobodnego życia.

Przełożona słuchała z coraz większą uwagą, ożywiała się i uśmiechała.

— Dobrze! — pomyślała milady; — znajduje przyjemność w mojem opowiadaniu. Jeżeli zatem jest nawet stronniczką kardynała, to w każdym razie nie fanatyczną.

Opowiedziała następnie, jak kardynał prześladuje swoich wrogów, przyczem przełożona żegnała się z przestrachem, nie potakując, ani też przecząc.

Utwierdziło to milady w przekonaniu, że zakonnica jest raczej stronniczką króla, niż kardynała. Poczęła więc mówić o kardynale z całą otwartością, nie oszczędzając go.

— Jestem bardzo nieświadoma w tych wszystkich sprawach — odezwała się wreszcie przełożona. — Ale, choć oddalona od dworu, choć obca interesom tego świata, znam jednak bardzo smutne przykłady tego, o czem pani opowiadasz. Jedna z naszych nowicjuszek musiała wiele wycierpieć z powodu zemsty i prześladowań pana kardynała.

— Jedna z waszych nowicjuszek? — spytała z udanem zdziwieniem milady. — Och! mój Boże! biedna kobieta! jakże jej żałuję!

— I słusznie — westchnęła przełożona, — bo istotnie biedaczka ta jest pożałowania godną: więzienie, groźby, najgorsze obejście, wszystko to musiała wycierpieć. Może jednak — dodała — pan kardynał miał słuszne powody postępować w ten sposób.... bo jakkolwiek młoda ta kobieta wygląda na anioła, ale niezawsze można sądzić ludzi wedle powierzchowności.

— Oho! — pomyślała milady, — może mi się uda i tu coś wykryć.... Jakoś mi się wiedzie...

I starała się nadać swej twarzy wyraz największej słodyczy.

— Niestety, wiem o tem — rzekła. — Ludzie mawiają często, że nie należy ufać fizjognomji. Lecz czemuż wierzyć, jeżeli nie najpiękniejszemu dziełu Stwórcy? I może, dzięki temu, że ufam zawsze osobie, której twarz budzi we mnie sympatję, będę przez całe życie oszukiwaną....

— Więc gotowabyś pani uwierzyć, że ta młoda kobieta jest niewinna? — spytała przełożona.

— Pan kardynał nie zawsze karze tylko zbrodnie — odpowiedziała milady; — są cnoty, które prześladuje bardziej jeszcze, niż pewne złe postępki.

— Pozwól pani, że wyrażę tu swoje zdziwienie — odezwała się przełożona.

— Z jakiego powodu? — spytała nawinie milady.

— Z powodu tego, co pani mówi.

— Cóż jest w tem dziwnego? — pytała milady z uśmiechem.

— Jesteś pani przyjaciółką kardynała, który cię tu przysłał, a jednak.....

— A jednak źle o nim mówię — rzekła milady, kończąc myśl przełożonej.

— Przynajmniej nie powiedziałaś pani dotychczas nic dobrego.

— Bo nie jestem jego przyjaciółką — odparła z westchnieniem, — lecz ofiarą.

— A ten list, w którym polecił mi panią?....

— Jest to rozkaz, mocą którego mam tu przebywać niby w więzieniu, póki nie zabierze mię stąd jeden z jego zauszników.

— Dlaczego nie próbujesz pani uciec?

— Dokądże pójdę? Czy sądzisz pani, że jest na świecie jakie miejsce, gdzieby kardynał nie mógł dosięgnąć, jeżeli zechce tylko wyciągnąć rękę? Gdybym była mężczyzną, może udałoby mi się uciec przed jego mściwem ramieniem; ale cóż jest w

stanie uczynić słaba kobieta? Czy ta młoda nowicjuszka, przebywająca u was, próbowała uciekać?

— Nie. Ale ją, jak sądzę, zatrzymuje we Francji jakaś miłość.

— Jeżeli kocha — oświadczyła z westchnieniem milady, — nie jest jeszcze zupełnie nieszczęśliwą.

— Tak — rzekła przeorysza i, spoglądając na milady z rosnącem zajęciem, dodała: — Mam tedy przed sobą jeszcze jedną prześladowaną biedaczkę.

— Niestety! — odparła milady.

Zakonnica spojrzała na milady z zaniepokojeniem, jakgdyby jakaś wątpliwość powstała w jej umyśle.

— Nie jesteś pani jednak nieprzyjaciółką naszej świętej wiary? — zapytała.

— Ja protestantką!? — zawołała milady. — Ja? Och, nie! Bóg, który słyszy naszą rozmowę, wie najlepiej, jak gorliwą jestem katoliczką.

— W takim razie uspokój się pani — rzekła przeorysza z uśmiechem. — Miejsce, gdzie się znalazłaś, nie będzie dla ciebie zbyt ciężkiem więzieniem; postaramy się uczynić wszystko, co w naszej mocy, byś polubiła tę niewolę. Co więcej, znajdziesz tu pani ową młodą kobietę, prześladowaną niewątpliwie skutkiem jakiejś dworskiej intrygi, osobę nader miłą i czarującą.

— Jak się nazywa?

— Poleciła mi ją pod imieniem "Ketty" pewna wysokie stanowisko zajmująca osobistość. Nie starałam się właściwie dowiedzieć jej nazwiska.

— Ketty? — zawołała milady. — Jakto? jesteś pani tego pewna?

— Że każe się nazywać w ten sposób? Oczywiście. Czy znasz ją pani?

Milady uśmiechnęła się na myśl, że tą młodą kobietą może być jej dawna pokojówka. Wspomnienie jednak tej dziewczyny wywołało w milady wściekłość, i pragnienie zemsty wykrzywiło jej rysy. Ale natychmiast twarz jej przybrała znowu wyraz słodyczy i dobrotliwości, z taką łatwością przez tę kobietę o stu obliczach stosowany, i zapytała:

— Kiedyż będę mogła ją zobaczyć? Zaciekawia mię ona, i już obecnie uczuwam ku niej wielką sympatję.

— Możesz ją pani zobaczyć jeszcze dziś wieczorem — odparła przeorysza, — a nawet i prędzej. Ale przecie po czterodniowej podróży, jak mi to opowiadałaś sama, i po, tak wczesnem zerwaniu się dziś drano z łóżka potrzebujesz zapewne wypoczynku. Połóż się więc teraz i zaśnij. Obudzimy panią w porze obiadowej.

Aczkolwiek miłady mogłaby się była obejść bez snu, gdyż w chciwem intryg jej sercu obudziła podnietę nowa oczekująca ja przygoda, tem nie mniej zastosowała się do rady przeoryszy. Od dwunastu czy piętnastu dni przeżyła tyle różnorodnych wrażeń, że chociaż żelazny jej organizm nie upadał jeszcze ze znużenia, ale umysł potrzebował niezbędnie wypoczynku.

Pożegnała więc przeoryszę i położyła się, kołysana słodko pomysłami zemsty, jakie oczywiście nasunęło jej imię Ketty. Przypomniała też sobie otrzymane od kardynała przyrzeczenie poparcia jej zamysłów, jeżeli należycie wywiąże się z danych jej poleceń. Dokonała ich szczęśliwie, więc d'Artagnan — mogła być teraz pewną — należał do niej.

Tylko wspomnienie męża przejmowało ją lękiem Hrabia de la Fere, którego uważała za nieżyjącego, a przynajmniej przebywającego gdzieś daleko poza krajem, ukrywał się pod postacią Atosa, najlepszego przyjaciela d'Artagnana.

Ale, skoro był przyjacielem d'Artagnana, niewątpliwie dopomagał mu we wszystkich intrygach, przy pomocy których królowa unicestwiła zamiary Jego Eminencji; skoro był przyjacielem d'Artagnana, był równocześnie wrogiem kardynała. Wobec tego mogła mieć nadzieję, że uda się jej zgubić i jego w splotach zemsty, którymi spodziewała się zdusić młodego muszkietera.

Wszystkie te słodkie marzenia ukołysały niebawem miłady do snu.

Obudził ją słodki głosik niewieści, brzmiący tuż obok łóżka. Otworzyła oczy i ujrzała przeoryszę w towarzystwie młodej, jasnowłosej kobiety, o delikatnej cerze. Młoda kobieta patrzyła na nią z życzliwem zaciekawieniem. Twarz jej wszakże była miłady całkiem nieznaną. Zamieniwszy ze sobą zwykłe powitanie, obie przyglądały się sobie wzajemnie; obie były piękne, lecz odmienna była ich uroda. Wreszcie miłady uśmiechnęła się z zadowoleniem, zauważywszy, że ma nad młodą kobietą przewagę przez swe ułożenie i obejście arystokratyczne, choć, co

prawda, habit nowicjuszki, jaki miała na sobie młoda kobieta, nie ułatwiał jej zwycięstwa w tem współzawodnictwie.

Przeorysza przedstawiła je wzajemnie, a dopełniwszy tego, zostawiła sam-na-sam, gdyż obowiązki powoływały, ją do kościoła.

Nowicjuszka, widząc, że milady ma ochotę poleżeć jeszcze w łóżku, chciała wyjść również, — ale milady zatrzymała ją.

— Jakto? — rzekła, — zaledwie ujrzałam panią, a już chcesz mię opuścić? Przyznaję, że liczyłam nieco na towarzystwo pani w ciągu tego czasu, jaki wypadnie mi przepędzić w klasztorze.

— Przypuszczałam — odparła nowicjuszka, — że w złą porę wybrałam się do pani w odwiedziny; spałaś pani tak słodko.... jesteś zmęczona.

— Czegoż mogą pragnąć ludzie, którzy śpią? — odezwała się milady. — Słodkiego przebudzenia się. Miałam je, dzięki pani. Pozwólże zatem skorzystać mi z tej przyjemności.

I ująwszy ją za rękę, posadziła na krześle obok łóżka.

Nowicjuszka usiadła.

— Mój Boże! — westchnęła, — to prawdziwe nieszczęście! Przebywałam tutaj przez sześć miesięcy, pozbawiona wszelkiej rozrywki; teraz zaś, gdy przyjechałaś pani i gdy obecność twoja mogłaby mi się stać przyjemnem towarzystwem, prawdopodobnie wkrótce opuszczę już mury klasztorne.

— Jakto? — spytała milady, — wyjeżdżasz pani stąd niebawem?

— Mam przynajmniej nadzieję — odparła nowicjuszka z wyrazem nieukrywanej radości.

— Dowiedziałam się, że cierpiałaś pani wiele z powodu kardynała — mówiła milady. — Byłby to jeszcze jeden powód więcej do wzajemnej sympatji.....

— Więc to prawda, co mi powiedziała nasza dobra przeorysza, że jesteś pani również ofiarą tego złego klechy?

— Cicho! — zawołała milady, — nawet tutaj niebezpiecznie jest w ten sposób o nim się wyrażać. Źródłem wszystkich moich nieszczęść jest to właśnie, że mówiłam o nim tak samo, jak pani, wobec kobiety, którą uważałam za przyjaciółkę, a która mię zdradziła. Czy i pani także jesteś ofiarą zdrady?

— Nie — odparła nowicjuszka. — Jestem ofiarą poświęcenia się dla kobiety, którą kochałam i za którą oddałabym moje życie, zarówno dzisiaj, jak wtedy.

— A która zapomniała o pani? nieprawdaż?

— Byłam właśnie niesprawiedliwą i tak na razie sądziłam. Ale przed paroma dniami okazało się, że się myliłam, i dziękuję za to Bogu..... Bo w tem przypuszczeniu, że zapomniała o mnie, cierpiałam bardzo. Ale pani, jak się zdaje jesteś wolną i gdybyś chciała stąd uciec, zależałoby to tylko od ciebie samej.

— A gdzieżbym ja się mogła schronić, nie mając ani przyjaciół, ani pieniędzy, znalazłszy się w obcych mi stronach, gdzie nie byłam jeszcze nigdy?....

— Och! przyjaciół znajdziesz pani wszędzie — zawołała nowicjuszka. — Wydajesz się pani tak dobrą.... jesteś tak piękna!.....

— Nie ochroniło mię to jednak przed osamotnieniem i prześladowaniami — odparła milady z anielską słodyczą.

— Posłuchaj mię, pani — rzekła nowicjuszka. — Należy mieć ufność w Bogu; nadchodzi zawsze chwila, kiedy nasze dobre uczynki przemawiają za nami przed Stwórcą. I aczkolwiek jestem tylko pokorną istotą, nie mogącą nic dokazać, tem niemniej znajomość ze mną może się stać szczęściem dla pani. Albowiem, skoro stąd wyjdę, będę miała kilku możnych przyjaciół, którzy, ująwszy się teraz za mną, mogą także stanąć i w obronie pani.

— Kiedy powiadam, że jestem samotna — mówiła milady w nadziei, że uda się jej także nowicjuszkę nakłonić do zwierzeń, — nie znaczy to bynajmniej, abym i ja także nie posiadała znajomych, zajmujących wysokie stanowiska. Ale znajomi ci drżą sami przed kardynałem; nawet królowa nie odważa się opierać strasznemu ministrowi. Mam dowody, że Najjaśniejsza Pani, mimo dobroci serca, musiała niejednokrotnie zostawiać na pastwę zawziętości kardynała ludzi, którzy służyli jej wiernie.

— Może się wydawać niekiedy, że królowa zapomina o wiernych swych sługach — rzekła nowicjuszka; — ale nie należy wierzyć pozorom. Im więcej są prześladowani, tem więcej królowa o nich myśli, i gdy najmniej spodziewają się tego, otrzymują dowody jej pamięci.

— Wierzę temu — potwierdziła milady; — królowa jest tak dobra....

— Och! znasz ją pani widocznie, naszą piękną i szlachetną królowę, skoro w ten sposób o niej mówisz! — zawołała z zapałem nowicjuszka.

— Nie mam zaszczytu znać jej osobiście — odparła milady, zaskoczona znienacka, — ale znam wielu najserdeczniejszych jej przyjaciół: znam pana de Putange, znam w Anglji pana Dujart, znam pana de Treville...

— Pana de Treville? — zawołała nowicjuszka, — znasz pani pana de Treville?

— Nawet bardzo dobrze.

— Kapitana muszkieterów królewskich?

— Kapitana muszkieterów.

— O! kiedy tak, to staniemy się niebawem nietylko znajomemi, ale może przyjaciółkami! Skoro znasz pana de Treville, to zapewne bywałaś pani u niego?

— I nawet często — odpowiedziała milady która wszedłszy raz na drogę kłamstwa i przekonawszy się, że ono i tu popłaca, postanowiła dążyć dalej aż do celu.

— Więc spotykałaś tam pani zapewne niektórych muszkieterów?

— Wszystkich tych, których zwykle przyjmuje u siebie — odparła milady, którą rozmowa ta poczęła naprawdę zajmować.

— Niech mi pani wymieni kilka nazwisk, a przekonamy się, czy nie są to właśnie także moi znajomi.

— Znam — mówiła milady z pewnem zakłopotaniem, — znam pana de Souvigny, znam pana de Courtivron, pana de Ferussac.....

Tu milady, jakby zabrakło jej nazwisk, umilkła, co widząc nowicjuszka, zapytała:

— A czy nie poznałaś tam pani pewnego szlachcica, nazwiskiem Atos?

Milady zbladła i, choć umiała panować nad sobą, nie mogła powstrzymać nerwowego drgnienia, a chwyciwszy mówiącą za rękę, przeszyła ją wzrokiem.

—Co się stało, na Boga? — zapytała trwożnie nowicjuszka. — Może powiedziałam coś takiego, co panią uraziło?

— Nie, nie! Zdziwiło mię jedynie to imię. Znam tego szlachcica.... Nie wiedziałam, że i pani zna go także.

— Och, tak! znam go doskonale! I nietylko jego samego, ale również jego przyjaciół: panów Portosa i Aramisa!

— Doprawdy? I ja znam ich także! — zawołała milady.

— A skoro ich pani znasz, to wiesz o tem, że są to dobrzy i dzielni ludzie. Czemuż zatem, potrzebując pomocy, nie zwrócisz się do nich?

— Nie mówię — wyjąkała milady, — abym była związana z nimi przyjaźnią; znam ich głównie z opowiadań jednego z ich przyjaciół, pana d'Artagnana.

— Znasz więc i pana d'Artagnana? — zawołała radośnie nowicjuszka, chwytając ją za rękę

Zauważywszy zaś dziwny wyraz w oczach milady, zagadnęła:

— Wybacz pani, że zapytam, na jakiej jesteś z nim stopie?

— Jesteśmy przyjaciółmi — odparła milady, zmieszana.

— Zwodzisz mię pani! — rzekła nowicjuszka; — byłaś jego kochanką.

— To pani nią byłaś — zawołała z kolei milady.

— Tak, istotnie! — potwierdziła nowicjuszka.

— Ach! w takim razie wiem już, kto pani jesteś: jesteś panią Bonacieux!

Młoda kobieta cofnęła się ze zdumieniem i przestrachem.

— Och! nie zapieraj się pani tego! Jesteś panią Bonacieux — powtórzyła milady.

— Tak, jestem Bonacieux — rzekła nowicjuszka. — Czyżbyśmy jednak były rywalkami?

Oczy milady rozbłysły w tej chwili tak dzikim ogniem, że w innym wypadku pani Bonacieux uciekłaby od niej zapewne przestraszona; teraz jednak zazdrość niepodzielnie panowała w jej sercu.

— Mów, pani! — nalegała pani Bonacieux z energją, o jaką trudno ją było przedtem posądzać, — mów, czy byłaś lub może jesteś jeszcze jego kochanką?....

— Och, nie! nigdy! nigdy! — odpowiedziała milady z mocą i tak stanowczo, że nie można było wątpić w prawdziwość tego zaprzeczenia.

— Wierzę pani teraz — rzekła pani Bonacieux. — Ale co spowodowało zdumienie pani przed chwilą?

— Mylnie to zrozumiałaś — rzekła milady, odzyskując całą swą przytomność umysłu.

— Jakże mogę to zrozumieć, skoro nic nie wiem.

— Czyż nie rozumiesz, że pan d'Artagnan, jako mój przyjaciel opowiedział mi o całym swym stosunku do pani?

— Doprawdy?

— Czyż więc nie pojmujesz, że wiem o wszystkiem: o porwaniu cię z małego domku w Saint Germain, o jego rozpaczy, o zmartwieniu jego przyjaciół i o ich nadaremnych poszukiwaniach aż do tej chwili? I jakże miałam się nie zdumieć, poznawszy cię tutaj, poznawszy osobę, o której rozmawialiśmy z panem d'Artagnanem tak często, istotę, którą on kocha całą potęgą swej duszy, istotę, którą i ja pokochałam jeszcze przed osobistem poznaniem?.... Ach, droga Konstancjo odnajduje cię nareszcie! jestem przy tobie!

Milady wyciągnęła ręce do pani Bonacieux, która mając ją jeszcze przed chwilą za rywalkę, uczuła w niej teraz szczerą i oddaną sobie przyjaciółkę.

— Och! przebacz mi! — zawołała, składając głowę na jej ramieniu. — Ale ja go tak kocham!....

I obie kobiety czas jakiś trzymały się wzajemnie w objęciach. Gdyby wszakże siły fizyczne milady dorównywały jej nienawiści, pani Bonacieux nie wyszłaby pewnie żywcem z tego uścisku. Nie mogąc jednak kochanki swego wroga zadusić, milady, uśmiechała się do niej.

— Och! moja ty śliczna! moja kochana! — mówiła. Jakże się cieszę, że cię poznałam! Pozwól, niech ci się napatrzę! — I mówiąc te słowa, pożerała ją istotnie wzrokiem. — Tak, to ty! poznaję cię teraz na podstawie tego, co mi on opowiadał o tobie.

Biedna kobieta nie przypuszczała w tej chwili, jak straszne zamiary kryją się poza tem czystem czołem, poza temi błyszczącemi oczyma, w których czytała jedynie zainteresowanie i współczucie dla siebie.

— Wiesz zatem, co wycierpiałam — mówiła pani Bonacieux, — i mówił ci także zapewne o moich cierpieniach. Ale nawet cierpienie dla niego jest mi szczęściem!

— Tak, szczęściem — odpowiedziała milady, myśląc o czem innem.

— Ale nareszcie — rzekła z westchnieniem pani Bonacieux — niedola moja dobiega kresu; jutro, a może jeszcze dzisiaj wieczorem zobaczę go, i zakończą się moje cierpienia.

— Dzisiaj wieczorem lub jutro? — zawołała milady, zbudzona temi słowami ze zbrodniczych swych marzeń. — Co mówisz? oczekujesz więc jakichś wieści od niego?

— Oczekuję jego samego.

— Jego? Czyż ma on przybyć tutaj?

— Tak, dziś lub jutro przyjedzie tutaj.

— Ależ to niemożliwe! D'Artagnan znajduje się w tej chwili w obozie pod Rochellą razem z kardynałem i dopiero po zdobyciu tej twierdzy będzie mógł rozporządzać sobą.

— Takby należało sądzić. Ale dla d'Artagnana, dla tego zacnego i prawego rycerza, nie istnieją niepodobieństwa.

— Nie mogę w to uwierzyć!

— A więc czytaj! — zawołała z dumą i radością nieszczęsna młoda kobieta, pokazując milady jakiś list.

— Pismo pani de Chevreuse! — szepnęła do siebie milady. — Ach! byłam niemal pewna tych stosunków! I czytała chciwie następujące słowa:

"Drogie dziecię! Bądź gotowa; nasz przyjaciel odwiedzi cię niebawem i wyprowadzi z więzienia, gdzie umieszczono cię dla twego własnego bezpieczeństwa. Przygotuj się więc do podróży i niewątp nigdy w naszą opiekę.

Nasz sympatyczny Gaskończyk okazał się dzielnym i wiernym, jak zawsze. Powiedz mu, że zasłużył sobie na wdzięczność za ostrzeżenie, jakiego mi udzielił".

— Tak! — rzekła milady, — list jest zupełnie jasny. Czy wiesz może, jakie to było ostrzeżenie? ?

— Nie. Nie wątpię jednak, że ostrzegł królowę o jakiej nowej intrydze kardynała.

— Tak, to najpewniej — rzekła milady, oddając list pani Bonacieux i opuszczając w zamyśleniu głowę na piersi.

Nagle na drodze, prowadzącej do klasztoru, rozległ się tętent konia, pędzącego galopem.

— Ach! może to właśnie on przybywa! — zawołała pani Bonacieux, podbiegając ku oknu.

Tymczasem milady, zaskoczona nagle tylu niespodziankami, nie zdążyła jeszcze połapać się z tem wszystkiem, i pierwszy raz w życiu zabrakło jej pomysłu do natychmiastowego działania. Leżąc w łóżku z nieruchomo utkwionemi w sufit oczyma, szepnęła tylko machinalnie:

— On! on! czyżby to on?

— Nie! to nie on! — zawołała pani Bonacieux. — To jakiś inny, nieznany mi człowiek.... Ale najwidoczniej dąży tutaj, tak zwalnia biegu.... zatrzymuje się przed bramą... dzwoni.

Milady zerwała się z łóżka.

— Jesteś pewna, że to nie on? — zapytała.

— Och! najzupełniej pewna!

— A może nie poznajesz go tylko?

— Wystarczyłoby mi zobaczyć pióro jego kapelusza lub kawałek płaszcza, abym go poznała natychmiast.

Milady ubierała się pospiesznie.

— Więc ten człowiek, mówisz, jest przed bramą?

— Już wszedł w podwórze.

— Przybył więc albo po ciebie, albo po mnie.

— Na Boga! coś taka wzburzona? — zapytała pani Bonacieux, patrząc na milady.

— Tak, widzisz, nie posiadam jeszcze twego zaufania, a obawiam się wszystkiego ze strony kardynała.

— Cicho — rzekła pani Bonacieux. — Idą!

We drzwiach ukazała się przeorysza.

— Czy to pani przybyłaś z Boulogne? — zapytała, zwracając się do milady.

— Tak jest, ja — odpowiedziała milady, starając się odzyskać zimną krew. — Czy to do mnie ktoś przyjechał?

— Tak, posłaniec do pani, który jednak nie wyjawił swego nazwiska, oświadszając tylko, że przybywa od pana kardynała.

— I chce mówić ze mną?

— Chce mówić z damą, która przyjechała tu z Boulogne.

— Niech wejdzie, proszę.

— Och! mój Boże! — westchnęła pani Bonacieux, — byleby tylko nie jaka zła nowina!

— Obawiam się i ja.

— Pozostawię cię teraz z tym nieznajomym, lecz, jeżeli pozwolisz, wrócę tu po jego odjeździe.

— Proszę, bardzo proszę!

Przeorysza i pani Bonacieux oddaliły się.

Milady, zwrócona twarzą ku wejściu, czekała na przybysza stojąc, gdy na schodach rozległ się dźwięk ostróg, a po chwili w progu otwartych drzwi stanął jakiś mężczyzna.

Na jego widok radość wystąpiła na obliczu milady: był to hrabia de Rochefort, ciałem i duszą zaprzedany powiernik i sekretarz Jego Eminencji.

LXIII.

DWIE ODMIANY SZATANÓW.

— Ach, to ty?! — zawołała milady.

— Tak, to ja — odpowiedział Rochefort.

— Skąd przybywasz?

— Z pod Rochelli. A ty skąd przyjechałaś tutaj?

— Z Anglji.

— Cóż Buckingham?

— Nie żyje lub śmiertelnie ranny. Gdy odjeżdżałam, nie zdoławszy nic osiągnąć, zabił go jakiś fanatyk.

— Ach! — rzekł Rochefort z uśmiechem, — to istotnie traf bardzo szczęśliwy! Jego Eminencja będzie ogromnie zadowolony! Czy doniosłaś mu już o tem?

— Napisałam do niego list z Boulogne. Ale jakim sposobem ty znalazłeś się tutaj?

— Jego Eminencja, zaniepokojny, wysłał mię na poszukiwania ciebie.

— Przybyłam tu dopiero wczoraj.

— Cóż porabiałaś od wczoraj?

— Nie traciłam czasu.

— Och! nie wątpię w to!

— Czy wiesz, kogo spotkałam tutaj?

— Nie.

— Zgadnij.

— Jakże mogę?...

— Ową młodą kobietę, którą królowa uwolniła z więzienia.

— Kochankę tego młokosa d'Artagnana.

— Tak jest, panią Bonacieux. Kardynał nie mógł się dowiedzieć o miejscu jej schronienia...

— Doskonale! — rzekł Rochefort. — Oto znów pomyślny traf który idzie z tamtym w parze. Pan kardynał narodził się widocznie pod szczęśliwą gwiazdą.

— Wyobraź więc sobie moje zdumienie, gdy znalazłam się oko w oko z tą kobietą.

— Czy ona cię zna?

— Nie.

— Więc uważa cię za obcą?

Milady uśmiechnęła się.

— Jestem już najlepszą jej przyjaciółką.

— Na honor! — zawołał Rochefort, — tylko ty, droga hrabino, potrafisz dokazywać takich cudów.

— I doksonale się złożyło. panie kawalerze — odparła milady. — Bo czy wiesz, co się tu przygotowuje?

— Nie.

— Jutro lub pojutrze przybędą tu po nią z rozkazem królowej.

— Doprawdy? I któż tu ma przybyć? ?

— D'Artagnan ze swymi przyjaciółmi.

— Hm! ci ludzie postępują tak, że ostatecznie będziemy zmuszeni posłać ich do Bastylji.

— Dlaczego dotychczas nie uczyniono jeszcze z nimi tego?

— Bo pan kardynał ma do nich jakąś dziwną słabość, której pojąć nie mogę.

— Doprawdy?

— Tak jest.

— A zatem powiedz mu, Rocheforcie, że ci czterej ludzie podsłuchali naszą rozmowę w gospodzie pod "Czerwonym gołębnikiem"; powiedz, że po jego odjeździe jeden z nich wrócił i wydarł mi przemocą dokument, którym mię Jego Eminencja obdarował; powiedz, że to oni właśnie zawiadomili lorda Wintera o mojej podróży do Anglji i usiłowali udaremnić moje posłannictwo, tak samo jak pokrzyżowali sprawę zapinek djamentowych; powiedz mu, że z pośród tych czterech ludzi najniewygodniejsi są dla nas dwaj, mianowicie d'Artagnan i Atos, trzeci zaś, Aramis, jest kochankiem pani de Chevreuse, i temu należy darować życie, bo wobec tego, że znamy jego tajemnicę, może on nam być jeszcze użyteczny; czwarty z nich Portos, jest głupcem, niedołęgą i zarozumialcem, i nie warto się nim zajmować.

— Ależ ci czterej ludzie pownniby w tej chwili brać udział w oblężeniu Rochelli.

— I ja tak sądziłam; ale list, który pani Bonacieux otrzymała od pani de Chevreuse, a który niebacznie mi pokazała, prze-

konał mię, że wszyscy czterej zdążają tutaj, aby ją zabrać z klasztoru.

— Hm, do licha! co robić?

— Czy kardynał wydał co do mnie jakie polecenia?

— Rozkazał mi odebrać od ciebie wiadomości na piśmie lub ustnie i wracać natychmiast pocztowymi końmi; a gdy otrzyma moje sprawozdanie, zawiadomi cię, co masz czynić dalej.

— Więc mam pozostać tutaj?

— Tutaj lub gdzieśkolwiek w tych stronach.

— Czy nie możesz mię zabrać ze sobą?

— Nie; mam co do tego rozkaz wyraźny. W pobliżu obozu mógłby cię kto poznać, a obecność twoja, rozumiesz to chyba, kompromitowałaby Jego Eminencję.

— A więc mam oczekiwać tutaj lub gdzieś w pobliżu na dalsze rozkazy?

— Tak, ale muszę wiedzieć, gdzie zamieszkasz, abym mógł cię w każdej chwili odnaleźć.

— Tutaj prawdopodobnie nie będę mogła pozostać na dłużej

— Dlaczego?

— Nie zapominaj, że mogą tu lada chwila przybyć moi wrogowie.

— To prawda... Ale, jeżeli stąd się ruszysz, ta kobietka wymknie się Jego Eminencji.

— Ba! — rzekła milady, — zapominasz, że jestem jej najlepszą przyjaciółką.

— Istotnie. A zatem, co się tyczy tej kobiety, mogę powiedzieć kardynałowi....

— Żeby był zupełnie spokojny.

— I to wszystko?

— Kardynał zrozumie już. co to znaczy.

— Domyśli się, że.... tak. A teraz co mam z sobą uczynić?

— Wracać natychmiast. Zdaje mi się, że wieści, jakie wieziesz, warte są pośpiechu.

— Zepsuł mi się powóz, gdy wjeżdżał do Lilleirs.

— Tem lepiej!

— Jakto?

— Bo właśnie potrzebuję twego powozu.

— A jakże ja pojadę?

— Konno.

— Łatwo to powiedzieć.... sto ośmdziesiąt mil.

— Czy to tak dużo?

— No, dobrze! więc jakże się mam z tem urządzić?

— Przejeżdżając przez Lilliers, odeślesz mi swój powóz i rozkażesz służącemu, aby mi był bezwzględnie posłuszny.

— Dobrze.

— Masz zapewne przy sobie jakieś pismo kardynała?

— Mam zupełne pełnomocnictwo.

— Pokażesz je zatem przeoryszy i powiesz, że dzisiaj albo jutro przybędą tu wysłańcy, aby mię zabrać, i że powinnam udać się z osobą, która przyjedzie w twojem imieniu.

— Doskonale.

— Nie zapominaj o tem, aby w rozmowie z przeoryszą oskarżać mię jaknajsurowiej.

A to dlaczego?

— Jestem ofiarą zawziętości kardynała... Muszę przecie pozyskać zaufanie tej małej pani Bonacieux.

— Masz słuszność. Czy dasz mi dla kardynała jakie pisemne sprawozdanie ze swojej misji?

— Nie. Opowiedziałam ci wszystkie wypadki; pamięć masz dobrą, więc powtórz tylko to, coś słyszał odemnie. Papier łatwo zgubić.

— Bardzo słusznie. Pragnę jeszcze tylko wiedzieć, gdzie cię szukać, abym nie był zmuszony błąkać się po okolicy.

— Prawda.

— Może ci dać mapę okolicy?

— Och! znam te strony doskonale.

— Więc byłaś tu już kiedy?

— Wychowałam się tutaj.

— Doprawdy?

— Jak widzisz, nawet spędzenie dzieciństwa w danej okolicy przydaje się na coś czasami.

— Gdzież więc będziesz mnie oczekiwała?

— Zaraz ci to powiem; pozwól mi zastanowić się przez chwilę..... W Armentieres.... Ach, tak! najlepiej będzie w Armentieres.

— Cóż to jest owo Armentieres?

— Jest to małe miasteczko nad rzeką Lys. Wystarczy przeprawić się tylko na drugą stronę rzeki, aby znaleźć się już w obcym kraju.

— Doskonale! — Ale przeprawisz się na drugi brzeg chyba tylko w razie niebezpieczeństwa?

— Oczywiście.

— A jakże się dowiem w takim razie, gdzie jesteś?

— Czy twój lokaj jest ci potrzebny?

— Nie.

— Czy to pewny człowiek?

— Wypróbowanej wierności.

— Pozostaw mi go zatem. Nikt go w tych stronach nie zna, może więc zatrzymać się w miejscu, które opuszczę, i zaprowadzić cię tam, gdzie w danej chwili będę.

— A więc będziesz oczekiwała na mnie w Armentieres?

— Tak, w Armentieres.

— Napisz mi tę nazwę na kawałku papieru, żebym nie zapomniał. Nazwa miasteczka nie może cię chyba narazić na niebezpieczeństwo, nieprawdaż?

— Ktoż to wie? Zresztą mniejsza o to — rzekła miłady, pisząc nazwę na świartce papieru. — Kompromituję się.

— Dobrze — rzekł Rochefort i, wziąwszy papier z rąk miłady, złożył go, a następnie ukrył w kapeluszu. — Zresztą bądź spokojna; uczynię, jak robią małe dzieci: na wypadek zagubienia tej kartki będę podczas podróży powtarzał wypisaną w niej nazwę. Czy to już wszystko?

— Tak sądzę.

— Więc uprzytomnijmy sobie: Buckingham nieżywy lub ciężko ranny; twoja rozmowa z kardynałem podsłuchana przez czterech muszkieterów; lord Winter uprzedzony o twojej podróży do Portsmouth; d'Artagnana i Atosa wysłać do Bastylji; Aramis jest kochankiem pani de Chevreuse; Portos głupiec; pani Bonacieux odnaleziona; przysłać powóz możliwie najrychlej; oddać służącego na twoje rozkazy; przedstawić cię przeoryszy, jako ofiarę kardynała, aby nie powzięła żadnych podejrzeń; Armentieres nad brzegeim rzeki Lys. Czy dobrze?

— Doskonale, drogi mój kawalerze! masz cudowną pamięć! Ale prawda! zapamiętaj jeszcze jedno...

— Mianowicie?

— Zauważyłam obok klasztornego ogrodu prześliczny lasek; powiedz przeoryszy, aby pozwoliła mi się tam przechadzać. Kto wie, może będę zmuszona wyjść stąd tylną furtą.

— Myślisz o wszystkiem.

— Ty zaś zapominasz o jednem...
— O czem?
— Zapytaj mię czy nie potrzebuję pieniędzy.
— To prawda. Ile ci potrzeba?
— Daj mi wszystko, co posiadasz.
— Mam około pięciuset pistolów.
— Taką samą sumę posiadam i ja. A mając tysiąc pistolów można wielu rzeczy dokonać.... Więc wypróżniaj kieszenie.
— Oto masz.
— Dobrze! Kiedy odjeżdżasz?
— Za godzinę. Zjem teraz cośkolwiek, a tymczasem poślę po konia na pocztę.
— Wybornie! Żegnam cię więc, kawalerze!
— Żegnam cię, hrabino!
— —Poleć mię względom kardynała.
— A ty poleć mię względom szatana.

Milady i Rochefort roześmieli się i pożegnali ze sobą.

W godzinę później Rohcefort pędził, co koń wyskoczy, ku Lilliers, a po upływie pięciu godzin przejechał przez Arras.

Czytelnicy nasi wiedzą już, że poznał go w Arras właśnie d'Artagnan i że spotkanie to, rozbudziwszy obawy czterech muszkieterów stało się nową podnietą do dalszej ich podróży.

LXIV.

KROPLA WODY.

Zaledwie wyszedł Rochefort, pani Bonacieux wróciła do pokoju miłady i zastała ją rozpromienioną.

— I cóż? — rzekła. — Stało się zapewne to, czego się obawiałaś; wysłańcy kardynała przybędą po ciebie dzisiaj albo jutro?

— Któż ci to powiedział, moje dziecko? — zapytała miłady.

— Słyszałam z własnych ust tego pana.

— Usiądz tu przy mnie — rzekła miłady i usadziła panią Bonacieux na krześle. — Poczekaj jednak; przekonam się, czy kto pod drzwiami nie podsłuchuje.

I podeszła ku drzwiom, otworzyła je, zajrzała w głąb korytarza, a wróciwszy, usiadła obok pani Bonacieux.

— Na co te wszystkie środki ostrożności?

— Zaraz się dowiesz. Otóż rolę swoją odegrał doskonale! — rzekła.

— Kto taki?

— Ten, który się przedstawił przeoryszy, jako wysłannik kardynała.

— Więc on grał tylko rolę wysłannika?

— Tak jest, moje dziecko.

— I ten człowiek nie jest...

— Ten człowiek — przerwała miłady, zniżając głos — jest moim bratem.

— Twoim bratem? — zawołała z ciekawością pani Bonacieux.

— Tak. Tobie jednej tylko powierzam tę tajemnicę, moje dziecko; jeżeli wyjawisz ją komukolwiek, zgubisz mię bezpowrotnie, a może i siebie w dodatku.

— Och! Boże mój! Boże!

— Posłuchaj zatem, co się wydarzyło. Brat mój, jadąc tutaj, by mię ratować, przygotowany nawet na uprowadzenie mię stąd siłą, gdyby zaszła tego potrzeba, natknął się w drodze na jadącego tu również po mnie wysłannika kardynała. Podążył więc za nim nieznacznie, a gdy się znaleźli w pustej i odludnej

okolicy, natarł na niego ze szpadą w ręku i zażądał wydania sobie papierów. Że jednak wysłannik kardynała stawił opór, brat mój zabił go w tem pustkowiu.

— Och, Boże! — zawołała pani Bonacieux z trwogą.

— Pomyśl, że nie było innego sposobu, gdyż brat mój tu, w klasztorze, postanowił użyć podstępu, zamiast siły. Zabrawszy zabitemu dokumenty, przedstawił się tu, jako wysłannik kardynała, i za parę godzin przyśle tu po mnie powóz, niby z polecenia Jego Eminencji.

— Pojmuję. I tym powozem stąd wyjedziesz?

— Tak jest. Ale to jeszcze nie wszystko. List, który otrzymałaś, pochodzący rzekomo od pani de Chevreuse, list ten....

— Co? co takiego?

— Jest sfałszowany.

— Jakto?

— Tak jest; sfałszowany. To zasadzka, urządzona w tym celu, abyś nie stawiała oporu, gdy przyjadą cię zabrać.

— Przecież to sam d'Artagnan przyjedzie tutaj.

— Łudzisz się! D'Artagnan i jego przyjaciele nie mogą opuścić obozu pod Rochellą.

— Skąd wiesz o tem?

— Brat mój napotkał wysłannników kardynała, przebranych za muszkieterów. Mają cię oni wywołać do bramy, a gdybyś poszła, w tej nadziei, że są to twoi przyjaciele, uprowadziliby cię i odwieźli z powrotem do Paryża.

— Boże mój! tracę zmysły w tym chaosie niepokojów! — wołała pani Bonacieux, chwytając się rękami za głowę, — i oszaleję chyba, jeżeli to potrwa dłużej!

— Ciszej! czy słyszysz?

— Co?

— Tętnent konia! to zapewne brat mój odjeżdża... Muszę go jeszcze raz pożegnać.

I mówiąc to, milady otworzyła okno, a następnie dała znak pani Bonacieux by podeszła ku niej. Młoda kobieta zbliżyła się do okna.

Istotnie był to Rochefort, który w tej właśnie chwili konno opuszczał klasztor.

— Żegnaj, bracie! — zawołała milady.

Kawaler podniósł głowę, a zauważywszy w oknie kobiety, skinął im przyjaźnie ręką i, nie zatrzymując się, popędził galopem.

— Zacny mój Jerzy! — rzekła z udanem rozczuleniem milady zamykając okno, i na twarzy jej odmalował się smutek oraz wzruszenie.

Usiadła i zamyśliła się, jak gdyby pogrążając się we własnych jedynie troskach.

— Kochana moja! — odezwała się pani Bonacieux, — przepraszam, że ci przerywam. Ale, na miłość Boga, poradź mi, co mam czynić? Masz więcej doświadczenia odemnie; mów, usłucham cię.

— Przedewszystkiem może się mylę — rzekła milady; — może d'Artagnan i jego przyjaciele istotnie spieszą ci na pomoc.

— Och! byłabym najszczęśliwszą w świecie! — zawołała pani Bonacieux; — aż mi się nie chce uwierzyć w takie szczęście!

— Jest to jedynie kwestja czasu, coś w rodzaju wyścigów... kto przybędzie pierwszy. Jeżeli się twoi przyjaciele pospieszą, będziesz uratowana; jeżeli pierwej przybędą zausznicy kardynała, czeka cię zguba.

— O tak! zguba bez ratunku! Więc co czynić? co czynić?

— Byłby jeden sposób, i to nader prosty...

— Jaki? mów!

— Ukryć się w okolicy i z ukrycia przekonać się, kto po ciebie przybywa.

— Ale gdzie się ukryć?

— Ohe! znajdzie się miejsce! Ja sama zatrzymam się gdzieś niedaleko stąd i będę oczekiwała przybycia mego brata, więc mogę cię zabrać z sobą; ukryjemy się razem i razem będziemy czekały.

— Ależ mnie nie pozwolą stąd nigdzie odjechać! jestem tu niemal więźniem!

— Moja miła! przecież w ich mniemaniu wyjeżdżam na rozkaz kardynała, więc nie mogą chyba posądzić cię, że masz ochotę mi towarzyszyć.

— A więc?

— Więc będzie tak: powóz czeka przed bramą; żegnasz się ze mną i wstępujesz na stopień karety, aby mię uścisnąć po raz ostatni; służący mego brata będzie już uprzedzony, da znak pocztylionowi i ruszymy galopem naprzód.

— A jeżeli przyjedzie d'Artagnan?.

— Czyż nie dowiemy się o tem?

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym: odeślemy służącego mego brata do Bethune, a zaręczam ci, że służącemu temu można zaufać; przebierze się on odpowiednio i zamieszka naprzeciwko klasztoru; jeżeli przyjadą wysłannicy kardynała, służący nie ruszy się z miejsca, jeżeli zaś d'Artagnan i jego przyjaciele przywiedzie ich do nas.

— A czy ich pozna?

— Oczywiście; widywał przecie pana d'Artagnana u mnie w domu.

— Och! jeżeli tak, to wszystko będzie dobrze. Nie oddalajmy się jednak zbytnio z tych okolic.

— Oddalimy się co najwyżej o jakieś siedem lub ośm mil; osiądziemy naprzykład koło granicy, a na wypadek jakiegokolwiek niebezpieczeństwa umkniemy z Francji.

— A teraz co wypada nam uczynić?

— Teraz jedynie czekać.

— Jeżeliby jednak przyjechali?

— Powóz mojego brata przybędzie tu wcześniej.

— A jeżeli w chwili przybycia powozu będą daleko od ciebie, na obiedzie albo na wieczerzy naprzykład?

— Poradzę ci jedno.

— Co takiego?

— Powiedz poczciwej swej przeoryszy, że prosisz aby ci pozwoliła jadać razem ze mną, pragniesz bowiem jak najwięcej ze mną przebywać.

— Czy jednak pozwoli na to?

— Przecie niema w tem nic niestosownego.

— Istotnie! w ten sposób nie będziemy się ani na chwilę rozłączały.

— Idź zatem i poproś ją o to. Ja tymczasem przejdę się po ogrodzie, gdyż boli mię głowa.

— A gdzie się spotkamy?

— Tutaj, za godzinę.

— Tutaj, za godzinę. Och! jesteś bardzo dla mnie dobra, i dziękuje ci za to.

— Czyż mogę nie zajmować się twoim losem? Gdybyś nawet nie była tak piękna i miła, czyż nie jesteś bądź-co-bądź kochana przez jednego z moich najlepszych przyjaciół?!

— Drogi d'Artagnan! Jakże gorąco będę ci wdzięczna za pomoc w połączeniu się z nim!

— Mam nadzieję. A teraz, skoro już wszystko ułożone, chodźmy na dół.

— Więc idziesz do ogrodu?

— Tak jest.

— W takim razie idź najpierw tym korytarzem, a potem zejdź po małych schodkach.

— Dobrze; dziękuję.

I "przyjaciółki" rozstały się, słodko się do siebie uśmiechając.

Milady mówiła prawdę: głowa ciężyła jej istotnie. Nie zdołała jeszcze uporządkować swych planów, które dotąd kłębiły się w tej głowie chaotycznie. Potrzebowała pozostać samą, aby wprowadzić ład w myślach, a wiedziała z doświadczenia, że wystarczy trochę ciszy i spokoju, by niewyraźne jeszcze pomysły przybrały stanowczą, określoną formę. Najpilniejszem na razie było porwanie pani Bonacieux i umieszczenie jej w bezpiecznem miejscu, aby w razie gwałtownej potrzeby módz posłużyć się nią, jako zakładniczką. A potem?....

Przyszłość przedstawiała się jej niejasno, i milady z pewną obawą myślała o wyniku tego strasznego pojedynku, w który nieprzyjaciele jej wkładali tyleż wytrwałości, co ona zawziętości. Czuła, że zbliża się burza, i dreszcz przebiegał jej ciało na myśl, że burza ta ją właśnie zmieść może z powierzchni ziemi.

Bądź-co-bądź, jak już powiedzieliśmy, na razie uważała za najważniejsze dostać w swe ręce panią Bonacieux. Pani Bonacieux — było to życie d'Artagnana, było to więcej nawet, bo kobietę tę kochał on nad życie; na wypadek zaś niepowodzenia walki z tym młodym człowiekiem stanowiła pani Bonacieux podstawę do układu i niewątpliwą gwarancją uzyskania dobrych warunków.

Postanowiła zatem milady ostatecznie, że zabierze z sobą panią Bonacieux, ufającą jej najzupełniej, a skoro ukryje się już z nią w Armentieres, potrafi ją łatwo przekonać, że d'Artagnan wcale nie przybył do Bethune. Za dwa tygodnie najpóźniej wróci Rochefort, a przez ten czas milady będzie mogła obmyślić plan zemsty na czterech przyjaciołach pani Bonacieux, więc nie znudzi się wcale, mając tak miłe i odpowiednie jej zbrodniczemu charakterowi zajęcie.

Snując zaś swe marzenia, rozpatrywała się milady dokoła, by zapamiętać rozkład ogrodu, jak rozpatruje się wśród terenu przyszłej bitwy dobry wódz, przewidujący zarówno zwycięstwo jak możliwą klęskę, i z góry przygotowujący, zależnie od powodzenia bitwy, bądź ruch naprzód, bądź odwrót.

Po upływie godziny usłyszała milady słodki głosik, wołający ją po imieniu; była to pani Bonacieux. Dobra przeorysza nie odrzuciła oczywiście jej prośby, i oto pani Bonacieux przyszła właśnie oznajmić o tem milady, proponując jej wspólną wieczerzę.

Gdy wyszły z ogrodu na podwórze, rozległ się na drodze turkot, i jakiś powóz zatrzymał się przed bramą.

Milady przystanęła, nasłuchując.

— Czy słyszysz? — zapytała.

— Tak, słyszę; zajechał jakiś powóz.

— To brat mój przysyła po nas.

— Och, Boże! boję się!

— Odwagi, moja kochana!

W tejże chwili ozwał się dzwonek u furty klasztornej.

— Idź prędko do swego pokoju — rzekła milady do pani Bonacieux; — masz zapewne jakieś klejnoty, które przecie zabierzesz z sobą.

— Mam jego listy — odpowiedziała pani Bonaciex.

— A więc zabierz je i wracaj do mnie. Zjemy coś naprędce, bo może trzebo będzie jechać późno w noc, i nie zawadzi pokrzepić siły.

— Boże wielki! — rzekła pani Bonacieux, kładąc rękę na piersi, — serce bije mi tak gwałtownie, że nie mogę postąpić kroku.

— Odwagi! odwagi! Pomyśl tylko, że za kwadrans będziesz wolna! pomyśl, że wszystko to robisz dla niego!

— Och, tak! dla niego! Ta jedna myśl dodaje mi siły. Za chwilę wrócę.

Gdy pani Bonacieux poszła do siebie, milady skoczyła szybko do swego pokoju, a zastawszy tam już służącego Rocheforta, wydała mu odpowiednie rozkazy. Miał czekać przed bramą. Gdyby przypadkiem pojawili się muszkieterowie, miał popędzić konie, objechać klasztor dookoła i oczekiwać na milady w małej wiosce po drugiej stronie lasku, dokąd milady dostałaby się pieszo, przebiegłszy przez ogród klasztorny. Jeżeliby

jednak muszkieterowie nie nadjechali, wszystko miało się odbyć wedle pierwotnego planu; pani Bonacieux wejdzie do powozu pod pozorem pożegnania się z nią i wówczas zostanie porwana.

Ostatnie te polecenia służącemu wydawała milady w chwili, gdy pani oBnacieux weszła do jej pokoju. Zadała mu też kilka pytań, dotyczących powozu. Była to kareta, zaprzężona w trzy konie, z pocztylionem na koźle; służący Rochefort'a miał jechać konno przodem, jako kurjer. A pytania te i polecenia w obecności pani Bonacieux miały również na celu odwrócenie wszelkich jej podejrzeń, których jednak milady wcale niepotrzebnie obawiała się, gdyż pani Bonacieux nazbyt była prawa, by podejrzywać kogoś o tak niesłychaną przewrotność; zresztą nazwisko hrabiny Winter, zasłyszane z ust przełożonej, było jej najzupełniej nieznane, i nie przypuszczała, by ta kobieta zdolna była jakiś wpływ wywrzeć na jej życie.

— Jak widzisz, wszystko gotowe — rzekła milady, skoro służący wyszedł z pokoju. — Przeorysza nie domyśla się niczego i sądzi, że to kardynał przysyła po mnie. Służący poszedł wydać ostatnie zarządzenia. Zjedz teraz cośkolwiek, napij się trochę wina, i jedźmy.

— Tak! — powtórzyła odruchowo pani Bonacieux, — jedźmy!

Milady wskazała jej krzesło obok siebie, nalała kieliszek wina hiszpańskiego i podsunęła kawałek kurczęcia.

— Spojrzyj, wszystko nam sprzyja: zapada już noc; o świcie przybędziemy do naszego schronienia, i nikt nie potrafi odgadnąć, gdzie się znajdujemy. Tylko odwagi! Zjedz cośkolwiek.

Pani Bonacieux zjadła odruchowo kilka kęsków i umoczyła usta w kieliszku z winem.

— No, śmiało! — rzekła milady, podnosząc swój kieliszek, — rób tak, jak ja..

W chwili jednak, gdy milady zbliżała go do ust, ręka jej zatrzymała się nagle w powietrzu; wrażliwych jej uszu dobiegł z gościńca jakby tętent, na razie odległy, stopniowo zaś zbliżający się ku klasztorowi, — po chwili zaś wydało jej się, że słyszy nawet rżenie koni.

Odgłos ten spłoszył jej wesołość, tak, jak huk piorunu budzi człowieka z rozkosznego snu; zbladła i podbiegła ku oknu. Pa-

ni Bonacieux powstała również i drżąc oparła się o krzesło, aby nie upaść.

Jeźdźców nie było jeszcze widać, ale tętent koni zbliżał się coraz wyraźniej.

— Boże mój! — rzekła pani Bonacieux, — kto to jedzie?...

— Przybywają albo nasi przyjaciele, albo też wrogowie — odparła milady ze strasznym spokojem. — Nie pokazuj się w oknie; powiem ci, co zobaczę.

Pani Bonacieux stała blada, milcząca, nieruchoma, jak posąg.

Tętent stawał się coraz głośniejszym, i jedynie z powodu zakrętu drogi nie można było jeszcze zobaczyć jeźdźców.

Milady, w najwyższem podnieceniu oczekująca ukazania się ich na zakręcie drogi, ujrzała nareszcie po chwili ich kapelusze z galonami i rozwiane wichrem pióropusze; naliczyła dwóch, potem pięciu, w końcu ośmiu jeźdców; jeden z nich wyprzedzał innych o dwie długości konia.

Milady wydała stłumiony okrzyk: w przodującym jeźdźcu poznała d'Artagnana.

— Och! Boże mój! Boże! — wołała pani Bonacieux. — I cóż? kto jedzie?

— Mundury gwardji pana kardynała! Niema ani chwili do stracenia! — krzyknęła milady. — Uciekajmy!

— Tak! uciekajmy! — powtórzyła pani Bonacieux.

Ale przestrach tak ją przykuł do miejsca, że nie mogła postąpić ani kroku; nogi uginały się pod nią.

— Chodź! chodź! — krzyczała milady, usiłując pociągnąć młodą kobietę za ramię. — Możemy jeszcze uciec przez ogród; mam klucz. Ale spieszmy się, bo za pięć minut będzie już zapóźno!

Pani Bonacieux postąpiła dwa kroki i upadła na kolana.

Milady usiłowała ją podnieść, chcąc wynieść ją na rękach, lecz nie mogła poradzić.

W tej chwiil rozległ się turkot powozu, i jednocześnie huknęły dwa czy trzy strzały.

— Po raz ostatni cię pytam, czy chcesz iść ze mną? — wołała milady.

— Och, Boże! mój Boże! Widzisz przecie, że brak mi sił, że nie mogę postąpić kroku.... Uciekaj sama.

— Ja miałabym uciec sama?! zostawić cię tutaj? Nie! nigdy! — wołała milady.

Nagle wyprostowała się, i groźny błysk rozświetlił jej oczy; podbiegła do stołu i, niepostrzeżenie wsypawszy w kieliszek pani Bonacieux ze swego pierścienia różowe ziarnko, które rozpuściła się natychmiast, ujęła pewną ręką kieliszek i rzekła do nieszczęsnej pani Bonacieux:

— Pij! to wino doda ci sił!

Przytknęła kieliszek do ust młodej kobiety, która odruchowo go wypiła.

— Och! nie w ten sposób zamierzałam się zemścić! — rzekła milady z piekielnym uśmiechem, stawiając kieliszek na stole. — Ale trudno! trzeba czynić to, co można....

I rzekłszy to, wybiegła z pokoju.

Pani Bonacieux patrzyła na oddalającą się, nie mogąc sama z braku sił postąpić ani kroku, i miała wrażenie człowieka który śni, że go ścigają, i nadaremnie próbuje ruszyć się z miejsca.

Po chwili straszna wrzawa powstała przy bramie. Pani Bonacieux oczekiwała, że milady powróci lada chwila, lecz oczekiwała napróżno. Zimny pot zrosił jej rozpalone czoło, gdy usłyszała zgrzyt otwierających się żelaznych krat, a następnie odgłos licznych kroków i brzęk ostróg na schodach; wśród rozgwaru zaś zbliżających się ludzi rozróżniła wyraźnie swe imię, a wymawiał je znany jej dobrze głos ukochanego.

Poskoczyła radośnie w kierunku drzwi, wołając:

— D'Artagnanie! tyś tutaj?

W tejże chwili drzwi wyskoczyły raczej z zawias niż otwarły się, i kilku ludzi wbiegło do pokoju. Pani Bonacieux padła na krzesło, nie mogąc się już utrzymać na nogach.

D'Artagnan rzucił na ziemię dymiący jeszcze pistolet, który trzymał w ręku, i padł na kolana przed ukochaną. Atos zatknął pistolet za pas, a Portos i Aramis, trzymający obnażone szpady, schowali je do pochew.

— Och! d'Artagnanie! drogi d'Artagnanie! przybywasz nareszcie! nie zawiodłeś mię!

— Tak, Konstancjo! jesteśmy nareszcie razem!

— Och! a ona mówiła ciągle, że nie przybędziesz... Zaczęłam już rozpaczać.... Nie chciałam uciekać... Och! jakże dobrze uczyniłam! jakże jestem szczęśliwa!

Usłyszawszy słowo "ona", Atos, który usiadł był na krześle, zerwał się nagle na równe nogi.

— Ona? co za "ona"? — pytał d'Artagnan.

— Moja towarzyszka... przyjaciółka, która chciała mię ocalić przed mymi prześladowcami.... Niema tu już jej; uciekła, bo w przestrachu wzięła was za gwardzistów kardynała.

— Jaka przyjaciółka? — zawołał d'Artagnan, blednąc bardziej niemi od białych welonów swej kochanki, — o jakiej towarzyszce mówisz?

— O tej, której powóz stał przed bramą.... która mi powiedziała, że była twoją przyjaciółką, d'Artagnanie... której opowiadałeś wszystkie moje cierpienia...

— Jej nazwisko? jej nazwisko, na Boga!? czy nie znasz jej nazwiska? — wołał d'Artagnan.

— Zaraz.... słyszałam je.... zaraz..... Ale to dziwne.. Och, Boże! w głowie mi się kręci... ciemno mi w oczach...

— Chodźcie tu, przyjaciele! — zawołał d'Artagnan. — Patrzcie! ręce ma lodowato-zimne... mdleje.... Wielki Boże! traci przytomność!

Podczas gdy Portos wołał o pomoc, Aramis podszedł do stołu, by wziąć szklankę wody. Ale zatrzymał się, zauważywszy straszny wyraz twarzy Atosa, który z włosem zjeżonym stał przed stołem i rozszerzonemi przerażeniem źrenicami wpatrywał się w jeden z kieliszków. Zrodziło się w nim straszne podejrzenie...

— Nie! — szeptał, — to niemożliwe! Bóg nie dopuściłby podobnej zbrodni!

— Wody! — wołał d'Artagnan, — dajcie mi tu wody!

— Nieszczęśliwa! nieszczęśliwa! — szeptał Atos złamanym głosem.

Pani Bonacieux pod wpływem pocałunków d'Artagnana otwarła na chwilę oczy.

— Odzyskuje przytomność! — wołał d'Artagnan. — Boże, dzięki ci!

— Pani! — zwrócił się do niej Atos, — powiedz mi, na Boga! kto pił z tego próżnego kieliszka?

— Ja... — odpowiedziała młoda kobieta słabnącym głosem.

— A kto nalewał ci wino?

— Ona.

— Co za "ona"?

— Ach! przypominam sobie teraz — odparła pani Bonacieux; — hrabina Winter.....

Czterej przyjaciele jednogłośnie powtórzyli z przerażeniem to nazwisko, lecz głos Atosa górował ponad innymi.

Tymczasem piękne lica pani Bonacieux poczęły sinieć, i porwały ją straszne boleści; dysząc ciężko, upadła w ramiona Portosa i Aramisa.

D'Artagnan z niedającą się opisać rozpaczą pochwycił Atosa za rękę.

— Jakto?! — rzekł, — przypuszczasz....

Łkanie zatamowało mu głos w krtani.

— Przypuszczam wszystko — odparł Atos, zagryzając do krwi wargi, aby powstrzymać jęk, który mu się gwałtem chciał wydrzeć z piersi.

— D'Artagnanie! d'Artagnanie! — wołała z wysiłkiem pani Bonacieux, — gdzie jesteś? Nie odchodź odemnie! widzisz, że umieram!

D'Artagnan puścił rękę Atosa, którą trzymał jeszcze w zaciśniętych dłoniach, i podbiegł do konającej.

Piękną jej twarzyczkę wykrzywiło cierpienie; szklane oczy patrzyły, nie widząc; konwulsyjne drżenie wstrząsało całem jej ciałem; na czoło wystąpił pot kroplisty.

— Na miłość Boską! biegnijcie! wołajcie o pomoc! Portosie, Aramisie!

— To daremne— rzekł Atos. — Gdy ona poda komu truciznę, niema już odtrutki.

— Ach! ratujcie mię! — szeptała pani Bonacieux, poczem, zebrawszy resztę niknących sił, ujęła w ręce głowę d'Artagnana, oganręła twarz jego takiem spojrzeniem jakgdyby w niem całą swą duszę zawarła, i z łkaniem przycisnęła wargi do jego ust.

— Konstancjo! Konstancjo! — wołał d'Artagnan.

Z ust pani Bonacieux wybiegło westchnienienie i musnęła usta d'Artagnana... Była to czysta, kochająca dusza tej kobiety, wznosząca się ku niebiosom.

D'Artagnan trzymał przez chwilę w ramionach już tylko stygnące zwłoki, poczem straszny jęk wydarł mu się z piersi, i nieszczęsny młodzieniec upadł obok ciała swej ukochanej, prawie tak samo biały i zmartwiały, jak ona.

Portos płakał, Aramis wzniósł groźnie pięść ku niebu, Atos przeżegnał się.

W tej właśnie chwili stanął w drzwiach jakiś człowiek, a rozejrzawszy się wśród obecnych, rzekł:

— Nie omyliłem się; wszak to pan d'Artagnan i trzej jego przyjaciele, panowie Atos. Portos i Aramis.

Ci, których nazwiska wymieniono, spojrzeli na nieznajomego ze zdziwieniem, gdyż wydawało się im, że go już kiedyś wiedzieli. On zaś, popatrzywszy na zwłoki pani Bonacieux i na omdlałego przy nich d'Artagnana, dodał:

— Przybyliście tu panowie zapewne w tym samym co i ja, celu, mianowicie w poszukiwaniu kobiety, która niewątpliwie musiała przejść tędy, gdyż... widzę tu trupa.

Trzej przyjaciele stali w milczeniu, usiłując przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach widzieli nieznajomgo, gdyż bez wątpienia głos i oblicze jego było im znane, — on zaś mówił dalej:

— Panowie! ponieważ nie chcecie poznać człowieka, który prawdopodobnie dwukrotnie zawdzięcza wam życie, muszę sam przypomnieć wam moje nazwisko. Jestem lord Winter, szwagier tej właśnie kobiety, która śmiercią znaczy ślady swoje.

Trzej przyjaciele z wyrazem zdziwienia powitali go ukłonem, Atos zaś, podszedłszy, podał mu rękę:

— Witaj, miłordzie! — rzekł. — Więc idziesz razem z nami?

— Wyjechałem z Portsmouth w pięć godzin po niej — opowiadał lord Winter; — przybyłem do Boulogne o trzy godziny zapóźno; w Saint-Omer wyprzedzała mię tylko o dwadzieścia minut; wreszcie w Lilliers straciłem jej ślady. Jechałem na los szczęścia, gdy ujrzałem was, pędzących, co koń wyskoczy, przyczem poznałem pana d'Artagnana. Wołałem na was, ale nie odpowiedzieliście mi; chciałem podążyć za wami, ale koń mój był nazbyt zmęczony i nie mógł dorównać wam w biegu... A jednak, mimo całego pośpiechu, przybyliście tu zapóźno!

— Jak pan widzisz — rzekł Atos, wskazując lordowi zwłoki pani Bonacieux i obok nich zemdlałego d'Artagnana, którego Portos i Aramis usiłowali ocucić.

— Czy oboje nie żyją? — zapytał chłodno lord Winter.

— Nie. Na szczęście, d'Artagnan, zemdlał tylko.

W tejże chwili d'Artagnan otworzył oczy, i pierwsze jego spojrzenie padło na zwłoki zmarłej. Wyrwał się z rąk Portosa i Aramisa i rzucił się, jak szaleniec, na ciało ukochanej.

Atos powolnym krokiem podszedł do przyjaciela, uścisnął go czule, a gdy d'Artagnan załkał gwałtownie, rzekł do niego z powagą:

— Bądź mężnym, przyjacielu! Kobiety opłakują zmarłych; obowiązkiem mężczyzn jest pomścić ich!

— Istotnie, masz słuszność! — odrzekł d'Artagnan. — I jeżeli mamy ją pomścić, gotów jestem iść z tobą.

Atos, skorzystawszy z rozbudzenia się energji w swym nieszczęsnym przyjacielu, którego nadzieja pomsty natchnęła nowemi siłami, skinął na Portosa i Aramisa, aby poszli po przeoryszę.

Ci spotkali ją na korytarzu, drżącą i wylękłą wypadkami, a gdy jej opowiedzieli o śmierci pani Bonacieux, przywołała natychmiast kilka zakonnic, które, wbrew regule klasztornej, pomimo obecności pięciu mężczyzn, weszły do pokoju.

— Pani! — rzekł Atos, — polecamy pobożnym twym staraniom ciało tej nieszczęśliwej kobiety. Była ona aniołem na ziemi, zanim jako anioł dostała się do nieba. Pochowajcie ją, jak siostrę klasztorną. Wrócimy tu kiedyś pomodlić się na jej grobie.

D'Artagnan ukrył twarz na piersi Atosa i wybuchnął płaczem.

— Płacz! — rzekł Atos, — płacz, przyjacielu o pełnem miłości, młodości i życia sercu! Och! jakżebym ja pragnął módz tak zapłakać, jak ty płaczesz!

I wielki ten swą mocą człowiek, który sam wiele wycierpiał, wyprowadził młodzieńca, troszcząc się o niego, jak ojciec, pocieszając go, jak kapłan, a za nim wyszli dwaj przyjaciele i lord Winter, poczem wszyscy pięciu w towarzystwie czterech służących, którzy wiedli konie za uzdy, podążyi ku miastu Bethune i zatrzymali się przed pierwszą napotkaną gospodą.

— Czy nie udamy się w pościg za tą kobietą? — pytał d'Artagnan.

— Później — odrzekł Atos. — Przedtem muszę załatwić jeszcze pewne sprawy.

— Wymknie się nam — biadał młody Gaskończyk, — wymknie się nam, i to z twojej przyczyny.

— Bądź o to spokojny, że ją doścignięmy — oświadczył Atos; — przyjmuję za to na siebie całą odpowiedzialność.

D'Artagnan tak bardzo ufał słowu swego przyjaciela, że pochylił głowę i, nic nie mówiąc, wszedł do gospody. Portos i Aramis spojrzeli na siebie, nie pojmując tej pewności Atosa, lord Winter zaś przypuszczał, że zapewnienie to ma na celu złagodzenie boleści d'Artagnana.

— A teraz, panowie — rzekł Atos, skoro się upewnił, że w gospodzie jest pięć wolnych pokoi, — pozostawmy d'Artagnana w samotności i spokoju; niech wypłacze swój smutek i niech się snem zasili. Co do reszty, możecie być spokojni; odpowiadam za wszystko.

— Zdaje mi się jednak — ozwał się lord Winter, — że, skoro mamy coś przedsiębrać przeciwko hrabinie, należy to przedewszystkiem do mnie, gdyż jest ona moją bratową.

— Raczej do mnie — odparł Atos, — jest bowiem moją żoną.

Lord Winter popatrzył na Atosa takim wzrokiem, jakby go posądzał o utratę zmysłów, Portos zaś i Aramis spojrzeli po sobie, przejęci grozą spokoju, z jakim przyjaciel ich wyznał tę tajemnicę wobec barona, — tylko d'Artagnan uśmiechnął się, zrozumiawszy, iż Atos musi być pewny swej pomsty, skoro tę tajemnicę, wyjawił.

— Idźcie tedy, panowie, każdy do swego pokoju — dodał Atos — i pozwólcie mi działać; jako mąż, mam niezaprzeczone prawo do porachunku z tą kobietą. D'Artagnanie, jeżeli nie zgubiłeś jeszcze, daj mi ten papier, który wypadł z kapelusza twego tajemniczego nieznajomego; wypisana jest tam nazwa jakiejś miejscowości...

— Ach! pomuję — rzekł d'Artagnan; — ta nazwa wypisana została jej ręką....

— Tak jest — oświadczył Atos. — To dowód, że Bóg jest na niebie!

LXII.

CZŁOWIEK W CZERWONYM PŁASZCZU.

Atos był człowiekiem, który boleść swoją skupiał w samym sobie, nie uzewnętrzniając jej przed ludźmi, co przy świetnych jego zdolnościach dawało mu równowagę umysłu, tak niezwykłym blaskiem jaśniejącą we wszystkich okolicznościach życia.

Pochłonięty jedną-jedyną myślą: obietnicą, jaką złożył,i odpowiedzialnością, jaką przyjął na siebie, ostatni z wszystkich poszedł do swego pokoju, a zażądawszy od oberżysty mapy okolicy, pochylił się nad nią, badał pilnie czas jakiś wszelkie jej szczegóły i doszedł do wniosku, że z Bethune wiodą cztery drogi. Odłożył następnie mapę i kazał przywołać służących.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin stawili się natychmiast i otrzymali jasne, ścisłe i szczegółowe rozkazy. Nazajutrz przed świtem mieli oni udać się do Armentieres, każdy inną drogą. Plancheta, najrozumniejszego ze wszystkich czterech, wysłał Atos śladem powozu, do którego strzelali nasi przyjaciele,, a któremu, jak sobie czytelnik przypomina, towarzyszył służący Rocheforta. Powierzając zaś tę misję służącym Atos czynił to z całą rozwagą, gdyż, odkąd pozostawali w służbie u niego i u jego przyjaciół, poznał dobrze wartość i istotne zalety każdego z nich. Przytem wziął i to pod uwagę, że służący lepiej mogli, aniżeli ich panowie, spełnić misję wywiadowczą, gdyż łatwiej im było pozyskać zaufanie i sympatję okolicznych wieśniaków i zebrać potrzebne Atosowi wiadomości. Wreszcie zaważyła tu i ta okoliczność, że podczas gdy muszkieterowie znani byli milady, służących ich nie znała ona wcale, oni zaś mieli sposobność upamiętnić jej osobę doskonale.

Wszystkim czterem zalecił Atos spotkać się o godzinie jedenastej w Armentieres, i gdyby udało się im odnaleźć schronienie milady, trzej mieli pozostać na straży, a czwarty wrócić do Bethune, aby zawiadomić o tem Atosa i posłużyć za przewodnika czterem przyjaciołom.

Wydawszy te rozkazy i odprawiwszy służących, Atos wstał z krzesła, przypasał szpadę, owinął się płaszczem i wyszedł z gospody.

Dochodiła godzina dziesiąta wieczór.

Wiadomo, że o tej porze małemiasteczka prowincjonalne pogrążone są w ciszy i niema już w nich prawie ruch ulicznego.

Atos jednak szukał widocznie kogoś, aby go o coś zapytać.

Wreszcie spoktła jakiegoś zapóźnionego przechodnia, podszedł ku niemu i powiedział kilka słów. Zaczepiony cofnął się z przerażeniem i jedynie ruchem ręki wskazał drogę muszkieterowi; mimo, że Atos ofiarował mu pół pistola, by mu towarzyszył, przechodzień, odmówił stanowczo.

Wówczas Atos poszedł sam we wskazanym kierunku, i dopiero stanąwszy na rozstajnych drogach, zawahał się znowu. Ponieważ jednak tutaj, na rozstaju, mógł łatwiej kogoś napotkać, aniżeli gdzieindziej, stanął i czekał.

Istotnie po chwili pojawił się jakiś nocny przechodzień. Atos powtórzył zapytanie, jakie zadał poprzednio napotkanemu człowiekowi, — ale i ten przechodzień objawił podobny przestrach, odrzucił propozycję towarzyszenia Atosowi i wskazał mu tylko ręką drogę.

Atos więc podszedł znowuż sam i dotarł do przedmieścia, położonego z przeciwnej strony miasta. Tutaj znów się zawahał i przystanął poraz trzeci.

Na szczęście, ujrzał żebraka, który podszedł ku niemu, prosząc o jałmużnę. Atos przyrzekł mu talara, jeżeli z nim pójdzie. Żebrak wahał się przez chwilę, ale, zobaczywszy srebrną monetę, błyszczącą w dłoni Atosa, ruszył przodem.

Gdy doszli do rogu ulicy, żebrak wskazał mu zdaleka stojący samotnie, opuszczony, ponury domek. Atos skierował się ku niemu, — żebrak zaś, otrzymawszy przyrzeczoną nagrodę, umknął jak mógł najszybciej.

Muszkieter okrążył dom dokoła, zanim odszukał drzwi, pomalowane czerwono, podobnie, jak cały budynek. Poprzez zamknięte okiennice nie przebłyskiwał ani promyczek światła; żaden szmer nie dowodził, by dom był zamieszkany; wyglądał ponuro i głucho, jak grób.

Atos zapukał parokrotnie, ale nikt się w domku nie odezwał. Dopiero, gdy zapukał po raz trzeci, rozległy się w domku kroki, poczem drzwi rozwarły się, i w progu stanął wysoki blady mąż

czyzna z czarnym włosem i zarostem. Atos zamienił z nim słów kilka przycisonym głosem, pocem wysoki mężczyzna dał mu znak, żeby wszedł do wnętrza. Muszkieter skorzystał z pozwolenia, i drzwi zamknęły się za nim.

Człowiek, którego Atos poszukiwał tak daleko i z takim trudem, wprowadził go do swej pracowni, gdzie właśnie zajmował się składaniem szkieletu z grzechocących kości przy pomocy żelaznych drucików. Cały korpus był już gotowy, tylko głowa leżała jeszcze na stole.

Urządzenie pokoju wskazywało, że gospodarz domu zajmuje się naukami przyrodniczemi; były tam słoje, pełne wężów, poznaczone wedle gatunków, — wysuszone jaszczurki, umocowane w wielkich ramach z czarnego drzewa, błyszczały, jak szmaragdy, — wreszcie pęki dzikich polnych ziół, wonnych i posiadających zapewne jakieś nieznane ogółowi właściwości, zwisały z pułapu i zapełniały kąty pokoju.

Wysoki czowiek mieszkał w tym domku samotnie, — służby nie trzymał wcale.

Atos obojętnym zimnym wzrokiem spojrzał na wszystkie opisane przez nas przedmioty i na zaproszenie gospodarza domu usiadł przy stole, a wyjaśniwszy przyczynę swych odwiedzin, oświadczył, jakiej wymaga usługi.

Zaledwie jednak wypowiedział swe żądanie, nieznajomy, stojący dotąd spokojnie obok muszkietera, cofnął się z przestrachem i wręcz odmówił.

Wówczas Atos wyjął z kieszeni kawałek papieru, na którym było napisanych kilka słów z podpisem u dołu oraz pieczęcią, i pokazał ten papier gospodarzowi domku. Gospodarz przeczytał treść, przyjrzał się podpisowi oraz pieczęci i skłonił głową na znak, że gotów jest być posłusznym.

Atos nie żądał nic więcej, pożegnał nieznajomego i, wróciwszy do gospody tą samą drogą, którą był tu przybył, zamknął się w swoim pokoju.

O świcie przyszedł d'Artagnan, pytając zniecierpliwiony, co mu czynić należy.

— Czekać — odpowiedział Atos.

Niedługo później przeorysza zawiadomiła muszkieterów, że pogrzeb zmarłej Bonacieux odbędzie się w południe.

O trucicielce nie dowiedziano się nic nowego; okazało się tylko, że musiała umknąć przez ogród, albowiem znaleziono na

piasku odciski jej stóp, a furtka była otwarta, i klucz zniknął bez śladu.

O oznaczonej godzinie lord Winter i czterej przyjaciele udali się do klasztoru. Dzwony jęczały żałośnie. Kaplica była naoścież otwarta, a kraty chóru zamknięte. Na środku chóru stała na katafalku trumna ze zwłokami ofiary, przybranemi w habit nowicjuszki. Z obu stron chóru, poza kratami, zebrały się zakonnice, i nie widziane przez nikogo, nie widząc też same nikogo brały udział w nabożeństwie i łączyły swe pienia ze śpiewem kapłanów.

Stanąwszy w progu kaplicy, d'Artagnan poczuł, że siły opuszczają go znowu; odwrócił się, aby odszukać Atosa, ale go już nie było.

Tymczasem Atos nie tracił czasu napróżno. Kazał się zaprowadzić do ogrodu klasztornego i, idąc za lekkimi śladami tej kobiety, która w istocie rzeczy, gdziekolwiek przeszła, pozostawiała za sobą ślady krwawe, dotarł aż do furtki, wiodącej do lasu, otworzył ją i wszedł w gęstwinę drzew.

Przypuszczenia jego okazały się prawdziwemi; droga, którą umknął powóz, wiodła przez las. Atos szedł dalej, utkwiwszy oczy w ziemię. Tu i ówdzie znaczyły drogę drobne krwawe plamy. W odległości trech czwartych mili od klasztoru, o jakieś pięćdziesiąt kroków od Festubert, Atos spostrzegł znacznie większą plamę krwawą; ziemia tu była stratowana kopytami końskiemi, a pomiędzy lasem i tem miejscem tuż obok zrytej kopytami ziemi, znów były widoczne ślady drobnych stóp, takież same, jak i w ogrodzie. Wszystko wskazywało, że powóz zatrzymał się tutaj, oraz, że milady w tem miejscu wyszła z lasu i wsiadła do karety.

Atos, zadowolony z tego odkrycia, potwierdzającego wszystkie jego domysły, wrócił do gospody i zastał tam Plancheta, który niecierpliwie oczekiwał na niego.

Wszystko stało się tak, jak przewidywał.

Planchet pojechał tą samą drogą, — tak, samo, jak Atos, zauważył plamy krwi, — i tak samo, jak Atos, odnalazł miejsce gdzie zatrzymały się konie. Ale Planchet dotarł dalej, niż Atos, bo aż do wioski Festubert, i pijąc tam w gospodzie, dowiedział się, bez wypytywania nawet, że poprzedniego dnia o godzinie pół do dziewiątej wieczorem zatrzymał się był w gospodzie jakiś człowiek, towarzyszący damie, która jechała w kare-

cie pocztowej. Człowiek ten był raniony i opowiadał, że zranili go w lesie jacyś zbóje, którzy w celu rabunku napadli na powóz, ale im zdążył umknąć. Nie mogąc zpowodu rany jechać dalej, człowiek ten pozostał we wsi, a dama, zmieniwszy konie, udała się w dalszą drogę.

Odszukał też Planchet pocztyliona, który powoził karetą, i dowiedział się, że dama dojechała do Fromelles, a stamtąd udała się dalej do Armentieres. Otrzymawszy tę wiadomość, Planchet pojechał do Armentieres krótszemi drogami i stanął tam o siódmej rano.

W miasteczku była jedna tylko oberża — "Pod Pocztą". Planchet poszedł do tej gospody, podając się za służącego, poszukującego obowązku, i już po dziesięciu minutach rozmowy z miejscową służbą dowiedział się, że o jedenastej wieczorem przyjechała do gospody jakaś samotna dama, zajęła jeden z pokoi, a wezwawszy oberżystę, uprzedziła go, że zamierza przez czas pewien pozostać w tych okolicach.

Dowiedziawszy się tyle, nie potrzebował Planchet pytać o nic więcej. Pospieszył na umówione miejsce spotkania ,zastał tam już trzech swych towarzyszów na stanowisku, umieścił ich na straży przy wszystkich wyjściach z oberży i popędził do Bethune.

Planchet kończył właśnie zdawać sprawę przed Atosem ze swej wycieczki, gdy do pokoju weszli d'Artagnan, Aramis i Portos. Na twarzach ich malował się smutek, i nawet słodkie oblicze Aramisa zmieniło się przez jakiś ostry wyraz boleści.

— Co czynić? — zapytał d'Artagnan.

— Czekać — odparł Atos.

W najwyższem przygnębieniu rozeszli się znów muszkieterowie do swych pokoi.

O godzinie ósmej wieczorem kazał Atos osiodłać konie i zawiadomił lorda Wintera oraz swych przyjaciół, że trzeba ruszyć w drogę.

W chwilę później wszyscy byli gotowi i, obejrzawszy nabitą broń, wychodziil z gospody. Atos wyszedł ostatni i przed oberżą zastał d'Artagnana już na koniu, naglącego do odjazdu.

— Cierpliwości! — rzekł widząc to Atos. — Brak tu jeszcze kogoś w naszem gronie....

Towarzysze rozejrzeli się ze zdumieniem dokoła i pytający wzrok zatrzymali wreszcie na Atosie.

W tejże chwili Planchet przyprowadził Atosowi konia, i muszkieter lekko wskoczył na siodło.

— Zaczekajcie tu jeszcze na mnie — rzekł; — zaraz wrócę.

I ruszył z kopyta.

W kwadrans później wrócił istotnie, lecz nie sam; towarzyszył mu konno jakiś człowiek w masce na twarzy, owinięty wielkim czerwonym płaszczem.

Lord Winter i trzej muszkieterowie pytająco spojrzeli po sobie, zaciekawieni osobistością człowieka w czerwonym płaszczu lecz objaśnić ich co do tego mógł jedynie Atos. Że jednak Atos milczał, więc, uznawszy to jego milczenie za konieczność, pozostawili wyjaśnienie tej zagadki dalszemu biegowi rzeczy.

O godzinie dziewiątej mały orszak, prowadzony przez Planchet, puścił się drogą, którą dnia poprzedniego jechał powóz milady.

Smutny był widok tych milczących jeźdźców, pogrążonych w rozmyślaniu, posępnych, jak rozpacz, i ponurych, jak przeznaczenie, w mrokach wieczoru podążających drogą ku Festubert.

LXV.

SĄD.

Noc była ciemna, i miało się ku burzy; ciężkie chmury pokryły niebo, gasząc błyski gwiazd, a księżyc miał zejść dopiero o północy.

Chwilami błyskawice rozświetlały horyzont, i w świetle ich widać było bielejący, opustoszały gościniec, poczem wszystko tonęło znowu w ciemnościach.

Atos przywoływał ustawicznie d'Artagnana, wysuwającego się na czoło małej kawalkaty, aby powracał do szeregu; on jednak, zadumany, po niedługiej chwili znowu wysuwał się naprzód. Opanowała go gorączka pośpiechu, i o niczem innem nie myślał, tylko, żeby prędzej stanąć u celu, choć celu tego nie był świadomy.

Przejechali w milczeniu przez wioskę Festubert, gdzie pozostał był raniony służący milady, — przecięli las Richebourg, a gdy przybyli do Herlier, Planchet, prowadzący kawalkatę, zawrócił nalewo.

Kilkakrotnie bądź lord Winter, bądź Portos, bądź Aramis usiłowali nawiązać rozmowę z człowiekiem w czerwonym płaszczu, ale na każde zadawane mu pytanie odpowiadał on jedynie skinieniem głowy. Po kilku takich próbach wszczęcia rozmowy z tajemniczym tym towarzyszem drogi stało się im wreszcie jasnem, że istnieje jakiś ważny powód, dla którego nieznajomy zachowuje milczenie, i przestali go nagabywać.

W dodatku burza zaczynała się już nadobre; błyskawice coraz częściej rozjaśniały niebo, i poczęły się odzywać grzmoty, a wicher, zwiastun, huraganu, targał pióra i włosy jeźdźców.

Kawalkata, przyspieszając biegu, popędziła cwałem.

Niedaleko za Fromelles burza wybuchła z całą wściekłością, i potoki ulewy spadły ze skłębionych czarnych chmur. Trzy mile jeszcze pozostawały do przebycia, więc jeźdźcy, z wyjątkiem d'Artagnana, otulili się w płaszcze, podczas gdy on zdjął ka-

pelusz i jechał dalej bez płaszcza, a ulewa, chłodząc rozpalone jego czoło i całe ciało, wstrząsane dreszczami gorączki, sprawiała mu rozkosz.

Gdy minęli Goscal i skierowali się w stronę poczty, jakiś człowiek, ukryty pod drzewem, wysunął się z pod ciemnych jego konarów i stanął na środku drogi, kładąc palec na usta.

Kawalkata zatrzymała się, gdyż Atos poznał Grimauda.

— I cóż? — pytał d'Artagnan, — może umknęła już z Armentieres?

Grimaud skinął potakująco głową, d'Artagnan zgrzytnął zębami.

— Uspokój się, d'Artagnanie! — rzekł Atos. — Wziąłem na siebie odpowiedzialność za wszystko, więc pozwól mi rozmówić się z Grimaudem.

I zwrócił się do służącego z pytaniami:

— Gdzie jest?

Grimaud wycigznął rękę w kierunku rzeki Lys.

— Daleko stąd?

Grimaud podniósł palec wskazujący, zgiąwszy go dopołowy.

— Sama? — pytał Atos.

Grimaud skinął potakująco głową.

— Panowie! — oświadczył Atos, zwracając się do towarzyszów, — milady znajduje się w odległości pół mili stąd, w pobliżu rzeki.

— Prowadź nas tedy, Grimaudzie! — zawołał d'Artagnan.

Grimaud ruszył naprzód, a za nim podążyli wszyscy.

Po upływie mniej-więcej pięciu minut przebyli wpław strumień, który przecinał im drogę, i w świetle błyskawicy ujrzeli przed sobą wioskę d'Enguinghem.

— Czy to tu, Grimaudzie? — spytał Atos.

Grimaud przecząco skinął głową.

— Jedźmy więc naprzód! — rzekł Atos.

I kawalkata podążyła dalej.

Znów błyskawica rozdarła chmury, a Grimaud skorzystał z tego, wskazując ręką przed siebie. W niebieskawem świetle ognistego węża jeźdźcy ujrzeli tuż przed sobą, nad brzegiem rzeki, o sto kroków od przewozu, mały odosobniony domek. W jednem z jego okien świeciło się.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył Atos.

W tejże chwili z przydrożnego rowu podniósł się człowiek.

— Ona jest tam! — rzekł, wskazując okno.

Był to Mousqueton.

— A gdzież Bazin? — pytał Atos.

— Ja pilnuję okna, a on drzwi — odrzekł Mousqueton.

— Dobrze! — rzekł Atos. — Wierni z was słudzy i poczciwe chłopcy.

Atos zeskoczył z konia, oddał Grimaudowi uzdę i, dając towarzyszom znak, by stanęli od strony drzwi, podążył ku oknu.

Domek otoczony był żywopłotem wysokości dwóch czy trzech stóp. Atos przeskoczył płot, podsed aż pod samo okno, bez okienicy, lecz zaopatrzone w firanezcki, które zasłaniały dolne szyby, i aby módz sięgnąć wzrokiem wgłąb pokoju, wskoczył na leżący przed oknem kamień.

W blasku lampy, otulona szarym płaszczem siedizała na zydlu obok dogasającego ognia jakaś kobieta. Łokcie oparłszy na brudnym stole, głowę ukryła w rękach, białych, jak kość słoniowa. Nie można było zobaczyć jej twarzy. Poznał jednak widocznie tę kobietę Atos, gdyż na ustach jego pojawił się złowrogi uśmiech. I nie mylił się, — była to istotnie ta, której szukał.

W tej chwili zarżał jeden z koni, i na odgłos ten milady podniosła głowę, a ujrzawszy przyciniętą do szyby wybladłą twarz Atosa, wydała okrzyk przerażenia.

Atos, widząc, że został poznany, pchnął kolanem i ręką okno, które pod tym naciskiem wypadło z zawias z połamanemi ramami, i skoczył do wnętrza izby, niby duch pomsty, zjawiając się przed oczyma swej żony.

Przerażona milady pobiegła ku drzwiom i otworzyła je, chcąc widocznie uciekać, gdy na progu ujrzała d'Artagnana, jeszcze bardziej bladego i groźnego, aniżeli Atos.

Cofnęła się z okrzykiem trwogi za stojący w przeciwnym końcu izby stół, a d'Artagnan, w obawie, by mu się jakimś szatańskim sposobem nie wymknęła, wydobył z za pasa pistolet, przygotowując się do strzału. Atos jednak powstrzymał go ruchem ręki.

— Schowaj tę broń d'Artagnanie! — rzekł. — Obowiązkiem naszym jest dokonać nad tą kobietą sądu, a nie morderstwa. Zaczekaj jeszcze chwilę, a otrzymasz zadośćuczynienie.

A zwróciwszy się do reszty towarysów, dodał:

— Wejdźcie, panowie!

Atos premawiał z tak wstrząsającą powagą i tak uroczyście, że czynił wrażenie straszliwego sędziego, którego sam Stwórca zesłał z nieba na ziemię na ukaranie wszystkich zbrodni tej kobiety.

Na wezwanie to Portos, Aramis, lord Winter i człowiek w czerwonym płaszczu weszli do izby za d'Artagnanem, a czterej służący pozostali nazewnątrz, by pilnować drzwi i okna.

Milady, ponawszy szwagra, wydała przeraźliwy okrzyk i padła na krzesło z wyciągniętemi przed siebie rękoma, jakgdyby chcąc odpędzić dręczącą ją zmorę.

— Czego chcecie odemnie? — zawołała.

— Przybyliśmy tutaj — odparł Atos — w poszukiwaniu Karoliny Backson, która nosiła najpierw nazwisko hrabiny De la Fere, a potem lady Winter baronowej Scheffield.

— Czego chcecie odemnie? — powtórzyła z najwyższą trwogą, malującą się na jej twarzy i w głosie.

— Chcemy osądzić cię wedle twoich zbrodni — mówił Atos. — Wolno ci jednak bronić się i dowieść swej niewinności, jeżeli potrafisz. Panie d'Artagnanie, wystąp pan, jako pierwszy oskarżyciel.

D'Artagnan wysunął się naprzód.

— Przed Bogiem i przed ludźmi — rzekł — oskarżam tę kobietę o otrucie Konstancji Bonacieux, zmarłej wczoraj wieczorem.

Rzekłszy to, odwrócił się ku Portosowi i Aramisowi.

— Poświadczamy — odezwali się jednogłośnie obaj muszkieterowie.

D'Artagnan mówił dalej:

— Przed Bogiem i przed ludźmi oskarżam tę kobietę, że usiłowała otruć mnie samego winem, nadesłanem z Villeroi wraz ze sfałszowanym listem, mającym wpoić mi przekonanie, jakoby wino to było darem moich przyjaciół. Bóg mię ocalił, ale, zamiast mnie, otruł się tem winem człowieka, nazwiskiem Brisemont.

— Poświadczamy — rzekli jednogłośnie Portos i Aramis.

— Przed Bogiem i przed ludźmi oskarżam tę kobietę, że nakłaniała mię do zamordowania barona de Wardes, a ponieważ nikt nie może dać świadectwa prawdzie tego oskarżeni, poręczm ją własnem sumieniem. Skończyłem.

I d'Artagnan odeszdł w kąt pokoju wraz z Portosem i Aramisem.

— Na ciebie kolej, milordzie! — zwrócił się ku Winterowi Atos.

Baron wystąpił na środek pokoju.

— Przed Bogiem i przed ludźmi — rzekł — oskarżam tę kobietę o zamordowanie księcia Buckinghama.

— Książę Buckingham zamordowany!? — wykrzyknęli obecni.

— Tak — odparł baron, — zamordowany! Odebrawszy wasze ostrzeżenie, kazałem uwięzić tę kobietę i oddałem ją pod straż wiernego mi sługi. Uwiodła go jednak ona, włożyła mu sztylet w rękę i nakłoniła do zabicia księcia. Wykonawca tego zamachu, Felton, płaci może w tej chwili głową za zbrodnię tej djablicy.

Dreszcz wstrząsnął obecnymi na wiadomość o zamordowaniu Buckinghama.

— To nie wszystko jeszcze — mówił dalej lord Winter. — Brat mój, który uczynił cię swoją spadkobierczynią, zmarł w przeciągu trzech godzin skutkiem dziwnej choroby, pozostawiającej sine plamy na ciele. Powiedz mi teraz, siostro, jaka była przyczyna śmierci twego męża?

— To okropne! — zawołali Portos i Aramis.

— Żądam tedy wymiaru sprawiedliwości dla morderczyni Buckinghama, morderczyni Feltona, morderczyni mego brata! A jeżeli sprawiedliwość ta nie zostanie jej wymierzona, sam ją wymirzę.

I po tych słowach lord Winter stanął obok d'Artagnana, ustępując miejsca następnemu oskarżycielowi.

Milady tymczasem ze wspartą w dłoniach głową usiłowała zebrać myśli, zmącone śmiertelną trwogą.

— Teraz kolej na mnie — rzekł Atos, drżąc, jak drży lew na widok jadowitego węża, — kolej na mnie! Poślubiłem tę kobietę, gdy była jeszcze młodą dziewczyną.. poślubiłem wbrew woli mojej rodziny: dałem jej majątek, dałem moje nazwisko... I oto pewnego dnia przekonałem się, że jest napiętnowana, że ma wypalony na lewem ramieniu znak lilii.

— Och! — zawołała milady, powstając, — gdzie znajdziecie trybunał, który wydał na mnie ten nikczemny wyrok? gdzie znajdziecie człowieka, który ten wyrok wykonał?!

— Milcz! — odezwał się głos jakiś. — Ja na to odpowiem!

Z kolei wysunął się naprzód człowiek w czerwonym płaszczu.

— Kto jest ten człowiek?! — zawołała milady z przerażeniem, a ponad zsiniałą jej twarzą zjeżyły się jej włosy, jak żywe.

Obecni sporzeli ze zdumieniem na człowieka w czerwonym płaszczu, gubiąc się w domysłach co do jego osobistości.

Ale i sam Atos objął go pełnym osłupienia wzrokiem, gdyż nie przypuszczał, aby człowiek ten mógł mieć jakikolwiek udział w straszliwym dramacie, który teraz przed oczyma obecnych dobiegał swego końca.

Nieznajomy podszedł ku milady powolnym, pełnym powagi krokiem, stając przed stołem, poza którym siedziała milady i na gle zdjął maskę.

Milady spojrzała z niesłychanem przerażeniem w tę bladą, okoloną czarnym zarostem twarz, na której malował się jedynie lodowaty chłód, i cofnęła się gwałtownie aż pod samą ścianę, szepcąc:

— Nie! to chyba tylko widmo piekielne! to nie on! Na pomoc! — krzyknęła, w szalonej trwodze szukając wzrokiem, kędy by się stąd mogła wydostać.

— Kto pan jesteś? — zawołali świadkowie tej strasznej sceny.

— Zapytajcie panowie tej kobiety — odrzekł człowiek w czerwonym płaszczu. — Jak widzicie, zna mię ona doskonale.

— Kat z Lille! straszliwy kat z Lille! — szeptała milady, jakby obłąkana, czepiając się rękami ściany, by nie runąć na ziemię.

Wszyscy obecni cofnęli się, a człowiek w czerwonym płaszczu pozostał sam na środku pokoju.

— Och! łaski! łaski! łaski! — zawołała nieszczęśliwa, padając na kolana.

Nieznajomy stał przez chwilę w milczeniu, a następnie, zwracając się do obecnych rzekł:

— Mówiłem panom, że mię poznała. Tak, jestem katem z Lille. I pozwólcie mi, panowie, że opowiem wam dzieje mojego życia.

Spojrzał na milady, która obłędnym wzrokiem trwogi patrzyła na niego, i począł swą opowieść:

"Młoda ta kobieta była niegdyś tak samo pięnką dziewczyną, jak dzisiaj jeszcze. Była ona zakonnicą w klasztorze Benedyktynek w Templemar. W owym czasie służbę kapelana klasztornego sprawował młody kapłan, o sercu czystem i wierzącem. Otóż ta kobieta postanowiła go uwieść.... i dokonała tego. Och! ona uwiodłaby nawet świętego!

"Oboje złożyli śluby zakonne, nieodwołalne. Stosunek ich nie mógł trwać długo, nie narażając ich na zgubę. Wymogła więc na nim, że postanowił opuścić wraz z nią te okolice. Ale, by uciec razem, by osiedlić się w innej stronie Francji, gdzie mogliby, nieznani nikomu, żyć spokojnie, na to potrzeba było pieniędzy, których oboje nie mieli. Ksiądz tedy skradł święte kielichy i sprzedał je, zyskując niezbędną kwotę na doprowadzenie wspólnych z nią planów do skutku.

"Ale, gdy się przygotowywali już do ucieczki, wykryto świętokradztwo i oboje sprawców uwięziono.

"W ośm jednak dni później kobieta ta uwiodła syna dozorcy więziennego i umknęła, — młodego zaś księdza skazano na dziesięć lat kajdan i na napiętnowanie. Byłem wówczas katem miasta Lille i musiałem z obowiązku napiętnować winnego..... A tym winnym, panowie, był mój brat!...

"Poprzysiągłem wtedy, że kobieta, która go zgubiła, która była więcej niż jego wspólniczką, bo sama popchnęło go do zbrodni, że kobieta ta podzieli przynajmniej jego karę. Nie wiedziałem, gdzie się ukrywa, ale ścigałem ją i w końcu dosięgnąłem... Pochwyciłem ją i skrępowawszy wypaliłem jej na ramieniu toż samo piętno, jakiem naznaczyć przedtem zmuszony byłem mego brata.

"Następnego dnia po moim powrocie do Lille brat zdołał umknąć z więzienia. Oskarżono mię wówczas o dopomożenie mu w tem i wtrącono do kaźni aż do czasu, póki nie uda się zbiegłego odnaleźć. Biedny mój brat nie wiedział nic o tym wyroku. Odszukał wkrótce swą wspólniczkę i oboje uciekli do Berry, gdzie on otrzymał skromne probostwo, a ona uchodziła tam za jego siostrę.

"Zdarzyło się w czas jakiś, że ujrzał ją pewien magnat, władający ziemiami, gdzie znajdowało się probostwo. Magnat ten zakochał się w rzekomej siostrze proboszcza i zapragnął ją poślubić. Wówczas to porzuciła człowieka zgubionego przez siebie, dla drugiego, którego pragnęła również zgubić, i została hrabiną De la Fere..."

Obecni spojrzeli na Atosa, wiedząc, iż jest to jego nazwisko, — on za skinieniem głowy potwierdził, że wszystko, co kat opowiedział, jest prawdą.

"Brat mój — mówił kat dalej, — oszalały z rozpaczy, postanowił położyć kres swojemu życiu, odartemu przez nią z czci i szczęścia. Wrócił do Lille, a dowiedziawszy się, że odsiaduję więzienie za jego ucieczkę, oddał się sam w ręce władz i tego samego wieczora powiesił się na oknie więziennej celi.

"Zresztą muszę oddać sprawiedliwość tym, którzy mię skazali: zaledwie stwierdzono tożsamość zwłok, natychmiast przywrócono mi wolność.

"Oto zbrodnia, o jaką obwiniam tę kobietę! i oto przyczyna dla której ją napiętnowałem."

Skończył, a obecni z odrazą spoglądali na osłupiałą milady, która stała nieruchomo, przyparta do muru.

— Panie d'Artagnanie! — odezwał się wreszcie Atos, — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci — odpowiedział d'Artagnan.

— Lordzie Winterze! — pytał dalej Atos, — jakiej kary domagasz się pan dla tej kobiety?

— Kary śmierci — odparł lord Winter.

— Panowie Portosie i Aramisie! — zwrócił się do przyjaciół Atos, — wy, którzy jesteście sędziami, jaką karę przeznaczacie tej kobiecie?

— Karę śmierci — odpowiedzieli obaj ponuro.

Milady ze strasznym jękiem postąpiła ku swym sędziom i rzuciła się przed nimi na kolana.

Atos powstrzymał ją ręką.

— Karolino Backson, hrabino De la Fere, milady Winter! — rzekł. — Zbrodnie twoje sprzykrzyły się ludziom na ziemi i Bo-

gu na niebie. Jeżeli znasz jakieś modlitwy, pomódl się, zanim umrzesz.

Usłyszawszy te słowa, nie pozostawiające już żadnej nadziei, milady wyprostowała się i chciała przemówić, — ale zabrakło jej siły, i poczuła potężną dłoń, która chwyciła ją za włosy i pociągnęła ku sobie nieubłaganie, jak przeznaczenie. Zerwawszy się z ziemi, nie próbowała już milady oporu i wyszła z chaty, prowadzona przez człowieka w czerwonym płaszczu.

Lord Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis wyszli za nią; służący towarzyszyli swoim panom. Izba pozostała pustą, z wyłamanem oknem, z otwartemi drzwiami i lampą kopcącą na stole.

LXVI.

WYKONANIE WYROKU.

Dochodziła północ. Księżyc, wyszczerbiony ostatnią kwadrą, wschodził na wolnym od chmur skrawku horyzontu poza małem miasteczkiem Armentieres, oświecając bladym blaskiem ciemne sylwety domów miasteczka i wysoką dzwonnicę z ażurowym szczytem. Przepływająca tuż pod miasteczkiem rzeka Lys toczyła swe wody, podobne do strumienia roztopionej cyny. Na drugim brzegu widać było czarny las drzew, wyciągających swe konary ku miedzianej barwy chmurom, z boku przez księżyc oświetlonym, co sprawiało wrażenie, jakby je wśród nocy świt oblewał. Po lewej stronie, w ruinach starego, opuszczonego młyna z nieruchomemi skrzydłami, odzywał się złowrogi głos puszczyka. Tu i ówdzie na równinie, po lewej i prawej stronie drogi, którą posuwał się smutny nasz orszak, wznosiły się drzewa, niskie i niekształtne, jakby potworne karły, które przysiadły do ziemi, czając się na ludzi, podróżujących o tej późnej godzinie. Kiedy-niekiedy spóźniona błyskawica rozświecała cały horyzont, rysując wężem niebo ponad czarnym lasem i, jakby straszliwy miecz, przecinając je na dwie połowy. Najlżejszy powiew wiatru nie poruszał atmosfery, i grobowa cisza przygniatała całą przyrodę. Ziemia była wilgotna i oślizgła po deszczu, a orzeźwione burzą trawy i zioła na łąkach wydawały odurzający zapach.

Dwaj służący prowadzili milady, trzymając ją pod ramiona; kat postępował tuż za nią; dalej szli lord Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis; Planchet i Bazin zamykali pochód.

Służący prowadzili milady w stronę rzeki. Usta jej były niemę, ale oczy przemawiały wymownie do każdego na kogo spojrzała.

Nieznacznie przyspieszając kroku, po niejakimś czasie wyprzedziła wraz z dwoma służącymi na kilkanaście kroków cały orszak i odezwała się do nich:

— Tysiąc pistolów dam każdemu z was, jeżeli ułatwicie mi ucieczkę.... Lecz jeżeli wydacie mię w ręce swych panów, zapłacicie drogo za moją śmierć, gdyż niedaleko stąd znajdują się moi mściciele.

Grimaud zawahał się; Mousqueton począł drżeć na całem ciele.

W tejże chwili jednak Atos, posłyszawszy głos miłady, przyspieszył kroku i zbliżył się do niej a lord Winter podążył za nim.

— Trzeba zastąpić tych ludzi innymi — rzekł; — rozmawiała z nimi, więc nie można im już ufać.

Na miejsce Grimauda i Mousquetona przywołano Plancheta i Bazina.

Gdy orszak stanął nad brzegiem rzeki, kat zabrał się do skrępowania rąk i nóg miłady. To wyprowadziło ją ze stanu długiego milczenia, i zawołała:

— Jesteście podli! jesteście nędzni mordercy! W dziesięciu znęcacie się nad bezbronną kobietą! Ale strzeżcie się, bo chociaż teraz nie przyjdzie mi nikt z pomocą, będę jednak srodze pomszczona.

— Nie jesteś przedewszystkiem kobietą — odezwał się lodowato Atos, — nie jesteś wogóle człowiekim, ale szatanem, który zbiegł z piekieł, a którego wyprawimy tam z powrotem.

— Ach! wy! przedstawiciele cnoty! — mówiła miłady. — Pamiętajcie, że każdy, kto dotknie jednego mojego włosa, będzie także mordercą!

— Kat ma prawo zabijać i nie staje się przez to mordercą — oświadczył człowiek w czerwonym płaszczu, uderzając ręką po swym szerokim mieczu; — jest on tylko ostatnim sędzią, "Nachrichterem", jak powiadają nasi sąsiedzi Niemcy. Oto wszystko.

Gdy, mówiąc te słowa, zaciskał jej więzy, miłady kilkakrotnie krzyknęła dziko, a okrzyki te ponure i straszne echo wśród ciemności nocnych zbudziły w głębi lasów.

— Jeżeli jestem winna, jeżeli popełniłam zbrodnie, jakie mi zarzucacie — wołała, — to możecie postawić mię przed jakimś trybunałem, ale sami nie macie prawa sądzić mię i skazywać!

— Proponowałem ci deportację do Tyburnu — odezwał się lord Winter. — Dlaczego nie zgodziłaś się na to?

— Bo nie chcę jeszcze umierać! — wołała milady, szarpiąc się w więzach, — bo jestem zbyt młoda, abym umierała!

— Kobieta, którą otrułaś w Bethune, była jeszcze młodsza, a jednak musiała umrzeć — przerwał d'Artagnan.

— Pozwólcie mi wstąpić do klasztoru! zostanę zakonnicą! — błagała milady.

— Byłaś już w murach klasztornych — odezwał się kat — i wyszłaś stamtąd na zagładę mojego brata.

Milady w paroksyzmie rozpaczy jęknęła przeraźliwie i padła na kolana. Wówczas kat wziął ją na ręce, by zanieść do czółna.

— Och! Boże mój! — krzyczała — Boże mój! chcecie mię utopić!

Rozdzierające jej krzyki tak podziałały na młodociane serce d'Artagnana, że, jakkolwiek przedtem był dla niej nieubłagany, teraz nie mógł już dłużej ich słuchać; usiadł na wyschłym pniu drzewa i, opuściwszy głowę, zatkał sobie uszy palcami. Mimo to jednak, słysząc jeszcze jej groźby i błagania, rzekł wkońcu z rozgoryczeniem:

— Nie mogę już patrzyć na straszne widowisko! i nie mogę pozwolić, by ta kobieta zginęła w ten sposób!

Milady usłyszała jego słowa, i znowu błysk nadziei zaświtał w jej sercu.

— D'Artagnanie! d'Artagnanie! — wołała, — przypomnij sobie, że kochałam cię!

Młody człowiek powstał i postąpił ku niej.

Ale wnet poskoczył też ku niej Atos i, wydobywszy szpadę, zagrodził d'Artagnanowi drogę:

— Jeżeli postąpisz jeszcze krok naprzód — rzekł, — skrzyżujemy szpady!

D'Artagnan padł przed nim na kolana i począł błagać o litość dla skazanej.

Atos jednak zawołał do oprawcy:

— Dalej, kacie! spełń swoją powinność!

— Z chęcią, dostojny panie — odrzekł kat, — albowiem, jako dobry katolik, wierzę święcie, że przez dokonanie wyroku na tej kobiecie spełnię czyn sprawiedliwości boskiej.

Poczem zbliżył się Atos do milady i rzekł:

— Przebaczam ci w tej strasznej dla ciebie chwili wszystko złe, jakieś mi wyrządziła. Przebaczam ci moje złamane życie, moją utraconą cześć, moją splamioną miłość i to nawet, że roz-

pacz moja zagradza mi drogę do zbawienia wiecznego. Umieraj w pokoju!

Teraz zbliżył się lord Winter.

— Przebaczam ci — mówił — otrucie mojego brata; przebaczam morderstwo Jego Dostojności, księcia Buckinghama; przebaczam śmierć mego biednego Feltona; przebaczam nawet zamachy na moje własne życie. Umieraj w pokoju!

— A ja, pani — odezwał się d'Artagnan, — błagam cię o przebaczenie, że przez niegodne szlachcica podejście wywołałem twoją zawziętość na mnie. Wzamian za to wybaczam ci śmierć mojej biednej przyjaciółki i okrutną zemstę nademną; przebaczam i płaczę nad tobą. Umieraj w pokoju!

— I am lost! I must die! szepnęła po angielsku milady. — zginęłam! muszę umrzeć!

Powstała o własnych siłach i rozejrzała się dokoła płomiennym wzrokiem, jakby na kogoś czekając. Nic jednak zbawczego nie dostrzegła dla siebie; dokoła niej znajdowali się sami tylko nieprzyjaciele.

— Gdzie mam umrzeć? zapytała.

— Na tamtym brzegu — odpowiedział kat i wprowadził ją do czółna.

Atos podał mu woreczek z pieniędzmi.

— Weź pan! — rzekł, — to zapłata za twoją czynność. Niechaj wiedzą wszyscy, że postępujemy bez uchybienia godności sędziowskiej.

— Dobrze! — odparł kat. — A teraz niech pozna zbrodniarka, że wypełniam nie moje rzemiosło, lecz obowiązek, który mi sumienie nakazuje.

I mówiąc to, cisnął pieniądze w fale rzeki.

Czółno odbiło powoli od brzegu na środek rzeki Lys, wioząc skazaną i wykonawcę wyroku. Wszyscy inni, pozostali na brzegu, uklękli w poważnem skupieniu ducha.

Łódź sunęła powoli wzdłuż liny przewozowej wśród bladych mgieł, unoszących się ponad wodą, a gdy przybiła wreszcie do przeciwległego brzegu, widać było na tle różowiejącego horyzontu dwie czarne sylwety — kata i ofiary.

Lecz milady snadź podczas przeprawy zdołała rozluźnić krępujące ją więzy, gdyż wyskoczywszy z łodzi, zamin kat się spostrzegł, poczęła uciekać na pobliskie wzgórze. Ziemia jednak po deszczu była rozmiękła, więc milady, jakkolwiek zdołała dosię-

gnąć szczytu wzgórza, tu wszakże poślizgnąwszy się, upadła na oba kolana i już nie zdążyła powstać, gdyż kat położył silną swą dłoń na jej ramieniu. Pojęła wówczas, że samo niebo odmawia jej pomocy, i załamawszy ręce, pochyliła głowę....

I w tejże chwili z przeciwnego brzegu ujrzano, jak miecz, podniesiony oburącz do góry, błysnął w promieniach księżyca, a następnie powtórną błyskawicą opadł na szyję skazanej, — jednocześnie zaś rozległ się krzyk ofiary i tułów bez głowy osunął się na ziemię.

Kat zdjął swój czerwony płaszcz, rozpostarł go na ziemi, złożył na nim ciało i głowę ściętej, a następnie ująwszy płaszcz za ctery rogi, zarzucił ciężar na barki i wsiadł z powrotem do łodzi. Przybywszy na środek rzeki Lys, zatrzymał czółno i, podnosząc tobół ponad fale, zawołał:

— Sprawiedliwości Bożej stało się zadość!

Poczem rzucił trupa w głąb wód, które szybko zamknęły się nad nim.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

W trzy dni później czterej muszkieterowie wrócili do Paryża i wieczorem odwiedzili pana de Treville.

— I cóż, moi panowie? — spytał kapitan, — czy dobrze bawiliście się przez te kilka dni swego urlopu?

— Doskonale! — odparł Atos w imieniu swojem i towarzyszów.

ZAKOŃCZENIE.

Dnia 6-go następnego miesiąca król, zgodnie z obietnicą, daną kardynałowi, wyruszył z Paryża do Rochelli. Wracał oszołomiony wiadomością o zamordowaniu Buckinghama.

Chociaż królowa była uprzedzona o niebezpieczeństwie, grożącem ukonchanemu przez nią człowiekowi, nie chciała jednak dać wiary, gdy doniesiono jej o śmierci księcia i zapominając nawet o zwykłej ostrożności, zawołała.

— To kłamstwo! przecież pisał do mnie.....

Ale już nazajutrz musiała w straszną tę wieść uwierzyć: Laporte, zatrzymany na razie, jak wszyscy, rozkazem króla Karola I-go, wrócił do Francji, wioząc ostatni smutny upominek Buckinghama dla królowej.

Król Jegomość zato uradował się wielce i nie starał się nawet ukrywać swego zadowolenia przed królową. Jak wszyscy ludzie słabego serca, Ludwki XIII nie odznaczał się szlachetnymi popędami.

Ale czoło królewskie nie na długo się rozchmurzyło. niebawem posmutniał znowu, czując się niedobrze pod względem zdrowia, przyczem już sama myśl, że w obozie znów wpadnie w niewolę kardynała, nie uśmiechała mu się wcale.

Kardynał był dla niego jakby wężem, oczarowywującym swą ofiarę, on zaś ptakiem, który pod wpływem wzroku tego węża trzepoce się, przelatując z gałęzi na gałęź, lecz nie ma siły umknąć.

Toteż powrót króla do Rochelli był niezwykle smutny. Czterej nasi przyjaciele, zazwyczaj tak weseli, teraz powagą swą wprawiali w podziw innych towarzyszów. Jechali razem, obok siebie, ze spuszczonemi głowami, rzucając od czasu do czasu smętne spojrzenia. Tylko Atos kiedy-niekiedy podnosił w górę swe szerokie czoło, a w oczach zapalały mu się dziwne blaski, i smutny uśmiech błąkał się po wargach; lecz po chwili, taksamo, jak towarzysze, pogrążał się znowu w niewesołych snadź myślach.

Podczas postojów po miasteczkach, gdzie król dla wypoczynku pragnął się zatrzymać, czterej nasi przyjaciele, po odprowadzeniu swego władcy do obranej kwatery, udawali się zazwyczaj do wyznaczonego im mieszkania lub oberży, gdzie jednak, zamiast, swoim zwyczajem grać w kości lub raczyć się wesoło winem, rozmawiali przyciszonym głosem, bacząc pilnie, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

Pewnego dnia, gdy król zatrzymał się w drodze, aby zapolować na sroki, a czterej nasi przyjaciele, zamiast wziąć udział w polowaniu, zatrzymali się w przydrożnej oberży, nadjechał konno od strony Rochelli jakiś człowiek i zatrzymał się przed bramą, by wypić szklankę wina, a przy tej sposobności zajrzał wgłąb izby, gdzie czterej muszkieterowie siedzieli przy stole.

— Hola! — zawołał przybysz, — czy to nie pana widzę, panie d'Artagnanie?

Młody Gaskończyk podniósł głowę i drgnął. W przybyłym poznał tajemniczego człowieka, którego nazywa swym upiorem, a którego napotkał był najpierw w Meung, następnie na ulicy Grabarzy i wreszcie w Arras.

D'Artagnan sięgnął po szpadę i pobiegł ku drzwiom.

Ale tym razem nieznajomy, zamiast uciekać, zsiadł z konia i postąpił na jego spotkanie.

—No, mój panie! — zawołał młodzieniec, — tym razem mam cię nareszcie... tym razem już mi nie ujdziesz!

— Nie mam bynajmniej zamiaru uciekać; przeciwnie, tym razem sam szukam pana i w imieniu króla aresztuję go. Proszę oddać szpadę, i to niezwłocznie! Uprzedzam, że chodzi tu o pańską głowę....

— Kto pan jesteś, — zapytał d'Artagnan, opuszczając szpadę, lecz bez zamiaru oddania jej.

— Jestem kawaler de Rochefort — odpowiedział nieznajomy, — koniuszy pana kardynała Richelieu, i mam rozkaz odprowadzić pana do Jego Eminencji.

— Właśnie wracamy do Jego Eminencji, do obozu pod Rochellą, panie kawalerze — odezwał się Atos, występując naprzód. — Możesz pan zatem zaufać panu d'Artagnanowi na słowo, że uda się tam wraz z królem Jegomością.

— Mam obowiązek oddać pana d'Artagnana w ręce straży, by odprowadziła go do obozu.

— Będziemy go sami pilnowali i ręczymy za to słowem honoru — mówi Atos, marszcząc brew. — Ale też daję panu słowo szlacheckie, że nie puścimy pana d'Artagnana samego.

Kawaler de Rochefort obejrzał się poza siebie i, spostrzegłszy, że Portos z Aramisem zastąpili mu drogę ku drzwiom, zrozumiał, iż jest zdany zupełnie na łaskę tych czterech ludzi.

— Panowie! — rzekł, — jeżeli pan d'Artagnan odda szpadę i zobowiąże się również słowem honoru, zadowolnię się przyrzeczeniem panów, że odprowadzicie go do kwatery pana kardynała.

— Masz pan moje słowo — oświadczył d'Artagnan. — A oto moja szpada!

— Tem bardziej cieszy mię taki obrót sprawy — rzekł Rochefort, — że muszę jeszcze jechać dalej.

— Jeżeli jedziesz pan do milady — oświadczył Atos lodowatym tonem, — to napróżno; nie znajdziesz jej pan tam, gdzie się spodziewałeś znaleźć.

— Cóż się stało? — zapytał żywo Rochefort.

— Wróć pan do obozu, a dowiesz się o wszystkiem.

Rochefort zastanawiał się przez chwilę, poczem wziąwszy pod uwagę, że tylko dzień drogi dzielił ich do Surgeres, dokąd kardynał miał wyjechać na spotkanie króla, zdecydował się posłuchać rady Atosa, i wracać razem z nimi.

Zresztą powrót ten nastręczał mu pewne korzyści: mógł sam czuwać nad więźniem.

Ruszono w drogę.

Nazajutrz o godzinie trzeciej popołudniu król z orszakiem stanęli w Surgeres. Kardynał oczekiwał tam na niego. Minister i król, przesadzając we wzajemnych czułościach, winszowali sobie z powodu szczęśliwego przypadku, który uwolnił Francję, od zawziętego wroga, podburzającego przeciwko niej całą Europę, poczem Jego Eminencja, zawiadomiony przez Rocheforta o uwięzieniu d'Artagnana i pragnący zobaczyć więźnia jak najrychlej, pożegnał króla, obiecując pokazać mu następnego dnia budowę tamy, którą właśnie ukończono.

Wracając wieczorem do swej kwatery przy moście Kamiennym, zastał kardynał przed swoim domem d'Artagnana bez szpady i trzech muszkieterów w pełnem uzbrojeniu.

Tym razem Jego Eminencja miał za sobą siłę. Spojrzał groźnie na muszkieterów i ruchem ręki rozkazał d'Artagnanowi, aby szedł za nim.

D'Artagnan usłuchał rozkazu.

— Czekamy na ciebie, d'Artagnanie — zawołał za odchodzącym Atos dość głośno, by kardynał mógł posłyszeć.

Jego Eminencja zmarszczyk brew, zatrzymał się chwilę, poczem ruszył dalej, nie rzekłszy ani słowa.

D'Artagnan poszedł za kardynałem, — a przyjaciele pozostali na straży przy bramie.

Wszedłszy do pokoju, który służył Jego Eminencji za gabinet do pracy, kardynał skinął na Rocheforta aby wprowadził młodego muszkietera.

Rochefort wypełnił rozkaz i oddalił się.

D'Artagnan pozostał z Jego Eminencją sam-na-sam. Było to drugie jego spotkanie z panem Richelieu i, jak sądził — do czego przyznawał się później — ostatnie.

Richelieu stał oparty o kominek. Tylko stół oddzielał go od młodzieńca.

— Zostałeś pan uwięziony na mój rozkaz — odezwał się kardynał.

— Powiedziano mi to, Wasza Eminencjo.

— Czy znasz pan przyczynę?

— Nie, Eminencjo, gdyż to, za co właśnie mógłbym zostać uwięziony, nie jest jeszcze Waszej Eminencji wiadome.

Kardynał spojrzał bystro w oczy młodego człowieka.

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

— Jeżeli Wasza Emiencja raczy mię objaśnić o jakie występki jestem obwiniony, wyznam następnie co uczyniłem.

— Zarzucają ci, mój panie, takie zbrodnie, że jakie trochę wyżej od ciebie stojące osoby płaciły głową.

— I jakież to, Eminencjo? — pytał d'Artagnan ze spokojem, który zadziwił kardynała.

— Zarzucają ci, że znosiłeś się z nieprzyjaciółmi królestwa, że przejąłeś pewne tajemnice stanu, że usiłowałeś pokrzyżować plany swego wodza....

— I któżto stawia mi te zarzuty, Eminencjo? — pytał d'Artagnan, nie wątpiąc, że są one dziełem milady. — Może kobieta, napiętnowana przez sądy tego kraju... kobieta, która poślubiła jednego człowieka we Francji, a drugiego w Anglji... kobieta,

która otruła swego drugiego męża i która usiłowała otruć mnie samego?...

— Co pan mówisz?! — zawołał ze zdumieniem kardynał. — I o kim pan mówisz?

— Mówię o lady Winter — odparł d'Artagnan. — Tak jest, mówię o lady Winter, której zbrodnie były widocznie Waszej Eminencji nieznane, skoro Wasza Eminencja mógł tę kobietę obdarzać swem zaufaniem.

— Jeżeli lady Winter popełniła zbrodnie, jakie jej pan zarzucasz — rzekł kardynał, — otrzyma należną za nie karę.

— Już ją otrzymała, Eminencjo.

— Jakto? któż wymierzył karę?

— My.

— Co mówisz? lady Winter uwięziona?

— Lady Winter nie żyje.

— Nie żyje!? — powtórzył kardynał, nie dowierzając swym uszom. — Lady Winter nie żyje!? Powiadasz pan, że nie żyje?

— Po trzykroć godziła na moje życie, i przebaczyłem jej to... Ale w końcu zabiła kobietę, którą kochałem. Wtedy moi przyjaciele i ja pojmaliśmy ją, osądziliśmy i wymierzyliśmy karę.

I d'Artagnan szczegółowo opowiedział kardynałowi o otruciu pani Bonacieux w klasztorze Karmelitanek w Bethune, o sądzie w opustoszałym domku i wreszcie o wykonaniu wyroku na brzegu rzeki Lys.

Dreszcz wstrząsnął kardynałem, chociaż człowiek ten niełatwo ulegał słabości.

Lecz nagle, jakgdyby pod wpływem jakiejś myśli, która zrodziła się mu w tej chwili w głowie, ponura dotąd twarz jego rozjaśniła się i przybrała pogodny wyraz.

— A zatem — rzekł głosem, którego łagodność nie godziła się z surowością wypowiadanych słów, — a zatem przybraliście rolę sędziów, nie myśląc o tem, że ci, którzy wymierzają karę, nie mając potemu prawa, są równi mordercom!

— Eminencjo! przysięgam, że nie myślę bynajmniej bronić mojej głowy. Poniosę karę, jaką mi naznaczy Wasza Eminencja. Nie dbam już zresztą o życie, więc i śmierci nie obawiam się wcale.

— Tak, wiem o tem, że jesteś dzielnym młodzieńcem — rzekł kardynał niemal z rozrzewnieniem. — Ale zapowiadam ci z góry, że zostaniesz osądzony i ukarany.

— Ktoś inny mógłby odpowiedzieć Waszej Eminencji, że posiada w kieszeni ułaskawienie; ja jednak powiem tylko; Rozkazuj Eminencjo! jestem gotów na wszystko!

— Ułaskawienie? — zapytał zdumiony kardynał.

— Tak, Eminencjo, ułaskawienie — odparł d'Artagnan.

— I z czyimże to podpisem? z królewskim?

Kardynał rzucił to zapytanie z pewnego rodzaju lekceważeniem.

— Nie; z podpisem Waszej Eminencji.

— Z moim podpisem? Czy pan oszalałeś?!

— Wasza Emiencja pozna zapewne swoje pismo? — rzekł d'Artagnan i okazał kardynałowi cenny dokument, który Atos wydarł był z rąk milady i oddał przyjacielowi, by mu służył jako glejt bezpieczeństwa.

Jego Eminencja wziął papier i czytał powoli, podkreślając każdą głoskę:

"Czegokolwiek dokona właściciel tego dokumentu, spełnione zostaje z mojego rozkazu i dla dobra państwa.

3 grudnia 1627 roku.

Richelieu".

Przeczytawszy te kilka wierszy, kardynał zamyślił się głęboko, ale nie oddał d'Artagnanowi dokumentu.

— Zastanawia się nad tem — pomyślał d'Artagnan, — jaki wybrać dla mnie rodzaj śmierci. Na honor! zobaczy jednak, jak umiera prawdziwy szlachcic.

I istotnie młody muszkieter gotów był ponieść śmierć bez cienia obawy.

Richelieu rozmyślał jeszcze w milczeniu, zwijając i rozwijając papier w ręku, wreszcie podniósł głowę, utkwił orli wzrok w uczciwych i rozumnych oczach d'Artagnana i, wyczytawszy w smutnem jego obliczu wszystkie cierpienia, jakie młodzieniec znosił od miesiąca, po raz trzeci, czy czwarty pomyślał, że to dwudziestojednoletnie dziecko ma jeszcze przyszłość przed sobą, — pomyślał, że jego energja, odwaga i umysł mogą pod wpływem dobrego kierownictwa dużo jeszcze przynieść ojczyźnie pożytku.

Z drugiej strony zbrodniczość, piekielny genjusz i potęga milady przerażały go już nieraz.

I z uczuciem tajonej radości, że go uwolniono od tej niebez-

piecznej jego wspólniczki, podarł powoli papier, który d'Artagnan tak wspaniałomyślnie oddał mu do rąk.

— No! jestem zgubiony! — pomyślał d'Artagnan i pochylił głowę przed kardynałem, jak człowiek, który mówi: "Panie, niech się stanie wola Twoja"!

Jego Eminencja zaś podszedł do stołu i, nie siadając napisał kilka słów na pergaminie, zapisanym już w znacznej części, poczem przyłożył swą pieczęć.

— Wyrok na mnie — pomyślał d'Artagnan. — Oszczędza mi nudów i Bastylji i rozwlekłego procesu... No, no! wielka to doprawdy łaskawość!

— Weź pan ten papier — rzekł kardynał, podając młodzieńcowi pergamin. — Wzamian za odebrane pełnomocnictwo daję ci inne. Brak tylko na tym dokumencie nazwiska, ale sam je pan wpiszesz.

D'Artagnan, wahając się, wziął pergamin z rąk Jego Eminencji, przebiegł treść oczyma i padł do nóg kardynałowi.

Była to nominacja na namiestnika w kompanji muszkieterskiej.

— Eminencjo! — zawołał, — życie moje do ciebie należy! rozporządzaj niem wedle swej woli. Jednak nie zasługuję na łaskę, jaką mi wyświadczasz; trzej moi przyjaciele są bardziej zasłużeni i godni...

— Jesteś dzielnym chłopcem, d'Artagnanie! — przerwał kardynał, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu, uszczęśliiwony, że zwyciężył wreszcie tę niesforną istotę. — Wolno ci uczynić z tym dokumentem, co ci się podoba. Pamiętaj tylko, że, chociaż nazwisko nie jest wypisane, dałem go tobie.

— Nie zapomnę nigdy! — odpowiedział d'Artagnan; — niech Wasza Eminencja będzie o tem przekonany!

Kardynał odwrócił się i zawołał głośno:

— Rocheforcie!

Wołany oczekiwał widocznie za drzwiami, gdyż wszedł natychmiast.

— Rocheforcie! — rzekł kardynał, — oto pan d'Artagnan, którego zaliczam od dzisiaj do rzędu moich przyjaciół. Podajcie sobie dłonie i żyjcie w zgodzie, jeżeli to życie wam miłe.

Rochefort i d'Artagnan ucałowali się brzeżkiem warg, obserwowani przez stojącego obok kardynała, i razem wyszli z pokoju.

— Spotkamy się jeszcze, nieprawdaż, panie?

— Kiedy pan zechcesz — odparł d'Artagnan.

— Nie braknie sposobności — rzekł Rochefort.

Richelieu zaś, dosłyszawszy te słowa, otworzył drzwi i spojrzał na nich pytającym wzrokiem.

Uśmiechnęli się obaj, uścisnęli sobie dłonie i pokłonili się Jego Eminencji.

— Jesteś nareszcie! Zaczynaliśmy się już niecierpliwić — oświadczył Atos.

— Oto jestem, moi przyjaciele — rzekł d'Artagnan. — A wracam nietylko wolny, lecz nawet w łaskach.

— No, no! zaciekawiasz nas!

— Opowiem wam wszystko dziś wieczorem.

Wieczorem przybył d'Artagnan do mieszkania Atosa i zastał go, wypróżniającego flaszkę wina hiszpańskiego; zajęciu temu oddawał się Atos skrupulatnie każdego wieczora.

D'Artagnan opowiedział mu o swojej rozmowie z kardynałem i, wydobywając dekret z kieszeni, rzekł:

— Weź to, drogi Atosie! Sprawiedliwie należy ci się to odznaczenie!

Atos rozwinął papier, przeczytał i uśmiechnął się wdzięcznie.

— Przyjacielu! — rzekł, — dla Atosa to zawiele, a dla hrabiego De la Fere zamało. Schowaj ten dokument dla siebie. Niestety, Bogu wiadomo, żeś go okupił dosyć drogo....

Wyszedłszy od Atosa, udał się d'Artagnan do Portosa.

Zastał go we wspaniałem ubraniu, pokrytem błyszczącymi haftami, przeglądającego się z zadowoleniem w lustrze.

— Ach, to ty, kochany przyjacielu! — rzekł Portos. — Jakże ci się spodoba mój ubiór?

— Bardzo piękny — odparł d'Artagnan. — Przychodzę jednak zaproponować ci strój, w którym wyglądać będziesz jeszcze lepiej.

— Jakiż to strój? — spytał Portos.

— Mundur namiestnika muszkieterów.

I d'Artagnan powtórzył Portsowi swoją rozmowę z kardynałem, a wyjąwszy dekret z kieszeni, rzekł:

— Wpisz tu, mój drogi, swoje nazwisko i bądź dla mnie życzliwym przełożonym.

— Portos przeczytał dekret i, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, oddał mu go z powrotem.

— Tak! — rzekł, — pochlebiałoby mi to bardzo, ale niedługo mógłbym się cieszyć tą łaską. Podczas naszej wyprawy do Bethune zmarł małżonek mojej księżnej: panieważ zaś, mój drogi, szkatuła jego wyciąga ku mnie ręce, żenię się z wdową. I przymierzam właśnie ślubne ubranie. Schowaj więc, mój przyjacielu, ten dekret dla siebie.

I oddał dokument d'Artagnanowi.

Młody człowiek udał się do Aramisa i zastał go, klęczącego przed ołtarzykiem domowym, z głową, opartą na otwartym modlitewniku.

Opowiedziawszy mu rozmowę z kardynałem, wydobył po raz trzeci dekret z kieszeni i rzekł:

— Przyjacielu nasz! nasze światło! nasz protektorze tajemniczy! przyjmij ten dyplom, albowiem zasłużyłeś nań bardziej, niż kto inny, swą mądrością i radami, dającemi zawsze tak szczęśliwe wyniki.

— Niestety, drogi przyjacielu — odparł Aramis, przeczytawszy dokument, — ostatnia nasza przygoda tak zniechęciła mię do życia i do służby wojskowej, że postanowiłem ostatecznie wejść na inną drogę. I tym razem postanowienie to jest już nie odwołalne. Zaraz po skończonem oblężeniu wstępuje do zakonu Lazarystów. Zatrzymaj ten dyplom, drogi przyjacielu, dla siebie. Rzemiosło wojenne odpowiada twojej naturze; będziesz dzielnym i przedsiębiorczym dowódcą.

D'Artagnan ze zwilżonemi łzą wdzięczności oczyma, promieniający radością, wrócił do Atosa. Ten siedział jeszcze przy stole i przeglądał pod światło ostatnią szklankę malagi.

— Otóż widzisz! — zawołał do niego młody Gaskończyk, — i oni również odmówili!

— Bo nikt nie jest bardziej od ciebie godny tego zaszczytu.

Wziął pióro do ręki, wypisał w dyplomie nazwisko d'Artagnana i oddał mu pergamin z powrotem. D'Artagnan zaś westchnął ciężko, wsparł głowę na dłoniach, i dwie łzy spłynęły mu po policzkach.

— Nie będę już miał przy sobie przyjaciół — rzekł ze smutkiem. — Niestety! nie pozostaje mi nic, prócz gorzkich wspomnień....

— Drogi mój przyjacielu! — odparł Atos. — Jesteś jeszcze młody, i gorzkie twoje wspomnienia mogą jeszcze zmienić się w słodkie!....

EPILOG.

Rochella, nie doczekawszy się pomocy floty angielskiej i odsieczy wojskowej, przyrzeczonej przez Buckinghama, po całorocnem oblężeniu podał się; dnia 28-go października 1628 r. podpisano kapitulację.

Król dnia 23-go grudnia tegoż roku wrócił do Paryża, gdzie przyjmowano go triumfalnie, jakgdyby pokonał wrogów, a nie Francuzów. Wszedł do Paryża od strony przedmieścia Świętego Jakóba przez wzniesioną na cześć jego z zieleni bramę triumfalną.

D'Artagnan objął swe nowe stanowisko.

Portos porzucił służbę wojskową i w ciągu następnego roku ożenił się z panią Coquenard, pozyskując upragniony kufer, który zawierał ośmset tysięcy liwrów. Mousqueton otrzymał świetną liberję, osięgając w ten sposób marzenie całego swego życia i miejsce ztyłu pozłacanej karocy.

Aramis, odbywszy podróż do Lotaryngji, przepadł bez wieści i przestał nawet pisywać listy do swoich przyjaciół. Dowiedziano się później za pośrednictwem pani de Chevreuse, która opowiadała o tem dwom czy trzem swoim kochankom, że oblókł habit zakonny w jednym z klasztorów w Nancy. Bazin został braciszkiem klasztornym.

Atos służył jeszcze łat parę w muszkieterach pod wodzą d'Artagnana. ale i on w roku 1631, w następstwie podróży do Turenji, opuścił szeregi muszkieterskie pod pozorem, że odziedziczył mały majątеczek w Roussillon. Grimaud pozostał przy nim.

D'Artagnan bił się trzy razy z Rochefortem i trzy razy zadał mu ranę.

— No! przy czwartem spotkaniu zabiję cię chyba! — rzekł po trzecim pojedynku, pomagając mu powstać z ziemi.

— Byłoby lepiej i dla pana i dla mnie — odpowiedział raniony, — gdybyśmy na tem już poprzestali. Do licha! jestem przyjacielem pańskim w większym stopniu, aniżeli przypu-

szczasz.... Albowiem już od czasu pierwszego naszego pojedynku mógłbym był pozbawić cię głowy, szepnąwszy kardynałowi choć jedno słówko.

Tym razem uścisnęli się serdecznie, bez żadnych ubocznych myśli.

Planchet, dzięki Rochefotrowi, otrzymał stanowisko sierżanta w gwardji.

Pan Bonacieux żył spokojnie, nie dowiedziawszy się, co się stało z jego żoną, i nie troszcząc się zresztą o to. Pewnego dnia przypomniał się nierozważnie pamięci kardynała, który kazał mu odpowiedzieć, że pomyśli o tem, aby mu nigdy nie zbywało na niczem. I istotnie następnego dnia pan Bonacieux, wyszedłszy z domu do Luwru, nie wrócił już więcej na ulicę Grabarzy. — Dobrze powiadomieni utrzymywali, że dostał mieszkanie i pożywienie w jednym z pałaców królewskich na koszt wspaniałomyślnego kardynała.....

KONIEC.

TREŚĆ

List Aleksandra Dumasa młodszego

Przedmowa autora

ROZDZIAŁ:

I. — Trzy dary pana d'Artagnana ojca

II. — Przedpokój pana de Treville

III. — Posłuchanie

IV. — Ramię Atosa, szarfa Portosa i chusteczka Aramisa

V. — Muszkieterowie króla i gwardziści pana kardynała

VI. — Jego Królewska Mość Ludwik Trzynasty

VII. — Muszkieterowie u siebie

VIII. — Intryga dworska

IX. — D'Artagnan działa

X. — Pułapka siedemnastego wieku

XI. — Intryga się wiąże

XII. — Jerzy Villiers, książę Buckingham

ROZDZIAŁ:

XIII. — Pan Bonacieux

XIV. — Nieznajomy z Meung

XV. — Toga i miecz

XVI. — Pan kanclerz Seguier szuka kilkakrotnie dzwonka, aby zadzwonić, jak to czynił niegdyś

XVII. — Dom państwa Bonacieux

XVIII. — Kochanek i mąż

XIX. — Plan wyprawy

XX. — Podróż

XXI. — Hrabina de Winter

XXII. — Taniec "Merlaison"

XXIII. — Schadzka

XXIV. — Pawilon

XXV. — Portos

XXVI. — Rozprawa Aramisa

XXVII. — Żona Atosa

XXVIII. — Powrót

XXIX. — W pogoni za wyekwipowaniem

XXX. — Milady

XXXI. — Anglicy i Francuzi

XXXII. — Obiad u prokuratora

XXXIII. — Pokojówka i pani

ROZDZIAŁ:

XXXIV. — Rozdział ten opowiada o umundurowaniu Aramisa i Portosa

XXXV. — W nocy wszystkie koty są szare

XXXVI. — Marzenie o zemście

XXXVII. — Tajemnica milady

XXXVIII. — Jak Atos bez trudu zdobył umundurowanie

XXXIX. — Zjawisko

XL. — Straszna zjawa

XLI. — Oblężenie Rochelli

XLII. — Wino andegaweńskie

XLIII. — Gospoda pod Czerwonym Gołębnikiem

XLIV. — O pożytku z rur kominowych pieca

XLV. — Małżeństwo

XLVI. — Bastyon świętego Gerwazego

XLVII. — Narada muszkieterów

XLVIII. — Sprawa rodzinna

XLIX. — Zrządzenie losu

L. — Rozmowa brata z siostrą

LI. — Oficer

LII. — Pierwszy dzień niewoli

LIII. — Drugi dzień niewoli

LIV. — Trzeci dzień niewoli

LV. — Czwarty dzień niewoli.

ROZDZIAŁ:
LVI. — Piąty dzień niewoli
LVII. — Scena z tragedji klasycznej.
LVIII. — Ucieczka
LIX. — Co się wydarzyło w Porthsmouth dnia 23 sierpnia 1626 roku
LX. — We Francji
LXI. — Klasztor Karmelitanek w Bethune.
LXII. — Dwie odmiany szatanów
LXIII. — Kropla wody
LXIV. — Człowiek w czerwonym płaszczu.
LXV. — Sąd
LXVI. — Wykonanie wyroku
LXVII. — Zakończenie
Epilog

Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000176226
I 460262